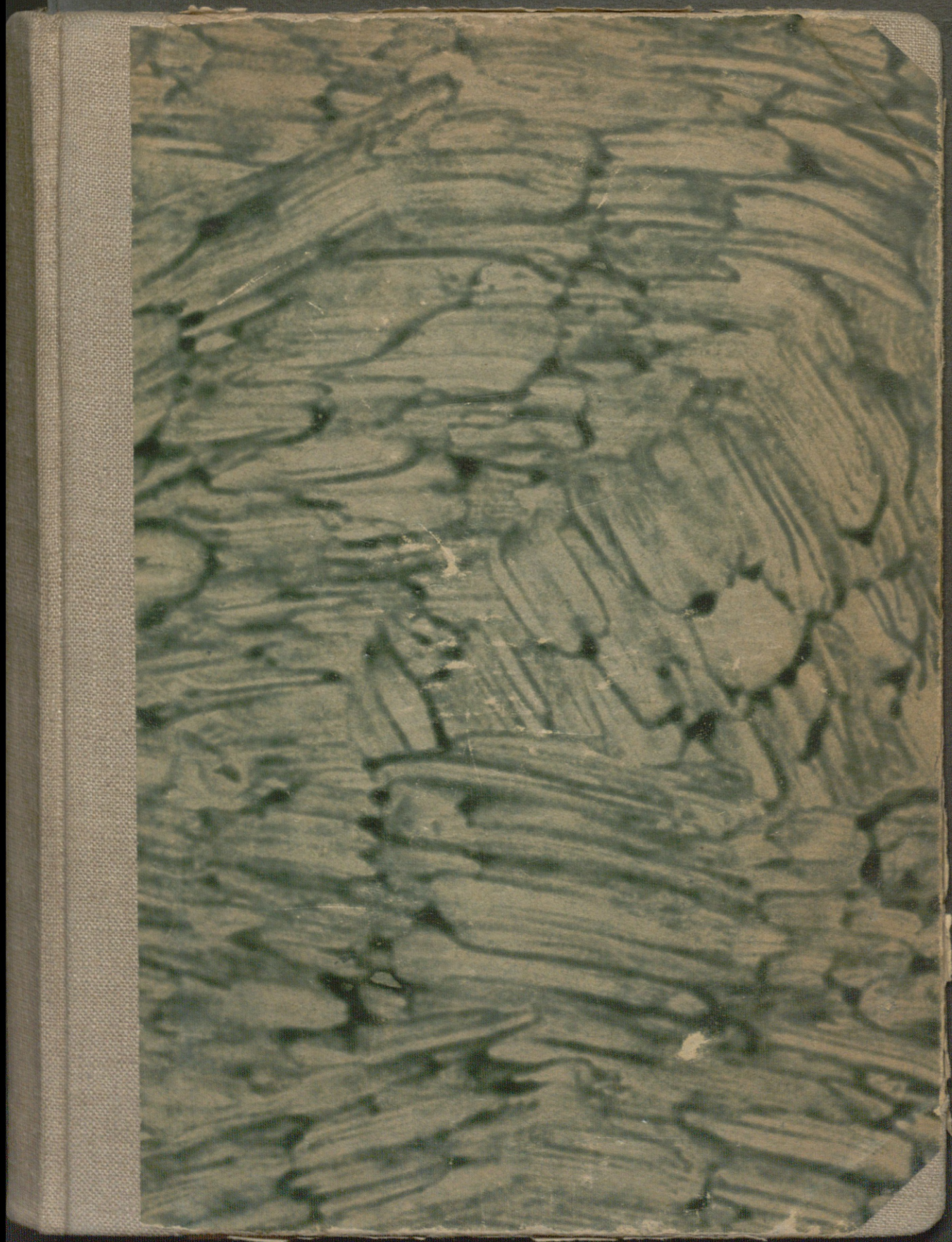
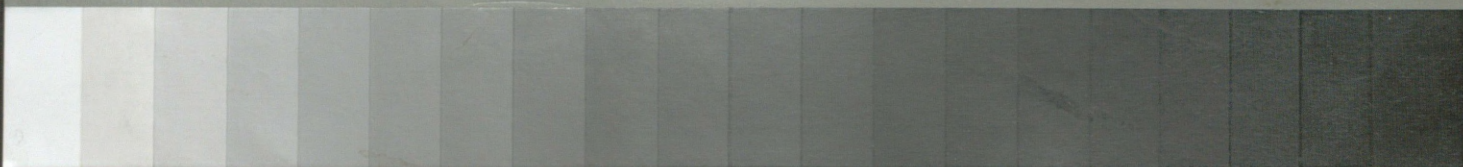
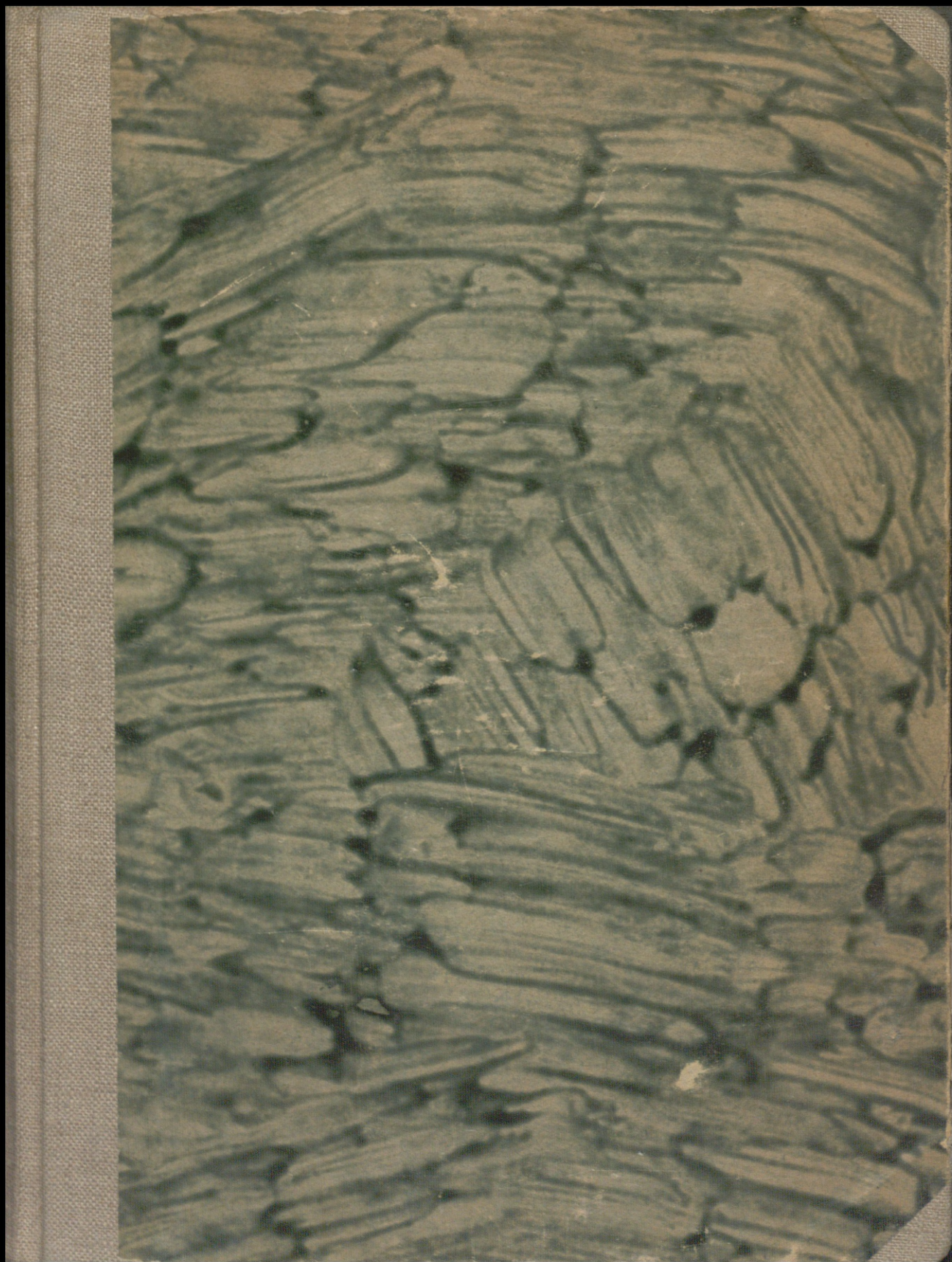


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





PAMIĘTNIKI CHŁOPÓW
SERJA DRUGA

INSTITUT D'ÉCONOMIE SOCIALE

MEMOIRES DES PAYSANS

SÉRIE DEUXIÈME



1 9 3 6

V A R S O V I E

INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

PAMIĘTNIKI CHŁOPÓW

SERJA DRUGA



1 9 3 6

W A R S Z A W A

435²/₂



Instytut Gospodarstwa Społecznego wydał obecnie drugą serję P a m i ę t n i k ó w c h ł o p ó w — chłopów, jak gdyby na krawędzi. Albowiem są to już w większości wypadków całkowici lub częściowi odszczepieńcy od warsztatu rolnego, ludzie, szukający innych dróg życia, niekiedy odbiegający nawet het daleko od kraju ojczystego, ale zawsze owiani tęsknotą do ziemi, z pielęgnowaną gdzieś w głębi nadzieją, że kiedyś na niej osiądą. Tej sprawie poświęciła Marja Dąbrowska słowo wstępne. Jej przyczynek zwalnia nas od zastanawiania się nad obliczem naszych pamiętnikarzy.

Natomiast pragnęlibyśmy poruszyć rzecz zgoła inną. A mianowicie przy nadarzającej się okazji pomówić nieco o założeniach, z których wychodzi Instytut Gospodarstwa Społecznego w swojej działalności.

Instytut Gospodarstwa Społecznego jest instytucją o celach natury poniekąd doraźnej: usiłuje — a nigdy nie żywił najmniejszej chęci przeniewierzenia się temu zadaniu — trzymać rękę na pulsie naszego życia społecznego w postaci zbierania materiałów, celem wyjaśnienia tego lub innego niedomagania, oświecenia tej lub innej sytuacji. Ale na pulsie życia nie we wszystkich jego uderzeniach! Istnieje rozległa dziedzina stosunków i niedomagań, z zasady mocno lekceważona, póki swojemi objawami lub wybrykami nie zmąci błogiej obojętności. Póki wieś polska jest zaciszna, póki spokojna, jej mieszkań-

cy mogą niedojadać, byleby tem swoim niedojadaniem nie targali innym wczasów i spokoju. Takiej zacisznej wiosce jedynie niekiedy udzielano nieco uwagi, i to w drodze niemal przypadku, jak gdyby z łaski. I tak samo było z innymi sytuacjami owej rozległej dziedziny, o którą nam chodzi. Setki tysięcy najmitów miejskich, bądź to robotników fabrycznych, bądź wyrobników, z trudem wiążą dzień z dniem w znoju i trosce, biedują liczne zastępy wyzyskiwanych beczelnie chałupników, wałęsają się po kraju gromady bezrobotnych i zwolna przekształcają się w nałogowych „rajzerów“, w niedostatku pędzą żywot na wsi rzesze bezrolnych i małorolnych. Instytut Gospodarstwa Społecznego oddał się całkowicie dochodzeniom właśnie w zakresie tych tłumów, stanowiących pod względem ilościowym bądźco bądź rdzeń narodu polskiego. Powziął ambicję śmiałą, a dla wielu zakrawającą na donkiszoterję, ażeby poświęcić się wyłącznie sprawie usunięcia z ziemi polskiej źródeł nędzy i krzywdy. Przykładał się do tego oświeclaniem zaułków naszego życia społecznego według sił swoich i środków, a więc w skali skromnej, ale w poczuciu głębokiem, iż zajął posterunek zaniedbany, poniekąd jak gdyby zapomniany. Wydał parę tomów poświęconych chałupnictwu, ogłosił kilkanaście przyczynków, związanych bezpośrednio lub pośrednio z położeniem materialnem warstwy robotniczej, z bezpieczeństwem jej podczas pracy, z sposobami spędzania przez nią wczasów. Zajął się sprawą bezrobotnych. Dużo miejsca w jego działalności zajęły i zajmują zwłaszcza obecnie niedomagania chłopstwa polskiego. Takimi są drogi jego działalności. Chodzi mu o to, ażeby dochodzeniami swemi sięgnąć jak najgłębiej do nizin nędzy i niedostatku. W tej działalności obce było mu schlebienie demagogiczne komukolwiek. Pragnie w sposób możliwie przedmiotowy odtworzyć istniejącą rzeczywistość. I nie przeniewierza się tej zasadzie, gdy sięgając do owych nizin, usiłuje dać miejsce głosom stamtąd dochodzącym. W P a m i e t n i k a c h więc przemawiali różni ludzie: skostniały zachowawca obok osoby zabarwionej silnym radykalizmem, głęboko wierzący obok tych, co odbiegli od wiary jakiegokolwiek — słowem, przesuwali się w nich postacie mieniające się wszelkimi barwami przekonań i uczu-

ciowości społecznej. Naszem zdaniem, im pełniejszą jest jawność tego, co nurtuje tam w głębi życia społecznego, tem więcej ma społeczność przed sobą widoków na zdrowy rozwój. Jak promienie słoneczne usuwają pleśń wszelaką, tak swoboda jawnego wypowiedzenia się zapobiega tworzeniu się zatorów społecznych i ukazywaniu się niespodzianek w rodzaju nieoczekiwanych prądów i poruszeń. Dlatego pragnęlibyśmy dać upust wszelkim głosom — rozumnym i niedorzecznym, poważnym i niedowarzonym, jakie kielkują w nizinach niedostatku. Przecież jest to jedynie właściwa, jedynie zdrowa metoda pożyicia społecznego.

I takim nastawieniem kierowaliśmy się mając się gromadzenia pamiętników chłopów — nastawieniem ku oświeceniu biedy chłopskiej.

Odwołaliśmy się do rzesz włościańskich.

Wprawdzie moglibyśmy wybrać z pośród chłopów jednego i drugiego kandydata do takiej opowieści, w imię równości choćby jednego zamożnego, drugiego biedę klepiącego, i zasadzić ich na kilka miesięcy lub nawet na lat parę do spisywania dróg swego żywota. Powstałby jeden lub dwa, albo nawet trzy przyczynki stosunkowo sążnistych rozmiarów, któreby przeczytała jedna i druga osoba, lecz dziesiąta nie rozcinając kart odłożyłaby na półkę biblioteczną. Naturalnie, nikogo nie chcemy odwozić od przyłożenia ręki do stworzenia takich pomników pisanych i gotowi jesteśmy ubolewać nad tem, iż rzadko będą do nich zaglądali ludzie, za często — mole. Ale Instytut Gospodarstwa Społecznego jest instytucją o celach zbyt związanych z życiem realnem, ażeby poświęcać swoje szczupłe, jakieśmy już zaznaczyli, siły i jeszcze szczuplejsze środki na doprowadzanie do skutku takich bądźco bądź pożytecznych monografij, lecz leżących poniekąd na uboczu od wartkiego potoku społecznego. Z natury naszego stanowiska, chodziło nam nie o wydobywanie niezmiernie rzadkich sielanek dobrobytu wiejskiego, tylko o zwrócenie uwagi na niedomagania na wsi się srożące. Niewątpliwie tu i owdzie w wioskach naszych istnieją, zresztą w nielicznych okazach, tacy, których pochylił, lecz nie złamał kryzys. Parę takich sylwetek znalazło się pomiędzy naszymi pamiętnika-

VIII

rzami - chłopami. Ale zależało nam nie na wyjątkach, jeno na tłumach. Przecież bądźcobądź jesteśmy krajem ubogiego chłopstwa! Kryzys dopiekl mu do żywego. Może sytuacje powtarzają się w pamiętnikach zbyt stereotypowo, — ale już ta okoliczność, iż we wszystkich dzielnicach to samo się dzieje, jest wymownym świadectwem o ciężkiem położeniu chłopów. Zależało nam na tem, ażeby z powodu tej wsi uderzono w „czynów stal” — w drodze prawodawczej ulżono skutkom obdłużenia zaciągniętego przed kryzysem, stworzono możliwości zarobku, powiększono rozmiary warsztatu rolnego. Mamy powody mniemać, iż nasze usiłowania nie były daremne. Postawiliśmy ongi na porządku dziennym sprawę bezrobotnych i mogliśmy przytoczyć drukowane dowody, iżśmy przyczynili się nieco do zajęcia się ich losem ze strony sfer, które mogą coś uczynić w tym względzie. I również nasze wysiłki ku obudzeniu zainteresowania położeniem chłopstwa nie pozostały bez skutku. Nasze wydawnictwa zrobiły swoje — w mierze skromnej, może nawet bardzo skromnej, jednak przyczyniły się do skierowania uwagi na istniejące aż nazbyt często na wsi ciężkie warunki bytu, na nędzę tam panoszącą się bądź z braku zarobków, bądź z powodu zbyt małego i źle zagospodarowanego warsztatu pracy.

L u d w i k K r z y w i c k i

Warszawa, dn. 1 sierpnia 1936 roku.

Druga serja Pamiętników chłopów zawiera dzie-
sięć prac, z których każda zasługuje na osobne i wnikliwe rozpatrze-
nie. Ponieważ w ramach słowa wstępnego nie można sobie na to po-
zwolić, poprzestanę więc na ogólnem scharakteryzowaniu całości.
A raczej może poprostu na wprowadzeniu czytelnika w krąg wrażeń,
których sama, obcując z tym zbiorem pamiętników, doznałam.

Przedewszystkiem więc żaden z tych dziesięciu pamiętnikarzy
nie daje się podciągnąć bez reszty pod klasyczne pojęcie zasiedzia-
łego włościanina-rolnika. Niełatwo jest wyliczyć rozmaitość zawo-
dów, których ci ludzie probują, zajęć, którym się z upodobania lub
konieczności oddają, przygód, które ich wtrącały w coraz to inne
środowiska i losy, typów życia, które naprzemian stawały się ich
udziałem. Rozległa skala obejmuje tu, zda się, nie dziesięć, a kilka-
dziesiąt żywotów, nie jedną — lecz kilka warstw czy też grup spo-
łeczno-gospodarczych, i conajmniej dziesięć zlekka lecz wyraźnie
odmiennych poziomów kulturalnych, postaw duchowych, poglądów
na świat, osobowości uczuciowych. Między tymi dziesięciu ludźmi
znajdziemy zbogaconego chłopą-potentata i małorolnego z gatunku
tych, co ani żyć, ani umrzeć nie mogą; gospodarza, spychanego po-
mału do rzędu proletarijuszki i robotnika rolnego, dorabiającego się
w pocie czoła odrobiny własnego gruntu. Znajdziemy dalej wiej-
skich rzemieślników: kowala, szewca, krawca, stolarza, murarza,
bednarza; znajdziemy drobnego mieszczańca, ciężącego tyleż do
handlu i rzemiosła ile do roli; znajdziemy ogrodnika i hodowcę,
a wreszcie — fachowego i niefachowego robotnika wielkiego przemy-
słu, górnika, blacharza, metalowca i na koniec — emigranta sezon-
owego lub wieloletniego, żołnierza, wojennego wiarusa, wędrowca po

wielkich szlakach świata i zaściankowicza, co nie wychodził z granic rodzinnej strony. W dziedzinie charakterów, temperamentów i wogóle życia duchowego spotkamy tu idealistę i trzeźwego praktyka, twardego przedsiębiorcę i pełnego czułości kontemplatora życia, łagodnego, życzliwego sceptyka i zgryźliwego lub zapalonego reformatora, piniacza i niosącego zgodę miłośnika pokoju, radującego się entuzjastę i zrozpaczonego pesymistę, kutego na cztery nogi wygę i cichego prostaczka.

Wśród tej różnorodności wszyscy jednak nasi pamiętnikarze z mniejszą lub większą siłą krążą i zainteresowaniami i stosunkami swemi koło pracy na roli. Wszyscy też mienią się chłopami i żadnemu z nich nie jest obcy instynkt posiadania. Instynkt ów, z wyjątkiem jednego wypadku zbogacenia się, nie wykracza poza uprawnioną dążność do posięcia, utrzymania lub zaokrąglenia skromnego samodzielnego warsztatu pracy. Jest to też już instynkt, jeśli bynajmniej nie podważony wyznawanym tu i owdzie radykalizmem społecznym, to miarkowany i łagodzony pewną bezinteresownością i nawet skłonnością do ofiar ze stanu materialnego posiadania — właściwość ludzi, co zaznali już słodyczy i goryczy życia duchowego. Daleko tu do przysłowiowej wiary w jedyny dogmat „gruntu”, jaką znamy z tradycyjnych powieści o chłopach. Nadmienić też wypada, że prawie wszyscy pamiętnikarze są działaczami społecznymi, czem służą tyleż swej warstwie, co, siłą rzeczy, wykraczają poza jej stanowe interesy.

Z wszystkiego, cośmy tu powiedzieli, wynikałoby może wogóle, że pojęcie chłopca, uosabianego w postaci siewcy i oracza, jednolitego jak opoka, trwająca nieruchomo na dnie narodowego bytu, odbiega znacznie od rzeczywistości, która jest o wiele bardziej złożona i fantastyczna.

Taki wniosek wymaga jednak zastrzeżenia, płynącego stąd, że nie mamy pewności, czy nasi pamiętnikarze są najtypowszymi przedstawicielami przeciętnej masy chłopskiej. Chociaż opisują oni wiele faktów niewątpliwie wspólnych całemu żywiołowi chłopskiemu, sami zdają się należeć do tej drobnej mniejszości, która istnieje w każdej warstwie, jako, powiedzmy, stan przejściowy. Stan czy gatunek ludzi, wyszłych częściowo i pod różnemi względami poza swą klasę i sferę, a nie przeobrażonych i być może nie przeobrażalnych docna w żadną inną. Ten rodzaj ludzi odznacza się we wszystkich warstwach społeczeństwa największem ożywieniem umysłu i największą dozą płodnego, choć czasem nieco cierpięliwego nie-

pokoju ducha. Wśród nich spotykamy — również we wszystkich warstwach — największą ilość pisarzy, albo przynajmniej utalentowanych amatorów, skłonnych brać się do pióra i znajdujących upodobanie w lirycznym, filozofującym, epickim lub sarkastycznym zastanawianiu się nad zdarzeniami życia. Ludzie tacy jednak, nie będąc typowymi przedstawicielami swojej warstwy, są zato jedynymi, którzy o swem rodzimem środowisku — właśnie dlatego, że patrzą na nie cokolwiek zzewnątrz — mogą dać najbardziej prawdziwe i w pełni ludzkie świadectwo. To też sądzę, że z pewną ostrożnością możemy głos ich uważać za „spowiedź powszechną” całej warstwy narodu.

Każdemu, kto bierze do rąk *Pamiętniki chłopów*, nastreczy się pytanie, czem one są właściwie, jako przejaw piśmiennictwa? Czy je mamy uważać za dokumenty gospodarczo-społeczne, czy za utwory artystyczne? Czytać je nastawieni badawczo lub uczuciowo? Podchodzić do ich omówienia od strony socjologa, czy od strony krytyki literackiej?

Sądzę poprostu, że są one nie mniej i nie więcej tylko tem, czem jest wszelka literatura pamiętnikarska. Socjolog i ekonomista dobędą z nich te dane i te wnioski, do jakich wyciągnięcia tego rodzaju dzieła uprawniają. Mąż stanu weźmie je w swych posunięciach pod uwagę na tyle, na ile uczciwość polityczna i troska o dobro publiczne pozwolą mu ocenić wagę takiego świadectwa o bycie obywateli. Działacz społeczny będzie się niemi posługiwał jako argumentem wiecowym czy publicystycznym, a w lepszym wypadku — jako źródłem pogłębienia ideologii. Artysta-pisarz pomnoży swoją wiedzę o życiu, ludzkiej duszy i własnej ojczyźnie znalezionym w nich materiałem.

Wyróżnia te pamiętniki z pomiędzy innych w polskim piśmiennictwie istniejących to, że wyszły one ze sfer, które dotąd wobec postronnego świata milczały, a pominąwszy dwa-trzy wyjątki, oraz inspirowaną lub nawet wypełnianą przez inteligentów prasę ludową, conajwyżej klęły, modliły się i śpiewały. I to tylko dochodziło stamtąd nazewnątrz. Dziś w *Pamiętnikach* przemówił do wszystkich, mających uszy ku słuchaniu, Wielki Nieznany — chłop, którego nazwać warstwą narodu — to właściwie za mało. Gdyż stanowi on tak olbrzymią większość narodu, że czytając jego rozpamiętywania naród siebie samego dopiero w pełni poznaje, ogląda i sądzi. Z tego też względu *Pamiętniki chłopów* są lekturą w najwyższym stopniu zobowiązującą.

Zobowiązującą jako przestroga równa w sile przestrogom Skargi czy proroków biblijnych i zobowiązującą jako wskazanie kierunku dla wszystkich wysiłków polskiej pracy zbiorowej. Bo koniec końców Polska jest i będzie tem, czem są i będą chłopci, a nie tem, czem się sobie już dziś być wydaje w swych ambitnych, a tak często powierzchwnie życia tylko zatracających poczynaniach i osiągnięciach. I nigdy nie będzie w żadnym sensie mocarstwem, póki chłop jej będzie słaby, ciemny, biedny, tyłu rzeczy pozbawiony i tyłu rzeczy nadaremnie spragniony.

Podobnie jak typ życia pamiętnikarzy, również styl i język pamiętników odbiegają od tego, co się zrosło w literaturze i folklorze z pojęciem gwary ludowej. Znajdziemy tu silny, niekiedy przeważający wkład języka, używanego potocznie przez t. zw. inteligencję — wpływ zarówno pewnego czytania jak i obycia się z ludźmi innych warstw. Niemniej — z wyjątkiem niektórych ustępów, zwłaszcza rezonerskich — język ten jest przypuszczalnie wiernem odbiciem języka i stylu, jakim autorzy myślą i mówią. Obok całkiem poprawnego wyrażania się nie brak tu dziwolągów składni, przekreconych wyrazów, naleciałości języków obcych (rosyjskiego i niemieckiego), błędów gramatyki i ortografii. Są też osobliwości stylu tak indywidualnego, że tylko czytelnik, chwytający w lot każdą, złą czy dobrą odmianę polskiego wysłowienia, połapie się od razu w sensie niektórych zdań. Zapoznawać z tego powodu wartość P a m i ę t n i k ó w jako swoistego pomnika mowy, świadczącego o ciekawej, godnej specjalnych studjów przejściowości, byłoby pedanterją. Muszę przytem zaznaczyć, że właśnie pamiętniki najbardziej urągające wszelkiej poprawności językowej posiadają wysoką, może największą wartość artystyczną. (Pamiętniki Nr. N. 3, 5, 7, 8).

Powiedzieć o P a m i ę t n i k a c h, że są utworami sztuki, to i zamało i zawiele. Niema tu zamierzenia artystycznego, jednak pierwiastki nieklamanego artyzmu tkwią w nich niby obficie rozsiane okruchy złota w surowej nieoczyszczonej rudzie. Nie przesądzam, czy okruchy te świadczą o możliwościach pełnej twórczości artystycznej tego lub owego z pamiętnikarzy. Najprawdopodobniej mamy tu do czynienia z tym cennym artyzmem, który w kulturze zwanej prymitywną, ale będącej wzamian zawsze dość całkowitą i harmonijną, stanowi konieczne dopełnienie samego życia. I z tym, który przejawić musi każdy, kto dzieje swego życia próbuje uporządkować, sięgając w ten prawdziwy skarbiec piękna, jakim jest wspomnienie. Bo P a m i ę t n i k i c h ł o p ó w jak to zresztą

nadana im nazwa wskazuje, są nadewszystko wspomnianiem. A jeśli prace, zawarte w niniejszej serji, odbiegają czemś od wydanych poprzednio, to właśnie tem, że czasy obecne i wymagane niejako przez ankietę Instytutu zobrazowanie kryzysu zeszyły w nich na drugi plan. Zaś na pierwszy wysunęła się w miarę liryczna lub epicka i zawsze niebывale zajmująca opowieść o przeszłości.

Czy mamy w tem upatrywać mimowolną i poniekąd zdrozną ucieczkę od niełatwych zagadnień życia bieżącego? Rozdziały poświęcone tak zagadnieniom teraźniejszości jak również trosce o przyszłość znajdują się jednak w każdym pamiętniku, co nie wskazuje na chęć takiej ucieczki. Nie mówiąc o tem, że wskrzeszane z lubością dzieje lat minionych są przeważnie bardzo ciężkie i opłakane, niema więc znów tak do czego uciekać.

Co do mnie, skłonność naszych pamiętnikarzy do czerpania tworzywa ze wspomnień i niepoślednią umiejętność posługiwania się wspomnieniem uważam za prawdziwą legitymację ich kulturalnego człowieczeństwa. Pamięć — to źródło najsroźszych naszych cierpień i najżywszych radości — jest jednym z warunków tworzenia kultury, motorem wzbogacania i zdobywania nowych doświadczeń. Zdolność wspomniania i spoglądania wstecz należy do tych uzdolnień wyższego rzędu, które narówni ze spoglądaniem w przyszłość pozwalają nam obejmować coś więcej niżeli życie z dnia na dzień. „Istnieją na świecie trzy drogie i piękne słowa. Są to: pamiętka, pamiętnik, pamiętaj”. Tak zaczyna się pierwszy z naszych dzieściu życiorysów. I zdanie to możemy uważać za motto do wszystkich pamiętników chłopskich bez żadnej ujemy dla ich niezmiernej doniosłości.

Trzy elementy składają się głównie na „pamiętaj” występujących tu dziesięciu autorów. Są to: dzieciństwo, emigracja i wojna lub służba wojskowa, wszystko troje związane, rzecz prosta, z pracą i gospodarstwem. To jest wszędzie kościec, na którym się wspiera całość urozmaiconego żywota.

Dzieciństwo, potraktowane przez niektórych pamiętnikarzy bardzo obszernie, a przez wszystkich z największem bodaj zacięciem artystycznym, posiada wszędzie uderzający rys wspólny. Znaczna jego część, jeśli nie wszystkie lata, upływa na „pasience”. Pasionka jest, począwszy od siódmego roku życia, główną (obok nianżenia rodzeństwa) szkołą życia, źródłem częstych dziecinnych dramatów i rzadkich dziecinnych radości. Z nią, jak z losową prze-

szkodą, borykają się wszystkie zahamowane dążenia i tęsknoty dziecięce. Jej wykradane są chwile swobody i zabawy, jej przeciwstawia się chęć nauki — zapoznana, nie dekorowana orderami i nie obchodzona żadnymi jubileuszami ani zjazdami „walka o szkołę”, staczana samorzutnie i żywiołowo w czasach przedwojennych przez żyjące „w niewoli u bydła” dziecko chłopskie.

Opisane w pamiętnikach życie na emigracji stanowi przeważnie silny kontrast z późniejszym czy poprzednim życiem w kraju, na niekorzyść tego ostatniego. Twardy i sierocy los emigranta, nad którym tylokrotnie ubolewała polska literatura i publicystyka, wygląda raczej nęcało w relacji samych emigrantów. To dodatnie zabarwienie wspomnień emigracyjnych należy częściowo przypisać faktowi, że mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju elitą wychodzącą, z ludźmi bystrymi, ciekawymi świata i życia, obrotnymi i żywymi zarówno duchowo jak fizycznie. Pełno tu jednak i obiektywnych obrazów nietylko zyskanego na obczyźnie dobrobytu, ale i bardzo ludzkiego traktowania, a w związku z tem podniesienia się uczucia godności, rozwinięcia się potrzeb kulturalnych, rozszerzenia horyzontów myślowych, a nawet powstania wzruszających przywiązań do nowego środowiska. Obywatelami „drugiego stopnia”, jeśli nie formalnie, to faktycznie, czują się nasi pamiętnikarze, niestety, w ojczyźnie raczej, niż pomiędzy obcymi. A mimo wszystko, tęsknili do kraju, śnili o nim i z najżywszą czułością wracali, zaświadczać, że miłość ojczyzny nie jest czymś, co trzeba by w chłopie polskim podżegać. Należy jej tylko co duch dać bardziej życiowe usprawiedliwienie.

Rozdziały, dotyczące wojny i służby wojskowej, odznaczają się wszędzie najprościej ludzkim stosunkiem do tych wstrząsających wydarzeń. Związane z rzemiosłem wojennem i dodające mu splendoru kwestje patriotyczne, polityczne oraz honoru wojskowego odgrywają tu tylko pewną, niekiedy jakby frazeologiczną rolę. Nasi pamiętnikarze traktują wojnę i wojsko jako dopust boży, jako nieuniknioną konieczność lub jako przykrą, ale i nęcącą próbę życiowej zaradności. Ambicja każe im, bez względu na to w jakiej armii służą, wypełniać jaknajsprawniej spadłe na nich obowiązki. Instynkt samozachowawczy i pewien dystans do celów wojennych doradzają im urządzać się możliwie najdogodniej i wyciągać z tego okresu życia, jakie tylko się da, lecz zawsze przeciętnie godziwe korzyści. Uczucie ludzkości skłania ich do niesienia pomocy towarzyszom broni czy poszkodowanej ludności. Wrodzona przyzwoitość nie pozwala

im nigdy i wobec nikogo wykorzystywać, bez naglącej potrzeby, faktu, że noszą broń.

Płeć i miłość w sensie erotycznym zajmują nadzwyczaj mało miejsca w tych pamiętnikach. Jeden tylko (Nr. 8), ale zato w całości poświęcony jest historii wykoślenia życiowego na tle powikłań miłosnych. To niemal pominięcie dziedziny, która w życiu chłopskiem gra nie najważniejszą, ale i nie mniejszą rolę niż w każdym innym, nie świadczy bynajmniej o oschłości uczuć, gdyż wszelkie inne rodzaje przywiązania małżeńskiego, synowskiego czy ojcowskiego uwydatniają się w P a m i ę t n i k a c h z należytą siłą, choć zawsze powściągliwie w wyrazie. Trzeba tu więc raczej przypuszczać pewną męską wstydlivość w ujawnianiu publicznem przeżyć najintymniejszych. Może też, niezachęceniu do wywnętrzeń tego rodzaju przez ankietę Instytutu Gospodarstwa Społecznego pamiętnikarze uznali poprostu, że one nie byłyby tu na miejscu.

Równie mało miejsca poświęcono głębszemu życiu religijnemu i zaledwie gdzieś tam trafiają się rozmyślenia i na ten temat. Wszystkich pamiętnikarzy cechuje żywe lub nawykowe przywiązanie do kościoła i obrzędów religijnych. Ostro natomiast występuje, nasilająca się z wiekiem, bądź trzeźwa, bądź namiętna krytyka proboszczów, których gruba interesowność i brutalność — z rzadkimi, a chętnie podkreślanymi w pamiętnikach wyjątkami — odczuwana jest jako prawdziwa bolączka życia chłopskiego.

Sprawą społeczną są te wypowiedzi chłopskie dość mocno przeorośnięte. Społeczny charakter nadaje im zresztą już to, że opisują nie tylko życie własne autora, lecz życie jego wsi, często — całej gminy, zawsze — tej najbliższej zbiorowości, z którą go losy chwilowo lub na dłużej związały. W poglądach społecznych punktem wyjścia jest zazwyczaj zachowawczy tradycjonalizm, który w większości wypadków stopniowo ustępuje miejsca mniej lub więcej daleko idącemu zradykalizowaniu. Tego przesuwania się ku lewicy czy to wobec kościoła, czy wobec systemu rządów lub ustroju społecznego dokonywa nie wpływ programów i doktryn socjalnych, na których działanie pamiętnikarze są naogół raczej odporni. Dokonywa go, niestety, życie i gorzkie jego doświadczenia. Radykalizm zresztą nie ujawnia się w P a m i ę t n i k a c h (być może przez ostrożność) jako dążenia rewolucyjne, ale przeważnie — jako tęsknota do twórczych i pozytywnych reform, szczególnie gospodarczych. Czasem również do moralnego przeobrażenia człowieka.

Znamienną cechą P a m i ę t n i k ó w jest pewnego rodzaju brak hierarchizowania zjawisk życia, a nawet jakby odwracanie naturalnego w tej dziedzinie porządku rzeczy. Pospolite i błahe wydarzenia traktowane są przeważnie szczegółowo, gdy wielkie wypadki prywatne czy publiczne bywają często jedynie pobieżnie zaznaczone. Wynika to, jak sądzę, nie z organicznego braku poczucia hierarchji, ale stąd, że wielkie sprawy kładą tłumik na usta. Tragizm lub tajemniczość życia występują w nich z siłą, którą nadmiar słów może tylko rozmazać. A naodwrot sprawy drobne, jeśli chcemy wydobyć ich nieprzemijającą wartość — a to chce każdy, kto czuje wartość życia wogóle — domagają się pieczołowitego nad nimi zatrzymania. To, do czego znający tajniki osiągania efektów artystycznych pisarz ucieka się świadomie (co nie znaczy — na zīmno), tutaj zastosowane zostało bezwiednie. Jednakże niektórzy pamiętnikarze dali dość szczegółowy i nie mniej przez to wstrząsający obraz wypadków, przygód i przeżyć duchowych naprawdę niepowszednich. Zaś drobiazgowość w opisywaniu najmniejszych zdarzeń szarego, a w gruncie bardzo kolorowego bytu jest też może jedynym w tych pamiętnikach dowodem swoście religijnego stosunku do życia. Mówi bowiem o takiej afirmacji wszystkich jego przejawów, jaka płynąć może tylko z przeświadczenia o głębszym, niepojętym jego sensie.

Marja Dąbrowska

Pamiętnik Nr. 1

Górnik w Niemczech a później
55-morgowy gospodarz w pow.
poznańskim

1.

Istnieją na świecie trzy drogie i święte słowa. Są to pamiętka, pamiętnik, pamiętaj.

Gdy przysła wielka wojna światowa, to jak świat długi i szeroki, szli na wojnę wojacy, a przy pożegnaniu, każdy wołał do swych najdroższych: pamiętaj o mnie!

Pamiętaj, abyś dzień święty święcił, wołał Bóg na górze Synai. Pamiętaj o mnie, mówił łotr na krzyżu do Zbawiciela. I co za słowo, raj obiecujące, otrzymał za odpowiedź. Pamiętaj, pisz do nas, tak wołali do odjeżdżających żołnierzy ci, co zostali w kraju. Niektórzy z wojaków wołali: Będę pisał pamiętnik i ci go przyślę. Tak, pisz do nas czy cię co dobrego czy złego spotka. I rzeczywiście, choć świszczwały kule i choć grzmiały armaty, że aż się ziemia trzęsła, to żołnierz pamiętał, a to mu dodawało otuchy i siły do znoszenia tych ciężkich utrapień.

Jak świat długi i szeroki wybuchła wielka wojna z kryzysem. Chociaż świat cały i wszystkie państwa toczą zaciętą walkę z tym teraźniejszym nieprzyjacielem ludzkości, to mimo to kryzys nie tylko nie folguje, lecz coraz więcej się rozszerza.

W wojnie światowej w państwach centralnych był głód. Pieniądzy było poddostatkiem, lecz za drogie pieniądze nie można było dostać żywności. Ludzie o niczem innem nie mówili, jak o głodzie i narzekając mówili, kiedy się ta wojna skończy.

Dziś, jak świat długi i szeroki, wszędzie chleba, mięsa, towarów spożywczych jest w obfitości i za małe pieniądze można więc się najeść do syta. Lecz cóż się dzieje? Ludzie głód cierpią. Dlaczego

go ludzie w olbrzymiej większości tak mało mają pieniędzy, że nie są w stanie, najpotrzebniejszych rzeczy sobie kupić, a takich, co opływają we wszystko, jest bardzo mało.

Więc ludzie narzekają i mówią, kiedy się ten kryzys skończy? W wojnie światowej, każdy wołał do tych co szli na wojnę, pisz do nas czy cię co dobrego lub złego spotkało, więc pisali jak kto umiał, a niektórzy pamiętniki z tej wojny pisali.

Dziś, w czasie wielkiej wojny kryzysowej, ludzie mało piszą, a najmniej pisze dziś chłop polski, bo musi on ciężko pracować, choć mu się nie opłaci, a biada temu chłopu, co ręce opuści, bo grozi mu bankructwo.

Lecz Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie, to wielki przyjaciel chłopu. Więc jak przyjaciel to przyjaciel, piszę niżej ten pamiętnik chłopu. A piszę go szczerze, uczciwie i sumiennie. Niech ani jedno słowo kłamliwe nie skala mych ust przy pisaniu tego pamiętnika, to niechaj da Bóg.

Ja, co piszę ten „pamiętnik chłopu” liczę 61 lat życia. Wiele rzeczy widziałem i słyszałem, przeszedłem wzdłuż i wszerz cały kraj niemiecki, mam bardzo wiele doświadczenia. Przeczytałem wiele książek i gazet polskich, niemieckich. Poznałem zwyczaje i obyczaje narodu polskiego i niemieckiego, więc jestem w możliwości niejedną ciekawą rzecz, z dawnych czasów opisać, również i teraźniejsze sprawy skreślię i rzucę do tego pamiętnika.

Więc posłuchajcie! Byłem jeszcze młodym chłopcem, liczącym 7 lat życia. Św. pamięci babka moja, licząca wówczas przeszło 80 lat życia, takie rzeczy mi opowiedziała.

Niedługo przyjdzie mi ten świat pożegnać, więc opowiem ci, co się tu działo w dawnych czasach.

W tem miejscu, gdzie się dziś nasza wioska znajduje i w okolicy, były bory i lasy, w nich pełno dzikiego zwierza. W każdym większym rowie lub stawie było pełno ryb, każdy, kto chciał, mógł sobie ich nałowić.

Okolica, w której dziś mieszkam, należała do pana, który się nazywał Zakrzewski-Wysogota. Żona zaś jego pochodziła z Góreckich. Pan ten posiadał: Skórzewo, Dąbrówkę, Sobiesiernie, oddalone o 10 kilometrów od Poznania. Ponieważ tutaj wiele ludzi wymarło na cholerę, było ich więc bardzo mało, więc pan Zakrzewski sprowadził kilkanaście rodzin niemieckich z Holandji. Dał im około 1500 mórg lasu, który oni powoli wykarczowali i zamienili na ziemię uprawną, postawili sobie budynki i osadę tę nazwał pan Za-

krzewski-Wysogota, Zakrzewem. Pięć km. dalej ku Poznaniowi, również owym kolonistom Niemcom dał około 1400 morgów lasu i założył wieś od swego przydomku Wysogota, Wysogotów. Później założył folwark Górowo, na pamiątkę, że jego żona była z Góreckich. Osadnicy z Holandji wyznawali wiarę luterańską. $\frac{1}{8}$ z nich się spolszczyła, lecz większość z nich pozostała twardo przy swej mowie niemieckiej i wierze luterskiej (aż do teraźniejszych czasów).

Później osiedliła się w Zakrzewie rodzina K., której nazwisko my nosimy i po nich posiadamy gospodarstwo 54-morgowe.

Takie ciekawe rzeczy opowiedziała mi św.p. babka moja, co niechaj nagrodzi jej Bóg.

Brat mego ojca dostał w posagu owe wyżej wspomniane gospodarstwo, a św. p. mój ojciec dostał majątku z tego gospodarstwa 20 talarów.

Za owe 20 bitych talarów, nie kupił św. p. ojciec mój żadnej posiadłości, lecz przyjął posadę pracownika rolnego na folwarku Helenowo.

Tutaj w owym Helenowie, oddalonym około 15 km. od Poznania w roku 1872 urodziłem się pod słomianą strzechą. Lata dziecińne upływały mi szybko i zdrowo, naokoło Helenowa były śliczne łąki, na nich wiele ślicznych kwiatów, które zrywałem i zwijając z nich wianuszek, powieszałem go na starym drewnianym krzyżu, na główkę Zbawiciela.

Później rodzice moi przenieśli się i zamieszkali na krótki czas w Krzyżownikach, oddalonych o 10 km. od Poznania. Tutaj miałem radości bez liku, bo tuż przy Krzyżownikach leży śliczne jezioro, w którym jako 5-cioletni chłopiec w czasie dni upalnych nieraz brodziłem i kąpałem się a wieczorami z moim starszym bratem chodziliśmy łapać raki w owym jeziorze, z którymi miałem wiele uciechy. Starszy brat mój zaczął już chodzić do szkoły. Nauczyciel w owej szkole był kulawy i miał drewnianą nogę.

Na polu zaraz przy wsi była studzienka, mała woda choć miała wcięż w niej była dobra do picia. Do kościoła mieliśmy daleko do Kiekrza, dokąd nie raz dreptałem. To były moje najpiękniejsze lata dziecińne.

Rodzice moi, chcąc polepszyć swą dolę, opuścili Krzyżowniki i osiedlili się w Winiarach, dużej wsi położonej około 5-ciu km. od Poznania. Tutaj wynajęli sobie mieszkanie i ojciec mój pracował jako robotnik rolny, w majątku rolnym Gołęcinie, odległym o 2 km. od Winiar.

W tem stała się rzecz ważna, która zdecydowała o mojej przyszłości. Mianowicie, przyszła do nas moja ciocia w odwiedziny, bardzo zacna i pobożna niewiasta. Ona wniosła do naszego domu oświatę. Osobliwie przynosiła nam regularnie co miesiąc „Posłaniec Najśladszego Serca Jezusa” z Krakowa. Rodzice moi umieli czytać i jako tako pisać, lecz w domu prócz książki do nabożeństwa nic innego do czytania nie było. Więc św. p. matka moja, bardzo dobra i troskliwa o nasze dobro, czytała nam głośno „Posłańca”, którego treść była nieraz bardzo ciekawa i zajmująca. Starszy mój brat umiał już cośkolwiek czytać i pisać po polsku. Mamusia nasza uczyła nas codziennie z wielką wytrwałością po polsku czytać i pisać, tak, że zanim zacząłem chodzić do szkoły, umiałem już nieźle czytać i cośkolwiek pisać po polsku. Brat mój tak pokochał książki, że jak mu czasem mamusia lub ktoś za jaką drobną przysługę dał kilka groszy, to kupił za kilka trojaków jaką pożyteczną książkę. Żył wtenczas w Poznaniu, najpopularniejszy pisarz ludowy, Józef Chociszewski, który ukochał całem sercem lud polski. Napisał on książek i książeczek bez liku. Lud polski czytał chętnie jego wydania, kupując utwory Chociszewskiego, bo były bardzo tanie. Brat mój tak pokochał tego pisarza Chociszewskiego, że nieraz do jego domu zachodził i niejedną książkę kupił.

Jak słońce świeci i ogrzewa świat cały a promienie jego wchodzi do najuboższej chatki, tak wówczas dziełka jego rozświecały umysł ludu.

Ja wtenczas zacząłem chodzić do szkoły. Nauczycielom było jeszcze dozwolone udzielać lekcji czytania i pisania polskiego. Nauczyciel do którego chodziłem do szkoły powszechnej, tak się ucieszył, że już po polsku czytać umiem, że mi podarował piękną książkę. Niedługo trwało, odwiedził nas mój wujek, który posiadał 34-morgowe gospodarstwo, a nie miał własnych dzieci, więc potrzebował chłopca do paszenia bydła i gęsi, prosił mych rodziców o oddanie mnie w służbę do niego, co oni chętnie uczynili.

Wujek mój i ciocia, byli dobrymi ludźmi, obchodzili się ze mną dosyć dobrze. Jedzenie było dobre i pożywne, i chleba u nich nigdy nie zabrakło. Kupił mi dostateczny przyodziewek, jeden na dzień roboczy i ubranie na niedzielę i święto. Dopóki była zima, szło mi jako tako. Zadawałem bydłu paszę i pomagałem w gospodarstwie. Jednakże, gdy nadeszła wiosna i urosła trawa, wypędziłem 4 sztuki bydła na pastwisko 2-morgowe, dopóki trawa duża, to szło dość dobrze, lecz po dłuższym czasie, bydło wyjadło dużą trawę, to więc-

cej chodziło niż jadło. Gdy pasłem samo bydło, dałem sobie z nim radę, lecz później przygnała mi ciocia 20 gęsi i 4 świnię. Bydło uciekało w tę a gęsi w inną stronę, świnię znów w tamtą stronę, tak, że jako chłopiec 7-mioletni, nieraz nie mogłem dać wszystkiemu rady, i nieraz się popłakałem. Później kupiono mi pieska, którego wyuczyłem tak, że wciąż chodził naokoło i nie dał się rozchodzić, a gdy widział, że krowa lub gęś idzie do zboża robić szkodę, to sam szedł i nawrócił inwentarz, z czasem z mym pieskiem daliśmy sobie radę i wujek był ze mnie zadowolony.

Gospodarstwo mego wuja było w Dąbrowie 12 km. od Poznania. Do szkoły musiałem chodzić do Skórzewa, oddalonego od Dąbrowy o 6 km., latem szło jakoś, lecz zimą, gdy opadły wielkie śniegi, to nieraz znów się popłakałem, bo nóg nie mogłem wyciągnąć, a tu tak daleko, to nie były żarty. Jednakże chociaż mały chłopiec, wytrwałem i spełniałem obowiązki, że byli ze mnie zadowoleni. Nauczyciel w Skórzewie był stary, był także organistą, umiał śpiewać po łacinie i grać na organach. Miał trzy dorosłe córki, które pięknie śpiewały na chórze w kościele, a on przygrywał na organach. Syn jego został księdzem, był dzielnym kaznodziejem i gorącym patriotą. Za obronę polskości skazali go Niemcy na 200 marek kary. Nazywali się Zwikiert. Św. p. matka moja, gdy jeszcze była dziewczyną, służyła u onego nauczyciela, z tego powodu miałem u niego łaskę, był dla mnie bardzo dobry, kazał mi się uczyć ministrantury, i służyłem do mszy świętej. A ponieważ stałego księdza w Skórzewie nie było, tylko w niedzielę i święta księża z Komornik i z Konarzewa przyjeżdżali odprawiać nabożeństwo, więc ja jako ministrant nieraz po nabożeństwie dostałem od owych księży po parę trojaków, za służenie do Mszy św.

Tu w skórzewskim kościele przyjąłem pierwszą komunię św.

U mego wuja służyłem 8 lat. Służyłem mu wiernie i pracowałem rzetelnie. Sieczkę dla bydła i konia rżnąłem sam na starodawnej ładzie. Zboże młóciłem ręcznie cepami, siekłem we żniwa, uprawiałem ziemię. Robiłem mu jak dla siebie, a zapłatę za to miałem nielegalną.

Wujo nie mając dzieci, wspominał i dawał mi nieraz do zrozumienia, że mi zapisze swe gospodarstwo, lecz była to obiecanka, a łudził mnie tylko, aby mnie wyzyskać jak najdłużej. Przez owe 8 lat u wuja moja biblioteka się powiększyła. Gdy pasłem bydło na polu, to zabierałem ze sobą jakąś książkę i z niej na polu czytałem. Byłem już wtedy znacznie światłym człowiekiem. Nie chcąc pracować

całe życie jako robotnik lub parobek, postanowiłem wyjechać do Niemiec za pracą i spróbować, czyby tam nie można było więcej zarobić jak w Polsce, i zarobić wzgl. zaoszczędzić jakiś mająteczek, bo od rodziców, wzgl. wujka niczego się spodziewać nie mogłem. Kupiłem od Chociszewskiego książkę pod tytułem „Polak uczący się po niemiecku”; był to podręcznik bardzo popularny, były w nim bardzo cenne wskazówki, dotyczące się języka niemieckiego, były w nim rozmaite rozmowy, w podróży, u krawca, szewca i t. d. po polsku i po niemiecku. Jak tylko miałem czas wolny, uczyłem się tak pilnie z tej książki, że powoli wszystko co w niej było, umiałem na pamięć.

Uzbrojony w taką naukę, mniemałem, że teraz się będę mógł rozmówić z każdym Niemcem i że śmiało do Niemiec puścić się mogę za szczęściem, bo choćbym więcej takich książek umiał na pamięć, a praktycznie z Niemcami nie obcował, to jeszcze daleko do znajomości języka niemieckiego, lecz już to co umiałem, bardzo mi się w kraju niemieckim przydało.

Wtem dotknął mnie cios srogi. Umarła mi św. p. Matka moja. Ach! Co za strata niepowetowana, nie było na świecie istoty takiej, co by mnie tak kochała i dobrze mi życzyła, jak ona najdroższa mamusia. Zapłakałem i mówiłem daj Boże, aby się brama niebieska otwarła, a ona tam weszła szczęśliwa i dla mnie tam kącik uszykowała. Pożegnałem wujaszka i powędrowałem do Germanji.

Nim do Niemiec wyjechałem, pracowałem jeszcze pół roku w Tarnowie, na dużym majątku rolnym. Widząc jednak jak tamtejszy pan wyzyskiwał biednych ludzi co u niego pracowali, a zdarzało się często, że bił ludzi batem, opuściłem jego posiadłość, pojechałem do Poznania, do mego stryja, który był dorożkarzem. Nazajutrz poszedłem na ulicę Rycerską do firmy Drzęski i Lagner, która się zajmowała wysyłką ludzi na robotę do Niemiec. Podpisałem kontrakt na jeden rok jako robotnik rolny i zaraz tego dnia wyjechałem.

2.

Jechałem przez miasta Berlin, Lipsk, Achen, Koblenz, Borm, Euskirchen, Blankenheim.

Ach! co za uczucie osamotnienia ogarnęło mnie, gdy znalazłem się w kraju niemieckim.

Słyszałem tylko mowę niemiecką i muszę się przyznać, że prawie nic nie rozumiałem co podróżni Niemcy ze sobą rozmawiali.

Firma co mnie z Poznania wysłała, dała mi w rękę na podróż 22 marki i kartę, na której był adres mego pana, do którego jechałem, i najgłówniejsze miasta były na niej wypisane. Przyjechałem do Berlina, musiałem się przesiąść na Dworzec Śląski, przy tej okazji zauważyłem, że stolica Niemiec, to nie byle jakie, ale ogromne i pełne majestatu miasto. Jechałem jeden dzień i jedną noc, aż za wielką rzekę Ren do dalekiej Nadrenji. Kiedy przyjechałem do Blankenheimu, na dworcu już mój pan na mnie czekał. Szliśmy jeszcze całą godzinę drogi piechotą pod wielką górę i las bukowy, a za lasem w dolinie, ukazała się niewielka wieś, zwana Retz pod Blankenheim. Gdy jechałem przez miasta niemieckie, to gadali poprawnym językiem, który cośkolwiek rozumiałem, lecz w wioskach nadreńskich, ludzie gadali poprostu, tak zwaną gwarą (Plattdeutsch).

Języka tego nie słyszałem i go wcale nie rozumiałem, więc nie mogłem z tymi ludźmi się dogadać. Jednakże między nimi byli tacy, co poprawnie po niemiecku umieli mówić, z tymi to mogłem się jako tako porozumieć.

Z początku porozumiewaliśmy się przeważnie jak niemowy na migi. Po dłuższym czasie, uważając pilnie, nauczyłem się już dużo i nie upłynął rok, mówiłem już niezgorzej, i mogłem się z każdym Niemcem rozmówić.

Nadreńcyzy na wsi, to naród dobry, patryotyczny i katolicki. W każdej wsi, choć małej, jest kościół i ksiądz katolicki.

Msza św. była tak samo po łacinie, jak w Polsce. Kazania po niemiecku nie rozumiałem z początku, lecz ksiądz mówił poprawnie po niemiecku, więc po krótkim czasie, rozumiałem już nieźle.

W Nadrenji ziemia znajduje się przeważnie w rękach drobnych i średnich rolników. Zdarzy się, że jakiś folwark napotkasz najwyżej do tysiąca mórg. Ziemię pomiędzy włościan tak sprawiedliwie podzielono, że każdy gospodarz ma kawał dobrej i kawał gorszej ziemi, kawał łąki, także każdy posiada i kilka mórg lasu, także gminne lasy się znajdują, z których każdy mieszkaniec bogatszy czy biedniejszy co rok jednakowo drzewa dostaje na opał; jak drzewo grubsze, to każdy grubsze, a jak gałęzie, to każdy gałęzie jednakie.

Każdy mieszkaniec wiejski posiadał tam jakąś posiadłość rolną, począwszy od 10 mórg do 100 mórg. Ziemia jest piaszczysto - gliniasta i wierzchnia warstwa około 20 cm. gruba, to tak przepętniona średnimi i małymi kamieniami, że tylko pług z ostrym końcem podobny do naszych pojedynczych głęboszy, da jej radę, — odkładania u tego pługa nie przewraca ziemi, tylko rozpycha ziemię. Żadnej

maszyny do siania tam nie mają, siew ręczny rzutem jest tam w użyciu. Tylko 4 gospodarzy, którzy mieli ponad 60 mórg, mieli konie. Reszta 46 gospodarzy posługiwali się przy uprawie roli i innych pracach pociągowych wołami i krowami. Jarzemka do ciągnięcia zakładali krowom i wołom na czołach.

Ponieważ drogi były bite, a rola kamienista, przeto kowale zakładali tym sztukom co ciągnąć musiały z grubej blachy podbicia, w ten sposób, że nie przybijano takowych do kopytków, tylko każde pojedyncze kopytko zawijał w nią i u góry kopyta oba końce podkówki spoił do kupy. Bydle tak zabezpieczone miało w ten sposób nogi, że pomimo zapierania się na twardej kamienistej drodze i gruncie, kopytka u nóg się nie zużywały.

Gospodarze tamtejsi byli bardzo rozsądni, mówili oni, że koń, aby miał siłę do ciągnięcia, musi cały rok zjeść dużo zboża, a wół lub krowa pożywi się na pastwisku lub sianem i ma pomimo to siłę do pracy, a gdy się krowie doda cośkolwiek makuchu i otręb, to mimo zaprzęgu, da jeszcze dużo mleka. Każdy właściciel gruntu może sobie tam na swojej ziemi wydobyć tyle kamieni ile potrzebuje, wystarczy jeżeli odrzuci 20 cm. górną warstwę, a już są kamienie i to nie hyle jakie, lecz płyty 10 cm. grube, które się stangą dadzą podważyć i z łatwością wydobyć. Domy i budynki gospodarcze, a nawet kościoły buduje się tam z tego kamienia, a wszystkie drogi to prawdziwe szosy.

Okolice tamtejsza to duże pagórki, a nawet góry, a między górami są doliny, na których są liczne łąki i pastwiska.

Na górach i pagórkach rosną lasy bukowe i chociaż góry są kamieniste, to jednak pomiędzy niemi znajduje się cośkolwiek ziemi tak, że korzenie drzew w nie się zapuszczają i lasy rosną dobrze. Zboże młóć tam jeszcze cepami lub ręczną maszyną, którą czterech mocnych ludzi w bieg obracają. Sieją pszenicę, żyto, owies i tatarkę. Są tam i nieużytki, na których zawodowi owczarze pasą po 100 i więcej owiec. Byłem tam dwa lata. W przeciągu tego czasu, żaden sąsiad ze sąsiadem się nie pokłócili ani pogniwiali, lecz była święta zgoda i spokój. Lud był wesoły, a zwłaszcza młodzież lubi coś wesołego zaśpiewać. Gdy jaka rodzina miała jakąś uroczystość, na przykład miał kto imieniny, to młodzież z całej wioski wieczorem zjeżdża się do jego domu, popijają sobie wina, pośpiewają, pogwarzają, pograją w karty, lecz broń Boże, by się mieli posprzeczać, lub pobić. Tego u nich niema. Czasem na taką uroczystość zaprosili i mnie, prosząc, abym im jaką polską piosenkę zaśpiewał, więc zaśpiewałem im krakowiaka, lub jaką wesołą piosenkę, których wiele umiałem a i

śpiewać umiałem ślicznie, więc byłem tam bardzo lubiany. Muszę przyznać, że hakatystów tam wówczas nie było. Na nowy rok sprowadził im ich ksiądz kalendarze, które oni rozkupili. Ponieważ wtenczas umiałem już dobrze po niemiecku czytać, więc biorę jednego z nich i czytam i aż się zadziwiłem. Oto połowę tego kalendarza było opisane, jak to Polacy byli pod Moskalą prześladowani za wiarę, a zwłaszcza na Podlasiu, gdzie nawet Moskale kościoły polsko - katolickie zamykali i gwałtem Polaków na wiarę schizmatyczną nawracać chcieli. Więc podziwiali tamtejsi Niemcy - katolicy bohaterstwo prześladowanych Polaków i byli dla Polaków sympatycznie usposobieni.

Byli oni pobożni. Rano, w południe i wieczorem, przed i po jedzeniu, gospodarz i wszyscy domownicy siedząc przy stole, modlili się głośno odmawiając pacierze.

W wielki post to ustały śpiewy i w skupieniu ten czas przepędzali. W zapusty odbywała się co rok licytacja na dziewczęta, młodzieńcy zebrawszy się popisali wszystkie we wsi, jeden z nich rozpoczynał licytację. Wymienił nazwisko i imię najładniejszej dziewczyny, proponując za nią 1 markę, chłopcy podbijali się wzajemnie, a ten co najwyżej podbił, nabywał prawa do niej, w ten sposób wszystkie dziewczęta sprzedano. W dzień św. Piotra i Pawła był wielki kiernasz, wielka zabawa, tylko ten tańczył z dziewczyną, który ją na licytacji kupił, a inny nie miał do niej prawa. Tak młodzieńcy jak i dziewczęta ściśle się tego trzymali.

Dwa lata upłynęły mi w Retz dosyć dobrze. Po upływie tego czasu, zapisano mnie do wojska, do 99 pułku piechoty, stojącego w Pfalzburg w Lotaryngji. Mieszkańcy Retz pożegnali się ze mną serdecznie i życzyli wszystkiego dobrego.

Nastały dla mnie czasy bardzo ciężkie, jako rekrut pruski znośić musiałem niejedną przykrość. Służba była ciężka i żądano bezwzględного posłuszeństwa. A biada temu rekrutowi, któryby okazał najmniejsze nieposłuszeństwo, to był potem obserwowany i za najmniejsze nieposłuszeństwo surowo karany. Jako młodzian 21-letni w pełni sił, mający już wtenczas oświatę dość znaczną w głowie, a przytem fizycznie przy pracy rolniczej zahartowany, dawałem sobie prędzej radę, niż niejeden kolega Niemiec. Przedewszystkiem jako Polak, chodziło mi o to, aby Niemcy nie powiedzieli, że Polak nic nie umie. Robiłem więc wysiłek, aby obowiązki rekruta spełnić tak dobrze, aby nie ucierpiał honor Polaka. Przełożeni z początku nie byli dla mnie sympatycznie usposobieni, lecz z czasem nabrali do mnie zaufania i stali się dla mnie coraz lepsi, a w końcu kazali mi

się w drugim roku służby przenieść do pokoju rzemieślniczego w kompanji, gdzie pracowali szewcy, krawcy, blacharze; mnie oddano w opiekę pierwszemu krawcowi w kompanji, który mnie poduczył szyc na maszynie krawieckiej i sporządzać mundury wojskowe. Przez cały drugi rok, pomagałem krawcom szyc i nie potrzebowałem już teraz robić służby żołnierskiej.

Miałem więc dosyć dobrze, a nawet nieraz sporządziłem jakiemu żołnierzowi ubranie i ubocznie coś zarobiłem.

Dyscyplina pruska żadnej mi krzywdy nie zrobiła, lecz nauczyła sumiennego spełniania obowiązków, co mi się w późniejszym życiu bardzo przydało. A teraz napiszę też coś o kraju Lotaryngji i Alzacji, gdzie miałem zaszczyt, w czasie mej dwuletniej służby wojskowej, po onej cudnej i bogatej ziemi chodzić i podziwiać.

Ach! Bo też ta ziemia jeszcze więcej niż mlekiem i miodem płynąca. Ziemia rodzi tam najprzedniejsze zboża i pierwszorządne pożyteczne rośliny. Żyta tam wiele nie sieją, ale za to wiele pszenicy, która tam rodzi się wybornie. Widziałem wiele tam pola zasadzonego tabaką, której liście były tak bujne, że podziwiać ją musiałem. W niektórych okolicach Alzacji, hoduują dużo chmielu, który pnie się po kilkumetrowych tyczkach w górę i daje dużo produktu do wyrobu piwa. W niektórych okolicach tamtejszego kraju widziałem winnice, prawdziwe arcydzieło przyrody. O bo też ta ziemia tam jakby naumyślnie przez Boga na winnice stworzona. Małe pagórki, ziemia mocna, gliniasta, klimat łagodny sprzyjają tej szlachetnej roślinie. A co za owoc na tej roślinie! Gdy już jest dojrzały, takie śliczne duże winogrona, że oczu od nich oderwać nie można.

W tych dwóch latach nasz pułk manewrował niemal po całej Alzacji i Lotaryngji, gdzie zakwaterowaliśmy, raz w tej a innym razem w innej okolicy. Kwatery u tamtejszych rolników były prze-wyborne. Dobre jedzenie, mięso opiekane, a przy każdym obiedzie była butelka wybornego wina na stole. Chleb pszenny biały jak śnieg dawano nam na śniadanie, lecz takowego nie smarowano, ani nie obkładano kielbasą, jak to było w zwyczaju w innych stronach niemieckich; lecz kawy dobrej ze śmietanką postawiono na stół, każdy nabierką wlewał sobie do szerokiej filiżanki kawy, nakrajał drobno chleba, a włożywszy w kawę jadł ze swej filiżanki łyżką, taki tam jest zwyczaj. Przeważnie ludzie w tamtejszych wioskach mówili po niemiecku, lecz było kilka wiosek, rozrzuconych tu i owdzie, że ludzie starsi po niemiecku nie umieli, tylko po francusku.

Lud był tam zamożny, a szczególnie rolnik miał się tam dobrze. Strony były czysto katolickie. Kazania wygłaszał ksiądz po francusku i niemiecku. Msza św. była tak samo po łacinie, jak u nas, w czasie której po podniesieniu kościelny wyniósł z zakrystji spory koszyczek w kostki pokrajanego białego chleba i jeden drugiemu podając ten koszyczek z chlebem każdy, co był wówczas w kościele, brał jedną kostkę owego chleba i spożył, bo zwyczaj był taki. W kompanji oprócz mnie służył jeszcze jeden Polak, pochodzący od Ostrzeszowa, nie umiał on ani czytać ani pisać. Z tego powodu miał trudności nielada. Pisałem mu wszystkie listy do domu. W drugim roku służby, ofiarowali mi przełożeni 14-dniowy urlop. Do domu było bardzo daleko więc zawiełoby kosztowało. Pojechałem więc do Naderenji do Retz, do tego pana, co u niego pracowałem. Ubiór dostałem na urlop pierwszorzędny, jako wojak pruski wyglądałem wspaniale, tak, że mieszkańcy Retz ledwie mnie poznali. Cieszyli się bardzo, że o nich nie zapomniałem, musiałem każdego kolejno odwiedzić, którzy mnie serdecznie ugościli, i jakiś grosz na drogę dali.

Przeszły więc te dwa tygodnie wesoło i prędko i ani się nie spostrzegłem, że czas było wyjeżdżać. Żał mi było opuszczać te malownicze strony. O, bo też takich więcej nie widziałem. Duże pagórki lesiste, prześliczny śpiew ptaków, tu i owdzie na pagórku ruiny starożytnych zamków. W dolinach strumyki tylko dwa metry szerokie, lecz woda tak gwałtownie w nich płynęła, że zdala łoskot słychać było. Drogi przez wysokie pagórki były niżone, aby jechać można było. Kolej szła przez góry przez wykute tunele.

Resztę czasu służby wojskowej upłynęło mi prędko, po której otrzymałem paszport wojskowy i bardzo dobre świadectwo z odbytej służby. Miałem wolną podróż koleją aż do Poznania. W domu tylko krótki czas bawiłem. Postanowiłem wyciągnąć w inne strony niemieckie, aby wiele pieniędzy zarobić i zaoszczędzić. Pojechałem aż za Hamburg, ku duńskiej granicy do Holsztynu. Niedaleko miasta Barmstätt przyjąłem korzystną pracę u pewnego zamożnego rolnika ze wsi Zangeln, tam pracowałem przez jeden rok, bo na taki czas kontrakt podpisałem. Te strony mi się nie podobały, bo były to strony luterskie.

Przez cały ten rok, ani razu nie byłem na nabożeństwie w kościele. Mój pan namawiał mnie, abym z nimi do luterskiego kościoła chodził, mówiąc, że wiara luterska a katolicka, to jedno i to samo. Odpowiedziałem mu, że kiedy tak, powiedz pan mi, ile wiara luterska ma sakramentów, odpowiedział mi że dwa. Odrzekłem mu

że tak to nie jest jedno i to samo. Bo wiara katolicka ma ich siedem. Od tego czasu więcej mnie nie namawiał.

Tutaj w Szlezwiku i Holsztynie, które to kraje do 1864 r. należały do Danji, kultura rolna była na wysokim poziomie. Rolę uprawiano należycie, robiono komposty, siano, sztuczne nawozy, trzymano dużo dobrych krów, które karmiono prócz paszą objętościową, śrutem zbożowym i okopowemi.

Pomimo, że ziemia była czarna z podglebiem piaszczystem, mokra i niewydrenowana, to sprzęty były dobre, dzięki wielkiej obfitości rowów odpływowych. Mleko po 9 fen. za litr. Gospodarze mieli na swem polu pokłady torfu, gdzie w czasie wolnym torf kopano i ziemia znajdowała się tam w rękach drobnych rolników. Wielkiej własności tam wcale nie było. Kraj był przeważnie rolniczy.

Niektórzy małorolni gospodarze hodowali dużo kur, niektórzy mieli ich 1000 sztuk i więcej i powiadali, że mieli z tego dużo dochodu.

Odżywiano się tutaj dobrze. Gospodarz 60 mórg magdeburskich mający, spożył ze swą rodziną 3 wieprze $3\frac{1}{2}$ -centnarowe w roku, prócz tego wszystek zbytni drób.

Tutaj ludzie nie byli tacy dobrzy i religijni jak w Nadrenji. W niedzielę zamiast iść do kościoła, rano od godziny 7 do 9-tej orano w polu, a po południu i aż późna noc młodzież chodziła tylko na tańce i hulanki.

W sąsiedniej wsi pracowało kilka rodzin polskich, raz ich odwiedziłem, lecz oni pili dużo wódki, więc mi się to nie podobało, wolałem przeczytać jaką polską książkę, i nabierać coraz więcej oświaty, niżeli iść na zabawy i hulanki. Biblioteczka moja była teraz większa, więc mi się nie nudziło.

Ten Polak, co razem zemną służył przy wojsku, miał krewnych w Westfalji, więc on tam po służbie wojskowej pojechał. Pisał mi, żebym rzucił te strony luterskie i do niego przyjechał do Westfalji, a robotę dobrą dostanę. Więc gdy rok służby się skończył, bezzwłocznie pożegnałem te strony, te równiny holsztyńskie i pojechałem tam, gdzie wiele fabryk i kopalni węgla, do Nadrenji, tuż 3 km. od Westfalji do miejscowości Dellwig, powiat Essen.

Przyjechawszy, wynająłem kwaterę u rodziny polskiej, u której był również mój kolega Polak, cośmy razem przez dwa lata w jednej kompanji służyli. Pracował on na kopalni Lewin, 5 minut od naszej stancji odległej, tamże i ja pracę otrzymałem. Podjąłem się

pracować pod ziemią jako ciskacz (śleper). Praca pod ziemią trwała osiem godzin. Niektórzy ludzie straszili mnie, że mnie tam węgiel przywali, lecz mój kolega mówił, że tak źle nie jest, że wypadki się zdarzają, jednakże są tacy, co już 20 lat tam pracują, i nic im się nie stało. Uzbrojony w odwagę, poszedłem do pracy. Każdy robotnik, czy to w kopalni, czy w fabryce, otrzymuje numer (blaszkę z numerem), ja dostałem numer 296, który krótko przed rozpoczęciem pracy otrzymałem od kontrolera markowego, poszedłem do innej ubikacji, gdzie były małe szafki żelazne, wyszukałem szafkę co miała ten sam numer, tamże zdjąłem z siebie ubranie i włożyłem do szafki, a także mydło i ręcznik, szafkę zamknąłem na klucz, ubrawszy się w bardzo lekki ubiór poszedłem wraz z innymi górnikami, spuszczo no mnie na dół w głąb kopalni. Dodaję jeszcze, że dostałem lampę górniczą z moim numerem. Zjechawszy 450 metrów w głąb ziemi, oddałem moją blaszkę z numerem kontrolerowi podziemnemu, a sztygar zaprowadził mnie ciemnym gankiem, którym szliśmy około $\frac{1}{2}$ godziny drogi, tam, gdzie rębacze węgiel dobywali, i kładli na żelazne wózki, zawierające około 8 centn. węgla. Od nich brałem wózek z węglem, zawiozłem go na tak zwany mały dworzec, a wzięwszy jeden próżny wózek przywiozłem go do rębaczy, tak szła robota przez osiem godzin. Pełne odbierałem a próżne wózki po szynach woziłem.

Każdy górnik brał ze sobą butlę blaszaną z czarną kawą i chleba z masłem, obłożonego kiełbasą, który to posiłek spożywali po 4-godzinnej pracy. Obiad spożywali każdy po pracy w domu. Pierwszą 8-godzinną szychę przepracowałem szczęśliwie, która się bardzo długą wydawała. Jako śleper zarabiałem 3 marki za 8-godzinną pracę. Przerobiwszy 25 szych w miesiącu, miałem zarobić 90 marek. Z tego odciągnięto mi za spaloną benzynę w mojej lampce, kasę chorych, składkę inwalidzką, co wszystko w całości uczyniło około 4.50 mk.

W drugim roku dostałem korzystniejszą pracę przy tak zw. bremzie. Był to mocno spadlisty szyb długości około 50 metrów, na czubku którego było przymocowane duże koło, na którym była obwinięta stalowa lina. Przez ten szyb były położone dwie kolejki, po których szły dwa kosze z wózkami, ja wepchnąwszy jeden pełny wóz na kosz, podniosłem cokolwiek dźwignię, koło zaczęło się obracać. Pełny wóz szedł na dół, a próżny wóz przyszedł do mnie do góry, który zepchnąłem z kosza, a na kosz znów pełny, nacisnąłem i znów

spuściłem i t. d. Czasem przywożono mi więcej, czasem mniej wozów, a czasem tylko 10, zależało ile rębacze mi przywozili.

Była to dobra robota i byłem samodzielny. Jednakże była to placówka wymagająca uwagi i dużej odpowiedzialności. Jeżeliby przez nieuwagę dźwignia wysoko została podniesiona, to pełny wóz leciałby z szaloną szybkością nadół i albo by się wykoleił, lub próżny wóz upadł na koło z liną i takowe potrzaskał, co się nieraz zdarzało. Ja cały rok tam byłem czynny i bremza się nie popsula. Zarobiłem przy tej robocie 3,30 mk. na szychcie, więc 30 fenigów więcej, jak inni ciskacze.

Po upływie dwóch lat mówiłem memu przełożonemu sztygarowi, aby mi dał pracę jako rębacz, abym mógł więcej zarobić pieniędzy, lecz on nie miał narazie na moje miejsce innego. Krótco potem musiałem jednego ciskacza wyuczyć obchodzić się z tą bremzą.

Dostałem się za rębacza i przydzielono mnie do dwóch innych starszych rębaczy, których musiałem słuchać, tak długo, aż nie nabrałem wprawy. Przez niejaki czas, byłem jako uczeń rębacki (Lehrchauer), a później dostałem tytuł zawodowego rębacza.

Była to robota ciężka, wymagała nie tylko sił fizycznych, ale i dużej wytrwałości, wielkiej umiejętności w budowaniu drzewem, budowy kolejek i t. d. Praca była akordowa i zarabiałem na sychcie 8-godzinną od 5—6,50 mk. Był to zarobek dobry, pracowałem jako rębacz dwa lata i dużo grosza zaoszczędziłem. Przez pierwsze dwa lata, płaciłem za stancję z pełnem utrzymaniem 28 marek miesięcznie, a drugie dwa lata jako rębacz, z wyborowem utrzymaniem, miesięcznie 45 mk. Przez całe dwa lata nic mi się złego nie stało na kopalni. Jednak były wypadki, że na tej kopalni co i ja pracowałem, czasem się nagle kamień lub duża bryła węgla oberwała i czasem jednego lub dwóch zabiła, albo ciężko przygniotła.

Jednakże niedaleko miasta Bochum na kopalni Karolinenglück 107 górników zabiły wówczas gazy, które się tam zapaliły.

Ach! co za żaloba, co za płacz i lament, gdy 107 trumien naraz spuszczone do grobu. Ach, serce kamienne być musiało, gdyby tam wtenczas nie zapłakało. Więcej jak 100 księży brało udział w tym pogrzebie.

Zywność i przyodziewek były tam cokolwiek droższe, jak w Polsce. Zato komorne było tańsze, a to z tej przyczyny, że każda kopalnia, każda fabryka wybudowały wiele domów dla swych robotników, a i ludzie inni mieli także domy i mieszkania do wynajęcia.

Pomimo że wypłata była tylko raz w miesiącu, to jednak kto pieniędzy potrzebował, to mógł otrzymać zaliczkę. Kto pracował i zarabiał, temu, jeżeli był rzetelny i sumienny, dawano w składzie żywnościowym, przez cały miesiąc towary na książeczkę kontową na kredyt, który to dług w dniu wypłaty za cały miesiąc wypłacali, także piekarze i rzeźnicy kredytowali. A zdarzało się dość często, że młodzi ludzie ożeniwszy się, a nie mając tyle gotówki, mogli dostać całą wyprawę na kredyt dwuletni.

Ja wołałem płacić gotówką, a to dlatego, że niejeden biorąc na wypłatę nie liczył się z groszem i brał bez miary i przez to więcej wydawał jak się należało.

A teraz słów kilka o Polonji nadreńsko - westfalskiej.

Smutno było w tamtejszych stronach, kilkadziesiąt lat przedtem Polacy nie trzymali się kupy, nie mieli ani jednego towarzystwa polskiego. Niemcy wyzyskiwali ich na każdym kroku, że germanizowali się szybko, jednak z biegiem czasu, gdy się większa ilość Polaków tam osiedliła, to na terenie każdej parafji, zakładali Polacy towarzystwa polskie, pod wezwaniem jakiego świętego. Na przykład: Tow. Polsko - katolickie św. Józefa, św. Barbary, św. Stanisława i t. d. Kto był dobrym Polakiem i katolikiem, tego chętnie przyjmowano za członka towarzystwa, co miesiąc były zebrania danego towarzystwa, gdzie były odczyty, przemowy, deklamacje, śpiewy, a wszystko w języku polskim. Każdy członek otrzymał książeczkę statutową, płacił do kasy składkę miesięczną 25 fenigów, którą w tej książeczce kwitowano, co rok wybierano nowy zarząd. Kto kilka miesięcy składki nie zapłacił, co się bardzo rzadko zdarzało, lub gorszące życie prowadził, tego z towarzystwa wykluczano po kilku napomnieniach.

Co rok urządzało towarzystwo uroczystość, na przykład w rocznicę założenia towarzystwa był pochód ze sali posiedzeń do kościoła, gdzie było polskie nabożeństwo, po którym znów pochód na salę. Zwykle zapraszało towarzystwo wszystkie sąsiednie towarzystwa polskie, każde towarzystwo miało własną chorągiew, a były owe chorągwie bardzo piękne i wspaniałe, kosztujące nieraz do 1000 mk.

Otóż zjechało się do nas 10, a nawet więcej polskich towarzystw na taką rocznicę. Muzyka grała zwykle marsza polskiego i postępowała na czele, za nią jedno towarzystwo za drugim, każde z rozwiniętą chorągwią, nieraz Niemcy z podziwem wychodzili z domów i mówili: „Patrzenie, jaka jedność u Polaków!”.



Pochód wkroczył z powrotem na salę, tam prezes każdego biorącego udział w uroczystości towarzystwa wygłosił przemówienie, które było bardzo patryjotyczne i pełne zapału. Młodzieńcy i dziewczę polskie wygłaszały takie patryjotyczne deklamacje, że aż się serca polskie unosiły z radości. Ja sam na takiej uroczystości towarzystwa św. Barbary w Dellwig wygłosiłem deklamację pod tytułem „Jestem polskie dziecko”, z takim patryjotycznym zapałem, że po skończeniu tegoż oklaskom nie było końca, a obecni na sali ręce mi ściskali z radości.

Nieraz małe dziewczątka polskie, co się tam urodziły na obczyźnie, śpiewały na scenie pieśń polską lub deklamowały, takie uroczystości podnosiły ducha polskiego tamtejszych Polaków i dzięki temu pozostali wierni wierze i mowie ojczystej.

Polacy tamtejsi zakładali również towarzystwa śpiewu i urządzali zjazdy śpiewacze, na których brzmiała pieśń polska i radość była bez miary.

Również zakładali towarzystwa gimnastyczne Sokół, do którego młodzieńcy i dziewczęta polskie wstępowały i ćwiczyły się gimnastyki.

Było i wielkie towarzystwo polityczne na całą Rzeszę Niemiecką, które nosiło nazwę „Związek Polaków w Niemczech”, które się rzeczami politycznymi zajmowało. Był i związek zawodowy polski, który bronił Polaków w sprawach zarobkowych.

Polacy byli tam tak zorganizowani, że wybierali własnych starszych knapszaftowych Polaków. Nawet do rady kościelnej Polacy, gdzie mogli, swoich przeprowadzali.

Polacy mieli tam swą własną gazetę „Wiarus Polski”, które to pismo broniło wszystkich spraw, dotyczących Polaków na obczyźnie.

Niemcy - katolicy tamtejsi niebardzo chętnie widzieli Polaków, bo Polacy im zarobek odbierali. Zato pracodawcy chętnie Polaków zatrudniali, bo był to element najzdrowszy i najsilniejszy. Duchowieństwo niemiecko - katolickie, było dla Polaków przychylnie usposobione. Rzadko się zdarzało, że jakiś proboszcz był haka-tystą i z Polakiem zadzierał.

Niektórzy z księży niemiecko - katolickich z Westfalji pojechali do Polski i nauczyli się języka polskiego i wygłaszali dla Polaków kazania po polsku.

Ja przebywając tam dotąd, to jakbym się nowonarodził. Praca trwała tylko 8 godzin, więc miałem wiele wolnego czasu, którego

używałem dla własnego i ogólnego dobra tamtejszej Polonji. Zaraz na wstępie wstąpiłem do polsko - katolickiego Towarzystwa św. Barbary w Dellwig, uczęszczając pilnie na posiedzenia takowego. Gdy były wybory zarządu tegoż towarzystwa, wybrano mnie jednogłośnie sekretarzem, który to urząd piastowałem tak długo, jak długo tam przebywałem, ku zadowoleniu towarzystwa.

Razu pewnego napisałem pierwszą moją korespondencję do „Wiarusa Polskiego”, zachęcając tamtejszą Polonję do posyłania oszczędności do banków polskich w Poznaniu.

Korespondencja była bardzo udatnie napisana i wprawiła w podziw ówczesnych tamtejszych Polaków, którzy powiedzieli, że nie spodziewali się tego. Zachęcony powodzeniem, pisywałem często korespondencję do „Pracy”, wychodzącej wówczas w Poznaniu, której wydawcą był Marcin Bidermann, a redaktorem dr. Kazimierz Rakowski, którzy mnie pokochali, naczelnym korespondentem na obczyźnie mianowali. Za to byłem w wielkim poważaniu i w west-falsko - nadreńskiej Polonji.

3.

Zaoszczędziwszy sobie na obczyźnie z 700 marek, postanowiłem wrócić do Polski. Co też w roku 1901 uczyniłem. Pracowałem jeszcze w Poznaniu kilka miesięcy przy kanalizacji, przestałem i ożeniłem się i osiadłem w Wysogotowie powiat poznański. Żona moja dostała w wianie gospodarstwo 55 mórg magdeburskich obejmujące, którego i ja współwłaścicielem zostałem, na mocy wspólności majątkowej. A więc marzenia moje się spełniły. Od młodości nad tem zabiegałem, aby mieć na własność jakie chociaż skromne gospodarstwo. Starania moje zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. A nie byłoby się to stało, gdyby nie zarobione i zaoszczędzone pieniądze, depozyta złożone w Poznaniu w Banku Parcelacyjnym i Spółce Rolniczej Parcelacyjnej. Tak opatrność Boża memi krokami pokierowała.

Ziemia na mojem gospodarstwie, to w większej połowie lekka piaszczysta, gdy takową z żoną objęliśmy, była zaniedbana i w lichym stanie, uboga w składniki pokarmowe, a niektóre części pola nie widziały wcale nawozu. Z tego powodu pierwsze lata miałem niętgę zbiory. Na gospodarstwie ciążyły długi, w ilości około dziesięć tysięcy marek. W tem niektóre znaczne kwoty wekslowe krótkoterminowe, które trzeba było uregulować.

Ja moje zaoszczędzone pieniądze włożyłem w gospodarstwo, spłaciłem długie wekslowe i inne krótkoterminowe, kupiłem najpotrzebniejsze maszyny i narzędzia rolnicze, których w większej części prawie wcale nie było. Chcąc ziemię jako tako użyźnić, zacząłem stosować nawozy sztuczne, których tu przedtem prawie wcale nie używano. Wysogotowo jest oddalone o 10 km. od Poznania, połowa drogi tam dotąd, to licha droga i piaszczysta. Pomimo to dwa razy jechałem w tygodniu do Poznania po mierzwę, ażeby to pole, które jeszcze mierzwy nie dostało, nawozem zasilić, co mi się częściowo udało. Jednakże po kilku latach tej ciężkiej jazdy, zaprzestałem z miasta gnój wozić, a to z tej przyczyny, że mi się konie nieraz tą ciężką jazdą tak zmarnowały, że mi dwa konie z tego powodu padły.

Nieraz sobie powiedziałem, że najcięższy zawód to rolnictwo. Bowiem gdzie tylko gospodarz nogą stąpnie i oczami spojrzy, a ucha nastawi, to wszystko woła na niego. Ziemia woła: uprawiaj mnie dobrze, każda roślina na polu mówi do niego: daj mi pokarmu, bo jestem głodna, wyrywaj chwasty, bo mnie zaduszą. Inwentarz woła o pożywienie, budynki i narzędzia powiadają, że wymagają reperacji. Szczęśliwy i pełen radości jest rolnik wtedy, gdy to wszystko, co od niego żądają, wykonać może. Takie rzeczy działy się w moim gospodarstwie, po objęciu tegoż. Długiej mozolnej pracy trzeba było, wiele wysiłku, i wiele oświaty zawodowej i wiele lat, zanim wszystko doprowadziłem do porządku, przyszedł czas, że nowy dach dałem na mojej stodole i chlewie, że nowy dom mieszkalny zbudowałem, że każda roślinka na polu i wszystek inwentarz dostały swój pokarm i każdy był zadowolony.

Nawet długie spłaciłem, a gdy mi się to wszystko udało zrobić, czułem się szczęśliwy i zadowolony.

Gdy wybuchła wielka wojna światowa, liczyłem wtenczas 43 lata. Zostałem również na wojnę zaciągnięty, dzieci były jeszcze drobne, najstarszy syn miał wtenczas 13 lat. Małżonka moja dzielna niewiasta i nadzwyczaj pracowita, licząca wtenczas 35 lat życia, nie uległa się, ale śmiało prowadziła gospodarstwo. I przez cztery lata mej nieobecności i trwania wojny, gospodarstwo nie tylko nie ucierpiało, ale się nawet podniosło.

Krótko przed wojną światową sołtys w Wysogotowie złożył swój urząd. Jak na wstępie mego pamiętnika nadmieniałem, pan Zakrzewski - Wysogota od swego przydomka założył wieś i nazwał ją Wysogotowem, w której mieszkam. Otóż pan Zakrzewski

sprowadził osadników do Wysogotowa z Holandji Niemców-lutrow. Otóż jeszcze kilku gospodarzy Niemców w Wysogotowie, to potomkowie tych niegdyś sprowadzonych Niemców. Są to hakatyści. Gdy mnie sołtysiem obrano pisali do komisarza i Landrata protesty, w których się dopominali, żeby taki dzielny Polak, jaki ja byłem, na sołtysa nie został potwierdzony. Zostałem zawezwany do komisarza, który mi dyktując kazał pisać i rachować po niemiecku. Pochwalił mnie, że po niemiecku umiem pisać, lecz mimo to, nie będę zatwierdzony na sołtysa i nalegał na mnie, abym się dobrowolnie zrzekł tego urzędu. Powiedziałem mu, że gmina mnie wybrała, więc co by ona powiedziała, żebym się zrzekł dobrowolnie i że przecież nic złego nie zrobiłem. Komisarz mi odpowiedział, że można być dobrym człowiekiem, i mimo to nie zostać przez Landrata zatwierdzonym.

Przez cały rok nie było nic słyhać, aż naraz dostałem termin do Landrata, tam kazano mi się namyśleć i rzec się dobrowolnie urzędu sołtysa. Odrzuciłem jednak to żądanie, mimo to nie potwierdzono mnie. Takie stosunki istniały na ziemi polskiej pod pruskim zaborem. Polacy odczuwali te szykany, jakgdyby ich kto kłutł szpilkami, mimo to spełniali obowiązek Polaków.

4.

A teraz słów kilka o moich trudach wojennych w czasie trwania wojny światowej. Dnia 23 września 1914 roku zostałem zaciągnięty do drugiego bataljonu poznańskiego 4 kompanji i stałem kwaterą w Poznaniu w przeciągu 8 miesięcy. W tej kompanji była połowa Niemców i połowa Polaków. Dowódcą tej kompanji był hrabia Ignacy Mielżyński z Iwna w Poznańskim. Polak ten był dla ludzi bardzo dobry, jak tylko było możliwe, dawał urlopy, tak, że i ja często mogłem zajrzeć do domu coś pomóc i rozporządzić.

Kompanja ta miała zadanie, że wysyłała na przeciąg 8 dni ludzi na posterunki do pilnowania dworców i mostów kolejowych, do Pobiedziska, Obornik, Owińska, Sławicy i t. d., gdzie staliśmy kwaterą u tamtejszych ludzi. Kwatery mieliśmy dobre. Dopóki byłem w Poznaniu, to byłem jakby w domu, więc wojny nie widziałem.

Dnia 17 maja 1915 r. przydzielono mnie do czwartego bataljonu pospolitego ruszenia, do Lignicy, na Dolny Śląsk. Tutaj pozostawiono mnie cztery miesiące. W Lignicy i najbliższej okolicy staliśmy ró-

wniez na posterunkach kolejowych. W tej kompanji stała także znaczna liczba Polaków.

Lignica, to starożytne miasto i historyczne, niegdyś należało wraz z całym Dolnym Śląskiem do Polski. Gdy miałem czas wolny, zwiedzałem to miasto. Zauważyłem wiele pamiątek polskich. W kościele św. Jana, znajduje się grobowiec Piastów, dawnych książąt śląskich. Również jedna piękna i szeroka ulica nazywa się ulicą Piastów (Piastenstrasse). W środku Lignicy, jest starożytny zamek w którym niegdyś mieszkała św. Jadwiga, księżna śląska, a jedna ulica niedaleko zamku, nazywa się ulicą św. Jadwigi.

Kawałek za miastem jest małe źródło, jest legenda u Ślązaków, że z tego źródła czerpała kiedyś św. Jadwiga wodę do picia. Znajduje się także na pamiątkę starożytna brama. Teraz znajduje się prawie w samym centrum miasta, lecz w dawnych czasach, gdy Lignica była małym miastem, to tylko przez tę bramę do miasta wjeżdżano.

10 km. za Lignicą, jest piękne miasto zwane Wallstadt, w którym znajduje się śliczny i okazały kościół św. Jadwigi. Tam gdzie się dziś to miasto wznosi, rozegrała się w czasach bardzo dawnych, historyczna i wielka bitwa z Tatarami, gdzie poległ syn św. Jadwigi, Henryk i prawie wszyscy rycerze co tam walczyli.

Lecz i Tatarzy mieli już dosyć wojny i opuścili kraj polski. Wprzód jednak zemścili się na Polakach, ucieli poległemu Henrykowi głowę i zatknęli ją na wielkiej żerdzi, a okolicznym ówczesnym Polakom naobrzynali kilka worków uszu i z wielkim tryumfem po swym obozie roznosili.

Dziś w tem mieście, gdzie ta wojna była, jest co rok na pamiątkę wielki kiermasz. Amatorzy przebierają się w starożytne kostjumy tatarskie, tworząc jakby obóz tatarski i obnoszą kilka worków, co ma oznaczać, że w tych workach są uszy Polaków.

Piękna i bogata jest ta dolnośląska kraina, nie widać tam słomianych strzech, ale domy i budynki gospodarcze murowane i kryte czerwoną dachówką.

Gleba tam mocna gliniasta, w dostatecznej wilgotności, rosną tam duże pola ogórków, kapusty, które ładują na wagony i w wielkiej obfitości zakiszają we fabrykach i wywożą we wszystkie strony świata. Bydła tam wcale na polu nie pasą, trzymając w domu, aby mieć dużo obornika. Karmią letnią porą bydło czerwoną koniczyną i trawą, która tam tak szybko odrasta, że kilka razy w roku daje olbrzymie pokosy, a trawa łąkowa przynajmniej trzy do-

bre pokosy daje. Przedewszystkiem dbają tam bardzo o drzewa owocowe. Każda droga, a nawet wąskie ścieżki, gdzie ludzie tylko przechodzą, wysadzone są najszlachetniejszymi drzewami owocowymi. W jesieni widziałem tam dwa kopce z jabłek zimowych, ułożone tak, jak u nas ziemniaki. Stąd owocu bardzo dobrego można się za tanie pieniądze najeść w obfitości.

Jaka szkoda, że ta kraina taka bogata, tak rychło od Polski odpadła. Dziś jest to kraj zupełnie zniemczony i tylko tu i ówdzie polskie nazwisko świadczy, że tu niegdyś była Polska.

Z Lignicy zostałem przesiedlony do innego Baonu Posp. Ruszenia do Strzałkowa. Baon ten był przeznaczony do pilnowania jeńców rosyjskich.

W Strzałkowie był wielki obóz tych jeńców, stąd rozsyłali tych jeńców na wszystkie folwarki w Poznańskim do robót rolnych, gdzie zastępowali tych robotników, co poszli na wojnę.

Ja dostałem dwunastu takich jeńców i posłano mnie z nimi na jeden folwark, dodając mi do pomocy jeszcze jednego żołnierza. Folwark ten nazywał się Głuchowo, oddalony 15 km. od Poznania. Dzierżawca tego folwarku pan Karpiński, był bardzo dobrym, nam dwóm żołnierzom dawał dobre pożywienie, a i jeńców odżywiał dobrze i obficie, za co mu oni szczerze pracowali. Każdemu jeńcowi płacił 30 fenigów dziennie, lecz 30 fenigów dziennie dostawał pan Karpiński z obozu jeńców, tak, że miał robotnika zupełnie darmo, z wyjątkiem jedzenia. Ja, że umiałem po niemiecku dobrze czytać i pisać, mianowali mnie przełożeni z Baonu komendantem placówki Głuchowo, gdzie owi dwunastu jeńców osobne wygodne pomieszczenie mieli, ogrodzone płotem z drutu kolczastego. Gdy któremu jeńcowi podarły się jakie części ubrania lub obuwia, to posyłałem do reperacji, lub zniszczone zamieniali w obozie na nowe i takowe mi przysyłali. Gdy który z jeńców dostał z domu paczkę lub pieniądze, to one przychodziły na moje ręce, a ja im dopiero rozdzielałem. A gdy który z jeńców list pisał, to musieli mi go wręczyć, a ja je razem posyłałem do obozu, tam każde pismo kontrolowali i dopiero do Rosji posyłali. Miałem więc zaszczytne, ale i pełne odpowiedzialności zadanie, żaden jeńiec bez mego pozwolenia nie mógł się oddalić, przy robocie byli przez nas pilnowani. Przyszły Zielone Świątki. W drugie święto po południu była śliczna pogoda. Jeńcy prosili mnie, abym z nimi wyszedł na przechadzkę. Litując się nad nimi, zabrałem wszystkich dwunastu i wyszliśmy do sąsiednich wiosek, za pierwszą wsią nad szosą była oberża, połączona z kramem

z rozmaitemi potrzebnymi rzeczami, prosili mnie, abym wstąpił z nimi, bo chcieli sobie kupić mydła, nici i t. d., potrzebnych rzeczy, więc uczynilem to. Jakoż rzeczywiście kupowali to i owo, usiadłem przy stole, oni zafundowali piwa, co niby zresztą nic złego. Tymczasem przy bufecie niektórzy z nich kupili sobie koniaku i takowy szklankami pili. Ja nie wiedziałem o tem, bo kolor koniaku nie różnił się od piwa. Aż tu jeden z nich przynosi mi również pełną szklankę, prosząc abym pił, ja myśląc że to piwo, zacząłem pić i aż zdumiałem, bo to był koniak. Widząc co się święci, zabrałem się do nich energicznie i natychmiast kazałem im wyjść, co oni, widząc, z szybkością wypili, co było w szklankach i usłuchali i wyszliśmy. Szczęście że tę rzecz zauważyłem, bo byliby się tak popili, żebym im potem rady nie dał. Dałem rozkaz natychmiast iść do domu. Gdyśmy byli w drodze, zauważyłem, że niektórzy z nich dobrze sobie wypili, kilku dostało mdłości, inni zaczęli się kłócić, a dwóch z nich zaczęło się pięściami tak walić, że się porządnie krwią zalali. Niektórzy z nich byli rozsądniejsi i ci rozrywali powaśnionych i jak mogli ich łagodzili, co im się w końcu udało, jednakże niektórzy się z jednej strony drogi na drugą stronę taczali i z ledwością przywlekli się do domu. Pan Karpiński był niezadowolony, że tak pozwoliłem im się upić, lecz nazajutrz wszyscy pracowali jakby nic nie zaszło, więc pan już się nie gniewał, tylko mi mówił, abym im nie pozwolił się upić, bo to naród do kieliszka bardzo skory.

Byłem więc ostrożny i uważałem na nich, aby się więcej takie rzeczy nie stały. Jeńcy francuscy pomagali także na gospodarstwach pracować w roli. Tych nikt nie pilnował, pomimo to żaden Francuz się nie upił.

Jeńcy których pilnowałem, pochodzili z głębokiej Rosji. Z Kazańskiej i Symbirskiej Gubernji.

Powiadali, że u nich pola wcale nie mierzwią, a nawóz pałą, bo ziemia rodzi bez tegoż. Zhoża młóćą w inny sposób, tak że takowe szeroko na podwórzu grubszą warstwą położą i końmi lub wołami tak długo tratuja, dopóki się nie wymłóci. Lubili oni bardzo palić papierosy, więc sprowadziłem takowych większą ilość z fabryki i po cenie taniej sprzedawałem im, byli mi bardzo wdzięczni za to. Aby im się nie dłużyło, pisałem do obozu po rosyjskie książki, których mi dużą paczkę przysłali. Niektórzy umieli czytać, więc byli zadowoleni, że mogli w swym ojczystym języku coś przeczytać.

Gdy wojna coraz to się dłużej przeciągała, Niemcy z pospolitego ruszenia zrobili obronę krajową. A to z tej przyczyny, że mogli

wysłać na front, bo tam zawsze wojaków brakowało. Więc w połowie 1917 roku, przydzielono mnie do pułku zapasowego nr. 6, pierwszej kompanji, do Greifenbergu na Śląsk, niedaleko granicy czeskiej, gdzie były wysokie góry, a jedna z nich Schneekope zwana, to była największa. Na końcu czerwca były wtenczas wielkie upały, a pomimo to na Schneekope było widać biały śnieg. W tym pułku przećwiczono nas nowoczesną bronią i po kilku tygodniach, wysłano na front francuski do miasta Haubourdin, niedaleko miasta Lille, i przydzielono do czwartej kompanji 138 pułku. Krótko przedtem kompanja ta została napadnięta przez angielskich Szkotów i dużo z nich padło, więc do tej kompanji 25 nas tam żołnierzy przybyło i znów czwarta komp. była w komplecie.

Odcinek na którym byłem, nie był tak niebezpieczny, były tylko mniejsze bitwy, jednakże artylerja francuska porozwalala nam nieraz okopy i rowy strzeleckie, że musieliśmy je często naprawiać.

Osiem dni byliśmy w rowach, a osiem dni zlurowala nas inna kompanja, a my poszli na tydzień na spoczynek i tak szło dalej. Poza frontem 15 km. szliśmy zawsze w nocy do Haubourdin. Tutaj mieliśmy małe ćwiczenia, więcej odpoczywali.

Na froncie widziałem niektóre wsie francuskie całe w gruzach. W każdej wiosce był kościół katolicki, więc zamiast niego sterczały ruiny, żołnierze rozwalali budynki do reszty, drzewo z nich nosili do rowów i tam rąbali do gotowania sobie jedzenia. Tu i ówdzie leżała jaka maszyna, lub narzędzia rolnicze, to Niemcy zabierali na kupy i odwozili na kolej, stąd szło wszystko do Niemiec. Zdarzało się, że była tu i ówdzie jaka fabryka, więc młotami rozwalano rozmaite zębate koła żelazne i wszystko choć to była rzecz prywatna, zabierano, ładowano na wagony. Po niektórych wsiach znaku nie było, tylko tu i ówdzie jakiś kot przeleciał, które się jeszcze błękały. Drzewa były przez miotacze min, lub kule armatnie tak poucinane, że tylko słupy, lub kołki zostały. Cztery miesiące byłem tylko na froncie.

Ponieważ w kopalniach węgla brakło górników, więc pisałem do Dellwig, do tej kopalni, gdzie za młodych mych lat pracowałem, aby mnie reklamowała. Wolałem pracować w górnictwie, niż w tamtych utrapionych rowach gnić i być przez robactwo pożerany, bowiem każdy żołnierz na froncie, chociaż co dziesięć dni świeżą bieleznę włożył, pomimo to wszy dostał każdy, wystarczyło położyć się w schronisku fortyfikacyjnem, już go oblażyły, czy to był prosty żołnierz czy oficer, każdy czuł, że go robactwo kluje.

Kopalnia Lewin przyjęła mój wniosek i pewnego dnia, dowódca kompanji kazał mnie przywołać i zapytał, czybym nie chciał być zwolniony i jako górnik pracować, bo kopalnia Lewin w Dellwig mnie reklamowała. Zgodziłem się na to i w tej chwili zostałem zwolniony z rowów i odesłany do Haubourdin, gdzie mi zaraz papiery wygotowano i natychmiast pojechałem do Essen do komendy obwodowej, tam dano poświadczenie zwolnienia pod warunkiem zgłoszenia się do pracy górniczej.

Zgłosiłem się na kwatere do tej samej gosposi co za mych młodych lat na stacji byłem i tam zamieszkałem. Stawiwszy się do pracy jako górnik - rębacz, na pierwszy rzut oka spostrzegłem, że czeka mnie tu zadanie nielada. Gdy za młodych mych lat w połowie roku 1901 opuszczałem pracę górniczą, to gdy węgiel był twardy i trzeba go nabojami wybuchowemi rozsadzić, to trzeba było wywiercić 1 i $\frac{1}{2}$ metrowym świdrem w kilku miejscach dziury i to trzeba było zrobić ręcznie, tak samo i ci co w kamieniu robili dziury dłutami stalowemi ręcznie, co trwało długo i kosztowało dużo mozolnej pracy, a po szesnastu latach zaszyły niezmiernie zmiany, każdy górnik miał mały motorek ręczny, włożył do niego świder i motorek wprowadził w ruch, który sam z taką szybkością świder obracał, że górnik trzymający go, uczuwał jakby jakiego warjata trzymał, a przytem motor robił łoskot, że aż uszy drżały. Jednakże potrzebne dziury wnet mógł zrobić i prędzej węgla nawydobywać. Dla mnie było to nowością i musiałem się dopiero nauczyć obchodzić się z tym motorem, co mi się w krótkim czasie udało. Dawniej konie ciągnęły wózki z węglami, a teraz wózki motorowe ciągnęły trzy razy taką ilość wózków z węglami jak dawniej. Tak, że chociaż pod ziemią, siła motorowa odbiera pracę człowiekowi.

Przeszło rok tutaj pracowałem, aż gdy Niemcy 11. XI. 1918 r. prosili aljantów o zawieszenie broni i z tym dniem wojna się skończyła, to i ja pracę wypowiedziałem.

Przed ukończeniem wojny, nie wolno mi było kopalni opuszczać pod groźbą wysłania mnie na front na wojnę.

Tutaj w tej okolicy, gdzie przemysł i górnictwo było w pełnym rozkwicie i ludzi mieszkano bardzo wiele, w roku 1917 i 1918 przyszedł wielki głód. Władze sprowadzały żywność z Poznańskiego i taką małą porcję chleba, ziemniaków i tłuszczu wydzielały, że ludzie byli wciąż głodni. Dzieci szkolne podczas nauki mdlały i padały na ławy szkolne z głodu. Ludzie za wielkie pieniądze nie mogli dostać żywności, zbierali rozmaite na łąkach i polach rośliny i warzyli z

nich jaką nędzną zupę, to też ludzie wciąż o chlebie i żywności galdali. Jeździli koleją w dalekie strony po żywność, nawet z Westfalji do Strzałkowa nad ówczesną granicę niemiecko - rosyjską, tam udało się im za drogie pieniądze coś mięsa kupić. Narzekanie było wielkie, i każdy — Niemcy czy Polacy czekali zmiłowania bożego. I zlitował się Bóg i nastąpił pokój.

Widziałem jak wojsko niemieckie, konnica, artylerja z pola wojny z Francji uciekali przez Nadrenję do Niemiec. Ludność westfalsko - nadreńska utworzyła sobie Radę Robotników i Żołnierzy, co chodzili po domach, restauracjach, a gdzie były biusty lub obrazy cesarza niemieckiego Wilhelma II zrzucali i rozbijali w drobne kawałki. Tak poddani tego potężnego cesarza, przed którym drżał każdy, teraz wiedząc, że on był sprawcą tej strasznej wojny, a na dobitkę uciekł do Holandji, byli bardzo na niego zagniewani, a najbardziej dlatego, że taki wielki głód znosić musieli. I Polonja westfalsko - nadreńska była pełna radości i zapału, że nareszcie skończyły się te utrapienia, ten głód, ta wojna i ta niedola ówczesna.

Ja pracowałem jeszcze czternaście dni na tej kopalni, po upływie tychże zabierałem się do odjazdu do Polski. Przedtem jeszcze zwiedziłem miasto Essen, gdzie król armat Krupp ma swą ogromnych rozmiarów fabrykę. Znajduje się tam jeszcze stara kuźnia na pamiątkę, gdzie pradziad Kruppów w dawnych czasach był prostym kowalem w Essen, który pierwszą armatę zbudował. W owej starożytnej kuźni jest jeszcze stary warsztat kowalski, przy którym stoją z młotami w rękach dwie wielkie okazałe osoby, przyrodziane w wielkie fartuchy kowalskie, są to Krupp i Kruppowa, bo obydwójce niegdyś kuli na kowadle, wykonywując kowalskie roboty. Osoby te są ulane z brązu.

Potem nareszcie przyjechałem do domu. Pożegnałem tę krainę westfalsko - nadreńską, pełną kominów fabrycznych, w której tylu Polaków pracowało i stamtąd wiele pieniędzy do Polski przywieźli i kupili za te zaoszczędzone grosze niejedną piękną kawałek ziemi oczyszczonej, którą tak bardzo na obczyźnie kochali i za nią tak tęsknili, nareszcie zamieszkali i cieszą się z tego.

5.

Znalazłszy się znów w Polsce, na własnym kawałku polskiej ziemi z radością wielką przy boku dzielnej małżonki i również dobrych i dzielnych dzieci, którzy tak dzielnie w gospodarstwie pra-

cowali, gdy byłem na wojnie, zająłem się znów pracą na roli, już na wolnej ziemi ojczystej.

Gdy przyszły święta Bożego Narodzenia, przybywszy do Poznania widziałem koło Bazaru przy dzisiejszej Al. Marcinkowskiego, zgromadzoną publiczność polską, a u góry na werandzie wielkiego muzyka polskiego Ignacego Paderewskiego, który do Polaków przemówił i wznosił okrzyk: Niech żyje Polska!, co zebrani entuzjastycznie wznosili, z radości wielkiej czapki do góry rzucali i ściskali się wzajemnie.

Ach! co za radość zapanowała na polskiej ziemi, po wypędzeniu z niej Niemców, co za radość i zapal rozpierał serca polskie na widok wolnej ziemi polskiej.

Oddałem się i ja pracy społecznej we wolnej Polsce.

Ówczesny proboszcz w Skórzewie, ks. dr. Stanisław Kozierowski, który obecnie w Winnejgórze, niedaleko miasta Środy jest proboszczem i kanonikiem, założył jak Polska powstała, szereg towarzystw polskich, między innymi kółko rolnicze w Skórzewie. Na zebraniu pierwszym tegoż zostałem wybrany sekretarzem kółka, który to urząd do dnia dzisiejszego piastuję ku zadowoleniu kółka.

Już kilka razy dziękowałem za urząd i prosiłem, aby kółko raz też innego sekretarza sobie wybrało, lecz członkowie ani słuchać nie chcieli i tak długo nalegali, że urząd ten dotąd piastuję.

Obecny ksiądz proboszcz Malski prosił mnie, abym przyjął urząd prezesa Bractwa Wstrzemięźliwości. Wymawiałem się jak mogłem, bo nowy urząd, nowe obowiązki, lecz uległem w końcu, nie chcąc go gniewać i urząd przyjąłem. Gdy było następne zebranie, wygłosiłem wykład własnego utworu pod tytułem: Dlaczego powstały bractwa wstrzemięźliwości w Polsce.

Ks. proboszcz Malski był także obecnym na owym zebraniu i wysłuchał referatu z zajęciem, a w dyskusji zebrani z podziwem się o nim wyrażali. Obecnie opracowałem znów nowy wykład pod tytułem: Co to jest wstrzemięźliwość?, który będzie wygłoszony na następnym zebraniu Bractwa Wstrzemięźliwości.

W gminie Wysogotowo zostałem wybrany do rady szkolnej, a kilka lat później, wybrano mnie skarbnikiem kasy szkolnej w Wysogotowie, który to urząd kilka lat piastowałem ku zadowoleniu gminy. Wybrano mnie również do rady gminnej, w której byłem i zasiadałem aż do roku 1926. Bowiem w tym roku zostałem wybrany na sołtysa gminy Wysogotowo, który to urząd piastowałem do roku 1929, ku zadowoleniu gminy. Raz był obecny na zebraniu gminnym

komisarz obwodowy pan Michalski, tenże zabierając głos, wyraził się o mnie bardzo pochlebnie, powiedział, że jestem dobrym sołtysiem nie tylko w gminie Wysogotowie, lecz również jeden z najlepszych sołtysów w powiecie Poznańskim.

Zostałem także wybrany do reprezentacji parafjalnej w Skórzewie, który to urząd dotychczas piastuję. Brałem także udział w konkursie ogłoszonym we „Włościaninie”, gazecie wychodzącej w Poznaniu, gdzie na 10 zapytań, odpowiedzi dałem najtrafniejsze i zdobyłem pierwszą nagrodę w ilości 100 zł.

W roku 1933 rozpiła konkurs Państwowa Eksploatacja Soli Potasowych, w miesięczniku „Kainit”, wychodzącym w Warszawie, na najlepsze 200 opracowań, dotyczących stosowania kainitu. Opracowanie zrobiłem i zdobyłem premję, jeden wagon kainitu, 10-tonnowy.

Rodzina moja jest, oprócz mnie i żony, dwóch synów i pięć córek. Jeden syn wyuczył się stolarstwa, drugi ukończył kurs popularny rolniczy im. Staszica w Warszawie ze świadectwem bardzo dobrem. Jedna córka wyuczona krawiectwa, druga przeszła z dobrym skutkiem kurs kucharstwa. Gdy były czasy dla rolnictwa korzystne, to płaciłem długi i nowy dom wybudowałem, lecz za lata 1931, 1932 i 1933 mogłem z gospodarstwa odłożyć zaledwie 200 zł.

Przed wojną światową były czasy dla chłopów, rolników i robotników względnie rzemieślników dosyć korzystne. Ci ostatni mieli robotę i zarabiali tyle, że mogli jeszcze jakiś grosz na czarną godzinę odłożyć. Każdy się dobrze odżywił, nikt nie głodował, więc produktów rolniczych tak nadmiaru nie było, bo więcej ich używano. Chłop rolnik sprzedawał produkty rolnicze tanio, ale też wszystko tanio kupił. Jeden pojedynczy centnar węgla płacił 95 fenigów, za funt soli 10 fen., za funt cukru 18 fen., za dobre cygaro 5 fen., za szklanek piwa 10 fen., za litr wódki 60 fen., za litr nafty 20 fen.

Więc każdy rolnik, już od 9 ha. począwszy, posiadał tutaj: młyn, sieczkarkę, młocarkę, do czyszczenia zboża młynek, pługi, kultywator i trzyskbowiec, dołownik. Dlatego była tu kultura rolna na wysokim poziomie. Rolnik miał się dobrze a i kupcy, chociaż na takich dogodnych warunkach towary gospodarzom sprzedawali, pomimo to mieli się także dobrze. Każdy, co był roztropny i zabiegliwy, dorabiał się.

Każdy dobry Polak, patriota, marzył o wolnej Ojczyźnie, przedstawiał sobie jak Polska zmartwychwstanie. Z początku było dobrze, później marka polska spadała, z tego powodu ludzie majątki

potracili, a co gorsza, ludzie stracili zaufanie do władz, bo niejedno całe dziesiątki lat oszczędzał, dał do banków złota i srebra, których to pieniędzy złotych i srebrnych pełne banki było i co się stało, pieniądze w bankach stopniały, ludzie albo kilka groszy, albo wcale nie dostali.

Ach! co za krzywda stała się tym najlepszym synom Ojczyzny, bowiem tylko dobrzy oszczędzali.

Później co kilka tygodni podwyższano taryfę kolejową i pocztową, nałożono na rolników podatki tak ciężkie, że unieść ich nie mogą. Węgiel na Górnym Śląsku mamy własny, mimo to dawniej za jeden centnar żyta dostał rolnik 8 centnara węgla, a dziś za centnar żyta dostanie tylko 3 centnary. Ach! co za krzywda dzieje się rolnikowi. Czemu dawniej równały się ceny przemysłowe z cenami płodów rolnych, a czemu dziś przemysł nie zastosuje tego.

Opisałem pokrótce jaki dobrobyt był przed wojną światową na wsi polskiej. Teraz opiszę jaka niedola jest na wsi teraz i co wpłynęło, że teraz jest tak źle. Przedewszystkiem wpłynęło to, że dziś na wsi są pełne domy bezrobotnych. Nieraz czytać można w gazetach, że tylu jest bezrobotnych w Polsce, jednakże nikt nie liczy tych licznych członków rodziny, w małych gospodarstwach, którzy wyjadają i na przyrodziewek wyciągają ostatek z gospodarstwa, chociaż wielu jest zbytnich i niepotrzebnych. Dawniej ci niepotrzebni wyjechali na robotę do Niemiec, nietylko że nie objadali gospodarstwa, lecz zarobili i zaoszczędzili sobie na obczyźnie jaki majątek, i nie żądali już tego gospodarstwa. Dalej jest źle, że dużo ludzi robotniczych a nawet rzemieślniczych nie mają pracy, głodują, nie mają pieniędzy i dlatego od rolnika nic, albo bardzo mało kupują, przeto rolnik mało grosza za swój produkt dostaje, bo tego produktu jest nadmiar.

Chłop rolnik płacić musi wielkie podatki, które są osiem razy tak wysokie, jak przed wojną. Więc, aby nie być za podatki fantowany, sprzedaje każdy funt masła, każde jajko, sam jałowo się odżywia, ażeby tylko grosz zebrać i podatki zapłacić.

Obecnie mamy w Polsce rząd silny, wszystkie państwa z Polską się dziś liczą, w kraju jest posłuch, więc rząd nasz może dużo dla dobra chłopu zrobić.

Więc ja, co piszę niniejszy „Pamiętnik chłopu”, zanoszę usilną prośbę do naszego rządu, aby swym wpływem to zrobił, aby towary przemysłowe zostały do połowy niższone, a za to jak Polska długa i szeroka, chłopu rządowi serdecznie podziękują.

Jest jedno polskie przysłowie, że od myszy aż do cesarza wszystko żyje z gospodarza. Przysłowie to jest tak trafne, że gdy się obecne stosunki rozpatrzy, to rzeczywiście tak jest. Na giełdzie w Poznaniu jest już od kilku tygodni notowanie za 100 kilogramów żyta 14,75 zł. Potrzebując pieniędzy na kupno węgla na zimę, przywiozłem do Poznania 8 centnarów żyta na sprzedaż, i co się okazuje. Jeden interes zbożowy płacił 6,80 zł. ctr., wszystkie inne, wspólnie się zmówiły, tak, że każdy jednakowo proponował mi po 7,10 zł. za ctr., żyto było pierwszorzędne, więc żądałem 7,35 zł. za ctr., lecz nigdzie mi tej ceny nie chcieli dać.

Notowanie na wieprze pierwszej klasy jest 92 zł. za 100 kg., lecz panowie rzeźnicy płacą na wsi tylko 100 zł. za 150 kg. Wobec tej krzywdy, co małorolny gospodarz ponosi, może nasz rząd się zlituje i wyda ustawę, aby nie było można mniej za produkta rolne płacić, niż notowanie giełdowe.

Gdy wielka burza szaleje na morzu i fale wdzierają się na okręt i grożą mu zatonięciem, to cała obsługa okrętu śpieszy i wszystkich środków używa, aby go ocalić od zatonięcia, bo wie, że gdy okręt zatonie, to i oni zginą. Takim okrętem na burzliwym morzu, to rolnictwo polskie.

Ojczyzna nasza, to kraj piękny i okazały, którego fundamentem mocnym to rolnictwo.

Więc warto rolnictwo ratować, bo gdy owo silne będzie, to cała Polska niewzruszona będzie.

Pamiętnik Nr. 2

Wychodźca za zarobkiem do Niemiec i Stanów Zjednoczonych a w końcu 30-morgowy gospodarz w pow. jarocińskim

I.

Dom i wieś rodzinna

Urodziłem się nad byłą granicą rosyjsko-pruską pod zaborem pruskim. Moją miejscowością rodzinną jest wioska Żerniki, należąca do parafii kretkowskiej, powiatu jarocińskiego w byłej prowincji poznańskiej. Dnia 2 lutego 1872 r. ujrzałem światło dzienne w bielonej chacie włościańskiej. Natura i dalsze losy postawiły mnie wśród sfery ludowej, której trudom i twardej doli mimo zmian i okoliczności do dzisiaj ulegam.

Chcę rozpocząć od czasu, gdy zacząłem rozumieć życie i odkąd moja pamięć sięga, więc streszczę się z przeciągu 56 lat i przypomnę, jak ludzie bliżej mi znani i ja sam od tego czasu żyliśmy. Wioska nasza była wsią posiadającą 1800 mórg magdeburskich ziemi urodzajnej, stanowiącej część równiny nadprośniańskiej, ciągnącej się aż do ujścia rzeki Prosny do Warty. Żerniki tworzyły i tworzą jednostkę administracyjną pod zarządem sołtysa. Gospodarstwo moich rodziców składało się z 18 mórg magdeburskich roli, przylegającej od strony wschodniej do rzeki Prosny. Zamożność moich rodziców była stosunkowo średnia. Nie było u nas biedy, lecz i rozkoszy również nie było. Dzieci w rodzinie było dziesięcioro, sześcioro zmarło młodo, a czworo z nas przeżyło i przeżywa wszystkie okresy życia przeciętnego.

Jako mały chłopiec przed rozpoczęciem szkoły pasalem gęsi. Gdy chodziłem do szkoły, pasalem świnię i bydło. W moich latach pasterskich rozwijała się kontrabanda na Prośnie, stanowiącej pas

graniczny. W roku 1877 przypada największe rozwinięcie kontrabandy z bydłem. Tańsze bydło w Rosji przeprowadzano do Prus. Niektórzy mieszkańcy wiosek nadgranicznych korzystali z niższych cen granicznych. Niemiecka straż graniczna nie mogła sobie poradzić, więc rząd pruski przysłał wojsko, które pilnowało granicy blisko rok. Po przemysłnictwie z bydłem rozwinęło się przemysłnictwo okowity z Prus do Kongresówki. Przy kontrabandzie okowicianej wzrosło ogromnie zapotrzebowanie pęcherzy. Rzeźnicy z najbliższych granicy miasteczek nie mogli wystarczyć tego towaru. Przywożono pęcherze nawet z dalszych miast jak Poznań i inne. Przemysłnicy napełniali wołowe i inne pęcherze okowitą, brali w worki przez ramię na plecy i z przodu, przekradali się przez rzekę do Kongresówki. Zaczęły się tworzyć większe kontrabandy gotowe do krwawej walki z rosyjską wojskową strażą pograniczną. W roku 1886 kontrabanda osiągnęła najwyższą siłę w ilości i zuchwałości. Pasłem bydło z innymi chłopakami na pastwiskach nadrzecznych. Nadeszła kontrabanda złożona z około 20 ludzi i starła się z strażą rosyjską. Posypały się strzały, kule przelatywały w pobliżu nas. Z obawy przed kulami uciekaliśmy wraz z bydłem dolami ku domowi. W wyniku walki zabity jeden żołnierz rosyjski i ranni z obydwu stron. Z powodu tych zajść rząd rosyjski przysłał nowe bataljony wojska i granica została opasana silnym kordonem. Dotąd na rogatce rosyjskiej było pięciu do sześciu żołnierzy, teraz załogi rogatek miały po 50-ciu żołnierzy.

Czasy dla rolnictwa były bardzo ciężkie, plody rolne i inwentarz były bardzo tanie, pieniędzy mało, odżywianie liche. Egzekucje podatkowe zdarzały się bezwzględne, bo poduszki brano na przymusowe przetargi. Gazet w naszej wsi nikt nie czytał, stowarzyszeń, oprócz jednego bractwa kościelnego, którego zadaniem była obsługa pogrzebowa i świecowa kościoła, nie było. Chociaż nie było organizacyj takich jakie dzisiaj są, to jednak ludzie się przyjaźnili i gromadzili i omawiali swoją dolę w gościńcu. Schodzili się starzy i młodzi, raczyli się wódką, żyli w przyjaźni, a czasem przy wódce też pobili się i wyjarali za swe długie włosy i na tem się kończyło. Wielu gospodarzy zmuszały okoliczności do pożyczania pieniędzy. Pieniądze można było dostać, pożyczyć u żydów, bo żydzi najwięcej pieniędzy mieli. Żydowskimi pieniędzmi dorożyć się było trudno, bo panowała lichwa. Pobierali po 12% i więcej. Gospodarze zadłużeni procentów uiścić nie mogli, a sumy już wcale i narażali się na subhastę (likwidację) majątku. Pamiętam sub-

hasty pięciu gospodarstw w mojej wsi. Na szczęście znaleźli się w Poznańskim dzielnicy, przejęci wyższą troską i ideami ludzie, jak ks. Szamarzewski i ks. Wawrzyniak. Własną pracą i staraniem zakładali współdzielcze banki ludowe, które wypożyczały pieniądze po 5%. W roku 1874 w naszym miasteczku Żerkowie został Spółdzielczy Bank Ludowy założony. Początkowo banki ludowe były słabe, mało miały kapitałów, więc niewiele kto mógł z nich korzystać. Rozrosły się dopiero później, było jeszcze źle, lecz mówili ludzie, że zmienia się na lepsze czasy.

Około roku 1880 zaczęło się zmieniać na lepsze. Przyszły dla rolnictwa lata urodzajne i Niemcy rozpoczęli na wielką skalę budować koleje, szosy, kanały, porty wojenne i handlowe, otwierać kopalnie, budować fabryki, fortyfikować miasta. W samym Poznaniu budowali Niemcy aż ośmnaście fortów naraz. Przemysł rolniczy zaczął rozwijać się silnie. Powstawały fabryki cukru, gorzelnie, a później suszarnie ziemniaków. Rzec można, że nastawały złote czasy dla robotników i wogóle poprawa dla wszystkich klas społecznych. Niemcom zabrakło już własnych robotników, więc sprowadzali z krajów sąsiednich, a nawet z Włoch, tak wiele było pracy. Ja sam w roku 1884, mając lat 12 poszedłem do plewienia i gracowania cukrowki. Zarobiłem 1,20 mk. na dzień, za co nauczyciel zaskarżył właściciela majątku, że zatrudnia dzieci szkolne i tenże zapłacił 12 mk. kary i więcej dzieci szkolnych do pracy nie przyjmował.

Uczęszczałem do szkoły ludowej, założonej już około 1830 roku. Rodzice moi i starsza generacja naszej wsi byli już wychowankami szkoły ludowej, więc mogli wzbogacić swój umysł we wszystko, co dawne szkoły w swym zakresie nauki dawały. W czasie mego uczęszczania miała szkoła jedną klasę o czterech oddziałach, jednego nauczyciela i około 200 dzieci. Uczono nas w dwóch językach: polskim i niemieckim. W początku kwietnia odbywały się uroczyste egzaminy dla opuszczających szkołę przy współudziale inspektora, nauczycieli sąsiednich szkół, dziedziczki, rodziców, żandarmów, gości. Dzieci popisywały się z wszystkich przedmiotów nauczonych z śpiewami i deklamacjami niemieckimi i polskimi i odbierały świadectwa. W roku 1886 odbył się egzamin dla mego rocznika. Należałem do zdolniejszych uczniów, po ukończeniu szkoły byłbym chętnie dalej się uczył, lecz warunki mi nie pozwalały. Szkoła ludowa mojej wioski była więc jedyną tego rodzaju otwartą dla mnie instytucją, z której wyniosłem moc dobrego, a dalszą szkołę miało mi dać ży-

cie samo. Zacząłem pracować w domu i zarabiać na przyległym pańskim. Zarabkowałem przy zgrabianiu ściółki i sadzeniu chojny w lecie i sadziłem pręty wikliny nad Prosną, przyczem zarabiałem niewiele.

W tymże czasie byłem świadkiem pomiarów strategicznych, dokonywanych w całym państwie Rzeszy Niemieckiej. Widziałem konnych oficerów niemieckich z aparatami mierniczymi i mapami, jak objeżdżali pola. Zнали język polski, bo gdzie zastali zmianę w postaci łąki żaranej, pytali naszych gospodarzy dla orjentacji, czy tam łąki poprzednio były. Pozostawili po sobie znaki w postaci kamieni i wieńców drewnianych przez lud zwanych szubienic nad kamieniami, które później pogniły i kamienie pozostały same. Pomiar strategiczne odbywały się w latach 1885, 1886 i 1887 według mojej pamięci.

Ojciec mój brał czynny udział w życiu gminy i parafji, więc należał do rady gminnej, dozoru szkolnego i kościelnego. Miewał swoje zdania i zapatrywania na bieżące sprawy, które wygłaszał na posiedzeniach z pewną dozą radykalizmu. Około roku 1887 spaliła się szkoła, przystępowano do budowy nowej. Ojciec miał pewne racje, które dążyły do zmiany terenu pod budowę, więc wszedł w spór. Innym razem był w sporze o budowę nowej plebanji i budynków gospodarskich probostwa. Na starość wycofał się z wszystkich urzędów gminnych i parafjalnych ze zdaniem, że przyjemniej żyć spokojnie.

W roku 1888 nawiedziła nasze okolice wielka powódź, całe wsie a między nimi i Żerniki wyglądały bardzo groźnie, jak w wielkich bieżących morzach. Woda dostawała się do domów i budynków gospodarskich. Do budynków mego ojca nie weszła, lecz była tuż pod progami. Gdzie się spojrzało, wszędzie woda i woda. Miało się wrażenie, że lada moment zatopi i nas. Powodziowcy otrzymali wsparcie ze względu na zniszczenie wiosennych zasiewów i budynków. Ojciec mój dostał 68 marek wsparcia rządowego, po zbadaniu i oszacowaniu komisji. Był to ostatni rok mego pobytu w domu.

II.

Poznań i prowincja Saska

W roku 1888 wracał z Poznania do swej rodziny pod zaborem rosyjskim parobek z wioski sąsiedniej i nocował u moich rodziców. Opowiadał o wielkiem zapotrzebowaniu robotników przy budowie forów i szos w Poznaniu. Umówiłem się, że pojedę razem z nim

do Poznania do pracy. Miałem 16 lat, gdy 18 września 1888 r. opuściłem dom rodzicielski. Z moim towarzyszem dostałem się do odległej blisko 30 km. stacji Falgstat*) pod Nowem Miastem i koleją dojechałem do Poznania. W Poznaniu bruki były wtenczas z samych okrągłaków i stary Poznań różnił się od dzisiejszego, a robotników koło Poznania, jak jakiego wielkiego mrowiska. Pracowałem przy budowie trzeciej i piątej fory i mieszkalem po kwaterach kolegów na trzech ulicach, bo wymagała tego zmiana odległości pracy. Mieszkali robotnicy i po nowowypbudowanych forach, po stajniach, byle jak najbliżej miejsca pracy. Zarabialiśmy od 1,80 mk. do 2,40 mk. W końcu listopada zamrzło i robota się przerwała, a robotnicy porozjeżdżali się do domów.

Miałem szwagra górnikiem w prowincji saskiej, więc pojechałem do niego i 25 listopada byłem na miejscu. Dostałem pracę w kopalni miedzi i niklu i jako młodociany robotnik zarabiałem tylko 1,60 mk. na szychtę. Wyjaśnię co to jest szychta, ponieważ ten wyraz może nie być wszystkim znany. Szychtą w Niemczech nazywa się jednostka czasu, przeznaczona na jednego robotnika na dobę. W górnictwie posiadała doba trzy ośmiogodzinne szychty. Robotnicy pracowali tutaj na trzy zmiany. Każdy górnik był zobowiązany przepracować jedną szychtę, to jest osiem godzin na dobę, jako młodociany pracowałem przy wentylatorze, przy wózkach, psa ciągnąć i t. p. Psa ciągnięcie nazywano w gwarze górniczej ciągnięcie przywiązane do nogi wózka w pozycji leżącej z powodu niskiego i ciasnego ganku w kopalni. Chłopak ciągnący leży na desce i wyćwiczonemi ruchami jednej nogi i ręki odpycha się, a drugą się ciągnie. Była to robota męcząca, wymagająca wprawy. Przy tej pracy mój zarobek był zbyt mały, abym się mógł całkowicie utrzymać. Szwagier na mój słuszny żal powiedział mi tak : „na to jest rada i sposób, ale przez zimę musisz tam przerobić, a na spozimku postaram się, że zarobisz więcej”. Naskutek jego starania, gdy uszedł pewien czas, przyszło do szwagra dwóch górników Polaków. Jeden napisał mi metrykę, w której zrobił mnie o pięć lat starszym i napisał mi poświadczenie od sołtysa, a drugi poprzyklepał pieczętki i papiery były gotowe. Byłem już pełnoletni, więc śmiało, nie gapiąc się, opuściłem pierwszą kopalnię i poszedłem do innej kopalni, dostałem w niej robotę i już jako pełnoletni zarabiałem 2,50 mk. do trzech mk. na szychtę. Ten zarobek wystarczył mi i jeszcze mogłem sobie zaoszczędzić. Choć miałem pieczętkę z Przedborowa, a zwierz-

*) Falkowo, po niemiecku Falkstaedt.

chnik przyjmujący nas w biurze powtarzał z niemiecka Preborowo, (bo tak fałszywe pieczętowały), szło mi jednak dobrze i za nic w świecie nie chciałbym się swej pełnoletności zrzekać. Działo się to w roku 1889 w mieście rodzinnem Lutra Marcina Eisleben.

Eisleben jest miastem górniczem i hutniczem, położonem malowniczo na dwóch wysokich pagórkach, przedzielonych doliną wśród łąk, lasów, jezior i bardzo urodzajnych pól, będących własnością okolicznej szlachty i grafów niemieckich. Okolice Eisleben, to właśnie teren zaopatrzonej przez przyrodę w kopalnię miedzi i niklu, w których pracowałem. Eisleben posiadało 27.000 mieszkańców. Polacy, którzy tu przybyli, pracowali w górnictwie i hutnictwie, poza tem okoliczne dwory zatrudniały sezonowych robotników i robotnice z Polski. Jeden dwór znajdował się w samym mieście i tu na jednej z ulic były domy dla sezonowych robotnic pod opieką dozoruujących włóдарzy. Robotnicy Polacy, przebywający w Eisleben byli pracowici, zręczni, silni, zdrowi i zarabiali tu dobrze. W kopalni były roboty akordowe przy wydobywaniu rudy i przy biciu sztrek i nieakordowe przy naprawach w kopalni. Po przepracowaniu jednej szychty na akord silniejsi szli jeszcze nadrabiać szychty nieakordowe, które były mniej wysiłające przy naprawach w kopalni. Ja sam nieraz w miesiącu przepracowałem aż 40 szycht, choć zobowiązani byliśmy do 24 i 25 szycht. Mogliśmy pracować tyle szycht na ile sił nam starczyło. Do pracy ponadobowiązkowej stawali przeważnie Polacy. Niestety, górnicy Polacy w Eisleben i okolicy mieli swoje zalety i chwalebne przysady, ale mieli też i słabe strony, niektóre nawet nie z własnej winy. Po pierwsze Polacy lubili się stroić, po drugie lubili gościnność, a przytem wódkę i piwo (smakoszami nie byli, osobiste ich odżywianie było proste i skromne), i po trzecie lubili na niemieckie zabawy chodzić i tańczyć. Okazją i przyczyną był tu lud saksoński, uprzejmy, grzeczny, nieubliżający Polakom i gościnny dla Polaków. Zapraszali nas na swoje zabawy, posiedzenia stowarzyszeń, na wesela i chrzciny. Rzecz zrozumiała, że to byłym parobkom dworskim, gospodarskim i synom małorolnych imponowało, bo w wioskach rodzinnych nikt duchowo o nich nie dbał. Chlebodawcy dawni szorstko się z nimi obchodzili, licho kiedy miłe słowo słyszeli, ksiądz proboszcz tyle z nimi mówił, o ile przyszli do spowiedzi, inteligencja z powodu nieokrzesej niesforności łobuzami ich nazywała. Gazet nie czytali, patriotyzmu nikt w nich nie wpajał, o Polsce słuchać nie chcieli, bo w Polsce było im źle, a tu jest im dobrze. Ja z ich zapatrywaniem nie mogłem się pogodzić.

bo ojciec mój czynny powstaniec z roku 1848 i przeżywający powstanie 1863 wpał w mnie patryjotyzm od lat najmłodszych. Po-
zatem ojciec mój obdarzony doskonałą pamięcią, towarzyski i zainteresowany sprawami, które wybiegały poza obręb zajęć codziennych, miał sposobność nabycia nieco wiedzy historycznej i doskonale nieraz interesował słuchaczy barwnymi i uczuciowymi opowiadaniem przeżyć przodków i własnych, odnoszących się do faktów historycznych. Z górników polskich w Saksonji mieliśmy chłopów przystojnych i okazałych chłopów, zawsze gotowych do pracy, do tańca, do wódki i do bitki. Podobali się Niemkom i one starały się o ich względy dla siebie. Rezultat był smutny, bo począwszy od tych, którzy byli cztery lata starsi ode mnie i wzwyż, nieomal wszyscy poženili się z Niemkami nietylko w Saksonji, lecz i w Westfalji, Nadrenji, w całych Niemczech.

Ten popęd do zawierania małżeństw z Niemkami trwał aż do roku 1895. Już od roku 1889 czytani i światlejsi robotnicy zaczęli myśleć i radzić, jakby te szerczące się objawy szkodliwe przerwać. Najskuteczniejszą obronę widzieli w organizowaniu Polaków. Potworzyły się komitety organizatorów. Miałem lat 18 i już byłem w komitecie organizatorów i pracowałem jako organizator do roku 1906. Sztuki organizacyjnej nauczyli się Polacy od Niemców. Skoro Polacy poprzyjeżdżali, zaraz Niemcy zapraszali ich do swych stowarzyszeń, dawali im ze swych bibliotek niemieckie książki do czytania i cieszyli się, że Polacy przy pomocy ich kultury zasymilują się. Tymczasem zdolniejsi i bystrzejsi Polacy zostawali w ich stowarzyszeniach sekretarzami, wiceprezesami, ćwiczyli się w referowaniu, uczyli się, korzystali z ich książek, niejeden Polak o Polsce z niemieckiej książki się uczył i gdy przygotowali się odpowiednio, występowali z niemieckich Vereínów i przystąpili do organizowania polskich stowarzyszeń. Niemcy w swych stowarzyszeniach Polaków lubili, lecz na tworzące się polskie stowarzyszenia z niechęcią patrzyli. Najpierw pozakładaliśmy stowarzyszenia religijne pod różnymi nazwami, jak stow. św. Barbary, stow. św. Kazimierza, stow. św. Wawrzyńca, stow. św. Ignacego i t. p., działające w jednej myśli. Prezesami powybieeraliśmy byłych sekretarzy i wiceprezesów niemieckich stowarzyszeń. Starały się nasze towarzystwa o przysłanie nam częstsze polskich księży do spowiedzi słuchania i o polskich wikariuszów. Gdy księży było dosyć, zaczęliśmy organizować polskie stowarzyszenie „Sokół”, a w końcu zorganizowaliśmy się w stowarzyszenia polityczne, jak św. Józefata, lub dawaliśmy im nazwę

stowarzyszeń górniczych i hutniczych z określeniem miejscowości. Te dwa ostatnie za mego pobytu w Eisleben jeszcze się nie zorganizowały, dopiero później, gdy byłem na innych terenach niemieckich, przy organizowaniu była początkowo bardzo trudna praca, którą jednak wspomogły okoliczności. Pierwszą okolicznością był brak robotników, który powodował łagodne obchodzenie się z robotnikami z byłego zaboru pruskiego, drugą okolicznością było założenie dwóch wydawnictw polskich gazet ludowych. Temi gazetami były „Gazeta Grudziądzka” p. Kulerskiego z Grudziądza i „Wiarus Polski” z Bochum, redagowany kolejno przez ks. Lisa, p. Jana Brejskiego i p. Antoniego Brejskiego. I trzecią okolicznością były wyjątkowe prawa dla Polaków.

Życie i pobyt w Saksoni pozostawiły po sobie najmilsze w mem życiu wspomnienia. Pobyt mój w Saksoni wpływał na mnie kształcąco. Zetknąłem się ze zjawiskami nowymi, nieistniejącymi na wioskach polskich. Samo bezpośrednie zetknięcie się z kopalnią, poznanie rud metali, pracy w łonie ziemi dawały mi nowe pojęcia. Widziałem w rozłamach rudy wydobywanej odciski różnych ryb, których powstanie i wygląd dziwił mnie. Życie towarzyskie i zwyczaje saksońskie również wprowadzały wiele nowego do widnokręgu mej duszy. Widziałem i słyszałem, jak w każdy poranek niedzielny grupa młodych płatnych chłopców specjalnie umundurowanych obchodziła ulice miasta ze śpiewem na ustach. Należałem do stowarzyszeń górniczych, a stowarzyszenia miały swoje uroczyste stroje górnicze, czarne, piękne z czarnymi pióropuszcami u czapek, z dwoma rzędami błyszczących guzików u mundurów z czarną skórą za mundurem, z kilofami, wyglądali okazale, jak wojsko czarne. Hutnicy ubierali się podobnie, mieli czerwone pióropusze u czapek, skórę z przodu i czerwone wypustki u munduru. Na pogrzebie górnika występowali górnicy w swych ubiorach. Na ulicy Breitenweg stał pomnik górnika z kilofem wzniesionym w prawej dłoni, którego górnicy ojcem Lutra żartobliwie nazywali. Luter Marcin posiadał swoją koleją okazały pomnik z brązu na rynku miasta. Tu rokrocznie w dzień św. Marcina wieczorem z pochodniami przy biciu dzwonów z kirsch protestanckich odbywała się w towarzystwie muzyki uroczysta procesja przed pomnik. Każdego roku w pierwszą niedzielę września odbywał się wieniec górniczy. Dostawaliśmy gratisowe znaczki z kopalni, które mogliśmy wymieniać na artykuły służące naszej przyjemności, jak cygary, wino, piwo i t. p. Wszystkie sale taneczne stały w ten dzień dla nas otworem. Tu w salach tanecz-

nych Eisleben uczyli się nasi wiejscy parobcy ogłady i umiarkowania. Dowiedzieli się, że na woskowaną podłogę sali tanecznej potrzebny jest miejski strój, że buty z podkówkami z zabawy wykluczają. Nauczyli się tańczyć pod przewodnictwem mistrza tańca bez tupania, krzyków, dzikich ruchów, za które z koła tańczących, a nawet z sali wydalają. Byli tu Polacy, którzy bardzo pięknie tańczyli, wskazywano ich, jako pierwszych tancerzy. Wrzesień był również miesiącem, w którym każdego roku odbywał się Wiessenmarkt. Wiessenmarkt nazywano w języku niemieckim ósmiodniowe targi na towary zamiejskowe z udziałem kuglarzy, wróżbiarzy, karuzel i z codzienną zabawą. Mielśmy zwykle dwa dni świąt w czasie Wiessenmarktu i chodziliśmy oglądać tę różnorodność uporządkowaną na dużej przestrzeni łąk. Wesoły i w dobrobycie żyjący lud saksoński, zorganizowany w liczne towarzystwa, w każdą niedzielę urządzał pochody z muzyką po ulicach miasta. Świętowali uroczyste święta kościelne. Boże Narodzenie obchodzili pięknie i uroczystie, Wielkanoc najmniej. W pierwsze święto Wielkanocy do południa, prywatnie, aby policja nie spostrzegła, kończyli różne porządki domowe. Gdy razu pewnego wybrałem się jeszcze przed południem z wizytą do jednego kolegi żonatego z kopalni, to bielił izbę i porządkował. Od południa dopiero rozpoczynało się należycie święto. Najweselej i najpiękniej obchodzili Zielone Świąta. Zielone Świąta trwały trzy dni. Wyjeżdżali umajonemi wozami z muzyką, żywnością do lasów, rozkładali się w nich i bawili do końca świąt. Wracali tak pomęczeni, że ledwo oddychali.

Polacy w Saksonji mieli się dobrze. Zarabiali 70 do 100 mk. miesięcznie, gdy nie nadrabiali szycht. Kwatera z całkowitem utrzymaniem i opraniem kosztowała 27 mk. Mieszkalem początkowo na kwaterze u szwagra, później przenieśliem się do établissementu, wybudowanego i utrzymywanego dla samotnych górników. Była to bardzo piękna budowla, dwory polskie nie mają tak ślicznych pałaców i w ładnym parku. Posiadała 40 sypialni dla 400 robotników, ogromną salę jadalną, umywalnię, łaźnię, kępielnię i z różnemi dogodnościami. Każdy lokator miał w sypialni żelazne łóżko, krzesło, szafę do garderoby i jeden duży dla całej sypialni stół. W łózkach mieliśmy materace z całą pościelą. Obsługa była tu całkowita, porządek wzorowy. Bieliznę pościelową z ręcznikami prała obsługa, a bieliznę osobistą za specjalnem wynagrodzeniem. Utrzymanie w établissementie kosztowało 80 f. dziennie. Za cały miesiąc płaciłszy 24 mk. Pożywienie było smaczne, mięso codziennie. Ubrania kosztowały od 18 do 80 mk. Za 80 mk. były najdroższe, lecz już ładne

ubrania można było za 18 mk. nabyć. Ośmiogodzinny dzień pracy dawał górnikom wiele czasu wolnego. To też widziało się górników często na spacerach, a każdej niedzieli na salach tańca. Na spacerach zabierali w kieszenie wewnętrzne na piersiach marynarek buteleczki z cienkimi szyjkami z wódeczką, której litr kosztował 38 f. Gdy spotkał kolega kolegę, to trącali się butelkami i pociągali każdy ze swej butelki wzajemne zdrowie. W niedzielę od południa do poniedziałku rano tańczyli na salach za opłaceniem 25 f. wstępnego i 50 f. za muzykę. Kto chciał, mógł tu zaoszczędzić, lecz dla młodych ludzi zawiele było okazji do przyjemności różnych. Przypominam sobie moich starszych kolegów, pięknych chłopów, którzy pięknie poubierani i urodni wyglądali jak panowie najczystszej inteligencji. Chrzczony były u robotników ładne. Dziecko przodem niosła akuszerka, a za nią postępowało do sześć par ojców i matek chrzestnych, elegancko poubieranych pod ramię ze sobą z ślicznymi bukietami w dłoniach matek chrzestnych. Na ślubach było do 30 par tak samo parami idących z bukietami do kościoła. W mieszkaniu stołowali się biesiadnicy weselni, a tańczyli na wynajętej sali. Na chrzcinach i wesełach mieszała się Niemcy z Polakami.

Byłem raz świadkiem bojówki politycznej w Eisleben, w której brali udział i Polacy, lecz z organizacji niemieckiej. Górnicy tworzyli organizację polityczną Reichstreichów*), popieraną silnie przez zarządy kopalń. Z powodu młodych lat nie należałem do organizacji politycznej. Dyskretnie od starszych kolegów Polaków dowiedziałem się, że przyjeżdżają socjaliści z miasta Halli, celem odbycia zebrania socjalistycznego, i że Reichstreichy mają przeszkodzić socjalistom. Byłem zadowolony, więc z moim dalszym kuzynem udałem się na miejsce popatrzeć zdala. Na ładnej ulicy Graben, poprzez którą obramowany drzewami przepływał strumień, znajdował się hotel Preussischer-Hof, czyli Pruski dwór zwany. Przed hotelem zgromadzili się Reichstreichy w liczbie około pięciuset, a może nawet więcej i czekali na socjalistów. Było socjalistów czterzystu, a pogłoska głosiła, że będzie ich dwustu. Reichstreichy zaatakowali. Socjaliści odpowiedzieli strzałami. Strzelano z obydwu stron. Zostało kilku rannych i socjaliści puciekali. Zwycięskim Reichstreichom zachciało się po rebeljancku wódki, piwa na uczczenie i wynagrodzenie swego zwycięstwa. Pili, nie płacili jak na rebelji. Po bojówce i rebelji socjaliści wytoczyli proces, który trwał trzy lata i który Reichstreichy przegrali. Robotnicy, którzy w bojówce prze-

*) t. j. wiernych państwu (Reich = państwo, treu = wierny).

wodniczyli, dostali paroletnie więzienia. Następstwo epilogu było takie, że wszyscy najzawziętsi i pokarani wrogowie socjalistów poprzehodzili do socjalistów na złość zwierzchności, która do bojóweki z socjalistami ich popchnęła. Zakończenie procesu i dalsze następstwa miały miejsce po moim wyjeździe i dowiedziałem się o nich później.

Tak pracowałem w Eisleben cztery lata, aż pewnej nocy 1891 czy 1892 roku, tego dobrze nie pamiętam, gdy pracowałem przy bormaszynie przy biciu nowej sztreki, dobiliśmy do wielkiego źródła, które miało łączność z dużym jeziorem Salz-See koło Ober-Rebblingen. Woda z tego jeziora wpłynęła do kopalni i zalała ją. Woda zalewała kopalnię, a my pracowaliśmy do ostatniej chwili. Zamykaliśmy żelazne drzwi po głównych korytarzach, wyprowadzili i wysłali wszystkie konie i musieliśmy sami wyjeżdżać, bo bylibyśmy się potopili. W cztery dni później 3000 robotników zostało odprawionych; mnie zostawiono i wysłany zostałem do innej kopalni. Tam pracowałem pół roku i zostałem z innymi wezwany przez zarząd kopalni do próby, czyli egzaminu górniczego. Przy egzaminie trzeba było przedstawić dokumenty urodzenia, a moich z Przedborowa nie chciałem zdradzić, więc wyjechałem z Eisleben w powiecie Mansfeldzkim prowincji saskiej do domu i do tej miejscowości więcej nie powróciłem.

III.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej

Przyjechałem do domu na Wielkanoc 1893 r. Po cztery i półletniej nieobecności w mej rodzinnej wiosce spostrzegłem małe zmiany. Ośm kilometrów od Żernik w Raszewach założył hrabia Michał Czarnecki kółko rolnicze, do którego i z naszej wsi zamożniejsi gospodarze należeli. Uczęszczali na zebrania i zaczęli już zwolna sztuczny nawóz stosować, nabywać maszyny rolnicze; wogóle wszystkim zaczęło się lepiej powodzić.

Byłem już trzy tygodnie w domu, gdy przyszedł do mnie mój cioteczny brat i odezwał się: — wiesz co Walku? Pytam: co takiego? On: jedźmy do Ameryki. Ja — zgoda. Odmeldowałem się u sołtysa, żadnych innych paszportów nie potrzebowałem i pojechaliśmy do Hamburga. W porcie hamburskim stał Ekstra-snell-dampfer Kolumbia, który na trzeci dzień wyjeżdżał do Nowego Jorku. Wykupi-

liśmy Sziffkarty za cenę 150 mk. na osobę i 23 kwietnia 1893 r. przed południem siadaliśmy na parostatki i odpływali do statku Kolumbja. Z brzegu, przy wyjeździe parostatkami, naszego okrętu nie widzieliśmy, więc zdawało nam się, że na parostatkach do Ameryki pojedziemy. Tymczasem zobaczyliśmy na morzu kolosalny okręt. Ogarnęło nas rozrzewnienie, gdy w czasie przesiadania zagrała nam muzyka na okręcie. Wielu pasażerów poprzyjeżdżało w towarzystwie krewnych lub znajomych, ci rzucali się z wzruszeniem sobie w objęcia i żegnali się z sobą. O godzinie 2-ej po południu odpływał nasz okręt do Ameryki. Kolumbja była jednym z czterech najnowszych, najwspanialszych i najdroższych okrętów pasażerskich, kursujących pomiędzy Hamburgiem a Nowym Jorkiem. Mówiono, że koszt budowy każdego z czterech okrętów „Augusty Wiktorii”, „Normanji”, „Bismarcka” i „Kolumbji” wynosił po dwa miliony marek, wypłaconych przez niemieckie towarzystwo morskiej żeglugi warsztatom okrętowym. Powierzchnia zewnętrzna okrętu wyglądała, jak z błękitnej stali ozdobionej złotą girlandą, na tyle okrętu. Jechałem trzecią klasą, której pomieszczenie znajdowało się pod pokładem. Pomieszczenia nasze były przedzielone na trzy główne oddziały przedziałów. Przód okrętu zajmowali nieżonaci; mieli tu swoje sypialnie i jadalnię; środek zajmowały małżeństwa, a tył okrętu panny. Wolno było przejść kawalerom do oddziału małżeństw, lecz nie wolno do oddziału panien. Tak samo pannom niewolno było przychodzić do oddziału nieżonatych. Zato wszyscy spotykali się na pokładzie. Kolumbja miała pokład obszerny; muzyka grała, pasażerowie na pokładzie w czasie podróży tańczyli. Daleko, daleko na morze i ocean towarzyszyły nam morskie mewy. Zaraz wkrótce zaczęła nas męczyć morska choroba. Był ładny słoneczny dzień, kiedy mijaliśmy granicę Morza Północnego z Oceanem Atlantyckim. Z wielkim podziwem patrzyłem, jak regularną była linja graniczna tych dwu mórz. Kolor Oceanu był ciemno - zielony, Morza Północnego jaśniejszy. Spokojna woda nie mieszała się z sobą. Na morzu były widoczne ciemne, dość regularne płyty wody oceanicznej. Widzieliśmy na Oceanie flotę rybacką. Z podziwem patrzyłem jak łodzie rybackie to wypływały na wysokie szczyty bałwanów, to spływały w nizinę, miałem wrażenie, że woda je zaleje. Z łodzi najbliższej okrętu rybak podniósł na łokieć długą i grubą rybę i nam pokazywał. Śruba naszego okrętu, gdy prula wodę bałwanów szła cicho, a gdy fale ją odsłaniały, warczała głośno. Już daleko na Atlantyku mijał się nasz okręt z Normanją, płynącą z Nowego Jorku do Hamburga. Widzie-

liśmy ją z bliska, podobna była do Kolumbji. Wśród Oceanu przeżywalismy burzę. Odczuwalismy ją w silnem kołysaniu okrętu i we wzmożonym świcie kominów wentylacyjnych. Załoga pozamykała górne wejścia, a pootwierała wewnętrzne oddziały. W czasie burzy grała muzyka okrętowa. Podostawalismy pasy korkowe, które miały nas chronić przy możliwem zatonięciu okrętu. W pewnej chwili przebiegł jakiś osobnik i zawołał w kierunku kobiet: — kobiety, bo się topimy — powstała panika, krzyk, lament. Załoga zaczęła uspakajać i poszukiwać sprawcę, którego jednak nie znaleziono. W sypialniach mieściło się po kilku pasażerów razem. W mojej mieścił się dymisjonowany porucznik od kirasjerów w Wrocławiu; w owej krytycznej chwili domniemanego tonięcia okrętu schwycił w jedną dłoń litrową butelkę alkoholu, drugą przytrzymywał się słupa, przechylił i jednym haustem wypił, potem się położył i całą burzę przespał. Po przejściu burzy żałował, że się naraz uraczył; gdyby wiedział, że nie tonie, byłby oszczędniej postępował. Kuzyn mój krótko przed burzą wyszedł do kantyny, spowrotem nie mógł się już do mnie dostać, bo było pozamykane, więc z palaczami całe dwa dni burzy przeczekał. Widzieliśmy i gęste mgły, w czasie których syreny okrętowe wydawały gwizdy, celem zapobieżenia zderzenia się okrętów. Pierwszego maja dojeżdżalismy do Castle-Garden, budowli ufundowanej na morzu przed Nowym Jorkiem. Przed Castle-Garden mijalismy dwa budynki na morzu, pobudowane dla chorych na cholere, przybywających na okrętach. W jednym budynku umieszczano chorych, w drugim palono umarłych. Zdala z morza widzieliśmy statuę Wolności z złotym wieńcem na skroniach. Marynarze poubierali się w białe spodnie, granatowe marynarki, świeże, ładne i pracowali, aż pot lał się z nich. Od Nowego Jorku nadjechały eleganckie parostatki. Z rozbawieniem patrzeliśmy z pokładu, jak dopłynęły do naszego kolosu i zaczęły go popychać i obracać jak szczury niedźwiedzia, celem dobrego wtoczenia w kanał Castle-Garden. Był już wieczór, a wieczorem okręt pasażerów nie ląduje, więc pozostalismy do rana na okręcie. Wysiedliśmy w Castle-Garden, skąd parostatkami popłynęliśmy do Nowego Jorku. Wylądowalismy w Nowym Jorku drugiego maja.

W Nowym Jorku zabawilismy cztery dni. Mieszkał tu znajomy Polak, który spełniał rolę Cicerona, oprowadzając nas po ulicach miasta. Z chaosu wrażeń wybija się jeszcze w mej pamięci piękna i długa ulica św. Wojciecha, posiadająca składy wspaniałych dewocjonalij od końca do końca. Przypominam sobie i drapacze chmur,

których szczyty chcąc zobaczyć, trzeba by się położyć na bruk i dopiero patrzeć. Z Nowego Jorku udaliśmy się z kuzynem koleją do miasta Skranton w Pensylwanji. Pensylwanja, to stan górzysto-skalisty, górniczy i przemysłowy. W Skranton dostaliśmy pracę w fabryce żelaza w dziale wylewania roztopionego żelaza z wysokich piecy, czyli na gishali. Była to robota nietylko bardzo ciężka, lecz i w wysokiej temperaturze gorąca z rozżarzonych piecy i skwarów nieba upalnego lata. W tem piekle upalnego gorąca wysilaliśmy się nad stopionem żelazem, łamaliśmy je młotami. Trochę ulgi dawała nam pobliska rzeka o kamienistym dnie i pięćmetrowym wodospadzie, przy której szukaliśmy trochę ochłody. Pracowaliśmy po 12 godzin dziennie, a co drugą niedzielę 24 godziny, bo w ten sposób tylko regulowała się praca. Była jedna niedziela wolna i zarazem zmiana pracy nocnej na dzienną w następującym tygodniu i odwrotnie. Zarobek dzienny wynosił 1 dolar 40 centów, co na niemieckie pieniądze uczyniło 6 marek. W Niemczech za taką pracę płacili osiem marek. W tej fabryce przepracowaliśmy trzy miesiące, bo po trzech miesiącach piece wygasili i z dwóch powodów fabrykę zamkli a nas odprawili. Pierwszy powód: właściciel fabryki pan Mafert nakupił dużo surowego żelaza tanio w Anglii i nie zdążył tego żelaza przewieźć, a w tym czasie rząd amerykański nałożył wielkie cło, skutkiem czego pan Mafert zbankrutował i zastrzelił się. Żalowali go i oplakiwali robotnicy, bo pan Mafert miał być dobrym dla robotników panem. Drugim powodem był nowowybrany prezydent. W Ameryce wszyscy obywatele głosują przy wyborach. Panuje tu silna agitacja, w której dużo zużywa się alkoholu. Agitatorzy krzyczą, przekonują, biją się, walczą z sobą. Zdarza się, że syn jest agitatorek jednego, a ojciec drugiego stronnictwa, a oboje pieniądze dostają. Są tu dwa stronnictwa: demokratów skupiających stan proletarjacki i republikanów łączących wielki przemysł. Został wybrany prezydentem Kleveland demokratą. Gdy demokratą zostanie prezydentem, to republikanie warują. Zamykają fabryki, kopalnie, to znowu otwierają i takie skoki wyprawiają, aby demokratom dokuczyć. Mówiono za mego pobytu, że Skranton liczy sześćdziesiąt siedem tysięcy mieszkańców, lecz mnie wydawało się, że jest to miasto większe. Było tu wielu Polaków z wszystkich zaborów. Polacy zorganizowali się w kilka narodowych stowarzyszeń. Należałem do stowarzyszenia „Kościeszko” w umundurowaniu narodowem. Stowarzyszenie „Pułaski” posiadało tak samo mundury narodowe nieco odmienne. Na polskim zjeździe w Skranton przy po-

święcaniu nowego kościoła polskiego poprzyjeżdżały stowarzyszenia z innych miast w umundurowaniach narodowych. Przyjechało stowarzyszenie „Wojsko królowej Jadwigi” w czerwonych mundurach, stowarzyszenie „Rycerze maltańscy” w białych płaszczach z czerwonymi krzyżami i inne.

Z mego pierwszego pobytu w Skranton pamiętam pewien epizod. W pewnym osobistym interesie miałem wyjeżdżać do Preiszwilu, nie wiedziałem o której godzinie kolej wyjeżdża w tym kierunku. Pouczyli mnie koledzy w jaki sposób mam się pytać i nauczyli mnie rozumieć angielskie nazwy godzin. Przychodzę, pytam się robotnika kolejowego w angielskim języku o której pociąg odjeżdża, odpowiada mi — I cannot tell you. Pytam się drugi raz — I cannot tell you — odpowiada z niecierpliwością. Pytam trzeci raz, zaczął mi wymyślać po angielsku. Dowiedziałem się od innego. Wróciłem i pytam się kolegów, co znaczą owe niezrozumiałe słowa—I cannot tell you. Wy tłumaczyli mi, że znaczy to—nie wiem. Powstało rozbawienie, że nauczyli mnie godzin, a nie przewidzieli przypadku, że zapytany może odpowiedzieć — nie wiem. Naraziłem się z tego powodu mimowoli na przykrość.

Rzuciliśmy z kuzynem, spowodu zamknięcia fabryki, Pensylwanię i pojechaliśmy do Chicago w stanie Illinois. Tu zwiedziliśmy wszechświatową wystawę, lecz roboty nie mogliśmy dostać. Oszolomieni niezmierną ilością wrażeń z wystawy, postanowiliśmy wracać do Pensylwanji. Wśród mnóstwa wrażeń przypomina mi się przywieziony w specjalnym wagonie ogromny żółw, wydobyty gdzieś z błot nowojorskich. Słyszeliśmy jak wracający Yankesi wołali po angielsku „słodki dom”, „słodki dom”, (sweet home), tak byli przeładowani i znużeni wrażeniami wystawy, na której dłuższy czas przebywali.

Powróciliśmy do Pensylwanji i osiedlili się w Preiszwilu, osadzie górniczej, zamieszkałej przez Polaków, odległej o kilka mil od Skranton. Tu dostałem pracę w jednej z pobliskich kopalń węgla. Kuzyn mój uprzykrzył sobie Amerykę, więc wyjechał do Nowego Jorku, tu wsiadł na okręt Normanję, która w tej podróży w czasie burzy połamała sobie maszty, i powrócił do domu. Muszę zaznaczyć, że kuzyn mój zabrał przed wyjazdem z domu 1000 mk. ze sobą, a ja 500 mk., więc bez pieniędzy nie byliśmy. Początkowo w mojej kopalni robota była regularna, później zaczęła się psuć. Pracowaliśmy cztery dni w tygodniu, potem trzy, dwa dni, jeden dzień i były tygodnie, że wcale nie pracowaliśmy i przekonałem się, że tu

i w kopalni była niższa płaca, jak w Niemczech. Przekonałem się, że amerykańska Polonja jest doskonale zorganizowana i czynna. W Preiszwilu było parafjalne stowarzyszenie polityczne z młodym księdzem Iwasińskim na czele. Miały się odbyć wybory burmistrza, a że Polonja była liczna, więc chcieliśmy mieć na tym urzędzie Polaka. Wybierać mogą tylko obywatele amerykańscy, a wielu z nas obywatelstwa nie miało. Zostało zwołane zebranie i omówiona sprawa obywatelstwa. Zgłosiło się nas czterdziestu kandydatów na obywateli. Obywatel Smarowski przygotował nas do egzaminu obywatelskiego, nauczył co i jak mamy odpowiadać i pojechał z nami na sąd do Skranton. Znaleźliśmy się na wielkiej sali sądowej, postępując długim szeregiem jeden za drugim z woźnym przy lasce na czele w daleką głębię sali, gdzie siedziało dwóch łagodnych, z długimi siwymi brodami staruszków, sędziów i młodszy sekretarz. Przed tymi sędziami zatrzymał się woźny, uklonił przed sędziami i odsłonił nas, a my ustawiliśmy się w regularną grupę. Rozpoczął się egzamin, odpowiadał każdy skolei na zadawane przez sekretarza pytania, dotyczące naszego przyjazdu, urodzenia i pochodzenia. Sędziowie powstali i nastąpiła uroczysta przysięga, której rotę czytał sekretarz, a cała nasza grupa razem powtarzała. Na stole leżały gotowe już dla nas papiery całkowitego obywatelstwa ze złotymi pieczęciami. Wywoływał nas sekretarz kolejno i doręczył każdemu jego dokument. Jeden tylko mój przyjaciel, zapatrzony w oryginalnie wyglądających sędziów, pogapił się w czasie egzaminu i jego dokument sekretarz przedarł. Były w Ameryce i papiery półobywatelskie z czerwonymi pieczęciami, na podstawie których można było wybierać do samorządów, lecz my otrzymali papiery pełnoobywatelskie, że mogliśmy wybierać samego prezydenta. Ja sam dostałem je parę lat wcześniej, lecz wymagał tego polski interes. Obdarowani dzięki staraniom obywatela * * * obywatelstwem powróciliśmy do Preiszwilu i po dwóch tygodniach wybraliśmy Polaka burmistrzem. Podobała mi się bardzo taka dbałość i zapobiegliwość polska.

Mieszkalem w domu z ogrodem, więc miałem przyjemność przypatrzeć się przylatującym do ogrodu amerykańskim kolibrom. Śliczne te lilipucie ptaszki o barwnem upierzeniu bawiły się czupurnie w fasoli rosnącej w ogrodzie i nadzwyczaj przyjemnie uweselały wzrok mój, gdy je z rozkoszą obserwowałem.

Oswoiłem się z językiem angielskim, więc porzuciłem pracę w kopalni, która prawie, że do niczego nie prowadziła, bo nie można było nic zaoszczędzić i udałem się na wycieczkę po dalszych okoli-

licach, bo chciałem zetknąć się z życiem amerykańskiej wsi i puszczy. Było to w okresie bezrobocia; robotnicy z przemysłu i górnictwa udawali się na kolonje farmerskie i wyszukiwali sezonowe prace przy kopaniu kartofli, przy zbieraniu kamieni z wszelkimi trudami towarzyszącymi krótkotrwałej pracy. Jeździłem koleją, chodziłem pieszo, zwiedzałem miasta, farmy i lasy dziewicze. Pracowałem krótko przy kartoflach, przy zbieraniu kamieni i w towarzystwie przygodnych kolegów zagłębiałem się w lasy dziewicze. Fauna i flora lasów amerykańskich różniła się w swych odmianach od pospolitych europejskich. Oglądałem gąszcze, polany, jeziora leśne, pagórki, wykroty, węże i wszystkie lasy właściwości. Gdy to wszystko widział, przyszedłem do przekonania, że Europa jest ogrodem, a Ameryka polem, myślałem ile to ludzie w Europie pracy podjąć musieli, zanim Europę do tego stanu doprowadzili i myślałem dalej, gdyby nie ten moloch wojenny, który Europę gniecie i toczy, to w Europie nie byłiby milionerzy, a miliardery. Wyczerpałem się z pieniędzy, choć bym z głodu umarł nie żebrałbym, bo sumienie mi nie pozwalało. Iść spowrotem od farmy do farmy i pracować nie mogłem, bo i tu sezon pracy się skończył, a włóczęgów przyjmują na odległych farmach z rewolwerami. Szukałem dworca i doszedłem do osady farmerskiej. Właśnie wyjeżdżał farmer, więc spytałem daleko do dworca. On powiada, że 40 km. i że tam jedzie. Proszę go, aby mnie zabrał. Wziął mnie na wóz i zaczęliśmy rozmowę. Był Niemcem, a że mówiłem po niemiecku prawie jak po polsku, myślał, że jestem Niemcem i okazywał mi dużo życzliwości, po drodze opowiadał mi o sobie, ja o moich przygodach, częstował mnie chlebem i mięsem, które miał przy sobie. Powiedziałem mu, że spowodu wyczerpania pieniędzy i braku zarobku będę chciał jechać do Skrantonu koleją na gapę. On gwałtem wcisnął mi dolara i powiedział, że poleci mnie znajomemu urzędnikowi kolejowemu polskiego pochodzenia, którego rodzice pochodzili z prowincji poznańskiej, dobremu człowiekowi, to się dostanę do Skrantonu. Stało się jak powiedział. Polecił mnie urzędnikowi i pożegnaliśmy się jak najlepsi znajomi. Urzędnik myślał, że jestem Niemcem, więc zdziwił się, gdy zagadnął go po polsku. Czyś pan Polak — mówi. — Tak — odpowiadam i wymieniam swoją okolicę. Moi rodzice też z tej okolicy pochodzili — powiedział. Ugościł mnie, dał mi rady i wskazówki i gdy wieczorem nadjechał pociąg towarowy, usadowił mnie w krytym wozie i porozumiał się z hamulczym. Rano niezauważony przez nikogo wysiadłem w Skranton. Poszedłem do znajomych i dowiedzia-

łem się, że fabryka, w której poprzednio pracowałem, została otwarta, więc zgłosiłem się do pracy i zostałem przyjęty.

Polacy robotnicy zarabiali w fabrykach za moich czasów od 1 dolara 10 centów do 1 dolara 40 centów, co wynosiło od 27 dolarów do 42 dolarów miesięcznie. Wykwalifikowani robotnicy z dobrą znajomością języka angielskiego zarabiali do dwóch dolarów dziennie. Przy akordowej pracy w kopalniach rozmaicie, lecz przeciętnie to samo co w fabrykach. A wszystkie opowiadania o zarobkach wynoszących trzy dolary dziennie były nieprawdą. Robota była cięższa i mniej dogodna, jak w Niemczech. Brakowało również tej opieki rządowej, jaką udzielały robotnikom Niemcy. Ubezpieczeń przymusowych nie było, istniały tylko prywatne. Podatek płacił kto chciał, lecz kto płacił korzystał z miejskich świadczeń szpitalnych. Robotnicy nieżonaci utrzymywali się na kwaterach u robotników żonatych. Utrzymanie na kwaterze kosztowało od 12 do 18 dolarów miesięcznie. Robotnicy kupowali produkty żywnościowe, a gospodyni kwatery gotowała i przyrządzała. Kupowało się mięso z dzikich bawołów, które było tanie. Istniało tu Towarzystwo budowlane, do którego też się zapisałem. Kto chciał zrobić się własnego domu, zapisywał się do Towarzystwa i wpłacał udziały. Gdy miał już połowę wpłaconą, dostawał plac pod budowę i na ogródek i Towarzystwo budowało mu dom. Drugą połowę wypłacali robotnicy ratami. Były to domy drewniane o kuchni i trzech pokojach. Kosztowały wraz z placem 500 dolarów. Domki były zzewnątrz heblowane pod dranicami lub łupkiem, malowane na kremowo, siwo, zielonawo. Spotykało się domki i czerwono malowane, były to domki Włochów. Co sobotę były urządzone pikniki, na których tańczono i bawiono się do 12-tej godziny w nocy. W niedzielę zabaw nie urządzano. W niedzielę robotnicy wychodzili, lub wyjeżdżali na spacer. Robotnik wynajął sobie u ekspedytora za dolara konia z wozem na dwie osoby i wyjeżdżał sobie na dalszy spacer poza miasto. Szynki były w niedzielę pozamykane. Znajdowali się jednak tacy, którzy od podwórza wchodzili do tych lokali i zapijali. Wódka tu była jednak droga, po dziesięć centów za kieliszek.

Pewnego razu w towarzystwie mego kolegi Nadreńczyka przeszliśmy naszą rzeczkę, płynącą w jakby wykutym w skale gładkim wąwozie i udaliśmy się do odległej dzielnicy bogaczy. Podobały nam się ich wille w pięknych i obszernych ogrodach; widzieliśmy ich czytających gazety w głębi ogrodów na balkonach will. Mój kolega zauważył wesoło: gdybym miał pieniądze i place wolne między

ogrodami i willami tutejszemi, pobudowałbym małe domki i osadził w nich Włochów. Widziałbyś jaki zrobiłbym interes, bo ci bogacze niezniesliby sąsiedztwa biednych, niepożądanych Włochów i płaciliby mi za te domki i place wygórowane ceny.

W jedną wiosenną niedzielę wybrałem się na przechadzkę po Skrantonie i znalazłem się na jednej z najładniejszych ulic. Ulica ta posiadała dużo kościółków drewnianych w ogródkach z werandami i drzwiami od ulicy pootwieranemi nazewnątrz. Wstępowałem od jednego do drugiego kościółka i z wewnętrzną rozkoszą widziałem, jak pastorzy, księża i duchowni różnych sekt nauczali dzieci siedzące w ławkach w kościółku. Wrażenie było przemile; zdawało się, że to prawdziwe boże ogródki, w których dzieci kwiatami, a duchowni ogrodnikami łagodnie pielęgnującemi zdrowie moralne młodziutkiej roślinności.

Była w Skranton polska parafia z proboszczem Austem, Polakiem z Warmji, i z wikariuszem ks. Hodurem, późniejszym twórcą kościoła narodowego hodurowców. Widywałem osobiście obydwu księży, bo chodziłem do kościoła, w którym pracowali. Proboszcz Aust dostępny dla wszystkich, refleksyjny, stale posądzany przez parafjan o nienasycone pożądanie pieniędzy pod pretekstem kosztów nowowypbudowanego za jego staraniem kościoła i kupionego cmentarza i o skąpstwo względem wikariusza Hodura. Wikariusz Hodur dzielny kaznodzieja potrafił zjednać sobie wielu parafjan. Przypominam sobie zjazd polski w Skranton z udziałem księży miejscowych i ks. Iwasińskiego z Preiszwilu. Pewien polski robotnik spostrzegł ks. Iwasińskiego i pomylił się co do jego osoby. Fizjognomja ks. Iwasińskiego była uderzająco podobna do znajomego mu kolegi robotnika. W pierwszym pędzie zbliżył się do księdza i zawołał: — jak się masz Albert! Ks. Iwasińskiego zaszyły incydent zirytował silnie. Ks. Aust ujął się za robotnikiem i starał się wytłumaczyć ks. Iwasińskiemu, że to naturalny wypadek, bo każdy pomylić się może, że nie powinien się gniewać i ks. Iwasińskiego ułagodził. Po moim wyjeździe dopiero doszło do ekscesów parafjalnych na tle nieporozumień między proboszczem Austem i wikariuszem Hodurem. Parafjanie ujmowali się za wikariuszem, który potrafił wyrzekaniami na proboszcza ich sobie zjednać i wywołali gwałtowne ekscesy na probostwie i w kościele, skąd doszło do procesu i dalszych rezultatów, opowiadanych mi przez naocznych świadków dopiero w Niemczech. Mieszkając w Ameryce słyszałem, jak niektórzy Polacy wybierali się do ryja. Pojadę do ryja, bo lepsza tam praca i do-

robię się prędej. Myślę, gdzie ten ryj, do którego chcą jechać i dowiedziałem się, że to jest Rio de Janeiro, stołeczne miasto Brazylii.

Sympatję odczuwaliśmy do murzynów amerykańskich, których tutaj się spotykało. Uważaliśmy murzynów za prostszych i usługowiejszych od Yankesów. W rozmowach naszych na temat informowania się na ulicy, słyszałem zdania, że na ulicy o informację lepiej zwracać się do murzynów, jak Yankesów. Yankes na zapytania mało będzie uważał, lub niedbale odpowie, a murzyn poinformuje szczerze i dokładnie. Znani nam tu byli Chińczycy jako najlepiej wykonujący pranie. Żadna kobieta nie wyprała ładniej i dokładniej od Chińczyka. W Ameryce zetknąłem się poraz pierwszy z Irlandczykami, których tutaj nazywają Ajryszami. Ajrysze mieszkali w skupieniu, a wśród wszystkich wyróżniali się inną proporcją budowy, zwłaszcza krótszą budową nóg.

Oszczędzałem i pracowałem w fabryce pół roku, bo znowu ją zamkli. Miałem już na podróż do Europy pieniędzy dosyć, pożyczyłem nawet polskiemu kupcowi 20 dolarów, których z powodu ciężkich warunków materialnych tej rodziny już więcej nie dostałem. Po zamknięciu fabryki wykupiłem kartę okrętową za 42 marki na niemieckie pieniądze, bo dwie trzecie zapłacił za mnie rząd amerykański, który wyjeżdżających do Europy w ten sposób wspierał. Wsiadłem na pośpieszny parowiec pasażerski „Alert” i płynęliśmy do portu bremeńskiego. „Alert” był białym okrętem o mniejszym pokładzie, a większej wewnętrznej pojemności od Kolumbji. Wylądowałem na początku września 1895 r. w Lehe przy zatoce bremeńskiej. Po krótkim namyśle przyjąłem pracę na tejże „Alercie” za robotnika w węglarni przy palaczach, odbyliśmy jeszcze trzy podróże i na Boże Narodzenie odjechałem do mych rodziców.

IV.

W domu, Westfalji i Nadrenji

Na gwiazdkę roku 1895 przyjechałem do domu i zastałem poraz pierwszy „Gazetę Grudziądzką”. We wszystkich znajomych mi domach we wsi, do których udawałem się z wizytami, zastawałem „Gazetę Grudziądzką”. Sąsiad mego ojca, który czytać nie umiał, abonował „Gazetę Grudziądzką”, a dzieci jego musiały mu ją czytać, a on słuchał. Pytałem ojca jak to się to stało, że wszyscy „Ga-

zetę" mają, dowiedziałem się, że rzecz miała się tak: w roku 1894 pan Wiktor Kulerski począł wydawać „Gazetę Grudziądzką” i wysłał swoich agentów, którzy szli od wsi do wsi, od chaty do chaty i zapisywali ludziom gazetę. Że „Gazeta Grudziądzka” pisała patryjotycznie i wykazywała dobitnie krzywdy, jakie Prusacy Polakom wyządzali, więc stała się popularną i miała powodzenie.

Pewnego wieczora poszedłem do karczmy, czyli gościńca, pewny, że jak zwykle, zastanę wiele osób, lecz rozglądam się, patrzę — nikogo niema. Pytam się karczmarza, czyli gościnnego: — dziś tu nikogo niema? — Nie, teraz chłopci nie mają czasu do gościńca na wieczór przychodzić, bo oni gazety czytają, ale przyjdź w sobotę, albo w niedzielę na wieczór, to będziesz słyszał, jak oni teraz umieją politykować, całkiem inaczej gadają jak dawniej; pan Kulerski porobił z nich patryjotów i polityków — odpowiedział. Przyszedłem w niedzielę na wieczór, była pełna karczma chłopów. Słucham, opowiadają sobie, co Kulerski pisze, piorunują na Prusaków, nienawidzą ich, wszystko co polskie jest im miłym i dobrem. Radzili pomiećdy sobą jakim sposobem Prusaków wypędzić i piorunowali na Żydów. Przystawali od Żydów kupować, myśleli o organizacji chłopskiej, o spółdzielniach i zaczęli się organizować. Żydzi mówili, że Kulerski chłopom w głowach poprzewracał i stawali się pokorni i usłużni, a nawet i uczciwsi. Polacy zaczęli składy zakładać, które były przez swoich popierane.

W połowie stycznia roku 1896 wyjechałem do Westfalji, gdzie przebywałem w całości parę miesięcy. Byłem w Herne, w Dortmund, w Bochum i w wielu innych miastach. Szukałem i próbowałem różnej pracy w kopalniach i fabrykach. Chciałem znaleźć dobrą pracę, która ugruntowałaby materialnie moją przyszłość. Na terenach Westfalji znalazłem kilka prac, które porzucałem z różnych powodów. Przeniosłem się z Westfalji do Nadrenji i przyjechałem do Essen do słynnych zakładów Kruppa. Nie podobało mi się w warsztatach Kruppa, bo robotnicy zarabiali mało, 2,50 mk. do 3 mk. dziennie. Krążyło wśród robotników opowiadanie o rozmowie Kruppa z Bismarkiem. Krupp załił się przed Bismarkiem, że z powodu złej konjunktury będzie musiał zakłady zamknąć. Bismark poradził Kruppowi, aby dobrze opłacał urzędników i techników swych zakładów, a robotnikom dawał głodowe płace, to kalkulacja będzie wyrównana. Krupp widocznie stosował się do rad Bismarka, bo technicy przychodzili do pracy z domów w wysokich cylindrach i w fabryce dopiero się przebierali, a rodziny robotnicze musiały się w wydatkach domo-

wych ograniczać. Pewnego poniedziałku pracowałem w warsztatach Kruppa, gdy przyszli do pracy koledzy Polacy i opowiadali, że byli w teatrze na sztuce „Polnische Wirtschaft” (Polska Gospodarka), i że w tej sztuce Polaków zabardzo Niemcy zohydżają. — Co wy na to? — mówię do nich. — Cośmy mieli zrobić — odpowiedzieli mi. — Czy będą jeszcze tę sztukę wystawiali? — spytałem. — Tak, we czwartek. Do czwartku zorganizowałem 50 młodych Polaków i poszliśmy do teatru. „Polnische Wirtschaft” ukazała się na scenie, a my zaczęliśmy aktorów wygwizdywać i sztukę wygwizdaliśmy. Siedział sobie koło mnie gruby Niemiec, o figurze Bierbaucha (piwo-brzucha), któremu nasze reagowanie się nie podobało, bo widocznie lubował się w przesadnie wyszydżającej sztuce, więc oburzał się i wygadywał na Polaków. Zapytałem się go, czy go skóra świerzbi, bo gotów jestem ten objaw uśmierzyć nietylko podrapaniem, lecz wygarbowaniem, i Niemiec ucichł. Aktorzy sztukę musieli przerwać i słyszałem, że scena więcej jej nie powtarzała.

W zakładach Kruppa pracowałem krótko i pojechałem do Ruhroth nad Ruhrą, a z Ruhroth do Oberhausen. Oberhausen posiadało trzy wielkie fabryki żelaza, zatrudniające po kilka tysięcy robotników. Przyjąłem pracę w zakładach przy hucie Dobrej Nadziei i przepracowałem w nich dziesięć lat. Aby zilustrować trudy pracy w fabrykach żelaza i popęd Polaków do zarobkowania, przytoczę pewien dość komiczny fakt. W mojej rodzinnej wsi mieszkał sobie już na wymierze stary Maciek z żoną Baską. Słyszał on i słyszała ona, że w świecie tak dużo się zarabia. Więc powiedziała do Maćka: jedź, to zarobisz ładne pieniądze, jeśli drudzy zarobią, to i ty potrafisz, boś chłop gruby i tęg. Maciek czuł się rzeżki, więc usłuchał rady i pojechał. Przyjechał do Oberhausen do roboty w hucie żelaza. Był trochę za stary do przyjęcia do takiej roboty, więc przemysłni koledzy Polacy znaleźli radę na Maćkową starość i odmłodzili go w dokumentach, które mu ładnie wypisali. Młody już Maciek poszedł do huty, którą pierwszy raz w swem życiu widział, ale nie na pracę, tylko już na samą pokutę, dostał się za trzeciego szmelcera na gishallę, gdzie jest wielkie gorąco od wysokiego pieca, gdzie stopione żelazo w piasek wylewają i ciężko robić każ przy wielkich niedogodnościach. Miał na nogach drewniane klompy i jak wszyscy koledzy, tylko, że je pierwszy raz kupował, więc dobrał sobie jak but akurat do nogi. Koledzy mieli obszerniejsze, musiał chodzić i robić co każą, więc klompy cisły i odparzały. Był lipiec, gorąco, a tu względu nie było. Pierwszy szmelcer wziął sobie długi hak do na-

bierania gorącego żelaza, a Maćkowi dał krótki i Maciek przy krótkim haku musiał stać bliżej żelaza i się przypiekał. Kłął ze złości. Po skończonej szychce wziął klompy pod pachę i idzie boso do domu. Patrzą Niemcy i śmieją się, a Maciek się złości. Schwycił jeden klomp cisnął i na Niemcu rozłupał, a Niemcy śmieją się dalej, więc schwycił drugi i tak samo połupał. Niemcy śmieją się jeszcze więcej, a Maciek rozzłoszczony klnie na czem świat stoi i idzie do kwatery. Chce się z tego piekła jak najprędzej wydostać, bo rady sobie dać nie może. Musi robotę dwa tygodnie naprzód wypowiedzieć, lecz to za długo, więc pisze czempredzej do żony, ażeby po niego telegrafowała, bo umrze z wielkiego trudu. Przyszedł telegram, że ma przyjechać, bo żona śmiertelnie chora. Przyjechał stary Maciek do domu; przed całą wsią opowiadał swoje ciężkie przygody; żonę nazwał sekutnicą za to, że go z łakomstwa posłała tam, gdzie nie był potrzebny, bo w domu jedzenia z wymiaru i zarobkowania różnego miał dosyć. Opowiadał, jak kłął siarczyście, że piece byłyby popękały, tylko, że tam były nadzwyczaj wielkie i mocne piece, więc nie pękły. Nie byłem starym Maćkiem, a jednak sam odczuwałem trudy ciężkiej pracy. Początkowo, zanim się włożyłem, myślałem, że nie wytrzymam, lecz przyzwyczailem się i szło mi dobrze. Pracowałem przy wysokich piecach, w walcowniach, wyuczyłem się różnych robót fabrycznych, byłem wykwalifikowanym przodownikiem robotników, zarabiałem dobrze, o wiele więcej jak w Ameryce.

Przy ciężkiej pracy ogarniało robotników znużenie, które było uwzględniane przez zarządy kopalń i lekarzy. Odczuwający wyczerpanie fizyczne robotnik zgłaszał się do lekarza i otrzymywał kilkudniowe zwolnienie od pracy. Takie urlopy wypoczynkowe i wolne niedziele wykorzystywałem dla celów organizacyjnych. Wstąpiłem spowrotem do komitetu organizacyjnego i wyjeżdżałem do miast i osad nadreńskich i westfalskich. Kościelne stowarzyszenia już nie istniały, więc organizowaliśmy „Sokoła” i stowarzyszenia polityczne. Staraliśmy się o polskich księży dla Polaków, jeździłem w delegacji do Kolonji do ks. ks. Kardynałów Simmara i Fiszera. Dostaliśmy księży, lecz nie rodowitych Polaków, ale Niemców umiających po polsku. Mielśmy spoczątku dwóch śląskich księży Franciszkanów ojca Andrzeja i ojca Anastazego. Ojciec Andrzej wesoły, ruchliwy i czynnie działający wśród Polaków, został przez ogół Polaków uznany za germanizatora. Jeździły delegacje polskie do arcybiskupa kolońskiego z prośbą o przysłanie nowych, innych księży Polaków w miejsce Franciszkanów. Kapituła Kolońska wysłała mło-

dych księży czy kleryków na studia do Krakowa i po zapoznaniu przez nich języka polskiego przysłała ich nam. Proboszczem w Oberhausen mieliśmy ks. Szmitmanna z Westfalji, który wybudował kościół katolicki i szpital katolicki z obsługą niemieckich sióstr zakonnych i choć Niemiec, okazywał się dla Polaków dobrym. Mieliśmy tu już inteligencję polską. Przyjeżdżali do nas redaktorzy i wydawcy pism polskich, jak panowie Brejscy, Wiktor Kulerski i inni. Przyjeżdżali do nas księża z Poznańskiego i Pomorza, jak ks. Lis założyciel „Wiarusa Polskiego” w Bochum, ks. Bolt z Srebrnik na Pomorzu, dzisiejszy senator w senacie polskim, śp. ks. Pasztański z Ostrowa nad Gopłem, ks. Michalski, ks. Bajzert i wielu innych i ks. Franciszkanie. Witaliśmy przybywających z wielką radością, prowadziliśmy ich do sal i gromadziliśmy się licznie dokoła. Ślascy księża nie przyjeżdżali, uważaliśmy ich za germanizatorów. Każdy Polak abonował gazetę polską. Najwięcej rozpowszechnione były „Wiarus Polski” z Bochum, „Gazeta Grudziądzka” i później „Narodowiec”, założony przez p. Kwiatkowskiego w Herne. Gdy pewnego czasu ks. Wawrzyński, dzielny działacz wielkopolski jechał do Ameryki, przybył do portu w Hamburgu. Tutaj widocznie polecał Banki Ludowe i nakłaniał do oszczędności, co pewnym młodym biboszm polskim nie wsmak było. Po jego odjeździe opowiadali sobie i innym, że „włókła się bieda do Ameryki i po drodze wstąpiła do nich”.

Polacy w Niemczech byli solidarnie zorganizowani i stawali się zażartymi patryotami polskimi. Na wiecach i zebraniach przedwyborczych dążyli do przeprowadzania posłów polskich do parlamentu niemieckiego, co za moich czasów nie udawało się jeszcze. Organizacje roznamiętniły w Polakach ducha narodowego, który skutecznie chronił przed germanizacją. Już teraz Polacy z Niemkami się nie żenili, tylko z Polkami, przebywającymi w Niemczech, lub przyjeżdżali żenić się w rodzinne strony. Przy zdobywaniu korzystniejszej pracy wspierali się solidarnie, dorabiali papiery, stawali jeden za drugiego przed lekarzem. Pracowali, oszczędzali i dorabiali się. Jedni budowali sobie trzypiętrowe domy wartości 20 tysięcy marek, inni kupowali sobie gospodarstwa w Poznańskim i na Pomorzu. Samotni odsyłali pieniądze do banków ludowych spółdzielczych w rodzinnych stronach. Odsyłałem moje zaoszczędzone pieniądze do Banku Ludowego w Żerkowie i pomagałem mojemu oszczędnościom ojcu, gdy się w gospodarstwie budował. Przypominam sobie z tego czasu, że byłem tak silnie po 24-godzinnej pracy napracowany, że ręce trzęsły mi się tak silnie, że nie mogłem policzyć pieniędzy na

poczcie i napisać wykazu; wykonał to za mnie urzędnik pocztowy.

W ciągu długich lat pracy zdarzały się i nieszczęśliwe wypadki. Pamiętam jak w pewną grudniową niedzielę zagotowało się żelazo w kotlinie i zaczęło pryskać. Musiałem uchodzić i przeskakując przez płynne żelazo, wpadłem w nie. Miałem na nogach wełniane skarpetki poowijane grubemi płatami i drewniane klompy. Zaczęło się to wszystko palić. Z jednej nogi zdążyłem wszystko zrzucić zanim dopaliło do skóry, a druga się poparzyła. Gdyby mi moi koledzy mogli pomóc, byłaby uratowana i druga noga, lecz oni musieli się sami ratować, a jeden z nich zaczął się naszkutek żelaznego deszczu palić. Musiałem pójść do szpitala, gdzie na oparzeliznę cierpiałem siedem tygodni. Przeżywałem męczące chwile, godzina dniem, a dzień rokiem wydawał się w bezsennych nocach.

Bandaże dokuczały, że znieść ich nie mogłem, sam je sobie, gdy mnie dręczyły, przewijałem; siostra dyżurująca lekarzowi na mnie skarżyła. Lekarz przyszedł i pyta mi się co ja umiem, wymieniam mu wszystkie kwalifikacje robotnicze, które sobie przyswoiłem. Odpowiedział mi, że mogę być dobrym pracownikiem wymienionych dziedzin, co jednak nie upoważnia mnie do poprawiania manipulacji lekarskiej. Odpowiedziałem mu, że mimo braku praktyki lekarskiej odczuwam doskonale, co mnie boli. Pod koniec mego pobytu w szpitalu przyrzucił mi się dyfteryt. Zostałem izolowany i pozostałem w szpitalu dwa tygodnie dłużej. Gdy w dzień św. Błażeja leżałem odosobniony w pokoju szpitalnym, przyszedł do mnie ksiądz niemiecki. Trzymał dwie skrzyżowane świece i modlił się. Doznałem wrażenia śmierci. Sądziłem, że przyszedł mnie na śmierć dysponować. Po wyjściu księdza zapytałem się przybyłej siostry, co to ma znaczyć. Wyjaśniła mi, że jest to obrzęd błogosławieństwa św. Błażeja, który w dzień św. Błażeja jest odprowadzany.

Innego roku w miesiącu lipcu pracowałem w walcowni szyn kolejowych. Koledzy moi nie dopisali, bo puścili hebel chwytający i wprowadzający bloki żelaza w walce. Hebel odskoczył i uderzył mnie w szczękę. Musiałem pójść do szpitala i leczyć się cały tydzień. Bolącą szczęką jeść nie mogłem, więc odżywiałem się płynnymi pokarmami.

W naszej fabryce żelaza opłacaliśmy prócz ubezpieczeń zwykłych jeszcze specjalne, które uprawniały nas do specjalnych dla naszej korzyści świadczeń. Opłacaliśmy kasę chorych i osobno szpital.

Opłatę szpitala pobierała fabryka w wysokości dziewięć marek rocznie i zobowiązywała się utrzymywać nas w razie choroby do trzynastu tygodni w szpitalu, lecz zdarzało się, że i pół roku utrzymywała. Opłata szpitala była nam dogodną, bo w razie choroby mieliśmy całkowite utrzymanie w szpitalu i otrzymywaliśmy należność z kasy chorych, która nam pozostawała. Górnicy szpitala nie opłacali, więc musieli w szpitalu utrzymywać się z należności pobieranej z kasy chorych. Ubezpieczaliśmy się od inwalidztwa i na starość w ubezpieczalniach przy pomocy znaczków naklejanych do kart kwitowych w formie do dziś istniejącej. Opłacałem znaczki klas najwyższych. Prócz tych ubezpieczeń opłacaliśmy specjalne ubezpieczenie fabryczne wpłacane do kasy fabrycznej. Zapłaciłem na to ubezpieczenie w ciągu całych lat mej pracy 200 mk. Ubezpieczenie fabryczne dawało nam prawo do pobierania przy rentach starościowych i inwalidzkich drugich z tego samego tytułu rent fabrycznych i wypłacało renty wdowom i sierotom po zabitych w fabryce. W razie mojej śmierci w fabryce żona dostawałaby 120 mk. miesięcznie, bo opłacałem wysokie ubezpieczenie ustosunkowane do zarobku, a przy powtórnej wyjeździe żonę jednorazową odprawę w wysokości trzymiesięcznej sumy pobieranej renty, pozatem przysługiwało prawo pobierania renty dzieciom.

Fabryka budowała mieszkania, czyli koszary dla samotnych robotników i mieszkania dla rodzin robotniczych. Mieszkalem i na kwaterach, czyli w mieszkaniach i przy obsłudze rodzin robotniczych, gdzie całkowite utrzymanie kosztowało 36 marek miesięcznie i kolejno w koszarach robotniczych fabryk. Koszary nadreńskie nie były tak piękne i okazałe jak saksońskie. Zbliżały się do koszar wojskowych. W koszarach mieszkanie i utrzymanie przy połowicznej obsłudze i połowicznym odżywieniu kosztowało 80 fenigów dziennie. Więc koszt całkowitego utrzymania na kwaterze i w koszarach robotniczych był równy. Przy tej wysokości kosztów odżywianie pod względem jakościowym było bardzo skromne, lecz pod względem ilościowym wystarczające.

W Oberhausen pozbyłem się moich amerykańskich papierów obywatelskich. Podarowałem je koledze wyjeżdżającemu do Ameryki z obawy przed denuncjacją u władz niemieckich, które w podobnym wypadku dokonywały rewizji i po znalezieniu papierów amerykańskich wysyłały spowrotem do Ameryki.

Świat niemiecki przyczynił się do postępu kulturalnego zarobkujących Polaków, do którego to postępu wielu księży z prowincji

Poznańskiej odnosiło się z pretensjami. Zwalczali socjalizm, który wśród robotników znajdował zwolenników, i pozbywanie się strojów ludowych. Znałem osobiście księży w Poznańskim, którzy nie zachowywali nawet taktu, którego potrzebę robotnicy z Westfalji i Nadrenji odczuwali. Doświadczałem sam tego na sobie w czasie urlopów, które pozwalały mi krótko przebywać w domu. Potrzeba wymagała załatwienia jakiegoś interesu na plebanji. Westfalacy, czyli światusy, jak ich powszechnie w okolicach nazywano, ubierali się z miejską elegancją, a bladością cery wyróżniali się od ogorziałych twarzy na rodzinnych parafjach. Wychowani w organizacjach wyzbywali się onieśmielenia i czołobitności wobec miejscowej inteligencji i proboszczów. Proboszczowie ze swej strony obawiali się zrównania z robotnikiem z Niemiec, więc pilnowali swego autorytetu za pomocą oziębłego stosunku do robotnika i krytyki wobec parafji. Przyszli z Buksterbudy i Hundesbudy i uważają się za wyższą klasę—ludzi z zachodu, sprowadzają wielkie zło z tamtąd — wymawiali młodszy proboszczowie robotnikom z ambon. Tymczasem tem złem było wyzbywanie się przez robotników na zachodzie całowania proboszczów po rękach. A co do Buksterbudy i Hundesbudy wygłaszanej z ambon, to nie były żadne psie budy, jak te przezwiska opiewały, lecz gmachy urządzone z komfortem, piękne i okazałe, jakich w Poznańskim się nie znalazło. Gdy znalazłem się wobec proboszcza niepoznanego, tytułował mnie per panie; gdy dowiedział się kim jestem, byłem mu bez żadnego specjalnego upoważnienia naraz — ty, bo tytuł panie dla syna niezażanego gospodarza z parafji był za wysoki i ośmieszałby może proboszcza.

Jako przykład uprzedzenia księży w mojej rodzinnej stronie dla robotników przebywających w niemieckich prowincjach przytoczę fakt, który miał miejsce w mojej obecnej parafji.

Gospodarz, który mieszka obecnie w mojej wsi przyjechał z Westfalji celem ożenku. Idąc w tym celu z narzeczoną do proboszcza udekorował piersi katolicką odznaką stowarzyszenia św. Stanisława Kostki, której proboszcz widocznie nie znał i wziął za socjalistyczną odznakę. Z najwyższym oburzeniem zerwał mu ją i rzucił na stół, a do narzeczonej powiedział: to ty za takiego socjalistę, heretyka zamąż chcesz wychodzić? I tem wystąpieniem przyczynił się do rozerwania narzeczonych. Trzeba sobie wyobrazić jakie ten człowiek religijny, którego ja prawie o fanatyzm w tym względzie posądzałem, mógł czuć rozgoryczenie wracając do Niemiec. Ro-

botnicy z Niemiec byli więcej pewni siebie, lecz nie zasługiwali sobie na podobne traktowanie. Niezrozumiałą była dla mnie ta niechęć i uprzedzenie ze strony miejscowych proboszczów. Przecież my robotnicy z niemieckich prowincji nie ubliżaliśmy naszym proboszczom. Mieliliśmy zawsze chrześcijańskie dla nich pozdrowienie; witaliśmy ich w starej formie, do której byli przyzwyczajeni, przychodziliśmy do kościoła i dawaliśmy na składki kościelne nie miedź, ale srebro. Po słyszanych z ambon wyszydzaniach, na które odpowiedzieć nie było można, rodziła się w umysłach naszych kontrkrytyka. Czytywałem różne polskie gazety i przypominam sobie artykuł redaktora Stanisława Knapowskiego w „Postępie” przeciw zwalczaniu strojów przynoszonych z Niemiec. Artykuł głosił ideę zrównania zewnętrznego wszystkich stanów. Niech będzie jeden cywilizowany strój, a z nim równe traktowanie. Niech więcej ludzie na ulicach miast przed inteligencją nie świecą zewnętrznie klasowem upośledzeniem, bo ich wartość społeczna jest równa.

Wielu robotników w organizacjach wyrobiło się na dość dzielnych polityków. Robotnicy w sposób dowcipny i rozumowy potrafili bronić swych poglądów. Inteligencja złożona z redaktorów miejscowych czasopism i przybywający kler rozumieli stosunki robotników i z robotnikami się zgadzali. Inteligencja poznańska przybywająca na wiece robotnicze mało ściśle o życiu i dążeniach robotników miała pojęcie. Pamiętam więc na którym przyszło do starć pomiędzy poznańską z wykształceniem uniwersyteckiem inteligencją, a robotnikami. Robotnicy zwalczyli ostro wywody przybyłych, a obronili swoje własne. Robotnicy władali językiem pozbawionym czystości stylu, była to raczej gwara z barbaryzmami, archaizmami i prowincjonalizmami właściwa nieszkolonemu i przebywającemu wśród Niemców ludowi robotniczemu. Mówca inteligencji poznańskiej po zbitych wywodach wystąpił z krytyką języka robotniczego. Mówca robotniczy odparł cios w ten sposób: — więc wy panowie przyjechaliście naszą mowę na złotą wagę ważyć, my ludzie od kosi i pługa, kilofa i młota, a nie z uniwersyteckiem wykształceniem, gdybyśmy i to wykształcenie posiadali nie zrównalibyście nam panowie. My w naszych wyrażeniach się rozumiemy i wy panowie też nas rozumiecie. Pisały później gazety poznańskie, że naprzód przewidywały, że fala mówców ludowych przekona ich działaczy.

Gdy przyjeżdżałem do domu na urlopy rówieśnicy moi, wychowani na wsi, stronili ode mnie. Ja sam nie znajdowałem rozkoszy

w ich towarzystwie, bo zachowanie, ich poziom wiedzy i zainteresowań oddalały się od moich. Tworzyli oni samorodne, nieco dziwkie zbiórki, z których wyłaniały się według mego pojęcia działania małostkowej dziecinności. Mało miałem zawsze czasu, aby pilnie im się przypatrzeć i opanować ich. Za to z prawdziwą satysfakcją rozmawiałem z ludźmi starszymi, których świat i ludzie zaciękawiali i którzy ciekawe rzeczy z swych przeżyć i miejscowe sprawy bieżące opowiadali.

Swatano mnie w czasie urlopów moich w gospodarstwa. Niedoszli teściowie, patrząc na mnie, posądzali mnie o funkcje sekretarskie i uważali, że nie jestem zdolny do, według ich zdania, uciążliwej pracy na roli i nie potrafiłbym ograniczyć się do ich oszczędności. Obawiali się sprzedaży gospodarstwa i marnotrawstwa z mej strony.

Skończyłem już lat trzydzieści, gdy wzięłem sześciotygodniowy urlop w celach matrymonjalnych i przyjechałem do mej matki, bo ojciec już nie żył. Cztery kilometry od mego domu, we wsi Ch., parafji sąsiedniej znalazłem miejsce odpowiadające moim moralnym wymaganiom. Przed ślubem stawilem się do wymaganego egzaminu katechizmowego przed proboszczem. Po egzaminie pytał mi się proboszcz, jak nas Niemcy w Nadrenji i Westfalji traktują. Oświadczyłem, że grzeczniej z nami się obchodzą, jak w naszych dworach szlacheckich. Ujął się za dworami i powiedział: bo was Niemcy potrzebują.

— Czy polskie dwory dają nam pracę, gdy nas nie potrzebują? — zapytałem.

— Nie — odpowiedział.

Rodzice mojej żony posiadali trzydzieści mórg magdeburgskich gospodarstwa, które zapisali jako wspólność majątkową mnie i mojej żonie, nakładając na nas ciężar utrzymania dożywotniego czyli alimenty i 4800 mk. spłaty dla pozostałych dzieci. Pieniądze miałem w spółdzielczym banku ludowym w Żerkowie, więc przekazałem je na mego teścia i hipoteka była czysta. Teść pieniędzy nie potrzebował, bo dzieci miał jeszcze małoletnie, więc pozostały w banku; niestety na wieczne czasy. Ślub mój był w listopadzie 1902 r. Teść wymówił sobie, że do 1 lipca 1906 r. będzie gospodarzył, więc pojechałem spowrotem do Oberhausen do starej pracy w fabryce żelaza. Oszczędzałem i pracowałem ciężko, bo przy ciężkiej pracy więcej się zarobiło. Znałem i umiałem w tej fabryce każdą robotę, więc byłem w zapasie. Dzienny mój zarobek wynosił 4,50 mk. bez

względ, czy robiłem lub nie. W akordowych robotach zarabiałem pięć mk., sześć i osiem mk., a czasem wyjątkowo przy łamaniu surowego żelaza zdarzało się, że i 15 mk. na dzień. Mówili mi koledzy: ty masz siłę, lecz ty tę siłę stracisz szybko i prawdę mówili. Robotnicy z ciężkiego przemysłu żelaznego przy swych zarobkach prócz utrzymania i ładnego ubrania mogli jeszcze zaoszczędzić od 600 mk. do 1000 mk. rocznie.

W mojej fabryce pracowałem wśród Niemców. Spotykałem tu czupurnych i niezgodnych robotników. Przychodziło do rękoczynów i zniewag. Wśród Niemców byłem lubiany, bo ujmowałem się za słabszymi. Natura wyposażyla mnie w dostateczną siłę. Byłem średniego wzrostu, lecz najtężsi wśród kolegów fizycznie zdziałać więcej ode mnie nie mogli. Przodowałem w pracy i byłem przodownikiem w grupach robotników; niektórzy bez mego przodownictwa pod innymi przodownikami pracować nie chcieli, bo ja jako przodownik z moją siłą i umiejętnością najwięcej zrobiłem. Zdarzało się, że wśród brawa ogólnego ukarałem rękoczynem silnych, wygrażających się kolegom brutalni, nielubiani i dokuczających w robocie słabszym. To też bali się zadzierać przy mnie, a koledzy straszyli ich w razie czupurności w czasie mojej późniejszej nieobecności niemieckimi słowami: „Walek jeszcze żyje”. Z Polakami żyłem zawsze w zgodzie i solidarności. Przez te trzy i pół roku zaoszczędziłem grosza i pierwszego lipca 1906 r. opuściłem raz na zawsze Niemcy i niemiecki ciężki przemysł.

V.

N a w ł a s n e m g o s p o d a r s t w i e

Gospodarstwo po moich rodzicach objęła siostra, a brat w Nadrenji pracujący, siostra zamężna w prowincji saskiej i ja dostaliśmy po 600 mk. spłaty. Od pierwszego lipca 1906 przejmowałem gospodarstwo od mego teścia. Podstawową część mego gospodarstwa stanowiło siedem ha, 87 arów i 99 m² ziemi gliniasto-humusowej, przylegającej pastwiskiem z laskiem olszowym, wierzbowym i topolowym do rzeki Prosny. Na podstawie klasyfikacji ziemi przez niemiecką komisję urzędową w czasokresie 1863—1865 r. rola obejmowanego przeze mnie gospodarstwa należała do klasy trzeciej. Zabudowania składały się z domu mieszkalnego, budynku dla inwentarza żywego, stodoły i osobnej piwnicy.

Dom mieszkalny stanowiła drewniana chata pod słomą, budowana w czasie separacji w roku 1824 przez pradziada i przybudowana przez dziada. Chata była więc bardzo starą i niską budowlą o dwóch kominach i dwóch drzwiach frontowych, posiadająca 16 metrów długości, a 6,5 m. szerokości. Skoro objąłem gospodarstwo musiałem dokonać wewnętrznej przeróbki jednego końca, która kosztowała mnie 56 mk., po małej przeróbce utworzył się wewnętrzny podział składający się z trzech izb i dwóch sionek. Trzy ubikacje stanowiące izby tworzyły jeden szereg o dwóch przeciwległych sobie oknach po ścianie wschodniej i zachodniej każda, co miało tę właściwość, że słońce zawsze pięknie oświeślało w porze porannej i wieczornej izby. Do mego użytku służyły dwie izby z sionką, a jedną izbę, jedną sionkę, i część strychu z małą komóreczką przy izbie miał teść w użyciu. Chlew czyli budynek dla inwentarza żywego był również starą, drewnianą, upadającą budowlą o siedmiu ubikacjach z małą przybudówką dla kur, o długości 17 metr., a szerokości 5,20 m. Cała ta budowla nie posiadała ani jednego okna. Dwie ubikacje używał teść, a pięć dla mego gospodarstwa służyło. Miałem tu stajnię, oborę, świniańnię, wozownię i sieczkarnię, czyli skład sieczki, paszy treściwej i różnych drobnych sprzętów, służących do pracy w gospodarstwie i do reperacji. Objąłem po teściu parę koni, dwie krowy z których jedna dla mnie, druga dla teścia, jako żelazna krowa w gospodarstwie służyć miała. Dostałem jedną maciorę, a drobiu nic, bo wkrótce przed moim objęciem gospodarstwa, wszystkich drób teściowi wyzdychał. Z tych wszystkich budowli najnowszą była stodoła, bo wybudowana przez teścia w miejsce starej spalonej w pożarze miała dopiero 28 lat. Pojemność stodoły przy 14,10 m. długości, a 7,5 m. szerokości była na trzydziestomorgowe gospodarstwo nieco za mała. Teść budował ją na dwudziestodwumorgowym gospodarstwie, bo resztę ziemi dopiero później dokupił. Stodoła posiadała dwie małe przybudówki, t. zw. szopy, ja postawiłem trzecią. Służyły nam te szopy do przechowywania maszyn, narzędzi rolniczych i opału. W obrębie zabudowań znajdowała się oddzielna piwnica o dachu krytym darnią zwana sklepem, która służyła do użytku teściów i w podwórzu znajdowała się ceglana studnia, którą później zamieniłem na cementową. Do obejścia należało podwórze i dwa ogrody. Podwórze wraz z budynkami zajmowało 12,35 arów, a ogród owocowy dziewięć arów. Połowa ogrodu owocowego była przeznaczona dla dalszego użytku teściów i drugi ogródek wielkości trzech arów również dla wyłącznego użytku

teścia. Alimenty, które corocznie byłem zobowiązany na utrzymanie teściów wydawać, stanowiły prócz wyżej wymienionych 13 cetnarów zboża, 15 litrów kaszy tatarczanej, prosię ośmiotygodniowe, dwie gęsi, 20 stajowych radłonek ziemniaków, dwa półstajowe zagony do dowolnego obsadzenia i opał z 10 centr. węgla, jednego sążnia szczap sosnowych, kupki gałęzi i 45 marek gotówki rocznie. Ten wymiar teściów nie był na moje gospodarstwo za wielkim. Wartość obejmowanego przeze mnie gospodarstwa przy odliczeniu obciążenia hipotecznego, którym był wymiar, i po spłaceniu przeze mnie na ręce teścia sukcesorów w sumie 4800 mk. wynosiła maksimum 12.000 mk. Teściowie moi mieli ośmioro dzieci. W chwili obejmowania przeze mnie gospodarstwa najstarszy syn był już ożeniony i na własnem gospodarstwie; druga zrzędu córka była moją żoną, jeden syn pracował w Westfalji, a dwóch synów młodszych i trzy córki młodsze były narazie przy teściu. Troje najmłodszych dzieci znajdowało się jeszcze w wieku szkolnym i uczęszczało do dwuklasowej szkoły oddalonej o 2,7 klm. a dwoje starszych siostra i brat pracowało u mnie w gospodarstwie za wynagrodzeniem i przyrabiało na dworskich majątkach sąsiednich przy sezonowej pracy. Teść mój oprócz zahipotekowanego wymiaru pobierał od roku 1909 miesięcznie 12 mk. renty weterańskiej, jako weteran z wojny francuskiej 1870/71 r., służący wówczas w drugim szwadronie pierwszego regimentu ułanów wschodnio-pruskich garnizonowanych w Milliczu. Pozatem począł zarabiać przy pracach na gospodarstwach rolnych i ubezpieczał się obowiązkowo na inwalidztwo i starość.

Po osiemnastu latach pracy poczętej już od siedemnastego roku mego życia w górnictwie i przemyśle przyszedłem na gospodarstwo rolne bez należytego przygotowania fachowego, którego zdobyć nie miałem czasu.

Byłem synem rolnika, dzieciństwo moje upłynęło na wsi, więc miałem pewien pociąg do roli i pewne zadowolenie z posiadania własnego kawałka ziemi. Gospodarstwo rolne uważałem za samodzielny warsztat pracy, dla którego warto złożyć nie jedną ofiarę. Pozatem uznawałem przysłowie ludowe, które opiewało, że „od myszy do cesarza wszystko żyje z gospodarza”. Wiedziałem, że wieś jest na niższym poziomie kultury od miast przemysłowych, lecz wierzyłem w moralną prostotę ludu i pociągała mnie praca na łonie pięknej przyrody, wśród rozmaitych jej zjawisk. Uwolniłem się od pyłów fabrycznych i ciemni kopalnianej, a powróciłem

do czystego i świeżego powietrza naszych pól, aby uczyć się nanowo podstawowego gospodarstwa ludzkości. Początkowo uczyłem się gospodarzyć i pracować na roli od mego teścia, który był dobrym gospodarzem starej daty. Jako starszy człowiek do postępowości fachowej drobnego rolnictwa odnosił się z dużą dozą sceptyzmu, lecz posiadał wybitne zalety gospodarności, oszczędności i pracowitości, dzięki którym zdołał gospodarstwo swoje powiększyć przy licznej rodzinie o osiem mórg magdeburskich czyli o prawie jedną trzecią całości. Obejmując gospodarstwo poczęłem od razu interesować się spółdzielniami i organizacjami na terenie okolicy.

Pierwszą i jedyną organizacją dla chłopów było tu fachowe kółko rolnicze, które na terenie mojej parafji miało siedzibę w Przybysławiu i prezesa w osobie urzędnika gospodarczego ś. p. Kwiecińskiego. Wpisałem się do kółka i w nim poczęłem zdobywać wiedzę rolniczą obok udzielanej mi przez teścia praktyki. Korzystałem z biblioteki kółka, która nawet poważne dzieła posiadała do wypożyczania członkom. Kółko urządzało zwiedzanie najwzrowszych gospodarstw w okolicy, wycieczki do rolniczych stacji doświadczalnych, jak Łochowo i Pętków, zwiedziło wystawę rolniczą w Pleszewie i brało udział w wystawie regionalnej, urządzonej w naszym miasteczku Żerkowie, zakupiło sztandar i urządzało zabawy na wolnem powietrzu w ogrodzie. Prócz powyższych rok rocznie odbywały się trzydniowe kursy rolnicze w mieście powiatowem Jarocinie dla członków kółek rolniczych. Na kursach odbywały się wykłady z różnych tematów rolniczych, hodowlanych i ogrodniczych. Prelegenci rekrutowali się z ludzi o wyższem wykształceniu rolniczem. Uczyliśmy się z wykładów rachunkowości gospodarczej i postępowości rolniczo-hodowlanej.

W naszym miasteczku Żerkowie istniał już spółdzielczy Bank Ludowy z nieograniczoną odpowiedzialnością członków. Miałem w tym banku swój depozyt, lecz członkiem jeszcze nie byłem. Z chwilą objęcia gospodarstwa i osiedlenia pragnąłem, wiedziony hasłem wspierania tego rodzaju instytucji, wpisać się na członka. Udział członkowski pełen stanowił sumę 600 mk., od której płacono 7% dywidendy. 2 stycznia 1907 r. przyszedłem do lokalu banku, w którym urzędował zarząd złożony z dyrektora, kasjera i kontrolera, dyrektorem był miejscowy lekarz, a na stanowiskach kasjera i kontrolera zostawali mieszkańcy Żerkowa. Wyraziłem przed zarządem moje życzenie i prosiłem o przepisanie z książeczki depozytowej na książeczkę udziałową sumy wynoszącej całkowity udział członka.

Wtem kontroler zwrócił się w niemieckim języku do dyrektora z uwagami odnoszącymi się do przyjęcia mnie za członka. Kontroler był niezadowolony z mego postanowienia, bo jak mówił do dyrektora, członków było dość, a od sumy udziałowej był bank zobowiązany płacić 7% dywidendy, gdy od depozytu płacił tylko 4%. Dyrektor uwagami się nie przejął i mnie za członka przyjął. Zająście jednak wywarło na mnie nieco ośmieszające wrażenie. Dyrektor Polak, kontroler, Polak, ja Polak i spółdzielnia polska i tu w czasie urzędowania kontroler zwraca się w narzucanym i wrogim języku w mej obecności do dyrektora, abym nie rozumiał co mówił. Władza przytem tym językiem według pospolitego wyrażenia „jakby siekiera po kamieniu rąbała”, gdy ja ten język znałem tak, jak polski, pracując wśród Niemców kilkanaście lat. Skończył się już rok, gdy na skutek nieszczęśliwych wypadków w inwentarji i na inwestycje w gospodarstwie potrzebowałem pieniędzy. Zwróciłem się do banku po część depozytu i dywidendę od udziałów. Że przekażałem pieniądze na udział nie pierwszego stycznia, w którym było święto, tylko 2 stycznia, więc dostałem od udziału zwykły procent depozytowy, który wynosił $4\frac{1}{2}\%$, a nie 7% dywidendy. Nie miał również znaczenia fakt, że pieniądze nie zostały świeżo włożone, a tylko przepisane z będącego w tym samym banku depozytu.

W Żerkowie od roku 1905 istniała spółdzielnia zbożowo-handlowa „Rolnik”. Zapisalem się na członka tej spółdzielni, tutaj udział wynosił 210 mk., a ograniczona odpowiedzialność sięgała pięciokrotnej wysokości udziału. Przed założeniem „Rolnika” kupcami zbożowymi miasteczka Żerkowa byli wyłącznie Żydzi i każdy chcąc czy nie chcąc musiał przez Żydów zboże swoje zbywać.

Przedwojenny okres czasu odznaczał się wysokim zapotrzebowaniem robotnika. Każdy mógł pracować: stary, czy młody. Moje szwagierki i szwagrowie pracowali na sąsiednich majątkach dworskich przy pracach sezonowych, do których sprowadzano ludzi nawet z zagranicy. Zarabiali po kilkaset marek rocznie, część pieniędzy obracali na garderobę, drugą część deponowali w Banku Ludowym w Żerkowie. Wszyscy szwagrowie powyjeżdżali z domu do Westfalji, a zaoszczędzone pieniądze przysyłali do teścia, który deponował je na ich konto w Banku Ludowym w Żerkowie. Ja sam o ile miałem wolny czas w gospodarstwie, obrabiałem moimi końmi rolę kilkumorgowych chałupników, którzy pracowali w Niemczech, a żony ich gospodarzyły, przyczem zarabiałem pewną sumkę do moich dochodów.

Od mego przejęcia gospodarstwa, to rzec można były prawie złote czasy dla rolników w Rzeszy Niemieckiej i to z powodu łatwych zarobków robotniczych, które dawały możliwość odpływu zbywającej ludności do przemysłu i z powodu dobrej polityki agrarnej. Po roku 1900 został powołany na ministra rolnictwa pan Podbiłski, który umiał rolnictwo postawić na nogi. Skutkiem polityki pana Podbiłskiego powstawały w parlamencie wrzawy z socjalistami, lecz pan Podbiłski zwyciężył i przeprowadził swój program. Rolnictwo Rzeszy Niemieckiej Podbiłskiemu zawdzięcza swój dobrobyt. Podbiłski jednak nie utrzymał się długich lat na stanowisku ministra spowodu wpłatania się jego żony w pewną aferę handlową, niekorzystną dla Niemiec. Firma Marktnenkirchen, do której pani Podbiłska należała, sprzedawała płyty pancerne o 20 mk. drożej w kraju, jak zagranicą, co narobiło wrzawy w kraju i spowodowało ustąpienie ministra Podbiłskiego.

Po ministrze Podbiłskim objął tękę ministra rolnictwa p. Posadowski, który prowadził politykę rolnictwa w kierunku wytkniętym przez Podbiłskiego. Rolnicy przyszli do dobrobytu, a podczas wojny światowej mówili światlejsi Niemcy, że dzięki dobrobytowi rolniczemu mogą tak uporczywie i tak długo wojnę prowadzić.

Gdy obejmowałem gospodarstwo, ciążyła na niem renta separacyjna. Płaciłem ją rządowi niemieckiemu, który w roku 1850 przejął ją od właścicieli obszarów dworskich w wysokości 42 mk. rocznie z moich 31 mórg ziemi. Renta separacyjna, zapoczątkowana w roku 1824, skończyła się w roku 1907. Po wypłaceniu ostatniej raty została hipoteka na koszt rządu niemieckiego bez żadnych zabiegów z naszej strony wymazana. Na gruntach naszych ciążyła druga abluicyjna renta kościelna, którą spłacałem w wysokości 20 fenigów z morgi ziemi. Pytałem się teścia, skąd i jak znalazła się na naszych hipotekach renta kościelna. Otrzymałem objaśnienie następujące: przed separacją proboszczowie otrzymywali gajówkę z obszarów dworskich. Dwory po wydzieleniu ziemi w czasie separacji zaprzestały dawać gajówkę i poleciły zwrócić się po nią do chłopów. Chłopi w miejsce gajówki zaczęli dawać zboże, żyto i owies, co nazywano mesznem i wożono proboszczom. Zdarzało się później, że gospodarstwo od chłopów przejął żyd za długi lub wykupował Niemiec, ci już mesznego nie dawali. Znaleźli się jeszcze później gospodarze we wsi, którzy oświadczyli, że mesznego dawać nie potrzebują, bo nie mają go zahipotekowanego i nie dawali. Naturalnie, że podobne wyłamanie się z pod istniejącego zwyczaju wy-

wołało burzę na ambonie. Za życzeniem proboszczy zahipotekowano meszne, jako rentę kościelną. Po zahipotekowaniu renta kościelna została 5 lipca 1879 roku rządowi niemieckiemu sprzedana. Rendant mojej parafji, przez którego ręce moje pieniądze przechodziły, powiadał mi, że Pogorzelica otrzymała od rządu niemieckiego sześć tysięcy talarów (18.000 mk) gotówki; gdy później rozmawiałem ze zmarłym proboszczem, to słyszałem od niego, że Pogorzelica dostała więcej, aż 10.000 talarów (30.000 mk.). Parafjanie początkowo się oburzali, bo pamiętali, jak proboszczowie oburzali się z ambon, że w niemieckie ręce gospodarstwa się dostają i meszne przez to przepada, a teraz po zahipotekowaniu rentę kościelną sami Niemcom sprzedali. Po refleksji przyszli chłopci do przekonania, że lepiej będzie rentę spłacać rządowi, jak proboszczom, bo rząd wyznaczył termin rencie do roku 1936, a dla proboszczy według ich zdania, byłaby się spłata nie skończyła.

Prócz powyższych rent opłacałem podatek majątkowy, komunalny, podatek od bydła, podatek od psa, podatek do Wielkopolskiej Izby Rolniczej w wysokości 1,21 mk. i od wypadku w rolnictwie: opłacałem ubezpieczenie ogniowe od trzech moich budynków, ubezpieczonych w sumie 3.000 mk., 16 mk. rocznie i wszystkie te sumy wraz z rentami wyniosły w ciągu dziesięciolecia od roku 1906 do roku 1916 sumę ogólną 872,27 mk., co przeciętnie na rok wynosiło 87,72 mk. Prócz tych opłat ubezpieczałem się przez przeciąg lat sześciu od gradobicia i ubezpieczałem się dalej na inwalidztwo i starość, co zabierało również pokaźną sumkę. Zapisywałem sobie po trzy gazety, których koszt obciążał mnie do dwunastu marek rocznie. Pozatem na składki różne, na wycieczki rolnicze, na książki przeważnie rolnicze, wydawałem przeciętnie 20 marek rocznie.

Podstawowy dochód z mego gospodarstwa stanowiło zboże, to też starałem się, aby go było jak najwięcej. Pod tym względem wyprzedziłem mego teścia, który uprawiał rolę starą metodą mechaniczną z obornikiem, ja zaś zabrałem się do nowej, poczynając uprawę chemiczną przy pomocy sztucznych nawozów i poprawilem mechaniczną ułatwieniem przy pomocy nowszych narzędzi. Rezultat był taki: gdy zebrałem żniwa 1906 r. po teściu, to miałem 150 ctr. wszystkiego zboża z tych żniw. Muszę tu dodać, że teść mój sztucznych nawozów absolutnie nie stosował. W pierwszym roku dałem osiem ctr. sztucznych nawozów za 36 mk.; żniwa z roku 1907 dały mi 166 ctr. zboża. Począłem z roku na rok zwiększać dawki sztucznych nawozów i plony moje powiększały się rokrocznie. Żniwa

z roku 1910 dały mi już 200 ctr. zboża. Siałem już przeszło 40 ctr., przeszło 50 ctr. i przeszło 60 ctr. sztucznych nawozów. Kosztowało mnie to od 100 do 200 mk. rocznie. W roku 1914 wysiałem 65 ctr. sztucznych nawozów azotowych, fosforowych i potasowych za 260 mk. To też w rezultacie następne żniwa dały mi 270 ctr. zboża. Był to najwyższy wydatek zboża, jaki w ciągu całego mego gospodarowania miałem. Ziemniaki plonowały mi różnie: od 60 ctr. najniższego plonu jaki miałem jednego razu z morgi do 185 ctr., które również tylko raz wydała mi morga przy dobrze nawożonej ziemi i przy bardzo sprzyjających warunkach atmosferycznych. Sadziłem ziemniaków po trzy morgi rocznie. Koniczyny, którą obsiewałem po dwie morgi, sprzątałem przeciętnie trzy i pół fury z morgi, a nasienia koniczyny miewałem od jednego do trzech ctr. Odebrałem od teścia słabe uposażenie w inwentarzu żywym, więc początkowo dochód pieniężny czerpałem za zboże i okopowe. Z biegiem lat strona hodowlana mego gospodarstwa poczęła rozwijać się, równoważyć stronę zbożową, a w ostatnich dwóch latach od 1914 do 1916 pozycja dochodowa z inwentarza przewyższyła silnie pozycję dochodową ze zboża i okopowizny.

Od początku gospodarowania starałem się zapisywać moje dochody i rozchody; corocznie sporządzałem inwenturę, czyli stan majątkowy i w ten sposób miałem przed oczyma moje gospodarstwo. Kupiłem sobie trzy rodzaje książek do rachunkowości i obliczałem się z wszystkim.

Od roku 1906 do roku 1916 przez dziesięć lat miałem okrągło 16 tysięcy 200 mk. dochodu pieniężnego, a 11.100 mk. rozchodu. Czysty zysk za cały ten okres czasu wynosi 5.000 mk. Pierwsze dwa roki miałem deficyt, który pokryłem z depozytu leżącego w banku. W pierwszym roku przy dochodzie 520 mk. a rozchodzie 770 mk., miałem tego niedoboru 250 mk. Przyczyną niedoboru było przykupienie inwentarza żywego i narzędzi rolniczych. W drugim roku miałem dochodu 950 mk. a rozchodu 1.080 mk., znowu 130 mk. niedoboru. Trzeci rok przy 1.250 mk. dochodu a 1.000 mk. rozchodu, przyniósł mi już 250 mk. czystego zysku. Teraz cztery następne lata przynosiły mi ponad 300 mk. do ponad 400 mk. czystego zysku, piąty — 650 mk. czystego zysku, a przedostatni — 1.000 mk. i ostatni — 1.500 mk. czystego zysku. Pozycja dochodowa ogólna wzrastała stale od pierwszego roku, w którym miałem 520 mk. do roku ostatniego, w którym doszła do cyfr 2650 mk. Pozycje rozchodowe w ciągu tych lat bywały różne; najniższa w roku 1907 wynosiła

770 mk., a najwyższa w roku 1911 sięgała 1.700 mk. Za sprzedane zboże i okopowe w ciągu dziesięciu lat miałem 8.300 mk. dochodu, a za sprzedany inwentarz 630 mk.

Najwięcej gotówki za zboże otrzymałem w roku 1912, bo aż 1.200 mk., a najwięcej za inwentarz otrzymałem w roku 1916, bo aż 1.800 mk. Rok 1912 był rokiem, w którym dochodowość zbożową podciągnąłem do maksimum, poczem strona ta zaczęła maleć na korzyść strony hodowlanej. Sztucznych nawozów włożyłem w moją rolę 340 ctr. za 1.100 mk., przeciętnie płaciłem za jeden ctr. saletry 13 mk., za jeden ctr. tomasówki 3 mk., za superfosfat 3,50 mk., a za 40% sól potasową 4,20 mk., za kainit 1,20 mk.

Zboże sprzedawałem: pszenicę od osiem mk. do dziesięciu w ciągu ośmiu lat, a w ostatnich dwóch latach do 13,40 mk.; za żyto od sześciu do ośmiu mk., a w ostatnich dwóch latach dziesięć do 11,40 mk. Miałem ładne żrebaki, które sprzedawałem do majątków po 140 do 150 mk. Tuczniaki sprzedawałem po 90 mk. do 170 mk. za sztukę. Cielęta przeciętnie po dwanaście mk., a prosięta od 18 do 40 mk. za sztukę. Nabiał mało przynosił, bo rodzina się powiększała, więc zużywało go się w domu.

W przeciągu tych dziesięciu lat rodzina powiększyła się o siedmioro dzieci. Na trzydziestomorgowym gospodarstwie przy pracowitości i ograniczeniach się do potrzeb na miarę chłopską najniezbędniejszych, zaoszczędziłem 5.000 mk. Pokupiłem maszyny: do młócenia, wialnię, kierat, płużki, brony, maszynę do szycia i wiele innych drobniejszych narzędzi i trochę mebli. Reparacje i drobne narzędzia kosztowały mnie przeciętnie 45 mk. rocznie. W gospodarstwie miałem też przypadki: zmarnowała mi się klacz najlepsza, dwie krowy i kilka razy wyzdychały mi świnię na pomór i czerwone. Miałem dwa procesy graniczne, które kosztowały mnie 300 mk. i trwały blisko trzy lata. Sąsiedzi skarżyli mnie w myśli, że między graniczne wkraczają w ich własność. Powyciągałem mapy katastralne i z archiwum w Bydgoszczy, które wskazywały, że moja ziemia znajduje się w użyciu sąsiadów już od lat wielu. Pogodziłiśmy się i powyznaczali granice przy pomocy miernika.

Pracując w Niemczech długie lata zaopatrzyłem się w garderobę tak dostatecznie, że nie potrzebowalem sobie na gospodarstwie kupować, bo mi wystarczała zupełnie. Wydawałem jedynie na ubrania robocze. Moja żona tak samo była zaopatrzona. Dobrze przedwojenne materiały nie niszczyły się przy oszczędnym używaniu i starannem obchodzeniu się i miały tę zaletę, że pięknie wyglądały.

To zaopatrzenie ograniczało nasze wydatki, bo nie potrzebowaliśmy nic na nowe garnitury wydawać, a garderoba małych dzieci skromna i oszczędna niewiele kosztowała.

Nie robiliśmy prawie żadnych dalszych wyjazdów dla naszej przyjemności. Najdalszą i prawie jedyną podróżą była dla mnie, mojej żony i matki podróż do Częstochowy i Jasnej Góry, którą w roku 1907 odbyliśmy.

Ograniczałem się zawsze jak mogłem, bo wiedziałem, że dla utrzymania licznej rodziny i starannego wychowania siedmiorga dzieci trzydziestomorgowe gospodarstwo jest za małe. Więc nosiłem się z zamiarem dokupienia ziemi i czekała mnie przebudowa walących się już prawie budynków mego gospodarstwa. Przy wzrastających zyskach miałem jednak wiarę, że zdołam wszystkiemu nałożyć podoląć. Przyniosłem na gospodarstwo 6.000 mk., więc pozostało mi 1.200 mk. w banku. Początkowo musiałem z tych pieniędzy dokładać do gospodarstwa. W roku 1916 miałem 6.000 mk. depozytu w banku, 600 mk. udziału bankowego i 200 mk. udziału w „Rolniku”. Szwagierki młodsze miały po 1.000 mk., a starsza 1.800 mk. pieniędzy ze spłaty i z własnego zarobku. Szwagrowie pracujący w Niemczech posiadali również po kilka tysięcy w Banku Ludowym w Żerkowie, starszy miał 4.000 mk., a młodszy 2.000 mk.

Przez dobrobyt i gazety polskie przychodzili nasi chłopci do świadomości narodowej i patriotyzmu. Pracowali, oszczędzali i składali oszczędności w bankach spółdzielczych. Kupowali działki, budowali się, wykupywali nawet Niemców i tak szło do wojny. Od Żydów coraz mniej kupowali, to też Żydzi wynosili się. W naszym miasteczku Żerkowie do 1870 r. było aż 80 rodzin żydowskich, a do roku 1910 zostało jeszcze dziesięć, a teraz jest tylko jedna rodzina żydowska. Byłbym dzisiaj w spokojnym na mą miarę dobrobycie korzystał z owoców mej pracy, gdyby nie fatalne skutki gospodarcze wojny światowej. Kończę kwitnący gospodarczo dla nas okres przedwojenny i początkowy wojenny, aby wkroczyć bezpośrednio do wojny.

VI.

N a w o j n i e

W roku 1914 zaczął się pobór ludzi i koni. Miałem śliczną, młodą kasztankę, którą wojskowa komisja ewidencyjna zaraz przy pierwszym poborze zatrzymała. Dostałem kwit, z którym pojecha-

łem do Banku Rzeszy w Poznaniu i otrzymałem 750 mk., według mego mniemania dobrą zapłatę. Przy drugim poborze już wypłacono ceny wyższe, za takiego konia jak mój, płacono 1200 mk. Mieszkaliśmy na samej granicy, więc żyliśmy w obawie rozegrania się walki na terenach naszych wiosek. Dla naszego szczęścia cofły się rosyjskie straże graniczne, wojsko rosyjskie do granicy nie przyszło, a do naszych wiosek przymaszerowało moc wojska niemieckiego i rozkwaterowało się po domach. Krzywdy nam się tu nie działy, bo chociaż Niemcy zabierali konie i wozy, to jednak za nie płacili.

Żołnierzem nie byłem, więc dopiero 15 lipca 1916 r. zostałem powołany przez komendę wojskową w Jarocinie i przekazany wyższej komendzie w Śremie. Przeznaczony do piechoty w Jarocinie, zostałem przez Śrem wysłany do Labiau (Łabiawa), miejscowości oddalonej pięć km. od zatoki kurońskiej w rekruty. W Labiau było depo rekrutów, ćwiczące rekrutów bojowych i garnizonowych. Zostałem przydzielony do rekrutów bojowych. Ćwiczono nas forsownie, gorączkowo, ażeby jaknajprędzej wyćwiczyć. Pojmowałem szybko i dobrze się uczyłem, to też byłem przez oficerów przedstawiany za wzór kolegom. Zwracali się oficerzy do kolegów z zapytaniami: czemu oni tak jak ja się nie uczą? — On na żołnierza stworzony, a my nie — odpowiadali rekruci. Uczyłem się pilnie, bo myślałem, że przydam się jeszcze Polsce. Szło mi dobrze i nikt mi przykrości nie wyrządzał.

Po upływie trzech i pół miesiąca, w dniu 1 listopada zostaliśmy rekruci z pierwszej kompanji ósmnastego bataljonu pospolitego ruszenia wysłani do Tylży, do pierwszego zapasowego regimentu infanterji na uzupełnienie ćwiczeń wojskowych. Przez cały listopad w brygadach i dywizjach manewrowaliśmy w okolicy Tylży. Pierwszy bataljon, do którego należałem, został wysłany 20 listopada do Kłajpedy na Kurońską mierzeję na jednodniowe ćwiczenia w ostrem strzelaniu. W kilkukilometrowej głębi wąskiej młodo zalesionej mierzei znajdował się otwarty plac ćwiczeń. Strzelaliśmy na placu całemi kompanjami i oddziałami w kierunku podłużnej linii mierzei i w przerwach na rozkaz naszych kapitanów wstępowaliśmy na wysoki piaszczysty wał nadbrzeżny oglądać wody morza Bałtyckiego.

W całej dywizji z wszystkimi gatunkami broni składaliśmy główny egzamin (besichtigung) 30 listopada. Na rozłogach tylżyckich markierowaliśmy bitwy, fechtunki, bombardowanie i t. p. Pod koniec egzaminu nastąpiła krytyka; nasza kompanja przechodziła

obok sztabu i słyszeliśmy, jak generał mówił: „die Manschaften machen gut, sehr gut, aber die Offiziere dauchen“) nichts”. Po krytyce przygłopolował kapitan Hoffmann, dowódca naszej drugiej kompanji, do nas i zawołał: „Leute, ende gut, ales gut”, poczem z muzyką w parady wkraczaliśmy po południu do miasta Tylży. W Tylży kazał nam kapitan dobry obiad dać, a późnym wieczorem furmanki dla naszych tornistrów i z muzyką odprowadzał nas na dworzec. Na dworcu zegnał się kapitan czule z każdym żołnierzem, wysyłając naszą kompanję do Królewca, a my czuliśmy, że rozstajemy się z dobrym dla żołnierzy dowódcą.

W nocy 1 grudnia 1916 r. przybyliśmy do Królewca do czter-nastego bataljonu pospolitego ruszenia pod nazwą Hardershoff do drugiej kompanji, zwanej Sammelkompanją, czyli kompanją zbiorową. Na drugi dzień Sammelkompanja odesłała nas do k. v. kompanji czyli kompanji bojowej. Kompanja bojowa wyszykowała nas trzeciego grudnia na front. Stanęliśmy na placu zbiórki gotowi do odjazdu, gdy wystąpił feldwebel (sierżant sztabowy) i rozkazał: ci, których teraz wywołam, wystąpią trzy kroki naprzód. Między wywołanymi, których było dwudziestu, znalazłem się ja. — Pójdziecie spowrotem do Sammelkompanji — rozkazał. Pozostali zdziwili się. — Wyszło z ministerstwa rozporządzenie, mocą którego wszyscy starsi, którzy mają powyżej sześciorga dzieci, nie będą wysyłani na front, aż do czasu odwołania rozporządzenia — wyjaśnił feldwebel. Przybyłem spowrotem do Sammelkompanji. Tu nie dali mi próżnować, lecz posyłali mnie na kursy. Byłem najprzód na czterotygodniowym kursie krankenträgerskim, potem na trzytygodniowym kursie bombowo-gazowym i na sześciotygodniowym kursie podoficerskim. W końcu wysłał mnie feldwebel na dwunastotygodniowy kurs sanitarny. Stawilem się z pięcioma kamradami (kolegami) przed Oberstabsartztzem (doktor-major), który żadnego z nas nie przyjął. — Was nie warto uczyć, za starzy jesteście, na przyszłą wojnę nie pójdziecie — powiedział Stabsartzt — a choćbyście i długo żyli, to po 60, a może 70 lat skończycie, zanim do wojny przyjdzie — dokończył. Miałem 44 lata, więc powróciliśmy do Sammelkompanji i feldwebłowi opowiedzieli, co słyszeli. — Wysłałem mu co zdolniejszych żołnierzy — oburzył się feldwebel — na przyszły raz, to wszystkich idjotów posłę.

Teraz wyuczyłem się w Sammelkompanji służby garnizonowej. Gdy już wszystkie kursy i nauki z wynikiem dobrym skończy-

*) t. j. taugen.

łem, nastąpiła wiosna. Wiosną cywilna ludność miasta Królewca wszczęła rozruchy głodowe, które trzeba było uśmierzać. W nocy patrolowaliśmy po mieście, a w dzień pilnowaliśmy wozów, rozwożących prowianty po mieście, aby cywilna ludność nie rozkradła.

Pewnego razu byłem odkomenderowany wraz z kamradem Frycem do pilnowania wozów. Dostaliśmy pod nasz dozór wóz nalożony mąką, rozwożoną do piekarni i składów. Gdy wjechalismy do dzielnicy robotniczej, znaleźliśmy się wśród mnóstwa starych i młodych kobiet, płaczących i żałujących się na ulicy, że mąkę w rzece Pregole (stęchłą) topią, a one chleba nie mają. — To nasi mężowie, synowie i wnucy na froncie walczą — lamentowały — a wy z karabinami i w uzbrojeniu, czy wy nas chcecie pozabijać. — Krzywdy wam nie wyrządę, jakkolwiek Polak jestem — powiedziałem. Ogarnął mnie wstyd, że wśród bezbronných kobiet trzymam karabin, jak do gefechtu, więc zluzowałem rzemień, przewiesiłem karabin przez plecy i postępowalem sześć kroków za wozem. Fryc, chłop tęgi jak niedźwiedź, z zawodu fornał od jakiegoś tam barona niemieckiego, człowiek niezły, ale głupi, pilnował wozu energicznie. Więc, gdy pewna rzeźka niewiasta dopadła wozu, rozpruła scyzorykiem mały w worku otwór, drapła ręką mąki i w nogi, Fryc popadł w złość, zastąpił jej i uderzył karabinem w piersi. Kobieta upadła i zalała się krwią, a Fryc byłby pewnie z wszystkimi rozprawił się tak, lecz ja widząc co się dzieje, zdjąłem karabin i uderzyłem Fryca w piersi, że Fryc nogami się nadział. Fryc zrazu nie wstawał, więc kobiety chciały go nogami podeptać, gdy to Fryc zmiarkował, wstał i jak wściekły poleciał na komendanturę mnie oskarżać. Kazałem woźnicy dalej rozwozić i odbiorcy poleciłem worek z mąką zważyć. Po zważeniu brakowało 1 funt, więc chciałem reperację worka i ten funt mąki zapłacić, lecz odbiorca pieniędzy nie przyjął. Gdy już wóz był opróżniony, wracaliśmy spowrotem, a kobiety ciekawe, co z tego wyniknie, szły w gromadce za nami. Na ulicy spotykałem oficera z ośmiu żołnierzami, który idzie stwierdzić zajście i mnie aresztować. — „Im Name des Gesetze sind Sie mein Arestant” — odzywa się do mnie. — Zu Befehl — odpowiadam i składam mój karabin na bruk. Odpasuję również moje rzemień i idę aresztowany do komendy. Oficer przeprowadził śledztwo, po dwóch godzinach pomaszzerował ze mną i z Frycem na sąd wojenny. Na rozprawie Fryc oskarżał mnie mocno, a że był głupi, więc przesadzał. Okazało się, że z igły zrobił widły, a z muchy słonia. Ja w swej obronie powiedziałem dłuższą mowę, w której zaznaczyłem, że nie jest moją żołnierską powinnością roztrącać ordynarnie po ulicach

głodne, uczciwe i zacne kobiety niemieckie. Jeśli komenda przeznacza mnie do walki, to niech mnie wyśle na front. Sąd przyznał mi rację i zwolnił mniej od obowiązku patrolowania i dozoru wozów. Fryca osądził na 14 dni aresztu, a kobiecie dał opiekę lekarską wojskową i kazał ją zaprowiantować z prowiantów wojskowych. Całe to zajście miało miejsce w końcu kwietnia, a 18 maja wyjeżdżaliśmy z Frycem i wielu innymi kolegami na front. W drodze mówię do Fryca — co będzie, jak się dostaniemy do oddziału męża owej zmaltretowanej przez ciebie niewiasty? — Fryc zafrasował się.

Wysiedliśmy na Łotwie w Mitawie. Z Mitawy pomaszzerowaliśmy na front do miejscowości Skraby do pierwszej sanitarnej kompanii. W Skrabie mieliśmy naznaczone mieszkanie w ziemiance. Wchodzimy do ziemianki i zastajemy w niej czterech szeregowców z kapralem. — Dzień dobry — pozdrawiamy ich, a kapral nas wita — to są bohaterzy z Królewca, którzy bezbronne kobiety mordują. Słyszysz Fryc — mówię do Fryca — już cię poznał. Kapral był mężem kobiety, a jego towarzysze pochodzili z Królewca. Byli już o wszystkim poinformowani, mieli nasze fotografie, które nam przedstawiali. Gniewali się na Fryca i chcieli go pobić, musiałem stanąć w jego obronie i perswazjami zdołałem ich jakoś ułagodzić. Szło mi tu dobrze, kamrady przyjaźnili się ze mną, nawet mnie ochraniali, Frycowi było bardzo źle; mieliśmy długie marsze, a on nie mógł podołać pieszej służbie, a w dodatku koledzy dokuczali mu stale twardeymi wymówkami na tle królewieckiego zajścia. Nasz feldwebel Hirszfeld lubił słabych piechurów na wozy w marszu wsadzać. Przybrał sobie mnie do pomocy. Miał feldwebel charakter biboszewski, bo kogo przy mej pomocy wsadzał, to tylko krzyknął — trzymaj się — i już ten był po drugiej stronie woza. Wozy były w ruchu, a feldwebel chwycił z drugiej strony i znowu przy mej pomocy wsadzał. Fryca tak samo musieliśmy wsadzać. Fryc często płakał, więc litowałem się nad nim i razu jednego prosiłem feldwebła, ażeby go dał do furgonów, bo nasza sanitarna kompania miała 20 wozów i 50 koni. Feldwebel przychylił się do mej prośby i posłał Fryca do furgonów, a Fryc za to chciał mi na każdym kroku wdzięczność okazać, lecz ja jego wdzięczności na razie nie potrzebowałem. Służba wojskowa nie była mi trudną, współtowarzysze lubili mnie z moją wzajemnością, więc panowała między nami zgoda, a tylko na Fryca patrzeć przyjaźnie nie mogli.

Wojska niemieckie wyznaczały 15-kilometrowy pas frontowy wzdłuż czoła frontu. Na tej przestrzeni była wyewakuowana przy-

musowo wszystka ludność cywilna i nie wolno było cywilnemu człowiekowi pokazywać się. Nic też na tej przestrzeni nie było można widzieć, jak tylko samych żołnierzy i konie wojskowe. Niemcy nie dali i roli próżnować i tak daleko jak cywilnych nie było, żołnierze rolę uprawiali; siali zboże, sadzili ziemniaki i warzywa, porządkowali podwórza, zawozili doły po gnoju w podwórzach, a budowali gnojownie po zewnętrznej stronie zabudowań i budowali budynki gospodarskie w opuszczonych gospodarstwach. Kosili, sprząтали, młócili i wszystko robili jak najlepsi koloniści na własnym gospodarstwie. W wiosce Magasinhoffie budowali 44 metr. długi, a 12 metr. szeroki lazaret; postawili mury, drzewo zaciągali i tylko nie skończyli przed ofensywą na Rygę. Niemcy mieli trzy kategorie wojska, pierwszą bojową, walczącą, drugą armirung, pracującą, i trzecią etapę, która była żołądkiem ciała wojskowego, starała się o żywność i wszystko co dwie pierwsze potrzebowały.

Nasza władza wojskowa dała nam rozkaz chwywania i odprowadzania na Komendanturę każdego schwytanego człowieka cywilnego, za schwytanie szpiega była przeznaczona nagroda 14 dni urlopu i 25 mk. pieniędzy. Pewnego razu wybrało się dwóch do boru na jagody. Spotkaliśmy tam zbierającego jagody człowieka cywilnego. Zabraliśmy go i przyprowadzili do naszego dowódcy z żądaniem wzamian 14 dni urlopu, a o 25 mk. wspaniałomyślnie nie dopominaliśmy się wcale. Człowiek był Łotyszem i nikt z nim rozmówić się nie umiał. — Wy dwa bibosze trafiliście biednego człowieka na jagodach, przyprowadziliście i za to chcecie urlopów — powiedział do nas dowódca — urlopów ja wam dać nie mogę. — To choć teraz szpiega złapiemy, to go nie zabierzemy — odpowiadamy. — Zaprowadźcie go do kuchni, każcie mu dać jeść i zaprowadźcie go tam, skąd go wzięliście — powiada dowódca — i takich szpiegów jak ten mi nie przyprowadzajcie. — My żadnego więcej nie przyprowadzimy — odpowiadamy. — Wszyscy chcielibyście do domów iść, a któż będzie wojował? — zapytał i dodał — daję wam urlop do wieczora, możecie iść na jagody. Zaprowadziliśmy człowieka do kuchni. Kucharze od niego jagody kupili i dali mu jeść, poczem poszliśmy razem z nim na jagody i pokazaliśmy mu na migi, żeby więcej tu nie przychodził, boby go zastrzelili. Człowiek sobie poszedł.

Pomiędzy Mitawą a Rygą prowadziliśmy przez czerwiec, lipiec i sierpień nasze życie wojenne. Sanitarja miała mało pracy z rannymi, więc zaprowadzaliśmy niemiecką kulturę na Łotwie i pracowaliśmy na roli i przy budowie. Na 20 sierpnia była planowana

ofensywa na Rygę, lecz została odłożona. O godzinie 12 w nocy w dobie 1-go września otwarto ofensywę. Nasza sanitarna kompanja była przygotowana na wszystko. Staliśmy blisko linii bojowej; granaty nas sięgały, a za nami stało całe gros wojsk niemieckich. Od 12-tej w nocy do 6-tej rana stanęliśmy przygotowani w miejscu, bo dla nas pracy jeszcze nie było. Nie w stanie jestem opisać myśli i uczuć, które mnie w tych dręczących chwilach oczekiwania przechodziły. Działa grały, kulomioty klekotały, karabiny ręczne grzechotały, raz poraz ciężkie detonacje słychać było — to mnie denerwowało. Ja fechter doskonały, strzelec dobry, w marszach wytrzymały i ja tu mam stać beczynnje, to mnie pobierało jakieś rozczulenie, współczucie; wołałbym być w boju, jak tu beczynnje wyczekiwać tej udręki i bólu ludzkiego.

Przychodziło mi znów na myśl, że to przecież nie idzie o polską sprawę, a o wrogów naszych, więc mnie uspakajało i godziłem się z moim losem, że nie byłem powołany do zadawania śmierci i ran i nawzajem na to wystawiony, lecz do kojenia bólu i niesienia pomocy bliźniemu.

O 6-tej rano Rosjanie zaczęli się cofać, wojska niemieckie postępowały za nimi, a nasza kompanja poszła do pracy, której było dużo. Zbieraliśmy i opatrywaliśmy rannych. Miałem w parze przy noszach mocnego 25-letniego Hermana, tośmy się uwijali, żeby jak najwięcej ulgi przynieść. Braliśmy rannych z całym gepekiem i z karabinem, więc nosiliśmy ciężary 2 ctr. i więcej. Mój Herman pracował pilnie, niestety, zesłał i zachorował, a w jego miejsce dostałem Müllera, pochodzącego z Berlina, człowieka dobrego, lecz słabego i szedłem z nim w linię bojową zbierać rannych. Pewnej godziny bierzemy rannego na nosze i chwytamy drążki noszów, ja sprzodu, on styłu, a tu naraz salwy karabinowe i granaty padają na nas. Pędem biegnę z noszami i rannym pomiędzy drzewami boru. Müller się wywrócił, lecz trzymał się noszów, a ja nie zważając na jego mazgajstwo w tak krytycznej chwili, biegłem naprzód. Müller zahaczył się opień i od noszów się urwał, a ranny spadł, a ja przybyłem na plac opatrunku tylko z noszami. Müller przyszedł za mną i zwrócił się do lekarza ze słowami, — Walek mocny jak koń, ja z nim nie mogę podołać. — Właśnie my tu na placu takiego potrzebujemy — dostał odpowiedź. Müller dostał nosze i poszedł z innym po rannego, a ja zostałem na placu opatrunkowym. Tu ładowałem rannych na wozy, a gdy lekarz zauważył, że umiem dobrze

opatrunki zakładać i rany owijać, w moje miejsce do ładowania przyszedł inny, a ja zostałem przy opatrywaniu ran.

Opatrzonych rannych, chorych poodsyłaliśmy wtył, pracę skończyliśmy, spakowaliśmy nasze rzeczy i poszliśmy w dalszy marsz na Rygę.

Przybyliśmy szosą pod Rygę. Po obu stronach szosy znajdowały się przedmieścia; po prawej stronie mówiono, że jest Donburg, a po lewej Dornburg. Przed Dornburgiem zatrzymała się nasza kompanja na szosie. Po lewej strony szosy w nowym, bardzo rozległym parku stał biały, kolosalny i piękny gmach, który zwrócił uwagę wszystkich żołnierzy.

Dowódca naszej kompanji zlustrował kompanję dokładnie, potem szedł wolnym krokiem ku przodowi. Zatrzymał się przede mną, wskazał na ten gmach i łagodnie zapytał — Kto tu mieszka? — Może jaki bożek ruski — odpowiadam. — To bożek słowiański — mówi — widzicie jego mieszkanie i widzieliście mieszkania jego poddanych; on wszystko pożarł (aufgefressen) i pękl, a jego poddani pomarli. Taka jest kultura słowiańska. Kompanie — marsz — zakomenderował i ruszyliśmy z miejsca. Dotknęły te słowa struny moich uczuć narodowych i pobudziły do myślenia. Przy-maszerowaliśmy nad Dźwinę. Był śliczny dzień 2-go września, słońce świeciło pełnym blaskiem, a żołnierze pozrzucali tornistry i na bruk miejski pokładli się z ciężkiego przemęczenia. Postarałem się o wodę dla nich, bo byli spragnieni i podawałem leżącym.

Niemiecka artylerja ustawiła działa w kierunku Rygi, a wojska przeprawiały się na parostatkach przez Dźwinę do miasta.

Z naszej kompanji przeprawiło się nas ośmiu na wyszukanie kwater dla naszej kompanji. Zarekwirowaliśmy zabudowania uniwersytetu*) i na drugi dzień wkroczyła nasza sanitarna kompanja do Rygi i zakwaterowała się w uniwersytecie. Pracy było dużo, więc pracowaliśmy nad dezynfekcją i rannymi przez dwa tygodnie, a trzeci tydzień odpoczywaliśmy. Furgoni z naszej kompanji skoro znaleźli się na uniwersytecie, zaraz pooglądali wszystko, a dwaj kamradzi Michel i Wilem znaleźli słoiki z konserwowanemi w płynie płazami. Pomiarkowali odrazu, że to czysta okowita, więc paskudne robactwo powyrzucali, a płyn przez chusteczki od nosa przecedzili i zapijali sobie z wielką smaką. Żołnierze znaleźli książki, więc przyniósł mi tu jeden kolega książkę do czytania, pisaną w niemieckim języku. Dowiedziałem się z niej poraż pierwszy o ist-

*) mowa o politechnice.

niejącem w średniowieczu prawie pierwszej nocy, z wielkiem zdziwieniem, że podobne prawo w chrześcijańskim świecie istnieć mogło.

W końcu września nasza 22-ga landwerdywizja została wysłana na Wołyń w okolice Kowla do zluzowania wojsk austriackich, mających wyruszyć na front włoski. Przybyliśmy 1-go października przez Kowel i Lubitówkę do wsi Skóratu. Stąd wychodziły bataljony wojsk austriackich do stacji Lubitówki. Przypatrywałem się wchodzącym bataljonom i zauważyłem z pewną dumą, że bataljony złożone z żołnierzy galicyjskich przedstawiały się najokazalej, posiadały najdorodniejszych i najlepiej zbudowanych żołnierzy.

Po naszym przybyciu na Wołyń z wyższego sztabu miało wyjść postanowienie, mocą którego nasza dywizja miała być wysłana na front francuski. Słyszeliśmy, że generał naszej dywizji oparł się temu postanowieniu i na radzie wojennej wskazał na dywizję 107-mą, która już półtora roku na Wołyniu bez bojów przebywała, gdy 22-ga dywizja zmęczona i podniszczona po ofensywie ryskiej potrzebowała wypoczynku. Zdecydowano losowanie; 107-ma dywizja wyciągnęła los i została wysłana do Francji, a nasza dywizja pozostała na Wołyniu do 27 kwietnia. Tu zmienialiśmy stale pozycje i w ciągu pół roku przebywaliśmy kolejno w kilkunastu miejscowościach wołyńskich.

W tym czasie ataman Ukrainy Petlura wzywał pomocy wojsk niemieckich. Zimą w Nużlu został przez feldwebła przeczytany rozkaz, że mamy iść w pomoc Ukrainie.

Sluchającym żołnierzom nie podobał się ten rozkaz; woleliby do domu jak na Ukrainę, lecz oficerowie powiedzieli — rozkaz.

Poszliśmy do Łucka rozpędzać bolszewików i gdy piechota poszła dalej, nasza sanitarna kompanja powróciła do Poworska.

23-go kwietnia wyjeżdżaliśmy z Poworska do Berdyczowa na Ukrainę. W Berdyczowie stacjonowaliśmy tydzień i wyjechaliśmy do Kijowa.

Po tygodniowym pobycie przyjechał do Kijowa wojenny lazaret i rozkwaterował się, a my zostaliśmy wysłani do Odessy. Po tygodniowym pobycie sanitarnej kompanji usadowił się znowu lazaret wojenny w Odessie w naszym miejscu, a nasza sanitarna kompanja otrzymała rozkaz powrotu do Berdyczowa. Naszym oficerom - doktorom podobało się bardzo w Kijowie i Odessie, to też i siarczyście gniewali się na lazaret wojenny, że po wszystkich naszych trudach torowania drogi usadowił się wygodnie w tych miastach, a my musieliśmy wracać do zażyzonego Berdyczowa.

Pomoc niemiecka drogo kosztowała Ukrainę. Każdy załogowy żołnierz niemiecki kosztował oprócz całkowitego utrzymania 6 mk. dziennie wypłacanego żołdu. Za generała Eichhorna, który miejsce Petlury zajął, otrzymywaliśmy początkowo 2 mk. dziennie, później 4 mk. dziennie. Po zamordowaniu tego generała armii niemieckiej, będącego naczelnym rządcą Ukrainy, wszczęto dochodzenia co się stało z zatrzymanymi przez niego pieniędzmi. Okazało się, że ich nie ukradł, lecz zużył na cele wojenne.

Po śmierci Eichhorna dostawaliśmy 6 mk. dziennie, a wkońcu 14 mk. dziennie. Wojskowa gospodarka niemiecka była dobra. Pokasowali markietanki, a przeprowadzali kantyny w kompanjach, bataljonach i regimentach. Czysty zysk z kantyny dzielono pomiędzy żołnierzy. Z kantyny kompanji dzielono zysk między żołnierzy kompanji, z bataljonu między bataljon, a z regimentu między żołnierzy regimentu. Przed załogą ukraińską dostawaliśmy 50 f. dziennie żołdu, wypłacanego co 10 dni, uczyniło to 5 mk. na dekadę. Dostawaliśmy co miesiąc czysty zysk z kantyn, który wynosił od 2 do 5 mk. na żołnierza. Dostawaliśmy także kontrybucję w wysokości od 2 do 5 mk. i jeszcze inne datki. Jeśli do tego wziąć pod uwagę renty, jakie żony i dzieci żołnierzy dostawały (moja żona pobierała 90 mk. miesięcznie), to można się przekonać, że żołnierz niemiecki był drogi. Niemcy starali się o dobrobyt swoich poddanych.

Byłem prostym szeregowcem, lecz byłem używany w razie potrzeby do czynności podoficerskich i byłem wysłany na czasowy pobyt do różnych komend w okolicy. Pewnego razu zostałem wysłany do rekwirowania. Rekwirowanie uważałem za jawny rabunek, więc nie nadawałem się do tej funkcji i tylko raz zostałem do tego celu użyty.

Poszliśmy na rekwirowanie koło Humania. Spotkaliśmy prawosławny klasztor i weszliśmy w jego zabudowania. Był z nami doktor - porucznik, nas dziesięciu i dwa wozy. Doktor - porucznik, Polak Nowicki, ja i czterech jeszcze kamradów weszliśmy do klasztoru, reszta pozostała na podwórzu. Oczom naszym ukazali się niezwykli ludzie; byli to bardzo wysokie i strasznie chude postacie mnichów z długimi brodami. Niemcy w jednej chwili z wielkiego zdziwienia pomilkli, oczy i gęby pootwierali i jak urzeczeni patrzeli, bo jeszcze tak chudych i wysokich postaci nie widzieli. Czterech mnichów przyniosło w krzesła staruszka przeora. Wszyscy Niemcy pogapieli na ten widok, jeden tylko Polak Nowicki nie stracił rozumu i naszą misję załatwił za doktora i wszystkich. Nowicki sprawił

się dobrze, bo dostaliśmy od mnichów prowianty. Teraz Niemcom rozwiązały się języki i zaczęli z wielkiem zainteresowaniem między sobą gadać, co to za ludzie, co tak wysocy i chudzi porośli. Kamrad Nowicki wytłumaczył im, że oni na mnichów z młodości są szykowani i kastrowani, więc tak bardzo wysocy i chudzi porosną. Kamrady Niemcy odrazu uwierzyli i mówili, że tak jest jak kamrad Nowicki powiada.

Skorośmy przyjechali do naszej kompanji, to kamrady poopowiadali wszystkim kamradom, że widzieli kastrowanych ludzi i że ci ludzie wcale inaczej wyglądają. Kamradów wzięła ciekawość i wszyscy chcieli do Humania jechać i tych mnichów zobaczyć. Dowódca nie wiedział o co wszystkim kamradom chodzi i gdy mu powiedzieli skarcił Nowickiego za opowiadanie takich głupstw, a kamradom powiedział, że Nowicki z nich żartował, a oni tacy głupi i wierzą. Kamradzi upierali się, że tak jest jak kamrad Nowicki mówił. Dowódca powiedział, że wkrótce cała kompanja zostanie wysłana do Humania, to będą mogli tyle razy tych mnichów oglądać, ile zechcą, i na tem się skończyło, bo do Humania nie przyszlśmy.

Na Ukrainie doznałem wielu wrażeń i przygód, których mój szczypty pamiętnik pomieścić nie zdołałby.

Miałem tu styczność z ludźmi wszystkich stanów z całych okolic, bo jeździłem po całej gubernji kijowskiej w towarzystwie katolickiego księdza wojskowego, przy którym pełniłem służbę towarzysza zbrojnej ochrony przez sierpień, wrzesień i październik. Więc przez trzy miesiące przebywałem w towarzystwie młodego, trzydziestoletniego księdza Józefa Sthala z prowincji Nassauskiej. Kwaterowaliśmy w Berdyczowie, a wyjeżdżali nieraz do dalekich okolic. Jeździliśmy koleją, podwodami, konno i różnie. Zajeżdżaliśmy do dworów, miasteczek, wsi i różnych kwater wojskowych.

W naszej podróży byliśmy często głodni, a gdy nam głód bardzo dokuczał, to wchodziliśmy w zażarty antagonizm słowny z sobą, który uśmierzały udzielane nam posiłki na miejscach naszego przybycia. — Kiedy znowu pokłócimy się? — pytał żartobliwie ksiądz po skończonym posiłku. — Jak będziemy głodni — odpowiadałem. Mieliśmy z sobą wiele do mówienia. — Obejście waszych polskich księży z chłopami jest nacechowane stanową wyższością i gorsze od niemieckich księży — powiedział pewnego razu. — Też dobrze z nami obchodzą się — odpowiadam. — Udowodnię wam, że nie — powiedział. — Piszecie do waszego proboszcza? — spytał na drugi dzień. — Nie — odpowiadam. — Dlaczego? — pyta. —

Pomyślałby sobie, co ten głupi chłop sobie myśli; nie jestem jego równy ani przyjaciel, a zdobywa się na śmiałość do mnie pisać, — powiedziałem. Przypomniało mi się w tej chwili, jak będąc czternastoletnim chłopcem słyszałem z ambony w kościele, w mojej parafji, jak ksiądz wypraszał sobie pozdrowienia w listach od robotników pisanych po metrykę. Pouczał — napiszcie tylko wyraźnie, co żądacie i nic więcej, żadnych pozdrowień nie dodawajcie.

Przybyliśmy do naszych kwater, ksiądz zaprosił mnie do siebie. Wszedłem, siadłem przy stole — tu przypomniałem sobie, że jeszcze u żadnego księdza polskiego proszonym do zajęcia miejsca w krześle nie byłem — i czekałem na pakiet, który ksiądz przede mną położył. — Bierzcie i czytajcie — mówił ksiądz. Rozwijam pakiet, a tu same listy. — Nie lubię cudzych listów czytać — oświadczam. — Bierzcie i czytajcie — powtarza ksiądz — tylko ich nie mieszajcie. Oglądam listy; są od lekarzy, sędziów, adwokatów, od pań, a największa ilość od chłopów i robotników. Oglądam listy chłopów i robotników i widzę pismo szczere, serdeczne, lecz i nieforemne. — Wstyd by mi było takie nieładne pismo posyłać — odzywam się do księdza. — Tym listom ja się najwięcej cieszę — odpowiada ksiądz — są one serdeczne, szczere i tych małych i biednych ja najwięcej kocham.

Miałem rozkaz towarzyszyć memu księdzu wszędzie i nie odstępować od niego. To też bywałem z nim w czasie podróży w szlacheckich dworach, w pałacach i byłem z nim proszony do domów wysoko wykształconych obywateli Berdyczowa. Inaczej było u polskich księży. W naszych podróżach odprawiał mój ksiądz msze św. na napotkanych polskich kościołach. Gdy zgłaszaliśmy się na probostwie, ksiądz mój przedstawiał mnie jako swego towarzysza i Polaka. Po nabożeństwie był zapraszany na probostwo. Zabierał mnie wszędzie ze sobą, więc i tu powoływał mnie do swego towarzystwa. Gdy wchodziliśmy puszczałem mego księdza przodem, lecz po jego wejściu proboszcz miejscowi drzwi przede mną zatrzaskiwali, ja zostawałem na dworze. Wszędzie w podróży wymagał ksiądz Sthał mego towarzystwa przy sobie i nigdzie w tem przeszkody nie znalazłem, dopiero u polskich księży. Tu jednak ks. Sthał nie powoływał mnie dalej, bo go zadawała, że naocznie na niezbitym przykładzie może udowodnić, że księża polscy robotników i chłopów nie tylko lekceważą, ale i nimi pogardzają.

W końcu moich podróży przybyliśmy do Połonnego na Wołyniu, do ks. proboszcza Cichockiego. Proboszcz Cichocki okazał się innym

od poprzednich, bo przyjął mnie serdecznie i chciał mnie ugościć. Lecz moja дума stanowa była tak podrażniona, że nie przyjąłem już nic z gościnnego stołu ks. Cichockiego.

Postanowiłem sobie, że choćbym z głodu umierał, choćbym z pragnienia upadał, a z mrozu pod plebanją drętwiał, o niczym księdza polskiego nie poprosił, boby mnie swoją wysoką dumą stanową do roli najędźniejszego żebraka poniżył i innym biednym do jałmużny polecił, a sam nie podałby mi tego. Nie twierdzę tutaj, aby księża polscy byli skąpi; są oni owszem szczerzy, lecz dla tych, których uważają za swoich równych. Podróże z księdzem Sthalem wzbogaciły mnie w nowe doświadczenia życiowe. W końcu października rozstaliśmy się, bo mego księdza służba powołała do Żytomierza, a ja zostałem w Berdyczowie.

Miałem styczność z polską szlachtą, księżmi, popami i chłopami ruskimi, z którymi niejednokrotnie rozmawiałem. Oficerowie niemieccy, jak słodko do polskiej szlachty przemawiali, tak bardzo byli dla niej obłudni. Życzeniem ich było, aby bolszewicy wszystką szlachtę polską wybili. Słyszałem co oficerowie z szlachtą rozmawiali, a co pomiędzy sobą mówili. Oficerowie niemieccy obsługujący ich w polskich dworach służbie lub jeżdżącym podwodami feni-ga z własnej kieszeni nie dali, lecz gdy tę samą funkcję pełnił żołnierz niemiecki, to zawsze coś prywatnie dostawał.

W pewną listopadową niedzielę 1918 roku patrolowałem w Berdyczowie na Łysej Górze. Trzecią część Łysej Góry zajmowali żołnierze niemieccy, a dwie trzecie ukraińscy. Nawet budynek koszarowy, w którym kwaterowałem w połowie zajmowali żołnierze ukraińscy. Poprzez Łysą Górę prowadziła droga brukowana. Instrukcja polecała mi dozorowanie naszego parku, a nie obejmowała zatrzymywania przechodzących i przejeżdżających drogą. Widziałem jak tą drogą pędem przejeżdżał kilkakrotnie samochód do rzeki Zgniłopiatu, będącej poza Łysą Górą i wogóle poza terenem patroli niemieckich. Wzięła mnie ciekawość, dlaczego ten samochód tak manewruje, więc pomimo, że nasze komendy wydały nam surowy zakaz przechodzenia poza nasz teren, udałem się do samego brzegu Zgniłopiatu. Na pierwszy rzut oka krew ścięła mi się w żyłach — oni przywozili ludzi i to Polaków, zdzierali z nich ubrania, mordowali i do Zgniłopiatu wrzucali. Byłbym tych zbójów bagnetem pobódl i do Zgniłopiatu posłał, lecz jak z pod ziemi przypadł do mnie oficer niemiecki i — halt! — krzyknął. Nie wiem, może mnie śledził, bo już wszystko było w napięciu i wojsko niemieckie także.

— Przekroczyliście rozkaz; tu nam nie wolno przychodzić i w ich sprawy się mieszać — mówił do mnie łagodnie — ja was chcę ratować; marsz spowrotem. — Wy psie krwie zbójce hajdamackie, jak pojedziecie przez górę, to was wszystkich powystrzelam — krzyknąłem z pasją, obracając się do zbójów, których było czterech. Oficer wysłał mnie do koszar, ażebym ochłonął ze wzburzenia, a za mnie wysłał innego. Patrzyłem oknem z koszar, czy ten samochód pojedzie, lecz już więcej na tej drodze się nie pokazał.

Sąsiadujące z nami wojska ukraińskie w nocy wyszły, a na drugi dzień przyszła kompanja wojska, złożona z samych oficerów carskich z karabinami i bagnetami w szeregach. Prosimi o pomoc wojsk niemieckich, której im odmówiono. Zagadnąłem jednego z szeregu, który był kapitanem carskim, mówił dobrze po polsku i dowiedziałem się od niego, że w Zgniłopiacie przy obejściu rzeczki naliczyli 60 trupów. Widzieliśmy, jak w polu stoczyli walkę z Ukraińcami i gdzieś nam znikli. Odtąd wojsko niemieckie pozostało na Łysej Górze samo.

Po zajściach na Łysej Górze były w Berdyczowie zaburzenia. W końcu listopada poszedłem w towarzystwie kolegi do miasta i przechodząc przez rynek, widzieliśmy zbiegowisko mężczyzn, prawie samych Żydów, a jeźdźców ukraińskich umundurowanych i uzbrojonych w trzy nahaje każdy, rozpędzających nawołujących do rozejścia się. Widzę garbatego Żyda z długą brodą z karabinem w ręce biegnącego między zbiegowiskiem; ciekawy byłem z kim on chce wojować. Wyjechał kulomiot ukraiński w ulicę i skierował swe strzały w kierunku zbiegowiska. Początkowo nie trafiał nikogo. Czupurne Żydy zlatywały się jeszcze więcej, jak owce do ognia. Dopiero gdy trupy zaczęły padać, żydy z krzykiem — aj! aj! rozbiegali się do domów. Przypatrujący się żołnierze niemieccy uznawali, że pogromowi sami sobie Żydzi byli winni.

Przed zajściami na Łysej Górze żołnierze ukraińscy pracowali przy wagonach, zapychali je i składali jakiś towar. Przechodziłem obok, aż tu naraz słyszę okrzyk, — to ty burżuj! Rozumiem już dość wiele mowy Ukraińców, więc zrozumiałem, że pomiędzy nimi był rządca z jakiegoś majątku, któremu zaczęli dogadywać. Przyszło dwóch z karabinami i kolbami go zabili; na moje protesty nie zważali. Później wojska ukraińskie zaczęły niemieckie wojska zaczepiać. Przyszło tak daleko, że nasza kompanja zwinęła sanitarne odznaki i stała się kompanją bojową. W grudniu staczaliśmy utar-

czki z Ukraińcami, a żołnierze niemieccy zabranym Ukraińcom ukraińskimi karabinami łby roztrzaskiwali.

10-go grudnia 1918 r. o 12-tej godzinie w nocy opuszczaliśmy Berdyczów wśród huku armat, grzechotu ręcznych karabinów, klekotu karabinów maszynowych i detonacji składów amunicyjnych. Po drodze, aż do Żytomierza mieliśmy utarczki; od Żytomierza maszerowaliśmy aż do Brześcia nad Bugiem spokojnie.

Za Równem na szosie spotkałem ks. Józefa Sthala, stał na szosie i czekał za swoją kompanją. Nie poznałem go jeszcze, a on zawołał mnie po nazwisku. Spojrzałem — to ks. Sthal. Wystąpiłem z czwórki i przystąpiłem do niego. Witaliśmy się i żegnali zarazem. Całował mnie i ścisnął, a ja jego i tak się rozczuliliśmy, że płakaliśmy nad sobą. Wojska przechodziły, a my staliśmy w objęciach. Szeregowcy i podoficerzy na nas patrzyli, a oficerzy mówili — tu widzimy szczerą miłość u tych dwóch ludzi; widzicie, to oficer i szeregowiec, wszyscy powinniśmy tak miłować się. To szlachetny przykład dla nas. Tymczasem nadeszła jego kompanja i powózka dla niego. Raz jeszcze uściskaliśmy się i ucałowali i zaofiarował mi swoją powózkę i kazał mnie do mojej kompanji odwieźć, bo moja kompanja już daleko uszła. Widzieliśmy się ostatni raz. Dzisiaj nie wiem gdzie jest, mówił do mnie, że po wojnie pojedzie na misje do pogan. Adres mój może zgubił, a może już nie żyje.

Mojem pragnieniem było zobaczyć polskie ziemie wschodnie. Ile razy przybyłem do Polski, zawsze spoglądałem z jakąś tęsknotą na wschód. Niestety, nie miałem sposobności udania się w te strony. W roku 1906, gdy osiadłem już na dobre na mem małym gospodarstwie, pogodziłem się z mym losem i musiałem zaniechać mego pragnienia zobaczenia wschodnich ziem polskich. Myślałem, że ich nie zobaczę. Jednakowoż było mi dane zobaczyć je, a nawet dwa i pół roku na nich przebywać!

Do Brześcia przybyliśmy 7-go stycznia 1919 r. Tu musiała nasza sanitarna kompanja pozostać przez dwa tygodnie i przetransportować chorych i rannych, którzy przybywali pociągami ukraińskimi z obsługą ukraińską do Pińska. Robota ta należała się lazaretowi wojennemu, który w Brześciu stacjonował. Lecz przed nadejściem sanitarnej kompanji, lazaret wojenny zdążył lazaretowe urządzenia rozsprzedać, czy rozkraść i wyjechać. Do Brześcia przybywały pociągi z wojskami stacjonowanymi w głębi Ukrainy. Gdy

te wojska przybywały, miejscowe załogi brzeskie żądały, aby przybywające wojska zatrzymały się w Brześciu i ustąpiły im pociągu na przejazd do Niemiec. Wojska przybywające skierowały kulomioty, karabiny i działa na wagonach na zaczepiające załogi brzeskie i byłoby przyszło do krwawych starć między wojskami niemieckimi, które jak oślepie ciągly do Niemiec, lecz łagodzące mowy pastarów i księży uśmierzały zbrojne napięcie. Oficerowie zmuszeni byli puścić wojska przybywające w dalszą drogę. Gdy transporty rannych z głębi Ukrainy ustały, nasza sanitarna kompanja otrzymała w nagrodę miejsce w pociągu na przejazd do Królewca.

W Królewcu znaleźliśmy się 25 stycznia i po wyjściu z dworca zostaliśmy rozbrojeni przez rewolucjonistów. Zakwaterowaliśmy w auli wyższej uczelni. Szef kompanji nie mógł znaleźć komendy, w której mógłby zdać kompanję, bo stary porządek był przewrócony. Dostaliśmy pisma do rozjazdu i pośpieszaliśmy do pociągów. Powrót był utrudniony, bo kolej z Królewca odjeżdżała tylko do Olsztyna, a z Olsztyna do Torunia była przerwa kursu pociągów, więc musiałem okrążyć przez Krzyż.

Wyjeżdżając z Królewca pytałem się urzędników kolejowych jak dostanę się do Poznania. — Do Poznania chce pan jechać — mówili — tam pana zastrzelą. — Czy oni tak celnie strzelają? — pytam. — Każdy polski strzał trafia — powiedział siedzący koło mnie żołnierz niemiecki. Radowało mnie to zdanie Niemców o Polakach. Za Krzyżem na stacji Miła, były już polskie posterunki. Cywilni niemieccy strzelali do polskich posterunków. Kapral z ośmiu żołnierzami sprawiał się dziarsko. Podobała mi się bardzo ich żołnierska postawa. Pociąg zatrzymał się na stacji około godziny — nie wiem, może czekał na niemiecki bataljon. Wagony pociągu były napełnione samymi byłymi żołnierzami niemieckimi, Polakami, którzy wracali z Westfalji i Nadrenji do Polski. — Psie krwie, cholery, zwijajcie się, bo niemiecki bataljon w Krzyżu — wołał kapral do żołnierzy. — Nie obawiajcie się, wszyscyśmy w wagonach Polacy, niemieccy rezerwiści; Niemcom powyrywamy karabiny i wyklujemy ich bagnetami — powiedziałem. Przy naszej pomocy pochwyтали Niemców, powsadzali ich do wagonów i pociąg ruszył. Bataljon niemiecki rzeczywiście do Krzyża nadjechał, lecz my odjechalismy. We Wronkach wysiedli polscy żołnierze ze swymi jeńcami, a my jechalismy do Poznania. Z Poznania bez przeszkody przybyłem 29 stycznia 1919 r. do domu.

VII.

W wolnej Polsce

Wojna światowa dała nam wolną Polskę, lecz równocześnie dała nam przechodzące wprost nasze wyobrażenia zjawiska gospodarcze. Do najokropniejszych zjawisk zaliczę nieznaną dotąd ludowi naszych generacji i wprost niebywałą inflację naszych walut. Krzywdy wyrządzone przez dewaluację mnie i całej mojej rodzinie nic dotąd nie wynagrodziło i do chwili naszej śmierci nic nam wynagrodzić nie będzie w stanie. Przebiegam obecnie myślami historję pracy, trudów i rządów na mem gospodarstwie od chwili pójścia do służby wojennej, aż do obecnych czasów. Widzę tu wiele warunków zewnętrznych, które rozszerzały zakres mej pracy z terenu mego gospodarstwa na pole zewnętrzne lub zeszczuplały ją do osobistych granic pracy materialnej na własnem gospodarstwie.

Gdy w roku 1916 opuszczałem dom zostawiłem żonę z siedmiorgiem małoletnich dzieci. Najstarsza córka liczyła wtenczas ośm lat. Na gospodarstwie pozostało jednak czternaście osób. Teściowie utrzymywali dwie córki; żona moja całkowicie utrzymywała do swej pomocy w gospodarstwie siostrę i brata. Po moim wyjeździe pracował początkowo za mnie teść, lecz niestety, już w jesieni zaniewidział i żona moja była zmuszona prosić o stałą pomoc w pracy swego brata, który spowodu kalectwa od służby wojskowej został zwolniony. Wogóle cała pozostała na gospodarstwie rodzina pomagała sobie w pracy wzajemnie. Na terenach naszej okolicy znajdowały się rowy i okopy wojenne, które jako niepotrzebne już, zostały zarównane. Do tej pracy wynajmowano kobiety z okolicy. Szwagierka moja zarabiała przez kilka tygodni bardzo dobrze. Po ukończeniu tej pracy pracowała, pomagając szyciem w gospodarstwach domowych w naszej wiosce. Żona moja mimo całej biedy wojennej miała dobre warunki do gospodarowania się.

Wojenny okres czasu pogarszał się gospodarczo z każdym miesiącem. Rozwinał się system kartkowy wydzielania żywności, który i wsi przysporzył całą falangę kłopotów, ograniczeń, rewizyj i sekwestrów. W tych ciężkich warunkach rodzina moja nie była jeszcze wystawiona na głodowe ograniczenia. Połowa osób w mojem gospodarstwie, to małe dzieci, które dostawały na kartkach tak wielką porcję żywności jak dorośli, a które nie zdołały jej skonsumować. Oprócz tego wydzielono na dzieci podwójną ilość cukru i wię-

kszą ilość nafty. Pozatem w gospodarstwie udawało się niejednokrotnie zachować coś z żywności przed okiem rewizorów. W dobrobyt mogło wprowadzać moją żonę wysokie uposażenie wojenne, które w postaci renty pobieranej na siebie i dzieci w wysokości 90 mk. miesięcznie dostawała. Przez cały czas mego pobytu na wojnie, żona odebrała prawie dwa i pół tysiąca marek renty, które wówczas miały swoją wysoką jeszcze wartość. Ja ze swej strony, będąc na Ukrainie, na wysokim żołdzie, zdołałem zaoszczędzić kilkaset marek, które do domu żonie przysyłałem. Żona moja oszczędzała bardzo, nosiła wszystkie pieniądze do Banku Ludowego, ograniczała się do najpotrzebniejszych wydatków, bo nie przewidywała dewaluacji, a nam było potrzeba pieniędzy na budowę nowych budynków w gospodarstwie, na powiększenie gospodarstwa i kształcenie dzieci. Niewidomy teść postarał się w Ubezpieczalni o rentę, którą mu przyznano w wysokości 12 mk. miesięcznie. Gdyby nie cała groza krwi i smutku wojny, oraz obawy głodów i ograniczeń, nie byłoby mojej rodzinie źle. Gospodarstwo moje jako jednostka indywidualna miało się dobrze. Niestety, panujące w końcu epidemie zabrały z domu dwie ofiary. W listopadzie 1918 roku zmarli w domu na grypę z komplikacjami pracujący w mojem miejscu szwagier i dwa tygodnie później teściowa. Przyczyną śmierci szwagra była prawdopodobnie panująca niewygodna wyczekiwania na zimnie na swą kolej na młynach lub urzędach za kartkami. Teściowa od kilkunastu lat nie cieszyła się zbyt niem zdrowiem, lecz zawsze epidemja śmierć przyspieszyła o lata całe.

Gdy w roku 1919 powróciłem do domu, miałem w Banku Ludowym 20.000 mk. depozytu, za który mógłbym moje gospodarstwo o 20 mórg ziemi conajmniej powiększyć. Wkoło panowała radość i entuzjazm z powodu odzyskania niepodległości i ukończenia wojny światowej. Toteż gdy nowopowstała Polska zaciągała pożyczki Odrodzenia, dawał każdy co miał w domu. Przechowywałem w domu 200 mk. w złocie i 500 mk. w srebrze, złożyłem je z radością na polską pożyczkę. Również przysłużyły się polskiej pożyczce poprzywożone przez szwagrów złote i srebrne pieniądze, których na niemieckie pożyczki nie oddali.

Nasz obwód żerkowski z 7.500 mieszkańców złożony, złożył przez Bank Ludowy w Żerkowie na pożyczkę narodową półtora centnara złota i czternaście centnarów srebra. W latach 1919 i 1920 wszystkie pieniądze, które do mych rąk przyszły oddawałem na na-

rodowe pożyczki. Na pierwszą pożyczkę krótkoterminową złożyłem 23.000 mk.

Po moim powrocie z wojny, widziałem, że moje trzydziestomorgowe gospodarstwo jest przeciążone kosztami zbliżającej się budowy i że wielkość jego jest stanowczo za mała, aby mogło dać pracę i utrzymanie rodzinie i dorastającym za parę lat dzieciom. Pragnąc zmienić moje bardzo niedogodne położenie napisałem do Urzędu Osadniczego w Poznaniu wnioszek o osadę.

Po wypełnieniu kwestionariusza, w którym zazaczyłem, że posiadam trzydziestomorgowe gospodarstwo i 30.000 mk. pieniędzy i że reflektuję na 60 do 80-morgowe gospodarstwo, odebrałem odpowiedź, której się nie spodziewałem. Urząd przysłał mi zawiadomienie, że mogę nabyć 30 do 40 morgowe gospodarstwo w Łagiewnikach w pow. Wrzesińskim, gdzie jest do sprzedania 58 parcel częściowo bez budynków. Naturalnie, że ja swojej własności nie mogłem zamieniać na tej samej wielkości osadę. Zniechęcony całkiem niekorzystną dla mnie odpowiedzią zrezygnowałem z osady, a pieniądze oddałem na długoterminową pożyczkę państwową w roku 1920 w sumie 30.000 mk. Dałem więc razem 53.000 mk. pożyczki.

Z chwilą przybycia do domu przekonałem się, że granica rosyjsko-pruska pomiędzy Poznańskiem i Kongresówką nadal istnieje i spostrzegłem, że kwitnie tu, choć pilnie strzeżone, przemytnictwo. Zdziwiony i zrażony bardzo równocześnie, że Polacy tej granicy nie skasowali, lecz strzegą jej silniejszym kordonem posterunków i tajnej policji, potworzonych urzędów walki z lichwą, pojąć nie mogłem jak się to dzieje, że własni synowie pomimo odrodzenia rozbiory nadal konserwują. Dowiedziałem się, że to prześwietna Rada Ludowa w Poznaniu tak się urządza, aby po drakońsku utrzymywać bajecznie niskie ceny na produkty rolnicze i żyć kosztem i krzywdą chłopą poznańskiego. Gdyby była Rada Ludowa utrzymała w niskiej cenie i towary rzemieślnicze i przemysłowe, byłibyśmy zadowoleni. Niestety wzrastały one ze straszną wprost nieproporcjonalnością do cen zboża. Chłop w Poznańskim, gdy chciał kupić parę butów, musiał sprzedać trzynaście centnarów zboża i więcej, a gdy się obrócił do Kongresówki dostawał te same buty już za trzy, a nawet dwa centnary zboża. Szło tak z wszystkimi towarami. Nie też dziwnego, że chłopci w pasie nadgranicznym chcąc się utrzymać szukali ratunku w przemytnictwie przez sztuczną granicę. Rada Ludowa znalazła jednak sposób, bo nie żałowała pieniędzy na utrzymanie całej falangi urzędniczej, po drakońsku maltretującej i rabującej

ratującego się i nieratującego chłopą. Wszyscy, którzy skądkolwiek szli lub jechali w Poznańskim do wiosek położonych w kierunku granicy, narażali się na rewizje ze strony posterunkowych lub urzędników walki z lichwą, choć byli o kilkanaście kilometrów od granicy. Ludzie nie wiedzieli co wieźć, co nieść i co kupować, bo rewidowano wszystko: kieszenie, wozy, siedzenia wozów i całe zagrody przerzucano doszczętnie, a ludziom zabierano konie, wozy i pakowano ich do więzienia.

Mam tu przykłady obchodzenia się z ludźmi. Gospodarz z mojej wsi kupił w Jarocinie, mieście oddalonem o 23 km. od granicy, kilkanaście prosiąt i wioził je do domu. 9 km. od domu spotkali go posterunkowi, zrewidowali wóz, znaleźli prosięta, zabrali z końmi i wozem, a jego wraz z jadącą z nim żoną zaraz z miejsca zaaresztowali. Przywieźli wszystko do Żerkowa, a małżonków wsadzili do więzienia nie troszcząc się o ich gospodarstwo i dzieci. Na drugi dzień wypuścili ich z więzienia, a konie, wóz i prosięta sprzedali na licytacji. Naturalnie, że zmarnowali majątkowo tego człowieka i że wyniknął z tego proces, który trwał trzy lata i który wkońcu gospodarz ten wygrał i dostał za wóz, konie i prosięta zapłacone.

Gdy gospodarz ten wraz z żoną przebywał w więzieniu w Żerkowie, hołota z miasteczka Żerkowa dobiegała do ścian więziennego budynku i wygrażała się im wołając: wy paskarze, gdybyśmy mieli zapalki spalilibyśmy was z całym budynkiem. Oto rządy Rady Ludowej. Nietylko chłopą okradali, lecz równocześnie wywoływali nienawiść dla niego.

Taka sama przygoda z urzędami walki z lichwą spotkała i mnie. Było to już po wyjściu rozporządzenia, mocą którego wolno było dowolnie kupować i przewozić różne produkty rolnicze i hodowlane wewnątrz, a nie wolno było przez granicę do Kongresówki wywozić. W moim gospodarstwie wydzichały świny na pomór. Pojechałem z moją dwunastoletnią córką do 9 klm. odległego miasteczka Żerkowa. Córeczka kupiła sobie dwie książki i zeszyty do szkoły, ja ośm prosiąt. O godzinie wpół dwunastej przed południem spokojnie i śmiało wyjechałem z Żerkowa i gdy ujechałem 3 km. spotkało mnie na drodze dwóch posterunkowych. Zrewidowali mi wóz, znaleźli ośm prosiąt, więc mnie zaaresztowali. Przedstawiam im rozporządzenie w gazecie, tłumaczę się i wyjaśniam, że prawo aresztowania służy tylko przy granicy, nie pomaga. Musiałem spowrotem przyjechać do Żerkowa. Tutaj komisarz umieścił mnie wraz z córką w więzieniu, a wóz, konie i prosięta zatrzymał. Na drugi

dzień zostałem z córeczką z aresztu wypuszczony, a moje konie, wóz i prosięta odesłane do Jarocina, do powiatowego urzędu walki z lichwą. W ten sam dzień pojechałem do Jarocina przedstawić rozporządzenie najwyższej władzy poznańskiej i przebieg zajścia. Wszystkie moje wywody miały ten skutek, że urzędnik walki z lichwą zażądał ode mnie 24.000 mk. kaucji z zagrożeniem, że jeśli nie wpłacę wszystkiego, na drugi dzień zostanie na licytacji sprzedane. Pożyczyłem w Jarocinie całą sumę i wpłaciłem, a następnego dnia pojechałem do okręgowego urzędu walki z lichwą w Ostrowie. Stał się tu i urzędnik walki z lichwą z Jarocina. Mocą ostrowskiej decyzji zostały mi konie, wóz i prosięta z kaucją oddane w Jarocinie. Musiałem tu jednak zapłacić za obsługę i żywienie zwierząt.

Straty niepotrzebnej miałem wiele. Po przywiezieniu prosiąt do domu, przez trzy tygodnie przychodził do mnie posterunkowy nagłądać, czy którego prosięcia nie sprzedałem do Kongresówki.

Takich wypadków, jak mój, przez lata 1919, 1920 i 1921 było niestety bardzo wiele. Była to pierwsza dotkliwa krzywda wyrządzona mi przez urzędy polskie. Podobnego nadużycia władzy nie zaznałem przez całe lata rządów niemieckich. Mimowoli przypominały mi się przestrogi ludzi starych wymawiane do garnących się do wolności nas młodych. — Chce wam się Polski, byście na nią nie narzekali. Polscy panowie źle zarządzili i źle rządzić będą — mówili. Młodzi jednak nie wierzyli temu. Niestety Rada Ludowa w Poznaniu, aż nadto dobrze przepowiadane rządy przypominała.

W roku 1922 miałem wydatki nadzwyczaj obciążające moje gospodarstwo. Pierwszym takim wydatkiem była danina państwowa, którą w sumie 11.000 mk.p. zapłaciłem gotówką, a 30.000 mk.p. musiałem zapłacić długoterminową pożyczką, bo gotówki brakowało. Zapłaciłem więc 40.000 mk.p. w dwóch ratach. Był to z powodu budowy nowego chlewa znaczny ciężar dla mnie, lecz ponosiłem go z chęcią w nadziei, że fundusz złożony z daniny wesprze i podratuje Polskę.

Drugi ciężar, to właśnie budowa nowego chlewa, który musiałem w miejsce walącego się budować. Początkowym zamiarem moim było podmurować, lecz murarze stwierdzili, że wszystko drzewo w nim nic nie warte. Musiałem cały znova budować: chciałem zawelbować żelazem, lecz nie mogłem dostać kupić. Musiałem pospuszczać moje topole i spiłować w domu. Wybudowałem budynek 21 m. długi, 6 m. szeroki z czerwonej cegły, fugowany pod dachem z słomy, z pięcioma ubikacjami. Starając się nieco zaspo-

kość higieniczne wymagania współczesne, umieściłem w nim dziewięć okien. Po ukończeniu budowy, która mogłaby mieć dogodniejsze urządzenia wewnętrzne, ucieszyłem się, że mam już choć jeden budynek nowy. Niestety czas był krytyczny, fundusze wyczerpane, a tu jeszcze droższe budowy mnie czekały, nie mogłem zadłużyć się, bo byłbym według mego ówczesnego mniemania nie wygospodarzył się. Cały budynek kosztował mnie przeszło dwa miliony marek, lecz poszło mi dość dobrze, bo się nie zadłużyłem, a dwa lata później cały koszt przedstawił się jako suma półtora złotego. Wprawdzie wydatki osobiste i na dom poograniczały się do najwyższego minimum. Trzecim większym wydatkiem tego roku był koszt procesu politycznego wyciągającego z mej kieszeni 100.000 mk. p.

Rok 1923 przyniósł mi znowu, obciążający gospodarstwo, wydatek. Synek dziewięcioletni zachorował mi na oczy, zawiozłem go za poradą miejscowego lekarza do polikliniki w Poznaniu, gdzie przez sześć tygodni pozostawał na mój wyłączny koszt pod nadzorem siostr i lekarza.

W roku 1924 powitaliśmy złotego i przeżywalismy waloryzację depozytów, długów i pożyczek. Do tego roku rachunki pieniężne tworzą niejasny chaos spowodu niestalej wysokości cen. Złotego powitano z ulgą i radością. Za to waloryzacja była ostatnim aktem tragedii grzebiącym skonane zarobki uczciwe. Straciłem wszystko co w ciężkich trudach i mozolach z odmawianiem sobie już nie żadnych przyjemności, ale nawet rzeczy, na miarę chłopską, koniecznie potrzebnych zdobyłem. Z moich 20.000 mk. depozytu złożonych w Banku Ludowym nie pozostało nic, a 23.000 mk. pożyczki krótkoterminowej przyniosło mi po zwaloryzowaniu 1.700 zł. zamienionych na długoterminową pożyczkę państwową.

Pozostałem, choć zubożony, przy mojem gospodarstwie. Gorzej rzecz przedstawia się z memi szwagrami i szwagierkami, którzy całe swe majątki mieli w Banku Ludowym i cały trud swej znoјnej i długoletniej pracy potracili. Cała suma ich majątków wynosi 20.000 mk.

Mój dom mieszkalny stawał się z każdym dniem coraz gorszy. Sufity i ściany się wyginały i coraz więcej upadał. Trzeba było natychmiast przygotowywać się do budowy. Rozpocząłem od roku 1925, w którym na wiosnę zakupiłem 75 ctn. metr. wapna za 365 zł. Wykopałem z dziećmi obszerny dół, rozlasowałem wapno i zachowałem w dole. Jesienią nakopałem z rodziną gliny do wyrobu cegły na własnym gruncie. W roku 1926 przy pomocy jednego strycharza

zabraliśmy się do strychowania cegły, której nastrychowaliśmy 65.000 sztuk, nawet dzieci moje nauczyły się strychowania i większą połowę cegły nastrychowały same. Zakupiłem 328 centn. węgla za 730 zł. i wypaliliśmy cegłę w piecu polowym. Węgla, strycharz z wszystkimi kosztami nie licząc żywności i pracy rodziny kosztowało mnie przeszło 1.000 zł. Wypaliłem 50.000 cegły, bo reszta wskutek deszczu i jako górna warstwa musiała być odrzucona. Ta sama ilość cegły zakupiona w 9 klm. odległej cegielni kosztowałaby około 4.000 zł. W roku 1927 przygotowałem wszystko drzewo do budowy. Połowę drzewa zakupiłem, a połowę miałem na własnym gruncie. Pospuszczałem z rodziną, wynająłem pilarza i dałem mu własną pomoc. Za pracę zapłaciłem mu 170 zł.. Na zimę wynająłem stolarza, który w moim domu porobił drzwi i okna za sumę 500 zł.. W roku 1928 przystąpiłem do samej budowy domu. Rozebrałem sam bez obcej pomocy starą chatę i wykopałem fundament pod nową. Wynająłem murarzy za 2.240 zł. i cieślę za 200 zł. Pomoc murarzom dała moja rodzina. Miałem w domu wszystkie dzieci z których najstarsza córka liczyła 20 lat, a najmłodszy siódmy z rzędu, lat 12, i oprócz żony miałem w domu szwagierkę. Wszyscy pracowali ile im sił starczyło.

Wybudowałem dom 14 m. długi, a 9,20 m. szeroki, o czterech pokojach, kuchni i dwóch sieniach. Zewnątrz biało tynkowany z czterema dużymi sześćskrzydłowymi oknami i dwoma dwuskrzydłowymi oknami, z dwiema otwartymi werandami z przezroczą balustradą i czterema kolumnami każda. W szczytach strychu umieściłem dwa czteroskrzydłowe okna. Elewacja obydwu frontów domu przedstawia się ładnie. Na werandy wychodzą oszklone drzwi frontowe. W końcu jednej ściany frontowej znajdują się zewnętrzne drzwi bez oszklenia. Szczyty dachu łamane i dach kryty koronkowo karpiówką. Osobno wybudowałem z cegły otynkowaną wędzarnię. Wartość mojego domu ubezpieczenie ogniowe oszacowało na 22.000 zł. Ponieważ włożyłem tutaj pracę mojej rodziny i materiały przygotowane z gospodarstwa i u siebie, więc wydałem na mój dom 11.000 zł. gotówki. 8.000 zł. zdołałem przez cztery lata przy nadzwyczajnych ograniczeniach z gospodarstwa wyciągnąć, a 3.000 zł. pożyczyłem w dwóch trzecich z Banku Ludowego i resztę prywatnie. Były to jednak czasy, w których konjunktura rolnictwu sprzyjała.

Mówią mi sąsiedzi i znajomi, że luksusowo pobudowałem. Przyznaję im rację, że na moje gospodarstwo i warunki jest to budynek

luksusowy. Gdybym był pod Prusakiem, możebym się tak nie silił, lecz w wolnej Polsce parła mnie do tego ambicja narodowa, bo ja pragnę, aby nasza Polska jaknajładniej wyglądała. Może ludzie zasiedziali na ojczystych gruntach od dziecka nie odczuwają tego, jak nieraz trzeba wstydzić się przed obcymi za biedę i poniżenie narodu. Często na obczyźnie słyszałem przykre wyrazy kierowane pod adres polskiej kultury i gospodarki, na które zawsze krew się burzyła. W niemieckich prowincjach pytali mi się Niemcy skąd jestem. — Z Polski, z prowincji poznańskiej, odpowiadałem. — Ach, du bist aus dem Lemhüttenlande *) — drwiąco wtrącali. — Co ty psiakrew Niemcze szczekasz! — wołałem w mojej młodzieńczej i niepoohamowanej pasji. Chwytałem się rozwścieczony z urągającym Niemcem i nieraz po pysku mu dałem. W Ameryce znalazłem się pewnego razu w gospodzie w towarzystwie Polaków, Irlandczyków i Anglików. — Z którego starego kraju pan jesteś? — pyta mnie Anglik. — Z Polski, odpowiadam. — Toś pan z tego żebraczego kraju, u was to sami żebracy — powiada. Porwałem się na niego w oburzeniu, gdy schwycił mnie Polak i mówi — daj spokój on to w książce wyczytał. Mam tę książkę tłumaczoną przez Dyniewicza, dam ci ją do przeczytania, Anglik nie myślał, że mnie tem oburzy, więc mnie przeproszał. Pogodziliśmy się i uczęstowali wzajemnie piwem i cygarami. Przeczytałem książkę i byłem zdania, że autor jest kłamcą.

W czasie moich prac i przygotowań do budowy byłem tak silnie zaafetowany interesami budowy, że nie zdolny byłem prowadzić ścisłych obrachunków gospodarczych, bo cały czas mój pochłaniały zwózki i różne wyjazdy i prace budowlane. Po ukończeniu budowy odetchnąłem. Zaraz w tym samym roku, druga z rzędu córka wyśtarala się o miejsce elewki w majątku Przybysławiu i w przeciągu jednego roku ukończyła praktyczną naukę gospodarstwa i hodowli drobiu. Utrzymanie dostawała wolne w miejscu praktyki, a za całkowity czas nauki zapłaciłem 156 zł. Po ukończeniu udała się na odpowiednią do jej fachu posadę.

W roku 1929 najstarsza córka zgłosiła się do szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Tuchorzy. Spowodu licznej rodziny i małego gospodarstwa otrzymała za staraniem 25 zł. stypendjum miesięcznie z Wielkopolskiej Izby Rolniczej. Ponieważ za naukę się nie płaci, a całkowite utrzymanie w szkole kosztowało 50 zł. miesięcznie,

*) t. j. Lehmhüttenland, kraj chat glinianych.

więc płaciłem miesięcznie 25 zł., połowę całkowitej opłaty. Wszystkie moje dzieci pokńczyły dwuklasową szkołę ludową z czterema oddziałami w mojej gminie. Taka szkoła nie wystarczy tym, którzy udają się do szkół zawodowych, gdzie jest wymagane ukończenie 7-klasowej szkoły powszechnej. Ponieważ córka moja była zdolną uczennicą i pragnęła dalej kształcić się, więc składała egzamin z siedmioklasowej szkoły powszechnej w Wolsztynie. Egzamin mojej córki składany w czasie kursu gospodarczego w Wolsztynie wypadł bardzo dobrze. Również szkołę gospodarczą ukończyła córka jako pierwsza uczennica. Po kursie gospodarczym została przyjęta na dziesięciomiesięczny kurs maślarsko-serowarski w żeńskiej Szkole Mleczarskiej w Szafarni. Nauka i utrzymanie w szkole mleczarskiej kosztowało 100 zł. miesięcznie. Pomimo różnych starań córka moja nie uzyskała stypendjum do tej szkoły. Dopiero na cztery końcowe miesiące, sejmik powiatowy w Jarocinie nadsyłał po 15 zł. Uczyniło to razem 60 zł. Po ukończeniu kursu odbyła córka trzymiesięczną praktykę w spółdzielczej mleczarni parowej naszej okolicy. Niestety, nie otrzymała posady pomimo dobrych świadectw szkolnych. W bieżącym roku odbyła dwutygodniowy kurs instruktorski dla absolwentek kursów mleczarskich w tejże szkole i dotąd na siebie samodzielnie nie pracowała. W roku 1932 w listopadzie w naszej wsi zawiązało się kółko włościanek, w którym córka moja pracuje jako sekretarka. Na kurs mleczarski córki byłem zmuszony pożyczyć 1000 zł.

Skoro najstarsza córka ukończyła kurs gospodarczy, zgłosiłem trzecią córkę do tej samej szkoły, również z udzieleniem 25 zł. miesięcznego stypendjum przez Wielkopolską Izbę Rolniczą.

Czwarta z rzędu córka przebywa już ośm lat u siostry mojej żony zamężnej na Pomorzu, i pomaga jej w gospodarstwie. Przez kilka miesięcy pobierała na Pomorzu naukę szycia i kroju.

Piąta i najmłodsza z córek przebywa stale w domu i korzysta z lotnych kursów urządzanych w miejscowym kółku włościanek. Druga córka jest na bardzo skromnej posiadzie. Trzecia córka po skończeniu kursu gospodarczego w Tuchorzy była kolejno na kilku posadach bardzo skromnych i uciążliwych. Obecnie przebywa od kilku miesięcy w domu i wyczekuje nowej posady. Tu muszę dodać, że wszystkie córki moje są dorosłe.

Mam dwóch najmłodszych synów, którzy pomagają mi w gospodarstwie. Pomimo najlepszych chęci nie mam ich za co kształcić. Starszy liczy 19 lat, a młodszy 17 lat. Wszystkie moje dzieci są zdolne, nawet rwą się do nauki samodzielnie. Mogłyby z powo-

dzeniem ukończyć nawet wyższe studia, gdyby mi były warunki materialne na to pozwalające. Niestety, jestem zbyt ubogi dzisiaj, a w chwili dorastania dzieci przechodziłem ciężkie warunki gospodarcze. Zdołałbym je wykształcić, gdyby dewaluacja była wszystkich moich przeszłych oszczędności nie zjadła. Jak sobie przypomnę tę krzywdę, to bólu ukoić nie mogę. Ona nie dotyczy tylko mojej osoby, bo gdyby tylko o mnie chodziło, nie myślałbym o tem. Ta krzywda dotknęła przede wszystkim moje dzieci, niedopuszczając do kształcenia ich w kierunku uzdolnienia.

Moja rola przed wojną była doskonale wynawożona, byłbym ją jeszcze podwapnował, gdyby była wojna nie przeszkodziła. Dzisiaj już nie mam za co. Wzamian za wysokie wynawożenie rodziła mi dobrze przez długie lata mimo, że musiałem zaprzestać ją zasilać, aż zaczęła się wyczerpywać. W roku 1928 miałem jeszcze 244 centn. zboża (centn. 50 kilogramowe). Odtąd plony zaczęły silnie spadać. W roku 1929 do ukończenia omlotu w roku 1930 miałem już tylko 187 centn. zboża, a po żniwach 1930 r. 193 centn. zboża. Rok 1931 plonował najmarniej, bo wydał tylko 157 centn. zboża, za to żniwa roku 1932 podniosły plon do 208 centn. zboża.

Gdybym mógł wszystko omlócone zboże sprzedąć, miałbym się dobrze. Tymczasem rokrocznie powraca w rolę 25 ctr. wysianego najlepszego ziarna. Pozatem pewną ilość muszę sprzedąć na sztuczne nawozy. Przed żniwami 1929 r. wysiałem 80 kg. saletry za 43 zł. Przed żniwami 1930 r. wydałem 150 kg. saletry za 81 zł. Żniwa z roku 1931 zasiłem 7 centn. metr. sztucznych nawozów za 174 zł., a przed żniwami 1932 r. 5 centn. metr. za 90 zł., zaś przed żniwami 1933 roku 2 centn. metr. za 48 zł. Na moje gospodarstwo jest to jeszcze za mała ilość sztucznych nawozów, bo przed wojną wysiewałem już 65 ctr., lecz nie mogę spowodu biedy do przedwojennej miary dociągnąć. Dotąd mały jeszcze rozchód zboża w gospodarstwie wymieniłem. Tu wyjaśniam, że na mojej gliniastej ciężkiej roli muszę stale utrzymywać dwa konie do pracy, bo jednym nie obrobiłbym mego gospodarstwa.

Te dwa konie zjadają rocznie 70 centn. zboża. Pozatem w domu mam stale ośm osób do dziewięciu osób dorosłych, na których utrzymanie wydaję na młyn rokrocznie około 70 ctn. zboża. Ziemniaków tutaj nie obliczam. Sadzę ich bowiem około 3 morgi rocznie i wszystkie zużywam w gospodarstwie, nawet przy mniejszych plonach dokupuję. Do tych rozchodów doliczę podatek, który regularnie płacę. Od lipca roku 1924 do 15 listopada 1933 r. to jest przez 9 i pół roku zapłaciłem 1450 zł. podatku z wliczeniem opłat w ubezpieczeniu ogniomem.

Najmniej podatku zapłaciłem w roku 1926, bo 84 zł., a najwięcej w roku bieżącym bo 225 zł. Ceny na wszystkie produkty rolne były o 200% wyższe jak dzisiaj i płaciłem około 150 zł. podatku, a dzisiaj w takich warunkach wypędza mi się z gospodarstwa 25 ctn. pszenicy lub 32 ctn. żyta na podatek, gdy w poprzednich niekryzysowych latach na podatek starczyło 6 ctn. pszenicy lub 8 ctn. żyta.

W roku 1927 miałem najwyższy dochód kasowy w sumie 3000 zł. lecz niestety spowodu przygotowań do budowy, miałem w tym roku 400 zł. deficytu. W roku 1932 miałem 1700 zł. dochodu z mego gospodarstwa, a w zysku deficyty i nędza. W roku 1930 dostawałem za jednostkę tłuszczu z mleczarni spółdzielczej 5,5 gr. a przez rok 1931 cena stopniowo zniżała się do 4 gr. za jednostkę tłuszczu, a w roku 1932 wśród lata spadła do 2,4 gr., w listopadzie podniosła się do 3,7 gr., w lutym 1933 r. 2,7 gr., obecnie we wrześniu 3,5 gr. Za litr mleka dostawałem w przedostatnim miesiącu 12 gr., lecz były miesiące, w których za litr mleka dostawałem 8 gr. Byłbym bardzo zadowolony z tego dochodu, gdyby był zyskiem. Tymczasem rzecz przedstawia się inaczej. Krowa da mleko, gdy jest odpowiednio żywiona, a karma dla krów jest droga w stosunku do płacy za mleko. Czystego zysku na litrze mleka, nie licząc już zupełnie obsługi, jest około 4 gr. Więc na 300 litrów mleka przeciętnie w miesiącu mego gospodarstwa produkowanych i odstawionych będę miał 14 zł. zysku.

W naszej okolicy brakuje pracy, którą możnaby poza domem zarabiać. Sąsiednie majątki wynajmują tylko dwa razy w roku do pracy nad cukrówką. Dzieci moje korzystały z tej krótkiej sposobności, aby choć kilka złotych zarobić. Pamiętam jak w r. 1931 była robota przy gracowaniu i przerywaniu cukrówki. Praca spowodu licznych robotników trwała dwa tygodnie, a zarobek wynosił 1,50 zł. dziennie. Przy tej samej pracy, również krótko trwającej, płacono w 1932 r. 1,20 zł. dziennie, a w b. roku przez jeden tylko tydzień wynajęcia płacono 1 zł. dziennie. Muszę tu dodać, że za tę płacę pracują od godziny 6-tej rano do godziny 8-mej wieczorem pod nadzorem włodarzy, więc z pośpiechem. Mają tu trzy przerwy w pracy; pierwsza półgodzinna — śniadanie, półtoragodzinną na obiad i pół godz. na podwieczorek. Pracują więc 11½ godz. i za przepracowane pieniądze w całodziennym znojmym trudzie nawet 1½ kg. cukru nie kupią. Posyłałem do tej pracy zmuszony koniecznością trzy osoby z domu. Drugą pracą w roku na majątkach jest kopanie cukrówki. Tutaj pracuje się akordowo i można dostać najwyżej trzy morgi do pracy na kil-

ka osób z domu razem. Pracę tę miałem wynagradzaną tylko samym liściem zebranych z wykopanych, obciętych i zniesionych przez siebie buraków. W roku bieżącym już pracy przy kopaniu buraków nikt nie dostał, majątki miały mniejsze plantacje i dosyć własnych robotników.

W roku bieżącym trafiła nam się praca u nas dość rzadka. Zostaliśmy wynajęci do zwożenia kamieni na szosę o 6 km. odległą od nas. Pracowałem z dwoma synami przy nakładaniu na własny wóz, wożeniu i składaniu z woza kamieni. Pracowali 21 dzień w całości przez przeciąg 5 miesięcy, bo woźących z okolicy było bardzo wielu. Nawieźliśmy 83 m³ kamieni na odległość od 1 km. do 4 km. za wynagrodzeniem 156 zł. Woziliśmy od stycznia do końca maja, a wypłaty otrzymałem w dwóch ratach: pierwszą w drugiej połowie marca w sumie 36 zł., a drugą w połowie września 118 zł. Z tych pieniędzy musiałem wydać 20 zł. na reparację woza.

Ubóstwo kraju naszego odzwierciadla się w masie ludzi żebrzących. Skoro powróciłem z wojny, zaraz zauważyłem ogromny wzrost ubogich, chodzących po prośbie. 90% ubogich przychodzi z byłego zaboru rosyjskiego. Ostatnie lata zmuszały nas do udzielania około 400 wsparć rocznie. Były dni, że po ośmiu ubogich przychodziło do naszych domów w jeden dzień. Byli i są to młodzi i starzy, dzieci, małżeństwa, pogorzali, kalecy i zdrowi. Przypatruję im się; na twarzy i postawie jednych pokora i rozpacz, u innych zuchwalstwo i nienawiść. Choć biedny nasz dom, wspieraliśmy ich i wspieramy przeważnie, jak możemy, bo odczuwa się ich nędzę i bliskość swojej biedy. Dawałem po trochu ziemniaki, mąkę lub miedź, lecz zdarza się czasem, że niema co dać. Za niemieckich czasów ubogi był wielką rzadkością, najwyżej trzy razy w roku znajomego w okolicy jednego ubogiego powitało się prawie z radością. Skoro zobaczyłem te falangi żebracze, przypomniało mi się, co mi Anglik w Ameryce o Polsce powiedział. Ci ubodzy stale nas odwiedzający pobierają znaczną dla nas daninę, bo zliczyć wszystkie wsparcia, które im się udziela, a zbierze się poważna sumka.

Drugim naszym utrapieniem, to fałszywe pieniądze. Zdarzyło się parę razy, że dostałem fałszywe 5 zł., 2 zł., 50 groszówki i 20 groszówki. Zona moja sprzedając gęś na targu na najpotrzebniejsze sprawunki otrzymała 5 zł. fałszywe; przy innych wypłatach ja otrzymałem fałszyfikaty i moje dzieci; dość, że jestem poszkodowany na 15 zł. przez fałszywe pieniądze. Na ostatnim targu słyszałem, jak mój znajomy ubogi chałupnik kłął, bo 10 zł. fałszywych znalazło się

u niego. Żał mi było go bardzo, bo obciążony liczną rodziną walczy z nędzą i te pieniądze bardzo mu potrzebne musiał stracić.

Do roku 1922 był u nas spokój od strony złodziei. Przed wojną ze spokojem zostawiałem, przez noc, na polu moje narzędzia przy nieskończonej pracy, tak samo bielizna mogła spokojnie przez noc pozostać na sznurze w ogrodzie; nie śniło się nikomu coś podobnego ukraść. Zmieniło się po wojnie w okresach biedy i bezrobocia. Dzisiaj nietylko bieliznę, lecz nawet marny i tani sznurek od bielizny złodzieje ukradli pozostawiony spowodu małej wartości w ogrodzie. W okresie lat dziesięciu złodzieje rokrocznie moją zagrodę nawiedzają i co rok coś ukradną. Jest to dla mnie bardzo dotkliwa strata. Największe kradzieże spotkały mnie w roku 1923 i w roku 1927. W roku 1923 ukradli mi złodzieje dwa najładniejsze garnitury kupione w Niemczech przed ślubem z najlepszego materiału i przez najlepszego krawca odrobione. Wartość ich w owym czasie z tego powodu, że nie były nowe obliczałem na 500 zł. Do dzisiaj nie jestem w stanie nawet w trzeciej części tej szkody dogonić. W roku 1927 okradli złodzieje mój dom z bielizny pościelowej, osobistej, ubrań, a nawet tornistry dzieci z książkami pokradli i nazabierali mi wiele drobnych narzędzi potrzebnych w gospodarstwie. Obliczałem szkodę na 400 zł. i nie jestem do dzisiaj w stanie jej zupełnie wyrównać. W bieżącym roku miałem przygotowane do robót stolarskich deski. Nie miałem pieniędzy na stolarza; przydały się złodziejom, którzy zrobili mi znowu 40 zł. straty. Poza tem rokrocznie letnią porą odwiedzają moją piwnicę i wykradają z niej przechowaną żywność. Zdarza się, że nie mają i co ukraść. Dzisiaj spokojnie przed złodziejami spać nie można. Chciałbym dla własnej obrony broń nabyć, lecz nie mam za co. Kosztuje i pozwolenie urzędowe na przetrzymywanie broni. Gospodarz z mojej wsi, który wyprowadzających mu z stajni i podwórza konie, złodziei strzałami spłoszył, zapłacił za pozwolenie na broń 15 zł.

Muszę tu skolei pożalić się i na nasze opłaty pocztowe. Jeśli ministerstwo sądzi, że na mnie chłopie dorobi się na opłatach pocztowych za listy, to jest w błędzie. Mam wprowadzić córki, brata, siostrę, szwagrow, krewnych i znajomych w dalszych stronach, jednakże w korespondencjach jestem bardzo wstrzemięźliwy. Przed wojną i na początku Polski, opłaty te były o wiele niższe, a w czasie wojny, gdy za korespondencję od żołnierzy i dla żołnierzy nic nie płacono, w ciągu mego dwu i pół letniego pobytu, wysłałem do rodziny 400 korespondencji. Dzisiaj moja córka na Pomorzu odbie-

rze ode mnie dwa a najwyżej trzy listy w roku. Druga córka dostanie trochę więcej, lecz pozatem bez bardzo gwałtownej potrzeby nie wysyłam żadnych prywatnych listów. Pisałbym chętnie, lecz spowodu wysokiej opłaty nie mogę. Przed wojną płaciłem na list 10 fenigów a na pocztówkę 5 fenigów. W wolnej Polsce początkowo płacono taniej, obecnie niemożliwie drogo. Za dzisiejszy jeden list przed wojną mogłem wysłać trzy listy, a za jedną pocztówkę cztery pocztówki przedwojenne. Jak wysyłam list, to mam wrażenie, że poczta zabiera mi 20 gr., a przy pocztówce wydziera 15 gr. Uznaję opłatę, lecz uczciwą. Stęsknione na służbie złą dolą dzieci, którą swą tęsknotę w listach do rodziców i wzajemnie pocieszenia wyglądają, lecz niestety polska poczta wydziera im z ich niskich, często łzami zlanymi zarobków za wygórowaną opłatę pieniądze.

Pracując w przemyśle żelaznym w Oberhausen w Nadrenji zacząłem od roku 1896 przymusowo ubezpieczać się na starość i inwalidztwo w klasie najwyższej. Nie chcąc utracić już raz nabytego prawa do pobierania renty, po objęciu gospodarstwa przed wojną i po wojnie ubezpieczałem się samodzielnie dalej. Dzisiaj opłacać znaczki do kart ubezpieczeniowych, które kosztują 48 zł., jest mi bardzo trudno. Mam już 26 kart zalepionych, więcej jak do uzyskania renty starościowej potrzeba, lecz brakuje mi trzech lat życia do przepisanej starości, więc nie mogę u końca okresu przerywać, bo utraciłbym pielęgnowane przez 27 lat prawo do pobierania renty.

Jako wolny obywatel niepodległej Polski uważałem za swój obowiązek interesować się i brać udział w życiu samorządowym i społecznym choćby zamieszkivanych przez siebie terenów. Ustawy Sejmu Ustawodawczego i Konstytucja z dnia 20 marca 1921 r. dawały bodźca do pracy społecznej i napawały dumą i radością spowodu celującej demokratyczności. Moją przewodnią ideą od dalekich lat było, aby chłop wyzwolił się z swej bierności społecznej i wziął czynny udział w życiu politycznym państwa. Za konieczny warunek ówczesny uważałem podniesienie umysłowe ludu do miary nowopowstałej Ustawy Sejmu Ustawodawczego. Uczęszczałem na różne zebrania i czytywałem gazety i wygłaszałem referaty, aby do miary odrodzonego ducha dostosować się. Powierzano mi różne honorowe urzędy w samorządzie i w spółdzielniach. Nie wszystkie jednak spowodu trosk domowo - gospodarczych i niedogodnego położenia mojej wsi mogłem przyjmować. Byłem członkiem sejmiku powiatowego przez lat ośm. Członkiem dozoru szkolnego jestem od lat dziesięciu i dźwigam godność zastępcy wójta już szósty rok.

Trzy lata byłem rozjemcą do spraw łowieckich, obecnie jestem przewodniczącym sądu rozjemczego do spraw łowieckich od roku i od roku jestem w radzie nadzorczej kolejki powiatowej.

Od roku 1907 do roku 1929 byłem członkiem spółdzielni „Rolnik” w Żerkowie. Przyczyną mego wystąpienia z tej spółdzielni były błędy popełniane przez zarząd. Piętnowałem je na walnym zebraniu, na którym oświadczyłem, że wskutek błędów prowadzących do upadku z spółdzielni wystąpię. Zaproponowano mnie na prezesa rady nadzorczej, lecz ja widząc słabe przejęcie się memi wywodami na sali, oświadczyłem kategorycznie, że proponowanego honoru nie przyjmę i z danej instytucji w takich warunkach wystąpię. Zarząd stary pozostał, a w trzy lata później sprawdziły się moje przewidywania, bo wskutek złej gospodarki każdemu członkowi odpowiedzialnemu przyszło 500 zł. na konto długu spółdzielni zapłacić. Teraz dopiero zrozumieli członkowie, że trzeba zarząd zmienić, choć niestety zapóźno. Wielu członkom opierającym się opłacie wytoczono procesy, a wielu zapłaciło i wykreśliło się z obawy dalszych dopłat. Ja dzięki memu dość wczesnemu wystąpieniu uniknąłem straty. Nazwali mnie znajomi mądrym szczurem, który potrafi przed niebezpieczeństwem schronić się w dziurę.

Przez siedm lat byłem członkiem rady nadzorczej Banku Ludowego. Przez trzy lata byłem nawet vice-prezesem tejże rady. W roku 1931 przychodziło w radzie do ostrych starć poglądów. Stawałem w opozycji i przyszedłem w konflikt z całą radą, prócz jednego kolegi, który bronił moich poglądów. Na skutek ostrego konfliktu wystąpiłem z spółdzielni w roku 1932.

Pewna liczba współobywateli mojej gminy pragnie przeprowadzić poprzez teren mego gospodarstwa nowy spław wodny, rzekomo potrzebny, bez żadnego wynagrodzenia za wynikłą stąd dla mnie szkodę. Pretensje swoje zmuszenia mnie do tego obciążającego świadczenia pozorują koniecznością rzekomego odnowienia starego niepamiętnego spławu, który w rzeczywistości nie istniał. Z tego powodu prowadzę z memi przeciwnikami na terenie gminy od kilku lat walkę, którą opieram na przepisach nowej ustawy wodnej. Ostatnio przechylił na moją stronę zwycięstwo przysłany z wojewódzkiego urzędu meljoracyjnego inżynier, który w obszernym i siłą faktu korzystnym dla mnie sprawozdaniu technicznym zbagatelizował projekt moich przeciwników.

W roku 1932 został wójt w Żerkowie zwolniony ze swego obowiązku. W jego miejsce województwo przysłało komisarycznego

wójta z wyższym wykształceniem, który został przyjęty z bezskutecznym protestem rady wójtowskiej. Wójt komisaryczny pracował na terenie wójtostwa dobrze, z zadowoleniem władzy i nawet obywateli swego obwodu.

Niestety rewizja wykazała braki poważne w kasie wójtostwa, a starosta został zmuszony wójta zawiesić, a mnie jako zastępcy agendę wójtowską powierzyć. Dzisiaj idę codziennie z niechęcią do zabagnionego defraudacją biura wójtowskiego, 9 km. odległego od mego domu, urzędować z ciężarem 62 lat życia i martwić się jego kłopotami, gdy niecałe dwa lata wcześniej po złożeniu poprzedniego wójta, gdy kasa agendury była w porządku, mnie nie potrzebowano, lecz odrazu przysłano wójta komisarycznego.

Pobudowałem wprawdzie ładny dom, lecz nie zdołałem go wewnątrz ukończyć, ani odpowiednio urządzić.

Ozdobę mego domu stanowi kilka haftów szkolnych moich córek i doniczki z kwiatami. Za to koło ścian mego domu nazewnątrż przez całe lato i jesień pstrzy się od kwiatów. O wszystkich innych komfortach w postaci mebli potrzebnych w kulturalnym domu marzyć nie mogę.

Urządzenie mojej kuchni jest bardzo skromne. Siedem całych garnków, kociołek do parowania ziemniaków, kociołek do palenia żyta, dwa rondelki, patelnia, i kilka pogiętych blach do pieczenia ciasta, to wszystkie najważniejsze rzeczy. Starych, cynowanych, wytartych i codziennie w popiele czyszczonych łyżek, głębokich fajansowych talerzy i takichże filiżanek dla wszystkich osób w domu wystarczy. Jeden blaszany dzbanek i dwie blaszane stare, dziurawe miski, zupełnie starczą za wszelkie półmiski i salaterki. Wazy nie potrzeba, bo jedzenie każdy nabierze sobie blaszaną obłupaną łyżką z garnka. Płaskich talerzy, serwet, deserowych talerzyków, spodeczek i różnych tam takich wspaniałości wcale się nie kupuje, bo niema za co, ma się ich tylko szczątki; zresztą znakomitych gości wcale się nie przyjmuje, a znajomi i krewni gospodarze biedę znają, więc niema ich się co wstydzić. Gorzej mają się rzeczy z pościelą. Tutaj wprawdzie na każdym łóżku znajduje się pierzyna i dwie małe poduszki, lecz połowa tej pościeli nie ma porządných wsyp, przez które pierze nie przeciskałoby się. Wszelkie materace w łóżku zastępuje słoma nawet bez sienników. A że miałem duże wydatki i złodzieje mnie raz z pościeli porządnie okradli, więc brakuje powłok nawet na jedną zmianę. Ręczników do tuzina też mi kilka sztuk braknie. Lecz wazonów do kwiatów prowizoryzowanych z zielonych butelek

mam w mieszkaniu dosyć. Ściany wszystkich pokoi bielimy wapnem i dla większej ozdoby malujemy sobie sami wąski szlak pod sufitem i dla większej jeszcze ozdoby robimy pająki ze słomy i wieszamy na hakach u sufitu w miejsce lamp, których nie mamy.

Wspomniałem, że nie mam za co kupić piecy, tu dodam, że nie mam za co kupić i opału, 30 ctr. węgla kupuję na zimę i palę chróstem, wysuszonymi korzeniami i drzewem, które mi pozostało ze starych budynków i z wiórów, po obrabianem do budowy drzewie, a które mimo oszczędnego postępowania z opalem już się wyczerpuje. Oszczędza się i na mydle i proszku do prania. Zużywam rocznie 18 paczek mydła i tyleż paczek proszku na rok. Kosztuje to razem 25 zł. Mydła toaletowego kupuje się za 5 zł. na rok. Na więcej pozwolić sobie nie można. Trzeba najczęściej mydło zastąpić czystą tylko wodą. Podłogi mego mieszkania zamiata się miotłą z brzozowych gałązek, bo szczotki są za drogie.

Przed kryzysem i przed budową mogłem jeszcze sobie pozwolić na dziennik, obecnie przed każdym zapisaniem gazety wychodzącej trzy razy w tygodniu namyślałem się co zrobić, żal mi bardzo gazety, lecz pieniądze bardzo trudne i dotąd zwyciężała najtańsza gazeta. W domu mam 150 egzemplarzy książek. Są tu książki szkolne córek i dzieci. Mam tu również książki rolnicze, naukowe z przepisami prawnymi, powieściowe kupione lub подарowane w Niemczech i przed wojną. Mam kilka map niemieckich i jedną mapę Polski Bazewicza, kupioną w wolnej Polsce. Dzisiaj nie w stanie jestem kupić sobie jakąkolwiek książkę.

Odżywianie nasze znajduje się na poziomie niższym od oszczędności i skromności. Na dziewięć osób rodziny dorosłej zabija się przeciętnie trzycentnarowego (1 ctr. 50 kg.) tucznika lub dwa poniżej dwa centnary, którego słonina i mięso musi na cały rok starczyć. Nabiału używa się bardzo mało i w najmniej wartościowym produkcie. Wszystko mleko odsyła się do mleczarni przez cały rok. Tylko wśród lata przez trzy prawie miesiące zostaje w domu po kilka litrów dziennie mleka, które zużywa się na potrzeby domowe. Zgórą przez dziewięć miesięcy nie widzi się w domu, ani szczypki masła, ani twarogu, ani mleka pełnego, prócz paru litrów mleka chudego z mleczarni. Mamy wprawdzie w gospodarstwie 20 kur, lecz w domu konsumuje się w całości 10 mendli jaj na rok, a wszystko sprzedaje się, aby kupić nici i różne drobiazgi w domu potrzebne. Cukru na cały dom kupuje się 30 funtów na rok. Przez cały rok na śniadanie i na kolację gotuje się polewkę, a przez parę miesięcy żur. Polewkę

gotujemy z kilku garści mąki z chudem mlekiem i z $\frac{4}{5}$ wody i soli ją się i podaje z parowanemi ziemniakami. Żur robimy tak samo: na $\frac{5}{6}$ wody czystej nalewa się $\frac{1}{6}$ kwasu żytniego, żarnowego, gotuje, soli i podaje z parowanemi ziemniakami. Obiady nasze gotujemy z ziemniaków, mąki, kapusty, brukwi, marchwi, grochu i kaszy jęczmiennej. Smakowałoby to bardzo, gdyby było czem doprawić. Niestety, tłuszczu niema, gotuje się wszystko na czystej wodzie lub rzadko na chudem mleku, cukru niema, więc trudno dobrze i ze smakiem się pożywić. Odżywiamy się trzy razy dziennie, wyjątkowo tylko w porze żniw spożywa się podwieczorek. Chleb jemy suchy i wogóle każde z nas czuje, że głoduje, lecz zmienić stanu rzeczy się nie da, bo stracilibyśmy przy lepszym odżywianiu nasze zdeficytowane gospodarstwo.

Dodam komentarz do cukru. Czytałem broszurę propagującą cukier w roku 1929. Przeczytałem tam, ile rocznego spożycia cukru przypadało na jednego mieszkańca w poszczególnych krajach w roku 1927. Największe spożycie wykazywały Stany Zjednoczone, bo tam na jednego mieszkańca przypadało 55 kg. cukru. W Niemczech przypadało na jednego mieszkańca 24 kg. cukru, a w Polsce 10 kg. cukru. Gdyby rodzina moja spożywała tę ilość cukru, którą statystyka na jednego mieszkańca obliczyła, to musiałaby spożyć 90 kg. cukru na rok. Tymczasem spożywa tylko 15 kg. cukru, co wypada na osobę $1\frac{1}{2}$ kg. Píše w tej broszurze autor, że przyczyną tego zjawiska małej konsumpcji cukru w Polsce jest mała oświata naszego ludu, ja będę twierdził, że właściwą przyczyną małej konsumpcji jest odwrotnie proporcjonalna wysokość ceny cukru do ubóstwa mieszkańców. Ile przetworów owocowych możnaby sporządzać w domu, gdyby cukier był tak tani jak przed wojną. Niestety, owoce można tylko sprzedąć, lub suszyć na dłuższe przechowanie.

Przeważnie w ciągu roku ubieramy się, jakbyśmy naszą garderobę, pełną łat i strzępków wiszących, nabyli od stracha na wróble, który już w niej co najmniej dwa lata paradował. Łata na łacie, a w tej łacie jeszcze dziura i jedna łata drugiej łaty trzymać się nie chce, a jak już masz coś sięgać, a nad płynem jakimś, to frendzle rękawa napewno oblepią się, a ubranie czego dotknie się, a lekko zahaczy, to rozdziera się jak papier. Jeśli człowiek musi wyjść za jakimś interesem poza dom, to ubiera się w drugi garnitur lepszy, który wprawdzie wygląda tak, jakby na rynku u nośplata był nabyty, lecz już niema strzępków, a łata jest porządnie przyszyta i dziury w niej jeszcze niema. Gdy człowiek chce już bardzo porządnie ubrać się,

jak na przykład do kościoła, lub na wójtostwo urzędować, to bierze na siebie wprawdzie cały garnitur, lecz mocno poprzecierany, a powypychany, że żadne prasowanie nie pomoże i jak przyjdzie z kościoła lub urzędu, to zaraz go zdejmie, ażeby dalej nie niszczyć. Skąd to przyszło, że ja, który w młodości uchodziłem za eleganta, dzisiaj przy takiej garderobie znajduję się. Gdy przyszedłem na gospodarstwo miałem ośm garniturów, dwa płaszcze i dwa palta z najlepszego materiału, prócz ubrań roboczych. Do dnia dzisiejszego nie kupiłem sobie ani jednego garnituru świątecznego, ani jednego kołnierzyka, przodku i krawatu. Dokupowałem tylko bieliznę i ubrania robocze. Złodzieje ukradli mi dwa najlepsze garnitury, jeden garnitur i płaszcz z peleryną w czasie wojny żona przerobiła dla dzieci. W dni robocze chodzę najczęściej obdarty, bo oszczędzam, aby na nic nowego pieniędzy nie wydać, a naprawy się nie trzymają. Żona moja również nie świątecznego na gospodarstwie sobie nie kupiła, nosi stare i poniszczone ubrania. Dzieci tak samo biednie ubierają się jak my starzy. Całe lato chodzą boso, a zimą w podartych drewniakach i łatanych pończochach i jeszcze obuwie tak rzadko, bo tylko na pół niedzieli, wyjątkowo przez całą niedzielę używane, starczyć dla każdego w żaden sposób nie może. Córki przez pięć lat zrzędu latem i zimą każda jeden swój za trzy złote kupiony beret nosi i dotąd jeszcze nowych nie mają. Płaszcze zimowe po sześć lat zrzędu noszą, a jeden płaszcz letni od pięciu lat dwom córkom służy. Pończochy stale podarte i stale po każdym użyciu czerowane. Z chłopcami jest jeszcze gorzej i pocóż mam dłużej rozwodzić się nad szczegółami, jeśli każdy małowiele liczyć umiejący może dobrze zrozumieć, że przy moich wydatkach nadzwyczajnych, licznej rodzinie i dzisiejszej konjunkturze inaczej żyć i ubierać się nie można. Jest to życie pełne zmartwień, strasznych niewygód, goryczy i przykrości. Ubrania nie tylko szpecą powierzchowność ludzką, lecz nie chronią zdrowia i uniemożliwiają dostęp do życia kulturalnego. Ubóstwo materialne przeszkadza nawet prostym potrzebom higienicznym. W roku bieżącym organizowały się bardzo tanie wycieczki, lecz nikomu z mojej rodziny nawet nie marzyła się ich dostępność, choć ceny były bajecznie niskie.

Przy podobnem odżywianiu, życiu i ubieraniu się, nikt silnym i zdrowym czuć się nie może, lecz często odczuwa się różne przykre dolegliwości. Czy cierpi się na ból przeziębionego w nieopalanej sypialni w nocy gardła, czy na bóle głowy, czy na dolegliwości żołądka, reumatyzmy, kaszle, dreszcze, klucia, zęby, okaleczenia lub

wrzody, do lekarza absolutnie nie idzie się, bo niema za co, tylko leczy się najprostszymi i najtańszymi środkami w domu. Do lekarza idzie się dopiero pod wrażeniem stojącej za drzwiami śmierci. Kasy Chorych nie opłaca się, a lekarz po zbadaniu poleciłby lepsze odżywianie i pielęgnowanie się, na które sobie pozwolić nie można i wzięłby 3 do 5 zł. za poradę, na aptekę już by nie starczyło i powróciłby człowiek tak samo chory jak poprzednio, czekać, aż choroba sama przejdzie, lub zmarnuje już zupełnie.

Moje gospodarstwo posiada więcej sił do pracy, niż pomieścić może. Cztery zdrowe dorosłe osoby wystarczą zupełnie. Pracy dla czterech osób dosyć; każdy miałby co robić i nikt nie pracowałby ponad siły. Nie robię przykrości tym, którzy muszą na moim gospodarstwie z powodu braku pracy przebywać, lecz ten nadmiar czterech osób obciąża gospodarstwo i wytwarza wiele nieprodukcyjnej pracy. Do podziału rzetelnego pracy mam za wiele osób. Pracę w gospodarstwie wykonuje się wspólnie, lub na zmianę i przy zgodnej pomocy wzajemnej. Kto zdrowszy i silniejszy, ten w danej chwili wykonuje więcej, lecz zawsze zdałoby się o 200% więcej pracy wykonać, niż gospodarstwo moje jej daje. Byłby dobry podział pracy w domu i w gospodarstwie, mógłby każdy członek mieć pewien dział pracy, gdybym miał pieniądze na inwestycję i rozszerzenie poszczególnych gałęzi produkcji hodowlanej, lub widoki zbytu, na pracę domowego przemysłu. Za pożyczane pieniądze bez praktycznie wypróbowanej kalkulacji i przy dzisiejszym kryzysie nie mogę ryzykować, bo mógłbym przyjść do bankructwa, jak wiele wzorowych gospodarstw.

Gdy mi braknie krzątający koło gospodarstwa, wracam do mieszkania i tu przy kuchennym stole czytam moją gazetkę, gawędzę z teściem o starych czasach i sprawach bieżących, przeglądam domowe książki, lub przyniesione z czytelnii ludowej, a niekiedy piszę do władz w różnych bieżących, obchodzących mnie sprawach, gminnych, lub spółdzielczych. Córki moje naprawiają stale odzież i pielęgnują zdobyte na kursach wiadomości, a synowie również czytają, rozprawiają, lub uczą się gry na skrzypcach od niewidomego teścia, który skrzypkami po swym zmarłym synu spędza codzienne nudy swego życia.

Nie wypiję ani kieliszka żadnego napoju alkoholowego i nie wypalę nic za własne pieniądze i wygospodarzyć się już nie mogę. Nie dopożyczam, bo lękam się długu, lecz za to głoduję z całą rodziną, bo moje gospodarstwo nie może wystarczyć nawet na wyżywie-

nie rodziny. Moja rodzina potrzebuje na zimę obuwia, koszul, ubrań, płaszczy, czapek, lecz ja nie kupić nie mogę. Dawno już marzę o kozuchu na zimę, bo przy moich wybiegach z domu najczęściej drzę z zimna, lecz prędzej pewno zdrowie i życie stracę z przeziębienia, zanim kozucha dorobię się. Do gospodarstwa potrzebny mi siewnik, maszyna do sieczki, skibowiec, i wiele innych drobnych narzędzi, których wartość ogółem przenosiłaby 1000 zł. Nie mam kurnika, moje kury mieszczą się w świńskim chlewie, nie mam gnojowni, stodoła czeka na reparację i przybudowę, i więcej jeszcze podobnych wydatków mnie czeka, lecz wątpię czy to wszystko kiedykolwiek wykonać będę mógł.

Jakież ja mogę mieć widoki na przyszłość. Dzieci wyposażyć i zapewnić im przyszłość nie będę miał z czego. Gdyby były stałe i pewne prace w tej mierze i zapotrzebowaniu, co przed wojną, miałyby zatrudnienie, zarobek, mogłyby zaoszczędzić coś sobie i ja mógłbym dla nich grosz zaoszczędzić, mogłyby powychodzić zamąż i mieć własne gospodarstwa. Dzisiaj na każdym prawie gospodarstwie jest po kilka córek nawet ponad 30-letnich, i tak samo są synowie, bez możliwości założenia własnego gospodarstwa i domu. Jest kilka rodzin, do których powracały zamężne córki z dziećmi, bo zięć nie ma pracy. Dzisiaj na wsi wszędzie jest bieda i narzekanie. Ludzie z wsi mają trochę więcej pojęcia o kulturze i jej potrzebach, jak przed wojną, lecz niestety, nie są w stanie jej zaspokoić.

W odżywianiu głodują więcej, jak przed wojną żebracy, ubierają się tandetnie, a to wszystko wskutek braku zarobków i krzywdzących cen. Przed wojną ludzie ugaszczali się wódką, piwem, winem, częstowali cygarami; w każdy targ widać było podochoconych gospodarzy. Dzisiaj nikt kieliszka nie wypije i tylko młodszy palą najgorszego gatunku papierosy, do których nawet w wojsku poprzyzwyczajali się.

Przed wojną każdy kto pracował dorobić się mógł czegoś, dzisiaj trudno. Robotnika, któremu trudno czegoś dorobić się, trapi plaga mieszkaniowa. Moi szwagrowie ile setek, w utrapieniu zarobionych pieniędzy stracili na odstępną przy wynajmowaniu mieszkania. Przed wojną jeden gospodarz po drugim kupował sobie powózkę i wygodnie jeździł do kościoła. Przed kryzysem w wolnej Polsce gospodarze nabywali te powózki z ładnymi uprzężami, a dzisiaj je tracą przez egzekutorów. Mnie również potrzebna jest choć skromna powózka, bo mam 7 klm. do parafjalnego kościoła, 14 klm. do stacji kolejowej, 9 klm. do poczty i w promieniu kilku i kilku-

nastu kilometrów, krewnych do których mógłbym kilka razy do roku jechać w odwiedziny. Niestety, nie kupiłem dotąd, nie kupię i w przyszłości. Tej biedzie niestety jesteśmy sobie wszyscy winni. Chłopi okazują za wiele bierności społeczno-politycznej. Nie umieją zorganizować się i jasno sformułować ze spokojem i sprawiedliwością swoich żądań.

Ucieszyło mnie, że znalazła się instytucja, która losem chłopą zatroszczyła się, więc zebrałem moje myśli i napisałem to, co w tak krótkim czasie najbardziej przypomniało mi się i cieszyłbym się, gdyby z mojej słabej pracy mógł ktoś zrobić jaki użytek.

Dola chłopą jest przykra i twarda, aby ją należycie odmalować potrzeba nauki i talentu, którego mi nie dostaje. Tragedje walk z ciężkim losem, z ubóstwem, z pragnieniami wiedzy, kultury, lepszego bytu i praw posiadają tysiące subtelnych odcieni, których gruntowna znajomość i uwydatnienie potrzebuje dłuższego wysiłku.

Dn. 22 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 3.

Syn rolnika, z zawodu kowal,
przez znaczną część życia wychodźca za zarobkiem, wkońcu
wiejski kowal w pow. nieszawskim.

D z i e c i ń s t w o

Urodziłem się 6 stycznia 1880 roku we wsi Staro-Radziejowie gminy Bytoń, powiatu Nieszawskiego, woj. Warszawskiego, z ojca Antoniego, z matki Marjanny z Paczkoskich z wioski Paprosa pow. Strzelińskiego, mój dziadek z ojca pochodził ze wsi Synborza pow. Inowrocław. Moi rodzice posiadali gospodarkę początkowo 40 mórg polskich czyli 300 prętowych i parę set rubli gotówki, mój ojciec był synem kujawskiego rolnika, który nie dążył do ulepszenia swojego warsztatu pracy, a tylko marzył o tem ażeby powiększyć swe gospodarke jak większość na one czasy dążyła a i obecnie z małemi wyjątkami dąży. Tak postąpił i mój ojciec a właściwie moi rodzice, bo ojciec bez matki nic nie przedsięwziął. Dokupili jeszcze 10 mórg polskich, zaciągając na to długu 700 rubli, nierozważny ten krok był na resztę życia moich rodziców przyczyną wielu zmartwień i kłopotów i tak się złożyło, że już moi rodzice nie mogli tego długu spłacić pomimo pracowitości i zapobiegliwości, brak było wykształcenia fachowego.

To jest taki wstęp w jakich warunkach się wychowywałem i wyrosłem. Dodać jeszcze muszę to że nas dzieci w domu było 12-cie czyli cały tuzin, dwóch braci najmłodszych umarło niemowlętami, 10-ro nas rodzice wychowali i wszyscy po dzisiejszy dzień żyją i są przy dobrym zdrowiu, żaden nie kulawy ani ślepy ani garbaty, ja jestem ósmy, był jeden brat najstarszy, późni 6 siostr, po mnie jeszcze jedna siostra i najmłodszy brat.

Pamięć moja sięga od ukończynia 5 lat, ponieważ byłem chłopiec po tylu dziewczętach więc przez to musiałem w bardzo mło-

dych latach iść do pasionki, najpierw cielaki i świnie, a późni od siedmiu lat krowy, że paśnika nie posiadaliśmy tylko ojciec pozostawiał co roku tak zwany ugor, dawniej nie tak gospodarzyli jak obecnie, tylko były tak zwane trzy pola w jednym polu siewali zboże ozime to jest rzepik, żyto i pszynice, w drugim polu siali zboże jare i okopowizne, w trzecim polu pozostawał ugor czyli pastwisko, w tem to polu było zasiane kawałek koniczyny i wyki na pasze zielone dla koni albo cieli też na siano, ponieważ łąk nie było. Na tem to ugorze pasalem 10 do 12 bydłaków, taki paśnik był otoczony zazwyczaj dokoła zbożym, na takim to ugorze rosła nie trawa stosowna dla krów a rozmaite zielsko nie rzadko szkodzące dla zwierzęcia. Zazwyczaj krowy wyganiałem na ów paśnik w początkach maja. Przed majem wyganiałem cielęta i świnie na ozimie to jest na pszenice, bo żyto wyrosło wcześniej i zwierzęta niechętnie jadły. Siostra znów pasła gęsi a mieliśmy w roku do sta gęsi, ponieważ nasz powiat graniczył z zaborem pruskim więc na ptastwo zbyt był zapewniony. W maju szło to wszystko na ugor, jeżeli wiosna była wczesna ciepła to zielsko wyrosło bujne i trafił się rok przekropny to na parę tygodni na tym to ugorze paśnik był niezły, ale gdy trafiła się wiosna zimna to zielsko wyrosło późno i krowy wnet zjadały, najpierw wybierały lepsze zielska a późni wyjadały co było; resztę wyskubały gęsi, mieliśmy i dwie, trzy do czterech owieczek, to po paru tygodniach na takim pastwisku pozostawała goła ziemia i ja na takich pastwiskach pasaliśmy krowy do ukończenia 14 lat na słońcu i słońcu, na wiatrze i upałach. Dopiero to było pasenie na takim paśniku, za towarzysza i pomocnika był burek lub szyjka, to był nietylko pomocnik ale nieodzowny przyjaciel taki burek lub szyjka każdego pastuszka w naszej wiosce, zazwyczaj pastuszek dzielił się ze swym czworonożnym pomocnikiem rzetelnie swą strawą, którą mu przynosili na pole, bo bez takiego czworonożnego pomocnika nie było mowy żeby pastuszek dał radę dwonastu bydłakom nie zrobić szkody w sąsiada albo i własnym zbożu.

Więc w takich warunkach wyrastali chłopcy z naszej wioski, gdzie nie było mowy o książce albo też o wystrugiwaniu różnych zabawek jakie chłopcy wyrabiali z tych wiosek gdzie mieli pastwiska wspólne. Dopiero po sprzęcie zboża dla naszych pastuszków otworzyło się pole, a jeszcze jeżeli trafiło lato dżdżiste było trawy wszędzie dosyć, dopiero wtedy było i dla pastuszka trochę wypoczenia. Ale to zazwyczaj posyłali rodzice młodszego pastuszka a star-

szego brali już do pracy czy to w polu czy stodołę albo przy obróbce lnu.

U moich rodziców na 50 mórg polskich nie było maszyny do młocki ani maneża do rżnięcia siewki, ojciec pożyczał młocarni konny, wymłócił połowę pszenicy do siewu i na sprzedaż na niezbędne wydatki a resztę pozostawiał na zime i młócili cepami całą zimę i siewkę krajaliśmy dla inwentarza też sobą. Ojciec zrobił taki drążek i nas dzieciarni się nauwisało czterech i pięciu i szóstcu jak się zdarzało a ojciec nam nakładał słome, najgorzej było gdy trafiły dwa trzy święta, oj to musieliśmy się nakiwać nad siewkarką. Lnu moi rodzice siewali dosyć sporo ponieważ na tyle dzieciarni trzeba było sporo koszul no i płachtów na łóżka, a dla nas chłopaków nawet i obleczenie na pierzynie było z płótna swego wyrobu; ażeby nie było takie brudzące matka farbowała na kolor modry, spodnie do pracy na codzien też mieliśmy z takiegoż płótna. To siostry większe pół zimy trajkotały na takich kołowrotach, przędły nici ze lnu na owo płótno, takie przędze ojciec odwoził do Osicin na jarmark, a tam przyjeżdżali płócienniki przeważnie Niemcy i robili płótno, dopiero po wielkanocy znów te płócienniki przywozili znów na jarmark płótno i każdy odbierał swoje, znów szło sortowanie: z grubego matka szyła worki do zboża, ze średniego czyli tak zwanego poczesne szło na płachty na nakrycia na stół i łóżka, a cienkie już tylko na koszule, rękawiczki, prześcieradła, no i fartuchy i sukienki robocze dla dziewcząt. Matka farbowała na rozmaite kolory stosownie do upodobania a przeważnie królował kolor modry, ponieważ był to ulubiony kolor kujawiaka, na jesieni ojciec z tych paków gdy już były dłuższe wieczory, kręcił powrozy do wiązania krów. Przy końcu karnawału z początkiem postu wielkiego zazwyczaj kończyli prząść len i wełnę, która szła tylko na pończochy i rękawice, a zaczynało się darcie pierza wieczorami, czytanie ksiąg albo śpiewanie pieśni religijnych, w każdą środę i piątek wielkiego postu klękaliśmy wraz z rodzicami i matka odmawiała jedną część różańca świętego i litanje o miłość pańskiej, a my dzieciarnia za matką powtarzaliśmy w każdy piątek wielkiego postu po różańcu i litanji ale już przy swych zajęciach odśpiewaliśmy Gorzkie Żale. Wielki tydzień już nie było pierza do darcia, w dzień bielenie, uprzątnięcie, szorowanie sufitów, podłogi nie było w naszym domu tylko była ubita z gliny, ale sufit to był nie bielony tylko go myli dwa razy do roku, na wielkanoc i na jesień. Wielki tydzień zazwyczaj ojciec zaczynał siew zboża jarego, a w wielki czwartek to już zaczynały się nabożeństwa w ko-

ściele gdzie z naszego domu na zmianę zawsze ktoś był w kościele, ponieważ w naszym kościółku w miasteczku Radziejowie jak się zaczęło nabożeństwo mszą św. w wielki czwartek z wystawieniem Najświętszego Sakramentu to już Najśw. Sakr. był wystawiony aż do niedzieli do rezurekcji, z tego też powodu ciągle matka wysyłała swą dziatwę do kościoła czy to w dzień czy w nocy, a ponieważ mieliśmy do kościoła trochę lepiej jak 6 kiln. przez to matka taki porządek zaprowadziła, że młodsze szli do kościoła w dzień, a starsze czyli już dorosłe szli na noc, a przychodzili rano, a ojciec i dziadek to znów szli do klasztoru, a zwłaszcza dziadek był w bractwie św. Franciszka to już do domu wracał tylko tyle żeby się najeść i trochę przespać i znów biorąc sobie trochę czerstwego chleba śrutoka znów wracał do kościoła zazwyczaj i mnie biorąc ze sobą, ale ja nie mogłem wysiedzieć przecie z dziadkiem ciągle w kościele gdzie o tej porze budziło się wszystko do życia, wróbelki to wesoło świerkały, więc wylatywałem na dwór i przypatrywałem się jak chłopaki grali sobie niedaleko kościoła w palanta, w grze udziału nie brałem z tego, że byłem za mały, a chłopaki mieli taki przywilej grać w palanta w pobliżu kościoła z tego powodu że jak była wiosna ciepło a wielkanoc później przypadła, to starsi byli w polu przy pracy a takie chłopaki skolei adorowali Najświętszy Sakrament.

W wielki piątek to już niezliczone tłumy spieszyły na Gorzkie żale czyli pasyje tak zwali wieczorne nabożeństwo.

W wielką sobotę to już nasza mateczka pokończyła wszystką pracę złączoną przy tak uroczystych świętach, święconka już była uszykowana na dosyć dużym stole aż się nogi uginały, wtenczas to Matka biorąc mnie małego chłopaka szliśmy do kościoła na całą noc śpiewając pieśni, ponieważ ja miałem ładny głos więc matka zabierała mnie z sobą, ale nie była to przyczyna że mnie matka brała do kościoła na całą noc z soboty na niedzielę nietylko dla śpiewu a na podziękowanie Bogu za cudowne uzdrowienie mnie z ciężkiej choroby. A było pono tak: będąc w trzecim roku życia zachorowałem na febre tak że mie febra męczyła, co drugi dzień popołudniu dostawałem napadu febry po roku takiej choroby zaczęła mnie brać codziennie, do tego doszło w końcu że z osłabienia nie mogłem chodzić tylko leżałem w łóżku. Z tej choroby to tylko tyle sobie przypominam, że gdy już byłem tak słaby, że nie mogłem jeść o własnych siłach a matka mnie pasła, ojciec wziął mnie za głowę pocałował w czoło i długo płakał, tylko to zapamiętałem; gdy przyszła wielkanoc ja już byłem w piątym roku, podobno uparłem się że ja chce do ko-

ściola, a że byłem wymizerowany prawie dwuletnią chorobą, a do kościoła było przeszło 6 kilm., ojciec mnie nie chciał wziąć a matka jak zwykle była tej nocy w kościele. Ponieważ tak rzewnie płakałem że ja chce iść do Bozi a ojciec mnie bardzo kochał z powodu tego że to było tyła córek że myślał że rzeczywiście przyszedł mój kres i ja odejde nazawsze, nie chcąc mnie pozostawić tak że jak wróci nie zastanie mnie żywego i nie chcąc żeby opuścić uroczyste nabożeństwo, kazał zaprząść konie i wziół mnie do kościoła, po powrocie z kościoła już nie położyłem się do łóżka tylko zacząłem chodzić i od tego czasu nietylko moi rodzice ale i sąsiedzi uważali mnie za cudownie uzdrowionego, z tego to powodu na podziękowanie Bogu w te noc matka zabierała mnie do kościoła.

Wielkanoc gdy była ładna i pogoda, wyrostki szli grać w piłkę w tak zwaną matkę. Gra polegała na tem, że zazwyczaj zbierała się gromada wyrostków, dzielili się na równe dwie partje najrzęczniejsi z nich byli wybierani za matki, a reszta za koni i brały chłopaki-matki kij do ręki zwany palantem, przerzucał jeden drugiemu do ręki ten łapał kij ręką wpół drugi mu przykładał czyli obejmował ów palant naprzemian aż do czubka wtenczas, która ręka była na samym końcu owego palanta temu przesługiwało wybór koni do gry, tak się odbywało i losowanie, która partja miała iść do nieba, a która szła do piekła.

Młodzież dorosła znów zabawiała się w kulanie kręga i tu były dwie równe partje i starali się wypchnąć jedna partja drugą za wieś, co musiała się taka wypędzona partja wykupywać.

Dziewczynta znów miały swoje gry w lisa, wilka albo razgaskę. A jeżeli była słota albo ziemia jeszcze nie wyschnięta od zimowego śniegu, wtenczas robili bujaczki po stodołach zazwyczaj już pustych o tej porze albo też robili karuzel, przewracali półwozie jedno koło leżało na ziemi, które umocowane było mocno kołkami a do górnego koła przymocowane były drabiny, do tych to drabin powieszane były siedzenia i chłopaki skolei kręcili a dziewczęta jeździli. Wieczorem gdy już się dobrze zciemniło zbierała się młodzież męska zazwyczaj na środku wsi, zwoływali się na to zebranie zapomocą bębna, a że takowego we wsi zazwyczaj nie było brali jakieś naczynie blaszane, a z braku takowego zazwyczaj balije od prania i walili jak w bęben, ale to więcej było dla tradycji niż dla zwołania, bo przecież każdy naprzód wiedział gdzie się taka przywoływka odbędzie, naturalnie pod sekretem żeby dziewczęta się nie dowiedziały. Jeden z chłopaków wlaził gdzie na jakie rosochate wierzbe, zaczyna krzy-

czeń na całe garło. Nomer 1-szy jest dziewczyna ładna urodna do ludzi i do Boga podobna, niech się nie boi bo za nią Jasiek Surdyk stoi a jak się nie wykupi to dla niej sznur koralu kupi, która z dziewcząt była lubiana to chłopaki w czasie takiej przywoławki wychwalali jej cnotę i zalety, a która nie cieszyła się szaconkiem to zostały niejako publicznie wypowiedziane jej wady i dostawał jej się najgorszy niedojda albo pijaczyna czy jaki półgłupek. Taka niewinna zabawa w taką przywoływkę miała też sens moralny, żeby nie być skrytykowanym w ten dzień. W drugie święto wielkanocy od samego rana zaczęli się gromadzić chłopaki dorosłe a nawet i żonaci i zaczęli chodzić po dyngusie, gdy wchodzili do domu zaczynali śpiewać pieśń o P. Jezusie.

A chodzimy po dyngusie
Zaśpiewamy o Jezusie i t. d.

Gdzie był dom zamożniejszy i więcej szaconku miał w naszej wiosce, to zaczynał się dyngus na tem że zazwyczaj całowali niektórzy ręczki gospośi i skrapiali te ręczki wodą z butelki często pachnidłami zaprawioną i po małym pokropieniu wodą resztę płci pięknej nie wyłączając nawet i w kołysce, a kończąc na poczęstunku gospodarza który już na ten dzień uszykował kwartową butelkę gorzalki z miodym, gospodyni zapraszała do stołu zastawionego jeszcze święconem, każdy wypił zakąsił stojąc i szli dalej żeby obejść wszystkie domy upatrzone, a były i takie domy co tam nikt nigdy nie chodził ani po dyngusie ani innym razem, a gdzie było więcej dziewcząt to z małego pokropienia dochodziło do takiego dyngusu że wylewali kilka kubłów zimnej wody, tak że i suchej nitki nie pozostało. Po Wielkanocy to już dla mnie zaczynała się pasionka wyganiając cielęta i świnie na pole i tak już żyłem w polu prawie do wszystkich świąt. W maju każdego wieczora matka zwoływała całą rodzinę na majowe nabożeństwo, gdzie wspólnie odmawialiśmy jedną część różańca świętego, letanije do Matki Boskiej i pieśń do M. Boskiej, tak było cały miesiąc codziennie. W pierwszą niedzielę października przypadał doroczny największy odpust w naszej parafii, co roku zjeżdżało się dużo ludzi z sąsiednich parafii, a nawet i z dalszych stron, na ten dzień nasza mateczka przyszykowała obfite jedzenie, gdzie się zjeżdżała dosyć liczna bliższa i dalsza rodzina, nie raz gdy pogoda była ładna, zebrali się u nas goście do czterdziestu osób. Matka w ten dzień zazwyczaj była w domu i szykowała obiad i różne smaczne jedzenia i picia, gorzalki u nas nigdy nie było na

takich przyjęciach, ponieważ matka nie mogła znosić zapachu tego trunku nietylko żeby pić, ale gdy ktoś pił a przywitał się z matką, a był zwyczaj, że całowali się w usta w famielji i to gdy matkę pocałowała osoba, która piła gorzale, matkę brały zaraz mgłości, co nieraz matkę wprawiało w bardzo przykre położenie z powodu tego, że matka bardzo lubiała się gościć i przyjmować każdego z otwartem sercem czy to był kto bogatszy i wcale biedak, jednakowo matka wszystkich przyjmowała, za to była lubiana nietylko pomiędzy krewnymi, ale i pomiędzy obcymi; nie pamiętam żeby matka się z kim gniewała czy to z krewnymi czy sąsiadami, a dziady i baby to już w naszej chacie stale mieli kwatery noclegowe, nieraz było po dwóch, trzech na noc ubogich, rzadkością było żeby kto na noc u nas nie był, a gdy trafiła sobota, nie poszedł już aż w poniedziałek. Otóż na taki odpust zawsze zjechali się liczni krewni, a odjeżdżali w poniedziałek po obiedzie. Naturalnie i rodzice także jechali znów na odpusty do krewnych. Może się to komuś wyda, że to jest czyli był głupi zwyczaj. Ale to była wszystka rozrywka ludzi żyjących w tych czasach, gdzie nie znali ani teatru, ani kina, ani chociażby jakiegokolwiek odczytu czy zebrania oprócz zebrania gminnego, gdzie zazwyczaj był obecny naczelnik powiatu. Otóż na takich odpustach ludziska w ściśle rodzinnem kółku omawiali swe sprawy familijne, społeczne, a o politycznych rzeczach to ja nie pamiętam, żeby była mowa. Mój ojciec chociaż pił gorzale, ale tylko w domu, czy to u krewnych na jaki zabawie, w karczmie nie wypił nigdy kiliszka, ale ojca nigdy nie widziałem w mem życiu pijanego, tabaki nie zażywał i nie palił. Z matką tak samo jak cały maj tak samo październik, co wieczór odmawialiśmy wspólnie jedną część różańca i letanije do M. Boski bez pieśni. Jakoś raz około wszystkich świętych nie pamiętam dobrze czy miałem wtedy siedm czy też osiem lat, tylko pamiętam, że przestałem wyganiać bydelko na pole, mój ojciec odwoził nauczycielowi naszy wioski kapuste, prosiłem ojca, że ja też pojade. Ojciec mnie zabrał z sobą, zaczem ową kapustę zdjeli z woza i ojciec pogadał troche z panem, jak my nauczyciela nazywalim, gdyż był to jedyny człowiek w naszy wiosce, któremu mówili panie, to każdy wiedział jak się mówiło: u pana, pan idzie. Więc pan mnie wziął do klasy, dał mi jakiś elementarz i posadził mnie pomiędzy drugich uczni, ojciec przyszedł po mnie i powiada: Jasiu, jedziem do domu. A pan powiada: o gospodarzu nie dam wam takiego zdolnego ucznia, toć on za te pół godziny kilka liter się nauczył, ojciec — to nieprawda, ale pan

mi się pyta i rzeczywiście kilka liter znałem, ale nie nauczyłem się za te pół godziny, bo zeszlą zime matka mnie już uczyła i znałem już abecadło jak nazywałem, a za te pół godziny tylko sobie przypomniałem niektóre litery, a pan myślał, że ja rzeczywiście taki zdolny uczeń i w taki sposób byłem przyjęty w poczet uczni szkoły Starego Radziejowa. Od tego to czasu zaczęło się dla mnie inne życie, całymi dniami byłem w szkole, od 7-ej godziny wychodziliśmy z domu, bo i siostry starszą o dwa lata zaczęli rodzice posyłać ze mną, aby nam było rażni jak mawiali, a przychodziliśmy o czwarty, na obiad nie przychodziliśmy, gdyż chociaż szkoła stała mniej więcej na środku wsi, ale i tak mieliśmy do szkoły około dwóch kilometrów, a u nas ziemia czarna to zaczęło zamarzło, błoto było nie do przebycia, wtenczas nas odwozili skolei to ojciec to znów sąsiady. Ale za te zime niewiele ja się w tej szkole nauczyłem. Nasz pan była to pocziwa starowina, ale na nauczyciela już niezdatny, ponieważ i wzrok mu nie dopisywał tak, że gdy szedł gdzie czy to po pensyje do gminy, czy też do miasteczka, brał zawsze jednego z nas. Dzieciarnia wiedziała o tem, że on nie dojrzy, wyprawiali w szkole czysto kocią muzykę, pan i tak nie wiedział kto hałasuje, bo sam nie dojrzał a dzieciarnia skarżyła jedna na drugich, nawet oskarżali tego co go wcale w szkole nie było. Jaka w takich warunkach mogła być nauka. No w każdym razie litery poznałem i zaczęłem składać tak, że już na wielkanoc umiałem litanije do Matki Boskiej, a to było już dość na te czasy, że większa połowa ludzi szepotała w kościele pacierze bo nie umiało pomodlić się z książki, więc niejeden patrzył na takiego bąka z zazdrością, że to się umie modlić z książki. W palmową sobotę skończyłem swe naukę, mieliśmy powrócić do szkoły po wakacjach świątecznych to jest po przewodach, ale że ozimina dobrze się zazieliwała, wyganiałem świnie i cielęta na pole a późni bydelko i tak już żyłem w polu do wszystkich świąt, a to i do św. Marcina zależnie od pogody. Na drugą zimę zaczęliśmy chodzić do szkoły, ale już był inny pan, ten był dość młodszy energiczny tak że zaczęła się prawdziwa nauka a że miał kilku synów z których dwóch też się uczyli razem z nami, jeden z nich siedział obok mnie gdzie już nieźle czytał a że pomiędzy takimi chłopcami przychodzi bardzo szybko do przyjaźni tak w tydzień naszej znajomości byliśmy już przyjaciółmi, gdzie ja mu przynosiłem ziarka dla gołąbków, tych miał dwa, a on znów zaznajomiał mnie z tem co sam umiał. Tak że ja w te zime chociaż to była zima bardzo ciężka, mroźna i śnieżna, tak że ojciec nie mógł nas odwiedzić

do szkoły saniami, wsadzał nas na jednego konia sam na drugiego i tak nas przywoził do szkoły, ale że niewyszyscy mieli takich ojców żeby tak swe pociechy przywozili do szkoły na koniach, a i niewyszyscy rodzice dzieci chodzących do szkoły mieli konie, przez to było nas czasym tylko czterech albo pięciu tak że nawet nie opłaciło się w szkole palić w piecu tylko w mieszkaniu pana. Razu pewnego bylibyśmy przypłacili to życiem, a co najmniej zdrowim, ojciec nas przywiózł na koniach do szkoły gdzie po całodziennnej zawierusze na drugi dzień był dosyć ostry mróz a że po wczorajszy zawiei droga była zawiana takimi kupami śniegu że równała się z chatami, więc ojciec skręcił na pola i tak jechalim polem, aż ojciec zapomniał że tam był w jednym miejscu dosyć głęboki rów zarówniany śniegiem. Konie naturalnie się poobalały i poginelim w śniegu, ojciec nas powyciągał i powsadzał spowrotem na konia i przywiózł nas do szkoły. Ale porządnie żeśmy zmarzli ponieważ śniegu nam się nasypało do gołego ciała; w szkole naturalnie było nas tylko czterech oprócz synów pana. Litując się nad nami napalili dobrze w piecu abym się ogrzali i otwarli drzwiczki aby ciepło wychodziło na izbe aby nam było cieplej, a że ja przyniosłem troche grochu dla gołąbków więc ten mój przyjaciel Teoś nie mógł się doczekać żeby gołąbkom dać jeść ponieważ taki śnieg i mróz nie mogą sobie uzbierać i wyciągnął mnie do stajenki gdzie owe gołąbki miały pomieszczenie, a że nauczyciel też wyszedł zadać krowie jeść pozostała pani i jej córka 16-letnia i te czterech uczni, moja siostra, jedyn z nauczyciela młodszych chłopczyków, gdy nakarmiliśmy gołąbki przychodzim do izby a tu nam się przedstawia straszny widok, wszyscy leżą na podłodze bez znaku życia. Naturalnie na taki widok narobilim hałasu i przez to chociaż nieświadomie ale otworzyliśmy drzwi aby zawołać pana. Pan przybiega, powyciągał wszystkich na śnieg i sam tarł śniegiem skronie i nam kazał no i docuciliśmy, ale nauczycielka prędko do siebie przyszła ale to dzieciarnia z nauczyciela córką że siedzieli i stali w pobliżu pieca odchorowali do dwóch tygodni te przygode. Od tego czasu miałem łaskę u pana i pani że to za moją przyczyną uratowalim od zaczadzenia tyła istot. Przez to w szkole zwracał na mnie szczególną uwagę, chociaż sam był bardzo służbisty i ściśle się trzymał regulaminu lekcyj tak że tylko mieliśmy trzy godziny w tygodniu lekcyj po polsku czytać i pisać i dwie godziny w tygodniu nauki religji, a reszta godzin było przeznaczone na lekcyjne w języku rosyjskiem to nam berbeciom, którzy nie rozumieliśmy owego języka nauka z początku była trudna. Ale chociaż sam nie uczył po

polsku, ale że uczył swych synów a Teoś już mi udzielał tego co sam umiał, przez to umiałem na wielkanoc nieźle czytać nietylko po rosyjsku ale i po polsku. Tak że w poście ojciec przyniósł skądś książkę pod tytułem „Eustachiusz”, czytałem w domu na głos z jakie trzy razy, ojciec płakał nad losem bohaterów owej opowieści a moja mateczka cieszyła się i była dumna że ma syna pojętego do nauki bo matka pochodziła z pod prusaka gdzie istniał już przymus szkolny, czytać umiała i ojca o tyła nauczyła że mógł podpisać swe nazwisko i czytać na książce od nabożeństwa, a siostra chociaż dwa lata ode mnie była starsza zaczęła chodzić razem ze mną, mogła zaledwie litery składać i brat starszy chociaż też chodził z jakie pięć zim, nie mógł tak biegle czytać jak ja bo on był 14 lat starszy ode mnie, a że nie miał chęci do czytania gdy wyszedł ze szkoły potrochu zapominał, przez to ja nie mając jeszcze 10-ciu lat uchodziłem w domu za uczonego, bo już wiedziałem gdzie się Wisła zaczyna i jakie miasta się spotyka idąc za biegiem Wisły, gdzie Czarne morze leży, gdzie Bałtyk, gdzie leży stolica państwa nad jaką zatoką, naturalnie było to już na mnie dosyć, licząc to żem prawie tak jak jedne zime chodził, ponieważ nie można liczyć tej poprzedniej zimy za naukę za poprzedniego pana. Naturalnie po Wielkanocy wróciłem znów do swych zwykłych zajęć do bydelka. Ale z tą różnicą że już inaczej patrzałem na świat i gdy moje bydelko miało trawę lepszą, mogłem sobie poczytać książkę, jaka mi wpadła w ręce taką czytałem, szedłem do szkoły, za garść ziarna Teoś dawał mi chociaż podręczniki szkolne w języku rosyjskim gdzie historyje Rosji czytałem kilka razy, tak lubiałem czytać bitwy, wojny że prawie umiałem na pamięć całą książkę. Tego roku było lato bardzo suche i upały były dobre tak że moje bydelko prędko wyskubało zielsko jakie rosło na ugorze i było prawie goło na paśniku bo tych korzonków nie można było liczyć że to bydle może głód zaspokoić nie licząc już na to że się naje. Otóż tak w sam dzień św. Apostołów Piotra i Pawła czy jednej z najbliższych niedziel tego święta, gdy wyгнаłem bydelko na ów paśnik, mój kieresz mi tego dnia gdzieś się ulotnił; więc wyгнаłem sam popołudniu gorączka była duża tak że moje bydelko chłodziło się w wodzie do godziny jaki czwarty, ale głód zmusza i bydłecie do szukania pokarmu chociaż i gorąco i robactwo tnie, wyгнаłem na ugór i pase ale krowy rozejrzały się raz drugi, widzom że psa niema i odmówiły mi posłuszeństwa, poszła jedna w sąsiada owies, a owies był spaniały prawie był tak wysoki jak krowy, wyгнаłem poszła druga trzecia i cała gromada

co wygnam z tego końca to drugie włązą rozciągly się, mój Boże com ja się namęczył, napłakał i nie mogłem dać rady. Co ja tem byłem szkody narobił to niemiara aż nadszedł sąsiad a mój chrzestny ojciec i pomógł mi wygnać to bydło z owsa swego, ale zarazem poszedł do ojca i mnie oskarżył że ja usnoł i mu owies wypadł. Więc siostra przyszła do mnie pomóc mi bydło zagnać do obory na wieczór, opowiedziała mi że ojciec ma mi dać takie smary jak nigdy nie dostałem. No i nadmienila że ojciec postronek namoczył w wodzie żeby dobrze było bić. Ja postanowiłem sobie to że jak ojciec mnie zbije niesprawiedliwie, więc będę wędrował od ojca precz w świat. Na wieczór przygnałem to moje utrapienie do obory, powiązałem, posłałem, wychodzę z obory aby się udać na wieczerze i więc pod opiekę matki. Temczasem ojciec mnie chwyta za kołnierz ja krzyczę w niebogłosy nietyłe z bólu co ze strachu, ojciec mnie uderzył dwa razy a tu raptem słysze obcy głos „co szwagier robi temu chłopcu”. Patrze wujo się zjawił, wziął mnie na kolana, wypytał się jak było i dopiero mówi do ojca, warto by wziąć tego postrona i szwagrowi tak odliczyć z 25 za to, że takiemu berbeciowi powirzy dwanaście sztuk bydła prawie jak na goły ziemi i chce żeby szkody nie było. Ojca naturalnie gniew odleciał, zrozumiał że niesłusznie mnie chciał ukarać do tego ja dziękując wujkowi za obronę, wujo mnie namówił żebym przeprosił ojca no i naturalnie wszyscy byliśmy kontenci z tego. Bo ja dziś sam jestem ojcem, wiem jaką to przykrość sprawia to gdy mam ukarać swe dziecko. Wujo był z Prus, ale trudnił się handlem gęsi i przyszedł czy przyjechali w te strony, bo sam nie chodził jeno było ich trzech, czterech bo mieli gęsi do tysiąca do odebrania i drudzy się gdzieś zatrzymali na noc a wujo przyszedł odwiedzić siostrę i mnie wybawił od niesłusznej kary. Bo pewno nic tak nie boli jak kara odebrana niewinnie a jeszcze od tak dobrego ojca jakim był mój ojciec. Ale dziękuje Bogu że się skończyło na strachu. Mój Boże co taki pastuszek wycierpi na polu sam z bydłokami i swym wiernym pieskiem, jak żałośnie musi spoglądać na swych rówieśników gdy idą do kościoła albo bawią się całą gromadą, w powszedni dzień jeszcze pół biedy, zawsze ktoś w polu pracuje, ale gdy przyjdzie niedziela, człowiek mały pozostaje sam. Wiele to razy rzucałem swój kij i łapałem go znów wpół ręką, przetem drugą ręką przykładam do pierwszej i tak naprzemian do końca kija śpiewając: wieczór nie wieczór weś babo koczora przybliżej wieczora. Gdy mało się kijka pozostało gdy ukończyło się śpiewkę, to miało oznaczać prędko wieczór. Dopiero po żniwach

było weselej. Tego roku ojciec zasadził pierwszy raz pół morgi buraków cukrowych do fabryki która była wybudowana w Kruświcy, oddalonej od nas o cztery mile drogi a ojciec odwoził na komore Bronisław dwie mile drogi, ale ja miałem ucieche gdy zaczęli buraki kopać, bo na liściach to mi się bydło szybko najadło i leżało sobie przeżuwać zjedzone liście. Po wszystkich świętych posłłem już do szkoły ale zamiast starszy siostry o dwa lata, która do nauki była len i ojciec mawiał że szkoda żeby papcie darła, wysłali rodzice młodszą siostrę o dwa lata ode mnie. Mój Boże co za radość po całoletni samotności wrócić między swych kolegów i do swych ulubionych książek. Ale byłem zasmuconym bo zostałem rozłączonym ze swym kolegą Teosiem, on że się uczył całe lato przeszedł do drugiego oddziału, a ja pozostałem w pierwszym, pan mi powiedział: pisz lepiej a zaraz cie przeniese do drugiego oddziału. Ale cóż kiedy wszystkic moje wysiłki nie prowadziły do niczego, moje zeszyta były stale zaplamione — pełno żydów, tak nazywalim plamy atramentowe. No i tak dosiedziałem w pierwszym oddziale do karnawału, w karnawale ojciec zabił wółczaka na mięso i wieprza, matka uszykowała paczkę i kazała doręczyć pani. Traf chciał że akurat tego dnia przyjechał do naszej szkoły inspektor szkolny. Przy egzaminacji trafiło tak że mnie kazał czytać po rosyjsku i po polsku, czytać mogłem już nieostatnio, ale to mu się podobało bo po rosyjsku czytałem płynniej na zapytanie tak ciebie lekszy czytać po rosyjsku, ja mu odpowiedziałem tak toczno wasze wysokobłagorodzije. Naturalnie był to widać moskał, bo pochwalił mnie, powiada: mołodziec i spytał się o istorii rosiei nie znajesz, ja mu odpowiadam tak toczno wasze wysokobłag. nu razkaży czto znajesz, ja mu zacząłem od Ruryka i doprowadziłem do Aleksandra Niewskiego. Mówi: dosyć charaszo maładczyna. Egzaminował znów z drugiego oddziału z rachunków na taki duży tablicy i ten chociaż tak lepiej rachunku umiał ode mnie ale że się zagapił i nie mógł rozwiązać znów zawołał mnie do tablicy i ja zrobiłem. Pochwalił mnie i pana i pojechał zjadłszy obiad u pani, ale po obiedzie przesadził mnie pan do drugiego oddziału. Gdy przyszedłem do domu, opowiedziałem w domu. Matka ucząc się w pruski szkole umiała cokolwiek historiје polski i mi się pyta: ruską znasz a polską? ja się zasmuciłem bo nie miałem najmniejszego pojęcia że była Polska, że był król i wojsko polskie, no i matka mi obiecała jak pojedzie do Prus tak nazywalim Poznańskie, to mi matka przywiezie od wuja to miałem lepsze nagrode. A brat mi zatrul swem rozumowaniem że nie za moją zdolność w na-

uce mnie nauczyciel przeniósł z pierwszego oddziału do drugiego a za pieczeń że miał czym ugościć inspektora. Ja będąc często u pana z Teosiem wiedziałem że żyli bardzo skromnie, bo rodzina była liczna i nieraz w niedziele nie mieli mięsa na obiad. Więc pomyślałem może i brat miał słuszość ponieważ pani byłaby w dosyć przykrym położeniu, bo do miasteczka było 6 kilom. żeby nie ten kawałek mięsa, co mi matka dała. No ale jakoś już w początku lipca gdy byłem ze swym bydełkiem w polu dostaje wezwanie czyli jak za ruska nazywali powiestku że mam się stawić do urzędu gminnego. Ja w strachu że to będzie jakaś kara, rodzice też zatrwożeni że musiałem coś zbroić pytają mi się, ja jak mogę tak się tłumaczyć, wkońcu się popłakałem ale iść trzeba. Bo to jest urzędowe wezwanie. Na drugi dzień poszedłem do kancelarii gminnej która była we wsi Witowie a gmina Bytów i tam wypytali mi się czy jestem Jan D. syn Antoniego, ja powiedziałem że nim jestem, dali mi taką dużą księgę żebym się podpisał po rosyjsku, ja się podpisałem chociaż mi się ręka trzęsła. Dopiero sekretarz daje mi coś opieczętowane i mówi że to przyszło z Warszawy jako nagroda dla pilnego ucznia, wyskoczyłem z kancelarii i lece do domu ale nie wytrzymałem usiadłem na rowie i rozpieczętowałem książka dość gruba w zielony oprawie. Ale co kiedy w rosyjskim języku, przychodzę do domu naturalnie ciekawość ogólna, oglądania nie było końca, dopiero brat starszy wyczytał po rosyjsku za co mi się ta książka dostała. Dopiero nie śmiał się ze mnie że za kawałek mięsa pan mnie przeniósł do drugiego oddziału. Ale nie zdążyłem tej książki przeczytać. Ponieważ w końcu czerwca dawali zaliczkę na buraki i ojciec jechał po nią, więc i matka także z ojcem pojechała i przywiozła mi niedużom książeczkę gdzie była historia Polski wierszem nie pomnę jakiego autora ale zaczynała się od słów: „Gdzie Wisła toczy swe srebrzyste bałwany Lech od morza Czarnego prowadzi dzielne słowiany. Gdzie orla gniazdo znajduje tam pierwsze miasto buduje” i t. d. Więc prawdziwa była dla mnie rozkosz czytać sobie te książeczke, a że u nas nie wolno było mieć książki która nie miała napisu dozwolono cenzuroju, przez to nie spoczułem aż całą książeczkę umiałem na pamięć, rozumowałem tak że książkę mogą mi zabrać a co z tej książki się nauczę — nigdy. I bodaj to się sprawdzi moje dziecinne rozumowanie, ponieważ dziś po 43 latach mógłbym tak samo to powtórzyć na pamięć, przeczytać całą te oto książeczkę. W tem to roku przystępowałem do pierwszej komunji świętej, na naukę chodziłem od wielkanocy do końca czerwca, w początku

lipca mieliśmy egzaminację i ci co zdali egzamin z dobrym wynikiem dostali się do spowiedzi a drudzy musieli chodzić na następny rok, ja o mały włos bymbył musiał jeszcze rok chodzić i to tylko przez intryge. W naszej wiosce był wójt, otóż syn wójta mój rówieśnik i kolega szkolny nie zdał egzaminu, chłopak w płacz pani wójtowa idzie do księdza proboszcza i prosi ale proboszcz był nieubлагany przez to p. wójtowa prosi proboszcza żebym chociaż ja nie szedł do spowiedzi i ks. proboszcz już mnie wykreślił że ja nie pójdę ale moja matka poszła i znów naprawiła że byłem u spowiedzi i do komunji świętej przystępowałem w parze z mem drugim kolegą też Janem, bo mieliśmy i ubranka jednakowe. Mój Boże ludzie teraz narzekają na biedę ale jednakowo ubierają się daleko ałeganciej jak dawniej, teraz patrzą na dzieci przystępujące do pierwszej komunji św., wszystkie ubrane jednakowo w granatowe ubranka i to syny wyrobników, a my przecie byliśmy synami 50-morgowych gospodarzy i to mieliśmy tylko cajtowe ubranka takie żółte i to nie było najlepsze, dziś widzę paromorgowy gospodarz przyjeżdża czy to do miasta czy kościoła ładną bryczką, a dawniej na 30 gospodarzy w naszej wsi mieli tylko dwóch bryczki i to tylko na pojedynczych resorach. A reszta to mieli tylko takie wasagi, taki wasąg był pomalowany troche i włożyli go na wóz i jechali do kościoła ze ślubem i z pogrzebem i ludzie więcej jeździli, bo przecie nie było tak kolei, a o autobusach ani nikt jeszcze nie marzył.

Tego roku jakoś około połowy lipca przyjechał do nas stryjek który miał oberżę w Sannikach na mazurach w Gostyńskim powiecie, przyjeżdżał do nas co roku ale że przyjeżdżał koleją lub statkiem do Włocławka a z Włocławka przyjeżdżał już furmanką. Tem razem przyjechał w konia i wozem takim wąskim, ludzie z naszych stron wydziwić się nie mogli z tego woza, u nas były wozy półtoracznioki, konie ubierali w pólzorki a stryjek przyjechał w chomacie i wozym zwanym dróżniakiem, to był wąski a długi podług naszych wozów. Przyjechał stryjek, jego syn, który był w gimnazji w Płocku, dwie córki jedna w latach moich a druga o dwa lata młodsza i moja siostra która tam była już od roku. Byli u nas około dwóch tygodni, stryjkowi moja matka opowiedziała o mym przeżytem strachu spowodu tej nagrody; stryja zaciekało zobaczyć te moje książki, przyniosłem i pokazałem stryjek zobaczył i powiada dosyć droga książka, kosztuje rubel i pół z oprawą i tu jest napisane że pierwsza nagroda, ale to dla ciebie się nie nadaje bo ty jej nie zrozumiesz, więc ja ją wezmę a tobie przyśle inne stosowne do twego

umysłu, a stryjek służył przy rosyjskiem wojsku i był fiedfieblim w czasie rosyjsko turecki wojny więc rozumiał dobrze po rosyjsku. Tak książka piersza moja nagroda dostała się stryjkowi nieprzeczytana przeze mnie. Stryjek mówi do ojca: szkoda tego chłopca do pasenia bydła, posyłaj go do szkoły niech ukończy tutejszą szkołę to ja go wezme i umieszcze w Płockim gimnazyi. Na tem się skończyła rozmowa o moim losie pomiędzy stryjkiem a memi rodzicami.

Tego roku mieliśmy już morgę buraków cukrowych zasianych, urodziły się średnio, moje krówki miały sporo liści do jedzenia więc miałem pasionkę dobrą i już pomagałem w pracy przy otrząsaniu z ziemi buraków. Stryjek dotrzymał słowa i za te książki zapromenerował nam dwie gazety, Gazetę tygodniową Świąteczną i Zorze, co to było uciechy gdy dostaliśmy pierwsze numery, czytaliśmy po kilka razy, tylko z doręczeniem było kiepsko na pocztę było daleko, więc stróż gminny chodząc po pocztę trzy razy na tydzień przynosił i całą nieliczną korespondencyje gminiaków a późni przy okazji roznosił po gminie, w ten sposób dostawialiśmy czasym i z tygodniowym i więcej opóźnieniem, ale kiedy już akuracie się wywiedzialem kiedy stróż przynosi z pocztę to sam leciałem do gminnego urzędu i przynosiłem, w ten sposób mieliśmy świeższe wiadomości. Do szkoły znów zacząłem chodzić po wszystkich świętych to jest gdy bydlaki przestały chodzić na pole. Wychodziliśmy o 7-my godzinie rano każdy brał do torby kawał razowiaka suchego, a przychodziliśmy o 4-ty wieczór, bo nas już chodziło troje, ja, siostra młodsza ode mnie, no i najmłodszy brat zaczął chodzić pierszą zimę i tak ja byłem w drugim, siostra w pierwszym, a brat stępnym czyli w ośmym jak my go nazywaliśmy, najgorzej było z zeszytami i książkami, kilka zeszytów ja już potrzebowałem, a ojciec nie chodząc nigdy do szkoły nie mógł pojąć dlaczego ja nie mogę pisać na jednym, tylko muszę mieć 5, 6 odrazu ale że na słowa stryja ojciec jak mógł dostarczał zeszyty, ojcu się widziały za drogie to jak pojechał do miasta kupił ze dwie trzy libry i mieliśmy na kawał czasu. Tej zimy po powrocie ze szkoły oprząłem bydełko na noc, ukrajaliśmy sieczki dla inwentarza były długie wieczory, czytałem w domu oprócz gazet jeszcze różne przygodne książki jakie kto mógł gdzie pożyczyć albo też kupić, książki były takie zwykłe bajki o cudowny lampie, o Genowefie, koszyk kwiatów, o 40 rozbójników i wiele im podobnych. Gdy wieczorami czytałem na głos, mój ojciec nieraz płakał nad przygodami bohaterów owych

bajek. Tej zimy przybyło mi zajęcia, był u nas zawsze na zime nasz kuzyn na lato chodził w Prusy na roboty, na zime wracał do nas i pomagał młócić, ojciec mu nic nie płacił robił tak tylko za życie. Więc ten kuzyn bardzo lubił słuchać jak czytałem gazety lub książki, więc prosił mnie żeby go nauczyć pisać i czytać, wzięłem się go uczyć i chociaż miał dużo chęci i wytrwałości ale pamięć miał słabą tak że namęczyłem się z nim dobrze zaczęm go nauczyć jako tako liter składać, ale najgorzej mu było się nauczyć litery składać to już kuł ciągle, z pisanem było łatwiej, tak że na Wielkanoc już nieźle tłuk na książce od nabożeństwa z takimi dużymi literami i mógł od biedy napisać mały list, za to obiecał mi że przyniesie mi z Prus harmoniję, jak na zime przyjdzie do nas.

Po Wielkanocy chodziłem jeszcze do szkoły do 10 maja bo dopiero 11 maja wygnałem swoje bydełko na pole a cielęta i świny już wyganiał brat młodszy. Pasłem bydło do żniw a we żniwa poszłem już do pracy a bydło pasał brat, po żniwach znów ojciec brał mnie do orki takie podorywki ja już orałem, ale co tam z tego kiedy w niedzielę lub święto to musiałem iść za bydłem. W tem to roku wybuchła cholera w Polsce i brała obfite żniwo, ludziska zmykali przed zarazą jakby przed wojną lub ogniem, do nas przyjechali dzieci stryjka ze Sannik, coś 5-ci czy 6-ci ale i dalekie krewni z Brześcia których wcale nie znam, ale przyjechali trzeba było żywić, byli do trzech tygodni. Ludziska pilnowali po drogach dniem i nocą i nie wpuszczali do wsi ludzi nieznanym a kto jechał do famielji to go skropili jakimś śmierdzącym płynem nie pamiętam co to było. Naród biegł codziennie do kościołów i modlił się i jęczał przed ołtarzami, obiecywał poprawę, księża całymi dniami słuchali spowiedzi. Ale do nas już ta zaraza nie dotarła, zatrzymała się o 3 mile w Brześciu Kujawskim.

W tem to roku poszlim znów do szkoły nas troje. Ja już przeszedłem do ostatniego oddziału do trzeciego. Ale już swego koleżki nie miałem mego Teosia bo poszedł do Włocławka do gimnazji. Drugi znów zmarł ten wójta syn tak że nas w trzecim oddziale było tylko czterech, ja musiałem uczyć tech pierszoroczniaków i zastępować pana jak gdzie wychodził. Mój kuzyn ten który się zeszyły zimy uczył czytać ode mnie, dotrzymał obietanki bo przyniósł mi nietylko ładną harmonijkę ale i książeczkę do nabożeństwa Anioł stróż, dopiero miałem radość ale cóż z tego kiedy do muzyki nie miałem żadnej zdolności zniszczyłem harmonijkę i ledwie nauczyłem się jednego kawałka, ale i to bylejak, do reperacji miałem większą zdolność. La-

tem znów powędrowałem w pole, najpierw ojciec nam porobił takie kopernacze i wycinaliśmy kąkul z pszynicy a późni znów za bydelkiem, bo brat pasał gęsi do żniw, po żniwach brat pasał bydło a ja już szedłem do roboty: tego roku ojciec zasadził już trzy morgi buraków. Mój Boże co my mieliśmy z temi burakami. Ojciec jeszcze nie miał pojęcia jak uprawiać ma te rośliny, a więc nie uprawił na zimę albo chociażby na wiosnę, ale wcześniej żeby zielsko skielkowało a późni popsuć broną, ojciec zorał starannie ale starał się, żeby to w świeżą ziemię burak zasadzić że to lepiej powschodzi. Siewnika nie mieliśmy tylko ojciec robił radłem takie redlinki a my łyżkami robiliłm dołeczki i wpuszczalim po parę ziarnek. Po tem zasianiu ojciec nie uwałował ziemią wnet wyschła buraki nie wschodziły dobrze. Zielsko rośnie ale buraków nie widać, nie psulem zielska aby i buraków nie uszkodzić jak ten ewangeliczny gospodarz. Co się to za zielsko wypykowało! jak przyszły deszcze buraki powschodziły, ale zielsko chociaż kosą tnij, co ja nanosił tego zielszczyska bydłu to niemiara. Z fabryki przyjechał kontroler zobaczyć czy gospodarze zasadzili podług kontraktów co mieli wydawać zaliczkę a u nas buraki zamiast się zielenić to się żółcą ponieważ łopucha zakwitła już jak rzepik, ten kontroler mówi do ojca: z waszych buraków zamiast cukru będziecie olej mieli. Ale że nas dzieciarni było dużo darlim nietylko sami ale i drudzy nam pomagali aż nareszcie wyczyściliłm buraki z tego zielska, drudzy mieli już zrobioną ostatnią graczkę my dopiero skończyliłm przerywkę tak że w tech burakach siedzieliłm prawie do samych żniw i lnu i prosa zaniedbałim że nam się nie urodziły te dwie rośliny bo nie było wypelone z zielska, tego roku we żniwa i po żniwach przechodziły dosyć obfite deszcze tak że nasze buraki że to pierwszy raz były na tej ziemi porosły jak końskie łby. Co my znów mieliśmy pracy z kopaniem, jeszcze wówczas nie znalazim widełek do kopania a szpadlem co robi takiemu końskiemu łbu. A liście krówki nie mogły przejeść to reszta się zmarnowało. A żeby kisić nie wiedzieliłm. Już tyła szpadałi nałamałim że bodaj nie wiedzieliłmy co z temi burakami począć. Ale pewnego dnia tak męczymy się nad owemi burakami, leci przez pole taki niemowa, brat mu daje szpadel żeby pomógł nam kopać, twardo nie było ale ziemia czarna ścisła wykopał może z pięć buraków szpadel złamał rzucił i poszedł, my się z brata śmieim że takiego robotnika nabył że ani pół godziny nie robił i uciekł. Za jakie dwie godziny wraca ale już z takimi widełkami, dopiero zaczął wywalać, on podwahał ja za nim wyciągałem i opu-

kiwałem z ziemi, to my więc wykopalim jak we trzy szpadle dopiero ojciec na wieczór dał mu piniędzy i poszedł przyniósł jeszcze jedne takie widelki i dopiero wykopaliśmy. A że ojciec odwoził na komore Bronisław dwie mile drogi ojciec byłby nie zdążył wywieźć tyła buraków chociaż wyjeżdżał o czwarty rano tylko że sąsiedzy ze wsi widząc kłopot ojca zjechali się prawie wszyscy i pomogli ojcu wywieźć te buraki. Ale też tego roku już ojciec nie miał czasu kołowrotkiem robić powrozów. A i siostry nie miały co kręcić na swych kołowrotkach, od tego czasu stopniowo zaczął zanikać siew lnu i konopi, a także i prosa to że zaczęm dorosłem te rośliny wyginęły w naszej okolicy. A także w szybkim tempie zaczął zanikać strój kujawski. Ponieważ strój kujawski dosyć kosztowny z tego powodu że było to z czystego sukna z jakiego były szyte spodnie kaftanki i czamary, gdy nie było już płótna na codzień swojego wyrobu, zaczęli kupować różne cajgi, a że niektóre póki były nowe przedstawiały się dosyć ładnie więc używali też i na święto. A ponieważ była to tandeta dosyć tania, więc szybko weszła w użycie, tylko poważniejsi gospodarze nosili jeszcze ten ubiór do zdarcia, mój ojciec nosił do śmierci.

Tej zimy poszedłem do szkoły już poraz ostatni, było nas w trzecim oddziale z początku roku szkolnego pięciu, a przy końcu pozostało nas trzech. Na wielkanoc nauczyciel wiedząc że już nie wróce po wielkanocy do szkoły dał mi takie świadectwo szkolne i list do ojca żeby ojciec postarał się oddać mnie do innej szkoły, bo on co sam umiał to mnie nauczył i co więcej nie może mnie uczyć. Stryjek precz nam przysyłał Gazetę świąteczną i Zorze, więc brat odpisując list do stryjka spominał o tem co mi nauczyciel napisał. Stryjek przysłał mi książkę do czytania (cuda we mszy święty) i pisał żebym pilnie czytał to po wakacjach stryjek o mnie pomyśli. A że jakoś czy to w tem roku nastał wódczany monopol czy miał nastać, dosyć że stryjek nie mógł dalej mieć oberży w Sannikach, a że tamże w Sannikach miał 8 mórg ziemi, a ponieważ był z zawodu piekarz, więc wybudował sobie piekarnię i dom, jakoś w sierpniu stryjek wykończył tak dom jak i piekarnię, a że stryjek był który zaczynał z Bogiem więc stryjek zakupił msze święte i ksiądz poświęcił mu te nowowypbudowane budowle, a że przy tej okazji było trochę wypitki więc stryjek po skończeniu tej ceremonji poszedł do piekarni, że to był pierwszy piec wypiekany więc napalili w zielonym piecyku węglami, po uszykowaniu ciasta stryjek z pomocnikiem położyli się trochę odpocząć tak już więcej stryjek się nie

obudził. Przez to i mój los poszedł zwykłym torem, tej to jesieni znów było wesele u nas trzeciej siostry, która wyszła za kowala. Gdy zima nastała ja już nie powróciłem do nauki tylko do cepów do stodoły, całą zimę młóciliśmy we trójkę, nalałem ja się temi cepiskami, mrozy były siarczyste, jak młóciliśmy koniczyne to ojciec miał robotę, robić bijaki do cepów, bo potłukłem nad bukowaniem koniczyzny.

Od nowego roku nie przyszły nam już gazety nie było co czytać, wydłubywaliśmy książki skąd kto mógł i czytaliśmy, ale to wszystko było mało, najczęściej słuchaliśmy w zimowe długie wieczory różnych bajek, jakie nam opowiadały różne dziady i wędrowce, bo prawie nie było nocy żeby kto u nas nie nocował, to było rzadkością żebyśmy nie mieli kogoś na nocleg, tylko niewszyscy mieli zdolność do glendzenia różnych klecht o różnych strachach, świetnikach czarownicach, czarodziejach i to w takich waronkach wychowywaliśmy się gdzie mieliśmy głowy nabite takimi klitusz bajduś. Na szczęście że ja już czytywałem gazety i nie brałem takich opowiadań na serjo, ale moje siostry po nasłuchaniu się takich opowiadań o duchach widmach czarownicach zmorach, to jak się ściemniało to już same z domu nigdzie nie chciały się ruszyć, bały się strachów, nieraz była pociecha po nasłuchaniu się takich bajd gdy się ściemniało to na swoje potrzeby bała się jedna wychodzić jeno się zwoływały razym, a ja z bratem sypiałem od lat siedmiu już w stajni przy koniach, a że brat był już dorosłym kawalerym więc szedł też wieczorem do swych kolegów w karty pograć. Ja często szedłem do stajni spać sam. Razu pewnego słuchając takich opowieści o zmorach jak to zmora dusi ludzi, poszedłem spać sam, jeszcze nie zasnułem dobrze dusi mnie ktoś. Matko święta zmora mie dusi, a że zawsze byłem śmiały chociaż nie tyła śmiały ale udawałem śmiałego, więc moja ambicja nie pozwoliła mi tak wyskoczyć z łóżka i uciekać do domu, koniecznie chciałem wiedzieć jak też zmora wygląda, a bałem się głowy podnieść z pod pierzyny. Ale przypomniałem sobie że zapalki leżą w famurce, tam też było światełko czyli lampka swei roboty, pomału sięgam ręką po zapalki aż dostałem. A w tem to czasie zapalki były siarkowane i zapalały się o co niebądź, o szmate drzewo cegle, więc gdy miałem już dwie zapalki w ręce i zacząłem zapalać o pierzynie, a że pierzyna była powleczonea płótnem swej roboty, prędko się zapalka zapaliła, a że pare sekund wyszło zaczęło się siarka spaliła przy niebieskowatym ogniu siarkowym ujrzałem ogromny łep i ślepią wielkie jak latarnie, aż mi

włosy na głowie powstały, że to zmora taka okropna. Dopiero jak się siarka spaliła i pokazał się naturalny ogień zobaczyłem zwyczajny koński łeb. Co było naturalne bo przecie spałem w stajni, a że żrebica się urwała z łańcucha i przyszła pyskiem mie przyduszać, a tego wieczora nasłuchiłem się opowiadań o strachach i zmorach więc pewny byłem że zmora mie dusi i gdyby nie ambicja mie przytrzymała żem nie uciekł ze stajni, na całe życie bym był pewny że mie zmora dusiła.

Do szkoły już nie chodziłem, zaczęliśmy już pomału robić różne stworzenia jak to kozy konie wielbłąda niedźwiedzia bociana przebierać się to za żydów i żydówki i ćwiczyć się w chodzeniu w kozie w koniu, aby na ostatki pokazać dobrze. Nieraz gdy się tak z kolegami przebieramy, ojciec widząc to doradzał nam, co sobie tłumaczyłem że za młodu ojciec był nielada figlarz, kiedy już po 50-ce jeszcze się ojcu figle trzymały. Przedewszystkim mojemu ojcu służyło wyśmienite zdrowie, ja nie pamiętam żebyśmy kiedy ojca widzieli chorym. Matka to często zapadała na zdrowiu i to dosyć niebezpiecznie, matka tak zapadała na serce mój ty Boże co to był za płacz, tyła dzieciarni nas było to beczelim jak owce ponieważ nietylko że matkę bardzo kochaliśmy ale i to że u nas był w domu spokój, nie pamiętam żeby kiedyś była w domu jaka kłótnia czy to z sąsiadami ale też i pomiędzy naszymi rodzicami. Doktora my nie widywaliśmy u siebie w domu chociaż rodzina była liczna pomimo że matka cierpiała na serce i ojciec bardzo matkę kochał, że gdy matka była chora ojciec nic nie jadł, na szczęście że to krótko było dwa trzy dni i matka wstawiała aby to ojciec nie udał się do lekarza po poradę, bo nie było na to.

Ludzie teraz nazywają kryzys, ale w mym dzieciństwie gorszy był kryzys na wsi, nie znałem jeszcze życia po miastach i miasteczkach ale znałem po wsiach to nędza była pomiędzy ludem gorsza jak obecnie, pamiętam że ludzie się żywili na przednówku różnem zielskiem, tem się też tłumaczyło że w mych dzieciennych latach gdy różne agienci zaczęli namawiać do Brazelji, ludziska takimi gromadami wędrowali jak to ptastwo wędrowne, a że nasz powiat był przy samy granicy pomiędzy Prusami a Moskalim to codziennie spotykałem całe gromady jak się czaili na przejście granicy potajemnie. Dopiero jak kilkadziesiąt ludu wyciągło do owej Brazylji, w tem to czasie zaczęli ludzie masowo wędrować do Prus na roboty, wyjeżdżać na roboty do Stanów Zjednoczonych, wtedy to zaczęły się robić lepsze czasy.

Tak przeszła zima nastąpiło lato, ja już bydelko o tyle pasaliśmy jak brat najmłodszy chodził na naukę przysposobiać się do pierwszej komunji św., a tak to musiałem już iść do pracy, bo mieliśmy tego roku roboty sporo ponieważ ojciec budował dla szwagra i siostry chatkę i stodółkę, a że to było budowane z gliny więc było sporo roboty nakopać naszykować gliny i późni udeptać końmi. Gdy już była glina gotowa, ojciec ciół szpadlem takie kawały jakie udźwignąć mogliśmy, a donosiłim temu budowniczemu który uczył się pewno lepić od jaskółek bo tak to wyglądało jakby jaskółki ulepiły. Z tego powodu takie chaty budowali, ponieważ drzewo na kujawach było trudne do lasu daleko, a z cegły budowle były kosztowne, tak że tylko zamożni gospodarze mogli sobie na to pozwolić a dachy to już wszystko były ze słomy albo trściny. Takie ulepiony mur glina zadeptana ze słomą pierwsza szychta czyli warstwa była mniej więcej wysoka na meter, gdy parę dni taka warstwa się uległa obeschła zrobiła się sztywna więc obcinali ją do równości takim dużym toporem, a my znów wbijalim potłuczone cegły i drobne kamienie aby lepiej się trzymał puc. Takie budowle po opucowaniu i wybieleniu wyglądały dosyć ładnie tylko to że to nie było bardzo trwałe, po dosyć dobry zimie gdzie był lichy fundament a grunta niskie co podmokało od spodu to co roku na wiosnę kilka takich budowli runęło, ale gdy glinę wyrobili dobrze, fundamenta były wysokie taka lepionka stała dosyć długo. Po żniwach ja już poszedłem do cepów, to z małymi przerwami na wykopki i zasiewki młóciliśmy znów całą zimę. Tej zimy spadły wielkie śniegi tak że równało się chatom takie kopce śniegu wiatr nawiał. Polne ptastwo pchało się do budenków tak że wieczorami robiłem sidelka na drobne ptaszyny a także na kuropatwy, których w sidelka złowiłem 84 i dwa duże jastrzębie. Chodząc tak po śniegu nieraz popas zamoczyłem nogi późni gdy zastawiałem sidelka nogi mi nazięły, także z wiosną gdy były wielkie roztopy gdy pola były zalane wodą i drogi były zalane że przejechać było niepodobno, musieliśmy odczyszczać rowy i kanały od śniegu aby wody spłynęły i przy tem całymi dniami nogi były przemoczone tak że zacząłem uczuwać ból w prawy nodze, do tego we wielki czwartek posłał mnie ojciec po ryby do krewnych którzy mieszkali w pobliżu jeziora więc po opadnięciu wody pozostało dużo ryb w każdym dołku że nie wiedzieli co z nimi robić i widząc się z ojcem moim mówili żeby kto przyszedł to dadzą nam ryb na koniec postu i ja poszedłem, myślałem że mi dadzą parę funtów, a oni mi dali we

worku tyla co mogłem udźwignąć, a że i drogi po tych roztopach nie obeschły, więc z ledwością dowlókłem się do domu tak mie już noga dokuczała. Na drugi dzień noga opuchła, nie mogłem już buta wciągnąć, nie mogłem iść do kościoła śpiewać z matką całą noc, jak rok rocznie śpiewaliśmy z soboty na niedziele dopóki się nie odprawiła rezurekcja. O miałem niewesołe święta, bo i ani do piłki ani do kręga zdatny nie byłem. Noga bolała mie codziennie bardziej, jakoś w tygodniu ojciec przyprowadził takiego wiejskiego doktora, który naprawiał nogi zwierzętom i ludziom, zbadał mi nogę i powiada że mam nogę wywichniętą że trzeba koniecznie naciągnąć żeby staw wszedł w swoje miejsce i pyta mi się gdzie ja zwichnułem nogę, że to przy piłce, próżno mu tłumacze że noga mie boli już więcy jak miesiąc. Nic to nie pomogło, ojciec mie trzymał, a on mi nadciągał, oj bolało mie przy tej operacji straszliwie. Ale nareście powiada: teraz już dobrze tylko włożyć w łupki natrzyć okowitą i za trzy dni będzie latał jak przedtym, ojciec posłał brata na koniu po okowite nasmarował mi nogę włożył mi w takie dwie klapki reszta okowity dobrali, wypili i poszedł. Przeszło trzy dni, tydzień ja na nogę nie moge ani się zeprzyć spuchła mocno, za tydzień wiezie mie ojciec znów do takiego samego doktora jak poprzedni tylko z tą różnicą że ten coś rozumiał więcy jeżeli chodziło o zwichnięcie lub złamanie kości to rzeczywiście niejednemu złożył dosyć dobrze. Żeby moja noga była zwichnięta albo złamana możebne że mógłbył mi naprawić, ale jak zaznaczyłem na wstępie że noga moja prawdopodobnie była zaziębiona od kości. A że była mocno opuchnięta nie mógł poznać co jest, a że to opuchnięta była w stawie w stopie więc znów zadecydował że zwichnięta. Mój Boże, jest to już 40 lat ale jeszcze mie dreszcze przechodzą na spomnienie owej operacji co ja nakrzyczał jak mi zaczął nadciągać i łysinom napychać. Późni znów włożył mi w klapki czyli w łupki jak oni nazywali, późni usmażył w tłuszczu żywokostu, obłożył mi nogę i powiada za trzy cztery dni będzie chodził. Noga zbandażowana opuchła jeszcze bardziej nie mogłem całą noc zasnąć z bólu, rano jeszcze gorzej, oglądam nogę coraz bardziej puchnie wzięłem pozrywałem owe bandaże, dopiero mi ulżyło tak że zjadłem śniadanie po śniadaniu, zasnułem to, dospałem do ciemny nocy, gdym się przebudził to już wszyscy spali, poleżałem kilka minut może około pół godziny i zasnąłym napowrót to się nie obudzilem aż mie matka na śniadanie zbudziła. W nodze mniej bólu odczuwałem, ojciec chciał mi napowrót zabandażować ale takiem

ojca usilnie prosił, że ojciec zaniechał. Takim chodził o kiju na jedną nodze, ojciec mi zrobił taką kulę pod pachę ale ja tak pod pachą nie mogłem chodzić tylko tak trzymałem w rękach ową kulę i tak skakałem na jednej nodze jak się odbije ową kulą to skoczę i dwa metry tak żem się wytresował w skakaniu że dorosły człowiek miał robotę ze mną podążyć. Pewnego razu ojciec udał się znów do pewnej znachorki która mieszkała aż za Skulskiem przeszło cztery mile od nas, przyniósł mi ojciec różnych ziół żebym sobie nogę okładał i znów gotował i okładał to bolące miejsce, tłumaczyła ojcu owa znachorka że to jakaś tam czarownica miała takie założyć komuś a ja pierwszy przeszedłem, no i muszę cierpieć. Po trzech dniach tego kadzenia i okładania miałem znów przykładać różne szerści, a to dlatego że to jest kołtun, a że ja mam włosy krótkie więc nie ma się gdzie ów kołtun zwić, więc trzeba przykładać ową szerść z psa czy z krów i to miałem przykładać w przeciągu sześciu dni z warunkiem żeby w przeciągu tego czasu nie pożyczać nikomu nic ani igły ani widły, no jednym słowem żeby nic nie wydawać ani z domu ani z podwórza. Niby to miało tracić moc to zaklęcie, było to zabawnie bo przez ten czas jakby wszyscy się zmówili że najwięcej szli pożyczyć to tego to owego. A ja znów przykładałem owom szerść i to zwiło się na taki filc że rozerwać nie było można ale przyłożyłem do zdrowej nogi tak samo zwiło się jak i na tej chorej nodze, więc zaprzestałem tego. Bólu w nodze nie odczuwałem już takiego ale chodzić na niej nie mogłem, tak dochodziłem o kiju do żniw, we żniwa ojciec woził groch, brat ojcu podawał a że wiatr był duży ojciec wziął mnie na wóz żebym pomógł przytrzymywać chociaż troche, żeby wiatr nie zabierał. Gdy tak utykałem na wozie na nodze i rękach jakieś ostre zielsko skaleczyło mnie w te chorą nogę akurat gdzie było najbardziej opuchnięte, z tej ranki zaczęła wyciekać najpierw krew a późni taka ciemno brunatna ciecz i to ciekło troche lepiej jak tydzień, następnie zrobiła się druga dziurka i znów wyciekało taka sama ciecz i to takie dziury się porobiły, że mogłem palec w ów otwór włożyć, bólu już nie odczuwałem takiego, ale chodzić nie mogłem. Ale rodziców zaniepokoiło takie duże otwory w nodze, więc zebrali troche grosza, bo u nas go wogóle nazbyt nigdy nie było, a że w niedalekim Piotrkowie Kujawskim, czyli jak popularnie nazywali żydowskimi miał Doktor Tabaczyński swój majątek, gdzie co roku przyjeżdżał na wakacje, skorzystał z tego ojciec i zawiózł mnie do niego. P. Doktor zbadał nogę pokiwał głową i mówi że

chcąc mie uratować trzeba noge odjąć na połowie pomiędzy stopą a kolanym, ponieważ kość próchnieje czyli gnije i pokazywał ojcu przez jakieś szkło że to co wycieka to wszystko z kości. Naturalnie ojciec nie miał na tyle pieniędzy żeby mógł zapłacić operacyje odjęcia nogi, przywióz mie do domu opowiadając matce, mateczka w płacz klękała przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej zaczęła się żarliwie modlić i ja uklęknółem przy matce i zaczęliśmy odmawiać modlitwy do naszej królowy i musiałem matce przyrzec żebym odmawiał litanije i modlitwy do Matki Boski Nieustający pomocy, przyrzekłem chętnie bo i tak miałem czasu dużo a że bólu w nodze nie odczuwałem więc mocno płakałem na spomnienie że ojciec mie zawiezie do szpitala aby mi tam noge urzli, a że ojciec nie miał potrzebnej sumy zaraz późni doktor wyjechał tak się też pozostało. W dzień św. Wawrzyńca ojciec zawiózł mie znów do owej znachorki; gdy zajechaliśmy tam nie byliśmy sami tak że musieliśmy czekać około dwóch godzin zaczęm dostaliśmy się przed oblicze jasnowidzącej. Było to zwyczajne sobie może 80-letnie babsko, gdy mie zobaczyła wykrzykła na mnie a to ten mały mądrala, który porozrzucał me zioła i szerści nie chciał przykładać, że baba głupia, niech idzie do tego mądrali któren mu chciał noge urznąć. Ja struchlałem jak taka baba wie że ja jej zioła wyrzuciłem za okno i że pan doktor chciał mie noge odjąć? W mych oczach wyrosła na coś ponad moją zdolność myślenia, zbaraniałem i nie nie mówiłem tylko ojciec wyprosił u tej jasnowiedzącej doktorki że zbadala mi noge no i zaczęła kadzenie i odmawiać różne modlitwy do matki Boski bolesny, św. pańskich, pana Jezusa, no i mamrotała jakieś dla mnie niezrozumiałe wyrazy. Ojciec dał jej pare złotych ponieważ ceny nie wyznaczała tylko co łaska. Po przyjeździe spowrotem do domu na drugi dzień rozpoczułem kuracyje temi ziołami i szerścią, o którą już o tej porze roku było trudno ponieważ krowy nie liniały a psów nie było z dużem włosym. Ale i ta kuracja skończyła się takimże rezultatem jak i poprzednia. Jednakowo mi wyciekała z dosyć dużych otworów taka brunatna ciecz. Tak dokulsztykałem o kiju do połowy listopada, kiedy brat najmłodszy i siostra poszli znów do szkoły. Moi rodzice po krótki naradzie postanowili oddać mie w termin do szewca, ponieważ rodzice już stracili nadzieje, ażebym mógł kiedykolwiek chodzić bez kija, najpierw ojciec mie zawiózł na próbe do miasteczka Radziejowa gdzie miałem być do świąt, a po świętach mieliśmy się zgodzić jak długo miałem być w terminie i dużo ojciec

miał zapłacić za moje nauke. Ale że do pracy byłem przyuczony od samego dzieciństwa więc rażno chwyciłem się za prace, a że z natury byłem pojęty do nauki więc po upływie dwóch tygodni gdy ojciec przyszedł mnie odwiedzić i spytać się owego majstra czy mam chociaż trochę pojęcia o takiej pracy, mój majster opowiedział ojcu że nie potrzeba czekać do nowego roku, że umowe mogą zrobić i dziś ponieważ mam pojęcie o pracy i z zamilowaniem się biore. Więc zrobili umowe tejże niedzieli że miałem być u owego majstra w terminie w przeciągu dwóch lat, za nauke miał ojciec zapłacić 30 rub. korzec żyta i korzec pszynicy i dwie furmanki po drzewo, od tego to dnia zacząłem prace na dobre. Mój majster był to szewc z szewca jeszcze młody dopiero dwa lata żonaty wziół mnie krótko, pokazywał mi tak że na wielkanoc mogłem już robić ordynarniejsze buciska sam po przykrajaniu przez majstra. Zimową porą jakoś mi się podobał ten fach w cieple, ale z nastaniem wiosny gdy skowroneczki zaśpiewały, wolny czas od pracy a była to już szarówka, tak zwana u szewców za ciemno robić a za jasno na zapalenie lampy, wymykałem się w pole aby posłuchać śpiewu ptasząt, których w mym życiu chociaż krótkim ale że całe dnie spędzałem w polu, rozróżniałem śpiew samczyka od samiczki skowronka, a w niedziele obkulsztykałem wszystkie rowy i łączki szukając gniazdeczków ptasich aby znów pielęgnować młode pisklęta i dawać jem w dzióbki okruszyny bułki czy syra. Ale wiczorem na szarówkę nie słyhać było tyła świergotu bo ptaszęta pomęczone całodziennom pracą szły na odpoczynek. Nieraz wymykałem się o świcie w pole w piękny dzień majowy i słuchając koncertu ptasząt różnego rodzaju każdego ptaszka poznałem po głosie. Mój ty Boże, jak pasalem moje hydełko to mi się przykrzyło w polu z ptaszkami, teraz znów tęskniłem do pola do ruchu do śpiewu ptasząt.

W Radziejowie było około 50 warsztatów szewckich. W pobliskim Służewie 99 warsztatów i w każdym miasteczku byli szewcy tak katolicy jako i żydzi, krawców katolików w Radziejowie był tylko jeden mój wujo ale żydów było około 20-stu. Więc z tego powodu szewcy prowadzili nędzny żywot, z dnia nadzień co zarobił to i zjadł zarobił więcej zjedli lepiej, a gdy przyszło bezrobocie żyli na kredyt, albo głodowali, ponieważ Radziejów na one czasy była to mieścina jak to mówią że świat deskami zabity, żadnego innego zawodu nie prowadził tylko taki co spotrzebowali okoliczni mieszkańcy. Ponieważ Radziejów był najbliższem miasteczkiem nad granicą pruską, przez to dużo robotników rolnych udawało

się na roboty do Prus, gdzie pracowali przez lato na zime przychodzili do domów, którem się udało coś zaoszczędzić to żyli przez zime z tego zarobku na lato znów wędrowali a którzy mało zarobili to pracy nie było chwyтали się takiej pracy jakiej kto mógł, chwyтали się przemytnictwa przez granice, albo też brali klatki na plecy i wędrowali po okolicznych wioskach za skupem jaj, drobiu i dostarczali żydkom, którzy wywozili do Inowrocławia już pod zaborem pruskim, a byli też tacy co trudnili się kradzieżą. Z tego to powodu i szewcy nie mieli zapewnionego utrzymania stałego, a tylko zależało to od okolicznych mieszkańców, gdy rok był urodzajny to i szewcy mieli zbyt i dobry zarobek a gdy trafił rok lichi i szewcy głodowali ponieważ rolnicy ograniczali swoje wydatki do minimum ażeby sobie pomóc w biedzie. Żony i córki szewców pomagały mężom i ojcom tem że wyszywały czepek kujawiankom i sprzedawały na jarmarkach, ale nędzny to był zarobek, całotygniowym ślenczyniem wyszyła dwa czepek za które w najlepszym razie dostała rubla a przecie i materiał też trzeba było kupić. Przez to szewczyny chwyтали się czego mogli, a ponieważ najłatwiej było brać sady w dzierżawę po okolicznych dworach, więc zazwyczaj latym większość szewców wędrowała na lato do sadów, ale i to niewiele pomagało ponieważ zazwyczaj tacy szewcy gotówki swej nie posiadali a pożyczali od lichwiarzy więc większość zarobku szło do kieszeni lichwiarzy którzy rekrutowali się przeważnie z żydów. A więc i mój majster wziął w dzierżawę sad we dworze Niegibalice, więc w początku czerwca wyjechaliśmy do sadu. W sadzie pracować i tak było można a chociaż i niewiele się zarobiło na sadzie to i tak za lato coś zaoszczędzili ponieważ na wsi życie było tańsze, powtórę mogli jeść gorzej z tego to powodu że kumoszka nie przyszła i nie zajrzała do garka co też kuma gotuje na obiad. Dopóki owoc nie był dojrzały było mi dosyć dobrze ale gdy nastał lipiec owoc zaczął dojrzewać wcześniejsze gatunki trzeba było pilnować bo szkodniki kradli więc w nocy trzeba było czuwać a w dzień pracować do tego kazał mi mój majster zrywać owoc z drzewa. Było to ponad moje siły z bolącą nogą. Przez to w samo święto święty Anny gdy mój majster pojechał z owocem na odpust do Radziejowa ja zwałem do rodziców, nie śmiałem ojcu powiedzieć tylko to że nie mam butów a ponieważ mój majster przy zgodzie powiedział że obuwie mi zrobi więc ojciec był pewny że boso chodzić nie będę, ale majster nie dbał, bo w sadzie biegałem boso. Więc ojciec wziął mnie do Osięcin na jarmark i kupiłem towaru i zrobiłem dwie

pary buciaków sobie pare i bratu pare, no i poreperowałem wszystko obuwiu jakie było popsute tak że przebyłem cały tydzień w poniedziałek ojciec założył konie do wozika i mówi, Janku zbieraj się to cie odwieze do majstra, ja w płacz mówię że ja tam nie pójde, majstrowa me bije jak kto zrobi szkoda a przecie mnie kulawego chłopaki się nie boją. Ale matce powiedziałem naprzód że ja już odszedłem. Ojciec mi chciał naknocić ale że matka wstawiła się za mną i tak nie wróciłem do swego majstra. A że u naszego sąsiada też był dosyć duży sad, więc dzierżawił go też szewc więc ja chodziłem do niego i mu pomagałem w pracy, tak dobyteł do początku września.

Moja matka była gorliwą katoliczką i czcicielką Matki Bożej przez to nie ustawała w modlitwach polecając mi opiece M. Bożej i mnie kazała się gorąco modlić, na 8 września na narodzenie N.M.P. ofiarowała się matka ze mną do Częstochowy. Sporo osób zebrało się z naszej okolicy ojciec nas odwiózł do Włocławka do statku, statkiem pojechaliśmy do Warszawy, a z Warszawy takim specjalnym pociągami towarowym pojechaliśmy do Częstochowy. Całą drogę śpiewając pieśni do naszej orędowniczki rano około godziny ósmej przyjechaliśmy do Częstochowy 7 września, w ten to dzień byliśmy u spowiedzi, a 8-go u komunji św., od samego rana matka mnie oprowadziła i pokazała różne osobliwości Jasnej Góry, na sumie byliśmy w kaplicy przed cudownym obrazem gdzie moja mateczka płacząc cały czas żarliwie się modliła. Na mnie silne to zrobiło wrażenie ponieważ pierwszy raz w mem życiu byłem obecny tak gorliwej modlitwie tylu tysięcy ludu, 9-go powróciliśmy do domu tą samą drogą.

Dopóki ów szewc był w sadzie chodziłem i pomagałem mu w pracy, z początkiem października zebrał owoc i wyjechał do Piotrkowa skąd pochodził. Ojciec mnie znów chciał odwieść do jakiego majstra dratewki a że ja nie lubiałem tego rzemiosła ponieważ lubiałem ruch i świeże powietrze czego mi przy pracy szewckiej brakowało, powtóre po powrocie z Częstochowy zaczęły mi się te dziury które miałem w nodze zagojać, tak że jedna to już prawie się zaciągnęła do początku października. Więc aby nie iść znów do szewca wziąłem moje kule w garście i nie mówiąc nic do nikogo puściłem się do siostry która była za kowalem w Bodzanowie o 10 kil. od nas i tam przebyłem miesiąc. I druga dziura na nodze zagoiła się prawie całkowicie tylko pozostały takie śramy widoczne po dzisiejszy dzień, ale to była dla mnie największa radość że mogłem

się zeprzeć cokolwiek chociaż nie na cały nóż, ale na palcach, tak że parę kroków mogłem już robić bez pomocy kuli. Siostrze bardzo się przydałem ponieważ już miała dziecko więc byłem przy dziecku jak ona wyszła czy to do krowy czy kopać kartofle i bardzo mi byli radzi, siostra w najbliższą niedzielę poszła do rodziców powiedzieć że ja jestem u nich żeby się nie martwili o mnie tak i pozostałem u nich. Z początku chodziłem do kuźni tylko tak z uciechy, późni w miarę jak coraz bardziej mogłem się spierać na nogę zacząłem robić to i owo a że szwagier widzi że mam chęć do pracy zaczął mi pokazywać jak żelazo nagrzewać aby się nie rozczepiało przy kuciu i nie przepaliło się, zacząłem wkrótce szwagrowi pomagać, za miesiąc rodzice przyjechali i chcieli mnie zabrać aby mnie odwieść do jakiego szewca, ale ja mówię że ja już nie będę szewcem, bo moje rówieśniki ciągle się ze mnie śmiali że szewcy nie ludzie bo kopyta mają a kozy nie bydło chociaż rogi mają, do tego pokazałem rodzicom że już moge chodzić i przeszedłem przez izbę bez kuli. Mateczka aż zapłakała ale to łzy były wdzięczności za prośby M. Bożej. Ojciec nie koniecznie chciał zabrać i oddać do szewca ponieważ ojcu było żal 30 rubli i korzec zboża, które już ojciec oddał memu pierwszemu szwecowi. Ale jak siostra zaczęła prosić, rodzice mnie pozostawili ale ojciec powiedział ja ci nie kupię to ty sam przyjdiesz. Ale na zime bucianta miałem i jakie takie ubranko tak że nie poszłym po nie do ojca, trochę zarobiłem w kuźni robiąc różne drobiazgi których szwagier mnie nauczył robić, a wieczorem znów reperowałem obuwie i też parę groszy zarobiłem tak że składałem sobie grosz do grosza i na wielkanoc mogłem sobie kupić drobne przedmioty potrzebne do ubioru. Tutaj w temże Bodzanowie zacząłem pojmować jak też ludziska niektórzy nędznie żyją, w Bodzanowie było około 20 rodzin służby dworskiej, około 25-ciu rodzin włościan którzy ziemi mieli tyle że umrzeć nie było można z głodu, ale na wyżywienie rodziny nieraz licznej nie wystarczało, do tego ziemi posiadali nie w jednym miejscu, uprawa była tej ziemi nędzna, do tego mieli serwitut to jest mieli pastwisko na dworskim i gajówkę do lasu dworskiego, takie pastwiska to nie były żadne pastwiska a była to głodówka dla bydła, to też taka krowina mleka nie dała. Nie pisałbym tego ale nie mogę o tem zamilczeć że ludzie żyli bardzo biednie, chodziłem po chatach do swoich rówieśników albo też odnosząc jaką robotę to widziałem czem się ludzie odżywiają, mięsa nie widziałem żeby kto jadł na obiad chyba że gdzieś coś padło we dworze i sprzedali

za nędzne pare groszy i to na wypłatę, odciągli kto dużo wziął a i chleba ludziska nie jadali całą zimę z wyjątkiem na Boże Narodzenie. I przyodziewek był lichuchny, ubranka z caju wiatrem podszyte na codzień lata na łacie i jeszcze na te late przyszywali late i to różnego rozmiaru i koloru. Dziś gdy słysze narzekania na nędzę i bezrobocie i niektórzy płaczą i narzykają że to Polska winna a to nam dali Polskę! słysze od niejednego lepiej było za ruska albo za niemca. Ale mnie dziwi to że ludzie są starsi ode mnie i tak mówią a przecie pamiętają jeszcze gorsze lata, jak ja je pamiętam. Naprzykład gdy ide do kościoła albo z kościoła i patrze na ludzi ubranych czysto i dostatnio tak że nie można poznać kto jest gospodarz a kto jego służący albo która jest gospośia a która służąca. Tak samo trudno poznać kto jest z pod pana a kto nie, jednakowo ubrani. Dziwno mi bardzo że ludzie prędko zapominają co było a przecie to nie tak dawne lata niema jeszcze i czterdzieści lat.

Jeszcze musze to spomnieć o dziedzicu majątku Bodzanowa, był to jeszcze młody szlachcic, który nie miał jeszcze 30 lat, kawaler ale dziwno mi to było że ów pan wymagał żeby jego służba całowała go po rękach, nawet takie staruszki 70 do 80 letnie schylały się do ręki pana dziedzica. Ja i moja siostra nie byliśmy do tego przyzwyczajeni, razu pewnego gdy robiłem coś w kuźni ze szwagrem i siostra przyniesła nam coś do zjedzenia w tem wpada jaśnie pan a że go nie pocałowaliśmy w rękę skrzyczał tak szwagra skłuf co niemiara i zapowiedział żebym się w kuźni nie pokazywał. Od tej pory mogłem tylko chodzić do kuźni jak dziedzic wyjechał. Ale że już niedługo tam szwagier był u owego jaśnie pana, kowale mieli rok na święty Wojciech więc i szwagier zgodził się na inne kuźnie, do św. Wojciecha dobył, późni przewieźlim się do Faliszewa, tu było weselej ponieważ szwagier się tak zgodził że robił robotę do dworu i mógł robić i dla gospodarzy, kuźnia stała przy trakcie to często wozy przejeżdżały a i gospodarze przyjeżdżały z robotą to zawsze ktoś w kuźni był. Ja już na tyła mogłem na nogę chodzić że już nie używałem kuli i chociaż tak jeszcze utykałem ale mogłem chodzić o własnych siłach. Jak nie było tyła roboty w kuźni szedłem do roboty w pole do graczowania buraków i we żniwa tak żem sobie zarobił na przyodziewek aby tylko nie prosić ojca o kupno takowego. Tak przebyłem przeszło rok. W następnym roku od czasu jak się przenieśli do Faliszewa rodzice sprzedali swoje gospodarke, oddali starszemu bratu pieniądze które się pozostały ze sprzedaży gospodarki i oddania długów. Rodzice już musieli sprze-

dać ponieważ długu nie ubywało a przybywało a siostry dorastały już prawie wszystkie, już i ta siostra co była dwa lata starsza ode mnie wyszła zamąż za kowala w Poznańskim ponieważ była tam u wuja w Pieraniu i tam się poznała ze swym przyszłym mężem i przez to miałem już dwóch szwagrów kowalami, ale że rodzice musieli coś dać chociaż nie majątku, ale wyprawę i krowe i coś niecoś na zagospodarowanie przez to po długim namyśle musieli sprzedać, dostali cztery tysiące rubli. A brat kupił w Powąlkowicach 63 morgi gospodarke za którą zapłacił trzy tysiące rubli ale na tem było długu hipotecznego 1800 rub. A nam rodzice przeznaczili tak tylko na słowo żeby brat wypłacił każdy siostry majątku 300 rub. a mnie 200 rub. a młodszy brat miał dostać od szwagra z tych 10 morgów. Więc w tem roku z wiosną rodzice przewozili się z ziemi czarnej na piaski, w Starem Radziejowie tam można było siać co kto chciał i gdzie chciał a tu trzeba było dobierać ziemi dla roślin, aby tylko żyto i kartofle to się urodziły w całym polu. Tylko to trzymało że było cztery morgi łąki i na tej łące był torf a że na Kujawach było mało lasów więc na opał używali ludziska przeważnie torfu który był dość dobry jakości na tej łące. Ale do ziemi trudno się było przyzwyczaić a zwłaszcza na wiosnę gdy przyszły suche wiatry i zaczęło się piasek kurzyć i zasypywać zboże, ojciec aż zapłakał z żalu za swoją czarną ziemią którą największy wiatr nie był w stanie urwać.

W terminie kowalskim, wyzwoliny, wędrówka za robotą, wzięcie do wojska

Tego roku w początku sierpnia siostra ta z Prus przyszła do nas do Faliszewa i prosiła szwagra u którego byłem żeby mnie oddał do nich z powodu tego że mają sporo roboty a pomocnika trudno dostać. Ponieważ w czasie żniw u nas roboty nie było za dużo więc poszedłem w Prusy jak my tu nazywalim, szwagier mieszkał w Karsku pow. Strzelno ten szwagier był w robocie swojego fachu lepiej wykwalifikowany więc i ja będąc u niego blisko pół roku dużo skorzystałem. A najwięcej skorzystałem z tego że mogłem czytać gazety które przychodziły do szwagra i do karczmy, a także i książki zacząłem czytać takie na których nie było „dozwolone cenzuroju”, tu się dopiero dowiedziałem prawdy z historii Polski jaka była potężna jak to daleko sięgały granice naszej ojczyzny, przeczytałem obronę Wiednia, obronę Częstochowy, historje Pol-

ski od jej powstania o Popielu jakoby go miały myszy zjeść, a że z Karska do Kruświcy było zaledwie 14 kil., więc po przeczytaniu owej historii w jednej niedzieli puściłem się w drogę aby obaczyć ową mysią wieżę, po przybyciu do Kruświcy nie poszłem do miasteczka a najpierw poszedłem zwiedzić ową wieżę, po zapłaceniu 25 feników stróż przy owej wieży wpuścił mnie do środka gdzie na oglądaniu zeszło mi przeszło dwie godziny. Po wyjściu z wieży usiadłem na murawie nad Gopłem i medytowałem więcej jak drugie dwie godziny przenosząc się myślą w te czasy księcia Popiela i rozmyślając jak to od tak dawna nasi sąsiedzi zachodu byli wrogo usposobieni względem Polaków i do dziś nic nas to nie nauczyło tylko precz wierzymy Niemcom i ludzimy się że teraz akurat mają jak najlepsze zamiary względem nas, oj to Polska łatwo-wierność, takim siedział i myślał nad losym Polski aż mi żołądek przypomniał że ja nie jadłem nic jak śniadanie tak zebrałem swe myśli ruszyłem do karczmy gdzie kupiłem sobie bułkę za 10 feników i nie idąc zobaczyć miasteczka szedłem szosą dobrze utrzymaną chrupiąc bułkę i rozmyślając nad losem swej ojczyzny a szedłem smutny tak jak z pogrzebu kogoś sobie drogiego.

Tak byłem u szwagra do grudnia, w początkach grudnia przechodził żandarm pruski i zobaczył że kuje konia podszedł do mnie i zaczął mi coś mówić po niemiecku a że ja nie rozumiałem co on mi się pyta zawołałem szwagra dopiero od szwagra się dowiedziałem że on mi się pyta czy złożyłem egzamin kucia koni, naturalnie nie miałem takowego więc wyszło na jaw że jestem rusko-polski jak nas nazywali i że to grudzień sezon się skończył musze opuścić granice państwa pruskiego. Wtenczas szwagier mówi: pójdiesz do mego brata który ma gospodarke w Pieraniu i tam przebędziesz ze dwa tygodnie i wrócisz, żandarm zajrzy ze dwa razy zobaczy że cie niema i zapomni a ty wrócisz i będziesz robił dalej. Tak też zrobiłem, poszłem do Pierania trzy mile dobre od Karska na pie-szo gdyż noga mnie już nie bolała tylko jak na zmianę powietrza to mnie troche bolała, tam przebyłem pięć tygodni ponieważ szwagra brat miał 100 mórg magd. i 4 konie a fornal mu odszedł więc ja mu spadłem jak z nieba. Konie były bardzo zaniedbane obite aż skóra spękała. Więc prosił mnie żebym się zajął końmi bo mówi ten co przychodzi na dzionke niedba o konie, a że ja wychowałem się z końmi w stajni śpiąc więcej jak 7 lat w stajni więc wiedziałem co koń potrzebuje. Po przebyciu dwóch tygodni konie wcale inaczej wyglądały. Gdy mu mówiłem że ja już musze wracać do swej roboty

prosi żebym pozostał do nowego roku, ale ja nie chce, mówi dobrze pójdiesz ale pojedziemy jeszcze jutro do boru po gałęzie na ogień. Nie mogłem mu odmówić, na drugi dzień pojechalim po gałęzie naładowałem dosyć dobre wozy, gałęzie były niesuche ciężkie, wyjeżdżamy z boru konie mu stanęły on swoim zwyczajem bije konie żeby ciągnęły ale w ten sposób nie mógł wyjechać bo konie bił jednym batem więc nie mógł uderzyć obóch razem, jak tego uderzył to szarpnął a drugiego uderzył znów szarpnął przez to nie mógł wyjechać, ja jechałem w przodku, woła mnie żebym się wrócił i dołożył drugą parę. Ja się wróciłem ale sam pogłaskałem poklepałem konie, zagadałem do nich poprawiłem piersi, wzięłem za licki krzyknąłem na konie, wzięły razem i wyjechałem mu na drogę. Po przyjeździe z boru przyniósł pół litra likieru i częstuje mnie i prosi żebym u niego pozostał za fornała że mi da 100 talarów to jest trzysta marek, to była duża suma ale nie chciałem się zostać bo mi się kowalstwo bardzo podobało. Ale w te noc akurat żona mu zachorowała więc w nocy pojechałem po arkuszerkę późni odwiózłem no i w niedzielę ochrzcili, przy tej okazji i szwagier był, uradzili pomiędzy sobą że mam być tak długo aż nie zgodzi fornała na deputat bo taki to mu zwieje tak i byłem aż po nowym roku, aż zwiózłem fornała zapłacił mi za ten czas i za to żem mu konie wypaść dał mi zegarek. Oj była to radość dla mnie zaraz poszedłem do Kruświcy kupiłem sobie ubranie. Pierwszy raz w mojem życiu miałem ubranie nie z caju i zawiesiłem zegarek, co parę minut oglądałem która godzina. Po powrocie do szwagra byłem jeszcze do lutego i znów mnie żandarm spotkał wtedy już musiałem wędrować nie chcąc żeby mnie odesłali przymusowo. Po powrocie do rodziców radość była niemala żem wyrósł i niekulawy jestem, ubranie mam ładne, zegarek, jednym słowem z chłopca kulawego zrobiłem się kawaler. Akurat po mym powrocie do domu za tydzień wychodziła zamąż piąta siostra za wdowca z tejże wsi który miał gospodarke niedużą. Więc po weselu próbowałem roboty w kilku miejscach, robote robiłem już nieźle, a że nie byłem wyzwolony wciąż chcieli żebym darmo robił, tak że przebyłem u rodziców do żniw na żniwa poszedłem do Faliszewa, ale tam był już inny kowal, mój szwagier wziął sobie 7 mórg ziemi w sąsiednim Pścienniu na parcele. Ale jeszcze kuźnię nie wybudował. Z tem kowalem zgodziliśmy się że miał mi płacić trzy rub. na miesiąc i wikt. Pracowałem u niego do nowego roku nawet tak długobym nie był u niego bo wikt był bardzo nędzny, za cały czas swego pobytu u niego nie wiem czym jadł

dwa razy mięso przy tak ciężki pracy jaką jest kowalstwo. Ale że u tego kowala był jego teść staruszek prawie stuletni bardzo uczciwy starowina żołnierz polski z powstania listopadowego 31 roku, i że jabym nie jadł nie spał tylko czytał lub słuchał opowiadania o Polsce i wojsku polskim, i że ów staruszek był uczestnikiem bojów o wolność, więc słuchałem z zapartem oddechem tego żywego słowa który był świadkiem dwóch tragedij jaką moja ojczyzna przechodziła. Z tego powodu chociaż nie dojadalem ale siedziałem, na niedziele szedłem do rodziców a powszedni dzień jak byłem mocno głodny leciałem po pracy do siostry i tam się pożywiałem chociaż razowiaka i mleka. Jakoś po nowym roku szwagier nie był majstrem więc nie mógł mnie wyzwolić więc mówi pójdziesz do mego szwagra, pobędziesz rok i mój szwagier cię wyzwoli na czeladnika, więc posłiliśmy obaj, aże to był kawał drogi przeszło cztery mile, więc wysłiliśmy do dnia tam zaśliśmy na południe. Do owego Poczalkowa gdzie był panym baron Horoch i miał dwa folwarki Poczalkowo i Przybranuwek tam się zgodziłem z tem majstrym Nawrockim że mam u niego pracować rok on mi zapłaci 30 rub. i wyzwoli me na czeladnika, ale koszta wyzwolin ja ponosze. Zacząć prace miałem od św. Wojciecha bo już taki był zwyczaj u kowali i stelmachów że rok kończył się na św. Wojciech. Przez ten czas byłem u brata i młóciliśmy żyto. Na święty Wojciech zebrałem swój tłumoczek i powędrowałem do obowiazku. Zaczulem pracować prawie sam na oba folwarki gdzie było 12 fornalek koni i 6 cugów wołów i 8 koni wyjazdowych i wierzchowych. Ponieważ mój majster był zarazym maszynistą więc mało w kuźni robił jeżdżąc z maszyną po innych majątkach, ponieważ wtenczas nie było jeszcze parowych maszyn wiele. Dostałem pomocnika i pracowałem a że majątek był utrzymywany w porządku, materiału dostarczyli zawsze poddostatkiem a pracować lubiałem więc bardzo prędko robotę wyrobiłem i narobiłem sobie na zapas jak przyjdzie większa potrzyb żebym miał zapas. Tak że jak przyszedł sprzęt siana to chodziłem na pole pomagać przy sprzęcie, wstałem rani zrobiłem to co było popsute w południe i wieczór. Ale za to oprócz zapłaty jaka szła dla mojego majstra jako czeladnika pobierałem i płace taką jaką płacili kobietom, tak że miałem z tych pieniędzy na kupno przyodziewku nie naruszając nic z tych 30 rubli, pozostawiając na koszta wyzwolin. Będąc w tych stronach zacząłem się przypytywać gdziebym mógł dostać książek do czytania, byli tam żołdacy z pograniczny straży bo to było blisko granicy pruskiej

i u nich to brałem książki ale w ruskiem języku. A mój majster skierował mnie do panny Heleny, p. Helena była to stara panna która była gospożą we dworze. Udałem się do owej panienki może czterdziestoletniej i poprosiłem o książkę do czytania, panienka mi mówi: my nie mamy takich książek dla ciebie chłopcze, ja mówię: mój majster mi mówił że ja u panienki mogę dostać książek do przeczytania. Ową panienkę polechtało żem jej mówił panienko, więc mi mówi tak mamy ale to są książki ponad twój umysł chłopcze. Ja z pokorą proszę żeby mi dała jedno jaką możliwie łatwą dla mego nierozwiniętego umysłu na próbe, no i śmiejąc się dała mi książkę nie pomnę jakiego autora, gdyż na one czasy mie nic nie obchodziło kto książkę napisał tylko to że była napisana zrozumiale dla mnie o reszcie nie dbałem, książka miała tytuł Robinson Polski. Przeczytałem ową książkę prawie jednym tchem, bardzo mi przypadła do gustu ponieważ bohater tej powieści przechodził takie przygody do których i ja się szykowałem. Ale to mi dziwno że tyła książek co ja przeczytałem i szpyrałem w różnych katalogach po bibliotekach nie mogłem nigdzie natrafić na ową książkę, odniósłem w dwa dni późni i proszę o inną, zdziwiła się że chyba nie czytałem tylko zobaczyłem ale dała mi inną, Dusz puszczy na tle pierwszych kolonistów w Ameryce północnej. Te książki przeczytałem dwa razy z powodu opisu mi nieznanych stron świata i trudności jakie musieli przechodzić pierwsi osadnicy europejczycy na lądzie Ameryki Północnej. Słyszałem że jest Ameryka Północna i Południowa, gdzie to leży Brazylja co takie rzesze ludu wędrowało do owego rajy na ziemi gdzie wcale niema zimy tylko wieczne lato. Z tej to książki dowiedziałem się jakie to trudności musieli przechodzić te pierwsi osadnicy w nowych krajach. Panna Helena dała mi jeszcze kilka książek do przeczytania ale że jak miałem książkę do czytania wszystkie wolne chwile od pracy poświęcałem czytaniu więc bardzo prędko szedłem po drugą książkę. Aż wkońcu powiada do mnie żebyś się udał po książki do pana barona który ma dużą bibliotekę. Pare tygodni wahałem się ale wkońcu prze-mógł głód drukowanego słowa i pewnego wieczoru udałem się do samego dziedzica, lokaj mie zameldował, kazał mi wejść wszedłem do pokoju, po przywitaniu p. baron pyta mi się coś chciał, gdy wy-luszczyłem swą prośbę poco przybyłem zmierzył mie kilka razy od stóp do głowy i odwrotnie i odzywa się do mnie w te słowa, a kto to cie skierował do mnie po książki, ja mu powiedziałem że panna Helena. Mówi: no no 15 lat jestem w Poczałkowie dopiero

pierwszy wiejski chłopak zgłosił się do mnie z prośbą o książkę i poszedł do biblioteki i przyniósł mi książkę nie pomne już tytułu owej książki dosyć że w dwa dni już przeczytałem, w sobotę wieczorem idę do pałacu tak nazywalim dworek w Począłkowie ponieważ była to piętrowa budowla dosyć zwyczajna tylko że była otoczona fosą i wałem gdzie się wchodziło kiedyś w dawne lata przez most zwodzony a obecnie mostu już nie było a poprostu była usypana prosto grobla ale że oprócz owego pałacu i oficyn dwóch dla służby był dosyć dobrze utrzymany ogród warzywno-owocowy a na wałach rosły śliczne drzewa przez to nazywaliśmy pałac. Gdy mie lokaj zameldował jaśnie pan baron bo tak go tytułowaliśmy gdy wszedłem do niego wyegzaminował mnie czy ja rozumiem co czytam ale jakoś egzamin wypadł dla mnie korzystnie, gdyż dał mi drugą książkę i mówi żebym przychodził po więcej, po dwóch tygodniach czytania książek z biblioteki pana barona dał mi poezyje Adama Mickiewicza. Po przeczytaniu utworów Mickiewicza których przeczytałem tylko dlatego że jakby mi się pytał co przeczytałem abym wiedział bo nie to że nie lubiałem czytać Mickiewicza tylko to że wogóle nie lubiałem czytać poezyj bo mi się zdawało że mi się w głowie kręci. Ale po Mickiewiczu dostałem poraz pierwszy pisma Sienkiewicza, Ogniem i Mieczem, nie spałem kilka nocy czytałem i rozmyślałem rozmyślałem i znów czytałem. To co przeczytałem ogromne wrażenie wywarło na mój młodociany umysł ponieważ natenczas nie rozumiałem jeszcze tego że praca autora to wymysł i fantazja pisarza a rozumiałem to że to co napisane to wszystko naprawdę się działo na oczach autora a on tylko to odpowiednio zebrał i tak ładnie opisał. Mój umysł pracował nad tem dlaczego to Polska ojczyzna moja mając tak ofiarnych żołnierzy i oficerów musiała zniknąć z karty Europy. Naturalnie dowiedziałem się już znacznie później że wówczas chłop polski nie miał swej ojczyzny a był tylko własnością pana jak jakie bydle. Ale mój rozum nie mógł pojąć tego i wiele miljonów mnie podobnych chłopaków, my tylko uwielbialim cara Aleksandra II-go za darowanie wolności dla włościan jak nas uczyli w szkole, tak rozumielim że za to go panowie szlachta zamordowała i w moich oczach był to niejako bohater. Nieomal że nie modliłem się do niego uważając nieomal za drugiego Chrystusa z tą tylko różnicą że Chrystus umar za cały świat a car umar za włościan swego obszernego państwa. Otóż gdym odniósł Ogniem i Mieczem przyniosłem Potop, wkońcu Pan Wołodyjowski, gdy to wszystko przeczytałem nietylko że m się

dowiedział z tego jak daleko sięgały granice Polski mej kochanej a tak nieszczęśliwej ojczyzny, może zato tak kochanej że tak nieszczęśliwej. Nietylko że dowiedziałem się jak daleko sięgały granice Polski czego z historii nie mogłem się dowiedzieć z wiadomych powodów, ale poznałem te mą ojczyzne idąc za wojskami krok w krok i przypatrując się oczyma duszy temu krajowi w którym ujrzałem świat Boży i w niem wyrosłem, poznałem lepiej rzeki przez które przeprowałem się z wojskiem i miasta, które zdobywałem lub bronilem zależnie od okoliczności. Po przeczytaniu całej trylogji nie mogłem przyjść do siebie przez kilka następnych dni ale mój umysł jeszcze dużo rzeczy nie mógł pojąć a nie było nikogo żebym mógł z kim porozmawiać o tem przedmiocie albo chcąc się zapytać o niepojęty dla mnie przedmiot nie miałem się kogo zapytać udać się do pana barona o objaśnienie nie śmiałem, po przeczytaniu trylogji jeszcze bardziej nie śmiałem a może pan baron pochodzi od tych to panów co to przeciw nim zbuntowali się owi chłopci ponieważ on z tych to stron pochodził gdzie to się te bunty działy. Ale ciekawość przemogła i przy pierwszej sposobności jak tylko pan baron miał wolny czas i zaczął mnie egzaminować z przeczytanych książek natenczas skorzystałem z okazji i zacząłem się dowiadywać o autora czy ów autor tak mógł być wszędzie żeby tak akuratnie wszystko opisać i tu dopiero przeszło w dwugodzinny wykładzie pan baron mi wyjaśnił sztuke pisania powieści i tu dopiero dowiedziałem się że ten przeze mnie ukochany autor żyje jeszcze i może jeszcze pożyć długie lata, gdyż cieszy się dobrym zdrowiem i powiedział mi że go osobiście zna i rozmawiał z nim i pokazał mi autora trylogji fotografije z jego własnoręcznym podpisem i długo możeby mnie nauczał bo zaczął mnie zaznajamiać z jennymi autorami polskimi jak i francuskimi, ale że poprosili pana barona na kolacyje więc nasza rozmowa się skończyła. Ale od tej pory pan baron patrzył innym okiem na mnie jak na drugich mych rówieśników. I niewiadomo jakiby była obrót wzięła ta cała sprawa gdyby nie to że pan baron ni stąd ni zowąd popełnił samobójstwo strzelając sobie w głowę. Naturalnie różnie ludzie gadali przyczyny samobójstwa taka a taka była, różne bajki pletli ludzie, ale prawdziwej przyczyny do dzisiaj się nie dowiedziałem.

Bądź co bądź ale w tem Począłkowie skorzystałem bodaj więcej niż z tego co chodziłem do szkoły, poznałem lepiej mą ojczyznę i ludzi zacząłem rozróżniać ludzi próżniaków pasożytów i ludzi pracy, od tego czasu zaczął się w mym młodym umyśle bunt na

niesprawiedliwe traktowanie ludzi że ci co byli mądrzejsi wyzyskiwali na swą korzyść ciemnych ludzi, ten co był silniejszy wyzyskiwał słabszego tak było i tak będzie ale mnie na one czasy zdawało się że sie Bóg w swej mądrości pomylił i tak niesprawiedliwie świat stworzył i ludzi na nim. Bo chociaż już zaczęło się lepiej powodzić ludziskom w naszej okolicy, ale w każdym razie na owe czasy jeszcze mało bardzo poprawił się los wielki rzeszy ludu wiejskiego to jest służby dworski. Mój Boże teraz narzekają na ciężkie czasy ludzie dworscy, ale podług tych czasów przed wojną Japońsko Rosyjską to jeszcze dobre czasy, widziałem rodziny że większe pół roku nie mieli chleba w domu, najczęściej się żywili kartoflem takie rodziny i to nie było czem okraszyć. Chociaż w Począłkowie i Przybranówku ludzie mieli pana dobrego że wypłacał na czas zarobione grosze i nie wytrącał za różne kary jak to miało miejsce gdzieindziej, jednakowoż połowa służby nie miało krowiny, tej żywicielki bidnych rodzin, było patrzeć na tych ludzi którzy odżywiali się tak nędznie to praca była licha z takiego człowieka to ino tak przełaził, prawda że marnie pan płacił ale ten człowiek też nie mógł więcej zarobić bo sił nie miał do pracy.

W Począłkowie przepracowałem rok, wyzwolił mnie mój majster na czeladnika w Radziejowie gdzie należał do cechu. Po odbiorze dyplomu czeladnika i książeczki, po pożegnaniu się z kolegami wróciłem na krótki pobyt do rodziców gdzie byłem w ciągu roku tylko raz, moja mateczka chociaż nie była jeszcze tak stara ale że kłopoty zmartwienia tak że nie czuła się dobrze. Ojciec za to cieszył się najlepszym zdrowiem i chociaż brat już był się ożenił i gospodarzył na swoim a ojciec pomimo że miał dożywocie zapisane u córki w Starem Radziejowie pracował jak w swoim i był wesół i gdy po przywitaniu ojca i matki złożyłem dyplom czeladnika i z dumą powiedziałem ojcu że ojciec mi przyrzekł że mi nic nie kupi to i tak przyjde w pokorę a ja nietylko nie przyszedłem żeby mi ojciec coś kupił ale nago nie wróciłem i jako czeladnik. Mój ojciec uściskał mnie i aż zapłakał nie wiem czy z radości czy też inny powód był ale moja mateczka najpierw klękała przed obrazem Matki Boski Częstochowski i ja z ojcem także uklękli i złożyli dziękiki za uzdrowienie moje i za pomyślne ukończenie nauki kowalstwa no i na uproszenie łaski gdy pójde w świat żeby mie Naj. P. miała w swej opiece. Tak się skończyły moje dziecinne i młodzińcze lata a teraz zaczne jako człowiek dorosły pracować na siebie ażeby być i Bogu na chwałę i ludziom na pożytek pracować. Po prze-

byciu u rodziców trzech dni puściłem się na wędrowną nietyla szukać pracy którą i tu byłbym znalazł z łatwością tylko z chęci zwiedzenia kraju i zobaczenia jak też ludzie żyją w innych stronach jak pracują oszczędzają kombinują. Piersza moja noc przespana na wędrownie była przespana w Wieńcu pod Włocławkiem, na drugi dzień rano udałem się do Włocławka najbliższego miasta do którego wozili zboże i zaopatrywałem się w towary. Tam też był sąd okręgowy gimnazja suminarja duchowna, urząd ziemski, jednym słowem nasza okolica była z konieczności rzeczy związana z tem miastem czy kto chciał czy nie chciał potrzeba zmuszała do odwiedzenia kilka razy do roku. Więc nic dziwnego że i ja swe kroki skierowałem do naszego miasta, tembardziej że na zachód z powodu granicy pruskiej świat był deskami zabity. A więc z Włocławka były to niejako drzwi w szeroki świat nas kujawiaków. Ale żem tu dostał prace u niejakiego Krasuskiego, więc zacząłem pracować zarabiając 2 ruble na tydzień i utrzymanie, ale że był to majster który nie pilnował swego warsztatu pracy przy pierwszej lepszej sposobności wymykał się do karczmy widząc że tu nic się nie naucze wypowiedziałem prace, po przerobieniu 6 tygodni udałem się na wędrowną na wschód, szedłem od wsi do wsi od miasteczka do miasteczka zajrzałem i do dawnej stolicy książąt mazowieckich zwiedziłem kościoły katedre obeszłem wszystkie ulice uliczki zakąłki, po dwóch dniach zwróciłem się znów na lewy brzeg Wisły i tu wędrowałem aż do Sannik gdzie swego czasu żył mój stryjek, a obecnie żona i dzieci po nim. Z Sannik ruszyłem w stronę Warszawy kierując swe kroki tak abym szedł brzegiem Wisły. Tak przywędrowałem do stolicy wieczorem bez żadnych wypadków. Po przybyciu do stolicy poraz pierwszy sam w dużym mieście wieczorem tu dopiero się zastanowiłem gdzie ja będę spał te noc, ponieważ w swej wędrownie nocowywałem po stodołach a tu chałup tyła ale stodoły nie widzę nigdzie, ale ide dalej może przecie zobacze gdzie jaką stodołę, albo chociaż szope gdziebym mógł poprosić o nocleg. Ide coraz dalej chaty coraz wyższe że i dachu nie widzę chociaż lampy się gęsto palą ale stodoły nie widzę ani szopy, zmęczony całodzienną wędrowną nie widząc gdzieby można spocząć, pomimo nocy ludzi pełno na ulicach krzyk szum wrzawa jaką w swym życiu nie widziałem i nie słyszałem. Po długim błakaniu się po ludnych ulicach zrezygnowałem już ze znalezienia stodoły czy szopy ale że to był czerwiec więc myślę sobie bo to ja raz spałem pod gołem niebym pasąc konie w nocy więc szu-

kam tylko jakiego sadku to i tak się wyśpie, ale jeżeli widze gdzie sad jaki to przeważnie ogrodzony wysokim płotem że przeliść jest trudno żeby kto nie widział to jaby sobie poradził ale tu tyła ludzi chodzi, po długim błędzeniu widze duży sad ogrodzenie niskie i tylko rów duży, ludzi chodzi rzadko, smyk przez głęboki rów i niski płot, jestem w sadzie pod pierwsze lepsze drzewo składam swój pelejżon klękam, mówie swój wieczorny paciorek i kładę głowę na pelejżonie, momentalnie zasypiam. Rano gdy się przebudziłem już słonyczko było weszło ptaszki ślicznie śpiewają rozglądam się w jakim ja sadzie śpie, patrze krzyż stoi w pobliżu rozglądam się widze żem spał na cmentarzu, zrywam się co duchu i zmykam ze cmentarza aby mnie kto nie widział żem ja tu nocował, odetchnułem spokojnie kiedym się znalazł na ulicy czytam gdzie jestem i widze że jestem na wolski szosie, a nocowałem na cmentarzu wolskiem. Jeszcze się błąkałem blisko dwie godziny zaczem zaczęli otwierać sklepy i resteuracyje i kawiarnie, wszedłem do jakiś żydoski kawiarni wypilem dwie filiżanki kawy zjadłem dwie bułki i poszłym szukać warsztatów kowalskich. Wszedłem do jednego zawędrowałem, chłopaki patrzą na mnie i śmieją się ze mnie ale majster pyta się mnie skąd ja jestem, powiedziałem mu dał mi 5 kopiejek na śniadanie i objaśnił mie że tu w stolicy się nie wędruje po warstatach a musze się zgłosić na gospode tam dostane mieszkanie i jeść w przeciągu 48 godzin i tam się zgłoszą po mnie majstry kto chce mieć czeladnika, dał mi adres powiedział którem konnym tramwajem dojechać, ale ja nie wsiadłem do tramwaju ponieważ takich tramwai nie było jakie są obecnie a były tylko konne i widze taki wielki wóz ludzi nasiadało ze 40-stu, szkapy były bardzo biedne myśle sobie toć ja prędzej zajde pieszo jak oni się zaturkocą po tych kamieniach w takie biedne szkapy dwie; i poszedłem, szedłem przeszło dwie godziny zaczem odszukałem owe gospode tam zabrali mi wszystkie dokumenty wydali mi taki nomer kazali iść na sale wypocząć i poczekać tam za obiadem tak też zrobiłem. Po obiedzie około godziny 4-ty dali mi adres żebym się zgłosił do kowalskiego warsztatu na Wolską ulice że tam mam dostać prace udałem się tam no i zostałem przyjęty do pracy. Tylko że ów majster był kawaler więc zgodził mie ale wiktować żebym się wiktował sam, ja mu mówie że ja tu nikogo nie znam to do kogoż ja się udam aby mie wiktował, ale on się ośmiał i mówi chodź tu, zaprowadził mie do taki kumórki w tej kuźni się znajdującej gdzie było tam różne rupiecica no i stało tam łóżko a raczej wyrko takie i coś co kiedyś

służyło jako siennik i mówi tu możesz nocować a jeść możesz chodzić zaraz obok do jadłodajni. No i pracowałem tam jakoś z miesiąc, płacił mi 5 rubli na tydzień wikt mie kosztował 4 ruble więc tylko rubla mi się pozostawało a że nie paliłem i nie piłem nic oprócz wody kawy rano i herbaty wieczorem to mi się ten rubel pozostawał, ale w przeciwnym razie tobym miał jeszcze mało. Pewnego razu były to dwa święta przy kupie nie pomne już jakie, wybrałem się zwiedzić Pragę ponieważ tu już pomału zapoznałem się z ulicami Starego Miasta. Wstałem ranko prawie ze wschodem słońca i puściłem się w drogę, śniadanie zjadłem po drodze, gdy już zwiedziłem Pragę i powróciłem po moście znów do Warszawy stałem sobie przy zamku, przypatrując się tak zamkowi jako i pomnikowi króla Zygmunta. Wtem podchodzi do mnie dwóch facetów i mówią do mnie jak się masz kujawiaku ja ucieszyłem się bardzo bo nieraz chodzę po ulicach cały dzień i ludzi chodzi masę ale ja nikogo nie znam i słowa nie przemówię, więc niedziwota żem się ucieszył gdy do mnie ktoś zagadał. Ale w każdym razie mówię omyliliście się panowie, nie jestem kujawiak bo ja jestem od Sannik to jest z Gostyńskiego, ale ich nie było można zbić z tropu tylko się pytają a znasz tego, a znasz owego ze Starego Brześcia to z Pikutkowa. Naturalnie chociaż osobiście go nie znałem ale wiedziałem że taki tam jest, uwierzyłem że są kujawiacy sami no i bardzo się ucieszyłem że w tem lesie ludzkim będę miał chociaż dwoje ludzi znajomych. Od słowa do słowa zaprosili mnie do restauracji na piwo wypili piwo kazali podać wódki ale że wódki nie chciałem pić kazali podać mi wino późni kazali podać i zakąski i jeszcze piwa gdy już sobie niezgorzej podchmiliłi uściskali mnie jeden wyszedł niby to po papierosy, a że dosyć długo nie wracał ten drugi poszedł za nim biorąc ze sobą i czapkę którą to pozostawił. Ja czekam i czekam nie mogę się dowiedzieć gdzie poszli, chce sam iść ale mnie nie puszczają żebym zapłacił, ja mówię że ja przecie nie wołał ale nic nie pomagało płacić i koniec, ja mówię mogę to zapłacić com ja wypił ale nic nie pomogło płacić, ja pytam się dużo ja mam płacić obliczyli że 7 rubli z kopiejkami ja mówię ależ ja nie mam tyła pinie-dzy, pokaż co masz miałem 8 rubli zabrali mi siedem, rubla mi pozostawili za tego rubla musiałem żyć cały tydzień. Tem wypadkiem tak się przejąłem żem wypowiedział pracę przerobiłem fercentak i wywędrowałem z Warszawy w stronę Kalisza. Na szosie może 8 kil. od Warszawy dostałem pracę w pewny kuźni ale pracowałem tylko fercentak ponieważ chciał mi płacić tylko 1 rub. 20 kop.

na tydzień i wikt, poszedłem dalej, tak wędrując zaszłem aż do miasta Łodzi gdzie pracowałem naprzód w jednym warsztacie późni w drugim aż do zimy dopóki nie zostałem powołany do stawienia się do wojska. Tutaj w takim najbardziej fabrycznym mieście poznałem cokolwiek życie ludzi w mieście. Na ten czas ludzie w mieście Łodzi dobrze zarabiali, roboty było pod dostatkiem masę ludu ściągало z wiosek i mniejszych miasteczek do miasta Łodzi dla łatwego zarobku i lepszego życia. Ale mnie to zastanawiało że ci ludzie pracując tu w fabrykach i przy budowie, natenczas dużo ludzi pracowało przy budowie nowobudującej się kolei Warszawa—Kalisz, zarabiali nie tak źle ale tak mało oszczędzali żyli sobie wesoło nie troszcząc się co może być jutro nie wiem czy to kujawiacy więcej byli oszczędni czy też zapatrywali się więcej na tych u których pracowali, ci co chodzili na zarobki w Prusy znacznie więcej oszczędzali od tych których poznałem pracujących w mieście. Ja chociaż byłem już rzemieśnikiem ale wciąż marzyłem o tem że ja kiedyś będę miał swój kawałek ziemi na własność. Tutaj poraz pierwszy w swem życiu zetknąłem się z towarzyszami z pod czerwonego sztandaru. Wprowadził mnie do nich mój kolega po fachu z którym pracowałem w jednym warsztacie. Naturalnie jako młody chłopak bardzo mi się to podobało pracować dla Polski zwłaszcza że to było połączone na one czasy z dużym niebezpieczeństwem, zbieraliśmy się na zebrania coraz w innym miejscu i to na krótko przed zebraniem byliśmy zawiadamiani przez dziesiętnika, w książkach byliśmy zapisani pod innym nazwiskiem jakie sobie kto wybrał. Na owych zebraniach omawialiśmy rozmaite sprawy tylko niewszystko mogłem pogodzić ze swym sumieniem najpierw że moi towarzysze niektórzy nietylko że nie wierzyli w nic ale jeszcze odzywali się bluźnierczo przeciw religji i duchowieństwu, ja który byłem wychowany bardzo religijnie nie mogłem się pogodzić ze swym sumieniem i zgadzać się na zdania swych towarzyszy. Druga sprawa która mi się nie podobała była ta że moi towarzysze omawiali obszernie o tem że nie będzie prywatnej własności co inne mnie nie obchodziło czy będzie spólną własnością czyli państwa tylko z tem się nie mogłem pogodzić że ziemia ma być też niczyją czyli państwa a ja wciąż marzyłem żeby mieć chociaż kawałek własnego pola założyć sobie ogródek i drzewa owocowe w nim, gdzie z samy maleńkości pielęgnowałem i szczepiłem drzewka owocowe. A tu naraz dowiaduje się że jest taka partja i to dość silna która marzy nawet o tem że cara z tronu wypędzi a sa-

ma rządzić zacznie w osobie prezydenta i sejmu, która mówi że ziemia będzie własnością państwa. Oj namyślałem się ja nad tem co to będzie, teraz te ziemie tak lichu uprawiają chociaż ich własna a późni gdy będzie człowiek uprawiał i będzie wiedział że na drugi rok może tu uprawiać kto inny czy on będzie o te role dbał, nie mogłem sobie w mej głowie pomieścić taki sprzeczności i zamyślałem już nie uczęszczać na zebrania tylko z obawy że mnie posądzą o zdradę uczęszczałem jeszcze ale nie brałem żadnego udziału w dyskusji jakie odbywały a byłem tylko takim biernym widzem. Miasto Łódź na one czasy kipiało żywszem życiem aniżeli Warszawa, tu były już tramwaje elektryczne, oświetlenie miasta elektryczne, ludziska zarabiali tu lepiej więc i bawili się lepiej, pijaństwo kwitło w najlepsze tak że w soboty i w niedziele oprócz pieszy i konny policji patrolowali gęsto kozaki i to często wybuchały bijatyki tak że i ja oberwałem po głowie czemś twardym że mi sporo krwi wyleciało chociaż byłem tylko zwykłym przechodnim, a drugi raz gdy przypadkowo znalazłem się w pobliżu takiej ulicznej bijatyki byłby mnie patrol kozaczy zabrał, ale że wczas schroniłem się do prywatnego mieszkania i przeczekałem te zawieruche. Dla mnie młodego chłopaka że nigdy nie brałem udziału w żadnej bitwie nawet między małemi chłopcami było to coś strasznego ale zczasem zacząłem się przyzwyczajać i mieć się na ostrożności. Do dziś dnia nie mogę sobie wytłumaczyć tych bójek ulicznych boć później byłem w daleko większych miastach i mnie coś podobnego nie spotkało co w mieście Łodzi. W mieście Łodzi pracowałem do połowy października zarabiając z początku 2 ruble a później 2 i pół rubla i pełny wikt, od pół października wróciłem do rodziców ponieważ musiałem tego roku stawać do popisu. Miałem zarobione pare rubli mogłem jechać koleją ale dla zwiedzenia kraju udałem się piechotą przez Zgierz Ozorków Łęczyce Krośniewice Lubień Kowal Lubraniec do Powąlkowic. Po powrocie do domu dowiedziałem się że wszyscy byli przy dobrym zdrowiu tylko moja mateczka więcej była w łóżku aniżeli chodziła, no i szosta siostra wyszła zamąż. W ostatnich dniach października udałem się do Nieszawy gdzie był urząd powiatowy do losów bo naówczas ciągnęliśmy jeszcze losy. Ponieważ na 800 do 1000 popisowych przyjele do wojska 250 najwyżej więc chociaż byli też i niezdadni i służyli różne ulgi ale w każdym razie jeszcze było ponadto więc ciągnęli losy i brali od pierwszego tak daleko aż nabrali komplet, z tych starszych ludzi to każdy jeszcze pamięta dobrze takie losy. Więc i ja ciągnęłem owe

losy gdzie mi trafił 153. Naturalnie ze mną nikt nie pojechał bo przecie każdy mówił gdzie tam kulawego wezmą do wojska, a kto się spodziewał przyjęcia to jechał z niem ojciec lub brat aby zaręczyć za nim że się stawia sam bo jeżeli nikt nie zaręczył to brali prosto z pod klapy do spichrza i na kolej odstawiali do Kutna. Ja gdy przyszła kolej na mnie stanulem nago pod klapą zmierzylili wysokość i grubość kazali tylko podnieść jedne noge i drugie zajrzeli w oczy i krzyknął: pryniat, naturalnie po włożeniu na siebie ubrania chcieli mnie zamknąć do spichrza ale że był przytem niejaki Głowacki z Bartek którego syn też już się rozbierał i ten poręczył za mną i mnie wypuścili, tylko na 6-te godzinie mamy się stawić do kościoła do przysięgi. Niektórzy mocno płakali gdy ich przyjęli ale ja rad byłem nie z tego że mnie wzięli ale z tego że jestem na tyła zdrów że mogę służyć przy wojsku więc śpiewałem i cieszyłem się. Swoją wesołością rozweseliłem innych, przestali się smuć. Do wieczora było już tylko dwie godziny gdzie czekając za przysięgą siedzieliśmy w karczmie i popijaliśmy ciepłe piwo ponieważ był tego dnia ziąb przejmujący. Po przysiędze w kościele mogli wracać do domu ci co byli w tem dniu przyjęci i za których ktoś poręczył że się stawia na czas. Głowacki Konstanty syn długoletniego ławnika przy sądzie pokoju w Osięcinach a mój daleki krewny a rodziców starzy Głowaccy kilkokrotne kumotrowie i szczerzy przyjaciele. Więc i my nawiązując tradecyje naszych rodziców szczerą zawarliśmy przyjaźń gdy oba przyjęci byliśmy w szeregi armji rosyjskiej. Od tej chwili byliśmy szczeremi przyjaciółmi w pełnym słowa tego znaczeniu na całą służbę przy wojsku a i na długie lata po wysłużeniu z wojska. Tak ja już nie mając swej furmanki przyjechałem w nocy do ich domu na godzinie dwunastą w nocy ponieważ po przysiędze w kościele poszliśmy jeszcze na kolacyje no i przy tej okazji wypiliśmy pare kiliszków gorzały, rano wstałem po zjedzeniu śniadania wyruszyłem do domu rodziców, po drodze kto ze znajomych pytał się o swych bliskich czy znajomych ponieważ ja byłem przyjęty w pierwszym dniu branki a stawał odrazu cały powiat to nieraz przyjmowanie trwało i 6 dni ale ja się uskromniłem w pierwszym dniu i byłem na wszystkie święte w domu, idąc do domu ludzie szli do kościoła więc dużo ludzi mnie spotykało, to nikt nie chciał dać wiary że ja jestem przyjęty do wojska, tylko się śmiali ze mnie że kulawych przecie jeszcze nie biorą do wojska. Gdy wróciłem do domu wszedłem do mieszkania wszyscy byli w kościele tylko była służąca brata i moja mat-

ka była chora i nie opuszczała łóżka. Jeszcze nie zdążyłem przywitać mateczka tylko wejrzała na mnie, łzy puściły się obficie z oczu i wymówiła te słowa, mój synku już ja cię więcej nie zobacze. Przecucie matki, nie potrzebowała się pytać wejrzawszy poznała żem przyjęty. A ludzie obcy nie chcieli wierzyć. Tak te 18 dni bardzo szybko minęło na odwiedzeniu i pożegnaniu się z rodziną i familią, z kolegami i z dziewczętami, zaszłem do Bartek do Głowackiego i tu nie śpiąc całą noc na przygotowaniach do podróży swego syna gdzie zjechała się prawie cała rodzina dość liczna gdyż było ich sześć synów i tyleż córek a ów Kostek był już czwarty syn i dopiero pierwszy szedł do wojska. No nareście wybiła godzina 5 rano, na pół siódmy mamy siadać na pociąg na stacji Brzezie. Więc nareście po licznych ściskaniu żegnaniu i błogosławieństwie przez rodziców ruszyliśmy w drogę ja odetchnąłem z ulgą, gdyż mie to bardzo przykro było takie czułości jakby ten syn i brat szedł na stracenie że nietylko jego ciało ale i dusza zaginie. Ja który już przeczytałem sporo książek i znałem te szczytne zadanie bronięcia nietylko swych granic ale i honoru swego kraju przez wybranych do tego ludzi którzy mieli miano żołnierzy, dumny byłem, że i ja do nich będę zaliczony. Jadąc do kolei nie przemówiliśmy prawie ani słowa, chociaż nas było na bryce 5 osób każdy widać przejęty swymi myślami, mój przyjaciel płakał prawie całą drogę jego ojciec także a ja myślałem o tem żem wychodząc z domu chociaż i mnie moi rodzice kochali nie gorzej od jego rodziców na co miałem liczne dowody ale nie płakali tak, jeszcze mi dodawali otuchy mówiąc ano ktoś musi bronić państwa od wroga i żegnając się z rodzicami o tyła tylko łzy mi z oczu poszły na myśl że ty swoi mateczki nie zobacze w tem życiu ale nie z tego że ide w dalekie nieznane sobie strony obszernego państwa rosyjskiego jakie było podówczas. Gdy już usiedliśmy i umieściliśmy się wygodnie w wagonie po pożegnaniu ostatecznym pociąg ruszył każdy z nas jak na komendę zrobił znak krzyżem na sobie wyjrzał oknem na ledwo z mroków widoczną równinę kujawską każdy sobie pomyślał czy ja też wróce jeszcze w swe strony rodzinne. Po przyjeździe do Włocławka gdzie także kilkunastu rekrutów przybyło po ruszeniu pociągu z Włocławka ktoś zaczął pieśń kto się w opiekę poda Panu swemu, drudzy podchwycili zrazu nieśmiało a późni pełnym głosem śpiewaliśmy owom pieśń do końca tak że nawet żydzi rekruci pozdejmowali swe jarmułki i pomagali śpiewać jak umieli. Po skończeniu pieśni otucha wstała w nas zaczęliśmy rażniej potrzebować w przyszłość że przecież z na-

mi będzie zawsze i wszędzie najlepszy nas ojciec i Bóg a także wziął każdy ze sobą wizerunek tej naszej Paniienki Matki i Królowej naszej drogiej a tak nieszczęśliwej ojczyzny. Niech będzie co chce ale niema jak to młode lata, nie zna człowiek co to jest smutek i zwątpienie, wkrótce otrząsnęliśmy się z przykrego koszmaru pożegnania swej rodziny i swych stron rodzinnych, ktoś zaczął śpiewać wesołą piosenkę zaczęliśmy śpiewać wszyscy i tak dojechaliśmy do Kutna już weseli tak jakbym jechali na jakie gody. W Kutnie zebrano się rekruta sporo ze czterech powiatów tu dopiero zbieraliśmy się na podwórzku woinnego naczelnika, gdzie nas wyznaczał do poszczególnych formacji. Nas dużo z naszego powiatu było wyznaczonych do Turkiestanu do trzeciej strzeleckiej brygady, staliśmy po prywatnych kwaterach na wiosce niedaleko miasta z braku innego zajęcia zabawialiśmy się grą w karty, niektórzy na pieniądze ale w tem kółku gdzie ja byłem ze swym przyjacielim nie graliśmy na pieniądze z tego powodu, że nieprzyjemnie ograć kolege którego przecie nie może pójść do domu po pieniądze a jeszcze gorzej samemu przegrać więc na mój wniosek postanowiliśmy w naszym kółku nie tylko nie grać w karty na pieniądze ale i czuwać nad kolegami żeby ich drudzy nie wciągnęli do gry na pieniądze. I tak nas ośmioro dało sobie słowo honoru, że nie tylko nie będziemy sami między sobą grać, ale i z tych nas ośmiu jakby go pokusa skusiła przyłączyć się do innej partji, drudzy koledzy widząc to powinni mu przeszkodzić i okazało się że to postanowienie nasze było bardzo skuteczne ponieważ jeden drugiego pilnował i nie dał siadać do gry hazardowej. W Kutnie przebyliśmy jakoś nie cały tydzień zaczęli nam powydawali cieplejszą odzież gdyż niektórzy rekruci byli ubrani bardzo lekko, a przecie było to na zime i jechaliśmy przez całą Rosję. 24 listopada wyruszyliśmy w drogę do miejsca przeznaczenia udając się w stronę Brześcia nad Bugiem, w Brześciu mieliśmy tu odpoczynek dzienny i wyruszyliśmy w dalszą drogę opuszczając rodzinny kraj na długie cztery lata. Gdyżemy wyruszyli z Brześcia nad Bugiem wjechaliśmy w lasy to jechaliśmy dwie noce i jeden dzień wciąż lasami aż po sam Homel, nie mogliśmy nic zobaczyć oprócz drzew gdzieś niegdzieś mignęła nędzna wioszczyna i znów bór i bór, za Homlem zaczęliśmy wjeżdżać już w kraj czysto rosyjski czyli Mało-Rosja. Bardzo dziwno nam było gdy zobaczyliśmy ludzi pomimo kilkunastu stopniowego mrozu i śniegu chodzących w łapciach, w łapciach widzieliśmy chłopów kobiety i dzieci właściwie co to za obuwie przecie takie łyko nie chroni ani od zimna ani od

wilgoci to jest tylko na to aby te szmaty którymi mają nogi owijane się nie roztrągały ale innego celu ja to z tych łapci nie widział. No oni praktyczny naród toć mieć tyle drzewa olszowego mogliby wyrabiać obuwie z drzewa obite skórą i przynajmniej mieliby ciepło i starczyłoby na całą zimę, czem dalej posuwaliśmy się w głąb Rosji tem mniej spotykaliśmy po miastach żydów, — te chachłuszki przynosiły na każdą stacyję gdzie tylko pociąg przystawał pierożki rozmaite z kapusty z jagieł z kartofli z ryżu z mięsa z wątroby i to wiara kupowała. Ale co mi się na rosyjskich kolejach bardzo podobało to to że na każdej stacji chociaż najmniejszej można było dostać wrzątku to było dobrodziejstwo gdyż można było się zawsze napić ciepły herbaty czy to kawy a nawet mógł sobie i kielbase czy jakie mięsiwo odgrzać, przeważnie jechaliśmy w takich wagonach od bydła gdzie w środku mieliśmy żelazne piecyki do ogrzewania a że w Rosji na kolejach w parowozach opalali drzewym, więc drzewa było pod dostatkiem na każdej stacji. Wyjeżdżając z Warszawy nie było jeszcze mrozu gdy wyjechalim za Homel mróz już dochodził do 15 stopni niżej zera, z tego to powodu stale dwóch na zmianę musiało pilnować owego kuryjerka bo gdyby tylko ugasił na pół godziny taki ziąb się robił, że chociaż kto spał budził się z zimna ponieważ jak pociąg był w ruchu jeszcze bardziej robiło się zimno.

Po przyjeździe do Charkowa znów tu mieliśmy dobre odpoczynku, ale że miasto dosyć ładne więc cały czas żeśmy zwiedzały miasto i jego osobliwości. Po wyruszeniu z Charkowa jechaliśmy na południowy wschód ale nie było co widzieć ponieważ nie było nic ciekawego śnieg przywalił grubą warstwą wszystko więc nie było na co patrzeć przeważnie zabawiałam się śpiewem codziennie odśpiewywałam godzinki do Matki Boskiej i kilka pieśni a potem znów kilka piosenek jakie kto umiał.

W Rostowie nad Donem znów mieliśmy spoczynek, miasto jeszcze ładniejsze jak Charków znów chodziliśmy po mieście i zwiedzaliśmy różne osobliwości ale nie było co do zanotowania ponieważ przyjechalim nad ranem a mieliśmy odjeżdżać dopiero jutro rano więc mieliśmy całą noc przez to poszliśmy do teatru, pierwszy raz w swem życiu byłem w teatrze. Nie pomnę nawet co za sztuki grali, gdyż na one czasy mało pojęcia miałem jeszcze o sztuce i mych czterech kolegów to samo. Nas więcej zainteresował ładny buziak artystek aniżeli to jak która artystka czy artysta gra swą rolę. Gdy wyszliśmy z teatru była blisko 12 i moje dwaj koledzy byliby padli

ofiara opryszków niestety polaków, tylko że ja mówię do swych pozostałych dwóch śledźmy za nimi no i wyrwaliśmy ich ze szponów tak że już im zdążyli wylupić piniążki ale że ich odbilim i morde obiliśmy oprócz pieniędzy zabraliśmy im rewolwer i fiński nóż, 10 rubli jeszcze złodziejskich im zabrałim ale byliby się obłowili jednemu zabrali 20 rubli a drugiemu 50. Od tego czasu byliśmy ostrożni i chodzili w dużej gromadzie, chociaż nie razym ale żeby jeden drugiego widział przez to nie daliśmy się nietylko okradać ale i wyzyskiwać ponieważ różne szumowiny sprzedawali niedoświadczonym ze wsi rekrutom różne bezwartościowe rzeczy, jak brzytwy, zegarki, pierścionki i wiele takich rzeczy bez wartości a płacili dobre pieniądze tak to jak jednych zatrzymywał taki przygodny handlarz zaraz drudzy podchodzili okrażali go wokoło i badali jeżeli się okazywało że miał zamiar wyzyskać sprawiała wiara takiemu przygodnemu handlarzowi taki puc że mu się na długo odechciało handlu z polskimi rekrutami a najbardziej dostawało się tem co to uprawiali różne gry w trzy karty w pasek lub takie kulki czy kostki tak nieraz bili że kilka razy policja musiała interweniować ale nie daliśmy się wyzyskiwać. A było się czego strzec dlatego, że jakby się zmobilizowali wszystkie szumowiny i okradali rekrutów w różny sposób wiedząc że niektórzy rekruci nie widzieli wcale miasta większego to gapili się na wszystko a najbardziej trzeba było strzec nieświadomych rekrutów przed różnego rodzaju panienkami z półświatka, bo nietylko że stracił z takimi pieniądze albo w dodatku okradli w taki szpелunce ale jeszcze narażał się taki gość na zaraźliwą weneryczną chorobę, co w Rosji było pełno takich osobnic chorych żyjących bez żadnej kontroli.

Z Rostowa nad Donem jak wyruszyliśmy to już jechaliśmy przez cały czas nie zatrzymywaliśmy się nigdzie aż do Baku nad morzem Kaspijskiem. Wyjechaliśmy z Rostowa to co ujechaliśmy kilka godzin zmieniał się krajobraz i powietrze ze zimy jaką przejechaliśmy przez Rosję coraz było widać mniej śniegu i mrozu aż dojechaliśmy że było tak ciepło jak u nas na wiosnę. Jeszcze bydlęta owce kozy pasły się po górach, a gdy dojechaliśmy do Baku wcale tam nie było jeszcze ani śniegu ni mrozu. Tylko powietrze było nieprzyjemne dla nieprzyzwyczajonych ponieważ tu to wydobywali naftę czyli ropę naftową i były tu liczne rafinerje gdzie oczyszczali naftę z tej to ropy wyciągali naftę benzynę gazolinę parafinę i wiele innych rzeczy z onej ropy to było powietrze przesyczone wyziewami z owej ropy a i palili w domach też ropą nie drzewem

węgłem czy torfą jak u nas a ropą, już były tak przystosowane piec do tego nawet i chleb wypiekali przy tej ropie co kraj to obyczaj i ma swoje właściwości. Szkoda tylko że się nie zatrzymywali nigdzie przejeżdżając przez krainę bohaterskich górali i mieszkańców licznych szczepów zamieszkałych Kaukazu a to co widzieliśmy przejeżdżając niewiele można było zobaczyć ale już nie spotykaliśmy tu po stacjach różnego rodzaju pierszki za to mogliśmy się uraczyć owocami krainy Kaukazu jak granatów figów dyniów arbuzów winogrodu różnego gatunku i wina którego tu było można dostać wszędzie i tak drogie jak u nas piwo. A wodę to nosili nie w wiadrach jak u nas a w takich skórkach z takich owiec jakie tu hodują, nie widziałem nigdzie takich wyrosniętych owiec i tłustych jak w tej szczęśliwej krainie tak sowiec uposażonej przez przyrodę. Taka skóra jest tak zdarta ze zwierzęcia i odpowiednio wyprawiona że nie tylko używają takich skór do noszenia wody ale i w takich skórkach przechowują wino którego tu jest bardzo dużo ponieważ posiadają tu liczne winnice. A winne grona są gatunki takiej wielkości jak u nas śliwki węgierki.

W Baku tu czekaliśmy na okręt który miał nas przewieźć przez morze dwa dni, za całą podróż nie spotkaliśmy nigdzie tyle złodziei oszustów prostytutków różnego rodzaju kombinatorów że trzeba się było pilnować, nas czterech kolegów nie braliśmy udziału w wyprawach na miasto ponieważ nie było co zwiedzać brudne obrzydliwe domy nie były okazałe, przeważnie budowane na sposób wschodu dachy płaskie, ulice po większej części niezabrukowane ponieważ samo miasto jest położone na skalistym brzegu morza Kaspijskiego więc na taki skale nie potra i brukować, ale że taka skała nie jest jednolicie twarda wozy powybijają dziury że jechać po takiej ulicy nie jest przyjemnością. My w czterech woleliśmy zwiedzać różne rafinerie i wieże wiertnicze. Gdzie wciąż wiercą i poszukują za nowymi żyłami naftowej ropy takie wieże wiertnicze są rozsiane wokół miasta nie tylko w górach i pagórkach ale i w morzu.

Służba w wojsku rosyjskiem

W Baku zjechało się rekrutów sporo nie tylko nasza partja więc różne szumowiny żerowali na naiwności rekrutów. A było tu różnego chałajstwa do licha i to różnego rodzaju i gatunku różnej wiary i narodowości różnej mowy i narzeczy i szwargotu tu można

było widzieć kacapów chachłów polaków niemców żydów francuzów anglików litwinów gruzinów ormianów czekieńców degestańczyków mordwinów czułaszków finów łotyszów persów turków lezkinów tatarów sartów kirgizów afganistańców bucharców i licznych szczepów wschodu i zachodu tu można było spotkać. Przez to w takim zbiorowisku ludzkim nic dziwnego że znalazła się spora liczba różnego gatunku opryszków i szumowin szulerów, gry hazardowe kwitły tu prawie na każdym kroku nietylko w domach jadłodajniach knajpach szpelunkach ale i na placach i ulicach, gdzie wciągali do gry rekrutów ogrywali ich co do grosza a taki rekrut zostawszy bez grosza wszczynał awanture, na krzyk rekruta biegli inni i nie było godziny żeby nie wybuchała bitwa nieraz kończąca się zabójstwem, za dwa dni postoju w Baku były trzy trupy dwóch szulerów i jeden rekrut nie licząc licznych porażeń nieraz bardzo dotkliwych, na szczęście z naszej partji było 6 pokiereszowanych, ale tak że po nałożeniu im opatrunku mogli odbywać podróż dalej, policja była bezsilna w takim zbiorowisku tylko bardzo mi to było dziwne że na czas przejazdu rekrutów nie wzmocnili policji czy to chociażby wojskiem bo rekruci z policji niewiele sobie co robili.

Nareszcie po dwóch dniach pobytu w tej wieży babel siadliśmy na okręt i ruszyliśmy na morze. Przejazd przez morze odbył się dość szczęśliwie, ruszyliśmy z Baku około godziny 7 wieczorem, chociaż morze było tylko lekko zburzone, ale że nikt z nas nie był na morzu z małemi wyjątkami wszyscy chorowaliśmy na morską chorobę, na szczęście podróż trwała niedługo na godzinę 11-stą rano już byliśmy na lądzie w mieście Krasnojarsku. Tu znów czekaliśmy dzień na pociąg, który miał nas wieźć dalej na wschód, miłośna była nędzna nie było tu co do zobaczenia więc z braku innego zajęcia spinaliśmy się na okoliczne skaliste wzgórza bo i samo miasto położone było w kotlinie skalistej. Po wdrapaniu się na takie wzgórze przedstawił się nam śliczny widok na morze, ale w drugą stronę widzimy wyższe góry drapiem się na te wyższe myśląc że będziemy mogli zobaczyć okolice, gdzie tam widzimy coraz wyższe wzgórza, zrezygnowaliśmy i wróciliśmy do koszar. Po wyruszeniu z Krasnojarska na wieczór gdzie było już ciemno nie mogłem widzieć jaka była okolica ale rano gdy tylko słońce wyłazło przedstawił nam się niezwykle widok. Jak tylko wzrok nasz mógł sięgnąć nie widać nic tylko pofałdowane w takie bałwany niby jakbym byli na morzu i te bałwany na morzu na wyższy rozkaz

zgóry momentalnie zastygły znieruchomiały tak że morze jak było zburzone zamarło. Taki nam się widok przedstawił i to do złudzenia było tak podobne do zburzonego a znieruchomionego morza że na cały przestrzeni naszego wzroku nie było widać nic ale absolutnie ani trawki ani drzewka czy jakiegokolwiek chociażby krzaku albo jakiego zwierzęcia czy ptaka, smutno i cicho tu było. Dopiero na przystanku który był w tej pustyni po wyjściu z wagonu każdy leciał zobaczyć co to jest takiego a to był zwyczajny zwykły piasek, dopiero od służby kolejowej dowiedzieliśmy się że to jest morze piaskowe czyli po rosyjsku pieszczanyj step i dopiero nam wytłumaczyli i pokazywali płoty jakie okalały zabudowania owego przystanku, że gdy szaleje wichura wtedy taki step przedstawia groźny widok, świata nie widać tylko jeden tuman kurzu i pyłu. Ten pył wciska się wszędzie, najmniejszą szczeliną się przedostanie, biada człowiekowi którego wichura zastanie w owym stepie, bo nietylko że nie może się zatrzymać bo mu grozi momentalne zasypanie przez ów piasek ale utrudnia ów pył oddychanie i człowiek po prostu dusi się z braku powietrza. Ale też na taki step samotny człowiek nie puszcza się nigdy, tylko przyłącza się do karawanów które się trudnią przewozem podróźnych i towarów i to komunikacja odbywa się wyłącznie na stworzeniu już niejako stworzonym do takich przepraw gdyż jest wysoki i to tylko na nogach wysoki, nogi ma mocne podeszwy stopy szerokie i to w rodzaju poduszki tak że to jest elastyczne i takie zwierze bez podbicia się może chodzić nietylko po sypkim piasku ale i po skalistej nierówności. A przede wszystkim jest wytrzymały na głód i pragnienie a to jest tego zwierzęcia najcenniejszą zaletą, do tego ma już od przyrodzenia odpowiednio wyrosnięty garb do przymocowywania pakunków, nie dziwnego że nietylko to zwierze jest cenione bardzo przez mieszkańców pustyni ale i przedstawia dosyć wysoką wartość znacznie wyższą od koni, zależy od gatunku i zalet zwierzęcia, ten okręt pustyni jest to wielbłąd, jakie widziałem tylko na rycinach. Taką pustynią jechałem dwa dni prawda że pociąg włókł się wolno jak to taki towarowy ale że tu było ciepło nie potraza było palić w piecach chociaż był to już połowę grudnia.

Pierwsze miasto po przejeździe tej pustyni był to Aschabad ale staliśmy tu tylko 2 godziny więc nie miałem czasu zobaczyć tego miasta, które stało niejako na skraju tej wielkiej pustyni tylko pamiętam że leżało to miasto nad jakąś rzeką ale nazwy nie mogłem spamiętać i czy to była większa spławna rzeka czy taka tylko so-

bie rzeka jakich było kilka w Turkiestanie nie mogłem widzieć, gdy przejeżdżałem po moście było ciemno. Dalej jechaliśmy przez krainę Buchare, minувszy Buchare wjechaliśmy w dosyć żyzną krainę Turkiestanu gdzie ziemia była bardzo urodzajna i klimat zdrowy i sprzyjający wszelkim roślinom wyrośnięciu bardzo bujnym tylko to przeszkodą było że ta kraina położona już w Średniej Azji mało było opadów deszczowych, przez to wszystko wypalało słońce już w maju, w tej to krainie chcąc mieć dobry sprzęt czy to roślin czy drzew trzeba było używać nawodnienia które tu było dosyć ułatwione ponieważ wody było pod dostatkiem gdzie byli liczne rzeki i strumienie płynące z gór. Jadąc tak koleją przez te krainy nie będę opisywał ponieważ mając służyć przy wojsku tu w tej krainie lepi poznam i opisze w swoim czasie. Nareszcie po blisko miesięcznej podróży w nocy 18 na 19 grudnia 1901 roku staliśmy na miejscu swego przeznaczenia w mieście Andżizanie Fiergański oblaści a podług kalendarza Juljańskiego czyli jakim się posługiwali w Rosji było to 6 grudnia dzień imienin naszego Imperatora. Gdy się dzień zrobił zostaliśmy rozdzieleni na trzy partyje i wcieleni do trzech bataljonów strzelców Turkiestańskich gdyż w tem kraju nie było pułków a bataljony i brygady, ta partja w której ja się znalazłem ze swym przyjacielim Głowackiem pozostała w 11-tym bataljonie stacjonowanym w Andżizanie a dwie drugie były przeznaczone jedna do 10 bataljonu, który stał w Oszy oddalonej od Andżizanu o 40 wiorst na południe, ale że linja kolejowa kończyła się w Andżizanie więc musieli maszerować piechurą na miejsce swego przeznaczenia, trzecia partja znów była przeznaczona do 14-go bataljona stacjonowanego w mieście Namanganie położonem na wschód od Andżizanu przeszło 50 wiorst więc i ci musieli iść pieszo. Zaraz przyszedł pułkownik niemiec von Fakiewicz z adjutantem i nas porozdziłał po rotach, ja ze swym kolegą znów trafiłem razem do trzeciej rotacji gdzie dowódca rotacji kap. Pietrow, a feldfebel Tarasow zawodowy skóra. A że w trzeciej rotacji nie tylko że to było święto carskie imieniny gdzie i tak wydawali po czarce gorzały na każdego żołnierza ale że to było i święto trzeciej rotacji więc i tu zawsze na święta każda rota dostawała na swoje święto lepsze jedzenie i po czarce gorzały. Bo trzeba i to nadmienić że jak u nas po wsiach każdy najmniejszy kościółek był pod wezwaniem jakiegoś świętego który był patronem danej parafji tak samo i my przy wojsku oprócz patrona który był na sztandarze w naszym bataljonie św. Siergiejusz miała i każda rota swój obraz jakiego świętego gdzie się za-

wsze schodziliśmy na odmówienie modlitwy i gdzie się świeciła lampka olejna, w trzeciej rocie patronem rotty był święty Mikołaj, więc nam tak trafiło że trafiliśmy tak jakby na odpust.

Na obiad byliśmy już w swej rocie a że to było święto nie robili z nami nic tylko pokazali nam łóżka gdzie mamy spać i dali nam tego dnia spokój z powodu święta. Na obiad dostaliśmy oprócz zupy i dosyć sporo mięsa, jeszcze ryż gotowany a raczej prużony w sadle baraniem na pół z baraniną ulubiona potrawa miejscowej ludności odpowiednio przyrządzona, taką potrawę i ja się nauczyłem później przyrządzać do tego każdy dostał po czarce wódki i funtowy bułce a że i druga czarka się należała a że toby się nie jeden upił więc zamiast drugiej czarki gorzały dawali po kawale kielbasy. Więc jak na pierwszy dzień przyjęcie było niezłe. Do tego ci polacy którzy tu byli z poprzednich roczników zgromadzili się przy nas, każdy się wypytywa co słyhać w kraju w mieście czy wiosce z której pochodził a że było też kilku i z naszego powiatu więc zrobili nam przyjęcie jakbyśmy do nich w goście przyjechali. Na drugi dzień dopiero zaprowadzili nas do łaźni która dla nas była już niezbędna gdyż będąc w podróży blisko miesiąc tułając się po różnych zbórnych punktach niejednemu już robactwo zaczęło dokuczać. Po wymyciu i obleczeniu czystej bielizny wydali nam ubrania takie stare, włosy obstrzygli na goloka no i rozmieścili nas po plutonach czyli zwodach jak w rosyjskiej armji zwali pluton no i na sekcyje, a że każdego rekruta przydzielali do starszego żołnierza czyli że każdy rekrut dostał dziadźkę który mu miał pomagać w poznaniu i przystosować do życia wojskowego zato rekrut miał obowiązek wyczyścić codziennie buty ubranie guziki u ubrania no i wyprać bielizne. Ja początkowo dostałem się polakowi taki wąsala ale jak na wojaka był to niedojda pomimo że przesłużył już 3 lata ale nim popychali jak rekrutem. Ale że człeczysko było dobre mimo swej gapiowości gdyż miał usta duże, wargi grube dolna warga stale się zwieszala ku dołowi przez to wyglądał tak jakby się na coś zagapił i przez to tak go pozbadli ale w gruncie rzeczy takim gapą nie był jak wyglądał. Wieczorem gdy mu buty wyczyściłem i przyniosłem do łóżka wtajemniczał mnie w życie żołdaka i chociaż nazywali go gawronem niedołęgą ale mi dał dobre rady i słuchając tych rad jego dobrze na tem wychodziłem. Ale gdy już się wszyscy rekruci zjechali i mój zwodny rozpatrzył się pomiędzy rekrutami odebrał mnie od owego polaka a przydzielił mnie do siebie więc zwodnemu czyściłem buty ubranie prałem bielizne ale zato

dawał mi mydło do prania i szuwaks do czyszczenia butów a późni gdy już dostaliśmy karabiny wszystkie przyrządy do czyszczenia karabinów no i miałem o tyle lepiej od drugih że mie nie naznaczali na roboty czy to do czyszczenia kartofli i czyszczenia ustępów. Mój przyjaciel był przeznaczony do pierwszego zwołu ja do drugiego ale spaliliśmy przy sobie bo rekruci spali wszyscy razym ze wszystkich plutonów. Życie żołnierza poszło mi dosyć gładko ponieważ mogłem dosyć biegle czytać po rosyjsku wnet mogem i mówić lepiej od mojego pierwszego dziadźki, który za te trzy lata po polsku zapomniał i po rosyjsku się nie nauczył, nauka tak mi szła lekko że po przebyciu miesiąca znałem na pamięć wszystkich swych przełożonych od kaprała do całej familji carskiej, ale i pacierz umiałem po rosyjsku nie gorzej od prawosławnych a i pieśni też się wyuczyłem ponieważ pieśni śpiewaliśmy przy każdej okazji gdy śliśmy na spacer z pieśnią na ustach, wieczorem po zajęciach dziennych śpiewaliśmy i chociaż niejednemu łzy w oczach stały ale śpiewać musiał bo taki był rozkaz a że rosyjanie nie umieli wiele pieśni najczęściej śpiewali czubarik czupcziki papala którą strasznie nie lubilem więc wyuczyłem się kilka pieśni z wojny Rosyjsko - tureckiej. Miałem i to na uwadze ucząc się tych pieśni żeby jakiemu moskalowi nie przyszło do głowy wyuczyć się pieśni z poskromnienia miacieu polskiego jak oni nazywali albo też o Suworowie o którym były pieśni jak to on zawojował Polskę jako takie obrażały nasze polskie uczucia narodowe najwięcej z tej to przyczyny wyuczyłem się pieśni rosyjskich i jak tylko zacząłem to już poszło chociaż nie miałem tego akcentu rosyjskiego do śpiewu. Ale byleby zaczął drudzy podchwycili i poszło. Jednego razu miałem nieprzyjemność z tego powodu że umiałem pacierz po rosyjsku, siedzimy sobie po kolacji i uczą nas różności wtem przyszło że pytają się dziesięcioro Boskich przykazań, z prawosławnych zaledwie trzech umiało, w tem kaprał podniósł mojego sąsiada Gralaka z Płówek i pyta się go ja siedząc koło niego szepce mu że mów po polsku ale on po rosyjsku nie umiał a nie wiem dlaczego nie powiedział po polsku wtem powiada no jak podpowiadasz powiedz ty, ja najsamprzód powiedział po polsku na żądanie powiedział też po rosyjsku, ten kaprał co nas uczył powiada do mnie daj każdemu z tych co to pacierza nie umieją w pysk ja zaszedłem i wszystkim którzy stali dałem raz po gębę a że Gralak siedział obok mnie więc jemu się dostało na ostatku a że to był kolega więc

staralem się możliwie lekko uderzyć. Ten zuch kapral mówi do mnie, chodzi do mnie ja ci pokaże jak to u nas biją jak mnie trzaśnie po głowie aż mi się w głowie zakręciło i musiałem jeszcze raz łebić. Oto była metoda nauczania rekruta w rosyjskiej armji. Porządek dzienny mieliśmy taki w naszy rocie, o godzinie piątej wstawaliśmy, podłogę mieliśmy asfaltową musieliśmy wytrzeć dobrze mokremi łatami żeby podłoga była czysta, późni śliśmy po wrzątek na kuchnię na herbatę po napiciu herbaty prowadzili nas na spacer jak nie było błota i deszczu, po przyjsciu ze spaceru stawalim do gimnastyki jak było sucho na powietrzu jak słota była w koszarach, późni siadalim w koszarach i mieliśmy nauki wykładowe różnych ustaw wojennych, późni nauka przy karabinach wkońcu gimnastyka na maszynach czyli takie były przyrządy do gimnastyki no i był obiad. Po obiedzie stare żołnierze kładli się na spoczynek a rekruci wymyli naczynia po obiedzie, wytarli znów podłogę i poplątalim się tak do drugiej to coś zreperować czy napisać, o drugi szliśmy znów po wrzątek na herbatę, po herbacie wychodziliśmy na maszerówkę a jak było błoto w koszarach, maszerowalim do czwartego, o czwartego przychodzili znów szliśmy po herbatę i niektórzy szli czyścić kartoszki, po chleb na piekarnie po kwas niektórzy byli wolni do 6-sty. O szósty była kolacja po kolacji po umyciu naczyń siadalim znów na wykłady czy to religji czy opowieści o byłych rosyjskich bohaterach i ich zasługach, albo też śpiewaliśmy pieśni ale był też taki wieczór że zagrali na harmonjach i były rozmaite tańce różne kozaczki, polki krakowiaki lezginki walczyki i mazurki, gdyż służyła w tem bataljonie różna wiara kacapy chachły polacy ormianie niemcy żydzi gruzini istna manażerja. Ale w tańcu w zabawie zawsze prym trzymali polacy którzy byli chwaty weseli i bardzo ruchliwi gdy posłyszeli muzykę która zagrała ich ulubione polki mazurki i różne obertasy, ja w tańcach nie brałem udziału ponieważ będąc kulawym nie uczyłem się tańczyć za młodu jak wyrosłem nie pasowało mi się uczyć tańczyć po drugie niezawsze miałem ochotę chodzić na tańce wolalym siedzieć przy książce jak takową miałem. Jak się dzień robił coraz dłuższy to coraz dłużej mieliśmy maszerówkę a krócej zajęcia, po kolacji o godzinie 9 była grana po rosyjsku zwana powierka a po polsku capstrzyk wtenczas zbieraliśmy się razem, fieldfiebiel ze spisu wywoływał każdego a każdy musiał się odzywać że jest obecny którzy nie byli obecni plutonowi odpowiadali za nich gdzie się znajdują czy w szpitalu na warcie czy ordynansym, to na urlopie, po sprawdzeniu z listy czy-

tał dzienny rozkaz następnie szliśmy przed obraz i tam odśpiewaliśmy wieczorne modlitwy i modlitwe za cara Boże cara chrani. Po skończonych modlitwach braliśmy się do czyszczenia butów tak sobie jak i swem dziadźkom po wyczyszczeniu butów niejeden chciał z dziadźków żeby mu nastawić samowar jeszcze na noc pili czaj niektórzy. Niejeden miał utrapienie z tem samowarym ponieważ drzewo tutaj tak samo trudne, jak u nas na Kujawach, ale powieś się a dawaj czaju, taki Zieleński z Włoszczy miał takiego kaprała za dziadźkie któremu co wieczór musiał zastawiać samowar chłopak aż płakał nieraz ale był polak też kaprał i dopiero ten go nauczył żeby mu nagotował korków on mu też zrobił tak, byli polacy w klubie oficerskim poszedł do nich dali mu korków od butelek nastrugał wygotował dobrze wybrał ich aby nie poznał i postawił, chachoł był amator czaju przy jednym usiudzeniu wypijał 13 szklanek czaju i tem razem wypił widać sporo bo dostał takich wiatrów w brzuchu co niemiara, oj pierdział całą noc kacap jak najęty ale Zieleńskiemu już wiency nie przykazywał herbaty gotować. Wikt mieliśmy niezły, dostawaliśmy tak, pełny funt mięsa, pół funta kaszy ryżowy jaglany lub gryczany do tego były kartoszki kapusta no i wszelkie przyprawy jak buraki marchew cebula no i odpowiednia ilość okrasz do okraszenia kaszy. Porcji nam nie dawali z tego powodu że niejeden nie zjadał swej porcji jeno rzucał psu, przez to pułkownik widząc za to wydał rozkaz żeby nie robili porcyj a ugotowali pokrajali na drobno i tak wrzucali napowrót w kocioł a zupa w kotle była niezła jak się ugotowało 300 funtów mięsa gdyż do jednego kotła były po dwie rotty.

Pensji czyli żołdu dostawaliśmy 92½ kopiejki na 2 miesiące prosty szeregowiec, kaprał 1 rub. 50 kop., plut. 4 rub. fieldfiebiel 6 rubli, umundorowanie wystarczające bielizna też i obuwie, za ochroną mógł jeszcze sprzedąć tak że naogół nie potrzebował wiele pieniędzy z domu, naturalnie byli tacy żołdacy że dostawali i do 30 rub. miesięcznie i byli tacy że i 3 rubli nie dostali i też żyli dobrze. Tylko nam się przykrzyło bo nie było tu ani kościoła ani domu modlitwy nawet smutnom mieliśmy wieczorne wigilną bo nawet i opłatka nie mieliśmy ponieważ dopiero listy zdążyłim ponapisywać do rodzinnych stron, mieliśmy suchary zebraliśmy się w jednym kącie naszych koszar i tu połamali się sucharym jak opłatkiem, zamiast potraw kupiliśmy sobie parę funtów białego chleba, którego tu funt kosztował 5 kop. i parę butelek wina które tu było niedrogie, ponieważ były tu dosyć ładne winnice, do tego kupiliśmy

pare funtów winogron i takich śliwek suszonych bardzo smacznych których w naszym kraju niema a tu się nazywają uruk i tak spożyłim kolacyje wigilijną tylko to było nam smutno bo nie mogliśmy zanucić sobie kolendów ale trudno w Boże Narodzenie poszliśmy do codziennych swych zajęć jak codzien bo rosjanie obchodzą swoje święta o 13-cie dni później. Więc pierwszy raz w życiu nie byłem w kościele i nie świętowałem w dzień Narodzenia Pana nad Pany. Ja jeszcze jakoś to zniosłem ale moi koledzy gdy się pokładni spać szlochali niektórzy. Na uroczystość Bożego Narodzenia odprowadzając podług obrządku prawosławnego na wigilje nie dostaliśmy nic do jedzenia gotowanego tylko herbatę i na obiad surową kiszoną kapustę. Zato w Boże Narodzenie dostaliśmy po funtowej bulce, kawałku kielbasy, po czarce gorzały i obiad lepszy niż w zwyczajny dzień ale dla nas polaków nie było święta bo przeważnie do wszelkich posług byli wyznaczeni wyłącznie polacy, niby to nie było dla nas żeby nas na nasze święta zwolnili od zwykłych zajęć. Ale tak to nam się zdawało że nas traktują po macoszemu ale to winni byli sami polscy żołnierze, że się nie dopuminali, my późni mieliśmy inaczej na nasze święta.

Na ostatki czyli koniec karnawału a po rosyjsku masłanica mieliśmy trzy dni świąt dostaliśmy pszenney mąki po funcie na każdego i po pół funta masła i piekliłim sobie bliny sami ale ja dostałem już z domu list i pare rubli mój przyjaciel też, zwolniłim się do miasta kupiliśmy 20 jaj bo tu była taniocha, 10 jaj kosztowało 8 kop. kupilim pare butelek wina i gorzały, troche mięsa na kotlety przynieśliłim to do koszar wzieliłim się do przyrządzania jedzenia po polsku robiliłim to już wszystko na dworze ponieważ w tej krainie wiosna bywa wczesna tak że na ostatki mogliłim już chodzić boso i w koszulach, drzewo zaczęło puszczać liście trawy się zaczęły zielenić. Gdy już napieklim zamiast blinów naleśników przyrządziliłim kotlety oblane dobrze sosym i przyrządziliłim 2 jęzory wołowe na kwaśno zaprawione obficie śmietaną zaprosiliłim do stołu on swych przełożonych i ja też. Moskale wcinali aż im się uszy trzęsły i wychwalali że jeszcze nigdy taki masłanicy nie mieli, na drugi dzień dali nam pieniądze i musieliłim im znów urządzić taką masłanicę tylko jeszcze obfitszą gdyż spotrzebowaliłim 50 jaj i 4 ozory i kilkanaście butelek gorzały no i dwa funty niezbędnych siemioszek to jest ziarenek słonecznika bo bez tego nie może być prawdziwa zabawa no i naturalnie bez barysni a że regulamin wojskowy surowo zabraniał wprowadzanie na terytorjum płci nie

będę nazywał pięknej ponieważ u rosjan mężczyźni mnie się widzieli ładniejsi jak kobiety więc nazwę płci słabszej więc po tej uczcie poszedłem zawołałem 3 izwoszczyki i całe bractwo pojechało na górke do baryszni, których na górcie było z pół setki, ze 12-cie było europejek a reszta tuziemki. To już zawsze zakończenie jakich uroczystości kończyło się na górcie tak że na święta czy niedziele musiał być wyznaczony dosyć liczny patrol wojskowy do pomocy policji aby nie dopuścić do awantur. Jakoś krótko po tej maslanicy był w moim plutonie kacap tak podły że na każdym kroku przy łada jakiej sposobności znieważał nas polaków wykrzykując takie wyrazy żmok, kartoszka, miatieżnik i wiele innych przezwisk ale chociaż mie mocno garść swędziała nigdy się na mnie nie natchnuł. Ale w dniach pierwszego postu bo i my pościlił pierwszy środkowy i ostatni tydzień, myśliśmy miski przy rowie z bieżącą wodą i zaczęli się sprzeczać. Moskał był wielki jak wielbłąd, od tego do tego nazwał mie kartoszka, jak doskocze jak grzmotne go michą po tem głupim łbie, kacap się zerwał do mnie ja widze że me przewyższa niemal o głowę rzucam miske jak się rozsadze buch kacapa głową w kałdun, kacap nie wytrzymał uderzenia nakrył się nogami ja przyskoczył sprzął morde zaczęli drudzy przyskoczyli i nas rozbronili miał kilka sińców i guzów na swej kacapskiej mordzie. Po obiedzie gdy wychodzimy na maszerówkę z karabinami jeszcze wymyśla mi jak ja mu zaleje karabina kolbą po plecach, kacap zjechał na zadzie po schodach. Gdy stanęliśmy na placu ćwiczeń i przyszedł rotny, wystąpił i opowiedział rotnemu że ja go pobilem, rotny zawołał mie i patrzy na mnie i na niego że trzy razy oczy przechodzą ze mnie na niego wkońcu uśmiecha się nieznacznie i pyta się nas za co ja go pobilem bo sam widział że ja nie byłem pobity chociaż kacap wyglądał jak słoń przy mnie. Pyta się mnie zaco ja go tak urządziłem, ja śmiało odpowiadam bo już wiedziałem że rotny lubi czy kto winien czy nie ale śmiało się tłumaczy, więc odzywam się wasza wysoko błagorodzie Woroncow mnie żołdata ewo Imperatorskowo wielicestwa nazwał kartoszką, zwraca się do niego Woroncow eto prawda on odpowiada tak toczno, rotny zawołał jednego z nauczycieli rekrutów i powiada weź tych dwóch bohaterów zaprowadź do czuczeła i zrób tam z nimi godzinny fechtunek bagnety. Ten nauczyciel wziął nas zaprowadził przed takie ramy do których był przymocowany worek wypchany słomą i postawił jednego z jednej strony drugiego z drugiej i tak podaje nam komende: koli, koli, koli a my za każ-

dym razym żgamy w ten miech aż się wkońcu pot obficie z nas leje tak że nam i te litewki co mamy na sobie przemieęły od potu a my nie ustajem żgać w miech aż się słoma sypie, takim go pożgalim a my nie ustaim jeno jedno komanda koli, ja już się trzęsę na nogach ale jeszcze żgam ale mój przeciwnik nie wytrzymał i bęcnoł na ziemi i to brakowało tylko 7 minut do godziny, rotny widząc to podszedł do nas kopnął go jeszcze i powiada ubierycie jego i mnie też kazał iść do koszar bo i ja chwiałem się na nogach. Od tej pory nie słyszałem żeby kacap mówił obelżywe słowo pod adresem polaków. A i drudzy się mnie bali bo ja udawał zucha i nie dał sobie w kasze płuć ale nie byłem jeno sam taki prawie wszyscy polacy nie pozwalali się lekceważyć nietylko w kłótni ale i gdy urządzalim jakie gry czy to w piłkę czy kozła czy to próbki zawsze polacy byli na czole.

W ostatnich dniach marca starego stylu mieliśmy egzamina a 2 kwietnia mielim przysięgę, na wielkanoc poszliśmy pierwszy raz na wartę, przeważnie polacy, bo prawosławne mieli przecie prazdnik tak byliśmy zaliczeni już w poczet stałych żołnierzy i wyszliśmy w łagry. Łagry były to takie szopy były obliczone na jedne rote tylko mocno trzeba się było pilnować bo przed dwoma laty tuziemcy napadli na te łagry i wyrzli 24 żołnierzy i chociaż pewno zostali krwawo ukarani ale rozkaz rozkazym czujność była przestrzegana. Mój dziadźka plutonowy Gulajew tak się nazywał on był też i chorążym naszego bataljonu i starszym nauczycielem rekrutów, a mojej sekcji kapral był szewcem i robił w wolnych chwilach od zajęć szewstwo, ja przecie już nieźle buty robiłem chociaż uczyłem się tylko 8 miesięcy i już więcej jak cztery lata nie sżyłem ale jak tylko mam wolne chwile ide i mu pomagam w robocie w obiad przed kolacją jak było więcy roboty i po powierce, tak że mu dużo pomagałem ale on mi nic nie dawał tylko czasem zafundował białego chleba do herbaty, dosyć że tak zaraz po wielkanocy został zwolniony do domu, bo mu brat umarł i on się został sam tak że wyjeżdżając pozostawił mi cały swój warsztat za który warsztat i za udział w samowarze dałem 3 ruble bo więcy nie miałem, ale on pozostawił mi do tego poduszke bo dotychczas spałem na poduszce ze słomy a za te 3 ruble kazał mi przynieść gorzały i wina i wypilim z jego kolegami i odjechał, ja w ten sposób zrobiłem się szewcem przy wojsku a że wiosną zamiast butów wydawali żołnierzom towar na buty i to na dwie pary nowych i jedne przyszyć przez to i na szycie dali piniędzy więc

roboty było dużo, a że nie wolno było brać więcej za uszycie takich kumysów jak pół rubla ale była to prosta robota to się wstało rano i to tak się zbiło pare takich kumysów i 50 kop się zarobiło a już nigdzie nas nie brali na żadne roboty tylko to że znów byłem wyznaczony do szkoły podoficerskiej i już musiałem chodzić na lekcje czytania pisania i rachunków i mój przyjaciel także. Ja robiąc już jako szewc buty zarobek mam łatwy i moge coś uciuć a tu iść do szkoły męczyć się tam cały rok aż za to dadzą kiedyś ze dwa łyżeczka i jakie 40 kop. więcej na dwa miesiące nie widziałem w tem żadnej korzyści dla siebie. Przez to starałem się jakoś wymigać od tej szkoły, bez pieniędzy byłoby mi trudno ale kto ma pieniądze jest wszędzie śmiały takie i ja miałem już uciutych parę rubli z roboty tych kumysów. Więc udałem się do naszego fieldfiebla żony z jednym polakiem który był kumotrem fieldfiebla wypili parę butelek wina i babie dałem 10 rubli z prośbą aby prosiła swego męża żeby w jaki sposób coś zrobił żeby nie szedł do szkoły no i przyobiecała mi chachłuszka że zrobi to co się da. Ten kumoter mnie zapewnił że będzie w porządku bo fieldfiebiel już służy 13 lata więc rotny dużo polega na jego radzie co on radzi zrobić to rotny tak robi.

Jakoś około 20 marca podług starego stylu położyłem się spać dosyć późno około północy bo wykończyłem buty a że człek był zmęczony zasnąłem szybko wtem czuje że mnie ktoś uderza w twarz tak że się przebudziłem, rozglądam się lampa chociaż zawieszona ciemną firanką na noc ale przecie jest dosyć widać, nie widzę nikogo obok siebie, wszyscy śpią przytulam się i jeszcze dobrze nie zasnąłem znów czuje uderzenie w twarz zrywam się szukam pod łóżkiem za łóżkiem koledzy obok mnie śpią aż im w nosie gwizda pytam się dziżurnego czy nie widział kogo bo mnie ktoś dwa razy uderzył w twarz, dziżurny który siedział zaraz pod lampą powiada nikogo nie widziałem uspokoiłem się i o godzinie 1 w nocy położyłem się spać tem razem zasnąłem i spałem aż do pobudki. Rano opowiadałem swemu przyjacielowi który spał obok mnie on powiada ja spałem i wcale się w nocy nie budziłem, drugi co spał z drugiej strony mówi tak samo ale jeden powiada że ktoś umarł ci w rodzinie ja nic na to nie mówię tylko zapisałem sobie te noc jakiego dnia to było, jakoś 5 kwietnia dostaje list że moja kochana mateczka nie żyje obliczam którego to dnia było i to akurat w te noc matuczna zakończyła swe życie kiedy mnie tak dwa razy

uderzył ktoś w twarz. Co mogło być to uderzenie w związku ze śmiercią mej matki do dziś nie umie wytłumaczyć.

Po złożeniu przysięgi na sztandar bataljonu już byliśmy złączeni narówni ze starymi rocznikami a po przeniesieniu się w łagry spaliliśmy też wszyscy po swych plutonach, umundorowanie dostaliśmy letnie, czapki miałem z baranicy, na to obłuczyłem białą powłóczkę, koszule też mieliśmy białe, spodnie z baranicy koloru krwi, w kwietniu zaczęły się już takie gorączki że ćwiczenia musieliśmy kończyć o godzinie 9-tej a wychodzić na ćwiczenia po godzinie 4-ty po południu, na drzewach już był owoc. Codziennie chodziliśmy się kąpać do specjalnie wykopanego kąpieliska, na ćwiczenia już chodziliśmy mniej, więcej chodziliśmy na strzelnice i strzelaliśmy do celu, ja w pierwszym roku z 40-tu wydanych mi patronów trafiłem do celu 29, mój przyjaciel Głowacki 36 co pobił rekord cały rotę gdyż drugi po nim plutonowy trzeciego plutonu miał 34, mój plutonowy 32, a kto z 40 wydanych ładunków trafił 24 już był w pierwszy klasie, jak dwa lata z rzędu miał 24 trafionych kul w tarcze dostawał odznakę za odcienne strzelbę.

Ja w niedziele i święta mając już teraz więcej wolnego czasu wymykałem się w pole do wiosek tuziemców starając się poznać ich życie, obyczaje religie ale było to połączone z niemałymi trudnościami ponieważ odnosili się do rosjan niejawnie ale wrogo i gdyby tak żołnierz zaszedł sam bezbronny w taki kiszlak tak nazywali swoje wioski zdala od garnizonu mógłby to przypłacić życiem.

Widać fieldfiebiel zaczął działać na mą korzyść bo chociaż uczęszczałem jeszcze na lekcje razem z temi co byli przeznaczeni do szkoły ale już mnie wyznaczył do ćwiczeń jako telegrafista a że szybko pojąłem alfabet morsego więc wkrótce mogłem już wysyłać i przyjmować depesze nietylko zwyczajnym telegrafem ale i połowym lusterkami i różnymi znakami jako chorągiewkami albo lampami w czasie nocnym, w każdym razie ten oficer który nas ćwiczył już mi mówił że do szkoły nie pójde bo ja mu będę potrzebny. Tak się sprawdziło nie poszłem do szkoły. Przy końcu sierpnia przygotowując się na maniewry układając sobie potrzebne rzeczy na maniewrach do plecaka resztę układając w kuferkach które mieliśmy oddać do składnicy zakręciło mi się w głowie aż uderzyłem się o kuferek, podnoszę głowę słysze ucieczkę z koszar gdzie kto może i ja uciekłem dopiero na dworze dowiaduje się że to było trzęsienie ziemi, na szczęście trwało kilkanaście sekund i więcej się nie powtórzyło. W dwa dni już jechaliśmy na ma-

niewry do stolicy tej krainy Taszkientu a stąd piechotą 30 wiorst na zachód gdzie były już zgromadzone wojska krainy Turkiestanu. Po przyjeździe do Taszkientu rano wyładowaliśmy się z wagonów rozłożyliśmy obozem na placu ćwiczeń 3-go bataljona zjedliśmy obiad napiliśmy się herbaty po godzinie czwarty gdy już upał się zaczął zmniejszać wyruszyliśmy na teren gdzie garnizon Taszkientu miał swe łagry i gdzie co roku zbierały się wojska na odbycie manewrów. Był to nasz pierwszy pochód więc jeszcze nie mieliśmy żadnego pojęcia jak się trzeba przyszykować i zachowywać w pochodach, mieliśmy wydane bakłaszkę do wody, ale te bakłaszkę były w składnicy razem z obmundurowaniem które było grubo zesypane naftaliną przez to i te bakłaszkę były przesiąknięte zapachem naftaliny nie pomogło proste wypłókanie trzeba było taką bakłaszkę dobrze wygotować. Ale my o tem nie wiedzieliśmy wypłókalim nabralim wody i dobrze po przejściu 2-ch wiorst woda była albo wypita albo też ześmierdziała naftaliną wylana. A tu maszeruj w taki spiekocie gdzie ziemia tak jest rozpalona od słońca że jaje się upieczę w piasku, a gdyby kto spróbował bosemi nogami iść po takim piachu rozpalonym od słońca poparzyłby nogi. A my mamy w tem dniu zrobić 20 wiorst do wyznaczonego miejsca, dobrą szkołę mieliśmy tego dnia maszerując tak w taki gorączce w pełnym uzbrojeniu, kurz się podnosi taki że prawie słońca nie widać ponieważ to kraina jest to taka że jak pada deszcz w marcu to go już nikt nie zobaczy aż w październiku, nie tylko deszczu ale i wiatru tu niema całe długie lato. A że ziemia przeważnie jest gliniasta taka tu ziemia że gliny nie kopią a prosto z wierzchu urabiają i wyrobują czy to cegły czy murują sobie domy które tu tylko są budowane z gliny i dachy też kryte gliną ale glina jest taka że gdy ją rozgnieść na ciasto można gryść zębami nie trząśnie w zębach żaden piaseczek, taka tłusta że koło naszych koszar leciała rowikami woda cały czas mego pobytu w tem kraju i woda nie ruszyła ani cała tej ziemi, ogrodzenia są z gliny, liczne winnice ogrodzone są murem z gliny ale deszcz nie zmyje ani dachów ani płotów chociaż nie mieszają do niej nawet słomy jak u nas, prawda że zimowy deszcz nie jest raptowny ani ulewny a całe lato go niema ale w każdym razie glina spaniała w całym kraju na cegle. Możecie sobie sami wyobrazić co za pył jest utarty na drodze z takiej gliny gdzie od marca kropla deszczu nie upadła, stąpa się tak jak po mące. Idąc po taki drodze w takim kurzu po przejściu 5 wiorst już ci żołnierze którzy byli pierwszy raz w pochodzie ziali

jak gęsi, a było takich żołnierzy większa połowa bo na maniewra tak się urządzali że szedł bataljon co drugi rok, więc były dwa roczniki co szli pierwszy raz a i z tych starszych też byli tacy że szli pierwszy raz. A gdy uszli tak 10 wiorst za łyk wody każdyby rubla dał a tu nigdzie niema.

Takiem się dowlekli na miejsce noclegu ja tylko zdażyłem rzucić z siebie to jarzmo zaraz koledzy dali mi swe bakłaszk i wybrałem się po wodę, słyhać szum wody wiemy że gdzieś będzie rzeka, ale że to była ciemna noc bo tu noce chociaż letnie są daleko ciemniejsze jak w Polsce, kieruje się tylko odgłosem szumu wody gdy uważam tak po przejściu jakich 150 kroków słysze jęki ale tak jakby wydobywały się z pod ziemi, poszuwam się wolno ostrożnie co chwila nadśluchuje patrze grunt się kończy i jęk wydobywa się z dołu, układam się nad przepaścią i krzycze kto tam jęczy, ale mi nic nie odpowiada na mój krzyk tylko jęczy, po głosie tego jęku miarkuje że musi to być znaczna głębia ponieważ głos dochodzi do mnie z oddali. Pozostawiłem wszystkie bakłaszk nad przepaścią biegnę do żołnierzy i krzycze że tam ktoś się zabił i wzywa pomocy, ale że nikt z naszych żołnierzy nie znał tej miejscowości więc udali się szybko po tego żołnierza co to był nam dany w Taszkientie jako przewodnik więc on dopiero z pochodniami poszedł w to miejsce gdzie się jęki wydobywały, następnie poszliśmy za nim on znał ścieżkę zeszliśmy na dół i naleźliśmy żołnierza naszej rotę który też się wybrał tak jak ja po wodę nie znając terenu jak i ja i kierował się szumem wody a że szedł przede mną parę kroków wpadł w głębie. Zabrałim go wynieśli na wierzch jęczał strasznie, po doktora szukają doktora niema go nigdzie dalej do powozu który był kryty, a którym doktor jechał od Taszkientu, doktor sobie spokojnie śpi nie przebudził się nawet na taki krzyk jaki podnieśli żołnierze. Tarmoszą doktora, śpi, bierze go dwóch żołnierzy chcą go wyciągnąć a nasz doktor już zimny zmarł nagle w drodze nawet ten sztanget nie zauważył jego śmierci. Felczer zbadał tego co spadł w przepaść drzeł że ma złamane obie nogi i jedną rękę i silny strząs ogólny, więc szybko umieścili go w sanitarce i zaraz odwieźli go do szpitala i doktora także odwieźli nazad i chociaż to był polak ale że był lubiany nie tylko przez oficerów ale i przez żołnierzy, gdyż nigdy nie pozwalał znęcać się nad żołnierzem. Na drugi dzień gdy się już dzień zrobił poszłym po bakłaszk i tu dopiero zobaczyłem w jakim byłem wielkiem niebezpieczeństwie, dzieliło mnie tylko małe

pięć kroków od przepaście gdym usłyszał jęk owego Kokota bo tak się nazywał ten żołnierz, pochodził z Wołynia. Ale nie było dużo czasu na badania ponieważ trzeba było się zbierać w drogę maszerować dalej ale teraz już byłem mądrzejszy zaopatrzyłem się w wodę nie wyszafowałem jej tak zaraz z początku pochodu a tylko łyknęłem łyk dwa i resztę ostawiałem na dłużej. Jakoś przyszliśmy na miejsce dosyć szczęśliwie minyliśmy po drodze dość duży pasiołek zamieszkały przez rosjan których widać było z wyglądu budowanych chat i otoczenia że mieszkańcom tego pasiołka nietylko nie dokucza bieda a cieszą się jakim takim dobrobytem. Miałem zamiar zbadać bliżej ten pasiołek ale że nie miałem czasu, miejsce mieliśmy wyznaczone nad rzeką której prąd wody był tak silny że ani mowy nie było żeby mógł kto przejść na prosto, chociaż woda nie sięgała wyżej jak popas, tu śpiąc w pałatkach dopiero poznaliśmy klimat tutejszej krainy w dzień gorączka taka że trudno oddychać, a noce chłodne że trzeba się trząść z zimna chociaż przecie w pałatce i otuleni w szynele a wiadomo przecież starszym ludziom że w szynelu sukno było dosyć ciepłe ale przytulaliśmy się jeden do drugiego aby się rozgrzać. Samych manewrów nie będę tu opisywał gdyż biorąc udział w późniejszy wielki wojnie przekonałem się że te ćwiczenia co my ich mieli na owych manewrach okazały się na wojnie nietylko nic nie warte ale szkodliwe, ta tylko była korzyść że żołnierz przywyka do pochodów nauczy się trudów wie jak pielęgnować nogi co mu jest niezbędne w pochodach. Tylko to że tułając się tak po tem górzystym kraju przeszło trzy tygodnie zwiedziłem go nieźle tylko dla lepszego zbadania miejscowych stosunków brak mi było znajomości tutejszego języka, ponieważ ludność zdala od miast nie rozumiała po rosyjsku.

Ale bardzo mi dziwno że to kraina gdyby na niej żyli ludzie więcej pracowite mogliby z niej zrobić raj na ziemi, ma wszystko dane po temu ale tuziemcy Sarty Kirgizy i Turkmeni byli liche gospodarze a pracownicy jeszcze gorsze bo to robotnicy z nich leniwe. Ta kraina była zamieszkała jedna z najpierwszych po potopie ale tu niema pomników pracowitości jak jest w innych krajach wschodu i ta kraina chociaż zamieszkała jedna z pierwszych po potopie w te czasy była prawie napół pustynia, wieś od wsi jest oddalona o kilka mil, a są i takie miejsca że wędrowaliśmy cały dzień nie spotkalim nietylko osiedla ludzkiego, ale nawet tych koczowników kirgizów ze swojemu jurtami, powód że ta kraina tak słabo zamieszkała, jak uważałem, jest brak wody w tej krainie,

z gruntu wodę wydobyć jest bardzo trudno miejscami niemożliwe. Z tego uważałem że tylko tam spotykaliśmy osiedla ludzkie gdzie przechodziła jakakolwiek rzeka w który woda była, całe lato deszczu brak. Ale uważałem że możnaby złą zaradzić nawodniając sztucznie tam gdzie niema wody naturalny ale tuziemcy byli lichy administratory a dostali się prawie czy nie pod gorsze administracje takich co u siebie w domu nie potrafia wyzyskać tych bogactw jakich im natura sowicie obdarzyła. A coraz więcej zabierali pod swoje panowanie ale gdyby to zaprowadzili postęp i oświatę byłoby to jeszcze usprawiedliwione ale ci nowi gospodarze w zabranych krajach wszelkimi siłami starali się paraliżować postęp i oświatę rdzennej ludności. Przez to i ta kraina nic nie zyskała od nowych panów a dużo straciła. Wówczas dygnitarze carskiej Rosji wysilali swoje mózgownice w kierunku utrzymania cara na tronie a tem samym i siebie przy korycie carskim z którego czerpali do syta zwłaszcza w świeżo zabranych krajach. A że tak sobie rozumowali że takie głupie carskie rządy i jego kliki możliwe tylko gdy naród będzie ciemny i głupi którego można ustraszyć kozacką nahajką więc starali się odsunąć wszelkie poczynania ludności zdążającej do nauki i postępu przez to i w tej krainie była szarpalina gdzie ludność szarpała swe więzy, ale była bezsilna, ale zato wrogo się odnosiła do wszystkiego co rosyjskie a szczególnie do żołnierzy. Przez to nie było można nic się dowiedzieć od tuzimców i mieć jaką od nich informację, do tego byli wrogo usposobieni że bojkutowali Rosjan do tego stopnia, że żołnierzowi nie chcieli nic sprzedać, tylko siłą trzeba było wymóc, żeby coś sprzedali. Nie mówiąc już o tem żeby udzielali jakich informacji.

Religji byli mahometański, nie znam nauki mahometa ale dziwi me bardzo to że nauka mahometa jest o pare setek młodsza a ma wyznawców daleko więcej od tak wzniosły nauki Jezusa Chrystusa. Ale żyjąc przeszło cztery lata pośród mahometan nie zauważyłem aby dostojnicy i duchowni nauki proroka używali tak chętnie dóbr doczesnych jak dostojnicy katolicy. Nie zauważyłem żeby u duchownych proroka były okazałe brzuszki i okazali na gębie, a raczej widziałem większość mułłów bo takie noszą nazwy wysuszonych że na niektórym sama skóra i kości i odzież na nich odznacza się ubóstwem bez żadnych ozdób ani złotych czy innych pierścieni. Ale zato gdy przechodziłim wioski i miasteczka sartońskie położone zdala od miejsc gdzie już żyli rosjanie mieszkańcy tych wiosek czy miasteczek nie używali wogóle nie znali co to

drzwi, przechodziliśmy niektóre miasteczka gdzie były sklepy z różnym towarem i taki sklep nie posiadał nietylko zamka a nawet drzwi i nikt tego nie pilnował i na noc opuszczali zwykłą plecionkę bierdonką zwana, upleciona z jakiejś słomy czy trzciny ale taka plecionka przecie nie chroni od złodzieja bo to zwykła koza by przez takie drzwi weszła do sklepu. Albo w jednym większym miasteczku odbywał się targ gdzie zatrzymaliśmy się obok tego miasteczka na dwugodzinny postój, poszedłem też na ów jarmark i co mnie najbardziej zadziwiło widziałem na placu dwa stoły oddalone od siebie może o 10 metrów gdzie były rozmieszczone na tych stołach całe kupy bilonu zaczynając od srebrnych rubli i kończąc na kopiejce, ale to samych srebrnych monet było na każdym stole więcej jak pół korca a w szufladach tych stołów były banknoty i złoto, no i co powiecie że te kupy pieniędzy na każdym stole obsługiwał jeden stary człowiek i gdy wojsko podeszło w pobliżu miasteczka dowódca korpusu wydał rozkaz żeby na czas postoju wojska wystawić warty obok tych banków ale to tylko żeby żołnierzy nie brała pokusa na tyła waluty. A i ja poraz pierwszy widział takie banki na zwykłym stole na placu gdzie setki ludzi zjechało się na jarmark. Czemu to przypisać czy wiara Mahometa nakazuje tak surowo nie ruszać czyjej własności, ale i wiara katolicka nakazuje żeby nie ruszać nic co do ciebie nie należy chociażby ta rzecz i panna nie miała, czy też już w tem narodzie od wieków jest wpojone poczucie aby szanować cudzą własność.

Ludność tutejszego kraju oprócz kirgizów którzy są podobni do tatarów są to chłopcy rosłe i silni cery skóry mają jasny miedzi, kobiet nie widziałem na twarzy bo noszą na przodzie gęstą czarną zasłone na twarzy, nakryta czy zima czy latem takim czarnym płaszczem na głowę aż prawie do stóp gdzie nie można rozróżnić czy młoda czy stara brzydka czy ładna, szczupła czy otyła wogóle kobiet mało się widzi poza domem. Mężczyźni odzież noszą spodnie z materji miękkiej bogatsi przeważnie jedwabne, nogi obute w miękkie buty do kolan tylko bez podeszew i obcasów z miękkiej skóry uszyte na sposób pończoch na to wkłada znów takie miążskie jak pantofle, gdy wchodzi gdzieś do mieszkania urzędu lub meczetu zdejmują owe dodatkowe obuwie czyli te pantofle, kaptany noszą takie same jak i spodnie na to wkładają chałaty uszyte z miękkiej materji a bogaci przeważnie jedwabne w różne desenie tylko nie używają ani guzików ani żadnego zapięcia a tylko w razie potrzeby opasują się pasym z białej materji albo skórzany przy-

ozdobiony różnemi świcidelkami, na nakrycie głowy używają takich mycek na to zawijają zawojem białem, głowy mają golone. Robotnicy wogóle ludzie biedni noszą tylko spodzienki do kolan bez koszul, tak pracują tylko w tych spodzienkach nago do pasa i boso głowy nakrywają tylko temi spiczastemi myckami, zimową porą mają czapki z waty i chałaty ale nadziewają na gołe ciało nie zapięte tak że pierś widać gołą. Świętują w piątki ale tylko ludzie którzy coś posiadają, dla robotnika niema święta. Mieszkają w domkach ulepionych z gliny i nakrytych dachem z gliny, okien mało używają, w bogatszych domach są okna ale nigdy nie wychodzą nazewnątrz a tylko na podwórze albo do ogrodu, podłóg niema i mebli niema, tylko rozpostarty jest dywan i na tym to dywanie jedzą śpią i bawią się siedząc na dywanie nogi podwinięte pod siebie, na środku jest zagłębienie do ognia, w bogatszych domach albo też w domach zajezdnych jest coś w rodzaju takich nar tylko niskie to przy samej ziemi zrobione z desek różnej wielkości na tych to narach rozpostarty jest dywan i na tem to dywanie jedzą i śpią, mebli żadnych nie widziałem w ich domach ani krzesła ani nawet zwyczajnej ławy. Ulubionym przysmakiem jest płow przygotowane w taki sposób: do naczynia kładą sadło baranie, gdy się sadło wytopi, wybierają skwarki, rzucają w ten to tłuszcz drobno nakrojonej marchwi, rydzenków i uruku rodzaj śliwek suszonych, później dokładają baraniny gdy to wszystko się wysmaży dodają pieprzu i cebuli, dolewają wody, zasypują to ryżem, gdy się to dobrze zagotuje wygarniają ogień tylko pozostawiają węgielki już dobrze wypalone nakrywają szczelnie wierzch kotła pokrywą i na pokrywie obtulają jeszcze jaką szmatą aby para się nie wydobywała i po pół godziny płow gotowa, ryż dobrze miękki a każdy osobno że siać nim można i jedząc łyżek nie używają do jedzenia, co rzadkie piją a gęste jak płow trzymają palcami. Potrawa smakowała nieźle, kilka razy i ja ją przyrządzałem na jakie nasze święta. Napoju używają najczęściej herbaty pijąc bez cukru albo też z przegryzką, do picia herbaty używają takich naczyń fajansowych lub porcelanowych i to jest taki zwyczaj że niechby to było i piętnastu mężów to naczynie idzie nalane herbatą z rąk do rąk każdy tylko raz sorbnie podaje sąsiadowi i tak mogą w ten sposób pić dzień i noc i nigdy się nie napije za dużo. Drugim ulubionym napojem jest kumys kobyłe mleko tylko z tą różnicą że znacznie kosztowniejszy, żadnych rozpalających trunków prawdziwy wyznawca proroka nie będzie używał nigdy, naturalnie są też między

niemi wyjątki. Mięsa świńskiego podobnie jak żydzi nie używają, do tego się tem stworzeniem brzydzą że jadąc koleją i jest przepełniony wagon chcąc się oswobodzić od tłoku sartów wyjmujemy kawał wieprzowy słoniny, sarty natychmiast opuszczają przedział wagonu i woła się zbić w kupkę jak owce a nie lubią patrzeć na świninę. A gdyby chciał się zemścić na sarcie i wpuściłby mu do mieszkania prosie, zburzy do czysta całe swoje domostwo prawda że niewielką wartość przedstawia taka lepianka ale w każdym razie bodaj niema pod słońcem drugiego narodu tak zabobonnego. Ale co się tyczy odmówienia modlitw gdy przychodzi godzina zwykłych codziennych pacierzy nic go nie odstrasza od modlitwy tylko rozwija swój pas biały i klęka i modli się z twarzą zwróconą w stronę Mekki. Jak dbają o odmówienie swych modlitw niech posłuży fakt że pociąg przystaje na jakikolwiek stacji o wschodzie słońca, momentalnie opuszczają wagony wyznawcy proroka i modlą się klękając i wstając i bijąc czołem o grunt, próżno konduktorzy krzyczą że pociąg odchodzi nic ich nie obchodzi dopóki nie skończą swych pacierzy, nieraz pociąg czeka więcej jak pięć minut ale jak pozostawić nieraz wszystkich pasażerów i odjechać.

Grunta mają urodzajne tylko z braku wilgoci jest nieurodzajnie ponieważ gorączka już przy końcu kwietnia dochodzi 50 stopni wyżej zera Reamura, a deszczu niema całe lato to w maju już wszystka roślinność usycha na pieprz więc zboża siewają mało tylko pszynice latową i jęczmień ale i te zboża nie wyrastają bo przedwcześnie zasychają i ziarno liche. Ale zato tam gdzie jest przeprowadzone sztuczne czy naturalne nawodnienie urodzaj najzwyczajny. Weźmy tylko roślinę jaką jest wicernia (lucerna?) która to jest żywicielką tutejszych koni i bydła która wyrasta tak wysoko jak dorosły człowiek i daje 5 pokosów za lato albo winnice są tu spaniale, rodzą się tu spaniale wszelkie warzywa ogórki melony dynie arbuzy to prosto jak kubły, naturalnie rodzi się spaniały owoc jak grusze jabłka uruk rodzaj śliwek tylko bardzo słodkie, śliczne brzoskwinie granaty figi roznki i wiele nieznanych w Polsce owoców. Główne bogactwo tutejszego rolnika jest uprawa waty i ryżu, ale ryż potrzebuje dużo wody gdyż rośnie do okwitnięcia w wodzie to go uprawiają w pobliżu dużych rzek gdzie woda równo jest całe lato. Ale ziemie tu uprawiają jeszcze sochą i motyką zawleką gałęzie, żeby się zapyżyła niema obawy bo niech tylko rok nie nawodni wszelaki peź wyniknie. A wate sadzą w ten sposób że robią takie redliny ale w taki sposób żeby brózda pomiędzy redlinami tak

była zrobiona że gdy napuści wody woda taką brózdą powinna rozejść się po całym ślaku, wate sadzą w kwietniu tak też pelą gra-czują jak u nas kartofle, krzaki wyrastają tak jak nasze kartofle na dobrych ziemiach i liście cokolwiek są takie jak u kartofli tylko z tą różnicą że są mocniejsze jak liście z drzewa, gałęzie waty po uschnięciu też tak wyglądają jak gałązki drzewa liściastygo, wata zakwita w lipcu wtedy to najbardziej nasi żołnierze chorowali na febre tak że z rotę leżało 20 mniej więcej, we wrześniu wata się dojrzewała i te makówki pękały pokazywała się z nich wata, w październiku to jest przed nadejściem pory deszczowej wata już musi być zebrana.

Po ukończeniu manewrów wracając do miejsca swego postoju jechaliśmy przez taki kawał kraju że nic na nim nie było tylko gdzieś niegdzie takie krzaki zielska podobne do kaktusów jakie u nas hodują kobiety w doniczkach i to bardzo wielki szmat kraju niezamieszkały i nic na nim nie rosło ani drzewka nie było widać. Jakoś pociąg stanął tak w polu, zeszłym oglądam co to za ziemia glina taka jaka jest w całym Turkiestanie, podchodzi do konduktora i go się pytam on mi powiada to jest pare milionów dziesięcin pola i ziemia taka jak wszędzie ale z braku że tędy nie przechodzi żadna rzeka brak wilgoci nazywa się to głodna step bo nawet takiemu wielbłądowi trudno się tu używić, z braku wody jest kraina martwa że ani roślina ani zwierze się na niej nie chowa. Do miejsca postoju wróciliśmy przy końcu września, w naszym garnizonie zastępował nas pół bataljona 10-go stancjowanego w Oszy. Po przyjeździe z manewrów zrobił się duży ruch, ponieważ zaraz zostali zwolnieni w zapas żołnierze którzy przyszli do służby 1897 roku i dwie trzecie żołnierzy którzy przyszli do służby 98 r. Ci co byli wyznaczeni do szkoły podoficerskiej odeszli do swych zajęć, powyznaczali to na deńszczyków na miejsce zwolnionych to za koniuchów, piekarzy krawców szewców, ja do szkoły nie poszłem tylko zostałem wysłany na miesiąc do sztabu brygady na kurs kucia koni.

Więc wyjechało nas czterech z naszego bataljonu na ów kurs do miasta Margielanu gdzie go urzędowo nazywali Skobielowo na cześć tego generała co te kraine zawojował, tu przepracowałem pięć tygodni w kuźni robiąc podkowę kując najpierw martwe kopyta końskie gdzie chodziliśmy do rzeźni i przynosiliśmy nogi po zabitych koniach ponieważ sarty świniny nie jadali ale konina była za-to dla nich przysmakiem, przez to takich martwych kopyt było dużo. Kuliliśmy i późni rozczynaliśmy wyciągając ofnal i jak go wbijać

żeby nie za głęboko i nie za mało. Ale ja co już kułem konie naturalnie miałem wprawę i na egzaminie miałem 4 piątki i 3 czwórki to się nazywało że nie oczeń otliczno a tylko otliczno ale na 32 tylko dwóch miało lepi ode mnie.

Z tem wróciłem w rote i wzięłem się znów do szycia butów. Ponieważ teraz ćwiczeń żadnych prawie nie było bo żołnierzy się zostało mało to musieliśmy chodzić na wartę co drugi dzień a to na roboty, to kapuste zebrać zakisić, buraczki, marchew, cebule, kartofle pozachowywać opatrzyć na zime no i składy z prowiantem i z odzieżą powyczyszczać wywietrzyć. Ale że wieczory już były długie można już było dwie trzy pary zrobić butów.

2-go a naszego 15-go grudnia gdy już się spodziewaliśmy rekrutów już było wszystko uszykowane na ich przyjęcie, tego dnia nasza rota miała iść do łaźni już poszedł 1 pluton gdy wtem około godziny po 9-tej rano uczuliśmy potężny wstrząs gruntu pod naszymi stopami. Ja idąc z ustępu do koszar byłem na wolnym powietrzu tylko słysze ucieczkę żołnierzy z koszar, za dwie minuty jak się powtórzy potężniejszy jeszcze od pierwszego że na nogach nie mogłem się utrzymać, po podniesieniu się z ziemi słysze wielki krzyk ratunku i widze straszne rzeczy, nic nie widzę tylko jedna kurzawa unosi się, spoglądam błędnymi oczami wkoło, widzę że nietylko z naszych koszar ale z całego miasta nie pozostał ani jeden dom cały, z naszych koszar i z całego miasta w pare sekund pozostała tylko kupa gruzów. Ale nie było czasu się zastanawiać co się zrobiło ponieważ ze wszech stron dochodzą mie jęki i wzywanie ratunku, a że byłem najbliżej naszego składu bataljonu, tam pospieszyłem. Grunt tu nierówny więc i tu gdzie stały koszary też była to pochyłość dość znaczna tak że gdzie były koszary nasze roty już był fundament dosyć wysoki i było jakie 10 stopni schodów a tu gdzie mieściła się czwarta rota już tak było wysoko że na dole był właśnie skład obmundurowania bataljona, ten to skład był pod nadzorem bataljonowego skarbnika, do pomocy był mu dodany kaptynarmus w randze plutonowego i tego to dnia właśnie też tam pracowali wietrzyli czyścili przekładali, było tam około 15 żołnierzy i oficer i ów kaptynarmus, właśnie tam pobiegłem na ratunek bo tam największy krzyk dochodził. Tam już pracuje nad usunięciem gruzów żołnierz który stał na warcie przy składzie i dwóch żołnierzy którzy byli bliżej drzwi i zdążyli wyskoczyć po pierwszym wstrząsie, a ci reszcie zasypani gruzem i wzywają ratunku, przyłączam się do nich i rozpaczliwie pracujem

nad usunięciem gruzów ale gołymi rękami ręce kaliczymy wydobyliśmy jednego kaptynarmusa ale zipnoł pare razy i skonał bo akurat wychylił głowę gdy mur się zwałił na niego i rozbił mu głowę i zgniótł mu klatkę piersiową. Pracujemy dalej mocno pokaleczonego wydobyłim skarbnika krzyknął tylko i zemdłał mocno był potłuczony dożył do wieczora i ten zmarł, pracujemy dalej bo wciąż słyszymy jęki z pod gruzów praca niełatwa bo mamy do pomocy tylko gołe ręce a tu niema gdzie co szukać bo każda chwila droga a co pare minut powtarzają się wstrząsy. A przecie nikt nie był w podobny sytuacji, pracowaliśmy prawie do południa zaczęm wydobyłim wszystkich ze składu ale ci co byli dalej ucierpieli daleko mniej tak że chociaż byli poranieni ale życie jem pozostało. Gdy już ukończyłim te prace dopiero rozpatrzyłem się jakie to pare sekund trzęsienia ziemi zrobi spustoszenie, narodu zważyło się z miasta na plac przed koszary gdzie wychodziliśmy na ćwiczenia, niektórzy tylko w bieliźnie a prawie wszyscy trzęsą się może nietyło z zimna co ze strachu. Przybył i nasz pułkownik on też ogłosił stan wyjątkowy bo on był i naczelnik garnizonu i komendant miasta zaraz wydał rozkaz wydać dla cywilnego narodu odzież żołnierską, wydobywalim szynele spodnie i mundury i ubieraliśmy nietylko mężczyzn ale dzieci i kobiety, do wieczora paradowali nieomal wszyscy jako żołnierze. Dopiero w nocy dowiedzielim się jakie to ludzie są pomiędzy żołnierzami my którzy pracowalim aby przyjść z pomocą przywalonym kolegom, a byli tacy co korzystali z tego zamieszania i lecieli do miasta rabować co się dało, nazywali cukru wina gorzały towaru różnych rzeczy było i kaznaczejstwo naprzeciw koszar i piniędzy brakło więcej jak 20 tys. rub. na szczęście pomiędzy temi hijenami był tylko jeden polak ale ten przyniósł tylko garniec gorzały, głowę cukru, pare funtów suchej kiełbasy i tytoniu pare paczek, dosyć że to za noc gorzałe wypili kiełbase zjedli i cukier potłukli porozdawali tylko dwie paczki tytoniu mu odebrali jak rano była rewizja. Najwięcej trupów było pomiędzy sartami dlatego że przeddzien mieli jakieś swe święto i zabawiali się kawał w noc, późni spali i właśnie na sennych zawaliły się te ich glinianki to liczyli ich na setki zabitych. Z wojska było zabitych 2 oficerów i 30 żołnierzy, najwięcej ofiar było w szpitalu bo chorzy nie mogli uciekać. A rannych też była spora liczba ale się wszyscy wylizali. Tylko niektórzy z nich byli zwolnieni ze służby bo nie byli zdadni do dalszy służby. Naturalnie przy takim wydobywaniu z pod gruzów swoich rzeczy

nie można było zebrać wszystkich swych ale mój kuferek z me-
mi rzeczami i bielizną odnalazłem cały ale swoje szewckie manatki
niewszystkie mogłem odnaleźć.

Opisać to wszystko co się działo ja nie mogę bo nie byłem tyl-
ko widzem a byłem czynnym więc nie mogłem widzieć co się działo,
ale nie daj mi Boże widzieć to co widziałem po raz drugi, straszne
rzeczy z tego że niewiadomo gdzie uciekać a instynkt człowieka
szuka ucieczki jakiegoś ratunku a tu ziemia się trzęsie jak jakie
liche drzewo wstrząśnięte przez siłę człowieka, ale mnie to dziwi
że taki potężny wstrząs ziemi jaki tam był i to powtarzało się kilka
razy tego dnia i następnego dnia, zaczęłam całkowicie się ziemia
ustatkowała to wyszło prawie rok ale coraz rzadziej coraz lekciej
aż ustało zupełnie. Ale że to nieduży teren obejmie takie trzęsienie,
o 15 wiorst w stronę południową już nie odczuli nic a 15 kilome-
trów w stronę północną odczuli ale lekko, a trzęsienie ziemi szło
tak ze wschodu na zachód. Po wydobyciu wszystkiego z pod gru-
zów, pochowaniu zabitych, po odwiezieniu rannych umieszczeniu
ich w szpitalu i reszcie naszego dobytku co się pozostało odwieź-
liśmy na kolej, naładowaliśmy do wagonów i jakoś 10 dni sami wy-
jechalim połowa do Margielanu a druga połowa do Taszkientu. Więc
3-cia i 4-ta rotę zostały rozmieszczone w Taszkencie w nowowytu-
dowanych koszarach dla bataljonu karnego. A 1-sza i 2-ga rotę
pozostały w Margielanie.

Gdy zajechalim do Taszkientu i zostalim rozmieszczeni w tych
nowych koszarach wkrótce przybyli do nas rekruci którzy czekali
w Margielanie przy sztabie brygady. Z przybyciem rekrutów za-
częło się inne życie kto dostał znajomych a chociaż i nieznajo-
mych ale z jednego powiatu już rad był temu jakby brata spotkał
bo przecie w tak dalekiej krainie to każdy tęsknił za krajem. Tak
może człowiek żyć sto lat w kraju nie zdaje sobie sprawy z tego
jak mu jest droga i miła ta kraina w której się człowiek urodził i
wychował. Dopiero kiedy tę swą ojczyznę utraci wtedy to pozna
jaka to kochana i droga jest dla niego ojczyzna. Jak miła ta chatka
niepozorna słomą kryta, nieraz pokrzywiona, ale mu jest kochana
i miła bo w niej to ujrzał świat tam go jego matula do snu lulala,
tam zaczął pierwsze kroki kroczyć w chacie i wkoło chaty że jak
wyjedzie w dalekie kraje tęskni za ową chatynką i wypytuje się
o nią o każdy szczegół i zda mu się że ta chatynka się zawali bez
niego i gotówby bodaj ją do serca przytulić jak istotę żywą, dalej
wypytuje się o wioskę gdzie stoi jego chatenka interesuje go cała

wioska każda ścieżka, każda drożyna, każdy kamień przydrożny, każdy krzyż na rozstajnych drogach, każda figura z jakim świętem zrobiona przez przygodnego rzeźbiarza że ani w przybliżeniu nie jest podobny do tego św. którego ma przedstawiać. Dalej kościółek wiejski z jego staruszkim plebanym, interesuje się organistom i kościelnym. Przez to jeżeli po roku dwóch trzech niebytności w swej ojczyźnie, gdy przyjdzie kto świeży z tej ojczyzny jak mu on jest drogi, przyjmuje go jak najkochańszego brata, ugasać czym może i jak może a pytań niema końca nie tylko o te przedmioty co wyżej wymienilem ale i o takie rzeczy jak skowronek, bocian, jaskółka, taki Burek i sąsiadów Finki i Szyjki. Zaczem się o wszystko wypyta zejdzie nieraz do wielkanocy.

Ja dostałem dwóch takich znajomych jeden z mej rodzinnej a drugi ze sąsiedniej wioski. Więc ugościć trzeba było dobrze żeby mieli ochotę do opowiadań. A ugościć już miałem zaco bo za to żem pracowali tak gorliwie przy wydobywaniu kolegów i oficera z pod gruzów ten co pierwszy był, wartownik, dostał order św. Anny i 50 rubli, a ja byłem drugi dostałem 50 rubli bez orderu no i za te rzeczy co nam się czy to poniszczyły jak samowary czy to poginęły jak moje narzędzia szewckie dostałem wynagrodzenie 30 rubli. A przecie miałem zarobione też pędziesiąt rubli. A chociaż wydałem kilkanaście rubli na narzędzie jeszcze się sporo pozostało. Więc nie dziwnego że z taką niecierpliwością oczekuje się corocznie przybycia rekrutów gdy nie licząc już tego że z przychodem rekrutów staje się żołnierz starszym, zostaje dziadką ale i ma wiadomości ze swej rodziny. W Taszkencie oprócz tego że miasto było znacznie większe gdyż tu był sztab generałgubernatora, sztab korpusa, sztab brygady 1-szej, arsenał wojska oprócz formacyj technicznych były 4 bataljony piechoty, 3 pułki kozaków, bataljon saperów, bataljon karny i bataljon wojsk liniowych, w tych to koszarach gdzie mieścił się bataljon liniowy mieliśmy tam swoją kaplicę katolicką, przeszło po roczny niebytności na mszy św., gdy poszlim nas gromadka do kościoła tak się gorliwie modliliśmy że łzy w oczach mieliśmy. A gdy ksiądz wyszedł i kazał nam zaśpiewać nasze polskie kolendy, oj śpiewaliśmy całym głosem swych młodych piersi że ludzie przystawali i słuchali na ulicy naszych kolend, od tej pory co niedziele i święto szliśmy do kapliczki i braliśmy udział w nabożeństwie. Z jednym z nowych kolegów służyliśmy do mszy św. i prowadziliśmy śpiew gdyż pomimo tego że to była jedna z najrozleglejszych parafij gdyż liczyła kilkaset

wiorst kwadratowych to organisty nie było. A z cywilów jacy tu żyli to niektórzy tak zdziczeli że nie tylko pieśni ale pacierza zapomnieli. Żołnierzy polaków tu było sporo gdyż moskale tu dużo polaków wysyłali. Gdy my pierwszy raz przyśliśmy nie było tak dużo, na drugą niedzielę było już więcej a późni to tak przychodzili nie tylko żołnierze ale i oficerów dwóch generałów i cywilów znacznie więcej tak że pomieścić się w kaplicy nie mogli. Więc ksiądz mówi że tych ludzi tak przyciąga śpiew polskich pieśni i kazał nam zorganizować chór śpiewacki i nas ksiądz, a późni jeden z oficerów uczył śpiewać.

Nasze koszary znajdowały się o trzy kil. poza miastem a przez miasto też było trzy kilometry tak że mieliśmy spory kawał chodzić do kaplicy ale chodziliśmy. Samo miasto leżało nad rzeką Syrdarją w ładny urodzajny dolinie ponieważ wody tu było poddostatkiem przez to i urodzaj był spaniały, miasto liczące przeszło 200 tys. mieszkańców składało się ze starego i nowego miasta. W starym mieście mieszkali wyłącznie prawie sami tuziemcy gdzie mieścili się ich oryginalne wschodnie sklepy z towarami, przeważnie jaskrawymi dużo materij jedwabny i kaszmirowy, bardzo dużo dywanów i kilimów ponieważ niema tu domu czy chaty żeby nie było dywanu lub chociażby kilimu ponieważ z braku krzeseł siadają na dywanie z podwiniętymi nogami i różne czajsaraje kawasaraje i to przeważnie te wszystkie budowle są to małe lepianki z gliny przykryte tak samo gliną, tu ulice i place nie są brukowane więc zimową porą błoto po kolana a latową porą znów kurz chociaż skrapiają wodą ale i tak kurzu nie brak. A nowe miasto tu już są domy budowane w stylu rosyjskim kryte blachą lub gliną tu w nowym mieście ulice są szerokie i niektóre z nich brukowane kamieniem lub drzewym, tu w dzielnicy nowego miasta mieszkają oprócz rosjan ormianie, gruziny, Niemcy, Polacy, Tatarzy, Persy, Afgańcy, Bucharcy liczne narodowości. Tutaj to swemu dowódcy rotę okulem bryczkę którą mu mur pogruchotał w trzęsienie ziemi robiłem to w kozackiej kuźni. Zaraz po wielkanocy powróciliśmy spowrotem do Andżieżanu, na miejscu gdzie stały nasze baraki letnie rozbiliśmy namioty i przebyliśmy w nich przez lato.

Jakoś w połowie maja dostaliśmy spieszny rozkaz żebyśmy szli na ratunek bo rzeka Amurdarja wylała zalała kilka kiszaków i rozmyła tor kolejowy pomiędzy Margielanym a Andżieżanym, przez to w godzinie było nas wybranych 200 żołnierzy i maszer-

walim na dworzec do odjazdu w stronę katastrofy rozszalałego żywiołu gdzie z pobliskich gór woda rwała z sobą wszystko co na swej drodze spotkała prawie na trzy wiorstowy szerokości od rzeki. Gdy dojechalismy do miejsca wylewu pociąg zatrzymali a my spiesznie udalismy się na miejsce zagrożone. Słońce już było nad zachodem gdy stanelismy nad wodą która coraz dalej przybierała, widzimy że z wodą płyną różne rzeczy owce, bydło i ptastwo domowe i widzimy na jakiejś desce czy drzwiach uczepila się sarcianka i płynie z prądem i wzywa słabym już głosem ratunku. Nie namyślając się długo zrucilismy z siebie buty i spodnie baranicowe i rzucilo się nas trzech na ratunek, jeden zaraz po kilku krokach obalilo go i woda go zaczęła unosić, drugi pospieszył na ratunek i dalej już nie szli wycofali się, ja się pozostałem sam i zacząłem płynąć a że już mie troche wyprzedzila więc z prądem płynulem dosyć szybko gdy już dopłynulem aby tylko uchwycić za owe deske gdy nagle zawirowalo mi w oczach i ostatkiem jeszcze przytomności uchwycilem się kurczowo jakiegoś twardego przedmiotu i stracilem przytomność panowania nad sobą, dostalem się w szalony wir i ja już nic nie pamiętałem co się ze mną dzialo tylko koledzy mi opowiadali że kilka razy szybko obkrążyłem w kółko, narreszcie gdy otworzył oczy ujrzałem się na torze kolejowym zalany jeszcze słabo wodą i kurczowo trzymam się tej samej deski której się trzyma ta sama sarcianka. Naturalnie nabrałem otuchy gdy poczułem grunt pod nogami zabrałem sarcianke na plecy i skierowalem się po torze do swych krzyczacych kolegow. Na torze choć prąd wody był jeszcze silniejszy jak na polu ale że wody było zaledwie za kostki koledzy wylecieli po mnie wzieni sarcianke na bary i odnieśli ją do wagonu na opatrunek, już jej więcej nie widzialem, nawet nie wim czy była stara czy mloda, mnie koledzy winszowali takiego bohaterstwa że tak mężnie walczyłem z falami i z tem prądem co tak mną kołowal. Ale ja nic nie mówiac uśmiechając się blado myślę póki mego życia nie rzuce się więcej do takiej powodzi nie mówiac nikomu nic oprócz dwóch swych przyjaciół ale ja sam nie wim po dzień dzisiejszy jakim sposobem zostalym wyrzucony na tor przez prąd wody. Na drugi dzień dopiero się dowiedzialem od czego się wytwarza taki prąd, woda pędzi całemi masami dochodzi gdzieś do przeszkody cofa się nazad a tu napór wody wciąż prze przez to wytwarza się taka kołowaczna. Ale na spomnienie tej chwili i dziś me dreszcze przechodzą. Pracowalismy całą noc umacniając tor ażeby nie rozmywalo go dalej.

W jednym miejscu woda przerwała tor i coraz wyrywa dalej, trza zaważyć dziure aby nie wyrywała coraz dalej, mamy naszykowane trzy wagony worków ze ziemią ale potrzeba ludzi żeby to szybko układali mało jest ochotników a tu szybko potrzeba więc nasz półrotny woła mnie bo widział jakim pierwszy wskoczył po sarciankę i powiada pokaży zuchu co umiesz. Mnie chociaż dreszcz przejął ale krzyczy żeby podali arkan to jest dość duża linka obwiązałem się w pas i dalej do wody co woda mnie bierze koledzy mnie trzymają za powróż, a drudzy podają mi worki z ziemią gdy ja tak zrobiłem za mym przykładem poszło jeszcze trzech żołnierzy, w czterech pracowaliśmy przeszło dwie godziny w zimny wodzie, ale wkońcu zawaliliśmy wyrwę, którą woda zrobiła. Nad ranym mogliśmy udać się na parogodzinny odpoczynek do wagonu gdzie dostaliśmy po czarce gorzały. Po obiedzie zaczęła woda opadać chociaż bardzo wolno ale stale się zmniejsza. Po dwóch dniach woda opadła o tyle że mogliśmy przystąpić do naprawy toru, po czterech dniach pracy my od strony Andżizanu a drudzy od strony Margiełanu naprawiliśmy tor, saperzy zmocnili most na rzece który był mocno uszkodzony, pierwszy pociąg mógł się wolno przeprowadzić po tygodniowy przerwie, my też pozostawiając ukończenie pracy saperom i drużynie kolejowej odjechalim do garnizonu. Po przyjeździe za dwa dni wypłacono nam pieniądze za prace przy kolei. Zarobek był rozdzielony na trzy części, mieliśmy zarobione po 2 ruble na dzień, pracowaliśmy 6 dni zarobiłem po 12 rb., z tych pieniędzy dostaliśmy po 4 ruble, 4 ruble poszło na tych co nie byli na robocie a 4 ruble na karmowy funduszrotny. Oprócz tego dostaliśmy nagrody pieniężne my czterech co zawaliliśmy te wyrwy dostaliśmy po 25 rubli a drudzy dostali po 10, 5 i 2 ruble, oprócz tego ja za ratowanie tonących dostałem pochwałę rozkazem po bataljonie. Oj żal było tem co nie chcieli wejść do wody, szemrali że za dwie godziny pracy dostaliśmy po 25 rubli a oni za 6 dni po 4 rub. Te pieniądze wypłaciła dyrekcja kolejowa.

W Andżizanie zrobił się ruch daleko większy jak przed trziesiętniem ziemi, miasto odbudowywali, najechało robotników cieśli, murarzy, blacharzy, bo już nie wolno było kryć gliną, a pod blachą, koszarzy narazie nie budowali tylko wykopali w ziemi na meter w ziemi takie doły na to postawili takie kozły no i wewnątrz wybili deskami, nazewnątrz znów deskami, na to położyli blache i to porobili takie nary zamiast łóżek, bo łóżka się połamały i to w takim baraku mieścił się pluton.

W początku sierpnia starego stylu telegrafisty naszego bataljonu i ja z nimi wyszliśmy w pole. O 60 wiorst za miastem Oszem gdzie kwaterował 10-ty bataljon była wioska w górach gdzie z pod ziemi wydobywała się gorąca woda, miejscowość ta zwała się Żałobat, tamto wysyłali niektórych żołnierzy i oficerów na kuracje kąpielowe. Gdzie kąpiele brane w tej gorącej wodzie miały być bardzo skuteczne, tam to jeździli i cywile na kuracje tak tuziemcy jak i innej narodowości i urzędnicy państwowi. A że miejscowość ta była w górach nie było tam żadnej komunikacji normalnej jak tylko konno na wierblądach albo na zwyczajnych arbach na dwóch wysokich kołach do życzenia kto miał gust podróżować z wymienionych wyżej komunikacji, ale poczta szła też tak samo, a o telefonie czy telegrafii nie było mowy, a przecie byliśmy w kraju że nie dalej jak trzy lata w naszym garnizonie wyrzli we śnie pogrążonych żołnierzy 24-ch, więc nie można było pozostawić kuracjuszków tak na łasce losu trzeba było mieć jakąś szybszą wiadomość, przez to obsługiwali telegrafiści wojskowi lustrami. Zawsze ten posterunek obsługiwali żołnierze 10-ty bataljonu, ale w tym to roku 10 bataljon miał iść na manewry więc my zajęliśmy placówki za nich. Nas czterech pozostaliśmy w mieście Oszy na wysokiej górze przeszło 100 metrów wysokości od poziomu jak stało miasto a ta góra przedzielała stare miasto od nowego czyli miasto rosyjanie od tuziemców. A druga partja była wystawiona znów na połowie mniej więcej pomiędzy Oszą a Żałobatym na dosyć wysokiej górze jakie 200 metrów wysokości a trzecia już w samym Żałobacie. Ta góra co my na niej mieliśmy swe stacje była położona pomiędzy miastem sartoskim a ruskiem gdzie w pobliżu płynęła jakaś rzeka niebardzo duża, pod tą to górą gdzie była ściana prostopadła jak mur był cmentarz sartoski tak że nam się przedstawiał spaniały widok nie tylko na miasto położone u stóp naszych, i na dalekie wioski i winnice ale codziennie mieliśmy sposobność przypatrywać się kilku pogrążonym sartoskiemu gdzie chowają swych zmarłych w pozycji siedzącej owiniętych w biały całun twarzą zwróconych na wschód słońca. Obok tej góry była jeszcze wyższa góra o jakie 50 metrów ale na tej to górze nie wolno było wchodzić niewiernym ponieważ tam na samym szczycie była wykuta w skale jaskinia, w tej to jaskini spoczywały zwłoki jakiegoś proroka sartoskiego, który tam leży zgórą trzysta lat i ciało jego ma nie podlegać gniciu tak mie zapewniali prawowierni którzy już mogli mówić po rosyjsku. Pod

tamto górą był jakby przylepiony meczet gdzie codziennie odwiedzało pareset wiernych-ów meczet, a niektórzy z nich wdrapywali się na szczyt góry do grobu św. proroka, tam na szczycie tej góry tylko od strony południowy była wykuta jaskinia w której żył derwisz czy też jakiś prorok, który od 15 lat nie miał w ustach strawy gotowanej żywiąc się tylko owocami i lepioskami zapijając to wodą. Na te góry wdrapanie się było połączone z dość dużym niebezpieczeństwem ponieważ góra była skalista a ta skała była krucha tak że odłamywały się kamienie i co roku kilku wiernych zleci i kark skręci. Pomimo to nie odstrasza to innych do wdrapywania się a nie zachęci chociażby do wykucia jakiej lepszej ścieżki czy schodów.

Otóż będąc już przeszło 2 tygodnie na owej górze raptem nie możemy widzieć żadnego sygnału cały dzień i noc nic nie odpowiadają na nasze sygnały, a noc była księżycowa, rano meldujemy swemu dowódcy który ma komendę nad nami że on ma konia mógłby jechać ale on wysłał mnie, ja wziąłem oprócz paczki naboí którą mieliśmy użyć tylko w razie niebezpieczeństwa utraty życia bo była paczka lakiem zapieczętowana, wziąłem jeszcze tak 5 naboí i puściłem się w drogę. Słońce dopiekało silnie, uszłem tak na połowę drogi mniej więcej gdzie mi się mocno pić chce a nie chce się napić taki brudny wody jaka płynie arykiem żeby nie nabawić się febry. Przy drodze widze cały śląg rosnących dyni i arbuzów, wyjąłem 5 kopiejek i daję temu sartowi co tam pilnował żeby mi sprzedał jedne ale czy nie chciał czy nie rozumiał co od niego chce czy nie jego były, dość że nie chciał, ja idąc dalej gdy już odeszłem o jakie sto kroków zerwałem jedne dynie i ide dalej. Ten sart narobił takiego krzyku, karak, karak (złodziej, złodziej), nie wim skąd się nabrało wkrótce ich około 15 osób i uzbrojeni w motyki gonią za mną i krzyczą, ja chociaż rzuciłem jem zerwaną dynie nic nie pomaga tylko mnie atakują. Ja wiedząc już ich nienawiść do rosjan zatrzymałem się pod jakimś murem karabin nabiłem pięcioma nabojami i krzyczy żeby się nie zbliżali bo strzele i celuje w nich, ale oni zatrzymali się jakie 5 minut ruszyli do mnie, ja postanowiłem strzelić raz na postrach a gdyby i to nie poskutkowało strzelać prosto w tych nagusów. Ale na szczęście nadjechał jakiś sart arbą poszwargotali pomiędzy sobą, ja precz uważam co to będzie trzymając karabin gotowy do strzału. Gdy pogadali ze sobą ten sart który nadjechał odezwał się do mnie po rosyjsku. Chociaż słabo mówił ale mogliśmy

się jakoś porozumieć, pyta my się dlaczego ja tak daleko przyszedłem kraść dynie, ja mu odpowiadam że ja chciałem kupić od niego i za taką dynię co w mieście dałbym 3 kop. nie więcej, dawałem mu 5 kop. ale on mi nie chciał sprzedać, więc mu tak wzięłem. Znów zwrócił się do nich coś tam krzyczał na nich i sarty się porozchodzili. A on mnie zawołał abym szedł i wsiadł do niego na arbe, on jadzie też w te same strone to moge z niem jechać. Gdy już jechałem z nim dowiedziałem się że to jest sartoski absykał coś w rodzaju naszego wójta gminy i on mi to wytłumaczył że ów sart dlatego tylko mi nie chciał sprzedać dyni że ja jestem rosjan. Ja mu dopiero tłumacze że ja nie jestem rosjan chociaż nosze ubranie rosyjskiego żołnierza ja jestem Polak z Lechistanu bo oni Polske tak nazywają. Wtedy to sart patrzy na mnie, nie wierzy mi ale każe mi się przeżegnać po katolicku, dopiero gdy mu pokazałem krzyżyk który miałem przy różańcu więc jeszcze się przeżegnałem, uwierzył i dojechalim do wsi pogadał tam z jednym sartem, ten poszedł przyniósł mi duży arbuza, chciałem mu zapłacić ale nie przyjął, powiada tylko polak jakszy (dobry). Tak dostałem się już bez przeszkód do placówki naszych telegrafistów ale tu się dowiedziałem że już mogli się popołudniu porozumieć tak z naszą placówką jak i żałobacką a wczoraj i dziś do południa chociaż słońce świeciło to jednak był taki czerwony tuman czy też mgła że nie nie było można widzieć, tam to przenocowałem i rano wybrałem się spowrotną drogę, bacząc aby znów nie zachciało mi się pić, przez to na miejscu kupiłem sobie 2 funty winogronów od tego sarta który tej placówce przynosił prowiant codzienny. Po powrocie na swoje placówkę nie śmiałem powiedzieć o przygodzie z sartami tylko powiedziałem starszemu placówki który był polak Józef Klemkiewicz pochodził z Żyrardowa. On mi się też przyznał że on też miał podobne przygody z tą różnicą że ich było trzech ale nie mieli broni i uratowała ich tylko szybka ucieczka, ale oni się wybrali nocą na winogron i specjalnie na kradzież i mi mówi że sarty nie lubią złodziei, oni nie ruszą cudzej rzeczy ale jeszcze bardziej nie tolerują u siebie złodziejstwa i u nich krótka sprawa, sami wydadzą wyrok na złodzieja i sami wykonają go a jest zawsze kara śmierci czy to ukradziony przedmiot wart 5 kop. czy też 5 tysięcy rubli, wtedy zrozumiałem dlaczego u nich niema złodziei i dlaczego tak nienawidzą ruskich za ich nieposzanowanie cudzej własności.

W końcu września wróciliśmy do swego garnizonu, wkrótce zostali zwolnieni do rezerwy którzy przyszli na służbę 1898 roku, re-

szte co pozostało od zeszłego i cały roczniak który przyszedł w roku 1899, przez to zwolnił się kowal który był też polakiem z naszego powiatu z Soczkowa Figas. A że mojego dowódcę roty któremu okuwałem bryczkę w Taszkientie naznaczyli dowódcą wszystkich oddziałów gospodarczych, przez to on mnie wziął do kuźni i jak tylko zacząłem robić w kuźni z jednym Ormianinem który był starszy rok ode mnie a więc i w kuźni był starszy nade mną, ja będąc już trzeci dzień w kuźni przychodzi majster warsztatów ślusarskich czyli starszy puszkarz i powiada, dowódca gospodarczy będzie wam kazać robić żelazne łóżka w przyjomnyj pokój, to powiedzcie że nie umiecie bo ja od niego żądam po 20 rubli za łóżko a on mi daje po 18-cie, przez to i wy też zarobicie. My odpowiedzieli dobrze zastosuję się według życzeń pana majstra któren był naszym bezpośrednim przełożonym. Na drugi dzień kazał mnie zawołać dowódca gospodarczy do kancelarji i mówi do mnie, zrobisz mi dwa łóżka na próbe, jakie były kiedyś w szpitalu, ja się tłumaczę że nie potrafię. Dowódca powiada no no nie strój duraka i zwraca się do skarbnika żeby mi wydał pieniądze na kupno żelaza na dwa kojka. Ale skarbnik mówi że sam będzie w tem magazynie po obiedzie żebym wybrał żelazo on tam przyjadzie to zapłaci. I co miałem robić wymierzyłem, pociułem żelazo, pozaginałem, ten ormian nie pomaga mi nic, wiertarki nie było w kuźni tylko w puszkarni ide tam przewiercić dziury, majster nie da mi wiercić na wirtarce. Zabrałem się poszedłem do zawiedujuszczago hoiąjstwem tak nazywalim dowódcę gospodarczego, mówię mu że nie mam na czem przewiercić dziur, mówi w orużejnej maścierskoj. Ja mówię orużnoj maścier nie pozwala. Wyjął notes napisał kartkę, dał mi żebym oddał to majstrowi. Gdy majster przeczytał te kartkę nietylko że mi nie broił ale jeszcze mi dał jednego żołnierza do kręcenia. Gdy ukończyłem łóżka kazał mi umalować na biało. Gdy już wyschła farba dobrze, przyprowadził pułkownika, podpułkownika, doktora, skarbnika, adjutanta i gdy zobaczyli mówią ależ kto pozna czy to fabryczne czy swoi roboty. Pogadali pomiędzy sobą, też majstra kazali zawołać jeszcze oglądali i poszli. A mnie zawołał i powiada masz tu książeczkę z asygnatami napisz dużo ci potrzeza czego do kuźni, ja ci podpisze asygnate i skarbnik i możesz za te asygnate kupić co ci będzie potrzeza i masz jeszcze zrobić 23 kojka żeby było z temi dwiema 25. A że był polak o rok młodszy ode mnie i usilnie mnie prosił żeby jak ten ormian się zwolni który ostatni rok służył żeby go wziąć do kuźni, więc przy tej okazji mówię dowódcy żeby mi dał

pomoc. Ja nie chcąc mówić że Arcionow tak się nazywał ormianin, nie chciał mi pomagać przy tych dwóch, tylko mu mówię że ormianin nie umie robić takich robót bo na Kawkazie oni nie znają takich łózek. Więc mówi mi żebym szedł w rotę i wybrał sobie pomocnika. Naturalnie nie potrzebowałem chodzić ale udałem że idę szukać a ja tylko poszłem do 3-ej rotę i mówię Urbaniak jutro będzie wydany rozkaz to będziesz przychodził do kuźni do roboty. Chłopak pochodził z kutnoskiego, nie posiadał się z radości bo marzył o tem że może być wzięty za rok jak się ormian zwolni a tu za tydzień jak mnie prosił i już zaraz jego marzenia się spełniły, jaż skakał z radości, chciał lecieć po gorzale aby mnie ugościć ale ja mu mówię: Józef pozostaw pieniądze jak masz ich za dużo to nam się przydadzą na inny cel.

Zaraz przy tej okazji odwiedziłem swego serdecznego przyjaciela który ukończył szkołę i był już podoficerem i był dowódcą 1 sekcji 1 plutonu 3-ci rotę. Otóż on nie był w Taszkientie ponieważ szkoła była w Margiełanie, opowiedziałem mu że ksiądz obiecał nam jak wyjeżdżalim z Taszkientu że nas odwiedzi jeszcze w tem roku. Więc mówię dobrzeby było żebyśmy mogli urządzić jaką kapliczkę gdzie w prywatnym domu żeby znów nie spotkała księdza taka nieprzyjemność jak poprzednim razem gdzie jak ksiądz przyjechał, nabożeństwo odbywało się w pomieszczeniu klubu oficerskiego. To było niewygodne ani dla nas bo obsługa w klubie była rozmaitej wiary i narodowości, gdzie późni szydzili sobie ale i za ostatnią bytnością księdza ktoś zwędził księdzu srebrny zegarek. A i dla oficerów nie było wygodne bo nie mieli gdzie pograć w karty, szachy, w arcaby czy w bilard. Otóż mówię to wszystko swemu przyjacielowi żebyśmy mogli zrobić zebranie wszystkich polaków żołnierzy i omówić te dla nas tak ważną sprawę. Naturalnie mój przyjaciel zgodził się z wielką radością i w najbliższą niedzielę kto był wolny od służby zebraliśmy się w baraku muzykantów gdzie większość byli tam polacy i starszy był polak, zebrano się nas około 70 chłopów, tem co byli w Taszkientie nie potraza było tłumaczyć ale tym co byli w Margiełanie wytłumaczyłem jako potrzeba nam stworzyć taki dom modlitwy. Naturalnie poparty przez tych kolegów którzy byli w Taszkientie i uchwalili wybrać komitet któryby się zajął zbiórką pieniędzy. Na początek wzięłem czapkę włożyłem rubla zwracam się do tego kowala który już zaczął pracować w kuźni, mówię Józef teraz daj to co miałeś stracić na gorzale. Chłopak włożył rubla mój przyjaciel rubla i tak co kto miał to

rzucił do czapki. Po przeliczeniu mieliśmy niecałe 25 rubli, dołożyłem do całości kilkadziesiąt kop. i z zadowoleniem podziękowałem kolegom że tak zrozumieli tak ważną sprawę. No mówi mój przyjaciel początek zrobiliście wcale nieźły niech to nie będzie tylko słomiany ogień, że prędko się zapala ale i prędko się spala, wybierzmy stały komitet żeby stale przy każdej okazji zbierał pieniądze i zajął się wynajęciem domu na taki dom modlitwy i urządzenie takowego. Otóż zaraz w następnym tygodniu udało nam się zgodzić dwa pokoje u naszego oficera roty 3-ci, który był polak katolik porucznik Andruszkiewicz, za 120 rubli rocznie. Ale że nam na pierwszy rok opuścił 20 rub. tak że za pierwszy kwartał mogliśmy zapłacić i dostaliśmy pokwitowanie. Teraz pozostało nam urządzenie a że to był dom nowozbudowany więc trzeba najpierw wymalować olejno chociaż od dołu aby nie wycierać ścian. W jednym z magazynów był subjekt polak podlasiak będąc tam po żelazo w tem magazynie opowiedziałem mu nasze potrzeby, poprosił szefa żeby na jego koszt mógł wydać dla mnie pół garca pokostu, szef spytał się dlaczego, to od siebie dał mi też pół garca, ja kupiłem farby i w najbliższych dniach mogliśmy przystąpić do wymalowania, malarz się też znalazł tak że chociaż ten pokój gdzie miał się znajdować ołtarzyk wymalował ładnie. Następnie już za swoje pieniądze kupiłem desek i trzech stolarzy zrobili ołtarz, żona porucznika chociaż sama była prawosławna podarowała nam obrus na ołtarzyk, tak że nam pozostało nabyć chociaż ze dwa obrazy i krzyż, krzyż zrobił nam rzeźbiarz samouczek, brakowało nam tylko osóbki i obrazów ale że mój przyjaciel Głowacki miał jechać na urlop i miał nam te rzeczy przywieźć których nam brakowało. Jeszcze nie zdążyliśmy zrobić chociażby ze dwie proste ławy, gdy przyjechał ksiądz, jakie było zdziwienie księdza gdy zaprowadziliśmy go do domu modlitwy który chociaż nie był jeszcze wykończony ale zawsze było lepiej jak w klubie oficerskim. Tam też u tego porucznika ksiądz został się na kwaterze. Co było bardzo dogodne dla księdza ponieważ swe ranne i wieczorne modlitwy ksiądz mógł odmówić sobie w kaplicy. Na drugi dzień czyli tego samego wieczora na powierce został przeczytany rozkaz dowódcy bataljonu i przeczytany był po wszystkich rotach i komendach aby byli na drugi dzień zwolnieni wszyscy katolicy od wszelkich zajęć służby i robót na przeciąg dni czterech. Na drugi dzień ranko poszliśmy zawiadomić do miasta tych polaków, których już znaliśmy, gdzie mają się zgromadzić na nabożeństwo i do spowiedzi, jeżeli sobie kto życzy. Przy tej sposob-

ności jedna pani pożyczyła nam fisharmonji, znalazło się i dwóch takich co umiało grać. Gdy się już zgromadziło sporo ludzi cywilnych i wszyscy żołnierze, dwóch oficerów i nasz dowódca bataljonu pułkownik Biernor-Biernorowicz z żoną i córeczką, dopiero się dowiedzieliśmy, że nasz dowódca, który nastał dwa miesiące temu po niemcu von Hakiewiczu, że jest polak katolik bardzo nas to ucieszyło, że mamy dowódcę bataljona rodaka. Księżulek nasz przemówił do nas i dziękował żołnierzom katolikom że bez zachęty z jego strony potrafiliśmy się zorganizować i wynając sobie pomieszczenie na dom modlitwy, że od 8-mj lat jak tu zagłada pierwszy raz może odprawić w poświęconym na ten cel domu modlitwy i zachęcał do dalszej pracy, ażeby z biegiem lat mógł poświęcić dom własny i zapowiedział że na ten cel nadeśle 25 rubli. Po tych słowach przystąpił do poświęcenia domu i odprawienia nabożeństwa. Po skończonym nabożeństwie nasz dowódca złożył na dom 50 rubli, a jego żona zawołała mnie do siebie i powiedziała, żebym się zgłosił do niej po obiedzie to mi da obraz serca Pana Jezusa, a ta pani nam zapowiedziała co pożyczyła fisharmonji, że nie potrzebujemy odnosić i jak długo będzie w Andżizanie dom modlitwy może pozostać. Inni ludzie złożyli swoje datki tak, że zaczęm ksiądz odjechał zapłaciłem mieszkanie za cały rok i zakupiłem desek na zrobienie czterech ław i wymalowałem ten drugi pokój, jeszcze w kasie pozostało 45 rubli, które oddaliśmy do kaznoczejstwa. Ale zato co niedziele schodziliśmy się do domu modlitwy i mogliśmy się w skupieniu pomodlić i odśpiewać godzinki do M. Boski i kilka pieśni.

Mój przyjaciel pojechał na urlop, z polaków on tylko jeden pojechał pomimo że mało puszczali na urlop z naszego bataljona. Ale chociażby i więcej puszczali i tak mało ktoby skorzystał z urlopu, chociaż żołnierze płacili tylko trzecią część wartości biletu to i tak na sam bilet potrzeba było około 50 rubli, a żyć miesiąc w drodze też coś kosztowało chociażby żył najskromniej. Jakie szczęśliwe teraz nasze syny, że mogą sobie na każde święto przyjechać do domu, jak mój syn służy w Bydgoszczy przyjadzie niemal co niedziela.

W grudniu znów nam przyśli rekruci, ale ja nie miałem tem razem znajomków. Pracując w kuźni mieliśmy dużo pracy, ponieważ oprócz codzienny reperacji robiliśmy kojka, do tego przyszedł rozkaz, abyśmy mieli wszystko gotowe do mobilizacji, że lada dzień możemy wymaszerować w pole. Trzeba było wszystkie

wozy, powózki, kuchnie polowe i powózki z nabojami przejrzyć co się poluzowało, poskracać obręcze, poprzecinać, także i z miasta mieliśmy sporo roboty, ponieważ miasto się odbudowywało to różnych akrow śrub klamrów było potraza, a kowali ruskich było mało więc my robiliśmy, mało śpiąc, kawał w wieczór i rano wstawaliśmy skoro świt a i cywile też przychodzili, żeby konie podkuwać i derużki reperować tak, że i w niedziele nie dali nam spokoju. Naturalnie i zarobek był niezły. Gdy wykończyliśmy te kójka pomalowaliśmy i zabrali, na imieniny cara był rozkaz wynagrodzić żołnierzy rzemieślników za dobrą pracę przy przygotowaniach mobilizacyjnych. A więc dostali nagrodę starszy cieśla 15 rubli, ci młodsi po 5 rubli, starszy puszkarz 10 rubli, młodsi po 5 rubli, krawiec i szewc po 20 rubli, młodsze po 5 rubli, a dla mnie 45 rubli, dla tego Urbaniaka 5 rubli a dla ormiana nic.

Jakoś w tydzień potem przyjechał generał brygady Szorochow zlustrować czy mamy wszystko w porządku dlatego zrobił nam próbne mobilizacje gdzie w nocy nas zbudziła trąbka która zagrała alarm, w 15 minut byliśmy na placu a za godzinę już poładowaliśmy się do wagonów i tylko czekamy odjazdu. Po dwóch godzinach czekania na odjazd dostajemy rozkaz wyładowania się i udania się spowrotem do koszar czyli do baraków ziemianek bo koszar nie było wtedy, to gdy już wszystko było na swym miejscu, zwołał nas na placu ćwiczeń kazał wyjść oficerom i podoficerom i pyta się czy nie ma kto jakiego zażalenia wtem występuje ormianin kowal, co ja pod nim i Urbaniak pracował i powiada, że on ma żal do dowódcy bataljonu, że tych co pod jego rozkazami robili zostali wynagrodzeni jeden 45 rubli a drugi 5 rub. i drudzy starsi po warsztatach dostali, aby on jeden został pominięty. Jenerał zawołał: panie pułkowniku prosze do mnie. Gdy pułkownik stanął przed jenerałem wyciągnięty jak struna, ten go się pyta, panie pułkowniku, co to jest, że ten zuch żali się iż został pokrzywdzony, że wszyscy zostali wynagrodzeni za pracę tylko on jeden został pominięty, nasz dowódca wytłumaczył, że to była nie zapłata za roboty a tylko jako nagroda za wykończenie roboty w swoim czasie i kto zrobił więcej roboty, dostał więcej i prędzej te roboty wykończył. Jenerał kazał go zato że wnosi zażalenie zato że nie otrzymał nagrody na 5 dni aresztu, pułkownik mu także od siebie dołożył 5 dni i kapitan gospodarczy 5 dni i wydalenie z kuźni w rote. Takim sposobem pozbyliśmy się z kuźni ormianina tylko byliśmy we dwóch.

Wojna rosyjsko-japońska

W początku lutego dowiedzieliśmy się, że rozpoczęła się wojna rosyjsko-japońska no i dostałem list, że mój brat został przyjęty do wojska i służy w Moskwie przy grenadyjerach. Z zaczęciem działań wojennych żyłim życiem nienormalnym, bo rekrutów ćwiczyli w przyspieszonym tempie a i my czekaliśmy z dnia na dzień, że dostaniemy rozkaz mobilizacji, wszystko było w pogotowiu. Ja zarabiając w kuźni więcej jak przy butach miałem już przeszło 200 rubli w kasie. Mój przyjaciel wrócił z urlopu opowiedział mi co słyhać w domu rodzinnym no i że moja narzeczona wyszła za-mąż, tak się tem przejęłem, że zacząłem pić i szukać wesołego towarzystwa, a sposobność była bo z kuźni dostawałem przepustkę do miasta kiedy chciałem. A że dziewczek z półświatka najechało dosyć sporo, więc było się gdzie zabawić i z kiem tak że do wielkanocy moje piniążki były wybrane z kasy i przeszły do innych właścicieli i właścicielek. Tak że na nasze wielkanoc, rosjanie obchodzili tydzień później, nie było już nic i gdy dostaliśmy rozkaz dowódcy bataljona, że katolicy mają być zwolnieni od służby na dwa dni spowodu uroczystości wielkanocnych, ja już zrobiłem długu 10 rubli, pomimo że na wiosne coraz lepiej można było zarobić.

Na wojne nietylko że nas nie brali, ale jeszcze więcej wojska do Turkiestanu spowodu tego, że Turkiestan graniczy z Indjami angielskimi, a że Anglja miała przymierze z Japonją przez to spodziewali się, że wojska Indyjsko-Angielskie mogą przy pierwszej lepszej sposobności wkroczyć do Turkiestanu, a że nasza brygada była rozłożona na pograniczu Pamiru, gdzie za Pamirem już się zaczynały posiadłości Indyjskie. Przez to tak na oczekiwaniu zeszedł nam cały rok, rosjanie ponieśli sromotną klęskę, my Polacy zbierając się na modlitwy zaczęliśmy się zastanawiać nad klęską rosjan tak na lądzie jak i na morzu. Więc najpierw zaczęliśmy sobie szeptać nas czterech, późni przypuściłim do naszej paczki jeszcze szości i w dziesięci zaczęliśmy się przysłuchiwać odgłosom i pomrukowi wychodzącym z wewnątrz tego zbiorowiska ludów, które składało imperjum carów. Zaczęliśmy się ćwiczyć wertować różne podręczniki wojskowe, studjować różne taktyki wojen partyzańskich tak dawniejszych jak i nowoczesnych jak Angielsko-burską, zaczęliśmy się zastanawiać nad tem, że ten mały ale ruchliwy naród dał przykład licznem narodom których siłą zagarneli pod swe pa-

nowanie moskale. A że Polska nie może przygotować swych synów do obrony swych granic, więc założyliśmy związek nas 10-ciu, aby się uczyć i przysposobiać w nieprzyjaciela obozie, że nadejdzie czas że możemy oddać usługi większe ojczyźnie, gdy nadejdzie chwila do tego stosowna i chociaż byli między nami dziesięci i tacy co śmiali się z naszego marzenia, ale my sobie zawsze mówiłem tak, kiedy nam głupim wiejskim chłopom przyszła taka myśl dlaczego nie myśleć o tem innym daleko uczońszym od nas ludziom i nie tracić czasu jeno się uczyliśmy wertowaliśmy taktyki różnych wodzów o światowy sławie, a najpilniej badaliśmy czyny Napoleona I i Garibaldiiego. Zaczeliśmy uczyć się śpiewać polskich wojennych pieśni i to coraz śmielej, tak że i w barakach zaczęliśmy śpiewać abyśmy i tych niewtajmniczonych przygotowali troche do myśli o Polsce i jak też się będą zachowywać bacząc pilnie na nich i rozszerzając nasze kółko ostrożnie ale stale.

Do tego przyszedł nam w pomoc wypadek a mianowicie mieliśmy dobrą myśl że jak nam Bóg zesłał taką myśl, może i w innych formacjach też pomyśla tak samo. I to nam to nasze pomyślenie zostało niejako potwierdzone. Z ostrożności nie wypytywaliśmy się inne narodowości, jak się zapatrują na te sprawę, po polakach w naszej formacji byli najliczniejsi ormianie, a że i cywilnych ormian było sporo mieszkających w naszym mieście przez to ja jako że miałem sposobność stykać się nietylko z żołnierzami, ale i cywilnymi ormianami zauważyłem, że między nimi zaczyna się coś dziać ale co nie mogłem dociec z powodu, że nie znając ich języka nie można było uchwycić ich. Ale wypadek jaki się wydarzył potwierdził nasze przypuszczenia, otóż pewny soboty po obiedzie w końcu listopada wybrał się do miasta żołnierz ormianin, gdy już wchodził w ulice miasta naprzeciw niemu szedł oficer, co tam zaśzło pomiędzy oficerem, a żołnierzem nie mogliśmy się prawdy dowiedzieć, ponieważ żołnierz zaniemował na wieki a oficer tłumaczył się że żołnierz mu nie salutował. Naturalnie wytworzyła się zawierucha taka, że żołnierze chcieli przeprowadzić sami samosąd na owym oficerze zato że jak mu żołnierz nie salutował, strzelił do niego cztery razy, pomimo czterech ran jeszcze żył cztery godziny, ale że mówić nie mógł tylko gdy żołnierze poszli z noszami po niego wymówił te słowa: sabaka ruska mie zastrelił. Wszyscy oficerzy zgromadzili się w klubie oficerskim i się zabarykowali a żołnierze rozebrali karabiny i trzymali w oblężeniu klub całą noc domagając się wydania Mikrukowa tak się nazywał ów porucz-

nik. Na drugi dzień około południa nadszedł bataljon 10-ty z Oszy ale zamiast wybawić oficerów z oblężenia pozostawili swoich oficerów i przyłączyli się do nas, ale nas 10-ciu bez żadnej inicjatywy zebrało się u mnie w kuźni i po godzinnych debatach postanowiliśmy rozejść się tak po naszym bataljonie jak i po 10-ym, aby nie przeciągać strony bo mogło się to źle skończyć dla nas i dla naszej sprawy. W dwie godziny później owego oficera pod silnym konwojem odprowadziliśmy 10 żołnierzy i dwóch oficerów na dworzec i odwieźli go do Margielanu na odwach. Tak się skończyła ta mała przygoda na niczem, ale nam dodała silnego bodźca do działań, bo przekonaliśmy się że ten kolos nie jest taki silny jak się wydaje, że go zaczyna robak niezgody żreć od wewnątrz więc zaczęliśmy maszerować 10-ty bataljon od nas porozumieliliśmy się z dwoma sobie dobrze znanymi kolegami, aby i oni u siebie założyli taką organizację, że nie tylko tu się organizować, ale i po powrocie do ojczyzny każdy z nas powinien organizować chociaż jedne dziesiątki i uświadomiać ich, bo może być czas to już nadchodzi że trzeba będzie działać jawnie, ten kolega co wypowiedział te pamiętne dla mnie słowa ani może nie przypuszczał jak bliski był czas o którym mówił tylko dla zachęty.

W krótkim czasie znów się dowiedzieliśmy o klęsce Kuropatki w Mandżurji i naznaczeniu innego wodza o brzmieniu polskiem ale czy był polakiem do dziś nie wiem. Ale po każdym klęsce Rosjan nam przychodziła lepsza otucha żołnierzom rosyjskiej armji ale innej narodowości. Aby tylko od Niemców i Żydów trzymaliśmy się zdala nieufnie ale my, Ormianie i Gruzini to po klęsce Rosjan ściskaliśmy sobie ręce w milczeniu, ale oczy się same śmiały z porażki ruskich doblesnych wojnow. Ja także przestałem się upijać i tracić pieniądze na głupstwa, zacząłem myśleć o powrocie do domu i zacząłem sobie sprzątać ubranie do domu.

Pewnego razu byłem w starym mieście i w pewnym sklepie sartoskim, zobaczyłem bardzo ładny kamgarn na ubranie, chciałem kupić ale ów sart właściciel tego sklepu nie chciał mi sprzedać, ja mając już doświadczenie, mówię mu że ja nie jestem Rosjaninem chociaż noszę mundur żołdaka i mówię że ja pochodzę z Lechistanu. Sart patrzy patrzy na mnie i mówi do mnie po polsku dzień dobry panu, ja się zdziwiłem ale wyciągam do niego rękę i mówię dzień dobry szanownemu panu kto pan jest że mówi pan po polsku, dopiero sart mi opowiada po polsku, że on był rok w szkole w Warszawie i teraz jeździ corocznie dwa razy po towary do miasta Łodzi. Na-

turalnie bardzo się ucieszyłem zacząłem wypytwać się go co sły-
chać w Łodzi, czy nie zauważył tam coś takiego pomruku, on
naturalnie nie wierząc mi nie powiedział mi nic tylko się uśmiech-
nął. Naturalnie sprzedał mi tego towaru i to bardzo tanio po
dwa i pół rubla arszyn. Odtąd byliśmy przyjaciółmi i często mie
zapraszał do siebie w gościnę nawet i na uczcie weselnej także by-
łem gdzie wydawał córkę zamaż, która miała zaledwie 14 wiosen
skończonych. Ale o owem weselu niewiele mogę opisać, ponieważ
nie znając języka sartoskiego nie mogłem się przysłuchiwać ich
rozmowom i nie widziałem ani jednej osoby z płci pięknej, która się
bawi osobno od mężczyzn. Tylko muzyka wygrywała jakieś me-
lodyje na tak hałaśliwym instrumencie coś w rodzaju naszych klar-
netów tylko więcej krzykliwej i na takich długich blisko trzy-
metrowych trąbach, gdy zatrąbią na owych trąbach i tych krzykli-
wych instrumentach to myślałem, że mi bębenki popękają w uszach.
Myśle że archanioły na sąd ostateczny będą wzywać na takich to
trąbach. Ugoszczali gości najwięcej owem płowem ulubioną po-
trawą sartów, ale że nie dają łyżek ani widelców przez to jedliśmy
wszyscy te potrawy trzema palcami, trunków nie było żadnych
oprócz lekkiego jeszcze nie rocznego wina, była tylko lemonjada
no i kumys to jest odpowiednio przyrządzone kobyle mleko i to
dosyć mi smakowało, a herbata to jest stale dolewana, wszelaki
napój jest nalewany do takich naczyń, które nie mieszczą pół kwar-
ty a że goście nie siedzą na krzesłach tylko na dywanie więc je-
dzenie podają prosto do rąk, a napój to już piją z jednego na-
czynia. Wszyscy co się rozsiedli na jednym dywanie, a tych się po-
mieści około 15 osób, naleją w to naczynie herbaty, kumysu czy
też wina lub lemonjady podaje obsługa pierwszemu, ten sorbnie
oddaje sąsiadowi i tak to naczynie z tem napojem obkrąży wszyst-
kich gości. Fajka jest tak urządzona, że pociągnięty dym z tytoniu
przechodzi przez wodę której się w fajce mieści około pół kwarty,
fajka nałożona przez obsługującego krąży w taki sam sposób co
i napój jeno trzeba umieć pociągnąć dymu z tej fajki w przeciwnym
razie sorbnie wody. No i do tego jest cała moc różnego ro-
dzaju słodczy, jakich tylko na wschodzie używają no i różnego
rodzaju owoce świeże i suszone. Chleba u sartów nie używają tylko
takie lepioszki. Lepioszki wypiekają w ten sposób, że rozrobi cia-
sto z mąki jęczmiennej albo pszennej narobi takich placków, natural-
nie idzie także na wagę żeby było równo, za co biorą już dwie trzy
i do pięć kop., różnej wielkości, ale przeważnie najczęściej wypie-

kają takich po dwie kop. Gdy narobi takich placków porozpościera na deskach, gdy ma wsadzić do pieca smarują wodą. Piec jest tego rodzaju, zrobiona jest w rodzaju beczka tylko że to z gliny, do wody też robią takie same stągwie a tu ich zowią karczagi tylko na piec daleko większe, jak taka beczka ulepiona z gliny wyschnie wypalą ją w piecu jak u nas garnki lub kafle i wmurują taką beczkę w pozycji leżącej więc piec gotowy, po napaleniu w takim piecu węgla nie wygarniają a owe placki przylepiają do góry i boków i zaczęły jedne przylepią, z drugiego końca już są takie placki gotowe. Przed wsadzeniem do pieca dziurkują owe placki, podobnie jak to robią żydzi przy wypieku macy.

Nadszedł rok 1905, zaczęły się strajki, rozruchy. Uciemieżeni zaczęli ponosić głowy nie tylko liczne podbite narody, ale i własne dzieci cara batiuszki nie tylko pomrukowali głośno, ale i zaczęli swe niezadowolenie wprowadzać w czyn. A i między doblesnymi wojnami zaczęła się szerzyć jakieś niezadowolenie. Tymczasem zaczęli wprowadzać w czyn różne reformy, żołdatom podwyższyli żołd z 45 kop. na dwa miesiące podwyższyli na 1 rubla na miesiąc. Ogłosili wolność słowa wolność zebrań, ogłosili wybory do owej dumy nazwali ją дума, ale bo też to prawdziwa była дума, dumali i dumali i niczego wydumać nie mogli. Ale że naród nie był zorganizowany zaczął się zwykły chaos w podobnych wypadkach, gdzie przygodni wodzowie ludowi występowali i sami nie wiedzieli czego chcą do czego dążą, jeden wódz wydawał takie hasła, że były sprzeczne z wydaniami przez drugiego przygodnego wodza proletariatu. Kamaryla dworu cara rychło się zorjentowała, że chociaż były groźne pomruki tego niedźwiedzia ale ten niedźwiedź jest bezsilny bo niema głowy czyli wodza. I zaczęli się zastanawiać że w strachu za bardzo się pospieszyli dając wolność temu niedźwiedziowi bez głowy, a gdy jeszcze Stany Zjednoczone widząc coraz większy sukces oręża Japonów niejako zmusili obie strony do zgody, ten olbrzym na glinianych nogach mógł jeszcze zastrzyknąć sobie zastrzyk, aby odwlec czas konania, a nie tylko czysto rosyjski lud ale i inne narody wchodzące w skład tego kolosa zostały zaskoczone i nieprzygotowane na podobne wypadki i nie tylko że nie potrafili wyciągnąć dla swego narodu żadnej korzyści, ale najczęściej ponieśli dotkliwe straty.

W takich to warunkach zwolnili nas z wojska, w początkach 1906 r. wyruszyliśmy z Andżizanu, pozostawiając swą organizację która zmalała znów do 12 osób, ale że trzech z nich byli to

dzielni wiarusy wiedzielim że nasze dzieło będzie się rozwijać nadal a my rozjeżdżając się przyrzeklim działać w myśl hasła wszystko dla ciebie droga ojczyzno. Dom modlitwy też był na dobrej drodze i w dobrych rękach. Gdy już pożegnałim się ze swemi przełożonemi i kolegami poszło nas kilku do naszego domu pożegnać i to nasze dzieło, zaśpiewaliśmy na ostatek kto się w opiekę poda panu swemu i wieczorem z muzyką zostaliśmy odprowadzeni na kolej i ruszyliśmy w strony ojczyste, żegnani przez kolegów którzy pozostali nadal na służbie.

W A m e r y c e

Do kraju rodzinnego wracaliśmy już inną drogą na Taszkient, Orenburg, Samare, Kaługe, Homel, Brześć do Warszawy, po przeszło czterech latach wjeżdżaliśmy znów do stolicy naszej drogiej ojczyzny, ale że w tem to czasie zaczęło się znów zaprowadzenie spokoju w Prywisleńskom kraju przez to ludność stolicy patrzała na nas jak na wrogów, bo widzieli świeże siły nieznane im znaki na epoletach, myślała ludność stolicy że zostalim nadesłani dla zmocnienia garnizonu Warszawy. Musieliśmy głośno rozmawiać po polsku wtenczas to zaczęli się zwracać życzliwiej. Tak powróciłem w swe strony rodzinne po czternastu dniach bezustannej jazdy koleją a od Włocławka furmanką do tego samego domu to jest do Głowackich ze swym serdecznym przyjacielem, dnia 1 lutego 1906 roku. Po przenocowaniu pozostawiając swe walizki u Głowackich, ruszyłem do Woli Bachorny boć ani ojciec ani brat nie mogli się przyzwyczaić na takiej ziemi gospodarzyć, gdzie lada wiatr zabierał te ziemie i sprzedali w Powąlkowicach, a kupili na owej Woli no i ojciec był przy bracie. Po rozpatrzeniu się na Woli udałem się najpierw do Powąlkowic, gdzie były zamężne dwie moje siostry, po odwiedzeniu ich dostałem przewodnika, udałem się na grób mej drogiej mateczki, której prochy spoczywały na cmentarzu w Witoskim. Po rozpatrzeniu się pomiędzy znajomemi przekonałem się że za te cztery lata zaszły poważne zmiany, naród nie tylko że poweselał tak jakby nabrał jakieś otuchy po klęsce rosjan na dalekim wschodzie, ale można było zauważyć znaczny dobrobyt nie tylko pomiędzy takiemi, co mieli większe gospodarki, ponieważ nie tylko ubiór nosili ładniejszy, ale i więcej było bryczków na rysorach przed kościołami w niedziele. Ale i między drobniejszemi gospodarzami i chałupnikami, a i tacy co to służyli po dworach znacz-

nie ich byt się poprawił co się dało zaraz zauważyć po weselszym wyglądzie i lepszym ubraniu. Ale też za te cztery lata dużo ludu wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych, bardzo dużo corocznie wyjeżdżało ludzi na letnie roboty nietylko do Prus, ale i w dalsze okolice do Saksonji, Westfalji i Danji a jeszcze kilka tysięcy rezerwistów zostało powołane na wojnę, nie dziwnego, że robotnik był trudniejszy przez to samo i lepiej traktowany i lepiej wynagrodzony. Po odwiedzeniu rodziny i famielji udałem się do Włocławka do naszej stolicy Kujaw, żeby się rozpatrzeć gdzie się udać w którą stronę jakie warunki pracy. Po szmyndaniu się po mieście spotkał się z byłym towarzyszem z miasta Łodzi i on mi się wypytał co porabiam gdzie byłem do tego czasu, co zamierzam robić. Gdy mu powiedziałem że właśnie przyjechałem się rozpatrzeć co zacząć zaco się chwycić zaprosił mnie na kiliszek, po wypiciu kilku kiliszków zaproponował mi wstąpić do partji bojówkaczy ja mu tłumacze, że się namyśle aby go się pozbyć i rozeszłem się z nim. Jakoś po tygodniu przyjechał do mnie jeszcze z jednym żebyśmy owemu jego koledze ułatwić przedostanie się zagranicę, zaprowadziłem ich do takiego, który się trudnił przeszwarcowaniem ludzi przez granicę, którzy nie mieli paszportu lub przepustki, ten szwarcownik zgodził się go za rubla przeprowadzić przez granicę tembardziej, że już miał trzech pasażerów do jazdy przez zieloną granicę. Ten jego towarzysz się pozostał a mój znajomy przyszedł ze mną i nocował, w nocy opowiedział mi że ten towarzysz nie jest wcale jego znajomy tylko partja przykazała mu, aby go odprowadził do granicy i przy granicy odebrał mu mauzera która to broń jest bardzo potrzebna w partji i pod sekretem mi się zwierzył, że ten chłopak 18-sto letni musiał zmykać bo sprzątnął w gosteńskim salcesona. A go się pytam jaka korzyść z tego mordowania ludzi. On mi odpowiada a czyja wiem, partja każe i się robi, a czy to dobrze czy nie to jego nie obchodzi. Długo nie mogłem zasnąć tej nocy rozmyślałem nad tem, że takie ludzie jak ten to mogą narazić nietylko nasze ojczyznę na poważne straty ale i utrudniają pracę organizacyjną, gdzie już zdążyłem się dowiedzieć że nietylko my mieli takie organizacje ale i w wielu innych formacjach zaczął się ruch i chociaż to był tylko oddzielne niczem z sobą nie związane, ale to było faktem że zaczął się nie z nakazu zgóry nie z jakieś agitacji a zdołu, ludzi młodych ogarniała jakaś gorączka pracy, jakieś czyny nadzwyczajne, rozpowszechniać ulotki, broszury i gazety zagraniczne. W każdy wiosce zaczęli uczyć się

pieśni, dawniej za śpiewanie tych pieśni wędrowali na wygnanie. Ale ten mój towarzysz dawny z miasta Łodzi już mi nie dał spokoju, więc po namyśle przyszedłem do przekonania że w Polsce takie czasy nastały że trudno z mem usposobieniem być nieutralnym. A znów nie widze żadny korzyści dla nikogo w mordowaniu ludzi z zapłota, chociażby to był policjantym czy jakimś tam naczelnikiem. Po naradzie z bratem i z ojcem postanowilim że wyjade za granice do Stanów Zjednoczonych, brat dał mi splate z gospodarki, miałem na droge, drugiego marca 1906 r. brat mie odwiózł do komory w Bronisławiu na przepustkę przeszedłem granice. Gdy już byłem za granicą przyczepił się do mnie pruski żandarm i mówi do mnie że ja jadę do Ameryki a ja nie chcąc jechać na niemieckim okręcie nie chciałem żeby mie żandarm zmusił do kupna szyfkarty na niemiecki okręt, więc mu mówie że ja ide do siostry do Pierania oddalonego od Paprosa o 5 klm. To szwab nie wierzył mi a szedł za mną aż do domu gdzie mieszkała siostra, tam przenocowałem na drugi dzień udałem się do Inowrocławia natenczas niemce przechrzčili na Hohenzalsa, tu odwiedziłem wujów, których miałem tu 4-ch i byłem tu całą dobe, nad wieczorem wujo poszedł ze mną kupił mi bilet aż do Antwerpji w Belgji. Wujo wystarał się tam gdzieś o takiej kobiecie która jechała do męża z dwojgiem dzieci a która umiała mówić po niemiecku więc siedliśmy do jednego wagonu, ja jej pomagałem dzieci i walizki przenieść a ona mi służyła jako tłumacz w przejeździe przez Niemcy. W taki sposób dojechałem do Antwerpji tu kupiłem szyfkarte na angielski okręt linii Cunarda i na małym okręcie przejechałem z Antwerpji do Anglji, tu wsiadłem do wagonu dojechałem koleją przez Anglję do dużego miasta Liwerpolu tutaj czekałem 2 dni, po dwóch dniach wsiadłem na okręt dosyć duży pod nazwą Cunarda linja, okrętu nazwa Umbrija. Po niecałych 7-miu dniach pływania dojechalismy bez żadnego wypadku do portu Nowego Yorku, a że był wieczór więc nas nie puścili do portu tylko na morzu jeszcze nocowalim. Na drugi dzień rano przyjechali doktorzy portowi zrewidowali czy niema zaraźliwy choroby i okręt mógł przybić do portu. Tu nas znów pomieścili na małych statkach, które nas przewieźli na wyspe Castle Garden tam nas doktorzy zrewidowali czy nie jest kto chory na zaraźliwą chorobe a szczególnie rewidowali oczy. Oglądali jaki kto ma jeszcze fundusz i daleko jadzie czy posiada bilet na dalszą jazde albo też pieniądze na takowy, tu nam oglądali adresa gdzie się kto udaje i wydawali odpowiednie paczki z żywnością, co już było

obliczone że było wystarczające do miejsca, naturalnie brali zato wyznaczoną takse, ale było to bardzo dobre z tego powodu, że pociągi w Stanach Zjednoczonych kursują bardzo szybko a z braku znajomości języka miejscowego niejeden byłby głodny. A tak to miał pożywienie wystarczające do miejsca dokąd się udawał. Ja jechałem do Chicago, to mi wzięli za te paczke z żywnością dolara i pół. Podług ceny miejscowych było to dosyć drogo, no ale w każdym razie człowiek był pewny że nie będzie oszukany albo okradziony. Wsiadliśmy do pociągu przed wieczorem, a wieczorem ruszyliśmy, w nocy jechaliśmy przeszło dwie godziny zaczęm wyjechaliśmy z miasta poza miastem już była ćma, tak że nie było widać nic, przez to że w wagonach siedzenia były wygodne jak u nas 2-gi klasy przez to drzemalim. Dopiero dojeżdżając do Pitsburga można było widzieć okolice, jechaliśmy przez stan Pensylwalja gdzie są liczne kopalnie węgla i rudy żelazny, przez to spotykaliśmy tu liczne osiedla fabryczne czy kopalnie, grunta tu liche skaliste i duże obszary lasów, pociąg pędził i pędził wciąż naprzód przecinając liczne tunele no nie tak długie jak w Anglji to znów pędził nad takim urwiskiem, że w oczach się ćmiło patrząc w taką przepaść, do tego pociąg pruł z szaloną szybkością. Na godzinie pierwszą z południa byłem na dworcu w Chicago tu nas zamkli w jakimś pokoju na dworcu i z tego to pokoju zabierali swych krewnych i znajomych, którzy telefonowali z New-Yorku. Ale ja nie telefonowałem więc nikt po mnie nie przychodził, ale po godzinie czekania przyszedł jakiś osobnik zażądał adresu przeczytał takowy, wypisał kartke kazał sobie dać dolara i wziął mie ze sobą, zaprowadził mie na drugi mniejszy dworzec, kupił mi bilet zaprowadził mie do wagonu włożył mi bilet i te napisaną kartke za wstążke kapelusza i pokazał mie konduktorowi pokazał mu kartke i bilet i poszedł precz, ja jade spowrotem jade jedne godzinie i drugą, ja zbaraniałem żeby miasto mogło być takie duże że ze środka miasta trzeba więcej jak dwie godziny jechać pocięgiem. Ogarnia mie niepokój tembardziej że i wieczór się zbliża ale słysze rozmawia dwóch ludzi po polsku, podchodzi do nich i mówie do nich pokazując jem adres czy ja dobrze jade, ci ludzie zobaczyli adres na który jechałem do szwagra i mówią dobrze, jakie dwa trzy przystanki i my też będziemy wysiadać to wysiądziesz razem z nami. Ale gdy dojechalim do ulicy 84-ty konduktor podszedł do mnie i pokazał że mam wysiadać, ci dwa mężczyźni też wysiedli pokazali mi ulice gdzie mój szwagier mieszkał a nomer domu to już odnalazłym śladno. Tak nie wyszło i 3-ch miesięcy gdzie

przerzuciłem się ze wschodu na zachód tak że różnica wschodu słońca była 11 godzin, tak że w marcu gdy w Andżizanie była już godzina 4-ta z południa to w Chicago dopiero słońce wschodziło. Nie koniec na tem ale gdy w Turkiestanie ludzie mieszkali powiększej części w lepiankach z gliny i gliną krytych albo w jurtach tu przeniósł mnie przeznaczenie gdzie były gmachy 25 piętrowe, w Turkiestanie ludzie przeważnie podróżowali na koniach gdzie nieraz widziałem jak taki kirgiz wsadził swą żonę i dwoje troje dzieci i sam wsiadł na tego samego konia, na drugim umieścił cały swój dobytek, na trzecim swój dom i przenosił się z miejsca na miejsce albo na wierblądzie tem okręcie pustyni albo na arbie. Tu ludzie podróżują wygodnymi błyskawicznymi wagonami albo też samochodami, tam mozoiliłem się aby przesłać pare słów zapomocą okrągłego lusterka jakieś 60 wiorst, tu swobodnie sobie rozmawia jeden z drugim z Chicago z New-Yorkiem oddalonego o 1000 kilometrów. Albo w Turkiestanie ludziskom ani się nie śniło o tem, tu już ludzie latają jak ptaki w powietrzu i to szybciej jak pociąg. Tam ziemie uprawiają sochą i motyką, tu już prują skiby potężne traktory, przenieść się z jednego krańca świata w drugi jaka różnica zważywszy że Stany Zjednoczone teraźniejsi mieszkańcy zamieszkują dopiero od 400-stu lat a tam jest niejako kolebką ludzkości Azja. Więc jaka w tem potężna nauka dla takiego wieśniaka jak dla mnie co może zdziałać pracowitość połączona z wiedzą do tego z chęcią z bogacenia się.

Gdy już się przywitałem ze szwagrem i kilku znajomymi, którzy tu poprzednio przyjechali gdy ja byłem jeszcze przy wojsku, naturalnie po takich przywitaniach nie obeszło się bez wiski tak nazywali w Chicago gorzałkę, że pili prawie do rana. Ja chociaż byłem zdrożony podróżą ale dotrzymałem placu w picciu bo byłem przywykły tak do picia jak i nie spania. Gdy się dzień zrobił wyszlim ze szwagrem zobaczyć okoliczne fabryczne zabudowania i miasto które się rozsiadło nad brzegiem jeziora Myczygan na przestrzeni kilkaset mórg. Otóż dopiero się dowiedziałem że to nie jest właściwe miasto a tylko południowa część przedmieścia, a owa potężna fabryka gdzie nas dochodzi szcęk, brzęk i huk i gdzie co chwila wybucha potężny słup ognia to są sławne stalownie Illinois Steel Company gdzie pracuje przeszło 8 tysięcy robotników i większa ich połowa prawie dwie trzecie to nasze Maćki, Jaśki, Józki, Bartki i Michałki gdzie nie tak dawno chodzili jeszcze za pługim czy za broną czyto przy cepach czy w polu przy kosie, gdzie jem skowronki i inne pta-szyny wyśpiewywały a tu huk brzęk. Na drugi dzień poszłym przed

wieczorem przed bramę fabryczną gdzie spożywałem się spotkać z kilkoma memy ziomkami o których już wiedziałem że pracują w tym piekle na ziemi, aby tylko stanylem przy bramie czekając aż zaczną wychodzić robotnicy z dziennej szychty czyli zmiany. Ponieważ tu praca trwała cały rok dniem i nocą Boże Narodzenie czy Wielkanoc, tu praca wre wciąż bez przerwy na dwie zmiany do 12 godzin każda zmiana musi pracować. Naturalnie są i tu ludzie którzy pracują tylko 10 a nawet i 8 godzin ale polaków w tych liczbach jest mało są to przeważnie fachowcy rzemieślnicy, technicy, inżynierowie no i różnego rodzaju biuraliści. Gdy tylko stanulem przychodzi do mnie jakiś szyper i krzyczy ju wonet dziab i nie czekając odpowiedzi bierze mnie i prowadzi do biura a tu do offisu, tu jest polak który pyta się mnie czy chce robić, ja mówię poto przyjechałem, zapisał mnie do książki dał nomer taki metalowy i zaraz drugi mnie wziął z sobą, za godzinę już się ze mnie pot lał przy pracy, gdzie pracowałem przy ogromnych piecach, gdzie przetapiali rude żelazną na stal. W takim piecu topiło się około 20-stu ton stali odrazu. A w drugim oddziale były znacznie większe i nowoczesny sposób urządzone. Jak się już stal dobrze przetopila do czego byli technicy i brali próby wtenczas odkrywali zalepiony otwór i z pieca strugą lała się roztopiona stal do specjalnych wagonów, które zaraz odwoził parowóz do innego oddziału i tam wyliwali w takie słupy do czego znów były odpowiednie formy, takie słupy brała znów odpowiednia winda i wpuszczała do innego pieca, z tego pieca robotnicy przy pomocy maszyn wyjmowali i puszczali w takie ogromne walce i taki słup przechodził przez różne walce aż wyszła z tego szyna kolejowa tak długa że taka jeszcze czerwona żmija szła pod taką żagę gdzie została porznięta na 3 szyny kolejowe, następnie szły na platforme-wagon jeszcze gorące, tam znów robotnicy podkładali pod specjalne do tego maszyny i prostowali, wyprostowane szyny szły znów pod wiertarki gdzie odrazu wierciły się trzy dziury, z pod wiertarek gotowe szyny szły na wagony i szły w świat. Ale wyrób takich szyn trwa daleko szybciej jak ja to pisze. A szcęk, brzęk, hałas, romot huk nie do opisanja. Tak że robotnicy nie mogą się porozumieć mową tylko mimiką jako głuchonieme. Tam przy tych to piecach gdzie ja zacząłem robić oprócz tego piekielnego hałasu przyłączały się jeszcze częste wybuchy z tych pieców gdy nastąpił taki wybuch leciał z pieca rozpalony koks kamień rozpalony do biała, tego kamienia używali do wyrobu stali. To trzeba się było chronić gdzie kto mógł ponieważ to leciało na dół na głowy nas pracujących. Przepa-

cowalem tak do niedzieli na noc, od niedzieli musiałem pracować dzień i noc całą dobe bez przerwy, jak poszłym w sobotę na szóstą to pracowałem w niedzielę do wieczora do szósty i dopiero w poniedziałek poszłym na dzienną zmianę na szóste rano, tam też wyrobiali stalowe płyty różnej grubości do budowy okrętów. Za taką pracę w tem piekle zarabiałem 15 centów na godzinę, za 12 godzin pracy zarabiałem 1 dolar 80 centów co na walucie rosyjską jaka kursowała w hylej kongresówce około 3 rub. 55 kop. co w kraju pracując jako czeladnik kowalski zarabiałem około 5 rubli na cały tydzień. Naturalnie chociaż praca była ciężka i niebezpieczna gdyż nie było dnia żeby nie odnieśli kogoś do szpitala pokiereszowanego albo do kostnicy zabitego, za te dwa tygodnie mej pracy w tem oddziale byłem świadkiem dwóch wypadków śmierci gdzie człowiekowi nieprzyzwyczajonemu prosto krew stanęła w żyłach. W pierwszym wypadku byłem świadkiem jak taka czerwona szyna pędząca z jednych walców pod drugie nadziała człowieka przez pół, nietylko że został żywcem upieczony nieszczęśliwy pracownik ale jeszcze zmiażdżony przez walce na miazgę jak na kotlety tak że trzeba było nieszczęsne ciało zebrać do worka. W drugim wypadku wychodzili z pracy o szósty, tu praca trwa bez przerwy więc jak nadejdzie zmiana nie potrzeba czekać aż 6 zabuczy tylko można iść do domu. Otóż idąc tak wieczorem z pracy drudzy do pracy, przechodzić trzeba było przez masę torów kolejowych jakie były ułożone na placu fabrycznym, robotnicy szli z pracy i do pracy a każdy parowóz zaopatrzony jest w dzwon który automatycznie ciągle dzwoni. Tuż przede mną o jakie 10 kroków szła grupka robotników z pracy, nagle pędzi parowóz, robotnicy odskoczyli, w prawo jeden z nich w lewo drugi, parowóz idący z tyłu wioząc gorące żelazo jeszcze rzadkie od pieców najechał nieszczęsnego a było to akurat na rozjazdach tak że został pokrajany na części tak że go zebraliśmy w taczki bo był to polak kujawiak z Lubania pow. Nieszawskiego. W takich to warunkach zacząłem pracować w tem kraju dolarów. Gdy pracowałem już 10 dni zmienili mi pracę, dali mi taki wózek na dwóch kołach cały żelazny i kazali mi dowozić rudy do elewatora, rodzaj windy gdzie kilka wózków naraz wciągane było do góry, taki wózek ważył 250 funtów a rudy w niego trzeba było brać 500 funtów, to trzeba było ciągnąć prosto za konia, najgorsze było to że to było na dwóch kołach więc trzeba było mieć równowagę w rękach, opuścić za bardzo na dół za ciężko było, na ręce podnieść wyżej trzeba było mieć czucie w rękach by nie podnieść za wysoko bo małowiela natrafiło ko-

ło na nierówność to się ani spoźdzał kiedy wózek przerzucił robotnika przez wierzch. Niedosyć żem tak dwa razy został przerzucony przez wierzch i dotkliwie się potłuk jeszcze koledzy się wyśmiewają że już uczy się fruwać, tak przy tech wózkach pracowałem cztery dni. Jednego dnia wiatr pusował tak od jeziora przez to czterech robotników którzy tam byli u góry, ten gaz który się wydobywał z tych pieców szedł na nich przez to zagorzali, posłali drugich to samo tak o czwarty popołudniu i mnie tam posłali, robota tam była lekciejsza bo tylko każdy wziął po wózku z elewatora i przewrócił do pieca ale coż kiedy po godzinie i ja zagorzał musieli mie zmienić, jak mie spuścili na dół zaczęm przyszyłm do przytomności już czas było zmiany. Powlókłem się do domu ale odchorowałem trzy dni, więc już więcej nie powróciłem do tej pracy. Zaczulem już czytać gazety polskie jakie tu wychodziły w Chicago Dziennik Chicagoski i Dziennik Narodowy, z gazet dowiedziałem się że tu w Chicago jest dużo pracy innej i daleko lepiej płatnej. Po przyjściu do siebie po tym zagorzeniu dostałem pracy w dokach fabryce naprawy i budowy okrętów, tu była praca lepsza chociaż i tu hałas był niemożliwy ponieważ okręty budowali z płyt stalowych i przy nitowaniu był to ogromny trajkot ale że tu było więcej powietrze zdrowsze tylko to że tu płacili 16 i $\frac{1}{2}$ centa na godzinie ale że pracowalim 9 godzin przez to znów mi się widziało że zamało zarobie, po miesiącu pracy postanowiłem zmienić prace. Jeden z mych znajomych pracował na kolei przy podwyższaniu toru przez miasto, tam płacili 17 $\frac{1}{2}$ centa na godzinie, pracowali 10 godzin więc na dzień zarabiali 1 dolar 75 centów, więc mie tam wziął z sobą i pracowałem przeszło dwa miesiące aż do ukończenia tej pracy, późni poszliśmy szukać pracy w słynnych szlachtuzach Chicagoskich. Ja dostałem prace w kompanji Anglo-Amerykańskiej gdzie oprócz uboju świń których bili dziennie najmniej do 1000-ca sztuk bili jeszcze bydło i owce, z tych odchodów wyrabiali klej, więc ja dostałem prace w owej klijowni, w pokoju gdzie chłodził się klej tam było dosyć zimno, od rana wywoziłem z tego zimnego roomu, jak tu nazywali, klej nalany w takie formy i już zastygnięty jak mydło gdzie go drugi robotnik pogrążał w gorący wodzie, wywracał z formy krajał na takich drutach na równe plajstry i podawał do elewatora. To dziewczyny rozkładały klej na takich sitach układały na wózkach a trzeci robotnik wpychał te wózki w takie korytarze gdzie szedł gorący wiaterek i suszył klej a wieczorem gdy dziewczyny szły do domu ja napuszczałem klej w wypróznione formy nawet i w niedziele musiałem przychodzić na godzi-

ne dwie do napuszczenia kleju. Gdy dzień był parny to jest gdzie było dużo wilgoci w powietrzu i gorąco do tego w nocy wszystkie klej był na podłodze, a jak była duża gorączka a powietrze suche klej wysech dobrze. Klej gotują z głów bydlęcych owczych, z nóg tychże i z nóg wieprzowych wyrabiali klej biały. Gotował się w dużych skrzyniach gdzie na spodzie tych skrzyń były ułożone żelazne rury, jak się naładowało taką skrzynię temi głowami czy nogami, które były pogruchotane poprzednio na specjalny maszynie, w takie skrzynie mieściło się 5 dużych wozów głów czy nógów i po napuszczeniu wody do pełności puszczały w te rury parę i to się tak gotowało długo aż kości się tak rozgotowały że można było w palcach skruszyć. Po spuszczeniu kleju wybierali te zgotowane kości gdzie szły pod prasy, gdzie wyduszali wszystkie tłuszcze, taki tłuszcz klarowali i ten czystszy zabierali piekarze do pieczenia paczków a ten brudniejszy szedł do oddziału gdzie gotowali mydło a te wyduszone kości szły do oddziału gdzie wyrabiali sztuczne nawozy. Tam to miałem 17½ centa na godzinę ale że praca nie była stała czasami pracowaliśmy od 7 rano do 10 wieczór a to i w niedziele a czasem 2—3 godziny. Pracowałem tam zgórą 6 miesięcy i rzuciłem poszedłem do giserni. W giserni mieliśmy stałą pracę a płaca była 1 dol. 80 centów za 9-cio godzinny dzień pracy, ale oprócz że w dzień chodziłem do pracy, wieczorami chodziłem do szkoły wieczorny gdzie nas uczyli mówić czytać i pisać po angielsku, szkoła nie była przymusowa tylko kto był ochotnik, pomimo że do nauki byłem pilny z wielką trudnością mogłem pojmować mowę angielską i chociaż wiedziałem jak się co nazywa ale rozmawiać należycie nie mogłem pomimo że samouczek stale nosiłem przy sobie i nie zmarnowałem ani minuty każdą chwilę wolną od pracy czytałem książki angielskie. Mieszkając u ludzi z Galicji przychodził tam brat gospodarza, który był furmanem to jest majstrem w fabryce cukierków. Narzekał na brak robotników i namówił mnie żebym rzucił ciężką pracę w giserni a poszedł z nim do fabryki kiendys tak zwiom cukierki tutaj. Poszedłem do roboty musiałem mieć biały fartuch i białe rękawice. Zostałem przydzielony do mieszania kukurydzy w roztopiony słodki masie a drudzy wysypywali na takie długie stoły obite cynkową blachą rozgarnyli na takim stole, takich stołów było trzy, jak nasypali na trzeci to z pierwszego zgarniali do skrzyni gdzie dziewczyny nasypywały w paczki i papkorna była gotowa, tak się nazywała owa kukurydza. Ale ta kukurydza była pieczona, jak się piekła to tak jakby zakwitła taki się biały bukiecik zrobił i ten to biały bukiecik oblepił się słodką masą,

to było dobrze, dziennie przerobiłem my kilka centnarów. Nie rozumiem dlaczego nikt w Polsce nie wpadnie na pomysł siać i przyrządzać podobnych łakoci a to odchodziło masami całymi wagonami wysyłałim w świat. Naturalnie robili tam różne cukierki czekoladki różne marmuladki, orzechy oblewane czekoladą i to różnego rodzaju orzechy i migdały i pestki z różnych śliwek i tak były wyrobiane że całkiem taki cukierek był podobny do danego owocu i smakiem przypominał brzoskwinię czy morele czy inne śliwy. Ale długo tam nie pracowałem ponieważ nie miałem smaku do żadnego jedzenia tylko piwo piłem i różne cukierki zjadałem ale czułem że siły mie opuszczają i robie się ociężały do niczego nie mam ochoty, prawda że chociaż praca była nieciężka ale pracując od siódmy rano cztery dni w tygodniu do 10 wieczorem bo było dużo obstalunków więc musieliśmy pracować po czasie czyli jak tu nazywali (over time) może i to mie tak wyczerpywało. Dostyc że mógłem chociaż się nie rozmówić ale już rozumiałem co do mnie mówili, więc czytając już codziennie gazety polskie i angielskie spotykałem często ogłoszenie że potrzebowali więc postanowiłem spróbować szczęścia w swym fachu. Pewnego dnia' udałem się do warsztatów kolejowych North Western Reilwany Rolroode Co i tam dostałem prace jako kowal z płacą 35 centów na godzinę, robiłem 9 godzin dziennie w sobotę 6 godzin. Do pracy jeździłem koleją za miesięcznym biletym za który nam odciągali dolara, pracowałem od 7-my rano do pół piąty po obiedzie, miałem dużo czasu wieczorem więc chodziłem do szkoły ale już do prywatny gdzie za trzymiesięczny kurs nauki zapłaciłem 15 dolarów, chodziło nas około 20-stu osób pomimo tego bez książki nigdzie się nie udawałem, jadąc koleją do pracy czy z pracy tłumaczyłem sobie. Nie dosyc na tem pracując w kuźni przy rysorach do parowozu zrobiłem sobie z duży blachy w rodzaju tablicy jaką mieliśmy w szkole tylko troche mniejszą i pisałem sobie takie wyrazy których się chciałem przez ten dzień nauczyć robiąc przy kowadle, jak zapomniałem wejrzałem na tablice to sobie przypomniałem. Obok mnie robił kowal francuz, pytał mi się naco ja tak pisze ja mu wytłumaczyłem że ja się ucze mówić po angielsku i on mi dużo pomagał. Pomimo takiego wysiłku nie mogłem sobie przyswoić poprawnie mowy angielski, chociaż czytając książki i gazety rozumiałem co czytam ale mówić nie mógłem należycie chociaż przebywałem osiem lat w Stanach Zjednoczonych.

Tego roku to jest 1907 roku siostra młodsza ode mnie napisała mi list że przyjadzie do Ameryki czy może liczyć na to że znajdzie

prace. Odpisałem że prace każdy chętny do pracy prędko może znaleźć, gdyż zawsze dużo poszukują dziewcząt do pracy. W każdym niedziele wolną od pracy wyjeżdżałem poza miasto na pola do lasu i błąkałem się całymi godzinami, ale tu nie było ptasząt, które śpiewają tak jak w naszej ojczyźnie rolnikom, w lesie też cicho i smutno. Wokoło Chicago tysiące hektarów pola leży odłogiem czyste prery*) to własność szpekulantów którzy zakupili kiedyś za tanioche teraz trzymają aż ziemia przyjdzie do najdroższy ceny. Chodziłem też i pomiędzy uprawnemi polami ale takiej pszenicy czy żyta tu nigdzie nie spotykał jak na naszych kujawskich równinach. Nietylko że po polach nie widziałem dobrego zboża ale corocznie bywałem na wystawie rolniczy i to nie spotykałem takich ładnych kłosów jak u nas, jedno tylko pragnąłem pokazać na takiej wystawie nasze kujawskie kłosy. Powracając tak pewnej niedzieli z pól gdzie szwendałem się nieomal cały dzień, gdy już wysiadłem z wagonu kolei podjazdowy spotkałem się na ulicy z kolegą który służył ze mną przy wojsku i był o rok młodszy ode mnie a był w muzyce starszym ponieważ mógł grać na kilku instrumentach. Naturalnie nie moglim się rozłączyć tego wieczora rozmawiając o Andżizanie i kaplicy i innych kolegach tak się odprowadzaliśmy ja jego to znów on mnie aż po za północ. W Chicago już było około 15 strzelców Turkiestańskich 11-go bataljona bo i mój serdeczny przyjaciel też przyjechał do mnie jak jeszcze pracowałem przy kleju i go tam wzięłem do pracy gdzie pracował dotąd a ja wyniosłem się w dzielnicę najstarszą zamieszkałą przez polaków, gdzie były wydawane trzy dzienniki i dwa tygodniki. Tu były biura największych organizacyj na obczyźnie — Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych i Stowarzyszenie polsko-katolickie i Związek Polek w Ameryce, tam też była dosyć duża biblioteka gdzie każdy członek mógł korzystać z biblioteki bezpłatnie. Gdzie korzystałem z każdej chwili wolnej do czytania, nieraz czytając tak w łóżku ani się spostrzegłem gdy biały dzień się zrobił. Gdy w każdy wieczór ten mój wojskowy kolega przychodził do mnie i zaczął mnie prosić żebym mu nastreczył gdzie tańsze mieszkanie, ponieważ pracuje za tanie pieniądze bo uczy się pracy jako tapicer więc zarabia tylko 6 dolarów na tydzień a on przyjechał za pożyczone pieniądze bo jego ojciec pasie owce we dworze więc nie miał pieniędzy na droge, a on powrócił od wojska a brat jego miał iść do wojska nie chcąc drugiego syna wysyłać znów w dalekie kraje do rosyjskie-

*) t. j. prairie = step.

go wojska wolał wysłać zagranicę pożyczając dla oboich na drogę. Przez to Wojciech, takie miał imię, mówi do mnie widzisz Janku ja sypiać nie mogę myśląc ciągle o rodzicach żeby jak najprędzej dług spłacić a tu za mieszkanie razem z całkowitem utrzymaniem musi płacić 16 dolarów miesięcznie a ubranie i tak coś niecoś się straci to jabym musiał i rok czekać zaczęlbym dług mógł spłacić. Ja wysłuchając jego kłopoty mówię, ja ci nie wiem gdziebyś mógł taniej się wiktować. Tylko jeżeli chcesz to weźmy na siebie mieszkanie i dopiero możemy sobie oszczędzić jedząc lichejsze potrawy. Od słowa do czynu było niedaleko, a ponieważ ja się spożydkiewałem lada dzień przyjazdu siostry więc myślę sobie poco mamy tulać się po obcych domach założymy własne domowe ognisko. Na drugi dzień po pracy przyszli obaj bracia do mnie, czytając w gazecie drobne ogłoszenia spotkałem jedno, że z powodu wyjazdu, sprzedam tanio meble z niedużego mieszkania. Poślim pod podanym w gazecie adresem zobaczylim co było stosownego dla nas. Chodziło tylko czy właściciel wypuści mieszkanie dla nas, udałem się do niego był to polak z poznańskiego zdrzał się z początku ale gdy mu mówię że będziemy mu odpłacać zgóry więc przystał, wyjułem pieniądze zapłaciłem 6 dolarów na cały miesiąc, wróciłem do tej kobieciny i targuję te gratki, zgodzylim na 42 dolary, na drugi dzień już się przenieśliśmy czyli przemuwowalim jak tu polacy mówią. Rozdzieliliśmy pomiędzy siebie prace tak że ja byłem kucharzem, Wojciech utrzymywał porządek w mieszkaniu i naczynia wszelakie utrzymywał w porządku i czystości a jego brat że nie był wojskowy nie umiał jeszcze nic robić to nam tylko usługiwał, węgla przyniósł, drzewa, po piwo chodził gdyż wody mało się piło ponieważ piwo było tanie za 5 centów przyniósł 8—9 szklanek piwa w pelu*) tak nazywali naczynie specjalne zrobione do piwa. Rano szedłem do rzeźnika po wędlinę do chleba bo sobie braliśmy suche zakąski, ja robiąc w kuźni gotowałem sobie herbatę a oni brali sobie kawę czarną do butelek, obstałowałem sobie zawsze mięso na obiad, zapłaciłem i u rzeźnika w lodowni leżało cały dzień, jak powracałem z pracy brałem i gotowałem obiad, ja robiłem 9 godzin a oni 10 to ja chociaż miałem do pracy około 20 kilom. ale kolejną się przejechało i tak byłem przeszło pół godziny prędzej od nich w domu tak że zaczęli oni przyśli obiad już się gotował. Wojciech brał skrzypki brat jego harmoniję zaczął się koncert zaczęli się obiad ugotował bracia wygrywali a ja stojąc przy kuchni

*) t. j. pail = naczynie.

śpiewał a że mieszkaliśmy na parterze sporo dziewcząt idąc od pracy przystawały i słuchali różne polków, mazurków, kujawiaków i różnych oberków, a gdy mu się sprzykrzyły skrzypki brał flet lub zwykłą fujarkę i wygrywał aż obiad postawiłem na stole, wtedy ma praca się kończyła. Wojciech brał się do pracy posprzątał ze stołu, pozmywał powycierał poustawiał na swoje miejsca ja przez ten czas przeczytałem gazety, które nam chłopiec przynosił. W piątek po obiedzie braliśmy się do prania spodniej bielizny ręczników i z pościeli, a wierzchnie, koszule i kołnierzyki, firanki oddawaliśmy do pralni (czyli luandri*) jak tu nazywali). Po przebyciu miesiąca na swoim kawalerskim mieszkaniu i obliczeniu się wyszło nam wikt razem z mieszkaniem po 8 dol. i 25 cent. wtedy mówię no dajcie te pieniądze co wy zarobiliście, obaj się uczyli a że chłopaki się starali dostali podwyżkę na 7 dol. tygodniowo. Złożyli swe miesięczne zarobki 28 dol. każdy, ja im mówię po dość ojciec wam dał na drogę? mówią po 150 rubli. No to chodźcie ze mną na pocztę, poszliśmy na pocztę wypisałem przekaz czyli mony order na 150 rub. i wysłałem dokładając brakującą sumę. Na następny miesiąc odeślecie resztę a później mnie będziecie wypłacać. Od siostry otrzymałem list że narazie nie może przyjechać do Ameryki że nie czuje się zdrowa. Tak się musimy sami gospodarzyć. W dniu 12 listopada gotując obiad moja przyszła żona ze swym ojcem zaprosiła mnie na jej ślub i zabawę weselną na 19 listopada. A ja z nią ślubowałem 27 listopada. Ponieważ nie miałem tu żadnych krewnych, gdyż szwagier do którego przyjechałem pracując w tej samej fabryce co ja najpierw zacząłem pracować stracił jedno oko i odjechał do ojczyzny, postanowiliśmy zabawy weselny nie wyprawiać bo chociaż miałem bardzo dużo przyjaciół i kolegów, ale że tu iść na weselną zabawę połączone było z dość znacznymi stratami a nie chcąc swych kolegów narażać na strate postanowiliśmy takowej zabawy nie urządzać tylko w ścisłym kręgu najbliższych przyjaciół. Chociaż mieszkanko mieliśmy nieduże tylko jedną izbę i sypialnię, ale że na tydzień wprowadził się mój sąsiad mając takie same mieszkanie do którego drzwi były z mego mieszkania więc wynajmowałem na pół miesiąca. Na zabawę i ślub zaprosiliśmy niespełna 20 osób ale w dzień ślubu który się odbył zrana na mszy świętej ponieważ w tej parafii św. Trójcy gdzie ślubowaliśmy odbywały się misyje, przez to wszyscy którzy w tym dniu chcieli ślubować musieli się stawić do ślubu na msze

*) t. j. laundry = pralnia.

św. na 9 godzinie rano. Przez to ślubowało razym 8 par to i tak ludzi było pełen kościół. A wieczorem zebrali się do mnie wszyscy koledzy przeszło dwódziestu tak że osób było przeszło 40-tu na zabawie weselnej. A na drugi dzień było uroczyste święto amerykańskie jakie rok rocznie proklamuje pan prezydent Stanów Zjednoczonych w ostatni czwartek listopada jest to dzień dziękczynnia aby podziękować Panu Bogu za dary jakie stwórca zesłał w tem roku a ludzie już wszystko zebrali i zachowali na zimowe miesiące. Bardzo to chwalebny zwyczaj chociaż nie w katolickim kraju. Ale obowiązuje wszystkie wyznania i sekty do świętowania. Przez to bawiliśmy się całą noc i na drugi cały dzień i do 11-sty wieczora zaczęliśmy się roześli. Gdzie na wsi w prawdziwym kłopotcieby się znaleźli wyprawiające zabawę jeżeliby się znalazło zgórą dwadzieścia osób nieproszonych ale tutaj tylko zatelefonował do rzeźnika piekarza i składu wódek i piwa a za 15 minut wszystko przywieźli na miejsce na tem naturalnie chociaż ja wydałem więcej ponad obliczone straty ale znów zyskała moja młoda żonka przy składce czepkowego. Tak anim się nie spoźdzał ni stąd ni zowąd zostałem człowiekiem żonatym co początkowo nie było mojem zamiarem żenić się w krainie jonkiesów a zebrać trochę grosza i wrócić na swe kochane kujawy kupić chociaż mały kawałek pola i wybudować chatynkę i kuźnię obok sad warzywnik i pszczołki oto moje marzenia od dzieciennych lat. Ale tak jakoś się złożyło że miesiąc temu żeby mi kto spomniał że ja dziś będę żonaty bym go się zapytał coś ty z dęba spadł czy co no i naprawdę ja już mam żonkę i do tego żonkę taką którą zaledwie znałem, którą zaledwie pare razy widziałem i nie rozmawiałem w cztery oczy ani razu. Sam się dziś zapytuje czy to możliwe że ja już mam żonę. No ale fakt faktem stało się i to w tem czasie gdzie zaczął się w Stanach Zjednoczonych groźny kryzys wywołany przez bankierów kapitalistów ze zemsty nad prezydentem Rozfeldym za wytoczenie procesu kilka trustom za zmwę w okradaniu konsumentów. Tak że już w listopadzie i grudniu dostaliśmy zapłatę w złocie ponieważ banknoty gdzieś wsiąkły nie było widać wcale w obiegu. Pracy było dosyć obstalunków też tylko nie było pieniędzy na wypłaty dla robotników, w niektórych pomniejszych przedsiębiorstwach i fabrykach robotnicy sami pożyczali pieniądze na kupno surowca i pracowali na kredyt aż do lepszych czasów. W Chicago wypuścili takie bony za które miasto gwarantowało wykup pełnej wartości i temi to bonami tak ludzie ratowali się z braku waluty obiegowej. Wiele fabryk i zakładów prze-

mysłowych całkiem zamkło swe warsztaty albo obniżyło godziny czy dni robocze albo zmniejszając liczbę pracowników. Otóż i te zakłady w których ja pracowałem zmniejszyły dni robocze, pracowaliśmy tylko 4 dni w tygodniu. To było sporo czasu więc wtenczas zwiedzałem z młodą żoną różne osobliwości w Chicago. Najpierw naturalnie zwiedziliśmy dokładnie bibliotekę miejską, na zwiedzenie tylko tak z większego poświęciliśmy dwa dni. Tutaj dopiero napatrzałem na skarby jakie się mieszczą w drukowanym słowie jakich tu książek niema mój ty zbawicielu świata. Jaką to wygodę i udogodnienie mają ludzie w dużych miastach że mogą czerpać wiedzę ze skarbów jakich nagromadzili ludzie przez długie lata, wiele to pokoleń składało swe wiedzę na te książki, wiele to mędrców świata przelewało swe myśli swe spostrzeżenia na papier. Mój Boże kochany dlaczego świat czyli ludzie na nim takie niesprawiedliwe myślałem sobie w owym gmachu, tyle skarbów co się mieści co tu tysięcy książek różnej treści i to w różnych pisane językach. Jak żem się ucieszył widząc dzieła swego kochanego mistrza Sienkiewicza umieszczone w katalogu polskim angielskim francuskim niemieckim hiszpańskim, jaki dumny byłem że chociaż nieprzyjaciele wymazali nas z karty Europy ale my torujemy sobie drogę i to nie ostatnią wśród ludów cywilizowanych. Po zwiedzeniu biblioteki i we wzorowym porządku prowadzenia tejże zwiedziliśmy muzeum sztuk pięknych gdzie oglądaliśmy i podziwialiśmy różne dzieła sztuk pięknych jak różne obrazy i ryciny malowane przez różnych mistrzów pędzla od wieków starożytnych po dzień dzisiejszy, ale i różne rzeźby z różnego czasu i wielkości. Dalej zwiedziliśmy muzeum amerykańskie gdzie spotkaliśmy liczne przedmioty używane w różnych epokach przez indjan różnych szczepów. Następnie zwiedziliśmy i muzeum przemysłu amerykańskiego od czasu osiedlenia się pierwszych kolonistów po dzień dzisiejszy. Następnie zwiedziliśmy ratusz, pocztę, niektóre banki, szliśmy do sądu przysłuchiwać się rozprawom sądowym. Dalej liczne parki z ich osobliwościami na przykład w Linkoln parku gdzie się mieści zarazem ogród zoologiczny z różnymi zwierzętami i ptactwem ale i różne kwiaty i rośliny prawie całego świata tu można spotkać, wieczorami śliśmy do teatru albo i do kina. Tak nam zeszyła zima i nastał maj, w początkach maja przyjechał do mnie brat najmłodszy który służył przy wojsku w Moskwie jako plutonowy przy ciężkich maszynówkach. Naturalnie roboty nie ruszyły jeszcze chociaż już pieniądze zaczęły kursować normalnie, ja już robiłem pełne

godziny ale świeżych sił nie przyjmowali. Wprawdzie bratu kupiłem ubranie i dałem mu mieszkanie i wikt ale on się niecierpliwił że roboty nie może dostać i chodził osowiały bo już szósty tydzień szedł a nie zarobił ani grosza. Najbliższą niedzielę udałem się do znajomych majstrów polaków i mi przyobiecali że się postarają umieścić go gdzie w pracy. We wtorek dostał wezwanie z dwóch miejsc od Deringa i z fabryki mebli do oddziału tapicerskiego, poszedł w to ostatnie miejsce uczyć się za tapicera gdyż rzemieślnikiem nie był a chciałem żeby się coś nauczył. Po jakimś czasie przyjechała i siostra i też ją tam umieściłem. Ja miałem coraz więcej zajęć z powodu że należałem do towarzystwa katolickiego i zarazem byłem członkiem Stowarzyszenia polaków katolików w Ameryce, gdzie byłem zabezpieczony na wypadek śmierci 750 dol. i na wypadek choroby 5 dol. tygodniowo. Należałem do towarzystwa Młoda Polska razem z żoną gdzie też zaraz należeliśmy do Związku Polaków w Ameryce i zabezpieczeni byliśmy na wypadek choroby po 5 dol. tygodniowo i po 500 dol. na wypadek śmierci i ja należałem do juni*) kowali czyli związku kowalskiego gdzie jednocześnie byłem członkiem potężnej organizacji amerykańskiej federacji pracy gdzie znów byłem zabezpieczony na wypadek choroby 5 dol., na pogrzeb wypłacali 250 dol. Tak że byliśmy zabezpieczeni na wypadek bo żona jeszcze była w towarzystwie związku polek w Ameryce tak że mogliśmy żyć swobodnie nie bojąc się nieszczęścia ale tylko na wypadek bezrobocia nie było lekarstwa. Co mnie najwięcej zastanawiało to fakt że w Stanach Zjednoczonych tak małą rolę odgrywali socjaliści. Robotnik nie wierzył pięknym słówkom czerwonym towarzyszom wierząc dobrze że to tylko piękne słówka ale czyny zaprzeczają słowom, przez to rola towarzyszy równała się zeru. Robotnik tutejszy wołał sam trzymać w ręce obronę swych interesów przez wybranych przez siebie przedstawicieli aniżeli powierzać swe interesy w niepewne ręce chociaż te ręce należały do towarzysza co obiecywał raj na ziemi. Ale nie mógł poprzeć swych obietnic jakimkolwiek czynnym dodatnim. Po wstąpieniu do organizacji narodowych poznałem się z kilkoma rodakami którzy gorąco miłowali swą drogą ojczyznę i gotowi byli poświęcić swe wszystkie siły na usługi tej nieszczęśliwej ojczyzny. A w potrzebie oddać życie za zerwanie pęt niedoli. Dziwna rzecz że zbierając się często u jednego z nas najczęściej u mnie uczyliśmy się pieśni bojowych polskich żołnierzy. Krążyły różne

*) t. j. union = związek.

wieści fanatyczne przepowiednie, proroctwa gdzie kto wymacał jakie księżczyne z jakimi przepowiedniami tyczącami się naszej ojczyzny lub proroctwami odczytywałam po 10-ć razy debatowałam. Układałam różne możliwości nie przeczuwając że ta chwila zbliża się olbrzymimi krokami. Tak nam schodził czas na marzeniach i pracy przy werbowaniu nowych członków do Związku Narodowego albo Sokoła wierząc że te organizacje mogą odegrać ważną rolę gdy ojczyzna będzie w potrzebie. Naszem gorącym marzeniem było to aby Bóg nam pozwolił dożyć żebym mogli ujrzeć prawdziwego polskiego żołnierza. Nie przeczuwałam że ja sam będę nosił mundur prawdziwego żołnierza przez jedenaście miesięcy. W dniu 18 stycznia 1909 r. żona obdarzyła mnie synkiem z którego byłem bardzo rad i powiedziałem do żony daj Boże jeszcze 23 aby można utworzyć cały pluton żołnirzy. A ponieważ na drugi dzień było Henryka postanowiłem mu dać imię Henryk moi przyjaciele mnie odmawiali od tego imia ale ja się upar że nie tylko książę pruski nosi to imię bo i mój mistrz który mnie nauczył kochać Polskę i być dumnym żem polak. Jakiem czynem mogę się odwdziżyć swemu mistrzowi ja prosty chłopiec jak tylko dać imię synowi abym miał ciągle w pamięci kochanego autora trylogji. W tych zakładach gdzie pracuję nasi delegaci dopominali się podwyżki zarobków, po tygodniu petrakcyj z dyrekcją z ujemnem wynikiem został ogłoszony strajk. Na dane hasło rzucili pracę co do jednego i poszliśmy wszyscy do sali zebrania, naturalnie nie wszyscy mogli się pomieścić. Zabrałem i ja głos w odpowiedzi naczelnemu dyrektorowi zakładów, ale że mogłem z trudnością wymawiać słowa po angielsku, zaczęli krzyczeć mów po polsku a będzie przetłumaczone po angielsku, ponieważ sekretarzem juni był polak urodzony na ziemi jenkiesów, za mym przykładem wielu polaków przemawiało w ojczystym języku bo bardzo dużo polaków pracowało w zakładach kolejowych. Dyrektor a po amerykańsku Supredent*) naczelnny widząc tak stanowczą postawę robotników chociaż cudzoziemców zgodził się na warunki nasze i po dwóch godzinach strajku wróciłem do pracy. Ja dostałem podwyżkę z 35 centów na 37½ centa na godzinę. Po powrocie do warsztatów wienszowali mi francuzi szwedzi i czechy że zabrałem głos i jak umiałem broniłem swych praw że nie pozostawiam sprawy na barkach delegatów ale jak mogę popieram żądanie delegatów że za moim przykładem po-

*) prawdopodobnie superintendent.

szli inni, dyrektor widzi że to są żądania ogółu nie samych delegatów zgodził się na żądania i przez to strajk trwał tak krótko.

Z życia Polonji Chicagoskiej niewiele się da zanotować żyli jak wszędzie życiem gorączkowym. To jest każdy tylko gonił za tem dolarym, życie towarzyskie nie było tu prowadzone z małemi wyjątkami. Przyczyna zda mi się jest ta że emigracja Polonji była stosunkowo młoda, która rekrutowała się przeważnie z biedoty wiejskiej gdzie brak pracy lub nędzne wynagrodzenie za takową wyganiały za chlebym. Robotnik z większych miast miał w kraju lepsze płace więc nie kwapił się emigrować. Dopiero wojna rosyjsko-japońska i późniejsze ruchawki rewolucyjne wyгнаły z kraju trochę intelegencji, którzy nie chcieli iść dobrowolnie na mięso dla armat japońskich, a później nie chcieli wędrować dobrowolnie na Syberyję woleli jechać do ziemi Waszyngtona. Tak było do mojego przyjazdu tu w Ameryce że nawet nie było zwyczaju mówić sobie pan pani tylko wy albo poprostu ty. Jeżeli przyjechał jakiś intelegient na ziemi jonkiesów to zazwyczaj osiadał gdzieś pomiędzy amerykańskimi nie wiem czy też z rozmysłem czy prosto wstydziło go to prostactwo dosyć że życie tu w Chicago polaków nie oznaczało się tu niczem ważnym. Oprócz duchowieństwa które jak później naobserwowałem kierowało się po większej części sprawą materjalną niż duchową polaków, różne duchowne zakony wysyłały swych zakonników na tereny osiadłe przez polaków zrazu wzywane do pomocy przez niemieckie i irlandzkie zakony a już później sami na swe rękę zaczęli zakładać nowe parafije. Co zauważyłem to że duchowni nie kierowali się wygodą katolików a niejako rywalizacją zakonów pomiędzy sobą co świadczyło to że w tej parafji do której ja należałem kościół sąsiedniej parafji w której już byli księża zmarłychwstańce oddalony był nie dalej jak 300 metr. I takie rzeczy się działy naprzykład że niejednyn katolik zeszedł ze świata nieopatrzony św. sakramentami chociaż duszpasterz był oddalony czasem nie dalej jak dwadzieścia kroków. Ale ten katolik może przez niedbalstwo może przez skąpstwo albo i z biedy czy z jennych jakich pobudek nie złożył datku 5 do 8-mi dolar. rocznie i nie dostał księżeczki parafialnej. Mój brat i siostra wychowani w domu tem samym co i ja a więc gdzie bezkrytycznie wykonywało się wszystkie praktyki religijne. Tem samym wierzyli ślepo w to co jem do wiadomości podawał ksiądz czy to z ambony czy z konfesjonału. Ja będąc znacznie dłużej już na Chicagowskim bruku znałem już słabostki kleru katolickiego i zacząłem już pojmować że człowiek takim jest ja-

kiem jest czy on się chowa gdzieś w głuchy wsi czy w ludnym mieście czy to w pobliżu karczmy czy kościoła czy wychowany w domu bezbożników czy nawet w sominarze duchownym zawsze będzie miał ten sam pęd do użycia życia tu na ziemi nie oglądając się co będzie poza grobym. Tak samo są ludzie wychowani tak że mało słyszeli o Bogu i życiu pozagrobowym pomimo to lękają się czegoś i żyją tak aby nie cierpieć wiecznie w życiu wiecznym. W mym tułaczym życiu znałem już takie jednostki że bluźnili niemożliwie Bogu i wszystkiemu temu co się tyczy wiary religii a życia pozagrobowego wcale nie uznawali. Ale gdy byli w niebezpieczeństwie utraty tego życia najbardziej troszczyli się o to że zejdą z tego świata niepojednani z Bogiem. A spotykałem takie jednostki że zawsze ich myśl ich czyny ich prace zaczynali z Bogiem a przy zgonie niebardzo się interesowali że nie mają sposobności pojednania się z Bogim. Otóż brat i siostra byli przy mnie i niejednokrotnie słyszeli ode mnie słowa krytyki pod adresem księdza który nie liczył się z tem że jego czyny nie licują wcale z jego suknią duchowną ale że nawet zwyczajny katolikby się wstydził takich uczynków. Brat lub siostra nazywali mnie bezbożnikiem masonym socjalistą. Ja jem odpowiadałem słowami ewangelisty że kto widzi że ktoś grzeszy i mu nie przeszkadza grzeszyć, sam z nim wspólnie grzeszy, ja wierze więcej w Boga i jego św. przykazania a wy wierzycie więcej w księdza bo go widzicie tu na ziemi, nie wnosicie się myślą do stwórcy, nie odróżniacie co jest złe a co dobre. Zawsze był między nami antagonizm gdy przyszło rozmawiać na ten temat. Aż razu pewnego poszli na sumę, ja zazwyczaj chodziłem na ranne nabożeństwo z żoną bo nie lubiałem kazań które były wygłaszane dla ludu ale księży nie obowiązywały, chociaż ich było 10-ciu, zaledwie jednego uważałem za księdza, reszta żyła tylko dla dolara. Gdy przyszli z kościoła, brat podchodzi do mnie podaje mi rękę i powiada masz rację Jaśku że krytykujesz czyny niektórych księży, od dziś przyłączam się do ciebie. No co się stało kto cie tak uświadomił może ks. Gordon miał kazanie i takieś się jego kazaniem zbudował. Odzywa się siostra, właśnie odgadłeś że ks. Gordon miał kazanie ale nie on przyczyną chociaż widział całe zajście i nie rygował na taki czyn tych sługusów. Ja mówię kończ sługusów księży. Rzecz się miała tak: w Ameryce zaprowadzony jest zwyczaj i to nie dla chwały Bożej tylko dla zysku że po kościołach na całym kościele gdzie się tylko da ustawione są ławki pozostawiając zaledwie przejście pomiędzy ławkami. W niektórych kościołach jest zaprowadzony zwyczaj że są ustawione stoliki przy wejściu i sprze-

dają bilety tak jak do teatru z oznaczeniem numeru ławki i miejsca w ławce. W niektórych znów ludzie wchodzą do kościoła zajmują miejsca a gdy już nabożeństwo się zacznie takie sługusy wychodzą na kościół i zbierają po 10 centów od osoby. A że ławki dosyć długie więc trudnobyj im było dostać więc każdy ma do zbierania tych pieniędzy taką torebkę na dość dużym kiju. Księża prawie co niedziela przypominają żeby ludzie nie zajmowali miejsca w przejściach że to nibyto tamują przechód po kościele że kto nie ma dla zapłacenia ławki to tam na przodzie są cztery ławki które są wolne od płacenia. Ale i tu leży cel, te darmowe ławki były na przodzie na samym widnym miejscu przez to te ławki były zazwyczaj puste, kto chciał iść na widownie że ja nie mam pieniędzy na zapłacenie ławki. Przez to w te niedziele zdarzył się taki wypadek że jakiś człowiek zaszedł do kościoła nie zajął miejsca w ławce tylko klęknął na kolanach i gorliwie się modlił cały czas klęcząc tuż przy tej ławce gdzie siedział brat i siostra. Gdy nadszedł anioł stróż od 10 centówek każe mu zająć miejsce w ławce, jak nie ma pieniędzy pokazuje mu puste ławki wyznaczone dla biedaków. Ten człowiek miał odpowiedzieć że ja nie przyszedłem na przedstawienie tylko się pomodlić a modlić ja się modle tylko na kolanach. Tak że go wygania z kościoła, brat widzi co się dzieje wyjmuje 10 centów i płaci temu sługusowi ale nie pomaga wyganiają owego człowieka z kościoła, wzięło ich dwóch bo i ten co zbierał po drugiej stronie też mu pomógł i wyparli owego czelczyne z kościoła, na dobawek przez swą gorliwość zepchli go z dosyć wysokich cementowych schodów gdyż na dole też był kościół dolny, tak że człowiek miał rozbity nos i czoło, krew zboczyła schody kościoła. Ja mówię no i co myślicie o tem, brat mówi ja już więcej do kościoła nie będę chodził. Ja mu odpowiadam nie przejmuj się tem co źli księża wymyśleli ale czy na tym ma ucieść nasza religija, siostra mówi toby było nic ale ksiądz Gordon miał akurat kazanie na temat jak powinniśmy miłować bliźniego i widział te popychanie tego człowieka i ani słowem się nie odezwał. A czy ty myślisz że ks. Gordon jest lepszy czy gorszy, nic a nic, to jest cały system zły. Ale tem się nie zrażaj nie patrz na złe czyny księży, tylko żyj jak ci sumienie mówi i stosuj się do ewangelji bo ewangelja dotychczas jeszcze mało sfalszowana. A o tem żebyś nie chodził do kościoła to mowy być nie może bo to już wyssałeś z piersi swej matki i byś sobie zrobił niepowetowaną krzywdę, najwięcej co możesz zrobić to nie płąć i grosza nie dać dobrowolnie. Moja siostra aż mnie ucałowała zato że ją pocieszył że niema sobie brać do serca tego że jest zły

sługa ale pan jest dobry, to nam mówi każdy przedmiot. Otóż bolesne to wspomnienie o tem przedmiocie spominać. Ale nie mogłem pominąć to tak z tego powodu że całe życie polaków grupowało się wokół kościoła, kto zajechał gdzie do jakiegokolwiek miasta i chciał się dowiedzieć gdzie zamieszkają polacy, pierwszego lepszego policjanta się zapytał gdzie tu są polskie kościoły to już tam znalazł polaków.

Pracując nadal w warstatach kolejowych straciłem apetyt do jedzenia że tylko z przymusu coś jadłem aby nie stracić siły do pracy, na wadze zlekciałem o 40 funtów w ciągu roku. Udałem się po poradę do lekarza, poradził mi abym zmienił prace bo w tej pracy za gorąco dla mego organizmu. Przez to robiłem do końca miesiąca i poprosiłem o zwolnienie. Gdy mnie zwolnili z tej pracy gdzie przepracowałem prawie trzy lata, udałem się do pracy na farmy do Stanu Wiskonsin. Tam dostałem prace u farmera amerykańskiego, który miał dosyć dużą farmę ponieważ miał czterdzieści krów dojnych oprócz jałowizny. Około setki świń, dziesięć koni, dwa samochody, kur przeszło 1000 sztuk oprócz kogutów a indyków przeszło setka, było to na wiosnę gdzie kury się najlepiej niosły. Moja praca na owej farmie była taka. Po wstaniu o godzinie szóstej, taką miałem zgodę ale ja wstawałem raniej razem ze słońcem, najpierw pootwierać kurniki, powypuszczać ptastwo i udać się do krów gdzie trzeba było wydoić 10 krów gdyż nas było czterech to na każdego przypadało 10 krów. Po wydojeniu krów i zlaniu mleka do kan^{*)} zśliśmy na śniadanie. Śniadanie składało się — chleb pszenny biały jak u nas bułka, masło i ser lub zimne mięsiwo co kto chciał. Po śniadaniu ja siedłem do kur gdzie szykowałem karme i nakładałem w koryta, karma składała się z kartofli, mąki kostnej i rybiej i suszonej krwi i zielenizny zerznętej miałko na specjalnej maszynie. Gdy ponakładałem kurom karme w korytka, karme miałem wydane na cały dzień a dzieliłem na dwie połowy jedne połowe dawałem od rana, drugą około pół czwartej i po napuszczeniu świeżej wody siedłem do kurników i wybierałem jajka których było przeciętnie dziennie około 700 sztuk. Gdy już wybrałem jajka, zamiałałem kurniki i znów siedłem doić krowy, kończyli wydój około pierwszej w południe, śliśmy na obiad, do obiadu siadaliśmy do dużego stołu gdzie była zgromadzona cała rodzina i służba. Gdy już byli wszyscy zgromadzeni przy stole, powstawała pani domu i my wszyscy za nią gdzie przeżegnawszy się odmawiała modlitwy,

*) t.j. can = naczynie.

my powtarzaliśmy za nią. Gdy już odmówiliśmy modlitwę każdy zajmował swe miejsce, pani domu naliwała każdemu zupę i zaczynaliśmy jeść razem, chleba i masła było zawsze pod dostatkiem na stole, po zjedzeniu zupy mięsa brał każdy tyle co zjadł gotowane późni pieczone po pieczonem mięsie owoce albo coś słodkie coś w rodzaju leguminy, potem co kto chciał do napicia przy obiedzie woda była na stole w karafkach, a po obiedzie piwo herbata czy czarna kawa, w piątki pościliśmy o ile to było można nazwać post bo potrawy przyrządzone postne jeszcze bardziej smakowały jak mięsne tylko że za dużo cukru używali do potraw nie tylko postnych ale i mięsnych. Po skończonym obiedzie było pół godziny drzemka następnie każdy szedł do swych zajęć, ja znów szedłem do kurników kończyłem czystkę, te kury które chciały siedzieć oddzieliłem które były przeznaczone na nasiadki niuśłem do osobnego przedziału gdzie oddawałem kobiecie do tego przeznaczonej, a te które nie były na nasiadki odnosiłem do specjalnej klatki i dwa razy dziennie robiło się tam kurom kąpiel specjalną sprycą, po kilku dniach się wypuszczano do gromady, nad wieczorem gdy już kury poszły na spoczynek dostawałem ziarno wydane na cały dzień i to ziarno składające się połowa kukurydza a druga połowa poślad od pszenicy jęczmienia owsa i oleiste ziarna zmieszane razem, rozsiałem to po placu gdzie leżało nasypanego grubo ziarnistego piasku, po rozsianiu brałem takie dosyć duże grabie i zagrabiłem to ziarno czyli zmieszałem to wszystko z piaskiem. Naturalnie plac ten był ogrodzony płotem z siatki drucianej że kury nie mogły się rozlaźić po polu. Po wypuszczeniu ich rano szły na plac w ten piasek i cały dzień pracowały tam drapiąc niemiłosiernie w tem piasku. Pod owymi kurnikami od strony południowej była taka szopa gdzie też było dużo piasku ale już miękkiego i pozakładane były liczne grzędy w razie niepogody albo zimową porą kury chroniły się pod ową szopę, wieczorem znów wydoiliłem krowy, szliśmy na kolację która się składała z jakiejś kaszy ryżowej jęczmienny owsiany pszeniczny czy ja wiem jeszcze jakiej, codzień w tygodniu była inna naturalnie dobrze słodzona i mięso pieczone, no i herbata piwo lub kawa, po kolacji pani domu odmówiła modlitwy wieczorne stojąc i udawaliśmy się na spoczynek na piętro gdzie mieliśmy swe posłania. Po kolacji jeden do tego przeznaczony odwoził na stację kolejową dzienny wydój mleka iienne jajka które były pocyhowane data i taka pieczotka znak tego farmera z dwiema literami jego nazwiska, na tej farmie przerobiłem dwa miesiące i się zwolniłem, zarobiłem za

dwa miesiące 70 dolarów i całkowite utrzymanie i opranie. Farmer gniewał się na mnie że go wnet opuszczam chciał mi dołożyć 5 dolarów na miesiąc. Ale że to była dosyć ucieźliwa robota i święto czy nie święto jednakowo trzeba było pracować. Za te dwa miesiące nie byłem w kościele po jedno że katolickiego kościoła w pobliżu nie było a powtórnie nie było czasu ponieważ roboty było dużo oprócz codziennych moich czynności, raz w tydzień musiałem rozmącić wapna i specjalną sprycą wyszprycować tem wapnym w kurnikach i lasowane wapno trzeba było suszyć a późni rozrzucać po placu gdzie kury dziobały, te kurska toby mnie ogłuszyły na tyła kur to takie gdakanie co niemiara, a u somsiada tego farmera było jeszcze więcej kur bo około trzech tysięcy. Ten farmer siał tylko takie zboża które mu były potrzebne do wyżywienia jego inwentarza i ptastwa. Miał ziemi 500 akrów ale dużo obsiewał nie dowiedziałem się, dużo było pozostawione na pastwisko na siano. Ale musiało mu się nieźle powodzić ponieważ dwie córki i syn byli w wyższych szkołach w Chicago a jeszcze jedna córka i najmłodszy synek byli w domu, te ze szkół przyjeżdżali co druga sobota wieczór a odjeżdżali ranko w poniedziałek, miał też samochód do wyjazdu. Ale jakby kto zaszedł w powszedni dzień i zastał przy stole toby nikt nie poznał kto tu pan, jednako byliśmy ubrani. Religji byli jak sami mi mówili że są kwakry, jaka to religja nie znam takiej. Narodowości nazywali się że są jenkiesami ale z jaki narodowości ich przodkowie pochodzili nie mówili, ja tylko tak przypuszczam że to byli ich przodki Holendrzy. Nudziło mi się tu ponieważ chociaż to była wiosna ale nie było słychać śpiewu ptasząt ani skowronka ani słowika wogóle te wędrowne ptaki co od nas wędrują na zime w cieplejsze kraje tu ich niema. Nawet ten nasz szkodnik który tyle psoty robi naszemu kmiotkowi tu nie świergoce nie wim czy go tu wogóle niema czy co żem go tu nie spotkał tego naszego szarego wróbla. A najbardziej mi się nudziło bez książek i gazet polskich chociaż mi żona nadsyłała wycinki z gazet które były ciekawsze ale zawsze to było nie to co żyć w mieście i mieć świeże wiadomości. Chociaż urodziłem się na wsi i całe moje marzenie było aby kiedyś dorobić się na tyle żeby kupić sobie było można parę mórg ziemi ale amerykańska ziemia mie nie nęciła obca mi była czy co że bodaj nigdy jej nie mógłbym pokochać. Gdy w niedzielę mając trochę wolnego czasu poszedłem do pobliskiego lasu gdzie tu było smutno i cicho gdy wyszedłem z lasu kładłem się na łące, wpatrywałem się w niebo i rozmyślałem to ziemia i tamto ziemia to samo słonyszko

świeci i prawie jednakowo ogrzewa jak u nas na Kujawach, dlatego to tamta taka kochana że prostobym tarzał się w niej i całował a ta mi obojętna nawet nie miła i nie chciałbym swych kości złożyć w te ziemie nie miłą mi. Bardzo mi dziwno, klimat w Stanach Illinois i Wiskonsin jest taki sam jak u nas na Kujawach, te same opady deszczowe, wiatry grzmoty, nawałnice, zima zaczyna się w tym samym czasie co u nas, wiosna tak samo. A jednakowoż niewszystko tak jak u nas. Naprzykład letnią porą chociaż niema większej gorączki jak na Kujawach, zdarzają się częste porażenia słoneczne tak między ludźmi jak i między końmi. A słońce zda się że jednak chodzi na firmamencie, jednakowoż zimą tu jest dłuższy dzień jak u nas o tej porze a latem krótszy, letnią porą u nas po zachodzie słońca wolno się ściemnia tak że jeżeli jest jasny dzień bez zachmurzenia to wyjdzie blisko godzinę zaczem się całkowicie ściemni a w Ameryce po zachodzie słońca prędko się ściemnia tak że nie wyjdzie 15 minut od zachodu słońca a już całkowicie się robi ciemno jak w nocy, w mieście to się tak nie zauważało bo światło się świeci ale tu to mi się dziwnym wydało.

Ostatecznie musiałem wszystko porobić co się tyczyło mej pracy i przyszykować karmę na niedziele dopiero mi wypłacił i kazał mie odwieźć do kolei ponieważ było ciemno. Przyjechałem do Chicago na godzinę pierwszą. Po rozejrzeniu się w mieście przez pare dni mój kumoter który był z zawodu blacharz, pochodził z Warszawy namówił me żebym z niem poszedł do fabryki budowy wagonów jako blacharz że bardzo dużo potrzeba blacharzy. Usłuchałem go i pojechałem z nim, podałem się jako blacharz i prace otrzymałem, na drugi dzień stawilem się do pracy z narzyndziomi drobnymi jak nożyce młotki mesle dorniki i inne drobne narzędzia. Zostałem przydzielony do lutowania. Była to fabryka budowy słynnych na cały świat wagonów sypialnych. Naturalnie budowali nietylko sypialne wagony a i wagony restauracyjne i proste pasażyrskie na obstalonek i innych kompanij ale i wagony tramwajowe i dużo budowali wagonów chłodni i rozmaitych do przewozu zboża jak i węglarek. W tem czasie co ja tam pracowałem została wykończona nowa przybudowa i ja w niej pracowałem. Można sobie wyobrazić ogrom fabryki że podwórze fabryczne które się mieściło nad brzegiem jeziora Kolumet które było tylko odnogą jeziora Mychigan ciągnęło się przeszło trzy kilometry wzdłuż a jeden kilometr wszerek, ten nowy budynek w którym ja zaczął pracować był tak duży że wewnątrz tego budynku było placu 9 mórg polskich. A pracowało

nas robotników 19 tysięcy na dzień i 3 tys. nocnych razem 22 tysiące ludu pracowało, możecie sobie wyobrazić jak o pół do szóstej gdy się kończyła praca jakie strumienie ludu wyległo sześcioma bramami, oprócz sześciu pociągów oczekujących na robotników i tramwaj które odchodziły w różnych kierunkach jak okiem sięgnąć strugi ludu zdążające różnemi ścieżkami i ulicami do swych domostw. Najpierwsza moja praca była lutowanie na dachu wagonów blachy żeby deszcz nie zaciął i woda nie dostawała się do środka. Pracowałem 14 dni, przy tej pracy było nas trzynastu blacharzy, na godzinę mieliśmy 35 centów, praca była akordowa zarobiło się i do 40 centów. A że te wagony były już na kołach na wykończyniu więc często przetaczali te wagony z miejsca na miejsce tak że musieliśmy pięć i więcej razy przenosić się z drabinami i tem piecykiem co grzaliśmy lutajzy. To blacharze się zbuntowali i poszli do supredenta żeby wagonów tak nie przetaczali co godziny albo żeby nam dał więcej od wagona ponieważ tem ciąglem przenoszeniem tracimy dużo czasu i mało zarabiamy. Supredent nie chciał słuchać o tem i zrobili strajk, no i mnie zmusili. Supredent się rozgniewał i kazał nam wypłacić co się należy i wyjść za brame. Ja otrzymałem zapłatę policzyłem wiele miałem godzin wyszło mi zgórą 41 cent na godzinę, żal mi się zrobiło bo dotychczas jeszcze nie miałem tyła na godzinę pracowałem od siódmy rano do pół szósty wieczór, 3/4 godziny było obiadowe a w sobotę robiłem do 12 minut 15 tak że w tygodniu mieliśmy 54 godziny przerobionych. No ale trudno stało się, poszłem do miasta i szukam pracy, w tem roku praca szła dobrze tak że nie było trudności pracy dostać, zaraz na drugi dzień otrzymałem pracę w fabryce budowy automobilów jako kowal z płacą 38 cent. na godzinę. Pracowałem cztery dni, piątego dnia przychodzi do mnie jeden z robotników który tu pracował i powiada jesteś junimen to jest związkowiec, każdy związkowiec nosił oznakę związku w dziurce marynarki, ja mówię że tak, a więc pracujesz tu a tu jest strajk, ja dorobiłem do południa i idę do bossa melduje że nie pracuje dłużej ponieważ dowiedziałem się że w tych warstatach jest strajk, nie chciał mi wypłacić żebym robił że strajk był kiedyś ale to już przeszło trzy miesiące temu. Ja mówię: niechcesz zapłacić to idę na policyję. A tu było takie prawo że jeżeli pracodawca nie chciał wydać zapracowanych zarobków a udać się było na posterunek policyji, z posterunku policyji wysyłali jednego policjanta który sprawdzał czy robotnik pracował prawdziwie, jak się policjant przekonał że robotnik praco-

wał żądał żeby mu było zapłacone, jeżeli pracodawca wypłacał robotnika to i policjantowi musiał wypłacić 2 dol. za droge jako koszt służbowe i sprawa się kończyła a jeżeli nie chciał pracodawca zapłacić, policjant robił protokół który musiał podpisać pracodawca i dwóch świadków i brał robotnika na posterunek i tu mu komendant posterunku wypłacał jego zarobek a jak się kończyło to ja nie wiem bo już robotnika nie wzywali do sądu. Otóż gdy mówię że pójde na policyje zaklął i powiada: dobrze przyjdź za godzinę dostaniesz, tak też poszłem do resteuracji na obiad po obiedzie przychodze wypłacił mi i znów jestem bez pracy. Była to sobota w poniedziałek postanowiłem udać się napowrót do fabryki Pullmana, tam była praca lekka i można było dobrze zarobić. W poniedziałek pojechałem, stanulem przed biurym czyli offisem bo tak tu nazywali, chociaż pracy było wszędzie poddostatkiem i robotnik był poszukiwany ale tu codziennie stało za pracą około 400 chłopów. Ale rzemieśnicy mieli ten przywilej że nie potrzebowali stać przed offisem i czekać aż wyjdzie i szuka robotników ale mogli się sami zgłaszać do offisu i tam się spytać czy nie potrzeza takiego a takiego rzemieśnika. Ja też tak zrobiłem, stróż przy bramie mnie przepuścił gdy mu oznajmiłem że jezdym blacharz, wchodze do biura pytam się czy nie potrzeza blacharza, odsyłają mnie do drugiego pokoju do urzędnika który miał polecenie przyjmować robotników. Stanyłem przed nim i pytam się czy wy potrzebujecie blacharza odpowiada jes to znaczy tak, robiłeś tu już przedtem, mówię tak, jaki był twój numer mówię 18663, dlaczego robote rzuciłeś? Bo zamało zarabiałem, a czy ty jesteś dobry blacharz pierszy klasy, ja mówię tak jest. No to ja ci dam prace dobrą i dostaniesz 45 centów na godzinę a jeżeli będziesz robił pis work *) zarobisz więcej stosownie do zdolności. No i mnie zapisał i na drugi dzień stawilem się do pracy zostałem przydzielony do warstatu blacharskiego gdzie wyrabiali najlepsze roboty z blach aluminiowych koprowych mosiężnych nyklowych i tak zwane niemieckie srebro no i takie blachy biała cynkowa i pocynkowana, czarny tu nie było, tu wyrobiali wszystko to co było potrzebne do wagonów resteuracyjnych. Zaczulem robić ale przecie o blacharstwie nie miałem pojęcia, do tego do wszystkiego były przystusowane odpowiednie maszyny a ja nie znałem ich zastusowania. Robił obok mnie jakiś słowak daje mu 5 dolarów żeby mi pokazał jak używać tych maszyn ale nie chciał.

*) piece work = robota na sztuki.

Naciulem blachy ale nie potrafię nic z niej zrobić, ide do przełożonego tego warsztatu i mówię mu że ja tu nie będę robił ponieważ ja nie znam się na maszynach ja jestem blacharz ale ręczny a maszyn nie umie użyć. Ale przełożony czyli furmen*) jak tu nazywają: rób nauczysz się, ide i znów się trudzę sam ale nic nie umie wymyślić, przerobiłem tak 7 godzin widzę że nie poradzę nic jeszcze mi każą za te blache zapłacić com napsuł więc zbieram swe manatki i ide do furmena żeby mi dał przepustkę przez brame bo bez przepustki waćman**) (stróż) nie wypuścił. Ale furmen nie chciał mi takowy dać, ide do biura supredenta żeby mi dał przepustkę, pyta się dlaczego, ja mu odpowiadam że jestem chory. Kazał mi napisać przepustkę, wychodzę ale widzi że ja zabieram ze sobą narzędzia, pyta mi się dlaczego zabieram? Ja mu odpowiadam: a bo ja wiem kiedy będę zdrow, a zarobione pieniądze? ja mu odpowiadam: że już nie mogę czekać za pieniędzmy. Miałem czasu dosyć ale bałem się żebym nie musiał zapłacić za blache której naciulem a nic nie zrobiłem. Ale supredent mi mówi, ostaw swój adres to ci odeślimy, powiedziałem swój adres jednemu z klerków (pisarczyków) i aby się wydostać za brame. Za dwa dni otrzymuje przez pocztę 3 dol., żal mi takiego zarobku, ide poraz trzeci przed offise ale już nie wchodzi do środka tylko spokojnie czekam na placu a że było lato więc można było poczekać. Wychodzi przyjmuje kilkadziesiąt robotników i różnych stolarzy cieśli tapicerów ślusarzy nareście woła blacharzy. Ja się zgłosiłem, zostałem przyjęty do pracy poraz trzeci ale już nie powiedziałem że jestem blacharz pierwszej klasy. Na drugi dzień stawilem się do pracy i zostałem przydzielony do partji, która obijała blachą cenkową wagony lodownie czyli chłodnie. W tej partji było nas przeszło czterdziestu blacharzy, ja naznaczony byłem do wycinania, dwóch cechowało a nas sześciu wycinało podług cech, inni znów wyginali a znów inni obijali lutowali całą partję, mieliśmy pis work. Ale od tego cięcia blachy od nożyc to mi krew z rąk szła tak mi się ręce od nożyc pokaleczyły poodciskały bo trzeba się było śpieszyć żeby też nie być ostatnim do pejdy (wypłata), tak przerobiłem dwa miesiące przy nożycach, później mnie wzięli do maszyny a znów świeżych naznaczyli do nożyc. Na maszynie robiłem tylko dwa tygodnie a późni znów dali mnie do lutowania, znów więcej jak dwa miesiące byłem przy lutowaniu. Przy

*) t. j. foreman.
**) t. j. watchman.

lutowaniu wypotrzebowałem przeszło 5 kilo cyny dziennie. Później nie było tyla wagonów chłodni do budowy więc zostałem przydzielony do budowy tramwai. Tam przede mną pracowało kilkadziesiąt blacharzy ale się wycofali z tej roboty z powodu tego że to była robota nowo wymyślona i tylko był rysonek że ma być tak wykonana ale w praktyce nie dało się to tak zrobić a nikt nie pokazał że to ma być tak zrobione a tylko jak przyszła kontrol napisała Fixe (popraw), ale jak poprawić to nikt nie pokazał. Otóż i mnie tam posłano pewnego dnia, robiło nas 7 te robote ale że na pis work nikt nie chciał robić bo płacili tylko 3 dol. 50 cent. od dopasowania blachów na przodzie i wtyle wagonu żeby dzieciarnia się nie uwieszała jak tramwaj w ruchu. Ale co zrobiłem, widzimy napis Fixe, nieraz już było wymalowane i to trzeba było zrywać, codziennie się zmieniali blacharze i codzień było gorzej. Tak przerobiłem 4 dni i właściwie ani ja ani moi koledzy nie zrobili nic należyście. Co ja namyślał żał mi było porzucić tej pracy a tu nie można zrobić, całymi nocami nie śpie tylko myślę aż czwartej nocy mam głowe nabitą tylko tą myślą, zasnułem wtem przychodzi mi na sen że tak zrób. Wierzyłem w sen ponieważ kilka razy gdy miałem jakie trudne zadanie do rozwiązania przychodził mi zbawczy sen nawet wtedy gdy chodziłem do szkoły. Otóż rano zrywam się z pościeli, wypilem tylko kubek kawy nic nie jedząc i jade do pracy a miałem daleko jeździć gdyż pociągiem jeździłem dwie godziny, przed piątą rano musiałem wychodzić z domu, bo o piątej min. 10 wychodziły pociągi trzy co nas woziły do pracy. Zajeżdżam, biegnę do swego oddziału i szykuje sobie taki ogień jak mi na sen przyszedł a że byłem kowalem sam sobie wykonałem co mi było potrza, na 10 godzinę miałem wszystko zrobione zmontowane, do południa już i na obiad nie zważałem aby tylko się przekonać. Gdy już miałem kotline do ognia gotową połączyłem ją rurą z wiatrym jaki był przeprowadzony do potrzeby przez cały budynek. Przyniosłem kosz węgla drzewnych aby blacha mi się nie przepalała zanałto w jednym miejscu. I przystąpiłem do właściwej pracy to jest do dopasowania należyście tych blach. Gdy blache miałem rozpaloną łatwo mi ją było dopasować używając drewnianego młotka, dopasowałem z jednego końca wagonu przyczepiłem gwoździkami i czekam co tyż z tego wyniknie, czekałem blisko godzinę, przychodzi kontroler przypatruje się obchodzi poszedł nie napisał nic, za jakie 20 minut wraca ale z nim jeszcze dwóch panów. Oglądają opukują i jeden z nich grubas bierze krede i pisze dwie litery O. K. co ozna-

czało dobrze, ja zdala obserwuje ich aż mi serce zabiło żywiej na widok tech dwóch liter. Ale tego dnia już więcej nie zrobiłem bo pozostało mi się tylko pół godziny do pół szósty więc nie chciałem zaczynać. Na drugi dzień dali mi do pomocy żyda blacharza żeby z nim robić i żeby tak było zrobione jak te oto z tego końca, ja mówię furmenowi że ja z żydym pracować do spółki nie chce. Ten furmen był węgier mówi: olrajt róbcie osobno i zacząłem pracować, do czwartego miałem dwa wagony gotowe przyjęte przez kontrol literami O. K. a żyd co zrobił nic mu nie przyjęli. Tego to dnia dostaje kontrakt który mi wręczył furmen na sto wagonów tramwajowych na sume 250 dolarów, ja nie chce przyjąć mówię: chciałem płacić po 350 za sto sztuk i nie chcieli robić a ty mi dajesz tylko 250, on mi mówi że w pierwszym dniu zrobiłem dwa wagony co mam zarobione 5 dol, a jak się wprawie to mogę zrobić cztery wagony, pomyślałem toć zawsze będzie czas na grymasy jak będę widział że nie zarobie swoich dzionki. Żyda wydalili do innej pracy a dał mi do pomocy węgier który miał też kontrakt na dopasowanie blach przy stopniach wagonu żeby się komu noga nie ześlizgła poza stopień i my to we dwóch robiliśmy po cztery wagony dziennie co już z mego kontraktu mieliśmy po 5 dol. a z jego po 1 dol. 80 cen. Ale musieliśmy się spieszyć bo już na placu było gotowych około trzydziestu wagonów co musieliśmy poprawiać. Gdy już poprzerobiałem te wszystkie wagony co przedtem były wykończone nie dobrze, mieliśmy nadrobione około 50 dolarów wyżej jak mogliśmy podać według godzin a w fabryce trzeba było być żeby numer przełożyć z miejsca wolnego na miejsce że robotnik jest przy pracy. Jeżeli było potrzeba wykonać prace to nas pozostawiali po czasie, naturalnie nie robiłem bo i tak mogliśmy w dzień nadrobić ale byliśmy aby mieć więcej godzin pracy. Niektórzy blacharze którzy byli gmyrki i nie mogli wyrobić tyla żeby mogli chociaż pokryć tyla coby na dzionkę zarobili to im pisałem że robią z nami tyla a tyla godzin, w rzeczywistości oni robili swą robotę aby że ten czas co my jem dopisowaliśmy nie pisali że robią swój numer pracy a nasz numer pracy, tak się pomagało, ludzie na wszystko najdą sposób jak obejść jakiś przepis. Mimo to i tak mieliśmy zawsze więcej pieniędzy jak mogliśmy podać bo godzin pracy brakło. Przez to szwendaliśmy się po różnych oddziałach i przypatrywaliśmy się różnej wykonywanej pracy. Pewnych dni gdy kontrakt już się kończył a pieniędzy było jeszcze około 30 dol. za dużo podług godzin, nie było tak co robić więc przez trzy dni stale chodziliśmy po ustępach i obli-

czalim jak też dużo ludzi używa ustępów, otóż odwiedziliśmy ustępy za te trzy dni 16 razy i przy obliczeniu doszliśmy do wniosku że stale w ustępach przebywa przeszło 400 pracowników. Otóż fabryka dziennie płaci ludziom za to co siedzą w ustępach za przeszło 400 robotników, nie licząc ustępów żeńskich i dla urzędników bo tam nie mieliśmy wstępu, licząc tylko dwa i pół dolara na robotnika wypadnie bagatelka 1000 dol. dziennie, co u nas za te pieniądze możnaby opłacić dosyć dużą fabrykę gdzieby mogło pracować 1000 robotników. Ja sądzę że to tak wysoki procent stale siedziało w ustępach że przy pracy nie wolno było palić tytoniu przez to szli do ustępu i tam się zamachnuł chociaż jednym dymkiem. Jak wykonywali prace w poszczególnych oddziałach nie będę opisywał bo do tego trzebaby fachowca a powtóre toby zajęło za dużo czasu to nad moje siły. W początku września naprzykrzyło mi się tak rano wstawać więc zgodziłem sobie mieszkanie na South Chicago bo tu w Pulman nie można było mieszkania dostać chociaż i ze So. Chicago musiałem jechać tramwajem przeszło pół godziny ale z domu wychodziłem 10 m. po szósty.

Było to już w początkach grudnia jadąc do pracy tramwajem mgła była gęsta przejeżdżając przez tory kolejowe chociaż tu spuszczała rampę gdyż ulica była dosyć ruchliwa a torów w tem miejscu było sześć par, do tego konduktor tramwajowy zawsze schodził i wychodził naprzód, dopiero machał, że wolny przejazd, otóż i w tem dniu dojechalśmy do torów rampa podniesiona, konduktor zeszedł na tor machnął ręką że przejazd wolny i motorowy ruszył, przejechaliśmy dwa tory na trzecim trach, pociąg uderzył w wagon tramwajowy, nie wyszło i pół minuty w tramwaju nie pozostało nikogo ponieważ okna wyleciały, przez to chociaż tramwaj był przepełniony jak zwykle gdy robotnicy jadą do pracy ale że wszystkie okna były rozbite więc ludziska wyskoczyli nietylko drzwiami ale i oknami. Ja jak zwykle jadąc do pracy czytałem gazetę więc mnie to najbardziej zaskoczyło to uderzenie tembardziej że siedział od tej strony w którą uderzył parowóz. Gdym spojrział co się stało nikogo już w tramwaju nie było, wyglądałam oknem parowóz stoi i sapi a wagon tramwajowy szedł z wschodu na zachód a pociąg z północy na południe więc gdy nastąpiło zderzenie parowóz uderzył w przód tramwaju zato go tylko obrócił w kierunku południowym, widocznie pociąg był to towarowy i szedł wolno i po uderzeniu tu się zatrzymał, przez to tramwaj się nie przewrócił a zawisł na kołach parowozu, jeszcze meter byłby się tram-

waj wywrócił. Gdy wyrzalem oknem i zrozumialem co się stalo widze że niebezpieczeństwo minyło szukam swej czapki która mi przy zderzeniu zleciała, gdy znalazłem czapkę, widze swego stołownika z obiadu, wzięłem i kieruje się wychodzić gdy policja wkroczyła do tramwaju dwóch z nich wzięło mnie pod ręce i prowadzi do karetki pogotowia, ja protestuje że ja nieranny oni mi pokazują krew na twarzy wtedy to ja sam się przekonałem że mój ranny w głowę a krew lecąc po twarzy wyglądała tak jakbym mocno poraniony po całej twarzy. Ale ja mając żonę w odmiennym stanie gdzie spożdziwaliśmy się rozwiązania łada dzień nie mogłem jechać do szpitala nie uprzedziwszy wpiery żony że mi nic nie jest. Więc stanowczo oparłem się jechać do szpitala tłumacząc doktorowi dlaczego nie mogę się udać do szpitala. Więc z karetki pogotowia przeprowadzili mnie do karetki policyjnej gdzie zebrało się nas 6 osób łącznie rannych których policja odwiezła do domów. W tej karecie znalazł się także i nasz stołownik ślusarz który jeszcze nie miesiąc jak przyjechał z Polski i zaczął pracować tam gdzie ja w tej fabryce a ponieważ miał też daleko jeździć koleją, w fabryce się zapoznaliśmy i prosił mnie żeby mu nastręczyć jakie mieszkanie, ja mu odpowiedziałem że spytam się żony jak ci weźmie to ci jutro powiem. A że mieszkanie mieliśmy obszerne a tylko jednego na stacji przez to żona się zgodziła go przyjąć, w taki sposób od tygodnia mieszkaliśmy u nas i razem jechaliśmy do pracy i na jednej ławie siedzieliśmy ja tylko od okna a on obok. Ale ten ślusarz miał tylko dużego guza nabitego na czole, ale ja przypuszczam że ja siedząc od okna mnie poraniło szkło z rozbitego okna ale jego nie mogło nic tak uderzyć ponieważ tramwaj był żelazny i tylko się zgięła ściana. Tylko prawdopodobnie wyskakując oknem uderzył się sam w łycha a był łysy więc guz był dosyć widoczny. Po przyjeździe do domu posłaliśmy po lekarza który nam zrobił opatrunek naszych poranin. Nie wyszło i dwóch godzin gdzie już całe miasto wiedziało o wypadku i podając adresy pokaleczonych. Przez to do nas co chwila puka ktoś do drzwi gdzie zjawiają się różni agenci od adwokatów. Naturalnie zjawili się i agenci od kompanii tramwajowej i kolejowej aby się dowiedzieć czy mocno pokaleczony i czyby się nie dało ugodzić dobrowolnie bez skargi. Zjawili się naturalnie i lekarze z oboich kompanii gdyż obie kompanie były winne, kolejowa za to że niezamknięta była baryjera a tramwajowa że nie dostrzegł pociągu konduktor. I chcieli nam zbadać nasze uszkodzenia ale my na to nie pozwoliliśmy że mamy swego lekarza jak chcą się dowiedzieć jakie są nasze pora-

nienia niech się udadzą do lekarza który nam robił opatrunek. Agientom znów odpowiedzieliśmy że my dziś nic im nie możemy powiedzieć ponieważ sami nie wiemy czy nie wywiąże się co więcej z tego. Tylko musieliśmy jem przyrzec że nie oddamy sprawy adwokatom dopóki się z nimi nie rozmówimy, ja jem przyrzekłem że do dwóch tygodni nic nie będę robił ponieważ jestem chory i nie wiem jak się długo przeciągnie nasza choroba. A mogłem sobie poleżyć ponieważ i tak 15 dol. tygodniowo miałem z uni i towarzystw. Za dwa tygodnie przyszli agienci i godzimy się pół dnia, my żądaliśmy 500 dol. oni nam dawali 150 dol. na każdego i pokazywali nam kwity że mają już zgode z 18-stu poszkodowanymi którem wypłacili ich pretensyje odszkodowaniowe i tylko jednemu który miał złamane 2 żebra wypłacili 150 dol. Ja ich się pytam co to ma znaczyć że dla nas dajecie odrazu więcej. Agienci mi odpowiadają że kiedy przyjdą do mnie ja czytam książkę lub gazete a więc takiego człowieka trzeba traktować inaczej jak takiego którego się spotka przy kartach lub przy gorzale, po takich długich targach stanęli na 250 dol. każdemu z nas my chcieliśmy 300 dol. Ale więcej nie chcieli dać i na tem się rozstaliśmy, przy odchodzie mówili jak się zgodzimy to możemy przyjść do ich biura w śródmieściu to nam wypłacą. Ja po rozmowie z żoną postanowiłem się zgodzić ponieważ czułem się całkiem zdrow, to pokaleczenie od szkła już się zagoiło tak że i znaku nie było. Ale mój stołownik jeszcze się upierał. Ale ja rano na drugi dzień wybieram się do biura on też ze mną jadzie, pojechalim ja swoje odebrałem 250 dol., pokwitowałem że nie mam pretensji do kompanji a mój stołownik upar się i nie wziął, wyszlim na ulice rozmyślił się i powiada wróćmy się ja też weźme, ja mówie ja tam już nie mam interesu idź sam i odbierz ja tu zaczekam w tej knajpie. Poszedł, niedługo przychodzi i powiada że mu nie chcą dać i prosi żebym z nim szedł, poszedłem z nim i pytam się dlaczego mu nie chcą wypłacić oni odpowiadają że my tylko ze względu na ciebie tyła mu też dawaliśmy ale gdy ty się zgodziłeś on może nas skarżyć do sądu, więcej jak dwie godziny zmitrężyłem zaczęm doprowadzić do ugody, ten ślusarz aż płakał nic nie pomagało nie chcieli wypłacić aż wkońcu udałem się do samego dyrektora i po przedstawieniu mu sprawy że wczoraj się ci dwaj panowie z nami ugodzili obydwoma na taką sume a po przybyciu do biura mnie wypłacili a jemu nie chcą zapłacić, Dyrektor przyszedł do tego pokoju gdzie był ten stołownik i ci panowie agiencji pyta się co to ma znaczyć, oni mu wytłumaczyli jak się rzecz miała, wejrzał na płaczącego ślusarza uśmiechnął się ale ka-

zał wypłacić, ci agienci wypłacili ale nie jemu tylko mnie i ja za niego musiałem się pokwitować. Z biura poszliśmy na pocztę gdzie otrzymane pieniądze przestaliśmy do Polski on 500 rubl. do swej żony a ja 600 rubli do rąk mego teścia prosząc go żeby mi nabył z kawałek ziemi ponieważ poprzednio wysłałem 400 rubli więc prosiłem że może mi coś kupić. A ślusarz taki rad był bo miał naprzeciwko Ciechocinka parę mórg ziemi i koncesyje na przewóz przez Wisłę na tem miał 500 rubli długu więc się cieszył bardzo że mu się tak poszykowało wnet dług spłacić, powiada teraz zarobie com na droge stracił i pojedzie do domu. Po wyjściu z poczty on udał się do swych znajomych a ja do brata pojechałem na Nobel ulice gdzie się dowiedziałem że po mnie telefonowali że żona zachorowała, prędko wracam do domu tu już zastałem drugiego syna.

Tak odbyło się wszystko w porządku, była to sobota, w poniedziałek wróciłem do pracy gdzie nie nazaczyli na moje miejsce innego blacharza tylko ten węgier tak robił sam. To gdy ja przyszedłem musieliśmy cały tydzień robić po czasie do godziny 10-ty wieczór zaczęm wyrobiłim zaległe wagony. Takem przerobił w tej samej pracy do lata. W lecie zaczęli redukować robotników, w pierwszy partji zredukowali trzy tysiące najwięcej cieśli i stolarzy i ze wszystkich oddziałów po trochu. W dwa miesiące później zredukowali pięć tysięcy robotnika o wtedy to wydaliłi sporo ze wszystkich oddziałów i blacharzy sporo poszło precz, wszyscy moi koledzy którzy zaczęli robote w tem roku co i ja wpierw czy później zostali wydalenii, nawet tacy co robili po 5 i 6-ś lat zostali zwolnieni. Niektórzy nic nie mówili tylko zebrali swe manatki i opuścili warsztaty gdzie kilka lat pracowali a niektórzy protestowali że ich wydalonno a takich pozostawiono którzy nawet dwóch lat nie przepracowali i pokazują na mnie że ja pozostałem a przecie robie w tej fabryce dopiero drugi rok. Supredent mówi well *) ten chłop robi te robote co wy wszyscy jej robić nie chcieliście chociaż wam dolara na sztuce dawałem drożej niżeli jemu. Więc ta robota jeszcze jest więc on się pozostaje jak się skończą tramwaje to i on pójdzie precz. Tak robiłem jeszcze trzy miesiące. Potem dostaliśmy urlop bezpłatny dwumiesięczny i wysłiśmy wszyscy świętować, z tak licznej rzeszy robotników pozostało się zaledwie półtora tysiąca dla spisu inwentarza i niektórych robót niezbędnych przy reperacji ich własnych Pullmannskich Slipping cars i resteuracyjnych wagonach. Gdy zaczęlim

*) well = dobrze.

świętować przymusowo w pierwszych dniach świętówki chodziliśmy z wądkami na ryby na jezioro Mychigan i Kolumet no i w rzekach też łowiłem różne nieznane mi ryby. Ale wkrótce nam się to sprzykrzyło. Swędaliśmy się po mieście i zwiedzaliśmy osobliwości przypatrywaliśmy się budowie ogromnego dworca kompanji kolejowej w której wpierw pracowałem Chicago North Western Rail Co., który był budowany w śródmieściu i miał kosztować 22 miljony dol. w tem roku był już na ukończeniu. Ale przy zakładaniu fundamentów pracowałem jeszcze w tej kompanji, mój ty Boże co tam drzewa wpakowali pod fundament, całe takie chojary jak rosły aby tylko czubek zaciesali i brały takie ogromne parowe tarany i wbijali w ziemię nieomal jeden chojar przy drugim gdyż zaledwie odstęp był jeden od drugiego pół łokcia czyli pół jarda jak tu nazywali, na to ubite drzewo dawali dopiero fundamenta cementowe i moc żelaza, kładli całe szyny stare poskręcane w różny sposób układali i przelizywali cementem i to fundamenta były tak wysokie ponieważ wszystkie tory były podniesione do góry aby nie tamowały ruchu ulicznego. Były to olbrzymie budowle o jakich w Polsce po dzisiejszy dzień nie mają pojęcia. Zwiedziłem różne teatry kabarety dancyngi przeogromne składy towarowe gdzie w takim składzie jest wszelaki towar od igły i zwykły spileczki do obuwia mebli ubrań dywanów biżuterji i maszyn nawet i drzewek do sadzenia można dostać tam jest i pieczywo jakie kto zamarzy i wyroby mięsne różnego gatunku i smaku, tam można dostać wszelkiego gatunku żywych ryb ale i różnego rodzaju wyroby z ryb, jednym słowem w takim przeogromnym magazynie jak kto przyjadzie coś kupić to już nie potrzebuje nigdzie więcej szukać tam dostanie i gorzały i wykwinntny obiad i prosty brendy i prosty robotniczy luncz.

Razu pewnego było to już trzeci tydzień urlopu, swędamy się tak po mieście zaśliśmy coś przejeść. Bo tu w Stanach Zjednoczonych była wygoda dla robociarzy ponieważ we wszystkich knajpach czyli salon jak tu nazywali widniał napis free luncz zakąski darmo więc gdy się zachciało jeść poszedł sobie do salonu wypił piwa za 5 centów a najeść się mógł rozmaitości a szczególnie w śródmieściu to były całe stogi różnego mięsiwa ryb śledzi i sera co kto pragnął a ludzi było zawsze pełno boć przecie pijących wszędzie jest sporo to przecie nikt nie patrzy co kto wypije a co kto zje a zresztą chociażby nie wypił prawnie nie może mu nikt zabronić się nawsuwać jeżeli jest głodny ponieważ musiałby napis na szyldzie usunąć że zakąski tu darmo. Otóż gdy się tak raczymy piwem za 5 centów

kuflem tak dużym że ręka się zegnije i owemi darmowemi zakąskami gdzie murzyn w białym fartuchu jak śnieg a sam czarny jak smoła nakłada na talerze porcyje prosto z pół wołu albo z całego wieprza okrasa jak cegła, dziwno mi było jak oni to na stół położą taką bryłę mięsa aż tu naraz patrze otwiera murzyn drzwi w podłodze i belkocze coś w dół, po niedługim czasie wyjeżdża cały wieprz nawet z uszami i ogonem do góry na wiendzie, całutki wieprz czy świnia aby tylko wnętrzności wyjęte a to cały zgotowany. A ów murzyn po umieszczeniu go na ogromny tacy koprowej kraje go nożem i nakłada na talerze a wiara zmiata, co kto lubi nakłada sobie sam. Otóż musze i to już napisać że tu w Chicago był taki zwyczaj że kto wołał gorzały to go się pytali za ile: były kieliszki 5-cio, 10-cio, 15-sto, do 25-ciu centowe otóż kto prosił za 5 centów nalewał sam karczmarz jak wołał za 10 centów to już nie lał sam a stawiał przed każdym dwa kieliszki i butelke, każdy sobie nalewał sam a w drugi kieliszek nalewał tak zwaną popłóczkę czy to piwo czy czystą wodę czy to lemonjade co kto sobie życzył. I to było w ich interesie ponieważ on stawiał kieliszek 10-cio cent. czy kto nalał pół czy nawet mniej niż pół jak pił w licznym towarzystwie a nie chciał się upić czy nawet parę kropli na dnie wszystko jedno płacił 10 cent. ja tam droższy nie pijał jak 10-cio cent., chyba że chciałem się napić rosyjski monopolki to trzeba było zapłacić 15 cent. Więc gdy tak sie raczymy w salonie wpada chłopak i wrzeszczy Chicago Dejli Nius^{*)}). Ja mówie dawaj, tu jeszcze były mokre prosto z pod prasy, czytam najpierwsze drobne ogłoszenia gdzie jest ogłoszenie na poszukujących robotników, wpadło mi ogłoszenie że pewin wielki skład czyli store jak tu nazywają poszukuje stolarzy na pięć sześć tygodni. Ja mówie do swego ciotecznego brata chodźmy. On odpowiada ty kowal ja kowal, wprawdzie ja przeszło rok pracowałem jako cieśla ale ty nie masz pojęcia o tej pracy. Co ty gadasz czy to święci garki lepią a przecie w tylek nie dostaniemy jak się nie wywiążem ze swej pracy jazda idźmy i poszliśmy, wyszukaliśmy menażera który przyjmował robotników pytamy się, myster^{**)}) poszukujesz stolarzy, on odpowiada tak jeśli wy jesteście stolarze odpowiadamy jes syr! Dał nam deklaracje wypełniliśmy, wypełnilim gdzieżem pracowali w ostatnich trzech miesiącach, nie żąda żadnego świadectwa, nic, oddaliśmy deklaracje przeczytał podpisał powiada, zgłoście się jutro do

*) Daily News, t. j. Nowiny Codzienne.

**) mister = pan, yes sir = tak panie.

pracy z narzędziami na godzinę 8 rano. Masz djable kaftan a ja tu narzędzi nie mam ale mój kolega ma, to jakoś sobie damy rade, reszcie pożyczyłem, do skrzyneczki zapakowałem i jazda do pracy, śmiejemy się sami ze siebie co my za stolarze ale nadrabiamy miną, zgłosiłem się na oznaczoną godzinę dał nam przewodnika, ten zabrał nas z sobą zaprowadził do elewatora winda pomknęła w minucie na 17-te piętro i tam się zatrzymała, wysiedliśmy i tam nas zaprowadził do warsztatu. Stolarzy tu stale pracowało 15-stu a 5-ciu nas jeszcze przyjął do pomocy. Rozebraliśmy się, rzeczy zawiesiliśmy do szafki, nadzieliliśmy sobie oberholzy*) i zaczęliśmy pracę, pracowałem do pół szóstej, nasz furmen dał nam po 25 centów na podwieczorek i żeby na 6-ste być przy pracy, mogliśmy i tam zjeść obiad czyli luncz ale woleliśmy iść do Czecha Czerwienki gdzie grzmotnyliśmy sobie kielich czystej za 10 cent. za 5 kufel piwa a najeść się to przecie luncz free. O godzinie 6-szej stawiliśmy się znów w warsztacie więc teraz zaczęła się właściwa praca ponieważ magazyn czyli store był zamknięty o 6-szej, kupujący i wszelaka obsługa opuszczała store aby tylko stolarze blacharze elektrotechniki pracowali wieczór zrywaliśmy podłogi zakładaliśmy nowe niektórzy reperowali stoły półki przegrody tak robiliśmy do 10-ty wieczór. Pracowaliśmy tam tak długo aż nasza fabryka ruszyła to jest 7 tygodni, chociaż na godzinę mieliśmy tylko 33 centa ale że robiliśmy dużo godzin nawet i w niedziele od 6 rano do 12 w południe to i tak zarobiłem nieźle, w każdym razie było koźzystni jak chodzić z wądką na ryby.

A najbardziej to było dobre że dowiedziałem się jak można coś kupić za pół ceny a nawet i taniej. Był to wielki magazyn pod nazwiskiem Fajare Store gdzie tak samo był wybudowany na całym bloku jak i biblioteka gdzie wejście było z trzech ulic, w graniczny uliczce zajeżdżały tylko furmanki na one czasy jeszcze nie używali samochodów to samych lekkich wozów po jednym koniu, którzy odwozili zakupiony towar po mieście, było 30-ści nie licząc ciężkich które przywoziły towary z magazynów które stały przy torze kolejowym i kanale z drugiej strony, to towary różne przychodziły i okrętami pod magazyn i koleją a z magazynu dowozili już ciężkimi wozami. Można sobie mieć wyobrażenie o wielkości takiego składu gdzie samych subiektów było zgórą tysięcy osób obojej płci. Na dolnym drugim piętrze pod ziemią mieściły się warsztaty o dużym huku

*) t. j. over-alls = nogawice naciągane na spodnie podczas pracy.

jak kowale kotlarze ślusarze blacharze no i tu się mieściły maszynierja dla wyrobu elektryczności i piece centralnego ogrzewania. Mnie wieśniaka to bardzo dziwiło to że tak mało zważali na to że taki pracownik może coś wynieść ze sobą. Naprzykład w mieście Łodzi widziałem że wychodzących robotników osobiście rewidowali przeznaczeni do tego ludzie, tu nic podobnego nie było. My po skończony pracy co nie było ściśle terminowo a jak wykończyłm wprawdzie waćman czyli stróż otwierał nam drzwi ale tak wychodziłm jak goście nie podlegając żadnej rewizji. A przecie można było pomiędzy palcami coś schować kosztownego boć przecie była tam różna biżuterja. Za 7 tygodni to się wydarzył jeden wypadek przyłapania pracownika na złodziejstwie i to co wziął może z 5-ć funtów okrasa wędzony. To naśmieli się z niego, wypłacili i wygnali z pracy nie oddając policji. Jakby to miało miejsce w Polsce? Ale z klejentów to prawie codziennie kogoś łapali na złodziejstwie, na ten cel byli zaangażowani specjalne tajne dedektywy obojej płci, gdzie czuwali czy kto co nie kradnie. Możliwe że i nad nami czuwał jaki niewidzialny anioł stróż jednakowoż tak że nie był przez nas widziany. Tym samym człowiek nie tknął guzika znalezioneego na podłodze był z tego dumny że jest traktowany jako człowiek. Wieczorem myli też codziennie podłogi ale kończyli myć o godzinie pół 9-tej. Wogóle tu niema takich upokarzających rewizyj jak w Polsce czy to nad tramwajem czy też na kolejach, przebyłem tu 8 lat ale ani razu nie pytał me kontroler o bilet, złodzieje są wszędzie i tutaj ich nie brak w takim zbiorowisku narodowości jakie tu zamieszkują Stany Zjednoczone. Ale pilnują tajnie i prędzej uchwycą złodzieja jak u nas taki dygnitarz kontroler że go już w trzecim wagonie widać że się zjawil i złodziej biletowy już czmychnul, aby się tylko niepokoi uczciwych pasażyrów. Że czuwa za uczciwością wszędzie anioł stróż niech posłuży fakt. Pewnego razu jadąc tramwajem do pracy jeszcze przed piątą rano weszłem do tramwaju wyjułem 25 centów zapłaciłem za przejazd a że tem tramwajem mogłem dojechać do śródmieścia nie żądałem biletu przesiadki czyli transfer jak go tu nazywają. Konduktor nie wydał mi że nie ma jeszcze drobnych bo wsiadło nas kilka osób i każdy dał grubsze pieniądze. Ja tak jade, ludzi już się nabrało pełen wagon i w śródmieściu poschodzili bo rano z miasta nikt jeszcze nie wyjeżdża. Ja mam też wyjść prosze konduktora o reszta on mówi że ja wcale nie płaciłem, od słowa do słowa przyszło do sprzeczki tak że m się wzajemnie uchwycili za kołnierze ponieważ on me uchwycił pierwszy

chcąc mie wyrzucić i ja go uchwyciłem także. Wtem podchodzi jakaś pani, pokazuje kontrolerowi znak odbiera od niego kase i numer zwraca mi 20 centów reszty, przeprasza i sama zajmuje miejsce konduktora a konduktor zasiadł jak zwykły pasażer, ja przez to przejechałem dwa przystanki za daleko, ale się przekonałem że ktoś zawsze czuwa i nad konduktorami czy nie robią fusierki. W tem storze tak samo liczni manażerzy *) czuwali aby tylko subjekci obojej płci obchodzili się delikatnie z klejentami, jeżeli który więcej krewki subjekt uniósł się złością i pokazał te złość klejentowi już go niema jeżeli to zauważył manażer dawał kwit idź do biura tam ci wypłacą co ci się należy, a my sobie poszukamy uprzejmygo subjekta. Klejenta szanowali nadzwyczaj uprzejmie chociażby to był najbiedniejszy.

Pracowałem tam jeszcze blisko rok, w roku 1911-sty jednakowoż zostałem zwolniony na nieograniczony czas. Nie było co robić trzeba było szukać innej pracy. Udałem się do swego przyjaciela z którym się poznałem i zaprzyjaźniłem w Pulmanowskich warsztatach, który pochodził z Łapanowy pow. Bochnia z Galicji, on był zredukowany jeszcze w zeszłym roku ale jeździliśmy do siebie bo i nasze połowice zaprzyjaźniły się pomiędzy sobą. Gdy mu opowiedziałem że jestem bez pracy więc mówi dobrze postaram się Jaśku dla ciebie bo jesteś sakramecki chłop. No i na drugi dzień przyjechał do mnie że moge się zgłosić do pracy naturalnie na próbe dwutygodniową. Ponieważ jego brat tam był za furmena blacharzy a mnie znał jako kowala więc wątpił czy ja moge robić blacharską robote. Ale rano stawilem się do pracy. Była to fabryka wszystkich przyrządów do kinoteatrów. Gdzie pracowało około 300 ludzi, blacharzy robiło nas 12-tu robiliśmy różności z blachy ale najwięcej robilim latarnie do różnego światła. Po przerobieniu dwóch tygodni zostałem stałym pracownikiem z płacą 38 $\frac{1}{2}$ centa na godzinę. Robota była lekka siedzielim sobie przy warsztatach na takich wysokich stołkach i robiliśmy każdy swe robote przeważnie z czarny rosyjskiej blachy nie wiem czy to rzeczywiście przychodziła z Rosji czy też taką miała nazwe dosyć że nazywaliśmy ruska blacha. Na 12 blacharzy 8-miu było polaków jeden czech jeden słowak i 2 szwedów. Ale jeden ze szwedów umiał nieźle mówić po polsku. W tej to fabryce pracowałem 15 miesięcy gdzie mieliśmy i darmowe przedstawienia ponieważ robiąc próby z rozmaitemi aparatami wyświetlali

*) t. j. manager.

różne filmy a sala prób była obok warsztatu blacharskiego to jak otworzyliśmy drzwi to było widać dobrze. Tu w tej fabryce był zaprowadzony taki system że każdy dostawał taką podłużną kartę, przy wchodzie był umieszczony zegar te karte wkładało się w otwór zegara naciskało się rączkę i odbiło dzień godzinę i minuty, wieczorem tak samo przy wychodzie. W roku 1912 że to przybliżyły się wybory prezydenta i posłów do kongresu i senatorów, więc roboty zaczęły szwankować, fabryki nie znając pewności jaka partja weźmie rządy w swe ręce tembardziej że już republikanie rządili od czasu Clevelanda więc teraz spóździewali się zmiany tembardziej że republikańska partja niejako się zaczęła rozdzwajać z tego powodu że z partji republikańskiej był wysunięty na kandydata p. Taft. A obecny prezydent Rozevelt Teodor tworzył nową partyje progresywną a z partji demokratycznej na kandydata był proklamowany już po raz trzeci czy czwarty p. Brajn. Przez to zaczęli ograniczać wyrób różnych przedmiotów z tego powodu że gdyby wzięła w swe ręce partja demokratyczna która miała w swem programie zniesienie cła czyli wolnym handlym, przez to z Europy nawieźli by dużo towaru jako tańszego. Będąc znów bez pracy a rozpatrzyłem się dosyć dobrze w tutejszych stosunkach doszedłem do przekonania że w Stanach Zjednoczonych niewszystko złoto co się świeci. Że tu jest dobrze przyjechać mając dobre zdrowie być młodym ale na stare lata lepiej spocząć sobie pod jaką gruszą czy wierzbą na Kuja-wach jak tu. Przez to po naradzie z żoną której zdrowie nie dopisywało, wyraźnie mitrężała z roku na rok, postanowilim wrócić do kraju rodzinnego. Najpierw miała jechać żona z dziećmi, mój brat cioteczny także wracał do ojczyzny więc obiecał mi że się zaopiekuje mą rodziną w podróży. Tak też zrobiliśmy, zlikwidowałem mieszkanie meble sprzedałem i żona w październiku wyjechała. Ja znów powróciłem do pracy w Pulmana fabryce ale już na gorszych warunkach jak poprzednio. Ale że przeważnie robiłem akordowo to i tak jeszcze można było zarobić nieźle. W listopadzie odbyły się wybory do kongresu senatu i prezydenta. Były cztery partyje republikańska demokratyczna progresywna i socjalistyczna. Ale co się okazało naród Stanów Zjednoczonych chociaż to zbiorowisko różnej narodowości pokazał że myśli zdrowo i nie wierzy żadnem obietnicom kto mu obiecuje gruszki na wierzbie jak socjaliści, że na tyła robotnika i to zaledwie wybrany został jeden kongresman (poseł na kongres) i to w stanie gdzie przewagę mieli rolnicy w stanie Wisconsin a na prezydenta kandydat socjalistyczny dostał aż 8 tys. gło-

sów na tyła milionów głosujących. Ja byłem już po raz drugi gdy wybierali prezydenta ale w pierwszych wyborach nie brałem jeszcze żadnego udziału ponieważ rozumowałem co mnie cudzoziemcowi może zależeć na tem kto będzie rządził potężną republiką republika- nin czy demokratą, tembardziej że u nas pod zaborym rosyjskiem nie znaliśmy żadnych wyborów oprócz wójta gminy. Ale będąc już pare lat w tem kraju przekonałem się że nie moge patrzeć obojętnie na to kogo wybiera bo inne narodowości jak niemcy żydzi ajrysze *) nawet włosi chociaż nie byli obywatelami tego kraju brali czynny udział chociaż nie w wyborach to w agitacji i my tak postanowilim polacy którzy rozumieliśmy dobrze co może zrobić dla kraju partya z mądrym programym i która posiada ludzi mądrych którzy umieją rządzić ale i przewidywać co może być za kilkadziesiąt lat naprzód. Ja posiadałem dopiero pierwsze papiery czyli przyjenta była moja deklaracja na obywatela Stanów. Ale większą ruchliwość rozwinieli ci właśnie którzy nie mieli prawa głosu, nietylko agitowali gdzie się dało czy to w fabryce na zabawie czy w karczmie na kolei czy w tramwaju ale szliśmy na wiece przedwyborcze zabieraliśmy głos ale i fundowalim piwo czy gorzale lub cygara tem co wiedzieliśmy że mają prawo głosu i namawialim ich aby swój głos oddali na te partje za którą spoździewaliśmy się rozkwitu przemysłu tutejszego. W sam dzień wyborów wszystkie fabryki były zamknięte aby wszyscy obywatele mogli brać udział w wyborach, knajpy także były zamknięte na głucho i policja czuwała aby od tyłu nie wydawali wiski ani piwa. Ludziska spieszyli do urn wyborczych, wieczorem znów naród gromadził się przed redakcjami licznych pism i patrzył jak pokazywali świetlane komunikaty z tych stanów gdzie już obliczyli liczbe głosów oddanych. Ale uliczniki prawie naprzód przeczuli kto będzie prezydentem bo zaledwie wiadomości nadeszły z dwóch stanów oni już urządzili pogrzeb kandydatów demokratycznego progresywnego i socjalistycznego. Ubierają odpowiednie kukły na podobieństwo kandydatów chodząc po ulicach z odpowiednimi śpiewami wkońcu zanoszą do kanału i z mostu topią kukły. Najwięcej me zadziwiło po wyborach no i po objęciu władzy przez nowoobranego prezydenta, które to zawsze przypada na 4 marca następnego roku. Otóż wyobrażałem sobie że zwolennicy czy nawet sam prezydent będzie się mścił na swych przeciwnikach za tak nieszlachetną agitacyję, gdzie ze swojego przeciwnika partyjnego zrobili niejako czło-

*) Irish, irlandczycy.

wieka bez czci i wiary bandyte zbója. Po skończonych wyborach jakby nigdy nie wraca znów do stanu dawnego. Ci kandydaci na kongresmanów czy senatorów rozmawiają piją bawią się z sobą którzy przed wyborami i jednej nitki nie pozostawili całej na swym przeciwniku. Po objęciu urzędowania przez prezydenta zachodzi tylko ta różnica że nowomianowany prezydent obsadza główne posady na urzędach przez swych przyjaciół, ale to już nikogo nie dziwi ponieważ robi to każdy. A tak żaden zmiany niema. Prezydent traktuje wszystkich obywateli jednakowo czy ze swej partji czy też z innej, nie zauważyłem żeby w Ameryce obywatele byli traktowani ci jako rodzone dzieci a ci jako pasierby a inni już tylko jako dzieci sąsiadów. Oto co mi się najbardziej podobało w polityce Stanów Zjednoczonych. Błędy są naturalnie liczne jak wszędzie na świecie ale co do tego to jenkiesom nie brak rozumu prowadzenia polityki wolnego narodu zwłaszcza że ten naród składa się z różnojakiego kraju kultury i zapatrywań. Po objęciu rządów przez prezydenta Tafta zaczęli roboty ustawać, coraz więcej ludu chodziło bez pracy, mnie też zwolnili z pracy na czas nieograniczony. Zaczulem pracować jako blacharz przy pokrywaniu dachów nietylko blaszanych ale i papowe czy dachówkę zakładalim rynny rury ściekowe i smarowanie dachów, pracowałem u polaka który miał takie przedsiębiorstwo oprócz właściciela i jego brata pracowało nas obcych czterech. Pracowałem już tak z miesiąc spadłem z dachu czteropiętrowego domu na szczęście upadłem na przybudówkę dopiero z przybudówki na podwórko, potłukłem się że ze dwa tygodnie wszystkie kości mie bolały.

Do kraju i napowrót za morze

Jakoś w końcu lipca wnosząc pape na trzypiętrowy domek przechodząc obok komina rolka papy bujała się, ja straciłem równowagę i zleciałem po dachu, na szczęście wchodził po drabinie brat właściciela i widzi że leci rolka papy ja za papą zchycił mnie za nogę a właściwie za nogawkę od oberhołzów i mnie przytrzymał ale nie miał siły mnie wciągnąć bo głową już zwisłem z dachu, na krzyk przybieżeli strażaki którzy mieli remizę prawie naprzeciwko i przystawiając drabinę wydobyli mnie z trudnej pozycji wprawdzie nie było wysoko ale padając trafiłbym na żelazne sztachetki i bym się formalnie nadział. Tak się tem przeżyłem żem już więcej na dach nie wszedł.

Na drugi dzień poszłem wykupiłem szyfkarte i pojechałem do kraju odprowadzony na dworzec przez licznych przyjaciół jakich

miałem w tutejszym mieście sporo. Tem razem jechałem linją Belgijsko czerwony gwiazdy red Stare*), na okręcie Gotland, było to w początku lipca pogoda była śliczna podróż była spaniała, co rano wstawałem przed wschodem słońca i przypatrywałem się jak słonyszko wylaziło niejako z głębin morza. Co za spaniały i zarazym grozą przejmujący widok patrząc tak na ogromne masy wody i nie więcej nie widać chociaż morze od rana było tylko lekko zburzone a okręt który był przeszło dwieście kroków długi i przeszło trzydzieści szeroki a wysoki na 5 pięter zdawał się tylko małą łupienką na tych ogromnych wodach, dwie doby jazdy od brzegów Ameryki widzieliśmy chociaż liczne morskie ptastwo jakie leciało wślad za okrętem. Ale trzeciego dnia już tylko pokazał się rzadko ptak aż zupełnie nic nie było widać, nawet i ryb morskich nie było widać. Aż po pięciu dobach jazdy znów zaczęło się pokazywać zrazu nieliczne ptastwo a rankim już cała moc leciała za okrętem, wszystkiego jechalim 7 dobow bez żadnego wypadku aby jeden pogrzeb był na morzu, umar jakiś chłopiec gdzie też był pochowany w głębinach morskich, jakie przykre uczucie przejmuję człowiek który mało obcuje na morzu widząc taki pogrzeb. Poprostu zaszyli ciało w worek do tego worka był przywiązany dosyć spory ciężar, wysunęli taką kładkę i po tej kładce spuścili ciało do wody. Do Czerniewic przyjechałem przed trzecią rano, po umieszczeniu swych bagaży w przechowalni ruszyłem piechotą do Kowala oddalonego o 5 kilometrów od stacji. Idąc tak ranko w piękny letni ranek gdzie się zaczęło rozwidniać na dobre pomiędzy falującym ślicznym zbożem, po prawie 12-to letniej niebytności, bo to co byłem ten miesiąc w czas zimowy gdy powróciłem z wojska to nie biore w rachube bo nie widziałem falującego zboża i świergotu ptasząt, jakie uczucie ogarnęło mnie na spomnienie tych pól rodzinnych kujawskich tego wesołego świergotu licznych ptasząt to ja już za głupi aby mózdz to opisać. Człowiek prostoby się tarzał i całował te kochane swą rodzoną ziemię i tulił się do tych olbrzymich topoli przydrożnych. Tylko ten mnie może zrozumieć który wrócił z tułaczki po tylu latach. Moja żona będąc córką ogrodnika a jej ojciec nie chciał żeby próżno chleba jadła wydzierzałwił sad dla niej tuż w Kowalu. Więc przyjechałem do sadu niejako po życiu wielkomiejskim, bardzo to było miło zasiść sobie w altance obok kochanej żonki i uwiłających się ciągle dwóch berbeciów, którzy zdrowo rośli, Po zaznajomieniu się z rodziną mojej żony od której doznałem bardzo

*) t. j. Red Star.

milego przyjęcia, moja żona matki już nie miała tylko macocha a że uczciwe kobiecisko było, nie krzywdziło pasierbicy przez to i ja ją wkrótce pokochałem jako matkę nie tak jak się to kocha teściowe, wkrótce wyruszyłem w swe strony odwiedzić swego starego ojca i grób mej kochanej mateczki. Ojca zastałem przy dobrym zdrowiu i chociaż ojciec miał dożywocie u córki w Starem Radziejowie ale był przy bracie i pracował jeszcze chodząc za plugiem, na moje uwagę że ojciec powinien już odpocząć na stare lata, Ojciec mi odpowiedział, mój synu jak jabym mógł żyć bez pracy toczy to była najgorsza kara żebym nie miał pracy. Ale grób matki zastałem w opłakanym stanie, trudno mi było trafić na grób swej rodzicielki i żeby nie krzak bzu zasadzony ręką siostry tobym nie trafił. Postanowiłem sobie że pierwsza praca moja będzie zrobienie żelaznego krzyża na grób swej matki. Następnie odwiedziłem kościółek który był nowozbudowany, po starym drzewianym stanął śliczny kościółek murowany gdzie było też trochę mej pracy gdyż pomagałem wozić kamienie kopać rowy pod fundament i lasować wapno. Z ciekawością obchodziłem nowozbudowane świątynie ze wszystkich stron wypatrując który też to jest kamień któremu ładował na ligary. Po zwiedzeniu kościoła udałem się do tych wiosek gdzie się urodził wychował albo pracował później. Byłem mile zdziwiony widząc znaczniejszy dobrobyt jaki się dał zauważyć na wsiach, widziałem nowopobudowane stodoły na miejsce starych pokrzywionych, stodoły przeważnie budowane z gliny w tak zwane jaskółke bo lepione na sposób jaskółczego gniazda. Budenki dla inwentarza budowane już na pół z cegły to jest narożniki nad futrynami drzwi i okien a reszta z gliny, kryte już niektóre dachówką. A domy mieszkalne budowane już z cegły czerwonej ładnie fugowanej kryte dachówką lub blachą pocenkową. Rozmawiałem ze swymi rówieśnikami i kolegami szkolnymi którzy już gospodarzyli na swych gospodarstwach i na biedę nie narzekali owszem spominalim swe młode lata gdzie to nasi ojcowie nie mieli nam zaco kupić ubranka z lepszej materji a tylko nosiliśmy cajgowe nawet do pierwszej komuniji świętej. Już prawie wszędzie spotykałem bryczki na resorach z obitami siedzeniami skórą lub suknem z fartuchami, co wpierv widziało się tylko po dworach. Ale gdym był obecny na niedzielnym nabożeństwie i widziałem lud służący po dworach zauważyłem że jest lepiej ubrany jak za mych lat gdzie pracowałem jako uczeń kowalski ale i weselej jakoś patrzy nie tak apatycznie jak dawniej. Gdym po wyjściu z kościoła przywitał się z niejednym ze swych dawnych

znajomych, pytając się o powodzenie, jakoś weselej patrzeli w przyszłość i odpowiadali, teraz wcale nas inaczy traktują nie tak jak by-dło robocze. Mówili, co chcesz toć trzecia część robotnika wyjechała za chlebem zagranicę i tam znaleźli nietylko chleb ale mogli oszczędzać cośkolwiek że po powrocie kupują ziemie z tych majątków, które liczniej są oddawane na parcelacje i chociaż spoczątku przychodzi jem bardzo ciężko bo to pomocy znikąd, starzy gospodarze patrzą na nich nieufnie, że co ta bieda robi, ale czego to nie może zrobić upór chłopą, gdy się raz uprze że on też musi być gospodarzem chociaż na 7-miu morgach, bo taka była najmniejsza działka na parcelacji. Po zwiedzeniu swych rodzinnych stron wróciłem do Kowala pomyśleć też nad swoim losym, po rozmowie z teściem dowiedziałem się że teść te ziemie którą kupił za moje pieniądze zatrzyma sobie, bo mu bardzo potrzebna, dla mnie też była dobra w dosyć ruchliwym miasteczku tuż przy targowisku dwie morgi polskich przedstawiało dla mnie ładną wartość pobudować sobie domek i warsztat, mógłbym śmiało przy swej pracy żyć i dać utrzymanie swej rodzinie. Cóż kiedy było zapisane na teścia, wziął oddał mi pieniądze i procent od nich, bo ta ziemia przedstawiała wartość już o sto procent wyższą. Do tego założył tam cegielnię i sad nareszcie więc co miałem robić, odebrałem aby sobie coś kupić tu w Kowalu z tego powodu, że tu byłoby dobre pole na warsztat zaprowadzić na sposób amerykański. Ale nie połapał ja się na projektach teścia, który stale mi odradzał a to to złe to niedobre.

Już zgodziłem od żyda ładny kawał placu i miałem zamiar wybudować domek z warsztatem, gdy teść tak kombinował że do kupna nie przyszło, namówił mnie aby jeszcze jechać do Ameryki, ja i sam nad tem tak przemyślałem że mam troche mało gotówki na kupno czegoś lepszego no i po sprzątnięciu owocu ze sadu i zrobieniu krzyża na grób mateczki i bratowy, w początkach października wybrałem się w podróż do Ameryki. Tu dopiero poznałem zamiary teścia ale było już późno. Teść mając już takiego syna, który ukończył termin ucznia ślusarskiego, gdzie w tem roku miał stawać do wojska, nie chciał żeby szedł wysługiwać się moskalowi, wołał go wysłać zagranicę. A że chłopaka puścić tak samego bez opieki troche się obawiał więc tak kombinował że mnie skierował napowrót do podróży. Gdzie zabrałem z sobą i szwagra i to na swój koszt. Po przedostaniu się przez granice wsiedliśmy na pociąg i dojechaliśmy do Berlina, w Berlinie jak czekałim na pociąg odchodzący w stronę Belgji, podszedł do nas pruski żandarm i pyta się gdzie my ja-

dziemy, ja mu odpowiadam, że do Belgji, żandarm psia wiara nie wierzy tylko powiada, że my jadziemy do Ameryki i mamy wykupić szyfkarty tu w Berlinie, w przeciwnym razie nas aresztuje i odeśle do granicy. No i wykonuje swój zamiar. Ja medytuje co tu zrobić z pruskim psem. Ale mi się przypomniało że mam pierwsze papiery Stanów Zjednoczonych. Więc idąc już do miasta mówię do żandarma, że niech mnie zaprowadzi do konsula Stanów Zjednoczonych, ponieważ ja jestem obywatel tychże i pokazuje mu te pierwsze papiery gdzie był orzeł Stanów i dosyć duża pieczęć urzędu naturalizacyjnego. Niemiec spojrzał na orła na pieczęć, gdzie widniało *Unajdet State**) wyciśnięte na pieczęci, popatrzał na nas, a że byłem ubrany tak ja jak i mój szwagier w amerykańskie ubrania, zawrócił i przyprowadził nas spowrotem na dworzec, żeby się nie gniewać zaprowadził nas do bufetu i kazał dać sznaps, ja mu też się odplaciłem i odprowadził nas jeszcze do pociągu i odjechalim nie zatrzymując się aż znów w Düsseldorfie, tu znów przesiedliśmy do innego pociągu i dojechalim szczęśliwie do Antwerpii, gdzie kupiliśmy szyfkarty na angielską linię Angielsko-Kanadyjską Królewską linię. Z Antwerpii odjechaliliśmy małym okrętem na drugi dzień do Londynu, w Londynie byliśmy przez dwa dni, przez te dwa dni korzystałem z czasu i zwiedzałem miasto chodząc i jeżdżąc dwupiętrowymi tramwajami. Ale nie podoba mi się w Londynie miasto, oprócz pryncypalnych ulic jest ponure i niewesołe do czego przyczyniała się i jesień a z nią liczne mgły i dymy jakie prawie stale wiszą nad olbrzymim miastem, ale zwiedzić to miasto żeby można coś o niem napisać to trzeba być przynajmniej dwa miesiące. Tylko to można zauważyć że ludzie żyjący w tem mieście wyglądają też tak ponuro jak i to miasto i te mgły pomieszane z dymem. A szczególnie babska, te różne przekupki uliczne, to czyste czarownice. Wogóle mało ludzi widać wesołych i ładnych nietylko w Londynie, ale w całej Anglii, niema jak nasza rasa słowiańska, wygląd ma ładny. Z Londynu pojechalim pociągiem do Bristolu, z Bristolu już tylko do portu jechałem tramwajem. Tu czekałimy na odjazd 6 dni, ale hotel i wikt już dostawaliśmy na koszt kompanji okrętowej. Po śniadaniu wyjeżdżałem tramwajem kawał drogi poza miasto tam schodziłem i błakałem się po wioskach szkockich do ciemnej nocy, późni znów wracałem tramwajem do hotelu. Tymbar-dziej że tu jesień była ładna i dosyć słoneczna, w Anglii spodobały

*) United States = Stany Zjednoczone.

mi się dobrze utrzymane drogi a szosy są w bardzo dobrym stanie, a co do wiosek angielskich naturalnie nie widziałem dachu pod słomą, ale też jak na bogatą Anglję stoi licha chatka z szarego kamienia obok okazałego domu. A że była jesień więc nie widziałem jakie też tu są urodzaje ale widać po tej ziemi kaminiastej że nieszczególniej się tu rodzi. Wdać się w rozmowę z wieśniakiem angielskim, gniewa się gdy mu mówić że Anglja leży w Europie, ale nie widziałem dlaczego to oni nie chcą uchodzić za Europejczyków. Nieprzyjemny naród, tacy flegmatycy. Gdy wyruszyliśmy z portu wieczorem jechaliśmy już dwie doby, naraz zbudził nas potężny wstrząs, zerwalim się na równe nogi, w tem woda wdarła się do kajuty. Tu było lepiej bo nie było takich dużych kajut jak na innych okrętach a małe gdzie byli umieszczone tylko cztery łóżka. Gdym wyskoczył z łóżka i otwarłem na korytarz, woda pędziła korytarzem jak kanałem, ubralim się szybko i walizki w ręce wędrujemy po wodzie ku wyjściu, ale wyjście zamknięte, ludzi moc się tłoczy, krzyczą biadają ale nic nie pomaga, woda się gdzieś podziała, czujemy że okręt idzie normalnie, słyhać to po stukach maszyn, postaliśmy tak z pół godziny przy wyjściu, ale nie chcą nam otworzyć, jaki taki że wyskoczył z łóżka w negleżu wracał do swych kajut, ja też udałem się do kajuty, a że spać nie mogłem, czytałem sobie książkę kupioną w Londynie. Rano skoro świt wychodzę na pokład i widzę że coś uderzyło mocno w lewą burzę okrętu i tak grube żelazo jakie było w baryjerze i gruba blacha pękła jak jakie patyczek i cała ściana drugiej klasy też złamana, ale okręt Kral Edward pruje fale jak nigdy nie, tak przejechalim całą drogę i nie dowiedziałem się co to było że tak nasz okręt uszkodziło. Jadąc tak dalej na drugi dzień po tem nocnym wydarzeniu znów nasz okręt dostał jakiś sygnał, ponieważ służba okrętowa zaczęła latać po pokładzie szykować szalupy i okręt zawrócił z miejsca na prawo i pędzi pełną parą w tem kierunku, matrosy i oficerowie wypatrują, tak coś po dwóch godzinach jazdy i my zaczynamy dostrzegać gołem okiem coś czarnego coraz bliżej podjeżdżamy widzimy słup dymu i od czasu do czasu wybucha ogień, wtem zrozumielim że okręt się pali na morzu i nasz Edward był wezwany przez radio, aby pośpieszył z pomocą płonącemu towarzyszowi. Gdy nasz okręt stał jakie 300 metrów od płonącego okrętu stało tam już trzy okręta przybyłe na wezwanie S. O. S. (ratujcie dusze nasze), ale morze było mocno zburzone, bałwany miotaly szalupami jak jakim piórkiem, tak że nie mogli podjechać do płonącego okrętu. Był to straszny

widok patrzeć gdzie cały tył okrętu był w ogniu, na przodzie zebrała się grupa ludzi którzy się nie mogli pomieścić do szalup i wyciągała ręce do tych dzielnych marynarzy, którzy starali się przyjąć z pomocą i ratunkiem, a fale tak jem te prace utrudniały, dwie szalupy w naszych oczach z powodu przepełnienia czy innej przyczyny się wywróciły a ich pasażerowie którzy nie umieli pływać fala zalała i poszli na dno a ci co mogli jako tako trzymać się na zburzonych falach wylawiali inne szalupy, dosyć na tem że przybyłoby znacznie więcej ofiar katastrofy tylko w jakiś czas po naszym przyjeździe już cztery największe szalupy były spuszczone i marynarze walczyli dzielnie z falami starając się dobić do płonącego statku. Nadjechał jeszcze jakiś okręt i ten zajechał z wiatrym i zaczął wypuszczać oliwe na morze, zrobiło się na morzu tak jak kozuch, ale bałwany były znacznie mniejsze i mogli podjechać do płonącego okrętu i zabrać resztę nieszczęśliwców na nasz okręt, przywieźli dwie szalupy z płonącego okrętu 24 ludzi. Dostała się na nasz okręt między innymi żydówka z Odessy z dwiema córeczkami małemi 7 i 5 latnie i chłopak polski pochodzący z Łomżyńskiego. A że ja mogłem się rozmówić jako tako po angielsku, więc byłem tak jak za tłumacza, gdyż wprawdzie polaków na tem okręcie jechało tylko 15-scie osób, ale jechali czechy słowaki kroaci i serbowie, a najwięcej szwedów i finów, pomiędzy finami było dwoich co mówili dobrze po rosyjsku, a i ze szwedami i duńczykami mogłem się rozmówić. Przez to jak oficer okrętowy chciał zakumunikować coś pasażerom, to zwracał się do mnie i mówił po angielsku ja mówiłem do polaków i czechów po polsku, a czesi tłumaczyli dalej słowakom i resztę południowym słowianom, a tem dwom finom mówiłem po rosyjsku, a oni znów tłumaczyli dalej swym rodakom i szwedom i duńczykom, to przez to służba okrętowa zwracała się do mnie aby coś komuś tłumaczyć a przecie ja ani słowa nie rozumiałem po szwedzku duńsku czy fińsku. Tak samo gdy już byli na naszym pokładzie te pogorzańcy zawołali mnie żebym był jako tłumacz, ja wejrzałem na chłopaka poznałem że pochodzi z Polski i gdzieś od kurpiów i w tem języku odzywam się do niego, okazało się że chłopak jechał do rodziców ze swą dorosłą siostrą i siostra się wywróciła z łodzią i poszła na dno morza, a on pozostał się na płonącym okręcie i nasi marynarze go zabrali i przywieźli, ale pozostał bez grosza i adresu do swego ojca, bo matka mu też umarła przed rokiem. Gdy to przetłumaczył oficerom okrętu słuchali i cywilni pasażerowie pierwszej i drugiej klasy, jeden pan zdjął swój celen-

der z głowy włożył jakąś monetę do niego i obszedł wszystkich pasażerów pierwszej i drugiej klasy i zebrał pieniądze dla tego chłopca kurpiaka. Kapitan statku spytał mi się czy nie znam jakie organizacji, któraby się zajęła wyszukaniem ojca tego chłopca. Ja mu mówię że tam gdzie ja jade do Chicago są trzy duże polskie organizacje co z pewnością nie odmówią opieki nad tem chłopcem. Przez to Kapitan oddał mi chłopca w opiekę i mówi gdy dojedziemy do portu dostaniesz bilet kolejowy do Chicago dla niego i resztę pieniędzy co się pozostanie od kupna biletu i oddacie go za pokwitowaniem w ręce polskiej organizacji. Tak tego mojego kurpia wzięłem pod swoje opiekę do swej kajuty, bo nas było tylko dwóch a miejsc było na czterech. Po wylaniu oliwy na morze bałwany tak się uspokoiły pod warstwą oliwy, że dokładnie zrewidowali teren wypadku, gdy już nie było do uratowania, okręty które przybyły na ratunek, których zebrało się razem 12-ście różnego typu i wielkości zaczęły ruszać każdy w swe drogę i nasz Edward zajął się przeciągle na pożegnanie swemu nieszczęśliwemu towarzyszowi, który już teraz opuszczony przez ludzi, z którego teraz wydobywały się kłęby dymu, a że już zaczęło się zciemniać, to ogień było widać daleko chociaż nasz okręt już pruć fale oceanu przeszło godzinę od miejsca katastrofy, to jeszcze było widać słup ognia na wodach oceanu. Mnie tylko brała ciekawość co się też stanie z takim okrętem po wypaleniu się wszystkiego co jest do spalenia w takim okręcie, bo przecież okręt zbudowany był ze stali nie mógł się spalić jeno ten kadłub musiał się tulać po wodach oceanu. Można sobie wyobrazić klęskę pożaru domostwa gdzie się mieści do tysiąca osób na lądzie, a co tu gadać na morzu gdzie niema gdzie uciekać, tylko ta różnica że na takim okręcie ogień nie może się tak szybko rozszerzać ponieważ pozamykają otwory, to niema ciągu więc tylko dym gryzący z tego co jest w okręcie towaru. Jadąc tak już drugi dzień przychodzi do mnie jeden żyd i prosi mnie żebym szedł z nim razem poratować biedne sieroty. Idziemy do kajuty zajmowanej przez te żydówkę z temi dwiema córeczkami, która leży chora, nie może się podnieść wcale i o ratunek nie może prosić, ponieważ zna mowę tylko żargon i rosyjski, a służba okrętowa nic nie rozumie co ona do nich gada w tem języku. Żydówka tak była chora na morską chorobę do tego przyłączyła się choroba ze strachu jaki przeżyła na palącym się okręcie, tak że jak się dostała do kajuty naszego okrętu wyczerpała resztę sił, jak legła tak nie mogła się podnieść a córeczki ich nie jadły nic już drugi dzień ponieważ nie miał

kto iść z niemi do stołowni na śniadanie obiad czy kolacje. Na okręcie jadaliliśmy cztery razy dziennie o 8 rano 12 w południe 4 popołudniu 8-my wieczór i to każdy zasiadł do stołu a przed nakryciem leżała karta co jest do jedzenia i każdy z tej karty wybierał sobie potrawy do swego gustu i mu lokaje przynosili. Nie tak jak na niemieckich okrętach gdzie trzecia klasa sama z naczyniami musiała iść na kuchnię i tam prosto nalewał kucharz jedzenie na sposób wojskowy. Więc ta żydówka prosi mnie w języku rosyjskim żebym poprosił doktora do niej że ona mocna chora, a te dziecińy już drugi dzień nie jadły, poszłem zameldowałem dyżurnemu oficerowi okrętu że w takim numerze kajuty trzeciej klasy mocno chora jedna pani z tego spalonego okrętu. Za 5 minut już był lekarz okrętowy i siostra miłosierdzia, która zabrała te żydóweczki pod swą opiekę a starą ich matkę zabrali do szpitala okrętowego. Przy tej okazji ten dziżurny oficer zawołał mnie do siebie i tłumaczy mi żeby pomówić z temi dwiema dunkami czy sobie nie życzą przenieść się z trzeciej klasy do drugiej. Ja mu opowiadam że ja i słowa nie rozumię jakim językiem rozmawiają duńczyki, ale wziął mnie do bufetu kazał dać kilka koniaków i żeby koniecznie pogadać z niemi. Śmiać mi się chciało z tej przygody zakochanego oficerka, boć przecie cóż ja mógłem poradzić mu w tem wypadku kiedy i ja byłem tak samo niemowa jak i on, ale on sobie wyobrażał że ja moge się rozmówić ze wszystkimi pasażerami. Ale grając w szachy z finlancykiem z którym się poznałem jeszcze w Brystolu i ciągle mnie zapraszał na partyje i chociaż za każdą razą przegrał gdzie musiał fundować piwo, nie zrażało to go tylko codziennie prosił na partyje, grając tak z niem pytam się go pokazując mu roześmiane blondenki duńskie czy on się umie z niemi rozmówić, a on powiada że tak jak polak z czechem lub rosjanem. Mówię mu czyby nie pogadał z niemi ponieważ ten oficer mnie prosił żeby jem zaproponować czyby nie przeszły do drugi klasy. Fin zawołał te dwie panienki i powiada jem o propozycji oficera, one się pytają z jaki racji ale ja nie mając co jem odpowiedzieć powiedziałem że ponieważ z powodu że przybyło pasażerów trzeciej klasy, więc jest przepełnienie a w drugiej klasie jest połowe miejsc niezajętych. Panienki śmiejąc się może i rozumiały dobrze że propozycja wyszła tylko z tego, że mają gładkie buzie, odpowiedziały, że nie posiadają pieniędzy na dopłatę do drugiej klasy. Oficer przechodził akurat po sali zabaw kiwnulem mu że te tu panienki zgadzają się na pomieszczenie ich w drugiej klasie tylko że nie posiadają piniędzy na dopłatę, ofi-

cerek odpowiedział że nic nie potrzebują dopłacać i zaraz zrobili przenosiny, a wieczorem wystawił kolacje jak się patrzy, gdzie i bez szampana się nie obeszło. Ale od tej pory miałem wstęp wszędzie gdzie zwiedziłem prawie cały okręt od spodu do góry, z finem oglądaliśmy spód okrętu gdzie tam było napakowane różnego towaru, który okręt wiozł do Kanady, były tam i krowy które dawały mleko do kawy i dzieciom które jechały na okręcie i potrzebowały świeżego mleka ale i ptastwo było na zabicie na żywność dla pasażerów I i II klasy, zwiedziliśmy sale ogromnych maszyn, które pracują ciągle poruszając okręt naprzód, zwiedziłem i drugą i pierwszą klasę i bibliotekę gdzie są umieszczone na półkach dość liczne tomy w czterech językach angielskim francuskim niemieckim i włoskim. Byłem w drukarni gdzie drukują codziennie gazety w dwóch językach angielskim i francuskim. Obchodząc tą drugą i pierwszą klasę nie mogłem wyjść z podziwu dlaczego to taka niesprawiedliwość, co za przepych co to za wygodę mają ludzie bogaci i porównując ceny przejazdu trzecią i pierwszą klasą doszedłem do przekonania, że i tu ludzie bogaci mają wygodę kosztem biednych. Bo porównując ceny biletów 1-ej i trzeciej klasy przyszedłem do wniosku, że na przykład ja płaciłem za przejazd okrętem razem z wiktem 35 dolarów gdzie nas zajmowało małą kajutę cztery osoby, bilet pierwszej klasy kosztował niecałe sto dolarów ale pasażer miał sam kajutę zajmowaną przez siebie, okno mógł sobie otworzyć gdzie wchodziło świeże morskie powietrze, łóżko urządzone wygodnie czysto do tego kanapka lustro krzesła wyściłane a o wikcie już lepi nie mówić. Czy też kiedy ludzie zrozumieją że my wszyscy ludzie jednego Boga i nie będą żyć kosztem ludzi ubogich i upośledzonych ludzie bogaci i możni. Przecie to nie potrzeba wiele, ludzie bogaci zrezygnowaliby chociaż z jednej trzeciej wykwitnego życia a podnieśli chociaż jedną 10-tą lepiej ludzi biednych. Ale to nigdy nie nastąpi. Tak dojechaliśmy bez żadnego wypadku do portu Kanadyjskiego Motrealu*) w dobrym czasie bo w godzinach poobiednich. Tak że nas muzyka witała przy dobiegu do portu. Gdzie wysiedliśmy i tu zaraz w porcie była rewizja przez urzędników Stanów Zjednoczonych, którzy rewidowali aby się nie przedostał niepożądany osobnik do Stanów Zjednoczonych. Przepisy dla emigrantów były już znacznie obostrzone, tak że pewin żydek z Galicji jeździł już trzy razy do Ameryki i zawsze go cofneli

*) Montreal.

z portu, tem razym jechał czwarty raz na tem okręcie który się spalił a nasz okręt go dowiózł do portu i mu się poszczęściło, bo tych pogorzalców nie rewidowali tylko wpuścili bez żadny rewizji do kraju jonkiesów. I tu w porcie pomimo że mają licznych tłumaczy zawołali mnie do biura kanadyjskiego, gdzie mieli tam kłopot z jedną kobieciną, która była ubrana z miejska tak że i ja nie mogłem poznać z jakiego kraju może pochodzić i nie mogłem nic się dowiedzieć jaką mową mówi. Przemawiali do niej w rozmaitych językach i nic nie rozumie i ja już odchodzę ponieważ nic nie może rozumieć ani po polsku ni rosyjsku. Ale odezwałem się do niej po sartosku dopiero zrozumiała, okazało się że była z jednego z plemion Kaukazu i rozumiała cokolwiek język tatarski a tatar ze sartem mogli się rozmówić. Ja będąc cztery lata w Turkiestanie rozumiałem trochę ich mowę przez to o tyła z niej wydobyłem że pokazała adres swego męża do którego jechała i wiele ma przy sobie piniędzy z których to piniędzy wzięli jej 2 ruble a dali jej paczkę z żywnością i resztę rubli rozmięli jej na kanadyjskie dolary których miała jeszcze przeszło sto. A mnie oficer okrętowy przyprowadził owego chłopca kurpioka który już się popłakał bo mnie nie widział blisko dwie godzin a z nikim nie mógł się rozmówić. Jak mnie zobaczył przypadł do mnie i całował mnie w ręce żeby go nie opuszczać. Oficer dał mi bilet kolejowy do Chicago i żywność dla chłopca do Chicago wystarczającą, 12 dol. 38 centów i karte wypisaną po angielsku że to chłopiec który stracił siostrę przy katastrofie pożaru okrętu i jest bez opieki aby ludzie dobrzy nie krzywdzili sieroty. Tak wsiedliśmy do wagonu który ruszył wnet i zawiózł nas na ziemię Waszyngtona, na drugi wieczór już byliśmy na miejscu po swych kwaterach a po owego chłopca już czekały dwie panie ze związku polek które były wydelegowane z opieki nad emigrantami opuszczonemi. Ale z tem chłopcem miałem dobrze bo ludziska po przeczytaniu owej karty znosili mi nietylko żywność a różne łakocie że we trzech nie zjedliśmy wszystkiego co jemu nadawali. Po odbiorze tego chłopca przez te dwie polskie panie które pokwitowały mnie z odbioru chłopca i piniędzy których miał przeszło 15 dolarów bo w drodze ludzie mu i piniędze dawali, to pokwitowanie z odbioru odesłałem na drugi dzień do biura portu w Motrealu. Po wyszukaniu sobie kwatery pojechałem do Pulman fabryki przepytać się o pracy i taką zaraz otrzymałem. Ale po przybyciu do pracy na drugi dzień gdzie wydali mi karte i na niej cena wypisana wynagrodzenie na godzinę, patrze i widze że mi napisał tylko 27 centów

na godzinie, ide do supredenta i mówię mu dlaczego to mi tak mało napisał na godzinie, przedtem pomocnikowi płaciliście więcej niż teraz blacharzowi. Supredent mówi że co było wpierw to nie teraz a przecie ty i tak umiesz na pis work wyrobić swoje pejde*), ale ja się uparłem i nie chciałem robić za te cene. Wyszłem ale trudno było łązić i szukać pracy bo dużo ludzi chodziło bez pracy zwłaszcza że to było na zime. Więc udałem się do agentów pośrednictwa pracy zapłaciłem 5 dolarów i wysłali mnie do pracy gdzie robiłem przy budowie piekarskich pieców z blachy różnego rodzaju i wielkości, bardzo mi dziwno dlaczego u nas w Polsce nie spotykałem podobnych pieców a mi się to wydawało bardzo praktyczne zwłaszcza dla tych piekarzy którzy nie mają swej własności a wynajmują piekarnie a taki piec można umieścić w jakimkolwiek pokoju i to jest taki piec dobry bo można ciągle w niem palić i piec, robilim takie piece dwu trzy i czteropiętrowe. A najbardziej mi się z tego podobały takie piece że były bardzo higieniczne nie było to ani kurzu ni popiołu czy też węgla, tam z tej fabryki tych pieców wysyłaliśmy i do Japonji dla wojskowych piekarń. Były to bardzo dogodne że w niespełna pół godziny taki piec był rozebrany i umieszczony na wozie, zmontować też nie zabierało dłużej jak pół godziny. Tam pracowałem zaledwie dwa miesiące gdzie miałem 33 centa na godzinie robiąc 10 godzin w sobotę 5 godzin. Gdzie zostałem wydany znów ide do agenta płace mu 5 dol. posyła mnie do fabryki gdzie robią różne naczynia emaljowane ja zostałem przydzielony do oddziału misek różnej wielkości, dostawałem już wykrajane blache czarną i na takiej maszynie w rodzaju tokarni tylko bieg był bardzo szybki gdzie wyrobiałem owe miski mając 2 centy od sztuki, za 10-ć godzin pracy dziennie mogłem zarobić nie więcej jak 3 dolar. 50 centów. Tam to robiłem 7 tygodni i znów zostałem wydany. Napowrót ide do agenta płace mu 5 dol. posyła mnie do fabryki nowopuszczonej w ruch gdzie znów wyrabialiśmy z blachy różnej wielkości aparaty do oświecenia karbidem. Ja byłem przydzielony do oddziału blacharzy gdzie wyrobiałim z pocenkowanej blachy różnej wielkości takie beczki gdzie się mieściła woda, na te wode znów przychodziła druga taka beczka tylko z zakończeniem spiczastem i przewrócona otworem do beczki z wodą, w miarę więcej gazu wytwarzanego przez karbid taka beczka się podnosiła a gdy ubywało gazu opadała na dół tak że ciągle było jednakowe ciśnienie

*) paid = zapłacone.

gazu, robiliśmy też i małe no i duże, a także takie aparaty były używane do nowowynalezionych szwejs aparatów. Tak że roboty przybywało dosyć, tak że nie zanosilo się aby mieli redukować robotników. Temczasym pewnej soboty wypłacili nam kilkom robotnikom nasze zarobki i mówią że niema pracy. Co było robić ja znów ide do agenta płace znów 5 dolarów i dostaje kartke żebym się udał pod ten adresym i tam prace dostaje. Na zwróconom mu uwage że ja właśnie tam pracowałem agent odpowiada że to nic nie szkodzi. Ja nic już nie mówie tylko siadam do tramwaju udaje się znów do biura i znów jestem przydzielony w to samo miejsce gdzie wpierw pracowałem. Już nie ide do pracy, mówie że przyjde jutro, a sam udaje się do inspektoratu pracy i przedstawiam mu te sprawe, wysłał mie z jednym z urzędników do owej fabryki gdzie mu pokazałem jaki nomer miałem przedtem a jaki obecnie mi został wydany. Urzędnik poszedł ze mną do fabryki do oddziału gdzie ja pracowałem i pytał się czy ja tu długo pracowałem, spisał protokuł i udał się ze mną do agenta gdzie otrzymałem prace i tu się w księżce przekonał że zapłaciłem mu trzy razy po 5 dolarów, chociaż płaciłem 5-ty raz, ale trzy razy tylko byłem zapisany, musiał mi zwrócić 15 dolarów, zrobił protokuł i poszedł do biura. Ale ja znów chodziłem bez pracy dwa tygodnie zacząłem sobie wynalazłem prace jako ślusarz przy fabryce różnych narzędzi i noży, tam robiłem do lipca gdzie znów zostało nas blisko 50 pracowników wydalonych z pracy.

W i e l k a w o j n a

Sprzyskrzyło mi się to łażenie i szukanie pracy co chwila, poszedłem wykupiłem szyfkarte na nowozbudowany kolos morski linji Hamburg—Ameryka na okręt pod nazwą Imperator i postanowiłem pracować w kraju mając nadzieje że i w kraju można chociaż nie na bułke ale na chleb zawsze zarobić gdy się będzie tylko tak robić jak tu się robi. Trafił się też jeden mój znajomy z naszych stron gdzie jechalim już do Nowego Jorku. Tu czekaliśmy jeszcze do odejścia okrętu dwa dni gdzie całe dwa dni i prawie noce tułalim się po mieście i zwiedzalim chociaż pobieżnie drugie zrzędu największe miasto na świecie. Narescie wsiedliśmy na okręt który przedstawiał całe miasto na wodzie, gdzie samej obsługi było około tysiąca osób a pasażerów około 5 tysięcy. Pogoda była śliczna, codziennie muzyka wygrywała od obiadu kawał w noc a ludziska tańczyli cieszyli się jakby nigdy nic, nie przeczuwając jaka burza zbliża się nad

światem. Podróż przez wodę trwała siedem dób bez żadnego wypadku tylko dwa pogrzeby się odbyły na morzu jednej polskiej kobieciny i jakiegoś pana z drugiej klasy. Gdy jechałem przez Niemcy a było to w pierwszy połowie miesiąca wszędzie spotykaliśmy po stacjach i dworcach kolejowych po kilka oficerów, którzy pilnie obserwowali przybycie i odjazdy pociągów. Zaczęło się zauważać jakąś gorączkowość i zdenerwowanie, nie wiedzieliśmy co to ma znaczyć, dopiero po wjechaniu pociągu w okolice gdzie polacy zaczęli siadać do wagonu i zaczęli rozmawiać o polityce i wojnie, przekonałem się że zanoszą się na dużą wojnę pomiędzy Serbami a Austrią. Rosja ma iść na pomoc Serbji a Niemcy Austrii, ale nie brałem sobie jeszcze tego na serjo, aż po przyjeździe do Aleksandrowa zobaczyłem tak samo kilku oficerów którzy pilnie obserwowali przyjeżdżających pasażerów, do mnie podszedł i zapytał się o paszport na szczęście miałem przepustkę wydaną przez konsulat rosyjski w Chicago i nic mi nie mówił. Po przyjeździe do domu nie zwlekając długo udałem się do Warszawy po zakup narzędzi do warsztatu i wysłanie ich Wisłą na statku do Włocławka. Po odebraniu narzędzi nie rozpakując takowych udałem się w moje rodzinne strony wynająć chociaż tymczasowo sobie gdzieś kuźnię i zacząć w niej pracę zacząłem sobie coś nie upatrzyć i nie kupić chociaż parę mórg ziemi bez budowy a wybudować to już sam sobie w miarę możliwości będę budował wiedząc z doświadczenia w Ameryce, że nie święci garnki lepią. Poszedłem do Powalkowic do siostry i tu mój szwagier opowiedział że w tej okolicy brak jest dobrego kowala. Po wypoczęciu z drogi gdyż pieczo odbyłem drogę z Kowala do Powalkowic przeszło 5 mil drogi, po zjedzeniu obiadu nie zwlekając długo poszliśmy do Witowa do mego dawnego znajomego gdzie zgodziłem mieszkanie i kuźnię za rocznym czynszem 30 rubli. Na drugi dzień pomogłem szwagrowi sprzątnąć resztę żyta, udałem się do Kowala z zamiarem przewiezienia się i zaczęcia pracy póki najlepszy czas po żniwach. W tym celu udałem się do Kłobi gm. Piaski gdzie był gospodarzem mojej siostry pasierb a mój rówieśnik i kolega nie tylko tu ale i z Ameryki bo i tam był jakieś 6 lat. Po przywitaniu się z nim proszę go o furmanke do Kowala żeby jechał i przywiózł tu do siebie a od niego już znów mój szwagier mnie wiezie. Ale on powiada dobrze Jaśku ja cie odwiezę na miejsce tylko poczekaj jakie dwa trzy dni aż reszta pszynicy zwiezie do gumna to pojedzie albo też deszcz popada co nie będzie można wozić. Ja się chętnie na to zgodziłem i pozostałem się aby mu pomagać przy sprzeczce, pracowaliśmy tak trzy dni a że się

miało na deszcz więc wozili kawał w noc aż pozwolili pszynice. Wieźli ostatnią furę już zaczął padać deszcz wtem on mówi zrućmy z woza pszynice to jutro ranko wyjadziemy do Kowala i cie tu przywiezie do siebie a późni cie odwiezie do Witkowa. Ranko wyjechalim jeszcze przed wschodem słońca, po deszczu dzień się zapowiadał ładny, jedziemy i rozmawiamy o Ameryce późni o polityce i wojnie. Ja mu mówię że wojna musi być wkrótce, on nie wierzy aż się gniewa na mnie ja precz dowodzę swoje, w tem dojechalim do Śmiłowic gdzie słonyszko już się zaczęło podnosić od ziemi, widzimy kupkę ludzkie bardzo smutnych przed urzędem gminnym coś rozprawiają, kobiety płaczą. Ale nie zważamy na to, jadziemy dalej przejeżdżamy około kościoła, chociaż kościół był zamknięty jeszcze, kilka kobiet klęczy przed kościołem, płaczą i wdychają do Pana nad Pany. Ale zauważyłem jakieś ogłoszenia na murze smen-tarnim, zaskakuje z woza patrze mobilizacja ogólna rozerwy i koni które zapisane do wojska. Już nie siadam na wóz tylko krzycze zawracaj, niema co wojna, masz koni do wojska, on mówi dwa, no to jutro masz być z niemi w Kutnie a ja jako rezerwista też muszę się stawić na jutro do Kutna, jadę z Bogiem nazad zobaczymy się w Kutnie i ruszyłem piechotą do Kowala a mój kolega zawrócił do domu. Przychodzę do Kowala tu już ruch mobilizacyjny w cały pełni. Ja po przywitaniu się z żoną która płacze, po zjedzeniu trochy śniadania wzięłem się do przygotowania na wojnę układając sobie niezbędne rzeczy do torby. Gdy już miałem przygotowane co było potrzebne w drogę na wojnę wychodzę się rozpytać coś niecoś boć przecie nie wiem kto z kiem zaczyna. Po udaniu się na rynek miasta króla chłopków tu się dowiaduje że rozerwisci zbierają składki na msze święte i zbierają się do spowiedzi, chętnie się przyłączyłem do składki i zanieśliśmy na msze św. i poprosilim o wysłuchanie nas spowiedzi dziś wieczorem. Kanonik chętnie się na to zgodził tem bardziej że prośbę poparlim około dwudziestu rublami piniędzy. Na drugi dzień jeszcze było ciemno, już byliśmy w kościele nietylko rozerwisty ale i ich najbliższa rodzina tak że kościół był pełny ludem. Który cały czas korzył się przed najświętszym sakramentem na kolanach i wdychał do Boga o odwrócenie tej burzy. Ale dziwna rzecz że ja może najlepiej rozumiejąc jakie klęski czekają naszą nieszczęśliwą ojczyznę z tych tu zebranych w kościele ludzi, nie brała mi ani żadna trwoga ani żal że w tej wojnie mogę złożyć swe kości gdzieś w nieznanej mogile. Tylko wpatrywałem się w ołtarz gdzie był obecny Zbawiciel w postaci chleba i wina i rozmyślałem Boże

mój Boże czy nie nadszedł już koniec naszej męki i poniewierki, dla naszej skolatanej Matki Polski. Po skończonym nabożeństwie i błogosławieństwie udzielonem nam przez kanonika przynajświętszym sakramentem, udaliśmy się do domu, po zjedzeniu trochę śniadania udaliśmy się odprowadzeni przez rodziny przed urząd gminny gdzie już oczekiwały na nas podwody które miały nas odwieźć do Kutna na miejsce zbiórki, gdzie się rozerwiści zbierali ze czterech powiatów. Ja po uściskaniu swej żony dwóch basatyków i córeczki która jeszcze nie miała pół roku wskoczyłem na wóz i zaśpiewałem: Pamiętaj żeś Polka, że to za kraj walka, Ojczyzna polska to twoja rywalka. Ale sam nie wierzyłem w to co śpiewałem aby tylko tak żeby się nie rozbeczyć jak niektórzy beczeli gorzej od swych bab. Bo jeszcze wtenczas nie wiedziałem kto z kim będzie walczył. Po przyjeździe do Kutna po zjedzeniu obiadu poszedłem się dowiedzieć do wojenskigo naczelnika jak tam wygląda ta mobilizacja. Ale tam widzę że coś funkcjonuje nie tak jak powinno w takim razie, jakaś opieszałość w przyjmowaniu i wysyłce rozerwistów. Wróciłem się do swych znajomych którzy siedzieli na wozach i raczyli się gorzałą, mówię do nich że niema potrzeby się spieszyć bo jak tak pójdzie jak idzie, to oni za trzy dni jeszcze nas nie wyślą. Na drugi dzień po spędzeniu nocy w pewnym warsztacie stolarskim na wiorach, wyszedłem pomiędzy ludzi czy nie zobaczę swych wojskowych kolegów wtem widzę brata, który też prowadzi konia do zdania do wojska, po przywitaniu się z bratem mówię mu żeby się nie spieszył z konim bo tu coś nie tak idzie jak powinno, brat powiada dobrze chodź do mego woza mam półlitrowkę to wypijem i zjemy śniadanie. Rozłożyłem śniadanie na wozie i zacząłem się zabierać do picia. Gdy wtem powstał wielki krzyk w stronie gdzie się mieściły biura naczelnika wojenskigo, patrzymy palą się budenki biura, palą papiery, ludzie lecą z tej strony krzyczą ratuj się gdzie kto może bo Niemcy podchodzą pod Kutno, naturalnie panika szerzy się szybko, ja biegnę do swych podwód gdzie miałem swój tłumoczek tam już wszystko gotowe do ucieczki, ja się pytam gdzie chcecie jechać do wójta, on powiada tą drogą co przyjechałim. Ja mu mówię nie radziłbym ponieważ jak Niemcy rzeczywiście idą to idą szosą, czy nie znacie boczny drogi którąbym mogli powrócić, on powiada znam kilka ale najlepsza będzie na Łanięta bo kawał szosy. Po naradzie ruszyłem na Łanięta przyjechałim do Kowala i tu się dowiedziałem że nikt Niemców nie widział żeby szli na Kutno. Wieczorem dopiero ściągała się pograniczna rosyjska straż i oni

nie nie widzieli żadnego wojska niemieckiego. Wtedy zrozumielim że to było zrobione z rozmysłem przez naczelnika wojennego.

W taki sposób byłem jeszcze w domu do 19 września. Dopiero gdy wojska rosyjskie zaczęły się posuwać w stronę Torunia i doszły do Włocławka a patrole do Nieszawy i dalej wtenczas to odwieźli nas po raz wtóry do Kutna ale tu już nie było bo wszystko było popalone więc posłali nas na kolej, odesłali do Warszawy. Z Warszawy wysłali nas aż do Kaługi i tam dopiero nas formowali i w miarę potrzeby odsyłali na front jako kadry dla obuczania rozerwistów ale i rekrutów, ja byłem назначony do puszkarni i pracowałem szykując, czyszcząc i składając karabiny ręczne i maszynówki i pakując i odsyłając na front, tak szło dopóki nie dowiedzieliśmy się że bitwy odbywają się już na terytorjum naszej ojczyzny, wtenczas zakotłowało między nami i każdy prosi się dowódcy rozerwowego pułku o wysłanie go na front. Dowódca nie chcąc nas puścić tłumaczy nam że my tu więcej zdziałamy dla swej ojczyzny przyspasabiając rekruta i broń dla niego aniżeli na froncie. Ale my inne myślelim. Boć przecie będąc wierny swemu pierwszemu wezwaniu, gdzie się znajdowałem szerzyłem ideje że chociaż służemy wrogowi ale uczyć się powinniśmy tak jakbym mieli bronić własnej ojczyzny. I tu będąc w centrum Rosji, ale myślą byłem na ziemiach Polski na tych równinach Kujawskich gdzie w tej chwili depce wraz z plemię swem butem te nasze świętą karmicielkę ziemię. Po skończonych pracy przy warsztacie biegnę po gazety do miasta, przynoszę czytam swym kolegom którzy niewszystko rozumieją z przeczytanych rosyjskich gazet. Ponieważ nie było wymienione miejscowości gdzie się bój toczy trzeba było codziennie czytać i śledzić ruchy wojsk i samemu trzeba było się domyśleć czy się wojska cofają czy idą naprzód. Korzystając z tego że obok mnie zbierała się spora kupka kolegów tłumaczyłem im że nam trzeba być na froncie aby bronić swych rodaków nie dać krzywdzić przez wroga nam żołnierza rosyjskiego który wiecie że jest skłonny do grabieży i gwałtów a któż ma w takim razie czuwać jak nie żołnierz polak chociaż w mundurze rosyjskim. I tłumaczyłem w jaki sposób każdy polak unikając o ile się to da zabicia, bez potrzeby ma się nie narażać, starać się o ile możliwości być na tyłach a gdzie się da zapobiegać bezprawiu i złodziejstwu jakie się praktykuje w podobnych razach. Miałem już około 20 żołnierzy wtajemniczonych w podobne działania. Gdy przyjechał wojenny naczelnik generał lejtnant Moskiewskiego okręgu Mrozowski nie wiem czy polak, nazwisko było

polskie, i zrobił przegląd wojska, które były jeszcze w przysposobie-
niu w Kałudze, na inspekcyjnym smotrze gdy się zapytał czy nie
mamy jakiego zażalenia, ja wystąpiłem naprzód i mówię że ja mam.
Pyta się jakie, ja mu tłumaczę, że mam takie zażalenie że nas nie
chcą puścić na front, za mym przykładem wystąpiło około 50-ciu
polskiej wiary z podobnym zażaleniem. Pan generał woła dowódcę
pułku i mówi mu dlaczego tamuje chętnym ludziom odjazd na
front. Próżno pułkownik tłumaczy że to jest najlepszy żołnierz na
instruktorów rekruta i rozerwisty a kogo on postawi do nauczania
tatarów lub żydów gdzie u tych ostatnich nawet postawy niema soł-
dackiej. Nic nie pomogło generał kazał nas odesłać na front przy
pierwszym zapotrzebowaniu. Tak że już w tydzień po odjeździe je-
nerała już się szykowałam na front, reszta pozostałych polaków i ta-
tarzy dwie marszowe rotę około 500 chłopów. Najprzód byliśmy wy-
słani do wschodnich Prus do pułku nowotrockiego stacjonowane-
go w Wilnie w czasie pokoju. A obecnie miał być bardzo zdziśiat-
kowany, co ja mówię, na połowę stracił ludzi zabitych rannych
i w niewoli. I my to mieliśmy zmocnić jego szeregi. Dojechalśmy
niedaleko Wilna, zostaliśmy zatrzymani w drodze, staliśmy tak w po-
lu na marny stacji jakie siedem godzin nareście w nocy ruszyliśmy
w stronę Warszawy. Po przyjeździe do Pragi nasz pociąg skierowali
w stronę Modlina, gdzie w niedzielę rano wysiedliśmy w Modlinie,
tam się zatrzymaliśmy jakie cztery godziny, zjedliśmy obiad, ruszy-
liśmy na lewy brzeg Wisły, tu przenocowaliśmy w małej wioszczynie,
rano ruszyliśmy w stronę Sochaczewa gdzie mieliśmy zastać pułk
do którego byliśmy назначeni. Z nami nie szła żadna kuchnia ani
wóz z prowiantem wydawali nam pieniądze, a było to wkrótce po
bitwie pierwszy pod Warszawą gdzie Niemcy się szybko cofali ku
swej granicy a rosyjskie wojska posuwały się za nimi, tak że trudno
było coś dostać do jedzenia. Na obiad zatrzymaliśmy się w Leśnie
gdzie było wiele marjawitów nawet mieli tu swój dosyć duży i ła-
dny kościół. Ale nie można było nic dostać do jedzenia. My polacy
sobie poradziłem poszliśmy na młyn kupiliśmy parę funtów mąki, po-
szło nas około 10 żołnierzy polaków do jednej chaty, poprosiłem
o duży sagan, nalelim wody wzięliśmy się do gotowania klusek, kobi-
cina nam zagnieła drudzy brali ciasto kulali na takie powrozy
z tego rwali takie kawałki wrzucając do gorącej wody. Ja poszłem
do wsi poszukać okrasz ale takowy nie było więc szukamy mleka
aby chociaż z mlekiem zjeść te nasze szkaplerze to tak nazwalim te
nasze kluski. Szukając mleka widzę że tatarzy z naszych rot ni mo-

gąc dostać nic kupić do zjedzenia myśląc że tutejsza ludność ze złej woli nie chce jem nic sprzedać, zaczęli zabierać siłą ptastwo i co jem pod rękę wpadło, nawet jednemu gospodarzowi wyprowadzili może czteromiesięcznego żrebaka i chcą zabić na mięso, chłopak może 14 letni uwiesił się u szyi żrebaka i płacze nie daje ale tatarzy głuche na prośby chłopaka, ja wmię jestem spowrotem na naszej kwaterze, wezwałem pod broń swych polaków, żołnierze gdzie większość z nich byli to podoficerowie wybiegłim do wsi i zagroziłim tatarom żołnierzom że jak się ośmielą coś rabować siłą to ich wystrzelamy jak kaczkę, naturalnie i tatarzy też dosyć krewcy a że byli w większości bo na 500 było ich przeszło trzysta zaczęli też chwytac za broń. Ale my mieliśmy przewagę bo byliśmy w swem kraju. Ale i takby może się nie obyło bez rozlewu krwi bo trzech oficerów jacy z nami szli nie mogli utrzymać porządku ale wkońcu zrozumieli że my bronimy swych rodaków od rabunku i przyłączyli się do nas wyznaczając silny patrol i zapowiadając tatarom że kto ośmieli się zabierać siłą jaką rzecz to bez sądu kula w łeb. To poskutkowało, poślim zjedlim swoje szkaplerze z mlekiem gdzie chętnie mi udoiła ta gospodyni której żrebaka żem wyratował z pod tatarskiego noża i poślimy w dalszą drogę w strone Sochaczewa, w jednym majątku przenocowaliśmy w stodołach, tatarzy żarli brukiew buraki marchew a nie śmieli nic brać. A my na kolacyję kupilim dwie kury i zgotowalim sobie z kapustą która była jeszcze na polu i tak bez chleba się pożywilim i poszlim spać, rano ruszyli dalej, przed obiadem byliśmy w Sochaczewie, tu chociaż wojska było dużo ale tego pułku już nie było poszedł za uciekającym Niemcem, tu zjedlim obiad już na zbornym punkcie u komendanta i dalej nie poszlim tylko nocowalim w takim rozbitem domu bez okien i drzwi, ale jak moglim pozatykalim i przespaliśmy chociaż pod dachym. Rano ruszyliśmy w strone Łowicza ale nie szosą tylko bocznymi drogami na Kiernozie. Wieczór byliśmy w Kiernozi, tu znów dostaliśmy tylko pieniądze bo obiadu nie było, ale że moglim kupić troche mięsa i kartofli, kwatere dostałim nas 10 u pewnego żyda w rynku o ile to można nazwać rynek w tej żydoskiej mieścinie. Ja mówię chłopcy gotujcie tu obiad w kocielkach chociaż jak nie dostaniecie coś większego a że mną niech idzie jeden do pobliskiego folwarku to przyniesiem sobie słomy do spania. Przychodze ze słomą a moje chłopcy nie mogli napalić w kuchni jaka się znajdowała w owym pokoju tylko palą ogień na rynku, ja się pytam o przyczynę, oni powiadają że nie chce się palić. Ja zapalił wiecheć słomy nic dym nie ciągnie.

ide na drugą stronę do żyda mówię tyś właścicielim tej chaty, on się jąka boi się czy coś ale ja mu mówię dlaczego to nie chce się palić w tamty kuchni a u ciebie się pali, żydzisko się tłumaczy że komin zepsuty, ja mu mówię zaraz reperuj bo jak nie to przychodzim tu zajmiemy twój pokój a ty tam pójdiesz. Żyd rad nierad włazi na górę odtyka dziure od dymu prowadzącą do naszego pokoju i pali się. Ja mówię chłopcy idźcie do żyda, niech wam za kare da drzewa na ogień i niech sam narąbie. Żydzisko kręcił się jak piskorz ale urąbać drzewa musiał ale zato obiad sobie zgotowalim przyzwoity i spać było ciepło, rano śniadanie też zgotowalim i ruszyliśmy w dalszą drogę w stronę Kutna. Dopiero ten pułk w którym mieliśmy służyć dopędziłim w Krośniewicach w same Wszystkie święte. Wszystkich przyjeli a nas czterech polaków i około 50 tatarów wysłali do innego pułku który miał się znajdować w okolicach Łodzi. Po wypoczeniu w Krośniewicach jednej doby, ruszyliśmy w drogę a że znaliśmy dobrze drogi bliższe niż te które nam wyznaczili w marszrucie, poszliśmy do Łodzi sami naprzód że tam ich poczekamy, a zabawim w Łodzi, ja u swych znajomych a oni też mieli tam swych krewnych braci i siostry. Ale po przybyciu do Łodzi przekonalim się że tam już była nietylko bieda ale nędza, po trzech miesiącach wojny nie było już co jeść zamiast oni nas ugościć to my ich musieliśmy karmić. Z Łodzi ruszyliśmy w dalszą drogę w stronę Bełchatowa. W tej to okolicy stał ten pułk do którego nas przeznaczili, zgłosiłim się przed wieczorem i tatarów przyjeli i jednego z polaków a nas trzech nie, mówią że nas niema w tem spisie który to nadszedł. Narazie że był wieczór kazali nam iść na drugą wioskę że tam możemy przenocować. Poślim, pada deszcz taki jesienny, chodzimy od chaty do chaty wszędzie odmawiają nam noclegu, chociaż prosimy o jakie takie schronienie aby pod dachym żeby na nas nie padał deszcz, ale w chatach pełno żołdatów a do budunku nie chcą nas przyjąć, już odwiedziłem dziesiątą chatę i nic, prosto macha ręką że niema miejsca, tak mnie zgiewała ta nieludzkość tych ludzi w tej okolicy że gdy nam odmówili już w 10-tym chacie wyjęłem zapalki z kieszeni potrosnułem niemi i mówię chodźcie chłopcy my będziemy spać na deszczu ale połowa wsi też będzie bez dachu nad głową na całe zime, wtem ten gospodarz się przeląkł groźby woła na wyrostka, Franek zaprowadź tych żołdatów do Kasi. Ten wyrostek prowadził nas po polu dosyć długo do chaty osobno stojącej i tam zawołał na Kasie która już spała, aby nas przyjęła. Kasia była to córka tego gospodarza a siostra wyrostka,

dosyć ludzka babinka, męża też miała na wojnie widzi że jesteśmy zmoczeni, zgotowała nam mleka napilim się z chlebym i prosim żeby nam dała chociaż troche słomy ale Kasia sama boi się iść po słomę do stodoły i z żołdatym też się boi, wyrostek odszedł. Wkońcu uprosiłem że nie jej się nie stanie że może przysiągać na ten krzyż który tu stoi na stodole, dopiero poszła i o stworzyła stodołę, znalazłem snop słomy długiej i przyniosłem do spania. Na drugi dzień po stawieniu się do sztabu dywizji odesłali nas spowrotem do miejsca skąd przyśliśmy gdzie przyślim na dwa dni przed bitwą jaka się rozpoczęła pomiędzy Krośniewicami a Lubieniem w pobliżu fabryki cukru Ostrowy, tam to przeszedłem pierwszy chrzest bojowy. Niemcy zaczęli się pokazywać już w środe kiedy mnie posłali w okopy pierwszej linii. Ale dopiero w czwartek zaczęli nas atakować na dobre, bitwa trwała czwartek noc piątek i noc sobota i noc. W niedzielę od rana bitwa zaczęła słabnąć z naszej artylerji, natomiast Niemcy zmogli ogień artylerji. W czwartek około południa, kiedy już niemiecka artylerja strzelała przeszło dwie godziny, zaczęły niemieckie piechoty wojska podchodzić okopując się. Ja to pierwszy raz w swym życiu wystrzeliłem pierwsze pięć naboju jakie miałem naładowane, celując w ludzi chociaż ci ludzie byli oddaleni ode mnie jeszcze z górą 1000 metrów. Ale naładować napowrót karabin to już było trudno, jakie uczucia przechodzą człowieka trudno określić. We mnie wszystkie nerwy grały, ktoby sądził że ze strachu, strachu nie czułem tylko takie coś nie umie wytłumaczyć. Pytałem się później swych kolegów to nieomal każdy coś przechodził pierwszy raz. U mnie to wszystkie żyły drgały, na nogach i reszcie ciała to tylko odczuwałem drżenie żył ale na rękach to widoczne były drgawki żył jakby ktoś na nich brdagał jak na arfie. Przez to nawet naładować karabin sprawiało mi taką trudność. Ale patrząc na swego sąsiada, który już kilka razy był w boju bo był w wschodnich Prusach, który wyjął spokojnie kapciuch z machorką, zwinął sobie lulke nałożył machorki zapalił i dopiero przystąpił do strzelania pychając dym ze swej trubki, wtedy i ja poszedłem za jego przykładem wyjąłem papierosa zapaliłem z jego trubki i wtedy zacząłem strzelać już daleko spokojniej, wystrzeliłem pięć ładunków nałożyłem trzecie piątkę i już tak szło, jakby człowiek kosił zboże albo inne robotę wykonywał. Chwilami strzelanina ustawała zupełnie to znów się zmagala w miarę jak Niemcy starali się przybliżać. Tylko artylerja biła wciąż bez przerwy z oboich stron, pociski gwiżdząc przelatywały ponad głowami. Noc z czwartku na piątek całą noc czuwałem.

ach co za długa noc listopadowa. Myślałem że ta noc się nigdy nie skończy, wieczorem przywieźli nam obiad i nad ranym znów przywieźli obiad mówiąc żeby się dobrze najeść bo nie dostaniemy aż w nocy znów. Ale ja chociaż sobie sporo nabrałem nie mogłem jeść pozostawiłem na później. W piątek nadeszły nam posiłki byliśmy rozstawieni gęściej to mogłem wypoczywać, w nocy chociaż bardziej się zmogła strzelanina ale już mi nie wydawała się tak długa ponieważ spałem więcej jak drudzy czuwali, w sobotę Niemcy systematycznie krok za krokiem się przybliżali już byli bliżej naszych okopów jak 500 metrów. W sobotę gęsto padały pociski artyleryjskie w nasze okopy tak że dużo rannych i zabitych było w naszych okopach, w sobotę też mocno był ranny nasz rotny i jeden oficer których odnieśli do pobliskiej chaty przy szosie gdzie po rannych przyjeżdżała sanitarka i zabierała ale w pięć minut niemiecki pocisk rozbił chatę i wzniecił pożar to wątpliwe czy ich sanitarka zabrała. W sobotę nie dostaliśmy już nic do jedzenia tylko brałem zapasowe konserwy i suchary których mieliśmy po pięć funt. w tornistrze i dwie puszki konserw, tylko pić się mocno nam chciało a nie było gdzie dostać wody, niektórzy opróżniali tornistry zabitych. W nocy na niedzielę już znów nic nie spaliłem powodu że Niemcy wciąż się posuwali naprzód a nas pozostało coraz mniej tak że nie było czasu zasnąć ale co dziwniejsza że noc zeszła nam prędko ponieważ nie myślałem o nocy tylko czy też utrzymamy swe okopy. Strzelaliśmy coraz zjadlej tak że nam nie mogli nadążyć donosić patronów, mój karabin był tak rozpalony że niemiłosiernie tłukł mi ramie, tak odsadzał aż sobie zmieniłem u zabitego który po śmierci jeszcze tak trzymał mocno swą broń że musiałem mu palce każdy osobno odrywać. Przykre uczucie mocować się z trupym żeby dał karabin. W niedzielę już tak o nas zapomnieli że i patronów nam nie dostarczali tylko zabierałem rannym i zabitym, nasze okopy przedstawiały opłakany widok pociski je poprzerobiały na swój sposób. W niedzielę od rana do godziny może jedynasty odparlim pięć ataków, Niemców leżało sporo zabitych przed naszymi okopami. Oficera naszej roty już nie widziałem żadnego tylko nasz plutonowy się jeszcze uwijał w cały rocie, nie wiem czy z rotty pozostało z 250 chłopów 50-ci kiedy wkońcu postanowiłem się poddać ale tak po południu gdy Niemcy zaniechali na jakiś czas ataku, zaczęliśmy się wymykać na brzuchu do pobliskiego zagajnika. I dziwna rzecz że w tym to zagajniku uciekając natchnułem się na swych kolegów których nie widziałem trzy dni a z którymi to odbyłem podróż do Belchatowa

i spowrotem. W zagajniku poprawiliśmy swą odzież od czołgania się i puściliśmy się dalej w stronę Krośniewic. Ja miałem jeszcze w karabinie dwa patrony na wszelki wypadek ale moi koledzy nic, jedyn z nich był lekko ranny, kula dosingła go już w zagajniku i przeszła mu w nogę powyżej kolana na szczęście nie naruszając ani kości ani żył. Tak że gdy uszliśmy już tak daleko że kule karabinowe nie dochodziły, zrobiłem mu opatrunek z bandażu jakie miał przy sobie każdy żołnierz. Po przyjeździe do Krośniewic tu się dopiero przekonałem że wojska rosyjskie więją na łeb na szyję, napiliśmy się wody tylko i ruszyliśmy w stronę Kutna. Po przybyciu do Kutna gdzie już było ciemno artylerja wozy furgony prywatne wozy wałęsoszą w trzy rzędy, ja spotkałem w Kutnie wuja mojej żony który mi tylko wetknął w rękę 10 rubli i posłaliśmy dalej w stronę Łowicza. Wychodząc z Kutna stoją oficera różnych pułków na szosie i zawracają tych żołnierzy swych pułków, my dochodzimy krzyczy kakowo polka bo nie mieliśmy jeszcze na pagonach numeru pułku a mundury mielim jeszcze z Kaługi. Ja krzyczy marszowych rot i nie mówił nic, poslim dalej ale ja skręcam w pole moi dwaj koledzy za mną i tak brniemy po oranym polu w ciemną noc kierując się na światło jakieś chaty. Moi koledzy klną żem ich wyprowadził w pole, ale ja jem mówię możecie się wrócić do szosy niech was oficer zawróci. Bo ja potrzebuje spoczenku, trzy nocy nie spałem, a przy szosie gdzie idzie tyła wojska znajdziecie spoczynek? Przyznali mi rację i już nie narzekali chociaż się który przewrócił w rowie czy bruzdzie. Wreście dośliśmy do chaty które światło widzieliśmy i prosimy o jaki posiłek gdyż od soboty południa ja nic nie jadłem. Dzięki Bogu trafiliśmy na litościwego człowieka, który chociaż nie miał chleba ale kazał swem dorosłym dwiem córkom naczyszczyć kartofli i nagotować, dziewczyny zakrzętnęły się prędko i nagotowały kartofli, zalieli żurem okrasily i podali nam na stół. Ja w międzyczasie zakryłem okno aby światło nie przywabiło niepożądanych gości. Zaczeliśmy jeść gorący żur z kartoflami, gdy przyjeżdża tego gospodarza córka zamężna za gospodarzem około Krośniewic i płacze żeby kto poszedł pomóc bydło przygnać, bo nie może dać rady jej mąż. A sama wydobywa dwoje dzieci płaczących z woza, z pospiechu uciekając powrzucali co w rękę wpadło na wóz, troche pościeli i odzieży późni ptastwo, na to posadziła dzieci dwoje i sama usiadła, naturalnie kurska się podusiły, płaczu lamentu było co nie-miara. Ale my nie zważali na trupy kur kiedy więcej trupów ludzkich widzielim. Tylko wcinamy aż nam się uszy trzęsą i myślimy

ulokować się gdzie w stodole na spanie gdy wtem widzimy wielki ogień aż tu się zrobiło widno i strzelaninę mocną z karabinów i maszynówek. Zaniechałem myśleć o spoczynku, a zbieram się i wędruje dalej pytam się dziadka o drogę do Sannik. Moi koledzy są tak pomęczeni że nie chcą iść ze mną, ale gdy ja wyszedłem na drogę podziękowawszy za posiłek, widzę i oni wleką się za mną, tak idziemy drogą i spiemy idąc, pierwszy raz w życiu spałem idąc, jakby mi kto mówił że można spać i iść nie uwierzyłbym. Tak dosłaliśmy do Józefowa gdzie była fabryka cukru, tu stróżę przy fabryce pokazali nam dalszą drogę do Sannik i wlecemy się spać. Tak dosłaliśmy już kawał drogi do szosy która szła do Gębina, tu jeden z moich kolegów poszedł do Gębina bo tam miał siostrę a my dwoich udalim się do Sannik umawiając się że jak wypoczniemy to my pójdziemy do niego do Gębina, w razieby Niemcy szli naprzód niech on przyjdzie do Sannik. Idąc tak i spać zeszliśmy widocznie z drogi na jakąś drogę która nas doprowadziła na łąki i do rzeki. Rzeka dosyć szeroka niema mowy żebyśmy przebrli cofamy się nazad i o dziwo gdzie się obrócimy wszędzie woda, chodzimy w koło już więcej jak trzy razy i nie możemy natrafić którędy żeśmy przešli te wody, co tu robić nad ranym zimno mróz ciągnie aby usiądziem zaśniemy zaraz i się przeziębim bo jesteśmy przez to utykanie spoceni. Na szczęście nasze robi się dzień, widzimy już nad rzeką koloniję, widzimy już most i szosę ale jak tu wyjść z tej wody. Rozwidnia się lepiej, idziemy w stronę mostu, woda rzeczywiście, nawracamy na lewo patrzymy a to siano ścięte i rozstrząśnięte i nie zebrane. Na tem to sianie osiadł śron a nam w nocy pokazało się że to jest woda. Dopiero wybrlism z tych bagien na szosę i udalim się na koloniję gdzie już ludziska zaczęli wstawiać, ta kolonja nazywała się Helenów, w pewnej chacie poprosiłem o jakiś posiłek, chleba nie mieli ale mieli kluski na kartoflach zagotowali mleka wleli na te kluski pożywiłem się i wędrujem dalej, ma być niedaleko sklepik gdzie możemy dostać coś kupić zafajczyć bo już dwa dni nie paliłem nic. W sklepiku nie dostaliśmy nic oprócz tabaki do zażywania, ale ta nie chciała się palić, zamierzaliśmy tu spocząć kiedy na wzgórzu o jakie cztery kilometry ukazała się niemiecka artylerja i zaczęła ogień na most przez rzekę przy której tak długo błądziliśmy w nocy. Na takie dyktom nie pozostało nam nic więcej jak wlec się dalej chociaż upadalim ze znużenia, do tego mój ranny kolega narzekał na ranę która chociaż z początku widziała się lekka ale że zrobił kawał drogi i pieszo więc rana się zaogniła i trzeba było fachowego opatrunku. Tak wlokąc

się noga za nogą dobiliśmy z wielką trudnością do mej stryjenki do Sannik, mój kolega nie chciał się ze mną rozłączać i nie poszedł na opatrunek mówiąc że potrzebuje spoczenia. Gdy weszliśmy do mej stryjenki która miała sklep kolonjalno-spożywczy tu już wszystko było spakowane do podróży odzież i pościel powiązane w tłumoki a reszta towaru i rzeczy pochowali do piwnicy. Gdy weszliśmy stryjenka chciała nam szyć jakiś posiłek ale ja mówię ciociu droga ja potrzebuje tylko spoczynku i mój kolega który do tego ranny także. Mego kolega wzięły pod swoją opiekę me dorosłe kuzynki i omyły mu rany i zrobiły opatrunek a mnie ciotka postawiła szklanke herbaty, ja zacząłem pić i przy tej herbacie zasnąłem. Ciotka widzi że nie ze mnie póki nie wypoczne zbudziła mnie i kazała się położyć do łóżka które było całkiem rozebrane aby tylko sienniki były. Położyłem się do łóżka nie rozbirając się wcale polecając ciotce aby mnie zbudzili gdyby Niemcy nadciągali, zasnąłem jak kamień natychmiast. Taki to chrzest przeszedłem bojowy w tej wielkiej wojnie. W nocy zbudzili nas bo słyszeli silny ruch wojsk po szosie, zebrałem swe manatki i karabiny bo i ten trzeci kolega sięgnął z Gębina bo tam już Niemcy bombardowali i też spał tu. Wyszliśmy na szosę ale widzimy że to rosyjska kawalerja ciągnie na front wraz z artylerją całą dywizją. Wróciłem się spowrotem i po zjedzeniu posiłku ułożyłem się znów do snu gdzie kto mógł, tem razem dospałem do rana. Rano wyrząłem na szosę widzę że wojska rosyjskie odступują w stronę Warszawy i my zebrałem swe manatki mój tornister był wypchany żywnością i papirosami, napchali my nie tylko w tornister ale i w kieszenie pełno papirosów i moim kolegom także, ja miałem przy sobie około trzech tysięcy papirosów Noblesa z Warszawy gdzie syn stryjenki był dyrektorem fabryki papirosów. Więc ciotka mówi mają moskale zabrać albo szwabę lepiej wy zabierzcie. Ruszyliśmy pieszo w stronę Warszawy i moje cztery kuzynki z nami ponieważ nie mogły dostać furmanki, a ich konia zabrali Niemcy na podwoje jak pierwszy raz odступowali z pod Warszawy wraz z ich bratem który jeszcze nie wrócił. Przed samym wieczorem sięgnęliśmy do Sochaczewa ale tu wojska napchane pełno, nie tylko po domach ale i na ulicy, zgłosiłem się do Komendanta ale ten nam mówi, wasz pułk zbiera się na rynku więc tam się zgłóście, wyszliśmy od komendanta ciemno na dobre deszcz pada. Gdzie my się tu podziemy na noc, iść do pułku i stać tak na deszczu może całą noc? Wiecie co koledzy chodźmy na dworzec może tam coś nam się uda znaleźć jakiś dach nad głową aby deszcz nie lał na nas. Poszliśmy widzimy

że moje kuzynki także tam stoją przed dworcym gdyż na dworzec nikogo z cywilów nie puszczają, my prześlim i widzimy że jest cały szereg wagonów towarowych, wtrynili się do wagonu co będzie to będzie ale zawsze nie leci nam deszcz za kołnierz. Ale jakby tu przeprowadzić te kuzenki żeby one nie mokły tam a może jem się uda pojechać do Warszawy do brata. Moi koledzy dali mi swoje szynele i czapki było ciemno gdyż światło się nie świeciło zaniusłem, nadziały szynele na siebie włożyły czapki i przeprowadziłem dwie, tak chodziłem cztery razy poprzeprowadzałem nie tylko cztery kuzynki ale i ich koleżanki i umieściliśmy je w wagonie towarowym gdzie i my się ulokowaliśmy tak że się zebrali około trzydzieści osób, chociaż w wagonie było zimno ale zawsze nie padało na nas. Zasnułem obudziłem się gdy wagon był w ruchu ale gdzie jedziemy nie wiemy. Dosyć że na rano dojechalim do Warszawy. Tu się rozpruszyli, nasz ranny kolega poszedł na opatrunek bo mu noga spuchła a ja udałem się ze swemi kuzynkami do ich brata który miał obszerne mieszkanie na Chmielny i tam zabawiłem do wieczora i mówił mi żebym nocował ale ja miałem na sobie już sporo inwentarza za kołnierzem, nie śmiałem korzystać z noclegu aby mój inwentarz się nie porozlaził bo szkoda by wielka nie była ale dla nich niebardzo przyjemny nabytek. Takiem wieczorem a raczej w nocy udałem się na zborny punkt na Pragę, tu wiary pełno jak śledzi smród zaduch dymu z machorki i innego tytoniu. Ale w każdym razie było cieplej jak na odkrytem powietrzu, gdzie kto mógł tam się mieścić do spania, włączili na piece i o dziwo tam gdzie tylko kot mógł się wygodnie złożyć do snu tam lokował się woin białego cara i spał aż chrząkał, spali na oknach w każdym kącie pod stołm na stole pod ławą na ławie gdzie kto mógł, ja że przyszedłem późno nie mogłem już wyszukać sobie kąta tylko przestałem całą noc. Na rano wyszlim bardziej zmęczeni jak po bitwie na powieźtrze. A że miałem jeszcze spory zapas wędlin poszłem do kawiarni na kawę i zjadłem śniadanie, po śniadaniu kupiłem Kurjerka, udałem się na zborny punkt. Tu było wiary parę tysięcy, o 10-ty godzinie zaczęli ustawiać w setki wyznaczali setnika i ten setnik dostawał kartę na chleb cukier i herbatę i obiad, tego to setnika wiara pilnowała żeby im nie zwał boby byli bez obiadu i chleba. Ja tam znalazłem trzech z mych stron ale tych co z nimi przybyłem nie spotkałem więcej, pytam się ich jak wy tu dawno jesteście mówią że już prawie tydzień, jak wy tu możecie wytrzymać w tem piekle, oni mi mówią zawsze lepiej jak na froncie najgorzej ze spaniem ale jakoś się noc przedrze-

mie w koszarach a jeść dają tu nieźle tylko że trzeba się pilnować ale do wszystkiego się można przyzwyczaić. Ja mówię kiedy tylko najgorsza bieda ze spaniem to można temu zaradzić przecie tu w mieście można gdzieś wynaleźć coś gdzie będziemy mogli się wyspać. Oni mówią masz rację że nam też przód na myśl nie przyszło i zaraz rozpocząłm poszukiwanie. Po kilku nieudanych próbach wynaleźliśmy mieszkanie u dwóch pościwych staruszków którzy mieli tylko jednego syna wyrostka a mieli dosyć duże mieszkanie w oficynie w podwórzu na dole, z chęcią się zgodzili że możemy przychodzić na noc nie żądając zato nic tylko pozostało się wystarać o snopek słomy, ale i takowy dostaliśmy w sąsiednim podwórzu od żyda który miał przedsiębiorstwo z karmą dla koni i rzuł sieczkę miał sporo słomy i jeden snop nam podarował. W ten sposób nocleg mieliśmy zapewniony, nic nie robiliśmy tylko robote mieliśmy z obiadem i kolacją. Gdzie trzeba było czekać całymi godzinami zaczęm dostaliśmy dzienną porcję chleba cukru i herbaty no i obiad. Chociaż codziennie przybywało sporo ale też codziennie odsyłali na front, będąc tak już około dwóch tygodni póki miałem pare rubli jakoś szło ale gdy pieniądze się wyciągły że i na Kuryjerka nie było, poszliśmy do komendanta aby nas odesłał na front do naszych formacyj. Ale komendant skrzyczał nas i pyta się czy jesteśmy głodni mówimy nie, no to czekajcie aż przyjdzie czas na was wy nie jedni bo was tu jest około 10 tys. a i jeńców też sporo i wszystkich musze wyprowadzić. Tam się przekonałem że takich marudyrów było sporo którzy tak się tułali z jednego zbornego punktu na drugi od początku wojny. Ale bądź co bądź zawsze mie to korciło, przecie ja nie poszłem na wojne poto aby po zborniakach wszy paść. I pewnego dnia gdy jakiś oficer wybierał na zborniaku ludzi do oprzętu koni poszlim wszyscy czterech, oficer nas zaprowadził na place gdzie były w czasie spokoju rozmieszczone konie artylerji parku artyleryjskiego i obozu a obecnie było kilka tysięcy koni które nadchodziły pociągami z Rosji, chodzilim wyładowywałim z wagonów i przyprowadzałim na zborniak koński, tu czyściłim karmilim poilim na zapotrzebowanie odprowadziliśmy na front który się zatrzymał nad rzeczką Bzurą a z frontu znów przyprowadziłim konie chore i ranne i tu ich leczyli opatrunki robili. Przy tych to koniach byłem do 20 grudnia. 20 grudnia przybyłem z frontu gdzie odprowadziłim partyje koni a z frontu przyprowadziłim partyje koni chorych. Wypoczywałim po drodze, gdy już wypoczelim niektórzy grali w oczko przegrywając pieniądze które dostali na strawne w podróży. Gdy wchodzi oficer

i woła że potrzebuje artylerzystów moi koledzy byli dwóch artylerzystów którzy się zapisali ale ja mówię czy nie potrzeba kowala, zapisał i mnie też no i tego ostatniego też zapisał chociaż był piechur, w ten sposób zostalim poprowadzeni przez oficera do dworca towarowego na Pradze gdzie pomoglim wyładować konnogórną artylerję i park tej baterji do którego zostalim przyłączeni. I powędrowalim na front w strone Błonia. Batereja po wypoczeniu kilka godzinem poszła na pozycyje a my pozostalim w Błoniu. Gdzie rozpołożylim się na polu poza miastem niedaleko kościoła marjawitów. Oficera zajeli dwie chaty jakie tu były i stodołę a my pod gołym niebym, było to w noc wigilije Bożego narodzenia ułożylim się spać na polu obtulając się jak kto mógł, rano przebudziłem się widze że nie widać żołnierzy wszystko śnieg przykrył który upadł dosyć obfity. Na zagrana pobudke wytykają głowy z pod śniegu. Po zaznajomieniu się z nowemi kolegami dowiedziałem się w jaki sposób dostalim się do parku artylerji górnej, która przybyła na front z Turkiestanu gdzie stancjonowała w Margielanie, otóż została wypełniona tak baterja jako i park rozerwistami z guberni Samarski. Jadąc na wojne przejeżdżali przez swe powiaty i niektórzy wstąpili do swych rodzin. Po przybyciu do Warszawy brakowało ludzi. Więc z parku dobrali ludzi do baterji a do parku my zostali załączeni w taki to sposób zostałem zaliczony do parku konnogórnej artylerji gdzie pociski wozilim na pozycje nie na jaszczach a wiuczno to jest na konia do odpowiednio przyrządzonego siodła zawieszało się takie blaszane pudła w których się mieściło po 5 pocisków armatnich na każde strone tak że koń dźwigał na siodle 10 pocisków a my konia prowadzilim za cugle, armaty też można było umieścić na koniach w podobny sposób tak że gdzie trudno było wjechać armatą polową z powodu bagien lub gór taką artylerję można było umieścić na niedostępny górze nawet. Na pierwszą wilię na wojnie zostalim zaproszeni nas trzech do jednego gospodarza marjawity który co miał podzielił się od serca z nami żołnierzami którzy pierwszy raz w życiu obchodziliśmy kolacyje wigilijną na wojnie gdzie nie mieliśmy opłatka ale nawet pałatki jaką każdy piechur ma. Ale już sobie urządziliśmy jakie takie schroninie na noc w okopach po Niemcach za pierwszą bytnością ich pod Warszawą. Ranko wstałem poszłym na pasterke do pobliskiego kościołka marjawitów, gdzie mi się bardzo spodobało nabożeństwo odprawione całkowicie w polskiem języku a tem samem zrozumiałe dla każdego. Nie wchodze w położenie czy marjawici błędzą czy nie ale samo to że modlą się w ję-

zyku ojczystem to mi się nad wyraz podoba. Księża kościoła katolickiego idą drogą niewłaściwą trzymając się zawzięcie języka łacińskiego kiedy wyraźnie mistrz tej nauki Zbawiciel nasz pozostawił w swem testamencie modlitwe dla ludów w ich rodzimej mowie przez to zesłał na nich ducha św. który ich nauczał przemawiać w różnych językach a niema zmianki żeby ludzie modlili się w takim a nie w jennym języku. Prostak jestem ale mi się to nie podoba, jakby to nasza mowa była mniej miła Bogu aniżeli tych pogan którzy najwięcej prześladowali naukę tego Galilejczyka. Tam też w tym Błoniu spotkała mnie niemiła przygoda dostałem konia kirgiza zapasowego który jeszcze nie był dobrze przyuczony do wiuków. Gdy już miałem ziemlanke gotową pojechałim konno do stoga pod las po słome, aby sobie nasłać w ziemlance, zawsze ciepło spać, uwiązałem dwa snopeczki słomy przywiązałem mu na plecach zaczął waryjować wieźgać tak że słoma mu się dostała pod nogi prosto mój kirgiz szalu dostał wyrwał mi się i uciekł pozostawiając słome. Ja byłem pewny że on pójdzie do swych koni zabrałem słome ide pie szo przychodze konia niema wieczór się robi szukam, konia niema. Ściemniało się niema sensu szukać koni, tu cała moc obozów z parków artyleryjskich kozackich tak że tu wkoło miasta było kilka tysięcy koni, na drugi dzień szukam śnieg stał błoto po kolana ja precz łaże i szukam ale nigdzie nie mogę spotkać mego gniadosza, przychodze melduje plutonowemu mówi iszczy a ja gdzie go będę iskał kiedym złaził już wkoło miasteczka kilka razy. Na drugi dzień melduje, znów iszczy słysze odpowiedź, co tu było robić ukraść gdzie. Po obiedzie ide do dowódcy parku i melduje mu że zgubiłem konia. Pyta się w jaki sposób, opowiadam mu że byłem go poić a że to był koń zapasowy nie było na niego uzdy tylko uzdzienica a konia bez wędzidla nie mogłem utrzymać. Po wysłuchaniu mie każe zawołać fiedfiebla, zawołałem go więc mówi weźmiesz tego tu zucha co koń go zgubił i tego co siodło zgubił i postaw ich na 5 godzin pod szablę. Fieldfiebiel nas ustawił i stojemy w pełny pochodny formie na baczność, mamy tak stać dwie godziny i na drugi dzień dwie godziny na trzeci by się pozostało godzinę. Postąłem się tak około pół godziny wysyłają furmanki po siano i owies na dworzec towarowy i fieldfiebiel krzyczy kto wie gdzie dworzec towarowy, z rosjan nikt nie wiedział a że ja łażąc poszukując konia wiedziałem gdzie jest i moi koledzy mówią że ja wiem. Marsz mówi na dworzec po furaż a odstoisz inną razą. Ale na drugi dzień byłem niewolnym po koniuszni czyli przy koniach boć tu żadny koniuszni nie było

a prosto białe kołki, od tych kołków przeciągnięta lina do której były powiązane konie. Na trzeci dzień dostaliśmy rozkaz przemarszu pod Mławę więc wyruszyliśmy spiesźnie, w drodze nie było czasu na stanie pod szablą tak się jakoś wymigałem zato że koń mnie zgubił. A miałem strachu nielada. Przybyliśmy pod Mławę było już po bitwie tylko trupy pomagaliśmy zebrać z pobojuwiska i pochować. Tam pod Mławą w dobrach hrabiego Krasińskiego na Opinogórze w jednym majątku jego w cegielni przestaliśmy cały styczeń, w początku lutego naładowaliśmy się na wagony i przejechaliśmy do miasteczka Włodzimierz Wołyński. Tu się wyladowaliśmy i już piechotą pociągaliśmy w karpacie przez Sokal Żółkiew do Lwowa, tu mieliśmy odpoczynek dwudniowy i ruszyliśmy dalej aż w góry na Duklańską przełęcz. W drodze miałem parę przygód które tu napisze aby odzwierciadlić jak ludność się odnosiła do wojsk rosyjskich i odwrotnie. Idąc z Sokala na Lwów zatrzymaliśmy się w pewnej wsi gdzie był dosyć ładny mająteczek szlachecki z ładnym dworem i parkiem. Dworek jak zwykle był zniszczony przez ludzi którzy ciągle głosili że idą aby nam pomóc oswobodzić się z niewoli Niemca. Okna były powybijane drzwi porabane, nabrzdzone, piece kaflowe potłuczone i tu to mieliśmy spędzić noc w tym dworku, miejsca było dosyć pokoje eleganckie żeby to barbarzyńska ręka nie zniszczyła, my Polacy wyszukaliśmy sobie mały narożnikowy pokój gdzie mniej był zniszczony i drzwi miał tylko jedną kwadrę rozbity co dało się prędko naprawić, okno też pozatykalim potnikami z pod siodła tak że było zacisznie chociaż mróz był morowy, konie umieściłem w stajniach tak że chociaż konie miały wygodę ale Rosjanom nie podobała się taka kwatera przerobiona przez ich poprzednich towarzyszy Rosjan, zaczęli się wymykać na noc do wsi że nikogo nie pozostało oprócz nas, gdy dowódca parku dowiedział się kazał rozdać obiad i chociaż już słońce zachodziło wydał rozkaz marszu dziś jeszcze co nie mieliśmy przebyć go jutro. Naturalnie rozkaz rozkazem trzeba słuchać, idziemy nocą dosyć forsownym marszem odpoczywając tylko raz, tak że ścigałem na miejsce około północy. Tu po zatrzymaniu się niektórzy pozostawili konie zaledwie uwiązane poszli szukać sobie kwatery. Gdzie każdy już musiał sobie szukać kwatery na swoją rękę ponieważ jak tak to wysyłał dowódca zawsze naprzód konno dwóch ludzi którzy wyznaczali naprzód kwatery. Ale w ten dzień że to nie był ten marsz przewidziany na dzisiaj, nie były kwatery wyznaczone. Mnie było mego konia żal dopóki go nie umieściłem pod szopą w zacisznym miejscu, nie okryłem go derką wycierając dobrze wiech-

ciem ze słomy przedtem spocone miejsca tak że zaczęm poszłym sobie wyszukać kwatere już wszystkie chaty były zajęte że nie mogłem się gdzie umieścić chodze tak od chaty do chaty nigdzie nic, mróz bierze coraz lepiej od północy. Wtem widze chatę która stoi za wysokiem ogrodzeniem gdzie furta i brama zamknięta, myślę sobie tu chyba niema żołdatów ponieważ niekażdy lubi się skrabać poprzez ogrodzenia. Przelazłem przez dosyć wysoki płot pukam do chaty nikt się nie odzywa, pukam mocni tak że i umarli by się obudził nie słysze tylko cichą rozmowę. Krzycze otwieraj bo drzwi wywale, odzywa się głos po rosyjsku że tu niema miejsca ale ja nie chce ustompić i mówię otwieraj bo jak nie to drzwi rozbije. Nie chcą otworzyć ja widze że tu niema już co łązić i szukać kwatery po nocy, wale kolbą karabinu we drzwi deska pękła to poskutkowało, otwarli drzwi, widzę pokój nie tak duży, leży na podłodze czterech żołdatów z marszowych rot gdzie może się pomieścić wygodnie drugie czterech, wyszkalowałem ich że idąc na front nie zaznali jeszcze biedy nie odczuwają jej dla swego kolegi, zobaczycie tam na froncie, w tej chacie by was się pomieściło i 15-stu a tu piątego nie chcieliście wpuścić. I rozkładałam swe manatki do spania ale widze że to dom katolicki bo obrazy katolickie na ścianie. Więc odzywam się do płaczącej kobiciny na łóżku po polsku, niech pani nie płacze, drzwi każe jutro czyli dzisiaj zreperować a jak nie zdąże to zapłace za drzwi. Kobicina gdy usłyszała że mówię do niej po polsku wyskakuje z łóżka bo była nie rozebrana i powiada a dyć to polak i prędko się krząta, pali ogień ja dziękuje że ja chce tylko spoczenku ale ona mówi mój Boże ady Bóg by mnie ukarał gdybym rodaka nie przyjechał tembardziej że i mój mąż tam się może gdzieś dobić na nocleg i nikt nie chce mu otworzyć. I chce mi ręce całować przeprosza że mnie nie puściła zaraz ale te moskale jej nie dali odemknąć drzwi. Gdy już się ułożyłem na spoczynek po napiciu się gorącego mleka, moskale sobie szepcą wiesz brat my idziemy ich oswobodzić z pod awstryjca a ona dla nas i czaju nie chciała zgotować a polaczku to mołoka zgotowała. Na rano sobie poszli a my że przešli dwa marsze mieliśmy tu dniówkę, poszłem do sztelmachu i chociaż był rusin ale przyszedł i zreperował rozbitą deskę, gdy mu chciałem płacić nie chciał przyjąć zapłaty mówiąc i jaby nie lepiej zrobił, będąc na waszym miejscu, podziękowałem staruszkowi dając mu na pamiątkę fajkę która mi się dostała w podarunku w paczce jaką otrzymałem od nieznaney mi Anulki z Rostowa nad Donem. We Lwowie stojąc w jakiś tam koszarach ułańskich czy dragońskich nasz furajyr po-

szedł na targowisko i nakupił siana płacąc śmiesznie małą cenę ludziom za siano a ponieważ wojska rosyjskie były już w Karpatach i pod Przemyślem więc ludność wiejska przywoziła dość licznie swe produkty wiejskie na targ do Lwowa. Te ludziska zaczęli przychodzić i dopuminać się o większą zapłatę ale zostali jeszcze obici batem, ja widzę że furażyr i jego pomocnik biją cywilów batem, podchodzę widzę że ci ludzie są polacy więc upomnąłem się za nimi. Pomocnik furażyry chciał mnie uderzyć w twarz, ja go cisnąłem o ziemię jak psa a z furażyrem byłaby bitwa bo szable obnażyłim oboje ale kacap widział co spotkało jego pomocnika uląk się i schował swe szabliśko do pochwy. Zaczęło się gromadzić więcej żołnierzy i zaczęli pomrukiwać na mnie ale ja ich się nie bał, tylko pytam się kobiety, dużoby pani dostała za te fure siana, ona mi mówi najmniej 30 koron. A co pani dał? 15 koron. Ja zwołałem wszystkich poprowadziłem do dowódcy opowiedziałem mu rzecz całą bo czytałem rozkaz po armji żeby nie krzywdzić cywilnych, za zabrane rzeczy płacić podług taksy. Dowódca wysłuchał rzecz całą i powiada a twoje kaskoje dzieło, jak mówie takoję dzieło moje potomu cztó eci ludzi moi ziemlaci, ośmiał się i mówi młodziec. Ja mu odpowiadam rad staratsia waszo wysokobłogorodzije. Kazał zawołać furażyra i kazał mu siano zważyć i zapłacić po taksie za pud a mnie kazał pilnować dość będzie pudów i ta kobicina dostała jeszcze 30 koron do tych 15-stu co jej dał na rynku. Chociaż byli na mnie złe ale wkrótce mnie polubili i miałem między nimi wielu przyjaciół bom jem niejedne usługi wyświadczył. A to że bronie swych rodaków to nie ze zlej woli tylko że mi tak nakazuje mój obowiązek. Jadąc tak z Lwowa w Karpaty zdarzył się mi znów taki wypadek, w pewnej wsi mieliśmy wyznaczone kwatery na noc i ja trafiłem na te same kwatery gdzie plutonowy mego plutonu, w tej chacie było nas 7-miu razem z plutonowym. Rodzina była rusińska ten rusien człowiek już około 60-ki był też w Ameryce, rozmawiamy sobie o Ameryce, jego córka się przysłuchuje rozmowie rozmawiamy po polsku gdzie dobrze ten język rozumieją i mówią nim w razie potrzeby. Ja ich się pytam dlaczego to żywicie taką nienawiść do polaków, cała rodzina i dwa sąsiady byli tam u niego, zaprzecza że to tylko pany tak buntują naród te z miasta a my żyjemy w zgodzie. I powiadają mi liczne przykłady że ani różnicy wcale nie znają katolik czy unita, prosi jeden drugiego w kumy, proszą się i na zabawy rodzinne i wesela ale i dużo wypadków jest że rusinka wychodzi za polaka, polka za rusina, u nas na wsi różnicy niema żadny. Po miły pogawędce

gdzie mie poczęstowali i kolacją, córka tych gazdów powiada będzie pan spał na mojem łóżku, ja mówie a pani gdzie, ja pójde do koleżanki a pan się wywczasuje chociaż jedne noc i to w drugim domu już mi się tak trafiło że mi odstąpili swe łóżko i pościel, w pierwszym miejscu matka z córeczkom poszły spać na ławę a nam dwom kazali się wywczasować na ich łóżku gdy nie chcielim przyjąć to prosili jak o łaskę a mogliśmy to już uczynić bo z jenwentarzem już się umieliśmy obchodzić karmiąc go przy pojawieniu się żywem srebrnym ze smalcem i sie wynosiły na jakiś czas. Ja myślałem z początku naszego życia na froncie że to plugastwo mie zje toć ja na piersiach to miałem jedną ranę tak zdrapałem swe ciało po ukąszeniu robactwa. Otóż gdy i tu się zgodziłem że będę się labował w jej panieńskim łóżeczku i ona już mi usłala a nasz zwodny był małorus z Kijewszczyzny i dobrze rozumiał nasze mowe gdy ja poszłem konia nakarmić na noc i napoić, Kryworuczka, tak się nazywał, ulokował się na tem łóżku co było posłane dla mnie, ja naturalnie przełożonego nie będę wyganiał z łóżka, lokuje się ode drzwi. Wtem gaździna poszła i powiedziała córce, ta przychodzi i wygania go z łóżka gdy nie chciał ustąpić poszła do dowódcy i opowiedziała że zwodny zabrał jej łóżko do spania, dowódca przysłał dziżurnego że ma z łóżka iść precz, dopiero gdy ja się ułożyłem poszła do koleżanki. W pewnym miejscu znów dostaliśmy kwatere na wiosce, było nas czworo było to już w pobliżu Karpat. Wieczorem siedzieliśmy z gazdami w dosyć czystej izbie wybielonej czysto, na noc nam usłali w kuchni byliśmy zdrózeni codziennym marszem więc spalim twardo wtem rano budze się widze pełno dymu w chacie, zbieram swe manatki budze kolegów i wybiegamy na podwórze koledzy mi się pytają co się stało. Ja mówie to nie widzicie że się w chacie pali co dymu ale dziewczyna co wyszła za nami dowiedzieć się co my tak wyskoczyli z chaty prędko nawet się nie ubierając wytłumaczyła że pali się ale w piecu, mówie a co się tak kopci a bo to jest chata kurna gdzie niema kumina, ja żyjąc przeszło trzydzieści lat nie wiedziałem że w Polsce w tych latach wielkiej wojny mogą istnieć chaty kurne bez kumina, toć nieraz czytałem że takie chaty kiedyś były trzysta czterysta lat ale nie w tem czasie, później się przekonałem że takich chat bardzo dużo na Podkarpaciu i w Karpatach. Na moje pytanie dlaczego to nie robią kumina odpowiadają że trzeba płacić dymowe ale nie mogłem się dowiedzieć jak wysokie jest te dymowe że tak się te ludziska wędzą żywkiem w tem dymie, no to jeszcze pół biedy że to palą drzewem którego tu jest jeszcze pod dostatkiem, ale gdyby

przyszło palić węglem toć te ludzie by się podusili w dymie. Po dojściu do Dukli i dwudniowym wypoczeniu w jakieś wiosce przy Dukli gdy byłem dniwalnym przy koniach, kobiecina przyszła z płaczem że ji zabrali moskale ostatnią karmicielkę. Ja podchodzę i pytam się która to wasza krowa, kobiecina mi pokazuje że ta czerwono graniasta która ma duże wymię, ja się pytam kobiety czy jesteście pewna że ta krowa jak się urwie trafi do waszej wioski, mówię a dużo wam dali za te krowe, mówi 30 reńskich a dużo ona warta, jaby jej za sto nie oddała bo to swego chowu krówka i to cała nasza karmicielka z trzech ta jedna się pozostała i tą mi zabrali. Ja byłem niewalnym z polakiem niejakiem Jasieczakiem wiedziałem że chłopak morowy mówię kobiecie idźcie teraz do domu i wyśpijcie się dobrze a po północy czuwajcie tu gdzie w pobliżu, ta krowa może się urwie to pilnujcie żeby kto nie złapał inny. Kobiecina mówi ady ja będę całą noc pilnować, nie całą noc to nic nie pomożecie tylko zaszkodzicie jeszcze, idźcie teraz do domu bo tu niedługo będą pilnować inni do północy, kobiecina powlekła się do domu my na szóstą zostalim zmienieni przez drugich dwóch, a my udalim się pożywić i troche przespać bo po 12-szy w nocy mieliśmy zmienić tych co nas zmienili i stać do 6-szy rano. Po zjedzeniu kolacji położyłem się spać, ten artelszczyk ze swem pomocnikiem sądząc że ja śpie rozmawiają sobie o tej krowie jak to drudzy poszli zafutrować konie na noc i śmieją się, bo artelszczyk poszedł i te właśnie krowe chciał zabrać kobiecinie. Kobiecina — mówi — wyprowadziła trzy maleństwa które pokłękaly przede mną abym jem ostatni karmicielki nie zabierał. Ale co sobie ja robie z tego ale gdy kobieta poparła prośbę 10-ciu koronami pozostawiłem jej krowe ale zato posłałem ciebie, a ja tam nie zważał ani na płacz rebiat ani na babu, zabrał wypłacił coś kazał 30 reńskich i w porządku. Ja sobie myślę czekajcie szakale ja was wyręchtuje i też będzie w porządku chociaż pod szablą będę stać z pięć godzin jak za tego konia ale wy mięsa z tej krowy jeść nie będziecie. Licho co spałem myśląc jakby się najlepiej udało z tą krową. Na dwunastą zostaliśmy zbudzeni przez dzieżurnego aby wstawać na zmianę. Wstaliśmy ubralim się i wysłim na koniusznią, patrze czy tylko krowa jest, ci sobie posli spać ja opowiedziałem swemu koledze, mówię Stachu pomóż mi nie wydaj mie i daj baczość na dziżurnego bo oprócz nas był jeszcze podoficer dyżurny który był na służbie 24 godzin bez zmiany a więc było mu wolno nie rozdziewać się na spoczynek, tak też zrobiłim, on dał baczość na dyżurnego a ja wyszukał szmatów poowijał kopyta krowie ponieważ

było błoto i mogła zrobić ślad, chociaż kobiecie upomnę aby nie puszczala krowy do siebie, jak ją złapie o ile możliwości niech ją zaprowadzi gdzie dalej chociaż do dalszy wioski, kobieta przyrzekła tak zrobić ale żeby krowa nie pozostawiała śladów owiązałem jej szmatami racice, wyszukałem dwa kamienie przetłukłem powróz że to krowa się zerwała, do reszty krowie chlasnąłem bąta, krowa się szarpła poczuła się wolną a że napewno krowina pierwszy raz w swem życiu o tej porze nocowała na dworze gdzie śnieg z deszczem padał taka była chlapanina, poszła, ja ją tylko wypędził na drogę aby idąc drogą nie pozostawiła takiego śladu po sobie. W pół godziny albo więcej po odejściu krowy spuściłem naumyślnie trzy konie i je rozgoniłem tak że trudno ich było złowić spowrotem, tembardziej że padało i konie wyziębły, goniłem je dosyć długo. Gdy już wiedzieliśmy że ślad zatarty po krowie poszedłem i zbudziłem dziżurnego że nam się trzy konie spuściły i nie możemy sami uwiązać. Przyszedł nam pomóc ale i z nim nie mogliśmy złapać, do tego urwały się jeszcze drugie dwa jak zaczęły biegać musiał dyżurny budzić więcej żołnierzy aby mogli złapać konie. A mój kolega dosiadł konia i goni konie z bątem po drodze aby zatrzeć ślady krowie, nareszcie połapali konie powiązali ale o krowie nikt nie spomnął. Na szóstą się zmieniłem, nasze koledzy którzy nas zmieniali nie zauważyli że niema krowy bo bydlą było raz mniej to więcej to wcale, tak że jeno konie liczyli nie zważając na krowe że jeden brak. Dopiero gdy wstał artelszczyk i poszedł udoić sobie mleka do czaju widzi że jeden krowy brakuje, ale my się w duchu śmiejemy, szukaj kacapie jak ja szukałem konia, narobili hałasu ale sam dyżurny nie mógł powiedzieć kiedy w jakim czasie krowa mogła uciec. My się tłumaczem że my krowy i konie oddaliśmy swym zastępcom. Ale i oni się tłumaczą że już krowy nie było, dowódca na nich to czego zaraz nie raportowali dyżurnemu, wszystkich was oddam pod sąd jak krowy nie znajdziecie. Naturalnie chętnie poszliśmy szukać krowy ze Stachem. Chociaż na-przód wiedzieliśmy gdzie krowy szukać więc pośliśmy jej śladami, był dobry pomysł z temi szmatami bo po przejściu jakie pół kilometra spotkalim jedne szmate zgubioną przez krowe i od tego miejsca już mieliśmy dobry ślad jedny nogi krowi, po niejakiem czasie poodnajdywałem szmaty pogubione przez krowe. Ale że ten kto prowadził krowe też się zmądrzył i poszedł z krową po łące gdzie nie mogliśmy iść dalszym śladem. Gdy przyszedliśmy do owej kobieciny nie potrzebowaliśmy się jej pytać bo sami widzieliśmy po jej twarzy a która gdy mnie zobaczyła nie wiedziała jak mi dziękować ma za okazaną

jej pomoc przy odzyskaniu jej dzieciskom karmicielki. Gdy jeszcze te maleństwa 5 letni chłopiec i 3 letnia i troche starsza jak roczna dziewczynki zaczęły nam całować ręce, nie wytrzymałem i lzy mi się puściły z oczu na ludzi bez serca że tym dzieciom chcieli zabrać ich karmicielkę a tembardziej że mi się przypomniało że ja też pozostawiłem taką gromadkę tam na kujawach czy aby tam żyją i mają coś do zjedzenia. O Boże jak to błogo na sercu się robi człowiekowi gdy może coś dobrego zrobić bliźniemu, czemu to tyła ludzi złych na świecie. Kobiecina chciała nam oddać te 30 reńskich które dostała za krowe ale nie przyjelim, mówiąc schowajcie dobrze tak pieniądze jak i krowe bo dziś wam pomoglim odzyskać ale czy jutro wam jaki inny moskal nie zabierze waszej krowiny, ona powiada ja w ziemi dziure wykopie i tam ją bede przechowywać. Pochwalilim jej ten projekt tembardziej że teren do tego doskonale się nadawał bo były liczne parowy i zakręty gdzie miała swój sad owocowy. Po ugoszczeniu nas jajecznicą wróciliśmy do swoich, poszło nas szukać 10-ciu, ale nikt nie odnalazł krowy. Dowódca pokrzyczał i na tem się skończyło, na drugi dzień wyruszyła nasza bateria na pozycyje na Węgry a my zostalim w ruski wiosce na Przełęczy Duklański w Trzcianie. Tu dostalim kwatere u rusinów gdzie w jednej izbie oprócz rodziny gazdów z ich dwoich i dwoje dzieci 12 lat dziewczyny, 8 lat chłopca i matki gaździny która na dobawek, gdy tu była bitwa i w dzień Bożego Narodzenia zapaliła się od pocisków ich stodołka, dostała pomiszania zmysłów i ciągle nam śpiewała w nocy, w dzień Bożego Narodzenia weselsia ludy. A do czego się dorwała to zjadła, pewnej nocy wybrała żołnierzowi żydowi jego całodzienną porcyje chleba pół funta masła funt cukru i funt mydła i to wszystko zjadła do tego nabrzydziła i tem się wysmarowała cała na twarzy i włosy. Nas było w tej izbie 15 żołdatów, można sobie wyobrazić powietrze w tej izbie. Ale mnie gaździna uszykowała taki siennik i mi zawsze co noc usłała na ławie dając mi poduszke pod głowe, ja byłem tam tylko jeden polak a gazdy byli rusini, chata była kurna ale my wiedząc że tu postojemy dłuższy czas pojechalim do lasu ścieliśmy ogromną jodłę, jodła była tak gruba że u nas na kujawach nie mają pojęcia że drzewo może urosć do takiej wielkości i grubości, przywieźliśmy, z braku piły nałupalim takich desek wyciosalim do równości, troche zbilim takie dwa kominy i wylepilim w środku gliną i ustawilim u siebie i tam gdzie byli oficera na kwaterze i chociaż się w tem dymie nie dusilim. W dziesięć dni po przybyciu tu w góry zachorował kucharz którego odesłali

do szpitala, nikt nie chciał się podjąć gotować, więc ja objełem te fukyje. Gotując raz na dzień tylko obiad, gdy rozdałem obiad byłem wolny do jutra rana a że dni już się robiły coraz dłuższe więc chodziłem w góry i podziwiałem drzewostan jaki tu rośnie, co za spaniałe sosny jodły takiej grubości że nas dwóch nie mogliśmy objąć a wysmukłe proste jak ulane co za spaniałe buki tu rosną, nie miałem pojęcia że na ziemiach polskich rośnie taki spaniały drzewostan ady to kawał tego lasu pozostawić na pamiątkę jako muzeum tego piękna i popatrzeć że to rośnie na skale wprost nie do uwierzenia. Jakże ten góral niema kochać tych swych gór kiedy tu takie bogactwo wyrasta w górach, spod śniegu który już tajać zaczął odnajdywałem liczne trupy żołnierzy tak rosyjskich jak i austriackich, bitwy tu były około Bożego Narodzenia więc nie zdążyli zebrać zabitych a może i rannych których śnieg przysypał, odnaleźliśmy kilka karabinów ja znalazłem przy zabitym oficerze austriackim śliczny braunieng za który mi dał nasz dowódca 40 rubli, a byli i tacy szakale że ściągali spodnie ze zabitych a za dwa austriackie karabiny dostałem od oficerów po 3 ruble za sztukę i ja miałem jeden krótki kawalerijski tego nie pokazałem. Chodziliłem coraz dalej do wiosek w górach aż mi dziwno było jak ci ludzie tu żyją pomiędzy takimi górami, jak tu musiałoby być ślicznie kiedy się to wszystko rozzieleni. Przed Wielkanocą powrócił kucharz ze szpitala ale że jeszcze był chory, na Wielkanoc jeszcze byłem przy kuchni. Dopiero po wielkanocy objełem konia ale rannego a taką miałem ochotę zawieść kiedy patrzyłem na pozycję i spojrzeć chociaż na ten kraj ojczyznę naszej królowej Jadwigi. Ale nie miałem sposobności. Tak staliśmy w tej biednej górskiej wioszczynie do 5 maja, piątego maja dodnia dostaliśmy rozkaz cofać się, zebrałem się żwawo i na południe byliśmy już kilka kilometrów poza Duklą i tu się zatrzymaliśmy i ja na swoim koniu miałem pociski które złożyłem z koni na jedno miejsce a sami z końmi pochowaliśmy się pod szopy do stodół pod okapy aby żeby nie być na widoku bo samoloty krążyły ciągle. Po obiedzie zaczęliśmy się kłaść na spoczynek w tem ktoś zaalarmował że germańcy następują, wyglądamy widzimy że pokazują się jakieś żołnierze, na wszelki wypadek zaczęliśmy wiuczyć nasze konie ale oficer przybieżał, samego dowódcy przy nas nie było bo jakieś trzy dni temu wyjechał do Lwowa po interesie i jeszcze nie wrócił, zastępował go praporczyk Turpak. On to przybieżał z rewolwerem w rękę i mówi kto wam wydał rozkaz wiuczyć w leb strzele, ale my oba ze Stachem już mieliśmy nawiuczone swe konie, wprowadziliśmy do stajni jednego

gazdy i stały tak a ci co mieli konie na dworze poskładali pociski jeszcze nie zdążyli wszyscy złożyć gdy Niemcy odkryli ogień artyleryjski dość silny tak że i stodołę zapalili niedaleko gdzie były złożone pociski, kto miał jeszcze nie złożone pociski brał konia i zmykał po szosie. A kto nie miał patronów siadał na konia i uciekał a nasi dwaj oficerowie uciekli pierwsi. My ze Stachem wyprowadziliśmy swe konie i prowadziliśmy po szosie wtem koń mój szarpnął patrze mój siwek maści był śronek tylko girami wali, kula armatnia strzaskała mu szyję w pobliżu kłęba aż jucha buchająca z rany mój obryzgała zrzucałem cugle i dalej w rów za szosę gdzie było bezpieczni, szosa w tem miejscu była dosyć wysoka i krzycze na Stacha żeby swego konia tu dał jakoż bydle samo zrozumiało niebezpieczeństwo bo samo wskoczyło do rowu, mój Boże co się tam działo na owej szosie to nie do opisania co tam natłukli Niemcy furgonów jaszczów z pociskami różnych powózków wozów to niemiara, na zakręcie szosy był rozbitý jakiś jaszczyk z kasą, pieniądze walały się po szosie całe paczki nowiutkich banknotów 10—25 i setków rublówek w paczkach pod opaską i to nikt nie podniósł tylko zmykali w rów, nie tylko pieniądze ale i półcie okraszy masła konserwy to wszystko było na tej szosie, 5 maja 1915 roku pomiędzy Duklą a Rymanowem. My z Stachem doszliśmy do Rymanowa i tu trochę wypoczelim puściłem się dalej i szliśmy całą noc odpoczywając, nas się zebrało w Rymanowie z 15 żołnierzy a 10 koni, ale tylko na dwóch koniach były pociski reszta tylko osiodłane, tak na tych próżnych na zmianę jechaliśmy, tak nas roztrzępali że wyszło trzy tygodnie zaczęliśmy się zbierać spowrotem i to niestety, pięciu brakło o dwóch to wiedzieliśmy że w niewoli bo widzieli jak Niemcy złapali kuchnię a więc i tego co wiozł kuchnię i kucharza. Ale o tych trzech to się nie dowiedzieliśmy czy zostali zabici czy też w niewoli. Ja pozostawiłem wszystko swoje bogactwo cały tornister z bielizną. Ale to była fraszka tylko mi było szkoda mego pamiętnika. Ponieważ na początku zeszytu była prośba napisana po polsku rosyjsku i niemiecku że kto ten pamiętnik znajdzie niech odeśle pod adres mej żonie więc martwiło mnie to że jak kto znalazł a odeśle, to kobicisko się zmartwi że ja nie żyję. Ale co było robić, zatrzymaliśmy się dopiero cokolwiek za Sanem. Gdy prześlaliśmy San tuż przy Jarosławiu dopiero mogliśmy trochę wypocząć tylko mi dziwno było gdzie się podziały te wojska które były przed nami. Wyszło z górą trzy tygodnie zaczęliśmy nasz park całkowicie się zbierać a nasza bateria która była na pozycji a więc przed nami ucierpiała daleko mniej, ponieważ tam oficera nie uciekli pozostawiając żoł-

nierzy na łasce losu jak nasi parkowi. Gdy nasze wojska umocniły swe pozycje po prawej stronie Sanu wojska niemiecko-austro-węgierskie rozpoczęli bitwę 1 czerwca. Bitwa ta trwała akurat miesiąc. W tej bitwie która była największa na tem odcinku nie było słyhać huku armat a było słyhać jednolity głu jakby tysiące maszyn pracowało. My to stale przebywalim na stacji w miasteczku Cieszanów i jak tylko pokazało się kilka setek pocisków zaraz odstawiałim na pozycje ale tak nasza baterja jak i inne nie trzymały wszystkich armat na pozycji tylko połowe to jest 4-ry i można śmiało powiedzieć że te bitwe przegralim li tylko z braku amunicji, nieraz czekaliśmy i trzy doby zaczęm nadesłali nam setke pocisków. Z braku amunicji rosjanie starali się postawić jak najwięcej wojska. Ale co mógł zrobić najwaleczniejszy żołnierz z braku amunicji. Raz byłem świadkiem kiedy to pułk czerkiesów mocno już przerzadzony nie mając czem strzelać idzie do niewoli z białą flagą. Gdy doszli na jakie 20 kroków od okopów niemiecko austriackich, nie wiem czy na komende dowództwa niemieckiego czy też na skutek komendy swych oficerów rzucają karabiny jako bezużyteczne z powodu braku patronów pozostawiając tylko szable i kinżaly, gdy się już znaleźli w okopach niemieckich wyprawili rzeź Niemcom kienzałami co niemiara, w pół godziny w okopach niemieckich nie pozostało ani jednego obrońcy. Co widząc Niemcy huraganowym ogniem artylerji zasypali ów okop z czerkiesami mój ty Boże co się tam działo nie tylko ziemia i kamienie ale ciała ludzkie leciały w powietrze od zrywów granatów różnego kalibru armat, za dwie godziny było setki rannych nie licząc zabitych tak że sanitarki nie mogły nadążyć ubierać, rannych umieszczali i na jaszczach od dowozu pocisków i mnie do siodła przywiązali dwoich rannych. Mój ty Boże co ci żołnierze ucierpieli męki przy tych siodłach jakie jęki wydobywali ze siebie to niemiara było słuchać. Co ja ucierpiałem słuchając ich białdań co ci żołnierze naprosili mnie abym ich dobił bo i tak ich cierpienia zakończą się śmiercią, myślałem że te 8-m kilometrów co miałem przebyć że to jest 80-t kilometrów ale wkońcu musi się wszystko skończyć tak i ta podróż się skończyła, przywieźlim ich a tu nie było ich gdzie złożyć tylko na goły ziemi, leżało tego na kilka morgach pola wokół stacji kolejowej i marli z ran które były nie tak groźne tylko umierali z upływu krwi bo brakło sanitarów do robienia opatrunków. A tu co chwila przychodził świeży pociąg z ludźmi ale powiększej części ci ludzie byli nieuzbrojeni tylko czekali aż zabiją ich poprzedników dopiero zabirali po nich broń a wielu było

takich że nie mieli w rękę karabina i szli na tamten świat albo do szpitala czy w niewole, do tych wszystkich klęsk zaczęli żołnierze padać jak muchy od cholery i to nie ci na froncie a ci co przyjeżdżali z głęb Rosji, my czekając za pociskami patrzeliśmy jak nadszedł eszalon świeżego wojska uzbrojeni byli co drugi żołnierz i to przeważnie w karabiny systemu bierdanków to zaczęliśmy wysiedli i zformowali szyki to trzech padło i nie wyszło i 5 minut gdy już nie żyli, po odmaszerowaniu tego eszalonu na pozycje zajrzeliśmy do wagonów a w każdym wagonie było kilka trupów. No mówimy sobie jak ten wróg ludzkości zaczęło bić to najskuteczniej. Ale że na froncie nie było widać żeby tak marli czy dlatego że mieliśmy szczepionki czy też innej przyczyny dosyć że na froncie ta straszna choroba się nie szerzyła. Rosjani szli w głąb Galicji palili i niszczyli miasteczka i dwory, to co było polskie było zniszczone pozostawiając tylko wioski przeważnie rusińskie, a teraz chociaż to miasteczko było dosyć spore powiatowe ale po większej części zniszczone że teraz niejedyn może z tych samych co niszczył bez potrzeby teraz będąc rannym nie miał się gdzie schronić tylko pod gołym niebem jinczeli tak na gołej ziemi. Pierwszego lipca dostaliśmy rozkaz odwrotu nie to że nie było siły dla utrzymania pozycji a tylko z braku amunicji. Strasznie przykro dla żołnierza tak prawie bez boju ostawiać dobrą pozycję w rękach wroga. Od tej pory zaczęliśmy stale się cofać i to cofaliśmy się coraz to szybciej. Krew szła z nóg ale my szliśmy do granic Rosji. Gdy już przekroczyliśmy granice pomiędzy rosyjską i austriacką imperyją na trasie do Tomaszewa tu zaczęła się dla nas żołnierzy polaków czysta gehenna patrząc na to zniszczenie rodzinnego kraju i wyganianie ludzi z ich rodzinnych wiosek i miasteczek, serce nam się krajało gdy patrzeliśmy na specjalne oddziały kozuniów którzy mieli zadanie gnać ludność w głąb kraju a ich sadyby niszczyć tak że gdzie wejrzeliśmy nocną porą było to widać wokół nas jedno morze ognia a w dzień jedno morze dymu jak było widać wokół nas. W okolicy Krasnostawu jeszcze się zatrzymaliśmy na dwa tygodnie a później już się nie zatrzymaliśmy aż za Baranowiczami. Sądziliśmy że się zatrzymamy gdy się dostaniemy na linie fortec. Ale gdzie tam, tam musieliśmy jeszcze prędzej uciekać tak że w dzień odpoczywaliśmy a nocą maszerowaliśmy na wschód. Gdy byliśmy pomiędzy Chełmem a Brześciem dostaliśmy wiadomość że Warszawa przeszła w ręce Niemców, jakie uczucie ogarnęło nas żołnierzy polaków to trudno mnie to opisać. Bo chociaż i wprawdzie stolica kraju była w rękach wroga moskalskiego, ale mieliśmy zawsze nadzieję że polak zawsze ma przewagę

nad moskalem i to tylko chwilowo się liczyło bo moskale żyjąc w Warszawie prędeż się spolszczyli niżeli polacy zruszczeli ale Niemcy co innego ci bezwzględnie dążyli do zgiermanizowania zabranych prowincyj i mnie to bardziej bolało znając takie miasta jak Kruświca Inowrocław Toruń Poznań lub Bydgoszcz, gdzie już przeważnie słyszało się szwargot niemiecki tylko dzięki chłopów że ci trzymali się twardo swej mowy i przyjeżdżając do miasta niejako zasilali mową polską szwargocących już po niemiecku mieszczuchów. To z tą wiadomością że Warszawa w rękach najgroźniejszego i wiecznego wroga nietylko polaków ale wogóle słowian, to instynktownie zebralim się polacy żołnierze bez żadnego wezwania do mnie do stodoły gdzie mieliśmy kwaterę i radzili się co robić. Co za myśli nam przychodziły Boże mój kochany jedni radzili iść w lasy i przeczekać aż Niemcy przejdą i wrócić do kraju inni znów radzili w nocy w marszu odłączyć się i pozostać i kilka takich głupich projektów. Aż odezwał się jeden żołnierz polak którego mieliśmy za najgłupszego z powodu jego flegmatyczności. A kto mi da gwarancję że Niemcy nas puszcza do kraju czy nie zabiorą do niewoli i tam będą orać w nas, nie odpowiedzieliśmy mu na takie dyktom nic tylko wejrzeliśmy po sobie i w duchu przyznalim mu słuszość. I uradziliśmy tak że do czasu aż dostaniem wiadomości co się dzieje na froncie francuskim dopiero możemy coś postanowić. A temczasym postanowilim iść na wschód. Gdy doszliśmy do Bugu i tu do przeprawy zebrali się moc wojska a jeszcze bardziej więcej tych uciekinierów jak ich nazywali ale ja ich nazywałem wygnańcy gdyż oni sami dobrowolnie nie uciekali a byli wyganiani prawie siłą, a gdy już raz wyszli ze swej wioski szli dalej i dalej. Kto to taki głupi rozkaz wydał ażeby ten lud gnać wgląd kraju nie mam pojęcia na co to komu się przydało że ten lud wygnać z ich siedzib i to był wielki błąd bo to i odwrót tamowali wojsku ale i prowiantowanie utrudniali, taka chmara ludu potrzebowała przecie żyć. Przy tem moście powyżej Brześcia zebrało się niezliczone rzesze tego ludu no i wojsko gdy nadjechało naturalnie nie puścili już na most tych nieszczęśliwych. Gdy wtem Niemcy zaczęli obstrzeliwać most, chociaż nie mieli akuratnego celu spowodu jeszcze sporego oddalenia ale w tych ludziach zbudzili okropną panikę i co na most nie mogli się dostać to rzucali się wbród. Co się tam działo istny sąd Boży, nie zważając jedno na drugie uciekali gdzie kto mógł mąż pozostawiał żone i wpław zmykał na drugą stronę rzeki, żona męża, rodzice pogubili dzieci. Były tam specjalne komendy od gniania bydła, co tego

stworzenia zegnali tysiące tysięcy sztuk najrozmaitszego gatunku młode stare większe i mniejsze dobrze odżywione i czyste szkielety, co to był za ryk tego bydła to chociaż uszy zatykać a na tej przeprawie mowy nie było żeby tyła bydła przegnać po moście, zajęłoby to więcej jak cały dzień a tu wojska waliły się że nie było już miejsca na inne furmanki. Akurat gdy my byliśmy oddaleni jakie dwa kilometry od mostu Niemcy zaczęli wypuszczać pierwsze pociski, co się wtenczas działo to póki życia mego będą mi stoic przed oczyma te sceny jakie się tam działy. Gdy padły pierwsze pociski w zebrane do przeprawy rzesze narodu koni bydła i owiec, gdy to rzuciło się przez rzekę wśród ludziska kto gdzie mógł bez zastanowienia rzucali się w rzekę, co mocniejsi przeprawiali się chwytając się koni i bydła ale słabsze kobiety i dzieci ginyły w nurtach rzeki, do tego widocznie w Brześciu wypuścili kilka tysięcy litrów spirytusu do rzeki ryby się czy popiły czy też potruły płynęły z prądem poprzewracane do góry brzuchami. My w naszym parku mieliśmy ponad trzydzieści sztuk bydła i kilka owiec, owce to powiązaliśmy i poukładaliśmy na furgonach ale generał który czuwał przy przeprawie przez most nie pozwalał bydła przeganiać, nie chcąc pozostawić tyła bydła dowódca parku wyznaczył żołnierzy do przepędzenia przez bród ja dostałem się też w tej liczbie. Ale poszło nam dosyć szczęśliwie bo bydło jedno za drugim płynęło na przeciwny brzeg ja tylko złapałem się dwóm krowom za ogony i tak przepłynęłem razem z nimi ale co po drodze widziałem to okropność, ludzie tłoczący się do przeprawy na tych to przeprawach ludziska nagnali tysiące bydła kto był silniejszy uciekał albo czepiał się za ogony bydła i przeprawiał się na drugą stronę ale kto padł na ziemię leżał strатовany przez tyła bydła, gdzie widziałem jak nie tylko małych dzieci rzuconych przez biedne matki w popłochu ale i dzieci starszych i nawet dorosłe kobiety które były strатовane przez tyła bydła do tego stopnia że wnętrzności były powyciągane i rozciągane były jak jakie szmaty przez nogi bydłące. Po przeprawie nie mogłem przez dwa dni nic w usta włożyć ponieważ przed memi oczami były te okropności i chociaż był to rok wojny i człowiek miał już czas się przyzwyczaić do wszystkich okropności wojny a i to nie mogłem długo zapomnieć tego com widział. Ale też po dniu przeprawy nie wiem czy też że to kraj zaczynał się więcej gdzie ludność już była mieszana czy też dlatego że Moskale sobie myśleli że jeno do Buga oddadzą Polskę, czy też że zrozumieli głupotę wydanego rozkazu zajmować jak bydło te ludność gdzieś z ich siedzib, dosyć że już za Bugiem nie widziałem tych oddziałów z batami w rękę

ale i tak trudno już było zatrzymać tę lawinę która się toczyła coraz dalej i dalej zagarniając z sobą coraz nowych ludzi. To mnie tylko zastanowiło że pomiędzy tą wielką rzeszą która z konieczności rzeczy trzymała się w pobliżu wojska nie spotykałem ani jednego żyda, ci czy też wcale nie opuszczali swych siedzib czy też kierowali się na kolej dosyć że nie spotykałem żadnego syna ani córy Izraela. No i to mnie bardzo smuciło jako polaka i katolika że tyle tysięcy szło tego ludu ciemnego przeważnie wiejskiego, a pomiędzy tem ludem nie było ani jednego ale to ani jednego nie spotkałem duchownego, gdzie się podziały te szczytne słowa głoszone przez nasze duchowieństwo że dobry pasterz oddaje życie swe za owce swe. Te owieczki tak były zbłąkane tak potrzebowały słowa pociechy i usług religijnych że jak nigdy, tu mi się dopiero oczy otworzyły że nikt nie jest doskonałością, głosić można różne sposoby do zbawienia tego ludu przez różne partyje i partyjki nie wyłączając i kleru różnej wiary którzy obiecują różne dobroci jakie czekają lud gdy pójdą za ich głosem, ale tylko wtenczas gdy ten lud ma coś i jakiś czy to grosz czy to głos oddany potrzebny jest komuś ale gdy ten lud jest bez grosza i opuszczony na tułaczce nikt go nie prowadził nikt nie skierował ich kroków po drodze właściwej ani towarzyszył ani ten dobry pasterz, o jak ten lud potrzebował dobrego pasterza! Ludziska padali jak muchy na trakcie pomiędzy Brześciem a Baranowiczami, na tej jednej drodze jest tam cmentarz ciągnący się kilkaset kilometrów a nie było i 5 metrów żeby nie sterczała samotna mogiła i to tylko przy trakcie nie licząc tych bocznych dróg gdzie ludziska dla zdobycia żywności udawali się bocznymi drogami. Bo nie tylko żywność trzeba było zdobywać ale bardziej jeszcze wody było bardzo brak i pewno z braku wody czystej tak choroby sprzątały tych tułaczy. Żołnierze zaraz stawiali warty przy studniach i nie pozwalali wziąć wody nikomu nawet właścicielowi studni. Razu pewnego stojąc tak na warcie przy studni ludziska przychodzą i na kolanach proszą o trochę wody, co za mękę musiałem przechodzić patrząc na błaganie tych ludzi o trochę wody jak tu pogodzić rozkaz wydany żołnierzowi, nato go tu stawiają i wydają taki rozkaz a tu spragnieni ludziska proszą o kapkę wody, co za moralną mękę musi cierpieć wartownik który musi wypełnić rozkaz mu wydany przez przełożonych i z drugiej strony mieć na uwadze słowa naszego Zbawiciela bądźcie miłosierni. Zatykałem sobie uszy i oczy zamrużałem aby nie słyszeć tego błagania i nie widzieć tej nędzy. Ale gdy podeszła wynędzniała matka z trojga dziećmi gdzie starsza dziewczynka może

miała 5 lat a najmłodszą miała na ręku owa matka która może z pragnienia a może obeszła już wszystkie studnie i nie dostała kapki wody uznała że próżno prosić kamień o wodę. A tylko jej wzrok był skierowany w stronę studni jakby tam się znajdowało jakie zbawienie a tylko ta dziewczynka słabym głosem spieczonymi ustami szepotała panie daj kropelkę wody. Nie mogłem dłużej wytrzymać łzy puściły mi się z oczu nie dbając już o nic chociażby mi mieli zaraz rozstrzelać za niewypełnienie rozkazu w czasie wojny zacząłem sam czerpać wodę i wydawać ludziom, w ten sposób wydałem już około 20 wiader wody. Dowódca parku z oficerami zajmował te kwatery gdzie obok tego domu stała ta studnia, otwiera okno i krzyczy na mnie dlaczego wydaje wodę. Ja mówię winowat wasze wysokobłagorodzie ale wpięrw zaczęm zostałem żołnierzem byłem polakiem i nie mogę patrzeć jak moi rodacy umierają z pragnienia. Stała jeszcze spora grupka ludzi czekając za wodą pokłękli przed dowódcą powyciągali ręce z błagalną prośbą w stronę okna, dowódca widząc był człowiekiem bo mu łzy stanęły w oczach machnął tylko ręką i zamknął okno ja wydawałem resztym ludziskom wodę i o dziwo że w innych studniach dawno już wody nie było, tu precz czerpalim tak że wystarczyła ta jedna studnia na nasz park. Dowódca od tego czasu mnie polubił że wydał rozkaz abym przysłany był do niego za deńszyka, ale ja miałem inne zadania pomagać swym rodakom czem mogłem a będąc deńszykiem musiałbym być stale na zawołanie więc nie leżało to w mem interesie więc po trzech dniach pobytu u dowódcy proszę go aby mnie odesłał do parku, on na mnie się oburzył że on chciał dla mnie zrobić dobrze drugi na mem miejscu czułby się szczęśliwy ja przeciwnie proszę o zmianę i powiada, co ci źle buty poczyścić i herbaty podać? Ja mu odpowiadam wasze wysokobłagorodzie mnie na wolności buty czyścili a ja tu będę czyścił, popatrzał na mnie od stóp do głowy nic nie powiedział ale na drugi dzień zażądał drugiego deńszyka. Ja wróciłem do swych zajęć w parę dni. Gdy też ruszyliśmy nocą w stronę Baranowicz i tu się zatrzymałem na kilka dni, szmendać się tak po lesie widziałem dużo ludzi przeważnie chorych kalek czy ułomnych porzuconych przez rodziny, które się umieszcili w pociągach a tych nieszczęśliwych poporzucał w lesie gdzie obozowali, żał mi się zrobiło tych nieszczęśliwych zebrałem kilka kolegów poszliśmy zrobiliśmy nosze i poznośliśmy do miasta i umieściliśmy w jednym z domów gdyż miasto było prawie całkowicie opuszczone przez miejscową ludność, takich nieszczęśliwych naznośliśmy do owego domu 12 osób i jednego chłopczyka może

7 letniego który był chory ale tego zucha żał nam było porzucić razem z temi niedołączkami, więc wzięliśmy go z sobą umieściliśmy na tem swoim wózku obtulił, gdzie nasz felczer zaopiekował się nim i w trzy dni potem już jechał w konia na tem wózku. Żołnierze go prędko polubili i pozostał tak pomiędzy nami już trzeci ale nie umiał powiedzieć skąd pochodzi i jak się nazywa tylko imię wiedział że ma imię Mikołaj tak go nazwaliśmy Kola i tak Kola był. Żołnierze krawcy przerobili mu mundur szynel i czapkę żołnierskie i był żołnierzem, dostawaliśmy żołd i jemu rzucali kopiejki tak że i on miał swój żołd. Z Baranowicz ruszyliśmy spiesznym marszem do Słucka gdzie przebyliśmy całą przestrzeń w ciągu dnia ale też konie ani żryć nie chciały tylko leżały jakbyśmy je ktoś nogi popodcinał. Tu stojąc zatrzymała się pozycja na długie miesiące na jednym miejscu, Niemcy widocznie obawiali się iść dalej na bezdroża śladami Napoleona a rosjanie musieli doprowadzić swój stan armji do należytego porządku. A najbardziej niedostateczny wyrób amunicji dla armji która w ostatnich tygodniach była bezbronna z powodu braku pocisków armatnich i patronów do karabinów a i samych karabinów było mało dla trzymiljonowej armji. Otóż stojąc tak w okolicy Słucka i Nieświeża zaczęła się bieda między tymi wygnańcami którzy się precz trzymali przy wojsku. Nadchodząca jesień dawała już się we znaki tem którzy obozowali w lesie bo noce chłodne były już coraz dłuższe a żywność już się wyczerpała bo chociaż przy odwróceniu chleba nie mieliśmy czasym i przez trzy tygodnie ale mieliśmy pod dostatkiem mięsa czy to z bydła czy też owiec gdzie gнали tysiączne gromady ale tu już się wszystko gdzieś podziało. Przez to i tem nieszczęśliwym wygnańcom nie mogliśmy udzielać takiej pomocy. Raz wieczorem gdy siedzę sobie sam w szałasie zbudowanym z chróstu, słyszę rozmowy i płacz kobiecy, wychodzę i słyszę że jakaś polka prosi o kawałek chleba i cukru dla swych dzieci które już drugi dzień nic nie jadły. Dwaj moskiewscy żołdacy zgadzają się oddać swą dzisiejszą porcję chleba i cukier jaki jeszcze mają, ale za cenę czci tej nieszczęśliwej matki. Ta biedna matka prosi i błaga żeby nie korzystali z jej nędzy i chociaż kromkę chleba udzielili jej dzieciom, ale te ludzie są bez serca tylko śmieszka sobie robią. Ta kobiecina już odeszła ale po jakich 15-stu minutach wraca i prosi zpowrotem ale żołdacy nie ustępują od swych warunków, wtem kobiecina klęka na ziemi i wzywa Boga na świadka że po tylu męczarniach po tylu trudach gdzie wlekła się ta biedna matka ze swymi czterema dziećmi gdzie dwoje pochowała na szlaku swej wędrówki

i teraz nie może już dalej się ruszyć bo koń jej w drodze zdechł i wózek musiała porzucić, z dwójga dziećmi nie może iść dalej i wzywa Boga na świadka że nie może dłużej patrzeć na głód swych dzieci i chociaż za taką cenę musi zdobyć kawałek chleba dla tych dzieci. Gdy to słyszałem wychodzę na to i prosto wściekły wpadam na swoich kolegów moskali i jednemu z nich wymierzam silny policzek a gdy się rzucili obydwaj na mnie, poprostu oszalałem w złości że biłem rękami nogami i gryzłem zębami jak mi ręce trzymali i ja dostałem ale wkońcu ich pokonałem że uciekli, jeszcze poszli na skargę do dowódcy że ich pobili, ale co miałem chleba to oddałem kobiecie i poszedłem z nią sprawdzić czy prawda jest co ta nieszczęśliwa matka opowiadała a gdy się przekonałem o nędzy jaką zobaczyłem nietylko głód dokuczał ale i chłód gdyż były to obie dziewczynki 7 i 5 letnie ale lekkie latowe sukienki i płaszczyki były w strzępach nie było się czem okryć, szalas też lichy zbudowany nie chroni od zimna nocnego. Na drugi dzień wziulem dwóch kolegów i swój dobytek który kupilem za cztery ruble, miałem jeszcze dwa miechy jęczmienia które nazbierałem pod podłogą w opuszczonych składach zbożowych w Baranowiczach i przeszło pół miecha pieprzu pozgarnianego tamże. Przyprowadziłem wózek usadziłem kobiecie z dziećmi i dałem jej na drogę co mielim, wyprowadziłem na trakt prowadzący w stronę Mińska i poleciłem jechać jej w tem kierunku a tam może natrafi na jaki komitet gdzie zostanie umieszczona w jakim przytułku. My też jakoś wkrótce wyjechalim do Nieświeża tu zwiedziłem miasto pałac ogród księcia Radziwiłła, który sam mi pokazywał a ja sądziłem że to jaki oficjalista dopiero przy bramie pytam się odźwiernego a czy książę wyjechał, odźwierny mi mówi toć pan z nim rozmawiał. W kilka dni potem dostałem rozkaz przemarszu na Wołyński front gdzie tułałem się w okolicy drogi żelazny pomiędzy Łunieńcem a Sarnami, w tych to stronach żyło tu sporo Czechów kolonistów i Polaków, po tułaczce parotygodniowy zatrzymaliśmy się w jednej wiosce prawie na całą zimę gdzie nie chcąc siedzieć w tych dymnych chatkach namówiłem kilku kolegów aby sobie zbudować ziemlanke, tak też zrobiłem pojechalim do lasu przywieźlim drzewa i dzień pracy chata była gotowa, ja jeździł codziennie na stacyję kolejową po gazety dla oficerów no i żołnierzy, przywiózłem kuryjerka który wypożyczyłem z jednego z wagonów dla przewożenia wojska i okno też z wagonu tak w tej to ziemlance przeleżelim drugą zimę wojny prawie bez żadnej przygody, tu to otrzymałem paczkę od stryjecznego brata z Warszawy który mi wysłał na Wiel-

kanoc a ja te paczke otrzymałem po 10-ciu miesiącach ale że w tej paczce było przeszło 1000 papierosów 2 funty cukru i 3 funty suchej kielbasy otrzymałem w dość dobrym porządku, tu to w tej wiosce Żółkinie został nam odczytany rozkaz dowódcy korpusu, za ucieczkę i pozostawienie pocisków w ręku nieprzyjaciela zostało tem rozkazem zdegreadowani prawie połowa podoficerów do prostych szeregowców no i po miesiącu aresztu którą to karę mieliśmy odbyć po skończony wojnie, ja też byłem w liczbie ukaranych aby tylko ten co pierwszy uciekł to jest praporszczyk Turpak i jego sygnalista który mu konia podawał i razem uciekli zostali odznaczeni medalami św. Jerzego. Naturalnie na takie dyktom nie mogliśmy się pogodzić i zredegowalim pisemne zażalenie opisując rzecz tak jak faktycznie była. Skutek był ten że przyjechał do nas ze sztabu korpusa specjalnie wydelegowany pułkownik na ślectwo który zasiadł w osobny izbie i przywoływał kolejno każdego żołnierza. Rezultat ślectwa był ten że kara została zniesiona i te ordery zostały cofnięte. Pan praporszczyk silnie zły był szczególnie na mnie, wyraźnie mi powiedział że to ja zredegowałem to zażalenie na skutek którego przyjechał ten pułkownik, zapowiedział mi że i tak będzie śledził za mną że mnie odda pod sąd wojenny, ale na miejsce trzeciego oficera który przeszedł do baterji dostalim praporszczyka Pomarancowa który był nietyła mojem przełożonym ale był to mojem przyjacielem, gdzie zawołał mnie na swoje kwatere i w długie zimowe wieczory rozmawialim o różnych przedmiotach i ten to oficer powiedział mi żebym się strzegł Turpaka bo on to mnie chce koniecznie oddać pod sąd ale że on czuwa nade mną i nie da mi krzywdy zrobić. W połowie marca dostaliśmy rozkaz aby nasz 10-ty korpus przeszedł na front w okolicy Mołodeczna. Odbywalim marsze piechotą, ja nie miałem już wtedy konia ponieważ zastępowałem kowala drugiego plutonu którego koń zabił przy kuciu.

Po rozlokowaniu się naszego korpusu gdy już każda formacja była na swem wyznaczonym odcinku, dowódca korpusu i jego sztab rozmieścili się w Mińsku, nasz praporszczyk Pomarancew zaczął się starać utworzyć oddział partyzanski, w tem celu wysłał mnie do Mińska do sztabu korpusa. Gdy tam zajechałem zostałem najpierw przyjęty przez tego samego pułkownika który był na ślectwie w naszym parku i poznał mnie a następnie zostałem wezwany do biura samego pana gienierała Śniadeckiego, nie wiem tego czy to był polak czy tylko nazwisko miał polskie, ale więcej mnie trzymał jak pół godziny wypytując się obszernie o nasze potrzeby i co też ludzie na

froncie myślą o wojnie jaki duch panuje pomiędzy żołnierzami, spomniał też o naszym darowanym nam karze wypytywał się obszernie o tem oficerze który się zgłasza do oddziału partyzanów i pytał się czy dużo polaków ma ochotę iść do oddziału partyzanów, wkońcu zawołał tego pułkownika i kazał wypisać mi taką przepustkę na zapis ludzi do oddziału i żebym mógł przywieźć liste zapisanych ochotników na partyzanów i taką samą przepustkę kazał wypisać dla oficera. Po zjedzeniu obiadu ruszyłem spowrotem do formacji, tu czekała mnie niespořdzianka ponieważ praporszczyk Turpak oskarżył me za samowolne wydalenie się z parku i dowódca parku kazał me arestować ale jakie było ich zdziwienie gdy się sam zgłosiłem do oficerów którzy wszyscy byli zgromadzeni przy herbacie wieczorny i pokazuje jem przepustkę wydaną mi przez sztab korpusa, takie oczy zrobili a nabardziej Turpak uszom nie wierzył, aż sam wstał i podeszedł przeczytał przepustkę. Naturalnie o areście nie było mowy, kazali mi iść spać. Ale ja musiałem czekać aby zdać raport temu który me posłał a posłał me potajemnie i nie mógł mi dać przepustki bez tego żeby dowódca nie był podpisany. Ale że pan Pomarancew był widocznie ciekawy bo wkrótce wezwał me do siebie, gdy mu opowiedziałem rozmowe z pułkownikiem i z jenerałem aż ręce zacierał z radości, a to się spisałeś dzielnie mówi, ja sam nietyła bym mógł zdziałać, a gdy jeszcze dałem mu przepustkę aż me w głowe ucałował tak rad był i mówi no staraj się chłopcze aby zorganizować chociaż 200 zuchów a awans pewny, wzielim się szczerze do roboty, przywołałim jeszcze dwóch druhów do pomocy jednego polaka Czyżyka z Białegostoku i Łotysza i w tygodniu odwiózłem liste do sztabu korpusa gdzie miałem na liście 279 żołnierzy wszystkich rodzajów broni i czterech oficerów, z naszego parku zapisało się 34, wszyscy ci którzy byli zdegradowani zapisali się po mojem powrocie we wielką sobotę a we wielkanoc w sam obiad dostajemy rozkaz ze sztabu korpusa abym w poniedziałek mogli się stawić do miasteczka Kamień gdzie jest punkt zborny dla oddziału partyzanów. Dowódca sie za głowe złapał bo i on dostał rozkaz na przemarsz a tu tylu ludzi idzie precz. Ale rozkaz rozkazym, wydali nam wszystko co nam się należało do końca miesiąca i w poniedziałek rano ruszylim w droge, tu się zebralim wszyscy w mieścinie Kamień. Tutaj dostaliśmy niemieckie karabiny czerkieskie kinzały po cztery ręczne bomby i po dwieście sztuk patronów no i 5 kulomiotów z odpowiedniemi liczbą patronami. Tutaj byliśmy sformowani w plutony sekcje i oddziały jak maszynówki, saperski. Po uformo-

waniu się wymyciu w bani, za tydzień poszliśmy na pozycje w Nalibocką Puszczę w lasach i bagnach nad rzeką Berezyną przy samym ujściu Berezyny do Niemna, tutaj też był jakiś kanał, tem to kanałem przewieźliśmy swoje manatki na łodziach do miejsca postoju. Zatrzymaliśmy się w lesie na pagórku. A że był to początek kwietnia więc najpierw przystąpiliśmy do zbudowania sobie szałasów, na szałas używali drążków których tu było moc ale do przykrycia tam gdzie ja budowałem tom nakrył gałązki jodły a później mchem, ale drudzy obdzierali kore z jedliny od ziemi tak daleko jak mogli dostać a kora obdzierała się dobrze bo już drzewo dostawało miazgę. Ale też wyglądało to drzewo obdarte z kory aż nie mogłem patrzeć na takie obdarcie, zdawało mi się że to drzewo płacze. Zaraz na drugi dzień poszło nas 20 szeregowców z jednym oficerem na wywiad a reszta poszła na łąkę na ćwiczenia bo taką zbieraninę trzeba było jako tako przyuczyć do jednolitej komendy. Ale my tu nie widzieliśmy już w tych bagnach oprócz wojskowych żadny inny istoty ani stworzenia tylko ptastwa była moc, nie wiem czy gdzie jest taka moc różnego ptastwa co w tych stronach zwłaszcza że to było na wiosnę, co za wrzask i świergot i śpiew był różnego ptastwa tak wodnego błotnego i leśnego a słowików tego króla śpiewaków to tu bardzo dużo pomimo że tu ciągle była strzelanina czy to z ręczny broni jak nie na pozycji to do celu, to z ręcznych granatów, pomimo to ptaszyny widać sobie upodobały tak te miejscowości że nawet huk armat ich tu nie wypłoszył. Ja będąc pierwszy raz na wywiadzie musiałem się uczyć chodzić po takich tylko kładkach ponieważ tak toby człowiek utonął w tem bagnie i tak nieraz musielim wyciągać jeden drugiego. Później tak się nauczyliśmy chodzić że i w nocy też ni razu nie spadłem. Pierwszy rozkaz otrzymałem aby zdobyć języka, do tego w przeciągu dwóch dni i nocy śledziłem gdzie też nieprzyjaciół wychodzi czy niema jakich śladów. Ja z trzema kolegami zapuściłem się w taką szyję przeszło trzy kilometry, był to taki cypel pomiędzy Niemnem a Berezyną że nasze wojska nie zapuszczały się w ten cypel z powodu że mogłyby być odcięte od swych sił a Niemcy też w ten cypel się nie zapuszczali ponieważ było to już za rzeką ale zapuściłem się aż do Niemna i leżąc tam całą noc zauważyłem że Niemcy przychodzą na ten cypel po drzewo którego po ich stronie było brak, taki też zdałem raport, na drugą noc poszedł z nami oficer i sam się przekonał że Niemcy przychodzą. Wobec tego na trzecią noc urządziłem zasadzkę, tylko to że dwóch oficerów było z nami na trzydziestu żołnie-

rzy ale widać oficera oba nie mieli pojęcia o urządzeniu zasadzki. Gdyby ich wcale nie było my sami bylibyśmy zagarli przynajmniej z pięciu szwabów a tak zabiliśmy z dziesięciu ale ani jednego nie dostaliśmy języka. Leżeliśmy w zasadzce całą noc, Niemcy się nie pokazali, traciłem nadzieję że coś będzie ponieważ już dzień się zrobił na dobre, słońce wschodziło gdy zauważyliśmy grupkę ze dwudziestu Niemców gdy się przedzierają przez zarośla, moglibym wszystkich zagarnąć gdybyśmy byli rozdzieleni na dwie partyje ale tak nie z tego nie było ponieważ nasza warta była wystawiona na trzech posterunkach, na jednym posterunku wartownik znużony widocznie całonocnym czuwaniem oparty o drzewo na klęczkach widocznie zasnął i nie zauważył zbliżających się Niemców. Niemcy zauważyli go pierwsi, nie było rady dalim ognia i rzuciłem się na bagnety ale i Niemcy dali ognia i zranili nam owego wartownika którego to był student Juszczenko z Charkowa lubiany przez wszystkich a my oba nawet chociaż to był krótki czas jak się znamy ale się zaprzyjaźnilim. Naturalnie Niemcy nie czekali tylko fugli do swoich, trudno było gnać za nimi, w tym gęszczu tylko złapałem trzech którzy byli ranni a zabitych pozostawiłem na miejscu. Ja rozwinąłem swój szynel wkułnołem rudego Niemca na szynę, żydek z jednej strony ja z drugiej ciągniem w bezpieczne miejsce bo Niemcy odkryli dość silny ogień po nas że możemy posuwać się tylko na czworakach bo najwygodniej w takim gęszczu, Niemcy strzelają tylko na pamięć. Gdy już wycofałem się jakie pięćdziesiąt kroków dopiero sobie przypomniałem że pozostawiłem naszego Juszczenkę ранego, oficer mówi szeptem, nu bratcy kto ochotnik po towarzyszcza ale jakoś nikt się nie kwapi więc ja się puściłem, za mną poszedł mój plutonowy Czyżyk. Łatwo nam było go odszukać i wzięliśmy go ciągnąc w dolinę i tu go wzięliśmy i niesimy ale słabe daje znaki życia, gdy go wynieśliśmy w bezpieczne miejsce tam mu chcieliśmy zrobić opatrunek ale widzieliśmy że to nie pomoże mu nic bo miał cały bok rozszarpany. Niemcy widocznie strzelali kulami dum dum że mu tak bok rozszarpało, tylko gdy mu dałem się napić zimnej herbaty odzyskał na chwilę przytomność i zdjął z siebie metalową ikonkę na łańcuszku otarł nią rany i wymawiając te słowa odeszła mu przytomność tak że jej już nie odzyskał, w godzinę zmarł i te Niemcy też nam skonałi zaczęliśmy ich donosić do swego łagru. Niemców pochowaliśmy w lesie zabierając wszystkie papiery jakie mieli przy sobie a naszego kolegę przynieśliśmy, wyciosaliśmy trumnę z nałupanej jodliny jak mogliśmy zbilim i pochowaliśmy sygiąc

dosyć wysoką mogiłę, był to pierwszy trup z naszego oddziału. Niemcy też nie wytrzymali taki jazdy na ruskich szynelach po korzeniach, wertepach, błocie i kładkach, wyziuneli ducha. Wykopaliśmy dwie jamy ponieważ jedyn miał medalik Matki Boskiej więc był katolikiem a przez to słusznie mu się należał inny pogrzeb, aniżeli jego kolegom lutrom. Chociaż dowiedzieliśmy się jaka formacja jest naprzeciw nas ale i tak nic się nie dowiedzielim. A szkoda bo druga taka sposobność nieprędko się zdarzy. Przyszedł maj najweselszy najpiękniejszy miesiąc u nas w Polsce a my chodzimy jak zwarzeni smutni i przygnębieni. Bo głód nam dokucza porządnie, codziennie prowiant nam dowożą łodzią po ten kanale który kiedyś służył pono do przewozu rudy żelaznej gdzie w tej okolicy była kopalnia tego szarego kruszczu, dziś tu już znaku nima tylko ten kanał jeszcze istnieje. Otóż gdy ta godzina nadchodzi o której zwykle łódź przychodzi z prowiantem, wychodzi nieomal cały oddział wolny od służby na spotkanie łodzi. Gdy wyladują szczupłe zapasy, z wielką pieczołowitością przenoszą do łagra czyli szalaszy gdzie skrepułatnie dzielą na każdego żołnierza, większość ludzi naszego oddziału tak nie mogą panować nad sobą że po odbiorze swej porcji przyrządza sobie wszystko odrazu i za godzinę niema nic ale to ani okruszyny i ci ludzie znów są bez jedzenia 24 godziny, nie też dziwnego że tak oczekują z niecierpliwością przybycia łodzi. Nietylko że nam głód dokucza ponieważ niema tu co dokupić, chociaż kto i miałby zaco ale co tu w lesie i w tych bagnach kupi. Żołnierze zamiast myśleć o wojnie wyteżają swój umysł skądby zdobyć jakąkolwiek żywność, wiecznie łążą, wypatrują gniazd ptasich chociaż najmniejszych, wybierają ale przecie my tu nie sami, oprócz nas są tu rozpołożone wojska całej dywizji w tych bagnach, robią haczyki i ślęczy godzinami zaczem złowi jedną małą rybke. Ale nietylko że nam brak żywności ale brak i odzieży i butów, ja swoje buciska jak moge tak łątam ale niema czem więc tylko tak flikuje żeby nie kaleczyć nóg o korzenie w lesie bo o tem żeby było ciepło to mowy niema, woda wleci i wyleci sobie swobodnie. Niektórzy robią sobie łapcie ale ja tego paskustwa nie umie zrobić a i tak to nie chroni od wilgoci gdyż przecie woda tak samo przeleci aby tyle że nóg tak się nie kaleczy. Nietylko tego brak ale wyszło mi całkiem lekarstwo na moje koniki więc i te zaczenają dokuczać chociaż jest tu dosyć wody i mógłby człowiek codziennie wyprać bieliznę ale mydła niema a w zimnej wodzie albo prał albo nie, nic nie pomaga. Nasz oddział chodzi wciąż i wypatruje pozycje niemieckie, widocz-

nie nasz dowódca korpusu zamierza tu przejść do natarcia czy co bo ciągle tylko wymaga dostania języka ale nasze oficera są to nie do tego, daliby nam wolną rękę, myby dostawili niejednego i kilku ale na upartego likarstwa niema. Z nastaniem cieplejszych dni jeszcze jedna plaga przybyła nam w postaci komarów, rany Boskie co też tego plugastwa tu jest to miljardy się unosi nad temi mokradłami i zapamiętałe kłają. Trudno się od nich uchronić żeby się najlepiej owinąć tak że powietrza do oddychania niema a to brzydastwo gdzieś się przedostanie i przęczy. Gdy nie jesteśmy na odpoczynku tylko na służbie, zwykle wychodzimy poza nasze okopy i zasieki z drutu kolczastego a niemieckie okopy tuż, trzeba czuwać i dać baczność na najmniejszy szmer a to robastwo bzyka i bzyka bezustanku i pije naszą krew jakby ten żołnierz miał tej krwi beczkę że wszyscy żądają krwi od żołnierza. Sztandaru ma żołnierz bronić do ostatni kropli krwi, ojczyzna wymaga oddania za nią ostatniej kropli, wesz pełła pluskiew mucha to samo, a te obrzydliwe komary co one tej krwi wyciągły codziennie jakby ten żołnierz miał jej za dużo, jedząc raz na dzień. Pewnego razu mój dowódca Pomarańcew wezwał mnie do siebie dał mi mapkę naznaczył na niej nasze i niemieckie okopy, oznaczył mi na mapce miejsce gdzie mam zbadać jakie szerokie są zagrodzenia drutem kolczastem w dany miejscowości. Wziąłem sobie do pomocy dwóch żołnierzy, jednego moskala i mordwina, wyruszyliśmy w drogę o godzinie 10-ty zaśliśmy tam około czwarty popoł. Poszłem, zameldowałem się dowódcy pułku który zajmował tu pozycje ale on mi mówi że trzeba czekać aż się ściemni wtedy można się przeprawić przez rzekę Berezyne, tam za rzeką zajmuje mój jeden bataljon pozycje to jak się ściemnia kuchnie wyruszają z obiadem więc razem z nimi możemy się udać i wydał rozkaz do dowódcy bataljona aby nam ułatwił zadanie i dał pomoc jeżeli się takowa okaże potrzebna. Przez ten czas położyłem się na spoczynek aby wypocząć. Gdy się ściemniło po zjedzeniu obiadu tu w pułku wyruszyliśmy w drogę, przez rzekę przeprawiliśmy się szczęśliwie. Tam dowódca bataljonu wydał rozkaz aby nas zaprowadzili w to miejsce gdzie niema płotu z drutu kolczastego a są tylko tak zwane kozły które można odsunąć i wychodzić w razie potrzeby poza ogrodzenia. Poszliśmy tylko w troje, noc była beksiężycowa tylko od czasu do czasu rakietą wystrzeli w powietrze z niemieckich okopów dla oświetlenia miejscowości ale rakietą zaczęły wyleci w powietrze i zabłyśnie pełnem światłem można zawsze się przyczać w trawie która tu już sięgała po kolana. Gdy już

byliśmy tak mniej więcej na połowie pomiędzy naszymi a nieprzyjacielskimi zasiekami, szepcę do nich, wy tu się pozostawcie ponieważ co zobaczą dwa oczy, więcej nie zobaczą i sześć oczów a zawsze nas trzech więcej zrobi szmeru aniżeli jeden. Dalszą drogę odbywałem już czołgając się na brzuchu no i szczęśliwie doczołgałem się do zagrożeń policzułem rzędy miałem już zamiar się cofnąć nazad ale moje oczy które już się przyzwyczyły patrzeć w ciemność zauważyły że na prawo o jakie 20 kroków ogrodzenia wyglądają trochę nie tak, więc ostrożnie poczołgałem się w danym kierunku i zobaczyłem że tu Niemcy mają ustawione tylko kozły z drutu kolczastego tak samo widocznie wychodzą tą drogą na wywiad poza ogrodzenia. Gdym to zobaczył cicho się cofam ponieważ niemieckie okopy nie dalej jak 20 kroków, słysze cichą rozmowę, gdym uczołgał się spowrotem może jakie 10 kroków wtem słysze szmer na przodzie przed sobą, nie miałem czasu się rozejrzeć gdyż jednocześnie wystrzeliły dwie rakiety jedna po drugiej i dosłyszałem dwa cupnięcia w trawie, przede mną w tem miejscu gdzie szmer słyszałem w sekundzie dwa zrywy były, to rzucono dwie ręczne bomby. Te wystrzały rakietowe jednocześnie z rzuceniem ręcznych granatów uratowały mi życie gdyż przywierałem mocno do ziemi żeby mi nie było widać, tymczasem granaty eksplodowały i tylko ponad głową gwizdały mi kawałki granatu i kulki w niem się znajdujące, do tego z naszych okopów odkryli gęsty ogień z dwóch maszynówek i ręczny broni tak że i Niemcy odpowiedzieli, naturalnie w takich warunkach leżąc tak pomiędzy młotem a kowadłem nie mogłem podnieść głowy i leżałem cichutko przeszło 20 minut aż ogień zaczął słabnąć, kule rzadziej bzykały aż wreszcie ustały, podnosze oczy ostrożnie aby się rozejrzeć, wtem przed sobą widze że ktoś też robi to samo ale to mi się wydało że szyja u tego osobnika jest conajmniej metrowa taka mi się wydawała długa. Dopiero gdy przetarłem oczy z błota w którym wytrzymałem blisko pół godziny widze że to chusteczka mojego mordwina który sobie zawiesił pod czapkę a mundur aby go komary tak nie kąsały w szyje. Wtem zbliżyłem się do nich i przekonałem się że obie ręczne granaty rozerwały się tuż przy nich, nawet nie o krok, jedna rozerwała się pomiędzy nimi a druga o krok zprawa, oba naturalnie byli ranni ale członki ich były całe więc zarządziłem w tył marsz, karabiny w zęby a obiema rękami chwytamy się trawy i ciągniemy się coraz dalej krok za krokiem z wielką ostrożnością. Coraz dalej i dalej aż podnieśliśmy się wkońcu na nogi rozprostowałem członki i ruszyłem dalej.

Gdy już prześliśmy nasze zasieki odetchlim z ulgą po dostaniu się do naszych okopów, najpierw wypoczyliłm chwilę późni zażądałm gdzie jest posterunek opatrunkowy, dali mi przewodnika i udałm się na opatrunek, ja nie byłem ani draśnięty tylko mój mundur był rozerwany na plecach przez odłamek granatu ja był nienaruszony a mordwin miał rozerwany rękaw na lewej ręce i posiekane lewą rękę i twarz na lewej stronie ale były to lekkie posiekania tak jakby tylko od piasku, a Orłow miał tak samo posiekane czoło i głowę, czapkę mu gdzieś zdmuchło. Po opatrunku udałm się do sztabu pułku aby jeszcze w nocy przeprowadzić się przez most, przy sztabie wypoczyliłm i gdy zaczęło świtać ruszyliłm do swoich. W drodze Orłow opowiada że to jego dwie córeczki wyprosiły u Boga że on żyje bo czołgając się myślał o nich że o tej porze odmawiają swe wieczorne paciorki i zawsze się modlą żeby ich papieńka żyw i zdrow wiernuśia. A mordwin znów opowiada że myślał o swej mamaszcy która zawsze się modli co wieczór długo aby się żyw wrócił. Ja idąc słucham tego ich paplania, przenosze się myślą szukam swych drogich mi osób czy też żyją czy zdrowi jakie też to tam życie jest w tej kochanej ojczyźnie, blisko dwa lata dochodzi jak wyruszyłem w pole i nie mam żadnej od swoich wiadomości. Ale wkońcu pytam się ich dlaczego czołgali się za mną, oni mi odpowiadają że oni myśleli że ja ich naumyślnie pozostawił a sam przeszedł do Niemców że jem się zdawało że ja więcej jak dwie godziny bawie. Ja mówię, widzicie baranie głowy jak zostaliście ukarani zato że nie wypełniliście rozkazu przełożonego chociaż ten przełożony jest tak samo szeregowiec jak i wy, ale wojsko to jest silne tem że wypełnia rozkaz swych przełożonych. Ja was zato pozostawił że czołgając się sam gdy się zatrzymam nikt mi nie przeszkadza w podsłuchaniu a gdyby mie kto spotkał, wy w pobliżu nieprzyjaciela niewiele byście mi byli pomocą, moglibym tylko zginąć razem ale korzyści z tego nie byłoby żadny, na drugi raz będziecie ostrożniejsi. Drugiem razem gdy byliłm w czterech na wywiadzie, idąc już z wywiadu do swych szałasów, było nas czterech nałaziłm się porządnie do tego dwóch nas było boso, dośliłm lasym do polany która była szeroka jakie 500 kroków, nie widziało mi się omijać lasym, jeden poszedł tą drogą, nas trzech puściło się przez polane, gdy już doszliłm mniejwięcej na połowe z nieprzyjacielskiego okopu zaczęli strzelać do nas, moich dwóch kolegów przycupli w trawie, jeden się wrócił a drugi udał się czołgając się w trawie oboje na lewo w stronę lasu i naszych okopów. Ja rozejrzałem się, jed-

nakowo przestrzeń dzieli mnie od lasu choć w którą stronę udam się, nie namyślając się długo idę w ten sam kierunek co poprzednio. Niemcy coraz to gęściej strzelają, kule gwizdzą wokół mnie jak pszczoły, ja już nie myślę o tym żebym wyszedł cało na taką strzelaninę gdyż byłem oddalony nie dalej jak 300 metrów od niemieckich okopów. Gdy już dochodziłem do lasu kule padały jak grad, a myślałem gdzie mnie też trafi czy zabije czy też ranny będę i gdzie. No i doszedłem do lasu i ani jedna kula mnie nie drasnęła, z naszych okopów wylegli nie tylko szeregowi a i oficerowie i oglądali mnie ze wszystkich stron gdzie jestem ranny, nie wierzyli żem cały i zdrowy a prosty żołdat przypisywał mi że umiem kule zażegnawać. Ja bo sam nie mogłem wyjść z podziwu, przecie po mnie wypuścili do pół tysiąca kul. Od tego czasu wierzyłem w przeznaczenie że każdy człowiek dożyje do tej godziny do której ma wyznaczone przez Opatrzność. Pewnego razu byliśmy w nocy wystawieni na czatach poza naszymi zasiekami, rozstawieni w kilku miejscach po dwóch a już sami mogliśmy sobie wybrać miejsce na czatach i sami schodzić na dany sygnał. Otóż mając za towarzysza kaptura saratoki guberni zasiedliśmy sobie w leju od granatu, bo takie ogólne mniemanie było że to najlepszy schowek, bo bardzo rzadko się zdarza żeby w to samo miejsce granat trafił poraz drugi. Gdy tak siedzimy, było to po deszczu, noc cicha tylko echo wystrzałów armatnich rozlega się donośnie tak samo i eksplozja. Ale mnie prosto coś szepce do ucha, uchodź stąd. Mówię swemu koleździe, chodźmy pod ten jałowiec w pobliżu gdyż tu drzewa były rzadkie ale on mówi nie, ja tu pozostanę bo Niemcy coraz bardziej zaczynają walić z armat i puszczać łaguszki. Łaguszki nazywaliśmy miny które wyrzucali Niemcy ze swych okopów która po upadku na ziemi podskoczyła kilka razy jak żaba i dopiero się rozrywała. Ale mnie już nie tylko że szepce coś ale prosto ciągnie, — idź stąd, usłuchałem i przeszedłem pod krzak jałowcu, jeszcze się dobrze nie ulokowałem gdy widzę łaguszka skacze w stronę leja gdzie mój towarzysz pozostał, on się zerwał ale było zapóźno, huk, krzyk przeraźliwy i więcej nic, po niejakiem czasie widzę że mój nieszczęśliwy towarzysz rozerwany na kilka części tak że dopiero w dzień pozbierałem części i pochowałem. W początku czerwca dostaliśmy rozkaz abym dotarli do wioski Berezyny i zapalili wszystkie budynki jakie tam jeszcze są no i folwarczne zabudowania. Artylerja nasza nie mogła nic zrobić bo nie mogła podjechać w te bagna na taki dystans, wybadaliśmy miejsce do napadu, ja się przeprawiłem przez rze-

kę zaraz po obiedzie z trzema kolegami i czuwałem w krzakach żeby Niemcy nam nie przeszkodzili zrobić przeprawy przez rzekę. Przeprawę robiliśmy na nadymanych workach czyli pęcherzach. Na tych to pęcherzach umieszczone były deski które tuż wyciosaliśmy z jodliny i pojedynczo można było się przeprawić po takim moście. Gdy już się dobrze ściemniło, ja znów się przepравиłem pozostawiając swych kolegów a ja tylko dla zdania raportu się przeprawiłem. Gdy zdałem raport wróciłem na swój poprzedni posterunek, wkrótce po mnie przeprawiać się zaczął oddziałek który miał przeciąć zasieki z ośmiu żołnierzy i tyłaż dla ich pilnowania. Późni przeprawił się cały oddział który miał uderzyć na dany sygnał gdy już zasieki będą przecięte. Gdy już było wszystko należycie przygotowane, wszyscy staneli na swych stanowiskach ja byłem wyznaczony przy dowódcy oddziału, było nas zgórą dwieście chłopów i trzech oficerów. Wtem suchy trzask wystrzału dał się słyszeć w naszych szeregach. Na tyn wystrzał nieprzyjaciół zaczął puszczać rakiety za raketami, aż dojrzeli naszych dzielnych wiarusów którzy pracowali nad usunięciem zasieku no i rezultat był taki że wszyscy zginęli tamże przy drutach z 16 ludzi zdrowych wróciło tylko dwóch, jedynastu rannych z których trzech zmarło tejże nocy a trzech pozostało się przy drutach, których Niemcy ustawili w tych zasiekach i tak stali przez trzy dni w tych drutach. Naturalnie zrobił się taki popłoch że zaczęli rzucać się w pław przez rzekę i naszą przeprawę byliby zniszczyli gdyby nie dowódca oddziału który stanął z rewolwerem w ręce i krzyczał który będzie się pchał dostanie kulą w łeb, to poskutkowało i panika się zatamowała. Ale co najgorsza to to że i oficera stracili rozum i nie zarządzili żeby był wyznaczony arjegat dla ostrożności, tylko plutonowy polak Czyżyk zebrał dziewięciu do siebie żołnierzy i ten się zaczął w krzakach tylko mnie meldując żeby mu dać znać kiedy już oddział się przeprawi i rannych przewieźć na łodzi i dobrze zrobił bo kilka Niemców posuwało się w stronę przeprawy, ale natchneli się na oddziałek Czyżyka który ich przywitał ręcznymi granatami zabijając dwóch, reszta się cofli w swe okopy. Dowódca słysząc huk granatu tak blisko, drgnoł i bodaj że sam chciał zmykać ale ja mu melduję to Czyżyk wita się z Niemcami, uspokoił resztę ludzi i tak się przeprawił cały oddział. Posłżym po Czyżyka i on się przeprawił ze swymi ludźmi, na ostatek dowódca a na ostatek ja, saperzy zaraz rozebrali most i tak się na niczem skończyła nasza niefortunna wyprawa do wsi. W trzy dni potem znów zrobiłem to samo wybierając inne

miejsce nie w lesie a na łące gdzie było błoto chociaż nie takie rzadkie, tą razą ja poszedłem z nożycami, żydek z Brzezina około Łodzi, dwóch łotyszów, oprócz mnie dwóch polaków i mordwin i jeden kaczmarek i ośmi poszło pilnować nas z tyłu czuwać nad nami. Mieliśmy rozkaz wydany stanowczy kto się cofnie — kula w łeb. Była cicha czerwcową noc, doczołgałem się poprzez błoto do zasieków, zaczęliśmy pracować usilnie, my z jednym polakiem z Grodna mieliśmy już prawie swój przedział przecięty gdy posłyszeliśmy szepty w nieprzyjacielskim okopie, przycichłem na chwile, moglibym już uderzyć gdyby ludzie byli pod ręką ale oddział coś tam marudził, zaczęliśmy znów pracować my dwóch, otwór mieliśmy gotowy. Gdy wtem dwa strzały od strony nieprzyjaciela i głos wer da, u nas jeden ranny, znów zmitrężyli, moglibym napaść oddział, coś zbłądził czy coś. Wtem Niemcy zaczęli strzelać po nas z dwóch maszynówek u nas kilku rannych, my się cofnelim od zasieku który był na pagórku, w błoto nosy powtykalim że oddychać nie możemy ale każdy instyktownie ratuje swe życie. Podniosła się taka strzelanina że nie sposób gdyż nasze pięć maszynówek trajkoce i cały oddział strzelał z tyłu nas a Niemcy sprzodu, kule gwiżdżą jak te komary. Ale co tu robić, naprzód nie idą i cofać się nie dają hasła, poprostu zapomnieli o nas, oddział się widocznie cofa bo strzały się oddalają i coraz rzadziej strzelają, nas pozostało dziewięciu leżymy w tem błocie nam się zdaje że wieki całe i niewiadomo co robić. Wtem jeden łotysz mówi, ja pójde się cofnąć wystrzel dwa razy i ręczny granat rzuć. Poszedł i nic, ani omówiunego znaku ani jego, zaczęła się rozwidniać. Niema co, trzeba się cofać, póki leżelim cicho Niemcy widocznie albo nas nie widzieli albo też sądzili żeśmy zabici ale gdy się poruszyłem zaczęli strzelać a tu najgorsze że mamy przeżyć niewielki pagórek ale dla nas cała góra. Gdy się dostali na ten pagórek widzimy nasz kolega co nam miał dać sygnał leży zabity, drugi krzyknął i się przewrócił, tu niema czasu badać czy zabity czy ranny, rozwijamy płaszcz wciąglim go i jadziem z nim, kule lecą jak grad każdy krzyczy że ranny ja nic nie czuje, aby z pagórka do rowu, rowym chociaż wody było powyżej kolan chroniło nas od kul no i po wodzie lepiej się jadzie z rannymi ale pozostał jeden który nie może się czołgać a błaga żeby go nie pozostawiać, ja tylko jeden czuje że mie nic nie boli, zdaje tego co wleklim we dwóch temu jednemu a ja się cofam i ciągne po trawie pozostałego do rowu, tak dociąglim się już dobrze widno było do rzeki, tu już nasza przeprawa była rozebrana, na szczęście saperzy akurat wyciągali łódź

gdy krzeczym żeby nam podali łódź. Łódź była nieduża tylko czterech mogło się mieścić, trzy razy nawracał zaczem nas poprzewoził. Gdy już byliśmy na drugi stronie wszyscy wtem krzyczy ktoś z za krzaka, bratcy a mnie pozostawili, nasz starszy sapior krzyknoł, łóżyś, giermańcy, tylko przycuplim w rowie który był wykopany dla tych co pilnowali przeprawy. Gdy salwe Niemcy dali po nas my odpowiedzielim no i Niemcy sie cofli do swych okopów, my dopiero przystąpiłim do opatrunku rannych, okazało się że tego co tak wleklim na moi szyneli był to już trup, kula ugodziła go w czoło i to od swoich gdyż przecie my byli już podani tyłem do nieprzyjaciela więc niemiecka kula nie mogła go trafić w czoło, a ten co ja wróciłem po niego miał obie nogi strzaskane w kostce tak że prawdopodobnie musieli je odjąć i w tej wyprawie mieliśmy ośmi zabitych i dziewiętnastu rannych, z tych szesnastu którzy byliśmy przy zasiekach ja jeden wróciłem się zdrów nigdzie ani drapnięty nie byłem, żydkowi kula przeszła przez mięso poniżej krzyża nie naruszając kości co wiele nawet bólu nie czuł, gdyż jeszcze tego zabitego przyciągnął. Znów nasza wyprawa skończyła się na niczem, tem razym był winien dowódca że marudził za długo chociaż nam co kilka dni przychodziło po kilku świeżych partyzanów jednakowoż oddział nasz topniał, sporo było zabitych, dwa razy tyła rannych, kilku chorych tak że nic nie zrobiłim ważnego a oddział topniał. Do tego łąziłim jak cienie z głodu i ze znużenia bo chociaż i był czas na spoczynek ale te przekłete komary nie dały spać. Chodząc najczęściej ja na wywiad zauważyłem że Niemcy chodzą badać nasze pozycje, poszłem do plutonowego Czyżyka i mówię mu żeby można urządzić zasadzkę, zaciekawilo go i nie namysławiając się długo wziął do siebie dziesięć zuchów i we dwunastu udalim się na noc w tem kierunku nie mówiąc nic dowódcy, tylko że idziemy czatować na Niemców. Całą noc czuwalim, nic nie było widać ani słyszać, oddział był podzielony na dwie równe części, jedna pod komendą Czyżyka a druga pod komendą moją chociaż w mem oddziale był kapral ale nie chciał brać komendy na siebie. Rano gdy już słońce weszło słyszymy szelest ale od strony rosyjskich okopów, niedługo pokazał się oddział Niemców około 20-tu chłopą z oficerem na czole. Gdy się przybliżyli na jakie 50 kroków Czyżyk który leżał ze swemi ludźmi jakie sto przeszło kroków ode mnie krzyknoł po niemiecku bo tem językiem władał dobrze aby podnieśli ręce do góry, Niemcy nie usłuchali dalim salwe prawie jednocześnie z oboich oddziałków celując przeważnie w nogi, padło pięciu Niemców, reszta podniosła ręce do góry. Wtedy Czyżyk

podaje komende Niemcom którzy tem razym spełnili rozkaz aby odeszli dziesięć kroków naprzód od swych karabinów i ręcznych granatów które musieli porzucić, wtedy ja trzymam z memy ludźmi Niemców na celu a Czyżyk podszedł ze swemi ludźmi którzy zrewidowali szwabów i zabrali broń, wtedy i my wyszli i pognali Niemców do swych szalaszów a następnie do sztabu dywizji. Młody oficerek niemiecki włosy na głowie darł że się tak dał złapać i to prawie jeden na dwóch. A żołnierze zachowywali się obojętnie nawet radzi byli ponieważ słuchy chodziły pomiędzy nimi że ich pułk miał wkrótce być przeniesiony na zachodni front a tam Niemcy się bali iść bo mówili, tu mamy odpoczynek podług zachodniego frontu. To była cała nasza zdobycz od czasu jak my tu jesteśmy w tej puszczy głodni, obdarci, bosi chociaż lato i ciepło ale w każdym razie chodzić po nocach po lesie i kaleczyć nogi niebardzo przyjemnie, ludzie zaczęli szemrać, rozkazy spełniali leniwie i niedbale. Tak że oficerzy sami chodzili zwarzeni bo i sami mieli też głód, tak że zaczęli posyłać raporty do sztabu korpusa i w połowie lipca przyszedł rozkaz abym zeszedł z pozycji w tyły. Takim sposobem rozmieszczeni zostaliśmy w okolicy Rakowa po wioskach, z tych ludzi którzy od początku należeli do oddziału brakło przeszło stu ludzi, już to zabici ranni czy też chorzy, trzech Niemcy zabrali nam też do niewoli którzy byli na czatach w liczbie czterech, jeden tylko zemknął. A można byłoby coś zdziałać żebyśmy mieli oficerów a szczególnie dowódcę nie ślamazare, na przykład w początkach lipca dwaj rosjanie zwiali z niewoli i przekradli się przez pozycje nieprzyjacielskie i zasieki, gdy już czuli się wolni nasze gamonie którzy stali na czatach bez pytania zasypali ich ręcznymi granatami i jednemu tak ręczny granat rozerwał bok że mu wnętrzności wyszły i w dwie godziny skończył w strasznych męczarniach nietyle może z bólu jak z rozpaczyny że tyła trudu poniósł i miał opowiedzieć ważne wiadomości i swój go tak przyjeżdżali bombami, płakał i wyrzekał aż litościwa kostusia skróciła jego męczarnie a drugi dostał odłamkiem w skroń tak że skończył na miejscu, zrobiliśmy im spaniały pogrzeb na jaki tylko mogliśmy się zdobyć nawet i trumne mieli zbitą z heblowanych desek gdzie jeden kolega saper który udał się po popa do miasteczka Naliboki pożytył od kogoś. Ale pogrzeb tych ludzi zrobił na oddziale przygnębiające wrażenie. Przy oddaniu im ostatniej koleżeńskej przysługi mieli lzy w oczach nasze wiarusy, którzy przecie patrzeli nie na jedne okropności za dwa lata wojny. Ale że tu w tem wypadku była to nieporadność ślamazarstwo ruskiego żołnierza to nas tak znie-

chęciło a szczególnie nas polaków którzy marzyliśmy o tem, że się dostaniemy na tyły nieprzyjaciela a wierzyliśmy święcie że w tem roku nastąpi znów kolej na nas że my szwabów będziemy gnali jak oni nas gnali a materiału w Polsce na żołnierza będziemy mieli dosyć, nasi oficera nieraz mawiali woleliby mieć oddział ze stu Polaków niżeli ze trzystu taki zbieraniny no i my sami to wiedzieliśmy że żołnierz Polak wypełnił swój obowiązek należycie a nie tak żeby tylko zżyć albo jeszcze szkode zrobić nietylko sobie ale swem kolegom. Od tej pory tylko że się włóczyliśmy ale życia u nas nie było aż też nareście zostaliśmy wycofani na tyły. Tutaj nie dali nam spokoju, mieliśmy ćwiczenia codziennie, śmiesznie to było patrzeć na takie ćwiczenia gdzie większość ludzi była bez butów, niektórzy boso tak jak ja, niektórzy w łapciach a jeszcze inni tylko szmatami sobie nogi owijali. Ale tutaj chociaż już nie miałem głodu, były to żniwa a wiele ludzi byli na wojnie, więc po skończonych ćwiczeniach brałem kose która w tych stronach jest długości pół metra i szedłem pomagać swoi gosposi, która wprawdzie miała męża ale był to dychawiczny człeczyna nie do pracy. Zrazu nie podobala jej się robota że to się starga bo ona żęła sierpym to ułożyła sobie dobrze ale gdy jej pokazałem że i tu może zebrać dobrze zacząłem kosić na ściane i mówie, teraz zbierajcie i wiążcie w snopy, kosa krótka to zboże się nic nie targało, nauczyła się i szło sporo, ludziska się przypatrywali na naszą robote ale kiwali głowami że dość spory idzie jak na sierpy. Bądź co bądź miałem pełno ofert na prace nietylko z tej wioski takich słomianych wdów ale i ze sąsiedzki wioski przychodzili o pomoc chociaż nas było przeszło 200-ta chłopą, jednakowoż zgłaszali się przeważnie do mnie. Ja nie mogąc robić cały dzień, godziłem się od morgi wstając do dnia w obiad i wieczorem po ćwiczeniach i tak zarobiłem sobie rubel i pół a dostałem mleka i jaj to troche słoniny lub kurcze tak że nietylko ja się najadłem, ale i swych czterech kolegów używiłem którzy byli na tej kwaterze co i ja. Tak że chociaż pracowałem od świtu do samej nocy chodząc razem z innemi na ćwiczenia, zarobiłem sobie kilka rubli i odżywiłem się należycie po tym głodzie na pozycji. Do jedzenia wydawali nam śledzie zamiast mięsa albo jajka zamiast mięsa, soczewice zamiast kaszy, nie wiem gdzie to rośnie bo w swej tułaczce nie spotykałem tej rośliny nigdzie a my dostawaliśmy te pluskwy już od pół roku, skąd to się brało, marny gust miał ten bliźniy Ezaf że sprzedał swe pierworodztwo Jakóbowi za miske soczewicy. Bo w naszym oddziale nikt tego nie lubił, jedli bo byli

głodni ale każdy wyrzykał na ten przysmak Ezafa. W dwa tygodnie po przybyciu na tyły przyjechał do nas ten pułkownik ze sztabu korpusa, wyprowadził nas na łąkę, tam postawili stolik, zasiedli on i jego adjutant wywoływali każdego po nazwisku i wypytywali się dlaczego nie chcemy służyć w oddziale. Nie wiem co mówili inni ale gdy mnie wywołali, pozdrowił mnie i przypiął mi medal i krzyż świętego Jerzego 4-go stopnia za działalność w oddziale i efrejtora miałem prawo nosić i późni mi się pyta dlaczego nie chce służyć w oddziale, ja mu mówię że o tem niema mowy żebym nie chciał ponieważ wojna to jestem zmuszony wypełnić mój obowiązek. Pułkownik odpowiada że jemu się nie rozchodzi że ja jestem z musu w oddziale ale dlaczego nie chce być jako ochotnik. Ja mu odpowiadam, waszo wysokobłagorodzie raczycie popatrzeć na mnie czy z takiego człowieka obdarłego bosego do tego głodnego może ojczyzna wymagać żeby swe życie oddał z ochotą za ojczyznę kiedy ta ojczyzna zapomniała o tem swem obowiązku. Adjutant pisze a pułkownik popatrzył smutnie na mnie, nie odpowiedział mi nic, tylko kazał mi iść na miejsce, zawołali następnego. Potem przemówił do nas i powiedział co będzie można to zrobić dla nas aby tacy obdarci nie wyglądali, odjechał, w tydzień dostaliśmy sto par butów i bieleziny po parze dla każdego i przeszło sto mundurów i spodni i 50 szyneli tak że mogliśmy przybrać trochę lepszy wygląd, ja pierwszy raz wybrałem się nieomal od roku do spowiedzi do Rakowa bo księdza za te dwa lata nie widziałem nawet na lekarstwo przy wojsku. Którzy dostali nową odzież i buty do tego poprzyminali odznaczenia bojowe, udaliśmy się do kościoła. Oj modliłem się szczerze klęcząc cały czas nabożeństwa o jakąś chociaż nadzieję rychłego powrotu do swych rodzin od których nie mamy żadnej wiadomości. Jakoś w połowie sierpnia dostaliśmy rozkaz żeby rozpuścić oddział do tych formacji z których przybyłem. Wtem wkrótce odszukaliśmy swój konnogórny park i powitani przez swych kolegów, z 35-ci powróciło nas 24-ch do parku, pięci było zabitych, czterech kaleki wieczne a dwóch leżało chorych w szpitalu. Ponieważ tu już był dobry komplet a może i dowódca był trochę zły na nas że go tak pozostawiłem bez pytania, napisał raport że on ma dosyć ludzi, więc po pobyciu trzech tygodni w parku zostałem przeniesieni do parku artylerji połowy 31 dywizjonu który kwaterował we wsi Kukszczyce w pobliżu Klecka. W tem to parku przeważnie ludzie byli z ziemi Charkowskiej małorusy czyli chachły jak my ich nazywaliśmy z którymi wkrótce się zaprzyjaźniłem a niektórych miałem szcze-

rych przyjaciół którzy dowiedzieli się o mem położeniu że nietylko że niemam gdzie jechać na urlop ale nawet i listu za cały czas wojny nie dostałem. Uprosił dowódce parku który był kapitan Polański mój plutonowy który się nazywał Wasyl Czernyj, żeby mnie puścił na urlop razem z niem. No i dostałem urlop tygodniowy i pojechałem odetchnąć powietrzem rosyjskiej wsi. Czernyj miał dosyć ładny majątek oddalony od Charkowa około 30 wiorst, ziemi ornej miał 150 dziesięcin i była dosyć wzorowo prowadzona jak na ruskie zwyczaje gospodarka ale koni było za dużo a bydła za mało ale to się tłumaczyło tem że nie miał gdzie zbywać mleka, miał też i olejarnie z dosyć dobrymi maszynami sprowadzonymi z Warszawy, była to nie zwyczajna gospodarka rosyjska a tak zwany chutor, przyjeźli mi ludziska tak jakby brata, nietylko rodzina i krewni mojego przyjaciela ale całkiem obcy ludziska, a chachłuszki zapraszały mnie że po wojnie gdy nie będę mógł powrócić na rodzinne abym przybywał do nich gdzie mi wyswatają wdowe krasawice że preleść. Mój przyjaciel prosząc mnie abym jechał z niem miał na myśli pokazać mi swój chutor i poradzić się coby się dało ulepszyć w jego haziastwie, ale osiem dni jakie dostaliśmy, z tego dwa dni na podróż, sześć dni byliśmy poprostu rozrywani że nie było czasu na zwiedzenie pocziwie tego jego haziastwa, do tego spad śnieg i zasypał ziemie że nie mogłem widzieć jego ziemi, tylko mie zapewniał że jego ziemia bardzo urodzajna że on nie potrzebuje używać nawozu i rzeczywiście widziałem cały stóg nawozu, który wywozili do takiego parowu i gdy się uciula duża kupa zapala i to się pali cały miesiąc zaczem się zetli no ale pocieszał się tem że na wiosne przyjadziemy drugi raz o ile czas pozwoli to lepi zobaczym. Tak ani się obejrzelim jak nam szybko czas zleciał, chachłuszki nanieśli mi różnych przysmaków swego wyrobu tak że miałem wyładowany pełny worek bo nietylko dla mnie nanieśli ale i mężom, braciom musiałem zabrać którzy byli w naszym parku lub artylerji. Po powrocie do parku wkrótce zostałem przydzielony do kowali a po miesiącu jako ślusarz za ślusarza i do gotowania herbaty dlatego że był to specjalnie urządzony kociół do gotowania wody na herbatę że woda jak była nieprze gotowana należycie nie leciała kranem. A znów trzeba było trzymać niezaduży ogień aby para nie rozerwała owego kotła. To już była nasza praca, tu na nas dwoich robili różne reperacje nietylko wojskowe ale i cywilom za które to roboty dostawałem różne przysmaki. Tu zapoznałem się też z tą szlachtą drobną której tu jest cała moc w dobrach Radzi-

willów gdzie tu są całe cztery powiaty że wszystka ziemia należy do dóbr Radziwiłłów a ta szlachta tylko dzierżawi i to od folwarków aż do paru dziesięcin i chociaż taki szlachcic tak samo chodzi w łapciach za pługim. Ale w niedziele gdy wdzije buty i bekiesze szamerowaną odróżnia się od białorusinów którzy rzeczywiście tu żyją nędznie, naród to leniwy, skory do wypitki a prace w gospodarce zdaje przeważnie na kobiety. Staliśmy tu całą zimą, tu obchodziliśmy trzecie święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Tu byłem poproszony na kucie i kisiel jaki tu przyrządzają na wigilię do jednej wdowy która miała trzy dorosłe córki i syna Witolda który miał urwaną rękę tuż przy ramieniu przez maszyny i ja nieraz załatwiałem im różne prace które wymagały ręki mężczyzny tak że z całej wioski udawali się do mnie po różne rady ale i pomoc w razie choroby inwentarza, chociaż ja niewiele wiedziałem ale miałem podręcznik jak rozpoznawać i leczyć choroby zwierząt domowych który znalazłem jeszcze w Galicji w jednej rozrzuconej bibliotece u jakiegoś hrabiego, w kilku wypadkach była ta moja porada skuteczniejsza jak tych znachorów którzy na każdy wypadek choroby zwierzęcia używali okadzania i jakiś zaklęć. W jednym wypadku gdy jednemu gospodarzowi zachorowała dosyć ładna klacz i chociaż tu był felczer konny ale stracił już nadzieję na uratowanie klaczy, ja widząc po znakach że jest to zapalenie juchy, więc nie czekając wypuściłem krwi tej klaczy prawie pół kubelka od wody no i szkapa zaraz wstała chociaż się chwiała że ją musielim podtrzymać ale brała się do żarcia i wyzdrowiała, to mi zjednało że się udawali do mnie nie tylko z tej wioski ale i ze sąsiednich. Otóż ta wdowa prosząc mnie do siebie na kucie z którą musieli czekać do dziesiątej godziny wieczór aż skończyłem reparacje gramofonu który miał dowódca, nawiasem mówiąc ukradziony jeszcze gdzieś w Galicji, późni się dowiedziałem że miała widoki że mnie złapie na zięcia do jednej ze swych dosyć gładkich trzech dorosłych córek i chociaż ja jej tłumaczyłem że mam żonę i troje dzieci ale baba nie dała za wygrane tylko poszła do kancelarii się dowiedzieć czy ja jestem żonaty czy też kawaler a że ślubowałem w Ameryce gdzie tam ksiądz nie wpisywał w bilecie wojskowym moich zaślubin a tu po przyjeździe do kraju poprostu nie miałem czasu, więc w bilecie figurowałem jako kawaler. A w kancelarii jej tam wytłumaczyli że ja tylko tak opowiadam bo żonaty oszczędzają przy wysyłaniu w niebezpieczne miejsca. No i babina uparła się abym był jej zięciem tembardziej że dwóch Polaków tu się ożyniło w tej wiosce,

tembardziej musiałem walczyć nietylko z matką ale i z córkami które mi się wdzęczyły a dosyć były ponętne bestyjki, na szczęście wkrótce po rewolucji marcowy która w naszym korpusie odbyła się dosyć spokojnie i po małym uporze niektórych oficerów złożyłim przysięgę na rząd temczasowy.

Rewolucja

Po rewolucji nie miałem tyla czasu, bo przecie był to czas wieców i agitacyj, my Polacy w krótkim czasie zorganizowalim się wszyscy aby nie być zaskoczonymi gdy przyjdzie czas i rozkaz zgóry. Wkrótce po Wielkanocy wyszedł rozkaz żeby każda formacja zasadziła swoje warzywa dla swego użytku i potrzeby, na gospodarza wyznaczył dowódca mego przyjaciela Czernego i on mie namówił żebym się zgodził być za ogrodnika bo dowódca kazał mu przybrać kilka ludzi możliwie ogrodników, ja chociaż ogrodnikiem nie był ale wychowany byłem na gospodarce, do tego marzenie moje było aby móc zdobyć kawałek ziemi więc mie interesowały te rośliny i znałem się na ich uprawie i pielęgnacji. I gdy nas zebrał dowódca parku aby się dowiedzieć dużo będzie potrzeba piniedzy na zasiew na sześciu dziesięcin ziemi a może więcej bo ziemi przecie leży cała moc odłogiem w rejonie pozycji, najpierw pyta się dużo potrzeza kartofli na dziesięcine, ja milcze bo nie sadziłem nigdy na dziesięciny, na morgi tobym mu powiedział. Więc milcze, jeden ogrodnik wyrывa się i opowiada że 14 pudów, ja się ośmiałem. Dowódca się pyta z czego się śmieje, ja mu odpowiadam ależ ten człowiek nigdy kartoszek nie sadził, wszyscy pytają się dlaczego, ja mówie, dokładnie nie moge powiedzieć ale wiem dużo się wysadza na morgę otóż na morgę u nas wysadzają około 50 pudów zależnie jakie kartofle czy drobne czy grubsze wsadzeniaki i jak kto gęsto sadi a dziesięcina ma zawierać około dwóch mórg polskich, przez to mniej więcej potrzeza około sta pudów, ale to wszyscy mi nie chcą wierzyć nie wyłączając samego Czernycha. Musiałem ich przekonać w ten sposób że wymierzyłem pięć sążni kwadratowych, poprosiłem tego gospodarza który mi pożyczył kartofli i zasadziłem podług ich wymiaru, kartofle zebralim, zważyłim i się okazało że sadząc tak jak oni projektowali sadzić w tem rozmiarze potrzeza 130 pudów na dziesięcine. Przez to wszyscy znów się śmiali z ogrodnika jak onby sadził kartofle, żeby zasadził czternastoma pudami aż dziesięcine musiałyby być te kartofle jak groch. No

i w ten sposób zaliczony zostałem na ogrodnika i dostałem pieniądze pojechałem do Charkowa zakupić siewu na te nasze warzywa oba z Czernychem, naturalnie wstąpiłem też i do niego gdzie przebyłem dwa dni a że to było przed Wielkanocą więc znów nam nadawali paczek. I tu bardzo mnie dziwiło że wieś rosyjska żyła dostatnio, biedy nie było znać a my tak głodowaliśmy na froncie, w parku stojąc po kwaterach po wioskach jakoś sobie radziłem ale te chudzioki którzy byli w rowach nacierpieli się głodu. Z upadkiem caratu odnalazło się i mięso i groch zamiast soczewicy. Będąc w Charkowie byliśmy i tu na wiecach, prosto na ulicy urządzali zebranie i wiecowali, każdy chciał przeforsować swoje metode uszczęśliwienia matuszki Rosji. Po Wielkanocy dostałem rozkaz przemarszu więcej na północ o 60 wiorst i tu na jednym opuszczonym folwarku zaczęłem zakładać ogrody, ziemie wybrałem dobrą nad rzeczką, spad na południe, nawozu też mieliśmy w stajniach poddostatkiem bo koni tu stało pełno w budenkach i w stodołach. Naturalnie posadziłem posielim, gdy już zaczęłem sadzić kapuste dostałem znów rozkaz przesunięcia więcej na północ znów o 50 kilometrów, ogrody zdaliem tej formacji która tu po nas przybyła. Nasz front był teraz dobrze uzbrojony, mieliśmy armat dosyć tak że stały gęsto ale to najważniejsze że naboji było dużo napakowane nietylko po wszystkich jaszczach ale i wozach i na składach w jakiej stodole, czekaliśmy tylko rozkazu iść naprzód. Ale zamiast rozkazu zaczęły się wiece, na froncie rozpoczął ich sam pan Kiereński, w nasze okolice też przyjechał z wiecem. Był to wiec zwołany przez ministra wojny a więc wolno było brać udział wszystkim żołdatom wolnem od służby. Z naszego parku wybrałem się konno, gdyż było to jakie osiem wiorst, wojska się zebrało dosyć dużo, ja byłem reprezentowany jako z liczby delegatów 31 dywizji a więc dopuszczony bliżej pana ministra który jako delegatom uścisnął też ręce, pierwszy to wypadek że minister wojny ścisnął rękę żołdatowi. Boć przecie każdy wiedział że nawet prosty oficer nie podał ręki żołdatowi, żołdat był to jakby wyjęty spod prawa, nie wolno mu było zająć do restauracji czy bufetu gdzie uczęszczali oficera, w teatrze czy też cyrku nie wolno było zajmować miejsc siedzących a tu raptem taka różnica, minister podaje ręce prostym szeregowym, niejako uznaje tego szeregowca w tem szarym mundurze za człowieka. I byłoby to bardzo wszystko dobre gdyby było mniej gadaniny a więcej czynu. Ale pan minister widocznie lubiał gadać i gadał po całym froncie, za jego przykładem gadali inni no i zaczę-

ły się wiece i karty, kto nie był na wiecu ten napewno był przy oczku, czysta manja opanowała armije że grali w rowach, grali na warcie, grali po kwaterach, grali w pochodzie, grali na ulicy na dworcach i placach, grali na dryndulkach izwoszczykach. Wolność i swobode głosił pan minister. Nic też dziwnego że ludzie na pozycji którzy tułali się po rowach w pochodach naprzód i wtył już trzy lata, mogło tych ludzi uratować tylko ruch i czyn a tembardziej nie wyzyskał tego nastroju żołnierzy wódz naczelny i nie wydał rozkazu iść naprzód za wszelką cenę, teraz było już za późno, zaczęła się agitacja przeciwko wojnie, my Polacy widzimy do czego dochodzi, coraz bardziej zaczęliśmy myśleć o sobie. Ale i tu był przeoczony moment, brak nam było dobrego organizatora który byłby uchwycił moment i postarał się o wydanie rozkazu do organizacji. Był wprawdzie już komitet centralny, ale tam też było więcej wiecowania jak czynu, w komitecie było tam więcej gadaniny i sporów pod czyje rozkazy oddać te armije polską której jeszcze nie było. I jak odbudować te Polskę, która całkowicie jeszcze była zajęta przez najżlejszego wroga szwaba. Skórka jeszcze była na lisie który był trudny do złowienia a ludzie już się kłócili o to jak te skórki wyprawić i co z niej zrobić. Zdołu od prostych szeregowców szły prośby o prędkie rozkaz formowania polskich formacyj które ukraińcy już mieli a u nas precz się ze sobą spierano. Takie były początki naszych pierwszych kroków gdy samorzutnie bez wydania rozkazu zgóry zebraliśmy delegatów Polaków z 31 dywizji i wysłaliśmy deklaracje uchwaloną w lesie w pobliżu okopów do pana ministra wojny, do centralnego komitetu Polaków w Rosji i do komitetu w Mińsku o przyspieszenie formowania polskich pułków. Oprócz tego nie czekając na rozkaz zaczęliśmy na własną rękę zapis ochotnych do polskich pułków. Ja także wszedłem do komitetu którym było poruczono zapisywać ochotników Polaków i tu się zaczęła praca, nieraz pod gradym kul namawianie na to aby taki polski żołnierz przeniósł się do polskich pułków. Z drugiej strony pracowali nasi towarzysze i namawiali żeby nie opuszczać szeregów bratniego nam narodu, że po upadku caratu Polak niema już urazy do tego Wańki czy Gryszki co go nahlają gnał całemi stadami na Sybir tylko zato że kochał swój kraj ojczysty, swą mowę rodzimą, swą pieśń śpiewaną po polsku. Przekładali ciemnemu żołnierzowi co za widoki rozwoju czekają Polskę w związku federacyjnym z rosyjską republiką. Nic też dziwnego że praca była trudna, nieraz groziło to pobiciem przez podmówione przez towarzyszków

jednostki a tu zgóry nie mogliśmy doczekać się rozkazu i gdzie kierować tych ludzi chętnych. A na froncie zaczął się już rozkład olbrzymiej armii rosyjskiej, wiece pana ministra zrobiły swoje, swoboda głoszona przez pana ministra była tłumaczona przez żołnierza jak jem było wygodni i na dany rozkaz iść naprzód odmawiali posłuszeństwa. Próżne były wysiłki formowania różnych formacji, to bataljonów śmierci to udarnych oddziałów, nawet na nasz front pokazał się oddział żeński przywitany z lekceważeniem i śmiechym. Całość już się rozłaziła, ten łańcuch pękł któryś jeszcze trzymał w ryzach te armije wielojęzyczną a była niem dyscyplina. Armja bez dyscypliny nic nie warta lepiej rzucić się na całą armije z jednym pułkiem w którym panuje sroga dyscyplina gdzie żołnierz nie myśli o tem czy ten rozkaz dobry czy zły a myśli że on go wykonać musi, niżeli mieć wielką armije dobrze sytuowaną a gdzie każdy żołnierz krytykuje wydany rozkaz na swój sposób. Przez to i na to że Kieryński zmarnował przeszło dwa miesiące na wiece, nagadał się bo nagadał ale przegadał czas do ofensywy, późni było już późno, całe pułki odmawiały posłuszeństwa. W takich warunkach dostaliśmy spieszny rozkaz aby iść w pomoc Rumunom którzy już ledwo dyszą i chcą zawrzeć osobny pokój z Niemcami i Austrią. Wsiadliśmy do pociągów na stacji w Stołpcach i przyjechaliśmy do Besarabji na stacyje niedaleko granicy Rumuńskiej a później spiesznym marszem na front który był opuszczony przez ich poprzednich obrońców, po zajęciu pozycji przez nasz korpus za Seretem my staliśmy z parkiem nad Seretem a nasza artylerja i piechota już na ziemi wschodniej Galicji, w tydzień po naszym przybyciu tu na front rumuński nasza jedna dywizja zrobiła sama od siebie napad i w ciągu jednej nocy posuwała swe pozycyje o trzy wiorsty, zabrała przeszło dziesięć armat, 21 maszynówek i przeszło 1000 jeńca niemiecko węgierskiego. A gdyby tak cały front ruszył, wojna ukończyłaby się o rok wcześniej. Po tem to czynnie staliśmy znów cicho i pchły nas żarły rumuńskie, tam mieliśmy komary a tu znów te ruchliwe stworzonka ale na to paskudztwo nie mieliśmy lekarstwa, cięła tak że podskakiwalim na posłaniach... No ale w każdym razie życie mieliśmy lepsze jak za cara batiuszki i nie tacy byliśmy obdarci. Tu znów my Polacy wzięliśmy się za swe przerwana pracę i znów prowadziliśmy agitacje za wydzielinim nas do polskich pułków ale tu już nie wiem czy już zaczęli rozumieć czy też czas nadchodził że nam przybyła pomoc w postaci kilku oficerów jak porucznik Sangusko, podporucznik Dąbrowski, kapitan

Batory, dwóch pułkowników i dwóch generałów, jeden z nich dowódca korpusu Michalis. Wiara zaczęła się hurmem zapisywać, więc towarzysze widzą że tu muszą się liczyć z psychiką polskiego żołnierza, zaczęli i oni tworzyć swe oddziały. Nie wiem dlaczego komitet centralny zaczął formować oddziały czysto polskie w mniej do tego nadającej się miejscowości, to jest na północy gdzie i klimat był gorszy przy nadchodzących zimowych miesiącach i kraj biedniejszy a temsamem trudniejszy o wyżywienie armji aniżeli na południu Rosji i tu na mój chłopski rozum warunki były daleko lepsze i ludność przychylniejsza dla Polaków aniżeli na północy. Czy dlatego że to było bliżej Piotrogradu gdzie komitet miał swą siedzibę czy też inne przyczyny, dosyć że miejscowości do rozlokowania były dosyć niefortonnie wybrane w środku Rosji gdzie w razie czego nie było żadnego oparcia czy to o morze skrzydłem czy o jakie sąsiednie państwo chociaż tak jak Rumunja. No bądź co bądź jednakowoż dostalim rozkaz że chętni mogą się przenosić i tworzyć polskie pułki, ja nie mogłem jechać zaraz ponieważ byłem zatrzymany na froncie aby prowadzić dalej zapis i wysłać już zapisanych do Mińska. Przez to byłem na froncie gdy głosowałem do uczredzicielnowo sobrania i tu głosując na partyje pytali mi się Polacy żołnierze na które partyje mają oddać swój głos, odpowiadałem każdemu że na partyje bolszewicką. Gdy już jedziemy oddać swój głos, ten mój przyjaciel pyta się, Jan Antonowicz dlaczego wy nietylko kunistów ale socjalistów nie lubicie a swym rodakom każecie oddać głos na bolszewików kunistów. Ja mu mówię, Wasylj Siemionowicz ja widzę że bolszewiki doprowadzą Rosyje do ruiny, przez to w interesie każdego Polaka leży to aby pomóc runąć silnej Rosji to jest nadzieja że powstanie nasza droga ojczyzna bo przy silnej Rosji możemy tylko marzyć o odzyskaniu całkowitej niepodległości. Ale to są tylko moje chłopskie rozumowania, polecenia znikąd nie miałem. Wkrótce po przewrocie bolszewickim i ja z przeszło 20-stoma kolegami udałem się w podróż do polski formacji. Przez Rumunje gdzie nam kolej nie pasowała jechaliśmy dwoma ciężarówkami samochodami a w Besarabji wsiedliśmy na pociąg i przez Kijew ruszyliśmy do Witebska gdzie zostaliśmy przeznaczeni. Dojeżdżając do Mogilewa, gdzie była stawka głównego wodza który był niem obecnie Duchonin, jednocześnie z nami tylko od strony północnej przybył pociąg z marynarzami i krasnoarmiejcami którzy przywieźli z sobą nowego głównego wodza wszystkich sił Rosji praporszczyka Krylenke. Chłopaczyna nie-

pokażna, wygląd czysto semicki, rostu małego, no i byliśmy naoczniemi świadkami przyjmowania władzy przez nowego wodza, pociąg i cały sztab głównego wodza stał na szynach gdzie znajdowali się i oficera sprzymierzonych armij, marynarze i krasnoarmiejcy i prawdziwi bandyci obkroczyli wagon w którym znajdował się generał Duchonin i zaczęli się domagać aby opuścił wagon. Marynarze i ta banda jakoś nie śmieli tak szturmować tego wagonu, może się liczyli trochę z tem że tam było w niem około dziesięciu oficerów obcych państw. Dosyć że na energiczne żądanie marynarzy wyszedł główny wódz i pyta się z platformy stojąc we dwiach, bratcy czewo wy od mienia chocicie, to były ostatnie słowa które wyrzekł, jakiś drab wlaż przez dach z drugiego wagonu, żółtego zarostu dosyć wysoki tak że był wyższy o pół głowy od generała, stanął styłu za nim i mrugnął na marynarzy, a nowy wódz Krylenko stał w pobliżu. Marynarze coś cztery bagnety nadstawili, ten żółty drab pchnął generała tak że krew chlusła i obryzgała marynarzy i nowego wodza ale i na mnie przysło kilka kropel, późni pożgali go jeszcze kilka razy i wzięli ciało które już nie dawało znaku życia do wagonu bydlęcego. Gdy zajrzałem do tego wagonu za pół godziny, był już obdarty do koszuli, może i koszule byliby zdarli ale była zboczona krwią. Całą noc uganiali się bolszewiki za oficerami głównego sztabu i tak mordowali jak baranów, było przykro patrzeć na takie mordowanie. Ale to było najdziwniejsze że ci oficera tak potracili głowy że chociaż byli przy broni nie stawiali żadnego oporu, ja nędzny chłop jestem ale tak bez oporu nie dałbym się zamordować. Musieliśmy stać tam całą noc zaczęliśmy ruszyć w dalszą drogę, około godziny dziesiątej ruszyliśmy dalej i przyjechalim do Witebska wieczorem, zaczęliśmy odszukiwać gdzie była rozmieszczona nasza formacja do której byliśmy przeznaczeni była godzina dwunasta w nocy, jak moglim tak się ulokowaliśmy w barakach poza miastem nad rzeką Dźwiną i przeznaczonych na kwatery dla dywizjonu ciężkiej artylerji. Po przybyciu do polskiej formacji zaczęło się nowe życie, ja który będąc w Ameryce marzyliem nieraz abym mogli dożyć tego szczęścia i zobaczyć polskiego żołnierza w polskim mundurze doczekałem się że sam byłem członkiem tej pierwszej tworzącej się armji polskiej i chociaż nie mieliśmy jeszcze munduru wojsk polskich ale mieliśmy już maciejówki z malinowemi obkładkami a najgłówniejsze że mogliśmy bezkarnie przypiąć orzełka orla białego którego przedtem anim nie znał jak wygląda. Tutaj też nie obyło się bez wieców, wiecowali

całami nocami, mój ty Boże kochany, co za głupota była u tych ludzi że ta Polska jeszcze była w rękach wroga a tu już kłócili się w najlepsze jak ma ta Polska wyglądać, jaka ma być duża, na kim ma się oprzeć. Mój chłopski rozum nie mógł pojąć taki głupoty, takiego zacierzwienia partyjnego. Gotowi wyrzec się niepodległej Polski jak widzieć w niej rządy w rękach innej partji aniżeli ta którą on reprezytuje, taki głupoty nie spotykałem w mem życiu i nie spożydziwałem się spotkać taki głupoty tembardziej że te ludzie byli mniejwięcej ludzie uczeni, niektórzy kończyli wyższe szkoły, wielu miało mature i nic nie pomagało, głupota była niczem nieusprawiedliwiona. I ci ludzie mieli bezczelność śpiewać, o cześć wam książęta magnaci, ale sami szli temi śladami i psuli robote na każdym kroku, dom jeszcze był tylko w projekcie, dopiero pierwsze cegielki zaczęło się gromadzić na ten dom, jeszcze niewiadomo jaki ten dom po zburzeniu może być duży. A ci głupcy spierali się jak ten dom ma być umeblowany, mój chłopski rozum nie mógł pojąć taki głupoty. Jaką szkodę niepowetowaną poniesła nasza kochana ojczyzna przez upór i partyjnictwo, to nie da się w przybliżeniu ocenić. Ale ja wiem dobrze bo byłem wyznaczony do chodzenia na poczte dwa razy dziennie, to czytałem depesze które były wysyłane przez byłych kolegów naszych oficerów aby przyjeżdżać i zabierać armaty konie amunicyje bo żołdaci się rozjechali i nawet niema kto tych koni oprzątnąć, a ci się spierali i tamowali tworzenie polskiej armji, o zaciekłość ludzka! Razu pewnego było to przed świętami Bożego Narodzenia będąc na takim wiecu gdzie toczyła się zajadła polemika pomiędzy ludźmi jak doktorzy, oficera kilka pań i cywilnych panów, było też i dwóch jenerałów i nasz dowódzca baterei pułkownik Malewicz. Walczyli zajedle chcąc przekonać czerwonych towarzyszy o niesłusznem ich wystąpieniu i bronienu tak zawzięcie tworzenia osobnej armji polskiej. Ale to nic nie pomagało, taki uśliniony towarzysz raczej by się całował z usmarkanym Ickiem czy Mośkiem lub nawet czarnuchem czy Chińczykiem aby nie podać chwilowo ręki do zgody do budowy tego gmachu Polski a nam najpotrzebniejsza była silna armja bo wojna nie była koniec i jeszcze nie wiadomo było kiedy ten koniec nastąpi. Ale jak to mówią na upartego lekarstwa niema tak i tych towarzyszy nie mogli przekonać, ja chociaż nigdy nie zabierałem głosu w takim towarzystwie gdzie było pare tysięcy słuchaczy a ci słuchacze byli na tyle roznamientnieni mową tych towarzyszy że za każdym słowym słyszeć się dało, burżuj burżuazny, kapitał, ustrój

kapitalistyczny i tem podobne wykrzykniki że nie mogłem wytrzymać i poprosiłem o głos. Każdy mie po mowie i wyrażeniu się poznał żem prostak ale zato moim kolegom chłopom trafiłem do serca że wmg potępili mowy towarzyszy, nie dali przyjąć do słowa i zaczęli gromadnie zapisywać się do polskich formacyj, do godziny piątej rano zapisało się około sto chłopu. A mnie towarzysze grozili knypem, ich pułk zmalał o sto chłopu, wściekli byli na mnie za te wystąpienie na sali. Ale ja ich się nie bałem bo zawsze myślałem że i tak swego przeznaczenia nie uniknę. Tu też była spora gromada jeńców wojennych którzy już chodzili wolno, byli to Polacy z armij niemieckiej i austriackiej. Boże Narodzenie obchodzili podług nowego stylu a my podług starego jaki obowiązywał katolików na terenie Rosji. Otóż na wieczrze wigilijną byliśmy wydelegowani nas trzech jako reprezentanci naszej formacji i żebym poprosili ich do siebie na wieczrze gdy my będziemy obchodzić podług starego stylu. Będąc tam u naszych rodaków z pod zaborów pruskiego i austriackiego przy uczcie wigilijnej która była urządzona w baraku w którym się znajdowało około 200 osób i tu się dowiedziałem że ci rodacy mieli zamiar wstąpić do tworzących się formacyj polskich i mogliby nam oddać niejedne przysługi. Ale spowodu niezgody panujących zaniechali tego i będą czekać aż po skończony wojnie. I nietylko tu w Witebsku ale i nigdzie nie zauważyłem żeby wstępowali, a szkoda bo jednakowoż z formacji przybyła dosyć ładna armja, gdzie Polska zmuszona będzie do zwrotu kosztów za obmudorowanie i uzbrojenie, my tu mogliśmy to zdobyć darmo, bo było porzucone i zabrali to Niemcy, jeszcze raz powtarzam że Polska ojczyzna moja poniesła olbrzymie straty przez upór towarzyszy, nie wchodze w to czy mieli racyje czy nie, ale tych strat nikt Polsce nie wróci co my moglim przynieść Polsce i co nam się słusznie należało za to zniszczenie naszej drogiej ojczyzny przez cofających się moskali a i nasze grosze też były które moskale zabrali z Polski cofając się. Tego nigdy jako Polak nie moge zapomnieć towarzyszom. Każda partja ma swe wady i błędy ale żeby przez swój partyjny upór narazić kraj na niepowetowane straty to chyba żadna inna partja niezdolna do czegoś podobnego. Wkrótce po świętach Bożego Narodzenia które odbyły się bardzo uroczyście, pierwszy to raz w mem życiu brałem udział w tak urozystej wieczery jako gość jeńców wojennych a drugi raz już w naszej formacji gdzie się nas zebrało do tysiąca chłopu i po obdzieleniu się tradecyjnem opłatkiem i spożyciu darów Bożych które spólnie z nami spożywali

i oficerowie naszej formacji, po skończonej wieczerzy gdy zaśpiewaliśmy, Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi, i prawie z tysiąca gardzieli wydobył się potężny głos naszych polskich kolend, może po raz pierwszy tu nad Dźwiną w tych barakach, ja nie mogłem ani śpiewać z tego wrażenia jakiego doznałem czego ja też doczekałem w mem życiu. Gdy ksiądz przyjechał aby odprawić o godzinie dwunastej w nocy pasterkę, klęcząc nie mogłem słów dobrać na modły aby podziękować Bogu za te cuda jakie się działy na świecie, kto by się spożydział, ktoby mi mówił że ja tego doczekam. Przypomniały mi się i te słowa gdy wyrzekłem te słowa przed odjazdem spod kancelarii gminnej na wojnę, nie wróce prędzej aż ojczyzna będzie wolna albo zginie, mój ty Boże w żłóbku, co sie też dzieje z nami najbliższymi, wszak jest to już czwarta pasterka zdala od swoich i to najgorsze że nie mam żadny wiadomości od nich. W pierwszą niedzielę po świętach towarzysze robili się już na tyle bezczelne że poprostu przyszli do naszy stołowni i tu urządzili sobie wiec, na tem wiecu ja nie był bo mi się sprzykrzyły te puste gadanie: burżuj burżuazyjny, kapitał kapitalistyczny, że nie chciało mi się iść, wolałem sobie przepisywać swój pamiętnik atramentem gdyż w polu pisałem tylko ołówkiem. Wtem przychodzą koledzy po mnie i wołają mnie na wiec, nie mam ochoty iść i nie poszłem ale przychodzą drugi raz że dowódzca baterci przysłał abym przyszedł. No na taki argument żołnierz nie ma wykrętów, rozkaz trzeba iść. Zachodze, koledzy rozstępują mi się i pchają naprzód aż na podwyższenie gdzie sie odbywała msza św. pasterka i różne przedstawienia urządzone przez żołnierzy a obecnie na trybunie wiecową. Gdym stanął na tej trybunie, pan pułkownik spocony zmarnowany mówi do żołnierzy i stara się ich przekonać ale nie ma posłuchy tylko dlatego bo to burżuj. Za stołem przewodniczącego wiecu siedzi towarzysz Sokołowski, sekretarzuje towarzysz Grodzicki. Słucham mowy swego dowódcy i myślę co ja tu powiem tem kolegom, ja prostack, zresztą nie byłem od początku wiecu przez to nie wiem o co się rozchodzi. Po skończonej mowie pułkownika Malewicza zabrał głos jakieś indowidom ułomne który chociaż głos miał piskliwy ale i miał spory garb na plecach i to mi posłużyło że ten garbus uczy mych pareset kolegów gdyż stołownia była nabita po brzegi, co najmniej słuchało przeszło 700 chłopów. A towarzysze już na tyła byli pewni siebie że już i czerwony sztandar rozwineli na trybunie wiecowy. Poprosiłem o głos przewodniczącego, sekretarz zapisał mnie do głosu i słucham wywodów garbuska jakto towarzysze uszczę-

śliwią nietylko moich kolegów ale i całą Polskę, tylko nie mówi jak on te Polskę zdobędzie która jest jeszcze w rękach wroga co sam dobrowolnie nie wyrzecz się zdobyczy którą ma już w garści. Po skończonym mowie garbatego towarzysza kolejny mówca miał być jeden z młodszych oficerów ale że ten zrzekł się głosu na moją korzyść. Więc ja chociaż nie wiedziałem jeszcze co mówić ale pragnulem zapytać się mego przedmówcy w jaki to sposób on chce uszczęśliwić te naszą ojczyznę kiedy nie chce formować armji, jest przeciwnikiem militaryzmu a nasza ojczyzna przecie jest w szponach drapieżnego krzyżaka który ma w herbie orła czarnego, wkońcu nie mając co mówić zwróciłem się z zapytaniem do swych kolegów słuchaczy kto to powołał na przewodniczącego wiecu sekretarza i ławników cywilów czy pomiędzy nami niema ani jednego człowieka którenby mógł objąć przewodniczącego czy władać piórem a już najbardziej poniżające jest dla żołnierza to że my męczyli się w rowach, wszelakie robastwo wysysało naszą krew, jak szwabys prusaki wszy pchły pluskwy komary muchy i wiele innego robastwa, krew wam koledzy ciekła z nóg przy marszach i odmarszach a taki ułomny garbus będzie was koledzy uczył który leżał cały czas na piecu i się wygrzewał, jak wy macie kochać te swą drogą a tak nieszczęśliwą ojczyznę. Jeszcze nie skończyłem mego przemówienia gdy wmię koledzy uprawili się z towarzyszami bo ich poprosto oknem wyrzucili prosto do Dźwiny, na szczęście Dźwina była zamarzła i towarzysze bez nakryć głowy zrywali co mieli sił pozostawiając na pamiątkę swój czerwony sztandar który koledzy porwali w drobne szmaty. Albo znów nie mogli tak nic zrobić podmówili władze bolszewickie aby nam pozwoliły na przejazd do Bobrójka abym byli więcej w gromadzie co niektórzy towarzysze o tem wiedzieli że nasze dowództwo robi w tem względzie staranie. Więc na tej podstawie chcieli towarzysze nas wykurzyć z tych koszar, bolszewicy którzy już władze mieli w swych rękach nadesłali nam telegraficzne zezwolenie którą to depesze ja przyniosłem i ja czytałem. Otóż na drugi dzień wywieźlim wszystko na dworzec, dostalim wagony i się poładowalim do wagonów. Ale że nasz dowódca dywizjonu niedowierzał bolszewikom i nie pozostawił tak koszar bez opieki, pozostało na wszelki wypadek 40 żołnierzy z czterema maszynówkami. Otóż tak poładowani czekamy do nocy na odjazd, władze kolejowe tłumaczą się że lekomotywa coś w nieporządku, to że pary jeszcze niema, tak że około godziny dziewiąty w wieczór gdy już układalim się na spoczynek jak kto mógł gdy wtem alarm

wyskakujemy z wagonów, oficera krzyczą aby połowa ludzi biegła na pomoc bo towarzysze chcą nam zabrać koszary, rzeczywiście słyszymy strzylaninę maszynówek i ręczny broni, słysząc i detonacje ręcznych granatów, biegniemy co kto ma siłę prosto po łodzie przez Dźwine a drudzy wyladują spiesźnie chociaż dwie armaty na pomoc nam, ale my się sami wnet uprawili, towarzysze podali tył i sromotnie uciekali do miasta a my nie śpiąc całą noc czuwalim a rano wyladowalim się i wróciłem napowrót na swe dawne miejsce i gdy mróz sfolguje mamy udać się pieszym marszem. Tak towarzysze niestety nasi rodacy przyczynili się do zdobywania niepodległości naszej ojczyzny. To są spostrzeżenia moje z jednego miasta, czy się to działo w całej Rosji nie wiem ale myślę że nielepiej ponieważ dwa pułki które się formowały w Białgorodzie przeciągli na swoją stronę i co ci ludzie myśleli zrobić do czego dążyli jak oni to zamierzali wyswobodzić ojczyznę z rąk krzyżactwa, pozostanie to dla mnie tajemnicą ale tych strat których Polska poniosła nikt nie jest w stanie powetować, żadne pociągnięcia towarzyszy, szkodniki i tyła. Około 20 stycznia 1918 roku dowiedziałem się że Niemcy po zawarciu rozejmu z bolszewikami Polaków tak wygnańców jak i żołnierzy puszczają do kraju. Gdybym się o tem dowiedział nie mogłem znaleźć spokoju, myśląc ciągle nietylko o swych najbliższych ale co też tam się dzieje w tej naszej skołatanej ojczyźnie. Tembardziej że na tutejszym gruncie widziałem że nic się nie da zrobić spowodu tego że towarzysze tak się zapędzili w swej partyjnej robocie że ja nie mogłem zrozumieć tego żeby Polak jakiegokolwiek byłby przekonania miał wyżej cenić swoje osobiste interesy albo partyjne czy religijne ponad wyzwolenie z kajdan niewoli swej drogiej ojczyzny. Toć nastał dla nas taki czas że gdy ten czas zmitrzym, trzeba czekać znów może setkę lat za taką sposobnością. Nietylko ja ale wielu mych kolegów gotowi byliśmy oddać wszystko co mamy, swe młodość swe zdrowie swą krew i życie nie raz ale trzy cztery razy oddawać to życie aby Polskę wyzwolić z tego poniżenia i upodlenia. Przez to człowiekowi było markotno i dosadno na ludzi upartych zacofanych, przecie takie sprawy można byłoby załatwić już w swym domu. Płakałem z bezsilności, boć przecież byli to nasi bracia Polacy i tak szkodzili tej Polsce swej skołatanej ojczyźnie. Doprawdy nie mogłem patrzeć na taki rozkład i niezgodę, byli ludzie którzy wyczerpali wszystkie swe siły walczyli tracili swe zdrowie i majątek aby poprzeć sprawę kochanej ojczyzny, nie byli słuchani, jeżeli bym miał możliwość to bodaj bym

mordował jak bydło chociaż to byli moi bracia i każdy żołnierz tak nam był potrzebny do zrucenia tych pęt. Mój Boże miłosierny, co my prześli w tem Witebsku mąk moralnych to bodaj więcej jak całą wojnę prześlim mąk fizycznych. Najbardziej nas to bolało że nasi że bracia Polacy gdy spotkali w mieście samotnego albo we dwóch oficerów Polaków, to tem oficerom zrywali orzelki które mieli przy czapkach, ten brat Polak zrywał tego orła białego, rzucał na bruk na dalszą poniewierkę i żeby chociaż ich sprawa była dobra nie dziwiłbym się. Ale oni chcieli narzucić swe przekonania drugim, jedyn chciał by setka tak robiła jak on robi. Ja rozumiałem prawdziwą wolność to te aby móc się podporządkować większości narodu, a nie jednostkom. Wyjeżdżaliśmy i na folwarki aby bronić polskiego mienia, zabieraliśmy co się tam pozostawało na korzyść wojska, jak miała ta banda poniszczyć to chociażby spotrzebowali nicby to nie było złego, ale zniszczyć zdeptać spalić zgnoić to był ich program zniszczyć wszystko, dopiero od nowa budować. Najlepszy program oto taki, ja nie mam nic, zniszczym i tobie, obaj nic nie będziemy mieli, dopiero będziemy się dorabiać od nowa, co za spaniała myśl czy nie warta tego żeby nie tylko o tem tak dużo pisać ale wyręć głęboko w kamieniu aby to było widoczne po wieczne czasy — taka mądrość naszych reformatorów. Dla takich ludzi jabym obmyślał jaki kraj i tam ich wysyłał chociaż na księżyc żeby szkoda drugim nie robili przez swe głupie recepty. Przez to po długim namyśle zebrało się nas kilku ze starszych roczników i podaliśmy prośbę o zwolnienie nas ze służby wojskowej. W dniu 29 stycz. 1918 roku zostałem zwolniony, zebraliśmy się piętnastu, udaliśmy się na południe Rosji gdzie się dowiedzieliśmy że tam tylko można się przedostać do Polski. Udaliliśmy się do Kijowa, tam się zatrzymaliśmy trzy dni aby się lepiej dowiedzieć o przejeździe do Polski, gdy już mieliśmy pewność, ruszyliśmy przez Berdyczew, Żytomierz, w Równym znów zatrzymaliśmy się dwa dni, jeszcze się namyślając co robić jechać nie jechać. W Równym ciągle strzelanina, tu też uwijają się różne naganiacze gdzie werbują to do hetmana Skoropackiego, to do Petlury i jeszcze innych. Werbują Polacy do korpusu Dowbór Muśnickiego z którego my się zwolnilim, werbują i towarzysze, ale naco poco te dwie armije wrogie sobie, werbują Czesi, werbują bolszewicy, Denikieńcy, Kornilowcy, Bóg wie jeszcze jacy czysta wieża babel z temi armjami. Widzimy że tu niema co w tem kotle rewolucji robić, siadamy do pociągu i na dachy gdzie kto może i jadziemy w stronę Kowla gdzie Niemcy

w tem to miejscu przepuszczają. Na rano dowleklim się do pozycji gdzie tylko Niemcy byli, rosyjskich bohaterów już nie było, rozlażło się to wszystko gdzieś. Wysiedlim z pociągu w polu, reszta drogi szliśmy piechotą do mostu przez rzekę zdaje się Horeń, na moście spotkało nas kilku Niemców, nas było pare setek. Zatelefonovali, przyszło więcej niemieckich żołnierzy i poprowadzili nas w stronę swych baraków które tu mieli zbudowane. Widziemy że tu już się zebrało pare tysięcy Polaków chociaż codziennie pociągi wiozom włąb kraju. W tych to łagrach byliśmy cztery dni. Niemcy nie dali nam próżnować, pędzili nas do roboty gdzie układaliśmy pełną kolejkę do lasu już za rzekę. Ja miałem sporo piniedzy, między temi były stare już trochę poprzedziane banknoty gdzie tu ich nie chcieli przyjmować. Wieczorem po pracy robią się gromadki do oczka i ja zasiadł aby przegrać te podarte banknoty których miałem na dziesięć rubli, grałem pięć godzin dopóki Niemcy nie rozegnali spać, po obliczeniu piniedzy miałem wygranych przeszło sto rubli ale tych porwanych nabrało mi się jeszcze więcej około trzydziestu rubli. Po czterech dniach posadzili nas do wagonów i ruszyliśmy w drogę, w każdym wagonie był jeden żołnierz niemiecki jako konwój i to było niezłe chłopaczysko dziewiętnastoletnie z Lipska. Zapewniał nas że nas zaraz puszcza tylko przejdziemy czternastodniowy kwarantant i mówi nie próbujcie uciec, bo jak byście uciekli to zabierają was razem z rodzinami. My też wierzyliśmy jego gadaniom bo i ludzie których spotykaliśmy to samo mówili. Na mniejszych dworcach staliśmy dosyć długo a na większych bardzo krótko a przez Warszawę wieczorem to przejechalim wcale się nie zatrzymując. W Skierniewicach staliśmy resztę nocy, aż do dnia chodziłem po mieście ale w nocy nic się dowiedzieć nie mogłem bo ludzie spali, mógłbym być fugnąć ale wierzyłem ludziom że czternaście dni przecie niedługo przeleci, jak żem ruszyli ze Skierniewic nie zatrzymaliśmy się aż w Kaliszu, tu staliśmy jakie dwie godziny i ruszyliśmy dalej do Skalmierzyc. Tutaj mieliśmy odbyć kwarantant, był to wielki łagier jeńców, tu się znajdowało przeszło dziesięć tysięcy jeńców samych Polaków nie licząc moskali, tu też na drugi dzień po przyjeździe wystrzygli nam włosy wygolili do czysta zabrali do łaźni wymyliśmy się, nasze rzeczy były oddane dezynfekcji buty kożuchy. Potem przez kilka dni robili nam rozmaite zastrzyki szczepionki tak że wierzyliśmy że naprawdę wkrótce pojedziem do domu, ja na tyła był pewien że nawet nie napisał do żony zawiadomić ją że chociaż żyje i gdzie się znajduje. Ale tu nam się dał

we znaki głód, co my tu wycierpielim to niemiara, ja chociaż miałem sporo grosza gdyż grając w karty chciałem przegrać te zniszczone banknoty, a coraz więcej wygrywałem, tak że za te dwa tygodnie wygrałem przeszło 500 rubli, zegarek, dwa pierścionki spodnie pare butów pare trzewików. Razu pewnego gdy już mi zbrzydło to granie bo graczem nie byłem, aby tak że chciałem te zniszczone banknoty przegrać, tak usiadłem do tego oczka, wtem karta mi służyła wygrywałem, a gracze widząc że mam forse wciągali mnie do gry. Ale moje usposobienie nie mogło się pogodzić z taką grą hazardową i myślałem w jaki sposób się wycofać bo sumienie mi wyrzucało że obdzieram kolegów a samemu byłoby przegrać też niewesoła pociecha pozostać się bez grosza, jednej nocy gram tak już kawał w nocy było już po północy grało nas sześciu, pewin żydek przegrał w ten noc wszystkie piniodze co miał, ja grałem tylko tak aby zepchnąć. Ten żydek widzi że ja sporo wygrałem, prosi mnie żeby mu pożyczyć sto rubli, ja się ośmiałem z takiej propozycji boć przecie kiedy on mógłby mi oddać. Ale po namyśle mówie mógłbym ci pożyczyć pod jednym warunkiem, wszyscy się pytają jaki ten warunek, ja mówie mój warunek jest taki że ja więcej w karty grać nie będę. Bo tak odejść wygrywając pieniądze to mi się zdawało że ja prosto z kieszeni jem powyciągałem. A że grałem śpiąco bo o gre nie dbałem, gracze woleli żydka niżeli mnie. Za taką cenę wycofałem się z gry w karty oddając mu te wszystkie podniszczone banknoty i poszłem spać, rano gdy wstałem żydek przychodzi i oddaje mi całą setkę nowe banknoty po 25 rubli, a te podniszczone ostawiając sobie bo mówi są to szczęśliwe bo nietylko że do rana odegrał swe pieniądze ale jeszcze 50 rubli miał wygrane, od tej pory tak mu się szczęściło. Naturalnie więcej do kart nie usiadłem, wolałem się zająć innymi sprawami. Coraz bardziej dukał nam głód, bochenek chleba dwukilowy śrutok wypieczony nie wiem z jaki mąki gdyż się mocno kruszył przy krajaniu, dostawaliśmy taki bochenek na siedem chłopów na cały dzień a że ten chleb był bardzo ciężki przez to był to bardzo mały kawałek a kto wie czy tam było dwa kilogramy, mnie się widział to mały bocheneczek. Taki bochenek gdy dostało siedmiu chłopów to tak skreputalnie dzielili że i takie specjalne wagi robiłem dla ważenia chleba, na śniadanie dostawaliśmy gotowaną wodę zasypaną jakimś pruszem od siana, na obiad gotowana woda i w te wode na kociel dwieście litrowy było wrzucone koszyk kartofli i zasypane otrębami, na kolacje dostawaliśmy znów w rodzaju czarny kawy ale z czego

kawa była gotowana to ja nie wiedziałem, kupić nie było można nigdzie chociaż miałem piniodze. Jeden żołnierz poznańczyk dostarczał chleba, za śrutok chleba półtora kiloway brał do 10 rubli ale przecie nie mógł też dużo dostarczyć. Ludziska prosto błagali o chleb żęby przynosił, głód prosto kiszki nam skręcał, do tego nie było sie czem zająć, zatrudnienia żadnego. Przeszło czternaście dni, przeszło dwadzieścia, a my nic nie wiemy o swym losie. Razu pewnego zjawił się polski ksiądz, odprawił msze święte, tak pilnie uważalim może coś przemówi pocieszy ale nic, po skończonem nabożeństwie odszedł nie wyrzekł ani słowa. Już się dowiedzielim że zawarty został pokój pomiędzy bolszewicką Rosją a Niemcami i Austro-węgrami, ale i to nam nie przyniosło żadny zmiany, niepewność nas zabijała, skródzalim sobie godziny śpiewając codziennie Godzinki do M. B. Gorzkie żale i inne pieśni jakie mieliśmy w swych małych książeczkach. Ale i tu nam sprzeciwiali się towarzysze chociaż było ich niewielu, na czterdziestu chłopu którzy się mieścili w jednym baraku zaledwie pięciu było towarzyszy którzy to chcieli żęby się jem podporządkowali reszcie trzydziestupięciu. Wieczorym opowiadalim sobie różne przygody czy to z wojny z rewulucji czy też z drugiej bolszewickiej rewulucji i niektórym kolegom podobał się program bolszewicki a najbardziej że wszyscy ludzie będą porównani w swoich prawach i majątkowo zrównani, wtedy zaczynała się dosyć ożywiona dyskusja na różne tematy i co mi najbardziej weszło do głowy to to, że tak były pojęcia rozbite pomiędzy ludźmi że można śmiało powiedzieć że ludzie tak mało byli wyrobieni politycznie że gdyby tak trzeba byłoby głosować to pomiędzy nas czterdziestu ludzi utworzyłoby się do jakie pięciu partyj a najliczniejsza partja to byłaby z tych obojętnych, takich ludzi było najwięcej że każdymu mówcy który wygłaszał swe zapamiętowania na sprawy publiczne tacy przyklaskiwali. Takimi rozmowami skródzaliśmy sobie te długie godziny naszej niewoli. Bo w dzień to jakoś prędzej zeszło ale w nocy leżeć tak możnaby zrobić coś niemądrego bo spać było zimno. Dziwna rzecz że ludzie nazywają taki a taki kożuch ciepły a bodaj najcieplejszy kożuch świński, w początkach wojny gdym byli odżywiani należycie nie raz spaliśmy w zime pod gołym niebym i to tylko szynel był za posłanie, szynel za poduszkę i szynelem sie przykrywalim i to prześpalim noc a tutaj przecie w baraku gdzie się mieści czterdziestu ludzi mamy przecie sienniki i po garści słomy, mamy derki, chociaż za wate jest papier ale ja mam szynel dosyć dobry i kożuszek cie-

ply i to zimno i zimno więc przez to długo rozmawiamy do północy prawie co noc, jak się zaśnie to już się prześpi do rana. W początku marca wybrali nas przeszło setkę różnych rzemieśników i mamy jechać gdzieś na roboty a temczasym odłączyli nas w osobne baraki i tu znów się trzeba zaznajomiał z nowymi kolegami, o tem żeby nas zwolnili cicho, do żony nie pisałem jeszcze aż będę wiedział coś napewno.

W niewoli niemieckiej

15-go marca 1918 roku Skalmierzyce. Wyjeżdżamy dziś w drugie łagry do miasta Sagan na dolnym Śląsku. A z tych łagrów mają nas wysyłać na roboty.

16 marca Sagan łagier dla jeńców. Przybyliśmy dziś w nocy o godzinie pierwszej w nocy, ze Skalmierzyc wyjechaliśmy o trzeciej po południu. Kolacji nam nie dali. wagony pozamykali że i wody nie było można dostać i dziś śniadania nam nie dali a obiad wydali nam o godzinie drugiej. Mieli nam wcale nie dać bo mieliśmy przygodę z butami z kożuszkami czapki palta zaczęli nam te rzeczy odbierać jako wojenną zdobycz. A byli przecie pomiędzy nami tacy którzy wcale nie służyli przy wojsku byli i tacy co byli pouwolniani od służby wojennej rok i więcej z powodu choroby albo kalectwa i nic nie mieli wojskowego tylko rzeczy cywilne. Więc dobrowolnie postanowili nie oddawać swych rzeczy. Jeden fiedfiebiel zaczął się szykować do odbioru naszych rzeczy, a drugi fiedfiebiel Polak zaczął się z nim sprzeczać że bez rozkazu komendanta niema prawa nas obdzierać. Więc szwab polecił do komendanta przynieść rozkaz komendanta aby swe rzeczy oddać. Zaczął wywolywać, nikt nie chce dobrowolnie oddawać więc znów polecił do komendanta. My temczasym się zmówili żeby nie dawać dobrowolnie, szwaby i tak nam te rzeczy odbiorą ale niech wiedzą że Polak chociaż bezbronny dobrowolnie nie odda swej własności. Ja był trzeci na liście zapisany, przeto mówię do swych kolegów jeżeli wy nie czujecie się na siłach to się nie odzywajcie wcale aż dojdzie do mnie, ja się odezwę niech na mnie pierszym się to odbędzie ta operacja. Tak się też stało, z fiedfieblim przychodzi pomocnik komendanta lejtnant i mówi do nas dlaczego nie chcemy oddać tych rzeczy których nagrabiliście w Rosji. My odpowiadamy że my jesteśmy zwolnieni żołnierze i nic skarbowego nie posiadamy ponieważ przy zwolnieniu nas ze służby wojskowy co było skarbowe-

go to oddaliśmy, na to mamy dokumenty. Ale nasze tłumaczenie nic nie pomaga. P. lejtnant nam mówi że jak dobrowolnie nie oddamy to będzie zdejmować siłą i przykazał żeby fiedfiebiel wywoływał z listy. Fiedfiebiel wywołuje drugi i trzeci raz nikt się nie odzywa. Wywołuje następnego Wójcik, to samo nikt się nie odzywa. Następnie krzyczy, odzywam się ale się nie ruszam stoje na swym miejscu. Tłumacz mówi do mnie że mam oddać czapke, kożuch i buty. Ja odpowiadam że karakułowy czapki w rosyjskiej armji nie dawali tylko kupilem za którą zapłaciłem 15 rub., kożuch kupilem w Rumunji za który zapłaciłem 40 rubli, takich butów jakie ja mam na nogach w żadny armji nie wydają tylko kupilem gdy się zwolnił ze służby wojskowej. Więc tego nie oddam dobrowolnie bo to jest moja własność mogliście wtedy ze mnie brać gdy miałem na sobie obmundorowanie wojskowe i karabin z 200 nabojami w garści. Gdy tłumacz to p. lejtnantowi przetłumaczył, ten doskoczył do mnie i zaczął ściągać, ja się bronie jak moge, nie może sam nic zrobić więc woła na konwoj żeby mnie zabrali do składu, dwóch konwojnych przyskoczyli złapali jak zbrodniarza i powlekli do pomieszczenia. Moich 105-ciu kolegów patrzy na te scene, niejednemu łzy idą z ocz, niejeden zgrzyta zębami. A ja krzyczę, widziacie koledzy jaki wam rosyjscy towarzysze pokój zgotowali. Gdy ja tak krzyczy lejtnant sturcha mnie po karku ale konwojni trafili się ludzie wyjątkowo jak na Niemców że nie kwapili się zbyt do mnie, jednakowoż dowlekli mnie w pomieszczenie gdzie było jakieś biuro gdzie było około dziesięciu żołnierzy jako biuraliści. Tu p. lejtnant doskoczył i zdarł mi z głowy czapke, później wziął się do kożuszka. Ja się bronie co mam siłę, konwojni trzymają mnie za ręce p. lejtnant zaczyna mi odpinać kożuszek ja rękami nie mogę się bronić, bo dwóch ludzi mnie trzyma za ręce, więc gdy p. lejtnant odpina mi kożuszek, ja go cap zębami za paluch i ukąsiłem go do krwi, on mnie za to uderzył w twarz. Na to zerwał się jeden z pisarzy, nie wiem czy był Polak czy też serce miał nie szwabskie. Dosyć że zaprotestował że jest wyraźny rozkaz jeńców nie bić i mówi że on pójdzie do komendanta i zaczął przypasywać szable. Wtem lejtnant zaczął sprzeczke z owym fiedfieblim, konwojni też mnie puścili ja skorzystałem z tego i zwałem w gromade. P. lejtnant wychodzi za chwile i mówi do nas że nas wszystkich aresztuje i nie da nam tak długo jeść aż sami oddamy rzeczy zrabowane. I rzeczywiście zapędził nas do osobnego baraku, obstawił wartą dookoła żeby nie dopuścić nikogo do nas. My myśleli że

i drugą pogroźkę zastosuje co do jedzenia, niektórzy koledzy wyrzucają mi mój upór i mówią że nas teraz głodem pomorzą i tak już nie w ustach nie miałim przeszło 24 godziny. No ale tej pogroźki nie wykonał boć o godzinie drugiej po południu wydali nam chleb i jakąś zupkę. Następnie wydali nam koce, zamiast waty był papier w środku i materac ale bez słomy.

17 marca. Dziś p. lejtnant postawił na swoim, rzeczy nam zabrał. Ale urządził się inaczej tak że nas już nie prowadzili nigdzie tylko przybył z dziesięciu żołnierzami pozamykał nas w baraku i dopiero sam wchodzi z dwiema żołnierzami do baraku i którego złapie wywłóczą na korytarz i tu zdzierają nam wszystko aż do bielizny i wyganiają na plac. Kiedy i ja dostałem się pod te rekwizyty, lejtnant mnie poznał i pokazuje mi swój palec który ja mu wczoraj ukąsiłem, uderzył mnie i mówi masz polska świnio. Gdy wyszedłem na plac tu większa połowa mych kolegów już obdartych boso bez czapek, wielu z nich tylko w bieliźnie którzy mieli lepsze ubranie to im zabrali, u niektórych porozbijane nosy u niektórych krew sączy się z głowy bo Niemcy tak lekko kładli na posadzkę z cegieł że rozbijali głowy. Tej scenie przypatrywali się dość liczni jeńcy wojenni jak Anglicy Francuzi Włosi i wyrażali nam swe ubolewanie co my musimy cierpieć od tych kulturalnych szwabów. Aby tylko jedni Rosjanie cieszyli się z naszego nieszczęścia, krzycząc do nas, dobrze tak panom polaczkom, oni ograbili naszą matuszkę Rosję a Niemcy ich grabią. Bodaj żeście popękały podłe idyjoci za waszą potwarz chociaż sami ograbiliście całą Polskę, Galicyję i Prusy Wschodnie, gdzie ich noga nie stąpała tam był znak że tu była sławna rosyjska armja, za waszem przejściem z dworów i miasteczek pozostały gruzy. Za dwie godziny przynieśli nam swe ubrania, czapki takie mycki aresztanckie, spodnie z czerwonymi lampasami, kurtki z naszywką czerwoną na rękawie lewym, dopiero się zaczęlim przystrajać na ludzi podług niemieckiej cywilizacji, zamiast butów czy trzewików dostaliśmy trepy całe dłubane z drzewa.

18 marca, dziś nas tylko ponumerowali.

19 marca, połowa z naszy partji poszła na robote do lasu graczować las z wrzосу, zarobiłem 30 fenigów. Czem tylko ludzie tu nie targują, chodząc po różnych robotach do miasta na dworzec do fabryk na folwarki to przynoszą kartofli, marchwi, brukwi, buraków, żyta, jęczmienia, obierzyn od kartofli, mąki na pól z piachem której nazmiata w wagonie. W łagrach za wszystko zapłacą

piniedze i to dobrze bo głód zmusza ludzi do tego. To też na robote lecą jeden przez drugiego, nie zaśpi bo i czas prędzej upływa a i nadzieja że coś zdobędzie do zjedzenia. Aby do lasu niewiele jest amatorów chociaż i tam lepiej jest iść jak siedzieć w łagrze bo nietylko że czas prędzej schodzi ale tam robią także Anglicy i Francuzi którzy dostają dużo żywności ze swoich krajów to prawie tego paskuctwa nie jedzą to nam oddają, z głodu wsuwamy ale tej jałowizny można zjeść beczke i będziesz głodny. Bo cóż to za jedzenie czysta woda osolona w tem rozbełtane troche marchwi, brukwi czy buraków, wyjątkowo kiedyś niekiedyś z kartoflan i lub otrębami. Ja że się moge rozmówić z Anglikami to mi sprzedali 18 biszkietów za 12 marek ale to trzeba się podzielić z kolegami. Dziś napisałem trzy listy do żony i siostry i wuja którzy są w Poznańskim to może listy dojdą, żeby już wyjechać gdzie na roboty albo co, może by lepiej żywili bo z ledwością nogi powłócze za sobą tak się czuje osłabiony.

21 marca. Dziś nas wypuścili spod aresztu, prześliśmy w ogólne baraki pomiędzy Rosjan, na robote chodze co drugi dzień. Prosiłem pisarza Polaka żeby mie zapisał na roboty w pierwszą kolejke ale on prosi o łapówkę i pewno mu trzeba dać bo mi obrzydło w tych łagrach. Dziś żołnierz zastrzelił jeńca Rosjanina, pono zbudził go do pracy a on nie chciał wstać że chory, ten strzelił w głowę i zabił na miejscu, byłem też z pogrzebem gdzie nad wieczorem pochowaliśmy go. Co tu leży tych jeńców, ten cmentarz dla jeńców jest obok cmentarza tego miasta i to za te pare lat jest dwa razy więcej mogił na tem cmentarzu dla jeńców jak na tym co chowają ludzi od wieków.

26 marca w wagonie. Około godziny piątej wyruszyliśmy z Saganu, jedzie nas partja 50 ludzi do roboty na fabryke do miasta Kolna czyli Kolonji.

27 marca. W wagonie. Około godziny drugiej w nocy dostaliśmy kawy i po kawaleczku chleba z wątrobianką, to nam nie dali nic jeść aż o godzinie szóstej wieczór nam wydali po misusi zupy. Zupa prawie dobra ale tak mało że trzyletnie dziecko by się nie najadło. A tu kupić nic nie można bo jesteśmy pozamykani w wagonie, nawet wody nie mogliśmy dostać. Na jednym dworcu chłopak wrzucił nam do wagonu oknem pare bydlęcych buraków, my się podzieliłim i zjedlim ale to znów tak niedobrze po tych burakach tak odbija się taka stęchlizna.

28 marca Kolonja nad Renem. Dziś mieliśmy wyjątkowy

dzień bo dostaliśmy jeść aż cztery razy. Około godziny szóstej rano na dworcu dostaliśmy zupę z kaszy jęczmiennej. Około godziny czwartej znów zupę z kaszy ryżowej i kawałek mięsa, od dwóch miesięcy nie widziałem mięsa. Około godziny ósmej znów mieliśmy kolację na miejscu. To chociaż raz na dwa miesiące ide spać niegłodny.

29 marca. Odpoczywamy, do roboty nie idziemy bo dwudziestu z nas ma odjechać do drugiej fabryki ale kto nie wiemy. Tu jest 79 Rosjan, 35 Anglików, 165 Włochów i nas teraz pozostanie 30-tu, pracować chodzą do warsztatów kolejowych które są naprzeciwko. Wikt trochę lepszy jak w łagrach chociaż chleba nie więcej i chleb gorszy ale że dają trzy razy dziennie zupę i chociaż tak samo jałowizna niema nigdy ani kawałka mięsa ani żadnych tłuszczów ale nie taka woda jak w łagrach. Pomieszczenie mamy w browarze i ten to piwowar nas wiktuje. Sala jaka kiedyś była przy knajpie browaru mamy jako stołową ale tak ciasno że niema gdzie usieść. Każdy ma wydaną miseczkę i z tą miseczką idziemy pod komendą na kuchnię gdzie nam kucharz nalewa półlitrowym czerpakiem jego dział. W tej to stołowej mamy wszystkie swe rzeczy to jest całe bogactwo jeńca, pare bielizny i różne patalaszkі jakie tam kto ma. Mają kufereczki niektórzy, a reszta układamy swe bogactwa na półkach, dla każdego jest przegrodzona. Gdy idziemy spać, liczą nas i kolejno zachodzą Rosjanie, Anglicy, Włosi do piwnicy. Tu się rozdzielamy do bielizny i idziemy spać na górę. Rosjanie i my z nimi śpimy na piętrze, Włosi na drugim a Anglicy na trzecim, na parterze mieści się warta i umywalnie. Każdy jeniec bierze z sobą ręcznik i te trepy które grzmą po żelaznych schodach. Rano wstajemy o godzinie piątej idziemy się umyć, dopiero idziemy do piwnicy się ubrać i do szeregu gdzie stoimy tak długo aż nas policzą i wydadzą numerki na zupę. Spowodu że to dziś wielki piątek jeńcy pracowali tylko do południa.

30 marca. Dziś pierwszy raz byłem na robocie, zostałem przydzielony jako ślusarz maszynowy przy naprawach parowozów, robota strasznie brudna. Dwudziestu z naszej partji odjechali na drugą fabrykę a my trzydziestu tu się pozostaliśmy i tu jesteśmy traktowani przez Rosjan jako grabiciele ich matuszki Rusi. Nie wiem jakie warunki się z nimi ułożą bo jesteśmy złączeni razem z Rosjanami, Anglicy ich nie lubią a Włosi codziennie walki prowadzą ze swymi byłymi sprzymierzeńcami.

31 marca. Pierwsza wielkanoc w niewoli. Mieliśmy taką samą

zupe jak wczoraj tylko na kolacyje wydali nam po kawałeczku końskiej kielbasy. Tej zupy chociaż wydają trzy czerpaki dziennie ale tej jałowizny mało. Jabym zjadł i pięć takich porcyj odrazu. Ja z kolegą Wójcikiem kupiliśmy dwie marchwie za które chłopakowi w fabryce zapłaciłem marke i ugotowałem sobie domieszając do obiadu żeby chociaż trochę więcej. Byliśmy też w kościele naturalnie nie polskim. Wszystkiem nam oczy błyszczały od łez. Każdy się przeniósł myślą do swych kościołków chociaż ubogich ale tak drogich nam, otoczonych staremi lipami lub akacją albo grabiną czy świerkami. Każdy z nas był uczestnikiem procesji wielkanocnej ale tylko myślą. Boć sami staliśmy w niemieckim kościele chociaż też katolickim a przy nim stał żołdak niemiecki z karabinem.

18 kwietnia. Nie pisałem tak dawno bo nie było czasu a też nie było nic ciekawego. Pracuje jako ślusarz mechanik narówni z cywilnemi, zarabiam aż 80 fenigów dziennie za dziesięć godzin pracy ale wypłacają tylko taką walutą specjalnie dla jeńców gdzie przyjmują tylko w tem naszym sklepiku czyli kantynie. Gdzie dwa razy na tydzień sprzedają powidła po marce i 20 fenigów funt czyli pół kilograma i dwa razy na tydzień sprzedają końską kielbasę cztery marki za pół kilograma. Ale bo to można się dostać co kupić, na 300 ludzi kantyna otwarta na godzinę, najdłużej na półtora godziny, zaledwie jedna trzecia się dociśnie i to w ten sposób że jak tylko przychodzimy z pracy to zaraz trzeba się ustawić w kolejke trzeba już zrezygnować z kolacji. My z Wójcikiem mamy zamiar uciec do Holandji która to granica nie dalej jak sto kilometrów w prostej linji. Czekamy tylko aż się trochę ociepli i zboża podrośną żeby było się gdzie ukryć. Tylko żywności musimy sobie użogować chociaż nie dojemy a musimy odkładać pajki.

25 kwietnia. Już nam się sprzykrzyło to ciągłe liczenie. Rano wstajemy licząc nas, na śniadanie licząc, wychodzimy na robote licząc, przychodzimy na fabrykę licząc, na południe z fabryki na obiad licząc, przed wydaniem obiadu licząc, po obiedzie licząc, zachodzimy po obiedzie do fabryki licząc, schodzimy z pracy licząc, przychodzimy na nasze podwórze licząc, na kolację licząc, spać idziemy licząc, poukładamy się na spoczynek i to chodzi i liczy. Wczoraj uciekło dwóch Polaków to nas trzymali przeszło godzinę zaczęło się wyjaśniać kogo niema. A przyszliśmy na obiad ich już zbili tak że do utraty przytomności i posadzili do ciemny dziury na cały tydzień i wczoraj i dzisiaj jeść nic nie dadzą. A jutro mają dać tylko obiad, przez sie-

dem tygodni muszą darmo robić. Po rozdaniu zupy gdy się coś pozostanie dolewają dobowek; żydkowie że oni to przeważnie są za tłumaczy dostają dwie porcje i kto się mocno tłoczy to dostanie ale kolbą od karabinu bo pozostanie z pięć litrów zupy a tłoczy się jakie 50-ciu. Aż żal tego narodu że tak z głodu nim poniewierają, za te łyżke zupy z kiszonej brukwi dostanie kolbą tak w piersi że powali się na ziemię, nic to nie pomaga precz się tłoczą. Z głodu człowiek traci wszelki wstyd i ambicje że tak się da poniewierać. Mój ty Boże i tu Polak sierota. Anglicy Włosi Rosjanie dostają paczki czy to od rodziny czy też z komitetów a Polacy znikąd nawet ci z Polaków którzy tu są od początku zabrani w Wschodnich Prusach mówią że tylko rzadko dostaną paczkę od swych rodzin, ale tak to nic znikąd, tylko Polacy z Poznańskiego chociaż o tyle pamiętają że gazety i książki polskie od czasu do czasu nadsyłają. Razu pewnego proszę Anglika żeby mi sprzedał te swe pajke chleba którą dostaje, pyta mi się dlaczego Polacy nie dostajecie paczek, przecie wasz kraj jest całkiem pod Niemcym i Niemcy utworzyli tam coś w rodzaju rządu toć przecie powinien tam ktoś czuwać nad wami, i mówi toć widzisz takie Serby gdzie ich kraj prawie cały zniszczony i oni dostają paczki. Nie umiałem mu odpowiedzieć tylko odeszłem zasmucony bo rzeczywiście w każdą Sobotę wydawali dużo paczek nadesłanych tak przez rodziny jak i od różnych komitetów. Ja jestem w niewoli już trzy miesiące i nie dostałem nic chociażby starą gazetę polską czy książkę starą do poczytania, czyby tam taka była bieda i wyniszczenie czy też nikt się nie zatroszczy o tego sierotę Polaka który niema swego rządu, nie liczą się wcale z Polską i może nawet nie przyjmują paczek dla Polaków. Oj co za błąd zrobiłim wszyscy że nie stworzylił chociażby trzysta tysięczny armji, wtedyby się bardziej liczyli bo by sobie rozumowali tak że i nasi mogą wpaść w ręce Polaków. Jak trzeba szanować swą ojczyznę bo gdy człowiek straci niepodległość swej ojczyzny niema się kto nim zaopiekować i jest poniewierany nawet przez małe kraje. Gdy Anglicy lub Włosi dostają paczki, Niemcy widocznie nie kwapią się tych paczek doręczać podług adresów, chleb jaki w tych paczkach przychodzi jest napół zgniły. Więc nasi Polacy tak piñmują gdy ci poodrznają ten zgniły chleb aby go wyrzucić na śmiecie, to Polacy wtykają jem za to piniedze żeby te zgnilizne dostali. Ten chleb spleśniały zje, późni cierpi silne bóle w żołądku. Jeszcze co najgorsze że pracujemy w bardzo brudny robocie tak jak ja przy parowozach, to tak sie usmaruje gorzej od

kominiarza, a mydła niema. Człowiek brudny nie może się dobrze wymyć gliną i sodą. Gdy to zobaczy fiedfiebiel każe myć piaskiem i ci co myją piaskiem porobią takie ranki do krwi, w te to star-te miejsca do krwi nawchodzi brudu, zczasym zarośnie i człowiek do śmierci pozostanie takim pstrokatym, taką pamiątkę tej niewoli będzie mieć kilka tysięcy jeńców którzy w brudnych miejscach pracowali jak w kopalniach i fabryce.

8 maja. Dziś nam uciekł jeden Włoch, my mieliśmy uciekać 10 maja. Ponieważ on nas wyprzedził musimy poczekać bo pilnie uważają.

17 maja. Mieliśmy uciekać dzisiejszej nocy, zebrałem sześć pajek chleba z takim trudem i szczury mi pojadyły a bez chleba niema mowy żeby się puszczać w drogę jeszcze w nieznane okolice.

19 maja. Zielone świętki byłem w kościele, po przyjsciu z kościoła dostałem paczkę troche sucharów troche kielbasy cukru słoniny i sera, moja żona mi to pewno wysłała, będzie na drogę bo ucieczke tylko odłożyli no nie zaniedbałim.

20 maja. Dziś mieliśmy także święto, byłem w kościele, gdy wróciłem z kościoła koledzy mi oddali paczkę listów jakie dla mnie przysły, nie było to wiele pięć odkrytek ale dla mnie te pięć pocztówek za cztery lata stanowiło to całą paczkę. Z tej szczupłej korespondencji dowiedziałem się że mój kochany ojciec nie żyje, moja malutka córeczka także w grobie. Wiele nie dowiedziałem się bo chociaż to była szczupła korespondencja, jeszcze połowe zamazane tuszem ale czytałem jakie z pięćdziesiąt razy, dwie karty dostałem od żony jedne od siostry Antoniny od szwagra Janka i od brata ze Sannik. Koledzy mi zazdroszczą że ja dostałem paczkę i naraz pięć kart pocztowych a z nich nic jeszcze nie mają. Z paczki już mi się mało pozostało, trzeba było podzielić się z kolegami. Tylko zacho-wałem kawałek okrasy i troche sucharów na drogę, mamy wyruszyć 24 maja jeżeli nie zajdzie znów jaka przeszkoda. Obecnie bardzo nas niepokoją auroplany, tak że jak tylko się pokażą, zaraz jest sygnał alarmowy, rzucamy robote i chowamy się gdzie kto może i tak siedzimy godzinie i dwie i trzy dopóki znów nie usłyszymy sygnału że niebezpieczeństwo minęło. Dziwno mi bardzo że Niemcy bardzo się trwożliwie zachowują i bardzo to na nich wpływa denerwująco a zwłaszcza gdy auroplany przychodzą w nocy. Ale przyznać trzeba że Francuzi i Anglicy spełniają swe zadania znakomicie. Niemcy mówią pomiędzy sobą, co będzie z nami jeżeli 20 tysięcy Amerykańskich latawców zaczną swą pracę. Do tego czasu

musimy wierzyć że tak będzie bo wszystko się sprawdza co jonkiesi zapowiadali. Niemieccy robotnicy robią jakieś tajne zebrania do czego zrobili sale zebrzań pomiędzy kupą starego żelaza i tam obradują w każdą sobotę. Na te zebrania przychodzą konduktorzy i maszyniści, tylko nie mogłem podsłuchać o czym oni tam obradują bo pilnie strzegą żeby kto obcy nie podsłuchał albo w to grono wybranych nie dostał się nieproszony gość. Ja tylko widziałem na zebraniu jednego mechanika z którym ja pracuje w jedny brygadzie i go się pytam co oni tam radzili on się nie chciał przyznać. A gdy się przekonał że ja naprawdę go tam widziałem, to prosił żebym ja do nikogo nie mówił nawet do swych kolegów bo on by był wysłany na front.

25 maja. Znów nam się ucieczka nie udała, Wójcik nie chciał się zgodzić na mój plan. On niczem nie chce ryzykować tylko chce żebym całą odpowiedzialność i wszystkie koszta podróży ponosił ja. Ja chciałem żeby on mi przyrzekł zwrócić koszta jakie na niego przypadną czy nam się uda ucieczka czy nie. Wójcik nie chciał mi dać przyrzeczenia, ja też z nim nie chciałem mieć nic wspólnego. Tembardziej że groziło to rozbiciem naszego planu spowodu tego że koniecznie chciał zabrać ze sobą skórkowe ubranie które było trudne do przeniesienia do fabryki. Aby mie nie wydał, powiedziałem mu że ja ucieczki zaniechałem bo mam żonę i dzieci które czekają mego powrotu, że mnie nie wolno ryzykować życiem tylko dlatego że w niewoli cierpie głód, bo moje życie należy do mej rodziny. On mnie uwierzył że ja ucieczkę zaniechał, tembardziej że wysłałem żonie 50 marek. A ja tylko czekam aż się pogoda ustali to machne bo teraz przechodzą deszcze i zimna.

28 maja. Mam już wszystko przyszykowane do ucieczki jeżeli mi co nie przeszkodzi to jutro robie do 6-tej wieczora a po 6-tej chowam się w te kupe starego zielastwa gdzie niemieckie robotnicy odbywają swe wiece, doczekam się nocy i jazda z Bogiem.

U c i e c z k a d o H o l a n d j i

30 maja. W polu w życie. Dziś święto uroczystość Bożego ciała a ja leże w życie od godziny 5-tej rano i trzeba tak leżeć do ciemnej nocy, 18 godzin leżenia na wilgotnej ziemi na słońcu. Wczoraj o mało mój plan nie uległ zmianie, około godziny 10-tej nadleciały francuskie i angielskie auroplany, my po pierwszym sygnale się pochowalim gdzie kto mógł, siedzieliśmy tak do obiadu.

Dwóch Rosjan też się tak schronili do suterren i tam zasnęli i nie przyszli na obiad. Zaczul się ruch szukanie, ale na szczęście około godziny 1-szy przyszli. Ja wtedy zebrałem swe rzeczy które miałem do zabrania, swe pamiętniki cztery zeszyty pozostawiłem koledze z Warszawy Janowi Gąszczowi, ul. Kaliksta 8, oddałem kluczyk od kufereczka, pożegnałem się z nim tak tylko pobieżnie bo nie byłem pewny że ucieczka się uda. Boć nie miałem ani mapy ani kompasu, tylko puszczam się na los szczęścia. Wczoraj pracowałem do szóstej, późni poszłym się schowałem w kupie żelastwa, doleżałem tam do godziny 1-szy w nocy, zrzuciłem z siebie wierzchnie robocze łachmany, przelażłym przez murowane ogrodzenie wysokości trzy metry dosyć szczęśliwie, wyszłem przez cmentarz grzebalny w pole kierując się na północno zachód. Szedłem tak do godziny 5-tej rano gdyż miałem przy sobie zegarek. Początkowo miałem zamiar zatrzymać się w lesie ale zaniechałem tego bo nie był to las gęsty, wolałem udać się w pole i ległem w życie które było już okwitłe. Mój zegarek jest tak nastawiony podług niemieckich zegarów to jest godzinie naprzód a więc jest to dopiero godzina czwarta, więc przypuszczam że jestem oddalony od Kölna jakie 10 kilometrów. Leże tak już do 6-sty wieczór, do jedzenia mam sześć pajek chleba, trochę więcej jak pół funta słoniny, dwa pudełka sardenków, rozdzieliłem te zapasy na sześć równych części licząc na sześć dni podróży a właściwie nocy gdyż nie mam zamiaru iść w dzień tylko w nocy.

31 maja w polu w życie. Wczoraj doleżałem do 11-ty wieczora, dopiero ruszyłem w drogę, szedłem do 5-ty rano. Zeszargany w mokrym odzieniu. Na mnie tylko jest bielizna bluza spodnie całe moje ubranie, tylko te trepy niewygodne, bardzo nogi mi kaleczą więc ide przeważnie boso.

1 czerwca. W polu w życie. Wczoraj tak samo wyruszyłem około godziny 11-sty kierując się na północno zachód. Nad rany doszedłem do rzeki, nie moge się przeprawić chociaż dwa razy próbowałem nie mogłem się przedostać. Trzeba było szukać mostu albo brodu. Puściłem się ponad rzeką, robi się widno, nie mam się gdzie schronić w pobliżu, jestem w przykrem położeniu. Coraz to się robi widni, widze w pobliżu szose biegnie do szosy tam i most widze. Wioska w pobliżu, ludzie zaczynają się ruszać, słońce już wylazi. Szybko przebiegam most, skręcam z szosy na lewo bo przede mną znów wioska, dalej widać miasto. Niema się gdzie schronić, widze mały skrawek żyta, biegnie w te strone i chowam swe nędzne

osobe w tem życie. Cały dzień dzieci bawią się wkoło mnie ponieważ jest to w pobliżu wioski. Każdy szmer każda rozmowa słyszana mi jest bardzo dobrze, w obawie żebym nie był wykryty nie mogę ani się poruszyć ani odkalsznąć, ani zasnąć z obawy aby chrapnięciem się nie zdradzić, w takim napięciu przeleżałem do ciemnej nocy.

2 czerwca. W polu w życie. W dzisiejszą noc miałem lichą podróż, natrafiłem na jakieś miasto, musiałem obchodzić, żal mi się było cofać wstecz a więc szedłem przez ogrody, musiałem się skradać poprzez ogrodzenia i płoty różnej wysokości, w jednym sadzie wpadłem do wody zmoczyłem się cały i widzę że tą drogą do rana się nie wydostane w pole postanowiłem zdać się na łaskę losu i iść szosą, przeszedłem tak jedne wieś później miasteczko, ide bosonogi kalecze po szosie ale co było robić w tych trepiskach jeszcze było gorzej więc ich porzuciłem jeszcze pozawczoraj. Szczęście moje było że w Niemczech psy już pozjadali, bo pies by mnie poczuł nie tylko w nocy jak wędrowałem ale i w dzień by mnie wywachał gdy leżałem w życie. Gdy się rozwidniało ległem w życie tak byłem umęczony tej nocy i zmoczony, ziemia też bardzo chłodna tak że cały trząśłem się z zimna jak w febrze a zęby mi tak pukały jak kulomiot. Dzisiejszy schówek nam także w pobliżu miasta z powodu tego że widocznie zaszłem bardzo na północ, noce były bezksiężycowe więc kierowałem się podług gwiazdy którą sobie wypatrzyłem na zachodzie a nie brałem tego na uwagę że i gwiazda ma swój ruch tak że mnie sprowadziła z właściwej drogi. Ja się spoździwałem że powinienem być w pobliżu granicy Holenderskiej to ja napowrót doszedłem do rzeki Renu i musiałem się cofać wstecz. A że nie wiedziałem w jaki okolicy jestem, więc wyszedłem na szosę i po szosie zbieram różne papiery jakie spotkałem mając nadzieję że najde coś co mnie naprowadzi w pobliżu jakiego ja miasta jestem. W pobliżu większych miast zawsze i zabudowania są gęściej tak że znów schówek miałem w małym kawałku żyta a spowodu że to dzień był niedzielny, ludziska ciągle przechodzili i rozmawiali. Tak że zrana nie mogłem zasnąć z zimna a później z niepewności że w każdej chwili mogę być wykryty. Z wielką niecierpliwością czekam wieczoru, aby sobie skródzić czas susze kartki mego rano zamoczonego dziennika.

3 czerwca. W polu w życie. Dzisiejsza noc przeszła mi bez przeszkód. Tylko lewa noga boli mnie bardzo w kolanie, nie wiem co się znaczy czy reumatyzm czy co że znaków żadnych niema a ból

straszny tak że nad ranym już nie یده a wloke się. Tylko mi to dodaje otuchy że niedaleko powinna być Holandja.

4 czerwca. W polu w życie. Dziś skończył się mój zapas żywności, a sam nie wim jak daleko jestem od Holandji. Nie moge się nikogo zapytać aby nie natrafić na takiego coby mie zaprowadził do policji bo każdy kto złapie zbiegłego jeńca dostaje 50 marek. Przez to licze tylko na los szczęścia ale nie wim co będzie jutro jeżeli nie dojde do granicy a żywności nie będzie. Dzisiejszą noc szłem prawie wyłącznie lasem tak że zbłądziłem droge tak że gdym wydo był się z lasu widze że ja یده w kierunku wschodniem a ja mam kierować się na zachód.

5 czerwca. W polu w życie. Dziś leże już bez kawałka chleba, taki już nad ranym byłem słaby taki zmęczony. Noga tak mi dokucza że tylko wysiłkiem woli wloke się, taki jestem osłabiony że zacząłem wybierać co lepszą trawę i jeść ale żołądek nie przyjmuje takiego pokarmu, zwraca napowrót.

6 czerwca w lesie nad granicą. Zeszłą noc wlokłem się całą noc, taki byłem osłabiony że już dalej ani na krok nie moge się wlec. Odpoczywam nad lasym, gdy się zaczęło rozwidniać widze wioske ponad lasym, dowlóklęm się do najbliższej chaty ale ludzie jeszcze spali więc schroniłem się do chlewka gdzie natrafił na kilka worków okryłem się i troche zasnułem. Gdy słońce weszło przyszedł staruszek do tego chlewka, ja go się pytam jak daleko do granicy, on mi tłumaczy że godzinę drogi, ja go nie rozumie godzinę koleją końmi czy pieszo, on mi dopiero tłumaczy że pięć kilometrów, ja mu na migi pokazuje czy nie ma co do jedzenia ale szwab kręci głową że nie ma. Ja też nie czekam tylko jak mi siły pozwalają wysuwam się z chlewka, do lasu było około 50 kroków. Gdym dostał się do lasu słońce już weszło, gdym uszedł jakie pół kilometra zmieniam kierunek na południe, po niejakiem czasie znów zmieniam kierunek na zachód bo się obawiałem że ten staruszek komu powie i żeby kto nie ścigał mie. Szłym tak podniecony jakie dwie godziny, na mój chód mogłem przejść około trzy kilometry gdy siły mie opuściły że ani kroku dalej, próbuje iść na kolanach i to nie moge, zmuszony byłem dowliec się na czterech do gąszczu z jażyn gdzie musiałem sobie nożym wyrobić droge w ten gąszcz i tam spoczułem zasnułem, nie wim jak długo spałem bo z tego osłabienia to nawet nie patrzyłem na zegarek. Ale gdym się przebudził była już za dziesięć minut dziesiąta godzina, a więc przypuszczalnie spałem około dwóch godzin. Gdym ruszył dalej w droge szedłym wolno,

zrobiłem sobie kij podpieram się i ide coraz dalej. Po godzinnym chodzie gdzie zrobiłem może kilometr weszliśmy w takie bagno że niema mowy żeby iść na nogach bo zaraz mi nogi toną a znów nie chce się cofać wstecz ani na prawo ni na lewo żeby nie stracić kierunku w lesie, więc postanowiłem się przeprawić przez te bagno, dlatego wyrznułem sobie dosyć długą tyczkę z takim hakim, następnie przymocowałem swe rzeczy które posiadałem, przeważnie papierowe jak zeszyt, zegarek, pieniądze które były w zaszyte w bluzie w kilku miejscach na plecach żeby nie rozmiękło i zacząłem się posuwać w ten sposób że zahaczałem hakiem tyczki za kępę i w ten sposób ciągnąłem się na brzuchu po tem bagnie od kępy do kępy. Od czasu do czasu odpoczywając na większej kępie, nie zważając że w takim bagnie mogą się znajdować różne gady i padalce bo okolica dzika tutaj, pewno mało ludzka noga wchodzi chyba jak zamarznie. Gdy się tak ciągne już przeszło dwie godziny, myślę czy się te bagno nie skończy czy co, napotkałem większe kępe i wyższe krzaki na tej kępie wskrabałem się na jeden taki krzak i badam okolice, widze przed sobą las sosnowy to mi dodało troche otuchy wypoczułem pół godziny i czołgam się dalej nareście doczołgałem się do rzeki, za rzeką las, tu się napiłem bo mi się pić strasznie chciało, wymyłem się z tego błota, przeprawiłem się przez rzekę i weszliśmy w las, natchnułem się na taki gąszcz jażyn i różnych krzaków że byłem zmuszony używać noża aby sobie droge torować, po przejściu tych dzikich splotów znów rzeka, usiadłem nad wodą i mocze swe zbolale nogi, widze moc ryb różnego gatunku a ja głodny gdyż dwa dni nic w ustach nie miałem oprócz wody. Ale nie mam ani drucika ani spileczki aby sobie sporządzić wędkę. Po odpoczynku przeprawiłem się przez rzekę dla czego musze się rozbierać do naga bo woda sięga mi do pasa a rzeka jest około osiem metrów szeroka. Znów ide gąszczem, takie zarośla jażyn, dzikiej róży i różnych krzaków leśno błotnistych że znów musze używać noża aby sobie torować droge, ręce i bosc nogi mam całkiem we krwi o te ciernie. Tak mie to wyczerpało że ani krok nie moge iść dalej, musiałem spocząć w tych zaroślach, słońce już się spuszcza z południa a ja nie wiem kiedy dojde do granicy te pięć kilometrów jak ten staruszek mie zapewniał. Znów zasnułem tem razym spałem tylko czterdzieści minut bo słońce dobrze dogrzewało, baki mie kasały przez to się zbudziłem. I toruje sobie droge dalej znów dochodze do rzeki troche węższej, tym razym nie chciało mi się rozbierać, rozglądam się co za los z temi rzekami

co ich tu tak dużo jest, myślę czy może ta rzeka tak płynie jak Berezyna i ja trzeci raz przeprawiam się przez jedne i te same rzeki, ale słońce świeci więc kierunku nie mogę stracić chyba że rzeka płynie takimi zakrętami. Tak idę nad rzeką i upatruję miejsca dla przeprawy, wtem widzę dąb rośnie ponad wodą pochyły że gałęzie sięgają przeciwległego brzegu, bluzy z pieniędzmi i zeszyt rzuciłem na drugą stronę a sam weszłem po dębnie, jak daleko mogłem spuściłem się rozbujałem się i bęc ale siły były słabe na me obliczenia, wprawdzie nie wpadłem w wodę ale w błoto, takim się unurzałem że i tak musiałem się rozbierać i sam się wymyć i me łaszki wypłókać z błota, rozłożyłem to na słońcu i czekam aż mi trochę przeschnie. Gdy mi trochę przeszło ubrałem się i w drogę, tym razem już miałem nie takie zarośla ale znów doszedłem do szosy, tu musiałem się czać żeby nie być widzianym przez kogo, przejechała jakaś furmanka o dwóch kołach, bo tu w tej stronie używają takich wozów jak w Turkiestanie arby tylko koła cokolwiek niższe i jeden na rowerze i cisza, tedy ja przeszłem za szosą jakie pół kilometra, weszłem w las młody który był wysoki na trzy metry ale że był spalony więc idąc tak znów bardzo się zasmoliłem gdyż był dosyć gęsty, gdym przeszedł ten las spalony natrafiłem na wyręb gdzie ludzie zabierali drzewo, musiałem kawał drogi nakładać a me siły tak już były wyczerpane że co się posune sto małych kroków muszę siadać i odpoczywać, głodny jestem a jeść mi się tak nie chce jak pić, na szczęście że w drogę wziąłem ze sobą kanke od kawy więc zawsze sobie w te kanke brałem wody jak leżałem w życie żebym miał zapas wody i tym razem sobie nabrałem czystej wody ze źródła i co chwila to popijam bo mam takie pragnienie a nogi już mi obie bolą w kolanach, do tego od tych pokłóc popuchły mi ale ten ból od pokłócia i podrapania jest to fraszka do tego co mi tak w kolanach tak bolą. Z takimi przystankami co kilkadziesiąt kroków nareście doszedłem na pagórek, las się kończy, rozglądam się i widzę okolice całkiem odmienną. Dzieci za byłem biegają z psami co idąc dotychczas nie zauważyłem tego, więc myślę sobie nareście mogę oglądać te ziemie obiecaną, usiadłem sobie i rozmyślam w jaki sposób się tu przedostać przez granice bo napewno tu żołdacy pilnują. Gdy tak się rozpatruje siedząc za krzakiem, przede mną w prawo o jakie dwieście metrów widzę za stołem siedzi czterech żołnierzy i to jakby coś jedli czy w karty grali. Wtedy to poznałem gdzie jest granica i że to prawdopodobnie posterunek warty. Przede mną widzę nieduży zagajnik może

trzy metry wysoki, obszaru może być sześć do siedem mórg ale nie sadzony w takie redliny prosto tylko tak rośnie jakgdyby był zasiany rzutowo. Przez to myślę sobie że to pewno jest już Holendra jakiego, tembardziej że przed tem zagajnikiem szła jakaś ścieżka czy drożyna, ja to wziął za granice i cofnąłem się troche wstecz w gęściejsze zarośla i tu piszę, mam ochotę czekać do nocy a w nocy się przekraść przez granice.

7 czerwca Roemond Holandja. Wczoraj gdym sobie zapisał w dzienniku, oglądam która godzina widze że dopiero po 7-my 17 minut, taką mam ochotę sobie zrobić te przyjemność i dziś za dnia dostać się do Holandji, znów się przybliżyłem badam okolice patrze w strone tych żołnierzy, siedzą jak siedzieli, na tej drożynie nima nic podejrzanego, myślę sobie udam się bardziej w lewo za pagórek, tam będę mógł się przedostać w ten gęsty zagajnik. Takim też zrobił już nie na nogach a na czterech rękach i nogach, miejscami i czołgać się musiałem gdzie było wyżej tak żem szczęśliwie dostał się w ten zagajnik w tem to zagajniku tak było drzewek gęsto do tego niewysokich że nie mogłem się posuwać naprzód inaczej jak na czterech, miejscami na brzuchu, dosyć że się przedarem przez ów zagajnik, widze jest ścieżka ponad zagajnikiem dalej rowik niezagłęboki i płot z drutu kolczastygo. Nie przypuszczałem że to tutaj dopiero granica, wytykam głowę i chce przechodzić ścieżkę, wtem słysze halt, cofnąłem się wstecz na czworakach, słysze dwa wystrzały jak moge tylko tak się cofam nazad, wtem natrafiłem na jame może meter głęboką i taką długą cokolwiek węższą, wciągnąłem się do tej jamy przykryłem się chrustem którego tu było w obfitości i tak leże nadsluchując. Widocznie szukali za mną bo słyszałem trzask gałęzi, ale długo nie słuchałem bo byłem mocno znużony i wnet zasnyłem. Gdym się obudził ciemna noc, świeci się jakgdyby kto palił papierosa, przysiadłem patrze i tu w dole się świeci, macam ręką nie parzy, biore na rękę świeci się, dopiero się przekonałem że to robaczki tak się świecą w ciemnościach, tych robaczków w tej jamie była moc więc nazbierałem nakładłem na zegarek, w ten sposób dowiedziałem się że jest za pare minut 12 a że my u ruska zawsze zmienialiśmy warty o 12-ty więc myślę sobie, trzeba zaczekać z pół godziny aż po zmianie, tak też zrobiłem. Późni wygramoliłem się z tej jamy, prawdopodobnie ktoś tu wykopał te jame, robił pułapkę na lisy albo na inne leśną zwierzynę, czołgam się ostrożnie w strone granicy, noc taka cichuteńka że słyszeć brzęczenie komara w oddali. Ale ja najpierw odgarne chróst aby nie

robić szmeru a później się posuwam, w ten sposób doczołgałem się do ścieżki, teraz już jestem ostrożniejszy, nasłuchuje czy wartownik nie kalsznie albo nie słyhać stąpań ale cicho tylko komar brzęczy mi nad uchem. Teraz upatruje gdzieby mi było dogodniej przejść przez płot z drutu kolczastygo, wtem na lewo widze że tam się coś czarni, posuwam się w tem kierunku widze że tam jest rów który idzie już z holenderski strony do tego granicznego rowu więc tem rowym się przesunulem pod drutem zagranice. Tem to rowym posuwałem się jeszcze bardzo ostrożnie na czterech jakie 50 kroków dalej, na nogach uszłem jakie do 200 kroków tem rowym do drożyny polnej. Tutaj ukląknę na kolana serdecznie szczerze dziękując Bogu, nie pamiętam żebym kiedy tak szczerze się modlił do Stwórcy jak w te cichą noc czerwcową że mi Bóg pozwolił się wyrwać z tej tyrańskiej szwabskiej niewoli. Gdym podziękował Bogu jak tylko żem umiał, powstałem i wlokę się nogą za nogą bo tak mi nogi bołą że bodaj jużbym nie mógł iść. Gdym tą drożyną doszedł do szosy, tutaj myślę w którą strone się udać w prawo czy w lewo żeby nie wpaść znów w paszcze szwabów, zaczynam pukać w palce jak mi też wypadnie wróżba, trafia mi wróżba aby udać się na lewo tak też zrobiłem. Szosą dowlokłem się do jakieś wioski, już mi siły opuściły tembardziej że mam silne pragnienie a nie mam nic wody. Postanowiłem odpocząć i doczekać się rana, w tem celu ide do pobliskiego domku i tu szukam miejsca gdziebym mógł się położyć, w szczycie tego domku była taka przybudówka nieduża coś w rodzaju szopy czy chlewka ale że to stało otworem więc tam się wsunulem, macam po omacku widze że to jest jakaś rupieciarnia, przytem natchnułem się na dużego psa jakich tu w Holandji używają do zaprzęgu ale psisko tylko zawarczał i legł spokojnie widocznie był spracowany i wiedział że go znów czeka praca jak dzień nastanie. Obok tego psa ułożyłem się na spoczynek na jakiegoś rodzaju łachmanach czy workach i tam zasnułem, przebudziłem się już się dzień robił, wyszłem na szosę i widze o jakie dwa kilometry większą wioskę czy miasteczko bo i kościół widze i jakąś fabrykę. Myślę sobie dowloke się tam, to tam prędzej co dostane kupić do zjedzenia. Tak ide szosą i odpruwam sobie z bluzy gdzie miałem zaszyte dziesięć marek. Wtem podnosze głowę widze dwóch żołnierzy siedzi w rowie przy szosie i patrzą na mnie, już struchlałem ponieważ uniform mieli taki sam szary jak i w niemieckiej armji więc przypuszczałem że znów zawrócił do Niemiec. Ale nie było rady trzeba coś począć, przybliżam się wolno i zdała

już się pytam czy to Holandja. Żołnierze powstali i odpowiadają mi Niderlandy gut gut i pokazują mi na migi czy nie mam broni, ja mówię naj naj, wtedy došli do mnie, obrewidowali mie, no i poszli razem ze mną w strone miasteczka. Gdym tam przyszli jeszcze ludzie spali, jeden z żołnierzy się pozostał a drugi poprowadził mie dalej, tu wszedł do jednego domu tam widocznie miał swą kwatere bo nalał na miske wody dał mi mydła i pokazuje mi żebym się wymył bo byłem strasznie umorusany idąc przez ten spalony zagajnik. Gdym się umył i zmówił krótki pacierz, dał mi widocznie swoje porcyje którą miał na śniadanie chleb ze serym jaki tu wyrobiają masami a u nas go nazywają szwajcarski. Ja zacząłem jeść te przysmaki ale nie wim czy dlatego że już trzy dni nic nie jadłem czy też za łapczywie łykałem dosyć żem się zatchnuł i ani rusz tylko czkawka silna i prosze na migi żołnierza czy nie ma co do picia, przyniósł mi kubek zimnej czarnej kawy i dopiero te przysmaki popijając kawą zjadłem, za chwile przychodzi ten drugi żołnierz i daje mi taką samą porcyje chleba ze serym. Gdym i te porcyje zjadł, zaprowadzili mie do innego mieszkania, tam było mieszkanie odwachu warty bo tam spało kilku żołnierzy, dali mi koce i kazali spocząć dając mi cygara. Gdym zapalił chciałem tem żołnierzom zapłacić za te ich porcyje ale nie chcieli przyjąć piniedzy które jem wtykałem. Ale ja już spać nie mogłem tylko usiadłem sobie na ławie i rozkoszowałem się dymem wonnego cygara. Tak siedząc, drzwi były niezamknięte, widze że jakaś kobicina patrzy na mnie, gdym skłonił się jej weszła do mieszkania które było po drugiej stronie korytarza i przynosi chleba ze serym i spory kubek gorącej kawy, oj rozkoszowałem się wonnym napojem gdyż już nie pamiętam kiedy piłem tak dobrą kawę. Tam siedziałem do 8-my rano. Po ósmy oficer mie zawołał do swego pokoju i zaczął się mi wypytywać ale ja nie mówiłem ani po holendersku ani po niemiecku a oficer znów nie mógł nic rozumieć co ja mówiłem, gdy się tak męcze żeby pare słów skleić po niemiecku coś mi się wymówiło po angielsku, oficer wtedy pyta się, ju spik engliz, ja mu mówię jes syr. Dopiero mi się obszernie wypytywał o stusunkach panujących w Niemczech, com mu opowiedział zapisał i późni kazał mi to podpisać. Następnie poczęstował mie cygarem i pyta mi się czy ja będę mógł przejść pięć kilometrów do miasta do garnizonu bo żołnierze mu mówili że ledwo mie doprowadzili taki byłem zmęczony, ja mu mówię, że czuje się daleko lepiej bo żem już niegłodny i wypoczułem jakie trzy godziny. Zawołał żołnierza i kazał mie

odprowadzić do miasta Roemond oddalonego o pięć kilometrów. Mój ty Boże, jaki tu lud jest dobry litościwy i gościnny chociaż nie katolicy, idąc drogą ludziska wnoszą mi chleb z masłem i serym, mleko i drugie przysmaki a że nie miałem gdzie chować jadłem to, co ja też zjadłem to aż mi wstyd było przed tem żołnierzem który mnie prowadził. Ale poza wsią gdzie jakiś robotnik idąc do pracy zaprosił mnie i żołnierza do karczmy i kazał dać nam po kilichu snapsa, karczmarz też dał po kilichu a że nie piłem gorzały przeszło pół roku, w głowie mi się zakręciło. Gdy wysłim z karczmy, żołnierz który miał mnie odprowadzić widzi że drugi żołnierz idzie w strone miasta, coś mówił do niego i ten się wrócił co siedł ze mną a ten drugi mnie zawołał ale całą drogę ludzie dawali mi różne przysmaki jakby mi chcieli wynagrodzić za ten cały czas głodu. Ten naród szlachetny na całe życie pozostanie mi w najlepszym spomnieniu i wdzięczności do końca mego życia, aby mi Bóg pozwolił doczekać się żebym mógł chociaż z jednemu Holendrowi wyświadczyć jaką przysługę. Gdy mnie żołnierz przyprowadził i oddał na tutejszem odwachu to znów jakaś pani przyniesła mi śniadanie kawy, chleba z masłem i serym, na godzinę czwartą znów przynieśli obiad żołnierzom, ci mi znów naleli aż dwie miski grochówki i nawybierali najlepszych kawałków miesa. Kazali mi odpoczywać a jeść. O 6-sty godzinie odprowadził mnie jeden kapral na jakieś podwórze gdzie w tem podwórzu stał dom dosyć obszerny. Tam mnie wziął jakiś dozorca, odprowadził mnie do obszerny izby i tu mnie zamknął do spania. A że jeszcze było dobrze widno więc zapisałem sobie to co mi się przydarzyło. Późni rozglądam się po tej izbie, tam jest około 20 sienników ułożonych na jednym miejscu i tyle koców, wziąłem sobie trzy, usłałem sobie posłanie, dwa koce sobie zrobiłem jako poduszke dwa do przykrycia i zacząłem się rozdziewać do spania gdy widze po ścianie różne napisy, przypatruje się bliżej a tam dookoła ściany spisane w różnych językach a najwięcej w rosyjskiem że on takiego to dnia oswobodził się od giermanskowo iga. Więc i ja też wypisałem na ścianie swe nazwisko i datę uwolnienia się od tyraństwa szwabów, niech ich galicyjski szlak trafi.

8 czerwca. Sitard. Kwarantanny łagier w Holandji. Wczoraj ułożyłem się na spoczynek jeszcze słońce świeciło mi w okno. Dośpałem bez przebudzenia się dziś do 8-mej rano. Gdym się ubrał, przychodzi po mnie ten sam kapral i znów mnie przyprowadził na odwach warty. Dał mi mydła i ręcznik, zaprowadził mnie gdzie były

umywalnie i kazał mi się wymyć, gdym się wymył patrze prowadzi jeszcze dwóch jeńców rosyjskich, bardzo się ucieszyłem bo chociaż będę miał z kim porozmawiać. Poczekalem aż się wymyli i poszlim już razym na odwach, tutaj znów ta pani co wczoraj przyniosła nam śniadanie. Po zjedzeniu śniadania poprowadzili nas do kancelarji, tu znów oficer wypytywał się gdzie służyłim, w jakim pułku, gdzie się dostalim do niewoli jak się nazywali oficera naszego pułku, jak długo byliśmy w niewoli, gdzie nas wzięto ale ten oficer nieźle mówił po rosyjsku. Po podpisaniu naszego zeznania odprowadzili nas na dworzec i o godzinie 10-ty ruszyliśmy w droge, o pół do 12-ty przyjechalim do tutejszego łagru, gdzie się nas zebrało w tem dniu dwunastu takich uciekinierów. Tutaj w kancelarji nam poodbierał wszystko co miałim z metalu jak noże, brzytwy, zegarki, pieniądze, doktor nas zbadał, fryzjer wystrzygł i wygolił, wymylił się w łaźni, dali nam czystą bieliznę i dopiero się ubralim, mnie znów dali na nogi te chodaki całe z drzewa i zaprowadzili nas do baraku gdzie każdy miał czysto usłane łóżko, przy łóżku był stolik na którym była miska do mycia, miseczka do jedzenia, kubek do kawy, łyżka, ręcznik, mydło i zaraz nam wydali obiad niedużo ale smacznie przyrządzony. Tutaj mamy przebyć czternastodniowy kwarantan a później mają nas odesłać do Roterdamu gdzie jest komitet który się opiekuje temi wszystkiemi co uciekną z niewoli na terytorja Holandji.

13 czerwca. Sitard kwarantenny łagier. W tem łagrze jest cztery oddziały. W taki oddział zbierają cztery dni tak że w pierwszym oddziale zaczem przeprowadzą kwaraten to się nazbiera i w ostatnich trzech tak że kolejno odsyłają do Roterdamu. W naszym oddziale zebrało się 36 ludzi w przeciągu czterech dni, dwóch Belgów dwóch Francuzów jeden Rumien jeden ruski Niemiec, jeden Łotysz czterech Polaków dwóch Litwinów i reszta Rosjanie. W niedziele był u nas ksiądz holenderski, odprawił msze święte. Namawiał nas do spowiedzi ale ksiądz nic nas nie rozumiał a my księdza, więc my Polacy nie życzylim sobie taki spowiedzi ponieważ słyszeliśmy że w Roterdamie gdzie mamy się udać jest ksiądz Polak więc niema taki pilności iść do taki spowiedzi jakby niemowy. Belgowie Francuzi i Litwini się spowiadali. Porządek dnia jest taki w tem łagrze: wstajemy o godzinie 8-mej, umyjemy się, ubierzemy siebie i swe łóżka, kto się pomodli ranne pacierze odmawia klęcząc ale kilku jest że się wcale nie modlą ani rano ani wieczór. O godzinie 8-mej minut 30 dostajemy sześćdziesiąt gramów chleba

i dwa kubki kawy. Na obiad miseczke kartofli z sałatą zieloną, z kapustą lub też z grochem albo z marchwią. O czwartej godzinie dostajemy znów tak samo jak na śniadanie, o 7-mej wieczór miseczke zupy jak kartoflany, grochowy z kaszy ryżowej lub też jęczminnej. Jest to dla dorosłego człowieka niewystarczające ale że się jedzenie dostaje cztery razy dziennie chociaż mało ale nic nie robimy, więc tak się o tem żyje a głównie to że jest nadzwyczaj czysto podawane. Przykupić też niema gdzie ponieważ chleb jest na kartki, można kupić kto ma piniedze ale tylko piernik który jest dosyć drogi a do jedzenia to ślinka.

24 czerwca. Rotterdam. Św. Jan, dziś my przybyli prosto z dworca. Zaprowadzili nas na biuro policji czy też wywiadu morskiego gdzie znów zaczęli badania. Było przede mną dwoich tak że z nimi poszło dosyć prędko, gdy ja wszedłem widze siedzi dwóch pisarzy jeden wojskowy czyli marynarz a drugi cywilny, a oficer angielski marynarz, jak mie zaczęli badać ja był prawie jak naczecz boć przecie 60 gramów chleba i dwa kubki kawy wypilem o godzinie 7-my rano a teraz już było po pierwszy. Więc gdy mi sie tak wypytują co dzieje się w Rosji za bolszewików, jakie są zapatrywania Polaków Czechów Ukraińców tak że mi się ciemno w oczach zrobiło i zwałem się na podłoge. Gdy mi dali się napić troche rumu i oficer mi się pyta co się ze mną stało, ja mówie bom tak wyniszczał czteromiesięczną niewolą a do tego głodny jestem. Zaraz posłał jednego pisarza i przyniósł mi luncz a mych kolegów kazał zaprowadzić na obiad i dopiero przyprowadzić. Ja gdym zjadł to co mi przyniósł pisarz, kazali mi tą razą usieść i dalej się wypytawali o stosunkach Polaków do Rosjan i do Rosjan bolszewików, jaki duch panuje u żołnierzy Polaków którzy są w polskim korpusie czy spełniają chętnie rozkazy swych oficerów czy lubieją swego wodza generała Dowbór-Muśnickiego i wiele innych rzeczy napozór dla mnie błahych. A gdy się dowiedzieli że pracowałem jako ślusarz mechanik przy reperacji parowozów, to nietylko oficer ale i obaj pisarze którzy zapisywali me zeznania podnieśli uszy i słuchali com jem odpowiadał na zadawane mi pytania czy używają jeszcze miednych palenisk czem smarują co używają jako smar do maszyn. A gdym nadmienił że robotnicy urządzają tajne wiece, jeszcze mi się długo wypytawali, całkiem tam mie trzymali dwie i pół godziny zaczęm zawołał policjanta i kazali mie odprowadzić do rosyjskiego komitetu. Tutaj dali mi obiad i niezadługiem czasym i kolacyje i poszłym spać bo chociaż byłem na wolności i mó-

głem iść gdzie mi się podobało ale jak było się pokazać na ulice w takim ubraniu z pasami i takie poszarpane i w tych drewnianych trepach.

25 czerwca. Rotterdam. Wstaliśmy o godzinie ósmy rano zjedliśmy śniadanie w komitecie. Później dostaliśmy po dwie pary bielizny, po dwa kołnierzyki, dwa krawaty, dwa gorse, spinki, trzewiki, szczotki do rzeczy do obuwia i do czyszczenia zębów i proszek do zębów, gutaline do obuwia, sznurowadła dwie pary, mydło i ubranie, wymyliśmy się w łaźni. Więc zruciliśmy z siebie te niemiecką kulturalną odzież a przydzielim się ogólnoludzką odzieżą czyli ubrani znów byliśmy po ludzku. Głównym gospodarzym w tem komitecie jest pułkownik rosyjskiej armji, weteran obecnej wojny, dzielny człowiek pracuje wiele w kierunku aby mógł chociaż w części ucywilizować rosyjskiego żołnierza, gdzie biedastwo nie wie nawet jak jeść z talerza widelcem a serwetę nie wie gdzie podziąć. Urządza różne lekcye i założył szkołę dla analfabetów, szkołę średnie, szkołę języków angielskiego i francuskiego, wkrótce mają być otwarte kursy dla elektrotechników i kursy mechaniczno-ślusarskie. Gdzie w sali komitetu jest ogłoszenie żeby się zapisywali, gdy się zapisze odpowiednia ilość uczni to się zaczną lekcye. Jest także ogłoszenie że kto chce zarobić troche grosza może się zapisać na roboty do Anglji, ja się zaraz dzisiaj zapisałem na roboty do Anglji. Do pomocy pułkownikowi są przydzieleni kapitan Sawicki i kornet Poznański. Urządzenie całego systemu bardzo mi się podoba, wszystko obmyślane, o wszystko się dba należycie żeby było dla pożytku i wygody ludzi. Gdy już byliśmy ubrani po ludzku wtedy przed wieczorem poszło nas kilku i wyszukałim sobie kwatery w mieście. Komitet płaci za każdego człowieka 45 guldenów miesięcznie za kwatere z wiktem. Oprócz tego ci co byli żołnierzami wydają pół guldena dziennie na jego osobiste potrzeby, które nam wydają co dziesięć dni. Na wypranie bielizny, łaźnie i mydło wydają nam trzy guldeny miesięcznie.

26 czerwca. Rotterdam. Przecie i my teraz czujemy się znów ludźmi, gdzie chcemy możemy chodzić, już nie chodzi za mną anioł stróż z karabinem naładowanym i bagnety nałożonym. Tutaj w Rotterdamie jest także dosyć tych boszów którzy tu są przysłani z Anglji a w Hadze z Niemiec są przysłani Anglicy ale to tylko podoficera korzystają z wymiany do neutralnego państwa. Jak spotkamy się gdzie czy to w mieście czy też w innym publicznym miej-

scu to mi dreszcze przechodzą po ciele jak przy spotkaniu z jakim jadowitem gadem. Fałszywy naród jak koty, niedarmo kotów pozjadali w swem kraju bo mają kocią nature fałszywą.

27 czerw. Rotterdam. Dziś wydali nam zapomogi czyli pensyje. Od czasu jak opuściłem gościnne progi Niemiec aż po obecny czas jak przyjechałem do Rotterdamu mnie wypłacili 12 guldenów i 50 centów. Wikt mamy nie tak wyśmienity bo miesa prawie że niema. chleba na kartki dostajemy tylko 200 gramów, na szczęście kartofli dostajemy do syta, drugich warzyw też jest dosyć jak fasola, buraczki marchew sałata ogórki. Holandya jest to kraj ogrodników i hodowców bydła a zatem sera, masła też dosyć no i śledzi i różnego gatunku ryb bo przecie chociaż na morzu nie mogą tak wyjeżdżać na połów jak w czasie spokoju ale wewnątrz kraju posiadają taką obfitość kanałów, rzek i stawów że ryb mają pod dostatkiem.

30 czerwca Rotterdam. Wczoraj byłem w Hadze, Rosjanie jechali do cerkwi na koszt komitetu, ja także się do nich przyłączyłem. Naturalnie musiałem być w cerkwi bo na powrotną podróż to już w cerkwi wydają pieniądze, która się mieści przy poselstwie rosyjskim. Gdym wyszli z cerkwi każdy może powrócić do Rotterdamu kiedy chce. Ja skorzystałem z tego i pojechałem tramwajem do morza gdzie jest urządzone dosyć ładne plaże dla kuracjuszy, zwidziłem całe wybrzeże, przypatrywałem się liczny kuracjom którzy wygrzewali się w morskiem nadbrzeżnym piasku i używali morskich kąpiel. Gdy wróciłem do miasta zwidziłem miasto chociaż pobieżnie, byłem też około pałacu królowej Wilhelminy, około północy powróciłem do Rotterdamu.

6 lipca Rotterdam. Dziś byłem w kościele a właściwie w kaplicy jaka tu jest wystawiona przez towarzystwo okrętowe Holand-Amerika linia. Ludzi było bardzo mało że aż wstyd, w Rotterdamie jest zgórą 1200 polaków, ale w kościele było zaledwie 50 osób a może i tego nie było bo mówili mi że to niwyszyscy Polacy że są to Niemcy Belgowie, i Holendrzy katolicy, ksiądz jest tu z poznańskiego Mazurkiewicz. Nasi bracia Polacy tak się tu zachowują że trzeba się rumienić za ich postęпки. Mówili mi którzy tu są oddawna że teraz to możliwie, ale spoczątku to nie do zniesienia było kłótnie bijatyki złodziejstwa. Holendrzy nie robili ceremonji z takimi gośćmi brali poprostu i zamykali w osobny barak ogrodzony drutem kolczastem i tam trzymają do końca wojny. Tam siedzi

z samego Roterdamu zgórą sto osób i to rešta się troche ustatkowała bo rady nie było, ale i sam byłem świadkiem wybryków naszych polskich młodzieńców. Poszłym na mieszkanie do takiego hotelu gdzie było 45 Polaków, trzech Rumenów, pięciu Ukrajeńców. Myślałem sobie że pomiędzy rodakami nie będzie mi się tak nudzić chociaż moi koledzy Rosjanie mówili mi, nie chodź tam bo cie tam okradną, ja się jeszcze oburzyłem za przestroge jaką mi udzielono ale sam na sobie się przekonałem. Ale co tu opisywać, dobre uczynki swych rodaków chętniebym codziennie opisywał aby utrwalić ich dobre uczynki dla potomstwa ale nie tak jak się zachowywali nasi rodacy w gościnie u szlchetnych i gościnnych nadzwyczaj Holendrów. Kiedy przy rozmowie pytam się dlaczego nie jechali do Francji kiedy brali, oni mi odpowiadali, niema głupich bić się ale pomiędzy sobą codziennie staczają bitki i o co o karte albo o jaką uliczną dziewczkę. A gdy ja mówię czy to na wojnie aż trzy razy trzeba umierać a przecież dobrze wiecie że każdy człowiek umrzeć musi tydzień prędzej tydzień później co za różnica. Ci to bohaterzy mi odpowiadają, o my się śmierci nie bojemy tylko kalectwa. A ci sami którzy tak mówią pozarazali się weneryczną chorobą i pozostaną kalekami całe życie, bo za darmoche co to za leczenie a pieniędzy niema na lekarza ani na lekarstwo, w naszym hotelu jest takich aż sześciu co o nich wiemy a może drugie tyle jest co jeszcze ukrywa swą chorobę, na szczęście nie są to wieśniacy tylko przeważnie mieszcuchy z miasta Łodzi i z najbliższych miasteczek Łodzi i mała część z Warszawy. Wogóle nie pisałbym o tem tylko mi przykro że ci Holendrzy jeżeli każdego tak przyjmowali na swej ojczystej ziemi jak mie przyjeli, to tym ludziom wywdzięczali się za ich gościnne przyjęcie niebardzo nie tylko szlchetnie ale po ludzku i przykro mi myśleć że może i o mnie pomyślą że i ja nie był lepszy od swych rodaków. Aby nie patrzeć na to co się dzieje wymykam się za miasto błędze po polach łąkach i ogrodach i przypatruje się tej mrówczej pracy tutejszy ludności, nie mogłem wyjść z podziwu nad olbrzymią pracą jakiej dokonał ten lud i codzień zacząłem lepiej poznawać tego napozór flegmatycznego Holendra czy Holenderke. Nie będę tu opisywał jaką ludzie dokonali prace tu w tem kraju ponieważ to już tyła opisów jest o tem a powtóre mój umysł nie umie opisać tego dzieła które tu jest wykonane ręką pomysłowością i cierpliwością ludzką.

16 lipca Rotterdam. Wczoraj przeniósłem się z tego hotelu do

prywatnego mieszkania do swych rodaków z ziemi Radomskiej którzy także byli zabrani na roboty do Niemiec i uciekli do Holandji. Jest nas tylko dwóch brat gosposi i ja. Tylko znów jestem chory na te hiszpańskie choroby to mi się nic nie chce: jeść nie mogę, kaszel straszny i ogólna słabość że nawet pisać nie mogę.

26 lipca Roterдам. Już jestem trochę zdrowszy chociaż kaszel nie ustał i apetytu do jedzenia nie mam. Ale czuje się nie taki słaby. Do Anglii na roboty pewno nie pojedziemy, zapisało się zgórą 500 ludzi, mieliśmy wkrótce jechać. Ale rząd angielski przysłał telegram że weźmie nas do roboty jeżeli się zgodzimy że rząd będzie miał prawo brać nas na roboty na front do Francji. Tak się Rosjanie tego zlekli że prawie wszyscy się wykryśli, pozostało nas tylko trzydziestu, cztery miesiące starań naszego prezesa komitetu aby tem ludziom wyrobić gdzieś prace nie przyniosły skutku żadnego. Na jedno słowo front tak ich przestraszyło że wszyscy się wykryśli nie chcą jechać. Ksiądz nam tu wydaje polskie gazety Poznańskie Warszawskie Łódzkie i Krakoskie, czytam te gazety i dziwie się bardzo, nie wiem jak to nazwać naiwność łatwowierność czy też jeszcze inaczej nazwać że tam panowie wierzą tym szwabom i biorą się do odbudowy Polski podług rysunku ich cysarskich mości Hohenzelernów i Habsburgów. Ja jestem prosty chłopiek ale od początku do końca w nic nie wierze co szwaby obiecują bo chociażby Niemcy wygrały te wojne co żadną miarą nie może być to i tak obietnicy nie dotrzymają a przecie gdzieby Niemcy wojne wygrały kiedy mają takie szanse jeden na dziesięć, to czy oni będą wtedy dyktować prawa narodom?

30 lipca Roterдам. Mieliśmy dziś pogrzeb naszego kolegi. Nie pisałbym o tem ale dla Roterdamu była to nowość pogrzeb rosyjskiego żołnierza w obcym kraju. Chociaż patrzałem na tyła pogrzebów żołnierzy rosyjskich ale tam się nikt tem żołnierzem nie interesował, nie tylko jego pogrzebom ale żyjącym żołnierzom ponieważ, nie mogę zapomnieć takich napisów jakie istniały przy bramach publicznych parkach i ogrodach że psom i żołdatom wstęp wzbroniony. A tu raptem takie czułości dla tego zmarłego żołdata. Ale tu jest w obcym kraju i rosyjska intelegiencja chce światu pokazać jak my to kochamy ten swój naród a szczególnie tego szarego żołdata. W osobach przedstawicieli tej intelegiencji wydelegowany przedstawiciel poselstwa rosyjskiego w Hadze złożył spaniały wieniec od tegoż poselstwa. Dalej wojenny agent w Holandji

przysłał delgata z wieńcem od agenta wojennego przy dworze holenderskim. Dalej jeneralny konsul w Roterdamie który także złożył wieniec od konsulatu. Oficerowie komitetu nad jeńcami także złożyli wieniec od kanclarji komitetu od kolegów i muzyka wojenna belgijska. Pop także się modlił bardzo długo i gorliwie i odprowadzili wyżej wymienieni panowie z popem na czołe na cmentarz tego szarego naszego kolegi zwłoki. Patrzałem i podziwiałem obłude ludzką, nie ma jeszcze dwóch lat jak widniał ten napis sobakam i żołdatam wchod wospreszczajetsia albo do resteuracji pierwszej i drugiej kategorii, do bufetu wstęp był wzbroniony a dziś takie czułości ale że trochę za późno panowie te czułości nad grobym nie tylko tego żołnierza ale swej ojczyzny. Patrząc na ten pogrzeb przeżyłem się myślą nad Wisłą Wartę a szczególnie nad Gopło do mych stron rodzinnych i myślałem o tem, jak nasi panowie nie lepiej postępują z tem ludem pracy z tem szarem zahukanem fornałem czy parobkiem boć sam patrzałem na to życie, byłem w kilku majątkach aż mi wstyd pomyśleć że i moi rodacy są nielepsi od Rosjan i czy nie skończy się to taką katastrofą jak w Rosji a strasznie było mi patrzeć na te rzeź intelegiencji rosyjskiej i na to upodlenie że dali się tak różnąć jak cielęta nie broniąc się wcale.

6 sierpnia Roterdam. Dostaliśmy wczoraj zawiadomienie że kto chce może jechać do Rosji do walki z bolszewikami. Ale na przeszło 1000 Rosjan byłych żołnierzy zapisało się aż dziesięciu, oni by mieli iść dobrowolnie bronić swego kraju, tu ich przecie nie mogą zmusić knutem a tak Rosjan dobrowolnie nieskłonny coś wykonać bez przymusu. Bo kto wychowany jest pod knutem temu trudno się z myślą pogodzić że on może robić to co mu sumienie nakazuje, to jest bronić swego kraju przed złodziejami nie tylko zewnytrznym ale i wewnątrz kraju mogą źli ludzie wyrządzać jeszcze większe szkody krajowi jak najeźdca. Zresztą niema się co dziwić gdyż ten lud nie brał wcale udziału w budowie gmachu państwowego to i nie mógł zrozumieć że on musi bronić ażeby ten gmach nie runął. Gdyby chociaż trochę brał udział w budowie to więcej miałby poczucia bronięcia jako swego dzieła ale w przeciwnym razie jest mu to obojętne, wcale się nie dziwiłem że i nasz lud tak mało brał udziału w powstaniach jakie były w Polsce a szczególnie 1863 roku. Na tych słowach kończą się moje zapiski a ciąg dalszy będę opisywał już z pamięci.

W sierpniu dowiedziałem się że tu do Roterdamu przyjeżdża

z Hagi sekretarz przedstawiciela Polski pan Kobyliński raz na tydzień. Więc i ja się udałem do hotelu gdzie się zatrzymywał, tam się dowiedziałem że za pośrednictwem tego polskiego przedstawiciela w Hadze przy dworze jego króleskiej mości pana dr. Włodka można wysłać korespondencje do Polski i takową otrzymywać ja chociaż po przyjeździe do Roterdamu pisałem kilka listów ale na takowe nie miałem żadnej odpowiedzi, przez to postanowiłem skorzystać jeszcze i z tej okazji. Tam też poznałem kilku uczniów mych rodaków którzy byli na tutejszym uniwersytecie, więc od słowa do słowa zapoznaliśmy się lepiej, na me skargi że brak mi książek do czytania w polskim języku ofiarowali mi się służyć swą biblioteką jaką posiadają, w taki sposób miałem co czytać w takie dni słotne gdzie nie było możliwości wychodzić. Ponieważ jak dzień był piękny to już teraz mogłem wychodzić od samego rana na me wycieczki do wiosek i podziwiać te mrówczą pracę tych ludzi, teraz miałem towarzysza mych wycieczek brata mej gospodyni. Pan sekretarz Kobyliński przyjeżdża co tydzień, już dostałem odpowiedź na moje karte do żony, pan sekretarz zapisał mnie na członka do związku Polaków w Holandji. Z dniem pierwszego września zaczęły się lekcje w szkole rzemiosł, narazie uruchomiono dział kowalsko ślusarski, gdzie i ja wszedłem jako nauczyciel z płacą 40 guldenów miesięcznie, oddział stolarzy i elektrotechników, ogólny nadzór nad szkołą ma belgijski oficer z zawodu inżynier. A do pierwszego września zwiedzałem wszystko to co było godne zwiedzenia tak w Roterdamie jak i w Hadze, jak biblioteki muzea wystawy sztuk pięknych gdzie można było za małą opłatą podziwiać śliczne rzeźby i malowidła nie tylko holenderskich mistrzów pędzla i dłuta ale i zagranicznych, widziałem też i polskich artystów prace na tych wystawach, zwiedzałem i kościoły nie tylko katolickie ale i protestanckie, byłem też w spanialem kościele protestantów gdzie mi mówiono że stoi już zgórą 600 lat i był to kiedyś kościół katolicki że ten to kościół był siedzibą arcybiskupa, w tem to kościele odczytywałem liczne napisy łacińskie i myślałem dlaczego to kościół katolicki chociaż posiada tak spaniałą zdrową naukę i tak świetną tradycję z tyłu męczennikami na czołe tak słabo się rozwija podług innych wyznań jak mahometa buddy czy chociaż protestantów. Do Roterdamu coraz liczniej ściągają uciekinierzy z Niemiec, widać że tam coraz trudniej o chleb. W samym Roterdamie jest zgórą pięć tysięcy samych byłych żołnierzy nie licząc do dwóch tysięcy Pola-

ków obojej płci cywilnych którzy z Kongresówki byli zabrani na przymusowe roboty do Niemiec i uciekli do Holandji. Na roboty nigdzie nie wyjeżdżali tylko do kopalni węgla a tu w Holandji taki związek robotników przysyła delegacje do naszego prezesa komitetu z prośbą ażeby nie wysyłał na roboty do fabryk i na role, nie psuł zarobków miejscowym robotnikom którzy i tak są dużo pokrzywdzeni przez to że nie mogą wyjeżdżać na morze jak w czasie spokoju no i liczne doki stoją pustkami a tak praca tu kipiała w dzień i w noc, ładowali wyładowywali liczne okręty jakie tu często zawijały do tutejszych portów. Nasz prezes nie tylko że przyrzekł nie wysyłać ale zebrał nas wszystkich i prosił żebym nie brali się do pracy nawet tu w Roterdamie. Codziennie chodzę do dziennika Roterdamsze Bote gdzie wisi duża mapa frontu i codzień przesuwają spileczki i chociaż powoli ale systematycznie krok za krokiem Niemcy się cofają, może da Bóg że to już ostatni rok tych zmagają, a my tak i nie wytrzymalim i rozlecielim się z frontu na cały rok przed zakończeniem wojny. We wrześniu byłem znów w Hadze tym razem na zjeździe Polaków w Holandji. Na tem to zjeździe wybrany zostałem prezesem związku Polaków w Holandji, od tej pory często bywam w Hadze w interesie Polaków u przedstawicielstwa polskiego przy dworze w Holandji pana d-ra Włodka. Ludzi przybywało coraz liczniej, trzeba było umieścić dać zapomoge na pierwsze dni zaczął komitet rosyjski nie przyjął ich na swój rachunek po dość licznych badaniach czy ci ludzie są rzeczywiście z Kongresówki a byli i tacy co pochodzili z Poznańskiego lub z Galicji, tych już komitet nie chciał przyjmując i trzeba było tem ludziom jakoś przyjść z pomocą. Do tego i ci którzy tu byli i mieli już zapewnione utrzymanie przyczyniali niemało kłopotu przedstawicielowi Polski przez liczne wykroczenia. Razu pewnego zawinął do tutejszego portu okręt wojenny hiszpański. Nasi Polacy urządzali sobie często zabawę taneczną w lokalu gdzie kiedyś był wyłącznie uczęszczany przez marynarzy a obecnie stał prawie pustkami a właściciel trzymał na kwaterze tych uciekinierów. Na ową zabawę zjawili się kilku marynarzy z hiszpańskiego okrętu gdzie zaczęli awanturę z naszymi którzy ich powyrzucali na ulice. Ci udali się na swój okręt zwołali do siebie więcej i przyszli na zabawę, ja na takie zabawy nie uczęszczałem ale opowiadali mi naoczni świadkowie że przybyło 35-ci marynarzy, nasze chłopcy ustępowali im bo było ich tylko 17-stu ale gdy tamci zaczęli burde, Polacy krew nie woda,

jak schycili co kto miał w gorzści nóż kastet czy też poprostu odważniki czy inny kawał żelaza jakich nie brak w porcie i dawaj płazować Hiszpanów, dwóch na placu boju na miejscu sześciu mocno pokiereszowanych tak że leżeli po kątach a reszta już policja obroniła, ale i policja była bezsilna bo chłopacy jak się rozbrykali to i policji nie dali się wziąć tylko dwóch udało się policji zabrać ze sobą, prowadziło tych dwóch chłopaków dwóch policjantów, jeden był z miasta Łodzi drugi z Białostoku, na dość ludnej ulicy gdy już ich przewieźli przez rzekę do miasta na ulicy Schydamshedijk porzłi policjantów nożami i zwiali, jednemu policjantowi to literalnie przerzłi gardziel od ucha do ucha, drugi na szczęście się wylizał ale gazety narobiły krzyku co niemiara że co to za naród niewdzięczny te Polacy że za naszą gościnność ci nam mordują policje na jednej z ruchliwszych ulic Rotterdamu. Z końcem października dostałem z Ameryki od brata i siostry szyfkarte na przejazd do Ameryki ale nie mogłem uzyskać wizy konsula Stanów Zjednoczonych chociaż angielski mi takową wydał za wstawinnictwem pana d-ra Włodka, tak że szyfkarte odesłałem spowrotem do Ameryki. Ale też wypadki zaczęły się z błyskawiczną szybkością zmieniać, codziennie dostawaliśmy jakoś nowość aż raz pewnego byłem w Hadze po interesie i tam się dowiedziałem że do Hagi przybył sam Wilus samochodem. A mówię sobie, podły kazał mordować tylu tysięcy ludzi niewinnych a sam satrapa ucieka jak ostatni tchórz przed niebezpieczeństwem, oto prawdziwe oblicze pokazał ich ubóstwiany kajzer prosto fugnuł z posterunku i to był pierwszy żołnierz tych Niemiec podłych i tak podle opuścił swój posterunek nietylko jako cesarz narodu którzy głoszą że tylko Boga się boją ale i główny wódz a uciekał przed urojonym strachem, no niech się stanie co mu przeznaczone, właśnie Pan Bóg taką hańbę mu na stare lata zgotował że osromocił po wieczne czasy nietylko siebie ale i całe pruskie plemię którego był przedstawicielem. Mogę być dumny że jestem Polakim bo żaden wódz nie uciekał tak z pola bitwy pozostawiając na łasce całą swą armję. Tegoż wieczora nadeszły telegramy że Niemcy kapitulowały i zdały się na łaskę zwycięzców. Co to za radość panowała nietylko pomiędzy nami wygnańcami ale i pomiędzy tutejszą ludnością że nareście skończy się ich udręka i zaczną znów życie normalne i będą mogli wyjeżdżać na swe ulubione wody już to dla zarobku czy też na połów ryb i śledzi. Od tej pory zaczęli napływać ludzie całymi gromadami, nietylko Rosjanie ale Francuzi

Anglicy Włosi Rumeny Serbowie. Jechali koleją gdzie mogli się pomieścić, poprostu na węglarkach i zwykłych platformach, ale jechali statkami barkami i zwykłymi łodziami kierując się ku morzu, tu już zabierały okręty i odwoziły do właściwych krajów, my też zaczęliśmy się gorączkowo przygotowywać do podróży do swych rodzin, w tem celu musiało nas kilku zapisywać imiona nazwiska, gdzie kto mieszka aby dla tych ludzi przygotować takie w rodzaju paszporty, które miały być wydane przez tutejsze przedstawicielstwo w Holandji. Prace przy kursach zakończyłm bo któż tam myślał już o nauce każdy myślał o domu o swej rodzinie, w tem celu zaczęliśmy się szykować aby i my mogli jechać do swego kraju pod swą właściwą flagą. Tu się zaczął spór o to jaka ma być ta nasza flaga czy biała czerwona czy też czerwono biała, jedni dowodzili że teraz górą jest lud roboczy to czerwona połowa powinna być u góry, drudzy zwłaszcza panienki jakie tu były polskie wzięły się wyszywać Orła białego w czerwonym polu, codziennie mieliśmy zebrania i wiece różne projekty i żądania. W tutejszem kraju też zaczęli socjaliści krzyczeć coraz natarczywiej aby ogłosić republikę, jej królewska mość zlekła się nie na żarty. Ale chociaż to była tylko kobieta nie pomyślała fugnąć jak jej sąsiad przed gniewym swego narodu a przeciwnie wybrała się sama na objazd do tego ludu mówiąc sobie co ma być niech się stanie, w tem celu wozila ze sobą i kilkoletnią córeczkę, była też i w Roterdamie gdzie naród zgotował jej bardzo spaniałe przyjęcie, po tym objeździe swego kraju wiedziała co ma robić że naród nie żąda jej detronizacji i tylko kilkadziesiąt socjalistów krzeczy o republikę.

W Ojczyźnie

Święta Bożego Narodzenia jeszcze obchodziłm w Roterdamie. Dopiero 28 grudnia dostałm wiadomość że samotni bez rodzin wkrótce wyjadą do kraju tak Rosjanie jak i Polacy. Tedy zaczęliśmy się szykować, za oszczędzone piniedze nakupiłem różnych tak pamiątek jak i towaru i skór na obuw bo gazety tak wyrzekały na biedę w kraju i brak towarów tak na ubrania jak i na obuwie. Nareszcie dowiedzieliem się o dniu odjazdu. Pięć wielkich okrętów niemieckich które się schroniły do tego portu zostały wyznaczone do przewozu nas.

5-go stycznia 1919 roku wyruszyliśmy odprowadzeni nietylko przez pozostałych rodaków ale i przez licznych Holendrów którzy się

poznałomieli z naszymi ruchami a szczególnie przez płeć piękną gdzie nie obyło się bez czułych uścisków i kilku łez.

Nareszcie pożegnałem to miasto w którym przebyłem prawie siedem miesięcy, syrena zabuczała dwa razy, okręt zaczął się poruszać unosząc nas w stronę morza po rzece Mozeli, na morzu oczekiwaliśmy na okręta wojenne trzy angielskie i dwa francuskie dodane nam jako konwój bo przecie morze było usiane licznymi minami. Tak się posuwaliśmy powoli ostrożnie w stronę kanału Kilońskiego, który przebyliśmy i wjechaliśmy na wody modrego Bałtyku, wręście dopchalim się po czterech dniach podróży, bo w nocy prawie że nie jechalim bo z powodu mgły noce były tak ciemne że staliśmy na kotwicy aż do dnia, do Gdańska. Tu znów czekaliśmy więcej jak dobe bo Niemcy nie chcieli nas wpuścić do miasta dopiero na telegraficzny rozkaz z Anglii popakowali nas na swe mniejsze okręta i te dosyć prędko już bez żadnego konwoju przywieźli nas do Libawy. W Libawie znów czekaliśmy na morzu dwie noce jeden dzień ponieważ znów nie chcieli nas przyjąć w tutejszym porcie ale wkońcu wysiedliśmy na ląd w Libawie. Gdzie nas jak mogli pomieścili w prywatnych domach po kwaterach. Ja ze czterema towarzyszami trafiłem do polski rodziny i tak przebyliśmy tam trzy dni. Ale różne słuchy zaczęły krążyć że bolszewicy idą na Libawę i w tem celu obkrążają miasto, na dobawek tych wieści słyszemy pewnego wieczora kano-nade armatnią co niejako potwierdzało te słuchy a tu jedyna linja kolejowa którą można było przejechać szła przez Prusy Wschodnie więc na to że obecnie odbywają się powstania w Poznańskim wątpliwa rzecz aby Niemcy nas chciały przepuścić przez swe terytorja. Nie chcąc tu dłużej siedzieć w tej Libawie i nie chcąc wpaść znów do niewoli tak szwabskiej jak i bolszewickiej, w tem celu posłem do miasta kupilem sobie mape Litwy, wymierzyłem odległość od Libawy do Suwałk i do mnie przyłączyło się jeszcze czterech kolegów, w piąci w niedzielę rano ruszyliśmy w drogę, najpierw poszliśmy ranko na dworzec kupiliśmy bilety i jechaliśmy jakie 40 kilometrów dopóki nie dojechalim do miejsca gdzie tor był zepsuty, wysiedliśmy i dalszą drogę odbywaliśmy pieszo, do wieczora doszliśmy już na terytorjum Litwy tu się z ludźmi nie mogliśmy rozmówić gdzie się udaliśmy każdy nam odpowiadał no suprantus i rób co chcesz z litowuszkami aż ja mówię tu jest kościół to i ksiądz musi być, udajmy się do księdza ten napewno rozumie po polsku jak nie po polsku to po rosyjsku napewno, wchodzi nas dwóch na plebaniję. Na nasze pochwalony znów nam zamamrotał coś po litewsku ale ja go proszę żeby był

dobry i ukazał nam gdzieby mogli przenocować ponieważ już ciemno a my nie możemy się porozumieć z tutejszem ludem. Ale jakie było nasze zdziwienie kiedy i ksiądz odpowiada no suprantus, tu ja wtedy już ze złością odpowiadam po rosyjsku to po jakiemu pan mówi do licha. Dopiero patrzy na mnie i odzywa się po polsku co wy za jedni, powiedzielim mu że wracamy z niewoli gdzie byliśmy w Holandji. Dopiero nam kazał iść do organisty, organista człowiek był ludzki, wprowadzie po polsku nie mówił ale po rosyjsku rozmówilim się wybornie i nie tylko że nas przenocował ale i kolacyje nam dali i śniadanie i wyruszyli w dalszą drogę, dośliśmy do pewnego majątku gdzie właściciel był Polak, ten nas nie tylko przenocował dał kolacyje i śniadanie ale tam go też poprosiłem i kazał szteľmachowi zrobić nam sanki małe gdzie moglim sobie umieścić swe łomoczki i troche żywności na wypadek gdy trafim na niegościnnych ludzi gdzie nic nie będiem mogli dostać nie koniec na tem kazał założyć konie do sani i odesłał nas blisko trzy mile swemi końmi. Tęgo dnia dówędrawalim do małego miasteczka gdzie było kilku Polaków i ci nas porozbierali do swych domów, przenocowali, nakarmili ale i na drogę dali, jednemu koledze że był bez palta podarowali kożuszek, ruszyli dalej, dwóch ciąęło saneczki, dwóch pchało a jeden torował drogę szedł naprzód i wypytywał się o drogę do tej miejscowości co sobie wyznaczylim na nocleg. W pewnym miejscu nie mogliśmy nigdzie natrafić na ludzi gdzieby nas przyjeli na nocleg, no suprantus i cała mowa z niemi. Zeszli do dosyć ładnego gospodarstwa kawał od traktu, już było dobrze ciemno gdy weszli w podwórze a następnie do mieszkania. U tego gospodarza było trzech dorosłych synów z których dwóch mogło mówić po rosyjsku z którymi się też rozmówilim i prosimy o nocleg. Przetłumaczyli staremu o co my go prosimy ale stary nie chce się zgodzić, jesteśmy w dość przykrem położeniu gdyż wędrować nocą w nieznanach okolicach nic przyjemnego a spowodu spóźnionej pory trudno było liczyć na to żebyśmy mogli wyszukać sobie gdzieś nocleg. Na usilne prośby dopiero stara żona gospodarza zaczęła coś dowodzić staremu, no i ten wkońcu zgodził się że możemy nocować. Zjedliśmy kolacyje ze swych zapasów, nie śmiemy prosić już nawet o gorącą wodę na herbatę tylko tak zakąsilim na sucho. Synowie gospodarza przynieśli nam słomy więc nie czekając zaproszenia ścielemy sobie na środku izby, po odmówieniu pacierzy kładziemy się spać, stary gospodarz chłop tęgi poszedł na podwórze, po chwili przychodzi z siekierą, ubrał się w kożuch i nałożywszy

dosyć dużą fajkę zapalił i usiadł naprzeciw nas na zydlu z siekierą w ręce i tak przesiedział całą noc zimową. Ranko jeszcze było do-
brze ciemno, nie czekając już na śniadanie na które nas zapraszała
gospodyni ruszyliśmy w dalszą drogę i dosyć szczęśliwie doszliśmy
do Suwałk w niedzielę popołudniu a że z Libawy wyruszyliśmy
w niedzielę rano, do Suwałk przyśliśmy ośm dni. Chociaż w Suwał-
kach byli jeszcze Niemcy ale po okazaniu naszych paszportów nie
robili nam trudności, po zwiedzeniu miasta i zjedzeniu kolacji wsie-
dliśmy do pociągu i ruszyliśmy w stronę Warszawy przez Grodno
Białostok. Po przyjeździe do Warszawy jakie było nasze zdziwienie
gdy przechodziliśmy z Pragi na dworzec wiedeński widzimy w oknach
wystawowych całe kupy wędlin mięsą, chleba i różnych przysma-
ków a w Holandji za siedem miesięcy mego tam pobytu nie zauwa-
żyłem nic w oknach z tych przysmaków chociaż to był kraj nieu-
tralny a Polska poniesła takie spustoszenie przez cofające się armie
rosyjską i paroletnią gospodarke niemiecką. Z Warszawy pożegna-
liśmy się z kolegami podróży i każdy już jechał w swe rodzinne
strony. Przyjechałem do Czerniewic a stąd już pieszo odbyłem po-
dróż do Kowala oddalonego o pięć kilometrów od stacji kolejowej
Czerniewic. Do Kowala przybyłem około godziny 9-tej wieczorem.
Moja żona już nie mieszkała w tem mieszkaniu w którym ją pozo-
stawił. Ludziska już spali spowodu braku światła ale ktoś się mi
nawinął w podwórzu i powiedział mi gdzie moja żona mieszka. Na
moje pukanie do okna momentalnie się budzi żona i moje dwa
chłopaki jakby jem kto naprzód powiedział że to ja jestem. Co za
radość była w naszym małym izdebce gdzie się znów znalazłem po czte-
rech i pół roku pomiędzy swemi, chłopaczki pozostawiłem prawie
dzieciaki a zastałem ich że już do szkoły chodziły i to do szkoły
prawdziwie polskiej, aby córeczka była pochowana na cmentarzu
w Sędzinie. Ponieważ żona wybrała się w gościnę do mego brata
ze starszym chłopcem i z córeczką i tam dzieciśka się rozchorowały
na dyfteryt, chłopiec wyzdrowiał po trzech tygodniach zmagania
się a córeczka zmarła i tam leży w pobliżu swego dziadusia który
też nie miał szczęścia dożyć i oglądać wolne niepodległe ojczyznę,
gdzie siedmiu wnuków było już żołnierzami armji polskiej w bylej
Kongresówce a dwóch walczyło w szeregach powstańczych wypiera-
jąc szwaba z Poznańskiego. Jak mi żal że ojczulek nie dożył tej
radosnej chwili i nie widział grona wnuków jako żołnierzy polskich.
Naturalnie wielka radość była z prezentów jakie przywlokłem aż
z Holandji ale chłopaki po obejrzeniu swych prezentów pozostawili

ich a wrócili się do swego tatusia i usiedli jeden na jednym drugi na drugim kolanie i wpatrywali się w swego ojca którego już zaczęli zapominać. Chociaż byłem bardzo znużonym blisko dwutygodniową podróżą ale siedzieliśmy kawał w noc i nie mogliśmy się sobą nacieszyć. Gdy żonie powiedziałem że troche odpoczne zobacze się z rodziną i znów pójde do wojska ale już do polskiego, żona w płacz i chłopaki także. Ja mówię, moje dzieci przyjdzie czas i wy pójdziecie swej ojczyźnie służyć. Ale ja co służyłem w rosyjskiej armji dziesięć lat nie mógłbym spać spokojnie gdybym nie odsłużył swej ojczyźnie chociaż z dziesięć miesięcy, zwłaszcza że czekałem i marzyłem całe swe życie abym mógł kiedyś popatrzeć na polskie wojsko jakże bym mógł się obejść żebym nie nosił mundura chociażby przez miesiąc. Naturalnie dowiedziałem się także jak moja żona była traktowana źle i to przez własnego ojca, który myślał że ja już zginułem na wojnie traktował moje żone jako służącą. Wypoczułem pare dni puściłem się w drogę w swoje strony i tam zgodziłem kuźnie, bo o kupnie niebyło już co marzyć bo z mych zarobionych piniedzy w Ameryce nie było nic, co było w kasie Rosjanie zabrali a co tak było żona straciła na niezbędne potrzeby tak że nie miałem nawet zaco zacząć pracy w swym warsztacie. Szwagier mi pożyczył dwieście marek na zaczęcie to jest na kupno chociaż małą ilość węgla i żelaza i zacząłem pracować, na szczęście narzędzia pracy miałem w porządku bo żona trzymała, chociaż i dokuczała bieda nie sprzedawała nic z narzędzi. Mój brat przewiózł mnie z Kowla do Sędzina gdzie zacząłem pracować, pracy jak na początek miałem pod dostatkiem tylko z nabyciem węgla była trudność. Tak pracując w kuźni nie zaniedbywałem i spraw społecznych. W Sędzinie było tylko kółko rolnicze, mój brat był w tem kółku sekretarzem ale czy mu się nie chciało czy też nie mógł się wywiązać dosyć że protokoły pisał za niego nauczyciel tutejszej szkoły zaco mu brat dawał wynagrodzenie w postaci pszynicy. Więc i ja zapisując się do kółka rolniczego chociaż nie byłem rolnikiem boć nie posiadałem ani zagony własny ziemi ale potrzeba mi było pracować dla społeczeństwa a że nic więcej narazie nie było oprócz kółka, wstąpiłem jako członek kółka rolniczego. Gdzie prezesem tegoż był mój dobry kolega i przyjaciel jeszcze z czasów odbywania służby wojskowej w Turkiestanie, naturalnie zaraz zastępowałem brata jako sekretarz i chociaż nie posiadałem tego wykształcenia co pan nauczyciel ale że miałem dużo chęci do pracy nie za wynagrodzenie a dla idei, więc moje protokoły lepiej trafiały do gustu ogółowi tem bardziej że były pisane stylem

prostem jak było mówione tak i pisane. Tylko że niedługo byłem zaledwie trzy protokoły napisałem gdy odeszłem do wojska. Tutaj nie mogłem dostać węgla udałem się do Inowrocławia czy tam mi się nieuda dostać węgla do kuźni. W Inowrocławiu spotkałem kilku kuzynów którzy byli przy wojsku, siostry syn i zięć a także kilku braci wujecznych, jeden już był ranny w nogę przez Niemców, nie mogłem wytrzymać tembardziej że mi zapewniali że będzie wojna ze szwabem aby odbić resztę ziemi polskiej z rąk drapieżnych szponów prusaka. Zięć mej siostry z którym się dopiero co zapoznałem tego dnia odjeżdżał do Poznania do swego baonu przez to i ja pojechałem z nim. Na drugi dzień byłem już w mundurze żołnierza, wprowadzie mundur ten był to szyty na niemieckiego żołdaka ale wystarczyło nam przyszyć na kołnierzu białoczerwonej stążeczki, na czapce orzełek polskiego białego orła. Naturalnie poprosiłem o urlup ponieważ żona nic nie wiedziała o mem zamiarze boć ja wyszedłem celem zakupienia węgla no i chciałem odwiedzić do domu swe cywilne rzeczy. Przyjeżdżam do Sędzina ranko w niedzielę, żona i syny patrzą i płaczą że ja znów żołnierzem. Ale jak umiałem ich pocieszyłem i wieczorem odjechałem do swego baonu, w Poznaniu byłem około dwóch tygodni późni wyjechałem do Częstochowy. W Częstochowie staliśmy też około dwóch tygodni a późni wysłaliśmy na granice polsko-niemiecką a raczej polsko-śląską gdzie zostaliśmy rozmieszczeni nad granicą, nasza kompanija była rozmieszczona w Staro-Krzepicach gdzie trzymaliśmy wartę nad granicą. Ja tylko jeden pomiędzy poznańskimi byłem z byłej Kongresówki gdzie na mnie spoczątku dosyć krzywo patrzeli. Ale wkrótce zjednałem sobie kilku kolegów a później byłem dosyć lubiany i miałem licznych serdecznych przyjaciół którzy nietylko naszej wspólnej służby ale i po zwolnieniu nas przesyłali mi dosyć długi czas liczne korespondencje i przysyłali mi swe fotografie już do mego domu. W czasie powstania Ślązaków staliśmy na granicy w okolicy Żytniewa, nie wiem dlaczego mieliśmy wydany rozkaz nie przekraczać granicy i musieliśmy spokojnie patrzeć na walke naszych braci Ślązaków kiedy nieraz staczali bitwy na śmierć i życie w pobliżu granicy z niemieckimi żołdakami a nam nie wolno było brać udziału w tej bitwie a większość z nas wstąpiła tylko poto do wojska aby stoczyć bitwę na śmierć lub życie ze zniechędzonym wrogiem naszej ojczyzny a wielu z nas miało osobiste uraze do szwabów za sponiewieraną godność ludzką przez tych kulturalnych szwabów. Ale rozkaz był rozkazem, żadny szanujący się żołnierz nie może takowego przekro-

czyć rozumiejąc że tylko siła armji polega na ścisłem wypełnieniu rozkazów czy ten rozkaz jest słuszny czy też nie czy on się podoba czy nie, musi być wykonany. Biedni Ślązacy naturalnie pomimo bohaterskich wysiłków nie mogli wytrzymać natarcia dziesięciu na jednego, musieli się poddawać albo też uchodzili do Polski których masowo przyjmowalim nietylko mężczyzn ale i kobiety zmykały, tych którzy byli zdadni do wojska byli przyjmowali do naszego baonu który wkrótce był przemianowany na pułk strzelców bytomskich. Przez to nas wycofali z granicy i zostalim przewiezieni w okolice Olkusza i rozmieszczeni tak w Olkuszu jak i w okolicznych wioskach, dwie kompanie zostały rozmieszczone w osadzie górniczej gdzie była kopalnia cenzu i ta kompania w której ja byłem należała do tych które stały w Bolesławiu. Tutaj mieliśmy ciągle ćwiczenia aby jako tako przygotować do jednolitej komendy taką zbieraninę, tutaj też odwiedził nas generał broni Haler i zrobił przegląd naszego pułku. Jeszcze byliśmy na granicy był rozkaz ministra wojny aby w każdym pułku baonie kompanji wyznaczeni zostali kierownicy oświatowi ale że byliśmy tak rozprószeni nad granicą, niemożliwie było prowadzić oświaty pomiędzy ludźmi którzy nie tylko że byli rozprószeni ale połowe swego czasu stali na posterunku granicznym. Z chwilą gdy się rozmieściłim w tutejszej okolicy wyznaczeni zostali kierownicy oświatowi i mnie wyznaczyl takze kierownikiem oświatowym na 1-szy baon naszego pułku. Ja silnie prosiłem tak kolegów jak i dowódcę baonu aby nie powoływali na to stanowisko ponieważ ja jestem prawie tak jak samouczek gdyż chodząc do szkoły za czasów gdzie wolno nam było uczyć się po polsku tylko trzy godziny tygodniowo to ja nawet napisać nie mogę dobrze po polsku a skąd ja mam być kierownikiem oświatowym takich ludzi którzy ukończyli siedmioletni kurs nauczania a niektórzy z was koledzy uczęszczaliście do szkoły wydziałowy handlowy czy wieczorny rzemieślniczy. Ale słuchać nie chcieli i musiałem przyjąć te prace ponad me siły i zdolności. Przez to nie wychodziłem na ćwiczenia ponieważ trzy razy tygodniowo musiałem iść do Olkusza do pułkowego kierownika oświatowego po różne instrukcje i pisma gazety broszury i książki przeczytane zmienić, tak że miałem jeszcze dużo czasu na zwiedzenie tak kopalni jak i okolicy jak Bolesławia tak i okolicy Olkusza gdzie kiedyś były kopalnie srebra. Tu z bólem zębów zostało nas wysłanych czterech do Krakowa do dentysty gdzie przebyliśmy w Krakowie przeszło tydzień zaczęli nam nie powyrywali czy zapląbowali naszych bóla-

cych zębów, zwiedzaliśmy tak miasto jak i okolice, zwiedzaliśmy liczne kościoły i bardzo się zastanawiałem nad tym że Poznań czy nawet w Poznańskim gdzie jest to prawie najbogatsza dzielnica w dobrą ziemię ale świątynie Boże tak w Krakowie jak i w okolicy są daleko spanialej utrzymane jak w Poznańskim, nie wiem czemu to przypisać czy lud jest mniej ofiarny czy też księża więcej dbają o swe wygodę a mniej o powierzone sobie świątynie dosyć że kościół wiejski niedaleko Krakowa daleko spaniali jest utrzymany jak na przykład kościół pod wezwaniem Boże Ciała w Poznaniu do którego my chodziliśmy na nabożeństwa gdy staliśmy w Poznaniu. W listopadzie w miarę jak do naszego pułku zaczęli napływać Ślązacy i młodsze chłopaki z b. Kongresówki nas starsze roczniki wycofywali do Poznania i ja także zostałem w ich liczbie, na moje miejsce kierownikiem oświatowym w naszym 1 baonie znów wybrali z b. Kongresówki z miasta Łodzi malarza który dopiero miesiąc jak został przyjęty w nasze szeregi. W Poznaniu pełniliśmy służbę wartowniczą, bardzo mnie irytowało zachowanie się mych kolegów żołnierzy Poznańczyków którzy sobie lekceważyli nie tylko żołnierzy ale i oficerów z innych dzielnic przechwalając się pomiędzy sobą że ja tam tym żydom nigdy nie grysuję. Zaczulem badać skąd ta niechęć i lekceważenie ludzi z jennych dzielnic tych mych przyjaciół z którymi odbywałem wspólnie wartę na wartowni, z braku innego zajęcia prowadziłem długie dyskusyje ze swymi kolegami i przekonałem się że oni są tyla niewinni co ta niemiecka szkoła do której z musu uczęszczali. Taki bakałarz niemiecki miał rozkaz wpajać w swych uczni że Niemcy są ponad wszystkie narody no i Polacy też sobie przyswoili to że oni są ponad wszystkimi Polakami i uważali siebie tylko za czysto polskich a reszta 24 miliony Polaków z innych dzielnic że mają domieszke krwi czy to żydowskiej, ruskiej, litewskiej czy nawet cygańskiej, bardzo mnie takie rozumowanie gniewało tembardziej że uważałem do tej pory Poznaniaków jako najwyżej stojących oświatowo spowodu tego że bądź co bądź nie było pomiędzy nimi analfabetów, ale i tu sprawdzało się moje przekonanie że nauczanie w szkole a później zaniedbanie to dopiero jedna trzecia zadania, po mojemu jak zaznaczyłem wyżej próżne wysiłki nauczania w szkole a zaniedbać to ziarno i pozostawić losowi większość ziarna się zmarnuje. Więc przykro mi było nie z tego żeby bronić swych kolegów żołnierzy z innych dzielnic czy oficerów ale moje rozczarowanie było bardzo silne że niewszystko złoto co się świeci. Że i tu w tej dzielnicy nie brak głuptasów zarozu-

mialców jak i wszędzie. W drugim tygodniu grudnia nasze dwie kompanje dostały rozkaz przeniesienia nas do Warszawy. Z Poznania wyjechalim 7 grudnia wieczorem, po przyjeździe do Warszawy z początku zostaliśmy rozmieszczeni w Cytadeli i tam miałem sposobność zwiedzić te wszystkie miejsca kaźni których moskale stosowali dla Polaków. Mój Boże jakie mi myśle przychodziły do głowy stojąc pod szubinicą albo licząc dziury w drzewie do którego przywiązywali skazańca na rozstrzelanie. Zastanawiając się nad losami narodów myślałem że każdy satrapa który się trzyma swego tronu kulą szubinicą czy wygnaniem, samego ten sam los spotyka rychło czy późno ale go nie minie, przebiegłym myślą historyje starożytnią, wieków średnich i nowoczesną i nieomal każdy despotą kończył śmiercią nienaturalną. Ale to mnie najwięcej zastanawiało że losu swego nikt nie potrafi uniknąć i chociaż ma namacalne dowody tak historyczne jak i z czasów teraźniejszych idzie taki władca swą drogą i myśli że akurat jemu uda się zrobić wyjątek, pomyśleć tylko że car co tak licznie mordował swych przeciwników i wysyłał na wygnanie masami, nietylko nie uchronił żeby liczne podbite kraje odpadły od imperjum ale i swej głowy ani głów swej rodziny nie był w mocy uchronić, niezbadane są wyroki naszego Boga Jechowy czy też natury. Po tygodniu postoju w Cytadeli zostaliśmy przeniesieni do koszar przy końcu ulicy Marszałkowskiej. Tutaj pełniliśmy służbę wartowniczą i używani do konwoju czy to aresztantów wojskowych czy też mienia wojskowego. W czasie wolnym od służby szedłem do gmachu sejmowego przysłuchując się obradom naszych wybrańców narodu, kilka razy byłem w podróży przy konwoju do Krakową Wilna Lwowa czy Pińska. W końcu stycznia 1920 roku zaczęli zwalniać roczniaki starsze i mnie także zwolnili. Tak że przybyłem do domu początku lutego a 11 lutego żona mie obdarzyła córeczką. Po wyzdrowieniu żony zacząłem się starać za jakąkolwiek pracą gdyż na prowadzenie warsztatu nie posiadałem żadnego kapitału. Robilim liczne podania tak do policji jak i na kolej do warsztatów kolejowych boć przecie pracowałem w Ameryce blisko pięć lat w warsztatach kolejowych a i u Niemca w niewoli też pracowałem w takichże warsztatach, robiłem podania tak do dyrekcji w Poznaniu jak i w Warszawie do policji, na poczte, nigdzie nie dostałem odpowiedzi chociażby z nadzieją otrzymania pracy a poprostu że niema, gdy się zgłosiłem osobiście powiedzieli mi że trzeba było się zgłosić wcześniej a nie teraz gdy są wszystkie miejsca zajęte. Na mą uwagę że wcześniej nie mogłem bo byłem

przy wojsku, odpowiedziano mi, no to my nie możemy wyrzucić innego z pracy a was wziąć. Nieomal z płaczem chodziłem od biura do biura i tylko się przekonałem że bez protekcji czy też jakiś łapówki próżne moje starania chłopu ze wsi, a ja nie miałem ani jednego ani drugiego. Tak nie było innej rady tylko trzeba było o własnych siłach wybijać się i szukać kawałek chleba tak dla siebie jak i dla rodziny. Tembardziej że moi synowie opowiadali mi że mama nieraz nastawiła w garku wody a sama wychodząc kazała nam podkładać na ogień, my kładli, woda się gotowała, nieraz do południa my siedzieli bez śniadania a mamy nie było widać, która stała w ogonku zaczęła coś zdobędzie do jedzenia a woda się wygotowała a nie chciała się zrobić gęsta. Słuchając szczebiotu swych malców zacząłem dopiero teraz pojmować że świat czyli ludzie na nim są jakieś inne niż dawniej że teraźniejszych ludzi opanowała jakaś gorączka nie życia a użycia. Nie zważał już nikt na węzły rodzinne, nie było ojca brata siostry szwagra byli tylko spekulanci, temu pomagali gdzie spożywali się jakieś korzyści dla siebie ale gdy się nadarzył taki bidus jak ja, kto się tam co spożywał jaki korzyści ode mnie, dawali mi tylko o tyle jako jałmużne a przecie ja był zdrow i silny do pracy, mnie była potrzebna tylko chwilowa pomoc a nie jałmużna. W tem celu udawałem się o pożyczkę w kilka miejsc, na szczęście dostałem pożyczkę od siostry z Ameryki, narazie nie było tak co uchwycić gdyż był to już koniec maja, wziłem sad w dzierżawę w majątku rządowym który miał być w tem roku rozparcelowany. Licząc na to że może dostane chociaż małą działkę rzemieśniczą tymbardziej że był to folwark w Starem Radziejowie gdzie się wychowałem i tam byłem urodzony, tam chodziłem do szkoły. I tu miałem już prawie pewność że dostane przydzieloną działkę tembardziej że tak komisarzowi ziemskiemu który często przyjeżdżał jak i geometrze który robił tu pomiary na działki ja nadskakiwał jak tylko mógł aby mógł otrzymać działkę tej upragnionej dla mnie ziemi. I trzeba trafić że gdy wszystko już było gotowe pomierzone porządnie we wtorek mieli nadawać działki kandydatom na ziemi temczasym djabli przynieśli smoków bolszewików pod Włocławek i Nieszawę gdzie grzmot armat doskunale tu było słyszać, w sobotę urzędnicy z komisarzem ziemskim na czołe zwiali i tak ostało się na niczem, służba dworska i komornicy małorolni którzy tu zamieszkiwali zaczęli uprawiać działki gdzie kto złapał ale ja nie mogłem tego robić bo nie wiedziałem pewności czy dostane działkę, czekałem do zimy ale zimować przecie w budzie

tylko ze słomy było niepodobieństwem, mieszkania nigdzie nie mogłem znaleźć, zmuszony byłem chwilowo wprowadzić się do brata. Tutaj praca w kółku rolniczym była w całej pełni ale ludziska nie tyła dbali o rozwój organizacji co o korzyści osobiste, w tem to czasie trudno było o takie przedmioty jak węgiel drzewo sól nafta, sztuczne nawozy, więc za pośrednictwem kółek rolniczych udawało się nabywać te rzeczy. Ja naturalnie brałem czynny udział w pracy kółka rolniczego, na nowy rok wybrany byłem już sekretarzem a do nowego roku zastępowałem brata jako sekretarz, byłem czasowy, więc delegowany byłem czy to na zjazdy czy też w interesie kółka o wystaranie się o jaki towar potrzebny członkom kółka. W tem to roku siostra przysłała na moje nazwisko sto tysięcy marek żeby coś kupić dla nich że oni z rodziną przyjadą do kraju, w tem to celu pojechałem do Warszawy po odbiór tychto pieniędzy, było to w czerwcu, przyjeżdżam z Warszawy dostaje list od siostry że wysłali już drugie sto tysięcy. Więc postanowiłem poczekać z kupnem aż nadejdzie te drugie sto tysięcy. Temczasem przez ten pochód bolszewików na nasze stolice pieniądze nie nadchodziły aż otrzymałem takowe w grudniu a tu marka już leciała na łeb na szyję tak żeby nie czekał tylko kupiłbym za te pierwsze sto tysięcy dostałbym coś lepszego a w grudniu co dzień była inna cena tak że łażąc za kupnem czegoś dwa tygodnie zaledwie mogłem kupić domek w Inowrocławiu położony już w bocznej uliczce i to zgodziłem na 200 tys., zaczęm zjadł obiad i przyszedł do spisania kontraktu musiałem mu dołożyć 16 tysięcy bo nie chciał się odpisać, co było robić trzeba było dołożyć i te sume chcąc ratować to co było a ten gość nie kupił zaraz, na drugi dzień nic, za tydzień już za te pieniądze nie mógł nic kupić a za rok już tylko mógł kupić bochenek chleba. Ja chociaż mieszkalem tylko chwilowo u brata w mały ciasny izdebce ale nie mogłem się zdecydować przenieść tam do Inowrocławia z tego tylko powodu że tutejsi ludzie traktowali ludzi z innych dzielnic lekceważąco i z pogardą, sam byłem świadkiem jak się wyrażali na ludzi z Galicji głupi galon albo ty kongresowa chaziaj i inne wyzwiska, więc moja siostra a także siostra tej z Ameryki która się też tułała po komornym obsadziłem ją dla pilnowania tego dobytku jaki nabyłem dla siostry, ona tu była zamężna za tutejszego i chociaż sama pochodziła z byłej Kongresówki ale też wołała na tych co pochodzili nie z tej dzielnicy galon albo rusek czy kongresowa. A sam zarobiłem troche na sadzie, troche mi siostra nadesłała, tak że mogłem założyć sobie warsztat we wsi U. gdzie byli dosyć duże gospodarze, w krótkim czasie miałem tyła roboty że

musiałem przyjąć do pomocy nietylko ucznia ale i czeladnika chociaż to czasy były bardzo głupie z powodu tego że ta nasza waluta co dzień była mniej warta ale pomimo to szło mi dosyć dobrze, w ciągu roku oddałem dług jaki zaciągnąłem na krowe i drugą krowę sobie kupiłem, przebyłem w tej wsi dwa lata. Właściciel sąsiedniego majątku Siniarzewo przysłał po mnie zaproponował mi dosyć korzystne warunki abym się zgodził do niego za kowala i maszyniste. Pracując w kuźni nie zaniedbywałem i sprawy społecznej, w kółku rolniczem precz byłem sekretarzem, po roku postawili mnie jako kandydata na prezesa kółka, był kandydatem miejscowy ksiądz proboszcz i ja, jakże było moje zdziwienie gdy obliczyli kartki wyborcze, na czterdzieści kartek ważnych ja otrzymałem głosów 27 a proboszcz 13-ście. Naturalnie nie mogłem przyjąć tak ważnego urzędu w kółku rolniczym, żeby w kółku rolniczem był prezesem kowal albo ksiądz nie mogłem dopuścić i wytłumaczyłem to gospodarzom którzy zrozumieli swój błąd i tem razem już nie postawili kandydatury księdza a mnie pozostawili na tem samym stanowisku. Przez ten czas byłem członkiem spółdzielni w Krzywosądzie, byłem spółzałożycielem spółdzielni w Zakrzewie i Siniarzewie. Będąc już na majątku straciłem wolność chociaż mój pracodawca był to dobry pan, obchodził się ze służbą po ludzku i sprawiedliwie wypłacając zarobki. Ale ja niewychowany w tej sferze nie umiałem się tak płaszczyć przed swym pracodawcą a tembardziej nie byłem zdolny do tego aby robić donosy na innych pracujących, do tego syn dziedzica który już zastępował ojca za dużo sobie pozwalał, ja mu zwróciłem uwagę że nie pozwole aby mnie traktował jak bydle że ja jestem taki sam człowiek jak on i on mi łaski nie robi, ja mu daję swą pracę a on mi zato daje utrzymanie ale żeby mu było wolno wymyślać to nie. Zato na nowy rok dostałem terminatkę i zgodziłem się na majątek do S., ale tu właścicielką była wdowa po adwokacie który to nabył ten majątek na licytacji po hrabim Wodzińskim, syn dopiero co ukończył szkoły a administratorem był niejaki J. tak gospodarzył że nietylko że ludzie nie mieli co jeść ale i sami państwo mieli niedostatek tak że ja nastąpiłem tam od 1 kwietnia, dostałem pierwszy deputat dopiero we wrześniu, do tego służba musiała tytułować pana administratora wielmożny panie, ja tylko mówiłem panie tak że mnie znienawidział. Zato że młóćąc zboże po żniwach zerwał się główny pas który był bardzo zniszczony od starości, chciał mnie łać kijem, naturalnie na taki argument odpowiedziałem, odejdz pan bo ja mam młotek w garści a to jest cięższy od pański łaski. Tak mnie znienawidził że nie

mógł mi zaszkodzić w inny sposób oskarżył mnie że miał ukraść pług i postawił świadków że w tem celu był schowany ów pług w krzaki a ja nie miałem pojęcia jak się tam ten pług dostał, na rozprawie w sądzie w Aleksandrowie dwóch świadków zeznało że nie widzieli wprawdzie jak ja ten pług chowałem ale widzieli jak ja go reperowałem. Pomimo mego tłumaczenia że ja wszystkie pługi reperowałem bo były potrzebne do uprawy do jesiennych zasiewów, a że pierwszy raz byłem w sądzie nie byłem przygotowany na taką podłość nie umiając się bronić, sędzia opierając się na zeznaniach świadków wydał wyrok na miesiąc aresztu a że nie byłem nigdy karany zawiesił mi kare na lat dwa. Ja wyrok przyjąłem spokojnie myśląc toć mi się nic nie stało, ja do tej pory nic nie kradłem to i teraz nie myślę kraść i dwa lata przejdzie i nie będę siedział. Ale po powrocie do domu gdy opowiedział fernalom przebieg sprawy, zaczęli na mnie wymyślać że ja tak łatwo wyrok przyjąłem że oni wszyscy poszliby świadczyć że tam leżały różne rzeczy w tych krzakach nietylko ten pług. Ja poszedłem wyciągnąłem kopije wyroku pojechałem do Włocławka gdzie był sąd okręgowy i chciałem założyć apelację ale sam nie mogłem tego skutecznie a adwokat chciał ode mnie 75 złotych, do tego przywiezienie chociaż czterech świadków na mój koszt i dać im tu obiad będzie mnie kosztować do sta złotych których nie mam, sprzedam krowe omorze swą rodzinie. Poleciłem Bogu ukaranie niesumieńczych świadków, który jeden z nich był Ukrainiec a drugi taki forys który wszędzie jeździł z administratorem. A sam myśląc sobie co mi tam z tego że ludzie sobie pomyślą że ja złodziej jak ja mam sumienie czyste a wreszcie nie będę się ubiegał o żaden urząd publiczny bo gdzie mi tam biednemu kowalanie do urzędów. Tak się pozostałem w oczach ludzkich złodziejem. Ale od tej pory postanowiłem starać się usilnie aby można było założyć swój warsztat i nie być na służbie narażonym na grymasy nietylko na samych pracodawców ale i ich sługusów. Tutaj to w tem Służewie że tak obchodzili się ze służbą nie po ludzku, wypłatę robili kiedy się im przypomniało, czasami i pięć miesięcy nie widzieli grosza. Tak że wszyscy byli zmuszeni do wstąpienia do związku, naturalnie i ja byłem zmuszony także dla solidarności wstąpić do tego związku gdzie był całkiem pod zarządem socjalistów. U mnie odbywały się zebrania, w początku kwietnia był postanowiony strajk rolny, ja byłem przeciwny w tem czasie strajkowi ale że było nas mniejszość zaczęliśmy strajkować ale po kilku dniach wróciłem do pracy bo nie było sensu w tem czasie strajkować gdzie nie było taki

pilny pracy w polu. Ale zato zwrócili na mnie uwagę ludzie że ja umie przewidywać i zrobili mnie delegatem nietylko tu w majątku ale na wszystkie zjazdy, byłem kilka razy na zjeździe w Włocławku i dwa razy w Warszawie. W tem to właśnie czasie toczyła się ostateczna dyskusja nad ustawą o ochronie lokatorów gdzie i my będąc na zjeździe w Włocławku zaczęliśmy dyskusyje o tem przedmiocie. Ja będąc odmiennego zdania i zapatrywań innych aniżeli moi koledzy. To jest ja byłem zdania że trzeba uszanować cudzą własność pomimo tego w jaki sposób ta własność została nabyta i kto nią włada, niektórzy znów byli odmiennego zdania że można uchwaląć prawo i spokojnie wywłaszczać jednych na korzyść drugich, jak i w tem wypadku posłowie socjalistyczni przenieśli ze sejmu dyskusyje na teren zjazdów robotników rolnych co mojem zdaniem nie było na miejscu i tu przy dosyć gorącej dyskusji każdy miał prawo wypowiedzieć swe zdanie otóż i w tem wypadku zabrałem głos i dowodziłem że ochrona lokatorów do tej pory nie przyniosła nic dobrego a w przyszłości przyniesie tylko szkodę bo ten bogaty zawsze znajdzie sobie mieszkanie ale my biedacy będziemy za pięć do dziesięciu lat mieszkać pod płotami bo kto będzie budował nowe czy reperował stare mieszkania żeby nie widzieć w tem zysku, taki się krzyk podniósł na moje słowa że jestem najmitą burżujów, zaczęli się gromadzić więcej krewcy towarzysze fornale i kto wie czybym był nie odpokutował za swe przemówienie bo już zaczęli podnosić kije nad moją głową dopiero tacy wystąpili w obronie którzy mie znali od dawna, dwóch było takich co byliśmy razem przy wojsku, wtem Michałowski zabrał głos i wytłomaczył swem słuchaczom żeby nie podnosić takich argumentów jak kije żeby każdy mógł wypowiedzieć swe zdanie. No i rezolucyje uchwalili i wysłali do sejmu ażeby sejm ostatecznie uchwalił prawo ochrony lokatorów. W niedługim czasie doniosły nam gazety że ostatecznie prawo o ochronie lokatorów zostało uchwalone raz na zawsze i weszło już w życie z dniem ogłoszenia. Gdy się zebrali do mnie fornale na pogawędkę i wysłuchanie gazet jakie jem często czytałem, spokojnie bez żadnej namiętności zaczęliśmy rozważać sprawę o tem prawie ochronie lokatorów klasy społeczeństwa a dobro całego kraju, najgorliwszy zwolennik czerwonych musiał przyznać że tu posłowie nie kierowali się dobrym ogólnym, a tylko chwilom obecną, że nie przewidywali co nastąpi za lat dziesięć że ludzi przybywa rok rocznie stale z nieubłaganą akuratnością a mieszkań będzie nie przybywać tylko ubywać, niektórzy tłumaczyli że rząd będzie budował domy ale nie umieli wytłomaczyć

skąd ten rząd zdobędzie fundusz na budowę bo kto to jest ten rząd to ludzie z tego że społeczeństwa. Jedni tłumaczyli że rząd może zaciągnąć pożyczkę, ale rozumniejsi znów się zastanawiali nad tem czy znajdzie się człowiek któryby chciał powierzyć swe kapitały temu krajowi który uchwała prawa że jednym obywatelom zabiera a daje drugim a czy nie może za parę lat uchwalić takiego prawa że kasuje zaciągnięte długi przez poprzedni rząd, niektórzy znów mówili, bądź co bądź posłowie liczą się z ludźmi jak się to poprostu mówi z ulicą. I aby zadowolić krzyki ulicy posłowie bez zastanowienia uchwalają takie prawo aby ta ulica przycichła. Po takich rozmowach nieraz myślałem długo w noc o tem przedmiocie i bardzo mi dziwiło że posłowie jeżeli tak rozumują przy uchwalaniu takich praw są podobni do matki która gdy jej się dziecko rozkrzyczy, daje mu nóż do zabawienia się. Ja sobie rozumowałem tak że mandat który przyjmują posłowie na sejm jest to obowiązek tak jak żołnierza z tą różnicą że żołnierze niewszyscy są żołnierzami ze swej woli, wielu przymusowo, pomimo to walczą aby bronić swych pozycji, przyjdzie i taki czas że muszą odstępować ale nigdy nie tracąc nadziei że znów pójdą naprzód. Posłowie tembardziej nie zważając na żadne krzyki i groźby ulicy czy pewnej klasy społeczeństwa a mając dobro ogólne kraju chociażby przyszło zginąć w obronie tych praw lub chwilowo ustąpić jeżeli jest się w mniejszości nigdy nie powinni rejterować ze strachu przed krzykiem czy groźbą, ja prosty chłop tak pojmuje obowiązki posła na sejm chyba że ja i wielu chłopów mylimy się grubo. Co do udziału w pracy politycznej do tej pory nie należałem do żadnej partji ponieważ te partyje które istnieją w naszej okolicy nie odpowiadały moim przekonaniom. Socjaliści, chociaż jako robocizni ciągle się z nimi muszę stykać ponieważ oni to wzięli monopol na polepszenie klasy pracującej, ale jeżeli tak będą polepszać jak z ochroną lokatorów to niedługo będzie tego polepszania bo to obliczone jest tylko na dziś, jest tylko znikoma garstka chłopów którzy z chęcią idą po tej ścieżce którą chcą prowadzić lud pracujący do dobrobytu towarzysze. Naprzykład w naszym kole jest 32 członków i niby to chwilowo liczymy się towarzyszami ale przy omówieniu sprawy gruntownie czy byłiby nadal w tej partji gdyby mieli chociaż po dziesięć mórg ziemi, zawahali się rzetelnie i niektórzy prosto śmiało odpowiedzieli że nie, niektórzy nie chcieli narazie nic odpowiedzieć a tylko dwóch się wypowiedziało stanowczo za programem socjalistów, pytamy się dlaczego, oni jasno i stanowczo powiedzieli że i my niebardzo wie-

rzemy w ten dobrobyt jaki nam obiecuje towarzysz Piotroski ale my nie mamy nic do stracenia i nie spoządziamy się w przyszłości też mieć coś własnego. Chociażby ten program całkowicie wszedł w życie który głoszą nasi towarzysze to też my nie wierzymy w poprawę, zmienilibym tylko pana, zamiast pracować pani Ż. pod nadzorem p. B. pracowałibym państwu, możebne znów pod nadzorem tego samego B. albo M. czy K. Ale miałibym te satysfakcje że my nic nie mamy niech i ten Ż. czy W. też nie ma nic; takie jest rozumowanie niektórych chłopków po wioskach. Druga partja jaka istnieje w naszej okolicy to Wyzwoleńcy, ta bardzo mała ma różnice od socjalistów i dużo zwolenników i sympatyków tej partji jest tylko dlatego że głoszą ziemia dla ludu bez wykupu a dużo chłopów też ma ambicje że będąc w tej partji może kiedyś dostanie się na jakiś urząd, drudzy aby dokuczyć księdzu boć przecie księża nie lubią ani socjalistów ani wyzwolenców. Ale zapytać się takich gorliwych wyzwolenców czy oni by woleli mieć pięć mórg swoi własny ziemi na wieczną własność czy też dziesięć mórg ale ta ziemia nie byłaby ich własna tylko państwowa z której mógłby być każdego roku wyrzucony a ta jego działka oddana Wypijowi czy Pszczole albo Żywicy, to hurmem zaczęli krzyczeć że oni wolą morgę na wieczne czasy jak dziesięć chwilowo i tu znów była mała ilość którzyby woleli mieć dziesięć mórg nadane ale przeważnie tacy co nic nie mają i nie spoządziewają się mieć. Trzecia partja która u nas istnieje to N. D. czyli endecy, ci naturalnie mają dużo tupotu i głoszą że tylko oni są zdolni rządzić państwem, to reszta się nie liczy to chołota plewy chłop zdolny tylko do gnoju. Obiecują że tylko oni zrobią z Polski raj na ziemi, oni tylko mają zdolnych ludzi którzy wyprowadzą kraj z hałasu niepowodzeń zrobią dobrobyt ale komu, sobie i tylko oni siebie mają na myśli. Poprostu z ludzi robią jakieś nadbóstwa jak z p. Dmowskiego, p. Popławskiego i wielu innych ale co ci ludzie zrobili takiego żeby zdobyli zaufanie całego społeczeństwa a przynajmniej połowe tego społeczeństwa. Ja co ślencze stale nad biegiem spraw nie zauważyłem ażeby ci ludzie coś takiego zrobili dla ludu pracy czy to w miastach czy na roli, możebne że w sferze swych ludzi robią coś, co się wyróżniają ale dla społeczeństwa nie zauważyłem żeby ich czyny się tak wypukliły aby zasłużyły na takie ubóstwianie. A że byli w komitecie i podpisali toć ktoś musiał podpisać traktat zawarty w Wersalu, nie podpisałby Dmowski podpisałby Sikorski czy inny. Jeden jedyny członek w tej partji który coś robi bezinteresownie to może Paderew-

ski ale też nie twierdze stanowczo czy bezinteresownie czy tylko dla reklamy ale że serce ma dobre to wiem napewno bo go kilka razy widziałem i możebne żeby nie wzięli endecy w swój wyłączny monopol daleko więcejby zrobił dla ludu. Endecy głoszą że tylko oni są prawdziwe Poloki i katolicy, reszta to żydzi masony bezbożniki sodomczyki i różni kandydaci w ogień piekielny. Jennych partyj w naszy okolicy prawie jak niema, pojawiają się jacyś agitatorzy przed każdymi wyborami ale znów po wyborach znikną aż do drugich wyborów. Przez to nie należy do żadny partji polityczny bo nie może być pionkiem a chce być członkiem partji chociaż na szarem końcu ale czynnym a nie biernym co mi każą masz słuchać chamie i kwita, tego nie potrafie znieść. Po uchwaleniu nazawsze ochrony lokatorów przez sejm i potwierdzeniu przez senat widze że tu będzie na stare lata trudno znaleźć mieszkania dla siebie gdy już nie będę mógł pracować po majątkach, postanowiłem za wszelką cenę kupić sobie jakąkolwiek chatkę. W tem celu powyprowadzałem krowy których miałem trzy, cztery świniaki, zboża, które mi się pozostało od deputatu, nawet kury sprzedałem i kupiliśmy pół domku tu w mieścinie S., stare to już było ale jeszcze krzepko stało, przy każdorazowym remoncie mogło jeszcze stać tak długo jak ja będę żył, stajenke jaka była w tyle gdzie tam mieszkał lokator postanowiłem przerobić na kuźnię. Ale co lokator się nie usunie bo go prawo ochrania, musiałem poprostu kupić od owego lokatora te moje stajenke bo prawo jest prawym no i co zrobić, na ten cel i na urządzenie kuźni musiałem zaciągnąć pożyczkę 500 złotych ale mogłem dostać lekko bo już byłem właścicielem pół nieruchomości, tylko procent płaciłem trzy od sta w stusunku miesiecznym. Co bardzo mi się to nie podobało ale inny rady nie było bo nie było skąd wziąć tańszego kredytu. W tem tu mieście było tu już czterech kowali, ja zakładałem kuźnię piątą i to w tyle w podwórzu pomiędzy żydami, ludzie się śmieją co ty tu będziesz robił chłopie w tem łacie, kto tu do ciebie przyjdzie. Ale ja nie traciłem nadziei bo postanowiłem robić amerykańską metodą mały zysk a częsty a pracować lubiałem więc mówię sobie na to miejsce będę wstawał o czwartym rano do pracy aby móc robić taniej od mych kolegów, tak też robiłem że gdy przepracowałem trzy miesiące razem z memi chłopcami, którzy już mi pomagali gdyż starszy już miał 17 lat młodszy piętnaście, nie mogłem wydołać pracy musiałem przyjąć pomocnika. Wstawałem o trzeci i pracowałem do ósmej tylko tyle odpoczywałem co zjadłem śniadanie obiad i podwieczorek. Chłopcy wsta-

wali o szóstej i robili do dziesiątej a to gdy mieli jaką swoją robótkę chcąc też coś zarobić na swoje ręce pracowali i dłużej, tak że ogień prawie nie wygasał gdym ja wstawał do pracy a ludzie nie wiedząc o podziale naszej pracy pytali się mnie, kiedy ja śpie. Gazety czy książkę mogłem czytać tylko przy jedzeniu lub w niedziele ale w niedziele znów miałem dużo gości że mogłem mało czytać, przez to tak się przyzwyczaiłem czytać jedząc że jak nie miałem co czytać to tak jakby mi coś do jedzenia brakowało. Chociaż byłem tu mało znany w tej okolicy ale prędko zdobyłem sobie licznych klientów i przyjaciół. Ale mi było dziwno że w tej gminie nie było żadnej organizacji ani biblioteki ni czytelnia, żydów było tu około 50 rodzin i ci mieli swe organizacje a także i czytelnie i biblioteki gdzie i ja korzystałem z żydowskiej biblioteki bo przeważnie żydzi prace oddawali mnie jeżeli mieli coś do zrobienia, dlatego że ja zrobiłem tak kowalskie ślusarskie i blacharskie roboty a żydzi właśnie takie roboty dawali, ogrodzenie wokół bóżnicy sztachetami żelaznymi też mi powierzyli chociaż były korzystniejsze dla nich oferty przez innych kowali. Tylko dług mi dokuczał ponieważ procentu musiałem płacić 15 złotych miesięcznie a o tańszym procencie w tutejszej okolicy nie było można marzyć boć niektórzy gospodarze płacili jeszcze większe odsetki. Postanowiłem temu zapobiec za wszelką cenę, w tem celu postanowiłem założyć w tutejszej gminie kasę Stefczyka. Ale jak się tu zabrać do tego kiedy tutejsi gospodarze tak stronią od wszelkich organizacji, była na terenie gminy S. jedna tylko organizacja polityczna i zauważyłem że z temi ludźmi można coś zrobić, ale że to byli Wyzwolenicy a mnie ich program nie odpowiadał mojem przekonaniom. Ale co było robić innej rady nie było, trzeba było się zbliżyć do Wyzwolenców chcąc coś więcej zrobić. Gdy tylko wypowiedziałem chęć przystąpienia do ich koła nie miałem spokoju tylko mnie namawiali że bym się zapisał jak najprędzej bo jem właśnie brakowało człowieka któryby ich nauczył jak prowadzić posiedzenia bo z nich nikt nie był w żadnej organizacji i nawet nie wiedzieli chudzioki jak otworzyć i prowadzić posiedzenie. Ja się zgodziłem z warunkiem przystąpienia do ich koła ażeby mi dopomogli do zorganizowania kasy Stefczyka. Warunek przyjęli jednogłośnie bo i oni już od dwóch lat marzyli o tem ale nie wiedzieli jak się do tego zabrać. Po zapisaniu się na członka koła wyzwolenia, zaraz na temże posiedzeniu złożył swoje rezygnacje prezes tego koła i jednogłośnie mnie chcieli postawić na czołe tego koła ale ja nie przyjąłem bo widzia-

łem że obecny członek prezes koła w pełni odpowiadał swemu stanowisku tylko że nie był poinformowany jak prowadzić posiedzenia i było mu nieswojo, ja widziałem że im brak bardziej sekretarza bo nie miał kto należycie napisać jaki taki protokół i przeczytać korespondencje i komunikaty i takowe wyjaśnić. No i na tem się stało jak ja zaproponowałem, zaczęliśmy się starać o zorganizowanie kasy Stefczyka wybraliśmy komitet z nas trzech którzy mieliśmy zadanie przygotować wszystko do organizacyjnego zebrania i zapisywać na członków kasy. Chociaż w kole wyzwolenia było zgórz trzydzieści członków ale pomiędzy nimi nie widzieliśmy ani jednego na odpowiedniego kandydata na członka zarządu. Przez to musieliśmy chodzić do upatrzonych gospodarzy i prosić ich do naszego grona ale tu znów były trudności bo moi koledzy w komitecie byli znani jako gorliwi wyzwolenicy, co ja musiałem nagadać naprzekonywać zaczęłem zdobyłem upatrzonego człowieka, nie tak nam chodziło o ilość członków jak jakoś żeby można było z kogo wybrać pierwszy zarząd i radę nadzorczą. Do proboszcza nie mogłem się udać ponieważ inicjatywa chociaż była moja ale wyszła od wyzwolenców na których proboszcz patrzeć nie mógł, zresztą był to ksiądz nielubiany przez swych parafian, ponieważ parafia S. posiadała księdza z chłopą który tu był proboszczem 43 lata, ten znał potrzeby swych parafian i wiedział co z kogo wziąć a komu dać że ludziska nijak nie mogli się przyzwyczaić do jego następcy, tak że nie było miesiąca żeby nie jechała delegacja z skargą do biskupa. Przez to ksiądz nie wchodził w rachubę. Nauczycieli chociaż było kilku ale też stronili od chłopów żyli przeważnie w swym kółku. Ja miałem znajomość z aptekarzem, do niego więc udałem się czyby nie chciał nam pomóc w organizowaniu kasy, z chęcią przystał, my go upatrzyliśmy na prezesa. Pewnego dnia zwołaliśmy zebranie organizacyjne gdzie mieliśmy zapisanych przeszło trzydzieści członków i zgórz sto udziałów, na pierwszym zebraniu wybraliśmy tymczasowy zarząd i członków rady nadzorczej, gdzie ja weszłem jako członek zarządu, aptekarz i jeden gospodarz, czekaliśmy dalszej pracy ale nasz pan prezes tylko tyle że prezesure przyjął ale ponadto więcej nic, czekaliśmy trzy miesiące, nasza kasa stała na martwym punkcie. Radzi nieradzi musieliśmy zrezygnować z ludzi inteligentów więc udaliśmy się w prośbę znów do gospodarza którygo upatrzyliśmy na prezesa, ten nie tylko że z chęcią się zgodził ale i do koła wyzwolenia się zapisał. Zaraz nasza kasa zaczęła szybciej się posuwać naprzód tak że już w dwa miesiące otrzymaliśmy zatwier-

dzenie przez sąd okręgowy w Włocławku, posłaliśmy piniedze na potrzebne książki do prowadzenia kasy. Tak że w grudniu książki nam nadeszły, siedzibę kasy zrobili w moim mieszkaniu a to dlatego aby jak najmniej wydawać piniedzy, tymczasowo schowanko zrobiłem też z żelaza i szafkę też sam zrobiłem bo jeszcze nie było zaco kupić. Tylko tu był sęk, ja byłem wyznaczony do prowadzenia ksiąg, o tej pracy nie miałem najmniejszego pojęcia, a tu jeszcze nadesłano nam książki z buchalterją podwójną 18 książek, co ja tu sierota z niemi będę robił, pobiegłym do prezesa przyszedł do mnie popatrzał na tyła książek, on był jeszcze głupszy ode mnie bo ja chociaż jakie takie pojęcie miałem co to jest winien lub ma ale on pierwszy raz w życiu widział. Zrobiłem zebranie zarządu i rady nadzorczej i uradziłem że chociaż mamy najlepsze chęci ale nie jest to praca którą możemy wykonać, ja zgóry oświadczyłem że to ponad me siły. Więc uradziłem aby do prowadzenia książkowości przybrać kogoś płatnego bo z nas nikt tego nie może się podjąć. W tem celu zaraz na drugi dzień udałem się do sekretarza gminy i ugodziłem się z nim że miał nam prowadzić książkowość za opłatą 400 złotych rocznie. Gdy powróciłem od sekretarza patrze a u mnie jest jakiś pan, przedstawia się jako lustrator kas Stefczykowskich. Zaraz posłałem syna na rowerze aby gonił za prezesem który jeszcze daleko nie uszedł, zaraz zarządził zebranie zarządu i rady nadzorczej którzy wieczorem zebrali się w komplecie ponieważ dostaliśmy człowieka który nam mógł udzielić najlepszych informacyj. Pan lustrator gdy się dowiedział o naszej uchwale aby sobie przybrać pomoc płatną zganił nasz plan mówiąc że jest przekonany że tam gdzie jest rachunkowy płatny tam zazwyczaj takie kasy lichy się rozwijają i nam oświadczył że on tu tak będzie długo aż nas obznajmi z naszymi obowiązkami i nie zwlekając tegoż wieczora wziął się do pracy nad nami. No i w przeciągu dwóch dni mogliśmy przystąpić już do naszych czynności gdzie przyjmowaliśmy udziały od udziałowców i wydaliśmy 900 złotych pożyczki, nasz lustrator odjechał a my wzięliśmy się do pracy no i w ciągu roku tak nam się kasa rozwinęła że wydaliśmy przeszło 50 tysięcy pożyczki, zysków mieliśmy na czysto 700 złotych. A co było najważniejsze że przełomaliśmy opór tych niewiernych Tomaszów, widząc że to organizacja pożyteczna zaczęli się zapisywać gromadnie. Proboszcz nastął inny i ten także się zapisał na członka i nieomal wszyscy nauczyciele i nauczycielki. Tak że po roku istnienia kasy można było z czego wybrać do zarządu i rady nadzorczej. Gdym już zorgani-

zowali kasę Stefczyka pomyślelim i o kółku rolniczem którego tu było brak w tutejszej gminie, w tem celu udałem się do powiatowego instruktora kółek rolniczych opowiadając mu nasz plan i prosząc o pomoc. Praca w kółku rolniczem już była ułatwiona tak że w przeciągu dwóch miesięcy kółko było zorganizowane i wybrany zarząd do którego ja weszłym jako sekretarz. Wkrótce utworzylim sekcje maszynową oświatową doświadczalną i kontrole mleczności gdzie wszędzie powoływano mnie do pracy. I znakomicie to wszystko się rozwijało ale ja upadałem poprostu ze znużenia ponieważ nie miałem i godziny wolny na odpoczynek, prowadzić wszystkie książki kasy, zestawiać bilansy miesięczne, pisać listy i podania tak z kasy jak i z kółka i sekcji, do tego nie mogłem zaniedbywać pracy w warsztacie gdzie pracy miałem coraz więcej i chociaż miałem swych dwóch synów i dwóch ludzi obcych ucznia i czeladnika ale w każdym razie nie mogłem polegać na ludzi, trzeba było prowadzić warsztat samemu. Aby robota była wykonana należyście, tylko w nocy mogłem prowadzić prace w organizacjach że nie miałem osobnego mieszkania do mych prac tylko tam gdzie mieszkalem z rodziną więc do swej pracy potrzebowałem spokoju a tego mi było brak przy dzieciach których oprócz tych co już pracowali w warsztacie było dwóch chłopców wisusów i dwie dziewczynki. Przez to siedłem na spoczynek wcześniej a wstawałem o godzinie 2-giej rano do pracy, wszystko spało miałem pożądany spokój. A w niedziele znów mieliśmy czynność kasy posiedzenia kółka rolniczego czy sekcji tak że ani jednej niedzieli czy święta nie miałem odpoczynku chociażby godzinnego. Do tego przybyło mi jeszcze i me sprawy osobiste, siostra z Ameryki dowiedziała się na jaką gospodarke zanoszą się w naszej ojczyźnie, pisze mi że zrezygnowali przyjechać do ojczyzny, woła już do śmierci pozostać w przybranej ojczyźnie i prosi mnie żeby sprzedać to co kupiłem dla niej i pieniądze jej odesłać. Ja dałem to do sprzedania dwom agentom a i sam starałem się o kupca. Ale że moja kochana siostra a bardziej jeszcze szwagierek tak gospodarzyli że nikomu rachunków nie zdawali, a ja nie wymagałem bo myślałem toć mają mnie zdawać a ja znów tamtej to niech odrazu zdadzą rachunki tem co to ich jest. Ale się przekonałem że tam gdzie chodzi o zysk, niema rodziny, niema brata ani siostry, przyjaciela czy kolegi. Przekonałem się że mój szwagierek tak gospodarzył że opustoszył to do niemożliwości, lokatorne brał ale obracał na swą korzyść, na stajenki nalał przysłane dwieście dularów żeby przeprowadził remont, pieniądze obró-

cił na swą korzyść a stajenki się przewróciły, musiałem ratować co się da a że dawali mi najwyżej osiem tysięcy zł. a ja obliczyłem że samej cegły jest na tej nieruchomości do sta tysięcy która w tem czasie była w cenie 80 zł. za 1000 więc myślę to mi tylko dają za cegłę, chociaż ta nieruchomość nie przynosiła absolutnie żadnego procentu a włożony w to kapitał ale wierzyłem że jednakowoż tak dalej nie może być bo cała Polska runie oparta na takiej gospodarce. Więc postanowiłem swoje sprzedać tembardziej że to było zagmatwane bo ja byłem już czwarty nabywca tej nieruchomości w mieście S. i żaden nie miał przywłaszczenia więc ja gdy chciałem takowe zrobić musiałbym wszystkich mych poprzedników wpisywać do hipoteki i skreślać, co by mi kosztowało zgórą 600 zł. a nie widziało mi się długu więcej robić. Więc kupiec się trafił, brat tego od którego ja nabyłem, więc mnie się nawet nie pytał tylko umówiłem się o cenę dał mi zadatek a było to w połowie września, na 3 października miał pieniądze uszykować i mieliśmy zrobić przepis na niego, ja wymówiłem sobie jeszcze mieszkać do 1 kwietnia następnego roku. 25 września były wybory do rady gminnej i wójta i ja nie kandydowałem spowodu tego że miałem przecie za kilka miesięcy opuścić teren gminy. Ale miałem już licznych przyjaciół którzy mnie umieścili na listach tak na wójta jak i radnego. Gdy odbyły się wybory i policzyli głosy to na radnego otrzymałem tyła kartek ile było głosujących tak że miałem najwięcej głosów a na wójta tylko 12 głosów mniej od kandydata który otrzymał mandat na wójta gminy. Chociaż i tak długo tu miałem nie być ale mandat radnego przyjąłem chcąc też cokolwiek wejrzeć w gospodarkę gminną, na pierwszym posiedzeniu rady zostałem wybrany do sejmiku powiatowego ale tego już nie przyjąłem chociaż miałem 11 kartek na 12-stu radnych. Tylko zatrzymałem do komisji rewizyjnej. Pierwsze co zrobili zorganizowaliśmy klub radnych naszego lewego skrzydła gdzie nas było ośmiu radnych i zawsze mieliśmy naprzód u mnie posiedzenie ponieważ mieszkalem naprzeciw kanclarji gminnej to omówiłem sprawy naprzód które mieliśmy przyjąć a które odrzucić. Mój pierwszy wniosek jaki na posiedzeniu rady wysunulem było ustanowienie listonosza po wsiach bo to wielka krzywda się działa wieśniakom ponieważ po miastach i miasteczkach chociaż mają na poczcie blisko jeszcze listonosze roznoszą listy i gazety aby o tego wieśniaka nikt nie dba, nieraz wieśniak jest oddalony o 25 kilometrów od urzędu pocztowego i sam musi sobie doręczać listy i gazety, te niesprawiedliwość naprawiłem zaraz na pierwszym posiedzeniu

radę no i dalej stopniowo mieliśmy wprowadzać w życie ulepszenia co się tyczyło dobra i wygody obywateli, dalej przeprowadziłem mój wniosek ażeby gospodarzom wyznaczyć wynagrodzenie za dostarczanie koni strażakom, kto pierwszy się stawi 15 złotych, drugi 10 zł., trzeci 5 złotych bo do tej pory szło bardzo opieszale że strażaki jak było bliżej to sami ciągli narzędzia do ognia gaszenia a jak było daleko to wcale nie brali udziału w gaszeniu ognia bo nie miał kto zawiść ich narzędzi do miejsca pożaru. Dalej miałem w projekcie budowę łaźni ludowej w gminie chociaż jednej tymczasowie, gdyż jest to krzycząca niesprawiedliwość żeby w naszej wolnej ojczyźnie tak zaniedbać ten lud wiejski i po małych miasteczkach że prawie nie spotyka się nigdzie chociaż prymitywnie urządzonej łaźni ludowej. Mężczyźni jakoś sobie radzą chociaż w letnie trzy miesiące wymyje się w rzece jeziorze czy też w jakim stawie ale kobiety nasze biedne wiejskie kobiety jak żyją mój ty Boże jak ich maleńkie wykąпали tak też nie zna co to woda bo gdzie się ona ma wymyć a przecie kobieta przynajmniej raz na miesiąc powinna swe ciało wymyć ale czy kto dba o te wiejską kobiecine toć jak się wysuszy to się samo wykruszy takie jest chłopskie przysłowie. Mieliśmy nadzieję że jeden z panów Ministrów spraw wewnętrznych którzy dość często się zmieniają zaczął jeździć po kraju i badać porządek, nakazał wybudować niezbędne ubikacje po wioskach i śmietniki, nawet przykazywał i płoty bielić, wtedy myśleliśmy sobie, no ten nareście zaprowadzi porządek i chociaż raz w życiu umyć każe polską wieśniaczkę ale o tem było cicho i to było śmieszne że dbało się o ustępy a nie wiedziało się nic że człowiek całemi latami chodzi niewymyty. Więc my radni postanowiliśmy sobie że tak będziemy oszczędzać, nie pozwolimy i grosza ukraść z piniedzy gminnych aby móc wybudować chociaż jedne łaźnie bodaj na cały powiat. Ale wyjechał i tak do dziś niema łaźni w gminie S. Po nowym roku na zebraniu kółka rolniczego i kasy Stefczyka zrezygnowałem z zajmowanych stanowisk spowodu przeniesienia się do innego województwa, rachmistrzem na moje miejsce został wybrany nauczyciel a sekretarzem w kółku rolniczem jeden z młodszych gospodarzy. Ale wkrótce ludzie się przekonali że nie idzie tak jak iść powinno, w kółku rolniczym gospodarze musieli płacić dwa razy za pobrane na kredyt sztuczne nawozy a w kasie Stefczyka nauczyciel wziął sobie pożyczki na siebie i na swą żonę pięć tys. złotych a statut opiewał najwyższą sumę pożyczki na jednego członka nie wyżej jak tysiąc złotych, prezes był poręczycielem ponieważ nauczyciel ani jego żo-

na nie posiadała żadnej nieruchomości. Oto dlaczego u nas tak marnie się rozwijają takie spółdzielnie kasy Stefczykoskie i różne kółka rolnicze mleczarnie i tak dalej. Przekonałem się sam, przez dwuletnią działalność moją nie byłem przez nikogo kontrolowany oprócz delegata ze związku rewizyjnego. Nasz wiejski ludek taki łatwowierny naiwny czy też leniwy że jak raz wybierze kogoś na jakieś stanowisko to nie stara się takiego kontrolować a więc bez kontroli ze strony członków to prowadzi do nadużyć i kradzieży i wkońcu upadku organizacji, tam się jeszcze trzymają gdzie trafia się ludzie w zarządzie uczciwi albo też ze strony członków jest ktoś co pobudza do kontroli. Otóż będąc w komisji rewizyjnej przy radzie gminnej gdym chcieli przeprowadzić rewizję gospodarki gminnej okazało się że ostatnia rewizja była dokonana przed dwoma laty i to jeszcze taka była rewizja że sam sekretarz gminy robił sam protokół bo członkom komisji rewizyjnej nie chciało się czy też nie umieli zestawić protokołu ze swej czynności. Musieliśmy przez to odłożyć rewizję na wolniejszy czas zimowy gdzie musieliśmy slinczyć cztery dni z wieczorami na takie czynności i jedna taka rewizja pokazała nam że za te pieniądze które zostały przywłaszczone przez urzędników gminnych byłaby już mogła być wybudowana chociaż skromna łaźnia. Ale naturalnie i ja nie mogłbym się podjąć rewizji czynności urzędników gminnych gdybym sam nie prowadził ksiąg kasy, przez to wiedziałem jak się wziąć do takiej rewizji no i drugim członkom pokazałem co i jak mają robić aby należycie nam praca szła i jeden drugiemu nie przeszkadzał. W końcu kwietnia przeniósłem się do Inowrocławia i zaraz wziąłem się do odszykowania tych domków i odbudowy stajenek których było potrzeba 15 bo tyła było lokatorów. Sam robiłem wszystko z synami, wstawaliśmy około czwarty rano, pracowaliśmy do ciemnego zmroku, na wrześnie było w porządku. Późni mój młodszy syn poszedł pracować do majstra a ja ze starszym synem dostałem prace przy budowie nowobudującej się fabryki sody w Mątwach. Z nastaniem roku 1930 zaczęli redukować robotników przez to nas zredukowali jako świeżo przyjętych w pierwszych partjach. Nie było się zaco uchwycić, do tego miałem długu sporo, ponieważ za swoje w Służewie otrzymałem 3500 złotych, trzy tys. odesłałem siostrze a te resztki obróciłem na spłacenie długu jaki jeszcze miałem, resztkę na budowę stajenek ale mi brakło przez to zmuszony byłem sprzedać swe narzędzia jakie posiadałem do pracy. Widząc że nie będę w stanie spłacić długu którego było pięć tys. a obawiając się że ten dług

może mi zjeść to co ja w to włożyłem, postanowiłem sprzedąć ale nie było nabywców na takie nieruchomości gdzie dochód był minimalny, do tego właściciel nieruchomości był tylko poprostu sługą swych lokatorów. Przez to sprzedąłem przybudówkę która była w lepszym stanie bo była nowsza i przynosiła lepszy dochód. Siostra w tem mieszkała i go też nabyła za sume pięć tysięcy zł., cztery tysiące odesłałem siostrze do Ameryki a tysiąc złotych pozostawiłem sobie, które obróciłem na handel ptastwem jajkami no i owocym, do tego kupiłem konia i wóz handlowałem rok ale czasy nadeszły coraz gorsze tak ptastwo jako też jajka spadały w cenie tak że śmiesznie niskie ceny ofiarowywali na targu, cóż na tem można było zarobić, do tego po roku nadesłali mi podatek obrotowy i dochodowy który dochodził do 300 złotych, suma wyższa jaką posiadałem w obrocie tak że po zapłaceniu nie było zaco wykupić już patentu i z czem handlować. Sprzedałem konia i wóz, zbudowałem sobie małą kuzienkę ale i tu pracy nie miałem ponieważ staro założone warsztaty zwijały swe interesa albo redukowali pracowników tak że nie miałem pracy, starszy syn ukończył kursa szoferskie dostał dyplom jazdy ale tylko poto żeby obsadzić w ramki i powiesić na ścianie ponieważ samochody redukowali więc szoferów była wielka moc bez zajęcia. Przez to wyczytałem ogłoszenie w gazecie że potrzeba kowala maszynisty na mały majątek, udałem się pod wskazanym adresem i zgodziłem się. Majątek był niewielki około 150 hektarów więc robiłem sam w kuźni i przy maszynie do tego i z drzewa też coś było trzeba zrobić bo stelmacha nie było. Starszy syn poszedł do wojska to chociaż ulżyło bo mu tam dali jeść i przyodziewek. A młodszy poszedł chodzić na zaciąg, szkoda chłopaka bo już nieźle robił w kuźni i mógłby być z niego niezły kowal a tak zapomni roboty który już się nauczył. Tutaj w tem R. jestem już dochodzi trzy lata ale tu dla mnie świat deskami zabity. Ja tu przeżyłem jak w lesie, wioszczyna jest nieduża położona w pobliżu Inowrocławia gdzie i do kościoła chodziliśmy do Inowrocławia. Ale z tutejszemi ludźmi nie mogłem się zżyć, co dla mnie było niewytłumaczone dlatego że gdzie tylko przebywałem nawet pomiędzy inną narodowością miałem wszędzie licznych przyjaciół. Tutaj pomimo tego że w Inowrocławiu było sześć wujów a więc dzieci po tych wujach żyją ale ja ich nawet nie znam wszystkich. A tu w R. też nie znam wszystkich gospodarzy, za trzy lata pobytu ani ja nigdzie nie byłem w mieszkaniu u nikogo i u mnie też nikt nie był. Co naprawdę żyłem jak w lesie co najlepiej odzwierciadla

życie ludzi z innych dzielnic. Dalej przekonałem się że mieszkańcy tutejsi wszyscy z małymi wyjątkami chorują na wielkość do tego że patrzeć bezstronnemu człowiekowi to prosto śmiech się mimo-woli ciśnie na próżność ludzką. Naprzykład żyje tu pięć lat i przekonalem się że rzemieślnik tutejszy nie wyróżnia się niczem od rzemieślnika z innych dzielnic Polski. Pomimo to nazywają siebie bez wyjątku mistrzami w swym zawodzie chociaż takiego mistrzostwa nie zauważyłem. Powinno być na mistrzów tylko kilku którzy rzeczywiście na to sobie zasłużyli przez zdolność w swym zawodzie. Ale tu ledwo że umie zrobić jakie takie obuwie czy ubranie czy upiecze chleb albo robi wyroby z mięsa, nawiasem mówiąc nie cieszą się dobrą sławą wyroby wędliniarzy, ale mu to nie przeszkadza nazywać się mistrz obuwniczy, mistrz krawiecki, mistrz piekarski, mistrz rzeźnicki, mistrz kominiarski. Nawet taki co to byłdo oprząta, co od wieków jeszcze w starem testamencie taki człowiek nazywał, siebie pasterz trzód, tutaj nazywa się szwajcar nadswajcar nie wim z jakiego to powodu czy dlatego że w Szwajcarji trudnili się w swym kraju pasterstwem czy też z jaki inny przyczyny, dla mnie nie jest to wytłumaczone czy to ładniej brzmi obce szwajcar jak polskie pasterz. Nie pisze to w mym pamiętniku tego aby ośmieszyć tutejszych ludzi tylko dlatego jaki panuje duch czasu, przecie te ludziska nie są winni że niemiecka szkoła wpajała w nich przez całe siedem lat conajmniej te wielkość że Niemcy ponad wszystkie narody aż coś przylgnęło i do naszych rodaków którzy przecie chociaż bronili się mocno przed germanizacją jednakowoż coś niecoś przyswoili sobie niektóre rzeczy godne naśladowania ale niektóre prosto śmieszne. Mój pracodawca a raczej jego ojciec który ma teraz 85 lat przed wojną posiadał zaledwie niecałe dwasta mórg magdeburskich czyli 50 hektarów i był zwyczajnem sobie bogatem chłopem i sie tego nie wstydził ale w czasie wojny przez jakieś tam zarwanie ziemi koło jego zabudowań kompanja sody zmuszona była mu wypłacić za budenki tyle że sobie kupił 300 mórg wraz z zabudowaniem przez to się stał bogatszem. Na chłopów już patrzal zgóry, do ślachte nie ma wstępu i żyje wyłącznie sam do nikogo nie idzie i nikt do niego nie przychodzi, chłopów się już wstydzi do panów nie jest proszony. Naturalnie ten stary ojciec często mnie powtarza że syn który dzierżawi majątek gdzieś w Płockiem wie od jakiegoś hrabiego księdza że ten ksiądz wynalazł w księgach że ich rodzina to herbowa ślacha herbu jaźwiec. Ja patrze na staruszka i śmieje się z próżności ludzkiej, ten starowina

dożył do siedemdziesiątego roku życia i był chłopym, dziś że uchodzi już za bogatszego bo jeździ kareta do kościoła, posiada cztery folnalki koni, sześć rodzin na deputacie do pracy, musi koniecznie uchodzić za szlachcica i wymyśla sobie w głowie jakiś herb a na tem herbie jaźwiec, ja patrze i myślę toć ty akurat podobny jesteś do tego stworzenia tylko z tą różnicą że to zwierzątko jest mocno włosym obrosnięte a ty i twój syn macie łysiny gołe jak kolano. Ja jestem biedny kowalina ale żeby mi mówił, mijajmy się, weź moje posiadłość i żyj takim życiem jak ja a ja wezmę twoje, tobym nie chciał boć patrzeć na życie takiego starego kawalera co to za życie nikt go nie lubi nikt nawet łzyby nie uronił. Chorował ciężko prawie całe lato, nie słyszałem słowa spółczucia od nikogo może rodzina dla oka ale w duchu cieszyła się że brat zamrze rychło to odziedziczy dość znaczny majątek po bracie czy wuju. Ma sześć rodzin na deputacie ale jak traktuje tego robotnika gorzej od swego psa, wyjątkowo że ja mógł przebyć trzy lata i to z wielkiem trudem ale nieomal co roku godzi świeżych ludzi a tych bez ceremonji wyrzuca na ulice którzy nie mogli najść sobie innej służby, tak patrząc na życie mego pracodawcy to przychodzi człowiekowi na myśl że ten człowiek specjalnie żyje nato żeby dręczył słabszych od siebie, istnieją towarzystwa opieki nad zwierzętami żeby nie byli dręczone przez niedobrych ludzi ale niema towarzystwa żeby nie pozwalali się znęcać nad ludźmi. Jestem tu trzy lata i chociaż mój pracodawca jak i jego ojciec jak każdy endek uchodzi za gorliwego katolika, ale nie widziałem nigdy w kościele fornala czy pasterza za cały czas bo nie da jem na to czasu, chyba że syn go zastąpi a jak niema syna to i do kościoła nie może pójść. Bo ten człowiek wymaga żeby ludzie do oprzętu przychodzili przez zimowe miesiące o czwarty rano a odchodzili o 9-tej wieczór tak ze stajni jak i z obory a w letnie miesiące o 3-ci rano do 10 wieczór i włodarz z niemi musi pilnować, gdy który z nich się spóźni, pan dziedzic wytrąca mu za każde spóźnienie dwa złote, niedosyć na tem ale nakrzyczy że cała wieś słyszy, za małe uchybienie krzyczy na swych robotników zelży gorzej od niestworzenia, od tego ciągłego krzyku to już nie może krzyczyć a tak mrałczy. Jakie życie prowadzi taki robotnik u takiego pracodawcy gdzie swych dzieci widzi tylko o tyle co zje obiad na który ma wyznaczony czas pół godziny, rano wstaje dzieci śpią, przychodzi wieczorem dzieci śpią, jakie życie takiego robotnika fornala czy pasterza który żyje z końmi czy bydłem po 18 godzin na dobe a tylko sześć godzin dla wypoczenku, nic też dziwnego że

ludzie chodzą jak cienie jak dziki że i świat im niemiły. Powiecie może czemu siedzą u takiego chama, naturalnie rok rocznie pomimo bezrobocia ktoś zmyka od niego ale naturalnie ten tylko siedzi kto musi. Takiego głupiego pracodawcy nie widziałem w moim życiu chociaż tułam się po robotach już 35 lat i to po obcych krajach. Nietylko że syn zwymyśla robotnika gorzej od zwierzęcia ale stary takich chłopaków płazuje kijem, nie zastanawia się taki starowina że mógłby oberwać. Ale sobie może przypomina że szlachta kiedyś używała takiego argumentu w stosunku do swych ludzi więc że i on teraz zrobił się herbowym ślachim musi też i metode szlachty stosować u siebie. Z dniem 1 kwietnia wychodzę nietylko z R. ale wcale z tych stron ponieważ rodzina moja już jest taka, pięć synów i trzy córki z których czterech chodzi do szkoły i uczy się bardzo dobrze, więc nie chcąc przerywać im nauki, tembardziej że w mieście lepsze siły nauczycielskie jak na wsi, pozostawiam swą żonę z rodziną w Inowrocławiu a sam idę pracować w kuźni ze starszym synem tam gdzie już kiedyś pracowałem w ciągu trzech lat, to jest na kuźni pomiędzy dość zamożnych gospodarzy, na stare lata zmuszony będę żyć niejako jak w separacji ale nie narzekam i tak jeszcze jest daleko lepiej jak za czasów niewoli rosyjskiej boć pamiętam gorsze czasy. Ale czy to tylko u nas w Polsce źle, brat i siostra piszą mi że w bogatej Ameryce ludzie mrą z głodu bo od roku grosza nie zarobili.

Dn. 8 stycznia 1934 r.

Pamiętnik Nr. 4

Gospodarz małorolny w pow.
rzeszowskim

Z południa wzgórza ciągnące się ze wschodu na zachód, pokryte gęstymi kępami drzew, z pomiędzy których wyglądają tu i ówdzie wąskie pasy pól. Które są jeszcze tereny równiejsze, stara się rolnik skrzętnie uprawiać lub zużytkować na pastwisko. Tereny zaś niedostępne jak urwiska, parowy lub zbyt strome zbocza górskie, pokryte są lasami szpilkowemi, w których przeważają jodły. Niżej u podnóża tych wzgórz na północ, stoją równolegle do wzgórz domy, które tworzą jedną stronę i jakby połowę wsi. Za temi domami niżej, w kierunku ze wschodu na zachód płynie rzeka Stobnica, po obu jej stronach ciągną się niebardzo szerokim pasem łąki (od 300—500 m. sz.).

Z prawej strony rzeczki za łąkami prowadzi droga powiatowa Brzozów — Strzyżów.

Koło drogi po obu stronach stoją domy, które tworzą całość wsi zwanej L..... Należy teraz do powiatu Rzeszów po kasacji powiatu w Strzyżowie.

Z północnej strony wsi też ciągną się wzgórza niższe trochę od południowych i nie pokryte już częściowo lasami, gdyż w tę stronę ciągną się przeważnie pola mieszkańców wsi. Za polami na najwyższym szczycie na szerokiej płaszczyźnie tak z południa jak i z północy, leżą lasy należące do właścicieli tabularnych p. Walacha, Hirszfelda i Wilnera.

Wioska ta niegdyś była własnością p. Zakliki (wschód) i Straszewskich (zachód).

Z nieznanym mi bliżej powodów państwo to pobankrutowali (zdaje się że długotrwały pobyt i hulanki poza granicami kraju były przyczyną bankructwa), a wioskę nabył wtenczas Haskiel

Wallach, wiejski domokrażca, który trudnił się drobnym handlem, skupował jaja, skórki królicze a nawet, jak starsi opowiadają, stare szmaty skupował na przerób papieru, czy tam czego.

Więc nawet po nabyciu dóbr, niektórzy złośliwi nazywali go „onucarzem”, na co on się nie obrażał, bo rzeczywiście onuce skupował. Z początku wziął najpierw dzierżawę obszaru Zaklików. Szczęście mu jednak sprzyjało i fortuna, bo w niedługim czasie nabył drugi obszar dworu z zachodniej strony wsi od Straszewskich. Jeszcze potem nabył wieś Łęgi, a już przed samą wojną prawie miasteczko Niebylec od Drzewickiego. Z handlarza drobiazgów stał się panem i właścicielem 3-ch wsi, które potem porozdzielał między swoich synów i córki.

I.

W międzyczasie gdy rozgrywały się te wypadki wyżej opisane, służył mój ojciec we dworze w sąsiedniej wiosce Domaradz należącej do Biskupstwa łac. w Przemyślu. Dzierżawił tę wioskę w tym czasie p. Skałuba i ojciec mój był tam za „fornala”. (Obszar dworski L. sąsiaduje z obszarem biskupim, graniczy mały potok). W tym samym czasie przyszła też do służby do Skałuby panna Gruszkówna rodem z m. Wielopola pow. Ropczyce, za pokojówkę.

Rodzina Gruszków była liczna (8 osób), a przytem uboga (ojciec był stróżem na plebanji i spełniał różne posługi w miasteczku), a córka Małgosia była najmłodszą i musiała iść na służbę, aby ojcu ulżyć w biedzie. Reszta rodzeństwa już byli na boku pożeni. Z kolei kilku lat wędrówki po służbach w swojej miejscowości, dostała się do służby, aż do p. Skałuby. A ponieważ panna Gruszkówna była ładną i miłą dziewczyną, chociaż biedną, więc po rocznej tylko znajomości mój ociec, fornal, ożenił się z panną Gruszkówną pokojówką p. Skałuby. Znać że oboje przypadli sobie do gustu, iż tak wnet się pożenili.

A że ojciec (mój dziadek) i matka żyli wtenczas jeszcze i gospodarzyli na gruncie o obszarze około półtora morga (dokładnie 2614 sążni), więc sami się zbyt dobrze nie mieli, to też i synowi majątku dać nie mogli. Został jeszcze przy ojcu młodszy brat Mateusz. Nie było więc mowy o tem, aby do domu wracać, bo nie było poco, więc został ojciec w służbie dalej u p. Skałuby na ordynarji za karbowego i w tej służbie pozostał przez lat kilka. Aż gdy ojciec w

domu zmarł, a starsza siostra wyszła zamąż na bok, brat najmłodszy wyemigrował do Mołdawji i nie wracał, bo się tam osiedlił i ożenił, wrócił ojciec ze służby do domu, aby matce w gospodarstwie pomóc. I pozostał w domu razem z żoną. Dzieci mieli dwoje, 2 córki: Józefę i Annę jeszcze w młodszych latach i ojciec zawsze ubolewał, że nie ma syna. Jakoż jakby na pociechę na starość, bo w 50-tym roku życia matki mej, urodził się syn na pociechę ojcu, a siostróm na przekór, które się już nie spodziewały więcej rodzeństwa i nazwały mnie „dziedzicem”. I to słowo „dziedzic” często później złośliwie pod moim adresem było skierowywane, szczególnie przez siostrę Annę. Siostra Józefa wyszła zamąż jeszcze przed moim urodzeniem, za Stanisława W., który dostał posadę sekretarza gminy sąsiedniej. I chociaż Józefa przez to się usunęła z domu, w oczach siostry Anny zawsze pozostałem niepotrzebnym natrętem.

Wreszcie niespodziewana choroba przyszła na ojca i zmarł po półtorarocznej ciężkiej chorobie nie doczekawszy się ze mnie pociechy. Miałem wtenczas dopiero dwa lata. Śmierć ojca dotkliwie dotknęła matkę, bo i tak rozkoszy w domu nie było, a cóż dopiero kobieta sama pocznie na tak małym kawalku pola i to jeszcze z drobnymi dziećmi. Przedtem ojciec utrzymywał się z półtorej morgi pola własnego i tyleż dzierżawy na „pańskim”, uzupełniając te skromne dochody z roli pracą kołodziejską dla dworu i stolarską robotą w domu. I dobrze im się wszystkim działo. Chowano trzy krowy, które się pasły na dworskim pastwisku razem z bydłem dworskim, a trawę do dojenia przywozili z fos przydrożnych. Był więc i dochód z mleka, bo krowy były mleczne rasy holenderskiej.

Teraz po śmierci ojca cały ciężar utrzymania nas dwoje spadł na barki matki. Siostra już wtenczas wychodziła w wolnych od zajęć chwilach do pracy do dworu i sąsiadów. Ale dochody z tego stawały się coraz szczuplejsze.

Zaczęła się i siostra już teraz troszczyć o swoją przyszłość i powzięła zamiar wyjazdu do Ameryki północnej na zarobek. I niebawem zamiar swój wykonała. Pieniądzy na podróż naturalnie pożyczono, bo własnych w domu nie było. Zastrzegła sobie tylko matka zwrot pieniędzy pożyczonych, jak tylko przyjedzie do Ameryki a zarobi. Po wyjeździe do Ameryki zostałem teraz w domu sam rzeczywistym „dziedzicem”. I w troskach, niewygodach zacząłem rość.

II.

Gdy już zacząłem przychodzić do rozumu, a miałem lat 4 — 5, zacząłem pobierać lekcje wychowania. Sam z natury byłem swawolny, ale przez matkę byłem utrzymywany w ramach karności i posłuszeństwa. Nie pieszczono się ze mną wiele, chociaż byłem jedynakiem. Od najmłodszych lat matka wpajała we mnie wszelkie cnoty uczciwości i prawego życia w duchu katolickim i religijnym, które rzucone w duszę młodą zostały mi zachowane w sercu na całe życie. Dawała mi też różne rady, stosowne do późniejszego życia. Ustawicznie ze łzami w oczach narzekając powtarzała: — Oj sieroto, sieroto, jak ty będziesz żył, już ja ciebie nie odchowam, jużem słaba sterana, już umrę wnet, a ty zostaniesz na świecie sam.

A ja nie rozumiejąc i nie znając kłopotów życiowych nie odczuwałem matczynych trosk. Biadała nade mną, że niema o czym mnie dać kształcić, gdzie w jakim rzemiośle, bo niema o czym ani gdzie. Nigdzie żadnego krewnego, któryby mógł pomóc. Tacy jak i my wprawdzie byli, ale oni i tak mieli dość swoich kłopotów. Siostra jak pojechała do Ameryki tak za 3 miesiące się wydała za mąż i ledwo że drogę odesłała, pozatem nie przysyłała nic, bo jej mąż nie kazał, jeszcze się miał dopominać o spłat z jej części. Jedyna pani Skalubowa od czasu do czasu pamiętała o dawnej swojej służącej i podrzucała często matce jakąś starą suknię, która jeśli się nadała została przerobiona na mnie na jaką bluzczynę lub majteczką.

W domu w porze letniej przebywałem najczęściej sam, bo matka stale zajęta była w polu pracą. Trzeba było samej wszystko w domu zrobić i jeszcze do sąsiadów wyjść i do dworu, bo czynsz dzierżawny częściowo był zgodzony na odrobek.

Siedem dni żniwnych trzeba było odrobić, a pieniędzmi 26 koron austr. Najmowano tylko chłopą do młocki, do rżnięcia drzewa, poszycia dachu i tem podobnych robót.

Stałym takim robotnikiem był niejaki Jurek z D. Ten to Jurek był trochę stolarzem, trochę cieślą i u nas naprawiał różne stare sprzęty jak cebry, konewki, zaprawić dyle do stajni, poprawić żłób, czy postawić chlew, — to było jego specjalnością. On też zabrał wszystko co potrzebniejsze „naczynie” stolarskie po ojcu i matce mu je pożyczyła, mówiąc że jak chłopiec podrośnie to wtenczas oddacie. Nie zdążył jednak oddać, gdyż został skrytobójczo zamordowany w nocy we własnej chacie. Narzędzie stolarskie pożyczone przez niego przypadło, bo krewnych nie miał, a nikt nie wiedział

czy to było pożyczone i sprzedano na licytacji. Trzeba było złożyć zeznanie jakie to były rzeczy i przysięgać. Matka przysięgać nie chciała, bo mówiła że nie pamięta co było wzięte. Zabawek różnych, gałganków, zwierząt piszczących nie miałem, jak to dzieci miejskie mają, ani wózka z ochroną od słońca, ani piłki, słowem nic. Jedy-nym moim towarzyszem do zabaw, był stary domowy pies Burek. Z nim obaj gnaliśmy po krzakach, lasach i polach kąpiąc się w promieniach słonecznych i oddychając świeżym powietrzem. Nieraz aż w piersiach piekło od tego gnania. Mieliliśmy też i pewną misję obaj powierzoną, mianowicie pilnować kur od lisa, który nam je kradł. Co prawda to ja się bardziej bałem lisa, niż lis mnie, ale za to im ja się bardziej bałem, to też i bardziej krzyczałem, wrzeszcząc na całe gardło ze strachu, a Burek czemprowadził z szczekaniem gnał li-sa, kury ze strachu wtenczas też rozbiegały się na wszystkie strony z krzykiem. Wszystko to razem tworzyło piekielny harmider i lis, choć czasem zabił jaką kurę, to ją zostawiał aby się sam ratować ucieczką. Mieliliśmy wtenczas mięso z kury. Kiedyindziejby kury nie zabito, chyba żeby była chorą, zdrowej nigdy nie bito. Spełniał więc lis niejako rolę rzeźnika dla nas. A czasem robił nam szkodę wielką, zabijając kury prawie wszystkie, z 15 — 20 czasem zaledwie kilka zostało.

Skończyły się wreszcie i czasy mojej swobody. Nadszedł rok 1906, a w jesieni karta wzywająca mnie do nauki w szkole. Był znowu kłopot matce ze mną. Trzeba było się starać o jaki lepszy ubiór dla mnie. Dotychczas noszony przeze mnie garnitur t. zw. „majteczki” trza było zamienić na spodenki z paskiem i bluzkę uszy-tą z domowego zgrzebnego płótna, torbę przewiesilem przez plecy i hajda do szkoły.

Naturalnie z początku jako nowicjusz, zaprowadzony przez starsze dzieci sąsiada, czułem pewien lęk przed czymś nieznanem, ale wnet rozśmielełem się i już potem leciałem do szkoły z ochotą. Mówię leciałem, bo prawie całą drogę 3 i pół klm. przebyłem często biegnąc z powodu że nie mogłem zdążyć ze starszemi dziećmi, a do tego byłem dość wątpliwy i marny. Ale to jeszcze nie było nic, póki była jesień i ciepło. Gorzej było w zimie. Jak na to zima w 1906 ro-ku obfitowała w nadzwyczajne opady śnieżne, tak że miejscami le-żał śnieg na drodze blisko metra wysoko.

Póki było jeszcze znośniej to szedłem i rylem się w śniegu na-przód prawie kilometr, nim dostałem się do głównej drogi. Tu już było iść lepiej, czasami przejechał jakiś wóz czy sanie znacząc dro-

gę, szło już tutaj coraz więcej dzieci i już wszyscy razem za kolejami kół wozów. szliśmy w dwa rzędy długim sznurem do szkoły. Czasami zboczyło się z drogi na jaką ślizgawkę, ale to niedługo, bo szkoda butów drzeć i mamusia tak nakazywali, żeby po ślizgawkach nie chodzić. A gdy zima srożyła się coraz bardziej, śniegi spadły obficie, a mróz i zawieje śnieżne prawie nie ustawały. Wichry darły przeraźliwem i złowrogim świstem napępiały powietrze, a duszę moją przenikały jakimś tajemniczym, niewytłumaczonym strachem. A chodziliśmy na naukę po południu i w zimie wracałem ze szkoły do domu już o zmroku. Byłem zmuszony przerwać naukę jakoś przed świętami Bożego Narodzenia z obawy przed zmarznieniem. Bo trzeba wiedzieć, że na ciepło ubrać się to nie było w co. Przecież na wsi chodzi się tak zimą, jak latem w tej samej odzieży, z tą różnicą że zimą się nosi obuwie, a latem zawsze boso. Tak było i ze mną. Z nastaniem zimy wyfasowałem tak niezdolnie wielkie i ciężkie buciska, że więcej mi one męki niż ciepła dawały. Tak były ciężkie i niezgrabne, że czasami biegnąc, gdy zaryłem szpicami w śnieg, a głową i nosem uderzyłem o ziemię, to wstawszy znaczyłem po drodze ślady krwi, która mi się puszczała z nosa i szedłem wtenczas do szkoły z płaczem i dopiero nauczycielka kazała mi obmyć i obetrzeć. Były to buty kupione dla mnie na „wyrast” ponieważ ja miałem rość a buty nie, więc kupiono mi je tak wielkie, aby przynajmniej mogły starczyć na 3 zimy, co jednak okazało się niemożliwym. Starczyły ledwo na dwie i to z powodu, że pierwszą zimę nie chodziłem, bo przerwałem naukę. Gdybym był chodził całą zimę to by się były za jedną zużyły. Z nastaniem wiosny chociaż jeszcze bywały przymrozki, to w domu jeszcze się obuwałem bo matka nie pozwalała abym szedł boso, ale skoro tylko dostałem się na drogę to czemp prędzej ściągałem buty z nóg, zostawiałem w jakiejś najbliższej drogi chałupie i chociaż mróz szczypał jeszcze w nogi, leciało się wesoło z radością, że już nie trzeba butów na nogach dźwigać. Ale czy to z powodu tej przerwy w nauce zimą, czy też z braku dostatecznych postępów w nauce, świadectwa na końcu roku szkolnego nie przyniosłem i zostałem na drugi rok w pierwszej klasie. Zasmuciła się tem matka, że zły zrobiłem początek, ale też i nie łajała mnie tłumacząc sobie tem, że gdybym był chodził przez całą zimę, to bym był przeszedł. Dodawała mi jeszcze otuchy mówiąc: pamiętaj popraw się na drugi rok, staraj się i ucz się dobrze, aby ci się ta nauka na co przydała w życiu. Widzisz ja też miałam ubożego ojca, a przez to mnie do szkoły posłał, twój ojciec chociaż do

szkoły nie chodził, ale taką miał chęć do nauki, że chociaż go nie miał kto w domu uczyć, to obcych ludzi o to prosił, aby mu litery pokazano. I nauczył się i czytać i pisać i potem sobie gazetę zaprenumerował „Wieniec i Pszczółka” i zawsze ją głośno czytał, że ludzie ciekawsi przychodzili słuchać. Tak, tak, nauka to wielki skarb jednak. A wiesz przecie że majątku po ojcu nie zostało ci dużo, a z tego kiedyś części musisz spłacić jakbyś się w domu został. Słysząc że Staszek szwagier ma część Józczyną brać, no Hanka w Ameryce, ona tu pewnie już nie będzie, ale niewiadomo czy splatu żądać nie będzie. Więc ucz się dobrze to zawsze prędzej dasz sobie radę w życiu. Ja żebyś mogła, a stać mie było, tobyś cię i dalej gdzie do nauki dała, ale mię nie stać na to, a po drugie ja już coraz więcej słabsza, robić już nie mogę jak dawniej więc musisz zostać przy mnie i do śmierci mię dochować. I rzeczywiście, otucha ta wlana w moją duszę dodawała mi bodźca i już następne klasy przechodziłem po roku i kończyłem z postępek dobrym. I to na pochwałę matki zaznaczam i błogosławię ją za to do dziś dnia, że przynajmniej w spuściznie po niej nauka mi została. Bo dużo dzieci z moich lat nauki szkolnej w zupełności nie skończyło. Przechodziły zaledwie pierwszą i drugą klasę, a gdy już zaledwie czytać i pisać umiało to było ze szkoły „wymazywane” i szło albo do służby, albo pomagało rodzicom w domu. A ktoby to nakładał tyle na dziecko, żeby tyle mitrężyło, mówiono, niech się chyta roboty, i tak księdzem ani nauczycielem nie będzie. Bo na wsi dziecko od lat najmłodszych jest do roboty przyzwyczajone, a często są to nawet prace zbyt męczące; na przykład bawienie dzieci. Tu się nie trzyma nianiek. Starsze musi wybawić młodsze, a gdy to młodsze podrośnie, a jest jeszcze jedno, to to starsze idzie paść bydło, a to drugie znów musi bawić i kołysać, bo matka musi wyjść do pracy. A są domy gdzie tych dzieci jest i ośmioro, „co rok to prorok”, można sobie wyobrazić jakie to jest męczące. Ja tej męki nie zaznałem bo byłem sam jeden i mogłem się sam na kołysać do woli, bo musiałem mieć ze 3 lata jakem się jeszcze sam kołysał, aż przyszedł sąsiad i pożyczył te kołyskę dla swoich dzieci.

III.

Przyszedł smutek na matkę, który się i mnie udzielił. Córka Józefa za pisarzem w D. zachorowała na suchoty. Trzeba było iść i pielęgnować ją w chorobie i dzieci małe przypilnować bo ich było

troje, 3-ch chłopców. Matka moja często tam chodziła pomagać coś w pracy. Ja też chodziłem z nią, o ile nie szedłem do szkoły. Albo gdy przyszedłem ze szkoły to biegłem. Najstarszy siostrzeniec Władek był w moim wieku więc bawiliśmy się razem, a że było to w miasteczku w rynku przychodziły tam dzieci sąsiadów, bawiliśmy się razem.

Ale że przeszkadzaliśmy ojcu w pisaniu, czyniąc zgiełk, a matka chora też nie mogła wrzawy znosić, przepędzał nas ojciec Władek z domu na pole, często Władek coś oberwał za zbytki. Mnie matka potem zabroniła tam chodzić mówiąc że robimy wrzaski, a Józia chora się skarży że dość ma od swoich zmartwienia to ja tam nie muszę być. Tak mi tłumaczyła, czy jednak nie grała tu roli obawa przed zakażeniem, tego nie wiedziałem.

Choroba córki przynębiła matkę bardzo.

Co drugi — trzeci dzień musiała tam iść i zawsze coś wziąć z domu dla chorej musiała, zostawiając dom i wszystko na Boskiej Opatrzności. Ja do południa w szkole, po południu paść krowę musiałem. Cięższej polnej roboty jeszcze wykonać nie mogłem. Zajęciem moim było paść „Więcule”, kury ze szkody zegnać i pilnować, trawy garść urznąć do dojenia i wody ze studni przynieść w małym dzbanku. Wielkich konewek jeszcze nie mogłem unieść bo się mi po ziemi wlokły, bo nosidła długie były. Lubiałem też często polecieć do dzieci sąsiada B. mojego chrzestnego ojca, a gdy robota moja była nie zrobiona, matka wtenczas czekała na mnie z kijem. Nie biła mnie bardzo i mawiała że ją bardziej boli jak mnie gdy mnie wyciąć musi, ale musi żebym „boja” miał. Zato Burek koło mnie skakał i szczeakał żałośnie, jak by mnie chciał bronić. Umarła siostra. Śmierć jej pograżyła matkę w wielkim smutku i żalu, narzekała że lepiej żebym była ja umarła. Dobrego to zawsze niedługo na świecie, to było dziecko złote, niczem mi nigdy nie dokuczyła. Ale wyroki Boże są niezbadane i pewnie tak dobrze być musi jak się stało.

Szwagier nieczadługo ożenił się drugi raz, niedaleko za rynkiem w Domaradzu, z wdową bezdzietną. Dzieci miały w niej dobrą macochę, ale same były tak zuchwale, że ojciec tak często zajadłe bił, aż mu je żydzi wydzierali z rąk, bo niemiło było słuchać. Niedługo jednak cieszył się i on zdrowiem, suchoty udzieliły się i jemu. Zmarł także w dwa lata po śmierci pierwszej żony. Mówiła matka, że sam sobie był temu winien. Bo gdy był w młodszych latach subjektem w sklepie Kółka rolniczego, to mało jadł, za to wiele pił

alkoholu. Alkohol był przyczyną nieodporności organizmu. A on suchoty już tam nabyte ukryte nosił, aż zaraził żonę, a potem i sam stał się ich ofiarą. Mówiła też matka że przyczyną śmierci córki był jej najmłodszy synek Józio. Ten od urodzenia nie miał spania, tak że po całych nocach trza było go bawić i kołysać. Za to w dzień spał, ale matka jego spać nie mogła, bo ją czekała praca w domu i w kuchni. Przywołany lekarz powiedział że na bezsenność dziecka może poradzić, ale nie ręczy za skutki z tego wynikłe. To znaczy że mógłby on z tego powodu zostać później idjotą. Nie chciała o tem siostra nawet słyszeć. Już lepiej niech ja umrę z wyczerpania niżby on miał zostać kaleką. I poświęciła się dla niego.

Ja już chodziłem piąty rok do szkoły i uczyłem się dosyć dobrze. Jedynie rachunki były mi trudne. Niemiecki język dobrze pojmowałem. Nawet bawiliśmy się z kolegami „paplaniną” przez drogę ze szkoły i cieszyliśmy się z tego, że tak dobrze już rozumiemy język niemiecki.

Przyjechała też siostra Anna z Ameryki na kurację na świeże powietrze. Przyjechała z synkami („bojsami”) Władziem i Miciem. Miałem więc towarzyszków, z którymi się mogłem bawić. Jakiś czas było dobrze i zgoda, później ta zgoda zaczęła się psuć między matką i córką, czemu mnie dziwno bardzo było. Nie rozumiałem tego, że przyczyną nieporozumienia byłem ja. Siostra z dziećmi chowała się osobno, a my z matką osobno. Ja ta nigdy dotąd nic lepszego do zjedzenia nie widziałem, bo nawet chleba z masłem tyle zjadłem ile zostało od litry masła, to się zjadło a całą litrę trza było zawsze sprzedać, bo zawsze trza było i kupić coś i zapłacić podatki, robotników i t. d. A wszystko z masła i z jaj, bo innego dochodu nie było. Nie oglądał więc człowiek masła do chleba, a i chleba nawet często brakło i do szkoły musiałem iść głodny i głodny przechodziłem. A siostra żyła sobie po „pańsku”, bo jej mąż pieniądze z Ameryki przysyłał i nie żałowała sobie. A ja ze wszystkim chciałem się z nią dzielić, nie rozumiałem tego jak można w jednym domu nie ruszać tego lub tamtego. Gdy byłem głodny, to szedłem i krajałem jej chleb. Siostra skarżyła o tem matce, a matce i żal mnie było i siostry. I starała się mi wytłumaczyć że nie wolno jej ruszać, bo ona już nie chowa się z naszego, tylko ze swego. Siostra zaś kpiała sobie z naszej biedy mówiąc, gdy się matka skarżyła do niej że czego brakuje: To czego nie macie, dawniej wam nic nie brakowało to i teraz jeszcze na takim kawałku pola nie powinniście biedować. — Oj, Hanuś, Hanuś, jak ty mnie nie rozumiesz.

Wszak ty wiesz że jak ojciec umarł, to wszystko się zmieniło. A potem umarła Józka, a jak chorowała to mnie to dosyć kosztowało i wyniszczyłam się. A ty mi teraz dokuczasz że powinnam mieć! Ja od ciebie nie żądam żebyś mi dawała, ani chłopakowi nie każę żeby ci co ruszał, ale jak on co widzi czego on nie ma, to nie wytrzyma, bo dziecko, to głupi. Zresztą zamknij se a niech ja mam spokój, my tu nie zginęli jak ciebie nie było, to i teraz nie zginieemy. Ale i siostrze jakoś nie wystarczała ta suma co jej mąż miesięcznie przysyłał. Trzeba jej było więcej i pisała do męża, ale mąż odmówił tylko jej kazał do siebie przyjechać. Więc pojechała tym razem już na stałe, bo przekonała się, że niema tu w kraju co robić.

Odprowadziliśmy ich na drogę, gdzie razem z innymi emigrantami siadły na furę i pojechały. Pożegnaliśmy się i wrócili do domu. Ale w domu mnie coś rozebrało, co dotychczas tłumilem w sobie i zacząłem w głos płakać. Pyta mnie matka czego ty płaczesz? Ja nic. Bo nawet nie wiedziałem czego. Tak mi się samo czegoś płakało. Przywiązałem się tak do obu siostrzeńców, że gdy wróciłem do domu, odczułem że ich straciłem na zawsze.

Nadeszły wreszcie wakacje szkolne i ukończyłem piątą klasę. Uczyl na wsi tych najstarszych szóstaków kierownik szkoły Bączewski. A był to człowiek tak dobry, wyrozumiały i pobłażliwy, że rzadko kiedy karał. Wykłady jego były tak rzeczowe i stosowne do życia wsi, że słuchało się go jak kaznodziei. Lubił nam czasem opowiadać wesołe anegdotki, które jeszcze z większym zajęciem słuchaliśmy. A gdy już poznał, że z uwagą myślimy o dopiero co opowiedzianej anegdotce, wtenczas robił się poważny i słowami: uwaga, spokój! zaczynał właściwy wykład.

Więc opuszczało się w wakacje szkołę z uczuciem żalu, że nie będzie sposobności słuchać jego rzeczowych rad i wskazówek. Był zżyty z uczniami i ogółem wsi, udzielał chętnie rad, gdy się tylko kto do niego z zapytaniem zwrócił. I nie wiem czy dlatego że była to moja ostatnia klasa, ale dopiero jego nauczanie mi utkwilo w pamięci. Szóstej klasy już nie skończyłem, chociaż było to moim życzeniem. Matka coraz bardziej ustawała w pracy, a ja musiałem ją coraz więcej zastępować i wyręczać. Więc chociaż z żalem, ale musiałem się zgodzić z tem i matki posłuchać. Czasami jeszcze miałem sposobność choć książki przejrzeć i zapytać się o czem się w szkole uczą u kolegi Antka B., który kończył szóstą klasę. Ale to było za mało i nie wystarczało, aby domową nauką uzupełnić klasę. I tej szóstej klasy zawsze żałowałem, zawsze mi tak coś

brakowało, czego nie mogłem zdobyć nauką domową. Gdy zobaczyłem kolegów, co razem ze mną chodzili i szóstą klasę kończyli, okropnie mi było przykro. Nieraz mi się zdawało, że chyba już nie wytrzymam i pójdę jeszcze kończyć tę klasę. Ale potem założono Bibliotekę i chodziłem sobie wypożyczać książki to już się mi tak nie przykrzyło, gdym miał co tydzień coś do czytania. Zapoznałem się z literaturą sławnych pisarzy polskich, jak Sienkiewicz, Prus, Mickiewicz, Konopnicka, Orzeszkowa i wiele innych.

Było to w roku 1912 gdy skończyłem szkołę. Trzeba było imać się teraz pracy i gospodarki. Chociaż tej gospodarki niewiele było. A obchodzić się trza było bardzo oszczędnie, aby nie popaść w dług. Czasami przychowyaliśmy jakie ciele, ale jak się go sprzedawało to niewiadomo „którą dziurę najprzód zatkać”. Dla ratowania się przed deficytem zaczęła matka sprzedawać po ojcu gdzie jeszcze co zostało i tak poszedł warsztat stolarski za 5 koron, wózek na jednego konia za 10 koron, i co tylko było wartościowego zostało sprzedane względnie dane za robotę. Mieli niektórzy duże korzyści z matki, niektóre roboty były płacone w dwójnasób. Świń nie chowaliśmy bo mówiła matka: ja sama jestem świnią! odnosiło się to do wiktus naszego, bo rzeczywiście tak było że ziemniaki stanowiły wyłączne prawie pożywienie. Ziemniaki trzy razy dnia jak Boży rok długi. I to często gęsto na całe aby nie maścić, bo każdą litrę masła co się co tydzień zrobiło trza było sprzedawać. Masło skupował od matki zawsze domokrażca, żyd Moszek z Domoradza, który skupował też i jajka. Płacił czasami za masło do 2 koron, najtaniej 1,40 k. za litr., co matka uważała za ceny względnie dobre. Jajka zimową porą prawie były po 7 h. (3 za 20 halerzy). W lecie spadały do 3 — 2 halerzy.

Ale że sól biała kosztowała 20 halerzy kilo, nafta litr 24 h., a zapalek za 2 halerze pudełko, co było w nim przeszło 100 sztuk, więc można się było okupić i jeszcze coś na sprawienie ubrania butów i t. d. starczyło. Były to czasy dość dobre tak parę lat przed samą wojną. Ale u nas zaczęło się robić wnet gorzej.

Rola opuszczona przez gospodarza zaczęła powoli, a potem coraz bardziej dziczeć. Musiał przeczuwać to ojciec gdy umierał, bo za życia jeszcze uprosił mojego chrzestnego ojca, ażeby nam w polu zawsze koźmi robił. I trzymała się matka tego testamentu i robił nam zawsze chrzestny w gruncie przez lat 12 do samej wojny prawie. Aż we wojnę mu zarekwirowali na forspan jednego konia i został przy jednym, więc i sobie nie mógł w czasie zrobić. Że robił

sobie zawsze pierwszej to rzecz prosta. A gdy już sobie pozasiewał to wtenczas dopiero przyjeżdżał do nas. Przecie zawsze „pierwsza miłość od siebie”. Ale że robił dobrze tak jakby i sobie, to matka zawsze twierdziła, ja się zaś nie znałem wtenczas na tem.

Ale że uprawy racjonalnej wtenczas jeszcze nie znano, podobny rywek, nawozów sztucznych, zielonych nie stosowano, a obornika od jednej krowy nie starczyło na tyle, sama uprawa roli chociaż mogła być nawet i dobra, nie wystarczała. Urodzaje zaczęły się zmniejszać zrazu powoli, potem raptownie. Za życia ojca było lepiej, bo chowano trzy krowy, które się pasły na „pańskim”. A dokarmiano je w stajni jeszcze trawą z fos przydrożnych, które stale dzierzawiono, a było tych fos do dwa kilometry, więc się też urodziło, że obornika było dosyć, a chleba jak mówili nigdy nie brakło, stale zboże jedno drugim przysypywano lub sprzedano. Na ziemię oprócz własnej koniczyny dokupowano 3 — 4 wozy siana z łąk, było więc paszy dla trojga krów poddostatkiem.

Ale gdy wydano pierwszą córkę poszła jedna krowa na wiano, na chorobę ojca poszła druga i od tego czasu chowano już tylko jedną. Były to krowy przychowane jeszcze z czasu służby rodziców we dworze i były bardzo mleczne. Ostatnia Więcula była jeszcze z tamtego potomstwa i też była mleczna, ale na niej się ród zakończył. Przychować od niej cielę i dochować się znów młodej krowy nie można było z braku paszy. A Więcula już zestarzała się tak, że już nic jeść nie mogła i trzeba było ją chociaż z bólem serca sprzedać. Było to jakoś na wiosnę w 1913 roku. Sprzedaż Więculi była postanowioną. Przyszedł żyd handlarz z Domaradza i zaczął krowę godzić. Matka nie знаła się na wartości krowy i wydała cenę niską 160 koron, ale żyd jak żyd jak zaczął się targować, a ganić zaklinać, że to krowa stara, maść ma czarną to i mięso będzie czarne, twarde, tak matkę zbałamucił że ostatecznie sprzedała krowę za 120 koron. Dał żyd zadek 5 koron i poszedł mówiąc że po krowę przyjdzie nazajutrz. Ale przypadkowo zaszedł po coś do nas ojciec chrzestny. Mówi matka do niego: sprzedałam krowę kumie. — No ileście wzieni? No zgadnijcie? Wzieniście stówkę (Stówka była uważana za 200 koron spowodu że dawny reński przedewalutowany został na dwie korony, więc terazniejsze 200 koron słynęły jeszcze jako „stówka”). Ale gdzieś jeszcze do stówki kumie! Wzienam 60 reńskich. — A bójcie się Boga czegóście tak mało wzini. — A jo wiem co mi się w głowie stało, takam była strapiona, że nie wiedziałam nawet co mówić i robić. — A wiecie wy co, że wy kro-

wy żydowi nie dajcie tylko mu wróćcie zadatek i powiedzcie że krowy jeszcze sprzedawać nie będziecie. Żeście się rozmyśleli. A jakby zadatku przyjąć nie chciał to powiedzcie że i zadatek schowacie a krowy nie dacie. A jak przyjmie to mu wróćcie, a krowę potem wyprowadzicie na jarmark, weźcie ze sobą kogo znanego, co się zna ile krowa warta i sprzedacie. Ale nie za 60 reński, bo ta wasza krowa warta przynajmniej stówkę. — Kiedy ja się boję żeby z tego co złego nie było. — Nie bójcie się nic, ja wam na złe nie chcę, bo widzę że was szkoda. — A to niech wam da Bóg zdrowie żeście mi doradzili. Bóg zapłać kumie. No — no. Nie dziękujcie tylko mi posłuchajcie a będziecie widzieć że dobrze wyjdziecie. I tak zrobiono. Żyd po krowę przyszedł, ale mu jej nie dano. Zadatek ostatecznie przyjął. Odgrażał przytem że jak się dowie że krowa zostanie sprzedaną komu innemu to będzie skarżył. Skończyło się jednak na pogrózkach tylko. Za jakiś czas wyprowadziła matka krowę na jarmark do Niebylca, a do sprzedaży wzięła sąsiada, który handlował przygodnie krowami i znał się na wartości niby. Wzięto za krowę teraz rzeczywiście 200 koron. Kupił ją też handlarz żyd, który obiecał że poszuka dla nas krowę tańszą i młodszą. I wyszukał rzeczywiście tańszą i młodszą, chociaż mniejszą, która kosztowała 160 koron. Była bardzo wychudzona koszlawa, z giętym ku dołowi zadem, ale matka mówiła że to nic, że biedna. Ona się ta u mnie poprawi, żeby tylko chciała dobrą być. Jakoż że to było w maju, a już pastwiska dla jednej krowy u nas było dosyć, i ja tę krowę pasłem. Muszę tutaj nadmienić że grunt nasz otoczony jest z trzech stron głębokim rowem t. zw. „paryją”, którą z biegiem czasu wyrwała woda po ulewnych deszczach i roztopach wiosennych i jest ten rów głęboki i bardzo spadzisty. Nawet nazwa gruntu i domu naszego od tych paryj powstała. bo gdy się kto o nas o co pytał, to zawsze dodawał słowo „na paryjach”. Na grzbiecie tych paryj rosną drzewa, naokoło pola jest miedza i na niej pasie się wiosną krowę, bo później w lecie już nic nie urośnie bo słońce do drzew wypali, a także i korzenie drzew wyciągną wodę i soki.

Przestrzegala mnie matka, żebym nie gnał nad paryją tylko pasł koło domu, gdyż zdarzyło się że raz na równym miejscu koło studni ta krowa upadła i trzeba było ją dźwigać, tak była słaba i wygłodzona. Ale ja na przestrogę matki nie zważając pogałem nad paryje bo tam był cień i chłód, a krowa obgryzała młode liście z drzew. Po chwili chcąc się obegnać z baków zatoczyła się

w bok i runęła z wysokości kilku metrów na dno paryje. Z krzykiem pobiegłem po matkę do domu wołając, mamó, mamó chodźcie bo kmiotula wpadła do paryje. — A widzisz, nie mówiłam ci że nad paryją nie paś. A tyś nie usłuchał.

Zwołano sąsiadów aby krowę z paryja wydobyć jeśli będzie zdrowa. Ale nadaremnie, okazało się że została ona całkiem poprzetrącana i trzeba było ją dorżnąć. Od kupna do tego czasu upłynęło zaledwie cztery dni. Mięso zostało rozniesione po wsi i rozsprzedane, aby choć cośkolwiek pieniędzy się wróciło. Musiałem i ja kilka koszy roznieść. I opowiadać musiałem każdemu jak się to stało że krowę dorżnięto. Nawet docinków musiałem od niektórych słuchać, jak to jeden sąsiad mi powiedział, że pewnie musiałem na sosnę z krową chcieć wyleść i dlatego wpadłem z nią do paryje. Bolało mnie to bardzo takie docinki, bo przecież choć byłem winny, że z mojego powodu wpadła, ale nie zasłużyłem na to aby się ktoś ze mnie naśmiewał. I jakby na doświadczenie, za kilka miesięcy, temu co sobie ze mnie kpił, jemu samemu się stał wypadek z bydłem. Napasł na młodej koniczynie i ze wzdęcia zginęło mu dwoje bydła. Tak to kpiarze, Pan Bóg karze, a co mnie dziś, to jutro tobie mówi przysłowie. Byli jednak i ludzie dobrzy, którzy gdy się dowiedzieli, że była to jedyna nasza krowa z chęcią mięso brali, aby nas wspomóc. Rozsprzedano mięso prawie wszystko i uzyskano z tego 80 koron. Kilo sprzedawano po 40 h.

Poszła znów matka na drugi poniedziałek po drugą krowę do Niebylca. Pieniądzy oczywiście już brakło, bo te 40 koron co zostały od Więculi rozeszły się trochę na zapłacenie roboty wiosennej, a i przednówek był, głód dokuczał, trzeba było zboża kupić i ziemniaków. Kupiła jednak mama krowę inną za 120 koron. Sto dała zaraz, 20 miał żyd poczekać jakiś czas. Ale to była krowa djabeł jak ją matka nazywała. Paść ją już ja nie dałem rady, bo jak jej djabeł do głowy strzelił to się musiała wydrzeć i gnała czasem ze dwa kilometry po polach sąsiadów, robiąc szkodę. A że nie można było tyle szkody ludziom robić, bo gdyby się byli chcieli sąsiedzi mścić, a zaskarżył to może tą krową tą szkodę trudno byłoby spłacić. Więc trzymano ją w stajni. A mleka u niej jak na lekarstwo — pół litry.

Takiej krowy chować nie będę, mówi matka, bo nawet masła od niej nie zrobię, a z czego się okupię? Idzie jesień — trzeba na dzierżawę, podatki, robotników, na buty mnie i chłopcu, a ja bym jeszcze masło dokupić musiała dla zarobników (o sobie to się ani

nie wspomina). I sprzedano tę krowę. Kupił znów ten sam żyd w Niebylcu co od niego pochodziła za 100 koron. Teraz trza było już te 20 koron żydowi oddać. Zostało tylko 80 koron za które nie można było dobrej krowy kupić. Charakterystycznem jest teraz tutaj taki handel z żydami, którzy się trzymają następującej taktyki. Wzwieść kogo w krępy i nie puścić go. Kupią od kogoś krowę dobrą, zapłacą. I następczą mu zaraz drugą rzekomą lepszą a tańszą. A gdy kupujący ją kupi i przekona się że jest podłą, to ją znów sprzedaje oczywiście ze stratą, bo tę krowę oni już ją handlarze znają i nikomu jej kupić nie dadzą bo zganią. Zarabiają więc podwójnie, jeśli nie poczwórnie i to bardzo szybko — zaledwie krowa przejdzie z ręki do ręki już jest na niej wielka różnica ceny. W taki sposób kupcy małomiasteczkowi przychodzą prędko do majątku. Bywały wypadki że gdy się kto na handel puścił to w niedługim czasie stracił na tym handlu całą krowę lub konia. I zawsze ofiarą wyzysku nieuczciwych ludzi handlujących pada chłop.

Bo chłop ma siedem skór to trzeba z niego drzeć, jemu w zamian za to zostają do obdzierania chyba kartofle ze skóry. Ale powróćmy do odbiegłego tematu. Niektórzy radzili matce dokończyć jeszcze pieniędzy w kasie Rejfansena i kupić krowę dobrą. Ale matka odrzucała taką propozycję słowami — już nie chcę, stara jestem, umrę wnet a chłopcu by dług został, nie dość i tak na tym kawałku zostanie i tak trapić się musi, jakby kiedy części pospłacać. A bez krowy przecie nie można było być choćby dlatego, że obornika trza było dla sprawienia pola. Bez obornika niema gospodarki, zdecydowano się więc krowę gdzie pożyczyć. Było to wtenczas lato bardzo słotne, że woda stale zatopiała łąki i trawy zamuliła. Mieszkańcy z dolin nie mieli gdzie była paść i sprzedawano bydło kto nie miał czem chować. Wynajęto więc krowę od jednej kobiety. Młoda była i rasowa, ale niezdrowa, bo pasiona na zamulonej łące zarażona była motylami. Dano nam ją w tej myśli że u nas na pastwisku górskim wyzdrowieje. Chowaliśmy ją jakiś czas, ale daremnie, choroba zmagala się coraz bardziej i zmuszeni byliśmy ją oddać aby uniknąć sporu w razie padnięcia. Po oddaniu tej krowy wzięliśmy drugą, którą chowaliśmy dłużej coś z rok, ale potem kazali nam ją oddać i oddać trzeba było.

Niespodziewanie spadła na nas wiadomość z sądu o przeprowadzeniu czynności spadkowych po ś. p. szwagrze. Sąd w Brzozowie przestał wiadomość o śmierci do sądu w Strzy-

żowie o przeprowadzenie działu rodzinnego. Wyszły teraz na jaw niespodziewane szczegóły. Sąd miał za zadanie przeprowadzić podział części po ojcu, tymczasem okazało się, że nie wyspo-kojeni zostali brat ojca Mateusz i siostra Agata. Siostra Agata wzięła krowę od ojca niby jako splat ze swojej części, ale w sądzie nie została wypisana. Brat Mateusz jak wyjechał do Rumunji tak więcej nie dał znaku życia o sobie. Zawezwane zostały do sądu dzieci po Agacie już zmarłej, których było czworo, te złożyły w sądzie oświadczenie, że o wypłacie z części matki nie wiedzą nic. Matka mówiła że rzeczywiście wzięła w spłacie krowę w cenie 70 koron, ale że nie było to nigdzie zapisane, ani nawet w gminie, więc nie wchodziło to w rachubę.

Więc w rezultacie tych czynności sądowych dowiedzieliśmy się że jesteśmy dziedzicami po ojcu jednej trzeciej realności, która na nas troje stanowiła $\frac{1}{9}$ część, która to została przyznana mnie, siostrze Annie i trojgom dzieci po siostrze Józefie. Czyli po ojcu przyznano nam najpierw każdemu i każdej po 222 sążni gruntu. A drugie $\frac{2}{3}$ -cie trzeba było spłacić. Część po Agacie została oszacowana sądownie 120 koron, które matka miała spłacić do roku, a dzieci po niej zostały już teraz wypisane a ta część miała zostać zaintebulowaną na mnie. Część po Mateuszu na razie została. Dopiero miały być przeprowadzone poszukiwania a po roku w razie nie zgłoszenia się uznanie za zmarłego.

IV.

Wybuchła wojna. Jeszcze wzięliśmy na najem krowę od drugiej żony szwagra, te już chowaliśmy dłużej, aż nam od niej zostało ciele, które przychowaliśmy, a krowę oddaliśmy. Sama wojna w istocie nie dotykała nas zrazu, bo nikogo nie mieliśmy na niej. Aż armja austriacka zaczęła się cofać, wtenczas zaczęliśmy i my wojnę odczuwać.

Najpierw wstrząsający powietrzem huk był wstępem działań wojennych w naszej okolicy. To leciały mosty na rzece Stobnicy prawie równocześnie wyminowane w Domaradzu i Strzyżowie. Potem niekiedy tylko i strzały karbinowe było słuchać, wreszcie i to ucichło. Armja austriacka cofnęła się w Karpaty, ale na krótki czas, później Rosjanie cofnęli się za nami, a Austriacy znów zawitali do nas ale na krótko. Potem rozpoczął się znów odwrót armji austriackiej na dobre. Całemi dniami przesuwaly się niezliczone masy woj-

ską, artylerji i trenów w kierunku na zachód i południe. A że przez sąsiednią wioskę Domaradz prowadzi trakt z Przemyśla do Dukli, a z Domaradza prowadzi znów boczna droga na Strzyżów, więc i na tę drogę skierowano jakąś część wojska. Na jedną noc stanął w naszej wsi kwaterą 55 pp. ze Lwowa składający się przeważnie z żołnierzy Rusinów ze wschodniej Małopolski. Rozłożyli się nie tylko we wsi, ale i w bocznych naszych przysiółkach. U nas stanął w stodole pluton piechoty czyli „cug”. W domu nocowali frajter, kapral i firer, a do stajni wprowadzono trzy konie oficerskie. Myśmy położyli się spać bez najmniejszej obawy o swoją własność. Komora była zaraz przy stajni i niezamknięta. Na drugi dzień rano wszystko to wojsko odeszło. Zachodzi matka po coś do komory, zagląda do skrzyni gdzie był owies — nie zostało tylko na dnie a było go wszystkiego 2 korce. Zabrali go żołnierze koniom, w stodole zaś co było jeszcze nie młócone zwalili na ziemię aby im to zboże służyło za poślanie. A że padał wtenczas deszcz i błoto było wszędzie więc i to zboże zostało zdeptane i zmieszane z błotem w niemożliwy sposób. Nawet na kolację zbożem palili niemłóconem, choć drzewa naokoło było dosyć. A przecież byli tam gospodarze ze wsi, ojcowie rodzin, którzy wiedzą jak ciężką pracą musi człowiek zgromadzać żywność, zboże, aby miał czem żyć przez cały rok. A tak nam te plony zniszczono w barbarzyński sposób. Zniknęło także siano ze strychu, którego i tak było niewiele. Parę garnków nawet, co pożyczyli żołnierze, i tych nie oddali, ale porozbijane potem leżały na polu. W sadzie które drzewo było z owocami zostało poobijane i połamane. Słowem co tylko było do zjedzenia lub zabrania ze wszystkim się z nami podzielono. Zostały nam jedynie ziemniaki, bo te były jeszcze na polu niewykopane.

A my byliśmy bezradni, nie wiedzieliśmy co począć, gdzie się udać o wynagrodzenie szkody. Cóż, matka nie miała o tem pojęcia, ja tak samo com pierwszy raz wojsko widział. Nawet mnie to tak wiele nie obchodziło. Mnie ciekawiło aby się wojsku napatrzeć, które przez trzy dni coraz to nowe oddziały przesuwwały się. To ułani, to dragoni, to bośniacy, to znów treny, wozy sanitarne, nawet łodzie. Zdawało się że końca temu nie będzie, tak to wszystko szło i jechało dzień i noc. Przyszło wreszcie wojsko rosyjskie a armja austriacka cofnęła się w Karpaty na całą zimę, aż do wiosny.

Armja rosyjska nie wyrządziła nam żadnej szkody. Tylko przez dwa miesiące kwaterowało u nas trzech żołnierzy rosyjskich zbiegłych z frontu, którzy nie chcieli wojować bo jak mówili: za

co ja będę austriaka bił, cóż on mi winien, albo ja jem, toż to mój brat jak każdy człowiek, jeśli cesarzom się o co rozchodzi to niech oni się biją, a nie naród, który w wojnie nie ma żadnych korzyści. Byli to ludzie starsi, którzy mieli przeszło 55 lat, więc nie dziwota, że im się nie chciało wojować.

Byli to jacyś dobrzy ludzie, widać to było z ich mowy, a pochodzili skądś z Białorusi. Niczego oni od nas nie żądali jedynie garnka do gotowania strawy. Żywność przynosili sobie ze wsi. Przytem mieli przy sobie coś pieniędzy za które kupowali sobie tytoń „machorkę”. Tęsknili zawsze za domem za rodziną i z utęsknieniem wyglądali, kiedyż nastanie już „mir”? Pamiętam jeszcze scenę z ich obiadu wigilijnego, który u nas odbywali. Obiad ich składał się z barszczu, kartofli całych i tradycyjnej kuti, na którą daliśmy im pszenicy, którą w stępie obtłukli, a miodu wyprosili sobie u jakiegoś pszczolarza. Z nastrojem uroczystym jedli ten wojenny obiad, ale nawet go nie skończyli a każdy wybiegał w pole. Poco? Zdziwiłem się. Okazało się że żaden nie potrafił zapanować nad swoim wzruszeniem i wybiegał na pole aby ukryć łzy i tam się wypłakać.

Pewnie że każdemu wtenczas przyszedł na myśl dom rodziny, żona dzieci i wszyscy najbliżsi. Zapanowali jednak nad sobą i powrócili do domu ocierając łzy. Ha! trudno się woli Bożej sprzeciwiać i tak człowiek nie wie czy kiedy do domu wróci, jeśli taka będzie wola Boża. Raz człowiek się rodzi raz umierać musi. Tylko to jest smutne, że zdala od swoich w obcym kraju. Śpiewali sobie też często jakąś smętną piosenkę, której mało co rozumiałem, słowa z niej: „Oj, ta kraina nieznakoma mi była”, utkwily mi w pamięci.

Ich nawet nasza bieda bolała i chcieliby nam byli pomóc gdyby to możliwem było. Opowiadali nam o stosunkach w Rosji, że tam ludzie tak nie biedują, a lepiej żyją. A ja się ich pytałem czy to prawda, że Polaków w Rosji rząd rosyjski prześladowe, to oni mówili, że tak, ale tylko tych którzy się buntują i rządu nie chcą słuchać.

Obiecywali nam że na wiosnę przyprowadzą od kozaków konie i zrobią nam w polu. Nie dobyli jednak do wiosny, bo zabrali ich ze sobą kozacy, którzy kontrolowali po domach za zbiegami. Gdy odchodzili od nas mieli łzy w oczach. Bo szli na los niepewny, że może ich spotka śmierć za dezercję, ale iść musieli. Po przejściu wojsk austriackich zniszczone zostały drogi, bo nie były przygotowane na tak

ciężkie pojazdy, jak artylerja. Musiał rząd austriacki te drogi naprawić, bo były potrzebne do szybkich działań wojennych. Ogłoszono w gminie że potrzeba robotników do naprawy dróg. Poszedłem i ja, bo robotnicy rekrutowali się przeważnie z młodzieży, bo starsi byli na wojnie. Robota nie była ciężka, a płaca jak na te czasy dość dobra. Pracowałem 14 dni przy naprawie drogi w naszej wiosce. Liczono mi jako młodemu chłopcu 1.60 koron, starszym płacono 2 koron.

Cieszyłem się z tego, że już mogę sobie coś zarobić, bo był to pierwszy mój większy zarobek. Ale szkoda było mojej uciechy bo pieniędzy za te prace nie otrzymałem nigdy, a to z następujących przyczyn. Nie wiem jakim prawem do wybrania pieniędzy na robotników został upoważniony miejscowy wachmistrz żandarmerji. A było to przed samą inwazją rosyjską, więc i ten wachmistrz uszedł przed nią razem z niewypłaconymi pieniędzmi, a gdy po inwazji powrócił, też ludziom nie wypłacił z wyjątkiem kilku zaufanym. Resztę zatrzymał sobie. I nikt nie odważył się aby szukać prawa na tego pana, bo każdy bał się go obrazić — taką wielkość.

Wiosna 1915. Był przednówek, bo co nie zabrali żołnierze to była stokłosa (bo stokłosa się kilka lat za matki rodziła) i zboża na chleb już na wiosnę brakło. Ziemniaki się posadziło, to już na jedzenie brakło. Znów przeszła falą odwrotu armja rosyjska. Było to 8 maja. Na wzgórzach zwanych „kamieńcem” i karczmarówką usadowiły się dwie baterje armat rosyjskich, aby powstrzymać napór wojsk austriackich. Jeszcze tego dnia wieczorem słychać było strzelaninę z karabinów. Na noc był spokój, aż dopiero 9 maja z rana bitwa się zaczęła. Zaczęły baterje rosyjskie sypać ogniem na austriaków w stronę Krasny i Czarnożek i prażyli nieustannie do godziny 9-tej. Ale z lewej flanki od strony Domaradza zaszło im już wojsko austriackie. I znów z jednej baterji zaczęli szukać ukrytych baterji rosyjskich.

Ja prawie wyszedłem w pole na folwarczyska sadzić fasolę w ziemniakach i obserwowałem przebieg bitwy. Zrazu padały granaty to tu, to tam, ryjąc w ziemi wyrwy, a w górę uchodziły tumany dymu, które powoli wzbijały się w chmury. Jeszcze kilka pocisków wysłano i baterje rosyjskie umilkły. Widać było uciekających Rosjan, zostali tylko zabici i ranni. Jeszcze kilka pocisków wystrzelono tu i owdzie, jeden nawet wbił się w ziemię o kilkaset metrów od miejsca gdzie sadziłem fasolę, a mnie już strach ogarnął by jeszcze mnie nie wzięli za jakiego moskala i nie posłali do

mnie z jednego szrapnela, więc zeszedłem z pola do domu. Prawie przychodziłem do domu, gdy zobaczyłem posuwającą się w naszą stronę tyraljerę austriacką. Przeszli i poszli, teraz już spokojnie. Już więcej nie byliśmy świadkami działań wojennych. Z mieszkańców wsi nie zginął nikt, spaliła się od pocisku tylko jedna chałupa. W terminie bitwy wszyscy byli pochowani po piwnicach i dołach. Została nam tylko troska aby przetrwać przednówek. Próbowaliśmy żywić się burakami pastewnemi oczywiście kupnemi bo tańsze były od ziemniaków. Spoczątku dało się to jeść, bo słodkie dosyć były, ale później i żołądek zaczął się obrażać na taką djetę. Praca w polu czekała coraz cięższa, a sił coraz więcej ubywało. Nie dało się tak żyć dalej, trzeba było coś radzić, aby zboża kupić na chleb. A tu ani za co nie było, ani sprzedać co. Kury nawet kiepsko żywione zaczęły zdychać, matka mówiła że to pewnie z zaprawianej sinym kamieniem pszenicy sąsiada, który miał pole zaraz za naszym sadem.

Słowem „rozsypek głowy” jak matka mawiała, gdy się o coś trzeba było trapić. Ale chociaż ciężko, jakoś to przeszło. A gdy się człowiek doczekał nowych ziemniaków, to już było pół biedy. A gdy parę snopków żyta uzał chociaż zielonego to już było po biedzie — to już była radość. Doczekaliśmy się nareszcie krowy z tego cielęcia co nam zostało od najętej krowy. Mieliśmy wreszcie krowę własną. Mleczną nie była jako pierwiastka, ale przynajmniej kwaśne mleko do kartofli było. A masła chociaż doczekaliśmy się to zawsze sprzedać trza było na jaki „grajcar”. Ciężko jednak nam szło, coraz ciężej, już i ja zacząłem wychodzić na zarobek, do dwóra i do sąsiadów, tu i ówdzie, bo wojna była, to ludzi brakowało. I tak nie można było wystarczyć, a nie miało się nic ku lepszemu. Nawet do kościoła jeszcze w lecie chodziłem zawsze boso choć byłem już dużym chłopcem, bo miałem lat 15. Wstydziłem się już tego i chodziłem zawsze do kościoła rano. Po południu też robiliśmy z kolegami wycieczki do Domaradza, aby się przypatrzeć przechodzącemu traktem wojsku. I w czasie takiej wycieczki w jedną niedzielę popołudniu nastąpił jakiś zwrot we mnie, który pobudził myśli moje i serce. A powodem tego było młode dziewczę, śliczne jak anioł.

Stałem na moście oparty o poręcz i patrzyłem na rzekę przypatrując się jak żołnierz czyścił we wodzie konia. Za chwilę nadeszło kilka dziewcząt, które szły ze Starej wsi z kościoła i z ciekawości też stanęły na moście. Ja mimowoli obejrzałem się na nie,

ale wzrok mój padł tylko na jedną z nich i już oczu od niej oderwać nie mogłem. Coś mię tknęło, że stałem zarumieniony, a serce mi biło gwałtownie. Zawstydziłem się i spuściłem oczy, że nie wypada tak na dziewczynę patrzeć. One odeszły a ja zostałem. I stałem, a zdawało mi się, że ją jeszcze widzę i ona stoi przy mnie. Niestety to tylko w pamięci i w sercu obraz mi jej został. Przyszedłem do domu i zacząłem rozmyślać co to za jedna ta dziewczyna, bo jej nie znałem a tamte dwie co z nią szły, znałem — były z naszej wioski. Wnioskowałem z tego że i ona musi być naszą kiedy razem szły. Teraz jedynym życzeniem mojem było dowiedzieć się jakim prawem jej nazwisko i skąd pochodzi, ale jak się dowiedzieć? Miałem jednak te nadzieje, że zawsze się kiedyś dowiem. Tymczasem ukryłem te miłość w sobie i nikomu się nie przyznałem, wstydziłem się poprostu. Miałem dopiero 15 lat. A przecież jak byłbym tak ciekawy, to bym mógł być się zapytać mego kolegi, który ze mną był i znał ją. Trzeba było zapomnieć o tem wszystkim i czekać aż los sam zdarzy poznanie. Powróciłem do swoich zajęć domowych i już nie myślałem o tem. Tylko że dziwnie byłem zawsze zadumany. I upłynął znów rok w zwykłych troskach codziennych, a owej dziewczyny nie zobaczyłem nigdzie więcej. Aż umarł kierownik szkoły Bączewski. A że szanowany był przez cały ogół wsi, pogrzeb jego był wielkim i prawie cała wieś wzięła w nim udział nawet izraelici. Wtenczas to w kościele z powodu ścisku jakiego panował posunąłem się nieco bliżej ołtarza, gdzie było przestronniej i patrzę a moje dziewczę stoi naprzeciw. I znów więcej jej nie widziałem. Chodziłem w lecie z kolegami do brania fos na łące gdzie zarobiłem sobie kilkanaście koron, aby sobie kupić nowe ubranie. Ale tam trza było we wodzie stać boso, nie byłem przywyknięty i nabawiłem się jakiegoś reumatyzmu. Nogi w stopach spuchły i dokuczliwy ból odczuwałem, pracować mi się nie dało długo. Żał mi było że inni jakoś wytrzymali i zarobili sobie więcej. A tu by się było zdało, bo jakoś lata były nieurodzajne. Z domu nie było co sprzedać bo jeszcze dokupować trzeba było. Bywało nawet tak, że z pola zbierało się ledwo to co się wysiało. W życie więcej było stokłosy jak żyta, ale i ze stokłosy chleb mus było jeść. Pszenica się znów snieciła. Jeżeli najdalej do Wielkanocy wystarczyło to znów potem nie było za co kupić trzebaby to pożyczać, aby potem oddać. To znów na drugi rok brakło nawet czasem na zasiew wiosenny. Znowu pożycz. A jak i tego brakowało, to się siało rzadko, aby cały kawałek pola obsiać, a że podorywek się nie stosowa-

ło, bo szkoda pieniędzy tyle wydawać, a do tego jeszcze jak się posiało rzadko na lichej ziemi, więc nie dziwota, że urodzajów nie było. Chwasty natomiast rosły wspaniale.

Mówiła matka: Zboża niema, bo niema, ale za to pasza śliczna. Tymczasem tej ślicznej paszy ledwo starczyło dla jednej krowy. Konieczyny mało co siano, albo jak posiano to się trzymało i trzy lata, bo to szkoda pieniędzy co roku na konicz do siewu wydawać. Tymczasem wskutek takiej gospodarki w pierwszym roku, ta konieczyna nieszczególnie wyrosła, a w drugim i trzecim to już i pastwisko liche było. A jeśli się zostawiło na pokos to czasem 3 — 4 brzemiona w płachcie na plecach przyniosłem. Nie prowadziło się wtenczas żadnych rachunków, ale spodziewam się że dochód z pola dzierżawnego nie wracał nawet może kosztów dzierżawcy 26 k. nie mówiąc już o kosztach uprawy, nawozu i tych 7 dni obrobku. Zaczęła matka coś mówić, że trzeba pewnie na pańskim pole wypuścić, bo se nie damy rady. Ja się na to nic nie odezwałem. Zgadzałem się zawsze z tem że tak być musi dobrze, co matka powie. W niczem i nigdy nie oponowałem. Przecie starsza osoba musi mieć rozum i doświadczenie. Tylko że mię inaczej uczyli. Często mi powtarzali przysłowie: od młodości do starości rozumu się ucz i tak go wszystkiego nie posiedziesz. Co mnie w zdumienie wprowadzały te słowa: jakto przez całe życie uczyć się rozumu i tak być głupim to chyba niemożliwe?

I trafił się taki jeden chytry sąsiad, że skoro tylko posłyszał słowa matki, że trzeba pewnie pole wypuścić zabrał się zaraz do wozenia gnoju na to dzierżawione przez nas pole. Matka nic o tem nie wiedziała ale ja będąc przypadkiem na polu zobaczyłem i dałem znać matce. Zdziwiła się bardzo, że przecież nie dała na to rozkazu, że na serjo pole wypuści. Poszła więc zaraz do tego sąsiada mówiąc: co wy robicie, przecie ja wam nie kazała gnoju wozić na moje pole, anim nie mówiła że naprawdę pole wypuszcze, a choćbym i wypuszczała to bym była do dwora poszła o tem powiedzieć, a wy dopiero wtenczas moglibyście wziąć. A po drugie że były to słowa nieopatrzenie przeze mnie wymówione bom się zaraz potem rozmyśliła.

Ale nie pomogło nic rozmawianie, jeszcze zwymyślano matkę i musiała się nasłuchać przykrych słów i oświadczył stanowczo, że pole sobie on bierze, bo se gnoj już wywiózł. A miał ten gospodarz sześć morgów pola własnego i mórg dzierżawy na folwarczyskach

jeszcze poniżej naszego, więc że mu dalej było do tamtego, więc odstąpił go innemu.

Strapiona matka przychodzi i mówi: co my teraz pocniemy, S. pola nie odda, krowy nie uchowamy ze swego. Bo trzeba wiedzieć, że z tych 2.614 sążni pola własnego, do uprawy rolnej było około 1000 sążni², reszta las, ogród, zabudowania. Poszła matka jeszcze raz potem do tego sąsiada S. i chciała się zgodzić żeby przez jeden rok zebrał sobie z tego gnoju, to ona już zapłaci dzierżawę, a potem aby oddał. Ale ten się ani tknąć nie dał. No to co ja teraz pocznę nieszczęsna! Ale wpadła jej na to pewna myśl do głowy: Jakto, przecież musi gdzieś być sprawiedliwość. Może w sądzie? Tak zaskarżę go! I tak zrobiła. Sprawę oddała adwokatowi, jako że sama nie wiedziała gdzie się z tem udać, „do których drzwi”. Odbył się kilka terminów, nawet właściciela folwarku wezwano na świadka, ostatecznie jednak sąd przyznał matce słuszość i kazał pole nam oddać po rocznem użytkowaniu.

Trzeba było znów teraz wypłacić spłat dzieciom po siostrze ojca, które natarczywie się o to upominały, bo i tak z powodu wojny kilka lat się ściągało, miało się wypłacić jeszcze 1914. Sprzedaliśmy jałówkę, za którą się wzięło kilkaset koron, 120 się wypłaciło, a reszta poszła mnie na ubranie i buty i matce coś jeszcze zostało, to się powypłacało drobne długi.

V.

Zaczął się nowy okres życia. Jakaś radość zaczęła wpływać do serc ludzi.

Będziemy mieli nareszcie wolną Polskę. Nastaną może lepsze czasy. Zacząłem się i ja interesować życiem społecznem, politycznem. Zaprenumerowałem sobie już nawet tygodnik „Prawda”, ażeby lepiej śledzić bieg wypadków państwowych. Każde nowe zdarzenie kwestji polskiej przyjmowałem z entuzjazmem. Dostaliśmy do tego do parafji młodszego księdza katechetę, który rej wodził w gminie. Był czynny i energiczny. Wygłaszał wzniosłe patryjotyczne kazania. Za jego staraniem wieś zaczęła przybierać inny widok. Ożywił działalność Kółka rolniczego, które dawało już słabe znaki życia. Założył Koło kobiet, wzmocnił i pobudził Kasę Stefczyka. Zwalczał pijaństwo, rugował szynki, szczególnie się dając we znaki miescowym żydom. Zaczął czynić starania ażeby z oszczędności gminnych założyć fundusz na budowę nowego kościoła i w rzeczywistości

zostało złożonych kilka tysięcy koron, które potem jednak wskutek dewaluacji korony na markę stopniały prawie do zera.

Sprowadził kilka tysięcy sztuk drzewek owocowych, które rozkupili mieszkańcy wsi i rozsadzili je koło swoich domów. Był to człowiek tak czynny, że nigdy czasu nie chciał marnować, zawsze coś nowego musiał mieć do roboty. Kierował starszymi i młodzieżą, którą skupił w Koło Młodzieży.

Szkoda tylko, że krótko bawił w naszej parafji. Niecałe dwa lata. Później został przeniesiony gdzieindziej, a za kilka lat wyjechał do Ameryki do tamtejszej Polonji.

Projektował jeszcze założenie mleczarni spółdzielczej, ale niestety już nie mógł tego projektu w czyn zamienić. A szkoda, bo w tych czasach pieniądze ludzie mieli, bo brali zasiłki za mężów, ojców, a nie wiedzieli gdzie je na co obrócić. Jedni kupowali zbytuczne stroje, inni jakie materiały budowlane, bydło i t. d. Inni dawali na pożyczkę wojenną po parę tysięcy koron i do dziś dnia trzymają jeszcze kwity na nią. Byli i tacy co uporczywie składali nie roniąc i grosza, a za kilka miesięcy zaoszczędzone pieniądze nie wartyły nic prawie.

A możnaby było dużo dobrego zdziałać przy dobrych chęciach. W tym samym czasie została założona mleczarnia w Domaradzu i świetnie swe zadanie spełniała i spełnia do tego czasu. I ludność się dobrze ma i mleczarnia ma już dom wypłacony i zostanie jako pomnik nowemu pokoleniu.

My w czasie wojny i po wojnie nie korzystaliśmy z żadnych zapomóg, ani zgłoszone szkody wojenne nie zostały nam przyznane, ani zasiłek amerykański, o który się też staraliśmy. Byli tacy szczerliwi co dostali, ale my nie.

Dowiedziałem się pomału o nazwisku mojej dziewczyny. I zaraz powziąłem starania o jej wzajemność, ale byłem tak nieśmiały do niej, że nie oświadczyłem się jej osobiście tylko pisałem listy do niej prosząc ją o wzajemność. Aż dopiero po jakimś czasie odważyłem się jej złożyć pierwszą wizytę. Zrazu zostałem przyjęty życzliwie, tak przez nią jak i przez jej rodziców. I odwiedzałem ją już od tego czasu dość często, prawie co tydzień.

Dopóki zalecałem się jej sam, to jeszcze się mnie trzymała, ale potem miała i więcej konkurentów, więc w oglądaniu się za lepszą partją zaczęła mną gardzić. Bolało mnie to bardzo, bo byłem przekonany, że żaden z tych innych nie ma zamiaru się z nią żenić. Chodzili tylko tak dla rozrywki, spędzania czasu, a może tylko po

to, aby mnie przeszkadzać. Ja jednak nie dbałem na nic, byle tylko jej miłość zdobyć. Byłem ślepy i głuchy, nie widziałem żadnych wad w niej, tylko same cnoty. Tymczasem okazało się, że i wady były i ona nie była godna mojej miłości. I pomimo wszystko byłbym z nią nie zerwał, chociaż ona sobie tego wyraźnie życzyła. Doszło już do tego, że gdy ja przychodziłem, to ona z domu wychodziła nie stykając się ze mną wcale. Więc nie pozostawało mi nic innego jak się z nią rozstać i zerwać i choć mi to ciężko przyszło i walczyć musiałem ze sobą, ale zerwałem. Przedtem jednak delikatnie jej się zapytałem, czy nie będzie miała żalu do mnie z tego powodu. Zgodziła się na to, że wcale nie ma do mnie urazy z powodu zerwania.

Rodzice jej jednak nie chcieli mnie puścić, obiecywali mi, że wpłyną na nią, aby za mnie poszła. Co ona słysząc rozplakała się. Ha — masz ty aż płakać z tego, że oni ci każą za mnie iść, to lepiej, że ja se za tobą popłaczę, żeś za mnie nie poszła, jak bym cię miał bez przymus brać. Więc żegnaj Heleno P. Pogardziłaś moją miłością — pierwszą i najsilniejszą, o której pewno do końca życia nie zapomnę i byłbym szczęśliwy, gdybym był na Twoją wzajemność trafił. Ale trudno. Żal mi po Tobie zostanie, lecz będę się starał o Tobie zapomnieć. A może przyjdzie kiedyś czas, że ty pożałujesz tego kroku i swojej płochości.

Jakiś czas znosiłem żalobę w domu i nigdzie nie wychodziłem. Bo i nie miałem gdzie. Nie tańczyłem, ani nie miałem ochoty się uczyć tańca. Czasem dla rozrywki to wyszedłem do sąsiada, to graliśmy w karty, w zimowe wieczory w wózek czyli durnia, albo kiksa.

Wolałem jednak w domu coś czytać, gazetę lub jaką książkę. Matka zwykle z wieczora spała, bo roboty nie było. Zaczynał się adwent. Ale jeśli spała to i ja mogłem jeszcze czytać przy lampie, gdy się obudziła, to mi kazała iść spać, bo „szkoda światła palić”. Ty ta i tak księdzem nie będziesz, ani pisarzem, choć się tyle uczysz i czytasz. Jeszcze sobie oczy od światła zepsujesz — mówiła. Więc kładłem się spać i ja. Pociąg do książek miałem taki, że nawet podczas obiadu na stole miałem książkę i czytałem jedząc. A gdy było co ciekawego, to chciałem to połknąć jednym tchem. Lektura nie była zbyt nauczająca, bo na wsi brak jest lepszych książek. Za to częste były zwykle kalendarze i wydawnictwa czeskie, które uparcie słyną do dziś dnia, jest to źle, bo nie dość, że nie zawierają one nic pouczającego, same obce artykuły, to jeszcze przez ich zakup

wzbogacamy obcych. Należałoby już z tem skończyć raz, ale jakoś nie widać aby ktoś to zwalczał, a natomiast należałoby rozwinąć propagandę za kupowaniem wydawnictw polskich kalendarzy. Z za-miłowania mego do książek nauczyłem się i oprawy, bo gdy jaką książkę zniszczoną wziąłem do ręki to i oprawić ją musiałem. I tak rozbierając i składając nauczyłem się introligatorstwa. Później na konkursie urządzonym przez pow. Zarząd Kół młodzieży, poznałem narzędzia, które sobie sprawilem.

Koledzy po zerwaniu z Heleną śmieli się ze mnie, że owdowiał i czynili wywiady co teraz zamyślam czynić. Czy też będę szukał sobie innej dziewczyny.

Najwięcej kolegowaliśmy z Władkiem N. i ten zaczął „nabierać z kantu”. Kpił sobie ze mnie, że pewnie myślę może do Helki się wrócić. Ale nie, chyba bym głupi był. Wiesz co, chodź ze mną kiedy na Zatyle, tam są grzeczne dziewczęta, może ci się jaka spodo-ba. I poszedłem bo było niedaleko, bo Zatyle graniczy z naszym przysiółkiem Kobyłą, w którym ja mieszkam. W pierwszą wizytę nie wpadło mi nic szczególnego w oko. Nie mogłem się w niczem zorientować, jak to pierwszy raz. Zresztą chciałem być ostrożniej-szy w wyborze, bo na pierwszej zawiodłem się choć była tak ładna. Teraz się rozmyśliłem, nie będę uważał na ładność, byle tylko była miłą i dobrą, a chciała mnie kochać. Nie pragnąłem także bogatej bo wiedziałem, że bogata za mnie też by nie poszła.

Już za drugim razem zdecydowałem się zawrzeć znajomość z dziewczyną sierotą, która była wychowana w Zatyłu od młodości u babki, matka jej bowiem umarła jej gdy miała trzy lata.

Dopóki babka jej żyła, to i życie jej było znośne, ale babka umarła po wojnie, to ostatnia córka została na miejscu gospodynią i mąż jej teraz z wojny wrócił. Zaczęli na niej utykać i kupić jej nic nie chcieli, dając jej przez to do zrozumienia, aby poszła sobie. Ale gdzie miała pójść? Chyba na służbę. Dziewczyna była samotna i trwożliwa, bała się służby bo jeszcze nigdzie nie służyła. Ale mus to wielki pan, jak mówi przysłowie. I spodobała mi się ta dziewczyna: Karolina jej było na imię. W swoim smutku i zmartwieniu była tak poważna i jakaś tajemnicza, że mi to zaimponowało. A gdy się dowiedziałem przyczyn jej smutku, jeszcze więcej mi jej żal się zrobiło. Żebym mógł jakim prawem jej pomóc, uszczęśliwić? Chyba się ożenić z nią i wezmę ją do siebie, niech ma miejsce i zabezpie-czony byt.

Ale to były takie myśli na przyszłość. Narazie ani żenić się nie

chciałem ani mogłem. Zostałem zaasenterowany do wojska i niebawem miałem być powołany. I rzeczywiście 2 lutego 1920 zostałem wcielony do szeregów 46 p. p. Strz. Kres. Na czas ćwiczeń odtransportowany zostałem do 5 baonu, który miał miejsce postoju w Samborze. I tak się rozstaliśmy ja do wojska, a moja znajoma na służbę do Haczowa. Pisywałem do niej listy, aby ją rozerwać, żeby jej się nie przykrzyło. Coprawda, to i mnie też było weselej gdy list od niej dostałem. Matka pisała mało. I czasu nie miała i oczy i ręce już nie odpowiadały. Siły ją coraz to bardziej opuszczały, a tu raty, ciężar utrzymania gospodarstwa na nią spadł. Należałoby mnie było reklamować, bo sam jeden byłem, a matka miała przeszło 70 lat, ale ja nie chciałem, bo mi się podobało wojsko. Ale wnet straciło i ono swój urok, gdy się przekonałem, że nie taki smak jak się zdaje. Tembardziej, że ja w domu miałem wolność wszechstronną, a tu trzeba było słuchać i być podwładnym. I chociaż zdawać by się mogło, że przecież i żołnierz jest człowiekiem, często nie jest traktowany po ludzku. Łada jakieś uchybienie niewinne, niedbałość jest powodem zgromienia lub kary. Prawda, dyscyplina jest potrzebna i karność, ale i żołnierz powinien być traktowany więcej po ludzku. A to była wojna. Żołnierz głodował. Jedyne podniecie i pociechę to były papierosy i tytoń. Jedzenie było tak marne, że raczej świnie by można niem żywić. Zmarznęte kartofle i marchew pastewna stanowiły główny posiłek (obiad). Kto jeszcze był z domu zachowany i teraz mu z domu posyłki posyłali, to przeklinał i nie jadł. A kto z domu przyszedł pusty i pomocy pieniężnej nie miał, ani prowiantowej tak jak ja, to i to jeść musiał.

Oburzali się bardzo kucharze, gdy widzieli jak „wiara” obiady niesła na dwór i wylewała. Na rano wypileś bracie herbaty pół litry bez chleba, boś go z chytrłości zaraz sam zjadł, gdy go jeno rozkrajano. I to mało co słodka, rumem ją tylko jakimś czuć było. I hajda na pole. Było po czem latać! Z powodu pustego żołądka człowiek był słaby. Śpiewać! Nikt się nie odzywa. Śpiewać!! Co, nie będziecie śpiewać?! Biegiem marsz! Padnij!... Powstań. Pomogło. — „Wojenko, wojenko”, — płynie piosenka, raczej z musu niż z ochoty. Potem ćwiczenia różne polowe, marsze i t. d. i znów śpiewać — powrót do koszar. Chwila odpoczynku. Rozdział chleba, tytoniu, śledzi. Tych śledzi też nie brakowało, urodziły się widać dobrze, bo wszystkie garnizony niemi zapchano i do Sambora też spora ilość tego przyszła. Trzy do cztery razy w tygodniu się faszowało po dwa, a słone były okrutnie, że gdyś zjadł jednego, trzeba

było bezustannie wodę pić, która potem podczas ćwiczeń w brzuchu jeno chlupała.

Obiad jak wspomniałem trwał do godziny pierwszej. I znów zbiórka na pole. Teraz odbywała się szermierka, sztuczne rzucanie granatami, próba strzelania, atakowania, rozwijania tyraljerek i t. p. Trwało to do godziny piątej i szóstej, kolacja, potem wolne od zajęć do dziewiątej, i apel. I wszystkoby było dobre, gdyby nie głód z powodu nieodpowiedniego odżywiania. Też to wnet z tego powodu ubywało z szeregów żołnierzy, a przybywało coraz więcej w szpitalu. Na domiar złego z powodu nie prania bielizny załęgło się robactwo, które dokuczało dotkliwie. Dwa miesiące upłynęło i kończyło się nasze wyszkolenie. Mielśmy lada dzień odjechać do pułku, a potem w pole. Wstąpił nowy duch i zapał do serc żołnierzy! Nareszcie skończy się nasza bieda. W polu będzie lepiej. Mnie spotkało co innego. Prawie w wielki czwartek poczułem się jakiś nieswoj. Zaboląła mnie głowa. Ale to nic, jeszcze chodziłem, a że wypadła na naszą sekcję kolej pracy, poszedłem i ja. Za pracę, na kolację, dostawało się podwójną porcję. Jeszcze ją zjadłem, ale rano dostałem silnej gorączki. Podałem się do lekarza. Po zbadaniu gorączki, która wynosiła 39,9 stopni, zawyrokował: szpital wojсковy Sambor. Ohlało mnie gorąco strachu i zimny pot wystąpił na mnie. Aż tak! Nie spodziewałem się, że tak chory jestem. Ale co mi jest, na jaką chorobę jestem chory, tego mi lekarz nie powiedział. Domyślałem się, że to będzie tyfus. W wielką sobotę dostałem się do szpitala. Zaprowadził nas jakiś kapral, który nas pierwszej obwiódł po całym mieście za swoimi sprawunkami i zaprowadził nas pierwszej do szpitala zakaźnego. Okazało się, że nie do tego byliśmy przeznaczeni, więc wracaj do szpitala głównego, który mineliśmy. Słaby byłem już tak, że ledwo iść mogłem i wyglądałem, aby jak najprędzej się dostać na przeznaczone miejsce, aby się położyć. Nareszcie oto i brama szpitala. Przekroczyłem ją z jakimś dziwnym uczuciem. Przesiąknięte mury sal zapachem jodoformu, chorzy spokojnie leżący na łózkach, sanitariusze i siostry obsługujące dziwnem wrażeniem mnie napawały. Zdawało mi się, że dostałem się do jakiegoś więzienia, z którego będzie jedno tylko wyjście — śmierć. A chociażby? Czy w polu nie mogłaby mnie spotkać śmierć. Tak... Ale tamta jest o wiele znaczniejsza i zaszczytna. A tu w szpitalu? Fe, co za tchórzostwo! Przecież może nie umrę. I nie powinieniem umrzeć. Dom mój rodzinny... Wieś. Matka. Dziewczyna... Nasuwają się myśli. Gorączka działa. Marzę. Towarzysze moi idą na

ćwiczenia. Spiewają. Idą weseli rozradowani, bo oto po świętach mają odjechać w pole. A ja tu zostać muszę i leżeć. Jakże smutno! O przynajmniej pożegnać się z nimi muszę.

Wielka niedziela 4 kwietnia. Urządzono i w szpitalu jedną salę na zbiórkę chorych lżej żołnierzy na święcone. Zwlokłem się i ja. Zdawało mi się, że jakiś zdrowszy jestem. Zasiadliśmy wszyscy do wspólnego stołu. Składano sobie życzenia dzieląc się jajkiem, niejednemu wyszły łzy na powieki, ale szybko je ocierał, jako że wstyd aby żołnierz płakał. Owszem, powinien mieć twarde serce. Przyszedł ksiądz kapelan i wygłosił jakąś okolicznościową przemowę. Ale nikt nie zwracał uwagi na jego słowa, nudna i monotonna była jego mowa. Każdy powracał do łóżek. Ja się wróciłem też i zacząłem się ubierać, mając iść odwiedzić kolegów w koszarach. W szpitalu nie wolno jest wychodzić za bramę przy której zawsze warta stoi, ale mnie to nie robiło żadnej przeszkody, nauczony byłem od młodości w cywilu spinać się po drzewach, górach i szkarpach. Wyszedłem tylną bramą, przelałem żelazny płot i skoczyłem z muru na ulicę. Przyszedłem do koszar porozmawiałem z kolegami i wróciłem się do szpitala. Ale coś we mnie wlało, że nie dało mi usiedzieć. Nie widziałem się jeszcze z kolegą z mojej wioski Władkiem N., z którym razem zostaliśmy pobrani do wojska i rozdzieleni zostaliśmy w Samborze, bo on stał w innych koszarach t. zw. ułańskich za miastem. Mało się widywaliśmy. Postanowiłem jeszcze z nim się widzieć i poszedłem do niego wieczorem. Wyszliśmy na miasto aby się trochę przejść. A że było to niedługo po pierwszym i ja żółd miałem jeszcze cały nie ruszany, chciałem kolegę ugościć i zawałem go do hotelu na piwo. Wypiliśmy po dwa i rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę bo nadchodziła dziewiąta. Władek obiecał mnie nazajutrz w szpitalu odwiedzić. Ja się wróciłem do szpitala po drodze wstępując do kina. Gdy przyszedłem do szpitala do swojej sali rozebrało mię nadobrze, już ledwo rozebrać się mogłem i cisnąłem się na łóżko jak bez duszy. Myślałem że usnę, ale nie mogłem. Gorączka się wzmogła i zapadłem w jakiś dziwny stan psychiczny, setki pogmatwanych myśli cisnęły mi się do głowy. Znów przyszedł mi na myśl dom rodzinny i matka. Jak ona tam staruszka sama sobie da rady. Ja nic jej pomóc nie mogłem. Jeszcze sam pomocy potrzebowałbym, ale że wiedziałem, że tam w domu nie ma z czego, więc ani nie pisałem nic o tem do matki, że się w szpitalu znajduje, nie chcąc jej zmartwienia dodawać. Tak myśląc i marząc zdawało mi się że coś się ze mną dzieje. Odczułem jakiś lęk

i ze zdumieniem poczułem, że „coś” czy ktoś przy mnie stoi. Otwieram oczy niema nikogo, a jednak wyczuwam to „coś”. Co to może być? A może już śmierć się czaji i zbliża. I pytam się niby „tego”, a jakby siebie w duchu. Ktoś ty jest? Ja jestem duch — słyszę odpowiedź. Czego chcesz odemnie? Chcę ci dać kilka ważnych odpowiedzi tylko się mię pytaj. Więc dobrze! Co tam matka myśli i robi w domu? Matka martwi się za Tobą, że sama jedna bez opieki została, chciała by cię jak najprędzej zobaczyć i abyś się do niej wrócił, powzięła staranie o uwolnienie ciebie z wojska. Ależ to niemożliwe odpowiadam, bo jeśli się tylko wyzdrowieje to zaraz mnie odeślą na front. A stamtąd już nie puszczą. Puszczą! Jakim sposobem? Takim, że ta twoja choroba jest tak skomplikowaną, że wywiąże się z niej Tobie pomieszanie rozumu. Zostaniesz odesłany do zakładu umysłowo chorych w Kulparkowie, po jakimś czasie odeślą Cię stamtąd do domu. Ach więc aż tak to straszne! Wcale nie takie straszne. Ależ... Przecie ja mogę zostać już potem na całe życie warjatem. Nie! Więc i nie umrę. I do domu powrócę do matki? Tak. A jak tam moje dziewczęta we wsi, czy Helka mnie zechce jak do domu wróć? Helka by cię potem chciała, ale z nią się nie ożenisz. Więc z kim, czy z jej siostrą Józefą. Też nie. Siostra Józefa umrze wkrótce w młodych latach, a z Helką się nie żęń, bo zostałbyś oszukany, będzie mieć dziecko nieślubne. Ożenisz się z niedawno poznaną dziewczyną K. B. i nie będziesz żałował, będziesz miał z niej dobrą kochającą żonę.

Po takich rewelacjach rzeczywiście można dostać pomieszania zmysłów.

Z jednej strony pociecha, a z drugiej przerażające wiadomości, Była późna noc. Zbudziłem sanitariusza, dając mu znać że coś strasznego się ze mną dzieje, jakieś widmo mnie prześladowe.

Poszedł przywołał doktora. Doktor pytał mnie o szczegóły owe go przywidzenia. Opowiedziałem mu wszystko. Powiedział, że to nic nie znaczy, to tylko tak z gorączki i jakiś rozstrój nerwów. Pocieszył mnie, aby nic sobie nie robić z podobnych przywidzeń. I poszedł. Ale ja nie byłem z niego zadowolony. Przesunęła się przez salę siostra. Skinąłem na nią i oznajmiłem jej, że życzę sobie księdza, aby się wypowiadać i być na śmierć zaopatrzony.

Zgodziła się i obiecała, że się postara o to, ale dopiero rano. Więc czekałem rano. Ale rano zamiast się uspokoić, wstałem i zacząłem coś pleść i przenosić się do innej sali i położyłem się na próżnym łóżku. Sanitarjusz przywołał mnie spowrotem na swoje miej-

sce. Położyłem się i wyjąwszy notes spisałem jeszcze całe zdarzenie z nocy z mniemanym duchem. Ale nie wierzyłem już czy to wszystko było na jawie czy raczej we śnie. Przeniesiono mnie do innej sali na oddział ciężko chorych, gdzie mi miano przysłać księdza i tu w tej sali pamięć się moja kończy. Straciłem przytomność.

Odwiedził mnie tutaj Władek N. z matką swoją, która przyjechała do niego przywożąc mu trochę żywności. Przez nią posłała mi moja matka chleb i ser i tu mi do szpitala ten chleb przyniosła mówiąc mi o tem. Pytała się mnie czy ją poznałem. Kiwnąłem głową że tak, bo słowa już wymówić nie mogłem, ani oczy moje nie rozróżniały niczego, ani przedmiotów ani ludzi, zaledwie głos poznawałem.

Matka Władka przyjechała do domu i zaraz dała znać moje matce, że jestem ciężko chory, beznadziejnie. Więc matka moja czempredzej zebrała co miała pieniędzy na podróż i wybrała się do Sambora, aby mnie zobaczyć jeszcze. Było to we wtorek po Wielkanocy. Podróż jej jednak była daremna, gdyż właśnie we wtorek po zauważeniu u mnie objawów szaleństwa odstawiono mnie pociągami do Lwowa. We Lwowie trzymano mnie jeszcze tydzień, a ponieważ krążyła o mnie wersja, że ta moja głupota jest tylko udawaniem, więc poddawano mnie różnym próbom i doświadczeniom psychiatrów. Stwierdzono jednak ostatecznie, że niema tu mowy o udawaniu. Bo rzeczywiście przez cały ten czas nie byłem przytomny, ani nie wiedziałem gdzie się znajduję. Zdawało mi się że już nie żyję, a ta cała moja podróż to podróż na tamten świat. A gdy ze Lwowa z jakiegoś szpitala w końcu wsadzono mnie na wóz i odstawiono do Kulparkowa, też nie wiedziałem gdzie się znajduję. Ale już na drugi dzień zacząłem powracać do przytomności. Zacząłem się rozglądać po otoczeniu. Wszystko inaczej jak w Samborze, nawet powietrze jakieś czyste nie przesiąknięte zapachem jodoformu i kreoliny z wychodków. Tylko chorzy taki dziwny mają wygląd, jakieś straszne oczy i twarze. Nikogo nie znam, ani nikt się do mnie nie odzywa, jakaś pustość i cmentarny chłód. Gdzie ja się znajduję? pytam siebie nic nie rozumiejąc ani dociekając. Odważyłem się zapytać o to siostrę miłosierdzia obsługującą trzeci pawilon w którym się znajdowałem. W szpitalu powszechnym — odpowiada. Jakim powszechnym, gdzie? Już niema odpowiedzi. Ale powoli powracając do lepszej przytomności dowiedziałem się sam. Mianowicie po zjedzeniu obiadu odruchowo jakby od niechcenia przewróciłem szelkę do góry

dnem. Patrząc, jakieś cyfry i znaki wytłoczone, przyglądałam się lepiej i czytam, Zakład Kulparków. Wysilałam swoją pamięć i staram się zebrać cały bieg wypadków poprzedzających aż tu moją świadomość. A więc to prawda co mi się w Samborze przywidziało i sprawdziło się rzeczywiście. Ale poco ja się tu znajduję wśród warjatów zdrowy. I odezwałam się z tem życzeniem do lekarza dyżurnego, że chciałbym aby mnie odstawiono spowrotem do Sambora do wojska, albo do Lwowa do jakiego bądź oddziału. Ale lekarz ów klepiąc mnie poufale po ramieniu z uśmiechem odrzekł. Do wojska już pan nie pójdzie chyba do domu, ale na to jeszcze trzeba poczekać. Więc miałem nadzieję, że kiedyś mnie stąd uwolnią. Za jakiś czas zawołano mnie do Komisji wojskowej, składającej się z kapitana i dwóch poruczników. Musiałem odpowiadać na pytania przez nich zadawane, z których wywiązałem się dobrze i wszystko było zgodne z prawdą. Pytano mnie więc z czego mi się to stało. Nie umiałem na to odpowiedzieć. Nie wiem z czego. A może czujesz jakieś wołanie w sobie do domu do matki. Tak, czuję coś jakieś wołanie, nie umiem tego określić, pojąć. Więc uznano, że tęsknota za domem była przyczyną choroby i pomieszania zmysłów. Ja jednak wątpiłem w to. Ot taki zwyczajny zbieg okoliczności tak się widocznie miało stać. Zostałem więc dalej jeszcze w zakładzie i byłoby dobrze, gdyby nie to, że gdy czułem się już zdrowy, poczułem tęsknotę za jakimś zajęciem; nie mogłem wciąż leżeć beczynn timer. I prosiłem aż o to, żeby mi dano jakie zajęcie. I posyłano mnie do robót w ogrodzie z dziewczętami jako nieszkodliwego. Szczególną sympatję okazywała mi pewna dziewczyna niejaka Frania, również z tego oddziału, który obsługiwała. Brała mnie do lepszych robót do pomocy, a ja chętnie szedłem. Przynajmniej z nią porozmawiać mogłem. Opytywała się mnie o wieś, dom, stosunki majątkowe i rodzinne. Wszystko jej jak było prawdą opowiedziałem. Coś zaczęła kombinować. Dowiedziałem się z niej również, że pochodzi z jakieś wioski od Przemyślan. Zaczęła mi przekładać, że jakbym chciał to mógłbym w Zakładzie stale pozostać, dano by mi jakie zajęcie i dobrze by mi było. Jednak odrzuciłem jej projekta. Tęsknota za wsią rodzinną, domem i matką silniejsza była niż obietnice jakieg tam posady w Zakładzie. Nareszcie jej dałem do zrozumienia, że zostawiłem we swojej wiosce dziewczynę, której ofiarowałem swoje serce. Już potem nie śmiała mnie nagabywać. Zdawała się nawet trochę złościć na mnie, ale ja udawałem, że nic nie wiem z tego, ani nie rozumiem. Pozostałem obojętny. Już mi się znu-

dziło tutaj i koniecznie chciałem, aby mnie wypuszczono. Ale daremnie. Nie wiedziałem czego. Aż w rozmowie pewnego razu z pewnym kuracjuszem ten mi oznajmił, że inaczej nie wypuszczą mnie, aż ktoś z domu przyjedzie po mnie. A trzeba do domu napisać. Jak napiszę kiedy nie mam nic przy sobie, ani listu, ani pieniędzy. Żołdu tutaj nie fasuję, a za te prace co tu pomagam też mi nic nie płacą. Trzeba kogoś o list poprosić. Ale kogo? Sposobność ku temu sama się zdarzyła. Właśnie odjeżdżała do domu na urlop pewna dziewczyna z innego oddziału i przyszła się pożegnać z Franią. Właśnie z nią froterowaliśmy podłogi. Dowiedziałem Franię. A co to za chłopiec, który ci pomaga? A to Twój rodak Broniu z Twoich rodzinnych stron. Tak? A to skąd? — zapytała przystępując do mnie i podając mi rękę, którą życzliwie uściśnąłem. W krótkich słowach opowiedziałem jej co ją obchodziło i wyraziłem życzenie, że chciałbym się dostać do domu, a nie mogę. A to dlaczego pan nie napisze do domu, aby pana zabrano stąd, bo już jest zdrowy. Nie piszę poprostu dlatego, że listu dostać nie mogę. Mówilem już o to coś ze dwa razy i doktorowi i siostrze, ale obiecali, a nie dostarczyli.

— O jeśli o to panu tak trudno, to ja panu przyniosę list, zaraz i wybiegła wracając wkrótce z listem. Napisałem prędko ten list i wręczając jej dziękowałem jej z góry za współczucie i fatywę. Skoro list do matki przyszedł, sprawił jej wielką uciechę zem zdrowy, natychmiast zebrała jak mogła sumę potrzebną na podróż i wysłała po mnie Piotra W., na którego żądanie wypuszczono mnie z zakładu. A miano mnie we wsi za straconego. Rozpowiedzieli o mnie, że już nie żyję, że zostałem otruty i t. p. rozgłaszano plotki. Byli i tacy co namawiali matkę aby mnie do domu nie ściągała, co wam po warjacie, mówiono, jeszcze do jakiej okazji z nim dojdziecie. Ale matka nie słuchała, pragnęła mnie zobaczyć zmartwychwstałego, bo już mię opłakała jako nieżyjącego. 17 czerwca byłem już w domu spędziwszy prawie dwa miesiące w Kulparkowie. I już od tego czasu w domu pozostałem. Dopiero się teraz dowiedziałem, że reklamowano mnie i że do domu powróciłem jako reklamant. Dokumentów żadnych mi nie wystawiono, bo te leżały w kadrze w Samborze. Należało mi więc po drodze po nie do kadry się zgłosić, ale mi nikt o tem nie powiedział. Jeszcze wezwano mnie w sierpniu do komisji poborowej razem ze wszystkimi reklamantami, ale okazane świadectwo z Zakładu w Kulparkowie uchroniło mię od poboru. Nie dano mi jeszcze spokoju, ale co jakiś czas otrzymywałem wezwanie stawienia się co jakiś czas do lekarza powiatowego.

celem zbadania mego stanu zdrowia. Lekarz ten badał mnie bardzo powierzchownie, zadając mi dwa lub trzy zadania rachunkowe, które rychło rozwiązałem, bo były łatwe. I odsyłał sprawozdanie do komisji superrewizyjnej w Przemyśle. Ja ani nie przeczuwałem do czego to wszystko zmierza, bo ciągnęło się to tak kilka lat. Aż na ostatku przyszło na posterunek, aby mnie zawołano i aby wypełnić formularz coś 15 pytań przeze mnie wytłumaczonych. Te pytania były tak nastawione, że tylko dwa przyjąłem i odpowiedziałem: tak, a były to: Czy nie chorował kto w naszej rodzinie na jaką chorobę, tak chorował ojciec i umarł, ale na jaką chorobę tego nie wiem, bo mały bardzo byłem. Czy lubię czytać książki, tak. Lubię, lubię i lubię zwłaszcza gdy są ciekawe i pouczające. Te dwa pytania były decydujące, które wydały ostateczny sąd o nieprzyznaniu mi renty inwalidzkiej. Nie przeciwiełem się temu, bo rzeczywiście zdrowy się czułem, a udawać chorobę nie miałem sumienia, chociaż wystarczała by na to obiecana jaka łapówka posterunkowemu. Wszak wiem kilka takich przykładów, że są zdrowi ludzie, a że od urodzenia mieli jakąś wadę, to później przekręcili że z wojska ją nabyli. A takich jest sporo, bo wszędzie istnieje przekupstwo. Ja do takich rzeczy nie byłem zdolny. Lepiej biedować niż skarb państwa oszukiwać!

VI.

Już zostałem z wojska po tem badaniu całkowicie zwolniony. O przebiegu działań wojennych, które mnie ominęły, o „Cudzie nad Wisłą” dowiadywałem się z gazet. Ale ten od Wisły inaczej sobie przedstawiali, którzy w nim uczestniczyli. Opowiadali mi to później koledzy. Gdy się cofnięto pod Warszawę, sypały się na żołnierzy z okien ciastka, cukierki, papierosy, to był cud; żołnierz, który stale był głodny został nagle obsypany i obdarzony podarunkami, więc nabrał ochoty do walki widząc, że społeczeństwo przyczynia się do ulżenia biedy żołnierzy. I stał się cud. Wroga odparto. Miał być jeszcze jeden cud, nagroda żołnierzy zasłużonych — obdarzenie ziemią, którą własnymi piersiami bronili.

Dostało się to ale nie wszystkim. Teraz w Polsce ziemi brak. Wysunięto też w tym czasie na czoło rządu wodza ludu Witosa. I może właśnie to dodawało chęci i odwagi olbrzymim masom synów chłopskich do walki. Brońmy Polski do ostatniej kropli krwi, bo ona będzie naszą. Patrzcie, oto chłop stoi na czele rządu, bę-

dzie Polska ludowa. Jakże się srodze zawiedli ci, którzy mieli nadzieje. Dziś inaczej oni już myślą. I znowu te same codzienne prace mię czekały jak zawsze.

Po powrocie do domu napisałem też list do swojej znajomej dziewczyny, donosząc jej że jestem zdrowy i znajduję się już w domu. Wiadomość o tem przyjęła z radością, odpisując mi dziękowała za list i za pamięć, bo nie spodziewała się mię, bo i do niej doszła fałszywa wiadomość o mojej śmierci. Pisała, że listy moje sprawiają jej radość, bo niema nikogo ktoby ją pocieszył i smutno jej było między obcymi ludźmi. I za jakiś czas przyszła do dawnych swoich wychowawców, gdzie ją odwiedziłem. I powoli przyjaźń nasza zaczęła się zacieśniać. Polubiłem ją, miałem ją za swoją narzeczoną. I upłynął znów jeden rok. Mnie w domu a jej na służbie. Na drugi rok poszła na służbę do Krosna. Daleko bo przeszło trzy mile ode mnie była, ale sercu zato bliska. I drogi dalekiej, też do niej nie żałowałem, odwiedzając ją co drugi miesiąc. Czasem i ona przychodziła do Domaradza. Więc widywać ze sobą mogliśmy się co miesiąc mniejwięcej i to krótko kilka godzin zaledwie, bo daleko było, a że pieszo podróż odbywaliśmy, tak ona jak i ja więc spieszyć się spowrotem trzeba było, ażeby przed nocą być w domu.

Za jakiś czas wyszedłem na targ do Niebylca. Spotyka mię sąsiad dawnej narzeczonej Helki i wszczyna ze mną rozmowę. W toku rozmowy zresztą obojętnej zapytuje się mnie dlaczego się nie żenię. Bo nie mam gdzie, odpowiadam. Jakto, jeszcze mało jest dziewcząt we wsi i po świecie? — Jest dosyć to prawda, ale nie mogę znaleźć dla siebie coś idealnego. Zresztą boję się aby mię jaki zawód nie spotkał, jaki mię spotkał z Helką.

A wiesz co, jakbyś się chciał z Helką żenić, to ona by teraz za ciebie poszła, tylko przyjdź, sama mówiła o tem, i żałuje Cię żeś od niej odstał. — Tak? Skąd taka zmiana u niej powstała? Wszak całe dwa lata wciąż się jej pytałem czy mię będzie chciała, to ona nie mogła się zdecydować na jedno słowo, aż ostatecznie powiedziała mi że nie. Teraz już zapóźno, po pierwsze że mam już inną, a po drugie ona zraniła mi serce i ja się jej już teraz boję. Noga moja u niej już nie pozostanie. Niech sobie o tem ani nie myśli, abym się do niej kiedykolwiek wrócił. Pewno że gdyby mię była nie odepchnęła i nie zgardziła mną, to teraz mógłbym się był z nią ożenić, a gdyby się jej było trafiło za kogo lepszego. żeby widział że szczęśliwsza będzie, to bym i tak był odstąpił. Wądz Ty przynajmniej szczęśliwa. Ale tak to na nic, gniewu nie czuję do niej,

ale wrócić się do niej nie mogę, nie honor byłby mój z terazniejszą zrywać. — Tak mówisz? Tak! — A szkoda, teraz matka jej obiecuje dać trzy morgi pola jakby się kto ożenił. Tak? A to skąd? Wszak jak ja chodziłem, to mi nieraz mówiła: — Ja Helci majątku nie dam, bo mam więcej dzieci, to mi jeszcze trzeba. A ja oświadczyłem jej, że nie żądam majątku, jedynie tylko Helcię. Więc teraz lepiej bym i ja skorzystał, ale na nic choćby nawet miała i 10 morgów mi dać, już się do niej nie wrócę. Taki jestem stanowczy. Mnie nie o majątek, ale o serce i miłość jej chodziło, a gdy tej miłości u niej nie zdobyłem, za nic mi wszystko morgi i majątek...

Ale może byłbym się i wrócił do niej, gdyby nie ta przepowiednia dana mi przy wojsku, w którą już teraz święcie wierzyłem, mając doświadczenie na spełnieniu się jej na mnie samym. Do tego czasu poszlak żadnych o niej słyszałem, ani przepowiedni owej o niej nie rozgłaszałem, nie chcąc jej odbierać dobrej sławy. W duchu to nawet pragnąłem, aby była szczęśliwa, żeby jej się dobrze trafiło wyjść za mąż.

I zapomniałem o niej, ani się nigdzie z nią nawet przypadkowo nie spotkałem. Starąłem się skierować całą miłość teraz ku Karolinie, co mi się zresztą i udało, widząc u niej dobre serce i skłonność do mnie. A obawiałem się, że pierwszej miłości nie będę mógł zapomnieć. Jednak zapomnienie przyszło wnet. I trwała ta moja nowa miłość i czułem się szczęśliwy. Bo czasy narzeczeństwa to nadzwyczaj są wesołe chwile, które długo zostają w pamięci. A narzeczona moja pozostawała w służbie w Krośnie przez trzy lata. Rozmawialiśmy ze sobą listownie, od czasu do czasu odwiedzając się wzajemnie raz ja ją, drugi raz ona mnie, tak że co miesiąc prawie widywaliśmy się. I upłynęły nam tak trzy lata dość szybko. W końcu trzeciego roku coś mojej narzeczonej zaczęło być źle. Robota ciężka była, bo służyła całe trzy roky w jednym miejscu, a inne dziewczęta zmieniano co chwila tak, że i trzy i cztery dziewczęta do roku były, a ona musiała każdej nowej wszystko pokazywać i uczyć co ma robić. Nareszcie i sama została, a za dwie robić trzeba było. Nie mogła tego znieść i we wrześniu wypowiedziała służbę państwu u którego służyła. I przyszła na Zatyle do swojej ciotki, aby sobie trochę wypocząć, a potem znowu pójść na służbę, bo u ciotki jej teraz już nie potrzebowali, bo swoje dzieci mieli dorosłe do pracy. A ja dowiedziałem się teraz o spełnieniu przepowiedni o Helce. Tak się rzeczywiście stało, jak mi ta przepowiednia mówiła. W czasie pobytu narzeczonej w Zatyli odwiedzałem ją często i na-

reszcie zdecydowaliśmy się pobrać. Tembardziej że i matka już podganiała mię do ożenienia się, bo siły opuszczały ją coraz bardziej. Ale ja nie śpieszyłem się, bo czekałem jakiej okazji, aby zdobyć co pieniędzy, które mi potrzebne były na różne opłaty weselne. Ale że okazja taka się nie trafiła, bo chociaż nam już lepiej teraz było jak we wojnę, ale tak żeby coś pieniędzy odłożyć można było, nie dało się.

Więc trudno było tak dalej czekać. No to żęńmy się ale jak? Kto nam wesele robi? Wiesz, że sama jestem, nie mam nikogo kto by me poratował. Ze służby ja nic nie złożyłam sobie, bo waluta tak leciała, że za to com się zgodziła, to ledwo się przyokryć mogłam, gdy mi przy końcu roku wypłacili.

— Więc może we czwór ślub weźniemy?

— E, tak jakoś nie wypada. Jak jaki pogrzeb, wołałabym już nawet nie pójść. Choć jakie takie wesele trzeba zrobić. — Więc czekaj, my tu jakoś uradzimy. Wiesz ja chowam jałówkę, to ją sprzedam i będzie wesele. Nie, tak niedobrze, ty jałówki nie sprzedaj, może się dochowamy z niej drugiej krowy, ja mam inny sposób. Napiszę do brata do Ameryki, może on mi na wesele co przyśle. I spodziewam się że mi nie odmówi. A żeby się to długo ściągnęło zanim list do Ameryki zajdzie, to tymczasem tu gdzie pożyczymy pieniędzy. No niech i tak będzie.

Więc pożyczyłem 10 dolarów, które zamienione na marki stanowiły sumę dość pokaźną. Kurs był wtenczas dolara wysoki około 300.000 M. Dość że za dolara można było dostać więcej jak dwie litry spirytusu (130 tys. kosztował litr). Za te dziesięć dolarów wesele mieliśmy jak na nas nawet duże i dobre. Przytem z domu także coś było swojego jak mąka, masło, i t. p. Jedynie mięso i trunek i cukier i inne drobne artykuły kolonjalne kupić trzeba było. Ubrań zbytkownych nie sprawialiśmy wcale. Ja do ślubu poszedłem w tym jakie miałem, ograniczając się jedynie do kupienia sobie białej krawatki. Ona także w sukni używanej i pożyczonem welonie. Pierścionki także były ostatniej sorty. Słowem oszczędność posunięta do ostatnich granic. Bo gdybyśmy sobie byli chcieli pozwolić, to tych dziesięciu dolarów może na ubranie dla nas by nie starczyło. A zrobić gościom huk — a sobie dług, czy to się opłaci? Wszak dzisiaj tak młodzi robią według zasady: zastaw się a postaw się! I zastawia się i robi się dług na tysiące zł. Od kapelusza, aż do najmniejszego guzika w ubraniu tak młodego jak młodej wszystko musi być nowe, świeże najnowszej mody. Nawet drukowane za-

proszenia ślubne się rozsyła, starając się we wszystkim naśladować miasto. I gdyby na to wszystko były zaoszczędzone pieniądze, to by jeszcze nie było nic złego. W wielu wypadkach bywa jednak przeciwnie. Albo się pożyczają lub kredytują. A potem trzeba kichać z tego kilka lat. Wiem takich przykładów kilka.

Rozpowszechnił się też w ostatnich latach szkaradny zwyczaj po wsiach. Gdy się odbywa jakie wesele we wsi, to nietylko zaproszeni goście są gośćmi, ale zaraz się wali na nie zgraja opryszków i nieproszonych elementów, którzy zaraz spokój na weselu zakłócają. Doszło do tego, że nawet na kilku weselach goście puciekali, a nieproszeni pozostali cisnąć się za stoły i domagając się jadła. Zatracił się też przez to swojski dawny charakter wesel wiejskich, które były żywym odbiciem zabaw ludowych. Ale też dawniej przysłowie weselne: Kogo nie proszą tego na kiju wynoszą święcie były zachowywane. Dziś doszło do tego, że na wesele woła się policję dla pilnowania porządku, a sprawiającemu wesele każe się składać kaucję w gminie, że będzie spokój. Natomiast coraz więcej odbywa się ślubów cichych bez muzyki i zabawy. Albo kończy się wszystko za dnia przed wieczorem.

Wesele nasze odbyło się względnie spokojnie. Chociaż także ze zmrokiem skończyliśmy zabawę taneczną na boisku, później jeszcze bawiono się w domu. Goście którzy mieli dalej z Domaradza odeszli też wcześniej. Ślub nasz odbył się 13-go listopada 1923 i od tego czasu Karolina została moją żoną. Wesele odbyło się u mnie w moim domu. Przenosin żadnych nie robiono, bo już po ślubie została u mnie. Ciotka i tak jeszcze przed ślubem życzyli sobie aby poszła do mnie, ale to jakoś nie wypadało.

Majątku nie posiadała wiele, pół morgi pola w Zatyłu, który oddali jej dziadek i za pół morgi wypłat z ojcowizny pod „Palonką”, które jej miał brat złożyć. Niedawno brat przysłał żądane dziesięć dolarów, które się oddało. Niebawem i wypłat w sumie 60 dolarów też przysłał. Tyle posiadaliśmy na początek. Trzeba było więc rozpocząć życie „na własną rękę”, aby jakoś czegoś się dorobić a nie dać się ze siebie wyśmiać ludziom. Zacząłem rozglądać się za jaką robotą. Zima była, o robotę trudno było. Ale trafiło się mi w góry do lasu za Sanok do ładowania sągów na kolejkę. Przebyłem tam półtora miesiąca w czasie najostrzejszej zimy, bo był to sezon spuszczenia z gór sągów „ryzami”.

Gdy mróz „puścił”, skończyła się robota. Za te prace przewiozłem bająnską sumę 25.000.000 Mp. Lecz co za to kupiłem? Za-

ledwie kapelusz, rękawiczki i pare drobnych sprzętów żonie do kuchni. Niepodobieństwem było zatem z zarobku żyć, jeszcze w ciężkiej robocie a lichy płatnej. Trzeba było szukać innej drogi do życia. A że przyczyniło się te pół morgi pola, więc może jako wyżyjemy z gruntu tylko rękawy zakasać, a pracować szczerze i tkwić na ziemi znojem i potem dziadów i pradziadów zroszonej. Może jako damy sobie radę. A zaczynał się już czas tak zwanej dobrej konjunktury i gospodarka zaczęła się opłacać. Ale że kawałek gruntu jest mały, to nie ma wiele na czem co przychować. Ot zaledwie aby się dało koniec z końcem związać i to jeszcze silnie trzeba te końce trzymać, aby się nie wysmykły. We żniwa 1924 r. przybył nam pierwszy potomek — syn, jak to zawsze pierwsze stanowił naszą pociechę. Ale powoli wkradła się z tego powodu niezgoda do naszego domu, a to pomiędzy moją matką a żoną. Ja naturalnie zawsze za żoną obstawałem, bo widziałem jej słuszość. Zrazu było wszystko dobrze, przed ślubem matka dała mi zupełną wolność i swobodę w wyborze żony mówiąc, żeń się gdzie chcesz i z jaką chcesz. Nie żeń się tylko u którego z S..., których grunt stykał się z naszym. Ale ja tam i bez zakazu bym się nie żenił, nie czułem żadnej sympatji do ich córek. I była matka zrazu zadowolona z mego wyboru, lecz później zaczęła żonie robić wymówki, — tego nie masz, a tamtego sobie nie przyniosłaś, wiana nie przyniosłaś, na mojem się chcesz dorabiać, a ty taka i owaka, co nie tylko żonę ale i mnie urażało i gniewało. Mówili jeszcze: ja sama jedna, was już troje, mnie dużo nie trzeba, ale jak wy będziecie żyć. Nie bójcie się mamó nic, wszyscy wyżyjemy, Pan Bóg o każdym pamięta i nie da nam zginąć, mówi żona. — Ale co mi ty ta gadasz, ja wiem swoje, ty swoje, ja ta z wami dalej żyć nie będę, ja się odłączę, ja sama jedna dam se radę, nie będę na was troje robić. — Naco się będziecie odłączać czy wy z wymowy wyżyjecie, mówi. Absolutnie nie! Z ćwierć morga? — A wyżyje. No to chyba jakim cudem. — Niech to ciebie nie obchodzi, czy cudem czy nie cudem. Jak mi braknie, to mnie ludzie wychowają. — Nie! mówię, — to się nie stanie, na waszą hańbę a na mój wstyd, ażeby wyście po prośbie chodzili na wasze stare lata, tu musicie się przy nas wychować i głowę położyć. Tylko trzeba się zgadzać, a nie kierować się jakąś dziwną zazdrością, jakżebyście dopiero mieli życie rozpoczynać. Doszło pomału do tego, że aż do gminy mnie ściągnęli do rzekomej jakiejś ugody. A nie było się na co godzić. W gminie u wójta powtórzyłem to samo co i w domu oświadczając,

że ani ich nie wyganiają, ani nie odłączam, rządy tylko obejmuję w swoje ręce nie w stosunku do matki, ale w stosunku całości gospodarstwa. I chce mieć tylko spokój i zgodę. Bo zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Ani do roboty ich nie gonię, ani rozkazuję. Już wam wczas spocząć — mówię czasem. A kiedy ja bez roboty żyć nie mogę, mnie się przykrzy, robota to moja radość, życie. No to róbcie co możecie owszem. Możecie nawet przy dziecku zostać, a my pójdziemy do roboty w pole. — A kiedy dziecko bawić to moja śmierć. Ano to nie musicie. Wobec takiego bezsensownego stanu rzeczy, wójt kazał matce do domu wrócić i zgadzać się. A mnie ich przyjąć. Owszem przyjąłem, bo nie wyganiałem. Po tem korowodzie w gminie był jakiś czas spokój, gdyż matka sami doszli do tego, że żądają rzeczy nierozumnych.

I żadnego innego wyjścia niema z tego położenia. Chcieliśmy sobie kupić świnie, aby co przychować. Matka wyśmiali się z nas. Wy same jeść nie będziecie wnet co mieć, nie świni będziesz dawać. Ano jak nie to nie. Trudno, miałby jeszcze z tego powodu być kłopot, wolę świni nie znać.

Potem i krowę zaczęli żonie wymawiać. Krowy sobie nie przyprowadziłaś, a mleko dziecku od mojej bierzesz. Słowa te przypawily żonę w rozpacz. Co ja nieszczęśliwa pocznę, mleka mi dziecku wziąć nie wolno, musisz chyba drugą krowę kupić. Nie, krowy kupować nie będę, bo dwóch na tym kawałku nie uchwamy. A ty se z takiej mowy nic nie rób, mleka jak ci trzeba weź sobie, bo na tę krowę wspólnie pracowaliśmy, a chociaż matka mówią, że jest ich, niechaj ich będzie, ale i mnie mleka sobie wziąć wolno. Tylko cicho, nic sobie z ich mowy nie rób i nie odzywaj się w takim razie, niech sobie ulżą, gdy się wygadają to ich opuści. Trudno, stary człowiek każdy podobno taki sam, nasie się nie żywi, sam nie wie czego pragnie i nigdzie nie ma spokoju ani zadowolenia. Może i my podobni się staniemy, gdy się postarzejemy.

Uwziął się też na nas sąsiad T. co to koło jego pola przechodzi dworskie i graniczy miedzą naprzeciw naszego pola dzierżawnego. A drogi stałej nie miałem do tego pola, tylko się zawsze jeździło, chodziło lub przeganiało krowę do pasienia tą miedzą graniczącą z jego polem. I miedza ta służyła nam za drogę od początku dzierżawy i nikt nam przejścia przez te miedzę nie bronił choć przedtem byli na tem gruncie inni dziedziczni właściciele, pierwaj K., od K. nabył ten grunt Sz., dopiero od Sz. przed samą wojną kupił ten grunt T. I on zrazu nic nie mówił, bo jak sam się oświadczył, nie

wiedział o tem, aż gdy pewnego razu najął się z bydłem na pastwisko dworskie i chciał to bydło przegnać przez miedzę jednego sąsiada, ten go nie puścił tłumacząc, że miedza jest jego cała. Dopiero wtedy T. też wpadł na domysł. A to ja też mam miedzę koło dworskiego pola, to i tamta też pewnie cała moja. I wtenczas zaraz gdy chciałem w jesieni gnój wozić wyszedł i stanął naprzeciw koni powiadając, że więcej bez prośby miedzą jeździć nie będę.

Powiedziałem mu wtenczas, że moi przodkowie zawsze też tędy jeździli i nikt im nie bronił, pewnie więc cała miedza nie należy do was, ale jest albo wspólną albo więcej dworska, więc ja sobie po tej dworskiej połówce jadę a nie po waszem i gdzieindziej do pola przejazdu nie mam, więc tędy jechać muszę. A prosić was o przejazd co za nonsens, jakże mogę prosić kogoś o coś co nie jest jego. Ale T. o tem nic słuchać nie chciał, jeszcze mi skargą zagroził jeśli się więcej jechać miedzą poważę. Ja tu mam pastwisko, powiedział. I ta historia z miedzą powtarzała się już stale co roku przez kilka lat. Nie dosyć tego jeszcze i od domu znów sąsiad Dębor syn chrzestnego ojca mojego, który dawniej u nas stale w polu robił, też nam drogę zaprzeczył. A była to droga też miedzą, która prowadziła od naszego pola aż do drogi gminnej. A słysnęły opowiadania starszych, że tędy dawniej prowadziła droga publiczna, aż do przysiółka Kątów. Później jakimś prawem te drogę zakasowano jako publiczną, została tylko do naszego użytku, jako konieczna gdyż gdzieindziej wyjazdu od naszego domu nie było. Póki żyli ojcowie nasi, byli obaj z chrzestnym jako kumowie a żona jego też krewna była bo córka siostry mojego ojca, byli więc w przyjaznych stosunkach i mieli wolny przejazd zawsze. Teraz po śmierci chrzestnego nagle się wszystko zmieniło. Miedzę zaorano zostawiając tylko wąski dwuskbowy pasek do przejścia pieszo. A zboże rosło z obu stron, gdy wyrosło, to nawet przejść nie można było do kościoła w niedzielę bo się cały człowiek zraszał.

Udałem się z tym do wójta z doradą co na to mam robić, prosiłem go aby ściągnął synową chrzestnego i przedłożył jej, że drogi orać nie wolno, aby nam drogę przynajmniej do przechodu szerszą zostawiła. Ale wójt oświadczył, że właśnie wczoraj ona tu była i oświadczyła że drogę zorze, aby później do niej nikt prawa nie miał. Doradzał mi chyba skargę do sądu, a jeśli sąd prawa nie przyzna to sobie będę musiał drogę wykupić.

Ależ tam przecie była droga publiczna i w mapie gminnej musi napewno być, mówie. — Tak droga w mapie jest, ale jak upły-

nęło więcej jak 30 lat od czasu jak została skasowana, to przepadła. — Została skasowana, ale fikcyjnie przez samych tylko zainteresowanych, ale sąd ani nikt prawomocny faktycznie tego nie zrobił.

— A kiedy ja na to nic poradzić nie mogę, choćbym ją i ściągnął, to ona i tak nie usłuchnie, wyraźnie mi to wczoraj oświadczyła. Podziękowałem za taką poradę i odszedłem z kwitkiem nie myśląc wcale o tem aby się procesować, a tembardziej drogę wykupować, gdzie ja miałem kiedy pieniądze na procesa. Musiałem się zgodzić z nowym stanem rzeczy i siedzieć jak obwarowany.

Byli nawet sąsiedzi co mnie do procesu namawiali twierdząc, że wygram proces, a oni wrzeczy potrzeby poświadczą za mną, że ojcu memu tamtędy nieraz ze dworu siano wozili. Ale nie usłuchołem bo się bałem: nie znałem praw i ustaw w takim postępowaniu. Dwa czy trzy razy do roku myślę sobie jak mi trzeba będzie to muszę jakoś przejechać. Konia nie chowam, siano nie kupuję, nie mam tak z czem wiele jechać, a w razie jakiego wypadku, z księdzem do chorego czy umarłym z pogrzebem to przecie puścić muszą, żeby nawet i po zbożu. Najwięcej mi przeszkadzało tylko to, że jakby kiedy miałem stawiać dom i trza było zwozić różny materiał jak kamień, szuter, cement i wapno bo drzewo to na swoim rosło w lesie, to wtenczas by gorzej było, aeroplanu przecie nie posiadam, to powietrzem nie pojadę. Zrozumiałem później jednak, że im przytem nie rozchodzi się tyle o drogę, jak o zmonopolizowanie roboty u mnie, żeby nikt koniem u mnie nic nie robił tylko oni. Sama synowa chrzestnego mi to powiedziała, żebym obcych do roboty nie wołał, bo jej nie tak wiele mam, to mi Władek robi i stosowałem się do tego żądania, chociaż mi to przykro było, bo podatki przecie sumiennie płaciłem drogowy i inne a wolności i drogi nie miałem.

Coprawda to nawet dużo się bez koni obchodziłem, bo gdy tylko przyszedłem do lepszych sił, to wiele robót za konia wykonywałem. Zboża, snopków w czasie żniw nigdy nawet z dzierżawy koniem nie zwoziłem, chociaż oddalona blisko 1 klm., tylko sobą na wózku na jednym kółku podobnym do taczek.

Pochodziło to z rzekomej oszczędności, aby na zapłatę konia pieniędzy nie wydać, ale za kilka lat ta oszczędność mi bokiem wyłaźić zaczęła. Gdy tak wszystko z całego pola sobą zwoziłem nawet i kartofle gdy w płodozmianie na dzierżawie wypadły, tak się za-

męczyłem, że chodzić już nie mogłem, a było to w jesieni. Straciłem apetyt, ból we wszystkich członkach uczuwałem, że ani spać nie mogłem, nareszcie i wstać z łóżka nie mogłem tak mię zmogło. Żona nakłoniła mnie aby iść do doktora. Poszedłem do osiadłego w pobliskim Domaradzu od niedawna doktora Batyckiego. Ten zbadał mię szczegółowo i bardzo dokładnie, jako że z wyglądu nie wyglądałem jeszcze na chorego. A jednak tak byłem słaby, że oddechu złapać nie mogłem, ani na chwilę na nogach ustać. Z toku badania wykazało się jestem oberwany z powodu przeciążenia pracą i nieodpowiedniego odżywiania się. Tak teraz się dopiero przekonałem z czego to powstało. Robić trza było zawsze ciężko od świtu do nocy. Czasem we dnie we dworze, a w nocy dopiero u siebie trza było pokończyć robotę, która się ze dnia zatrzymała. Często dopiero gdy skąd przyszedłem z roboty trza było się zabierać do zwożenia zboża, bo się na noc do deszczu zbierać poczęło. A na dobitek — nieszczęścia się poczęły na mnie sypać. W polu grad przez dwa roki, rok po rok wybił zboże zaraz po okwitnięciu, ledwo na zasiew starczyło. Na jedzenie już od Bożego Narodzenia kupować trza było. W domu umarła matka i przeniosła się do wieczności po ciężkiej sześciomiesięcznej chorobie. Też trzeba było się starać i pielęgnować co przypadało na żonę, bo ja do roboty iść musiałem. Teraz i błąd swój matka poznali, gdy jej pierwszej dokuczali, a teraz im potrzebna była do pielęgnowania w chorobie.

Umarli. Świeć Panie nad ich duszą choć w ostatnich latach sprzykrzni byli i do kłótni przychodziło, jednak przez całe życie też nie zaznali szczęścia ani rozkoszy żadnych. Jedyne tej roboty nieustannej i zmartwienia różnego. Już to taki jest los nas ubogich ludzi, że praca starczy za wszystko i nią wypełnione jest całe życie od zarania młodości aż do ostatnich dni życia, starości. I żeby to było wskutek tej pracy wynagrodzenie sprawiedliwe, zabezpieczenie sobie przynajmniej życia na starość, lecz tego niema, starczy tylko na to, aby ledwo wyżyć, nawpół sobie wszystkiego odmawiając. Na pogrzeb sprzedałem chowaną jałówkę, choć była niby to moja, a krowa ich, ale krowę sobie zostawiłem, bo bez mleka nie mogłem przy dzieciach być. Nikogo więcej z dzieci ani krewnego nie było, ktoby się temu miał sprzeciwić. Zmarli bez pozostawienia rozporządzenia ostatniej woli, podobnie jak i niegdyś ojciec, gdyż nie było czem wiele rozporządzać.

Ten stary dom, który jeszcze dziadków pamięta i od nich pochodzenie bierze, przecie nie można było dzielić. Tych starych ścian

przez robactwo stoczonych i paru zbutwiałych sprzętów stałem się spadkobiercą a raczej doczesnym właścicielem.

Przyszedeł drugi poród żony, w którym zostałem obdarzony przez żonę bliźniakami, chłopcem i dziewczyną. Ten już nie napęłnił mnie radością, ale smutkiem jak również i moją żonę. Pierwej nim piersi im podała, siebie nakarmiła gorzkimi łzami. Jak ja was dziecięta oboje wychowam. Krowa natenczas się akurat nie doiła, bo zapuszczona była przed ocieleniem i to na długi przeciąg czasu bo trzy miesiące. Tak krowa, że nie była odpowiednio żywiona choć dobra była na długo się zostawiała i w dodatku mleko po połowie tak gorzkie od niej było, że go zjeść nie było można. A żona dwoje dzieci nie mogła wykarmić, pokarmu mało miała z powodu niedożywiania tak przedtem, jak potem. Przedtem odbierało jej apetyt, że już od trzeciego miesiąca tylko z musu, aby się nie umorzyć do ust coś wziąć musiała. Potem chociażby mogła co zjeść nie było wiele co.

Stańło w domu, w jednoizbowej ciasnej chacie dwie kołyski. Naprzemian zawsze w ruchu być musiały, bo nigdy się nie trafiło aby oboje wraz zasnęły. Jak jedno spało drugie się bawiło. Mleko dla nich od sąsiadów spraszać trzeba było. Musieliśmy nająć służącą, bo nie było innej rady.

Więc służąca pasła, żona zostawała w domu przy dzieciach, a ja do roboty. A że z powodu gradu nie było zboża, więc kupić go trza było. Ale żeby nie ruszać pieniędzy żony z wypłatu, które się pożyczyło na procent, aby kiedy w odpowiednim czasie co za to kupić, więc wziąłem we dworze zboża na odrodek pół metra żyta i tyleż pszenicy.

Tak drogie wtenczas było zboże, metryczny centnar pszenicy kosztował około 70 zł., żyto 60. I to nie otrzymałem przedniego tylko poślad, bo przednie zakupił handlarz, jednak cenę musiałem zapłacić taką jak za dobre. Cóż było robić. Za to musiałem chodzić do roboty przeszło miesiąc i to w najdroższy czas, to jest od sianokosów przez całe żniwa, bo wtenczas płacono 2 zł., wiosną i jesienią 1,20 — 1,50 zł., a w zimie tylko jeden złoty. Pomarli i oboje bliźnięta na cholerynę, pół roku zaledwie przeżyły z powodu złego odżywiania.

Wobec takiego porządku rzeczy czy można co zarobić? przecie za więcej jak miesiąc czasu to myśmy prawie wszyscy to zboże zjedli a gdzie zapłata za ubranie, które się przecie niszczy, a na drugie, kiedyż by zarobić? Chociażby cały rok przyszło chodzić do dwo-

ra i z tego zarobku się żywić to za rok czasu by jeszcze dołożyć trza było.

Zacząłem przemyśliwać jakby jakim sposobem prędzej czego się dorobić. Że w domu na gruncie i z zarobku we dworze niczego się nie dorobię, tego byłem pewny. A że w tym czasie rozpoczęła się emigracja rolników na farmy do Stanów A. P. miałem zamiar i ja tam wyjechać na zarobek. Rozpocząłem kroki ku temu, tem że najpierw napisałem do szwagra, brata mojej żony, aby mi wystarał się tam w Ameryce o affidawit fermerski i o pożyczenie pieniędzy na podróż.

Dostałem jednak na tę prośbę odpowiedź nie pocieszającą, nawet wprost odmowną. Pisał mi szwagier: że pieniędzy na podróż by mi przysłał, ale gdyby wiedział pewność, że się do Ameryki dostanę, a o affidawit wystarać mi się nie może, bo niema nigdzie takiego znajomego farmera, który by mógł affidawit wystawić, gdyż w stanie Ohio w którym on pracuje, znajdują się tylko najwięcej fabryk i przemysł. Poznałem więc po tym liście, że nic z tego, aby farmerów w stanie Ohio nie było, bo to jest niemożliwe, aby cały stan był bez farmerów tylko same fabryki, tylko widocznem było, że nie chciał się tem zająć, aby przypadkiem wrazie niemożności zdobycia pracy nie stałem się ciężarem dla niego.

Odpadł więc ten zamiar ode mnie, a do kogo innego nie miałem się z tem udać. Była wprawdzie moja siostra gdzieś w Ameryce, ale do niej nawet adresu nie wiedziałem, nie pisała od czasu wojny ani raz. Nie miałem więc u niej także żadnej nadzieji. Był jeszcze jeden sposób, ale ten ostatni najbardziej zawodny okazał się dla mnie.

Był we wsi stręczyciel — agent, który przeprowadzał przytem różne niedozwolone machinacje, u niego to i affidawit dostać można było i wszystkie sprawy związane z emigracją załatwiał, naturalnie za słoną opłatą. I taką wziął wprawę w tym zawodzie, że z taką śmiałością i bezczelnością swój proceder uprawiał iż urosł on w kilka lat do olbrzymiej afery. Zamieszani zostali potem w nią razem z tym agentem (był to nawet jakiś dalszy krewny z naszego rodu) wszyscy znaczniejsi z ogółu gminy, jak wójt, posterunkowi, przyboczny sekretarz i pomocnik „agenta”, nawet i księdzu proboszczowi o mało się nie dostało za dostarczanie metryk, które były na rozmaity sposób potem fałszowane u agenta. I szedł interes świetnie przez kilka lat. Wysyłał ludzi i dobierał i wysyłał małżeństwa, które nigdy ślubu ze sobą nie brały, jednak metryki mieli w porządku, obywateli wracających już poraz drugi do Ameryki choć jeszcze

Ameryki nie widzieli. Wyjechało też dużo ludzi za jego przyczyną, jednak biedny nie mógł, gdyż te ryzykowne wyczyny i wyjazd kosztowały czasem więcej niż sama podróż 500 dol. i więcej.

Bąłem się ja takiego ryzyka, aby powierzyć sprawę starania o wyjazd do Ameryki agentowi. Po pierwsze, że nie miałem skąd wziąć potrzebnej na to sumy, bo gdybym ją miał to nie potrzebowalbym i Ameryki, bo za jakie 500 dolarów mogłem kupić sobie gdzie kilka morgów pola i żyć spokojnie. A pożyczyć? gdzie taką sumę mi kto pożyczy, kiedy nie mam pokrycia majątkowego na nią? A gdybym nawet i wyjechał, a czy ja wiem czy trafię na robotę i odrobię to wszystko potem.

Odeszła mię ochota do wyjazdu i żona też niebardzo mi to doradzała. Aż i agentowi się nareszcie dostało i wszystkim przy nim, którzy mu do tego byli pomocni. Wójt pozbył się wójtostwa, posterunek cały zmieniono i zostali wszyscy trzej przeniesieni, pomocnika sekretarza który był uczniem gimnazjum wydano ze szkoły, wymówił się tylko ksiądz iż on nie wiedział o niczem, gdy metryki wydawał. Sam agent, któremu już brzuszek urósł, że nie był podobny czy z chłopą pochodzi, ale jaki hrabia, lub książę, został aresztowany.

Później wypuszczono go na wolność za kaucją 1000 zł. i odpowiadać miał z wolnej stopy. Sensacja z tego była wielka i sądzono mu że dostanie karę wielką za te wszystkie oszustwa, przez które został naruszony nawet sam urząd Emigracyjny i konsulat amerykański. Ale obrona jego własna i adwokatów sprawiła, że tylko półtora roku więzienia dostał.

Pamiętkę jednak sobie zrobił z tego „agentostwa”, wystawił sobie śliczny dom jakby wilę kosztem kilkudziesięciu tysięcy zł. (Mówią niektórzy iż kosztował około 2.000 dolarów). Wartość mu się trudnić tem, gdyby na gruncie przy ojcu pracował nawet przez całe życie nigdy by tego nie miał.

Próbowałem jeszcze innego sposobu do lepszego życia do spółki z takim samym jak i ja małorolnym, krewnym bo stryjeczny brat mojej żony. Z nim to obaj żyliśmy w przyjacielskich stosunkach i często radziliśmy wspólnie jakimby sposobem zdobyć lepszy byt, bo na gospodarstwie widocznem było, że do niczego lepszego nie można dojść. Spodobało się nam wędrowne kino. Aparat starszy używany znajdował się u księdza proboszcza, który mu brat inżynier przysłał i który miał służyć do wyświetlania filmów oświatowych w szkole, ale z jakichś tam powodów do tego nie doszło.

Nastęrczono nam ten aparat do kupna. Zgodziliśmy go za 50 dol., z tem zastrzeżeniem że jeśli uzyskamy koncesję wtenczas go zapłacimy, a w razie nie uzyskania koncesji umowa nie obowiązuje nas.

Poczyniliśmy odpowiednie starania o koncesję w starostwie i województwie. Nie przyznano nam jej z powodu że trzeba było jeszcze do nas spółwłaścicieli trzeciego egzaminowanego operatora. Takiego w pobliżu nie było ani z nas żaden nie posiadał odpowiednich kwalifikacji w tem zawodzie. Trzeba było dopiero iść gdzieś do Lwowa na kurs. Ale czy taki kurs zdamy też wątpiliśmy.

Zrezygnowaliśmy więc z kina. Nie dla psa kielbasa, nie dla chłopa kino. Jeśliś bracie do dziadowskiej książki zapisany, choćbyś się starał być z niej wymazany, nie dasz rady i musisz dziadem być, powiedziano pod naszym adresem, gdy czyniliśmy starania o koncesję i uraziły nas te słowa. Odpowiedzieliśmy: Jakto to innym wolno w różny sposób się dorabiać lichwiarski i niedozwolony, a nam w uczciwy sposób nie dadzą zarobić na życie? Przecie i my mamy prawo do życia na równi z innymi. I jeszcze rząd z tego skorzysta bo podatek od tego płacić będziemy.

Spełniły się wszelako jego słowa i sam nam to potem przypominał: a co nie mówiłem wam! i dołożył wtenczas: czegoś biedny? — boś głupi... A czegoś głupi — boś biedny. A tak, tak: jak by człowiek nie był biedny i głupi, no to naturalnie że byłby mądry i bogaty. A tak bieda i głupota w parze razem chodzą. Takie odkrycie i oświadczenie pognębiło nas do reszty. Musimy więc dziadami pozostać. Dołożyliśmy jeszcze do tych starań kilkanaście złotych aby się dowiedzieć i przekonać, że nic nie zdobędziemy. Ale chłop jest uparty i zawzięty jako to nawet weszło w przysłowie. Co by to było, aby się biedzi dać. Czy nie mam dwoje silnych rąk do pracy i zdrowie chwała Bogu mi Pan Bóg daje. Trzeba koniecznie jakoś radzić i myśleć. Może przecie, może jakoś! Tylko naprzód, a odważnie, nadziei nie trzeba tracić bo jeśli się nadzieję straci, to wtenczas co pozostaje?... Mówię do żony, wiesz no trzeba spróbować chować świnię może na tem co odgryziemy. Ano to chowaj. To ja bym chował, ale nie mam pieniędzy za co kupić, a trzeba na małą świnię 30 złotych (było 1927 roku). Zawołaj na kogo niech ci odda choć ze dwadzieścia resztę jakoś dołożymy. Jak uradziliśmy taki się stało, kosztowała ta świnka 31 złotych, ale po sześciu miesiącach przychowa wziąłem za nią 130 złotych. Zdawało mi się że na czysto mam prawie 100 zł. zysku to opłaciło się. 30 zł. zostało jako rezerwa, a za 95 zł. kupiłem sieczkarnię której dotąd u nas jeszcze nie

było. Jakoś to ojcowie się bez niej obchodzili, ale mnie już dało się to we znaki, trza było albo u sąsiadów prosić żeby sieczki urznąć mi pozwolili, a że człowiek nie śmiał stale się naprzykrzać, to często na klocku siekierą sieczkę krowie ciąłem, albo się kładło całą za drabinę, jak było na tyle. Co zjadła to zjadła, resztę poszło na pościel.

Cieszyłem się że teraz mam sieczkarnię swoją, która mi wystarczy na swoje życie. Aby tak dalej było, żeby co roku sobie co do gospodarstwa sprawić.

Na drugi rok zatem też kupiłem świnię, a żona znowu osiem gęsi, aby sobie pościel na łóżku sprawić. Bo do tego czasu i pierzyn nie mieliśmy, a w zimie zimno było spać, gdy nie było odpowiedniego przykrycia, a chałupa stara przez zgrabiałe od starości ściany ciągała jak bez przetak, że we dnie koło ściany usiedzieć nie można było bo nogi kostniały. Trzymaliśmy się wtenczas więcej środka izby i pieca naturalnie. A gdy się wieczór położył człowiek spać to się ciągnęło na siebie, gdzie jaki łańch aby zimno nie przeszło. Ale więcej to ciężaru robiło niż ciepła z tego było. Pierzyny były więc potrzebne. Chwaliłem za to żonę iż o to zadbała, w jednym roku odrazu z piór zrobiło się jedną pierzynę i dwie poduszki, a za sprzedane gęsie po 6—8 zł. kupiło się pokrycie i jeszcze dwa kila piór. Pomyślałem jeszcze o sprawieniu sobie potrzebnych mebli. Po matce zostały wprowadzić 2 łóżka, stolik, ławka, 1 krzesło, ale wszystko już prawie nie do użytku — stoczone przez robaki i od wilgoci pogniłe, trzeba było to wszystko zastąpić nowem. Otworzył się w tym czasie zarobek w lesie na Buczynach. Ścinano tam jakie 50 morgów lasu. A że miałem w zimie czas zarobiłem coś ze 30 złotych, za które nająłem stolarza i sporządził mi łóżko, stolik, dwa krzesła i szafę na ubranie. Narazie choć tyle przyozdobiłem chatę w lepsze sprzęty. Deski miałem naturalnie swoje ze swojego drzewa i w domu rękami porżnięte. Nie kosztowało mnie to wiele bo tylko drugiego co mi przytem pomagał, to znowu jemu pomagałem rznąć. Tak porżnęliśmy kilka kłoców wzajemnie sobie jeden drugiemu odpłacając. Porżnąłem także kilka jodeł na deski czyniąc pomalą przygotowania do budowy nowego domu, bo ten już stary jest, jeszcze z 1842 roku, pamięta już trzy pokolenia i ma 91 lat.

Już, już, co jeno nie wziąłem się jednej wiosny do ścinania drzewa w swoim lesie, ale się wstrzymałem i dobrze zrobiłem, bo nie miałem pojęcia co to do budowy domu potrzeba. A jeśli już co budować to coś lepszego według terażniejszego wymagania a nie

tak jak pradziadowie się budowali. Wprawdzie i ten dom w którym mieszkam został przez ojca przerobiony z kurnej na kominową, ale że jest tylko jedna izba, więc ciasno jest wszędzie.

Myślałem więc że jeśli tak czasy dalej posłużą dobre, to po mału do nowej chaty przyjdę. Bo chociaż drogo było wszystko, ale już mi się zaczęło dobrze powodzić. Zacząłem stosować już nawozy sztuczne, a szczególnie superfosfat i otrzymywałem wyniki odrazu zadowalniające. Ba, nawet ziemie, które dotychczas rodziły jeszcze jako tako, po zostawieniu jakiegoś kawałka bez superfosfatu nie było w tem miejscu prawie nic tylko chwasty, na superfosfacie natomiast stało śliczne i dorodne żyto. Przekonałem się zatem odrazu o skuteczności sztucznego nawożenia. Nawet potem wcale nie robiłem prób. Urodzaje zaczęły mi się zwiększać i zboża mi już nie brakowało. Płaciło dobrze wszystko, a choć zboża na sprzedaż nie miałem, ale dochód był za to z hodowli bydła, świń, kur i gęsi. Ale tego długo nie było już. 1928-my rok stanowił u mnie początek zachwiania się równowagi gospodarstwa. Powód poszedł ze sprzedaży krowy, która się już zestarzała. Za krowę tę wziąłem tylko 140 zł. A kupiłem drugą młodszą i na ocieleniu, po znajomości. Jeszcze ciotka żony mi ją poraili, że to dobra krowa. A no jak dobra to trzeba kupić, przecie swój człowiek, znajomy to by mie nie oszukał. Nie tak jak żyd. A że miała rzekomo być dobrą, drogo też kosztowała bo 390 zł. Musiałem więc dołożyć odrazu 250 zł. Prawie drugą krowę. Poszła sprzedana świnia za 150 zł. i jeszcze 100 zł. Te trzeba było naruszyć z wypłat żony. Ale się dopłacało w nadzieji, że jeśli będzie dobra, to się wszystko wróci. Zostanie cielę z którego się może dochowa drugiej krowy, za masło coś też się wróci. (Litry masła kosztował wtenczas 6 zł.). Przygnałem te krowę, nie doila się bo właśnie się miała za miesiąc cielić i była zapuszczoną. Ale z tem ocieleniem ściągnęła jeszcze trzy tygodnie poza miesiąc i przy ocieleniu pokazała się jedna wada, wypadanie macicy. No nic chowam dalej, mleka daje pół litry (!) po ocieleniu, że nawet cielęciu nie wystarczyło i musiało się z siana herbatę gotować i jaja do tej herbaty bić. Nie było zatem mowy, aby to ciele przysadzić. Sprzedać go musiałem. A były cielęta drogie wtenczas i do 50 złotych można było za dobre cielę wziąć. Ja wziąłem tylko 20, bo marne bardzo było. Ale to jeszcze jest nic. Ale co to jest. Łożyisko po ocieleniu nie wyszło trzeba było się uciec do sztucznego usunięcia. Wykonał to doświadczony pewien starszy człowiek ze wsi, którego zawołałem do tej operacji. U nas to nigdy się nie przydarzało, gdy chowaliśmy

krowy z własnego przychowku. Słowem „wiedło się bydło”, ale też o krowę się dbało o ile się tylko mogło, bo się zwykle mawiało że krowa to tak samo jak matka, ona nas wszystkich żywi. A gdy się ją sprzedawało, to dopiero wtenczas żal był za nią i mawiało się — To była matka nie krowa.

Takiej jak ta kupna to jeszcze nigdy nie miałem, ta co to miała być dobrą dawała pół litry mleka! Ale dopiero teraz pokazało się na niej coś czego zaraz po kupnie nie zauważyłem. Zda mi się przypatrzeć przy jedzeniu słomy, a ona nie żre odrazu i nie połyka zaraz, ale co weźmie kęs do pyska to staje i żuje nie mogąc połknąć. Coś jest więc w tem złego. Zajrzałem do pyska, a ona cały język ma pokryty krostami i jakby dziurki powypadały na całym języku. Strapiony dowiadywałem się sąsiadów co to może być. Jedni mówili, że to kurdziel inni że zaraza pyska. Ale ostatecznie utwierdzono że kurdziel i że krowa z tego wyjdzie, gdy przyjdzie na mięką paszę. A był już maj więc wyгнаłem na pastwisko, ale żadnej nadziei do wyleczenia. Coraz bardziej jeszcze jeść nie mogła i chudła coraz więcej. Byłem już bliski rozpaczy. Co tu robić, ani takiej chorej krowy nikomu nie sprzedam, ani chować jej dalej nie odważę, bo jeszcze paść może.

Poszedłem do owego jej właściciela dawnego i wszystko mu opowiedziałem tłumacząc mu że mam takie podejrzenie, iż ja krowę od niego chorą już kupiłem i aby do spółki szkodować. Ale ani mowy o tem, powiedział, że on krowę zdrową sprzedał. A kupno to odbywało się w domu bez oględzin weterynarza i nie mógł on tego sumiennie twierdzić, że krowa zdrową była tembardziej że w ciemnej i ciemnej stajni u niego przy ścianie za innemi stała gdzie on nawet widzieć nie mógł jak ona jadła. Jeżeli ja nie zobaczyłem tego u siebie co jedna sama była i stajnia obszerniejsza i widna, to tembardziej nie mógł widzieć on tego u siebie. Nie posądzałem go żeby ze świadomością choroby krowę mi sprzedał, ale spowodu jego niewiadomości ja padłem ofiarą. Po długich perswazjach wrócił mi tylko 50 zł. niby to że mnie tylko żałuje, bo jakby mu się nie podobało to by mi nic nie wrócił i żadnego prawa do niego bym nie miał. I przyznałem mu to, że teraz żadnego prawa bym nie miał bo upłynęło już 5 miesięcy od chwili kupna. Na szczęście nawinął mi się żyd, który chciał tę krowę kupić. Naturalnie sprzedawałem już jako chorą i wymawiałem sobie że do kupna go nie przymuszam, ale krowę sprzedaje na przepadłe, żebym potem żadnych kłopotów nie mieć. Ceny oczywiście nie mogłem żądać wysokiej. Ledwo z tru-

dem 140 zł. zdołałem wyciągnąć, ale cóż miałem począć, lepiej choć cośkolwiek niż żeby zdechnąć miała. Poszła niby to na mięso, co zresztą mnie nie obchodziło, co on tam z nią zrobi. Ale że za kilka dni wypadał w Domaradzu jarmark, a po jarmarku zgłasza się do mnie dwóch Rusinów z Krasnej i zapytują mnie czy ja sprzedawałem jaką krowę. Mówię że tak, sprzedawałem krowę ale żydowi na mięso. Zresztą na przepadłe, nie obchodzi mnie nic gdzie on co z nią zrobił. No to my do was nic nie mamy tylko my się przyszli zapytać, czy to rzeczywiście od was ta krowa, co my ją kupili. I opowiadają mi całą historję, jak tę krowę kupili w Domaradzu za 330 zł. Jak poznali że paszport był fałszywy, aż nazwisko chłopca od Rzeszowa, jak mu krowę potem odprowadzili, bo poznali, że chora, a żyd przyjąć jej nie chciał i pieniędzy wrócić też.

Powiadali mi, że w razie sporu i procesu podadzą mnie na świadka. Ale żyd potem pieniądze wrócił. Co się z krową stało nie wiem. Gdy mię gdzie potem ów żyd spotkał, zawsze mi czynił wymówki, że stracił na mnie 140 zł. bo krowę musiał dorżnąć i do domu zakopać. Ale gdyby się mu była sztuka udała, zrobiłby był 199 zł. i ani pies byłby nie wiedział. Ale ja straciłem więcej. Powtórzyła się zatem na mnie biblijna przypowieść o tłustych i chudych krowach, które jedne drugie pożarły. Zabierałem się zatem do kupna jeszcze innej krowy, ale aż skóra na mnie drżała, tak się bałem odważyć, aby znowu nie paść ofiarą jakiego oszukaństwa. Ale powiadają ludzie, że czego się człowiek boi to się nigdy nie zboi, co go ma spotkać w lesie to on do domu przyniesie.

Tak i ze mną się stało. Bałem się a nie zbałem się chociaż tu już nie poniosłem tak wielkiej straty. Cały miesiąc chodziłem po jarmarkach i nie trafiłem co godnego, aż znowu za miesiąc w Domaradzu.

Była ładna krówka z wejrzenia, tłusta wesoła, widać że zdrowa i niebardzo droga 330 zł. kosztowała. Bez wady, sześć tygodni jak wodzona. O! w jarmarku to każda krowa cielna! Za wyjątkiem wołu. Kupilem. W pierwszy podój po jarmarku to dała dosyć mleka, bo całe 3 litry. No niechby to i 3 litry takiej jak swoje mieliśmy co po 4—6 litrów miały, to już pewnie nie napadnę. Ale na drugi dzień już dała tylko półtory litry. Już mi się to nie spodobało, że mleko miała przytrzymane. Ale choć mleko małe miała, innej wady nie było widać. Aż po trzech tygodniach wyszła na jaw jej wada, ocielila się. Czyli obezwala chciałem powiedzieć. A że zdrowa pozatem była a kupilem ją w jarmarku, więc tam gdzie „ludzie ludzi oszukują”

dowodłem ją i czekałem co dalej będzie. Wodziłem ją przeto co trzy tygodnie regularnie coś przez 5 miesięcy, nareszcie dałem spokój widząc że to na nic się nie zda. Tak to trudno w jarmarku o dobrą krowę. Ale niema się czemu dziwić, że takie stosunki w hodowli tutaj u nas istnieją. Pogotowie bydła u nas to mieszanina najróżnorodniejszych ras. Wyjątkowo można spotkać prawdziwą rasę holenderską. Mleczność 10 litrów dziennie bywa uważana za rekordową. Bydłęta marne, drobne, lichy żywione. W kwestji rozplodowej żadnej kontroli, żadnego doboru, jakie się tylko cielę ulegnie, czy byczek to się przysadza nie pytając o jego pochodzenie i użytkowość, aby tylko jak najwięcej ogonów do rachunku było.

Dlatego bydło skarłowaciało i nie można się dziwić, że tak niskie ceny są obecnie na bydło. Dowiaduję się teraz z pism, że całkiem inaczej jest pod tym względem w województwach centralnych i zachodnich. Tam hodowcy skupieni są w różne związki hodowlane jak kółka kontroli obór i t. p. U nas nic dotychczas w tym kierunku się nie robi. Mamy wprowadzić kółka rolnicze, dla których przypadła by ta wdzięczna rola pracy nad podniesieniem hodowli bydła, która w przyszłości ma się stać głównym produktem naszego bogactwa narodowego. Ale kółka rolnicze prawie że zamarły, a praca w nich ustała, a z jakich powodów to jeszcze o tem wspomnę. Dziś nawet sklepy kółek są powydzierżawiane często osobom takim co nic wspólnego z życiem gminy nie mają.

Ale wracam do tematu. Gdy już straciłem nadzieję nabycia lepszej krowy, myślałem czyby nie lepiej było tę sprzedać, a kupić gdzie jaką jałówkę i z tej się krowy dochować, ale i tak źle mi wypadło, aż zjawił się u mnie w odwiedziny brat żony po drugiej matce, który miał zamiar się żenić, a że miał trochę długu więc musiał sprzedać krowę na ten dług. Ten zrobił nam dobrą nadzieję temi słowy. — Słuchaj siostro Karolciu, żal mi cię że tak na tem bydłe podupadłaś, — ja mam krowę dobrą którą muszę sprzedać, aby dług oddać, bo teraz mi matka umarła, to nikt nie chce dłużej czekać, bo się ludzie boją żeby im nie zaprzec. Ale musisz poczekać, aż się ożenię i z żoną jaką krowę dostanę to wtenczas ci tą krowę sprzedam, a jeśli te krowę kupisz to nie pożalujesz, mówię ci... Zamówiliśmy tę krowę u niego zastrzegając, aby nikomu nie sprzedawał innemu.

A tu znowu spotkało mnie nowe domowe strapienie. Zachorowała ciężko żona przy porodzie. Poród przeciągnął się tak długo, że siły całkiem ją opuściły zdawało się, że już nie wytrzyma. Do-

któr w tym wypadku okazywał się potrzebny, ale skąd wziąć pieniędzy? kosztowała taka operacja doktorska 200 — 300 złotych a mnie już prawie wszystkie pieniądze poszły z żoninego wypłatę zostało tylko 60 zł., miałem sprzedać tę ostatnią krowę, czy z pół morga pola własnego, którego niewiele więcej na mnie przypadało. Niech się dzieje wola Boża, może Pan Bóg nie zechce mojej krzywdy, żeby mnie odeszła. Wprawdzie można było zawołać doktora na weksel, ale tego się także bałem bo nie miałem żadnego widoku do zdobycia pieniędzy i później. Po trzech dniowej ciężkiej niemocy przyszły na świat trojaczki, ale tylko jeden chłopiec został przy życiu, dziewczynka zmarła za godzinę, a chłopiec trzeci przyszedł już nieżywy. Wszystkiego tego był przyczyną za długo przeciągnięty poród i te dwoje zostały prawie poduszone. Szczęście wielkie, że jeszcze choć obeszło się bez lekarza i żona to wszystko wytrzymała. Miałem i ja dosyć zmartwienia, w domu żonę chorą trzeba było zostawić, a sam w nocy ciemnej po kałużami pokrytej drodze, bo była jesień słotna, musiałem biec po akuszerkę aż 7 kl. do Domaradza, bo nasza miejscowa już była zajęta przy innej chorej. Na szczęście że ta z Domaradza jest moją krewną więc chociaż nie z wielką chęcią, ale przyjechała, gdyby nie to, to pewnie żeby odmówiła, bo nie ma obowiązku do innej wsi. Biegłem przez to w obie strony jak wściekły pies i gdy przyszedłem do domu, piekło mnie w piersiach, że oddecha nie mogłem złapać, myślałem że zapalenia płuc z tego powodu się nabawię.

VII.

Przyszedł rok 1930, który okazał się początkiem zaniku wszystkiego i wstrzymać się trzeba było od wszelkich wydatków. Przestałem nareszcie palić. Dotychczas od 20 roku po przyjeździe z wojska, gdzie się nauczyłem bo tytoń się fasowało, paliłem, później rząd pozwalał na sadzenie tytoniu do 10-ciu m² po zapłaceniu pewnej wyznaczonej kwoty na rzecz skarbu, a gdy później zabroniono sadzenia, nałóg już był zakorzeniony i trzeba było kupować wyroby państwowego monopolu. Z początku paliłem kresowy, potem średni gdy zarobki lepsze były. A nawet i z domu można było się okupić gdy prowadzone zapiski dochodu z jaj wykazują w 1928 roku 290 złotych. Wydatek więc na tytoń jakie 60 złotych nie stanowił w budżecie domowym zbyt poważnej sumy. Zresztą dochód poboczny z introligatorstwa stanowił też około 30 zł. a przytem trudni-

łem się zimową porą i innemi pracami jak (kuśnierstwo) wyprawą futer zajęczych, króliczych i kocich. Jeszcze i inne nie były mi prace trudne jak drobne stolarstwo, naprawa różnych sprzętów i zegarów. A wszystkiego tego nauczyłem się z samouctwa.

Stanowiło to dla mnie ogromne ułatwienie w gospodarstwie, gdyż wszystko umiałem sporządzić sobie sam, nawet buty i odzież dla siebie uszyć, mogłem na tem wiele zaoszczędzić, gdyż już za to nie potrzeba było płacić. Wprawdzie lepiej by było gdyby był dobry zarobek, gdzie trzymać się jednego fachu i z tego płacić za inne prace innym np. szycie koszuli czy kalessonów dla mnie rękami kosztowało mnie czasu dużo, na maszynie szwaczka uszyła by to za kilka minut. Ale nadchodzi czas taki, że człowiek musi wszystkiego potrochu umieć, aby się stać samowystarczalnym. Jedynie kołodziejki nie umię, ale ta nie jest mi potrzebna, gdyż konia nie chowam to i sprzętów do konia mi nie potrzeba. Zastanawiam się tylko nad tem, żeby jako móc krowę do zaprzęgu użyć. Gdyż u nas się tego nie praktykuje, a w małych gospodarstwach mogłaby krowa lżejsze prace wykonywać, można by było na tem też trochę zaoszczędzić. Zastosowaniem oszczędności koniecznych i wynikających z braku gotówki, zacząłem odmawiać sobie wszelkich uciech. Przedtem to jeszcze i na wesele gdzie byłem zaproszony brałem udział kilka razy, od tego czasu nawet w kumy odmówiłem pójść bo wciąż brak gotówki dokuczał. Ale za to stworzyłem sobie tajną skarbonkę, gdzie od czasu do czasu po parę groszy wrzucałem, do końca roku uzbierało się z tego coś 7 zł. Coś mógłbym za to kupić, ale że odmawiałem sobie wszystkiego więc postanowiłem sobie za to kupić jakich książek, aby mieć choć duchową rozrywkę, a że teraz nie czułem pociągu do powieści i lektury wybrałem sobie kilka książeczek popularnych i tańszych broszur z cennika księgarni rolniczej w Warszawie. Byłem wprost zachwycony po przeczytaniu tych wszystkich wiadomości, które książki zawierały, a autorów niektórych, gdybym mógł to ścisnąć by ich chciałem i uszanować za ich prace. Dopiero teraz skonstatowałem z żalem ile lat pozaszkolnych zmarnowałem nie korzystając z żadnej oświaty rolniczej, co prawda to nie sam byłem temu winien gdyż od czasu wojny odpowiednie czyniki nie robiły nic, aby szerzyć fachową wiedzę rolniczą między młodzieżą włościańską. Dopiero ostatnie lata wykazują postęp i pracę w tym kierunku, a wszelkie konkursy przysposobienia rolniczego są to rzeczy dobre i godne zapamiętania. My starsi nie mogliśmy korzystać z podobnych zdobyczy wiedzy rolniczej, gdyż woj-

na i po niej kilka lat przeszkodziło temu. Były wprawdzie utworzone koła młodzieży, ale praca w nich ograniczała się jedynie najczęściej na zebraniach, zabawach tanecznych, festynach, urządzaniu przedstawień, urządzaniu orkiestr koła młodzieży i nauce gry. Tak było i u nas we wsi w kole młodzieży. Urządzano przedstawienia, festyny, zorganizowano orkiestrę. Zdawało się że tem da się całe życie młodzieży zapłacić. Okazało się że jest to za mało. Praca w tym kierunku rwała się szybko, gdy tylko zabrakło głównych pionierów i przewodców, którzy potem wyemigrowali do Ameryki za chlebem, aby sobie stworzyć lepszą przyszłość.

Doszło prawie do całkowitego zlikwidowania „Koła Młodzieży” i orkiestry pod protektorem M. T. R.*), a na jej gruzach zaczęto teraz budować nowe życie p. n. Stowarzyszenie młodzieży Polskiej z kierunku i z ramienia „Akcji katolickiej”, której opiekunem i protektorem został proboszcz miejscowy. Czy i ta nowo utworzona a raczej zamieniona organizacja nie rozerwie się i nie rozleci, trudno naprzód przewidzieć. Byłem i ja członkiem dawnego koła Młodzieży, ale niedługo, gdyż wstąpiłem wnet w związek małżeński i czas jako i stan mający już teraz inny cel życia nie pozwalał mi na to; nie zajmowałem też żadnego stanowiska w zarządzie pozostając cichym członkiem, jedynie tylko książkę jaką z biblioteki zniszczoną czasem oparłem. Potem zainteresowało mnie życie polityczno społeczno-gospodarskie, a mniej gminne. Po uzyskaniu pełnoletności zaraz w 21 roku stanąłem do urny wyborczej, aby spełnić obowiązek obywatelski w wyborach do Sejmu. Prawie wszystkie głosy w gminie padły wówczas na listę P. S. L. Piast. I byliśmy z wyborów zadowoleni, gdyż posłowie ludowi dbali o interesy ludu. Została uchwalona reforma rolna i wiele innych pożytecznych ustaw.

Bardzo znaczny procent posłów ludowych stanowił skład sejmu. Była już nadzieja, iż zdążamy do zwycięstwa, a ruch ludowy zapoczątkowany przez księdza Stojałowskiego i Wysloucha dał pewne wyniki i owoce dobre. Zaprenumerowałem sobie też tygodnik „Piast” żeby śledzić i dowiadywać się o stosunkach państwowych i różnych innych. A potem kilkakrotnie następował rozłam w stronnictwie „Piasta”. Rozmaici posłowie demagodzy i zdrajcy sprawy ludowej z niego powystępowali. Utworzona z nich lewica i inne pomniejszych grupy i grupki: Wyzwolenie, Sztandary, Stronnictwa Chłopskie i wiele innych, które wyliczyć nie sposób.

*) t. j. Małopolskie Towarzystwo Rolnicze.

Czy to potrzebne? Czy jedna nazwa stronnictwa Ludowego nie wystarczyła? Na co nam tyle stronnictw potrzebne? Naturalnie na to aby bałamucić lud i wzajemnie się zwalczać i ujadać jedni na drugich i pobierać za to sute djety.

W życiu gminnym nie brałem i nie biorę żadnego udziału. Pierwszy raz dopiero głosowałem do wyboru rady gminnej. Ktoś nawet postawił wniosek, aby mnie wstawić na liście kandydatów na radnego, ale ówczesny wójt się sprzeciwił temu motywując swoje twierdzenie tem że jestem niepoczytalny (?), jako że przy wojsku chorowałem na pomieszanie zmysłów. Wniosek przeto upadł, ale ja był bym i bez tego za ten zaszczyt podziękował, nie z tego ale z innych względów. Bo ja zawsze zajęty byłem, nawet w niedzielę po południu czasu nie miałem wolnego, bo za pastucha musiałem być, aby choć w niedzielę wyręczyć od tego żonę, bo zawsze z dzieckiem musiała paść to też miała prawie dosyć. A radny na zebranie często musi iść i to pod karą, a ja jestem człowiekiem pracy i nim pozostanę do śmierci. Teraz miałem więc sposobność obserwować ruch poglądów ludzi ile to było tarć, przekonywań, niechęci i t. d. Jednak wybory odbyły się prawnie i zostały zatwierdzone. Wójtem ponownie wybrany został ten sam. Nie dokończył on jednak urzędowania swojej kadencji gdyż w czasie słynnego procesu agenta emigracyjnego złożony został z urzędowania za jakieś tam nadużycia, a w jego miejsce mianowało starostwo p. J. L., który zdobył pośród innych największą liczbę głosów. I ten okazał się też godnym stopnia naczelnika gminy i posiadał zaufanie całej gminy, ale cóż z tego, kiedy nigdy wójt nie idzie na rękę gminie i gdy chodzi o jaką sprawę, która sprzeciwia się interesom gminy i nawet rada się sprzeciwia, wójt zręcznym manewrem potrafi przeforsować sprawę wedle swojego poglądu i na rękę starostwu. Miał się nawet podobno gdzieś wyrazić, że musi iść na rękę starostwu bo go starostwo mianowało! Pytanie tylko czy zawsze starostwo mianować go będzie. Lepiej by było aby iść razem z gminą i zarezerwować sobie zaufanie na nowy okres wyborczy.

Mieliśmy także z naszej gminy kandydata do sejmu na posła, ale i ten przepadł, gdyż postawiony był na trzecim miejscu listy Związku Chłopskiego w stronnictwie Stapińskiego. Miała więc w nim duże nadzieje gdyby był przeszedł, gdyż do tego czasu okazał się czynnym w obronie interesów chłopskich i pracy organizacyjnej. Niestety przy wyborach przepadł, bo nie posiadał środków materialnych do rozwinięcia szerszej agitacji, gdyż był synem ubo-

gich rodziców, że nawet studjów uniwersyteckich nie ukończył i musiał pozostać na roli. Nie znały go zatem dalsze wsie z innych powiatów, a naszych głosów nie wystarczyło. Za jego to staraniem zostały wydzierżawione dworskie grunta w czasie wojny pomiędzy bezrolnych i małorolnych, które dla wielu rodzin były i są ostatnią deską ratunku, gdyż w dzisiejszych czasach tak niskiej płacy we dworach nie można sobie wyobrazić, jakby można było żyć z tego zarobku.

Zdarzyło się raz w czasie żniwnym, że pewna grupa robotników żądała podwyższenia płacy do wysokości 1,20 zł. i zagrozili strajkiem. Wyśmiano się z nich. Nie pójdziecie wy, to przyjdą inni. I rzeczywiście przyszli i pracowali za 1 zł. Takie tu panują smutne stosunki. I ci później musieli też do roboty iść, aby sobie choć na sól zarobić. W czasach dobrych ratowała się dorastająca, a zbyteczna młodzież emigracją do Ameryki, Francji czy innych krajów. A ci dostawszy się tam i pracując wspomagali rodziców, siostry i braci, śląc im często zaoszczędzone pieniądze. Teraz nagle wszystko ustało powodu bezrobocia i nędza zatacza coraz szersze kręgi powodu kryzysu, i innych przyczyn tak własnych jak i obcych zgola obojętnych. A gdy w czasie nieurodzaju, pewnej jesieni wysłali rodzice dzieci swoje na wykopane już ziemniaczysko dworskie, aby pozbierały zostawione jeszcze trafiające się ziemniaki, które i tak przez zimę byłyby zmarzły i zmarniały, a ludzie by to byli zabierali i choć w części swoje zapasy szczupłe przymnożyli, to pan obszar-nik dziwacznie przebrany w przewrócony do wierzchu futrem ko-żuch wyjechał w galopie na koniu, aby przestraszyć, a potem zegnać te dzieci z pola. A gdy te wystraszone puciekwały i pochowały się do pobliskiego parowu, ten jeszcze i stamtąd je jeszcze powypędzał do domów i zagroził im aby się więcej nie ważyły chodzić ziemniaków zbierać na jego polu. Biedny pan bogacz! Żał mu było tych marnych kartofli, które zgnić miały, jak gdyby sam niemi tylko żyć miał. Po tym zdarzeniu pluli ludzie na taką robotę chrzcząc go różnymi nie-pochlebnymi przezwiskami. Tak samo rzecz się miała z pozostawio-nymi na rżysku kłoskami. I tych tknąć nie wolno niech lepiej zgniją niż chłopskie dziecko by je zdjąć miało! I do lasu po jaką jagodę wyjść nie wolno, bo straż leśna zganiania wysypując i odbierając uzbiera-ne jagody. Posłałem i ja chłopca jeden raz aby poszedł zbierać trochę malin, żeby potem sprzedać i choć na zeszyty do szkoły parę groszy zdobyć, bo z domu już nie można na wszystko wystarczyć, a po drugie że od najwcześniejszej młodości staram się dziecko do

pracy przyuczyć, aby miało chęć i zadowolenie z tego na później. Nawet taka rzecz własną pracą dziecka zarobiona i kupiona jest mu bardzo miła i cieszy się nią, że i ono przecież coś potrafi sobie zarobić. I przyszedł wnet z płaczem i próżnym dzbankiem opowiadając że leśny maliny uzbierane odbiera i z lasu wygania. I ze strachu nie poszedł już więcej. Ani go sam nie namawiałem. Oburzeniem tylko byłem przejęty.

Inaczej było za „starego”. U niego wyprosić można było gdy czego kto potrzebował i taniej sprzedal i niejedno dobro komuś wyświadczył, był to pan, jak o nim mówiono: że chociaż żyd, ale i dobremu katolikowi nie ustępuje. A gdy raz jeden pewien człowiek zaszedł ze skargą na swojego sąsiada z którym był w gniewie, że panu drzewo z lasu kradnie to on odpowiedział: bo jemu się chce pracować to pójdzie i przyniesie sobie i będzie miał, a Tobie się robić nie chce to ci zazdrość i przyszedłeś skarżyć na niego, idź i Ty se przynies jakich suchych gałęzi, a nic ci nie powiem. I dopiero potem opamiętał się ten człowiek i już więcej ze skargą nie chodził, ale jeszcze i sam do lasu na gałęzie poszedł. To był „pan” w całym słowa tego znaczeniu. Podobnych i dzisiaj jeszcze znajdzie jak np. hrabia Trzeciecki w Dynowie, który gdy mu ekonom doniósł, że jakiś człowiek siano na łące zabiera z kopy, też odpowiedział, dać mu spokój on ta wszystkiego nie zabierze, a to co zabierze i tak się tem nie zbogaci, jak dziadem był tak dalej będzie, a ja przez to hrabią dalej będę. I wzbudził temi słowami tylko wesołość u sług i kradnącemu nic nie mówili choć w dzień to było. I chociaż kradzieży choćby i małej pochwałać nie należy, ale obraz taki daje świadectwo dobrego pana. Nie tak jak to inni czynią i żyją, według zasady: homo homini lupus.

VIII.

Wypada mi się jeszcze wrócić do siebie i zdać jeszcze relację z lat ostatnich od roku 1929 aż do końca 1933 r.

W kwietniu 29 r. kupiłem krowę od szwagra, która kosztowała 400 zł. Swoją sprzedałem za 310, straciłem więc 20 zł. tylko, a do tej znowu dołożyłem 90. Ale jeszcze i ciele sobie szwagier wymówił, żeby mu po czterech tygodniach po urodzeniu wrócić, aby jak mówił „sierotka” mu przynajmniej po tej krowie została. Zgodziłem się i na to choć się mi dziwnym wydawał taki kontrakt. A nuż będzie byczek nie ciele. A nie, powiada, bo poprzednim razem mia-

ła byczka, to teraz cieliczkę będzie mieć. A zresztą choćby i byczek był, to sam niech będzie mój.

Za miesiąc się ocieliła, ale był byczek. Nie spełniła się szwagrowa nadzieja, ale trudno. Miałem tego byczka chować cztery tygodnie a potem miał go zabrać. Ale czwartego dnia byczek zachorował i trzeba go było dorżnąć. Jak na to szczęście mnie nie było w domu, poszedłem do Brzozowa na jarmark po kupno świni. Gdy powróciłem już byczek był zarżnięty, a czynność tę wykonał sąsiad podczas mojej nieobecności. Bała się żona aby nie zdechł zanim ja powrócę. Na drugi dzień poszedłem do szwagra, aby sobie przyszedł po byczka (że byczek był to już wiedział, bo zaraz mu o tem doniosłem). Wystraszony pyta się dlaczego: a no bo już nie żyje mówię mu powoli aby się jeszcze bardziej nie przeląkł. Tak? A to jak? Czy zdechł? Nie zdechnąć nie zdechł mówię mu, bo jeszcze przed śmiercią został zarżnięty. — A może on dwie śmierci miał, mówi szwagier wpadając w podejrzenie. Jak to dwie, zapytuję. Ano może on pierwszej zdechł, a potem dopiero został zarżnięty. Ale skądże, jak to można tak zrobić, przecie to nawet poznać można bo ze zdechniętego bydłęcia krew nie zejdzie i mięso byłoby czarne, jak zobaczysz mięso to się przekonasz, że mięso jest ładne i zjeść go można. Zresztą możesz się zapytać sąsiada co go zarżnął, to on ci powie jak było, bo mnie w domu nie było to żadnej winy w tem nie ponoszę. Przyszedł po mięso i zabrał rozdzielając go na cztery części t. j. mnie i sąsiadowi pół, drugą połówkę zabrał sobie. Czuł przez to długo do mnie urazę, jako że ja temu byłem winien, że byczek zachorował, bo się mi nie chciało tak długo chować i umyślnie się mu coś zrobiło iż zachorował. Podejrzywał mnie nawet że może całkiem zdrowego zarżnięto aby się tylko go jak najprędzej pozbyć. Dowiedziałem się tego wszystkiego i czyniłem mu wyrzuty że mnie tak podejrzewa a ja w rzeczywistości byłem temu niewinny, jako też i żona... Powiedziałem mu przytem, że ja przeszło 500 złotych straciłem w tak krótkim czasie, a nie żałuję, a Tobie przez te kilka tygodni dla byczka mleka bym żałował. Co za bezpodstawne podejrzenie.

Krowa rasy ementalskiej okazała się jednak dobra za co mu byłem wdzięczny, i przepraszając go obiecałem mu że jeśli kiedy w przyszłości będzie miała cieliczkę, to mu odchowaną sprzedam po niższej cenie.

Po ocieleniu zacząłem zaraz zbierać mleko i robić masło, któ-

re wynosiłem do Strzyżowa na targ, aby stracone pieniądze choć w części odbić.

Mleko miała dość duże, bo około 14 litrów dziennie i do 4 litrów masła tygodniowo się robiło, z czego 3 i pół odchodziło na sprzedaż, resztę zostawiało się sobie.

Sprzedając masło po cenie od 2.20 zł. do 2.60 zarobiłem z tego w roku 90 zł. Później po ocieleniu mleczność spadła i nie było już masła na sprzedaż. Kupiłem w ten rok dwie świny do przychowu; kosztowały one 110 zł., bo tak drogie wtenczas były świny, małe po 50 — 60 zł. sztuka. Zdawało się że jeszcze i tak coś na tem przyjdzie. Ale w jesieni gdy je przyszło sprzedać za sześć miesięcy przychowu za jedną tylko 80 zł. wziąłem, odrazu staniały.

Drugiej świni już nie sprzedalem z powodu takiej taniości, myśląc sobie choć raz przecie za swoją pracę zabiję na omastę dla siebie. I tak zrobiłem. Starczyło mi na sześć miesięcy oczywiście oszczędnych porcji do kartofli tylko i do kapusty. Na to miejsce sprzedawałem masło. Ale pieniędzy z niczego złożyć nie mogłem na miejsce straconych, zawsze się rozeszły.

Po przeczytaniu niektórych rolniczych książek doszedłem teraz do przekonania ile to błędów popełniałem za dawniejszej gospodarki z powodu nieświadomości wielu zagadnień rolniczych, i starałem się zastosować do rad podawanych aby podnieść urodzaje i zwiększyć przez to plony. Gdy dawniej kupowałem $\frac{1}{2}$ ctr. superfosfatu, potem cetnar, aż teraz w ostatnim roku zwiększyłem użycie superfosfatu do dwu cetnarów, wychodząc z tego założenia, że im więcej nawozu kupię, tem więcej zboża przez to zbiorę. Zaimponowało mi do tego to jak to zagranicą mają wielkie zbiory, a nawet i u nas w zachodnich województwach. Aby im to móc dorównać. Ale skutki powoli szły bo wypadły suche lata i urodzaje zawodziły. Raz padłem nawet ofiarą oszustwa przy kupnie superfosfatu też spowodu nieświadomości. Kupiłem półtora cetnara m. superfosfatu w workach półmetrowych. Ale po przywiezieniu do domu coś mi się w tem nie spodobało. Worki były bez plomb i znaku żadnej firmy tak na plombie jak i na worku tylko kartka przyczepiona drukowana „Superfosfat mineralny 17 — 18%”. Wpadłem przez to na pomysł iż superfosfat jest fałszowany. Przecie żadna fabryka nie wysyła worków czystych bez żadnej nazwy firmy i do tego worki półmetrowe. Wysypałem nawóz z worków na boisko i rozgrzebawszy zacząłem go badać nie chemicznie tylko naocznie, ale nie mogłem się dobrze wyznaczyć. Dopiero rozkruszywszy dokładnie wzią-

łem przetaka i przesiałem całą kupkę. I oto dopiero po przesianiu okazało się iż to co na przetaku zostało, było przedmiotem zafałszowania. A były tam większe kawały cegły, żwiru zlepionego z cementem wielkości pięści, drobne kawałki węgla kamiennego (bo ów handlarz miał też skład węgla i w tem samym składzie trzymał sztuczne nawozy, zatem zostający miał przymieszywał do superfosfatu), a na ostatku znalazłem nawet kawał świeżej ziemi, darń poprzerastana świeżym perzem. Dowód zatem nieomylny, że superfosfat był zafałszowany. Wybrane te „składniki” superfosfatu zapakowałem do pięciokilowej torby papierzanej i zdjęty gniewem i złością miałem to zanieść pokazać, potem rozmyślałem sobie, że to na nic się nie przyda, on mi już i tak pieniędzy nie wróci. Nadumałem się jeszcze czy zanieść to gdzie na posterunek, czy do sądu czy co z tem zrobić, nie miałem się nawet do kogo doradzić co z tem zrobić. A to nietylko, trzeba było posłać próbkę do analizy, a gdyby wykazała zawartość niższą niż to wskazywała przyczepiona kartka wtenczas bym mógł być wystąpić na drogę sądową. A gdy potem byłem raz w Strzyżowie i rozmawiałem ze znajomymi ludźmi na temat nawozów, bo jeszcze kilku miało brać i nie miałem im brać w tym składzie, przystąpił jakiś posługacz miejski do nas który z boku przysłuchiwał się naszej rozmowie i zapytuje się o czem rozmawiamy, urwaliśmy rozmowę, a któryś z chłopów odrzekł, że rozmawiamy o tem że mamy kupować „kości” (bo superfosfat nazywają u nas kośćmi), a nie wiemy, gdzie brać, który żyd ma lepsze.

A on po cichu nam rzecze: Jeśli macie zamiar brać to bierzcie u Wilnera, a nie u Liebermana. — A to dlaczego? A bo Lieberman ma fałszywe, sprowadził 6 wagonów a zrobił z tego 10, albo i 12. Może ów posługacz był faktorem Wilnera, tego nie wiem, może trochę i przesadził gdy mówił że z 6-ciu zrobił 12, ale ja miałem już dowód, że coś prawdy w tem było. I dziwnem jest że na tyle kupujących nikt poza mną nie wpadł na ten pomysł i nikt się nie odważył wszcząć jakich kroków, aby tego pana pociągnąć do odpowiedzialności. Ile tam ludzi zostało oszukanych, ile pieniędzy utonęło w kieszeni tego niesprawiedliwego handlarza. A handel swój prowadzi dalej do tego czasu. Ja jednak już miałem go dość i już więcej u niego nie kupowałem, przez dwa lata potem brałem w składnicy kółka rolniczego a teraz w Strzyżowie.

Wyniku z tych nawozów od Liebermana nie miałem dobrych, ale w każdym razie całkiem bezwartościowe nie były, może 10% — 12% miały. Zrobiłem przewrotnie, bo gdy inni ograniczali ilości

nawozów sztucznych, albo całkiem ich nie kupowali, ja zaś z dawnej ilości $\frac{1}{2}$ ctr. kupowałem 2 ctn, wychodząc z tego założenia, że zamiast kupować zboże, gotowe ziarno, kupowałem nawóz aby mieć i zboże i słomę i pole żeby wyczyścić z chwastów i zasilić.

Śmiali się niektórzy ze mnie, że się niszczę, że lepiej by kupić siana, albo słomy i zrobić więcej gnoju, a potem z tej gnojonej ziemi więcej by było zboża, ale nieusłuchałem nikogo, bo już miałem praktykę w tem kto się to na kupnej słomie lub sianie wspomaga.

Jednego roku kupiłem tak dwie „tafle” siana, na które po wysieczeniu upadł na nie deszcz i lało na niego dwa tygodnie, potem gdy wysuszyłem i w zimie dawałem bydłu to go jeść nie chciało, wołało słomę. A odrobić musiałem za niego 32 dni, a pożytku nie było z niego, ani gnoju wiele. Na drugi rok kupiłem tak koniczu za 100 co też tak samo zgnił. A za słomę w 32 roku za metr zapłaciłem 10 zł., bo rok był suchy i brakło mi słomy i siana wiosną. Siana kupiłem kwintal za 18 zł. i jak tu można gospodarzyć gdy bydło takie tanie, a pasza tak droga, że nigdy by krowa nie opłaciła się, gdyby ją trzeba było chować kupną paszą. Postanowiłem więc zmienić system gospodarstwa. Siałem więcej koniczyzny, gdy dawniej siano $\frac{1}{4}$ morga, dwunastą część pola, teraz zacząłem siać pół morgi, szóstą część pola. Tak samo buraków pastewnych: przedtem nigdy nie sadzono, bo gdy posadzono jaki kawałek to wcale ich nie było, nie sadzono już potem więcej, bo mówiła matka, „że u nas ziemia nie do buraków”. Okazało się to nieprawdą, bo w roku 1932 chociaż całe lato było suche, buraki urodziły mi się i miałem około 10 kwintali. A zrobiła to gnojówka, którą kilka razy w ciągu lata buraki podlewałem. Miałem z tego wielką pomoc w zimie, gdyż krowa bardzo chciwie sieczkę zjadała zmieszaną z burakami.

Miałem dobre rezultaty z owego przewrotu gospodarki, a do tego wszystkiego nakłoniły mnie książki rolnicze i byłem z nich zadowolony.

Ale to jeszcze nie wszystko, wiele jeszcze rzeczy w reorganizacji gospodarstwa przeprowadzić czeka aby wyrugować zupełnie mylne pojęcia przodków. Ale te pójda już niektóre opornie. Np. sprawa pogłębiania roli. Wszakże u nas nikt nie orze głębiej jak 6 cali; spotyka się nawet orki siewne na 4 cale! A gdy ja chciałem zaprowadzić głębszą orkę przynajmniej do 8 cali, też się spotkałem z oporem najemników, że to ziemię zepsuje. Wiem ja o tem że odrazu się to zrobić nie da, ale co roku potrosze pogłębiać a ziemia

z biegiem lat się wszystka przeprawi, a szczególnie pod okopowe, orka głęboka jest konieczną. Dawniej nigdy zimowych orek nie stosowano pod jarzyny. Teraz na próbę zastosowałem i już w pierwszym roku miałem rezultat widoczny. Inne pola sąsiadów orane na wiosnę wydały marne plony, a ja chociaż posucha była, miałem plony jęczmienia i owsa zadawalniające spowodu wchłoniętej wilgoci zimowej. Tłumaczyli mi wtenczas sąsiedzi że to tylko na suchy rok dobrze jest w jesieni zaorać. Ale ja mam już przekonanie i od tego nie odstąpię czy to będzie na suchy rok czy na mokry. Wprawdzie więcej mnie to kosztuje, bo w jesieni dzień jest krótszy i nie zaorze tyle co na wiosnę, ale spodziewam się że zwiększone plony powetują mi stratę. Nawóz pod okopowe też wywoziłem teraz w jesieni i też przekonanie mam dobre, bo gdy dawniej z tego samego kawałka pola zbierano 15 ctr., ja zbieram obecnie 25 i więcej.

Czeka mnie jeszcze zastosowanie nawozów zielonych i wapnowanie, ale na to już nie wiem, czy mi starczy środków t. j. pieniędzy, jednak w ciągu trzech lat po „rewolucji gospodarstwa” zdobyłem sukces niemały, gdy porównam zapiski gospodarcze z roku 1928, kiedy to wszystkiego zboża z całego pola zebrałem 12 ctr., a teraz 1933 — 20 ctr., ale wtenczas nie wydawałem po 40 zł. na nawozy sztuczne, jak teraz, więc były zbiory mniejsze, ale wydatki też.

Teraz chleba mi nie braknie, ale cóż z tego, kiedy pieniędzy brak, a rodzina się mi powiększa, w 1931 przybył jeszcze jeden syn (oby nareszcie już ostatni bo nie podołam wydatkom) wydatki się zwiększają, a dochody z roku na rok maleją z powodu kryzysu. Zgubny więc okazał się tak szeroko propagowany „wyścig pracy”, który przerodził się w nadwyścig łakomstwa i chytrości złota. Aby więcej, więcej, jak najwięcej ale tylko ja, drugi żeby nie miał nic. A że każdy stara się dorównać drugiemu, wyścig ów okazał się ogólny i powszechny. A to wszystko powinno mieć swoją miarę.

Jeszcze na jeden dział gospodarstwa zwróciłem uwagę, mianowicie pszczelnictwo. Kupiłem 1 pień, a właściwie rój 1931 roku. Miałem do tego z dawna ochotę, jeszcze w czasie wojny kupiłem sobie podręcznik pszczelarski Lorenza, ale nigdy nie miałem sposobu nabycia roju z powodu braku gotówki, a także bartnik, którego prosiłem o sprzedanie mi roja, nigdy go dla mnie nie miał, bo nie chciał mieć w bliskości konkurenta. Ale lepiej późno niż nigdy powiada przysłowie i ja choć spóźniłem się nieco, ale wziąłem się pszczoły mieć. Po rój udałem się dalej i dostałem go w Domaradzu

u znajomego i życzliwego pszczelarza. Ten nie był zazdrosny, ale z chęcią mi rój sprzedał po niskiej nawet cenie 10 zł.

Dziś dochowałem się już czterech pni i mam zamiar rozmnożyć pasiekę do 20 pni. Do tego czasu zysku nie mam z tego żadnego, owszem same wkłady i deficyt. Bo już trzeci rok cukier dla nich muszę kupować i to monopolowy, a nie denaturowany. Podaliśmy się teraz na denaturowany cukier pszczeli, ale było to już późno i musiałem kupić 5 kila czystego bo ten nadszedł aż z końcem listopada, więc nie można go już było pszczołom zadać, schowałem go zatem do podkarmienia wiosennego. Ule sporządzam sobie sam to jeszcze mnie tak wiele nie kosztują, tyle co gwoździe, a deski mam z kłoców ze swego lasu i sobą porżnięte. Bo gdyby mi przyszło ul kupić jak pisze p. Karczewska w Kalendarzu Kółek Rolniczych, że kosztuje 40—50 zł., to oczywiście nie chciałbym i pszczoł znać, nie wystarczyłbym pieniędzy na kupno uli. Założyłem też i ogród owocowy. Wyсадziłem coś z 50 drzewek, przeważnie jabłoni zimowych renet (Piękna z Boskop i Landsbergska) które też we własnej szkółce wychowałem. Był i przedtem sad u nas, a w czasie zimy 1928—29 doszczętnie wymarzył. Ale i na ten sad trzeba będzie poczekać z jakie 15 lat aby był dochód z niego. I na razie nie wiem czego się więcej imać, pewno trzeba będzie sobie dać spokój i nie szukać już więcej źródeł dochodu, bo i te, których się trzymam, dochodu nie dają żadnego.

Pozostaje mi wprowadzić jedwabnictwo i hodowlą ziół lekarskich, ale o tych już nie myślę, bo z powodu bardzo dalekiego miejsca zbytu niema widoków zysku. A zresztą czy dziś się co opłaca? Czy to chów drobiu, świń, bydła czy to produkcja rolna? I ja jeszcze do 1932 roku trzymałem się pomimo kryzysu z całych sił aby nie stracić równowagi a nie upaść, a ten rok już mnie zastał w beznadziejnej rozpacz. Skończyły się wszystkie oszczędności, a o zdobyciu nowej gotówki potrzebnej na zaspokojenie wpływających coraz to nowych potrzeb niema nawet prawa marzyć.

Bo skąd jeżeli my zamiast nagrody za pracę musimy żywić trutni społeczeństwa, a sami jako pszczoły musimy podzielić los trutni, gdyż jesteśmy zepchani na sam kraniec dna nędzy. A że tak jest niech posłuży na to tylko jeden lub dwa faktyczne przykłady. Weźmy tylko hodowlę kur. Wszak kura zjada rocznie równowartość 50 kl. pszenicy, co już zostało dawno stwierdzone n. p. przez Inż. T. Twardowskiego i innych, ja się tem nie zajmowałem, ale wiem z

gazet rolniczych. Więc 50 kl. pszenicy kosztuje około 10 zł. A trzeba już dobrej nioski, aby zniosła 200 jaj rocznie, które sprzedane po cenie 4 grosze (tak się u nas za jajka płaci przez cały rok, a przez jakiś czas nawet i po 3 grosze) wyniosą 8 zł. Mam więc straty na każdej kurze 2 złote, tylko za samo żywienie, a dodać do tego stratę za staranie, pomieszczenie, pielęgnację. A strata okaże się o wiele większa przy złej niosności. A jeszcze czasem gdy przekalkulować ten rachunek w czasie letnim gdy pszenica jest najdroższa (np. teraz była 35 zł.), a jajka najtańsze, okaże się wtenczas że zamiast korzyści ponosimy taką stratę, że każde sprzedane jajko po cenie 4 grosze nietyłe że faktycznie nie otrzymujemy tych 4 groszy, ale jeszcze dopłacamy drugie 4 grosze za to że go sprzedajemy!!

A zyski z tego zostają w rękach handlarzy, którzy te jajka sprzedają po cenie czasem i trzykrotnie większej. I czy tak powinno być! A teraz taka sama historia z hodowlą świń. Wszak jest stwierdzonem że świnia daje 1 kg. przyrostu żywej wagi po spożyciu 4 — 5 kg. zboża, weźmy cenę zboża po 14 gr. za kilogram, a koszt kilograma żywej wagi wyniesie 56 — 70 gr. A ile otrzymujemy na targu za kilo żywej wagi 40 — 50 groszy, a czasem mniej. Jest to sprawiedliwość? I tak bywa wszędzie i we wszystkim. Nie myślę tu rozciągać swych rachunków na wszystko sądzę że jest to zbyt ciężkie gdyż są od tego specjalne instytuty do badania koniunktur, czy one jednak zadania swe spełniają? Nie wiem. Pożytecznem by jednak było, aby każdy rolnik podobne rachunki przeprowadził i każdy przez to przyszedł do przekonania co jest przyczyną naszej biedy. Bo jeżeli zawsze ołówek był „najpotrzebniejszym narzędziem w gospodarstwie”, to tembardziej dziś powinien być o b o w i ą z k o w o stosowany. Czyby się na to zgodził jaki fabrykant, żeby swój wytworzony produkt sprzedawał ze stratą? On wolałby raczej fabrykę zamknąć niż stratę ponieść i rzeczywiście on to może zrobić. A my rolnicy podobnie postąpić nie możemy, choć wiemy, że się gospodarka nie opłaca, czekamy aby przetrzymać, przetrwać ciężki czas, ale owo czekanie bardzo drogo nas kosztuje i kto wie czy nie spełni się tu znane przysłowie: „zanim słońce wejdzie, rosa oczy wygryzie”. A tu pomocy ni ratunku nikąd żadnego. Zdaje się, że wpadliśmy w jakąś otchłań z której wyjścia żadnego niema. Czy zaciążyło nad nami jakie fatum, przekleństwo czy co?! Zdawało się już, że zanosi się na jakąś poprawę, zaczęto jakieś starania czy przygotowania do kartelu chłopskiego i z miłą radością przyjęliśmy tę wiadomość, może nareszcie się da

coś zrobić. Błysnęła nam nadzieja. A potem znowu strajk rolny. Nie powiodło się i wszystko przepadło: Wszystko na nic! Prawdę mówię: Przekleństwo!!!

Nie, to nie przekleństwo, ale brak solidarności, a także i oświaty. Przykład: Byłem jakoś przed owym strajkiem w Strzyżowie z masłem, trzymałem się na cenie 2,20 za litr i już pewna pani miała go ochotę kupić tylko się jej drogo widziało o 10 gr. się jej rozchodziło, ale byłbym już te 10 gr. puścił, wtem zwraca się do owej pani jakaś kobieta i mówi: proszę pani trzeba pani masła, to ja pani sprzedam po 1,80 zł. za litr. Działo się to przy moich oczach o dwa kroki ode mnie. Naturalnie że owa pani już bez targu to masło zapłaciła.

Byłem zgorszony i oburzony tym wypadkiem na ową kobietę. I już potem cena na masło zaraz spadła, a w następnym tygodniu doszła nawet do 1,50 zł. za litr. I możliwym jest kartel przy takim braku solidarności?

Zastrajkowałem potem ja sam, bo już masła do Strzyżowa nie nosiłem bo go już tyle nie było i miała krowa się ocielić niedługo. A teraz też strajkuję, bo noszę mleko do mleczarni. Wprowadzie i mleczarnia nie płaci drogo, bo sama „świata nie przerobi”, ale zawsze więcej, bo zł. 2,60 gr. za 100 jednostek, podczas gdy na targu płacą 2 zł. za litr. I to jaki litr musi tam być „chochol” czyli czub na litrze w którym jest kilkanaście deka więcej, to tylko takie płacą. Równej litry już nikt nie sprzedaje. A czy to potrzebne? Przecie gdy się kupuje co w sklepie, to nigdy wam więcej jak żądacie nie uważają i to jeszcze skrupulatnie wliczając nawet papier w tarę.

A szkodzi na tem tylko zawsze małorolny chłop, który jest przeważnie głównym producentem masła do miast. A sprzedąć go musi odjawszy sobie i dzieciom od ust, aby za otrzymany pieniądź mógł sobie soli i nafty kupić, czy inne potrzeby domowe. Tak to na ludzkiej biedzie inni zarabiają.

Nic więc dziwnego, że zmalała w ostatnich czasach konsumpcja soli, nafty, zapalek.

Wielu już oprócz oszczędnych zapalniczek używa krzesiwa, a świeci się z wieczora bardzo krótko lub nawet wcale gdy nie ma do tego potrzeby. A nawet słyhać że gdzieś na Polesiu ludzie przeciągają knoty przez piskorze i świecą nimi!!! O pastwo losu! Cofnęliśmy się wstecz o kilka pokoleń do zamierzchłych czasów dzikości. Ale szkoda tylko że kurne chaty skasowano, bo można byłoby świecić szczepami i łuczywem. A w kominowych domach tego czynić nie

można. Już i ja próbowałem różnych kombinacji świecenia paskami papieru pozostającymi z obcięcia książek, a nawet kocim szmalcem, bo nawet kota gdy jest stary lub niepotrzebny się nie zmarnuje, ale wszystko to niewiele warte, więcej to kopci niż widoku daje, i swąd jest z tego i oczy się psują. Ale cóż robić gdy na naftę pieniędzy niema. A jaka jest radość kiedy księżyc w pełni świeci, bo wtenczas można się już obejść bez światła. Więc w czasie gdy jesteśmy od wszystkich opuszczeni, przynajmniej Bóg nas nie opuszcza, że nam choć ciepło słońca, światło księżyc a i powietrze za darmo daje. Gdyby tem ludzie mogli rządzić napewno zostalibyśmy dawno odsadzeni na sam kraniec, gdzieś w stratosferze gdzie ciepło ani światło i powietrze nie dochodzi. I ciemno w izbie i ciemno też w duszy chłopa, bo znikąd ratunku, pociechy i pomocy niema.

I co jeszcze więcej mam powiedzieć o sobie? To jest przeszłość moja, która rzuca światło na ekran mego życia. A teraz mię czeka przyszłość ale jaka? Sama myśl o niej sprawia mi ból, więc lepiej o niej nie myśleć. Bo myśląc o niej, myśli te zaraz wkraczają w jakiś labirynt, gdzie sobie urządzają chaotyczny taniec. Niema, brak, nie będzie, nie poradzę sobie, na nic, nie dam rady, jak tu żyć, co będzie dalej, jak dzieci wychować, co im dać, jak przyokryć, zimno, chłodno, butów brak, ciepłej odzieży tak sobie jak dzieciom, chata się wali, a boisko też i studnia się zapadła, niema gdzie wody brać, skąd pieniędzy na to wziąć, część siostrze i siostrzeńcom czeka wypłaty, a skąd na to wezmę. Dzierżawa do 1935 roku przechodzi do wykupu, a za co ją wykupie chyba dzieci sprzedam! A jeśli ją postradam to jeszcze gorsza bieda mie czeka i t. d. i dalej w nieskończoność te myśli się gonią, a wyjścia z owego labiryntu niema.

Dn. 15 stycznia 1934 r.

Pamiętnik Nr. 5

Bezrolny, potem osadnik z parcelacji rządowej na 4 hektarach w pow. łomżyńskim

Urodziłem się w roku 1876-m na wsi w Starej Łomży, położonej o dwa kilometry od Łomży, a z tem jestem nieszczęśliwy, zem się urodził z rodziców biednych. Ojciec mój nie miał nijakiego majątku, a mama miała część która wartowała 50 rubli. Ojciec mój miał lat 26 jak się zenił a mama 18 ale ze ja niedługo ze swemy rodzycamy ciesyłem się, bo miałem rok i 9 miesięcy i ojciec my umarł, pozostała mama, po śmierci ojca, za trzy miesiące urodził się mój bracisek, a mama moja była w takim doglądzie, że po swoim połogu za dwa tygodnie umarła. Ja licący lot 2, a mój bracisek dwa tygodnie, pozostaliśmy przy babce, babka było wdowo, a do tego lubiła dużo wódki pić i swoich dzieci miała dużo, bo było 3 dziewczyn, a mama moja czwarta, a chłopców było 5-ciu, a gospodarka paromorgowa, to jak wzięła babcia nas doglądać, to mój bracisek za dwa tygodnie po mamy umarł, a ja nieszczęśliwy pozostałem się sam przy tej pijanej babusi, ale ze ja nie wiedziałem wtedy że to moja babka, tylko że to matula, bo jej dzieci nazywali matulu, no, tak samo i ja, bo wtedy jeszcze na wsi nie było mamy, albo mamusiu, tylko matule i mamule. To ja nieszczęśliwy przy tej pijanej matuli żyłem 5 lat, tak mnie chowała prawie nago i napół głodno, a po skonconych pięciu latach to mnie wzięła druga babcia, to jest ojцова matka, toto jus pamiętam sam doskonale, że byłem tylko w jednej podartej kosuli, a że to było lato, to nie zmarzłem, bo do tego owinęła mnie we swoje chustki i tak mnie i prowadziła i niosła boto było drogy jakieś 4-ry kilometry z jednej wiosky do drugiej, to jest ze starej Łomży do Zawad no i tutaj teras, to jus ja wiedziałem, że to moja babka, a nie matula. No i teraz u drugiej babci posło my troche jenacej, życie nowe, bo zara dali kosiule nowo, majtki, specerek, sukmanek

i już my było ciepło, tylko że z drugiej strony znów nowa bieda, bo zaganiali do pasenia, to jest trzeba było paść swynie. Zimno my nie było, bo siako to mnie oblekli i zaduzo, głodno też nie było, a najgorzej my było z tem, że wszystkie pastuchy cośmy razem pasli to byli odemnie starsze, no ma się rozumieć i wiekse, to najwięcej mnie dokucali. Najwięcej musiałem zawracać onech świni, no, bogudzienka przeszło lato, docekałem się zimy. Na tem nowem miejscu swini już niepase, no wszystko jedno, darmo jeść nie dają, sami wstają rano i mnie budzą, kazo kartofle skrobać na śniadanie, po śniadaniu dadzą rękawice na ręce i ka drzewo cioc, a jakie te drzewo; przeważnie jałowiec, to te rękawice nietylę od zimna, tylko żeby ten jałowiec nie kłół w ręce. No i tam u tej kochanej babci tak dzień za dniem, miesiąc za miesiodzem, rok za rokiem, tak jakos my życie sło i mogłem te babcie nazywać kochano, bo ta to mnie lubiła serdecnie, tylko co z drugiej strony, to nie mogła mnie tam wiele dogadzać, ani w życiu, ani w ubraniu, bo mego dziadka nie było, tylko miała męża już drugiego, to jest nie był mój dziadek. Stem niemógł zemno dużo co pokazać, a do tego posiadali gospodarstwo 4-morgowe. Do tego gospodarstwa trzeba było dużo zarabiać a jeszcze tak potrafili żyć, że chowali jedno krowe, a parę koni, to jednym słowem, że bez zimy szystko zjedli i koniami wypasli, a skoro wiosna to trzeba było zarabiać i sobie na życie i koniom, i do siewu, a co o ubraniu, to nie było i mowy. No i na wiosnę trzeba się brać za zarobek, a jaki ten zarobek, przeważnie kamienie wozić, bo to blisko miasta, to i do miasta potrzebuje i na siostry, a trzeba te kamienie zbierać po polu, to ja jakim miał lat 10—12-cie to już i mnie tej roboty nie oszczędzali, tylko gnali na cało siłę. Jak przysłała ta boza wiosna, to się łąziło za temy kamieniami i po mrozie i drugi raz popadło po błocie pół kolana, a najwięcej dziadek poganiał mnie, miał i swego syna, o wiele był starszy odemnie, ale to już aby do zbierania, to syn jego wozić, a ja po polu zbierać i wtem ja widziałem, że ta moja babcia mnie lubi, to i ja ją bardzo lubiłem. Takem się starał nad tem zbieraniem, żeby tej babci zaopiekować, to już ja swoje młode siły wkładał, aby babcia mniej robiła, bo ta babcia miała tylko mnie jednego wnucka i miała jedną córkę. Za czasem ta jej córka, a moja ciocia wysłała zamoż, a wysłała za swojej matki pasierzba, ja wtedy liczyłem sobie lat 13 i od tego czasu to mnie się nie polepszyło, a pogorszyło, bo ta ciocia już nie ochrania mnie, a ochrania męża, a on tak samo woli ochronić żonę, aniżeli mnie, wtedy już mam życia mniej, a roboty dużo więcej, a przeważnie nad temy kamieniami,

jakem o niech mówił. No, jakoś tam męcze dalej, mam lat 14-cie, to słucham, to ludzie już się ze mnie śmieją, że ja już garbaty; od tych kamieni już mie garb na plecach wyłazi, a tu tak idzie, co ja, co miesioc starszy, to więcej wymagają. Już teraz ciocia mówi „ty mężu nie jadź z koniami na noclek, już tera on może jeździć”, a noclek z koniami to jest w nocy, czalemy nocamy trzeba jech pasać, w nocy się pasie, a w dzień do roboty, to ten jenteres prowadzi się całe lato, dzisiaj, to już mało tego jest tych noclegów, ale kiedyś to tak było całe lato. Docekałem lat 15-ście i już wtedy widzę, że mnie bieda. Jenne chłopcy majo jenaksy wygląd, jenakse ubranie jak ja. Już ja wtedy, choć jestem opuscony, ale dobrze już rozumiem, że mnie bieda, a mógłbym sobie poprawić. Wtedy ja się zwracam do swojej babci i mówię, że ja babcie już opuszcze i pójde sobie do innech ludzi sukać szczęścia, a mie babcia na to że łzamy w oczach prosi i mówi, że nieopuscaj mie wnucku kochany, bo choć ja mam córke swojo i zięcia, ale ja już stara i cuje się bardzo słaba, może ja już wnet umre, a chciałabym zebyś ty mnie przy śmierci mojej dał gromnice do ręki, a nie moja córka, a wtedy moja babcia już miała lat przeszło 60 i na zdrowiu była bardzo słaba, no i ta babcia tak mie drogie zawiązała, że nie wiedziałem, co mam robić, cy poniewoli te babcie rzucić, cy jescze jakys czas побыć z to babcio, i takem sobie myślał zebym wiedział że ta babcia wnet umrze, tobym pobyl, a moze jescze będzie żyła z pare lat, to niepodobno mie tutaj być, a co się tyczy do tej cioci, to ona tez rada mie, zebym ja był u niej, bo dlatego że ja duzo robie, a mało jech kosztuje a oni sobie to myślo, że ja jescze nic nie rozumiem, a ja dobrze to wszystko, cało biedę jużem rozumiał, tylko to całe biedę ponosiłem dla swojej kochanej babci, miałem to w głowie, że ta babcia mie wychowała zmału, bo jak tylko moja mama umarła, a ja sie został przy tej pijanej matuli, jak wspominałem wyzej, to ta babcia od casu do casu mie odwiedzała, a kiedy tylko przysła, to nigdy prózno, zawse jakys kawalek chleba przyniosła, a wiem doskonale że jej to nie było łatwo; bo był jej trudny ten kawalek, ona samaby go zjadła z chęcią, ale go zaoszczędziła, bo wiedziała dobrze, że ja go wyglądam, tego chleba. Do tego jescze moja kochana babcia co mie dobrze zrobiła, nauczyła mie czytać, choć sama coprawda nie umiała, ale jej córka, a moja ciocia cośkolek umiała, to ta babcia męczyła i te mojo ciocie, zeby mnie pokazywała te a be ce, to i z nio sie męczyła i ze mno razem. To hywało jak przyjdzie zima to to babcysko całemy wiecoramy nas męcy koniecznie, zebym ja sie choć do msy świętej naucyl, bo aby

sie dzieciak nauczył do msy świętej czytać to i dość dla niego. Tak ze ja to nauke dostałem do swojej głowy, te mse święte za babci pomoco, która sama i jednej litery nie znała. No pomniowszy to wszystko zostałem się, ale już teraz niedługo czekałem na babcyno śmierć, bo skończyłem lat 16-cie i babcia umarła. No i tak byłem był przy babci zgonie, pochowałem z ciocio, ja babkę, ona matkę, i na tem skończyła mi sie bieda, a zacząłem wtedy życie nowe, bo wtencas opuściłem już to ciocie wraz i wujka i dziadka i ich dzieci, których mieli już troje i poszedłem w służbę, ale gdzie do gospodarza. To było w roku 1894, 5, 6, 7. Niewielkie myto płacili gospodarze. Jak dostał na rok 30 rubli, no i życie, to było dość, az zadość. No, a te pierwse pocotki mojej służby nie były dla mnie dobre, z jednej strony było mi dobrze, bo miałem życia poddostatkiem, kamieni jusem po polu nie zbierał, nie dzwigał kosamy*), albo fartuchamy, już mi sie garb na plecach zaczął potrosze prostować, tylko nowa bieda była z tem, miałem lat 16-cie, byłem chłopak rosły, ale ta bieda mi dokuciała, ze jak od kochanej cioci poszedłem na służbę boso i napół nago, tak dwa lata biedowałem ciesko, ciezej kamieni, i nie mogłem sie prędko przyodziać, ale za bosko pomoco poszło dalej bardzo dobrze. Byłem u gospodarzy bardzo lubiany, bom się o to starał, no tylko, ze wtedy to trzeba było jenczej pracować jak dziś ludzie pracują, jescze wtedy nie było maszyn, nie było kieratów tylko trzeba było wszystko robić rękoma, cepamy młócić, sieckie dla dobytku rznąć rękoma, tera co się tyczy młynów, to żaden gospodarz nie znał młyna a młyn każdy miał sobie w domu, zwałi się żarny, i parobek to jest służący musiał mleć w tych żarnach na chleb i osypkę dla jencwentarza, kase, jednym słowem tak, ze wszystko co trzeba było, to służący musiał namleć i to nie dniami, ale nocami, bo w dzień była jinna robota w stodole, młócenie, rznąć sieckie no i różny oporządek, a co do mielenia, to gospodarz budził służącego o godzinie pierwsej o 2-giej popołnocy, a to przeważnie te mielenie odbywało się tylko zimo. Jak największe mrozy, to takemy porankami zimo trzeba było namleć na cały rok rozmaitego kalibru mółki, tak zeby na całe lato wystarczyło, to w każdy poranek trzeba było dobrze kosuli nagrzać, tak ze z każdego włosa pot kapał. No, tak ze mnie czas schodził prędko i wesoło, pędziłem swoje służbę, byłem chłopak rosły, krzepki żadna robota mi sie nie przykrzyła, tylko to mi zawse w głowie było, ze nie umiem dobrze czytać.

*) t. j. koszami

a o pisaniu to i mowy nie było, ale narescie to jes w roku 1897 byłem u gospodarza takego, co poselał swoich synków do szkoły, to jest do Łomży, no i ja wtedy dawaj sie przyglądać tej nauce i sam sie uczyć, a te chłopcy miej wiecej my pokazywać, było to nieraz i śmiechu gromada z tej mojej nauki, ale ze ja na nic nie zwazalem, na zaden smiech, to ja wiele razy całemy nocamy sie ucylem, a gosposia była moja tak dobra, ze nie skodowała my nafty, tylko kazala sie uczyć i jesce tech swoich synków naganiała, zeby my pokazywali. No i dziękować Bogu i dobrem ludziom, ze ja bez zime wiecoramy naucylem sie czytać i cokolwiek pisać, no i coś niecoś pojołem rachunków i z tego byłem bardzo kątet i wesoly, bo moje koledzy take służące jak ja zaden to nie potrafił, no i ten mój gospodarz tez był z tego zadowolony, bo zawse mie przedstawiał do ludzi, ze mówi ja swego służącego naucylem czytać i pisać i to prędziej jak swoich dzieci, bo dzieci poselałem do szkoły pare lat, a jego naucylem bez jedno zime no i musiałem mu przyznać racyjo, bo zeby chciał, toby my nie pozwoił. A jesce ja do tech por jemu za to dziekuje bo był serca dobrego on i jego zona i do dziś mam po niech pamiątkę. No i docekałem roku 1898-go. Wtedy w 1898-mem zabrali mnie do wojska. Opuściłem służbę cywilno, a sykuje sie do służby wojennej, wtencas zwróciłem sie nazad do swojej kochanej cioci, bo blizsej famelji nie miałem, jak ciocia, zeby mnie wysykowała do onego wojska, a uciulałem sobie ze swojej służby 50 rubli, to zostawiłem cioci 45, a ze sobo na droge wziąłem tylko 5 rubli i prosiłem cioci o to, ze jak my będzie potrzeba, to ciocia przysle. No dość, ze zagnali mie do Peterburga, tam miałem odbywać swoje służbę, do wojska pieknego, bo do gwardji, tam znów zacynam zycie nowe tak właśnie jak to we wojsku i staram sie o tyle, zeby nie być gorsem od innech, azeby cośkolek lepsem i sluzba my sła bardzo dobrze, bardzo doskonale, tylko to niesceście, ze niedługo, bo przesłuzyłem 3 miesiące i z Łomży od wojennego nacialnika przysli papiery, ze takowo to Juliana S. odpuścić damoj potomu, što nie po zakonu wzięty, jemu to sluzt pierwszy razrad, no i wtedy mnie odpuścili do domu. A ten mój rotny tak my powiedział, jakem odchodził, „Ziałko tiebie, S., tyby tut wysioł na cielowieka, a tam doma kak służył chazainu, tak i budies sluzyt”. No i z tem wsystkem przyjechałem do domu nazad do swojej cioci ale ze juz służyć nie posłem, tylko wzięłem zamiar iść do Ameryki, bo wtedy jesce droga była otwarta, mozna było jechać, aby była tylko forsja jakeś 140 rubli, to

wystarczyło do Ameryky, ale tu nowa bieda, bo ja mam tylko 45, a gdzie jescze 100? Trzeba zarobiec, no posłem najpierw do swego wujka, to jest do mamy brata i upominam sie po mamy spadku, no i tam dostałem 50 rubli, juz pół biedy, reste trzeba zarabiać. Docekałem wiosny i puściłem sie na dzienny zarobek i wtedy pracowałem rozmaite roboty i na siosach kamienie tłukłem, w casie koźby u gospodarzy robiłem, dość na tem ze przerobiłem lato i zarobiłem choć z trudem 60 rubli gotówki, u cioci miałem 45, po mamy dostałem 50, zarobiłem 60, razem mam 155, to jest zrobiłem te piniądze do listopada w 1899 roku i cekam tylko wiosny i juz jade do Ameryky, po nowe zycie. Tem casem wysło my jennacej, moje zamiary spelzły na nicem. To jest działo sie 5-go listopada pojechałem ze swoim wujaskem do lasu po drzewo, a tam trzeba zbierać, zbieranine taky drobiosk lescyne i jałowiec, a ze ja byłem do wszystkiego sprytny na swoje nieszczeście, to ja nie chciałem tego drobiazgu zbierać, bo tam byli i duze drzewa, brzozy, sosny, dęby, to ja dawaj na brzoze, na sosne, siekiero i opcinać gałęzie, no i tam na sośnie to jest bardzo wysoko, jakem opcinał te gałęzie i zaciołem sie w noge, to jest w same kolano, tak ze sie skalecyłem na wieki. W przeciagu 4 dni, przywiezli do mnie doktora, doktor my opatrzył te noge i powiada tak, zeby mie odwieźli do spitala, bo w domu to nic z tego i ja pytam doktora, jak ja tam w spitalu dlugo bede lezał i jake tam bedzie lecenie, a on my odrazu mowi, ze te noge wypadnie ci odjąć i w przeciogu 3-ch miesięcy będzies chłop zdrow, jak koń, a w domu w przeciogu dwóch tygodni gangrena ci sie wda i mówi, ze djabli cie wezmą, tak mie pociesył i ja wtedy mówie: „ot i moja Ameryko”. Ale ze ja sie nie zgodziłem z tem, zeby jechać do spitala i wygoić sie, ale bez nogy, tylko pretko sie zgodziłem sam z sobo, ze swoim losem, ze jezeli mam żyć bez nogy, to wole umrzeć z nogo i tak sobie myśle dwa tygodnie, to jest niedlugo, sam jeden sobie jestem, nie mam rodziców, nie mam braci, ni siostry, ni zony, ni dzieci nicht za mno nie bedzie płakał, umre i skoncone. I tak swojej cioci mówie, zem taky los sobie wybrał, ze lepsa śmierć, nizeli takie marne zycie. Mam piniądze, mam ubranie, niech ciocia mnie dogląda bez te 2 tygodnie, a jak ja umre, to cioci jescze coś sie zostanie i moja ciocia pretko sie na to zgodziła. No i co sie robi? Leze, przechodzi te dwa tygodnie i przesło, a śmierci jak niema tak niema, no pewnie i gangreny niema, no pominowsy wszystko jaky ja tam miałem dogląd w tej chorobie, to tylko ja wiem. Wszystkiego dobrego było

i głodu, robastwa, i rozmaitej biedy nie brakowało, bo leżałem od 5-go listopada do piersego czerwca, to jest siedem miesięcy, tak zem z łóska nie wyłaził cały ten cas, to wtedy i ciocia ze mno biedy uzyla, a śmierć zupełnie o mnie zapomniła. No, w czerwcu zacząłem wychodzić potrose na swiat. No, koniec końcem juz potrose sobie chodze, ale na kuli. Trzeba sie brać za jakoś robote, co narazie robić? Wziąłem sie robić kosy do kopania kartofli. Zrazu my sła ta robota niebardzo, ale coraz lepiej i tak, ze na tech kosach zarabiałem dobrze, bo ludzie mieli na mnie wzgląd i brali odemnie te robote, tak ze nie nadożyłem robić i tak, ze zarabiałem wdzień do 4-ch złotych, ale ze to wszystko było nanic, bo cały mój zarobek ostawał u cioci, i takem sie męczył z ciocio 3 lata. Juz mogłem kosic i różne roboty, tylko dźwigać ciężarów to nie mogłem. No i po trzech latach tej nędzy pomyślałem sie ożenić, ze moze mie z zono bedzie lepiej, jak z ciocio. Jakem pomyślał, takem i zrobił, znalazłem sobie dziewczynke tako samo sierote jak i ja tylko wieku była jesce starsa odemnie, bo ja miałem lat 26, a ona 28, i pozenilim sie, do tego ona miała i posagu 150 rubli i wtenczas naprawde dopiero zycie my sie polepsilo na dobre. Narazie mieskałim u swojej cioci, ale ze niedługo pare tygodni i musielim sie wynosić do obcych ludzi na mieskanie, a za ten posag, te 150 rubli, to tak prawie, ze nam sie rozesło, bo trzeba było zaprowadzić nowo gospodarke, pokupać garky, miski, łyski, stół, jednym słowem co tylko trzeba do zycia, to wszystko sie kupilo, no i krowe, prosiaka, tak, ze tech piniedzy mało nam sie zostało i mieskałem u ludzi 7 lat, no i bez ten cas umęcyłim sobie ze swoich oscedności na malutky domek. Postawiłem sobie domek, kosztował nas 160 rubli i wtencas weszłim do swego domu i dopiero zycie nam się rozwinelo na dobre. Wtencos siedem lat po weselu dopiero w swoim domu Panbóg obdarzył nas potomstwem. Pierwszego syna docekalim w 1908 roku, a później pomalutku docekalim córky 1911 roku i jesce w 1913 r. panbók dał jednego syna, no i na tem dość, więcej dzieci nie mielim, tylko troje, które do dziś zyją, a bez te casy pracowałem najwięcej przy wyrobach cemętowych, kręgy do studniów, rury do mostów, dachówke, do wszystkiego miałem spryt, robiłem doskonale, tak, ze ten fabrykant bardzo był ze mnie kontet, a tem fabrykantem, to był gospodarz ze wsi Zawady Michał Ostrowsky i u niego pracowałem 5 lat, to jest za rosijskech casów. Zarabiałem po 60 do 70 kopiejek dziennie, ale musiałem robić 14 godzin w dzień i to nie letko, ale w pocie coła. No i zona tez my pomagala, cho-

działa do roboty, do gospodyń i z tego zarobku utrzymywałem się, od czasu do czasu jakiego prosiaka sobie uchowałem, tak aby dzieci z postem nie jedli, to takem pracowali oboje z żoną do roku 1912-go, a w 12-m roku złapałem się za ziemię i choć z trudem wykąbinałem sobie dwa morgi dzierzawy, bo o kupnie nie było mowy, bo u nas około Łomży ziemia była bardzo droga, za 2 morgi płaciłem 14 rubli rocznie. Sprobowalem na tej ziemi robić, bardzo mi się podobało i zaraz 1913 roku kupilem sobie znów 2 morgi i już miałem cztery morgi. A co mnie do tej ziemi spowodowało? Cytalem stale gazete Zaranie, tam w kazdej gazecie był dział naukowo-rolnicy, a ja to bardzo chętnie czytałem, i do tej nauki stosowałem się z robotą na ziemi i doskonale mi szło. Tak inni gospodarze zapatrywali się na moje prace na roli i nie mogli się nadziwić, jak mi się wszystko doskonale rodziło. Kosztowało mnie to drogo, bo 2 morgi com za niech płacił 14 rubli, to im ich dostał od Administratora, bo to była ziemia majoracka, to jest państwowa, a za drugie 2 morgi dałem człowiekowi odstępnego 200-cie rubli. Wtedy jeszcze chętniej czytałem Zaranie i pracowałem na tej ziemi, aby z niej wykorzystać. Kupilem sobie konia, wóz, pług, brone, jednym słowem cokolwiek trzeba do gospodarki, a to wszystko z pracy rąk. Kiedyś, za rosyjskich czasów, można było przy oszczędności na wszystko zarobić. Wtedy, jakem miał już konia, to się brał wtedy za robotę leższą, latem pracowałem na swoim kawałku ziemi i coś niecoś zarabiałem, ale już nie sam sobą, tylko koniem, to już mi było o wiele łatwiej. Przeszło lato nadchodziła jesień i zima, wtedy wziąłem się za inny zarobek. Brałem się za handel swyniami i na tym handlu też mi dobrze wychodziło, bo kiedyś za rosyjskich czasów nie było takich dużych opłat jak teraz, a otchód w handlu był doskonały i na tym można było doskonale zarabiać. Tylko to niestety, że tego mojego łatwego życia niedługo było, bo w 1914 roku, jak wiadomo, wybuchła wojna. To jest cały rok siedzieliśmy pod gradem kul. No, na tym tak prawie że nie straciłem, potrafiłem się obchodzić z rosyjskim wojskiem, prowadziłem z nimi rozmaity handel i potrafiłem z nich też sporo grosza wyciągać, tak że doszedłem do tego stopnia, że miałem już parę koni, które kosztowały 300 rubli. Leżało mi jak z płatkami, ale że wnet się wszystko przerwało, bo w 1915 roku 15-go lipca zabrali mnie rosyjskie wojska na formankę i musiałem jechać bez wymowy. Na tej formance zrobiło mi się strasznie niesciesznie, bo złamałem sobie nogę, to samo, com kiedyś skaleczył i wtedy wszystkie biedy, wszystkie niescieszności, jakie tylko

na świecie były, to wszystko na mnie się zwały, bo dzieci troje, najstarszy syn miał lat 8, żadnej pomocy z nikogo nie miałem, tylko moja kochana zona, no i piniodze, to cała moja pomoc była. Dnia 15 lipca złamałem nogę, a 6-go sierpnia musielim wyjeżdżać do Rosji, tak mnie zona powiozła z to moje złamano nogo. No w podróży, jak tam nam było, to tylko nam i bogu było wiadomo, a podróżowalim od 6-go lipca do 10 listopada, to jest całe 4-ry miesiące. 10 listopada dojechalismy do miasta Ciernigowa, to jest miasto Gubernialne. Tam nas obstawili, dalej już nie jechalim, a tam póki znaleźlim kwatery to zesło do grudnia. No i tam dawali nam cośkolwiek pomocy do życia dla nas i dla koni. No i dopiero cośkolwiek odpocelim, ale, ze tej pomocy długo nie było później musielim się sami o życie starać, no tam, jak nam tam było, to było, to tego nie będę opisywał, tylko powiem to, że rosyjski naród można pochwalić, bo głodu tam nie cierpielim a byliśmy tam prawie trzy lata. Bo stamtela, to jest z Ciernigowa wyjechalim 1918 roku 15 maja i podróżowalim jeden miesiąc, bo 15-go czerwca bylim w domu. Tylko to było moje nieszczęście, że byłem kulawy, to do Rosji pojechałem na dobrych koniach i z piniodzamy, a stamtela nazad przyjechałem na jednym koniu lichem i bez piniodzy, tylko to dzięki bogu, że wrócyliśmy zdrowi my i dzieci nasze. No i tutaj teraz rozpoczęła się nowa bieda i to na dobre i na długo. Jakem przyjechał, dom mój był opuszczony, bardzo lichy i to był zajęty, ludzie w nim mieskali, tak że ledwie ich wykurzył z tej budy, bo można było powiedzieć że już tylko buda. Byłbym wolał żeby był spalony, to bym coś ośkოდowania dostał, a tak, to nic i musiałem w takiej budzie biedować kilkanaście lat, a co się tyczy do ziemi, to moje ziemie ludzie zabrali od administratora w dzierżawę, tak że odebrać było trudno i ja nieszczęśliwy ze swojej złamano nogi poszedłem nazad do roboty cegłowej zarabiać dla dzieci ten kawałek chleba, no i po mału odzyskiwać swoją ziemię, to już nie to co miał przed wojną, ale inne tam jakieś kawałki ale ze to mi się z bardzo wielkim trudem i pomału. Zdobyłem sobie 6 morgów tej ziemi, a to że lada jaka to ziemia było pusta zarosnięta, jałowa, co już komu się naprzykrzyła, to takiej ziemi mogłem dostać. Ale i za taką ziemię musiałem płacić do rządu dzierżawę drogo, a to najgorse, że nie miałem cemu robić, bo nie miałem konia, tylko krowę, ani woza, ni powroza jak to mówio. Później docekalismy się wojny bolsiewickiej, wtedy korzystając z tej wojny zdobyłem sobie konia za parę marek, ale ze i tym koniem niedługo się cieszyłem, bo przy-

sła policyja i my go zabrala, no pomału dawaj te ziemie robić choć jak niebąć, aby sie biedzie nie dawać. No i pomału docekałem sie parcelacyj, te morgy miałem porozrzucane, 6 morgów we czterech miejscach, no i te my przepadły, ale ze parcel my sie należała, dlatego ze byłem bezrolny, własności nie miałem, ale byłem dzierzwawco i dlatego dostałem parcel, ale ze wtedy jak nam to pomierzali, te ziemie, pan niżenier, to był tego zdania, ze jak kto miał 2 krowy, to jedno sprzedał, dodał jemu jesce do tego pare korcy zboza, to takemu dostała sie działka duza i dobra, a ja jesce wtedy nie miałem dwie, a tylko jedno krowe, zboza tez nie miałem, no i jenni take byli jak ja, to nam działki dostali sie i ziemia licha i małe, bo tylko po 6 morgów, a ci co mieli sposób, to podostawali i ziemie dobre i działki duże, bo byli działki 8 i 12 morgowe. Z tem myśmy nie bylim zgodne, dawaj protestować przeciw temu pomiarowi, a to odbywało sie w roku 1925-tem, to sie przeciągnęło do 1927-go roku i nam nie naznaczyli ceny i spłaty, tylko zapłaciłim za 3 lata dzierzawe i wkońcu 1927-go roku zrobili drugi pomiar, coś niebódź rzetelniejszy, bo mie sie dostała działka 4 i pół hektara i jeden hektar łąki, to tylko ze łąka, to lada jaka, bo tylko 2 fury siana, to jest dla mnie dobre, tylko to znów nas męco, to jest 1928 roku ządali od nas zadatki, ja dałem zadatku 350 złotych, no i inni to samo, popłaciliśmy, no i wtedy dali nam sacunek ziemi. Wysacowali nam po 1800 złotych za jeden ha i spłata na 41 rok, a roczna rata wynosiła przeszło 300 złotych, apart podatku, a podatku, to jest fajerkasa, no i inne gminny, drogowy, grątowy, siarwarkowy, totez rocznie 60 złotych. Ale wypłata za ziemie, to jest 300-to złotych, to jest jedna rata półroczna, a trzeba płacić dwie raty na rok, to jest 600-set złotych rocznie, a spodatkamy to sie zbierało około 700-set złotych rocznie, to my sie rozejrzeli, ze to nie mozliwe, bo jak i wemze, to jest 4-ry i pół ha ziemi, to trzeba dobrze pracować i morderze, zeby z tego wyżyć, a jak kto nie potrafi rozumnie na tem robić, to i wyżyć nie moze, bo to jest ziemia ledwie średnia, zyt-nio-kartoflana, to jest ja potrafię robić, bo dzięki dawniejsemu „Zaraniu”, ono mie nauczyło na ziemi robić. „Zaranie” nie kazalo sie oglądać na boga, co bóg da, tylko kazalo robić mądrze i chętnie no pominowszy to wszystko myśmy zaceli protestować przeciw tej cenie, składać podania do urzędu ziemskiego o zmniejszenie ceny, bo nie damy rady. No, z biegiem casu, to urząd ziemsky nam coraz stopniowo zmiejsa, ale ze i na świecie sie coraz gorzej robi, tak ze juz zmiejsili o polowe, no a wszystko jedno płacić nie-

ma skąd. Podatki, jakie nam podlegają, to opłacamy i to nie wszyscy, bo so i takie parcelanci, co i na podatek nie mogą zebrać, a co ratów, ta tak prawie ze nikt nie płaci. To nam urząd ziemski za te lata od 1928-go do 1933-go nałożył po 1000 złotych dzierżawy, a myśmy za ten czas i po 1000 groszy nie nzebierali i nie wiadomo, co z namy dalej będzie, bo na tem kawałku ziemy trzeba żyć, trzeba dobytek paść i z tego się opalać i jakieś 60 złotych podatku płacić, bo podatek to opłacamy, no ale co do życia, to możemy życie prowadzić take, nie będzie mówił o kim, a tylko sam o sobie. Jest moja rodzina, składa się z 5-ciu osób, no to jadamy dwa razy na dzień kartofle z jakimś barscem, naprzemian z mlekiem i pół centnara żyta na chleb, na miesiąc, to jest zjadamy na chleb 6-ść centnarów na rok, no kartofli to bez miary, mięsa, to tylko na jakie roczne święta, o cukrze niema mowy, cukier zastępuje się mlekiem i tak się życie prowadzi. A to dlatego tak się skąpuje, że dzieci mam troje, to jest 2-ch synów i jedno córkę, najstarszy syn lat ma 25, córka 23, najmłodszy 21 i wszystkie chcą się ubrać, a tu i dom się wali, trzeba budować drugi. Wtem najstarszego syna zabrali my do wojska 1929 roku, a młodszy wyterminowany był na siewca, bo jednakiego sposobu nie miałem mu dać. Jeden w wojsku, drugi siewcem, a ja, jako inwalida na nogę kulawy, ostałem się tylko z córką i małką, wtenczas trzeba było córkę nauczyć orać i bronować, no co skosić, młócić, coś tam wozić, to ja sam choć z biedą, ale to zrobię i ta moja córka tak całe dwa lata zemno się męczyła, a o budowaniu domu nie było mowy, aż chłopak wysłużył w wojsku, a służył całe dwa lata, bo był w kawalerji, no dzięki, że przyszedł zdrowo do domu, wesół bo był kapralem, no po minowsy to teraz mówię, bierz się synu za robotę, bo poprostu można mówić, że siedzimy jak w budzie psiej, dalej już w takiej budzie niemożliwe mieszkać, bo wnet nas podusi ta buda, tylko patrzeć kiedy się zawali. No, wprawdzie, że ja i za pomocą żony i dzieci uskompowałem trochę grosza z tego co nie dojadłem i nie dosypiał, ale mało, około tysiąca złotych to jest na dom i na chlewy zamało, trzeba się chłopcu zenić, może co posagu dostanie, no i tak zrobiłem. W roku 1932, 20 lipca syn się ożenił, co się tyczy do posagu, to dostał mało, tylko 600 złotych, a myśmy ze swoich piniedzy wykostowali przeszło 200 złotych na te ożenienie. No, teraz trzeba się brać za dom, no i z wielkim trudem pobudowaliśmy sobie zgrabny porządnny domek, ale kosztował nas dom 1600 złotych i teraz mieszkamy sobie w domu nowym, a nie

mamy jeszcze dla dobytku chlewów, tylko tak się dobytek mieści w łada sopce, a zbieramy się może w roku 1934 może pobudujemy chlewy, bo się na to zagoniamy, tylko to, że z drugiej strony znow dla mnie, jako dla ojca, jest nieszczęście. Pobudowaliśmy dom, weszliśmy do niego i licylim, że już teraz będzie dobrze, nieprawda, bo jak synowa przysłała, to dla córki niema pomieszczenia. Już nas się zadużo zrobiło, córka moja kochana nie może się pomieścić, bratowej zrobiła się duża w oczach, tak że moja kochana córka, rozumiejąc to wszystko całe bratowej korowody, mówi do mnie: tatusiu, ja jej muszę z domu ustąpić, niechaj jej będzie luźniej, ja i matka wzięlim jej tam przekładać, że może poradzimy temu jakoś, ale ona mówi, jeżeli ja mam być w domu, i bezemnie ma być niezgoda, to życie wy samy sobie, a ja pójdę, ja sobie dam radę i o tatusiu i mamusi nigdy nie zapomnę. No i tak że łzamy w oczach nam ustąpiła, posłała do obowiozku, tylko teraz płaciła małe cenie, bo za miesiąc październik dostała 15 złotych, a dalsze miesiące zimowe, tylko po 10 złotych, no i jest sobie z tego zadowolona, a my w domu pędzimy dalej swoje biedę. No, moi kochani panowie, którzy tam teraz będziecie przeglądać moje pismo, to powiem wam moi drodzy tylko to, że nie będę chwalił czasów rosyjskich, w których przeżyliśmy długie lata, a nie będę ganił czasów polskich, w których żyjemy obecnie, ale za rosyjskich czasów, za ich panowania, to ja żyłem z wyrobku, z pracy rąk, ale co się tyczy do ubrania, to ja miałem jedno ubranie do kościoła, drugie tak sobie do niedzieli i trzecie do roboty i obuwiu tak samo i buty do kościoła, drugie do roboty, a jeszcze i kamasy na lato do kościoła, a teraz jak się żyje w naszej kochanej Polsce, to ja naprawdę i do kościoła nie chodzę nie dlatego, że go nienawidzę, bo jakby nie było, to ja bym chodził, bo inni mówią, że ja niepobożny, że ja odstąpił od kościoła i od boga, rozmaicie ludzie urągają, ale ja nie dlatego nie chodzę do kościoła, że jestem niepobożny, a tylko jedynie dlatego, że nie mam w cem, nie mam ubrania, niema butów, buty jak sobie sprawię na zime, to jest wojsłoki i razem kalosie, to kosztują razem 9 złotych, a kupić skórzane, to kosztuje przeciętnie 20 złotych, to na zime się kupi wojsłoki, a latem chodzi się boso, a co ubranie to się chodzi aby nie zmarznąć. Jeszcze z rosyjskich czasów kłaki się wynajduje i się lata i tak się chodzi gorzej, jak rosyjski dziad, a jak nam przyjdzie się jeszcze za te parcele wypłacać, to i z moich dzieci ubranie i obuwiu obleci, i myślę to, że jak żadnej zmiany w Polsce nie będzie, to my biedujemy cieszko na tych naszych majątkach i moje

dzieci będo biedować jesce i wnucky. Teraz moi drodzy panowie, co sie tycy do cytania gazet, książek, to dawniej przed wojno, to cytałem stale gazete „Zaranie”, no i rozmaite książki, bo miałem na to sposób kupić ich, a co dzisiaj, to o kupnie niema i mowy, tylko to, ze jesce jestem w zwiąsku małorolnem, zwie się związek bezrolnych i małorolnych, to stamtela kedy nikedy gazete sie dostanie, to jest gazeta chłopska prawda, no co jakiś cas wpadnie w ręke gazeta „Zielony Sztandar”, często, często „Wyzwolenie”, to sie z wielko chęcio cyta, no co prenumerować to niema sposobu i nie wiem kiedy będzie ten sposób, cy ono jesce kedy wróco te casy, zeby cłowik mógł sobie choć tego używać coby mógł sobie gazete jedno i drugo stale mieć, jake ksiosky dobre do cytania, zeby miał zaco kupić, zeby sobie ubrania do kościoła sprawić, no i zeby choć raz na tydzień kawalek mięsa zjeść, ale naprawdę, to chiba do tego jesce daleko bo strasnie nam głowe zabijajo te nase majątki, te kochane parcele, nie dadzo nam zjeść, ani śwyniaka, ani kurcaka, ani jojka, no co jojko, to sie zje, ale tylko na wielganoc, to jest śwecone, a co prosiaka, lub kurcaka, gąsiaka, to sie zje, ale tylko takiego, co juz ma ochote zdechnoć, co niezdatny do sprzedania, a jenacej wszystko sie sprzedaje. Jakes tam pare litrów mleka, kurcak, prosiak, wszystko sie sprzedaje i to za bezcen, bo u nas w Łomzie to bez cało wiosne i lato mleko płaco 10 gr. liter, jaja tez przecietnie 10 groszy, kartofle 2 złote meter, zyto 12 złotych meter, a co sie tycy do kupienia, to co my kupujemy, to jak wiadomo, wszystko jest bardzo drogo, jak sól, zapałky, nafta, machorka, cukier, którego nie używamy, no, zielazo, jednym słowem to, bez cego sie nie mozem obyć mus kupić, to jest wsystko sialenie droge. Som take gospodarze co na takech majątkach jak ja, co tego nie posiadajo, obywajo sie, robio cudzem, sprzedajem, najmujo do roboty, drudzy tam różne spółky robio, do połowy zbierajo, no ja do tego sie nie dopuscam, mam konia, chowam stale latem i zimo, no i trzy krow, jakes troje swyń tak ze sie biede goni na cało pare, mam wóz, dobre brony, kultywator, sieckarnio i wialnio do cyscenia zboza, no i kobiety sobie chowajo ze 30 stuk drobiu, no i to wszystko. Teraz moi drodzy panowie, którzy tam bedziecie rospatrywać to moje pismo, prose was bardzo całem sercem, nie zrazaście sie na tem, ze ja napisałem moze niedokładnie, moze źle, moze brzydko, bo nie jestem klasisto, a tylko biednem samoukem i pisałem swojo własno ręką, moze panowie te moje pisanie rospatrzycie i wrzucicie do kosa, moze ono do nicego niepodchodzi, to

prose my wybacyć, jako biednemu samoukoju, a co sie tyczy do rzetelności, to opisałem rzetelnie wszystko, tak ze mniej napisałem, aniżeli więcej, jezeli sie nie nadaje to moje pisanie do nicegoj, to prose serdecnie o jakoś odpowiedź, bo jenacej jak nie dostane odpowiedzi, to bede zawse myślał, moze niedosło do wasech rąk, a jak dostane jako odpowiedz, to choć z tego będę kątet, ze dosło. Na tem koniec.

Dn. 27 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 6

Gospodarz średnio-rolny w
pow. ostrowskim

Moja młodość i przygotowanie do życia

Urodziłem się w roku 1892, jako najstarszy z dosyć licznej rodziny. Matka moja zmarła w kilka dni po moim przyjściu na świat. Wychowywałem się pod opieką ciotek i kuzynek, podobno niezbyt życzliwie dla mnie usposobionych. Karmiono mnie butelką napętnioną mlekiem, a moje wrzaski po nocach tamowano odwarem z makówek, o czym mi później opowiadano. „Zła siekiera nie utośnie” — powiada przysłowie — tak się stało zrządzeniem Opatrzności, że się wychowałem i do dziś żyję. Prawdziwą matkę zastąpiła mi przybrana matka, którą ojciec mój pojął za żonę. Rzadki to objaw w naszych stosunkach rodzinnych troskliwej opieki macochy nad pasierbem, to też pamięć przybranej matki mojej mam zawsze w wielkim szacunku.

Z opowiadań mego dziadka, który przeżył około stu lat i pamiętał dobrze czasy wojen napoleońskich, dowiedziałem się o swem pochodzeniu. Pradziad mój był szlachcicem i zajmował jakiś urząd w obszernych włościach biskupów plockich. Dziadek zaś, utraciwszy w szóstym roku życia rodziców, wydziedziczony został z majątku i ze szlachectwa. Wychowany w chłopskiej rodzinie, odrabiał jako najemnik pańszczyznę za innych, a po uwłaszczeniu otrzymał półtrzecia morga lichego piaszczystego gruntu, który przekazał dzieciom wraz ze szlacheckim nazwiskiem, dosyć pospolitem w tym zakątku ziemi mazowieckiej.

Uwłaszczeniowa polityka zaborczego rządu rosyjskiego miała na celu podział społeczeństwa na wiele stanów i klas. Oprócz serwitutów, które miały stanowić kość niezgody między wsią a dwo-

rem, utworzono w każdej wsi ukazowej dwie kategorie gospodarzy, bo obok gospodarstw włókových ustanawiano też drobne dwumorgowe gospodarstwa. Tacy morgownicy czyli „morgarze” — jak ich w mojej okolicy nazywają — mają za mało aby żyć, a za dużo aby mogli z głodu umrzeć. Osadnicy morgowi rekrutowali się ze służby i najemników, odrabiających pańszczyznę za gospodarzy we dworze. Po uwłaszczeniu mieli oni spełniać rolę wolnych najmitów, odrabiając nadal pańszczyznę na dworskim lub u zamożniejszych gospodarzy, za przysiewki i pastwiska. Takim ośrodkiem nędzy była i jest do dziś moja rodzinna wioska Piecki, gdzie na 90 morgach szczerego piasku pędzi „męczeński” żywot około 40 dość licznych rodzin chłopskich, patrzących pożądliwym okiem na leżące tuż rozległe posiadłości dworskie i oddających przy wyborach swe głosy tym, którzy im tę ziemię dać obiecywali.

Grunta mojej wioski graniczyły z dużym lasem, stanowiącym część dawnej puszczy Brokowskiej, a będącym majątnością biskupów płockich. Rząd rosyjski skonfiskował te dobra i oddał je w posiadanie hrabiemu Kotzebue, który sprzedał je w jakiś sposób żydowskiej spółce parcelacyjnej. Żydzi ustawili w lesie dwa tartaki, a wspaniałe drzewostany rychło stały się ich pastwą. Zarobili oni na wyciętym lesie olbrzymie sumy, a grunta poleśne rozparcelowali między okolicznych rolników przy pomocy Banku Włościańskiego, gdzie w celu uzyskania pożyczki przedstawili sfałszowane plany, w których półlotne piaski były oznaczone kategorią łąk lub gruntów o wysokiej wartości użytkowej.

Ojciec mój, otrzymawszy ze swej ojcowizny 50 rubli tytułem spłaty, nabył z parcelowanego majątku działkę gruntu o 24 morgach polskich obszaru i założył własne gospodarstwo. Ja miałem wtedy pięć lat.

Osadnicy, którzy rozkupili wycinki poleśne, rekrutowali się z wyrobników, służby dworskiej, morgarzy i innej biedoty, której marzeniem i dążeniem jest posiadanie własnego kawałka gruntu. Działki pomierzono drobne 5 i 10-morgowe, aby łatwiej uzyskać nabywców. Tylko mój ojciec nabył resztówkę z trzech działek obok siebie położonych, jednak o najlichszej glebie. Nie było za to zupełnie łąki, ani kawałka pastwiska. Oprócz tego pole miało tę niedogodność, że kilka wąskich zagonów miało wzdłuż około dwóch kilometrów. Za nabyty grunt ojciec mój wpłacił tytułem zadatku 50 rubli, resztę, t. j. 800 rubli zobowiązał się wpłacać ratami Bankowi Włościańskiemu w ciągu 40 lat.

W ten sposób na karczowisku poleśnem powstała wioska, która od leśniczówki, wybudowanej przez plenipotentą hr. Kotzebue, a nazwanej z rosyjska „Daniłówka”, otrzymała nazwę Daniłówki. Wygląd tej wioski był podobny do powstających i dziś w wyniku wykonania ustawy o reformie rolnej — osiedli ludzkich. Stodoły miały nietylko dachy, ale i ściany słomiane, lub wcale ścian nie miały, a domy mieszkalne i budynki gospodarskie zastępowały ziemianki, lub naprędce uklecone z patyków i gliny chatynki, w których zamieszkiwali osadnicy wraz z nielicznym narazie dobytkiem gospodarskim.

Wieś taka przypominała swym wyglądem jakieś osiedle dzikusów w krajach podzwrotnikowych, gdyż obraz ten uzupełniały zawsze bosc i półnagie dzieciaki, grzebiące się w piasku. Gospodarze z okolicznych wiosek, zasiedziali z dziada pradziada, odnosili się do kolonistów z pogardliwem lekceważeniem, nazywając ich: „nowiniarzami”, „nabywcami” i t. p. wyzwiskami. Co prawda byli to przybysze z różnych stron, a wśród nich było wielu takich, którzy sięgali po czyją własność. Wśród takiej zbieraniny trudno było rzucić jakąś myśl pracy zbiorowej i wspólnego zaradzenia biedzie.

Nad wykarczowaniem potężnych pni po wyciętej puszczy trzeba było podjąć wiele nadludzkiej wprost pracy, by się przekonać, że nabyty grunt to w połowie — nieużytki. W pierwszych latach po wykarczowaniu na nowinach zboża nieźle się udawały, lecz po ich wyzyskaniu nienawożone odpowiednio piaski przestawały rodzić. To też cały szereg nabywców uznało za stosowne wyrzec się wpłaconego zadatku i opuścić nabyte gospodarstwa, które spółka żydowska sprzedawała innym zgłaszającym się do kupna.

Ojciec mój był roslým i silnym mężczyzną. Pamiętam doskonale jego wytężoną pracę nad zagospodarowaniem objętego w posiadanie pustkowia. Pamiętam jak karczował potężne pnie, rozbił je przy pomocy olbrzymiego młota i woził do miasta na sprzedaż, jak wśród mrozów i zawiei woził kłocę do tartaku, by jakiś grosz na potrzeby gospodarstwa zarobić, a pracować musiał o kiepskim wikcie i w lichym przyodziewie. Przy tej pracy ojciec mój utracił zdrowie i z najsilniejszego chłopca w okolicy stał się wkrótce kaszlącym cherlakiem.

Matka moja była też kobietą skrzętną i pracowitą, a przytem bardzo pobożną. Miała dużą książkę do nabożeństwa, drukowaną grubymi literami. Ta książka była mi elementarzem, na którym nauczyłem się czytać. W zimowe dnie i długie wieczory siadałem z

książką przy matce gdy przędła i uczyłem się z takim zapalem, że matka była zmuszona książkę przedemną ukrywać. Prządki, które schodziły się do mej matki wieczorami, zdumiewały się nad moimi zdolnościami i orzekły, że będę kiedyś „człowiekiem” i że mój pociąg do nauki pochodzi stąd, że nie ssalem piersi matczynej. W szóstym roku życia mogłem już dosyć biegle czytać, a od jednego z piśmiennych sąsiadów nauczyłem się nawet trochę pisać.

Ojciec kupował mi do czytania kalendarze, a wreszcie na moją usilną prośbę opłacił do spółki z jednym z sąsiadów Gazetę Świąteczną, wydawaną przez Promyka, niezapomnianego nauczyciela polskiego ludu, a w tej liczbie i mojego.

Gazety oczekiwałem co tydzień jak najmielszego przyjaciela, a przy niedzieli odczytywałem ją głośno zbierającym się sąsiadom, którzy czytania chętnie słuchali. Powzięto myśl postarania się o książki do czytania na długie zimowe wieczory, które wypożyczano od księdza i gdzie się tylko dało. Ktoś we wsi miał książkę Sienkiewicza Pan Wołodyjowski, która tak mi się podobała, że czytałem ją niezliczone razy i umiałem całą prawie na pamięć, a zapamiętane w szóstym roku życia ustępy dziś jeszcze mogę powtarzać z pamięci.

Kiedy ukończyłem siedem lat, na moją usilną prośbę postanowił ojciec posłać mnie do szkoły. Trudna to jednak była sprawa, gdy na całą obszerną gminę była jedna szkoła mogąca pomieścić 50 dzieci. Dopomógł mi w tem szczęśliwy przypadek.

Pewnego razu ojciec, jadąc na targ do pobliskiego miasteczka Zaręb, wziął mnie z sobą w odwiedzinę do ciotki, której mąż pełnił w tej parafji obowiązki zakrystjanina i jednocześnie prowadził wraz z ciotką gospodarstwo księdza Godlewskiego, który był administratorem dużych poklasztornych zabudowań i jednocześnie wikarjuszem tej parafji. Miał też znaczny własny majątek. Ksiądz Godlewski był zamilowany w czytaniu. Prenumerował kilka pism i miał duży zbiór książek, na nieszczęście nie mógł czytać, gdyż był słabego wzroku. Czytywali mu książki i gazety uczniowie z poblizu położonej szkoły powszechnej, przysyłani przez nauczyciela, z którym ksiądz był w przyjacielskich stosunkach.

Ksiądz Godlewski zobaczywszy mnie zapytał ciotki o moje pochodzenie. To syn mego brata — odpowiedziała ciotka, dodając zaraz: liczy dopiero siedem lat, a już dobrze czyta. Ksiądz podszedł do stołu, wziął książkę do nabożeństwa, długo przewracał w niej kartki, ciągnąc po nich nosem, na którym były zawieszone ogrom-

ne okulary, wreszcie znalazł jakąś litanję i kazał mi czytać. Czytałem doskonale i bez zająknięcia.

Ksiądz tymczasem przyglądał mi się pilnie przez swe okulary, wreszcie zapytał czy chodzę do szkoły. W odpowiedzi wyręczyła mnie ciotka, tłumacząc księdzu, że nie mogłem się dostać do szkoły z powodu przepełnienia. Po chwili namysłu ksiądz Godlewski rzekł, gładząc mnie po głowie: — Postaram się o to, że będziesz chodził tutaj do szkoły — a zwracając się do ciotki powiedział: — Ten chłopiec mi się przyda! U was będzie mieszkał i będzie miał blisko chodzić do szkoły. Proszę to powiedzieć jego ojcu.

Gdy ojciec powrócił z targu i dowiedział się o wszystkim, podziękowaliśmy zaraz księdzu, a powróciwszy do domu, zaczęliśmy czynić przygotowania w celu wyporządzenia mnie do szkoły, bo początek roku szkolnego już się zbliżał. Było z tem sporo kłopotu, bo wiejskie dzieciaki, zwłaszcza uboższych rodziców, chodzą zwykle boso, nie mając obuwia, dokąd sobie na nie własną pracą nie zarobią. Do miasta jednak boso iść nie wypadało, a gotówki ojcu brakło, gdyż było niedawno po żniwach, więc postanowiono że narazie obuję matczyne trzewiki, aż do czasu gdy ojciec mi będzie mógł kupić buty.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu. Cieszyłem się i smuciłem zarazem, bo miałem powrócić aż na Boże Narodzenie. Ubrany w mocno przydługie spodnie i matczyne trzewiki, wyglądałem trochę śmiesznie, starałem się jednak nie tracić fantazji.

Szkoła w Zaręczach mieściła się w starej, niskiej, mocno już pochylonej chałupie. Po drugiej stronie ulicy stał kościół parafjalny, dawniejszy klasztor reformacki, a obok otoczone wysokim murem parkanem wznosiły się obszerne zabudowania starego klasztoru. Nad drzwiami szkoły przymocowana była tablica a na niej jakiś pokraczny ptak z dwiema głowami i jakiś napis w języku rosyjskim. Ojciec objaśnił mi, że napis ten ma oznaczać szkołę, a jak się niedługo o tem dowiedziałem, napis ten brzmiał: „naczalnoje uczyliszcze”.

Nauczyciel, uprzedzony już przez księdza, przyjął mnie do szkoły bez sprzeciwu, choć pochodziłem z innej gminy, a gdy wyjąłem z kieszeni książeczkę do nabożeństwa i odczytałem mu jak pacierz jakąś modlitwę, pogładził mnie po głowie i powiedział: — Nieźle już czytasz po polsku mój chłopcze, teraz zaczniesz się uczyć po rosyjsku.

W klasie otoczyli mnie przyszli koledzy i towarzysze nauki. Oglądali mnie ze wszystkich stron, pytali o nazwisko i z której je-

stem wioski, a moje niezbyt dopasowane, bo uszyte przez matkę, zgrzebne portki i matczyne trzewiki na nogach rychło zwróciły ich uwagę. Okolica tamtejsza zamieszкана była przez samą szlachtę, ale i moje nazwisko nie zdradzało mego pochodzenia.

Sala szkolna była nadzwyczaj niska i całe szczęście, że nauczyciel był niskiego wzrostu, mógł więc chodzić po klasie nie tłukąc głowy o belki. Na pierwszej lekcji nauczyciel rozdał nam elementarze rosyjskie, za które kazał przynieść zapłatę, a także kazał aby każdy uczeń zaopatrzył się w łupkową tabliczkę i rysik, a potem objaśnił nam, że nauka odbywać się będzie w języku rosyjskim i że tylko po rosyjsku mamy rozmawiać pomiędzy sobą i zwracać się do nauczyciela.

Kilka pierwszych lekcji zajęła nam nauka najniezbędniejszych wyrazów z języka rosyjskiego, przy pomocy których mogliśmy nazywać przedmioty szkolne i porozumiewać się z nauczycielem i pomiędzy sobą.

Kolegą z jednej ławki był mi Janek K., dziarski, puciołowaty chłopak, syn biednej wdowy z miasteczka. Brał on mnie nieraz w opiekę, gdy ktoś silniejszy chciał mi wyrządzić krzywdę. Gdy w oznaczonym terminie nie przyniósł on zapłaty za elementarz, nauczyciel zapytał go po rosyjsku, kiedy przyniesie pieniądze.

— Ja jutro pryniesoj! proszu pana, aż matka na jarmarku porosiaka sproda — wyrecytował zapytany.

Dzieciarnia wybuchnęła głośnym śmiechem z takiego polsko-rosyjskiego wyrażenia się chłopca. Śmiali się starsi uczniowie, którzy język rosyjski dobrze już znali, śmialiśmy się i młodszy, nie wiedząc nawet z czego. Nie śmiał się tylko nasz nauczyciel.

Zgromiwszy surowo roześmianą dzieciarnię, obrócił się do ściany i szybkim a nieznacznym ruchem ręki obtarł łzy ciskające mu się do oczu. Siedząc w pierwszej ławce, jako jeden z najmłodszych uczniów, zauważyłem ten odruch i utkwiał mi on nazawsze w pamięci, a w mojej dziecinnej, siedmioletniej duszy zatliła się iskierka buntu przeciw obcej przemocy.

Świadomość narodowa wśród dziatwy szkolnej była duża. W szkole było kilkoro dzieci miejscowych rosyjskich urzędników. Nazywaliśmy ich nieraz „kacapami” i „ruskami”, a oni nawet wstydzili się swego pochodzenia i rozmawiali z nami tylko po polsku. Słowo „ruski” i „ruska mowa” były czemś zniechęcającym.

Choć nauczyciela mieliśmy tytułować „gospodin uczytiel” nazywaliśmy go zawsze „naszym panem” i tylko ten tytuł był w uży-

ciu. Jak się później przekonałem, był to człowiek zacny i patryjota. Dla chleba męczył się sam i męczył dzieci polskie, ucząc je w nieznanym im języku. Bo naprawdę nauka czytania i pisania, rozpoczynająca się w obcym języku i połączona z nauką tegoż języka, była dla słabszych uczniów męczarnią, zagważdżającą im umysły na zawsze. Niejednemu z uczniów, znającemu już polskie abecadło, nie mogło się pomieścić w głowie, dlaczego „m” trzeba wymawiać jak „t”, a „c” jak „s”.

Raz w tygodniu, w piątek, była lekcja języka polskiego. Lekcji tej oczekiwałem z utęsknieniem, by się popisać tu swą umiejętnością. Zresztą i wszyscy uczniowie czynili postępy w tym przedmiocie nauki, choć się tego nie uczyli.

Na lekcjach śpiewu nauczyciel intonował nam, przygrywając na skrzypcach, hymny rosyjskie: Boże cara chroni, lub Mnogi lieta, mnogi lieta, prawosławnyj ruski car.

W rogu sali szkolnej umieszczona była „ikona” a na frontowej ścianie portrety cara i członków najbliższej rodziny carskiej, obok zaś na honorowym miejscu dyscyplina o pięciu końcach. Bat i gładko z drzewa heblowana linja, zwana w szkole „łapą”, stanowiły niezbędne „pomoce naukowe”, przy pomocy których nauczyciel popędzał rozum do głowy najbardziej tępym lub swawolnym uczniom. Bat i łapa oraz często używane określenie „bałwanie” były złą stroną skądinąd zacnego charakteru naszego wychowawcy. Nie miałem jednak sposobności spotykać się z tymi narzędziami kary.

Pod portretami na dużej tekturowej karcie wykaligrafowane były dużymi literami „tytuły” cara, rodziny carskiej i dostojników rządowych, poczynając od ministra oświaty, a kończąc na naczelniku powiatu. Był to jeden z najważniejszych przedmiotów nauki, na którego znajomość kładł nasz pan duży nacisk. To też przed lekcjami i w czasie przerw obiadowych dziatwa zbierała się tłumnie około tablicy, powtarzając chórem „tytuły” w celu nauczenia się ich na pamięć. Taka chóralna nauka podobna była do żydowskiego pacierza. „Prewoschoditelstwa” i „wieliczestwa”, imiona i „otczestwa” mieszały się w głowach mniej pojętnych uczniów, z trudem ufrwalając się w pamięci.

Gdy w kilka dni po rozpoczęciu nauki mozoliłem się w mieszkaniu ciotki nad rozpoznawaniem „bukw” rosyjskich, zawołał mnie do siebie ks. Godlewski. Przeglądał leżące na biurku gazety, dotykając ich nosem, wreszcie wybrał jedną, kazał mi usiąść na krzeselku i czytać, a sam usadowił się w wygodnym fotelu i słu-

chał. Czytałem dosyć biegle i płynnie. Ksiądz był zadowolony i po ukończeniu czytania dał mi dwukopiejkówkę i parę robaczywych jabłek. Odtąd czytanie księdzu książek i gazet było mojem codziennem zajęciem, co nie przeszkadzało mi jednak czynić postępów w nauce.

Ksiądz przychodził często po mnie do szkoły i wypytywał nauczyciela o moje postępy w nauce i zachowanie się w szkole. Moja znajomość z księdzem podniosła też moje znaczenie u kolegów, którzy jako lepiej ubrani i silniejsi odemnie nieraz ze mnie żartowali. Na jarmarku w miasteczku ojciec kupił mi pierwsze w życiu nowe buty, z których byłem wielce dumny i zadowolony, bo przestałem wreszcie chodzić w matczynych trzewikach.

Ksiądz Godlewski słynął u swych parafjan ze swego nadzwyczajnego skąpstwa. Za czytanie, które przeciągało się nieraz nawet do północy, otrzymywałem czasem jabłko, zeschniętą bułeczkę lub kopiejkę. Dla mnie jednak zapłatą były książki z księżej biblioteki. Oprócz tych książek, które mi ksiądz sam dawał do czytania, wykradałem poprostu księdzu książki i po przeczytaniu kładłem je na dawne miejsce. Tam naprawdę była moja szkoła, choć nie wszystkie książki dobrze rozumiałem.

Wkrótce po rozpoczęciu roku szkolnego otrzymał nauczyciel wiadomość, że szkołę ma odwiedzić „naczałnik” dyrekcji naukowej. Nazywał się on Iwan Aleksandrowicz Niewskij. Nauczyciel włożył dużo starania, by godnie wystąpić wobec swego wysokiego zwierzchnika. Zachęcał nas do usilnej pracy nad sobą, a nawet bat i łapa zniknęły gdzieś na jakiś czas. Urządzał też próbne powitania. Do szkoły wchodził najstarszy syn nauczyciela w czapce uczniowskiej. Nauczyciel stawał wtedy wyprężony jak struna, wspinając się na palce. Przybyły witał dzieci słowami: Zdrawstwujtie dieti! — a my wstając na nogi odpowiadaliśmy okrzykiem: — Zdrawia żelajem waszemu prewoschoditielstwu! — Chodziło o to, by okrzyk był jednogłośny i nie było opóźnień przy powstaniu na nogi. Pozatem wszystkie dzieci musiały sobie przepisać do zeszytu „tytuły” i umieć je doskonale na pamięć.

Pewnego razu było z tego powodu zabawne zdarzenie. Do miasta sprowadził się nowy strażnik i przyszedł do szkoły zapisać swe dzieci. Na widok wchodzącego nieznanego osobnika w mundurze „pan” drgnął i mimowoli nogi mu się wyprostowały, a my powstaaliśmy, jak na komendę, na równe nogi. — Zdrawstwujtie! — rzekł uprzejmie strażnik, kłaniając się nauczycielowi. — Zdrawia żela-

jem waszemu przewoschoditelstwu! — wrzasnęły dzieci zgodnym chórem. Strażnik poczerwieniał mocno zawstydzony i zdziwiony takim niebywałym objawem szacunku dla swej osoby, a nauczyciel był z tego powodu długi czas zły i markotny.

Wreszcie pewnego dnia przybył konny posłaniec z sąsiedniej szkoły, że pan naczelnik jest już w drodze. Była to przyjacielska przysługa tamtego nauczyciela. Nauczyciel zarządził natychmiast przegrupowanie wśród uczniów, obsadzając najlepszymi wszystkie pierwsze miejsca w ławkach. Mniej umiętnych posadzał po kątach, a ostatnim „bałwanom” kazał zmiatać do domów nie zatrzymując się po drodze. Każdy starał się zgromadzić w pamięci wszystko co umiał. Potem nastąpiło ogólne wycieranie nosów i porządkowanie ubrania i książek. Wreszcie zajechała przed szkołę parokonna bryczka i wysiadł z niej naczelnik dyrekcji wraz z powiatowym inspektorem szkolnym, Lubimowem.

Powitanie wypadło doskonale. Powstałiśmy jak pułk wojska i wrzasnęliśmy „zdrowia żelajem”, aż konie w bryczce stanęły dęba, przestraszone krzykiem.

Naczelnik był to mężczyzna niskiego wzrostu z krótką strzyżoną brodą i niezbyt przyjemnym wyrazem twarzy, zaś inspektor był cienki, a wysoki jak pika kozacka. „Nasz pan” stał wyprostowany, trzymając „ruki po szwam”.

Siedząc w pierwszej ławce jako jeden z najmłodszych uczniów, miałem dziwne uczucie strachu, gdyż pierwszy raz w życiu widziałem tak wielką figurę urzędową. Zdawało mi się, że pierwszy będę egzaminowany i serce waliło mi jak młotem.

Naczelnik postąpił kilka kroków naprzód, a za nim ruszył inspektor, który odrazu uderzył silnie głową w wystającą belkę. Siedzący obok mnie mój kolega Janek K., zauważywszy to, parsknął śmiechem. — Czego się śmiesz „bałwanie” — zgromił go szeptem nauczyciel, który stał tuż przy nas.

Tymczasem naczelnik, który zwrócił się z wyrazami współczucia do trzymającego się za głowę inspektora, zauważył śmiech chłopca, a zbliżając się do niego, rzekł: — Co się śmiesz mały, ot i dobrze! abyś nie płakał, a ile masz lat? — zapytał po rosyjsku. Ja mam osiem lat — odpowiedział rezolutnie Janek, ale po polsku. Powiedz mi, jak zowut gosudara imperatora? — zapytał znowu naczelnik. — Jewo Impieratorskoje wieliczestwo i t. d. — wypowiedział jednym tchem chłopiec teraz już po rosyjsku. — Maładiec! — pochwalił go naczelnik i poklepawszy go po ramieniu poszedł da-

lej, a za nim zgarbiony inspektor, który cały czas chodził pochyłony, by uniknąć nowego guza, czem wywoływał uśmiechy śmielszych uczniów.

Naczelnik chciał jednak dotrzeć do sedna rzeczy i zaczął zadawać różne pytania także i uczniom siedzącym po kątach. Jedni odpowiadali jako tako, inni ze strachu nie mogli wymówić słowa. Mnie jakoś nie dosięgło, z czego byłem zadowolony, bo na tak śmiałą odpowiedź, jaką dał mój kolega, nie mogłbym się zdobyć.

Pierwsza trafna odpowiedź pokryła objawiające się braki i nasz nauczyciel był z nas bardzo zadowolony.

Do szkoły chodziłem tylko przez zimę, bo na lato zabrał mnie ojciec do pasionki. Ja żałowałem szkoły i nauki, a mnie znowu ks. Godlewski, któremu żaden z uczniów nie mógł mnie w czytaniu zastąpić.

Pomimo dorywczego tylko uczęszczania do szkoły ukończyłem ją nawet z nagrodą w postaci grubej książki rosyjskiej zatytułowanej: „Opowiadania z życia rosyjskiego” (Razkazy iz ruskoy żyzni). Gdy w czytaniu tej książki doszedłem do rozdziału, w którym było opisane jak to Taras Bulba półdziki kozak „rzezał” Polaków na Ukrainie, spaliłem książkę na ognisku rozpalonem na pastwisku do pieczenia ziemniaków. W książce tej były niesłychane brednie o Polsce i Polakach. Takie książki były w bibliotece szkolnej. Oprócz tego wydawano i rozsyłano po wsiach pismo pod tytułem Oświata, drukowane po polsku, które miało utwierdzać polski lud w wierności dla carskiego rządu.

Od tego czasu dobiega już czwarty dziesiątek lat. Spróchniały już kości Hurki, Apuchtina i innych twórców i wykonawców piekielnego planu zruszczenia Polski i zniszczenia jej narodowego ducha, a jednak ta Polska istnieje wolna i potężna, a to pokolenie, któremu nie wolno było uczyć się po polsku, wzięło czynny udział w wypędzeniu zaborców. Takie myśli przychodzą mi do głowy, ile razy zdarzy mi się być w Zarębach i przechodzić około wspaniałego gmachu szkoły powszechnej, przed którym biega i po polsku szczebioce rozbawiona dzieciarnia, na tem miejscu, gdzie przed laty stała podparta słupami chałupa, w której ja pobierałem naukę i w której nauczyciel Polak, przynajmniej dla oka, zabraniał polskim dzieciom rozmawiać po polsku w myśl zarządzeń swej władzy zwierzchniej.

W długie jesienne i zimowe wieczory w chałupie mego ojca zbierała się zwykle cała wieś, by słuchać czytania książek i gazet,

które zawsze skądś mieć musiałem, i słuchać opowiadania mego dziadka, który dużo przeżył i dużo pamiętał i opowiadał o wojnach napoleońskich i powstaniach polskich. Opowiadań tych słuchałem z wielką uwagą.

Moja umiejętność czytania tak podziałała na sąsiadów, że postanowili powierzyć mi nauczanie swych dzieci i powstała we wsi szkoła. Postarano się o deski, zrobiono duży długi stół na sztalugach, a wkoło niego ławy. Wybrano na szkołę największą izbę we wsi i nauka się rozpoczęła. Miałem wtedy lat jedenaście.

Ponieważ gospodarze byli wszyscy niezamożni, chcieli więc załatwić sprawę nauczania tanim kosztem. Mnie obiecali dać za fatygę po 30—50 kopiejek od dziecka, a jako podręczniki szkolne miały służyć dzieciom takie książki, jakie się u kogo w domu znalazły, a więc: książki do nabożeństwa różnej treści i wielkości, kantyczki, stare kalendarze, a niejedno z dzieci przyniosło sennik, echo trąby ostatecznej lub prorocstwo Sybilli, bo takie tylko książki można było na wsi spotkać. Przekonałem się po krótkiej praktyce, że nauczanie będzie rzeczą w tych warunkach niewykonalną. Zwołałem więc zebranie wiejskie, na którym starałem się wyjaśnić niemożliwość takiego nauczania, gdy jedno dziecko uczy się czytać kolędy, a inne znowu modlitwy za dusze zmarłych. Niektórzy chcieli się nawet uczyć nieszporów po łacinie, bo i to umiałem służąc za ministranta ks. Godlewskiemu. Po dłuższych szemraniach i sprzeciwach udało mi się jednak przekonać gospodarzy o słuszności mych poglądów. Zakupiliśmy elementarze Promyka i łupkowe tabliczki i nauka szła wtedy dość gładko.

Trudne zadanie miałem z nakazaniem sobie posłuchu i zaprowadzeniem w szkole karności. Do szkoły zaczęli uczęszczać szesnastoletni „drągale” i także pannice, darzące mnie spojrzeniami, na których się wówczas niewiele rozumiałem. Większość uczniów przewyższała mnie nie tylko wzrostem i wiekiem, ale i doświadczeniem w psich figlach, właściwych w tym wieku. To też niektórzy moi uczniowie lekceważyli sobie takiego jedenastoletniego „nauczyciela”, a nawet usiłowali mnie wciągnąć w koło swych zabaw, na co nie pozwalała mi „powaga” mego stanowiska. Takie za pan-brat moich uczniów ze mną nie podobało się nawet ich rodzicom. Zebranie rodzicielskie, odbyte pewnego wieczoru w szkole, uchwaliło dosyć surowy regulamin, który miał odtąd obowiązywać w szkole. Mnie też nie szczędzono wskazówek i napomnień zarówno pod względem nauczania jak i samego prowadzenia szkoły. Postarano

się więc o „pomoc naukowe” czyli o porządną bat, łapę i woreczek gryki, a gospodarzowi domu, gdzie się mieściła szkoła, udzielono szerokich pełnomocnictw, zalecając „rznąć skórę” każdemu wskazanemu przeze mnie łobuzowi, lub zapędzać do klęczenia gołemi kolanami na gryce, co było karą dosyć dotkliwą. W pojęciu ówczesnego starszego pokolenia uczeń, jeśli się miał dobrze uczyć, powinien był drżeć na sam widok nauczyciela, przyczem powoływano się na własne przykłady. Z udzielonych mi uprawnień nie korzystałem, tak z przekonania jak i z obawy, by moi uczniowie nie odwdzięczyli mi się w lecie za pasionkę, która była naszym wspólnym zajęciem.

W niedługim czasie po rozpoczęciu nauki, gdy odbywała się ona jeszcze na książkach do nabożeństwa, pojawili się w szkole strażnicy. Cóż to tu za szkoła? — zapytał jeden z nich — a któryż nauczyciel? — Ot! nie żadna szkoła — odpowiedział gospodarz — zlecieli się dzieciaki i bawią się książkami, pokazując sobie nawzajem litery.

Strażnikom wiadome już było moje nazwisko. Popatrzyli na mnie pobłażliwie, a przejrzawszy leżące na stole książki do nabożeństwa, zaopatrzone w cenzurę rządową i kościelną, doszli widocznie do przekonania, że niema tu nic takiego co by zagrażało bezpieczeństwu publicznemu, lub całości państwa rosyjskiego, bo zmienili ton rozmowy i stali się dziwnie uprzejmi.

Dzieci tymczasem rozbiegły się po wsi, roznosząc wieść o pobycie strażników. Wkrótce na stole znalazła się butelka wódki, bochenek chleba i duża patelnia smażonego mięsa. Strażnicy jedli aż im się uszy trzęsły, bo na dworze był mróz. Zajechała wnet i furmanka, która niezbyt miłych gości odwiozła do gminy. Więcej w ciągu tej zimy już nas nie napastowali, choć na wszelki wypadek przeniesiono szkołę do innej chałupy, położonej w środku wsi. I w razie ukazania się strażników miano mnie ostrzedz, by dzieci mogły się rozlecieć do domów.

Przez szereg lat, w ciągu zimowych miesięcy, prowadziłem tajne nauczanie zarówno w swej wiosce jak i w sąsiednich, ukrywając się przed czujnym okiem policji rosyjskiej, która mnie zawsze miała na widoku. Gdy szkoła nie zdążyła zawczasu pójść w rozsypkę, udawałem wobec strażników zestrachanego i niewiedzącego co czynię, w czym mi dopomagał dziecienny wiek i takiż wygląd, gdyż byłem chłopcem słabowitym i wątłym.

Z drobnych opłat za nauczanie mogłem się jako-tako ubrać, a nawet opłacić gazetę i kupić parę książek.

Mam to przekonanie, że z podjętego zadania wywiązałem się dobrze, bo niejednen z moich uczniów, a dzisiejszych sąsiadów — nauczył się w ciągu jednej zimy czytać i pisać po polsku.

Oprócz książek i gazet, które chciwie czytałem, zajmowały mnie nadzwyczaj opowiadania mego dziadka i innych starszych ludzi. Dziadek mój pamiętał doskonale powrót rozbitków armji napoleońskiej i często opowiadał o zdarzeniu, które sam widział. U gospodarza, gdzie służył za pastuszka, stała w sieni ogromna beczka z kapustą. Jeden z przechodzących zgłodniałych francuzów chciał się tą kapustą posilić. Sięgając do beczki, wpadł głową na dół i zmarł, bo tego dnia był silny mróz. Ktoś z domowników zauważył sterczące nogi i wyciągnięto zmarzniętego francuza. Miał on pełne garście kapusty i zatkane nią usta.

Po wojnach napoleońskich nastał tak wielki głód, że się ludzie żywili zupą gotowaną z różnych zielsk, to też puchli i umierali z głodu. Zamożniejsi gospodarze jeździli na Wołyń po kaszę... na wołach, choć niejednemu trudno się było tej kaszy doczekać i musiał z głodu umrzeć. Nie znano wtedy kolei żelaznej, a przepowiadano tylko o mających powstać żelaznych drogach, któremi miano jeździć bez wołów i koni, co kobiety — z natury pobożne — za bluźnierstwo uważały.

Dziadek opowiadał mi też często o pańszczyźnie, którą długi szereg lat odrabiał. W zimie trzeba było iść do pracy przed świtem, niosąc na plecach ręczną sieczkarnię, a w lecie znowu krzywą sochę. Gdy pewnego razu, idąc z dziadkiem do kościoła, przechodziłszy koło dworu, zwróciłem uwagę na dzwonek umocowany nad bramą na grubym słupie. Dziadek objaśnił mi, że ten sam dzwonek był jeszcze i za czasów pańszczyzny, ogłaszał on czas rozpoczynania i kończenia pracy, poczem ukazał mi leżący przy bramie duży płaski kamień, na którym za czasów pańszczyzny rozciągano chłopów, wymierzając im baty. Kamień ten dopiero w niedawnym czasie został przez jednego z właścicieli porozbijany i użyty przy budowie obory. Opowiadał mi też dziadek o niejakej pani pułkownikowej, która była dziedziczką tego folwarku, a miała ten zwyczaj, że przybywającym do dworu z różnemi sprawami chłopom dawała do ucałowania... nogę!

Ówczesne pojęcia i zwyczaje były zacofane i śmieszne. Pamiętam doskonale jak ojciec mój, nie mając możliwości dokonania sprzę-

tu zboża sierpami na obszernem, nowem gospodarstwie, przytwierdził do kosy pałąk i zaczął żyto kosić, spotkał się z oburzeniem, a nawet złorzeczeniem ze strony dziadka. — Kto żyto kosi, ten chleba prosi — twierdził zawsze dziadek i nie chciał nawet patrzeć na ten nowy sposób sprzętu żyta, uzasadniając swój pogląd faktami, że pańszczyznę całe folwarki sierpami obżynano. Tak samo dziadek nie chciał się zgodzić na pracę żelaznym pługiem, zamiast krzywej drewnianej sochy, którą zwykle sam sobie zręcznie zmajsztrował i tylko tego narzędzia zawsze używał. Orkę, sochą wykonywaną przez dziadka, dobrze pamiętam, a żąć sierpem sam doskonale umiałem, ucząc się tej pracy pokaleczyłem sobie palce i do dziś noszę szwanki na palcach lewej ręki.

Pamiętam jak w szczycie stodoły stała u nas duża „stępa” do obrabiania kaszy jaglanej, sporządzona przez dziadka z potężnego pnia dębowego. W pniu była wydłubana duża okrągła dziupla, w którą sypało się proso i robiło się kaszę przy pomocy wielkiego dźwiga. Na jednym jego końcu staowało dwóch chłopów, a na drugim był umocowany dębowy wał, który zgóry sztorcem tłukł proso w dziupli. Ciężka to była praca i niespora. Na chleb mielono przeważnie w żarnach, a jak twierdził dziadek, kiedyś we dworze za pańszczyzny chłopci obracali żarna.

W sadku przy domu rosła wspaniała lipa. Z niej dziadek miał ten użytek, że plół łapcie, nazywane także „buškami”. W zimie takie „buški” z łyka lipowego i szmat polewał zlekką wodą i gdy obmarzły mógł stać na klepisku przy młocce w największy mróz, lub chodzić za polowaniem, bo był do ostatniego roku życia zawołanym myśliwym. „Buśków” miał na zapas kilka par, a dzięki nim uniknął kiedyś poboru do wojska rosyjskiego, bo mógł uciekać po zamrażniętych parowach, a ścigający go moskale w ciężkich buciskach przewracali się po lodzie. A do wojska brano wtedy na 25 lat.

Na krótko przed wojną rosyjsko-japońską zaczęło się szerzyć po wsiach uświadomienie narodowe. Pod osłoną nocy urządzane były zebrania, na których prelegenci z pośród patryjotycznie usposobionej inteligencji wygłaszali przemówienia i rozdawali gazetki nielegalne. Ojciec mój należał również do tajnej organizacji narodowej, do której należeli też prawie wszyscy poważniejsi gospodarze w okolicy, lecz nie mi o tem nie mówił, będąc związany przysięgą. Jednak pewnego razu wyszpiegowałem, że ojciec ukrywa przede mną jakieś gazety, wkrótce wysledziłem je i ojciec był zmuszony do-

puścić mnie do tajemnicy, choć nie chciał mnie nigdy zabrać z sobą na zebranie, gdyż byłem jeszcze za młody.

Pewnego razu, dowiedziawszy się od ojca gdzie ma się odbyć w lesie zebranie, wybrałem się bocznymi ścieżkami, gdy ojciec z innymi pojechał furmanką. Dopędziłem ojca, prosząc na wszystko, bym mógł być na zebraniu. Ojciec chciał mi nawet spuścić lanie, bo miał ze mną dużo kłopotu, ponieważ strażę pilnującą dróg nie chciały nas wpuścić, abym potem nie zdradził. Dopiero na wstawiennictwo poważniejszych gospodarzy, którzy wiedzieli że jestem dobrze czytany i uczyć w zimie dzieci po wsiach, zostałem dopuszczony na zebranie.

To „nabożeństwo” narodowe, odbywające się o północy w lesie, przy blasku ogniska, porywające przemówienia, przysięga nowo-przyjętych i chóralny śpiew pieśni narodowych wywarły na moim młodocianym umyśle niezapomniane wrażenie. Pod wpływem tego, jak i czytania „P o l a k a” krakowskiego i innych tajnych pisemek i druków, stałem się wkrótce patryotą gotowym na wszystko.

Idąc na pole za pasionką, nosiłem w zanadrzu pisemka narodowe, a czytając je wprost z nabożeństwem, rozglądałem się trwożliwie, czy nie ma gdzie w pobliżu strażnika. Moją dziecinną wyobraźnię prześladował zawsze lęk, że strażnicy mogą mnie wsadzić do więzienia, a nawet wysłać na Sybir. Działalność oświatową i budzenie uświadomienia narodowego w tutejszym powiecie prowadzili z zapałem: ks. Maciejewski z Ostrowi, dr. Harusewicz, Ksawery Rutkat, młody wówczas i światły rolnik z mojej wioski, i wielu innych.

Wybuch wojny rosyjsko-japońskiej spotęgował pracę narodową, która w miarę klęsk rosyjskich na Dalekim Wschodzie zaczęła wychodzić z kryjówek na powierzchnię życia.

Mam żywo w pamięci mglisty i błotnisty listopad 1905 roku. W brudnych okolicznych miasteczkach, wśród ludności żydowskiej zaczęła się szerzyć cholera, kilka jej wypadków zdarzyło się i po wsiach, zwłaszcza tam gdzie czerpano wodę z rzek. Wieś ogarnął jednak wtedy dziwny i radosny nastrój. Po kościołach rozbrzmiewały pieśni narodowe. Nie zapomnę też nigdy patryjotycznego kazania wygłoszonego przez księdza Maciejewskiego w dzień Zaduszny. Urządzane też były liczne wiece i zgromadzenia. Znękanemu długoletnią niewolą społeczeństwu polskiemu zaświeciła jutrzienka niedalekiej już wolności.

Ponieważ grunt był już uprzednio dostatecznie przygotowany, wystąpiono więc z uchwałami domagającymi się wprowadzenia ję-

zyka polskiego w urzędowaniu. Byłem obecny na zebraniu gminnym, gdzie licznie zebrani chłopci, w obecności naczelnika powiatu, powzięli jednogłośnie uchwałę wprowadzenia języka polskiego do gminy. Ponieważ wójt z pisarzem odmówili napisania uchwały, więc z upoważnienia ogółu gminiaków sporządził ją po polsku w księdze uchwał jeden z gospodarzy, za co po kilku dniach został przez moskali aresztowany. Dokonano też w całej gminie licznych rewizji, w poszukiwaniu broni, odezw i gazet narodowych. Przetrząsnięto też dom mego ojca, lecz na szczęście nic nie znaleziono, choć dziadek miał dubeltówkę, a ja całą pakę nielegalnych pism, które skrzętnie gromadziłem na dnie dużej skrzyni, w którą na wierzch nasypałem żyta.

O okropnościach rewolucji rosyjskiej, o walkach i zamachach bombowych, dokonywanych także w Warszawie i innych miastach polskich, dowiadywałem się tylko z gazet. Nasza okolica była na ogół spokojna, oprócz jednego tylko krwawego zajścia, którego byłem świadkiem na stacji kolejowej w Małkini. Policjanci zatrzymali na stacji dwóch młodych mężczyzn — byli to podobno bojownicy socjalistyczni — i zażądali od nich paszportów. Jeden z bojowców wyjął zamiast paszportu rewolwer i zaczął strzelać do strażników, zabijając jednego na miejscu, a raniąc drugiego. Trzeci strażnik ratował się ucieczką. Uciekli też w niewiadomym kierunku sprawcy zamachu. Jak mówiono po wsiach, byli to podobno sprawcy zamachu na kasę rządową w Wysokiem Mazowiecku, gdzie zabrali znaczną sumę pieniędzy.

W zimie z 1905 na 1906 rok zorganizowałem szkołę, w której uczyło się około 40 dzieci. Starsi utworzyli coś w rodzaju kółka oświatowego. Zaprenumerowaliśmy kilka pism, a więc Gazetę Świąteczną, Zorzę, Promień Polski, Polaka krakowskiego, oraz starałem się o książki i czytywałem to wszystko w długie zimowe wieczory.

Rok 1907 był w mem życiu przełomowym. Ukończyłem już lat piętnaście i trzeba było zacząć myśleć o przyszłości. W domu pracy było poddostatkiem, bo ojciec straciwszy zdrowie nie bardzo mógł pracować, ale „życia i przykrycia” dla licznej rodziny nie wystarczało, zwłaszcza że ojciec, zostawszy znowu wdowcem, ożenił się poraz trzeci z młodą dziewczyną i rodzina zaczęła się szybko powiększać. Gospodarka prowadzona była po staroświecku, ziemia licha, a obciążona długami na rzecz Banku Włościańskiego i na za-

gospodarowanie się duże, więc i przednówek był stałym i dotkliwym gościem.

Sąsiedzi i znajomi mówili mi stale, że z moimi zdolnościami powinienem zostać „człowiekiem” a nie paść bydła i nie pracować ciężko na roli, zwłaszcza że byłem chłopcem szczupłym. Ojciec był też tego zdania, ale o wysłaniu mnie do szkół w celu wyższego kształcenia się nie mogło być mowy, gdy w domu była nędza, a z ukończoną szkołą początkową mogłem zostać zaledwie pisarkiem w jakimś urzędzie. Dzięki protekcji jednego z wybitniejszych gospodarzy, który był ławnikiem w Sądzie gminnym, miałem tam otrzymać posadę pisarza. Ale okazało się to rzeczą niełatwą. Nie miałem odpowiednio w co się ubrać do biura, gdzie trzeba było odbyć kilkomiesięczną bezpłatną praktykę, opłacić mieszkanie i wyżywić się. A i mój zwierzchnik — sekretarz sądowy — chciałby też coś na tem skorzystać. Był to wybitny typ urzędnika rosyjskiego, posiadający szeroką łapę i głębokie gardło. Znaleźli się kandydaci zasobniejsi, choć może mniej zdolni, a ja po trzech miesiącach „urzędowania” byłem zmuszony opuścić „posadę”.

W tej wstępnej walce z życiem widziałem się pokonanym i złamanym na duchu. Do domu powrócić nie mogłem, bo z nową „matką” nie polubiliśmy się jakoś od pierwszego słowa, czułem też jakiś fałszywy wstyd wobec sąsiadów i znajomych, bo niektórzy z nich — bywalcy sądowi — widzieli mnie już piszącego w sądzie „powiestki” i cuda opowiadali we wsi, jakim to wielkim zostałem urzędnikiem. Do kosi i pługa byłem też jeszcze trochę za słaby, a wprost mdło mi się robiło na samą myśl, abym ja, „pisarz” sądowy, miał znowu iść z batem za pasionką! Wtedy to poznałem, jak wielkim nieszczęściem jest dla chłopca, gdy mu się nie uda przemienić w „pana”.

Przez te trzy miesiące byłem na stacji u pewnego bednarza. Ten żartował sobie z mojej „posady” i doradzał mi usilnie, bym rozpoczął u niego naukę rzemiosła bednarskiego, bo widział we mnie spokojnego i potulnego wiejskiego chłopca. Nie widział mi się ani to, ani żadne inne rzemiosło, ale z dwójga złego wybierając wolałem zostać bednarzem, niż powracać na wstyd i biedę do domu. Rozpocząłem więc naukę rzemiosła bednarskiego, pocieszając się myślą że porzucę ją, gdy tylko uda mi się znaleźć jakąś pracę biurową.

Mój majster u którego rozpocząłem naukę, był człowiekiem w pracy nadzwyczaj wytrwałym i zawziętym. Orał też we mnie jak

w ślepego konia. Zimą i latem wstawać musiałem o trzeciej czy o czwartej rano, a wieczorem pracować do dziewiątej i dłużej. Nie było wtedy ustawy o ośmiogodzinnym dniu pracy. I choć mój majster miał trochę kłopotu z nauczaniem mnie rzemiosła, do którego nie miałem ani zdolności, ani zamiłowania, wyrobił mnie jednak do tego stopnia, że pracowałem jak maszyna i robota poprostu „paliła” mi się w rękę.

O uzyskaniu pracy biurowej, nie mogłem nawet myśleć, bo zdrowie i stosunki majątkowe mego ojca pogarszały się stale, nie mógł mi więc przyjść z pomocą. Zżyłem się więc ze swym majstrem i z zawodem jak wół z jarzmem i pracowałem z przerwami swemu majstrowi w ciągu jedenastu lat, pomagając mu do zrobienia pożądanego majątku.

Unikając łobuzerskiego towarzystwa i hulank, ze swego skromnego zarobku mogłem się przyzwoicie ubrać, a nawet zgromadzić sobie niewielki kapitałik. Mieszkając w mieście, miałem też możliwość zdobywania książek i gazet i wszystkie wolne chwile, których miałem bardzo mało, spędzałem na czytaniu.

Czasu przepracowanego w rzemiośle nie żałuję. Mieszkając w mieście, miałem możliwość spotkać się z ludźmi różnych stanów i zawodów i podpatrzeć życie miejskie, oraz porównać z życiem wsi. Nauczyłem się też systematyczności i wytrwałości w pracy, nauczyłem się cenić wartość czasu i takowy praktycznie wyzyskać, co mi się w późniejszym życiu bardzo przydało.

Od służby w wojsku rosyjskim uwolniony zosłałem jako opiekun, ze względu na zły stan zdrowia mego ojca. Miałem dużą ochotę wyjechać do Ameryki, gdzie więcej od chęci zarobku ciągnęła mnie ciekawość zwiedzenia nieznanego, dalekiego świata. Zatrzymały mnie jednak zalotne oczy dziewczyny i wybuch wojny światowej, który wkrótce nastąpił.

W o j n a ś w i a t o w a

Czytywałem stale gazety i wiedziałem co się dzieje w świecie, ale więcej zaprzątałem sobie głowę dziewczętami niż polityką. W dniu 31 lipca 1914 roku byłem zaproszony na wesele przez jednego z kolegów, który niedawno powrócił z wojska. Bawiliśmy się wesoło prawie całą noc, bo trzeba powiedzieć że ostatnich kilka lat przed wojną były to lata pomyślne pod względem gospodarczym. Miał się nieźle rolnik, mógł zarobić rzemieślnik, a komu nie szło

w kraju, miał wolną drogę do Ameryki. Znałem sprytnego żydka-agenta, któremu wystarczyło dać sto rubli, by się za parę tygodni znaleźć za Oceanem. W przeddzień wesela umawiałem się już z żydkiem o termin mego wyjazdu, a na weselu miałem się ostatni raz przed wyjazdem zabawić z narzeczoną. Wesele było huczne, bo wódka była tania, doszło nawet do awantury, a nikt nie przewidywał, że jest to ostatnia noc przed zawieruchą światową.

O świcie na murach miasta ukazało się ogłoszenie mobilizacyjne, powołujące zapasowych do szeregów. Goście weselni otrzeźwieli i nikt nie kładł się już spać. Pan młody wprost ze ślubnego kobierca pomaszerował do koszar, a następnie na wojnę, z której nie powrócił, a ja zamiast do Ameryki poszłem na kolej pilnować słupów telegraficznych.

Wybuch wojny był w mojem życiu punktem zwrotnym. Majster wymówił mi pracę, spakowałem więc swe manatki i powróciłem na wieś do ojca, który coraz bardziej zapadał na zdrowiu i nie mógł sobie z gospodarstwem poradzić. Ojciec przyobiegał mi odpisać połowę swego gospodarstwa, gdyż będąc w potrzebie zwracał się do mnie o pomoc, której nigdy nie odmawiałem, mając trochę gotówki.

Przysłowie powiada: „natura ciągnie wilka do lasu”, tak było i ze mną. W zimie pracowałem chętniej w ciepłym warsztacie, ale gdy z wiosną ujrzałem ciągnących w pole rolników, ogarniała mnie jakaś dziwna tęsknota i moja praca wydawała mi się nużącą pracą katorżnika. To też ucieszyłem się, że będę nareszcie zwolniony z więzienia. Spotkało mnie jednak narazie przykre rozczarowanie. Odwykłem od wiejskiego życia, a nawet o niem już przez siedem lat zapomniałem. W mieście miałem zawsze rano miednicę z wodą do umycia, potem następowała modlitwa i dopiero rozpoczynała się praca, która szła zawsze według wskazówek wiszącego na ścianie zegara. Na wsi każdy obudziwszy się przeciera pięścią oczy i bierze się śpiesznie do pracy, mycie jest zwykle w niedzielę lub uroczyste święta i to najczęściej na misie, na której się później je śniadanie. Do pacierza zapędza gospodyni domowników, gdy na stole stoi misa ziemniaków. Każdy modli się patrząc się na misę z ziemniakami i śpiesząc się jaknajwięcej, a po śniadaniu zaczyna się bieganina, czem w której chałupie więcej ludzi, tem mniej pracy.

W mieście na śniadanie bywała zwykle kawa z białym chlebem, na obiad prawie codziennie kawał mięsa, a na kolację herbata, na wsi zaś głównem i wyłącznem pożywieniem są ziemniaki, które jada

się najczęściej z kapustą, z żurem, lub z „głupim rosołem”, jak nazywają na wsi wodę gotowaną z pieprzem, solą i innymi przyprawami, ale bez mięsa. Ziemniaki skrobie się i jada nawet trzy razy dziennie. Doszłem do przekonania, że nawet prosty robotnik w mieście lepiej się odżywia i więcej ma ułatwień w życiu od stosunkowo zamożnego gospodarza wiejskiego, nie mówiąc już o licznej biedocie. Tak było przed wojną, a podczas wojny i dziś stosunki te pogorszyły się jeszcze na niekorzyść wsi.

Wybuch wojny w mieście uczynił inne wrażenie, niż na wsi. W mieście widać było wielkie podniecenie, na ulicach gromadziły się tłumy o wylęknionych twarzach, pełno było wszędzie rezerwistów śpieszących do koszar i regularnego wojska. Gazety rozchwytywano, a z ust do ust chodziły plotki o okropnościach, których wcale nie było.

Na wsi skończyło się na krótkim płaczu rodzin powołanych na wojnę rezerwistów, poczem każdy ruszył do zwykłych zajęć gospodarskich. Przyjechawszy, zaledwie wzdążyłem się przywitać i trochę zjeść, a już trzeba było pośpiesznie jechać na pole po owies, bo deszcz właśnie nadchodził. Pomogliśmy też i sąsiadce, której męża powołano do wojska. Tylko wieczorem po skończonej pracy, pod krzyżami przydrożnymi gromadziły się tłumy i szedł w niebo potężny głos: „od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie!”. Niejednokrotnie brzask wschodzącego dnia, zastawał jeszcze pod krzyżami te rozmodlone tłumy. W obliczu powszechnego nieszczęścia nastąpiło też pojednanie i darowanie sobie nawet najcięższych uraz w stosunkach sąsiedzkich i rodzinnych. Można powiedzieć, że w początkach wojny dobra strona natury ludzkiej wzięła górę nad złem.

Byłem już do tego stopnia „mieszczaninem” — jak mnie na wsi nazywano — że nie kontentowałem się wieściami o wojnie, roznoszonymi przez dziadów i żydów handlarzy, lecz prawie codziennie biegałem na stację kolejową, odległą o trzy kilometry, by kupić gazetę i popatrzeć na gorączkowy ruch pociągów wojskowych.

W tydzień zaledwie po rozpoczęciu wojny, otrzymał sołtys nakaz dostarczenia dwóch furmanek dla wojska. Furmanki miały być parokonne, z zapasem obroku i żywności na dwa tygodnie. Ponieważ gospodarze mieli po jednym koniu, więc trzeba się było spręgać. Otrzymał też nakaz i mój ojciec.

Wyznaczeni przez sołtysa gospodarze zmartwili się bardzo, bo zbliżał się czas orki i siewów. Ale trzeba było jechać. Stało na tem

że ja mam pojechać, choć ojciec obawiał się mnie puścić, bo nigdy nie jeździłem w konie, a ruch był wszędzie gorączkowy. Przetłuma-
czyłem jednak ojcu, że prędzej się wykpię i powrócę, a miałem tro-
chę ochotę zobaczyć zbliżoną wojnę.

Przed urzędem gminnym spędzono dużo furmanek z całej gmi-
ny. Gospodarze otoczyli kołem oficera rosyjskiego przyjmującego
furmanki, żaląc mu się że nie będą mogli obsiać pól i mieć chleba na
rok przyszły. Ten wysłuchawszy żalów, machnął tylko ręką i rzekł:
„Duraki! W Rosji chleba mnogo — chwatit dla wsiech!”

Przy podziale furmanek wyznaczono mnie do dowozu owsa do
pozycji. Nie miałem w tej grupie nikogo znajomego. Zajechaliliśmy
na stację do Ostrołęki, tam naładowano nam owsa, z którym mie-
liśmy pojechać aż do Prus Wschodnich. Miałem wprowadzić ochotę
zobaczyć Prusy, ale pamiętałem o tem, że tam pole czeka na orkę
i siew. Postanowiłem tedy użyć fortelu — a naczytałem się dosyć
jak to fortelami ratował pan Zagłoba siebie i innych. Pogadałem
z cicha z żołdatami pilnującymi taboru i dałem im trzy ruble. Doso-
pałem potem koniom owsa by sobie dobrze podjadły, a gdy furma-
ni posnęły każdy na swej furmance, pozsuwałem cicho worki z ow-
sem na ziemię i ruszyłem powoli przez rolę, aby wóz nie kołatał, do
szosy. Na śniadanie byłem już w domu ku wielkiej ucieście ojca
i sąsiada, bo gdy konie wypoczęły, wzięto się zaraz do pracy
w polu.

I okazało się, że się dobrego domyśliłem, bo inni powrócili do-
piero po dwóch miesiącach, a wielu wraz z rozbitą armją rosyjską
dostało się do niewoli niemieckiej, gdzie przebywali aż do końca
wojny.

Rozbita w pierwszych dniach wojny w Prusach armja Samso-
nowa składała się w większości z Polaków, bo do niej zostali wcie-
leni wszyscy zmobilizowani rezerwiści. To też prawie wszyscy do-
stali się do niewoli, choć było wielu i takich, którzy zginęli bez wie-
ści.

Gdy rodziny zaczęły otrzymywać pierwsze listy od jeńców wo-
jennych, było z tego powodu dużo radości, że są żywi i będą mogli
kiedyś powrócić. Ponieważ nie było prawie domu z któregoby nie
wzięto kogoś na wojnę, miałem niełatwe zadanie z pisaniem listów
wszystkim w okolicy rezerwistkom. Listy trzeba było redagować
umiejętnie, bo przechodziły przez cenzurę, chodziło też o adresy,
które musiały być wyraźne. Gdy się okazało że listy pisane przeze

mnie zawsze dochodzą do rąk adresatów, byłem wprost przeciążony tą pracą.

Po kilku dniach przyszła znowu kolejka na innych jechać na podwody, a za nią dalsze. Nie było też prawie dnia by nie żądano we wsi furmanek do miejscowych bliższych przejazdów. Podwody stały się wprost klęską dla gospodarzy, po szosach tłukły się wozy i niszczyła uprząż, a ktoby chciał wiernie spełniać rozkazy nie uciekając i nie ukrywając się, ten musiałby chyba umrzeć z głodu, nie obsiawszy pola.

Najlepiej na wojnie zaczęły wychodzić żony zabranych na wojnę rezerwistów. Okazało się że Rosja carska miała dużo nietylko chleba, ale i pieniędzy. „Rezerwistki” albo „słomiane wdowy” zaczęły otrzymywać miesięczne zasiłki, a która miała liczniejszą rodzinę dostawała co miesiąc wcale pokaźną pensję. Przyczyniło to się nietylko do obtarcia łez, ale nawet i do rozluźnienia węzłów małżeńskich, bo niektóre „rezerwistki” zaczęły sobie na dobre hulać. Niejeden z wojaków powróciwszy po kilku latach do domu zastał rodzinę powiększoną.

„Rezerwistki” nie odbywały też podwód, jako że kobietom nie wypadało jechać za wojskiem, a z początku też się ich żałowało. Okazało się jednak że będzie to za dużym ciężarem dla tych gospodarzy którzy nie poszli na wojnę. We wsiach więc zaczęto przeprowadzać uchwały gromadzkie, rozkładające świadczenia furmankowe z morga. Kobiety opierały się temu, gdy jednak sprawy w kilku wypadkach oparły się o władze rządowe, te przyznały słuszość uchwałom gromadzkim i „rezerwistki” musiały spełniać powinności podwodowe, jeśli nie w naturze to w gotówce.

Drugim nieznośnym ciężarem dla ludności były warty przy mostach i przy słupach telegraficznych i telefonicznych. Moskale byli ostrożni aż do przesady. W długie jesienne noce urządzano po drogach i kolejach obozowiska wartowników, grzejących się przy ogniskach. Niejeden na tych wartach stracił jednak zdrowie nie mając dostatecznego przyodziewku.

W pierwszych dniach września zarządzony został pobór pospolitego ruszenia, czyli tak zwanych „czerwonobiletnych”. Miałem także książeczkę wojskową w czerwonych okładkach i musiałem zgłosić się do mobilizacji. W komisji poborowej było trzech lekarzy: p. T. lekarz powiatowy, Polak, drugi lekarz Żyd i trzeci wojskowy. Pan T. znany działacz niepodległościowy wychodząc z założenia, że ci co nie pójdą na wojnę mogą się kiedyś Polsce przy-

dać, upierał się przy najmniejszej ułomności fizycznej, nawet udanej, zwalnając poborowych. Żydek bronił swych współwyznawców, którzy z reguły byli wszyscy chorzy „na serce”. To też co najmniej połowa poborowych została zwolniona, a było wielu takich, o których głośno mówiono, że zostali zwolnieni za pieniądze. Ponieważ trochę posiadanej gotówki wzdążyłem już włożyć w ojcowskie gospodarstwo, postanowiłem znowu użyć jakiegoś fortelu by się zwolnić od służby w wojsku, bo pod wpływem czytania pism niepodległościowych nie miałem wcale ochoty kłaść głowy za sprawę zwycięstwa oręża rosyjskiego.

Kupiłem sobie dwie paczki mocnej ruskiej machorki, nakręciłem z niej grubych jak palec papierosów i na kilka godzin przed stawieniem się na komisję superewizyjną spaliłem to wszystko, zaciągając się mocno dymem. Dawka taka wystarczyłaby mogła na otrucie siedmiu djabłów, a ja ponieważ nigdy nie paliłem, dostałem od razu kaszlu i głuchego rżenia w piersiach. Do tego byłem jeszcze szczupły i chudy.

Doktor T. obejrzawszy mnie orzekł krótko, że jestem „niegodien” do służby wojskowej, pozostali nie oponowali i sprawa była załatwiona pomyślnie, a byłem i ojcu bardzo potrzebny, gdyż leżał on wtedy prawie stale w łóżku.

Powróciwszy do domu wziąłem się z całym zapalem do pracy w polu. Wprawdzie trochę śmiesznie wyglądałem z początku, gdy poraz pierwszy w życiu wziąłem się do kosi i pługa. Ale tu nauka poszła mi już łatwiej, niż ustawianie klepek u bednarza.

Po kilku tygodniach wyszło jednak na jaw, że od wojska uwalniała nie tylko komisja poborowa, ale i pisarze w urzędzie poborowym, przerabiając słowa „godien” na „niegodien” za grube pieniądze i wydając podrobione dokumenty. Mnie znowu, choć byłem uznany za niezdatnego do wojska i miałem w książeczce wyraźnie napisane „niegodien”, zapisano w aktach jako przyjętego do wojska. Zjechała więc żandarmerja i mnie jako dezertera aresztowała. Byłem już nawet wyznaczony do Rygi, gdzie formowano pułki pospolitego ruszenia.

W trudnem położeniu przyszedł mi z pomocą mój majster, który odwiedził mnie w więzieniu i dostarczył mi kilka paczek mocnej machorki. Porozumiał się też z p. doktorem T., z którym znał się jeszcze z czasów przedwojennej tajnej działalności narodowej.

Naskutek zarządzonego śledztwa aresztowano żydka doktora i cały personel biurowy w urzędzie poborowym. Doktor, żyd naz-

wiskiem Klaczko, został zaraz wywieziony do Rosji, skąd już nie wrócił, pozostała po nim tylko duża niewykończona kamienica, a wszystkich zwolnionych poprzednio powołano powtórnie do przeglądu.

Idąc na komisję, wypaliłem znowu dawkę machorki, a że byłem przygnębiony więzieniem, wyglądałem nieszczególnie. Komisja, składająca się tym razem z doktora T. i dwóch doktorów wojskowych, była teraz bardzo skrupulatna w oględzinach. Jeden z doktorów wojskowych był za przyjęciem mnie do wojska, zwyciężyło jednak zdanie p. T. i zostałem zwolniony. Teraz czułem się pewny siebie, przynajmniej na pewien okres czasu.

W końcu września wypadło mi znów jechać według kolejki na podwozy. Tym razem nie dało mi się już uciec, gdyż zapędzony zostałem za Narew, skąd nie można było powrócić bez przepustki, gdyż mosty były pilnie strzeżone. Jeździłem więc całe dwa tygodnie dowożąc ładunki dla artylerji, tuż za granicę rosyjską. Pograniczne nasze miasteczka: Myszyniec, Chorzele i Janów, były już w pierwszych dniach wojny zniszczone przez Niemców. Za granicą było jeszcze większe zniszczenie dokonane przez „nasze” wojska. W pogranicznych wioskach niemieckich nie było nawet żywej duszy.

W miarę jak ludzie zaczęli się oswajać z wojną, a jesień zaczęła straszyć chłodem, przestali się ludzie modlić pod krzyżami, a zaczęli myśleć o korzyściach, jakieby się dało osiągnąć, i o tem jak się „wykręcać” od wojska, od podwód, od kwaterunków i innych świadczeń wojennych.

Zima w 1914 roku rozpoczęła się dość wcześnie. Przed Bożem Narodzeniem były duże mrozy i spadły obfite śniegi. Choć według komunikatów urzędowych „nasi” stale zwyciężali, gminy otrzymały nakazy dostarczenia ludzi do robót przy okopach na linii Narwi. Po wsiach zaczęła chodzić policja wyłapując młodszych chłopów, a brano przede wszystkim tych, gdzie było po dwóch mężczyzn w domu. Że w tej porze nie było już w gospodarstwie wiele roboty, postanowiłem udać się do pracy do swego dawnego majstra, rozumując że może mnie tam nie znajdą, a przytem coś sobie zarobię, bo w rzemiośle nastąpiło pewne ożywienie.

Ale nazajutrz przyszedł za mną posłaniec wzywając mnie do powrotu, bo ojcu nakazano furmankę w celu odwiezienia robotników do okopów za Narew. Ojciec, choć czuł się trochę zdrowszy, lecz bojał się przeziębienia, wołał mnie wysłać. Szykowałem furmankę podczas wzmagającego się silnie mrozu, na długich podwójnych

saniach, przeklinając wojnę i dziwiąc się jak w taki mróz można będzie kopać ziemię.

Wyjechaliśmy na noc pod eskortą strażników, którzy mieli dopilnować, aby się chłopci po drodze nie powracali do domów. Po zachodzie słońca mróz zaczął folgować, niebo się zachmurzyło, a około północy zaczął mżyć deszczyk, który stopniowo zamienił się w ulewę. Gdy o świtaniu stanęliśmy w Ostrołęce, sanna już zginęła. Dalej jechać już nie było można. Strażnicy poprowadzili dalej robotników pieszo, a my zostaliśmy bezradni na gołym bruku z saniami. Niektórzy zdecydowali się ciągnąć sanie do domu po gołej szosie, inni — i ja do tych należałem — złożyli sanie i drabiny na wielką kupę na podwórzu koszar wojskowych. Była podobno z temi saniami historia jak w bajce o Sowizdrzale, kto był pierwszy — wybierał sobie z gromady po kilkoro, a innym nic się nie dostało. Ja wolałem się swoich wyrzec, niż jechać po nie 50 kilometrów. Do domu powróciłem konno. Fatalna to była podróż, oklep na chudych jak szczapy koniskach. Przez kilka dni po tej podróży nie mogłem ustać na nogach.

Przed samymi świętami Bożego Narodzenia poraz trzeci wyjechałem na podwozy na front bojowy, tym razem w okolice Łomży. Niemcy, chcąc zdobyć Warszawę, przypuścili wtedy gwałtowne ataki na drogach wiodących z Prus Wschodnich do Łomży. Po kilkondniowym postoju na rynku w Łomży, zostałem wysłany na front po rannych, wraz z innymi. Był lekki mróz i potrosze śniegu. Jazda w taki czas po górzystych drogach wymaga dużej umiejętności i wprawy, a okolica tamtejsza jest nadzwyczaj górzysa.

Było to w wigilję Bożego Narodzenia. Wieczorem zatrzymaliśmy się w jakiejś wiosce przy szosie i na furmanki zaczęli wsiadać ranni. Byli to lżej ranni którzy z okopów szli już po kilka kilometrów piechotą, ciężiej rannych przewożono samochodami. Niektórzy byli tak wyczerpani upływem krwi i podróżą, że trzeba ich było wsadzać na furmanki, gdzie leżeli bezwładni, zdając się nie odczuwać ani bólu, ani zimna.

Wśród rannych, który wiozłem, było dwóch jeńców z armii niemieckiej, którzy dostali się do niewoli. Jeden z nich był Polakiem z Poznańskiego. Z „naszych” był też jeden Polak z powiatu makowskiego. Rozpoczęliśmy przyjacielską pogawędkę, która się nam urywała, bo oni cierpieli ból, a mnie targało wprost wewnętrzności jakieś dziwne niewypowiedziane uczucie. Ta noc wigilijna w oddaleniu od rodziny, jazda po spadzistych górach i stękający na wozie

ranni w mundurach wrogich sobie armji wywarły na mym umyśle silne i niezapomniane wrażenie, zwłaszcza że huk armat w pobliżu wstrząsał powietrzem. Nazajutrz byłem zwolniony i na wieczór byłem już w domu. Po drodze spotykałem długie szeregi furmanek jadących do Łomży, aż z za Bugu, z powiatu węgrowskiego i sokołowskiego. Odtąd zgórą pół roku słychać było w naszej okolicy donośny huk armat. Zmniejszyło się zapotrzebowanie na furmanki, ale na roboty przy budowie okopów wyłapanoomal że nie wszystkich chłopów w okolicy. Radzono sobie w ten sposób, że gromadnie uciekano z roboty, bocznymi drogami i ścieżkami, gdyż na szosach zawracały uciekinierów patrole kozackie.

Ukrywałem się dłuższy czas, przechodząc z miasta na wieś i naodwrot i nie mając ustalonego miejsca pobytu. W ten sposób pomagałem i ojcu w gospodarstwie i swemu majstrowi. Życie gospodarcze pomimo przeszkód wojennych było dość ożywione. Ceny produktów rolniczych zwyżkowały i był na nie zawsze zbyt, bo wszędzie było pełno wojska, które miało pieniądze, a nie żałowało sobie, gdyż nikt nie wiedział co go jutro spotkać może. Kto miał trochę wolnego czasu, mógł sobie zawsze zarobić, bo był duży brak sprzężaju i męczyzn zwłaszcza młodych.

Wielkanoc 1915 roku była dosyć ciepła, a wypadła razem według starego i nowego kalendarza. Spędzaliśmy święta Wielkanocne jakby w wielkim obozie wojskowym. W chałupach, w stodołach, na podwórzach, wszędzie pełno było wojska rosyjskiego, na rezurekcji w kościele było więcej żołdatów niż miejscowej ludności. Mieszały się głosy: „Chrystos wskres!” i „Alleluja” z biciem dzwonów i rozlegającym się hukiem armat.

W niedużej chałupce mego ojca zakwaterowało się na święta dwunastu żołdatów. Byli to Ukraińcy z okolic Charkowa. Na święta otrzymali oni od swych rodzin paczki pełne ciast i różnych świątecznych przysmaków, choć i bez tego mieli dosyć obfite porcje wojskowe. Ugościli nas wszystkich, a ich piękny chóralny śpiew, pełen dziwnego smutku i tęsknoty rozrzewnił wszystkich.

Można powiedzieć że stosunek wojska rosyjskiego do ludności wiejskiej był poprawny i życzliwy. Moskalom nie brakło chleba i mięsa ani nawet pieniędzy, więc za wszystko co im było potrzebne płacili, nawet za szkody wyrządzone w polach. Objawy samowoli żołnierskiej i zaczepianie kobiet były karane. Zresztą nie było rodziny, z którejby kogoś nie pochłoneły szeregi armji rosyjskiej, uważano też wojska rosyjskie za „nasze” i życzo im zwycięstwa.

Zarządzone zostało przez moskali powszechne wysiedlenie Żydów z przyfrontowych miasteczek, potem przyszła kolej na Niemców-kolonistów, dosyć gęsto osiadłych na najlepszych gruntach tutejszej okolicy, a wkońcu na wszystkich karanych sądownie kryminalistów. Żydzi pozostali na miejscu, wstęp do Rosji był im niedozwolony. Niemców i całe szeregi ludzi o wątpliwej wartości moralnej wywieźli Moskale do Rosji.

Nienormalne warunki życiowe społeczeństwa stały się wraz z początkiem wojny podłożem, na którym wylęgły się: paskarstwo i spekulacja. Proceder ten uprawiali z powodzeniem Żydzi, choć znalazło się wkrótce wielu i naszych rodzimych spryciarzy, handlarzy i pośredników, którzy zaczęli robić interesy kosztem wyzysku nieumiejącej się orjentować w położeniu i radzić sobie ludności wiejskiej. Wkrótce na przykład po wybuchu wojny płacili handlarze za korzec owsa 2 ruble, a dostarczali ten sam owies wojsku po 8 rubli za korzec. To samo działo się z sianem, słoniną, kaszą i innymi produktami. Moskale nie żalowali pieniędzy przy dostawach, a zagarniali je Żydzi, wyzyskując ludność wiejską. Z drugiej strony ukrywano produkty pierwszej potrzeby jak: sól, naftę, zapalki i inne, biorąc za nie nadzwyczaj wygórowane ceny.

Wyjeżdżający do Rosji pod przymusem koloniści niemieccy i inni przymusowi wysiedleńcy wyprzedawali za bezcen swe ruchomości z czego korzystali również różni spryciarze, robiąc na tem dobre interesy.

Oprócz podwód i robót na okopach, z wiosną przybył nowy ciężar — naprawa dróg zepsutych wskutek ciągłych przejazdów i przemarszów wojsk. Zasiwy wiosenne dokonywane były tylko dorywczo, godzinami, gdy wszyscy starzy i młodzi zajęci byli pracą przyfrontową. Mówiono też powszechnie, że Moskale szykują sobie drogi, aby mogli lepiej uciekać.

Wiosna i początek lata w 1915 roku były w naszej okolicy suche i zimne. Oziminy kłosiły się nie okrywając ziemi, a w połowie czerwca były tak dotkliwe przymrozki, że ziemniakom obmarzły całkowicie liście i kruszyły się w proch. Powszechnie uważano te zimna za łaskę niebios, bo Moskale byli niechłujni, zanieczyszczając w czasie przemarszów całe okolice. Odchody ludzkie i zwierzęce, resztki jedzenia i różna padlina leżały po drogach i rowach przydrożnych, a przy froncie leżały masy trupów niedostatecznie przykrytych. Dopiero w końcu czerwca i w lipcu nastała ciepła, piękna pogoda.

Na linii Siedlce — Ostrołęka zaczęto układać drugi tor kolei żelaznej, do pracy tej jednak sprowadzono kacapów z Białejrusi.

Pierwszy rok wojny był w mojem życiu okresem znoej, wytężonej pracy i borykania się z przeciwnościami. Byłem już faktycznym gospodarzem w domu swego ojca. Widząc że ojciec posiada za mało dobytku, kupiłem rosłą, silną klacz do pracy, krowę z cielęciem, dwoje świń i brakującą ilość zboża do siewu wiosennego, za własne pieniądze. Wskutek mych zabiegów i pracy, pole było obsiane, kamienie na szosę wywiezione i jeszcze na rzemiośle zarobiłem trochę grosza.

W tym okresie czasu — na krótko przed wojną i w czasie wojny rozwinął w tutejszej okolicy szeroką działalność społeczną ks. Gościcki, proboszcz tutejszej parafji. Powstało kółko rolnicze, kasa spółdzielcza, dom ludowy, wybudowany został piękny kościół i budynki parafialne w Małkini. W tej pracy społecznej zacząłem odrazu brać udział. Zwłaszcza kasa spółdzielcza rozwijała się pomyślnie, a nawet wychodźcy z Ameryki przysyłali do niej znaczne sumy swych oszczędności, zanim się wojna rozpoczęła. Kółko rolnicze też wiele dobrego zdziałało dla tutejszej okolicy.

Druga połowa lata 1915 roku, była tak pomyślna dla urodzaju, że naprawione zostały szkody wyrządzone przez zimną wiosnę. Żniwa zapowiadające się wspaniale zbliżały się, ale wraz ze żniwami zbliżał się front bojowy i huk armat stawał się coraz wyraźniejszy.

Zaczęto kopać okopy po drugiej stronie Narwi i znowu urządzono powszechną brankę po wsiach do pracy przy okopach. Ukryłem się przed poborem i udałem się wczesnym rankiem do Ostrowi, by tam popracować jakiś czas do żniw przy warsztacie, lecz tam również trafiłem na obławę i zostałem schwytany przez kozaków.

Łowiono wprost ludzi na drogach i ulicach jak kto stał i odсылano partjami na miejsce przeznaczenia, w otoczeniu kilkunastu kozaków z nahajami. Transporty takie przypominały pochód skazańców na Sybir. Zapędzono nas na stację „Pasieki”, gdzie zgromadzone były już ogromne tłumy robotników spędzonych z bliższej i dalszej okolicy. Była również moc warszawiaków, przeważnie łobuzerii, rekrutującej się z mętów stołecznych. Tam odczytano nam obwieszczenie, że dezercja z robót wojskowych będzie tak samo karana jak i dezercja z wojska. Potem podzielono nas na drużyny, i naznaczono dla każdej przewodnika i mieliśmy tam czekać na nadejście pociągu z łopatami, oskardami i oddziałem saperów mających kierować robotą.

Widocznie jednak Pan Bóg chciał pognać Moskali, bo im rozum odebrał. Tysięczne tłumy oczekiwały cały tydzień na nadejście łopat i przyjazd saperów, pociąg jednak nie nadchodził. Komu było za długo czekać, ten, nie przejmując się groźbą sądu wojennego, zmiatał do domu by żniwa rozpoczynać. Niektórych wyłapywali i przyprowadzali zpowrotem kozacy, sądząc doraźnie nahajkami.

Życie na okopach byłoby beztroskie i wesołe, gdyby nie kłopot o najbliższą przyszłość i o losy rodziny. Trzeba było się pilnować, bo łobuzerja warszawska kradła co się dało. Kto nie miał na życie, zgłaszał się do kierownictwa robót i dostawał tam zaliczkę. Dowiedziałem się, że za pracę przy okopach była wyznaczona nieźła zapłata, ale otrzymałem ją tylko za dwa tygodnie, a cztery tygodnie pracowałem darmo. Tak samo postąpiono i z innymi, ktoś się jednak dobrze na tem oblawił.

Żywności nie brakło, bo na polach były ziemniaki, a w podwórzach pełno różnego drobiu. Szczególnie warszawiacy używali na chłopskim dobytku, kradnąc wszystko, a kto nie chciał kraść mógł sobie za tanie grosze wszystkiego kupić. Nikt nie zwracał na nic uwagi, nikogo nic nie cieszyło. Huk armat — coraz donioślejszy — i łuny pożarów świecące po nocach napępiały ludzi niepojętą trwogą. Wreszcie ludność otrzymała nakaz opuszczenia swych siedzib.

Po całotygodniowym wreszcie oczekiwaniu skierowano nas na inną stację kolejową, lecz tam również pociągu z łopatami nie zastaliśmy. Wreszcie dowieziono nam potrzebne narzędzia furmankami i przystąpiliśmy do pracy na wytkniętej w zygzaki linji okopów, prowadzącej przez doskonałe, drenowane pola dworskie obsiane burakami w pobliżu dużej cukrowni, przez wspaniałe łany zbóż, które niszczone były nie tylko łopatami i oskardami, ale i wydeptywane przez wojsko i robotników.

Widziałem też na własne oczy jak wojsko niszczyło urządzenie cukrowni w Grodzisku. Naszej drużynie robotniczej nakazano rozebrać rusztowanie sięgające do wieży będącego w budowie kościoła w Wąsewie, ale oparliśmy się temu rozkazowi.

Zaledwie zaczęliśmy pracę przy okopach, gdy zaczęło do nich napływać wojsko, szukając tu oparcia. A jednak w ciągu straconego tygodnia można było tę pracę wykonać. Wślad za wojskiem zaczęły padać gęste pociski, bo Niemcy przeszli tymczasem Narew, prąc naprzód. Zaczęto sypać nową linję okopów, ale po kilku dniach praca ta okazała się już zbędną.

Pewnego dnia pracowaliśmy przy okopach prowadzących przez ogromne pole pszenicy dworskiej, skoszonej i ustawionej w kozły. W nocy pole to zajaśniało tysiącami ognii, jakby płonęły gwiazdy na niebie. To Moskale palili pszenicę w kozłach na polu. Nocując w dworskiej stodole patrzyliśmy się na to z zapartym oddechem i zdawało nam się, że chyba Sprawiedliwy Pan Bóg pokarze kiedyś głodem ten naród za to bezmyślne i masowe niszczenie darów Bożych.

Padające gęsto pociski niemieckie wypędziły nas z roboty zabijając kilku robotników. Widziałem też w tym czasie zdarzenie, które wywarło na mnie wielkie i przygnębiające wrażenie. Przywieziono z frontu ciężko rannego kozaka i ułożono konającego na ziemi. Rozpaczwał nad nim okropnie brat jego, płacząc i rwąc sobie włosy z głowy. Szosą prowadzono właśnie partję jeńców niemieckich z frontu. Kozak rzucił się na nich z szablą i pociął prawie w kawały dwóch Niemców. Ten sam los spotkałby był i innych, lecz eskortujący jeńców żołnierze z trudem obezwładnili jednak oszalałego kozaka. Wykopaliśmy trzy doły i pochowaliśmy rzędem: kozaka, dwóch Niemców i dwóch naszych zabitych przy kopaniu okopów robotników.

Chciałem wymknąć się do domu, dokąd miałem już niedaleko, jednak to mi się nie udało. Wsadzono nas kilkudziesięciu na furmanki i pojechaliśmy kopać okopy pod Warszawą. Ale zaledwie dojechaliśmy do Wyszkowa, a Warszawa została już zajęta przez Niemców. Teraz dopiero wszystkich zwolniono, nie otrzymaliśmy jednak przepustek i znowu jakiś oddział wojska zatrzymał nas po drodze.

Pamiętnym nazawsze pozostanie dla Podlasia Łomżyńskiego dzień 10 sierpnia 1915 roku. Po zajęciu Warszawy przez Niemców wojska rosyjskie na prawym brzegu Wisły zaczęły się cofać w nadzwyczajnym pośpiechu. W jednym tylko pomienionym dniu przeszli Moskale zgorą 70 kilometrów, paląc wszystkie wsie i miasteczka.

Powracając w ciemną noc do domu słyszałem tylko od czasu do czasu odosobniony strzał, widziałem błakające się światła reflektorów i idący z hukiem „Zeppelin”, ale wojska nigdzie nie było. Moskale uciekli, a Niemcy nie wzdążyli jeszcze nadejść. Dookoła paliły się wszystkie wioski okoliczne, a te łuny pożarów przedstawiały wśród nocy okropny widok. Był to naprawdę sądny dzień!

Gdy dopadłem do swego domu, zastałem już dopalające się zgliszcza, dookoła których biegał z głośnem wyciem wierny pies Łyszek. Ten sam los spotkał całą prawie wioskę. Tylko kilka stojących wśród gąszczów olszowych chałup ocalało. Takiż los spotkał i inne wioski okoliczne. Do wzniecania pożarów wysyłali Moskale specjalne oddziały wojska, zaopatrzone w pochodnie i benzynę. Bronić się przed nimi można było łapówką, a jeszcze lepiej widłami lub siekierą, bo ci podpalacze nie byli uzbrojeni. Gdybym był w domu, byłbym się napewno obronił przed podpaleniem.

Ojciec wzdążył pozwozić do stodoły wszystko zboże — na polu zostały tylko ziemniaki — i wszystko się też spaliło. Spaliły się też wszystkie sprzęty i narzędzia rolnicze, a także mój piękny zbiór książek i roczników gazet, moje zapiski i notatki, oraz znajdujące się na strychu ubranie i bielizna. Pozostałem w tem, w czem pracowałem przy okopach. Ojciec wzdążył zabrać na furmankę tylko kilkoro drobnych dzieci i trochę rupieci domowych, starsze dzieci pognały dobytek i ruszyli wszyscy na wschód.

Zapłakałem gorzko nad pogorzeliskiem! Tyle mojej pracy i nadziei na przyszłość poszło z dymem. Zawolałem Łyska i poszliśmy kierując się według wskazówek pozostałych, nielicznych mieszkańców wioski, drogą na Nur, Ciechanowiec, Brańsk, do Bielska Podlaskiego.

Wszystkie drogi prowadzące na wschód były wtedy za wąskie i nie mogły pomieścić tych wielkich mas wojska, taborów i uchodźców cywilnych, co jak wzburzone fale parły naprzód. Jakiś niewytłumaczony owczy pęd ogarnął wtedy naszą ludność wiejską. Zapatrywali się jedni na drugich, pozostawiając zagrody i wypchane zbożem stodoły. Całe wioski opustoszały, choć nie było w tej okolicy wcale walk. A Moskale palili te nieraz dobrze zagospodarowane osady, szedł z dymem dorobek całych pokoleń, byle się „germańcom” nic nie zostało.

Zmęczony drogą, usiadłem w rowie przydrożnym i zdrzemnąłem się trochę, a gdy się przebudziłem, Łyska nie było przy mnie. Zmiarkował, że za daleko idziemy od domu i zawrócił zpowrotem. Dopędziłem wreszcie swą rodzinę, oraz licznych sąsiadów i znajomych, w lasku olszowym niedaleko miasteczka Brańska. Było trochę uciechy żeśmy się znaleźli, ale więcej smutku i płaczu, gdy im powiedziałem, że z naszych zagród zostały już tylko popioły. Po naradzie, postanowiliśmy jechać do Rosji, zwłaszcza że jechało du-

żo znajomych i zdawało się nam, że chyba nikt w tym zniszczonym kraju nie został.

Dojechaliśmy do miasta Bielska Podlaskiego i tu przedstawił mi się widok, przypominający wędrowniki ludów starożytnych, lub najście tatarów. Jedno wielkie obozowisko bez końca, a resztek jedzenia i odchodów ludzkich i zwierzęcych było wszędzie grubo, chyba na jakiś metr. Nikt za sobą nie sprzątał i Pan Bóg łaskaw, że jakaś zaraza nie wytlukła tego niechlujnego mrowiska ludzkiego.

Niedaleko za Bielskiem jest stacja kolejowa Hajnówka i osada tegoż nazwiska. Tam obozowaliśmy prawie cały tydzień, bo tu zaczyna się puszcza Białowieska, a prowadząca przez nią szosa tak była zapchana wojskiem, że uchodźców nie przepuszczano, aż ukończony został przemarsz wojsk.

Tu można się było pozostać i tu popełniliśmy wielki błąd, decydując się na przebycie puszczy Białowieskiej. Dotąd prowadziliśmy z sobą cały dobytek: bydło, świnie i nawet częściowo drób. Trzeba się jednak było tego pozbyć. Dowiedzieliśmy się że świnie i bydło jest skupywane od uchodźców i tak rzeczywiście było. Zabierano dobytek i ładowano na wagony, a wydawano asygnaty do kasy skarbowej. Oddaliśmy więc cały posiadany dobytek, oprócz jednej tylko krowy — aby mieć trochę mleka — i konia w zaprzęgu, a otrzymaliśmy asygnaty. Krowa i piękna jałówka oraz dwa wieprzki były już moją własnością i tego wszystkiego musiałem się pozbyć.

Mając dużo wolnego czasu wałęsałem się po stacji, obserwując gorączkowy ruch i popłoch wśród Moskali. Pewnego razu po jakiejś krwawej bitwie nadszedł na stację pociąg z rannymi. Przenoszono ich do innego pociągu, a ciężko rannych, którzy mieli już niedługo umrzeć, układano rzędem na murawie w ogrodzie. Nie zapomnę nigdy tego okropnego widoku, tych żywych kawałów ludzkiego mięsa, drgających i rżących w mękach konania.

Ulewny, kilkudniowy deszcz i przenikliwe zimno dało nam się tu mocno we znaki. Całe szczęście że tuż była ogromna puszcza a na stacji wielkie stosy drzewa. Nikt tego nie zabraniał, więc nosiliśmy ogromne szczapy, słupy, a nawet całe kłody drzewa, rozkładając ogromne ogniska, które płonęły dzień i noc.

Prawda że żołnierz na froncie był więcej narażony na niebezpieczeństwo, ale był tylko sam, myślał tylko o sobie. Trudniejsze było życie całej tułającej się rodziny, zwłaszcza z drobnymi dziećmi. Po deszczu nie zostało na nikim suchej nitki i tak trzeba się było kłaść spać na mokrą ziemię. To też ludzie zaczęli padać jak mu-

chy i droga wytknięta została gęsto mogiłami, zwłaszcza małych dzieci.

Pewnego razu na skraju lasu zauważyłem siedzącego człowieka, nieżywego. Zawolałem ludzi i okazało się że był to jakiś ubogi dziadek, który usiadł odpocząć i usnął na zawsze. Innym razem przejeżdżające furmanki zatrzymał głośny płacz drobnych dzieci. Okazało się że umarła im na furmance matka. Wybrała się z dziećmi do Rosji, gdzie miała zamiar odnaleźć ojca, tam przebywającego. Zaziębiła się i umarła. Najstarsza dziewczynka miała lat dziesięć, chłopczyk osiem i jeszcze dwoje młodszych. Ktoś miał szpadel, wykopano więc dół i ułożono w nim kobiecinę, okładając ją z boków żerdkami z płotu. Wzruszający był widok, jak małe dzieciaki broniły zabierać z furmanki trupa matczynego, jak później nie chciały się ruszyć z usypanej mogiły.

Po przebyciu puszczy Białowieskiej celem naszej podróży były Prużany. Tam mieliśmy otrzymać pieniądze za zabrany dobytek. Okazało się jednak, że kasy już niema i poradzono nam jechać dalej do miasta Słonima.

Za Prużanami okolica była bezleśna. Nie było czem palić ognisk i gotować strawy. Zaczęto rozbierać budynki opuszczone. W jednej wiosce tłum uchodźców rozerwał wprost na opał stojący przy szosie wiatrak, w innej znowu wiosce widziałem jak rozbierano i palono najpierw drewniane ogrodzenie cmentarza wiejskiego, a następnie i wysokie krzyże o podwójnych ramionach. Ten wykołojony z życia tłum ludzki ogarniało zdziwienie.

Po miastach były punkty żywnościowe, gdzie uchodźcom wydawano herbatę i gorącą strawę, ale mało kto się o nie ubiegał, bo jedzenia każdy miał poddostatkiem. Wodę w której się gotowało mięso, wylewano na ziemię a jadano tylko same mięso. Był to więc zapust, po którym niestety miał się zacząć długi i uciążliwy post.

W niedalekiej odległości od Prużan dojechaliliśmy do błotnistej rzeczki, o której nazwę nie miałem możności się dowiedzieć. Przez rzeczkę prowadził długi drewniany most i tu był kres naszej wędrówki do Rosji.

Był tu znowu jakiś gorący dzień dla Moskali. Zatrzymali ludność cywilną, pchając się sami bezładną kupą na most, który zaczęli gwałtownie ostrzeliwać austriacy. Teraz dopiero zobaczyliśmy prawdziwą wojnę. Strzały nieprzyjacielskie zaczęły razić tłum uchodźców, który rzucił się szalonym pędem do ucieczki przez most. Jadący środkiem przejeżdżali, kto jechał bokiem był narażony na

zepchnięcie z wysokiego nasypu i kilkanaście furmanek wywinęło koziołka z dość wysokiej szosy. Nastąpił istny sądny dzień. Rozległy się jęki i płacz. Jedni rzucali ładowne wozy i uciekali pieszo, inni nie mogąc się dostać na szosę, modląc się głośno, poddawali się z rezygnacją losowi. Byli i tacy co nie tracili zimnej krwi, wywieszając na dyszlach białe płachty na znak poddania się. Gdy ostatnie furgony rosyjskie przeszły most, został on podpalony przez Moskali. Strzały wtenczas ucichły. Kto przeszedł most ten dostał się już do Rosji, kto pozostał musiał wracać do domu.

Wśród tego zamętu zaginął jeden z moich braci jedenastoletni Roman. Rozłączenie nastąpiło też wśród wielu innych rodzin. To dzieci pędzące bydło przeszły most, a rodzice pozostali, lub naodwrot, to znowu żony poodłączały się od mężów. Poszukiwania i narzekania na nic się jednak nie zdały. Stały ładowne wozy, chodziły samopas stada bydła, wszystko opuszczone przez właścicieli.

W nocy panowała cisza, ale nikt nie spał. O świtaniu ujrzelśmy dopiero nowych „władców”. Był to oddział jazdy w czerwonych spodniach i granatowych kierzach z piórami u kapeluszy. Zsiadli z koni i zaczęli coś do nas po przyjacielsku rozmawiać, powiadając że są „hungary”, zrozumiałem więc że byli to Węgrzy. Niemcy, obawiając się by im wszyscy austriacy nie uciekli do niewoli, pomiesza ich z sobą i czynną tu była cała armja austriacka.

W Prużanach było już dużo wojska austriackiego, spotykałem Chorwatów, Słowaków, Czechów i kontent byłem, że mogę się z nimi rozmówić. Żołnierze ci byli bardzo uprzejmi i nikomu nie wyrządzali krzywdy, dopytywali się tylko o chleb i za wszystko płacili swemi koronami.

Prawdziwych Niemców ujrzelśmy dopiero w pobliżu puszczy Białowieskiej. Byli oni nadzwyczaj butni i hardzi, a ich błyszczące pikielhauby napęliły nas odrazu strachem. Zatrzymaliśmy się na postój w olszowym lasku, z którego kule obcięły wszystkie gałęzie, a sterczały tylko nagie drągi. Chcieliśmy temi gałęziami ugotować trochę jedzenia, zwłaszcza że i woda była w parowie. Naraz boczną drogą wyjechał na szosę pędzący w wielkim pośpiechu tabor niemiecki. Dowódca oddziału zauważył pasącą się naszą rosłą i piękną klacz i kazał żołnierzom zabrać ją. Chciałem jej bronić, lecz jeden z Niemców omal nie przebił mnie bagnetem. Niemcy wyprzęgli ze swego wozu olbrzymiego belgijskiego konia i kazali nam go zabrać, a sami zaprzęgli naszą sówkę, która ruszyła z kopyta, żegnana płaczem całej naszej rodziny.

Zaprzęgliśmy konia pozostawionego przez Niemców, lecz był on już zupełnie niezdatny do drogi i trzeba było po szosie pchać wóz wraz z koniem. Tymczasem nasi sąsiedzi i znajomi pojechali zostawiając nas, zaledwie jedna sąsiadka, rezerwistka z drobnymi dziećmi, pozostała przy nas. Wreszcie koń położył się nam i nie mogliśmy go pomimo żadnych wysiłków podnieść. Trzeba go było pozostawić i nie wiedzieliśmy co z sobą począć, bo do domu mieliśmy zgórą trzysta kilometrów. Czy zostawić wóz ze wszystkim i iść pieszo, czy też ciągnąć go po szosie? Wybraliśmy ten drugi sposób — było nas wszak kilkoro. Pozrzucaliśmy więc z wozu niektóre mniej potrzebne rzeczy, między innymi faskę solonego mięsa, duży tłumok wełny i inne i wzięliśmy się do ciągnięcia wozu. Ujechaliśmy tak kilkanaście kilometrów, a żalowali się nas nawet przejeżdżający Niemcy.

Wreszcie noc zapadła. Zatrzymaliśmy się w lasku skopanym okopami, było tam dużo naciętego i nałamanego drzewa, z którego rozłożyłem ognisko i pozostałem na dyżurze, a cała rodzina ułożyła się do snu. Gdy się oddaliłem kilka kroków za gałęziami, przewróciłem się przez jakąś kupę piasku i zakląłem siarczyście, bo podrapałem sobie twarz. Przyglądając się uważniej kopcowi poznałem, że jest to świeżo usypana mogiła, a obok niej dużo innych mogił. Zanocewaliśmy więc na cmentarzu wojennym. Obudziłem czemprędzej ojca i przesiedzieliśmy przy ognisku, oczekując dnia.

Gdy się rozwidniło, ujrzeliśmy nieuprzątnięte jeszcze pobojo-wisko. Pochowano tylko ludzi — jednemu widać było nawet nogi — a pobite konie leżały jeszcze niezakopane. W pobliżu pocisk roztrzaskał kuchnię wojskową i leżał przy niej rozsypyany z worek kawy. Leżały też porozrzucane różne rzeczy żołnierskie.

Zaciekawilo to wszystko dzieci, które rozleciały się po pobojo-wisku. Znalazły one jakąś torbę wypchaną papierami wojskowymi, a wraz z nimi było w torbie 600 marek niemieckich. Szczęście że dzieci tego nie podarły, lecz pokazały mnie. Było to naprawdę szczęście w nieszczęściu, bo inaczej ciężki był powrót do domu. Po naszym powrocie do domu utworzono we wsi bajkę o znalezionym na pobojo-wisku skarbie. Było to jednak zrzędzeniem Opatrzności, tylko częściowe odszkodowanie za zabrane przez Moskali dobytek, na co miałem asygnatę na 500 rubli, których nigdy nikt nie wypłacił.

Od jednego z powracających uchodźców kupiłem za 100 marek dwuletniego żrebaka i pojechaliśmy szosą tak szparko, że dopędzi-

liśmy jeszcze znajomych i sąsiadów. W puszczy Białowieskiej leżały jeszcze w poprzek szosy olbrzymie kłody drzewa, które Moskale zagrozić chcieli Niemcom drogę. Niemcy zapędzili nas wszystkich do pracy nad usunięciem przeszkód.

Widziałem upolowanego przez Niemców żubra i parę jeleni, a nawet Niemcy podarowali mi piękne jelenie rogi, które przywiozłem do domu na pamiątkę. W Białowieży zwiedziliśmy w powrotnej drodze pałac cesarski. Na górnym piętrze leżały ogromne stopy długich linek przybranych różnokolorowymi chorągiewkami. Nikt tego nie pilnował, więc wzięliśmy sobie po kilka linek, przewidując że napewno car już nigdy do Białowieży nie przyjedzie, więc i paradne chorągiewki nie będą potrzebne.

Najpierwszymi wyrazami, jakich się Niemcy w Polsce nauczyli, to było pytanie o chleb. Mijałem całe masy żołnierzy niemieckich i widziałem tylko jeden raz, jak jedli oni chleb, kładąc go w cienkie kromki, przez które można było oglądać świat, z dodatkiem jakiejś kielbasy czy kiszki, która była tak gruba, że doszedłem do przekonania, iż musi to być kielbasa końska. Jeden z żołnierzy, widząc moje zaciekawienie ich jedzeniem, chciał mi dać kawał tej kielbasy, ale chleba dać nie chciał. Podziękowałem mu więc i za tę grzeczność.

Po sześciotygodniowej tułaczce powróciliśmy wreszcie na swe siedlisko. Zastaliśmy tylko rumowisko, a na niem stróżującego Łyska, który, żywiony z łaski przez sąsiadów, był po całych nocach na popiołach, a przesądne kobiety, mając nas za zaginionych, widziały już dusze nasze błakające się i pokutujące na zgliszczach.

Lecz ta pokuta miała się dopiero rozpocząć, a spotkała nas właśnie za ciężki grzech, polegający na opuszczeniu zagrody na widok masowych pożarów i na rozkaz uciekających Moskali. Kilkadziesiąt rodzin z naszej okolicy wyjechało jednak do Rosji i ci nie marli tam przynajmniej głodu, który my tu cierpieliśmy wraz z Niemcami.

Na pociechę w smutku mieliśmy tylko to, że spaliły się zarówno ziemianki i słomiane budowle w naszej „nowiniarskiej” wiosce, jak i dobrze zagospodarowane i zabudowane gospodarstwa w sąsiednich wioskach. Narazie zrównali się wszyscy, a stosunki i różnice majątkowe zaczęły się kształtować w zupełnie inny sposób.

Czyje gospodarstwo nie uległo spaleniowi i zniszczeniu, komu została stodoła ze zbożem i obora z bydłem, ten stał się od razu bogatym i nawet dziś nie odczuwa kryzysu gospodarczego. A jednak

kilkadziesiąt gospodarstw w okolicy ocalało i wyszło z pogromu obronną ręką. Kto miał budynki spalone, a jednak daleko nie wyjeżdżał, ten miał możliwość nawiezienia sobie budulca z lasu rządowego na nowe budynki, zanim nadciągnęły cywilne władze okupacyjne i tego nie można mu nawet uważać za zbrodnię, boć Niemcy wycięli sami, lub wyprzedali żydom cały wspaniały las w naszej okolicy, stanowiący część dawnej puszczy Brokowskiej. Niektórzy gospodarze na miejsce spalonych starych budynków powznosili nowe wspaniałe budynki.

Wzmocnili się na siłach niezgorzej i tacy, którzy po krewnych uciekinierach odziedziczyli majątki, a trzeba powiedzieć, że wojna dokonała wielkiego przewrotu w umysłach i nadszarpnęła prawo poszanowania cudzej własności. Na polach pozostały wszystkie jarzyny, łąki i okopowizny. Znalazło się więc i to bardzo wielu pomysłowych, którzy sobie nasprzątali cudzego owsa, grochu, jęczmienia i poczynili nawet zapasy na przyszłość. W tej zawierusze wojennej jedni potracili majątki, zdrowie a nawet i życie, byli jednak tacy co wyrosli na nieszczęściu i krzywdzie bliźniego na bogaczy.

Znalazłem się ze swą rodziną w położeniu jaknajgorszem. Moskale spalili budynki, a w nich sprzęty gospodarskie i zboże, zabrali dobytek i wypędzili nas na kilkotygodniową tułaczkę. Niemcy zabrali sprzężaj, a mili sąsiedzi sprzątnęli z pola resztki zboża i wypaśli seradelę i koniczynę, nie spodziewając się już naszego powrotu. Pozostało tylko trochę ziemniaków. Trzeba się było wszystkiego dorabiać i zakładać jakby nowe gospodarstwo. Ze spalonych budynków pozostały tylko sterczące ściany kamiennej piwnicy, mogącej kiedyś pomieścić ze sto metrów ziemniaków. Sporządziliśmy więc z ojcem dach nad nią, a nie mając słomy na pokrycie narzuciliśmy go jałowcem i darnią. Wybudowaliśmy w tym baraku kuchnię, pochłapało się tam wewnątrz trochę wapnem żeby było „ładnie” i musieliśmy tam zamieszkać, a było nas jedenaście osób. Drużgi takż barak sporządziliśmy dla nielicznego dobytku.

Gorzej było z zaoraniem i obsianiem pola. Powróciliśmy już w końcu września, a nie było ani pług, ani brony, ani konia zdolnego do pracy, ani ziarna do siewu. Trzeba było wszystko kupić, a po żyto do siewu jeździłem do odległego o dwadzieścia parę kilometrów folwarku, który Niemcy zwolnili od rekwizycji pod warunkiem, że właściciel sprzeda zboże do siewu pogorzelcom. Ale zasiane w październiku i w nieodleżałą rolę żyto musiało dać lichy

zbiór. Rok 1915 dał jednak tak obfite zbiory — chociaż był suchy i zimny, że pomimo powszechnej wprost klęski pogorzeł i rekwizycji niemieckich ludzie jednak chleb jedli.

Prawdziwym ratunkiem dla nas było tę trochę znalezionych marek. Kupiło się co najpotrzebniejsze chociaż w gospodarstwie i trochę drzewa do budowli. Paszy dla dobytku można było też tanio kupić, połowa łąk w okolicznych wioskach została na zimę nieskoszonych, a we dworach duże obszary buraków cukrowych — bo cukrownie zostały zniszczone — sprzedawano na pniu.

Zima w 1915 na 16 była nadzwyczaj łagodna. Było to łaską Boską dla tych mieszkających w barakach, brogach i piwnicach rodzin chłopskich. Całą tą zimę nocowałem pod gołym niebem, urządziwszy sobie jak zajęć legowisko w kopie siana, bo w baraku nie było się gdzie położyć. Tak nasza wioska jak i sąsiednie robiły wrażenie osiedli ludów podbiegunowych. Nieraz zbudziwszy się rano otrząsałem się ze śniegu, a za okrycie służyła mi odzież noszona na sobie i taki cygański sposób życia, wcale mi na zdrowiu nie szkodził.

Ale ta mglista i błotnista zima i brak wszelkiej higieny w życiu codziennym spowodowały epidemie różnych chorób, które zaczęły zabierać liczne ofiary. W miasteczkach i po wsiach nawet zdarzały się wypadki cholery, zaczęła się też szerzyć gwałtownie ospa i tyfusy: plamisty i głodowy.

W naszym kamiennym i wilgotnym baraku powietrze było tak cuchnące, że nie mogłem tam wprost wsadzić nosa. Wskutek nadmiaru wilgotności, zaczęła podchodzić woda, zrobiliśmy nad nią pomost z desek jak nad jakąś sadzawką i taki przesycony wilgocią barak służył w nocy za legowisko całej rodzinie. To też wkrótce za gościła ospa, a potem i tyfus w naszym „pałacu”. Barak zamienił się w szpital, wszyscy się położyli, sam jeden tylko trzymałem się na nogach i musiałem obsługiwać wszystkich. Com wtedy przeżył, trudno mi jest nawet opisać na papierze. Wzruszający był zwłaszcza widok, gdy do baraku sprowadziłem księdza z św. Sakramentami.

Na szczęście nikt z naszej rodziny nie umarł. Najciężej chorował brat mojej macochy, który nie miał szczepionej ospy. Opadało mu wprost ciało, a smród był tak wielki, że musieli się wszyscy przenieść do baraku bydłęcego. Jednak i on wyzdrowiał. Ale że wskutek niedbalstwa dużo osób we wsi nie miało szczepionej ospy, więc trumnę za trumną wynoszono na cmentarz. W bliskim są-

siedztwie wymarła cała prawie rodzina, a ci co wyzdrowieli noszą do dziś ślady ospy na sobie.

Niemcy zaczęli zwalczać choroby z właściwą sobie bezwzględnością i brutalnością, zaczynając od brudnych żydowskich miasteczek. Najpierw zaczęli stosować powszechne szczepienie ochronne: ospy, tyfusu i cholery. Potem zaczęli stosować tak zwane „mykwy”. W Ostrowi spędzali całymi dzielnicami ludność do koszar wojskowych i oddzieliwszy kobiety od mężczyzn, wszystkich rozebranych do naga pędzili do łaźni i poddawali oględzinom lekarskim. U kogo znaleziono wszy lub ich zarodki, temu strzyżono do skóry wszystkie włosy na ciele, gdziekolwiekby one nie wyrastały. Odzież zaś szła do dezynfekcji i była zwracana tak przesycona siarką i innemi środkami odkażającemi, że była wprost niezdatna do użycia. Rzuciło to wielki postrach zwłaszcza na kobiety i dziewczęta, gdyż okazało się że Niemcy rozmyślnie strzygli kobiety mające piękne, długie włosy, by je potem za dobre pieniądze sprzedać żydówkom na peruki. Powstało z tego powodu wielkie oburzenie, zwłaszcza gdy doszło do ludności żydowskiej, która nie pożałowała na swą obronę pieniędzy. Zaczęły iść skargi i delegacje i strzyżenia zaniechano.

Po wsiach uruchomiono jakieś wielkie parowozy z olbrzymiemi kotłami, do których pod surową karą musiała ludność znosić wszystkie poduszki i pierzyny, oraz bieliznę, by ich najczęściej nigdy już nie używać. Przepowiadano już nawet bliski koniec świata, bo na takim wozie miał podobno przed końcem świata jeździć— antychryst.

W naszym baraku wskutek nadmiaru wilgotności zaczęły wypadać ze ścian kamienie i zagroził nam zupełnym zawaleniem. Trzeba było pomyśleć o wybudowaniu jakiej takiej chałupy. Kto miał gotówkę mógł sobie łatwo i tanio kupić drzewa od Niemców, bo byli oni bardzo chciwi na pieniądze, a zwłaszcza na złoto. Ogłaszali nawet o tem po wsiach. Jeden z moich znajomych gospodarzy za dziesięć rubli w złocie nabył od Niemców drzewa na całe budynki gospodarskie. Ale nie wszyscy mieli gotówkę na kupno drzewa, nie miałem jej też i ja. Kupiłem więc trochę drzewa tak dla pozorów, a resztę zacząłem poprostu kraść wraz z innymi, wychodząc z założenia że las jest nasz, a nie niemiecki. Nie mogliśmy się przecież żywcem w barakach zagrzebać.

Ale ze zwózką po nocach kłoców i ich wytarciem była trudna sprawa. Wpadliśmy więc na inny pomysł. Moskale na krótko przed swą ucieczką przerzucili od stacji do szosy bocznice kolejową i za-

czeli budować przeogromny magazyn na prowianty wojskowe, na co zużyli tyle drzewa, że możnaby było odbudować kilka spalonych wiosek okolicznych. Porozumiałem się więc z sąsiadami i zaczęliśmy po nocach rozbierać ów magazyn zwożąc sobie budulec. Podpatrzyli to wreszcie i inni pogorzelnicy — tak z mojej jak i z sąsiednich wiosek — i zaczęliśmy po nocach formalnie rozbierać magazyn aż do fundamentów. Jeden złamał sobie nogę, ja potłukłem do tkliwie rękę, jednak nawoziłem sam tyle materiału że mogłem rozpoczynać budowę.

Niemców było za mało, by mogli dopilnować wszystkiego. Gdzie kiedyś urzędowało dziesięciu Moskali, tam wystarczyć musiał jedn Niemiec i to nieraz siwowłósy, bo co młodszy poszli na front. Kiedyśmy wreszcie dokończyli rozbiórki magazynu, Niemcy się dopatrzyli i zjechała żandarmerja wojskowa, czyniąc po wsiach poszukiwania.

Znaleziono też i u mnie dosyć dużą gromadę tego drzewa. Na szczęście wśród żandarmów było kilku Polaków z Górnego Szląska. Ci, zwiedziwszy nasze baraki, sfotografowali nas na tle jednego z baraków — nędznych i obdartych — sfotografowali też wnętrze baraku.

Wkrótce zostaliśmy pozwani przed sąd wojenny, jako oskarżeni o kradzież rzeczy rządowych. Tłumaczyliśmy się, że do tego zmusiła nasz konieczność. Zeznający przeciwko nam przed sądem żandarmi przedstawili sądowi zdjęcia fotograficzne naszych osiedli. Wyrok był dosyć łagodny, bo zapłaciliśmy tylko po kilkadziesiąt marek kary. Tylko tych co kradli, mając niespalone budynki, ukarano dosyć surowo.

Rozpocząłem więc budowę tymczasowej chałupy i obory i wreszcie w pierwszych dniach marca, przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania, opuszczając smrodliwy barak.

Pomimo że cała okolica przedstawiała jeden wielki obraz zniszczenia, nie widać było na wsi przygnębienia, ani nawet zniechęcenia. Jakaś otucha, jakaś nadzieja niedalekiej już wolności i spodziewanej lepszej przyszłości napępiała wszystkich. Obżalowano już tych co poszli kiedyś na wojnę, zwłaszcza że prawie wszyscy starsi żołnierze dostali się do niewoli niemieckiej, skąd regularnie dochodziły listy. Na ich miejsce podrastała młodzież, która czuła się pewną siebie, bo nie było już Moskali, co brali do wojska. Zaczęto się na gwałt żenić, choć wesela odbywały się o razowym chle-

bie i kartoflach, tylko zamożniejsi mogli sobie pozwolić na pszen-ny placek.

Niemcy, zdobywszy znaczne tereny, a na nich zapasy chleba, nie byli jeszcze w tym roku tak bardzo głodni i wieś nie doznawała od nich wielkiego ucisku. Gruntowali oni swą władzę, a jednocześnie powołali do życia samorząd, tworząc po wsiach rady gminne i powołując sejmiki powiatowe. W szkołach nauka odbywała się już w języku polskim.

Na drogach i w lasach były zarobki i życie zdawało się nie być tak bardzo nieznośne. Wznowiła działalność kasa spółdzielcza, która miała tyle gotówki z wkładów oszczędnościowych, że nie mogła jej rozpozyczyć w okolicy. Rozwijało ożywioną działalność kółko rolnicze. Szerzyło się czytelnictwo, pobudzane ciekawością wypadków wojennych.

Rok 1916 zaznaczył się nieurodzajem. Wpłynęły na to: spóźnione siewy i niedostateczna uprawa roli, oraz słabe nawożenie ze względu na zmniejszenie się pogłowia inwentarza żywego. A i warunki atmosferyczne nie bardzo były pomyślne.

Zrozumieli to Niemcy i chcieli zaprowadzić na wsi planową gospodarkę zbożową systemem kartkowym. Obok obowiązujących już kartek na cukier, sól i naftę, rozdano sołtysom kartki chlebowe, nakazując by cały zbiór zbóż chlebowych był oddany do magazynów wojskowych. Ale na wsi nikt kartek chlebowych brać nie chciał, ani też oddać Niemcom zboża. Niemcy odpowiedzieli na to rekwizycją i opieczętowali wszystkie młyny, by nikt nie mógł mleć zboża bez zezwolenia, oraz zabronili pod surowymi karami wypieku bułek i chleba pytlowego. System kartkowy obowiązywał tylko w miastach. Zabronili też spasać zboże inwentarzem. Na targach zaglądali Niemcy w torby końskie, u kogo znaleziono w torbie domieszanę do siewki zboże płacił dużą karę. Zabronili też tuczyć świnie mąką ze zbóż chlebowych, oraz kazali wybić wszystkie psy i koty, jako zbędnych darmozjadów. Kto chciał mieć psa, musiał płacić za niego duży podatek. Surowo też wzbroniony został wszelki handel zbożem i mięsem.

Rozpoczął się więc potajemny handel, czyli tak zwany „szmugiel”. Celowali w nim oczywiście Żydzi. Niemcy zgnębiliby nas byli do cna chyba swą okupacją, gdyby nie te nasze pocziwe Żydki. Znaleźli się oni w swym żywiole, gdyż mogli tu rozwinąć wszystek swój spryt i kupiecko-handlarskie zdolności. Odgrywali wobec Niemców rolę tłumaczy i szpiegów w stosunku do ludności wiej-

skiej. Żyd wiedział doskonale, kiedy u którego chłopca zacieliła się krowa i w porę przychodził z Niemcem po cielaka, Żyd wiedział zawsze doskonale ile każda gospodyni ma jaj, masła, wełny, przędziwa! Bo wszystko to było przez Niemców obłożone rekwizycją. A jednocześnie ten sam żyd kupił chętnie pod osłoną nocy wszystko co chłop miał do sprzedania, u żyda zawsze można było kupić bułkę czy mąki pszennej i innych zabronionych artykułów, kończąc na wódce-samogonce. U żyda można było zemleć zboże na wiatraku, choć drzwi były opatrzone pieczęcią niemiecką. Niemcy rozumieli dobrze tą podwójną grę żydowską i naogół pogardzali niemi, cenili tylko i wyzyskiwali dla siebie ich spryt i pieniądze.

Zima z 1916 na 17 rok była to jedna z najsurowszych zim jakie w życiu pamiętam, choć późno się rozpoczęła. Jeszcze Boże Narodzenie i Nowy rok były o względnym cieple, a dopiero w święto Trzech Króli mróz zaczął malować na szybach pierwsze desenie. I odtąd całe trzy miesiące mróz z szyb nie schodził. Po kilku lekkich zimach ludzie, nie przewidując co się stać może, nie opatrzyli należycie ziemniaków, to też mało komu one nie zmarzły. U nas z dwóch dużych kopców zrobiła się na wiosnę tylko śmierzdząca maść, a był to cały sposób do życia, bo zboża mieliśmy bardzo mało. Jeszcze w ostatnim tygodniu marca mrozy były dwudziestostopniowe.

Mróz dał się we znaki porządnie i Niemcom. Jeden z nich zmarł na moście kolejowym, opowiadano też że i na froncie Niemcy marzli setkami, bo mieli lichą odzież.

Dopiero na wiosnę 1917 roku, poznaliśmy naprawdę co znaczy wojna, głód i okupacja niemiecka. Zboża na chleb nie było i nie było go za co kupić, ziemniaki zmarzły i nastał długi i głodny przednówek. Nieraz żywił się samem tylko mlekiem nie mając go z czem jeść. Ojciec zarzął barana — ukryliśmy mięso by go Niemcy nie znaleźli, lecz jadaliliśmy je same popijając mlekiem. Ten sam los spotkał i drugiego barana, ale głód nieraz kiszek skręcał. Doświadczyłem sam dobrze głodu, bom raz zrzędu dwa dni nic nie jadł i choć miałem trochę marek w kieszeni nie mogłem za nie nic do zjedzenia kupić. Nawet żydowski spryt na nic się wtedy nie przydał. Jeden zasobny gospodarz z sąsiedniej wioski miał sporo peluszek i sprzedawał ją zamiast grochu. Kupiliśmy ćwiartkę tej peluszeki i jadaliliśmy ze smakiem, choć rzadko była gotowana. A w tem położeniu znajdowała się wtedy prawie większość okolicznej ludności.

Odczuwali ten przednówek dotkliwie i Niemcy, bo zaczęli urządzać po wsiach formalne rewizje i obławę, zabierając każdą spotkaną bodajby ostatnią ćwiartkę żyta, czy ostatni korzec kartofli. Ludzie chwyтали się różnych sposobów by ukryć zapasy żywności, zakopywali i zabierali ukryte zboże. Zaczęło się szerzyć złodziejstwo, za które nie było nawet kary, bo Niemcy karali zwykle tego kto zboże ukrywał. Zdarzały się też nieraz wypadki, z których chciało się śmiać nawet na głodnego. Pewnego razu zjechali do naszej wioski niespodzianie Niemcy szukać zboża. Jeden gospodarz miał ukrytą ćwiartkę jęczmienia z której chciał zrobić kaszy. Dowiedziawszy się że są Niemcy za zbożem, złapał drogocenny worek z jęczmieniem i chciał uciec w pole, ale go Niemcy zauważyli i zaczęli go ścigać. Zawrócił tedy na podwórze, a przelatując koło studni, wrzucił w nią nieznacznie worek z jęczmieniem. Niemcy wściekali się wprost ze złości grożąc mu batem i karabinami, ten jednak nie wskazał miejsca gdzie ukrył jęczmień. Po odjeździe Niemców wyciągnął worek, wysuszył jęczmień i narobił kaszy.

Wśród żołnierzy niemieckich byli też i nasi poznaniacy, którzy w takich wyprawach służyli Niemcom za tłumaczów. Chciałem z nimi nawiązać rozmowę, wskazując na niewłaściwość takich rekwizycji, gdzie się zabiera rolnikom ostatni kawałek chleba. Nie chcieli oni jednak wdawać się ze mną w rozmowę, jeden tylko odpowiedział mi krótko i dobitnie: Wy zaś „pierony” możeta w domu i o głodzie posiedzieć, a nom na froncie trza chleba!

Inny znowu gospodarz, mając trochę żyta, zmieszał je z plewami znajdującymi się na strychu. Niemcy, łażąc po strychu, zaczęli dmuchać w plewy i dopatrzyli się że w plewach jest żyto. Ustawili więc wialnię, wyczyścili żyto i zabrali.

Kto chciał upiec chleb lub zabić wieprzka, musiał to czynić w nocy, zasłoniwszy okna i jeszcze mieć się na ostrożności, bo przejeżdżający żandarm potrafił do pieca i do garnka zajrzeć. Na chleb mielono w żarnach i też nocami, bo napotkane żarna Niemcy tłukli, a na właścicieli nakładali duże kary.

Prawdziwą plagą dla ludności za czasów okupacji były furmanki. Niemcy ustawili w lasach rządowych dwa tartaki, na kolei zaś urządzili w lesie stację, rznęli drzewo zimą i latem, ładowali na wagony i wywozili do Prus. Potrzeba więc im było stale dużo furmanek. Sprzedawali też drzewo kupcom żydowskim już z dostawą do tartaków, nakazując później okolicznym chłopom zwózkę żydowskiego drzewa. Z bólem serca patrzyliśmy jak niszczone były te na-

sze lasy, ozdoba ziemi naszej, a przytem jeszcze musieliśmy odra-
biać pańszczyznę dla Żydów.

Czy w zimie mróz i zawierucha, czy w lecie najpilniejsza robo-
ta, niewolno było opuścić swej kolejki pod warunkiem surowej ka-
ry. Dyrektorem tartaków był hardy typowy Niemiec nazwiskiem
Szulc. Niejeden z okolicznych gospodarzy dostał od niego batem.

Jednocześnie Niemcy zaczęli budować szosę z Małkini do Nu-
ra. Kamienie dowozili skądś na stację pociągami, a stąd nakazane
furmanki dowoziły je na szosę jak również i żwir. Drogę z Małkini
do Broku budowali Niemcy z drzewa, układając w poprzek drogi
okrągłe kłocę i nasypując powierzchnię piaskiem. Było to tylko
zmarnowanie młodego lasu, bo drzewo w piasku rychło próchniało
i droga po kilku latach była nie do przebycia. Ale Niemcy się z tem
nie liczyli, dla nich tej drogi wystarczyło.

Wreszcie Niemcom sprzykrzyły się rekwizycje i obławy doko-
nywane po wsiach w celu zdobycia zboża, mięsa, nabiału, wprowa-
dzili więc tak zwane „kontygenty”, polegające na tem że gdy gospo-
darz dostarczył wyznaczoną mu ilość zboża, mięsa, masła, jaj i in-
nych jeszcze produktów rolniczych, mógł już resztę zjadać sam bez
obawy rekwizycji. Niemcom chodziło o to by nie tracić u Polaków
tak zupełnie na opinji, chcieli nas nawet urobić na sprzymierzeń-
ców. W Warszawie wychodziło pismo pod tytułem „Godzina Pol-
ski”, propagujące ideę współżycia Polski z Niemcami, które rozpo-
wszechniano również i po wsiach, ale wieś usposobiona była dla
Niemców nieprzychylnie.

Niemcy zasadniczo za wszystko płacili, nic nie zabierali darmo.
Za furmankę jednokonną płacili 3 marki, za parokonną 5 marek.
Ale jeśli ktoś miał nakazaną furmankę a nie pojechał, płacił wtedy
25 marek kary. Za korzec dostarczonego na kontygent zboża płá-
cili Niemcy 10 marek, gdy w wolnym „szmuglerskim” handlu ko-
sztował on 50 marek, za wieprza, co był wart 200 marek, płacili 20.
Ale niechby ktoś nie dostarczył w porę kontygentu, trzymał psa bez
podatku, chodził po torze kolejowym, lub przekroczył inne jakieś
rozporządzenie niemieckiej władzy, płacił zaraz 50 marek kary. Na
tem polegała niemiecka sztuka rządzenia zabranym krajem, za
wszystko płacili, a nic ich nie kosztowało.

Trzeba powiedzieć że okupacja niemiecka zdemoralizowała do
pewnego stopnia wieś polską. Trzeba było stale „szmuglować”, oszu-
kiwać, kłamać, a nawet poprostu kraść swoją własność nieraz. Lu-
dzie się do tego przyzwyczaili, a przyzwyczajenie jest drugą natu-

ra. Trzeba było mieć silny charakter, by się oprzeć prądowi zła, to też bardzo wielu kiedyś uczciwych ludzi zboczyło z prostej drogi życia i do dziś na nią wejść nie może. Stąd dziś tyle zła, tyle nieuczciwości i nawet złodziejstwa widzi się na wsi.

Bo jakże się urabiało na wsi pojęcie sprawiedliwości? Jeden z moich sąsiadów uniknął szczęśliwie spalenia od Moskali, miał więc parę korcy zboża. Chcąc się zabezpieczyć przed Niemcami zakopał je w doły na zimę i na wierzchu zasiał żyto. Ale wytropił to syn jego sąsiada, nicpoń i hulaka, podmówił więc kolegów, wydobyli żyto w nocy i przywieźli do stodoły ojca tego chłopaka. Poszkodowany wezwał mnie i drugiego jeszcze sąsiada na świadków i za śladem doszliśmy do miejsca, gdzie się znajdowało zboże, o czym powiadomił żandarmerję niemiecką, czego mu nawet nie doradzałem czynić. Przyjechali zaraz Niemcy, nakazali furmankę, zabrali zboże, a poszkodowanego jeszcze za ukrywanie zboża ukarali, gdy złodziejom nic się nie stało.

W innym wypadku pewien gospodarz miał psa, którego ukrywał, by nie płacić za niego podatku. Jego sąsiadka rezerwistka, miała znowu podtuczonego nieźle wieprzka. Pewnego razu wieprzek wydobyl się z kojca i zaczął ryc na oziminnie właściciela psa. Ten zgniewany spuścił psa, który ugryzł dotkliwie wieprzka w łydkę. Wynikła kłótnia, a zaperzona baba pobiegła do komendantury niemieckiej i oskarżyła sąsiada o nielegalne posiadanie psa. Przyjechali went Niemcy i załatwili sprawę ku obopólnemu zadowoleniu. Właściciela psa przykładnie ukarali — na opłacenie kary musiał sprzedać krowę — a pokaleczonego wieprzka zabrali ze sobą na „kurację” i nierozsądna kobieta więcej go już nie widziała. Tak wyglądała niemiecka sprawiedliwość.

Co prawda to od tych Niemców mogliśmy się też nauczyć dużo i dobrego, a przede wszystkim poszanowania dobra publicznego i punktualności. Mienie państwowe Niemiec uszanował jeszcze lepiej jak swoje własne. Przy kupnie i wypłatach z funduszów państwowych Niemiec targował się poprostu o każdy grosz. Kto się spóźnił godzinę do pracy w lesie czy na szosie, potrącano mu zaraz przy wypłacie ćwierć dnia. Niemiec nie porzucił nic, ani nie sprzedał z amunicji czy z umundurowania, a nasi Polacy byli też gorliwymi służbistami. Nie widziało się nigdy u Niemców tego lekceważenia mienia państwowego, jak to było kiedyś u Moskali i jak jest niestety u nas.

Niemcy byli też bardzo punktualni. Nie miałem zdarzenia aby mi urzędnik niemiecki kazał na siebie poczekać, lub przyjąć kazał jutro, jak to się niestety u nas często zdarza. Kogo wzywano do urzędu, już go tam o wyznaczonej godzinie oczekiwano i załatwiono, a niechby się spróbował spóźnić. Otrzymał wtenczas dobrą lekcję punktualności.

Niemcy mieli również duże zdolności organizacyjne i zamiłowanie porządku, a w przyszłość patrzyli gospodarskim okiem. Przy rekwizycjach ochraniano młodzież i sztuki rozplodowe, a w okresie głodu dostarczano zboże siewne i dopilnowano, by pola były obsiane. Doprowadzano do porządku drogi i budowano nowe, a brudne i cuchnące żydowskie miasteczka oskrobano z brudu i odwiecznego wprost niechlujstwa. Od tego w stosunku do nas drapieżnego narodu mogliśmy za czasów okupacji niejednego i dobrego przykładu się nauczyć.

Jeździłem stale do wywózki drzewa i kamieni, sam i na sprzążkę z sąsiadami. Od tej bezustannej pracy na furmankach i w gospodarstwie padł nam koń. Był to również cios bardzo dotkliwy dla gospodarstwa, bo wtedy konie płacono wprost na wagę złota. Musiałem znowu szukać jakiegoś zarobku, by tę stratę pokryć.

Niemcy, widząc że nie dadzą rady wywieźć i wyciąć wszystkich lasów w Polsce, wpadli na pomysł ściągania z drzew żywicy. Była ona im podobno potrzebna do wyrobu pocisków, czy też jakichś gazów. Majster mój otrzymał zamówienie na wyrób kilku tysięcy sosnowych beczek do tej żywicy i wezwał mnie do pomocy. Zrobił on na tem pokaźny majątek, ja też zarobiłem sporo grosza. Do tej pracy zmuszała mnie jednak twarda konieczność życiowa, bo burzyła się wprost we mnie krew na to zbrodnicze wprost niszczenie naszych polskich lasów. Niemcy dostarczali nam co najlepsze kłocze z lasu na wyrób owych beczek. Mając trochę grosza kupiłem sobie też drzewa na dom — a sprzedawali je wtedy Niemcy za psie pieniądze — i zacząłem myśleć o założeniu własnego gospodarstwa.

Nadleśniczym na powiat ostrowski był wtedy niejaki Kaczyński, syn powstańca-emigranta z 1863 roku, ale był już tak zniemczony, że nie umiał nic mówić po polsku, choć mowę polską trochę rozumiał i widziałem, że odzywała się w nim jeszcze krew polska, ale dzieci jego już się uważały za rodowitych Niemców. Obcując stale z Niemcami nauczyłem się sam przy pomocy słownika szwargotać trochę po niemiecku i rozumiałem ich rozmowy.

Byłem członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej, która zataczała wtedy szerokie koła wśród młodzieży. Po uwięzieniu marszałka Piłsudskiego Niemcy zaczęli wylapywać też peowiaków i sadzać do więzień. Zajęty byłem właśnie pracą przy wyrobie beczek, gdy stanął nade mną potężny żandarm niemiecki, nazwiskiem Krebs, w towarzystwie jakiegoś cywilnego Niemca i oświadczył mi, że jestem aresztowany. Byłem przy pracy tylko w kamizelce, ale bez czapki i na bosaka, powiedziałem Niemcom że się muszę ubrać, wlałem więc na górę, a Niemcy stali w sieni. Przez kłapę przy kominie wylałem na gontowy dach, po którym zsunąłem się na dużą kupę wiorów i zanim Niemcy zdążyli się spostrzec, przez żyta, uciekłem im na wieś do ojca. Po kilku dniach jednak powróciłem, a ponieważ w organizacji występowałem jak i inni pod przybranym nazwiskiem, więc Niemcy nie mogli mnie wytropić.

Niemcy zazdrosnym okiem patrzyli na dorastającą młodzież polską, której nie było komu brać do wojska, gdy u nich zostali w domu tylko ślepi, kulawi i jeńcy wojenni. Powodując się i innymi może względami, ogłosili w listopadzie 1916 roku niepodległość Królestwa Polskiego. Zaczęły się tworzyć po miastach organizacje tak zwanych „aktywistów”, a po wsiach krążyły tylko coraz głośniejsze pogłoski, że zorganizowany przez Niemców Rząd Polski zarządzi pobór do wojska i wystąpienie po stronie Niemców. Myśl ta była jednak powszechnie odrzucana i do tego nie doszło, gdyż na wsi nienawidzono Niemców i życzone im przegranej.

Z Prus zaczęli tłumnie uciekać jeńcy wojenni, narzekając na nędzę i głód w obozach. Tułali się oni po lasach, przychodząc tylko do wsi po żywność. Litowano się nad nimi i żywiono ich, choć Niemcy wydali zarządzenie grożące surowymi karami za pomaganie zbiegom. Niektórzy z miejscowych żołnierzy również poprzychodzili do swych rodzin i skrycie przed Niemcami byli w domu. Nikt jednak nie zdradził tajemnicy.

W miarę niepowodzeń niemieckich na frontach łagodniał ucisk z ich strony. Ludzie się już do tego przyzwyczaili a i Niemcy stracili też dużo na swej zarozumiałości i na wierności swym zasadom. Za jaja i za masło można było każdego Niemca kupić, a powodziło się doskonale tym Niemcom, którzy w okupacji pełnili służbę cywilną. Polska była dla nich rajem, który żał im było opuścić.

Gdy zarabiałem przy wyrobie beczek, ojciec mój, który wzmógł się właśnie trochę na zdrowiu, musiał sam odbywać nakazane furmanki przy zwózce żydowskich kłoców do tartaku. Przy tej pracy

zgruchotał sobie nogę. Było to i dla mnie nowem nieszczęściem. Jęczęcego z bólu ojca musiałem odwiedzić do szpitala, gdzie przeleżał długie tygodnie. Za kurację trzeba było płacić, a jednocześnie musiałem porzucić pracę zarobkową i zabrać się do pracy w gospodarstwie. Było to na wiosnę 1918 roku.

Zajęty wytężoną pracą i troską o byt rodziny, nie miałem nawet czasu rozejrzeć się pomiędzy dziewczętami i wybrać sobie żonę. A ukończyłem już lat 26 i czas było pomyśleć o założeniu własnego gospodarstwa, zwłaszcza że od macochy niezawsze usłyszałem nawet za swą pracę dobre słowo.

Zima 1917 na 1918 rok przyniosła koniec wojny na wschodzie i traktat w Brześciu Litewskim, dokonywujący nowego podziału Polski. Położenie stało się dziwnie naprężone i zamiast o wystąpieniu po stronie Niemców w charakterze ich sprzymierzeńców, zaczęto powszechnie mówić o uderzeniu na Niemców. Wieś do tego była wtedy dziwnie gotowa. Prawie wszystka młodzież wiejska w naszej okolicy była w szeregach P. O. W. Oprócz pism cenzurowanych przez Niemców czytano pisemka wydawane nielegalnie i oczekiwało jakichś wielkich wypadków.

Ze wschodu zaczęła płynąć powrotna fala uchodźców i byłych żołnierzy armji rosyjskiej. Tych ostatnich Niemcy brali jeszcze w niewolę, używając ich do robót przymusowych. Uchodźcy przynosili z sobą niedostrzegalne zarazki dokonywującego się w Rosji przewrotu i po wsiach zaczął się szerzyć pewien ferment pod wpływem tych wieści i poglądów głoszonych przez ludzi, którzy zwiedzili szeroki świat i dużo na nim widzieli i doświadczyli. Doszło więc do starcia moralnego pomiędzy tą wrośniętą w zwyczaje i tradycje odwieczne wsią polską a nowymi prądami, głoszonymi przez powracających do kraju rodaków. Wieś wykazała dużo odporności na te nowości, które starano się jej zaszczerpić, wywarły one jednak znaczny wpływ i to więcej ujemny niż dodatni.

Wyjeżdżający w 1915 roku do Rosji pozostawiali całe swe mienie na łaskę losu. Pozostali krewni dzielili się tem co pozostało, biorąc je w opiekę i użytek. Na tem tle powstały później rozrachunki i procesy sądowe, wnoszące w stosunki rodzinne i sąsiedzkie niechęć. W wielu wypadkach nawet sądy nie umiały tych spraw sprawiedliwie rozsądzać.

W czasie naszego wyjazdu wraz z innymi na wschód pędziliśmy też wspólnie dobytek. Jednemu z naszych sąsiadów przyłączył się duży wieprz do naszych świń i pozostał przy nas, gdy jego gospodarz pojechał sobie dalej. Gdy świnię przeszły zgorą trzysta ki-

łomętrów, były już niezdatne do powrotnej drogi, trzeba je było wynajmować — pozarzynać lub sprzedać. Za owego wieprza dał mi jakiś żołnierz austriacki 5 koron, a swoje pozarzynaliśmy i nasolone w fasce mięso rzuciliśmy na drodze, gdy Niemcy konia nam zabrali. Po powrocie ów sąsiad zażądał zwrotu wieprza, a świnie były wtedy tak niebywale drogie, że taki wieprz przedstawiał wartość conajmniej 200 marek. Sprawa oparła się o sąd, nie chcąc jednak ciągać się po sądach, udałem się do proboszcza, który rozstrzygnął sprawę w ten sposób, że kazał zwrócić poszkodowanemu kilkotygodniowe prosię, by je sobie na dużego wieprza uchował. Takich spraw było tysiące, a przyczyniły się one wybitnie do obniżenia poziomu moralnego społeczeństwa wiejskiego. Kto obsiał czyje pole, ten kosił i zabierał niedojrzałe zboże, a kto podążył wrócić, ten znowu sprzątał je jak swoje. Uciekano się nieraz o sprawiedliwość do Niemców, ale ci mieli już za dużo własnego kłopotu.

Praca na swoich i na obcych już mi się sprzykrzyła, postanowiłem więc zacząć pracować sam na siebie i zacząłem myśleć o ożenku. Mogłem wprawdzie znaleźć sobie żonę w mieście, strojną i wymowną, ale moja chłopska natura ciągnęła mnie na wieś, do roli. Postanowiłem więc, nie szukając daleko, pojąć za żonę córkę najbliższego sąsiada. Dziewczyna była młoda, urodna i chętna do pracy, ale niemajątna, bo ojciec jej miał 5 morgów całego majątku, a ośmioro dzieci. Spotkałem się z usilnym sprzeciwem ze strony mego ojca, który chciał koniecznie, bym dostał gdzie duży posag. Ja jednak rozumowałem sobie inaczej, że tych kilkaset marek „polskich”, które coraz więcej traciły na wartości, rychło mi się rozejdzie, a pozostanie mi żona, do której nie będę miał przekonania, i bieda, bo wygodnego życia w warunkach naszego gospodarstwa spodziewać się nie mogłem. Postawiłem więc na swoim i wesele się odbyło, lecz moja rodzina patrzyła na to niechętnym okiem. Ojciec odpisał mi u rejenta połowę swego gruntu, to jest 12 morgów i część budynków gospodarskich, a moja żona otrzymała w posagu krowę.

Wesele było „wojenne”, jak to było wtedy we zwyczaju. Trochę pszenicy na placek zmełliśmy w żarnach, parę saganów kapusty z kartoflami, parę butelek samogonki — bez tego ani rusz! — i muzyka jak się patrzy, bo na muzykę rekwizycji nie było. Na to wesele zaprosiłem swego majstra i licznych kolegów z miasta. Działo się to dnia 15 września 1918 roku, na krótko przed wypędzeniem Niemców.

W niepodległej Polsce

Rok 1918-ty w dziejach Polski — rok pamiętny na całe przysze stulecie. Polska zrzuciła kajdany półtorawiekowej niewoli, lecz powszechną z tego powodu radość przesłaniał smutny widok zniszczenia, zarówno materialnego, jak i moralnego, jakiego na ziemiach polskich dokonała wojna. Trzeba było podjąć wielki ogrom pracy ze strony całego społeczeństwa, by to jedno wielkie pobożewisko uporządkować, by na zgliszczach i ugorach budować nowe życie.

Tak się dziwnie w mem życiu złożyło, że ten rok 1918 stał się i w mem życiu przełomowym, że w nim rozpocząłem samodzielną pracę na własnym zagonie i ta obchodzona corocznie rocznica niepodległości jest dla mnie zawsze jakby podwójnem świętem.

Od ojca otrzymałem wprawdzie kilkanaście morgów gruntu i udział w budynkach gospodarskich, ale nie miałem gdzie mieszkać. Od ojca więcej żądać i otrzymać nie mogłem, bo oprócz mnie miał jeszcze siedmioro dzieci. To co otrzymałem od ojca było po-niekąd wynagrodzeniem za moje oszczędności włożone w ojcowskie gospodarstwo i za kilkanaście lat wytrwałej pracy, którą podziwiali zawsze znajomi i sąsiedzi. Jednakże to własne gospodarstwo było dla mnie ciężarem, z pod którego zdawało mi się, że trudno mi będzie podnieść głowę. Ojciec wyznaczył mi znaczną splatę w gotówce na rzecz młodszego rodzeństwa oraz obciążył mnie splatą długów ciężących na gospodarstwie, a tych było sporo. A tu zasobu nie było żadnego, oprócz jednej krowy, którą mi żona przyprowadziła w posagu. Nie było ani konia, ani wozu, ani garnka, ani miski, — jednym słowem „ani cebulki, ani w co wkrajać”. Trzeba się było na wszystko dorabiać.

Wprawdzie miałem już drzewo kupione na dom, ale do tego trzeba było jeszcze dużo pracy i kosztu dołożyć. Narazie mój teść pozwolił mi zamieszkać w kamiennym baraku, który niedawno sam opuścił, budując sobie nową chałupkę. Tak więc „miodowe miesiące” musiałem spędzić w kamiennym baraku, który był tak niski, że coraz nabiłem sobie guza i musiałem chodzić zawsze zgarbiony.

W kilka tygodni po weselu wybrałem się na targ do Ostrowi z żoną, by kupić najniezbędniejsze sprzęty niezbędne na nowem gospodarstwie. Nie mając własnego sprzężaju wynająłem sobie furmankę. Był mglisty, pochmurny dzień listopadowy. Gdy wyjechałem na szosę, zastąpiło mi drogę dwóch legionistów, rozkazując mi z surową miną zawrócić do lasu i odwieźć do miasta Niemców, któ-

rych tam mieli rozbroić. Popatrzyłem na nich pobłażliwie i zdawało mi się, że mógłbym ich obydwóch rozbroić, pokłaść na furmankę wraz z karabinami i zawieźć do Ostrowi. Byli to najwyżej szesnastoletni chłopcy. Mocno zadługie płaszcze utrudniały im chód, a z pod wielkich czap żołnierskich z orzełkami patrzyły dziecinne oczy. Ale rozkaz wydany w imieniu niepodległej Polski trzeba było spełnić, więc zawróciłem i pojechaliśmy.

Przed tartakiem stała już gromada robotników, którzy przyszliznęli po resztę należności za pracę w tartaku. Żołnierze kazali sobie otworzyć drzwi, gdzie wylęknieni Niemcy podnieśli natychmiast ręce do góry. Odebrano im broń i kazano wypłacić należność robotnikom, poczem znanego w okolicy kierownika tartaku Szulca i dwóch innych Niemców wsadzono mi na furmankę, pozwalając im zabrać tylko niewielkie walizki. Jeden legjonista usadowił się na furmance, drugi pozostał w celu dopilnowania tartaku — i pojechaliśmy do Ostrowi.

Pan Szulc był dziwnie uprzejmy. Nie był to już ten butny Niemiec, który kiedyś batem popędzał chłopów, gdy go za wolno wzięli. Co chwila częstował żołnierza i mnie papierosem. Cieszyłem się w duszy z upokorzenia tego Niemca, co był doniedawna postrachem całej okolicy, miałem nawet chęć z niego żartować, ale wolałem nie czynić mu tej przykrości.

Wjechawszy do lasu spotkaliśmy kilku obywateli, którzy przypominawszy sobie te niedawne czasy, kiedy to po ucieczce Moskali można było wozić drzewo z rządowego lasu, jechali właśnie w tym celu. Żołnierz zatrzymał furmanki i zaczął tłumaczyć gospodarzom, że w niepodległej Polsce niewolno tak czynić, że każdy zniszczony przez wojnę będzie mógł otrzymać kiedyś budulec z lasów państwowych. Poparłem mocno słowa żołnierza, a że to byli znajomi, więc usłuchali i zawrócili do domu.

Odwiózłszy Niemców na zborny punkt w Ostrowi, znalazłem się rychło w gronie kolegów z P. O. W. upędzających się po mieście za Niemcami. Nie było tu jednak wiele co do roboty, bo w pobliskich koszarach była stosunkowo znaczna kadra legjonistów, którzy rychło opanowali urzędy i gmachy publiczne. Postanowiono jednak, że P. O. W. ma pójść do Łomży z pomocą w rozbrajaniu Niemców. W tym marszu na Łomżę nie mogłem już wziąć udziału, bo na furmance oczekiwała mnie z niecierpliwością młoda żona. Zadowolone nawet mocno, że się ożenił, wiążąc sobie świat i zamykając drogę do sławy, lecz szkoda mi było i młodej kochającej

mnie żony i tego gospodarstwa, które chciałem założyć. Cierpiałem z tego powodu rozterkę duchową.

Powróciwszy do domu dowiedziałem się, że chłopci okoliczni mają nazajutrz zjechać się do tartaku i rozebrać znajdujące się tam ogromne zapasy drzewa tartego i okrągłego. Drzewo to należało częściowo do Niemców, którzy wywozili je do Prus, a częściowo do miejscowych kupców żydowskich. Wieść o wywiezieniu Szulca rozeszła się już szeroko po okolicy, rozumowano więc, że to nasze i naszą pracą zwiezione drzewo powinno być podzielone pomiędzy zniszczoną ludność okoliczną.

Nazajutrz rzeczywiście, skoro świt, zaczęły ciągnąć do tartaku furmanki. Kto nie miał konia, ten zaprzęgał bodaj krowy. Pojechałem i ja na ojcowskiej furmance, rozmyślając po drodze, że takie samowolne rozbieranie drzewa będzie jednak początkiem bolszewizmu, bo tak się działo i w Rosji, o czym wiedziałem od znajomych, którzy niedawno stamtąd powrócili. Gotów już byłem zawrócić, jednak pojechałem dla samej ciekawości, co się będzie dziać.

Okolo tartaku zebrał się tłum ludzi i furmanek moc, jakby na jakim jarmarku. Z za stert desek przypatrywało się zbiegowisku kilku wylęknionych żydków, a w bramie wjazdowej stał legjonista, którego tu wczoraj przywiozłem, w otoczeniu gromady chłopów. Okazało się, że moje zdanie podzielało wielu z obecnych. Wmieszałem się w tłum, a choć byłem młody i niezamożny, miałem jednak posłuch i znaczenie nawet u poważniejszych gospodarzy w okolicy. Odbił się więc długi i burzliwy wiec. Jedni proponowali nie zważać na stojącego w bramie żołnierza, wypędzić kijami żydów i ładować drzewo na furmanki, a na poparcie tego przytaczali wcale słuszne powody. Przyznałem im rację, boć przy tej pracy sam się kiedyś przeziębilem i poważnie chorowałem, przy tej pracy padł mi koń co wprost zachwiało podstawami naszego gospodarstwa, przy tej pracy ojciec mój złamał nogę. Na takież względy powoływali się i inni. Ale odzywały się i głosy rozsądku: Polska nie może iść w ślady bolszewickiej Rosji. Nie możemy podnieść ręki na żołnierza, który tu pełni wartę w imieniu odrodzonej Polski. Objąsnilem zbranym, że w Lublinie utworzony już został polski Rząd Ludowy, że Józef Piłsudski wrócił z Magdeburga i zwołuje Sejm do Warszawy, że to drzewo nie pójdzie już do Prus, lecz będzie w ten czy inny sposób sprzedane lub rozdzielone między poszkodowanych przez wojnę.

Jakoż głosy rozsądku zwyciężyły. Uchwalono wbrew krzykliwej opozycji ze strony kilkunastu najbardziej radykalnie nastrojonych krzykaczy rozjechać się i samowolnie nie brać drzewa. W kilka tygodni potem to drzewo, które należało do Niemców, było rzeczywiście po niskich cenach sprzedane pogorzelcom przez zorganizowane władze polskie, a kupcy żydowscy mogli swobodnie rozporządzać swą własnością.

Zbiory w pierwszym roku swego gospodarowania miałem wprost znikome, to też kupiwszy sobie najniezbędniejsze narzędzia wziąłem się do rzemiosła bednarskiego. W zimie zorganizowałem znowu we wsi szkołę, — bo szkoły rządowej w pobliżu nie było, — a podczas wyborów do samorządu zostałem w swej wiosce powołany na sołtysa i na członka rady gminnej. Sprawy publiczne interesowały mnie wtedy żywo. Nie było gazety, którejbym nie czytał, nie było wiecu, na którymbym nie był obecny. Manifest Rządu Ludowego i wybory do samorządów i do Sejmu Ustawodawczego zainteresowały też cały ogół ludności wiejskiej.

Ale w tym przełomowym, historycznym momencie wieś naszą nie stać było na prowadzenie samodzielnej chłopskiej polityki. Małopolska z Witosem i innymi działaczami i politykami chłopskimi była za daleko, a nasi początkujący działacze i politycy chłopscy w Kongresówce szli jakby w ogonie socjalizmu, a hasła i programy, niesione przez nich na wieś, były za radykalne, były zbyt czerwone, by się tu mogły przyjąć. My chłopci polscy jesteśmy z natury rzeczy wielkimi zachowawcami, każda nowość idąca na wieś musi być najpierw wypróbowana przez najbardziej postępowe jednostki. Pamiętam zawsze, jak to mój dziadek trzymał się z uporem drewnianej krzywej sochy i sierpa, jak wzbraniał się używać bardziej postępowych narzędzi rolniczych.

Na wsi zbrakło w tym ważnym okresie jednolitego stronnictwa chłopskiego, któreby umiało złączyć i pogodzić hasła radykalnych reform społecznych z odwiecznym, tradycyjnym przywiązaniem polskiego chłopca do wiary ojców jego. Bo chłop nasz na wsi nie rozumie polskości bez katolicyzmu, nie rozumie też, że w polityce hasła i teoria dalekimi są nieraz od praktycznego wykonania.

Wtenczas gdy Polsce zdawało się zagrażać podwójne niebezpieczeństwo idące ze Wschodu: zbrojnego najazdu i agitacji wywrotowej, słuszną była zasada, że Naród Polski powinien się trzymać oburącz Krzyża, że nie wolno nam pchać się „owczym pędem” na lewo, by okręć naszej młodej państwowości nie przechylił

się odrazu zanadto w tym kierunku, na burzliwych falach polityki światowej. Tak rozmowałem sobie ja chłop oczytany i jakotako politycznie uświadomiony, tą zasadą kierowałem się i głosiłem ją w swem otoczeniu, gdy mi przyszło złożyć kartkę z numerkiem wyborczym. Tak rozmowała w ogromnej większości moja szara brać chłopska, zwłaszcza gdy usłyszała nawet z wyżyn ambony, że poza jedną tylko listą — pozostałe to żydzi, socjaliści i masoni.

To też na dziewięć mandatów w okręgu Łomżyńskim, aż osiem zdobyło stronnictwo, idące do wyborów pod hasłem: „Bóg i Ojczyzna!”, a noszące wtedy nazwę Związku Ludowo - Narodowego. My chłopci polscy w pierwszych wyborach przegraliśmy sromotnie i utraciliśmy nawet stawkę na przyszłość, bo słońce wolności odrazu tak jasno oświeciło dom naszej niewoli, że nie mogliśmy obrać pożądanego kierunku. Sprawdziły się wtedy słowa Wyspiańskiego: „Miałeś chacie złoty róg, został ci się ino sznur!”.

Bo w Polsce, która jest jakby jedną wielką wsią, doszło odrazu do władzy miasto. Z Polski, kraju najbardziej rolniczego w Europie, uczyniono jakiś dziwoląg z kasami chorych, ośmiogodzinnym dniem pracy i t. p. „zdobyczami” klasy robotniczej, które stronnictwa robotnicze otrzymały w zamian za gruntującą się w Polsce potęgę drapieżnego smoka Lewiatana. Rozbudowano sztucznie przemysł, który pochłoniął wielkie sumy pieniędzy państwowych, zbiurokratyzowano do najwyższego stopnia urzędy tworząc ich przynajmniej pięć razy tyle co potrzeba, zatroszczono się też o to, aby przemysłowcy mieli grube zyski, urzędnicy grube pensje, robotnicy dobre zarobki, a wszyscy razem tani chleb i tanie mięso. W tym kierunku szło nasze ustawodawstwo i nasza polityka gospodarcza, dlatego że my chłopci nie mieliśmy w Sejmie Ustawodawczym jednolitego przedstawicielstwa, broniącego zdecydowanie interesów wsi.

Wojna światowa i okupacja niemiecka były dla jednych okresem ciężkich przejść i zmagania się z przeciwnościami, dla niektórych jednak rolników były to lata względnej pomyślności. Chłop nasz jest z natury oszczędny, to też na wsi nietrudno było wtedy o gotówkę, którą gromadzono w papierowych rublach carskich i markach niemieckich i polskich. Inflacja czyniła wtedy niewielkie postępy, tylko pieniądze nowe droższe były od zniszczonych, czasem ruble droższe były od marek, to znowu marki od rubli. Był też okres kiedy znowu spadły w cenie pieniądze z dziurkami, oglądano je pod słońce i najmniejsza dziureczka stanowiła o wartości

pieniądza. Były to wszystko machinacje tak zwanej „czarnej giełdy”, obliczone na wyzysk nieuświadomionego chłopu. Wiejscy kapitaliści starannie dobierali sobie kolekcje nowiuteńkich „prosto z igły” rubli i marek.

Kasa Spółdzielcza w Małkini — kierowana przez księdza Gościckiego gorliwego działacza endeckiego, który jednak dobrze zasłużył się i w pracy społecznej dla tutejszej okolicy — miała duży nadmiar gotówki, pochodzącej z oszczędności miejscowej ludności, a nawet odmawiano przyjmowania wkładów. Wtedy za zachętą ks. Gościckiego okoliczna ludność chłopska złożyła znaczną sumę idącą w dziesiątki tysięcy rubli i marek na pożyczkę państwową, rozpisaną przez Rząd Polski. Widziałem na własne oczy wiejskie kobiety niosące za zachętą proboszcza duże tłomoki w chustkach zawiązane tych pieniędzy i składające je na pożyczkę państwową. I składano te pieniądze z wielką ochotą i zapalem, z chęcią przysłużenia się dobrej sprawie, nie zaś jako przymusowy podatek.

Rok 1919 był dla rolnictwa naogół — w naszej okolicy — niezbyt pomyślny, a dla zniszczonych przez wojnę i dla tych co z Rosji powrócili, przednowek tegoroczny był znowu tak ciężki, jak za czasów okupacji niemieckiej. Po suchej wiośnie przez cały czerwiec i lipiec lały ulewne deszcze, opóźniając żniwa, które rozpoczęły się dopiero w końcu lipca. Nie pamiętałem w swym życiu tak mokrego roku.

A tymczasem zawiele mieliśmy w Polsce odlogów, a brakło nam żywności. Z zazdrością patrzaliśmy na kolejarzy, otrzymujących oprócz pensji i dodatków rodzinnych także mąkę amerykańską, gdy nam znowu wypadło przymierać głodem. Radziłem sobie jak i wielu innych w ten sposób, że ociekające wodą snopy młodego żyta wkładało się do gorącego pieca, a gdy obeschły, omłacało się ziarno kijanką, które powtórnie sypało się do pieca do zupełnego wysuszenia. Z tego ziarna śrutowanego w żarnach gotowaliśmy kaszę z mlekiem i ta była przez kilka tygodni jedynym pożywieniem większości okolicznej ludności. To też zaczęła się szerzyć gwałtownie dezynferja, a także tyfus głodowy, zabierając liczne ofiary.

Oprócz nadmiernej ilości przeróżnego typu urzędów potworzono po wsiach, w gminach, a następnie w powiatach komitety pomocy rolnej, komisje ziemskie gminne i powiatowe i t. p. instytucje. Brałem czynny udział w pracach tych komisji i przekonałem

się, że był to jeden wielki posiew zła na świeżej niwie naszego życia publicznego. Ogłoszone zostało więc po wsiach, że komitety pomocy rolnej będą zaopatrywać rolników zniszczonych przez wojnę w dobytek, narzędzia rolnicze, zboże siewne i t. d. Wymyślono wzory podań, formularzy, zaświadczeń, których nadrukowano całe stosy.

Straty i szkody wyrządzone przez wojnę były wielkie, a potrzeby i zamiary na przyszłość wśród ludności wiejskiej jeszcze większe. To też gdy wieść o „rozdawaniu” koni, pługów, wozów, zboża i t. p. obiegła okolicę, byłem wprost przepracowany pisanie podań i wypełnianiem przeróżnego typu formularzy na rachunek tej „pomocy rolnej”. Zgłaszali się o tę pomoc zniszczeni i znajdujący się w trudnym położeniu, jak i ci co mieli własną znaczną gotówkę. Od tej pisaniny puchły mi wprost palce, a rezultat był mniej niż skromny, bo na naszą gminę otrzymaliśmy dwa czy trzy konie i tyleż pługów, jedynie zboża siewnego na wiosnę dostarczono już większą ilość. Zadawałem nieraz sam sobie pytanie, poco te obietniki i te marnowanie czystego papieru i czasu? Niema nic gorszego nad zawiedzioną nadzieję, stąd powstawały podejrzenia i przypuszczenia. Słyszałem i to dość często takie wyrażenia: „Mieli dać ale nie dali, bo sami urzędnicy to rozkradli, sami się tem podzielnili!”.

Około świąt Wielkiejnocy rozeszła się po naszej gminie wieść, że rodacy z Ameryki czy też sam prezydent Wilson przysłali dla poszkodowanych przez wojnę transport mąki na święta. Zmyślono bajkę, że tą mąką podzielił się wójt z sołtysami. W mojej wiosce zebrał się dosyć liczny tłum, który omal nie obił sołtysa za niedopilnowanie spraw gromadzkich, następnie powziął uchwałę składającą go z urzędu. Wybrano mnie sołtysem i zdarto z domu dawnego sołtysa tablicę urzędową i przybito do mego domu. Wyboru tego jako nielegalnego nie przyjąłem, a nawet starałem się wzbudzony tłum uspokoić. Ogromny tłum zebrał się również przed gminą, gdzie znowu omal nie ukamienowano wójta. Szczęściem, że policja nie wystąpiła zbrojnie, bo mogłoby nawet dojść do rozlewu krwi. A tymczasem, jak się okazało, wójt otrzymał parę pudów mąki do podziału między najbiedniejszych i miał z tem wielki nadmiar kłopotu.

W tym czasie wyszła też ustawa o pomocy państwowej w odbudowie zniszczonych osiedli ludzkich i znowu rozpoczęło się ma-

sowe wypełniania formularzy, ubieganie się o zaświadczenia i t. p. zabiegi.

Wreszcie ustawa o reformie rolnej obudziła znowu utajone i zawiedzione nadzieje na wsi. Jako przewodniczący gminnej komisji ziemskiej pisywałem znowu po całych dniach „zgłoszenia”, a gdy druków zabrakło, pisało się ręcznie. Wójt miał robotę z przykładaniem pieczęci i zaświadczeniem podpisów. Tylko Skarb Państwa trochę zarobił, bo do każdego zgłoszenia trzeba było przykleić markę stemplową. Porywał mnie nieraz śmiech pusty, bo gdyby urzędy ziemskie mogły przeznaczyć do parcelacji księżyc, wątpliwą jest rzeczą czy wszyscy zostaliby w swych dążeniach zaspokojeni. Tymczasem z parcelacji kilku majątków „donacyjnych” w naszej gminie otrzymali parcele przedewszystkiem: kucharka komisarsza ziemskiego, jego zięć, potem członkowie Powiatowej Komisji Ziemskiej, służba dworska i kilkunastu inwalidów. Reszta odeszła z kwitkiem.

Wydawane zbyt pochopnie i wprowadzane w życie ustawy wywoływały te nieobliczalne skutki. Zaszczepiły one naszemu społeczeństwu wiejskiemu złą chorobę, nieustannego oglądania się na Rząd i wyczekiwanie od niego pomocy, datków i zapomóg i zarazem chorobę nieufności i niewiary w dalsze choćby najbardziej słuszne i celowe poczynania władz rządowych.

Zima w 1919 na 1920 rok rozpoczęła się dość wcześnie. Już św. Jadwiga przydzwigała śniegu, a w końcu października była już zima doskonała. W tym czasie przyszło na świat moje pierwsze dziecko, które zaraz po urodzeniu umarło, a naprawdę zostało zamordowane przez baby nie rozumiejące się na tej czynności. Doszłem do wniosku że chłop na wsi, od chwili kiedy na świat łąduje, już jest skazany na mękę i udręczenie i musi wykazać w tej chwili dużo sprytu i wytrwałości, aby mu „wiedźmy” w postaci głupich bab wiejskich, odrazu karku nie skręciły. W ten sposób umarła podobno kiedyś matka moja, pozostawiając mnie jako kilkudniowego sierotę, w ten sposób schodzi też ze świata tysiące młodych matek w Polsce, a także i noworodków. Bo o pomocy lekarskiej w tym wypadku nie można nawet myśleć, na to trzeba dużo gotówki, zwłaszcza gdy drogi zawiane są śniegiem. Zabiegi porodowe załatwiają zwykle „babki” wiejskie, zupełnie jak w szesnastym wieku!

Na mocy uchwały sejmowej zarządzonej został pobór sześciu roczników do wojska. Chłopcy wiejscy szli do wojska z uciechą, choć wiedzieli, że idą na wojnę, a moja rodzinna wioska poza po-

borem dała jeszcze kilku ochotników. Nie było widać na wsi tego przygnębienia jakie panowało wtedy, gdy do wojska brali Moskale, którzy z reguły pędzili polskich rekrutów na Daleki Wschód.

W początku 1920 roku opuścił naszą parafję ks. Gościcki i osłabło odrazu tętno pracy społecznej w naszej okolicy. Nie było narażenie ludzi do tej pracy przygotowanych, zresztą wszystkich zaczęły coraz bardziej interesować: obrady sejmowe i polityka oraz tocząca się wojna z nawałą bolszewicką.

Ja w tym czasie naprawdę nie byłem jeszcze rolnikiem. Nie mogłem się odrazu dorobić na kosztowny sprzężaj i narzędzia rolnicze, bo wtenczas konie były nadzwyczaj drogie. Do pracy w pole wynajmowałem robotników ze sprzężajem, a sam zarabkowałem na bednarstwie. Szło mi to jednak nadzwyczaj ciężko, bo na uruchomienie większego warsztatu nie miałem kapitału, „partoliłem” więc lichymi narzędziami potrosze, a gospodarstwo obrabiane najemnymi rękami zamiast jakiegoś dochodu, dawało mi jeszcze stratę. W mokrem lecie 1919 roku zgniły mi na podmokłej bieliccy wszystkie ziemniaki i musiałem się przez cały następny rok utrzymywać z pracy rąk. Miałem spłatę wyznaczoną z majątku i dług, a najpilniejszym zagadnieniem była budowa domu, bo mieszkanie w kamiennym baraku nie należało wcale do przyjemności. Niedosypiając jednak nocy pracowałem tak wytrwale, że z wiosną 1920 roku postanowiłem rozpocząć budowę domu, a nawet założyłem już podwaliny. Zapomnienia w biedzie i troskach szukałem w czytaniu i zgłębianiu tajników politycznych, gdyż polityką interesowałem się żywo, choć trzymałem się sam na uboczu.

Ale rozgrywające się na wschodzie wypadki wojenne, nowy pobór do wojska, a wreszcie zbliżająca się burza wojenna zmusiły mnie poniekąd do przerwania rozpoczętej budowy domu. Ponieważ na przednówku moje rzemiosło „nie szło”, więc sprzedałem krowę i kupiłem liche konisko i wóz. Potrzebne mi to było przy zwózce materiałów budowlanych, postanowiłem też zabrać się do pracy w polu, by mieć choć na własną potrzebę ziemniaków, bo te stale musiałem kupować, gdy mi moje pole obrabowali najemnicy.

U bram Kijowa poległ brat mój, a jednocześnie z tą wieścią zaczęły dochodzić inne wieści złowrogie o klęskach i odwrocie naszej armji. Po wieściach gazetowych i głuchych przesadzonych pogłoskach zaczęły się ukazywać pierwsze jaskółki klęski w postaci rozbitych i do najwyższego stopnia zdemoralizowanych oddziałów naszych wojsk. Te idące często samopas bandy łazików i dezerte-

rów ubliżały często zaszczytnemu imieniu polskiego żołnierza i plamiły je; rekrutowały się one przeważnie z mętów wielkomiejskich. W mojej wiosce zakwaterował się jakiś oddział wojska, dowodzony przez jakiegoś „rycerza przemysłu” z miasta Łodzi. Żołnierze ci prowadzili z sobą cały tabor koni i wozów, które sprzedawali, a jednocześnie nakazywali po wsiach nowe furmanki, które brali z sobą choć im nie były potrzebne, by po pewnym czasie odpędzić od furmanek ich właścicieli. Nakazano wtedy i mnie na furmankę a także i memu ojcu, ale staliśmy trzy dni bezczynnie. Kiedy udałem się z prośbą do dowódcy oddziału, by mnie zwolnił, ten rzekł mi bez ogródek: Jak ci chamie długo czekać, to idź sobie do domu, my i sami na twojej furmance pojedziemy! Postawiłem się nawet ostro, powiedziałem, że tu nie Białoruś, ani Ukraina, ale i to nie skutkowało. Widząc po uniformie, że nie jest to oficer, ale conajwyżej jakiś sierżant, udałem się na pobliską stację, gdzie spotkałem oficera i poskarżyłem mu się na samowolę żołnierską. Oficer doprowadził mnie do posterunku żandarmerji i dopiero na jej interwencję zostałem zwolniony, ale tymczasem ojca mojego zapędzono gdzieś po siano i wraz z tym oddziałkiem wojska pojechał i nie wrócił aż po odparciu bolszewików. Jak mi ojciec po powrocie opowiadał, ów sierżant został przez żandarmerję wojskową aresztowany i oddany pod sąd za rabunki. Inny taki oddziałek został również w Małkini otoczony i rozbrojony na skutek skargi mieszkańców sąsiedniej wioski, gdzie dokonywał masowego rabunku. Taka łobuzerja, wyłamawszy się z dyscypliny wojskowej, hulała i rabowała najpierw na Ukrainie i Białej Rusi, a potem już i we własnym kraju.

Ale to były tylko wyjątki, były to szumowiny wielkomiejskie i męty społeczne; powracały jednak i regularne oddziały również głodne i przygnębione. Przygnębienie to udzielało się również i ogółowi ludności. Zorganizowane zostały komitety obrony Państwa i ja także powołany zostałem na członka komitetu gminnego. Zadaniem tych komitetów była propaganda uświadamiająca, zbiórka na rzecz wojska i werbunek ochotników. Zbiórka jaką urządziliśmy dała dobre wyniki, ludność wiejska chętnie dawała co mogła, a więc: bieliznę, pieniądze, chleb lub zboże. Gorzej szła sprawa z werbunkiem ochotników do wojska. Było już przewidziane, że opór będzie stawiony dopiero pod Warszawą i fala nieprzyjacielska najazdu ogarnie naszą okolicę. Nikt już teraz nie myślał o opuszczeniu swego mienia, jak to było przed pięciu laty. Wyjeżdżali tylko urzędnicy,

właściciele folwarków, księża i częściowo inteligencja. Chłop żaden nie myślał o wyjeździe, ale i wypadki zgłaszania się na ochotnika były nieliczne. Kto miał rodzinę i gospodarstwo, ten musiał zostać w domu, bo niewiadomo było co się stać może. Wieś zapełniała i tak szeregi armji i nie było prawie rodziny, z którejby nie było kogoś w wojsku. Osiem roczników było objętych poborem, a oprócz tego już w pierwszych dniach po wypędzeniu Niemców młodzież wiejska zgłaszała się tłumnie do szeregów na ochotnika.

Jedna tylko moja rodzinna wioska Piecki, użytkująca 90 morgów lichego piasku, dała wtedy dziesięciu ochotników z pośród młodzieży. Dla ludzi starszych obarczonych rodziną, gospodarskimi obowiązkami i w obliczu grożącego najazdu bolszewickiego, wstępowanie do wojska na ochotnika było już rzeczą niemożliwą.

Sam się poważnie nad tem zastanawiałem, co mam z sobą uczynić, gdyż rozumiałem, że jest to moim moralnym obowiązkiem jako młodego i zdrowego obywatela. Ale musiałem brać pod uwagę i inne względy. Moje trudne warunki materialne, rozpoczęta budowa domu, długi i spłaty rodzinne, żona w poważnym stanie, widmo bolszewickiego najazdu i świeża mogiła jednego z moich braci usypana gdzieś nad Dnieprem, zatrzymywały mnie w domu. Brałem też i to pod uwagę, że w wojsku oficerem nie będę, a kartofli skrobać też nie miałem ochoty, do służby zaś frontowej niebardzo byłem zdatny, bo nigdy w życiu nie miałem w ręku karabinu. Tej sztuki musiałbym się dopiero uczyć, bo z P. O. W. miałem tylko trochę teoretycznego wojskowego przygotowania; przy Niemcach bowiem ćwiczeń z karabinami dokonywać nie było można. Byłem przekonany, że płynąca ze wschodu fala bolszewizmu rychło się cofnie i że będę mógł i na miejscu coś zdziałać.

Gdy przed pięciu laty idąca z zachodu nawałnica wojenna była poprzedzona długotrwałym hukiem armat i łunami pożarów, to nawała bolszewicka zbliżała się pocichu. Tylko gorączkowy ruch pociągów, przewożących wojsko i fale uchodźców płynące szosami aż z Wileńszczyzny świadczyły o zbliżaniu się czegoś nadzwyczajnego.

Z naszej okolicy nikt nie wyjeżdżał, ale też w ostatnich kilku dniach nie trzymała się nikogo żadna robota. Schodzili się do mnie sąsiedzi — bo miałem prawie codziennie świeże gazety i toczyliśmyżywione dysputy i snuliśmy przypuszczenia, co będzie i co nas czeka.

Byli niestety i tacy, co zwątpili o przyszłości Ojczyzny lub czując się pokrzywdzonymi, spodziewali się z tej strony sprawiedliwości, chcieli doświadczyć raju komunistycznego, zachwalanego przez agitatorów i niektórych powracających z Rosji uchodźców. Najwięcej upierał się jeden z moich sąsiadów Andrzej, który zwiedził już szeroki świat i stale twierdził, że nigdzie nie ma tyle niesprawiedliwości co w Polsce i że dopiero bolszewicy ład i porządek zaprowadzą. Mówił nawet, że kupi wódki i sporządzi bolszewikom bal, a oni obdarzą go majątkiem jaki zabiorą bogaczom. A miał z dobytku zaledwie konia i lichą krowinę.

Wreszcie 3 sierpnia wieczorem kilku przechodzących żołnierzy polskich oznajmiło nam, że nazajutrz zobaczymy znowu gości jakich od pięciu lat nie widzieliśmy. Dobrze rano wysunęło się z zagajników kilka postaci w długich płaszczach, poznaliśmy w nich od razu bolszewików. Przyszli do wsi rozglądając się, porozmawiali z nami pytając, kiedy odeszły nasze wojska i zawrócili zpowrotem. Dopiero koło południa ujrzeliśmy znaczny oddział piechoty bolszewickiej, idącej przez wieś w stronę Małkini. Prowadził ich gospodarz z sąsiedniej wioski, którego pod przymusem wzięli sobie za przewodnika. Ledwie jednak za wioską weszli do niewielkiego lasu, gdy z za gumien sąsiedniej wsi Kańkowa rozległo się terkotanie karabinów maszynowych i usłyszeliśmy wyraźne bzykanie kulek w pobliżu. Każdy chronił się gdzie mógł, a wkrótce potem drogą przez wieś zmiatali bolszewicy zakasawszy szyneli. Kilku było nawet rannych. Nie ścigał ich nikt.

Okazało się, że nasze wojsko okopało się w Kańkowie, aby bronić Małkini, gdzie była duża stacja węzłowa i skąd nie odeszły jeszcze ostatnie pociągi z wojskiem i sprzętem wojskowym.

Bolszewicy, widząc, że nie są ścigani, zatrzymali się. Naprzeciw osady sąsiada Andrzeja B. stała przy drodze duża, gałęzista sosna, pod nią ustawili bolszewicy posterunek wartowniczy i sami cofnęli się. Jeden bolszewik stał na gościńcu na warcie, dwaj inni siedzieli w przydrożnym rowie.

Tymczasem skądś z za Buga artylerja polska zaczęła ostrzeliwać wzdłuż naszą wioskę, kierując pociski według wskazówek obserwatora siedzącego na wieży kościoła w Małkini. Ostrzeliwanie trwało całe dwa dni i napędziło wszystkim niemal strachu, choć na szczęście nikt z naszych nie zginął, tylko dwóch bolszewików i kilka koni zostało zabitych, gdy pocisk trafił w zajętą przez bolszewików stodołę. Kilkanaście budynków zostało zdruzgotanych po-

ciskami, które na szczęście nie wzniecały jednak pożarów. Bojaźliwszy uciekli w pole, lub do sąsiednich wiosek, ja ze swą rodziną byłem w domu, brakło tylko ojca mego, którego wzięli na furmankę polscy żołnierze.

Tuż przy naszych budynkach gospodarskich był duży kawał pola nieużytecznego. Był to prawie lotny piach i służył za miejsce kopania dołów na ziemniaki, te stare doły wzięto widocznie za okopy i ostrzeliwano je zawzięcie. Niektóre pociski padając w piach podnosiły tylko kurz, ale się nie rozrywały. Nazbierałem ich w tym piachu coś z pięćdziesiąt po skończonej bitwie. Z przeciwnej strony zaczęła odpowiadać artylerja bolszewicka i pociski szły nad naszymi głowami.

W drugim dniu tej strzelaniny siedzącym pod sosną bolszewikom znudziła się bezczynność. Sąsiad Andrzej uciekł ze swej chałupy, obawiając się strzałów. Bolszewicy zaczęli płądrować wnętrze chaty i rzeczywiście znaleźli przygotowaną dla nich dużą butelkę wódki. Jeden z nich przyszedł do mnie prosić o chleb, w ręku trzymał worek z twarogiem, a z kieszeni wyglądała mu butelka z wódką. Dałem mu kawał chleba, usiedli więc w rowie i zaczęli ucztować. Patrzyłem na to ze śmiechem i ze zdziwieniem.

Tymczasem przez pole zeszli ich niespodziewanie nasi żołnierze. Aż w górę podskoczyłem ze strachu i z uciechy razem, gdy wyszło ich kilku z za stodoły z karabinami gotowemi do strzału. — Gdzie są bolszewicy? — zapytali. O — o! tam siedzą w rowie! — wrzasnął kilkonastoletni brat mój, pokazując ręką uczujących bolszewików.

Bolszewicy spostrzegli niebezpieczeństwo, gdy nasi żołnierze byli już od nich o pięć kroków. Nie chwyтали już za karabiny, lecz rzucili się do ucieczki. — Towariszczi! stać! poddać się! — krzyczeli nasi. Lecz bolszewicy nie słuchali, widocznie wypita wódka dodała im pędu do ucieczki. Wkrótce rozległa się salwa i wszyscy padli na ziemię, dwóch było zabitych, a trzeci ranny w nogę. Zabitych pochowaliśmy w polu, a jęczącemu z bólu rannemu opatrzyły narazie nogę nasze kobiety i odwieziono go do szpitala. Taka była w mojej wiosce bitwa z bolszewikami. Tego dnia wróciły nasze wojska i cofnęły się dopiero po trzech dniach. Śmiałem się ze swego sąsiada i z jego przyjęcia, jakie urządził bolszewikom.

W dniu 8 sierpnia opuściły nasze wojska ostatecznie Małkinie i teraz znaleźliśmy się pod panowaniem bolszewickiem na całe prawie dwa tygodnie. Nazajutrz przyjechał do mnie konno młody żydek z Małkini, przedstawił mi się jako żandarm bolszewicki i roz-

kazał mi zwołać natychmiast zebranie gromadzkie w celu wyboru członków „sowietu” wiejskiego. Na przewodniczącego „sowietu” powołano mnie, a na sekretarza zaś jednego z sąsiadów, nieumiejącego wcale pisać. Musiałem wszystkie funkcje spełniać sam.

Nazajutrz rano ten sam żydek przywiózł mi rozkaz stawienia się w „rewkomie” gminnym. Udałem się więc do Małkini, gdzie w plebanji urzędował „rewkom”. Przybyli tam wezwani „predsieda-tiele” czyli prezesi wszystkich „sowietów”, wybrani również w oko-licznych wioskach, a byli to najpoważniejsi prawie gospodarze z ca-łej gminy.

Prezesem „rewkomu” małkińskiego — którego zadaniem było organizowanie ustroju bolszewickiego w najbliższej okolicy, — był „towariszcz” Borysow, nieokrzesany Moskal, a członkami tegoż „rewkomu” z pośród miejscowej ludności byli kolejarz, pewien ko-munista i biedny wyrobnik z Małkini. Ten ostatni był to dosyć poczy-ciwy człeczyna.

„Towariszcz” Borysow przyjął nas leżąc na księżej kanapie, w brudnej „rubaszce” i jakichś chodakach na nogach, a jak mi się zdawało był nawet pijany. Zagaił on zebranie, — mające charak-ter jakiegoś kursu — stwierdzając, że my jako prezesi „sowietów” wiejskich, obdarzeni zaufaniem naszych wyborców i takimże za-ufaniem rządu rewolucyjnego, powinniśmy współpracować z tym rządem nad ugruntowaniem sowieckiej władzy i idei komunistycz-nej w naszych wioskach, zapisując nam to zgóry jako zasługę wo-bec historii i przyszłych pokoleń.

Dłuższe przemówienie wygłosił inny „towariszcz” o haczyko-watym nosie i całym wyglądem przypominający Żyda-litwaka. Mó-wił po rosyjsku długo i przekonywująco na temat idei Marksa, Le-nina, Dzierżyńskiego i innych bohaterów komunizmu. Gdy ten „apostoł” komunizmu skończył, Borysow zwrócił się do nas z za-pytywaniem: „Nu kak, poniali towariszcz?” Spojrzeliliśmy tylko po so-bie i zapanowało milczenie.

Wreszcie odezwałem się w imieniu wszystkich obecnych, po ro-syjsku: „Nie ze wszystkiem towarzyszu! bo niewszyscy rozumieją doskonale język rosyjski, zresztą są to dla nas rzeczy nowe, które wymagają szczegółowych i kilkakrotnych wyjaśnień”.

Komisarz przybiecał powtórzenie kursu, na którym miał wy-kładać komunista Polak, poczem udzielono nam wyjaśnień co do zadań i obowiązków, związanych z naszym stanowiskiem.

Bolszewicy darli w gminie najważniejsze nieraz dokumenty, jak księgi ludności i inne i nie mając czystego papieru pisali na nich swe „prykazy”, które roznosili żandarmi-żydkowie. Do pisania „prykazów” zapędzili pierwszych z brzegu „gramotnych”: miejscowego organistego, ucznia seminarjum duchownego i innych.

Otrzymywałem codziennie prawie „prykazy” i zarządzenia bolszewickiej władzy. Nakazano nam przeprowadzić spis ludności z uwzględnieniem jej stanu majątkowego, spis koni i wozów, spis zapasów żywności i przeróżne inne spisy. Nie wszyscy „prezeși” sowietów wiejskich umieli to wypełniać i zwracali się do mnie o pomoc; miałem znowu pełną głowę i pełne ręce pracy, choć starałem się tak sporządzać te spisy, by bolszewicy nie mogli z nich nie pewnego wywnioskować.

Wreszcie wydano całkiem głupi z ich strony rozkaz, by wszyscy członkowie sowietu wiejskiego mieli karabiny. Skorzystałem z tego skwapliwie i przyniosłem do wsi kilka karabinów, choć nie bardzo sam umiałem się z bronią obchodzić.

Już w pierwszych dniach swego pobytu bolszewicy zabrali w okolicy wszystkie furmanki, prowadząc je przeważnie puste w stronę Warszawy. Trzeba było dużo sprytu by się komuś dało ukryć konia czy wóz, tak były to rzeczy bardzo przez bolszewików pożądane. Na pytanie poco biorą furmanki, gdy nie mają na nich co wieźć, odpowiadali, że w Warszawie będą ładować na te furmanki zdobycz wojenną, zabraną „panom” i „burżujom”, a furmanom obiecywali podział łupu.

Miałem niedużego ale silnego bułanego konika, zdobyłem się więc na pomysł, że go przy pomocy sąsiadów związałem i trzymałem leżącego kilka dni w olbrzymim łąbinie zdalą od domu. Tam donosiłem mu paszę i wodę. Inni radzili sobie jak mogli, ukrywając konie po lasach i niedostępnych parowach, lub przekupując prosto bolszewików. Panowała jednak wtedy na wsi solidarność, nie było wypadku, aby nawet ten, komu zabrali bolszewicy sprzężaj, zdradził swego sąsiada.

Nie ukrywałem tylko wozu i zaprzęgi, a idącym gęsto za furmankami bolszewikom tłumaczyłem, że już nie mam konia, że już mi go zabrano. Mój sąsiad Andrzej miał łyche konisko, którego wcale nie ukrywał, pasąc go na ugorze. Pomimo że nie miał już wódki dla bolszewików, spodziewał się jednak, że oni go w biedzie poratują kosztem zamożnych sąsiadów. Widziałem sam jak wychodził do przechodzących drogą łązików bolszewickich, jak się z nimi

długo i po przyjacielsku naradzał, nie mu jednak nie dali, za to co-raz to oglądali jego konia pasącego się na smugu. Jeden, drugi i dziesiąty pogardził nim, wołał sobie poszukać lepszego, aż wreszcie znaleźli się tacy, którzy i takim nie pogardzili. Napróżno prosił ich i tłumaczył, że na tym koniu niedaleko pojadą, — zabrali mu, a obejrawszy, że ma jeszcze gorszy od konia wóz, wzięli mój, bo był trochę sztywniejszy, wraz z zaprzęgą. Na jesieni, gdy na polu jest jeszcze koniczyna i kopy siana, na każdym koniu jechać można — powiedzieli bolszewicy i wlepiwszy biednemu koniowi parę porządnych nahajów, pojechali aż się djabli śmiali, choć był niezgorzej kulawy.

Zdaje mi się, że na całą wioskę ocalał w łubinie tylko mój stary bułan. Uprosiłem komisarza Borysowa, że dał mi papier pozwalający na utrzymanie konia, którego rozwiązałem i wzięłem się sam do najpilniejszej pracy, ratując jednocześnie sąsiadów. Mój bułan pracował wtedy dzień i noc, zaprzężony do lichego woziska, ciągał z pól owies, jęczmień, koniczynę, bo wszystkie jarzyny były jeszcze na polach. Nawet zamoźniejsi sąsiedzi, którzy jadąc dawniej w parę dobrych koni, patrzyli z góry na mnie i na mego bułana, przychodzili z prośbą by go im do zwózki użyczyć. Pomysłowi zaprzęgali krowy używając ich już nietylko do zwózki, ale i do orki pod oziminy, której czas się zbliżał.

Pod wpływem wspólnej wszystkim niedoli ludzie stali się jacyś lepsi i usłużniejsi w stosunkach sąsiedzkich. Znikły różnice majątkowe, umilkły właśnie sąsiedzkie i rodzinne.

Na pobliskim majątku państwowym bolszewicy uplanowali założyć komunistyczne gospodarstwo. Majątek miał być własnością służby dworskiej, która miała wspólnie pracować i jadać z jednego kotła. Komisarz Borysow wybrał się właśnie na obejrzenie folwarku i po drodze odwiedził też i mnie w mym „pałacu”. Zaprosiłem go nawet do obiadu z kartofli i kwaśnego mleka. Borysow unosił się nad nędzą, w jakiej ja żyję i w jakiej żyją miliony chłopów w Polsce, która w Rosji ma być radykalnie usunięta przez ustrój bolszewicki. Zapewniał mnie też, że po upływie roku, — jeśli bolszewicy utrzymają się przy władzy, — będę już napewno mieszkał w nowym, paradnym domu.

Bolszewicy nikomu nie darmo nie zabierali, za wszystko płacili nie żałując pieniędzy z sierpem i młotkiem. Mówiono, że każdy pułk miał własną maszynkę do drukowania tych pieniędzy, ale nawet przychylnie do bolszewików usposobieni żydkowie brać tych

pieniędzy nie chcieli. W ten sposób kupili i u mnie niezłego wieprzaka i kilkoro gęsi, a otrzymane tytułem zapłaty ruble trzymałem dłużej czas jako pamiątkę.

Tak z naszej jak i z sąsiednich parafii księża powyjeżdżali i nabożeństwa w kościołach nie było odprawiane. Tylko w sąsiedniej parafji Zarębach pozostał ks. Gawrychowski i ten zdecydował się przyjść w dniu 15 sierpnia do Małkini w celu odprawienia w naszym kościele nabożeństwa. Przyszedł pieszo i boso, w asyście dwóch bolszewików.

Tegoż dnia otrzymałem z „rewkomu” wezwanie, by stawić się na zebranie prezesów „sowietów” wiejskich. Wybrałem się jak przystało na prawdziwego „rewolucjonistę” boso, a ze spodni wyłożyły prawie kolana. W ten sam sposób prawie byli ubrani wszyscy obecni na zebraniu. Przyobiecany jednak prelegent nie przybył na zebranie. Borysow był dziwnie wesół, a gdy się wszyscy zebrali, rzekł triumfując i uroczyście: — Towariszczu, Warszawa wzięta! — Ten okrzyk bolszewika zebrani przyjęli głuchym milczeniem. Bolszewik opowiadał nam jeszcze szeroko o zwycięstwach czerwonej armji i o cofaniu się „białych” do Poznania.

Ja sam niebardzo wierzyłem w zdobycie Warszawy. Spodziewałem się że musi tam dojść do stanowczej bitwy, a tej dotychczas nie było słyhać. Urzędowa gazetka komunistycznego rządu polskiego Czerwona gwiazda z datą 14 sierpnia 1920 r. podawała taki komunikat wojenny: „przednie strażę rwącej się naprzód w bojach armji czerwonej dosięgły Pragi”. Jednak wieść o zajęciu Warszawy rozeszła się szeroko i wywarła przygnębiające wrażenie.

Udaliśmy się potem do kościoła na nabożeństwo. Kościół był przepełniony przez stroskany tłum wiernych, bosych i przyodzianych w najlichsze codzienne szaty, co dziwne czyniło wrażenie. W kościele było wielu bolszewików, był też sam komisarz Borysow. Jedni stali w czapach, patrząc obojętnie na rozmodlony tłum, lecz byli i tacy, co modlili się żarliwie, bijąc swoim zwyczajem pokłony. Ile razy ksiądz odwracał się do ludu mówiąc: — Dominus vobiscum! — tyle razy rozlegał i wzmagał się w kościele głośny spazmatyczny płacz kobiet wiejskich. Wieść o zdobyciu Warszawy, widok bosego kapłana przy ołtarzu i stojących w czapach bolszewików powodowały te jęki i płacz.

Po nabożeństwie wstąpiłem jeszcze na plebanję, gdzie miałem z „rewkomu” otrzymać jakieś papiery. Zastałem tam już Borysowa, który odrazu zagadnął mnie o powód płaczu jaki słyszał w kościele.

— Czegoż one płaczą, te głupie baby wiejskie? Wszak armja czerwona niesie im wyzwolenie z ucisku „panów”, wszak niedługo rządy w całej Polsce będą już w ręku chłopów i robotników! — U nas towarzyszu inne są zapatrywania na to co się dzieje — odpowiedziałem mu — my pięć lat dopiero cieszyliśmy się samodzielnością państwową, lud nasz jest przywiązany do swej wiary, a pozbawiony nabożeństw kościelnych, rozrzewnia się na widok tego nabożeństwa i te wrażenia właśnie spowodowały ten płacz kobiet, a kobiety są zwykle do płaczu skłonne.

Komisarz bolszewicki popatrzył na mnie jakoś dziwnie i rzekł: — Mógłbym was towarzyszu uznać za kontrrewolucjonistę, ale widzę, że idej komunistycznej nie rozumiecie, nam Warszawa i Polska wasza są dziś niepotrzebne, my rozprawimy się tylko z Piłsudskim, obrońcą waszych „panów”, rozprawimy się i z nimi, jeśli nie zdążą uciec gdzieś dalej na zachód, potem zaprowadzimy w Polsce sprawiedliwy ustrój socjalistyczny, oddamy rządy w wasze ręce, w ręce chłopów i robotników, a sami pójdziemy dalej do Poznania, a może nawet do Paryża! Ale z wami, jak widzę, jest trudna sprawa, wy zanadto wierzycie w księży i głoszone przez nich przesady, wy płaczecie na ich widok, dopiero dzieci wasze my już „poriadoczno” nauczymy zasad prawdziwej wolności. Ten „chram” — dodał wskazując na kościół — nie będzie stał pusty i nie będzie służył za miejsce ogłupiania ludzi, tu będzie urządzone kino, teatr, szkoła i t. d.

Dziwnemi mi się wydały te na zbyt daleką metę obliczone zamiary bolszewika, nie przeczyłem mu jednak i pożegnawszy się z nim, wyszedłem. Była to już ostatnia moja rozmowa i ostatnie spotkanie z „towariszczem” Borysowem. Więcej już nie widziałem.

Bolszewików tak zainteresowało to nabożeństwo w kościele, że nazajutrz — jak słyszałem — ubrali się sami w szaty liturgiczne, urządzając przed ołtarzem kpiny z wczorajszego nabożeństwa. Księdza Gawrychowskiego z Zaręb chcieli bolszewicy aresztować i dopiero na usilne prośby całej ludności tak polskiej, jak i żydowskiej, pozostawili tego zacnego kapłana w spokoju.

Ledwie powróciłem do domu, a dopędził mnie idącego już na pole żydek żandarm i wręczył mi „przykaz” wypieczenia i dostarczenia pewnej ilości chleba dla wojska. Papier był jednak mylnie skierowany, kazałem więc żydowi jechać na sąsiednią wioskę, lecz jemu nie chciało się dalej jechać, zaczął więc mi wygrażać i zarzucać, że nie chce spełniać rozporządzeń władzy. Doszło do sprzecz-

ki, w której żyd powiedział mi: — Wiesz chamie kim ja jestem! — a ja mu odpowiedziałem: — Ty jesteś żyd parszywy, psubrat i zdrajca!

Żydek sięgnął do przewieszonego na plecach karabinu, lecz ledwie wykonał ten ruch, a zmierzyłem go porządnie batem trzymanym w rękę po uszach. Bolszewik widocznie czuł już coś złego, bo uciekł pośpiesznie nie szukając dalszej walki, wygrażał mi tylko z daleka pięściami. Obawiałem się, że bolszewicy mogą mnie za to sprzątnąć i nawet żałowałem swej popędliwości, do tego jednak nie doszło i moja wioska chleba dla bolszewików nie piekła.

Mnie się nic nie stało, ale na mego bułanego przyszła wreszcie kreska. Przejeżdżający jakiś tabor bolszewicki zauważył mnie orzącego na polu, kazano mi więc natychmiast wyprzągać i jechać z nimi. Nie miałem wozu, więc zabrali mi konia, zaprzęgli do swej powózki i pojechali. Ani mój dyplom „predsiedatiela” sowietu wiejskiego, ani „list żelazny” komisarza Borysowa na nic się nie zdały.

Powróciłem zasmucony do domu, gdzie znowu zastałem dwóch bolszewików upominających się o worki. Miałem nakaz dostarczenia ze wsi pewnej ilości worków do zboża, które młócono w sąsiednim folwarku, lecz nakazu nie wykonałem. Musiałem więc iść z bolszewikami od chałupy do chałupy i zbierać worki. Dawano mi różne stare kłaki, które wsadzałem jeden w drugi. Wieś była rozrzucona, więc nie ukończyliśmy zbiórki i bolszewicy u mnie zanołowali. Po kolacji ukląknłem do pacierza, a bolszewicy swoim zwyczajem modlili się także. Byli to poczciwi chłopcy rosyjscy gdzieś z guberni Wołogodzkiej. Dużo z nimi rozmawiałem chcąc się dowiedzieć o stosunkach w Rosji, a ci żołnierze mówili mi otwarcie, że idą dlatego, że wzięto ich wprost za łeb, że wieś rosyjska jest wrogo do bolszewizmu usposobiona i że Rosją rządzi kilku zuchwałych żydziaków, opierających swą władzę na miejskim proletariacie, a więcej jeszcze na karabinach i bagnietach.

Po śniadaniu mieliśmy się udać znowu na zbiórkę worków, gdy rozległ się nad nami warkot samolotu. Poznałem, że jest to samolot polski, bo szedł nisko i miałem nawet stracha, że zrzuci bombę i może się i mnie coś przy bolszewikach oberwać. Ale zamiast bomby zaczęły spadać drukowane kartki. Jedne z nich były w języku rosyjskim, głosiły o wielkiej klęsce czerwonej armji, o nadejściu posiłków francuskich i angielskich, i wzywały bolszewików do poddania się, inne znowu były drukowane po polsku, była to odezwa Naczelnego Wodza do ludności, głosząca również o zwycięstwie nad

bolszewikami, a kończąca się słowami: — Do broni ludu polski, niech żywa noga najeźdźcy nie ujdzie z polskiej ziemi!

Staaliśmy, widziałem, że bolszewików obleciał strach, starali się jednak tłumaczyć mi, że i ich samoloty również zrzucają takie odezwy. Jednak dalej z nimi już iść nie chciałem. Stojąc tak niezdecydowani na gościńcu, ujrzelśmy od strony Małkini chłopą ciągnącego za rogi krowę, a ta znowu ciągnęła wóz. Był to zamożny gospodarz z sąsiedniej wioski, zabrano mu już przedtem parę koni, a miał jeszcze dwa żrebaki, których narazie nie brano. W nocy nakazano mu jednak furmankę na żrebackach — była to już chyba ostatnia furmanka w okolicy, — a miał na niej uciekać sam komisarz Borysow ze swem otoczeniem. Wreszcie zaprzęgli konie do księżowskiej bryczki i pojechali, a chłopą z wozem zostawili na drodze. Ten przyszedł do domu, wziął krowę, zaprzęgnął ją do wozu i ciągnął go do domu. Zobaczywszy mnie stojącego pomiędzy dwoma bolszewikami, jak nie krzyknie: — To wasz „rewkom” już dawno djabli wzięli, a wy jeszcze tu łazita! Psiakrew! zabić psubratów!

I mówiąc to sięgnął po kłonicę do zadu. Bolszewicy spojrzeli błagalnie na mnie, jeden z nich miał wprawdzie karabin, nie próbował go jednak zdejmować. Wy tłumaczyłem sąsiadowi, że to pocciwi ludzie, których nie trzeba krzywdzić. Zabrałem tylko bolszewikom karabin i kazałem im uciekać do Rosji, jeśli im się to uda. Bolszewicy ruszyli kłusem i wkrótce zniknęli w pobliskim lasku, a worki pozostały u mnie i każdy swój otrzymał zpowrotem.

Wieść o odwróceniu bolszewików i ucieczce „rewkomu” jak błyskawica obiegła okolicę i na drodze zebrał się tłum ciekawych. Jak też wkrótce od zachodu nadjechał jakiś tabor bolszewicki. Dopytali się o mnie jako o prezesa sowietu i zażądano kilku ludzi do pędzenia bydła, był to bowiem komisarz prowiantowy, pędził stado bydła i kilka wozów zboża, eskortowanych przez kilku uzbrojonych bolszewików na koniach. Narazie nie wiedziałem co czynić, kazałem więc kilku chłopcom pędzić bydło, zalecając im ostrożność i ucieczkę przy najbliższej sposobności.

Gdy bolszewicy odjechali, odbyliśmy krótką naradę i postanowiliśmy dopędzić i rozbroić bolszewików, a szczególnie zachęcały do tego matki chłopców, którzy pognali bydło z bolszewikami. Wkrótce też tłum zbrojny w co kto mógł pędził pod moim dowództwem za bolszewikami, a jednym z pierwszych był mój sąsiad An-

drzej — niedawny zwolennik bolszewików — który biegł z jakąś olbrzymią żerdzią zdjętą z płotu.

Bolszewicy, widząc pędzący ich tłum, stanęli, jednakże strzelać nie probowali. Wezwaliśmy ich więc do poddania się, a oni usłuchali wezwania, choć mogliby się byli bronić. Zabraliśmy im więc broń, konie, bydło i ładowne wozy, a oni pobiegli pieszo, pytając tylko czy daleko jeszcze do Białegostoku.

Łup zdobyliśmy obfity, a przy jego podziale doszło nawet do kłótni pomiędzy kobietami, bo każda chciała otrzymać jaknajwięcej. Ja przy podziale otrzymałem parę tegich koni z wozem i dwie piękne jałówki, oraz parę worków zboża. Dałem koniom trochę odpocząć i zjeść i pojechałem natychmiast na pole orać, bo było to już 17 sierpnia, a ja orkę miałem zaledwie rozpoczętą. Tak samo postąpił i sąsiad Andrzej w inną znowu parę koni.

Wyorałem już kilka zagonów, bo wypasione konie chodziły mi jak wiatr, gdy usłyszałem salwę karabinową i bzykanie kul koło głowy. Widziałem tylko jak mój sąsiad padł jak długi w wyoraną bruzdę, kryjąc się przed kulami, a ja wskoczyłem do dołu wyrwanego kiedyś przez pocisk armatni. Strzelanina trwała dłuższy czas, ale konie niebardzo się tem przejmowały, bo poszły z pługiem do kuczek gryki i zajadały ją smakowicie. Gdy strzały ucichły, wylazłem z dołu i orałem w dalszym ciągu.

Okazało się, że rozbrojenie bolszewików było czynem bardzo ryzykownym. W okolicznych lasach była jeszcze cała armja bolszewicka, i ci co nie brali udziału w rozbrojeniu bolszewików przeklinali nas, że możemy nieszcześnie na wieś sprowadzić. Tak się też i stało.

Rozbrojeni przez nas bolszewicy zbiegli do lasu i opowiedzieli o napadzie. Wkrótce potem rozległy się strzały i do wsi wpadł oddział kozaków. W pierwszej chałupie mieszkał młynarz i ten wdzążył się gdzieś ukryć, inni zaczęli uciekać gdzie kto mógł. Widząc uciekających ze wsi chłopów, porzuciłem konie z pługiem i zacząłem również uciekać, choć przejmowała mnie obawa o los żony i całej pozostałej rodziny.

Naraz dostrzegłem że naprzeciw mnie pędzi jakiś oddział kawalerji i struchlałem, zdawało mi się, że bolszewicy są już dookoła. Stanąłem, zdając się na wolę Bożą, bo widziałem, że już nie ucieknę. Dostrzegłem jednak, że mają u czapek orzelki i poznałem swoich. Był to oddział dragonów poznańskich, którzy otrzymawszy wiadomość o napadzie bolszewików na wieś pędzili nam na odsiecz.

Omam nie upadłem z wielkiego wzruszenia i zabrawszy konie ruszyłem galopem do wsi.

We wsi rozbrzmiewał już jeden wielki okrzyk radości na widok naszych żołnierzy, a nie byli to już ci rozbici, przygnębieni i ledwie się słaniający na nogach żołnierze. Biła od nich jakaś moc i potęga. Bolszewicy uciekli w lasy tak prędko, że nie doszło nawet do utarczki.

Poznaniacy byli u nas do wieczora i dopiero w nocy cofnęli się zpowrotem, zbadawszy, że w pobliżu jest duża siła nieprzyjacielska. Pochwalili nas wprowadzić za rozbrojenie bolszewików, ale kazali sobie wydać wszystkie konie, wozy i bydło odebrane bolszewikom. Pozostała więc nam się tylko sława.

Ujrawszy swoich, byliśmy już śmielsi. Karabinów we wsiach nie brakło, a prawie wszyscy mężczyźni byli to niedawni żołnierze. Oburzenie na bolszewików było też wielkie, to też każdy chwycił za karabin i szedł do lasu, gdzie powstały jakby oddziały „wolnych strzelców”. Posłem i ja z innymi, miałem nawet dobry karabin, ale jeden z moich krewnych wiedząc, że nie umiem strzelać, zabrał mi go, a dał mi jakiś stary grat bez zamku.

Gdy doszło do bitwy, nasza kompanja strzelała z rowu do nieprzyjaciela, którego z drugiej strony atakowało wojsko. Dowódca oddziału wojskowego pochwalił nas i podziękował. Jedna taka grupa strzelców nie dopuściła do zniszczenia mostu drewnianego na Bugu.

Bolszewicy byli wściekli wprost na zbuntowanych chłopów. W okolicy Jasienicy i w Ostrowi zabierali wszystkich spotykanych po drodze chłopów i pędzili z sobą. Niektórzy puciekali z drogi, choć wielu do dziś nie powróciło, napewno gdzieś zostali pomordowani przez bolszewików.

Gdy po dwudniowym ściganiu bolszewików wróciłem do domu szły właśnie tabory naszego wojska. Miałem wtedy trochę nieprzyjemności z powodu zajścia z żołnierzami. Wieść o rozbrojeniu taboru bolszewickiego urosła do nadzwyczajnych rozmiarów. Posłem właśnie w pole, gdy do mej żony przybyło kilku żołnierzy poznańców, domagając się wydania koni odebranych bolszewikom. Żona tłumaczyła, że koni już niema, zaczęli jej sypać baty, pomimo że była w ciąży. Wdał się w tą sprawę teść mój, a ojciec mej żony, i też dostał baty. Na krzyk jaki uczyniono przyleciałem z pola i zacząłem się szamotać z żołnierzami, za co też otrzymałem sporo batów. Zagroziłem im, że będę się skarżył do samego Piłsudskiego, na

co mi jeden, mocno z niemiecka zaciągający poznańczyk powiedział: Tego waszego Piłsudskiego już niedługo djobli wezmą!

Szczęściem że się kiedyś zdobyłem na rozum i wziąłem pokwitowanie z pieczęcią od tych żołnierzy, którym oddałem konie i dobytek. Pokazałem im to pokwitowanie i dopiero dali mi spokój.

Tak więc całą nagrodą za rozbrajanie bolszewików były baty, jakie od żołnierzy naszych otrzymałem. Nie miałem jednak do nich urazy, bo żołnierz w pościgu za nieprzyjacielem, potrzebując nawałt furmanki, której w zrabowanym kraju nie mógł znaleźć, mógł powiedzieć i popełnić głupstwo. Winę ponosiły tu złośliwe języki, opowiadające każdemu żołnierzowi niestworzone rzeczy, gdyż z kilkunastu koni utworzono bajkę o całej armii nieprzyjacielskiej, o rozbrojonej i zagarniętej wielkiej ilości koni.

Prawdziwą nagrodą był dla mnie komunikat naszego sztabu generalnego w jednym z ostatnich dni sierpnia, gdzie było powiedziane: „Podnieść należy z uznaniem zachowanie się ludności cywilnej, która wszędzie chwyta za broń, współdziałając czynnie z wojskiem”. Te słowa to historyczny dokument czasu i jednocześnie dyplom uznania dla tych, co wyszli cało z walki i dla tych co w niej polegli.

Zaczęli wreszcie powracać wszyscy ci, co żałując oddać bolszewikom koni i wozów sami jeździli z nimi pod Warszawę. Opowiadali o okropnościach jakie działy się, kiedy w odwrocie, przyciśnięci do Narwi bolszewicy i nasi „podwodziarze” — co to mieli łup wojenny z Warszawy wieść — musieli się przeprawiać wpływ przez Narew. Wielu tam utonęło, a ci co powrócili, powrócili wszyscy pieszo, uciekając w nocy ze swych furmanek. Niektórzy byli w ogniu bitew i rzucanych z góry pocisków. Niektórzy mogli się wyrwać i powrócić dopiero z Grodna lub z Lidy. Jedna kobieta z mojej wioski, co miała męża w wojsku, sama jeździła kilka tygodni i wreszcie wróciła piechotą.

Ojciec mój był zabrany z furmanką przez cofających się polskich żołnierzy i wrócił dopiero po pięciu tygodniach tułaczki, w której się tak mocno przeziębził — będąc słabego zdrowia — że po kilku tygodniach potem zmarł. I tę śmierć mego ojca też na rachunek wojny zaliczyć wypada, bo miał niewiele ponad pięćdziesiąt lat.

Okolica nasza została kompletnie ogołocona z koni i z wozów. Wojsko porozciągało również paszę i zboże. Zniszczenie było prawie większe, a warunki jego odrobienia trudniejsze niż przed pięciu laty.

Wprawdzie wszystkie zabrane przez bolszewików konie i wozy zostały przez nasze wojska częściowo odebrane bolszewikom, lecz uznane zostały za zdobycz wojenną i wojsko sprzedawało takowe rolnikom przez miejscowe komitety pomocy rolnej, ale konie te były tak zegnane i zniszczone wojną lub zarażone parchem, że z nielicznymi wyjątkami niezdatne były wprost do użytku. Sam otrzymałem takiego konia z komitetu pomocy rolnej, lecz musiałem go sprzedać w obawie by nie zdechł. Bywały również i to dość liczne wypadki, że konia nabytego od wojska poznawał jego dawniejszy właściciel, z czego powstawały trudne do rozstrzygnięcia spory i procesy sądowe.

Po odwróceniu bolszewików zostałem wraz z innymi powołany przed komisję poborową. Byłem już przyjęty do wojska i zaprzysiężony, lecz otrzymałem urlop bezterminowy ze względu na nawiązane rokowania pokojowe z bolszewikami.

Nie mając konia a tylko jedną krowę, musiałem ją sprzęgać do spółki z teściem, który miał drugą krowę i w ten sposób zaoraliśmy jako-tako i obsieliśmy nasze pola. Orka była ciężka bo jesień była sucha. Ile to się trzeba było przy tej pracy namozolić, zanim się krowy dały do chodzenia w jarzmie namówić. Bo tylko chłop nasz ciąga się z poddaniem w jarzmo, w które jest oprzężony, z krową nawet jest już trudniejsza sprawa. Powiedziałem sobie wtedy, zachowaj mnie Boże od takiego sprzężaju.

Gdy się wojna ukończyła, zacząłem myśleć o dokończeniu rozpoczętej budowy domu. Niestety, z ustawy o odbudowie nie mogłem skorzystać — choć inni skorzystali — pomimo że suma strat wojennych została dla naszego gospodarstwa ustalona na sumę zgórą pięciu tysięcy rubli. Po śmierci ojca stało się to własnością sukcesorów, z których jeden był w kraju nieobecny, a najmłodszy miał zaledwie kilka miesięcy i należności nie można było rozdzielić. A drzewo budowlane było wtedy nadzwyczaj drogie, musiałem jednak brakujący mi do budowy materiał dokupić, nic nie otrzymałem i nic też z lasu za czasów władz polskich nie ukradłem.

Już wkrótce po swem ożenieniu się i w ciągu kilku lat następnych poznałem, że popełniłem wielki błąd żeniąc się w najbliższym sąsiedztwie. Moja rodzina była dość liczna, a rodzina mej żony jeszcze liczniejsza, tak znowu jest na świecie, że ludzie gdy codziennie na siebie patrzą zaczynają się nienawidzić. Moja rodzina kładła mi w głowę niestworzone rzeczy, rodzina mej żony czyniła to samo. Ten temu coś zawinił, ten na tamtego krzywo spojrzał i było

prawie istne codzienne piekło, zwłaszcza że jestem z natury popędliwy i niecierpliwy. Nieraz zastanawiałem się już nad tem, czy mam nadal tak żyć, czy mam popełnić samobójstwo? Licho dopomogło, że raz na jarmarku rozdawano kartki ogłaszające korzystną parcelację folwarku w powiecie bielskim. Jeden z moich sąsiadów, zwiedziwszy parcelowany folwark, namówił mnie bym od niego jego gospodarstwo kupił.

Gospodarstwo to nie było większe od mojego, ale było jako tako kompletnie zabudowane. Pomyślałem więc sobie, że uniknę kosztów budowania nowych budynków i jednocześnie ucieknę od kochanej rodziny chociaż na drugi koniec wioski. Stargowałem i kupiłem to gospodarstwo za szesnaście tysięcy marek. Sporządziliśmy formalny kontrakt z marką stemplową, zatwierdzony przez wójta i wiążący sprzedawcę podwójnym zadatkiem i wszystko było w porządku. Wprowadziłem się już na nowe gospodarstwo i objąłem je w posesję, a na pokrycie ceny kupna zacząłem sprzedawać co się dało ze swego gospodarstwa. Sprzedałem swój grunt, sprzedałem zgromadzony na budowę domu materiał i udział w budynkach gospodarskich, sprzedałem co miałem z dobytku i gdzie mogłem zaciągnąłem pożyczkę i w krótkim czasie wpłaciłem na rachunek kupna 12 tys. marek. Resztę miałem dopłacić przy akcie.

Aż tu mój sąsiad, człowiek z gruntu nieuczciwy, zabrawszy pieniądze, oświadczył mi pewnego razu, że gospodarstwa mi nie przepisze, a gdy doszło pomiędzy nami do kłótni, wypędził mnie wprost przy pomocy kija na dwór, pomimo kilkunastostopniowego mrozu. Wszystko to byłoby niczem, gdyby nie spadek marki polskiej, mógłbym wygrać podwójny zadek i pokryć swe straty.

Grunt swój odzyskałem wprawdzie zpowrotem, ale nie miałem żadnego dachu nad głową. Byłem zgubiony i mogę śmiało powiedzieć, że straciłem wtedy większą połowę swego majątku. Przepałało moje drzewo na dom, a nawet ładny laszek olszowy sprzedałem na wyrąb, byle trochę gotówki uzyskać. Nieuczciwy sąsiad sam się niebardzo dorobił, a mnie zgubił. O pieniądze musiałem się prociesować, sprawa trwała prawie rok, a za połowę swego majątku kupiłem sobie wtedy kiepskie buty. Tak się dorobiłem na spadku marki polskiej. Działo się to w jesieni i w zimie z 1920 na 1921 rok.

W czasie tej przeprowadzki urodził mi się synek i wskutek ziębienia umarł po kilku tygodniach życia. Zmuszony byłem prosić teścia o pozwolenie zamieszkania w baraku.

Lato 1921 roku było nadzwyczaj suche w naszej okolicy. Ziemiaki przepadły, tak że nawet włókowi gospodarze mogli w tym roku ukopać dwadzieścia worków. Ja ukopałem zaledwie dwanaście. Za to ozimina — choć uprawa i zasiewy były wykonywane w krowy — obrodziła wprost świetnie. Miałem wtedy ładny zbiór żyta.

Musiałem znowu zaczynać dorabiać się od początku jak ów pająk, któremu burza zniszczy pajęczynę. Byłem młody, a zdolności i chęci do pracy mi nie brakło. Pojednałem się nawet z sąsiadem, który mnie skrzywdził, ja nie miałem dotychczas dzieci, a on był obarczony rodziną, szkoda było mi i jego.

Największym nieszczęściem dla mnie była wtedy niezgoda. Podrastający moi bracia przyrodni zaczęli się uważać za pokrzywdzonych przy podziale gospodarstwa, z którego ja miałem sam połowę. To, że ja pracowałem gdy ich jeszcze na świecie nie było, i to, że ja włożyłem w gospodarstwo swoje oszczędności i część spadkową mej matki, nie ich nie obchodziło. Zaczęli mi grozić sądem i unieważnieniem aktu rejentalnego, który sporządzony za czasów okupacji zawierał jakieś nieformalności. Naprawdę jednak nie było się o co spierać i procesować, bo było nas dziewięcioro do podziału, a na dwóch morgach z prętami żaden z nich nie mógł założyć gospodarstwa, zwłaszcza że ziemia ta to w połowie piaszczyste nieużytki. Na opłacenie ich nie miałem pieniędzy, byli zresztą i niepełnoletni. Spadł więc na mnie cały kłopot z ich wyżywieniem i utrzymaniem.

Chciałem wydzierżawić ich działą, a ich pooddawać do rzemiosła, nie chcieli się słuchać i terminować, przychodzili na moje umieszczenie do domu, na swe części i trzeba było ich żywić, a tu ja sam byłem pogrążony w nędzy i nie miałem czem ich żywić. Miałem o to starcia z żoną, a jej rodzina, nad wyraz kłótniwa, miała znowu inne pretensje. Wszystko to razem wzięte przyprawiło mnie o jakąś chorobę, na którą cały szereg lat cierpiałem i na którą nie mogli mi poradzić lekarze, do których się udawałem.

Nie mogłem w tych warunkach wzbudzić w sobie zamilowania do swego gospodarstwa i nic ono mnie nie cieszyło. Zbiory miałem stale liche, bo miałem zwykle za mało nawozu, za mało dobytku, brak sprzężaju i odpowiednich narzędzi, to też z dwunastu morgów ziemi, choćby lichej, nie mogłem się z żoną wyżywić i musiałem dorabiać na swem rzemiośle.

W tych ciężkich warunkach bytowania szukałem zapomnienia w pracy i w czytaniu pism przeważnie politycznych. Pism rolniczych wtedy nie czytywałem. Kupiłem sobie znowu konia i wóz, po-

wiodły mi się nieźle świnie, zarobiłem trochę na bednarstwie i na wiosnę 1922 roku kupiłem sobie znowu dom już gotowy. Na kupno tego domu zrobiłem też i znaczny dług, zabezpieczony w korcach żyta. Bo korzec żyta a nie marka polska był wtedy miernikiem wartości.

W jesieni 1922 roku odbyły się znowu wybory do Sejmu. Byłem wtedy ludowcem-piastowcem, ale w naszej okolicy brały górę żywioły więcej radykalne pod względem zapatrywań tak na prawo, jak na lewo, i lista na którą głosowałem osiągnęła niewielką ilość głosów.

Huk strzałów, od których zginął pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej, i te wystawne nabożeństwa urządzone więcej dla uczczenia czynu mordercy Niewiadomskiego, jak za spokój jego duszy — takie nabożeństwo odbyło się też i w mojej parafji — sprawiły w mym umyśle pewien przewrót i moje przekonania zaczęły mnie pociągać dalej na lewo. Zrozumiałem wtedy, że nie wszystko co się Bogiem i Ojczyzną zastawia jest pomyślane i prowadzone w duchu Bożym.

W końcu grudnia 1922 r. urodziło się trzecie z kolei moje dziecko. Choć to była córeczka, kochałem ją bardzo, bo mi się chowało zdrowo z początku i życie zdawało mi się być nieco miłsze. Na wiosnę 1923 roku rozpocząłem budowę obory, a pracując wytrwale zdawało mi się że jednak posuwam się naprzód.

Mieszkiałem jednak w nowym, przebudowanym niezbyt dokładnie domu i zima dała mi się mocno we znaki, a była ona w tym roku mroźna, śnieżna i wietrzna, moja córeczka zaczęła mi pokaszływać, choć patrzaliśmy stale na nią wraz z żoną. Wreszcie zaczęła naprawdę chorować i mając prawie pół roku umarła mi w maju, gdy wszystko na świecie kwitnąć zaczyna. Pamiętam ten ładny, pachnący wiosną dzień majowy, gdy widząc pogorszenie w chorobie udałem się do doktora. Ten kazał sobie zapłacić za wizytę i napisał długą receptę do apteki. Zakupione lekarstwa rzuciłem w drogę do rowu, a do domu przywiozłem trupa. Na lekarstwa i pogrzeb sprzedałem resztę zboża jakie miałem na przednówek przeznaczone, zostałem się bez dziecka i bez chleba jednocześnie.

Było to dla mnie dotkliwszym ciosem niż utrata połowy majątku przed dwoma laty. Zaczynałem wierzyć w przesąd, że moje gospodarstwo jest nieszczęśliwe, że ciąży nad niem jakaś klątwa i postanowiłem za wszelką cenę uwolnić się z tego siedliska nieszczęść.

Przypominałem sobie okres po wypędzeniu Niemców, gdy mogłem dostać łatwo posadę młodszego pisarza w gminie, lub policjanta. Wzgardziłem jednak takim stanowiskiem, bo powiedziałem sobie: „zamiast kiepskim popem, wolę być dobrym chłopem”. Kiedy mnie jednak przygnębiła nędza i kiedy nieraz musiałem się wstydzić swych dawnych kolegów i znajomych, z których niektórzy porobili na urzędach i na polityce świetne karjery a mnie spracowanego chłopca-rolnika nieraz poznać nie mogli, żałowałem że nie starałem się o jakąś posadę i czułem się pokrzywdzony, widząc jak ludzie mało zdolni mają dobre stanowiska, wygodne życie, a na mnie patrzą zgóry. Postanowiłem starać się o jakąś posadę.

Złożyłem więc podanie o przyjęcie mnie do służby w policji. Zażądano ode mnie całego szeregu dokumentów, których zdobycie kosztowało mnie sporo czasu i pieniędzy. Wezwano mnie na komisję i egzamin wypadł doskonale, ale po pewnym czasie zwrócono mi dokumenty z pismem, że nie mogę otrzymać posady z powodu braku wolnego miejsca. Czyniłem starania i w innym kierunku, lecz również bezskutecznie.

Próbowałem wtedy kupić sobie gdzieś w lepszych warunkach gospodarstwo. Ale za lichotę czegoś dobrego trudno kupić. Działały wtenczas różne spółki i biura parcelacyjne, które robiły doskonale interesy na chłopskich apetytach na ziemię. Objeździłem wtedy Kresy Wschodnie, ale nic tam dla siebie znaleźć nie mogłem, straciłem tylko sporo grosza na te przejazdy, a zwiedzenie przy tej okazji Drohiczyna, Brześcia nad Bugiem i Kowla za drogo mnie kosztowało.

Dałem więc spokój wszystkiemu i zaprząłem się znowu do molarnej pracy, którą chyba z pracą katorżnika porównać mogłem. Lata 1924 i 1925 były to lata, w których nic ważniejszego w mem życiu nie zaszło, oprócz tego że czwartą rzędu mogiłkę usypałem na cmentarzu.

Zwracałem zawsze pilną uwagę na bieg spraw publicznych i ubolewałem nad tem co się działo w Sejmie. Ta walka stronnictw nazywających się chłopskimi i ludowymi, powstawanie coraz to nowych stronnictw i ich błaznowanie na wiecach i zjazdach, demagogiczne mowy, a nieraz i także projekty ustaw, napęłniać musiały obrzydzeniem i goryczą każdego, kto na to bezstronnie patrzył. Polityka przywódców chłopskich w tych latach było to kopanie grobu dla sprawy ludowej, to było przygotowanie gruntu do smutnych następstw. Praca kulturalno-społeczna w naszej okolicy w tym cza-

się prawie że nie istniała. Kasa spółdzielcza, obracając walutą markową, stopiła w tej powodzi markowej kilkadziesiąt tysięcy przedwojennych jeszcze oszczędności miejscowej ludności, zamykając rachunek, po przeliczeniu na złote sumą kilkudziesięciu groszy i zawieszając na zawsze swą działalność. Znam jeden wypadek, że wychodźca przysłał do Kasy z Ameryki tysiąc dolarów przed wojną, a gdy powrócił w 1924 roku, byłem świadkiem jak się upominał u Zarządu Kasy choć o parę złotych na opłacenie podatku i nic nie otrzymał. W Kasie okoliczni rolnicy złożyli duże sumy na pożyczkę państwową, pożyczkę tę przeliczono bardzo nisko, a w kasie nie było żadnych dowodów przyjmowania pieniędzy i znowu prawie wszystko przepadło. Zabiło to zmysł oszczędności wśród tutejszej ludności i zniweczyło aż do gruntu ideę spółdzielczości i życia organizacyjnego.

Podjęmowano również próby zakładania spółdzielczych sklepików w okresie „kontygentów” na cukier, sól, naftę. Lecz gdy przestało istnieć Ministerstwo aprowizacji i wprowadzono wolny handel, sklepiki te stopniały jak śnieg marcowy pod promieniami wiosennego słońca. Sam byłem członkiem takiej spółdzielni i miałem w niej 300 marek udziału. Cała ta suma zginęła mi wraz ze spółdzielnią.

W Ostrowi istniała spółdzielnia rolniczo-handlowa. Zostałem jej członkiem w 1925 roku. Była to jedyna organizacja rozwijająca wtedy swą działalność na szeroką skalę, lecz był to niestety fałszywy tylko pozór.

Kółko rolnicze, które za czasów ks. Gościckiego doskonale się rozwijało i miało znaczny własny majątek, istniało tylko na papierze, a ożywiali jego działalność wysłańcy dwóch zwalczających się i konkurujących z sobą organizacji rolniczych. Był wypadek że kółko w jedną niedzielę wynosiło uchwałę należenia do tej, a w następną niedzielę do innej centrali.

Choć brałem udział we wszystkich poczynaniach i byłem członkiem wszystkich działających na terenie gminy i powiatu organizacji społeczno-rolniczych, ukrywałem się wszędzie wstydliwie i obawiałem się zabrać głosu, czując się do tego za małym i prosto „za biednym”, bym mógł mówić o sprawach publicznych. Ograniczałem się do roli obserwatora i ubolewałem nad kompletnym bankructwem życia organizacyjnego w swej okolicy.

Jak niepoczytalna polityka ludowa zabiła w umysłach szerokich mas chłopskich — stawiających w życiu publicznym pierwsze

chwiejne kroki — wiarę w Polskę i wypaczyła pojęcie Polski Ludowej, tak wszystkie chyba złe siły sprzysięgły się by zniweczyć w pojęciach mas ludowych ducha organizacji i współdziałania.

Rok 1926 zaznaczył się w dziejach Polski wielkimi przemianami nie tylko politycznymi, ale może nawet i duchowymi. Ten sam rok w moim życiu był rokiem klęskowym, bo chyba wszystkie plagi egipskie spadły na mnie w tym roku, zmienił się również mój stosunek do gospodarstwa i same warunki życiowe. Przedewszystkiem doszedłem do porozumienia z rodzeństwem z drugiego małżeństwa mego ojca w sprawach majątkowych. Od dwóch braci i siostry nabyłem ich części w majątku. Porozumiałem się wreszcie z bratem Romanem, który mając lat jedenaście zaginął w czasie naszej ucieczki do Rosji w 1915 roku. Odezwał się wreszcie aż gdzieś z kraju kozaków kubańskich, tam się ożenił, ale i zruszczył do tego stopnia, że pisał do mnie listy po rosyjsku. Nie obiecywał wrócić, jednak swój bezpański dział w majątku po ojcu oddał narazie mnie w posiadanie. Gospodarstwo moje powiększyło się więc do 18 morgów. Dotychczas nie mogłem zajmować się gospodarstwem, bo było ono jak uważałem niewystarczające do utrzymania rodziny, teraz chciałem dojść do tego by porzucić pracę podwójną przy rzemiośle i przy roli — a zostać wyłącznie rolnikiem, bo do tego czułem w sobie powołanie.

Ale ziemia była wtedy droga i kupno tego kawałka gruntu, sporządzenie aktu rejentalnego i inne wydatki związane z powiększeniem gospodarstwa kosztowały mnie około 5 tysięcy złotych. A ja nie miałem wprowadzić długu, ale nie miałem i gotówki przystępując do kupna.

Poradziłem sobie w ten sposób, jak radzili sobie i inni rolnicy w mej okolicy. Sprzedałem wzniesiony z wielkim wysiłkiem dom mieszkalny i, wyrznawszy okienko w obórce, tam narazie zamieszkałem. Rozumowałem, że dom drugi będę mógł pobudować, jak się dorobię, a gruntu — gdy mi ktoś obcy pod nos wlezie — już nie odkupię. Potem wyprzedzałem się z inwentarza, zostawiając tylko krowę i konia, a na resztę zaciągnąłem dług, lub wydałem braciom weksle. A to nieszczęście — dług było przyczyną innych nieszczęść jakie mnie później spotykały. Było zaś tego dobrego około trzech tysięcy.

„Gdzie cienko tam się rwie” — mówi przysłowie, tak było i ze mną. Miałem jedną tylko krowę, ale była to sztuka przedstawiająca wartość około tysiąca złotych, krowa rasy czerwonej polskiej o wy-

bitnej mleczności. Miałem nadzieję, że od niej dochowam się obo-ry bydła. Aż tu jednego razu brat mej żony — chłop już pod wąsem — popasając bydło za pastuszka, który jadł śniadanie, strzasnął jej kamieniem nogę na tydzień przed ocieleniem. Musiałem ją oddać żydom za 150 złotych.

Ale to był dopiero początek nieszczęść. Nie byłem wtedy w domu, bo wyjechałem na targ, żona moja będąc w poważnym stanie tak się zmartwiła i nadźwigała podnosząc krowę, że porodziła dziecko przedwczesne i znowu jedną, już piątą z kolei ofiarę złożyłem ziemi, a żona ciężko mi się rozchorowała.

W dodatku wyzdychał mi drób i świnie. Działo się to w pamiętne dni majowe, gdy na ulicach Warszawy lała się krew. Byłem tak zgnębiony nieszczęściami, że nie zdawałem sobie sprawy z rozgrywających się wypadków dziejowych.

I znowu nie wiem poraz który musiałem zaczynać snucie porwanej przez nieszczęśliwe wypadki pajęczyny swego samodzielnego bytowania, a znajdowałem się teraz w położeniu prawie bez wyjścia. Miałem wprawdzie kawał pola, ale nie miałem budynków odpowiednich, ani inwentarza, a długu aż za wiele. Pracowałem wtedy za dwóch, wstawałem nieraz rano o godzinie drugiej i do dnia pracowałem przy swym warsztacie, w dzień pracowałem w polu, a wieczorem znów przy warsztacie, w pracy tej dzielnie dopomagała mi żona. Staralem się uzupełniać swój żywy i martwy inwentarz i spłacać potrosze długi.

Ale ta praca nadszarpnęła moje zdrowie do tego stopnia, że musiałem się nawet położyć do łóżka. Postanowiłem zaniechać pracy zarobkowej i wziąć się naprawdę do gospodarstwa, by z niego tylko mieć utrzymanie, choć miałem to przekonanie że trudnoby mi było podnieść w nieszczęściu głowę, gdyby nie moja umiejętność zarabkowania.

Aby dobrze zacząć gospodarować postanowiłem się tego uczyć, zacząłem więc czytać pisma rolnicze jak Gazeta Gospodarska i Przewodnik Gospodarstw Wiejskich, a w miarę zdobywania doświadczenia nad poprawieniem swej gospodarki zacząłem z początku nieśmiało pisywać do Gazety Gospodarskiej.

W 1927 roku, będąc już trochę szerszym gospodarzem, zacząłem potrosze występować na widownię życia publicznego i brać się do pracy społecznej. Przedewszystkiem chciałem w swej wiosce przeprowadzić zalesienie nieużytków. Wyczerpane przez kilka lat po wyrąbaniu lasu piaszczyste grunta zaczęły się zamieniać w pół-

lotne nieużytki. Obliczyłem że jedna tylko moja wioska posiada około 600 morgów piaszczystych nieużytków, a mają ich dosyć i okoliczne wioski. Wszcząłem więc starania w Wydziale Powiatowym w celu bezpłatnego uzyskania sadzonek sosny. Udało mi się to uzyskać, ale co można poradzić z ciemnym tłumem. Znaleźli się mądralę, którzy nie chcieli się zgodzić na zalesienie z różnych powodów, a byli nawet i tacy, którzy uzbroili się w widły i mieli bronić swych piaszków, gdyby im ktoś chciał zasadzić las przymusowo. Do tego jednak nie doszło, ale ja się skompromitowałem, występując w imieniu ciemnego i niezorganizowanego ogółu, a całe skrzynie ładnych sosenek, kupionych za sejmikowe pieniądze, poszły w marność, bo nie było ich komu wysadzić. Znalazło się jednak wielu takich co z tego skorzystali i po kawale lasu zasadzili. Zasadziłem też sobie spory kawał zagajnika.

W miesiącach zimowych były próby wznowienia działalności kółka rolniczego, urządzono cały szereg zebrań odczytowych i kursy rolnicze, ale w lecie kółko jakoś znowu zasnęło. Powołany byłem na sekretarza kółka.

W tym samym roku założyliśmy w Małkini Kasę Stefczyka. Zostałem tu powołany na prezesa Rady Nadzorczej. Kasa rozpoczęła swą działalność w warunkach nadzwyczaj trudnych, nie mając prawie warunków niezbędnych do rozwoju takiej instytucji, jakimi są zaufanie ze strony ludzi posiadających gotówkę, oraz potrzebnej ilości tejże gotówki na potrzeby kredytowe okolicznej ludności. Kasa żadnego z tych warunków nie miała i po rozpozyczeniu otrzymanych z Centralnej Kasy trzech tysięcy musiała zawiesić swą działalność.

W tymże 1927 roku założona została w Ostrowi Komunalna Kasa Oszczędności i rok ten nazwaćby można rokiem rozwoju wszelkiego kredytu a także i jego nieuniknionego skutku — lichwy na wsi.

Rok 1927 zalicza się do lat pomyślnych pod względem gospodarczym, także i dla rolnictwa. Było to jednakże raczej sztuczne i przejściowe ożywienie życia gospodarczego dzięki obfitemu dopływowi kredytów.

Urodzaje, tak w poprzednim jak i w tym roku, nie były obfite, to też ceny zboża były dobre, wyjątkowo też wysokie były ceny żywca wieprzy. Sprzedałem w sierpniu 1927 roku niezbyt dużego wieprzka po 3 zł. za kg. żywej wagi i dostałem za niego 500 zł.

Metr żyta na przednówku tegorocznym płacił zgórą 50 zł., a metr ziemniaków 15 zł. Były to ceny nadzwyczajne i nienormalne.

Zdawało mi się wtedy, że 3 tys. długu — to głupstwo, że uchowam kilka takich wieprzków, że sprzedam kilkanaście metrów zboża i dług spłacę, a taksamo rozumowali sobie napewno i wszyscy rolnicy w Polsce. Przewróciło się ludziom w głowach, zaczęto snuć nieobliczalne plany i zamiary na przyszłość i zaczął się naprawdę powszechny „wyścig” zaciągania długów.

Były to częściowo i skutki niedawno zakończonej wojny. Kto przed wojną miał duże długi, ten spłacił dług śmieszną drobnostką. Komu udało się zaciągnąć pożyczkę w czasach markowych, temu opłaciło się dać nawet 15 — 20% na miesiąc. Łatwość zdobycia gotówki i wysokie jej oprocentowanie stały się wprost zwyczajem. Każdemu się zdawało, że to zawsze tak będzie — wszak historia podobno się powtarza. A kredyt stał się wtedy dziwnie łatwym do uzyskania. Wieś zaroila się wprost od agentów, spryciarzy podróżujących i rozwożących wprost po domach różne towary i wszystko sprzedawano na kredyt. A ceny były na wszystko wygórowane, boć kupując na kredyt nie wypada się targować o cenę.

A czegoż się wtedy nie kupowało na kredyt? Drzewo z lasów państwowych po 80 zł. za festmeter budulca i nawozy sztuczne kredytowane przez Państwowy Bank Rolny po 56 zł. za metr azotniaku, a potem zboże siewne i pasze treściwe, maszyny do szycia i obrazy świętych, materiały ubraniowe, rowery i jednym słowem wszystkie potrzebne i niepotrzebne rzeczy. Wystarczyło tylko podpisać weksel.

A gdy przyszedł termin wykupienia weksłu, zaciągało się nową pożyczkę gdzieś w kasie Komunalnej czy Spółdzielczej i to zawsze większą, by po wykupieniu weksła jeszcze się trochę gotówki zostało, a gdy znowu w kasie nadchodził termin płatności, to aby uniknąć protestu i pokazać że się jest solidnym płatnikiem, pożyczano się gdzieś u Moszka czy jakiegoś wiejskiego kapitalisty na wygórowany procent. Było to wybijanie klina klinem i rolnik pędził na swym gospodarstwie jak na rowerze, który utrzymuje się w pozycji stojącej, gdy jest w ruchu.

Wyścig zaciągania długów powodował w znacznym stopniu i wyścig mody, jaki opanował wieś polską. Ludzie przejrżeli świat podczas wojny, inni powrócili z Ameryki — tam zobaczyli kulturalny sposób życia i chcieli zastosować to u siebie. Budowano kosztowne domy i budynki gospodarskie. sprawiano pluszowe palta i mo-

dne śniegowce dla kobiet, a wśród chłopców wiejskich zaczęła się szerzyć moda „rowerowa”. Jedni zazdrościli drugim, a że wszystko było na kredyt, więc brano i wynoszono się.

Za przykładem poszczególnych obywateli zbyt szeroką ręką zaczęły wtedy gospodarować samorządy, co spowodowało nadmierny wzrost podatku. W 1927 roku samego tylko podatku gminnego w naszej gminie wypadło 4 złote na morgę, a ogólne opodatkowanie wynosiło około 20 zł. na morgę.

Przewidywałem już wtedy, że to wszystko spotka smutny koniec i byłem zadowolony z siebie, że tego rodzaju grzechów nie popełniłem. Moje długi powstały z innych zupełnie przyczyn. Trzeba było powiększać inwentarz na powiększonym gospodarstwie, trzeba było wypłacać sukcesorów, trzeba było pokrywać straty, które wyrządzały mi spadające na mnie tak często nieszczęścia.

Ale znalazł się djabeł, który i mnie skusił. Czytałem pisma rolnicze i coraz wpadające mi do ręki propagandowe ulotki i broszurki, zalecające używanie nawozów sztucznych i siew uszlachetnionego zboża. Były tam przykłady i tablice wykazujące nadzwyczajną opłacalność nawozów i przepisy ich używania. Naczytałem się tego, aż mi w głowie szumiało. A tu rzucone zostało hasło podniesienia produkcji o jeden metr z morga i to miało już wprost zbawić Polskę i rolnictwo. Potem wziąłem udział w wycieczce urządzonej przez Sejmik do zakładów doświadczalnych w Kisielnicy i Elżbiecinie (pow. łomżyński), tam zobaczyłem te wspaniałe łąny zbóż zasilonych nawozami sztucznymi i wstyd mi się zrobiło, że u mnie w polu rosną takie nędzne kłoski. Powiedziałem sobie wtedy — głupstwem jest, że synowie jednego z moich sąsiadów jeżdżą na rowerach, głupstwem jest, że córki mego drugiego sąsiada chodzą w kapeluszach i w jedwabnych bluzkach! Ja postanowiłem swoim sąsiadom zaimponować czem innym.

Rzuciłem więc w kąt narzędzia bednarskie i zabrałem się z zapalem do roli. W dzień pracowałem w polu, wieczorami czytałem książki i gazety rolnicze, a najwięcej interesowałem się nawozami sztucznymi. Wreszcie w jesieni udałem się do spółdzielni rolniczo-handlowej, której byłem członkiem, by zakupić odpowiednią ilość nawozów sztucznych. W domu obliczyłem sobie skromniejsze dawki, ale zajechawszy do spółdzielni zobaczyłem, że tam dużo jest takich mądrych i postępowych rolników jak ja, miałem nabyć 10 metrów nawozów, ale dowiedziałem się że inni biorą na takież gospodarstwa aż po 20 i więcej worków. Wziąłem więc i ja różnych na-

wozów za sumę około 600 zł. A ile się natłoczyłem zanim udało mi się te nawozy otrzymać, ciasno było jak w kościele, dla wszystkich nawet nie starczyło. Tylko dzięki uprzejmości p. Kamińskiego, kierownika spółdzielni, mogłem otrzymać potrzebną mi ilość nawozów. A iluż spółdzielnia pozyskała przy tej okazji nowych członków. Podpisywali podsuwane im deklaracje wcale ich nie czytając, nazajutrz zapominali nawet że zostali członkami spółdzielni.

Ale gdy miałem już rolę należycie uprawioną i nawiezioną, nie wypadało siał żyta, które było chyba jeszcze po dziadku. Będąc w mieście na targu wyczytałem na murach miasta ogłoszenie spółdzielni rolniczo-handlowej wzywające rolników, by się zaopatrywali w zboże siewne, które można w spółdzielni otrzymać na kredyt. Zapytałem o cenę, odpowiedziano mi że 59 zł. za metr. Zwyczajna kupiecka sztuka — pomyślałem — 59 zł. to taniej wygląda niż całe 60. Był to już drugi odsiew żyta Petkuskiego, nawet i kłoski się w nim znajdowały, a dowiezione było z najbliższego 5 klm. odległego folwarku. Znalazł się ktoś tak sprytny, że to samo żyto, sprzedane przez dziedzica żydowi, kupił u żyda za 35 zł. Ja zafundowałem sobie tego żyta całe 5 metrów — bo tyle mi było potrzeba do siewu — w spółdzielni, bo jakże być spółdzielcą, a kupować zboże siewne u żyda, nie wypada. Trochę mnie to jednak zabolalo, więc kropnąłem artykuł do Gazety Gospodarskiej, w którym zwymyślałem zarząd spółdzielni i owego pana dziedzica. Ale weksel na 300 zł. za wzięte na kredyt żyto w spółdzielni wystawiłem.

Działo się to w 1928 roku, a na wiosnę przyszłego roku nabyłem jeszcze owsa do siewu, nawozów sztucznych i pasz treściwych znowu za 300 zł. Mogę się nawet pochwalić, że nawozy sztuczne zastosować należycie umiałem, choć byli i tacy co sypali azotniak po koniczynie lub seradeli pod żyto, lub superfosfat na suchy piasek, co nazywali wszystko „popiołem”, nie znając ich właściwości, ani sposobu użycia, i ci się naprawdę tym „popiołem” sparzyli.

W roku 1928 powstała w naszej gminie gminna kasa pożyczkowo-oszczędnościowa. Było to znowu nowe źródło kredytu, z którego okoliczni rolnicy zaczerpnęli kilkanaście tysięcy złotych. Powołany zostałem na członka zarządu i skarbnika tej kasy.

W tym czasie prowadziłem rachunkowość systemem raportowym i mogłem zapoznać się z zasadami rachunkowości rolniczej. Długi moje w tym roku znacznie się zmniejszyły, a nowe długi, jakie zaciągałem, uważałem za takie, które mi się zwrócą ze znacznym zyskiem, gdy mi na polu obrodzi.

Powiedział kiedyś śp. Stefczyk, twórca spółdzielczości kredytowo rolniczej, że źle użyty kredyt jest dla ludzi takim samem nieszczęściem jak ogień i woda, niszczącym pracę i wysiłki ludzkie. Okazuje się jednak, że nawet i dobrze użyty kredyt nie dorobi człowieka. A nasze rolnicze społeczeństwo, brnąc w latach 1928 i 1929 w długi celowe i niecelowe, szło raczej do upadku, a nie do podniesienia się.

Kryzys gospodarczy

Rok 1929 zapoczątkował w życiu gospodarczem tak naszego kraju, jak i całego podobno świata, okres tak zwanego „kryzysu”. Wstępem chyba do tego kryzysu była surowa nad pamięć ludzką zima tamtoroczna. Jeszcze do nowego roku opowiadali sobie ludziska, że pewno już wcale w tym roku zimy nie będzie, tak było na świecie łagodnie, a nawet wprost ciepło. Zima rozpoczęła swe panowanie nad światem wraz z nowym rokiem dopiero.

Mieszkałem w licho zaopatrzonej obórcie, to też zima dała mi się mocno we znaki. Całe ściany i sufit były wprost pokryte szronem. Wstając rano musiałem codziennie rąbać siekierą wodę w kubie, zamarzało też mleko w dzieżkach. Miałem w pobliżu pięknie rosnący laszek olszowy, który wyciąć musiałem na opał, i paląc cały dzień ognisko, grzeliśmy się przy niem, za to w nocy ogarniały nas „cygańskie poty”. Najsilniejsze mrozy były w początku lutego. Cierpiał też od mrozów dotkliwie i dobytek. Ciężkie to było przetrwanie tak surowej zimy z drobnemi dziećmi. To był naprawdę prawdziwy „kryzys”, wśród którego na płacz mi się nieraz zbierało. Dzieci poprzębiały mi się i dostały kaszlu i jakichś uporczywych strupów. Na szczęście udało mi się przetrwać wraz z rodziną i dobytkiem tą pierwszą próbę kryzysu, choć było w okolicy kilka wypadków zmarznięcia i śmiertelnego przeziębienia wśród ludzi, a świnie i cieleta marzły i marnowały się wprost masowo. Widocznie u ludzi było jeszcze gorzej, niż u mnie.

Powiadają starsi ludzie, że po tęgich zimach bywają urodzajne lata. To też z wiosną w polu zaczęła dopiero rosnąć dla rolników pociecha. Moi sąsiedzi mieli też w tym roku urodzaje niezłe, ale daleko im było do mnie. Nie mogłem się nacieszyć widokiem swych zbóż i tu dopiero okazało się jak wielkie znaczenie miały obficie zastosowane nawozy sztuczne, no i żyto płacone po 60 zł. za metr. Zaczęła o mnie mówić cała okolica.

Byłem więc dobrej myśli i byłem pewny siebie, że w tym roku spłacę bodajże wszystkich dług, którego miałem wprowadzić około czterech tysięcy, ale też z wiosną zacząłem paść trzech dużych wieprzków, które były w tym roku w dobrej cenie, liczyłem na wychów dużego stada drobiu, a i moje zbiory zapowiadały się wspólnie. Zacząłem już myśleć o budowie domu i różnych ulepszeniach w gospodarstwie.

Zainteresowałem się konkursem ogłoszonym przez wydział Ekonomiki drobnych gospodarstw wiejskich Państwowego Instytutu Naukowego w Puławach i opracowałem plan organizacji gospodarstwa na lichym piaszczystym gruncie jaki sam posiadałem, opierając się na własnym doświadczeniu i wychodząc z założenia, że wszystkie brane dotychczas pod uwagę obliczenia i doświadczenia, dotyczące drobnego rolnictwa, brane są tylko z tych czołowych, wzorowych, a nielicznych może gospodarstw wiejskich, posiadających dobrą glebę i dogodne warunki gospodarowania. Celem też mojej pracy było zwrócenie uwagi miarodajnych czynników i na tę walczącą z życiem biedotą, która na drobnych działkach lichego gruntu żyć jednak musi. A takich przeciętnych gospodarstw mamy wszak w Polsce ogromną chyba większość.

Marzeniem moim było zwiedzenie Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu. Zostałem zaliczony w poczet uczestników wycieczki zorganizowanej przez Sejmik Powiatowy, liczącej 300 zgórą uczestników, i zacząłem się przygotowywać do podróży.

Pierwszego lipca wyruszył z Małkini specjalny pociąg wiozący naszą wycieczkę, a jechać nam wypadało przez Warszawę, Łowicz, Kutno, Konin, Koło, Słupcę, Strzałkowo i Wrześnię. W piękny pogodny dzień lipcowy miałem sposobność widzieć z okien wagonu duży obszar ziemi polskiej, bo wyjechawszy o świcie przyjechaliśmy do Poznania późnym wieczorem.

Krajobraz naogół niewiele różnił się od naszego mazowieckiego. Te same nędzne chaty kryte słomą i nieraz pochylone, chociaż bielone, także same wąskie zagony podobne do szeregu mogił, mieniące się nieraz różnokolorowym kwieciami chabru i łopuchy, także same nędzne żytki, a zamiast pszenicy całe pola miotły. Wyjątek stanowiły okolice Kutna i Łowicza — okolica tu zamożniejsza, widać się duże pola buraków cukrowych i wspólnie łąny zbóż.

Dopiero kiedy przekroczyliśmy granice dawnego zaboru niemieckiego, krajobraz zmienił się do niepoznania. Co najpierw rzuciła się w oczy rolnikowi, który nigdy nie wyjeżdżał poza granice

swej gminy i powiatu — to drogi, utrzymane we wzorowym porządku i wysadzone drzewami i to owocowymi. Nawet polne drogi w większych majątkach są również bite i obsadzone drzewami. Nie widać też nędznych chat o słomianych strzechach ani wąskich ukwieconych zagonów.

Aby opisać szczegółowo, co się widziało na wystawie w Poznaniu, trzeba by napisać niejedną grubą książkę. Nie można nawet było wszystkiego szczegółowo obejrzeć, chociaż bawiliśmy w Poznaniu pięć dni. Mnie i wielu innych najbardziej interesował dział rolnictwa, choć byli i tacy co się cały czas gapili na „wesołe miasteczko”, lub wesoło zabawiali się gdzieś przy kieliszku.

Tak się złożyło że obok pawilonu koni był na wystawie pawilon drobiu. Nasi gospodarze spędzali tam całe dnie — i pomiędzy końmi było zawsze ciasno, jak na jarmarku — mlaskając wprost językami na widok wspaniałych „arabów”, ale nie można było nikogo namówić do obejrzenia dostarczonego na wystawę drobiu. — Co? gapić się na kury! — mówił jeden i drugi — niech je tam baby oglądają. Ten ważny dział naszego gospodarstwa był tak dziwnie lekceważony i dosyć skromnie obesłany.

Wystawa Powszechna w Poznaniu miała być poniekąd przeglądem naszych sił i wartości materialnych i duchowych i dowodem naszych wybitnych zdolności do samodzielnego bytu państwowego. Na wystawie w Poznaniu mogliśmy poznać i podziwiać samych siebie i zaimponować obcym. I rzeczywiście, patrząc na te wspaniałe dzieła myśli i pracy polskiej, mógł każdy myślący obywatel zaczerpnąć otuchy i nabrać sił do dalszej pracy w swym zawodzie. Pobyt w Poznaniu i zwiedzanie wystawy i miasta były to niezapomniane i najpiękniejsze może chwile w mojem niezbyt wesołym życiu.

Ale wystawa w Poznaniu była naprawdę tylko „wystawą”, ale nie mogła być nazwana „powszechną” w całym tego słowa znaczeniu. Na wystawie mógł się przeciętny, drobny rolnik napatrzeć aż do zdziwienia, mógł się dużo dowiedzieć i niejedno zrozumieć, mógł się nawet rozerwać w troskach życiowych, ale wysnuć dla siebie jakichś praktycznych wniosków i nauczyć się czegoś na Wystawie nie mógł, bo tam nie widział samego siebie. Na wystawie były doskonale przedstawione: wielki przemysł i handel, doskonale reprezentowały swój dorobek instytucje państwowe i społeczne, nauka i sztuka, wszystko to jednak pochodziło z miast, z ośrodków przemysłu. Nie było zaś prawie zupełnie na wystawie wsi polskiej, nie tej szcze-

śliwej i wesołej, ale tej zapracowanej i smutnej. Dział rolniczy reprezentowało na wystawie rolnictwo wielkie, udział w wystawie drobnego rolnictwa był mniej niż skromny.

Gdy oglądałem wspaniałe okazy bydła i trzody chlewnej wystawione przez duże gospodarstwa wielkopolskie i pierwszorzędných hodowców z innych dzielnic, wypieszczone i wypasione, przychodziły mi zaraz na pamięć te nasze biedne krowiny utyłane w nawozie i żywione nieraz pod wiosną sieczką rzniętą ze słomy zdartej ze starego poszycia, a ryczące z radości na widok garści obierek przyniesionych przez gospodynię. Gdy oglądałem wspaniałe pawilony i stylowe budowle, luksusowe meble i inne naprawdę wspaniałe wytwory naszego przemysłu, przychodziły mi na pamięć te nasze niskie chaty, w których nierzadko mieszka drobny rolnik wraz z prosiętami i drobiem, przypominała mi się i moja własna chatka, w której ubiegłej zimy mróz ścinał mi w kamień wodę i mleko. Gdy patrzyłem na wspaniałe dzieła sztuki i przeglądałem wykresy i tablice rozwoju szkolnictwa i kultury, przychodziły mi na pamięć te nasze zacofane wioski, gdzie na 100 chałup niema ani jednej gazety, gdzie 90% ludności naprawdę czytać nie umie. Gdy przeglądałem tablice przedstawiające nasze ogromne zapasy zboża, nabiału, mięsa, które wywożąc zasypujemy nimi cudzoziemskie kraje, przypominały mi się te nasze rodziny chłopskie pędzące życie o wiecznym poście, niejadające nigdy obiadu i łaknące nieraz na przednówku kawałka czarnego chleba. I zdawało mi się wtedy, że ta wystawa jest tylko ładnym kwiatkiem, przypiętym do mocno zszarzałego kożucha.

I dochodziłem wtedy do przekonania, że obok tych tablic poglądowych i wykresów ilustrujących nasze bogactwa i nasze zdolności, które są naprawdę wielkie, powinny też być umieszczone wykresy naszej rzeczywistości, wykresy nędzy i ciemnoty gnębiącej wieś polską, aby społeczeństwo mogło sobie wyrobić jasny pogląd od czego rozpoczynać budowę rozpoczętego gmachu niepodległej Polski.

P.W.K. w Poznaniu spełniła jednak częściowo swe zadanie, bo przedstawiła nam dosyć wyraźnie dobrą stronę naszego życia publicznego.

W Poznaniu miałem możliwość spotkać rodaków z różnych dzielnic Polski. Pewnego razu wdałem się w rozmowę z gospodarzami z Poznańskiego, a gdy im powiedziałem, że nasza wycieczka składa się z trzystu osób i że mamy zabawić w Poznaniu cały tydzień,

dziwili się temu mówiąc, że musimy pochodzić gdzieś z bogatej okolicy, że sobie możemy na takie kosztowne wydatki pozwolić.

Poznań czyni wrażenie miasta schludnego i wesołego. Nie razi nagością murów, wszędzie pełno zieleni, drzew i kwiatów. Zwiedziłyśmy katedrę i wszystkie inne kościoły, oraz zwierzyńiec, park Wilsona i inne osobliwości miasta, a pod gmachem Uniwersytetu dokonane zostało pamiątkowe zdjęcie naszej wycieczki z p. Starostą na czele.

Zwróciło naszą uwagę i to, że Poznań pomimo ucisku niemieckiego zachował charakter miasta wybitnie polskiego. Naprawdę patrzyłem na szyldach i tablicach, czy gdzie nie spotkam niemieckiego nazwiska lub napisu, wszędzie same polskie nazwiska — a najwięcej różnych: Ratajczaków, Wachowiaków i t. p., niemczyzny nigdzie ani śladu. Nie widziałem też nigdzie w Poznaniu Żydów.

Wreszcie 8 lipca wśród ulewnego deszczu opuściliśmy wieczorem — unosząc miłe wspomnienia — Poznań. Było też w planie wycieczki zwiedzenie Gdyni i wybrzeża morskiego, nie doszło to jednak do skutku. W Warszawie zatrzymaliśmy się na jeden dzień w celu zwiedzenia osobliwości miasta stołecznego. Idąc z dworca Gdańskiego na Nalewki, zdawało się nam po wrażeniach poznańskich, że przyjechalśmy z Polski do Palestyny. W Warszawie zwiedziliśmy osobliwości stolicy: Belweder, Łazienki, Muzeum Narodowe i inne. Mnie najbardziej interesowało zwiedzenie Sejmu, który znałem dotychczas tylko z gazet. Rozsiedliśmy się wygodnie na fotelach poselskich, a jeden z urzędników sejmowych z trybuny objaśniał nam, gdzie zasiada który klub poselski, jak się odbywają głosowania i t. d. 10 lipca wieczorem byłem już w domu.

Lecz czekała mnie tu niezbyt pomyślna nowina. Już przed moim wyjazdem zaczęły zdychać kaczki i kury, a zanim powróciłem zostało tego zaledwie parę sztuk. Machnąłem jednak na to ręką, bo miałem pociechę w polu. Na moim piasku wyrosło żyto, że i w Poznańskim lepszego nie widziałem. W kilka dni po powrocie wziąłem się do żniwa, a zbieraniem za kosą mogłem zatrudnić dwie zbieraczki.

Nastaly upały. Pewnego dnia żona doniosła mi, że jeden z moich wieprzków nie chce jeść. Zmartwiłem się tem i natychmiast oddzieliłem chorego wieprza od zdrowych, a widząc że może mi zdechnąć, nazajutrz go zarznąłem. Po kilku dniach zachorował mi drugi wieprz, złapałem go czempredziej na furmankę i powiozłem do rzeźnika. Rzeźnik za chorego dał mi jak z łaski 120 złotych. Pozo-

stał mi trzeci najmniejszy i za tego otrzymałem 300 zł. Obliczałem dostać za wieprze conajmniej 1500 zł., a otrzymałem zaledwie 400 zł. Ot i masz! cały dochód z gospodarstwa djabli wzięli w ciągu jednego tygodnia.

Z całego dochodu gospodarskiego pozostało mi więc tylko zboże, ale pożal się Boże takiego dochodu. Żyto z 40 i więcej złotych na przednówku spadło na 16 zł. Za metr owsa do siewu trzeba było zapłacić 36 zł., a teraz płacił zaledwie 12 zł. a za metr nasienia seradeli co na wiosnę płacił 60 zł. mogłem dostać aż 8 zł.! Kryzys brał się więc odrazu dosyć ostro.

Ale na długi nie było kryzysu i one w swej wysokości nie tylko nie spadały, ale nawet rosły jak na drożdżach. Instytucje wierzyielskie przysłały mi upomnienia, w których było wyraźnie powiedziane, że dług musi być w całości spłacony, że o prolongacie nie może być mowy, bo termin płatności wypada po zbiorach, które wypadły w tym roku dobrze!

A tu urodź babo dziecię, jak babie sto lat! Obliczyłem że z dochodów swego gospodarstwa nie będę mógł opłacić nawet podatków i procentów, o spłacie długu znowu nie mogło być mowy. Nie wykupione w terminie weksle poszły do protestu, a niektóre nawet do sądu. Uzbierała się wcale pokaźna suma samych tych kosztów. To wszystko tak mnie znowu zgłębiło, że dostałem ataku choroby gnębiącej mnie już od szeregu lat. Położyłem się więc do łóżka i w pewnych momentach prosiłem o sprowadzenie księdza. Trzeba było pieniędzy na leczenie i na najemnika do pracy, a ten najemnik był wtedy drogi.

Takie przejścia nieraz już w swym życiu miałem, ale nigdy nie byłem tak obdłużony i zdawało mi się, że niema już dla mnie ratunku, że skazany już jestem na dożywotnie więzienie w zimnej i ciasnej obórcie. Zwątpiłem we własne siły i to omal że mnie nie zgubiło.

Postanowiłem wydzierżawić swe gospodarstwo i przenieść się na pewien okres czasu do miasta. Tam chciałem odpocząć, wyleczyć się z gnębiącej mnie choroby i przy tej okazji oczyścić się trochę z długu. Miałem się utrzymywać z otrzymanej dzierżawy i resztę dorabiać na rzemiośle bednarskim, a zdawało mi się, że to rzemiosło wtedy nieźle idzie. Wszak ludzie decydują się w pewnych momentach na samobójstwo, zdecydowałem się więc i ja na coś nieobliczalnego.

Gdy rozniosła się wiadomość, że mam wydzierżawić swe gospodarstwo, amatorów było bez liku, bo wszystkich nęcił mój wspólniały urodzaj tegoroczny. Wreszcie zawarłem umowę dzierżawną, mocą której miałem otrzymać corocznie 18 c.m. żyta — czyli 1 metr z morgi — i tyleż metrów gotowych ziemniaków przez trzy lata.

Wynająłem sobie w pobliskim miasteczku Zarębach mieszkanie i tam postanowiłem się przeprowadzić, a tymczasem wyprzedałem wszystek dobytek, zboże, paszę, pozostawiając sobie tylko ziemniaki, jedną krowę z mlekiem i potrzebną dla niej ilość paszy. Z tej wyprzedaży otrzymałem prawie trzy tysiące złotych i tyleż oddałem długu, pozostało mi jednak jeszcze do spłacenia zgórą tysiąc złotych. Dokonałem więc czegoś w rodzaju „cesarskiego cięcia” na mojem brzemieniu w długi gospodarstwie.

Takie moje posunięcie wywołało w całej okolicy duże wrażenie. Ludzie różnie sobie ten mój postępek tłumaczyli. Jednak nikt nie skrzywdziłem i nie zarwałem przy tej okazji i nikt mi nie mógł nic zarzucić.

W tym czasie spotkała mnie niespodzianka, której się najmniej spodziewałem. Napisana przeze mnie rozprawa na temat racjonalnej organizacji gospodarstw wiejskich, została przez sąd konkursowy odznaczona i nagrodzona pierwszą nagrodą w kwocie tysiąca złotych*).

Było to dla mnie nieszczęściem w szczęściu. Czulem się poniekąd zawstydzony i upokorzony. Ja, co umiałem sobie zawsze radzić i za swój plan pracy uzyskać uznanie i nagrodę ze strony wybitnych znawców życia gospodarczego, opuściłem swe gospodarstwo i poniekąd zbankrutowałem, zaprzeczając w ten sposób głoszonemu przez siebie pogłębieniu. A sprawa stała się odrazu głośną, pisały o tem wszystkie gazety. Postanowiłem się więc cofnąć, co mi łatwo przyszło, gdyż z mego dzierżawcy zaczęto się głośno śmiać, że zgodził się na warunki, których nie będzie mógł dotrzymać i ten był skłonny do rozwiązania zawartej umowy.

Przeniosłem się tymczasem do Zaręb i mieszkałem tam cały miesiąc, gotując się do powrotu. Mieszkałem w domu, gdzie mieściła się poczta, i miałem tę jedną wielką wygodę, bo codziennie mogłem otrzymywać gazety. Pewnego razu, gdy przywiozłem sobie ze swe-

*) Nagroda równa pierwszej, została dana autorowi niniejszego poza konkursem: szczegóły w przedmowie do Nr. 21 serji prac społeczno-gospodarczych Biblioteki Pułaskiej (przyp. I. G. S.).

go gospodarstwa furę seradelanki i nosiłem ją na poddasze domu, gdzie mieszkalem, a przy tej pracy zakurzyłem się i zabrudziłem, całe miasteczko zostało poruszone, gdyż wjechał na rynek wytwor-ny samochód, którym jechali jacyś panowie, pytając się o mnie. Wskazano im gdzie mieszkam, a gdy na zawołanie wybiegłem, poznałem w jednym z tych panów, ku memu wielkiemu zdziwieniu i wprost przerażeniu, pana profesora Staniewicza, ministra reform rolnych w towarzystwie innego bardzo zacnego pana z długą poważną brodą, którego nazwiska się nie dowiedziałem.

Rozmowa krótko trwała, bo naprawdę czułem się jak winowajca przed sądem i w krótkich słowach nie umiałem swego postępowania wytłumaczyć. Potem dowiedziałem się, że ci panowie obejrzeli już moje gospodarstwo, że wypytywali sąsiadów o moje prowadzenie się i powód wyprowadzenia się ze wsi.

Gdy ochłonąłem z pierwszego wrażenia, pomyślałem sobie jednak, że stała się rzecz słuszną i pożądana, że dobrze jest gdy najwyżsi dostojnicy w Państwie znać będą nie tylko Paryż i Genewę, a w swym kraju nie tylko to co jest na pokaz i wystawę, ale i tę twardą rzeczywistość życia — tego o dno nędzy nieraz opartego życia wsi polskiej. Niedarmo Kazimierz król chłopów, co to w przebraniu podróżował i by poznać życie chłopów nocował w jego chacie, zasłużył sobie na przydomek Wielkiego w historii.

Nie mówiłem nikomu co to za goście mnie odwiedzili, ale dowiedziano się o tem podobno od szofera prowadzącego samochód, to też patrzyły się na mnie wszystkie oczy, a komendant miejscowego posterunku przeprowadzał nawet dochodzenie, badając mnie dosyć skrupulatnie w tej sprawie.

W kilka dni po wizycie dostojnych gości, byłem już znowu na wsi. Otrzymany tysiąc złotych pomógł mi do nowego zagospodarowania się, które musiałem rozpoczynać poraz niewiem nawet który.

Z wiosną 1930 roku ukazała się nakładem Państwowego Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach, napisana przeze mnie książka: *Gospodarstwo na piaskach*, która spotkała się z przychylną oceną w pismach rolniczych. Taką przychylną ocenę uzyskała książka w omówieniu „książki rolniczej” działu rolnego Polskiego Radja. Ta pierwsza udana próba zachęciła mnie do dalszej pracy pisarskiej. W całym szeregu artykułów związanych z życiem wsi starałem się oświecić je z dołu, z tego punktu widzenia, na którym stałem.

Z tego pierwszego starcia z kryzysem, w którym omal nie zostałem położony na obie łopatki, wyniosłem jednak trochę praktycznego doświadczenia, stałem się ostrożniejszy i tę zasadę oszczędności i samowystarczalności w gospodarstwie starałem się głosić i rozpowszechniać.

Rok 1930 był dla mnie rokiem ciężkiej i wytężonej pracy. Moje warunki życiowe znacznie się w tym roku poprawiły. Najważniejszym dla mnie zdarzeniem było to, że odzyskałem znowu zdrowie, które mi cały szereg lat nie dopisywało. Trafiłem wreszcie na lekarza, który mnie gruntownie wyleczył. Powiódł mi się nieźle w tym roku dobytek i poczułem znowu grunt pod nogami.

Rok ten dla rolnictwa był w naszej okolicy niezbyt pomyślny. Pierwsze półrocze był to okres niebywalej suszy, oziminy wyrosły wprawdzie nieźle i dały się sprzątnąć pogodnie, ale po żniwach przyszły wielkie ulewy, które zniszczyły zupełnie jarzyny. Co z powodu suszy nie urosło, to potem od deszczu zupełnie zgniło i porosło. Podczas kopania ziemniaków kładłem żonę w brzozy dwie grube deski, na których dopiero stojąc mogła kopać ziemniaki.

W grudniu 1930 roku powołany zostałem na członka zarządu Kasy Stefczyka w Małkini i w tym miesiącu odbyłem w Białymstoku kurs rachunkowości spółdzielczej.

W styczniu 1931 nabyłem w nadleśnictwie państwowem drzewa na budowę domu na warunkach kredytowych. Nie miałem wprawdzie gotówki na kupno drzewa, nie miałem jednak i zbyt uciążliwych długów, a długów prywatnych nie miałem zupełnie. Mieszkanie w obórcie już mi się sprzykrzyło, a ponieważ wzrastało w okolicy moje znaczenie ze względu na mój coraz szerszy udział w pracy społecznej, byłem poniekąd zmuszony brać się do budowy domu. Miałem zresztą pokaźną już ilość inwentarza żywego i zdawało mi się, że będę mógł w terminie spłacić zaciągnięte zobowiązanie. W ciągu lata wyrznąłem nabyte drzewo na materiał budowlany, a z różnych obrzynków i odpadków miałem jeszcze sporo materiału do rzemiosła bednarskiego, które w tym roku dodatkowo prowadziłem.

Rok 1931 pod względem stanu pogody i urodzaju był znowu bliźniaczko podobny do swego poprzednika. Tak samo suche lato, a mokra jesień dały się rolnikom we znaki. Oziminy nie można było wprost zasiać, bo codziennie padały deszcze i pola były zalane wodą, a ziemniaki trzeba było poprostu kąpać po wykopaniu. Na polu pozostały niesprzątnięte potrawy i niezaorane i nieobsia-

ne dostatecznie obszary. Dał się też odczuć dotkliwy brak paszy i widać było pod wiosną dużo obdartych z poszycia budynków, a to poszycie użyte zostało na sieczkę dla inwentarza.

W jesieni 1931 roku napisałem nowelkę z życia spółdzielczego na wsi pod tytułem: „Jarmark w Ślepowronach”, która została odznaczoną na konkursie i zamieszczoną w Kalendarzu Spółdzielczym „Zjednoczenie” na 1932 rok. Od tego czasu stałem się stałym współpracownikiem Czasopisma Spółdzielni Rolniczych, które w ciągu dwóch lat ostatnich zamieściło około stu napisanych przeze mnie artykułów na temat spraw społeczno - spółdzielczych i gnębiącego wieś naszą kryzysu gospodarczego.

W grudniu 1931 roku byłem komisarzem spisowym w powszechnym spisie ludności, tę samą czynność sprawowałem też i w roku 1921. Zostałem także korespondentem Głównego Urzędu Statystycznego. W tym samym roku byłem też powołany na członka Rady i Zarządu Okręgowego Towarzystwa Organizacji i Kółek Rolniczych w Ostrowi Maz. oraz na członka Rady Okręgowej Związku Rewizyjnego Spółdzielni Rolniczych w Białymstoku.

W miarę jak rozszerzało się moje pole pracy społecznej, działając w pośród szerokich kół społeczeństwa wiejskiego, miałem też możliwość wejrzeć w tajniki naszych bolączek chłopskich i wyrobić sobie pewien sąd co do istoty gnębiącego wieś naszą kryzysu gospodarczego, uzupełniony doskonale własnem doświadczeniem. Poznać i doświadczyć naprawdę kryzys mogłem dopiero w roku 1932. Urodzaje ozimin zapowiadały się i tak nieszczególnie, bo zasiewy były dokonane późno i nieraz w błoto. Aż tu w dniu 14 czerwca przeszła nad naszą okolicą burza gradowa, która zniszczyła zasiewy zbóż prawie w 100%. Po przejściu burzy pola przedstawiały jakby jedno cmentarzysko, rozległy się płacze i narzekania. Pierwszy raz w życiu widziałem tak smutne pobożowisko gradowe. Spróbowałem zaorać zniszczone pola i obsiać je gryką lub łubinem na przyoranie, ale akurat za miesiąc przeszła druga burza jeszcze gwałtowniejsza i zniszczyła i te powtórne zasiewy. Całe pola zamieniły się w czarny ugór uprawiany pod oziminy. Ocalały z pogromu tylko ziemniaki, które naogół dobrze obrodziły, ale były niesmaczne dlatego, że późno zaczynały rosnąć. Jako uzupełnienie tej klęski przyszedł pomór świń. Miałem pięcioro ładnych świń, pokładałem w nich dużą nadzieję i wszystkie padły mi ofiarą klęski. Teraz to był dopiero prawdziwy kryzys i prawdziwy obraz nę-

dzy można było spotkać nietylko u mnie, ale w każdej chałupie w tutejszej okolicy.

Przekonałem się, że klęska gradobicia dotkliwszą jest nawet od pożaru. Bo gdyby mi się spaliła stodoła, mógłbym za otrzymane odszkodowanie pogorzelowe pobudować drugą, a tymczasem miałbym chleb dla rodziny i paszę dla inwentarza. A tak wszystko w ciągu kilkunastu minut zginęło.

I znowu stanąłem wobec zagadnienia niewypłacalności. A tu miałem do spłacenia dawne długi i dług za drzewo w Nadleśnictwie i podatki i najniezbędniejsze wydatki domowe. Powiedziałem jednak sobie, że taka już widać chłopska dola, że co rok to musi mnie spotkać nie jedna ale i kilka klęsk naraz, lecz nie myślałem już o opuszczeniu gospodarstwa jak przed trzema laty.

W kilka godzin po gradobicu zjechał na miejsce wójt gminy, który powołał komisję w celu dokonania szacunku szkód. Po kilku tygodniach zjechał znowu pisarz gminny i przeprowadzał bardzo dokładną rejestrację wszystkich poszkodowanych z uwzględnieniem stanu majątkowego, liczby osób, zadłużenia i potrzeb gospodarczych. Ludziska liczyli na otrzymanie jakichś zapomóg czy choć na ulgi w podatkach. Gmina nad tą rejestracją pracowała całe trzy miesiące, wypełniając sprawozdania w niezliczonej ilości egzemplarzy i rozsyłając wszystkim urzędom. Sam tę pracę widziałem i podziwiałem.

Tymczasem zamiast spodziewanych zapomóg czy pożyczki na zasiewy, otrzymali poszkodowani z Urzędu Skarbowego „upomnienie” wzywające do płacenia podatków. Jako prezes kółka rolniczego zwróciłem się do Urzędu Skarbowego o rozłożenie na raty, czy umorzenie podatków i otrzymałem odpowiedź odmowną. Urząd Skarbowy powołał się na jakieś tam paragrafy ustawy, w myśl której, ponieważ nie został powiadomiony o klęsce w ciągu dni czternastu po wypadku, nie może prośby naszej uwzględnić.

Zrobiłem duże oczy ze zdziwienia. Wszak gmina sporządziła całą furę oszacowań szkód i odległy o 14 klm. Urząd Skarbowy nie mógł się o klęsce dowiedzieć!

Nadleśnictwo również skierowało sprawę do sądu i za 750 zł. wartości drzewa urosło mi zgórą 200 zł. procentów i kosztów sądowych i tam nic o klęsce nie wiedziano. A w całym powiecie ostrowskim takich spraw skierowanych przez Nadleśnictwa do Sądów i komornika było około tysiąca.

Nie miałem jednej ćwiartki żyta na chleb ani do siewu z własnego zbioru, tyleż mieli i moi sąsiedzi. Ostatnim wysiłkiem obsiało się jakoś choć niedostatecznie pola na zimę, a za pożywienie służyły cały rok tylko ziemniaki gotowane dwa razy dziennie. Obiadu się nie gotowało i nie jadło nigdy, a chleb bywał tylko gościem i to w uroczyste święta. Tak było u mnie, tak a może i gorzej było u niektórych moich sąsiadów. Ludziska wyglądali jak „zamorzone koty” — moje dzieciaki cierpią z tego powodu na małokrwistość i blednicę. Na przeżywanie dobytku obdarłem ze stodoły stare pozyszcie. A działo się to wszystko w 1932/3 roku, wtenczas gdy uczeni, ale i syci ekonomiści głowili się jak zwalczyć nadprodukcję i usunąć nadwyżki zbożowe, „ciążące” nad naszym życiem gospodarczym.

Gorzej było gdy zaczęła się zbliżać wiosna, a tu nie było czym żyć do nowych zbiorów i czym obsiać pól. Po naradzie — na zebraniu kółka rolniczego — postanowiliśmy wysłać delegację wprost do Ministerstwa Rolnictwa i tam przedstawić trudne położenie tu-tejszej ludności z powodu klęski gradobicia, oraz prosić pana Ministra o ulgi podatkowe, o ulgi w spłatach za drzewo w nadleśnictwach i o pożyczkę na zasiewy wiosenne, choćby w zbożu z Państwowych Zakładów Przemysłowo - Zbożowych.

Jednym z delegatów byłem ja. Opracowałem na piśmie obszerny memoriał celem złożenia go p. Ministrowi. Miałem też znajomego posła — sławnego rolnika z powiatu łukowskiego — p. Bogdanowicza i ten poszedł z nami do Ministra, gdzie my prosić chłopci mogliśmy poprostu zabłądzić.

Po dwudniowym oczekiwaniu zostaliśmy wreszcie przyjęci przez wiceministra p. Karwackiego. Podanie na piśmie poparliśmy wymownymi słowami i szczeremi — a nie udanymi — wprost łzami, przedstawiając istotny stan rzeczy. Pan wiceminister przyjął podanie i obiecał je rozpatrzyć i załatwić. Z tem powróciliśmy do naszych mocodawców.

W kilka tygodni później otrzymałem z Ministerstwa pismo z zawiadomieniem, że sprawa udzielenia nam pożyczki na zasiew została skierowana do Państwowego Banku Rolnego, gdzie się mamy zwracać o dalsze informacje w tej sprawie. Ale gdy się o te informacje zwróciłem do Państwowego Banku Rolnego, otrzymałem stamtąd krótką a węzłową odpowiedź: — Państwowy Bank Rolny żadnych kredytów nie udziela i podanie nie może być uwzględnione. Odnośne pisma Ministerstwa Rolnictwa i Państwowego Ban-

ku Rolnego schowałem sobie na pamiątkę, a stanowią one ciekawe dokumenty tej opieki nad rolnictwem ze strony władz.

Załatwione zostało również odmownie nasze podanie w sprawie ulg w spłatach w nadleśnictwach za drzewo, a Urząd Skarbowy w odpowiedzi przysłał nam kilkaset „upomnień”!

Po odczytaniu tych krótkich odmownych odpowiedzi rozgoryczenie wśród zbiedzonej ludności było wielkie. Nie chodziło tu przecież o wielkie sumy, bo była to kwestja kilku wiosek. Kilka tysięcy złotych udzielonej pożyczki na zasiewy wiosenne, czy kilkaset złotych umorzonych podatków, to drobiazg w skali państwowej, a za pomoc okazaną w ciężkiem nieszczęściu obowiązywałyby nas musiała wdzięczność względem Państwa i Rządu.

Nie mając gotówki na kupno innego zboża kupowaliśmy łubin, bo ten był bardzo tani — i obsiewało się nim całe pola. Dopiero w połowie maja, za wstawiennictwem miejscowego starosty, udało się uzyskać w Państwowym Banku Rolnym kredyt siewny. Było i to wielką choć spóźnioną pomocą.

Teraz dopiero poznałem naprawdę co to jest kryzys i mogłem dużo na ten temat napisać i powiedzieć.

W listopadzie 1932 roku Wydział Rolny Polskiego Radja zaprosił mnie wraz z innymi do konkursu na opracowanie pogadanki rolniczej do wygłoszenia przez radjo. Opracowałem więc odczyt pod tytułem: „Hodujmy owce”. Został on przez komisję konkursową wyróżniony i nagrodzony. Dnia 29 stycznia 1933 roku stanąłem przed mikrofonem radjostacji warszawskiej w celu wygłoszenia odczytu.

Byłem dumny z siebie i jednocześnie onieśmielony tem, że ja chłop - rolnik w samodziłowej wełnianej kapocie mam przemawiać przez radjo. A wiedziałem, że w mojej okolicy wszystkie odbiorniki radjowe będą obleżone przez ciekawych, chcących usłyszeć swego sąsiada - chłopą przemawiającego przez radjo.

Całość wypadła dobrze, bo mówiłem z przekonania i z własnego doświadczenia, mając w swem gospodarstwie ładne stadko owiec. Widocznie że mego odczytu o owcach, o ich pożywnem mięsie i ciepłych kozuchach, słuchali z uwagą także złodzieje, bo w niedługim czasie potem dobrali mi się do obory, wybrali co najlepsze maciorki, w pobliskim lasku rozpruli im brzuchy, wypuściwszy wnętrzności i jagnięta, a mięso i skóry zabrali. Było to na trzy dni przed pokazem urządzanym przez Białostocką Izbę Rolniczą, na który

swe owce miałem dostarczyć. Do całego szeregu nieszczęść, których mi w życiu nie brakło, przybyło jeszcze jedno.

Rok 1933 był rokiem wprost dziwnym pod względem klimatycznym. Lato niewiele się różniło od zimy, ciepła nie było prawie zupełnie, a jednak urodzaj, zwłaszcza ozimin, był w naszej okolicy lepszy od średniego. Ale tych „dobrych” zbiorów nie wystarczy na pokrycie zaległych podatków, procentów, upomnień i t. p. rachunków, bo w roku klęski gradowej nikt nie nie płacił. Niema więc mowy o poprawie na najbliższą przyszłość.

Każdy najchętniej mówi o tem, co go boli. Że sam odczułem i poznałem dobrze kryzys, staram się dowiedzieć co o nim myślą ludzie uczeni — ekonomiści i znawcy życia gospodarczego, a w pogawędkach, toczonych w długie wieczory po wiejskich chałupach, mogę się dowiedzieć co o kryzysie myśli i mówi nasz szary tłum wiejski. Reszty mogę się domyśleć z obserwacji życia wiejskiego i z własnego doświadczenia.

Śmiem powiedzieć, że poglądy uczonych ekonomistów na istotę i przyczyny kryzysu gospodarczego są często mylne, a nawet są dla całości życia gospodarczego szkodliwe, gdyż w myśl tych poglądów kierowana jest nasza polityka gospodarcza. Powiada się więc, że kryzys powoduje nadprodukcję produktów rolnych i czyni się wszystko, aby jaknajwięcej naszego chleba, mięsa, nabiału wywieźć zagranicę. A jak się w rzeczywistości przedstawia owa nadprodukcja. Już do Nowego Roku pozostają puste stodoły i chleb na wsi jada się tylko po żniwach, bo wszystko musi być sprzedane zaraz po żniwach na podatki i najniezbędniejsze chociażby wydatki. Mięso jada się tylko w uroczyste święta, jaja, nabiał, wszystko to idzie na sprzedaż. Niema w Polsce nadprodukcji, a jest tylko powszechne niedojadanie.

Oburzamy się, że tam gdzieś w Ameryce topi się pszenicę i pali kawę, a mleko wylewa się do rynsztoków, a my radzimy sobie w ten sposób, że oddajemy nasze produkty rolnicze cudzoziemcom darmo, a nawet na dopłaty do tego wydajemy jeszcze bajeczne sumy.

Taksamo jest i z nadprodukcją w przemyśle. Wytwory naszego przemysłu są za drogie, byśmy my chłopci mogli je nabywać. Wypycha się więc wszystko za granicę po śmiesznie niskich cenach, a straty stąd powstałe skartelizowany przemysł pokrywa kosztem wewnętrznego spożycia. A wszak żyjemy w warunkach prawie pierwotnych, tak bardzo dalecy jesteśmy od owego „minimum” egzy-

stencji kulturalnego człowieka. Wystarczy przejść po naszych chałupach wiejskich, by się przekonać, że w niejednej niema zegara, ani stołu, że brak tam łyżek i talerzy, że jada się wszystko z jednej misy, dla ludzi i dla dobytku gotuje się w jednym garnku, że dzieńne ubranie służy w nocy za poduszkę lub za okrycie. To nie są stare jakieś dzieje z przed kilkudziesięciu lat, to są rzeczy dzisiejsze.

Dzisiejszy porządek życia wiejskiego — a mam tu na myśli porę zimową — jest taki: spać idzie się o zmroku i leży się do rozwidnienia, a więc nawet czternaście godzin, o dziesiątej jest śniadanie — kartofle z postną kapustą, — o zmroku kolacja — znowu kartofle, — dobrze jeśli kto ma do nich trochę mleka, i potem już znowu następuje spanie. Tak się postępuje, aby zaoszczędzić nafty, jedzenia i opału. Czasem przy smrodliwej lampce toczy się pogawędka, w której zazwyczaj narzeka się na Polskę i na Rząd.

Za droga jest nafta, więc idzie się spać wraz z kurami, za droga jest szyba w oknie, więc ją się zatyka starym workiem, gdy zostanie zbita, dziurawy garnek zatyka się watą lub szmatą, by nadal gotować w nim strawę, a że za drogie są buty i ubranie, więc chłop dziczeje, nie pokazując się nieraz cały rok Panu Bogu w kościele, ani ludziom.

A tymczasem robotnik miejski nie ma pracy i znowu znosi takie same, jeśli nie gorsze katusze życiowe. Ale zorganizowanym w kartelach przemysłowcom nieźle się tymczasem powodzi i pomimo trwającego kryzysu ich „oszczędności” w zagranicznych bankach stale wzrastają.

Z punktu widzenia interesu szerokich rzesz ludności wiejskiej, a zarówno i miejskiej, potrzebne jest zaprowadzenie równowagi w życiu gospodarczym — zrównanie cen produktów rolniczych z wytworami przemysłu. Wtedy wieś będzie mogła je nabywać i żyć więcej kulturalnie, a robotnik miejski będzie miał pracę. Kartelizacja przemysłu i śrubowanie cen przez kartele, a jednocześnie sztuczne podnoszenie cen zboża drogą dopłat ze Skarbu Państwa, to są rzeczy, na których rozumieją się tylko różni „ciężko” nauczeni ekonomiści, no i dyrektorzy skartelizowanych fabryk, bo my chłopie tego rozumieć nie możemy. Zamiast oddawać darmo nasze zboże, mięso, cukier cudzoziemcom, zjedzmy je sami. Polska z jej 32-miljonową ludnością to dziś najpewniejszy rynek zbytu, tak dla rolnictwa, jak i dla przemysłu.

Spotkać się też można często ze zdaniem, że kryzys w Polsce jest skutkiem kryzysu ogólnoswiatowego. I to jest nieprawda. Ame-

ryka ma podobno za dużo pieniędzy, dusi się pod ciężarem złota i znosi z tego powodu kryzys, u nas znowu w Polsce, a zwłaszcza na wsi, — nawet dziecko zgodzi się na to, że gdybyśmy mieli pieniądze, nie byłoby kryzysu. To jest dowodem, że kryzys nie wiąże nas z innymi krajami. Nieraz też rozmawiają sobie ludzie na wsi, gdzie to się podziały pieniądze. Jeszcze parę lat temu za jakieś bydlę czy wieprzaka można było wypchać kieszeń pieniędzmi, gdy dziś o nie tak trudno. Odpowiedzieć na takie pytanie nietrudno. Pieniądz jest rzeczą nadzwyczaj płochliwą, ucieka przed każdym powiewem niepewności. Aby go nie spłoszyć, trzeba utrzymywać równowagę w życiu gospodarczym, a nasze społeczeństwo tej równowagi zachować nie umiało.

Niedawne to lata gdy to było dużo pieniędzy i łatwy kredyt. Od chałupy do chałupy chodzili różni sprzedawcy i namawiali ludzi do kupna na kredyt. I ogarnęła wtedy naszych ludzi jakaś dziwna gorączka, jakiś wyścig pożyczania i kredytowania, a że były pieniądze i kredyt — więc i wyścig mody w strojach, zwłaszcza u kobiet i młodzieży.

Ja, piszący te słowa, zadłużyłem się wtenczas na kupno gruntu, na nawozy sztuczne i na zboże siewne, a byli i tacy co się zadłużyli niepotrzebnie. Jeden gospodarz w mojej wiosce mając dwie córki i dwóch synów dorosłych, nabył dla nich na kredyt za 1000 zł. materiału na ubrania. Upasie się dwa wieprzaki — powiedział — i dług się spłaci! A że to był gospodarz włókowy, więc córki jego z miny i ze stroju podobne były do paryżanek. Dziś ten gospodarz zwierzył mi się raz w sekrecie, że on i jego dwóch synów mają jedną parę butów, tak się dorobił na kredycie.

Inny znowu gospodarz nabył dla dwóch swoich synów rowery na kredyt za 700 zł. Chłopcy jeździli na rowerach po tańcach i odpustach i paradowali przed dziewczętami. Trzeba jednak było te rowery sprzedać, bo chciał je zająć komornik.

Takich faktów znam w swej okolicy bardzo wiele. Zadłużano się nieraz na rzeczy pożyteczne, ale też często i na rzeczy wprost zbędne. Doszło już do tego, że dziewczęta i kobiety wiejskie zaczęły po trzy buty na jednej nodze nosić. I nie byłoby w tem nic złego, gdyby to było wynikiem wzrastającego na wsi dobrobytu, ale było to niestety wszystko na kredyt. Zadłużyliśmy się więc nadmiernie. Zaciągnęliśmy długów daleko więcej niż jest w Polsce obiegowej gotówki, nie było czem tych długów spłacać. To też zaczęliśmy się lękać swego zadłużenia.

Ja sam się zląkłem swych długów i chciałem wprost uciec z gospodarstwa. Znany był w naszej okolicy wypadek, gdy pewien zamężny i stateczny gospodarz tak się przeląkł swych długów, że zobaczywszy w swem obejściu komornika, podpalił słomę w stodole i wskoczywszy w ogień spalił się żywcem. Wypadek ten wywołał w okolicy wstrząsające wrażenie. A takich objawów i wypadków było znowu wiele. Pieniądz zaczął się płoszyć i wycofywać z obiegu. Wszyscy wierzyciele zażądali zwrotu kapitałów, dłużnicy nie mogli się wypłacić ze swych zobowiązań, zaczęły się protesty i egzekucje. Nastąpiła ciasnota na rynku pieniężnym.

Trzeba dziś przywrócić zaufanie i odbudować kredyt w rolnictwie, używając go na przyszłość ostrożnie, a może to się przyczynić do złagodzenia kryzysu. Idące w kierunku oddłużenia rolnictwa ostatnie posunięcia naszego Rządu w formie Urzędów Rozjemczych i Banku Akceptacyjnego, jako słuszne i celowe, mogą się też znakomicie przyczynić do złagodzenia trudności kryzysowych. Niestety są jeszcze nieuregulowane należności Skarbu Państwa z tytułu zaległych podatków i należności za kredytowany budulec w nadleśnictwach.

Oprócz nadmiernego zadłużenia — to zdenerwowanie powojennego pokolenia, przechodzące nieraz w „owczy pęd” zaszkodziło naszemu rolnictwu także i pod innemi względami, przyczyniając się do pogłębienia kryzysu. Niezbędnym warunkiem powodzenia w gospodarstwie rolnem jest zachowanie pewnej rozważności. Rolnik nie może w swym zawodzie być zbankrutowanym graczem, który chcąc się odegrać stawia coraz to na inną kartę. Najlepiej gospodaruje ten, kto zawsze jednakowo gospodaruje i od tej zasady odstępować nam nie wolno.

Gdy kilka lat temu nieźle płaciła pszenica, rzucono się do jej uprawy i w wyniku była strata, bo pszenica zrównała się w cenie z żytem. W 1930 roku parka prosiąt kosztowała 100—150 złotych. Chciałem wtedy od swego sąsiada kupić do chowu taką parę niedużych prosiąt. Ugodziliśmy się na 100 zł. Tymczasem sąsiad ów rozmyślił się, że jest to cena jeszcze za niska, i zażądał 120 zł., wobec tego nie kupiłem prosiąt, a nabył je znowu inny sąsiad. Kupione prosięta chował cały rok akurat i wyrosły już na nieźle podtuczonych plewniaków, sprzedał je na targu i otrzymał 110 zł. A więc stracił 10 zł. gotówką i cały rok pracy i kosztu wychowu. Takich faktów było tysiące, z tego powstawał i wzbierał na sile kryzys, a powodem tego był „owczy pęd” do kupna prosiąt na wio-

snę 1930 r., kiedy to poprostu wrywano je sobie z rąk. Gdy na wiosnę 1930 roku prosięta zaczęły szalenie wprost płacić, rzucono się więc na gwałt do wychowu macior. W obejściu kilkumorgowego rolnika można było spotkać dwie lub trzy maciory. A skutek był znowu taki, że na wiosnę 1931 roku za parkę prosiąt można było dostać 2—5 zł.

W 1930 roku były w naszej okolicy nadzwyczaj tanie ziemniaki. Sam sprzedawałem je po 80 gr. za metr i sam byłem świadkiem, jak rozzłoszczony obywatel, gdy mu dawano 50 groszy za metr ziemniaków, wysypał je wprost na bruk, ku uciesze żydowskich kóz i dzieci szkolnych, które urządziły sobie z tego wielką zabawę w wojnę. Corocznie nad ziemniakami było dużo pracy, z pielieniem, z okopywaniem, z obredlaniem, a w tym roku sam powiedziałem: — Niech tam sobie rosną jak chcą, nie opłaci się nad nimi pracować przy cenie 80 groszy za metr! A skutku doznałem znowu takiego, że na wiosnę 1931 roku kupiłem kilka korcy ziemniaków po 12—14 złotych za metr.

To samo z nawozami sztucznymi, to samo było z końmi i z bydłem, to samo może się powtórzyć i w przyszłości. Takie fakty musimy sobie zanotować i zapamiętać, bo historia się podobno powtarza.

Jedną z przyczyn powodujących kryzys jak i przeszkodą w jego usunięciu jest brak organizacji zawodowej jak i politycznej na wsi naszej. Na ziemi naszej pasożytuje trzecia część międzynarodowego żydostwa i wciąż napływają nowe fale tego żywiołu. Stwierdziłem, że w przeciągu jednego tylko tygodnia Żydzi wykupili w moim powiecie 50 wagonów żyta, na czym zarobili na czysto zgórą 11 tysięcy złotych, a my nie mamy czem opłacić podatków. Cała praca rolnika objęta jest monopolem pośrednictwa. Gdy kilogram pszenicy kosztuje 18 gr., to kilogram bułki pszennej kosztuje aż 60 gr., gdy kilogram żyta kosztuje 12 gr., to kilogram chleba pytłowego 30 gr., gdy kilogram żywca wieprza kosztuje 80 gr., to kilogram wędliny kosztuje 2 zł. 50 gr., a więc koszta przerobu i pośrednictwa stanowią aż 200% wartości towaru wyprodukowanego pracą rolnika, na której on nic nie zarabia.

Zapewnić rolnikowi opłacalność pracy w jego zawodzie może tylko dobrze zorganizowana i odpowiednio nastawiona spółdzielczość rolnicza. Niestety ciąży nad tą ważną gałęzią pracy społecznej jakby jakaś klątwa niepowodzenia. Byłem od szeregu lat członkiem spółdzielni rolniczej - handlowej w Ostrowi Maz. Zdawało się,

że ma ona odpowiednie kierownictwo i dobrze prosperuje, a jednak upadła i członkowie muszą dopłacić znaczne sumy na pokrycie jej strat. Mówi się wprawdzie o założeniu nowej spółdzielni, jest ona tutejszemu rolniczemu powiatowi potrzebna, tak jak każdemu poszczególnemu rolnikowi potrzebne jest zdrowie, jednak wytworzył się taki nastrój, że narazie uruchomienie spółdzielni jest niemożliwe.

Od 1931 roku jestem kierownikiem tutejszej Kasy Stefczyka. Praca jaką podjąłem ratując od upadku tę placówkę spółdzielczą jest pracą nadzwyczaj ciężką i niewdzięczną. Znaczne oszczędności tutejszej ludności, ulokowane w poprzednio istniejącej tu Kasie Spółdzielczej, stopniały zupełnie w czasie inflacji, to też okoliczna ludność odnosi się do kasy z niedowierzaniem i nie chce lokować w niej swych oszczędności, chociaż pieniędzy wypożyczonych prywatnie i na wysoki procent wierzyciele też odebrać nie mogą. Trzeba kłkła lat pracy, by kasa mogła odbudować w okolicy utraczone zaufanie.

To też działalność swą kasa oparła na funduszach zaczerpniętych w Centralnej kasie. Niezależnie od kryzysu gospodarczego, okolicę dotknęła klęska gradobicia, prawie wszyscy pożyczkobiorcy nie mogą spłacać zaciągniętych długów, wobec tego za nużącą i bezinteresowną pracę otrzymuję co pewien czas od swej Centrali i Związku Rewizyjnego surowe napomnienia. Ratunek widzę obecnie w kredycie Banku Akceptacyjnego, który może pozwoli tak mnie jak i okolicznym rolnikom wygrzebać się powoli z biedy.

Główną przeszkodę w prowadzeniu pracy społecznej widzę w wielkim braku oświaty i czytelnictwa na wsi. Chłop nasz ciemny i nieoczytany poddaje się biernie swemu losowi, pozwala się wyzyskiwać i ogranicza swe wymagania kulturalne i życiowe do granic wprost nieprawdopodobnych, a w tem morzu powszechnej nędzy topią się też i najbardziej nawet uświadomione lecz uczciwe jednostki. Inaczej mówiąc, kto z działaczy wiejskich jest kandydatem na posła, na wójta czy inny dobrze płatny urząd, kto umie szachrować i krzyczeć, ten się wybija na wierzch, robi się zaraz „gładszym” od szarego tłumu, na tem jego działalność odrazu znać. Kto zaś chce iść z ludem, a nie przed ludem, ani nad ludem, ten musi pracę społeczną zaczynać od rozjaśnienia umysłów swemu otoczeniu. Taka praca daje tylko straty materialne, taki działacz majątku na swej działalności nie robi.

Rozpoczynając pracę społeczną w swej okolicy, skoro tylko mogłem się materialnie utrzymać jako tako na nogach, ze smutkiem stwierdziłem, że do mojej gminy posiadającej 10.000 mieszkańców przychodzi zaledwie 12 gazet. Tyle czytali chłopci, gdyż inteligencji miejscowej nie brałem pod uwagę. Wynająłem więc skrzynkę na pocztę i założyłem przy Kółku Rolniczym coś w rodzaju kiosku gazetowego, gdzie każdy może sobie kupić gazetę lub zaprenumerować, nie wchodziłem w to co tam kto chce czytać, byle czytał i oświecał się. Po dwóch latach takiej pracy rozchodzi się już co tydzień z moich rąk około 70 egz. różnych gazet tygodniowych. Naturalnie, że propaguję tylko pisma poważne, dobro wsi mające na widoku. Rozchodzi się także w okolicy około 200 egz. dwugroszowego spółdzielczego pisemka Zjednoczenie i corocznie 100 egz. takiegoż kalendarza.

Mniejsza już o to, że w ciągu dwóch lat dopłaciłem do tego przedsiębiorstwa jakieś 100 zł. gotówką, — co jest dla mnie dosyć ciężką ofiarą, — widzę już jednak duży zysk moralny i to mi sprawia duże zadowolenie. Ludzie stają się jacyś lepsi i chętniejsi, na zebraniach Kółka Rolniczego sala bywa zawsze przepełniona i widzę już, że ludzi tych będzie można do czegoś użyć.

Kółko Rolnicze, któremu przewodniczę, przejawia w ostatnich czasach ożywioną działalność. Wysłaliśmy delegację do Ministerstwa w sprawie ulg i pożyczki dla poszkodowanych przez gradobicie. Sprowadziliśmy nasiona warzyw na wiosnę, oraz zapoczątkowaliśmy uprawę żywakostu i buraków cukrowych. Z tych ostatnich wyrabiamy syrop cukrzany. Sprowadziliśmy cukier dla pszczół dla okolicznych pszczelarzy. Sprowadziliśmy ziemniaków oryginalnych „Wolmanów” do sadzenia, oraz żyto Wierzbickiego i pszenicy Wysokolitewki do siewu dla poszczególnych członków. Sprowadzono kilkadziesiąt drzewek owocowych. Co dwa tygodnie regularnie odbywają się zebrania członków, na których wygłaszane są odczyty i pogadanki. Urządzane były też wycieczki do gospodarstw najbardziej postępowo prowadzonych. W rocznicę 15-lecia niepodległości Kółko urządziło uroczystą akademję. Było też w planie sprowadzenie wagonu soli bydlęcej, jednakże sprawa ta rozbiła się o urzędowy biurokracizm. Zamierzamy też założyć Koło Gospodyń Wiejskich.

Do pracy w Kółku Rolniczym udało się wciągnąć miejscowe nauczycielstwo, które przychodzi nam z pomocą w wygłaszaniu referatów i pogadanek na tematy społeczne. Na wiosnę odczyt „o

nowym systemie uprawy roli" wygłosił znany rolnik wynalazca z pow. łukowskiego, poseł Bogdanowicz, specjalnie przeze mnie zaproszony. Odczyt wywołał wśród okolicznych rolników żywe zainteresowanie.

Dzielnym współpracownikom mam wśród miejscowych młodych rolników, uczniów szkół rolniczych. Członków Kółko liczy 60, chociaż na zebrania i odczyty przychodzi po kilkaset osób.

Jestem także prezesem parafjalnej Akcji Katolickiej, stoję zawsze mocno na gruncie Wiary, — w której widzę ostoję moralności i sprawiedliwości społecznej — bez względu na moje radykalne nieraz zapatrywania na sprawy społeczne.

Pracę kulturalno - oświatową w swej okolicy uważam w dzisiejszej dobie kryzysu za pracę przygotowawczą do poważniejszych poczynań, jeśli tylko sfolgują żelazne kleszcze kryzysu gospodarczego.

Z innych poczynań przytoczę jeszcze fakt, że otrzymałem z konkursu miesięcznika „Kainit” wagon tegoż kainitu jako nagrodę za wypracowanie konkursowe. Kainit rozsprzedałem częściowo członkom kółka rolniczego po niskiej cenie, w celu przeprowadzenia doświadczeń z tym tanim nawozem krajowego pochodzenia.

Gdy zmierzę rzutem oka ubiegły okres mego krótkiego życia, to widzę go nieustanną i ciężką walką i uporczywym borykaniem się z jego przeciwnościami. Niema może w mem życiu ani czynów nadzwyczajnych, ani też zasług wobec społeczeństwa, ale mam to moralne zadowolenie, że z tej walki wyszłem poniekąd obronną ręką, pomimo, że nieraz zdawało mi się, że jestem złamany i pokonany.

Mam gospodarstwo osiemnastomorgowe i choć to licha ziemia, jednak czarnego chleba i ziemniaków na swoją potrzebę mi starczy. Wybudowałem nowy dom mieszkalny i stodołę oraz jakie takie inne budynki gospodarskie. Z rodziną i z sąsiadami żyję dziś w przykładowej zgodzie, nie mam wrogów wśród swego otoczenia i mogę się pochwalić tem, że w ciągu czterdziestu zgórą lat mego życia nie sądził mnie jeszcze żaden Sąd nietylko karnie, ale nawet cywilnie. I choć mam też na swoją potrzebę długu, jednak ufam w pomoc Boską i we własne siły, że uda mi się je powoli wypłacić. Mam też czworo dzieciaków, i choć to jeszcze drobiazg, a nawet zanędzniony, może uda mi się to jakoś wychować i przekazać skromne mienie wraz z nazwiskiem.

Napisałem już około 200 artykułów, drukowanych w szeregu poważnych czasopism, zarówno pod własnym jak i pod przybranym nazwiskiem. W artykułach tych poruszałem sprawy społeczne jak i fachowe rolnicze.

W gospodarstwie mam jeszcze dużo do zrobienia. Staram się pouczać innych i sam zdobywać wiedzę i doświadczenie. Jestem, niestety tak przeciążony różnorodną pracą społeczną, że narażam nieraz swoje nawet najpilniejsze prace na zaniedbanie. Pozostaje mi tylko to moralne zadowolenie, że jak umiem służę dobru publicznemu.

Dn. 1 grudnia 1933 r.

Pamiętnik Nr. 7

Gospodarz na 10 hektarach
najpierw rolnik, potem ogrodnik
— w pow. bielskim

Do lat 17 pamiętnika nie pisałem, dlatego podaję tylko w skróceniu najważniejsze fakty i wydarzenia w swym młodym życiu. Pamiętam siebie z chwilą, gdy zacząłem paść woły swego ojca, miałem wówczas lat 8. Pasanka to rzecz bardzo ciekawa, przede wszystkim byłem zachwycony kolegami — koleżanek wówczas nie miałem i wogóle z „pisklami” nie mieliśmy do czynienia. Pierwszy raz wypędziłem woły i cielaka w towarzystwie ojca, który udzielił prelekcji zasadniczego pasania — „to łąka, tu puszczać woły niewolno, bo jest tu i nasza łąka, tu zboże, owies, jęczmień, też puszczać nie wolno, a będziesz paść tu na drodze koło zboża i na smugu również koło zboża, póki woły najedzą się, a wtedy przyłączysz się do reszty chłopców — a tu masz kawałek chleba” — i ojciec dał mi torbę naładowaną chlebem i plackami. Rozpocząłem żywot samodzielnego pastuszka, to nappełniało mnie dumą: bo jakże, teraz starsi bracia nie powiedzą mi, że jestem darmozjadem, próżniakiem. Fozostając koło wołów słyszałem jak opodal krzyczeli i wygwizdywali moje rówieśniki, niezadługo też przyłączyłem się do nich. Pastuszkowie obejrzelik dokładnik mnie i moją torbę, a nawet część wypróżnili i wszyscy orzekli, że wtedy zgodzą się ze mną pasać razem, jeżeli ja bezwzględnie będę ulegał ich rozkazom, a najbardziej być posłusznym Ostraszewiczowi Jankowi, ten jako o dwa lata starszy dowodził całą zgrają pastuchów. Na początku gorliwie wypełniałem rozkazy Janka, zwracałem woły od szkody, pozostawiałem przy wołach sam gdy pozostali spali, lub szturmy na ogrody i sady, rozniecałem ogień i podtrzymywałem jego istnienie — lecz niedługo to trwało, przez kilka tygodni moją funkcję wypełniał kto inny, a ja już ostatecznie zostałem przyjęty

w grono pastuchów. I co my wyrabiali: (teraz gdy to przypomnę myślę o swych dzieciach i aż dreszcze mnie przejmują), kradliśmy jaja, kury, gęsi, kaczki i przy pomocy starszych pastuszków gotowali to i spożywali.

Nie powiem żeby to było bardzo smaczne, albo byśmy byli głodni — nie to zachęcało nas do tego: opowiadanie już dorosłych chłopców jak oni robili, zupełna swoboda ruchów, brak jakiegokolwiek nadzoru nad nami i tylko... Prawda, czasami przychodziło się odpokutować za to, gdy ktoś skarżył nas o złodziejstwo, ale to były wypadki dość nie częste, bo zawsze składało się na innych kolegów, uniewinniając siebie. Niezawsze jednak wykręty pomagały i czas od czasu zawiązki fartucha, albo różga gwizdały po plecach, głowie, twarzy, bo trzeba prawdę powiedzieć, że ojciec mój mało wdawał się w te sprawy — najczęściej matka: ale to nic, grunt ażeby koledzy nie wiedzieli, że ja prosiłem się matki, lub płakałem.

Gdy nadchodziła już jesień, było jeszcze lepiej, korzystaliśmy wówczas z jabłek, gruszek i innych owoców narówni z właścicielami sadów. Kradzieży tych dokonywano nietylko w dzień, były wypadki wypadów nocnych, ale wówczas mieliśmy do pomocy kogoś ze starszych chłopców, a czasami poprostu byliśmy wykonawcami projektów starszych. Za trafne rozwiązanie zadań kradzieżowych wobec starszych pozostawaliśmy zuchami i bądź co bądź mieliśmy pewną zastronę, bo ten chłop już nie wypędzi nas z zabawy, z wesela, a czasami poprostu nie da, aby nas pobito przez silniejszych. W ciągu września zazwyczaj woły sprzedawano — byliśmy zupełnie wolni. W naszej wsi była szkoła. Jeszcze nie chodziłem do szkoły, a już naopowiadano mnie najrozmaitszych cudownych rzeczy. Nauczycielka jest bardzo zła, bije linijką po wyciągniętej dłoni i to nazywa się „łapą”, a takich łap „wsypano” po 5 sztuk i więcej. Stawia klęczeć na gryce lub grochu, daje do rąk cegły i tak stój człeku przez cały czas nauki. Pewnego razu powiada ojciec: „no synku, pójdziemy do szkoły”. Nigdy ojcu nic nie mówiłem, bo on tak mało wtrącał się do naszych spraw, że wydawał mi się okrutnie srogim, a czy był srogim, czy nie tego nie wiem. Weszliśmy do szkoły. Nauczycielka wypisywała na tablicy jakieś kreski tłumacząc ich znaczenie swym słuchaczom, ale słuchacze zdawało się zupełnie nie byli zaciekawieni owymi kreskami, gdyż nie chcieli oderwać oczu od nas, co szczególnie mnie nie podobało się, bo robiło się jakoś nieładnie, poprostu wstydzilem się. Ojciec wytłumaczył powód przybycia. Nauczycielka zgodziła się przyjąć mnie bez

żadnych zdarzeń, wskazała mi miejsce gdzie mam siedzieć i ceremonia przyjęcia była zakończona. W ten dzień była wykładana dla nowego oddziału matematyka; uczniaki przekładali pałeczki to tam to spowrotem — uczyli się liczyć. Przyłączyłem się do nich. Nauka trwała dość długo, bo oddziałów było aż trzy, a nauczycielka sama, oprócz tego każdy oddział tworzył „grupę”, co właściwie tworzyło sześć oddziałów. Gdy obejrzałem się pilniej po klasie, to zauważyłem, że sporo chłopców i dziewcząt jest mi znanych. Na tejże ławce co i ja siedział mój sąsiad Kozłowski Janek, opodał siedziałą Zukawszczanka, kilku dobrze znanych pastuszków i kilku — nastu mniej znanych chłopięcych głów. Wszystko to brzęczało najrozmaitsze rzeczy z książek i zeszytów, niektórzy pisali lub rachowali przerzucając pałeczki, niektórzy zaś pokryjomu zjadali chleb lub placki. Pauza. Nauczycielka wyszła, nakazując zachowanie ciszy i porządku. Jakby to było w samej rzeczy możliwe, bo gdyby nauczycielka nakazała nie zachowania ciszy, może wówczas jej pupile zrobiliby naodwrot i tym sposobem zapanowałaby cisza — wyjście nauczycielki zdawało się być hasłem do hałasu. Część uczniów powskakiwała na ławki usiłując naśladować sarnę w skoku, część podniosła walkę o jakieś pióra, drudzy znowu uważali się za najlepszych śpiewaków i tancerzy, trzeci zaś występowali jako siłacze — powiedziałem sobie, że w szkole jest dość dobrze. Nieprzyjemności od swych kolegów nie miałem, a to zawdzięczając starszemu bratu, który już był w ostatnim oddziale. Więc rozpocząłem naukę. Czytać i pisać trochę już umiałem, nauczyla mnie matka i brat ze starszego oddziału, ale prawdopodobnie było to niewystarczające, musiałem chodzić na studia do szkoły. Na drugi dzień w szkole byłem zapytany co umiem, okazało się, że umiałem już składać litery, więc już czytałem, z pisanem też mi łatwo poszło, w rezultacie zostałem przeniesiony do drugiego oddziału, co znacznie mnie wywyższyło w oczach uczniów. W tym dniu po pauzie była lekcja księdza. Przedtem mówiono mi o srogości księdza, ale w tym dniu przekonałem się osobiście, że ksiądz był o wiele gorszy od nauczycielki. Rozpoczął ksiądz lekcję od sprawdzania przeżegnania się, doszła kolej do Olesiuka Pawła.

Żegnaj się. Zaczyna. Wo imię Ojca, Syna i Świętego Ducha Amen. Ksiądz tłumaczy, że przed Ducha nie trzeba wymawiać i — Olesiuk powtarza dosłownie, że przed Ducha nie trzeba wymawiać i. Więc żegnaj się. „Wo imię Ojca, Syna i Świętego Ducha amen”. Mówiłem ci, że nie trzeba i — Olesiuk również powtarza, że nie trzeba i.

Ksiądz zły, zdenerwowany stara się wytłumaczyć pomyłkę Olesiukowi, lecz nie nie pomaga, ten zupełnie zgłupiał, za każdym krzyżem Olesiuk stawia swe fatalne „i”. Ksiądz biją pięć „łap”. Poraz pierwszy widziałem jak biją „łapy”. Bierze się prawą ręką uczniaka w lewą bijącego, a prawą ręką z całego rozmachu wybija się linijką łapę — inkwizowanie dość dotkliwe, po jednej takiej „łapie” puchnie dłoń, a Olesiuk właśnie dostał pięć, ale „i” nie opuszcza. Zaczęło się istne mordowanie. Na Olesiuka spadają razy linijką i pięścią po twarzy, głowie i plecach, połała się szczerza krew i wtedy ksiądz wypchnął swego „bogosłowa” za drzwi. W szkole zapanowała zupełna cisza, dzieci z przestachu odpowiadając jękali się, co ostatecznie zdenerwowało księdza i wyszedł nie mogąc, zdawało się, „dokończyć lekcji”. Ksiądz był mnie najstraszniejszy, nawet później obawiałem się spotkania z księdzem.

Nauczycielka była lepszą, miała wprawdzie przezwisko, nazywaliśmy bowiem nauczycielkę „sobaturką”, skąd powstała ta nazwa nie wiem, ale widocznie ona wiedziała o tem, skoro zawsze mówiła: „nie macie do mnie szacunku, wiem o tem skoro nie nazywacie mnie Panią nauczycielką, a tylko przezwiskiem”. Rozumie się, że większego wrażenia temi słowami nie robiła. Nauka poszła dość łatwo, czas od czasu odbierało się łapę, pozostawiano bez obiadów, a to było najgorsze, bo ojciec się dowie i możliwe lanie, co ojciec zazwyczaj nazywał „brzozową kaszą”, a nie byłem od tego, żeby pozostać na kolanach, takim sposobem nauka dotarła do kwietnia, a tego czasu rozpoczynały się zazwyczaj ferje letnie. Pomagało się sadzić kartofle, nawijać przędzę, nawijać cewki, bo to matka tkła rozmaite płótna, nosiło się zielsko dla świń, krwawnik dla indyków, roboty było moc — ale tak tylko potrafiłem zwiać, bo tylko głód potrafi zapędzić do domu.

W maju zazwyczaj rozpoczynała się znowu pasanka, bo zawsze wiosną sprowadzano z Kamieńca woły i te pasanki niczem się nie różniły od poprzednich, czasami tylko bywały ważniejsze wydarzenia. Tak pewnego razu pogналиśmy woły na dalszy kawałek łąki „Dubinę”, byliśmy tam cały tydzień, sami bezustanku pluskali się w wodzie łapiąc ryby i raki, a później delegaci przynosili z domu zapasy żywności wraz ze skradzioną u rodziców słoniną i jajkami. Prowizji wogóle nam nigdy nie brakło, a spaliśmy w pustych brogach po sianie. Pewnego dnia przed południem niebo raptownie zaczęło się chmurzyć, daleko gdzieś było słychać odgłosy grzmotów, jakoś nam wszystkim zrobiło się nieswojo. Robiliśmy krótką na-

radę, gdzie mamy się schować. Najlepiej byłoby w szopie, ale ktoś musi być koło wołów, a tu nikt nie chce, nawet na nic autorytet Janka — mocniejsi stanowczo odmawiają, młodszy stanowczo płaczą. Postanowiono pozostawać wszystkim koło wołów, bo zresztą było już zapóźno, że mocny był już wichur, a naprzeciw wichur trudno było dojść do szopy. Grzmoty były już bardzo blisko, błyskawice uporczywie jasnymi prostymi taśmami wyciągały się ku ziemi, a było wiadomem, że błyskawica, która bije wprost w ziemię, to znaczy, że św. Eljasz ciska kamieniami w jakiegoś grzesznika, albo w jego krowę lub budynek, a Pan Bóg doprawia to już ogniem. Mocniejsi z nas na duchu jeszcze udawali wesołość, ale niektórzy pocichu wymawiali słowa modlitwy, gotowi w każdej chwili rozplakać się, do nich należałem i ja. Starłem się wszelkimi siłami, by nie dać poznać, że jestem w strachu, bo wiadomo jak burza przejdzie a św. Eljasz nikogo nie zabije, to te, którzy się bali lub płakali, zostaną ośmieszeni raz na zawsze i na każdym kroku kolidy będą wytykać im tchórzostwo.

Zerwał się mocniejszy wichur, zwałił dach na szopie. Zachwycił całe garście piasku i cisnął nim po rozległych łąkach — rozpoczął gwałtownie ciskać św. Eljasz kamieniami. Woły widocznie też mieli stracha, bo zbiły się w gromadę i przerażająco ryczą, a tu grzmot za grzmotem, błyskawica rozdziera dużemi — dużemi płachtami niebo, Boże! dlaczego jestem tak daleko od domu, mnie tu piorun zabije i w domu nikt o tem wiedzieć nie będzie. Położyłem się twarzą na trawę, nie mogąc ze strachu podnieść głowy, lecz niedługo leżałem, od ulewnego deszczu cała łąka stała w wodzie, musieliśmy się przenosić na inny kawałek łąki, co uczynili, ale wtedy jak uważaliśmy, że grzmoty już są poza nami. Niedługo też niebo zaczęło się wyjaśniać, zebraliśmy woły i nawskroś mokrzy i zziębnięci popędzili woły do domu. Idąc do domu myślałem, że już tam napewno sądzą że ja nie żyję, a tu ja jeszcze zuchem wracam do domu. Wszedłem do izby, pada pytanie: „Nu i co, miałeś pietra? — A ot i nie. — „E miałeś, miałeś napewno, niech tylko mama obejrzy spodnie”. Udałem że jestem zły i nie raczyłem odezwać się.

Nie było to jedyne straszne przeżycie, było ich więcej. Pewnego razu kazali mi pędzić woły „za cerkiew”. Tam niechętnie pędziłem, bo gorzej było paść, trzeba jak zawsze wypędzić ledwo świt, a noc tak mała, ale komu to nieznana czerwcową noc? — ledwie się położyysz gdzieś w słomie, a tu już każą wstawać. Początkowo matka budzi delikatnie: „Pawlik, wstawaj, już czas” — nie, jeszcze choć

pospać troszeczkę, nu choćby z otwartem jednym okiem, ale gdzieś tam, już krzyczą, „a wstaniesz ty czy nie”, to hasło że należy wstawać natychmiast, w przeciwnym bowiem razie „lanie”. Zabieram woły i chwiejnym sennym krokiem pędzę „za cerkiew”. To było najgorsze, bo tam niema już kolegów, a jeśli i są, to każdy pasą swoje, bo wąskie pola szachownicy, a co zatem, wąskie kawały ugoru nie pozwalają paść w skupieniu. Póki słońko jeszcze nie przygrzewa, to stoisz sobie i chociaż spać się chce, ale jest jeszcze chłodno i możesz wytrzymać. Jak tylko słońko zacznie przygrzewać, robi się tak leniwie ciężko, tak się chce usiąść, bo przecież jak usiądę to jeszcze nie zasnę i mogę widzieć gdzie woły chodzą. Pomału — pomału usiadłem, zrobiło się lepiej, a co jak ja zamknę jedno oko, to jeszcze nic, drugim będę wszystko widział, zamykam oko, druga powieka robi się nieznośnie ciężka, ja tylko raz zamknę drugie oko, przecież otworzę, tak robię raz... drugi, za trzecim razem nie nie pamiętam. Pewnego razu tak zasnąłem, aż słyszę buch... buch... sen robi się bardzo ciężki, na boku coś dokucza, otwieram oczy, patrzę... a to stary Kozłowski tak wali mnie kijem po kożuchu, schwyliłem się dalej w nogi, odleciałem, widzę woły chodzą po jego pszenicy, wypędziłem i myślę: to bardzo dobrze, nie będę teraz spać. Wogóle ten dzień obfitował w przygody. Po południu paśliśmy razem, a była niedziela, ubrani byli niby to lepiej, swawoląc podarli ubranie na Kozłowskim Janku, synu tego starego co mnie bębnił. Janek poleciał ze skargą do domu, a to było najgorsze. Naprzykład mój ojciec, gdy skarżyłem się w domu, że mnie ktoś skrzywdził, to ojciec jeszcze mi sprawi lanie — nie zaczepiaj, a jak zaczepisz to broń się sam, a za Jankiem upomniął się starszy brat Jakim. Gdyby ten Jakim tylko bił, to mniejszy strach, a to gorsza że złapie i dusi.

Właśnie w ten sam dzień złapał mnie, rzucił w żyto, wpakował się na mnie i dusił. Chłop potężny olbrzym wagi pięć pudów, położył się na mnie i leżał z pół godziny. Co ja go wyprosiłem, wypłakałem — obiecywałem nigdy nikogo nie zaczepiać, a on nie — leży i dusi. Nareszcie mi zabrakło tchu, widocznie począłem tracić przytomność... puszczo no mnie, nie prędko wstałem. Przez cały miesiąc czułem ból w piersiach, zrobiłem się blady, straciłem apetyt, koledzy pozlatywali się i widząc mnie bardzo wycieńczonego zbili Janka Kozłowskiego. Wogóle nad Kozłowskim Jankiem nie mieliśmy litości — gdy tylko nadarzała się jakaś sposobność, starali się nadokuczać mu jak najlepiej. Pewnego razu, widząc Janka śpią-

cego koło swych wołów, nazbieraliśmy świeżego kału wołowego, nakładli mu w usta, nozdrza, uszy, poleliśmy to moczem własnym i zapewnili go później, jak się obudził, że to jego własny wół — zdawało się, że niekoniecznie w to uwierzył, ale nie wiedział na kogo miał się skarżyć.

Nadeszła jesień, to samo, wypady na sady i ogrody z lepszym tylko doświadczeniem. Raz moja babka złapała mnie w śliwkach — zamknęła do chlewka, gdzie przebyłem pół dnia i poskarżyła się ojcu... było lanie. Jesienią lepiej. Noce są dłuższe, można wypaść się, dnie natomiast mniejsze — mniej było się koło wołów. Do tego nie było tak dużo szkód, można paść po rżyskach, a gdzie woły i robią szkodę, to gospodarze nie tak prędko dojrzą i jednym słowem było dobrze.

Znowu woły sprzedane. Jestem wolny i idę do szkoły, ale już do trzeciego oddziału, a to co innego, ze smarkaczami już nie siedzę, a udaję wielkiego silnego chłopca. Nauczycielka ta sama, ten sam sposób nauczania. Arytmetyka, czytanie i kucie na pamięć haśni, język słowiański, cerkiewny, nauka religii — zdaniem matki uczyłem się dobrze — ksiądz tak samo przychodził na lekcję, bałem się go jak i tamtego roku, ale mniej, zresztą jego wykłady już łatwiej było zapamiętać, bo była to święta historia. Wypadków większych tej zimy nie miałem, raz tylko potargały mnie księdza psy. Ojciec chodził do księdza na skargę, w rezultacie ksiądz był sroższym dla mnie — musiałem dobrze kuć modlitwy, psalmy i św. historję.

Na wiosnę nauczycielka przygotowała nas do egzaminu. Wkładała dużo starań, aby my pozdawali te egzaminy, zajmowała się prawie tylko nami, pierwszaków uczyli starsi, a drugi oddział pozostawał bez wykładów. Egzamin miał się odbyć w Kleszczelach. Z zaciekawieniem rozglądałem się po mieście podziwiając sklepy, budynki, chociaż te sklepy i budynki niewarte dobrej wsi. Na egzamin przybyła dziatwa z innych wsi, tak że wszystkich nazbierało się około 60-ciu. Z zaciekawieniem przyglądałem się przez półotwarte drzwi, jak do mieszkania nauczyciela służąca nosiła talerze z jadłem, a gdy otwierała szafę w sieniach, gdzie staliśmy, to widziałem, że w talerzu stoi z wyglądu bardzo smaczne coś takiego, jakby wiśnie, ale większe. Gdy służąca zrobiła pewną przerwę w lataniu, po cichu otworzyliśmy szafę spróbować, co tam jest na talerzu! Jeden skosztował, drugi, jakaś potrawa nam nieznana,

kwaskowate, trochę słodkie ...br... ...br... niesmaczne. Orzekliśmy wszyscy, że Pany potrafią zjeść najgorsze rzeczy nawet gów...

Rozpoczął się egzamin. Nieznany jakiś nauczyciel odczytał zadanie artmetyczne, które mieliśmy rozwiązać. Trafiono na zadanie, które wczoraj tłumaczyłem Maksymowi, swemu sąsiadowi. Napisałem je dość prędko i siedzę. Do klasy weszła nasza nauczycielka, coś poszeptala z nauczycielem, popatrzała na mnie, podeszła i wsunęła mi w rękę świstek papieru, ale spojrzała na mój zeszyt i później poza plecami nauczyciela pokazała na migach, żebym świstek ten schował. Zadanie również pomogłem napisać sąsiadom — matematyka w porządku.

Prawo Boskie (Zakon Bożyj). Na salę wchodzi tłusty pop, siada ciężko, aż krzesło trzeszczy — myślę sobie, „no ale jak tenby lunął „łapę”, ajby bolało”. Kolejno wołał wszystkich do siebie — przyszła kolej na mnie. Przeżegnaj się. Wo imię Ojca Syna i Świętego Ducha. Amen. Dobrze. Zmów Bogarodzice. Odklepałem. Dobrze. Co Pan Bóg stworzył w czwarty dzień. Nie trafiłem, ale dobry uśmiech księdza naprawił odpowiedź. Dalej. Dyktando. Piszemy wszyscy razem, spisujemy jeden od drugiego, z takimi błędami jak napisał każdy, tak że u wszystkich okazały się te same błędy. Egzamin zakończono. Odczytano kto zdał kto nie, tym co zdali kazali przyjść za godzinę po świadectwa. Tymczasem poszli na miasto. Wypyтали gdzie sprzedają kwas, napiliśmy się kwasu udając podchmielonych — bo tak robią starsi — jak piją to są pijani, i poszliśmy do domu — świadectwa zabrała nauczycielka.

Tej wiosny już czas od czasu poręczali mnie roboty polne, ale jeszcze mniejszego znaczenia. Czasami wysyłano z broną i to było moją chlubą. Bo jakże, teraz już jestem prawie dorosły, o ile sam bronuję, prawda że jak coś się psuło, poradzić sobie nie mogłem, a najgorsze było gdy koń zastępywał w postronku. Wziąć konia za nogę, kazać mu podnieść, a drugą ręką trzeba chwycić postronku i wysunąć go nazewnątrz nogi, a to rzecz nie łatwa, bo koń może kopnąć.

Jakoś tego lata wołów nie było, byłem całe lato na drobnych robotach gospodarskich. Starszy brat Mateusz pracował wówczas na kolei w Starosielcach — był zasadniczo panem, bo jakże, miał pensję i ubierał się jak pan. Marzyłem że z czasem ja będę panem, ale tymczasem nosiłem zielsko dla świń, indyków, posługiwał się mną każdy ze starszych jak chciał. Bo co ja wart, jak brona się odczepi to z trudem zaczepiam, jak koń zapłaczę się w postronkach,

wykładał konia, a później znowu zakładał. Ojciec zawyrokował, że nie będę sprawnym robotnikiem, a tak... niedołęga i tylko.

Pewnego razu przyjechał Mateusz ze Starosielec. Posypały się pytania i odpowiedzi, ojciec pomału postawił na stół butelkę „czystej”. Brat opowiadał o swym życiu, jaką ponosi odpowiedzialność na służbie, jak na jego rozkaz odchodzą i przychodzą pociągi, jak tylko on jeden wie, które wagony mają odchodzić lub nie — nic nie rozumiałem. Mniemałem że brat jest drugim człowiekiem na świecie (bo pierwszy, jak mi wytłumaczono w szkole, jest car) i później, znajdując się w polu koło linji kolejowej, prawie z pogardą patrzyłem na pociągi, myśląc że gdyby nie „nasz Mateusz”, to żaden pociągby tu nie latał, a co się tyczy towarowego, to wcale nie zwracałem na niego uwagi, bo i jakże! On wychodzi tylko z łaski „naszego Mateusza”.

Na drugi dzień Mateusz rozmawiając z matką zaproponował, aby mnie oddano do szkół, powiada, że można oddać do gimnazjum w Białymstoku, będzie mieszkał ze mną w Starosielcach, a uczniowskim pociągiem jeździć do gimnazjum. Była wielka narada. Na tej naradzie byli: babka, dziadek, wujek, bracia — wszyscy byli za tem, by mnie oddano do szkół. Ojciec jakby się upierał. Skąd powiada ja wezmę tyle pieniędzy, mam długi, bank, różne braki w gospodarce, nie... trudno. Nie wiem na czym narada była zakończona, tylko na drugi dzień zaczęli posyłać mnie do nauczyciela (nauczycielki już niebyło), aby przygotowywał mnie do gimnazjum. Jesienią pojechałem na egzamin — zdałem. Oszołomiony widzianem, wróciłem do domu z tem, by za tydzień wyjechać na naukę.

Jestem w Białymstoku. Zaprowadzono mnie do tej klasy, gdzie miałem się uczyć. Duży, duży pokój, ławki jednakowe, jednakowo pomalowane i o dziwo, nikt po ławkach nie skacze, nikt nie tańczy — nie znam absolutnie nikogo, oj ciężko tu. W Wólce daleko lepiej. Prowadzą na nabożeństwo, w cerkwi stanęliśmy po lewej stronie, a po prawej dużo panów. Jeden taki potężny grubas całkiem zawieszany krzyżami, medalami, miał taką u boku ładną szpadę, ale szpada przechodziła przez kieszeń. Uśmiechnąłem się. Widocznie też dobry był łobuz, pomyślałem, kiedy powydzierał kieszenie, a tu patrzę wszyscy tak samo. Po nabożeństwie jeden pan w błyszczących guzikach coś do nas mówił — prawie nie rozumiałem, później dowiedziałem się, że to był dyrektor gimnazjum. Przyjechałem do brata, opowiadam co widziałem, jakie to zrobiło na mnie wrażenie. Brat nic. Siadaj powiada pić herbatę. Ja widziałem w do-

mu, jak matka gotowała, herbata zawsze była ciemna bez wyraźnego koloru, gdy ktoś mówił że herbata jest brudną, to matka tłumaczyła, że herbata owszem jest zupełnie czysta, tylko naciągnęła od wyluszczonego garnka. Ale kto tam w domu pił herbatę, taki smakołyk to był podnoszony tylko szanownym gościom. A tu patrzę cukier osobno, z fantazyjnego błyszczącego garnka leje się strumień wody czystej, z drugiego maleńkiego, takiego jak u sąsiada w Wólce stał na szafie, leje się strumyczek czerwonej wody. Pomyślałem, że tak widocznie urządza się pańska herbata. Ale grunt że cukru można było kłaść wiele uważałem za stosowne. Prawda, że tego samego wieczoru brat mi długo wymawiał, że nieładnie siedzę za stołem, za dużo zjadam bułek, za dużo kładę cukru do szklanki, a do kieszeni chować cukier zupełnie zabronił. Oho, pomyślałem, jaki ty jesteś, szkoda tobie cudzego... dobrze, przy pierwszej sposobności drapnę do Wólki. Niezadługo też zrobili mi ubranie, ładne spodnie czarne, bluza z błyszczącymi guzikami, czapka taka ładna, żółte kanty, myślę, jak zjadę do Wólki ot mnie będą podziwiał. Nauka poszła mnie niełatwo. Nauczyciele mówili dużo, nie wszystkie wyrazy rozumiałem, pytać się wstydziłem, bo raz spytałem nauczyciela co to znaczy „etimologija” wszyscy zaczęli się śmiać, więcej prawie że tego roku nikogo nie pytałem. Po pewnym czasie przyjechałem do domu. W domu tak dobrze. Moje rówieśniki pozlatywały się podziwiał moje ubranie, ale nie byłem zupełnie z tego zadowolony. Dręczyła mnie myśl że jutro trzeba jechać znowu do gimnazjum. Tu tak dobrze, można latać po wszystkich sąsiadach, na ślizgawkę, wozić się saneczkami, a tam sztywny zimny mur, kolegów prawie że nie mam, mówią że jestem okropnym „muzykiem”. Na drugi dzień przed odjazdem rozplakałem się. Nie chciałem jechać do gimnazjum, matka długo, długo mnie namawiała, nareszcie powiedziała, że jeżeli ja nie chcę jechać to ona powie ojcui. Ojciec dosłyszał o czym była mowa, jednego spojrzenia wystarczyło, i siadłem na furmankę. Na stację odwoził starszy brat Łukasz, namawiał mnie abym uczył się pilniej, powiada jak wyuczysz się, dostaniesz posadę, będziesz wielkim panem, nie będziesz potrzebował tej piekielnej znoјnej pracy, nie będziesz się męczył koło żniwa, kosy, pługa, a nocne pasanie! Toć to przekleństwo! Ucz się brachu, ja ci dobrze radzę. Zdziwiłem się. Łukasz zawsze taki był do mnie hardy, nigdy nie słyszałem od niego słowa łaskawszego. Dlaczego dziś on taki dobry? Co to znaczy? Zajechałem do Białegostoku, znowu to samo, koledzy

nie nie lepsze, żartują z mego akcentu, przedrzeźniają mnie, latać nikt nie może, o wołach żadnego pojęcia nie mają, na koniach prawie nikt nie jeździł — źle. W mieszkaniu brat zawsze zdenerwowany, to nie tak zrobiłem, to chodzić nie umiem, powiada że tak tylko kaczk i woły chodzą, to herbatę zbyt głośno mieszam, to nóg nie wycieram, to nos wycieram całą pięścią — istne skaranie boskie! Lekcji zupełnie się nie uczę, bo poco? Wszystko jedno ucieknę do Wólki, a tam jak ojciec mnie nie przyjmie, to zgodzę się na cudzej wsi za pastucha. Pierwszy rok jakoś przeszedł. Z trudem przeprowadzono mnie do klasy następnej. Z mego świadectwa brat zupełnie był niezadowolony, ojciec zaś niewiele tem się przejmował. Prawda, pod koniec roku szkolnego miałem już kilku kolegów — było lepiej. Ale co z tego, kiedy wszelkimi siłami rwałem się na wieś.

Ferje letnie. Dobrze mi jest. Wołów już nie pasłem, bo nie było, ale konie to z wielką chęcią pasalem, a najbardziej lubiałem pojechać na pastwisko, lub wieczorem przyprowadzić konie z pastwiska. Z kolegami już i tu było gorzej — stronili ode mnie, a cokolwiek starsi to i bardzo wykpiwali. Aha, mówili, on już będzie panem, gryki siał nie zechce. Szczególnie naprzykrzała się Julianowa Natalja, dziewczynka starsza o jakie dwa lata jak ja. Gdy idziemy zbierać z pastwiska konie, to inaczej nie chciała mnie nazwać jak „białostocki żulik” w swej mowie zwróconej do mnie czy kogo innego. Początkowo odparowywałem jej złośliwe kpiny, ale pewnego razu nie wytrzymałem — pobiłem Natalkę. Skarżyli się ojcu, lecz dopomogli mi starsi obecni przy tem zajściu, ojciec nie mi nie powiedział. Tego roku ożenił się brat Mateusz. Gdy rozpoczęła się w szkole nauka, mieszkalem z bratem razem. Bratowa wiejska kobieta była zupełnie początkowo do mnie dobra. Zresztą ze wsi trafiła odrazu do miasta, również jak i ja czuła się nieswojo. W danym wypadku ja górowałem doświadczeniem życia miejskiego nad bratową i urządzałem jej rozmaite miejskie kawały. Było nawet całkiem niezłe. Zimą brat wyprowadził się do Warszawy, ja zaś wyprowadziłem się do Białegostoku. Starosielce pożegnaliśmy. Teraz było co innego, miałem już pewne doświadczenie, sam już znalazłem mieszkanie, kosztowało niedrogo, 3 ruble miesięcznie. Za te pieniądze gospodyni dawała kąć do spania i gotowała nam jeść. Rozumie się, że produkty przywoziłem z domu. Mieszkało nas tam ośmiu, do tego jeszcze jeden lokaj z hotelu, a ubikacji było dwie kuchnie i nasz pokój, nie powiem żeby to było wygodnie, zresztą o wygodach wówczas nie miałem pojęcia, ale czułem się dobrze.

W tym roku szkolnym również nie zrobiłem większych postępów w nauce, w rezultacie otrzymałem dwóję z niemieckiego, to znacznie pogorszyło moje stosunki ze starszym bratem Mateuszem.

Ferje letnie spędzałem w Wólce. Wiosną brat Łukasz wyjechał do Ameryki, drugi Eljasz jeszcze jesienią poszedł do wojska. Służył gdzieś daleko w Twerskiej gubernji, ale z niego byłem b. dumny, bo służył w 1-ym pułku ułanów. Uważałem że jest to najlepszy pułk jazdy na całym świecie, bo gdyby był gorszy to przecie nie numerowałyby się pierwszym. Ojciec teraz miał bardzo dużo roboty koło roli, był zawsze przemęczony, zły, to też pomagałem mu jak mogłem. Brałem się do pługa, brony i innych robót. Jednakowoż z pługiem źle sobie radziłem, co się tyczy brony to uwijałem się koło niej jak dorosły. Pasałem w nocy konie wraz z innymi starszymi chłopcami, to dość zajmujące, tylko najgorsze że zawsze przemęczony w dzień zasypiałem w nocy koło koni, towarzysze zaś dla kawału nie budzili mnie, a pozostawiali tak śpiącego. To gniewało ojca, bo musiał już po wzejściu słońca iść mnie budzić, prawda że już nie tak jak dawniej krzychał lub groził, tylko mi to wymawiał, a to było gorszem jak bicie — zresztą starałem się aby takich wydarzeń było mniej.

Pewnego razu wracając z pola widzę — koło naszej chaty stoi grupa gospodarzy. Podchodzę, mówią że rozpoczęła się wojna, przed chwilą był żyd z miasta i mówił o tem. Nikt nie wierzył, stary Kozłowski mówi, że gdyby była wojna, to z gminy przywieźliby pakiet z czerwoną pieczęcią — ledwie on to wypowiedział, nadjechał stójkowy konno wręczając pakiet mobilizacyjny, wszyscy stali oniemieni, poszły domysły kto będzie z kim wojował, jak i co. Pan Ziukiewicz zawyrokował, że to napewno znowu Napoleona wypuścili na Rosję, na drugi dzień rano był odmarsz zmobilizowanych, cała wieś wyległa na ulicę. Płacz, narzekania, pożegnania — robiło się straszno, pomimo woli płakałem ja, ale nie tylko ja, płakała i mdlała cała wieś, nawet psy jakby odczuwały nadchodzące nieszczęścia, skowyczały i wyły w najrozmaitsze głosy.

Przez cały tydzień nikt nic nie robił. Poco robić? tak czy inaczej, przyjdzie Niemiec, albo nawet swoje wojsko i wszystko zniszczy. Po jakimś czasie zaczęli się uspakajać — potrosze zaczynały się żniwa, ale nie pracowali tak intensywnie jak przedtem, zresztą najlepsi robotnicy byli na wojnie, kobietom zaś nie tak łatwo zastępować mężczyzn, niema tej wprawy. Nasz Eljasz czas od czasu pisywał listy z frontu, pisał źle rozumianym „szryftem” o swych

przygodach wojennych, o tem że już stracił swego ulubionego konia, którego serdecznie żałował, jednocześnie przysłał list dla jednej kobiety z Krasnej wsi — donosił, jak na jego rękę skonał od ran jej syn, a jego kolega. Matka ciągle płakała, widziałem nieraz jak ojciec ronił łzy gdy czytałem list Eljasza, rodzice zrobili się jakoś do mnie czulsi... Ojciec już był o wiele... wiele lepszy. Przez kilka tygodni nadszedł list od Eljasza, donosi że jest ciężko ranny i leży w szpitalu w Kownie. Była generalna narada — dziadek, babka, wujek, sąsiad, — w rezultacie ojciec jedzie do Kowna. Z niecierpliwością oczekujemy powrotu ojca. Przyjeżdża i mówi że za kilka tygodni Eljasz będzie w domu. Wyjeżdżam do Białegostoku. W szkole tak samo wszyscy zajęci tylko wojną. Czytają gazety, telegramy poranne, telegramy wieczorne, nauką mało się ciekawia, prawie cała zima przeszła na wiadomościach z frontu. Codziennie patrzę jak idą i jadą wojska. Gdzie to wojsko się podziewa? Tyle go codziennie przechodzi, czyżby tych ludzi tak dużo można wymordować, nie — to okropne! W miesiącu kwietniu nawiedziła wojna nas — to było w siódmym dniu kwietnia. Przyleciało z 15-cie samolotów niemieckich i rozpoczęli bombardowanie Białegostoku. Trzy bomby spadło na podwórze naszego gimnazjum — został ranny uczeń naszej klasy Puchalski i jeszcze ktoś. Nauki w ten dzień nie było, wszyscy puciekali do domów. Z trudem zakończono ten rok szkolny. W domu jeszcze gorzej. Ograniczona uprawa pól, ograniczone siewy. Mówią że pod Osowcem wre zacięta walka. Codziennie słyhać grzmoty dział, raz bliżej raz dalej. Z wojska powrócił Eljasz, w gospodarce było lepiej, bo Eljasz chociaż jest inwalidą ma skaleczoną rękę, ale zawsze mógł w robotach wyręczać ojca. Wojska bez przerwy przechodziły na front. Właśnie maszerowali pułki syberyjskie, konie ustanawiali wprost na ulicach, ogrodach, żołnierze w domach, stodołach. Przekładali sieć telefoniczną. Wypadła przez sad księdza — bez litości ścięto drzewka owocowe, zresztą nikt w to nie wdawał się, oczekując gorszych rzeczy. W rozmowach potocznych, na obrazkach, mówiono i pokazywano jak Niemcy mordują i znęcają się nad mieszkańcami okolic, które zostały przez nich zajęte. Wojska rosyjskie ciągle „pobiedonosno” cofały się. Pewnego razu przyjeżdża „uriadnik” i nakazuje wysłanie ze wsi robotników do budowy obronnej linji nad Bugiem. Po dłuższej naradzie w domu postanowiono wydelegować mnie. Odtransportowano nas furmankami. Nic ciekawego. Saper wyznaczał każdemu robotnikowi wiele miał wykopać okopów, lub wbić kołków do drutu kol-

czastego. Pracowano akordowo. Nie mogłem nadążyć za robotnikami dorosłymi — saper żyd zaczął mną się potyrać. Uciekłem do domu, trafiłem w sam czas; ludność zaagitowana przez księdza szykowała się do ucieczki do Rosji. Coraz bliżej było słyhać grzmoty dział. Wojsk już było mniej, przez wieś przewijało się więcej kozaków. Rankami z rosą było wyraźnie słyhać pukanie karabinów maszynowych, wreszcie kozacy stanowczo zażądali naszego odjazdu.

To było w dniu 6 sierpnia 1915 roku. Z rana zaczęli ładować fury. Pakował każdy to co uważał za najpotrzebniejsze, później okazało się że pobrano dużo rzeczy niepotrzebnych, a potrzebne pozostawiono w domu, resztę zakopywano w dołach pod budynkami, na ogrodach. O godzinie 2 po południu tabor był gotów. Ja wraz z innymi chłopcami z młodszym bratem pędziłem bydło i owce, Eljasz z siostrą już odjechali pociągiem, nas młodszych rodzice nie chcieli puścić od siebie. Zaczęło się pożeganie, ludzie płakali, całując ziemię i wyrzekając na swą niedolę. Kobiety lamentowały, a gdzie my pojedziemy? gdzie złożymy swe głowy? Szczególnie starcom ciężko było pożegnać swe rodzinne kąty. Wszystkich pocieszała myśl, że tylko dojadą do puszczy Białowieskiej, odległej od nas o jakieś 30 wiorst, a tam gdzieś w gąszczu lasów przeczekają póki przejdzie wojna i wrócą do domu.

Pojechali wszyscy, za wyjątkiem mego dziadka, który orzekł że lepiej umrzeć na swoim własnym zagonie, jak gdzieś tulać się po cudzych miedzach. Jechali nie spiesząc się, starając się trzymać bliżej wojny, tak że za pierwszy dzień odjechano zaledwie 12 klm. A napotkawszy rozległe łąki obozowano tam przez cztery dni. Na czwarty dzień przyjechał dziadek, opowiadał, że już do Wólki przylatywały pociski, że już kilka domów zdruzgotano, że on ledwie uciekł, że wszystkie drogi zastawione żołnierzami.

W taborze nowy lament, po powrocie nie będzie gdzie mieszkać. Jechano dalej, żywiono się cudzemi kartoflami, sztuka po sztuce zabijano owce. Czasami ktoś z miejscowych gospodarzy narzekał, że kopimy mu kartofle, odpowiadano mu drwinami, zapewniając go że tak czy inaczej pozostawi te kartofle niemcom, po dłuższej rozmowie zgadzał się z nami — pozwalał kopać. Były to jednak wypadki wyjątkowe — zasadniczo nikt nic nie żałował. Teraz już nie tylko było słyhać uderzenia armat, a wyraźnie słyszałem strzały karabinowe i karabinów maszynowych, czas od czasu, gdy był wiatr od strony walk, odbijało, a... a, a... a — widocznie krzyczano hurra. Dotarliśmy do puszczy Białowieskiej. Szukano miejsca na

schowek. Z jednego miejsca wypędzono, z drugiego. Starsi mówią że zapóźno przyjechali, teraz kozacy naumyślnie szukają takich i wysyłają dalej, trzeba było ciągle jechać, a nie zatrzymywać się. Nareszcie wyjechali na szosę prowadzącą do Prużan. Z wielkim trudem posuwano się naprzód. Tam i spowrotem snuło się po szosie wojsko. Tabory, artylerja, piechota, i inne różne formacje wojskowe. Gdy jakiś tabor lub artylerja nie mogły zatarasowaną szosą przejść, spychano furmanki włościańskie bez żadnego ale na odkos i pędzono kłusem tabor wojskowy. Być zepchniętym na odkos to znaczy, że trzeba dużo, dużo czasu stracić, czasami nawet kilka godzin, by spowrotem wdrapać się na tę szosę. I nic dziwnego, fur uciekinierów była moc tak duża że czasami jechano w trzy rzędy, gdy spojrzeć naprzód i w tył to ni początku ni końca fur widać nie było. Zatrzymywano się w drodze b. mało, tak tylko, aby popaść konie i znowu dalej. Prawda że jechali bardzo wolno, bo co chwila wszystkie fury zatrzymywały się, zdawałoby się tak, bez racji, to znowu ruszały wolno stępą naprzód. Tak po kilku dniach dotarliśmy do Prużan. Ja z młodszym bratem furą nie jechali, przez cały czas pędziliśmy krowy, na przemian, gubiąc się to znowu znajdując się w tych wielkich tłumach ludności. Najgorzej było w nocy, jakiś paniczny strach, czy może przeczucie zbliżającego się nieszczęścia, tylko o tem aby spokojnie zasnąć nie było mowy. Bo nocą strzały, krzyki było słyszeć wyraźniej jak w dzień, jakieś dziwne fantastyczne cienie snuły się ustawicznie około nas, łuny pożarów były zupełnie bliskie, rakiety, gdy wylatywały do góry, zdawało się że opuszczają się na nas. Tulilem się bliżej ojca. Na jutro ruszono dalej, o godzinie 9-tej przejechano Prużany. Zaraz za Prużanami szosa skręca na lewo, widziałem, pędząc z bratem krowy, jak ojciec był na samym rogu zakrętu. Nagle nadleciały dwa aeroplany niemieckie, poznałem ich po krzyżach na skrzydłach, nie lecieli zbyt wysoko, znałem z Białegostoku jak klekocze spadając bomba, właśnie usłyszałem podobny klekot — krzyknąłem bratu, uciekaj na puste łąki, co było momentalnie wykonane. Obejrzałem się, patrz bomba spadła akurat na zakręcie szosy. Jedna, druga, piąta, aeroplany odlecieli. Lecę z bratem do ojca — widzę jeszcze z daleka, że stało się jakieś nieszczęście. Ludzie latają, krzyczą, płaczą, podleciałem do fury — wóz zdruzgotany, ojciec opodal leży i jęczy, matka spazmuje. Przyglądam się, z ojca wylało się dużo krwi, zbroczone krwią spodnie, spora kałuża obok na piasku. Płakać nie mogłem, ojciec patrzy jakimś mętnym wzrokiem, zbielałe usta coś szepczą. Matka co

chwila nachyla się nad ojcem i sama mdleje. Mnie coś ścisnęło mocno za piersi, nic nie słyszę, nic nie widzę, zaczęłam płakać, zrobiło się łzej. „Janie, co my teraz zrobimy z sobą! Jak ty pozostawisz nas” — lamentuje matka, patrząc na umierającego ojca. Ojciec podaje znaki, aby my się nachylili do niego. „Szukajcie Mateusza, ten napewno zaopiekuje się wami”. Poczem zbiele usta zaczęły szepać słowa modlitwy coraz ciszej... ciszej, aż nieubłagana śmierć zabrała nam drogiego opiekuna. Nic nie widzieliśmy we trzech, co się działo naokoło nas. Jacyś ludzie odciągali nas od trupa: na nic się zdało, nikt nie chciał z nas opuścić drogie zwłoki. Zapadła noc, nie pamiętam gdzie byłem — nad ranem spadający deszcz orzeźwił i wrócił nas do rzeczywistości. Trzeba pochować, Do cmentarza daleko, trzeba zanieść zwłoki, ale czem? konie pobite, fura zdruzgotana, jacyś ludzie coś pomagali, krewni czy nie — nie pamiętam, tylko zwłoki wszystkich zabitych zostały zawieszone na cmentarz pruski i tam pozostawione.

Na drugi dzień rzeczy porozrzucano po furach b. sąsiadów, a najwięcej do dziadka i ruszono dalej. Szosa już nie tak była przepelniona furami, można było jechać prędzej, ale dużo tamowano ruch przeszkodami kopanymi na szosie, co miało za zadanie tamowanie następywania niemieckiego. Na noc zatrzymaliśmy się w jakiejś wsi, naumyślnie zjechało od szosy, aby łatwiej można było znaleźć coś dla koni i siebie. Tej nocy odszedłem dalej z krowami i nie znalazłem swoich. Dopiero znalazłem ich rano, ale już wujek i młodszy brat odeszli do Rosji. Zdziwiłem się. Wujek, mając czworo drobnych dzieci, pozostawił je tylko z ciotką, a sam poszedł. POCO? to coś niezrozumiałego. Matka mi wytłomaczyła, że poszedł bo miał dużo pieniędzy. „Nie można stracić tak dużo pieniędzy”. Matka wysłała do Rosji mnie. Początkowo upierałem się, perswadowałem, bo z kim się naprawdę mama pozostanie? To nic. Ja pozostanę z dziadkiem, z drugą ciotką Barbarą (która przyłączyła się po śmierci ojca do nas) a ty idź. Mówiłem matce, że pieniędzy całkiem nie mam, nie mam czego ratować. Nic nie pomogło, matka wypychała do Rosji, sądząc że tam w dalszym ciągu będę się kształcił. Nareszcie zgodziłem się. Matka do worka włożyła bochenek chleba, kawałek słoniny, dała ojcowskie buty, „a pieniędzy synku weźmiesz u Chamańskiego, on pojechał wozem i zabrał nasz mały kuferek, a tam leży pięć złotych”.

Wyruszyłem. Ledwie odszedłem kilka kilometrów i dotarłem do wzgórza na szosie, zaczęli strzelać z armat. Pociski przelatywa-

ły nade mną gdzieś daleko naprzód, tylko potężny wybuch odbijał się o lasy i pola. Obejrzałem się, wyraźnie o jakieś dwa kilometry widoczny był łańcuch wojsk rosyjskich — niemieckie widoczne było mniej. Zaciękałem się, warto byłoby pójść i pomścić śmierć ojca, 100 Niemców za ojca zabiłbym. Ale nie, podejdę jeszcze naprzód a tam zobaczę.

Tuż zaraz za wzgórzem stała baterja rosyjska, szykowała się do strzelania. Podjechał jeździec i kazał mi czempredziej się usunąć i iść spowrotem, albo iść w stronę baterji. Zrobiłem ostatnie. Przypatrywałem się jak strzelają, później u żołnierza wymienilem buty na kamasze, i odmaszerowałem do Rosji. Natrafiłem na Bobulewiczę z Kruchłego, ten dowiózł mnie aż do Słonima, tam usiadłem na pociąg i pożegnałem na kilka lat rodzinne strony.

Z Rosji wróciłem w grudniu 1918 roku, ten czas naumyślnie opuściłem sądząc, że dla Instytutu będzie nieciekawym. Nadmieniam tylko, że w Rosji zacząłem prowadzić pamiętnik i prowadzę go przez cały czas, prowadziłem do roku 1919 po rosyjsku — obecnie w języku polskim.

Styczeń 1919.

* Przez dłuższy czas nic nie pisałem. To brak atramentu, to po kilkanaście razy musiałem mamie opowiadać, gdzie byłem, co robiłem w Rosji. A opowiadać jest co. Zwiedziłem dużo miast, widziałem swoich braci, siostrę, wujków. Zresztą wuj Stefan, ten co uciekał z pieniędzmi, wrócił wcześniej i naopowiadał sporo rzeczy. Z pociągu zsiadłem w Gregorowcach. Z wielkiem zaciękawieniem leciałem do domu, bo jakże tak długo nikogo nie widziałem. Ale czy są? Mama może umarła, ale nietylko mama, może napewno niema nikogo? Jadę tylko zobaczyć. Pobędę tu jakiś miesiąc, a tam spowrotem do Odessy. Idę. Po drodze mi już powiedzieli, że matka jest i stęskniona czeka na powrót dzieci. Wleciałem do mieszkania, ale nie do swego domu. Nasze wszystko spalone, a do Hawryłowej. Mammo! „Synku!” Siadamy do stołu. W glinianej czarnej misce kartoflane kluski, zapominam się i podsuwam pod nos całą misę. „Czekaj, opowiedz jak przyjechałeś, gdzie Mateusz?” Ach! Mateusz! Wiądzi mama on jest chory i leży w Proskurowie w szpitalu. Jak? Co? Co on tam robi? Opowiadam potroszkę ukrywając prawdę, ale słuchacze moi jakoś doczuwają się czegoś gorszego, nareszcie mówię

prawdę że jechaliśmy z bratem do Wólki i w Proskurowie zdarzyła się katastrofa kolejowa i najwięcej ucierpiał nasz wagon, więc brat leży w szpitalu i jest mu o wiele lepiej. Mama płacze. Znowu powiada bieda. Zaczynamy jeść kluski, wuj śmieje się. „Nie bądź taki zazdrosny, nie zabieraj klusek, przecież nie dla ciebie jednego postawione”. Racja, zapomniałem że tu jedzą z jednej miski. Byłem głodny, a na apetyt trudno, w żaden sposób nie mogłem się przyzwyczaić do wspólnej miski, do tego współtowarzysze moi byli dość brudni, a i kluski jakieś czarne, złe — długo tu nie będę. Nasze gospodarze prawie że wszyscy już wrócili, poskładałem wszystkim wizyty. Zasadniczo uczęszczam najwięcej do Laszowej, tam jakoś weselej — ich budynki nie spalone, nie mają czego się martwić, a chleba poddostatkim u Niemców kolonistów wykombinowali, no i żyją sobie. Mama ciągle mnie nagaduje, ażebym się brał do budynków, ale później. Poco to mnie potrzebne, przecież nie będę tu z temi nienawidzonymi Niemcami mieszkał, tak czy inaczej ucieknę do Odessy.

21 stycznia.

Przyjechał brat. Podobno jest on tu przed trzema tygodniami tylko że nie przyjechał do Wólki a do swego teścia w Widawie. Domyślny wie gdzie jest pożywienie, bo u mamy to prawdę powiedzié komora pusta jest, jest chleb i kartofle, ale co się tyczy kawałka „szpek” to trudno. Mateusz złożył najobszerniejszy projekt odbudowy, przyrzekł kupić konia i odjechał. Wujek twierdzi, że nam tak potrzebny koń jak psu buda — powiada, że mama musiałaby ustawicznie nam zakładać konia — niby sami nie potrafimy. Prawda, że gdy ja pierwszy raz zakładałem konia wujka to nie tak założyłem; wyrwał mi się z wozu, nadepnął na ogłobie i złamał, ale to nie dowód żeby zupełnie nie mieć konia, do gospodarstwa jest niezbędny — nu i kupimy. Przed południem jeździłem z wujkiem do lasu po kloce. Tu od nas 2 klm. jest las Kosińskiego. Niemcy nazrąbywali dużo drzewa, okorowali i to drzewo leży, kto ma konia i nie gapa, ten wozi drzewo do domu i powiadają że będą się odbudowywać. Właśnie po takie kloce dziś ja jeździłem. Nie wiem czy pojedę więcej, bo wujek mówi, że w lesie jestem zupełnie kiep, latam tylko koło wozu, przewracam się o drążki, a pomagać nie pomagam. Niewiele się martwię, niewielkie to rzeczy, z czasem się nauczę. Dziś rano była scena, gospodyni domu Hawryłowa, wraz z sublokatorką Grzegorzową, podnieśli kłótnię o jakieś plotki, długo

kłóciły się pomiędzy sobą, nawymyślały sobie najrozmaitszych przezwisk, a tera milczą, nie mówi jedna do drugiej. A obydwie dość zębate, potrafią dogodzić sobie... oho!

Wczoraj znowu byłem u Laszowej, tam dość ciekawo. Laszowa opowiada ciekawe kawałki — trochę za słone, kilkonastoletnia córka niby to protestuje, co wzbudza więcej śmiechu. Naprawdę to jedyna rodzina w Wólce, która o nic się nie martwi. Szczególnie ciekawy jest Bolek. Kto on taki nie wiem, przed wojną go w Wólce nie było, do niego dołącza się Maksym, wraz ze mną zdawał egzamin kiedyś w Kleszczelach, Korolew, starszy syn Laszowej Jakub, jest to całkiem wesołe towarzystwo. Urządzają zabawy, tańczą, grają w karty, a pieniędzy mają niezliczoną moc, bawię się z nimi również i ja, ale matka jakoś sprzeciwia się moim wizytom u Laszowej. Ciągłe mówi o tem, że Laszowa za czas wojny miała dwoje dzieci (mąż jej zmarł przed wojną), powiada że tam ja nic nie zobaczę oprócz rozpusty. Postanowiłem uczęszczać tam mniej, bo ten wujek ciągle kpi, że chodzę niańczyć bachorów Laszowej — coprawda jest tylko jeden, drugi podobno zmarł przed kilku miesiącami.

2 lutego.

Mateusz przyprowadził obiecane konia, koń taki mały i szczupły, ale „okoliczni znawcy” orzekli, że będzie b. wytrzymały, podobno kosztował około 160 marek. Teraz kombinujemy jakby to się zdobyć na wóz, mama mówi że ma koła przychowane, wujek obiecywał ofiarować nam skręt i ogłoble. Jestem zupełnie zadowolony, będę gospodarzył. Myśl o tem, że mam spowrotem wyjechać do Odessy, stopniowo osłabia się, zresztą przybywający uciekinierzy opowiadają, że w Rosji ciągle jeszcze jest wojna, więc wyjazd byłby utrudniony. Jeździliśmy z Mateuszem po siano dla konia. Siana na łąkach jest sporo, Niemcy latem nakosili i tak wszystko pozostawili, trudno nam było nakładać na wóz, póki jeszcze kładziono w drabie, szło jak po maśle, ale ledwie wysunęliśmy siano za drabie, to nam ciągle się rozsukało. Pod moim kierownictwem poszło lepiej, ale Mateusz ciągle się nerwował, nareszcie nazwał mnie smarkaczem, wymówił mi że jestem zupełnie niedoświadczony, i zabawa była popsuta, ale niedługo, na jakieś pół godziny. Pojechalismy. Ślepy trafiłby na nasz ślad, bo siano leżało wszędzie tam gdzie pod koła wozu trafiał pagórek lub dołek, tak że niedużo przywieźliśmy do domu, mama mówi że mogliby przywieźć więcej, a wujek

powiada, że widocznie przywieźli żeby podstelać pod konia, bo pocoby brali tylko sam wierzch, który nadgnił, a lepsze pozostawiali. Spojrzeli jeden na drugiego — wybuch śmiechu. Mama opowiada dziś, jak trudno było gospodarzyć z Niemcami, teraz już tych Niemców niema, przechodzą tylko wojska frontowe.

16 luty.

Wczoraj ledwie umknąłem śmierci, dziś jeszcze nie mogę przyjść do siebie z przestachu, złości, goryczy. Wczoraj przyszedł szwadron kawalerji niemieckiej, ludzie rosłe, konie jeszcze większe. Rozkwaterował się gdzie kto mógł. Zajęli chałupę, stodołę, chlewy. Do naszego pomieszczenia przywlekli słomy, powyciągali się na słomie i odpoczywają. Ja wyszedłem do sąsiada. Tam jeden z Niemców dobrze mówił po rosyjsku, rozmawialiśmy przez dłuższy czas, powróciłem stąd o godzinie 10-ej wieczorem. Na odchodnym mnie poczęstował Hans (tak bowiem nazywał się ów Niemiec) cygarem. Nie paliłem wtedy, ale wziąłem do ust cygaro tak dla fantazji i z cygarem w ustach wszedłem do swego mieszkania. Gdy wszedłem, to zobaczyłem że Niemcy zirytowani chodzą po mieszkaniu i czegoś szukają, jeden z Niemców mówiący trochę po rosyjsku powiedział, że na mnie pada podejrzenie, iż skradłem im cygara. Wytlumaczyłem mu, że cygaro przed chwilą otrzymałem od kogo innego i obrażony począłem szukać zaginione cygara. Okazało się, że to poprostu dzieci wuja i naszej gospodyni pozabierały te cygara — tak poprostu dla ładnych pudełek. Zacząłem mówić Niemcowi, że bez dania racji nie może napadać na niewinnego człowieka i t. d. W toku naszej rozmowy jeden z Niemców krzyknął coś, wszyscy rzucili się do mnie, ten co coś krzyknął zamachnął się by mnie uderzyć. Uderzenie odparowałem — wtedy chwycili za karabiny, otoczyli mnie kołem, wymknąłem się i uciekam na podwórze, jeden z Niemców mnie uchwycił za rękę i słysząc wszczęty alarm w mieszkaniu bez gadania zamierza się uderzyć mnie kijem, na szczęście nadleciała mama, chwyciła za kij. Skorzystałem z tego, uderzeniem pięści w nos Niemca uwolniłem się od jego żelaznej ręki, jednym susem przeskoczyłem przez płot, posypały się strzały, kule gwizdały bez przerwy... nie trafiono.. wymknąłem się. Zaleciałem na cmentarz. To najstraszniejsze miejsce w Wólce, może Niemcy tu nie pójda, boć tu są strachy. Roześmiałem się, dawaj pędzić dalej, zaleciałem het daleko na łąkę, odległą od Wólki o jakie 5 klm. Było wieczorem 8^o mrozu, a ja wyleciałem w jednej marynarce bez czapki. Zimno. Za-

kopałem się jak można głębiej w stóg siana — ledwie doczekałem świtu. Wylazłem z kryjówki, olszyną podążałem do domu. Spotkał mnie Fiedia syn Laszowej, mówi że Niemcy ustanowili się przed cerkwią, gotowi każdej chwili odmaszerować. Ot żeby to był karabin maszynowy, pół szwadrona wyłożyłby ich, nie mogłem darować swej krzywdy. Wróciłem do domu. Opowiadają mi, że wczoraj dzieci wyciągnęli nietylko cygara, ale naboje. Policzone mnie za powstańca, legjonistę, i z tego względu podnieśli taki alarm. Jak ja uciekłem, to Niemcy ustawili wartę i przez całą noc oczekiwali napadu. Nie domyśliłem się tego, byłbym wypłatał figla.

27 luty.

Mama od tygodnia jest chora, podobno tyfus, teraz wszyscy chorują na tyfus. Latałem dziś do Kleszczel po wino dla mamy. Ciągłe gorączkuje, to tego to owego, a tu oprócz kartofli nic a nic niema. Podobno mama ma trochę pieniędzy, ale żałuje sobie nawet na wino, ledwie namówiłem na kupno wina. W dzień jako tako, ale w nocy to zupełnie spokoju niema, a tu Mateusz wyjechał do Widowa i podobno także leży na tyfus. Nocą mama ciągle zrywa się z pościeli, coś bełkocze niezrozumianego, dobrze że choć jest tu wuj — pomaga mnie, a czasem potrosze leczy, mama mówi że trochę lepiej, ja w to zupełnie nie wierzę. Ciężko tu, widzi się naokoło siebie tylko nędzę, jak z tego wyjść nie mam zielonego pojęcia. W dzień byłem u Laszowej. Tam dobrze. Zajadają sobie mięso, a teraz mięso ma taki przyjemny zapach, widać że nie braknie im chleba. Nigdy nie byłem zazdrosny, ale teraz zaczynam zazdrościć. Drugim takim bogatym jest Julian, on tu pozostał, nie wyjeżdżał, ma wszystkiego pod dostatkiem. Podobno, gdy zaczęli wracać uciekinierzy, to mawiał: „jakie ich lichy tu niesie, czy nie mogliby być w Rosji”. Widocznie zamało Julian miał władzy, skoro ludzie nie zważając na nic wracają do domów. Pomogłem dziś wujowi trzeć drzewo. Oj, jaka to trudna robota, sił nie wystarcza. Kilka razy podniosłem piłę i już więcej nie mogę. Wuj powiada, że takiego robotnika niewarto hodować, bo sam sobie na chleb nie zarobi. Stojemy się razem z wujem, właśnie to mnie boli, bo chociaż mama mówi, że kartofle i chleb jednocześnie spożywa się swoje i mamy, to wuj czas od czasu daje poznać, że jestem mu ciężarem. Nieprzyjemnie. A dziś przyjeżdżał kuzyn Atanazy, miał nam przywieźć parę kłoców, bo Mateusz zabrał konia do Widowa i nie wraca. Pojechaliśmy do lasu wszyscy trzej, ja, kuzyn i wuj na dwie fury. Wło-

żyliśmy na furę po kłocu i wieziemy. Nasze zgłiszcza na wzgórzu, wuja w dole, gdy zaczęli podjeżdżać, to wuj pojechał na dół a za nim kuzyn. Trudno, minęli nasze zgłiszcza, stanęli naprzeciw zgłiszcz wuja, przecież trudno zawracać pod górę konia z kłocami, trzeba wyrzucać i wyrzucili kłoce dla wuja. Więcej do lasu nie pojechałem, a poszedłem do Laszowej. Bo jakże, ja wujowi tak dużo pomagałem, a on pożalał mi kłoca. Wuj nazwał mnie nygusem i na tem koniec.

1 marca.

Mamie trochę lepiej, przestała bredzić, ale jest osłabiona, dobrze, co nie bredzi. Wczoraj było wyraźne polepszenie — może wyzdrowieć. Przychodziła dziś rano Natalka, córka Juljana, prosiła bym pojechał do jej krewnych do Widowa, nakazać by przyjechali, bo ojciec i matka bardzo chorzy, poszedłem tam. Mieszkali obok cerkwi, w domu psalmisty (swój był spalony) zajmowali cały dom. Prawda, dom był stary zimny, ale zawsze miał dwa pokoje i kuchnię a na taki czas to wielka wygoda. Wszedłem do pokoju i zdziwiłem się. Czemu nie rozebrałaś Natalko chorych? I jak dawno tak leżą? Natalka mówi wolno: nie rozebrałam dlatego, że nie chcieli, a leżą tak od tygodnia. Zdziwiłem się jej nieczułości względem swych rodziców. Julian jak i jego żona mnie nie poznali, zresztą zdawało się, że prędko kończą swe porachunki z tym światem, a niebawem przejdą do innego może lepszego świata, ale pojechałem. Wróciłem późno wieczorem, Julian już nie żył. Przypomniało się mi, jak Julian żałował, że zjeżdżają się uciekinierzy, uważał że mu mało będzie gruntu, łąki. Masz teraz, pozostawiłeś wszystko niewiadomo komu, bo córek dorosłych tylko dwie, a chłopcy jeszcze małe. Uciekłem do domu, jakoś smutno mi było i jest. Staram się zapisać wydarzenia dnia i wałę spać.

3 marca.

Dziś odbył się pogrzeb Juljana i jego żony zmarłej wczoraj rano, przybyło sporo krewnych Juljana, wyprawiono suty obiad, na obiedzie byłem również i ja wraz z Mateuszem, który wczoraj przybył z Widowa. Na obiedzie wszystkim dano drewniane łyżki, mnie i bratu metalowe, później podano strawę, nam podano w osobnych talerzach — przeciw czemu zaprotestowaliśmy, ani ja, ani brat nie chcemy niczem się wyróżniać, bo to jakoś i nieładnie, może nie tak nieładnie jak okropnie nie lubię wyróżnień, poprostu wtedy wsty-

dzę się. Po obiedzie wszyscy zaczęli się rozchodzić i rozjeżdżać, Natalka prosiła mnie, abym przyszedł dziś do nich na noc, bo powiedziała że okropnie się boją same, a ludzie wszyscy się rozjadą. Powiedziałem jej, aby przyszła wieczorem i zaprosiła mnie wobec mamy, a napewno pójdę. Naumyślnie tak powiedziałem, obawiałem się aby mama i brat nie posądzili mnie o niemoralność. Natalka przyszła wieczorem przed chwilą i swą prośbę powtórzyła wobec mamy. Mama nie tylko że pozwoliła, a jeszcze przynagła bym prędzej odchodził, powiada że one nie tylko w nocy, a teraz już się boją. Mateusz opowiadał o swej chorobie i buduje plany na przyszłość. Mama jest zupełnie zadowolona, uśmiecha się swemi wychudłemi ustami, wujek zaś najspokojniej podkpiwa nad planami brata.

15 kwietnia.

Ledwie dziś wziąłem się za ołówek, by zanotować co było przez te kilka tygodni. Zaraz jak mama trochę wyzdrowiała, zachorowałem na tyfus ja, powiadają że bardzo ciężko chorowałem, gdy miałem największą gorączkę, to w ciągu 9-ciu dni nic oprócz wody nie brałem do ust, wszyscy przez ten czas tracili nadzieję, iż wyzdrowieję. Przez ten czas uciekło dużo wody. Już nastąpiła polska władza, przechodzą polskie wojska, powiadają że Polacy pójdą aż do Moskwy. Mama opowiada, że policja aresztowała Bolka, Maksyma, Jakuba i innych, wszyscy są oskarżeni o bandytyzm, podobno w nocy z 5 na 6 czerwca zrobili zbrojny napad na niejakiego Piotrowskiego z Knoryd. Weszli do mieszkania podczas kolacji domowników, odpędzili rodzinę Piotrowskiego od jadła, i sami zasiedli do stołu, jedni zjadali kolację, drudzy zaś zabierali rzeczy z mieszkania co cenniejszego, chomąta, wogóle wszystko co natrafili, ogołocili Piotrowskiego doszczętnie. Podobno Piotrowski poznał młynarza z Dubierzyna, zameldował policji, a młynarz wydał resztę. Na Maksyma policjanci nałożyli chomąt i pędzili, a właśnie przed paru dniami zachorował — nie zważali na to, zabrali chorego. Jestem bardzo osłabiony, z trudem piszę. Prawie zupełnie nie chodzić nie mogę, tak tylko stąpię kilka kroków po pokoju i znowu siadam. Przychodzi dziś Kasjan, brat Maksyma i Mitki. Opowiadał jak zabierali Maksyma i jak zmarł Mitka. O śmierci Mitki od czasu mojego oprzytomnienia nikt nic nie mówił, wiedzieli że lubiałem go i dlatego oszczędzono mnie, obawiały się pogorszenia stanu mego zdrowia. To też gdy Kasjan powiedział mi o śmierci Mitki, jakiś ból ścisnął mi wnętrzności, zrobiło się niedobrze. Bo

trzeba wiedzieć, że Mitka mój kolega z dawnych lat, razem z nim pasalem woły, nawet jeszcze do pasania wołów znaleźliśmy się, bo była to właściwie pierwsza znajomość przed wszystkimi znajomościami. To też gdy umierał, jak powiada Kasjan, to przez całe dwie godziny wzywał mnie, abym ratował go od śmierci. I właśnie umierając powiedział Kasjanowi, że on rozmyślnie nie chce mnie zawołać na złość, aby prędzej zmarł. To rozgoryczyło Kasjana. Siedzieliśmy obydwaj i płakali. Szkoda Mitki, żebyśmy przynajmniej mogłem wtedy pójść i pożegnać go przed śmiercią, ale gdzie tam, sam leżałem bez pamięci. Oprócz tego wczoraj zmarła Kasjana żona, chorowała na tyfus, zdaje się że dziś kończy wujek Kasjana. Oj bieda, ludzie padają jak muchy, aż dreszcz przechodzi po plecach. Właśnie siedzimy z bratem i omawiamy wypadki dni ostatnich, aż tu nagle pukanie w okno — kto tam? „To ja Kasjan, niech przyjdzie wasza matka, zmarł wujek”. Jeszcze nie oprzytomnieliśmy a tu znowu pukanie — kto tam? „To ja Prokop, przed chwilą zmarła mi żona, niech przyjdzie wasza stara i pomoże mi obrządzić zwłoki”. Odszedł. Paniczny strach. Co to będzie dalej? — zadaje brat pytanie. — Kiedy ci ludziska wejdą w normalność bytowania? Brat mówi o szarości życia wiejskiego, o nędznej egzystencji, nareszcie mówi, że są i dobre strony życia wiejskiego, tylko trzeba umieć wykorzystać tę dobrą stronę.

Nic nie rozumiem, zajęty jestem Mitką — nie mogę go odzłować, mówię to bratu, odpowiada, że wszystko się przemiele i z tego mąka będzie.

Kwiecień.

Dziś była pierwsza moja orka. Prawda, poszła niefortunnie, właściwie coś niecoś zaorano, ale wynikiem tej orki nie byliśmy zadowoleni. Składało się na to niefortunnie wybrany kawałek pola, słaba umiejętność orania, słabe konie i z powodu mego wycieńczenia zupełna niezdolność do pracy fizycznej. Oraliśmy na Chlebowszczyźnie. Podrzutka była zrobiona zawczasem i zanadto rozpanoszył się perz, tak że gdy pług podrywał skibę, to skiba tak trzeszczała, jakby darło się płótno. Konie ledwie, ledwie ciągnęły pług, wiadomo jak przezimowane na błotnym sianie. I jakie to konie — gdyby jednego przedwojennego założyć do pługa, to napewno więcejby zrobił jak taką parą. Do tego pług nic wart, kowala tu niema, a wieść do Kleszczel niewarto, bo prawie niema czego reperować, bieda i tylko.

Bądź co bądź, a podrzutkę pod kartofle zrobiliśmy, teraz zabronujemy, później znowu zaorzymy i posadzimy kartofle. Mama ciągle kombinuje, jakby to kupić krowę, podobno pieniądze ma, tylko że trzyma na kupno chałupy, najlepiej gotowy jakiś budynek.

Na dniach przeprowadziliśmy „separację” z wujem od stołu. Właściwie to było niewygodnie, bo u wuja своя rodzina, u nas своя. Ja tego nie mogłem zrobić, chociaż wiedziałem całą niedogodność położenia, ale zrobił to brat. Było trochę kłótni, wymówek i nic, teraz wszystko dobrze. Niebawem ma przyjechać bratowa, gdyby nam teraz wybudować własny domek, byłoby całkiem dobrze. Mówię bratu, że jak przyjedzie bratowa, to może lepsze będzie stołowanie, bo zawsze kobieta w tym kierunku posiada lepszą umiejętność i potrafi naprawdę coś porządnie zrobić. Ale z czego? to pytanie, mówi brat i śmieje się. I prawda, niema z czego. Brukiew niemiecka naprzykrzyła się, od kartofli, jak powiada tu jeden, gniją kiszki. Et, zresztą o co mamy się martwić, chodźmy orać i basta.

Kwiecień 23.

Dziś przychodziła Natalka. Dała mi do przeczytania papierek, była to kartka od Maksyma z więzienia. Prosi mnie, abym stanął świadkiem, że Maksym tej a tej nocy był w domu, a właściwie nocował u Natalki (był już jej narzeczoną). Zrozumiałem właśnie: tej nocy nie był u Natalki, a byłem ja, pamiętam to dobrze, a idąc o zmroku do Laszowej, widziałem Bolka tego i syna Laszowej odchodzących z ukrytymi karabinami w stronę Moskiewic. Powiedziałem o prośbie Maksyma mamie, zabroniła stanowczo mnie mieszać się do tej sprawy. Powiedziała mi, że Maksym nie był dzieckiem, gdy robił napad, mógłby pomyśleć o następstwach napadu. Natalce odmówiłem, zdawało się, że była bardzo niezadowolona. Uczęszczam znowu do Laszowej. Już teraz tam nie to. Mięsa nie widać, wogóle odżywiają się gorzej. Mama mówi, że tam bieda prędko zajrzy. To nic. Humoru Laszowa nie traci, nie może tylko odżałować syna i mówi, że ją boli, tłumaczy, że syna jej wciąż gnęli w bandę Bolek i Maksym, jakoby ona nic nie wiedziała. Nie wierzy mi się. Niekoniecznie wierzę w to, aby Jakub poszedł w bandę bez wiedzy matki, bo jak się okazało, to napad na Piotrowskiego był nie jedyny. Banda ta pod przewodnictwem Bolka zrobiła niejeden napad, a kilka, co do kradzieży, to dokonano kilkanaście. Skradziono kilka krów, koni, świń. Krowy i świny zabito,

a konie gdzieś odprowadzono dalej, więc dlatego to nie brakło im mięsa i pieniędzy. To wszystko nic. Jestem u Laszowej, córka jeszcze podłotek, ale dość sympatyczna, ustawicznie niańczy tych małych, nieślubnych braciszków, mówi że kocha ich nadzwyczaj. Niech będzie tak, co mi to szkodzi. Do Wiery (córkę Laszowej) przychodzi jej koleżanka Kocia, bardzo ładnie śpiewają i tak miłe piosenki, że pomimowoli przywiązuje się do nich i często przesiaduje z nimi słuchając ich śpiewu. Zresztą zapoznałem się z chłopcami z Moskiewic i wsi Wólki, nawet urządziliśmy zabawę w plebanji. Ciekawa to była zabawa, muzyka różnęła jakiegoś tańca, którego trudno było podciągnąć pod jakiś wyraźny taniec, nic to nikomu nie szkodziło, każdy tańczył to co uważał za wygodniejsze, jeden walca, drugi polkę, ale grunt że było wesoło.

Lipca 20.

Dawno nie zaglądałem do swego pamiętnika. Gdyby nie święto, to może i dziś nie zaglądałbym do niego. Akurat tak się złożyło, że chłopcy i dziewczęta poszły na odpust do Podbida, a ja tylko jeden pozostałem w domu. Przychodził coprawda Jaś Mikołajów, ale we dwóch nigdzie nie pójdziemy, bo to nikogo niema w domu — wszyscy na odpuscie, a po drugie przyzwyczailiśmy się chodzić po cudzych wsiach całą bandą, weselej. Z moich robót gospodarskich prawie że wszystkie ukończone. Żyto już zżęliśmy, było 7 kóp. Mama mówi, że to w porównaniu z dawnymi zbiorami nic nie jest. Przed wojną zbierano przeciętnie 60—70 kóp żyta, pszenicy, owsa, jakieś paszy, a teraz tylko 7 kóp żyta i trochę jęczmienia, ale przygotowaliśmy pod zasiew już więcej pola i zasialiśmy, to na przyszły rok pod urodzaj zbiór wypadnie większy, najgorzej że i na przyszły rok zamało będzie chleba. Rodzina coprawda nieduża i brat mówi, śmiejąc się, że coś nie coś pociągnie od teścia. Zresztą brat dostał coś w rodzaju posady, a mianowicie jest sekretarzem gminnym, wójtem zaś jest niejaki Kosiński, dziadziec z Gregorowiec. Kosiński naucza brata pisma i mowy polskiej i brat mówi, że podobno robi duże postępy. Prawda, że brat nie-żle mówił po polsku przed wojną, ale za czas wojny mowę polską zapomniał. Pod żyto mam tylko zaorać jeden kawałek, reszta zora-na. Co do wujka, to ten robi większy zasiew i chociaż sprzęgamy się to jednak nie obliczam mu dni roboczych końmi, orzemy tak jak się da. Zdaje mi się, że wujek znowu mi wyprawia kawał, mówi, że nie trzeba orać głęboko pod żyto, a pływiej, natomiast sam orze o

wiele głębiej. Pytałem się mamy jakby należało postąpić, odpowiedziała mi, że jak będzie zorane — tak będzie dobrze; trzeba będzie naumyślnie przejść pole i zobaczyć jak orze Kasjan i inni. Siana również nakosiliśmy sporo, teraz siana można nachować tyle, wiele sił starczy, bo nikt łąki nie mierzył, a każdy kosi tam, gdzie uważa za lepsze. Podziwiam tych starszych gospodarzy, że łatwo mogą robić każdą robotę np. Pieter kosił u nas i jemu choćby co — macha sobie kosą jak laseczką, aż mile spojrzeć, natomiast ja i nie skoszę się z nim, i bardzo prędko się męczę. Do orki już z większego przyzwyczaiłem się — nie tak trudna robota, teraz jest nawet pewna różnica, jak przedtem, bo spoczątku to pług mną kierował, natomiast teraz ja kieruję pługiem. Czasami patrzę jak orze Kasjan, bruzda u niego wychodzi taka prosta, równa, zaś moja, at lepiej nie mówić — wuj powiada, że z daleka można rozpoznać gdzie ja orałem, a wszystko powiada dlatego, że za dużo mam kłopotu z dziewczętami i z chłopcami. Prawda, nie chcę kłamać — nie opuszczam żadnej sposobności, aby urządzić jaką zabawę, aby pójść na inną wieś, no bo ostatecznie co mam robić w świąteczne dni.

Mama mi nieraz powiada, że nie będę dobrym gospodarzem, podobno za dużo latam, nie pilnuję roboty, porządku i t. d. Ale żeby to mi stanowczo zabraniać tego latania, to nie zabrania, słyszałem ja mówiła do sąsiadki, że na wszystko jest czas, niech wyłata się teraz, to później jak się ożeni będzie w domu siedział. Przed tygodniem wrócił Maksym z więzienia, wszyscy zostali tem zaskoczeni, bo przecież każdemu wiadomo, że udział w napadach brał, a teraz został zwolniony — jak i dlaczego? Nikt zielonego pojęcia nie ma, mówią tylko, że napewno się ożeni z Natalką, a niechże tam żeni, bo okropnie nie lubię tej Natalki. Taka zawsze dumna z siebie, bo gdzież tam, jest okropnie bogatą panną. Pewnego razu spotkałem się z nią u Laszowej i po dłuższych żartach powiedziałem jej, również żartami, że niebawem przysłę do niej swych swatów, z wielką dumą odpowiedziała mi: „możesz żartować ze swoją równią, a ja tobie nie równia”, zdawało się sytuacja bez wyjścia, ale znalazłem się, odpowiedziałem jej, że oczywiście jestem winien, bo nigdy nie należy zaczepiać starszych osób — zrozumiała. Jak zawsze bywam u Laszowej, tam coraz gorzej, prawda chleb teraz mają, do tego codzień chodzą na zarobki, nie zważając na to sama Laszowa powiada, że zbliża się do niej widmo głodu, a to powiada jest najgorsze, zaś moja mama mówi, że było

to do przewidywania, na kradzionem nikt nie zajechał jeszcze do spokojnego dobrobytu.

24 grudnia 1919 roku.

Siedzimy wszyscy przed kantyczką i śpiewamy kolendy. Po między nabożne pieśni wuj wstawia czas od czasu jakieś kawały, brat mu pomaga, pełno śmiechu. Mama zaś powstrzymuje się od wygłaszania w taki święty wieczór śmiesznych kawałów. Przypomina każdy z nas, jak dawniej było tego wieczoru, kto co robił, co jadł, jak wtedy było dobrze, a teraz o wiele, wiele gorzej. Nam to jeszcze tako siako, ale ci co przyjeżdżają teraz z Rosji, to zupełnie czują się źle. Właśnie dziś zajrzał do nas jeden z Wólki, posadziliśmy go do stołu, bo w dzisiejszy wieczór nikogo nie można odpuścić głodnego i ten opowiada nam co teraz dzieje się w Rosji, jaki głód i nędza, i jak trudno stamtąd wyrwać się, bo wszędzie wojna. Stare dzieje, prawie to samo pozostawiliśmy tam i my, jakoś robi się weselej przy świetle świecy (bo zazwyczaj palimy łuczywo), wyrasta pewne zadowolenie i gdyby tak był własny domek, byłoby całkiem nieźle. Właśnie przed kilku tygodniami kupiliśmy nie dom coprawda, a śpichlerz i dość daleko bo aż w Osince, to od nas będzie 25 klm. Część my już przywieźli i gdyby tak pojechać jeszcze raz, to już prawie wszystko byłoby przywiezione. Oj ta przewózka, to naprawdę prawdziwa plaga, bo to trzeba chodzić, prosić ludzi, gdyby było bliżej to o furmanki byłoby łatwiej, a daleko to nie chcą jechać, tylko sytuację ratuje samogon i można rzec śmiało, że on dużo nam pomaga, a kosztuje nie tak drogo. Robimy plan przyszłego domu. Mateusz kombinuje tak budować, by wszystkim starczyło miejsca, więc powiada, że do tego śpichrza trzeba dodać trochę drzewa i wyjdzie dom o czterech ubikacjach, bo co chwila może nadjechać Eljasz z żoną i młodszy brat, więc muszą mieć miejsce. Ostatecznie planu jeszcze nie zatwierdzamy — niema poco, budować będziemy nieprędko, aż na wiosnę. U wuja padła przed kilku dniami klacz, nawet byłem z tego zadowolony, bo zawsze musiałem mu pomóc podnosić tę klacz, aż obrzydło, a kto temu winien — sam. Wierzy żydom, a ci wpakowali mu zdechlaka, teraz lamentuje jak przypomni o stracie, nu i przeklina na czem świat stoi, i żydów i tych co mu doradzali kupno tej klaczy.

Wuj też bierze się do budowy domu, ale ten ma doborny budulec, nawoził z Kosińskiego lasu, miał sprzężaj wtedy jak nikt

niczego nie bronił, wogóle na ten czas kto miał konia, a nie gapił się, to teraz coś niecoś odbuduje. Dziś o te rzeczy trudniej, zresztą Kosiński sprzedał duży kawał lasu, i rąbią teraz metry. Taki śliczny budulec rżną na opał, że naprawdę żal spojrzeć. Bo czy to mało jest drzewa opałowego np. olszowego, brzoźowego, że niszczą taki las. — Ale prawda, z jednej strony źle, z drugiej dobrze, bo ludzie ciągle jadą z Rosji, więc mają gdzie zarobić na kartofle i chleb. Nie wszyscy ci przyjeżdżający pozostają w domu, masowo idą na „polską stronę” i tam zarabiają na życie, i to jak kto: jedni robią u gospodarza tylko za życie, drudzy coś nie coś przynoszą do domu. Tak np. Tomasz Skolimowski, dźwigał 3 pudy żyta, aż z Kostusina, majątku odległego o przeszło 30 klm. Mówi że tak wypadło, że nikt go nie podwiózł, a całą drogę musiał deptać pieszo.

Teraz gorzej cierpią nędzę jak przeszły rok. Ten co przyjechał wcześniej wygrał lepiej, bo prawie w każdym majątku była założona przez Niemców kolonia rolna, więc Niemcy zrobili dość dużo zasiewu, i wszystko to pozostawili, kto nie był tchórzem, to jeszcze podczas bytności Niemców nachował sobie zboża, a jak Niemcy wyjechali, to skorzystali ci na czyich gruntach były porobione zasiewy kolonii niemieckiej. Ci zaś co przyjechali tego lata to mają najgorzej. Prawda, w znacznym stopniu pomaga ludności zapomoga dziecinna, kto ma dzieci to jakoś mu ich żywią, wydając pierwszorzędne produkty spożywcze, ale jest sporo szachrajstwa. Przedewszystkiem zapisało się sporo nie dzieci, a osób dorosłych, to jeszcze nic, gorzej że w tych produktach każdy stara się wykombinować coś sobie tak, że w rezultacie do najbiedniejszego dziecka dociera bardzo mała ilość produktów. Kto uparciejszy, ten sobie da jakoś radę, ale potulniejszy gorzej, każdy stara się go po troszeczkę skubać. Proponowano mnie, abym zapisał się na produkty, tłumacząc to tem, że moi rówieśnicy pozapisywali się wszyscy. Odmówiłem stanowczo, przecież mam 19 lat, w takich latach chyba nie wypada być dzieckiem, zresztą brat również sprzeciwił się temu stanowczo, powiada, niech z tego dobrodziejstwa lepiej skorzysta dziecko. Wuj z nas obydwu kpi w najzwyczajniejszy sposób, powiada, jak nie wykorzystać nadająca się sposobność i nie wziąć puszkę mleka lub parę funtów dobrej mąki.

Luty 1920.

Wczora przywieźliśmy ostatnią furę swego przyszłego domu. Nic dziwnego, że jesteśmy nadzwyczaj zadowoleni. Z wiosną pro-

jektujemy rozpoczęcie budowy, został ostatecznie ustalony plan domu, a mianowicie: przedewszystkiem kuchnie, dalej alkowa, dalej pokój — to z jednej strony, po drugiej stronie naprzeciw kuchni komora, a za komorą zupełnie osobny pokój. Obliczamy materiał, którym rozporządzamy — za mało. Jakoś trzeba będzie ten materiał wykombinować, najłatwiejszy sposób wykombinowania materiału... to kradzież, najgorzej tylko, że ani ja, ani brat nie jesteśmy zdolni do tego. Postanowili dziś jechać i szukać majstra, stręczą tam, lub w innym miejscu, jak wiadomo co lepszego to droższe, a tu niema funduszów, bo ten śpichlerz to był kupiony za pieniądze mamy, więc trudno byłoby brać majstra takiego, na którego nie przystałaby mama. W każdym bądź razie mama mówi, że jeszcze na opłatę majstra pieniędzy starczy. Z moich zajęć codziennych to że nic się nie robi — bo i niema czego. Przywiozłem kilka fur opału i na tem koniec. Więc chodzę sobie wieczorami to tu, to tam, aby tylko czas spędzić. Wieczorami, czasami, przy oświetleniu łuczycem gramy w karty, najbardziej rozpowszechniona gra „w wodza”, ale dość prędko naprzykrza się, więc opowiadamy sobie swoje przeżycia z Rosji, lub omawiamy wojnę teraźniejszą. Najczęściej jednak bywa tak, że siedzimy z dziewczętami i opowiadamy im rzeczy, które ich najlepiej ciekawią, a wszystko to odbywa się u Laszowej. Przychodzą chłopcy z Moskwie, właściwie z Moskiewieckimi chłopcami najchętniej kolegują i urządzamy zabawę, najczęściej w plebanji. Plebanja nie jest coprawda pustą, mieszkają tam uciekinierzy, ale wcale nie robią przeszkód w urządzaniu zabaw. Zresztą mało zaciekawiam się, bo jaka mi to zabawa. Chłopcy stoją w jednym kącie, dziewczęta w drugim, póki muzyka nie gra to chłopcy rozmawiają pomiędzy sobą, a dziewczęta pomiędzy sobą. Gdy tylko muzyka zaczyna grać, chłopcy rzucają się do dziewcząt i zaczynają wirować po pokoju, nieznosnie tupiąc nogami, dobrze jeżeli w takt muzyki co zdarza się dość nieczęsto, bo najczęściej wali nogami jak koń, którego giez ukąsi, nu i ma minę jakby wyrabiał cuda. Tańczą dość długo, wszyscy spoceni, każdy zipie, a tańca jednakowoż nie przerywa do czasu, póki muzyka sama nie strzyma przestając grać. Nawet znajdują się tacy, co jeszcze proszą muzykę o przedłużenie tańca, ale jak zauważyłem nie dlatego, że się nie natańczył, a dlatego aby zadziwić swoją wytrwałością dziewcząt — nu i widzów, których nigdy na takich zabawach nie braknie. Nareszcie zziąjany, spocony, pozostawia dziewczynę pośrodku pokoju i odchodzi w stronę chłop-

ców, ta znowu biegiem do swego stadka. Po kilku minutach muzyka zaczyna grać walca, jeżeli przedtem była grana polka, lub naodwrot, ale zasadniczo innych tańców nie tańczono. I znowu w szalonym tempie zaczynają wirować pary, napelniając swym chichotem, gwizdem i pośpiewkami całą wieś.

29 czerwca 1920 roku.

Nie wiem czemu nie pisałem nic tak długo do pamiętnika, częściowo zwałam to na bary swej młodości, bo jak tylko mam chwilę wolnego czasu, to szukam towarzystwa, a po drugie, mam teraz za dużo roboty, bo to i dom budujemy, i robota polna, nieraz przemęczenie, a nieraz poprostu niechęć, na przyszłość będę się starał notować tylko najważniejsze wydarzenia, bo naprawdę śmieszny byłby mój pamiętnik, gdybym spisywał każdą robotę zrobioną w ciągu tygodnia, wyglądałoby to tak — dziś orka i pasanie konia, jutro zwózka i pasanie konia, pojutrze znowu orka i pasanie konia, i tak zawsze naokoło.

Przez ten czas, t. j. od lutego, zaszły u nas dwie zmiany. Przedewszystkiem niema tu brata, wyjechał do Widowa, a później dostał posadę kontrolera skarbowego, znajduje się obecnie w Brańsku. Spowodowały to kłótnie powstałe na tle przyszłego władania domem.

Nawet śmiesznie, dom znajdował się w toku budowy, a już zaczęły powstawać projekty tego przyszłego władania domem. A było to tak. Pewnego razu bratowa pojechała do Widowa i przyjechała stąd z gotowością spłacenia mamie za dom, to znaczy zwrócić mamie pieniądze użyte na kupno śpichlerza, tłumacząc że tak czy inaczej, to jedynie zawdzięczając jej i bratu buduje się dom, gdyż powiada, Mateusz pojechał wynalazł śpichlerz, a furmanek do przewiezienia również było więcej z Widowa i to wyłącznie po prośbie jej ojca itd. Początkowo było mi zupełnie obojętnie, czy będzie to dom mój, brata, mamy, ale gdy mi wytłumaczono, że każdy ze swego domu może wypędzić, więc przyłączyłem się do frontu mamy i stanowczo sprzeciwiałem się takiej manipulacji, zresztą mama i sama nie chciała odstępować, mówiąc, że z Rosji przyjadą jeszcze Eljasz z żoną, Wasyl i siostra, a oczekiwać ich powrotu należało codziennie. Nic nie pomaga, Mateusz stanowczo chce budować dom tylko dla siebie, zresztą dołożył się do tego w znacznym stopniu, gdyż kupił u Kosińskiego 2 sosny, sam porządną na bale (ja wówczas byłem chory), liczy za to 100 mk. a mamie chce

zwrócić tylko 300 mk. Powstały kłótnie, nagadaliśmy sobie nawzajem dużo nieprzyjemnych rzeczy i w rezultacie Mateusza niema, ma posadę i basta. Budujemy dom w dalszym ciągu. Zrąb już wykończony, dziś żyd robi okna na kuchnię i alkowę, resztę postanawiamy nie wykańczać tymczasem. Pokrycie daliśmy słomiane, a że nie było słomy prostej, więc pokryliśmy słomą targaną, przywożoną z wólczańskiego pola, a należącą do b. kolonji rolnej niemieckiej. Nie powiem żeby to było pokrycie efektowne i nieprzepuszczalne dla wody deszczowej, jednakowoż z większego tamuje opady i uważamy to za wystarczające. Podczas wożenia słomy mieliśmy zajście z gospodarzem, na którego polu stał ów stóg słomy, nie dawał nam z mamą brać słomy ze stogu, przywłaszczając dla siebie słomę, a to z tego względu, że stóg stał na jego polu. Akurat przyszedł wtedy, gdy odjeżdżaliśmy z pod stoga, i zakazał nam stanowczo słomy więcej brać. Powiedziałem mu że słomy będę brać tyle, ile będę potrzebował, na co ów gospodarz zapowiedział wystąpienie zbrojne z pałką, ja zaś miałem bronić się widłami, ale za drugim razem mama konflikt zażegnała, ofiarowując Demidowi trochę kartofli i kawał chleba, co znacznie pomogło Demidowi udobruchać się, pozwolił nam brać słomę, a nawet pomagał nakładać na wóz. Niedawno kupiliśmy krowę. Brat Łukasz przysłał z Ameryki kilka dolarów, więc za te pieniądze kupiliśmy krowę. Do tego jest jeszcze jałówka, wzięliśmy tej wiosny u zamożnego gospodarza z Widowa cielaka i mamy ją chować aż do trzeciego cielaka. To znaczy że gdy ten cielak wyrośnie i w następstwie jako krowa będzie zapłodniona trzecim cielakiem, wtedy należy zwrócić gospodarzowi krowę, sobie zaś pozostawić dwa cielaki, w ten sposób spodziewaliśmy się rozmnożyć bydło. Wujek zmienił się teraz niedopoznania, buduje sobie dom, ale ładny, duży. Nic sobie nawzajem nie pomagamy, bo wujek jest zawsze okropnie zły, i gdy przechodzi koło naszego domu, to nawet głowy nie podnosi. Mama mówi, że przyczyna tego tkwi głębiej, że wuj jest okropnie zazdrosny, więc poprostu nie podoba się mu, że my narówni z nim, taka biedota, odbudowujemy się i nabywamy inwentarz. Czasami zwracam się z czem do wuja, odpowiada z niechęcią, a czasami nawet opryskliwie, nic, udaję że nie zauważam jego tonu, a to zmusza go do rozmowy ze mną, i to czasami nawet dość łagodnej. Zresztą nie mamy nic wspólnego, z wyjątkiem chyba tego, że się sprzęgamy do orania, a w tem, że wuj udaje bogatego, to dla mnie nic ciekawego, bo bądź co bądź był bogatym i przed wojną, więc może być

takim teraz. Miałem już, że tak powiem, zatarg z Maksymem. Maksym już się ożenił z Natalką, już wybudowali sobie dom, mają konie, krowy — są bogaci, tylko to jest najgorsze, że jak tylko da radę, podoruje nasz grunt. Właśnie podorał nam „na Ozierysku”. Wprawdzie ja zasadniczo nie wiem gdzie była miedza, ale słucham matki. Maksym ze swym bratem Kasjanem upierają się, że miedza jest o jakieś półtora sążnia dalej na naszym polu, więc mierzymy według miary, wypada, że miedza jest dalej na ich polu o jakie dwa sążnie, zapowiada się walka. Kasjan ustąpił, Maksym upiera się, że jest tak jak mówi on. Dałem spokój, nie pozwoliłem tylko podorywać dalej. Ciekawe, że wuj, zapraszany na ten spór jako rzeczoznawca, zupełnie nie przyszedł. Nie pomyślałem o wuju dobrze, jakoś stracił on zupełnie w moich oczach na znaczeniu.

Sierpień.

Znowu wojna. Wojska polskie odchodzą z naszych stron. Mówią, że Polaków bolszewicy pędzą, patrzymy i mówimy że nie. Wdzieliśmy wojnę, gdy uciekają to robi się popłoch, wojska idą w nieładzie, wiadomo jak uciekają, każdy sobie, kto jak da radę. A tu widzimy idą pułki tak jakby maszerowały na ćwiczenia i nie bardzo śpiesząc się. W większości wypadków przesiadujemy z krowami i końmi w krzakach, bo trudno. Zabiorą ci konia pod tabor, zmarnują i jak go wtedy znowu nabyć. Zresztą polacy zasadniczo koni nie zabierali, a tylko mieniali, więc o ile jakiś żołnierz ma gorszego konia, to mienia na lepszego u gospodarza, co do dopłaty to niema mowy, bo jak kto co powie to nazywają bolszewikiem i jeszcze grożą kolbami — lepiej człeku milcz i tyle. Żołnierze wdzierają się do domów, żądają mleka, jaj, trafiają się tacy co sami zajrzą do pieca, szafy lub komory. Pewnego razu przybłąkał się jakiś żołnierzysko, prosi u mamy bielizny. Mama poszperała po kryjówkach, wydostała mu bieliznę, z płótna swej roboty, oddała, był bardzo ucieszony. Przespał się i na drugi dzień odchodząc rano skradł z mego łóżka prześcieradło i kołdrę, nu i co mu powiesz? Od tego czasu zaczęliśmy chować wszystko. A tu wojna coraz bliżej, bliżej. Coraz wyraźniej słysząc uderzenia armat, aż pewnego poranku usłyszeliśmy pukania karabinów maszynowych. Ale to nie był rok 1915, prawie żadnego popłochu. Gdy wojsko przechodzi, mniej wyruszamy do robót polnych, orzemy, jak widać brózdę, jak nie to bronujemy. Pewnego razu orałem przy blasku księżyca, starałem się nie dochodzić do drogi, ale w nocy bardzo daleko słysząc

każdy szmer. Staram się zupełnie niekrzyczeć na konia, jak na złość źle konie chodzą, zajęty swą robotą, nie zauważyłem jak po drodze posuwała się piechota. Widocznie mnie zauważono, bo od posuwającej się kupy ludzi oddzielił się jeździec, podążył w moją stronę. Myślę sobie oficer! — Nie taki strach, bo ci zawsze wyrozumiały i od nich zawsze można się odprosić. Podjechał, pyta się zdziwiony, czemu ja orzę w nocy. Nie mogłem na tak proste pytanie klamać, opowiedziałem mu swe obawy i zmartwienia, zaśmiał się. Powiada, że mam słuszość. Kazał mi po rosyjsku (gdyż wtedy b. źle mówiłem po polsku) zatrzymać się i nigdzie nie odchodzić, a on podobno ma wrócić znowu. Myślę sobie: A jak to udaje tylko polaka a jest bolszewikiem, jak tu z nim gadać? Zatrzymano ludzi na drodze. Stoją. Jeździec znowu jedzie do mnie. Mówi, że jest oficerem polskim, pyta się o drogę do folwarku Teklinowo. Mówię mu, że folwark Teklinowo już nie istnieje, tam niema ni zabudowań, ani nic a są tylko grunta i gdyby tam iść, to trzeba tam wracać spowrotem do kolei i iść ponad koleją. Zdziwił się bardzo, że jest przed samą Wólką, spojrzał na mnie, widzę, że albo nie rozumiem, albo nie wierzy. Patrzy na mapę, prosi, abym wskazał gdzie jesteśmy. Na mapie niemieckie nazwy, ja źle się orjentuję, zresztą oszczędza latarki i świeci tylko czas od czasu. Nareszcie proszę o ołówek i kawałek papieru, oficer mnie przyświeca, a ja nanoszę sytuację tej drogi, na której stoi wojsko, drogę do Wólki, Teklinowa, Moskiewiec, Gregorowiec, spojrzał na mapie zgadza się, ładnie podziękował, podał rękę i pojechał. Jaki miły i ujmujący człowiek, gdyby wszyscy ludzie byli tacy, to napewno żadna wojna nie byłaby straszna. Po jakiejś godzinie skończyłem orkę i dalej w krzaki, tam najpewniej. Na drugi dzień rano już można było określić, że strzelano z karabinów nie dalej jak w Kleszczelach. Wszyscy, kto ma konie i krowy, jesteśmy na naszych rozległych błotach. W domu pusto, a nawet wyjęliśmy okna, żeby jaki żołnierz czasem nie powybił szyb, i tak dom pozostawiliśmy, uciekać ze wsi nikt nie ma zamiaru, wszyscy mówią żeby tu niewiadomo co miało być, to uciekać nie będziemy — już nauczeni ucieczką, dość tego. Zresztą nie była to taka wojna jak niemiecka, mniej było huków. Poszedłem na błoto, położyłem się pod stogiem i śpię, budzą mnie, wskazują na pole widoczne daleko za błotem. Patrząc, posuwa się tabor widocznie bolszewicki. Gdzieś od strony Kleszczel wystrzał armatni, wyraźnie było widać jak wybuchnął z armaty dym i jak o jakieś 3 klm. wybuchł pocisk, patrzymy niedaleko od

tego miejsca, gdzie wybuchł pocisk, galopem leci kawalerja, wpada na tabor, widoczny popłoch, a później kawalerja galopem w stronę armaty, również jakiś popłoch tylko mniej widoczny. Po jakich 15 minutach stamtąd strony błota była zupełna cisza. W towarzystwie Maksyma i Kozłowskiego poszedłem zobaczyć na tamtą stronę błota, co się dzieje. Za jakąś godzinę już prawie byliśmy u celu, aż patrzymy, a tu nadciąga szwadron kawalerji, podchodzimy bliżej, okazała się bolszewicka grupa kawalerji, pytają nas o drogę do Milejczyc, wskazaliśmy drogę i w obawie przed spodziewanymi nieprzyjemnościami wróciliśmy do domu. Wólkę już zajęli bolszewiki. Pierwszy raz w życiu widziałem takie wojsko. Chodzi jak kto potrafił, jeden był w czapce, drugi w kapeluszu, jeden był w butach, drugi zupełnie boso. W domu zastałem pełno ich, a że padał nad wieczór deszcz, więc wszyscy suszyli przed kominem swe ubrania, zauważyłem że sporo ich jest bez koszul, mówią że są głodni i proszą matki aby ugotowała im kartofli. Wszedł mały bolszewik, miał jakich lat 15, mama pyta go „dokądże ty bębnie idziesz”, odpowiada „idę żeby tego polaka niestało”, „a co on tobie szkodzi”, nie odpowiada, zaambarasowany milczy — wszyscy się śmieją. Na drugi dzień przychodzi bolszewik dobrze ubrany, oznajmia że musimy dać im furmankę, mówimy że nie mamy konia, okazuje się że jest dobrze poinformowany, więc zapowiada, jeśli nie damy fury — będzie źle. Nic nie radzisz, trzeba przyprowadzić. Sprzęgliśmy się z Maksymem i ten pojechał. Załowałem w duchu polaków, tam byli oficerowie, można było się komuś poskarżyć, a tu djabli ich wiedzą do kogo się zwracać.

Roboty polne prawie że przerwane. Jak kto co robił to pokrywajom. W Kleszczelach mówią, że zaczynają organizować przymusową dostawę mleka dla żydów. Rolnicy mają dawać żydom mleko, jako proletarjuszom miejskim, a żydzi będą dostarczać dla rolników co? gó.... ziki.

Pułki bolszewickie ciągle nacierają „na Arszawę”, tylko dziwne, prawie wszyscy bez karabinów, mówią bolszewicy, że karabiny wiozą na furach wraz z amunicją, nie wierzymy temu.

Odwrot. Całe masy bolszewików uciekają przed wojskiem polskim. Byłem w mieście. Janek Ostaszewicz, mieszkający teraz w Bielsku, zapowiada wstąpienie do wojska polskiego. Przyjeżdżam i mówię to mamie, dodaję, że chciałbym sam wstąpić do wojska. Płacz. Z kim mnie pozostawisz, znowu stara bajka... „miałam was pięciu i nikt ze mną nie mieszka”. Dałem spokój. Armat wcale nie

słysząc, tylko jadą bolszewicy i pytają o drogę do Baranowicz. Przyjechał Maksym, opowiadał o sposobach walki bolszewickiej. Mówi, że mu wstawili na wóz karabin maszynowy, kazali się wozić po pierwszej linii, a sami strzelali z karabinu. Ładna wojna, wezmą spokojnego, dadzą mu do ręki lejce i walcz. Maksymowego konia zabito, dali mu wzamian drugiego, teraz chowa się z nim po zaroślach w obawie, by bolszewicy znowu nie zabrali do taboru. Mówią że w Mielejczycach było starcie kawalerji bolszewickiej i polskiej, ale bolszewicy prędko uciekli, pozostawiając dużo trupów na miejscu.

Wczoraj wieczorem szedłem na błota, podchodzące do Olszynki, słysząc że idzie masa ludzi. Położyłem się na ziemi. Pocichu wsunąłem się w gąszcz krzaków i słucham. Po mowie rozpoznałem, że idą bolszewicy — teraz niema strachu — idę naprzeciw. Przednie stanęły, pytają kto tam, odpowiadam, że jestem miejscowym gospodarzem i poszukuję koni. Uwierzyli. Proszą o wskazanie drogi do Baranowicz, odległych o jakieś przeszło 100 klm., wskazałem drogę na Orlę. Poszli, było ich około 150 i nikt prawie nie miał karabinu — dziwne wojsko. Na błotach już pracowali nasi gospodarze koło koni pozostawionych przez bolszewików, przyłączyłem się do nich ja. Wybrałem sobie konia i ciągnę go, niebardzo był jeszcze zmęczony, po jakiejś godzinie wyciągnąłem go na groblę i wyprowadziłem z błot. Bardzo ucieszyłem się, nie na długo, po trzech dniach przybyła żandarmerja i konia musiałem oddać. Ale bądź co bądź przez dwa dni podorałem i to dobrze. Bolszewicy pozostawili dużo broni, amunicji, tabor z aparatami telefonicznymi, chodziliśmy pod Żuki obejrzyć co tam jest. Dużo znaleźliśmy szabel, jedną zachowałem sobie, taka ładna pamiątkowa, z napisem, widocznie kiedyś ktoś komuś ofiarował szablę, lub podczas rewolucji trafiła do rąk marynarzy (jak to było w Odessie na ulicy odwiązywali oficerom szable). A teraz taki wojak rzucił na łąkę i zmyka, wiadomo — szabla go nie kosztuje.

2 października 1920 r.

Żyto już posiałem, pozostało zrobić podorywkę na kartofle na przyszłą wiosnę i na tem koniec z robotami polnemi. W tym roku żyta mamy więcej, a kartofli nakopaliśmy sporo, tak że można będzie kupić prosiaków, ale trzeba jechać daleko szukać, tu trudno dostać. Pobudowaliśmy przy domu chlewek dla swego in-

wentarza. Teraz brakuje nam stodoły. Wujek kupił w Gregorowcach sobie stodołę za 700 mk. Dobrze mu, on już zagospodarował się lepiej, ma już sporo zboża, ma świnie, jest już gospodarzem. Prawda, daleko mu do stanu przedwojennego, ale żyć już może. Wykombinowałem sobie, że pobuduję stodołę w ten sposób. W gregorowieckim lesie, leży sporo papierówek, gdyby tych papierówek nawozić, potrzebę napół (jak to zrobił jeden w Moskiewicach), byłaby ładna stodoła — tylko najgorsze że trzeba w nocy kraść. Pewnego razu pojechałem. Noc wybrałem dość ciemną, a że wiedziałem gdzie te papierówki leżą, łatwo do nich dotarłem. Strach. Nie chodzi o to, że złapią i będzie kara. Nie. Nie to. Chodziło o to, że nigdy nic nie kradłem i zostanę opoznany, będę długo wstydził się. Bo to myślałem sobie pozostaje piętno na całe życie. Nabrałem furę i przywiozłem do domu, ale więcej nie pojechałem i powiedziałem, że nie pojadę nigdy. Powiadają, że wilka nogi karmią i tak ono jest. Kupiłem sobie budulec we wsi Suchodolce. Przyjechał teraz z Rosji niejaki Marko, powiadają, że do wojny był bogaczem i nie mając sposobu do życia sprzedaje las. Udałem się do niego. Zastałem go leżącego na narach, wszędzie brud, nędza wylała z każdego kąta chałupy, z każdej łaty jego ubrania. Chory sam, chore dzieci, sąsiadka litościwa kobieta obsługuje ich wszystkich. Dość prędko umówiliśmy się. Za 25 pudów kartofli, 2 pudy jęczmienia, kupiłem 7 sztuk dużych sosen. Obliczyłem, okazało się, że starczy mi tego drzewa na dobrą stodołę. Odwożąc mu kartofle i jęczmień, dodałem mu ponad umówioną ilość jęczmienia 2 pudy żyta. Był nieskończenie wdzięczny, zresztą zapowiedział mi, że gdy doczeka swego żyta to mi zwróci. Tymczasem do zwózki nie biorę się, pozostawiam na zimę, jak będzie lepsza droga, a teraz koniecznie trzeba wyorać drugą część ogrodu, gdyż wyorana była tylko część. Brak mi na moje budynki dobrego pokrycia. Będąc w Rosji widziałem pokrycie wiórami. Gdy teraz przypominam wygląd tego pokrycia, to mi wcale się podoba, tylko nie wiem jak robić te wióry. Robiłem próby szczepiania szczap i nic. Odszczepia się to zbyt grubo, to znowu wychodzi klinem i z dość grubej szczapy miałem trzy dobre wióry. Obliczenia wskazały, że trzeba będzie bardzo dużo napsuć drzewa i to doborowego — nic nie wychodzi, nu i dałem spokój. Przed domem miałem założyć ogródek kwiatowy. Widziałem bardzo ładny ogródek kwiatowy przed willą jakiegoś bogacza w Odessie, bardzo mi się spodobał. Ogrodzony był grubym łańcuchem, przymocowanym do cementowych słupków; łańcuchy

zwieszały się tak, że naogół wyglądały bardzo poważnie i ładnie. Ponieważ o prawdziwym łańcuchu nie było mowy, więc zacząłem robić drewniany. Miałem to pomalować na czarno i chciałem osiągnąć wygląd taki sam jak tej willi. Zapalczywie wzięłem się do roboty, ale mama mój zapal oziębila, mówiąc że jeżeli ja nie zagrozę całej siedziby, to świnię sąsiadów a z czasem i swoje łańcuchy poobrywają i poniszczą, a co do słupków to psy będą uważali za najwygodniejsze miejsce do załatwiania swych potrzeb naturalnych. Zirytowany odłożyłem tę robotę do czasu ogrodzenia całej siedziby. Jeździłem przed kilku dniami dla Prokopa po śpichlerz, kupił go sobie na domek w Suchowolcach. Zapraszał mnie na poczęstunek — odmówiłem. Podobno obraził się. Powiada że do niego, biednego człeka, nawet nie raczyłem zajrzeć do chaty. Mnie zaś nie chodziło czy on ubogi czy nie, tylko nie chciałem iść do niego ze względów na to, że ledwie ten Prokop sam zipie, a tu jeszcze iść i objadać go. Że Prokop oszczędny, wiem to dobrze. Wiadomem jest każdemu, że kartofle lub barszcz Prokop podgrzewa tak długo, póki wszystkiego nie zje. Nawet gdyby ten barszcz był trzy dni temu gotowany, wszystko jedno nie da mu się zmarnować. Lubię go zresztą za jego dyplomację. Nie słyszałem jeszcze by na kogoś on powiedział źle, zawsze stara się z mową przejść po środku, nikogo nie zaczepiając, ale naogół chłop jest niezły.

Luty 1921.

Zima, także wieczory jesienne, przeleciały mi dobrze. Bywałem bardzo często u Laszowej, tam zbierało się zawsze dużo młodzieży i czas zleciał bardzo szybko. Nie powiem żebym bardzo próżnował, bo zwiózłem zakupione drzewo, nająłem robotników i ci już kończą trzeć. Drzewo pomagał wozić mi niejaki Nowik. Dawniej był to zamożny gospodarz, ale jakoś nieszczęśliwie się ożenił, tak że zmuszony był gospodarkę likwidować, co podobno skwapliwie uczynił, wstąpił na służbę do komory celnej w Odessie i mówi, że mu było b. dobrze. Do nas przybył jako do dawniejszych sąsiadów, zatrzymał się tu i pomagał zwozić drzewo. Nowik do roboty był zupełnie niezdolny. Gdy nprz. wkładamy duży kłoc na wóz, stał wtedy zupełnie bezradny, a że okropnie się bał wypadku, więc niełatwo było go namówić, żeby dał drąg lub drągiem podtrzymywał kłoc. To jeszcze nic, gorzej było gdy trzeba było sosnę ścinać. Ja zasadniczo nabrałem wprawę — wiedziałem jak należy sosnę podciąć by spadła w tę lub w inną stronę, więc pro-

wadzić robotę mogłem, co się tyczy Nowika, to on mi dużo psuł. Pojechałem z nim pierwszy raz. Obrałem dość potężną sosnę, podciąłem z jednej strony, z drugiej zaś strony rżniemy piłą. Zasadniczo sosna się kładzie w tę stronę, z której podcięta, bo tak już wybiera się według tej pochyłości. Rżniemy. Ledwie sosna tylko drgnęła, a mój Nowik w nogi, więc sosna już się pochyliła i tak zatrzymała, że mało była poderżnięta, więc rozszczepiła się psując mi najładniejszy spodni kloc. Oburzyłem się na niego, nagadałem głupstw — ten znowu naskarżył mnie przed matką — jak nie wykręcaj ja pozostałem winien. Natomiast do współżycia towarzyskiego Nowik nadawał się najzupełniej. Tak gdy wieczorem udawaliśmy się do Laszowej, to wprost imponował mi swoją umiejętnością obchodzenia się z ludźmi. Zazwyczaj u Laszowej całował rękę (bo bądź co bądź była żoną byłego maszynisty), znał dużo anegdotek i tak rozmaitych kawałów. Gdy wracaliśmy do domu, to zawsze mi opowiadał, że będąc w Odessie bardzo dużo uprowadzał panien i że wogóle na tem polu położył dużo trudu i podobno jeszcze nie był to koniec. Oprócz tego że zwiozłem budulec zrobiłem jeszcze matce warsztat tkacki, położyłem na to wiele trudu i ledwie że ukończyłem i to pod naciskiem matki. Obecnie doprawiam bale, nie powiem żebym tak bardzo dokładał się do tej roboty, to jednakowoż staram się coś niecoś robić, bo matka okropnie napędza mnie do tej roboty, zresztą i sam chcę na wiosnę wybudować własną stodołę. Bo to i wygoda własna, a do tego będę stał na równi z innemi gospodarzami. Rzecz zupełnie zrozumiała, przecież pochlebnie słyszeć jak to człowieka chwałą. Sąsiadki kombinują z kimby to mnie ożenić. Domyślają się że będę brał Kasjanową córkę. Ależ ta za bogata. Dobrze powiadają byłoby, gdyby moi bracia nie przyjechali, miałbym gospodarstwo duże, a jak przyjadą bracia, to będę zupełnym biedakiem, co do mnie to uważam, że o takich rzeczach nie prędko pomyślę. Z dziewcząt jeszcze nikogo nie mam, którejby zwierzyłem się w swych czułościach. Interesuje mnie co-prawda Wiera, córka Laszowej. Ale jest jeszcze prawie dzieciak, nic a nic o miłości nie rozumie. Kilka razy pozostawałem z nią sam na sam, lecz w żaden sposób nie mogłem nawiązać rozmowy. Co nie powiem, to słyszę odpowiedzi: tak lub nie. Powiedziałem sobie, że jest sympatycznym smarkaczem i na tem koniec. Co się tyczy córki Kasjana, to była przebieglejsza, ale często dawała poznać, że jestem za biedny, bym mógł się do niej równać. Oczywiście, że nie miałem żadnych zamiarów na przyszłość co do owych

dziewcząt, ale bądź co bądź już moja opinia była ustabilizowana, więc w przyszłości nie mogłem marzyć o zawarciu związków małżeńskich ani z córką Kasjana, ani też z inną bogatszą dziewczyną. To, że ja uczyłem się, to było jeszcze gorszem, gdyż sąsiedzi mówią, że teraz niewiadomo co ze mnie będzie, bo podobno trochę wyróżniam się od chłopów, a nie doszedłem do pana. Matka czasami opowiada o tem, ale widząc że niewiele temi rzeczami zaciekawiam się — zaczyna mówić o czem innym.

Maj 1921.

Stodoła jest na ukończeniu, już nawet postawione krokwie, teraz obmyślam jakby to pokryć. Słomy swej niedużo, trzeba dokupić — jak zawsze brak pieniędzy. Więc trzeba będzie zastosować się do rady Prokopa i pokryć tyle ile się da, a po zbiorach młócić i pokrywać dalej. Ale nie stodoła mnie zapędziła do pamiętnika, a zupełnie co innego. Wiera od dłuższego czasu pracuje gdzieś na „Mazurach”, jako służąca, jej brat niedaleko pasa bydło i właśnie przed tygodniem przychodził do domu. Gdy odchodził spowrotem, wysłałem przez niego list do Wiery. Nie pisałem tam o miłości, a tylko tak wiadomości bieżące, no i dodałem że stęskniony czekam na jej powrót. Dziś właśnie otrzymałem od niej list. Ucieszony przyleciałem do domu, otwieram... patrzę... mój list porwany na drobne kawałki i przysłany spowrotem. Obraza. Ciężka obraza. I to trzeba mi było pisać listy do takich smarkaczów. Chciałem zaskarbić jej względy, a tu masz. Nic, odegram się — kawał pójdzie na kawał. Postanowiłem sobie, że jak wróci (a ma niebawem wrócić) wcale nie będę się z nią zadawał. Owszem, będę dla niej zawsze grzeczny — ale zimny a tymczasem będę zalecać się do Kati, siostry Natalki.

Roboty polne w całej pełni. Kartofle już posadzone, nieza długo będę obredlał, również zboża jarego zasiałem w tym roku więcej, i narazie wybieram się do koszenia, mówią że za jaki tydzień wyruszymy kosić, a ponieważ i w tym roku nikt na swe łąki nie pójdzie, a będzie kosić gdzie tylko się da, więc matka wypycha mnie, aby prędzej wykosić lepsze trawy. Czekam z niecierpliwością powrotu braci z Rosji, uważam że będzie lepiej, zdam całe gospodarstwo na Eljasza i niech tam sobie się martwi. Matka ciągle utyskuje na mnie, że tego nie zrobiłem, to owego, a kiedyż to wszystko człeku zrobisz? Prawda że na święta i niedziele jestem zupełnie wolny, ale zato staram się wykorzystać ten dzień i wykorzystuję

jestem przez cały dzień w towarzystwie chłopców i dziewcząt i czasami wracam z takich wycieczek aż o świcie drugiego dnia. Pewnego razu zakładam konie w pług, a matka idzie doić krowy. Pyta się: „Paweł dlaczego jesteś w świątecznym ubraniu”, ach, tak zapomniałem zrzucić ubranie. Przed chwilą tylko wróciłem z Moskiewic, a że to była moja kolejka orania, więc myślałem tylko o tem, by prędzej wyjść w pole, a o ubraniu zapomniałem. Nie spałem przez całą noc, nic mi nie szkodzi, jeszcze się wyśpię. Zwykle w takich razach śniadanie mi matka przynosiła w pole, a na ten raz nie przyniosła, pomyślałem że jest niezadowolona z mego włóczęgostwa.

Dziwna mama. Czy jej co to szkodzi? Przecież jestem już dojrzałym zupełnie, dlaczegoż nie miałbym się zabawić. Pomyślałem sobie, że nic to jej nie pomoże, gdyż czułem, że od młodzieży nie odejdę, tam niema trosk że brak tego lub owego, chłopaki i dziewczęta są zawsze uśmiechnięte, a mnie w to graj, okropnie nie lubię poważnych min. Tacy poważni gospodarze pozbierają się w niedzielę, usiądą na ławkach i z całą powagą rozprawiają o kiszonej kapuście, a o ile są kobiety, zaraz zachodzi rozmowa o wiedźmach, co mleko od cudzych krów zabierają, to znowu która urodziła dziecko, ile chodziła w ciąży i t. d. Nieskończone nudy, w takich wypadkach wolę spać bez przerwy 24 godziny, przynajmniej jakiś sen się przyśni, lub idę w pole zobaczyć zasiewy. W takich razach matka jest zupełnie zadowolona, a nawet wiem o czem myśli, bo napewno o tem, że wyrabiam się na dobrego gospodarza, i gdy wracam z pola matka robi się nadzwyczaj dobrą.

Czerwiec.

Dziś rano przyjeżdża Mateusz, znowu jest w Brańsku i zajmuje posadę kontrolera skarbowego. Powiada że stęsknił się okropnie za Wólką i od dłuższego czasu chciałby zajrzeć i zobaczyć co my tu porabiamy, ale jakoś nie wypadało. Pokazałem mu swój dorobek. Podziwiał. Radził mi bym szukał posady, mówi że gdy nadjedzie Eljasz to jako „zawodowy” gospodarz lepiej sobie poradzi. O posadzie nieraz myślałem, a że matka zawsze sprzeciwia się moim pomysłom o ucieczce z Wólki, więc moje projekty pozostają wraz ze mną w Wólce. I zresztą już przyzwyczailem się do wsi. Tu zupełna swoboda ruchów, mam jednego tylko nad sobą naczelnika — matkę, zasadniczo robię co mi się podoba. Prawda, że nie-

raz za mocno się zmęczę, nieraz boli mi gnat od ciężkiej roboty, ale niedługo, póki się wyśpię, a jak prześpię się, znowu jestem taki sam. Po południu odwoziłem Mateusza do Bociek, opowiadał mi, że mieszka dość wygodnie, że zagospodarzył się i podobno czuje się bardzo dobrze.

Zapraszał bym którego razu zajrzał do niego. O tym, że w swoim czasie pokłóciliśmy się, nie wspominał ani ja, ani brat. W Boćkach wstąpili do restauracji, miał dużo znajomych, zapoznał z niektórymi, wróciłem późno do domu, po drodze marzyłem przez jakiś czas o tem, by mieszkać w mieście, ale w domu zupełnie o tem zapomniałem. Widziałem się kilka razy z Wierą i nic. Gdy przychodzi się pozostawać z nią sam na sam, to staram się zwiać i udaję że jestem zainteresowany Katią.

Sierpień 1921.

Nareszcie przyjechali Eljasz z żoną i Wasyl, siostra pozostała w Rosji. Wyszła zamąż. W południe przyszedł Eljasz, poznałem go z daleka. Jest wymizerowany — mówi że chory jest na febrę. Czemp prędzej zaprzągnę konia i pojechałem na stację po rodzinę Eljasza — żonę i synka. Mówią wszyscy po rosyjsku i to dość nieładnie. Bratowa zupełnie podobna do Kati — jest zresztą siostrą. Zajechałem na stację — nie poznała mnie, musiałem długo zapewniać, że jestem Pawłem we własnej osobie — nareszcie przywitaliśmy się. Wasyl gdzieś poszedł piechotą, zastałem go w domu. Bracia byli bardzo zadowoleni, że już jest punkt oparcia, że można zupełnie dobrze się rozlokować w domu i jest chleb, a to powiadają bardzo dobrze. Opowiadają o wielkim głodzie w Rosji, o ciągłych wojnach domowych, o powalnych chorobach i nareszcie o trudnościach przejazdu do Polski. Byłem bardzo ucieszony z powrotu braci, w duchu żałowałem tylko, że trochę zapóźno przyjechali — jest już po żniwach, gdyby przyjechali wcześniej, to pomogliby koło siana i żniwa, no nic, zasadniczo roboty nie zabraknie, niech tylko wrócą do sił. Eljasz poszedł obejrzeć pole, zobaczyć co zrobiono, po powrocie orzekł, że zasiewu będzie mało — trzeba orać więcej, przyobiecał zabrać się do roboty, tymczasem trzymajmy drzewo, jakie było nie potarte. Prawda że jestem od nich mocniejszy. Eljasz wychorowany, a Wasyl za młody, tak że naogół roboty leci niekoniecznie.

Sierpień 27.

Eljasz zabrał się do gospodarki, orze — sieje, już wysiał sporo żyta, mówi że jak chleba zabraknie, to dokupimy, a tymczasem powiada trzeba siać. Na dniach sprzedaliśmy żydowi działkę olszyny, projektujemy dokupić jednego konia, bo jednym koniem robotę idzie wolno, a tu brak czasu, trzeba się śpieszyć. Teraz mi lepiej. Eljasz dopatrzy i konia i krów, jest żonaty i nigdzie nie chodzi, natomiast ja teraz robię jeszcze dalsze wyprawy jak przedtem, bo tylko jak zapada wieczór jestem zupełnie wolny. Nie podobą mi się tylko, że Eljasz ciągle gdera na Wasylą, powiada że Wasyl niestaranie pracuje i jak powierzyć mu jakąś robotę, to załatwia b. długo i leniwie. Jestem innego zdania. Uważam, że Wasyl jest poprostu za słaby. Bowiem pamiętam jak ja po przyjeździe z Rosji do czego się nie wezmę, to wszystko waliło się z rąk, nie z tego powodu, że nie chciałem, a tylko z powodu mej słabości i nieudolności mej pracy fizycznej. To samo jest z Wasylem — jest młody i nie wciągnięty do roboty. To też staram się to wytłumaczyć Eljaszowi, no i nie pozwalam w miarę możliwości krzywdzić Wasylą. Druga rzecz nieprzyjemna, to sprawa jego posagu. Jest on żonaty z córką zmarłego Juliana, a więc jest szwagrem Maksyma, ten zagarnął całe gospodarstwo po swym teściu i nie chce odpuścić Eljaszowi, powiada jak chcesz coś mieć, to podaj mnie do sądu. Uważam że Maksym przegrałby sprawę, bo chyba rzecz zrozumiała, że dzieci mają równe prawa. Ale Maksymowi nic nie gadaj. Pewnego razu nawet uderzył Eljasza, a że ten nie ma jeszcze sił, bo febra mu zabrała, więc przyszedł, nu i skarży się mi, a oczy pełne łez. Zrobiło mi się go szkoda. Poszedłem do Maksyma i powiedziałem mu, żeby nie zaczepiał mi brata, zagroziłem że będzie źle. A co Maksym? Maksym przedewszystkiem jest bogaczem, zupełnie się zwolnił od odpowiedzialności za napady, zwalając to wszystko na zmarłego brata Mitkę. Niczego się nie boi, jest butny i pewny, że mu nikt nic nie robi. A wszystkim wiadomo, że Natalka zamęczyła swych nieletnich braci głodem, oczywiście w celu zagarnięcia całej gospodarki po ojcach. Natalka ze swym mężem Maksymem plan ten wykonała b. dobrze, więc byli pewni, że to zrobią jeszcze z dwoma dziewczętami Katią i Elżbietą, a tu nagle przyjeżdża bratowa, więc szkoda im oddać ćwierć gospodarki, dlatego to takie tarcia z Eljaszem. Tymczasem postanowiłem dać spokój i nie wtrącać się w sprawę posagu Eljasza, bo mi przecież nie chodziło o posag, a bratu chodziło jedynie

o to, aby Maksym nie używał brutalnych sił, bijąc mi chorego brata. Eljaszowi zaś kazałem tymczasem nie zasiewać posagu, przecież jest swego dużo pola co dotychczas leży odłogiem, można orać. Przyjeżdżał znowu Mateusz, pojechali wraz z Eljaszem kupować konia, jak kupią konia to będzie b. dobrze, bo przy energii Eljasza gospodarstwo dość prędko dojdzie do stanu przedwojennego, a to wiele znaczy.

Grudzień.

Zarobkujemy teraz wszyscy trzej, stawiamy metry w olszynie. Ja do tego mam zajęcie dodatkowe, kupiec wynajął mnie za niedużą opłatą, abym przyjmował po całym lesie gotowe metry i prowadził listy płacy po zajęciu dziennem, co do wieczorów to prawie w domu nie bywam, najwięcej jak zawsze przesiaduję u Laszowej. Po dawnemu zbiera się tam wszystka młodzież z Wólki i Moskiewic, nie przychodzą jedynie chłopcy ze wsi Wólki (my mieszkamy w kolonji Wólka), no i wyprawiamy najrozmaitsze kawały, kto na co potrafi się zdobyć. Wiera ma dużo chłopców gotowych w każdej chwili do oświadczyn miłosnych, co do mnie to ciągle udaję obojętnego i zabawiam się z Katią. Katia natomiast jest zupełnie mi oddana, a że nigdy nie posuwam się z mową za daleko, więc jesteśmy tylko przyjaciółmi. Czasami Kati opowiadam, że Maksym jest b. despotyczny, ale chwilami o wiele gorszą jest Natałka. Właśnie w zeszłym tygodniu mieliśmy zajście z Maksymem. Pojechał Eljasz do lasu sosnowego, by zrębać kilka krokwi, zatrzymał się na działce Jujana; nadjechał Maksym, zbił Eljasza na kwaśne jabłko i Eljasz przyjechał skrzywiony do domu, a Maksym rozpoczął tamże rąbać sosny. Tego już było dość. Za jakąkolwiek cenę trzeba było złamać potęgę i brutalność Maksyma, pojechaliśmy do lasu trzej. Ja z Wasylem schowałem się tuż w krzaki, a Eljasz rozpoczął rąbanie. Nadjężdża Maksym, rzuca się wprost do Eljasza, wyrwał mu z rąk sickierę, — uderzył go raz, drugi, Eljasz krzyknął. Wskoczyliśmy z zasadzki, na nasz widok parobek Maksyma zwał, a Eljasz oddawał swoje. Ja z Wasylem nie bili Maksyma, zresztą Maksym zaniechał wszelkiego oporu i nasze wtrącanie się było zbędne, tegoż dnia Maksym zameldował, że zrobiliśmy na niego napad z karabinami i zrabowali 5000 marek. Policja w to niekoniecznie wierzyła i sprawa poszła do sądu — tylko o pobicie.

Nie mogłem powiedzieć, aby teraz miałem lepiej. Eljasz na do-

bre się zabrał do gospodarki, dogląda wszystkiego prawie sam, ale niepokoją mnie jego waśnie z Wasylem. Mają jeden do drugiego pretensje i to czasami bez dania racji. Eljasz nalega na Wasyla za lenistwo, chociaż tego jawnie nie powiedział, natomiast Wasyl nie chce Eljaszowi ulegać, to złości Eljasza, i na tem tle powstają ciągle kłótnie. Coprawda staram się zawsze te kłótnie zażegnać i w pewnej mierze to mi się udaje, ale bądź co bądź spokój domowy często bywa zakłócony, a to ujemnie wpływa na współzycie i ostatecznie zniechęca do gospodarki. Wiem dobrze, że matka teraz zupełnieby mi nie broniła opuszczenia wsi, a że wiosną mam iść do wojska, więc nie myślę zupełnie o czem innem, uważam że będę miał na to czas w wojsku. Eljaszowi ustępuję pod każdym względem, nie chcę mu dać poznać swych planów na przyszłość, również nie chcę powiedzieć mu, czy będę uważał wybudowane budynki za własne, czy też za wspólne, chociaż Eljasz już nieraz o tem zagadywał. Wiem dobrze, że w tych zagadywaniach kryją się podziały, kłótnie, uważałem że może tego jeszcze uniknę.

Marzec 1922.

Za dwa tygodnie będę wcielony do 27 p. p. w Częstochowie. Na służbę wojskową patrzę jak na urlop lub zwolnienie od robót rolnych. Prawda, że przebywający w wojsku opowiadają o trudnościach służby wojskowej, o dyscyplinie i niedożywaniu, ale niewiele tem się przejmuję. Sądzę że nie taki straszny djabeł, jak go malują. Te ciągle kłótnie, zachłanność i zła wola mych braci naprzykrzyły mi się, może na tem że odjadę lepiej wygram. Prawda że dotychczas ni Eljasz ni Wasyl nie powiedzieli mi marnego słowa. Naodwrot, zawsze Eljasz wysłucha mnie uważnie i czego tylko żądam wykona. Tylko że w tych kłótniach i waśniach prześwieca urządzenie się na przyszłość, a nie tak marzyłem, nie o takim spółzyciu, sądziłem, że jak wrócą bracia, to pracując energicznie do czegoś się dopracujemy, przynajmniej urządzimy się dobrze pod względem gospodarczym, ale według mego zdania, należałoby się kilka lat pracować wspólnie i wtedy można byłoby oczekiwać wymarzonych rezultatów. Mniejsza z tem, uważałem, że za czas mego przebywania w wojsku w domu wszystko się przepali i wrócę na gotowe plany. Wydostaliśmy zapomogę rządową w postaci budulca na odbudowę domu. Prawda, że dom był właściwie odbudowany, a że tak czy inaczej jednego domu będzie za mało, postanowiliśmy budować dla Eljasza drugi. Asygnację dostaliśmy na le-

śnictwo Jelońskie. Las odległy o 14 klm. dość daleko, więcej jak raz na dzień nie przywieźć. Pojechałem tam z Eljaszem. Po dłuższych urzędowych formalnościach odszukano numery naszych kłóców. Jak ich dostać? Cała dzielanka gęstego lasu zwalona na kupę. Jeden numer kłoca leży z wierzchu, drugi od spodu i tak w półtora metra wysokości. Jak tu te kłoce wydostać z pod spodu! Pracowaliśmy tam kilka dni i na piąty dzień przywieźliśmy jeden kłoc, ale dużo wywieźliśmy do sąsiedniej wsi, tam mogą poleżeć dłużej, a z lasu wiadomo do terminu trzeba zabrać wszystko. Wasyl mówi że okropnie za te dni wychudłem, nic dziwnego, niczem ruszyć nie mogę, tak mi wszystko boli. Robotą teraz się nie ciekawię. Staram się nauczyć biegle czytać i pisać po polsku, idzie to mi łatwo, a alfabet łaciński znam ze szkoły, kiedyś zapoznałem się ucząc języki francuski i niemiecki. Zasadniczo mowę polską rozumiem dobrze, najgorzej że jak zaczynam mówić po polsku, to rozmawiający ze mną jest zawsze uśmiechnięty, widocznie bawi ich mój akcent i sposób wymawiania wyrazów polskich. Niewątpliwie, że dość prędko osiągnąłbym dość znaczne postępy mowy, gdybym obcował z ludźmi władającymi poprawnym językiem polskim, ależ trudno — tu nikogo takiego niema, a jeśli i kto z katolików mówi po polsku, no to jeszcze ładniej jak ja — lepiej nie zaczynać. Wraz ze mną odchodzi do wojska Kozłowski Jan. Ten jest zupełnie innego zdania. Mówi, że w wojsku nauczą rozmaitych rzeczy, uważa bowiem, że pokładam zbędne starania w naukę. Pokładam również pewne starania, aby godnie pożegnać swych kolegów i koleżanek. Więc własnym staraniem urządzam zabawy, wieczornice i t. d. Pewnego razu wieczorem siedziałem z Wierą. Nie powiem żeby nie chciała mi pomagać w siedzeniu, owszem, mogłem śmiało rzec, że mi sympatyzuje, ale ja nie dałem zrozumieć, że jej częściowo skłonny jestem odwzajemniać się. Byłem w dobrym humorze i tylko. Okropnie nie lubiałem jej matki, naodwrot lubiałem braci. Nic dziwnego że nie lubiałem Laszowej. Była w stosunku do mnie, że tak powiem, bez skrupułów. Mówiła mi prosto w oczy o moich wadach i jak zauważyłem dość złośliwie. Uważała bowiem, że jest kobietą nie chłopką, (podobno była córką psalmisty) i zawsze dawała w rozmowach mi to do zrozumienia. Co do mnie to uważałem ją za gorszą od chłopki, bo mówiłem że chłopka ma choć pewne tylko zasady moralności, a Laszowa żadnych. Wiadomo, że w tak różnią-

cych się pojęciach kastowych nie mogło być mowy o delikatnem traktowaniu mej osoby. Pozostałem dla niej raz na zawsze zarozumiałym chłopem i na tym koniec.

23 grudnia 1922 roku.

Przyjechałem na urlop, mam zamiar tu przebyć 10 dni, a resztę urlopu zamierzam spędzić u Mateusza. Opowiadam jak było w wojsku, matka i bracia śmieją się — nie chcą wierzyć temu co mówię. Z pierwszych dni w wojsku było bardzo źle, ale mi tak tylko się zdawało, bo w rzeczywistości musiała przecież być jakaś dyscyplina. Gdy tylko zajechaliśmy do Częstochowy, to na dworcu nas powitał pluton naszego pułku, no i odprowadził do koszar. A że tymczasem nie było gdzie nas rozlokować, zaprowadzono nas do pustej sali bez łóżek i prycz. Rozlokowaliśmy się wprost na podłodze i tak było przez trzy dni. Na drugi dzień przychodzi pan kapral. Zatrzymał się obok mnie i mówi, żebym przyniósł miotłę i zamiatł salę. Dlaczego ja? Dlaczego nikogo więcej nie zmusza do tej roboty prócz mnie. Ja oburzyłem się, ale kapral jeszcze lepiej — uległem, no i zamiatalem. Na czwarty dzień rozmieszczono nas na piętrowych pryczach, wszedł ich ekscelencja pan kapral. Patrzę, przewrócił się i leży — rzucili się do niego, leży i jęczy. Co takiego? Co się stało, wskazuje niedopalony zapalek: zrozumiałem, udaje, że przewrócił się, bo na drodze leżała kłoda w postaci niedopalonego zapalka. Kapral wstał. Każe przynieść koc, na koc położyliśmy z chińskim ceremonjałem fatalny zapalek i nosimy go ze śpiewem naokoło koszar. Od tego czasu nic nikt nie rzucał. Nie powiem żeby ćwiczenia były zbyt przykre. Nie. Najbardziej było przykre ciągle śpiewanie tej samej, oklepanej piosenki. Nic nie radzisz, rozkaz musi być wykonany. Po jakimś czasie zostaliśmy rozbici na drużyny i przeprowadzono nas do lepszych sal, gdzie dla każdego było osobne łóżko. Pewnego razu wchodzi na salę kapral, zrobił zbiórkę i z zupełnie poważną miną ogłasza, że kto umie dobrze pisać niech wystąpi. Wystąpiłem ja, a wraz ze mną jeszcze 20, kapral nam wszystkim dał w ręce miotły i kazał zamiatać podwórze, korytarze i t. d. Powiedziałem sobie, że raz można nabrać na taki kawał, więcej sobie tego nie życzyłem. Wogóle podoficerowie urządzali nam najrozmaitsze hece, tak np. za źle posłane łóżka stawialiśmy na zbiórkę z łózkami, za niezapięte guziki obrzynało się wszy-

stkie guziki i dużo rozmaitych kawałów nam wyprawiano, ale w każdym bądź razie nie miałem tam źle. Bo co było złego w tem, jak staniesz z łóżkiem na zbiórkę, po minucie znowu było łóżko w porządku i jeśli wykręcisz się od robót na kuchni to jesteś człeku zupełnie wolnym. Po trzech miesiącach służby odkomenderowano mnie w charakterze kancelisty do D-ctwa III/27 pp. Nawet wtedy, gdy D-ca bataljonu zawołał mnie do siebie i pytał się czy umiem pisać — zaprzeczyłem stanowczo, przypominając kawały drużynowego, ale że major pytał się nie na żarty, więc odpowiedziałem, że piszę tylko po rosyjsku. Otrzymałem salomonową odpowiedź, że nie nie szkodzi, nauczysz się po polsku.

W domu prawie żadnych zmian, wszystko po staremu. Bracia mają w tym roku więcej zbioru, nabyli kilka owiec i po staremu Eljasz podobno gdera na Wasyla. Co do mych koleżanek to zaszyły pewne zmiany. Wiera jeszcze lepiej wyładniała, zaś Katia zbrzydła, nie bardzo jestem zajęty nimi i naprawdę nie wiem jak mam spędzić czas urlopu. Chyba że najlepiej zrobię, jak pojedę sobie do Mateusza. Pamiętnika ze sobą brać znowu nie będę. A co mnie zaciekawi, napewno przypomnę i gdy tu przyjadę to zanotuję.

Wrzesień 1923 roku.

Jestem znowu w domu. Pisałem przedtem że mam zamiar na służbę zawodową, ale rozmyśliłem się i uciekłem do domu. Zwolniłem się na podstawie przeprowadzenia się z rocznika 1901 na 1900 i mnie zwolniono. Major uporczywie namawiał mnie bym pozostał na zawodowego. Początkowo nawet zgodziłem się, gdy zaś przyszło do podpisywania deklaracji, wtedy ku zdziwieniu majora zrezygnowałem, a dlaczego? Tak. Szkoda mi było wsi, jakoś ciągnęła do siebie swoją zielenią drzew, rozległością pól, a najbardziej zupełną swobodą. We wsi nie będę miał nikogo nad sobą, nie będę potrzebował „podciągać się” przed przełożonemi, będę zupełnie wolnym gospodarzem. Znowu myślałem i na inny sposób: w Wólce trzeba ciężko pracować, nieraz trzeba będzie tłuc się po nocach z koniem, zdarzają się niedostatki w chlebie, trudno chodzić ładnie ubranemu, ale nie — jadę do domu i koniec. Sądziłem że gdy ja przyjadę do domu, to bracia będą z tego powodu nieskończenie zadowoleni. Prawda, mówili że są zadowoleni, ale jakoś z pomiędzy słów wyrывało się im, że głupio zrobiłem rezygnując ze służby zawodowej w wojsku. Na drugi dzień mojego powrotu matka opowiedziała mi o prześladowaniach Eljaszem Wasyla, o zachłanności

Eljasza i t. d. Zrozumiałem tyle, że matka ostrożnie podgotowywała grunt do przyszłego podziału. W gospodarstwie był znaczny dorobek. Już było 4 krowy, buhaj i para ślicznych wołów. Eljasz rozpoczął budowę swego domu, zwierzył mi się w swych zamiarach, co do ewent. niewykończenia domu z braku funduszków. Zapewniłem mu pomoc w robociźnie, co do funduszków to zwyczajnie pocieszyłem go, że jakoś tam będzie. Wasyl zaś opowiadał mi o swych nieszczęściach. Eljasz nieraz go pobił i podobno dość dotkliwie, odgraża się Eljaszowi, że kiedyś mu odda. Wasyl zdawało się jakby był ucieszony mym powrotem i to tylko chyba dlatego, że spodziewał się znaleźć w mej osobie tamę przed napastliwością Eljasza. Zdziwiło mnie również, że Wiera wyraziła jakby zdziwienie, że nie pozostałem na zawodowego. Bracia jak bracia, ale co ja mogę jej szkodzić — zupełnie tego nie rozumiałem.

29 września 1923 roku.

Zabrałem się do roboty. Chodzę orać wołami, a że woły b. silne, więc orka idzie jak po masłu. Gdy przechodziłem pola, to aż zdziwiłem się. W ciągu tych kilkunastu miesięcy Eljasz powyorywał prawie wszystkie odłogi. Naprawdę to robotnik nie do pogardzenia. Żyta zasiał też dużo, a tam gdzie były zarośla wykarczował i mówi, że na wiosnę zasadzimy kartofle. Jest dwa wozy, wymieniał konie na lepsze, gospodarz jak się patrzy. Nic dziwnego, że gdera na Wasylą; jeśli ja mu nie dorównam — to samo będzie ze mną. Więc staram się pracować dobrze, aby Eljasz nie miał powodu do utyskiwań, czasami coś niecoś mi powie, ale tonem rady, natomiast na Wasylą to wrzeszczy jak na rodzonego syna. Pewnego razu powiedziałem Eljaszowi, że mi jest bardzo nieprzyjemnie, gdy grubjani z Wasylem, odpowiedział mi że swego stosunku do Wasylą nie zmieni, bo Wasyl jest hultaj i tyle. Trzeba było powiedzieć, że Wasyl jest kaleką, ma z dzieciństwa skaleczoną lewą nogę i tylko z tego względu był niedołężnym.

Wieczorami jak zawsze lecę do Laszowej. Wiera jest już dorosłą panną i to dość ładną. Nauczyła się krawiectwa, ma pomocniczek i podobno nieźle zarabia, Laszowa z tego tytułu dużo prawi o zaletach swej Wiery i uważa, że to skarb nie do zdobycia. Wiera jako panna na wydaniu ma dużo kawalerów, a że posagu prawie wcale nie ma, więc pewna jest że tak prędko zamąż nie wyjdzie. Z gotowością obiecuję sobie nieprędko się żenić, z czym chętnie zwierzam się Wierze, do tego Wiera ma jeszcze ciotkę. Niedawno

przyjechała ze swym mężem z Rosji i jest osobą b. ciekawą. Właściwie nie jest Wiery ciotką, lepiej będzie określony stosunek rodzinny, gdy powiem że jest wujkową: do wojny Mańkiewicz wujek Wiery pracował na kolei, niedawno wrócił z Rosji, a że nie miał nigdzie własnego gruntu, oparł się koło swej siostry Laszowej. Teraz ma wybudowany własny domek na gruncie ofiarowanym przez naszych kolonistów, dzierżawi po kawałku gruntu i z tego utrzymuje się. Piszę o nich z tego względu, że jego żona jest nadzwyczaj ciekawą kobietą. Jest tu zaledwie od dwóch lat i zna już wszystkich w całej okolicy. Zna każdego jak chodzi, jak śpi, czem się żywi, jednym słowem plotkarka na całą okolicę, gdy czasami z nią rozmawiam, to mam wrażenie, że siedzę w jakimś biurze natrętnych informacji. Ciągłe tylko mówi o wadach każdego sąsiada i napewno gdyby ktoś zaczął zapewniać ją o czyichś zaletach to w ciągu 5-ciu minut miałby trzy fury własnych wad. Właśnie ta ciotka kieruje oficjalnymi wystęпами Wiery i z tego to względu Wiera bez porady swej ciotki nic nie robi i nie powie. Właśnie jest to najgorsze, gdyż nie mogę wybadać, jak Wiera patrzy na świat i ludzi, a zawsze to byłoby ciekawem rozmawiać z człowiekiem, który ma wyrobione własne zdanie.

Grudzień 1923.

Zwozimy olszynę, trzeba natrzeć sztachet na ogrodzenie siedzi-by, robota teraz leci nie na mój dawniejszy sposób, pod kierownictwem Eljasza to wygląda zupełnie inaczej. Właściwie dzień roboczy rozpoczynamy o 4-ej rano, ale jest jeszcze ciemno, przy latar-ni młócimy żyto lub inne zboże. Młócimy cepami, tak że póki świt zmiłacamy kopę żyta. W dzień jak mówiłem idziemy do lasu, lub robimy coś koło domu, trzeba doglądać inwentarz, bydło, konie, nu i niema tego dnia, żeby coś nie przywieźliśmy z lasu. Na budowę Eljaszowego domu też wkładamy dużo starań i gdy chodzi o jakąś robotę koło tego domu, Eljasz robi się lepszy w stosunku do Wasyla, czem uzyskuje to że mu pomagamy. Na święta przyjeżdżał Mateusz. Radził Wasylowi, aby udał się do brata Łukasza, może tenby go zabrał do Ameryki, podobny projekt okropnie się spodobał Wasylowi i mówił, gdy tylko można będzie, to wyjedzie do Ameryki. Napisał do Łukasza list i czekał odpowiedzi, cieszy się niezmiennie, że nareszcie może się rozwiąże z Eljaszem. Eljasz odwzajemnia się tem samem, co do mnie to mnie szkoda Wasyla, bo poco właściwie ma tulać się gdzieś w dalekich stronach, kiedy pracując może mieć

kawałek chleba w domu. W gospodarce naszej jest dochód, bo gdy jest sporo zboża, więc powinny być pieniądze, ale jakoś ich nie wiadać. Eljasz jako gospodarz wyprzedaje to wszystko, robi niezbędne zakupy na dom, ale ani ja, ani Wasyl nie widzimy złamanego grosza. Nawet mnie właściwie potrzebne byłoby ubranie, niema za co kupić — w gospodarce to takie to inne wydatki, ażeby kupić coś sobie, na to niema forsy. Musiałem zarobkować. Czas od czasu z Wasylem braliśmy piłę i jak tylko kto potrzebował natrzeć desek lub bali, zaraz braliśmy się do roboty — no i za kilka dni mieliśmy forszę. To częściowo ratowało sytuację. Inni chłopcy urządzali się inaczej. Kradli ojcu zboże i sprzedając je pokryjomu, najczęściej miejscowemu żydowi, i też mieli forszę. O tej kradzieży u swych ojców to wiedzieli prawie wszyscy i to robią nietylko moi rówieśnicy, a kradli przed wojną u swych ojców obecni ojcowie. Zawsze uważałem to za nałóg dziedziczny.

Luty 1924.

Łukasz nadesłał Wasylowi dokumenta, może wyjeżdżać do Ameryki. Brak tylko jakiegoś dokumentu na kalectwo, teraz podobno Łukasz robi starania, aby na marzec Wasyl mógł wyjechać. Nadesłał Wasylowi 75 dolarów, to jest przedmiotem zazdrości niektórych sąsiadów, które to pieniądze będą służyć Wasylowi jako kwota minimalna przy wyjeździe do Ameryki. Eljasz jest zadowolony, pewnego razu mówił mi, że to bardzo dobrze, bo bądź co bądź nie będzie jednego spadkobiercy do podziału ojcowizny. Co do mnie to mi szkoda Wasyla, nie jestem pewny, że będąc w Ameryce wynajdzie sobie robotę, przecież kalectwo jego jest dość ciężkie, a będąc w Rosji widziałem, że przyjmują robotników tylko silnych i zupełnie zdrowych. Pewnego razu mówiłem o tem matce — nic mi nie odpowiedziała, widocznie również go żałowała. Rozpoczęliśmy z Wasylem budowę nowego chlewa. W ciągu zimy przywieźliśmy kłoców, potarliśmy i teraz budujemy. Wujek nasz bardzo lubi, gdy do niego zwracamy się o jakąś radę. Właśnie prosiłem go, aby mi pokazał jak rozpocząć budowę, ale wujek ciągle mówił że brak mu czasu i gdym swą prośbę powtórzył kilka razy, wówczas wujek zgodził się przyjść i pokazać. Robota idzie nie prędko, bo ja nie mam takiej wprawy jak majster, ale że uwzięliśmy się z Wasylem, że w tem nic trudnego, stopniowo wznosimy budynek wyżej. Z tego jesteśmy bardzo dumni, bo jakże obyć się bez majstra — to nowinka i zdaje się orzech nie do zgryzienia miejscowemu majstrowi.

Prawie przychodzi codziennie i krytykuje naszą robotę, zawsze powtarza że budynek nie będzie mocny, że drzewo prędko spróchnieje i t. d.

Kwiecień, maj, czerwiec 1924.

Na Wielkanoc miałem nieprzyjemne zajście z Eljaszem, a powodem ku temu był Wasyl. Eljasz nie chciał doglądać jednego byka, który miał być przeznaczony w przyszłym podziale Wasylowi. Na tym tle powstała kłótnia, a że byliśmy wszyscy podchmieleni (bo to święto), powstała bójka. Poraz pierwszy zobaczyłem jaki Eljasz w bójkę jest bezwzględny, a Wasyl nieustępliwy. Z trudem uspokoił się, ale bardzo nieprzyjemnie to wszystko na mnie podziało, czułem się mocniejszy od Eljasza, a jednak mu ustąpiłem, co znowu podniosło butę Eljasza i teraz on próbuje stosować względem mnie taki sam system współżycia jak z Wasylem. Wiem że Eljasz ciągnie do podziału, bo jest prawie że odbudowany, przy naszym współudziale zebrał swój posag co wynosi 6 dziesięcin gruntu, więc oczywiście niema co mu z nami, poprostu niema sensu gospodarzyć. Nie jestem od tego by się podzielić, gorsza tylko że Eljasz wszystek dorobek gospodarczy chce zagarnąć sobie. Zasadniczo sprzeciwiam się temu i mówię mu by wykombinował inny projekt podziału, gdyż omawiany jest wielce dla nas niesprawiedliwy. Pewnego dnia Eljasz oświadczył, że nie chce paść po nocy wołów, musiałem to robić ja.

Gdy woły pasał Eljasz, więc do orki rano wychodziłem ja, a że Eljasz odmówił i pasania i orania, więc do tej roboty odkomenderowano mnie, nie powiem żeby to było ciężkie, tylko coprawda męczące, gdyż nie miałem czasu spać. Wieczorami towarzyszyłem Wierze, a od północy pasalem woły, do południa orałem i tylko w południe zasypiałem 2 — 3 godz.

Pewnego dnia Eljasz zaczął gwałtowną sprzeczkę ze mną, a że nie miał ku temu powodów, przerzucił się na Wasyla i matkę, do sprzeczki przyłączyłem się ja. Całe piekło. Zauważyłem, że po sprzeczce do Eljasza, Wasyla i matki humor wracał jakby nic nie było, co do mnie to bardzo długo nie mogłem uspokoić się. Nie złościłem się ni na kogo, ale w żaden sposób nie mogłem przyjąć do równowagi, widocznie byłem zbyt nerwowy. W naszej rodzinie nikt na to nie zwracał uwagi, czasami tylko ktoś postronny mówił, iż gwałtownie chudnę. Więc postanowiłem sobie, że jak wybuchnie jeszcze taka sprzeczka to zatelegrafuję do Mateusza i nastąpi podział. Na to jak na lato nie trzeba długo czekać. Zapas żyta, ni stąd

ni zowąd, stał gwałtownie się zmniejszać. Zaczęliśmy dociekać przyczyn tego. Wybuchła sprzeczka, Eljasz groził że nas porznie na drobne kawałki. Wysłałem telegram do Mateusza, ażeby przyjechał natychmiast, napisałem mu, że w domu nieszczęście. Nie trzeba było długo czekać, o godz. 3-ej po południu przybył Mateusz — przystąpiono do podziału. Ponieważ Mateusz czasowo wyrzekł się gruntu, przeto grunt podzielono na trzy równe części — więc na każdą część wypadło 12 dziesięcin. Co do inwentarza to mi w spadku pozostał jeden wół. Reszta poszła na braci i matkę. Zgodziłem się na te warunki. Dążyłem by za wszelką cenę osiągnąć spokój, to też po podziale zapanował zupełny spokój.

Lipiec 1924.

Mam teraz dużo roboty. Obrobić 24 dziesięciny — to nie żart. Orki bez końca, a że szkoda mi Wasyla, więc nie chcę by mnie wyręczał, za wszelką cenę staram się zrobić wszystkie roboty polne, wymagające sprzężaju — sam. Wasyl wykonuje inne roboty, porządki koło domu, coś zmajstrować — to należy do niego. Często wyręcza mnie w nocy, prowadząc na pastwisko konie. Siano uprzątnęliśmy we dwóch, co do żniwa to wynajmujemy żeńców. W naszych okolicach niema zwyczaju koszenia zboża — wszystko ścina się sierpami, więc kto ma większe zasiewy zmuszony jest wynająć żeńców. Nam to idzie dość łatwo, sprzedaję sporo ogórków, a że ogórki w tym roku popłatne to wystarczy pieniędzy na robotnika, a może jeszcze zleci na kupno lepszego woza. Gorzej jest z mojem zdrowiem. Czas od czasu robi mi się ciężko prawie mdleję, nosem i gardłem leci krew, a najczęściej to bywa w gorące dni. Słabość co dalej to więcej ogarnia mnie, czuję że stracę siłę fizyczną. Postanawiam jakoś ratować swe zdrowie. Ale jak? Brać na cele leczenia pieniądze z domu, mogą wyniknąć znowu sprzeczki. Nie — nie chcę. Postanowiłem poszukać sobie jakiejs posady. Złożyłem podanie do komendy policji — czekam na odpowiedź. A tymczasem w dalszym ciągu pracuję uporczywie na roli. Matce o tem że poszukuję posady nic nie mówię, jak również nic nie mówię że mi jest źle, do czasu nie warto tej sprawy podnosić, a tam zobaczymy. Często bywam u Wiery, jest dla mnie bardzo uprzejma, natomiast zupełnie straciłem łaskę u jej matki, prawda że nie robiłem żadnych zabiegów aby Laszowa była lepszą dla mnie ale bądź co bądź Laszowa mi się naprzykrzała. Co do ciotki Wiery to chętnie ze mną rozmawiała, ale zauważyłem, że nie chodziło o przyjemność roz-

mów ze mną, a starała się za wszelką cenę wybadać jakie mam zamiary na przyszłość. Ze swej strony za wszelką cenę nie chciałem jej tego powiedzieć, bo zresztą nie miałem jeszcze żadnych planów. Z Eljaszem jest zupełnie zgoda, nawet coś niecoś sobie dopomagamy, a czasami radzimy się w niektórych sprawach. Jest bardzo zadowolony że podzieliliśmy się, powiada że nie potrzebuje na kogoś pracować, bo przedtem zapewne uważał, że za dużo zwałaliśmy na niego roboty.

Sierpień.

Jestem w policji. W domu wynająłem na swoje miejsce Stanisława (parobka) i na jakiś czas opuściłem dom. To samo chciałem uczynić Wasyl i wyjechać do Ameryki, ale stało się coś niewyrażnego. Łukasz zawsze nadsyłał listy, nawet czas od czasu kilka dolarów, a teraz nie daje o sobie żadnego znaku życia. Nie wiem jak prawda, ale Wasyl twierdził stanowczo, że Eljasz i wuj z zazdrości napisali list do Łukasza wystawiając w „czarnych ramach” Wasyla. Gdy jeszcze byłem w domu, to sprzedawałem z Eljaszem woły, uzyskaliśmy za nich 750 zł., ale pieniądze braliśmy w milionach. Część tych pieniędzy wzięłem z sobą, za resztę kupiliśmy z Wasylem ładnego konia. W domu nikt mi nie powiedział, czy pozostań w domu, czy idź na służbę — wiadomo jak chłopci — zawsze mają w pamięci ilość gruntu. Przed włączeniem do szeregów P. P. miałem badanie lekarskie. Długo lekarze kiwali głowami — wiadomo, nic mi nie powiedzieli, ale dostałem kartkę że jestem przyjęty. Wprost odesłano mnie do posterunku PP. w Ostrowi Mazowieckiej. Zapoznałem się ze swymi kolegami — widać że chłopaki miłe, nawet o staranniejszym doborze. Po kilku dniach służby pozostawiono mnie w kancelarii powiatowej, ale jakoś odprosiłem się. Koledzy byli zdziwieni, ale komendant powiatowy chętnie zadośćuczynił mej prośbie i zostałem w posterunku. Wyjeżdżając z Wólki przyobiecane Wierze pisać listy — chętnie odpisuje, tak że jestem dobrze poinformowany co się dzieje w naszej wsi.

Marzec 1925 roku.

Jestem na posterunku P. P. w Białowieży, znajduję się tu od Bożego Narodzenia. Przed Bożym Narodzeniem z każdego powiatu delegowano do Białowieży po kilku policjantów, w związku z silnie rozwiniętą przestępczością w tut. rejonie W policji jest mi zupełnie dobrze. Mam dobrych kolegów, dobrą opinię u zwierzchników

a najgłówniejsze że pod względem zdrowotnym nastąpiła zupełna poprawa. Ważę o całe piętnaście klg. więcej jak przed wstąpieniem do policji. Zdawało się, że nic mi nie brakuje, jednakże złożyłem już raport prosząc o zwolnienie. Aspirant Formusiewicz aż się zdziwił. Właśnie projektował mnie wysłać do szkoły przodowników w Białymstoku — i nie chce słyszeć o mem zwolnieniu. Pyta jaka przyczyna tego kroku. Nie jestem w stanie mu wytłumaczyć. Powiadam że tak sobie chcę do domu i koniec. Przyczyną tego jest wiosna. Patrzę, wszyscy gospodarze robią przygotowania, aby godnie przyjąć wiosnę. Tęskno mi. W Wólce robiłbym to samo, a tu psiakrew ciągną się po nocach z karabinem. Zresztą i Wiera czeka niecierpliwie na mnie — więc po co mam tu sterczeć? Przyjechał komendant powiatowy. Długo wypytywał o powód zwolnienia się z P.P., tłumaczyłem mu i tak i owak — nic nie rozumiał, odpowiedział mi tylko że z dniem 1 kwietnia będę zwolniony. Nadszedł dzień 1 kwietnia. Pojechałem swobodnie do Bielska. Okazało się że Komendant powiatowy zwlekał z moim zwolnieniem się, ale widząc że nie mam zamiaru ustępować — wydał odpowiednie zarządzenia i byłem zwolniony.

Maj 1925.

Jestem znowu w Wólce. Za oszczędzone pieniądze kupiłem sobie dwa garnitury, pomagał mi w tem Wasyl. Zdawało się że był zadowolony moim powrotem do domu. Natomiast sąsiedzi pocichu szeptali, że jestem z policji wyrzucony. Najwięcej o tem rozpowszechniała Mańkiewiczowa, mówiła że jestem hultajem i pijakiem i t. p. Byłem bardzo zdziwiony co ta kobieta mogła mieć do mnie, przecież nie dałem jej żadnego powodu, aby miała źle o mnie mówić. Krewni postanowili znowu mnie ożenić — powiadają, że lepiej będzie pilnował gospodarstwa, nawet wujek proponował mi abym robił oczko do jednej panny z sąsiedniej wsi, zapewnia mnie, że tam conajmniej będę miał 5 dziesięcin dobrego gruntu no i nie bez tego, żeby nic forsy nie dostać. Na to, że panna jest kulawa, zapewnił mnie, że o ile dobrze zorganizuję gospodarkę to napewno będę miał środki na utrzymanie służącej. Prosiłem wujka aby się z rajcowaniem nie spieszył i doczekał się jesieni. Znowu wzięłem się do roboty. Kupiliśmy z Wasylem świń, było posadzono sporo ogórków i czekaliśmy dochodów jesiennych. Będąc w policji wypocząłem, byłem mocniejszy, nie tak prędko męczyłem się koło roboty,

po dawnemu towarzyszyłem Wierze wieczorami, zdawało się że nowo narodziłem się na świat. Stosunki z Wasylem były dobre, Wasyl chętnie słuchał moich rad, ja zaś z uwagą wysłuchiwałem jego zdania. Można było powiedzieć, że powodziło się nam nieźle. Będąc w Ostrowi Mazowieckiej widziałem trochę inny sposób uprawy gleby. Zauważyłem że tamtejsi gospodarze robią podrzutkę ścier-niska dość wcześnie i znowu na zimę orzą drugi raz. Nie mogli mi gospodarze tamtejsi wytłumaczyć dlaczego to robią, to też proponując bratu podobny sposób nie mogłem poprzeć dostatecznymi wyjaśnieniami, dlaczego tak należało robić. W każdym bądź razie spróbowałem podobnym sposobem uprawić rżysko pod owies — wynik był zadowalniający, obiecywałem sobie uprawiać zawsze w ten sposób. Sąsiedzi wyśmiewali mnie — mówili iż tak staram się uprawiać dobrze pole dlatego, aby mnie zaliczono przed ożen-kiem w poczet dobrych robotników. Coprawda podobną orkę naka-załem wykonać Stanisławowi, będąc jeszcze w policji, więc zasad-niczo mało przyczyniłem się do tego, ale ta inowacja nam okropnie się spodobała. Marzyliśmy z bratem aby wybudować młyn. Jako próbę Wasyl rozpoczął budowę małego wiatraczka, tylko że wy-brał pod wiatrak nieodpowiednie miejsce, zresztą uważałem że jest wadliwie zbudowany. Tak np. gdy wiatr był słaby, młyn nie chciał się kręcić, podczas mocniejszych wiatrów była obawa, że młyn mo-że się przewrócić, również trudno było go wprawiać w ruch. Wa-syl zapewnia że ów młyn doprowadzi do doskonałości, że będzie pracował przy najmniejszym podmuchu wiatru.

30 maja 1925 r.

Na dniach przyjechał Mateusz. Dużo opowiadał o Brańsku, opo-wiadał o różnych organizacjach rolnych i wypowiedział się naresz-cie o swym zamiarze zorganizowania kasy spółdzielczej w Wólce. Tegoż samego dnia kazał abym zwołał jaknajwięcej gospodarzy z pobliskich wsi, co chętnie uczyniłem, będąc ciekawym sposobu za-kładania kasy. O godz. 2-ej Mateusz rozpoczął zebranie, długo tłu-maczył co to jest kasa, czem powinna ona być w Wólce i t. d. Nie-wiele my wszyscy rozumieli, ale bądź co bądź — podpisaliśmy po-trzebne papiery i brat mówi, że będzie z tych papierów kasa. Za-imponowało tylko mi to że będę buchalterem, a jak później Mate-usz mi wyjaśnił o możliwości rozwoju kasy, a co zatem idzie o ład-nej pensji w przyszłości, to i całkiem mi się spodobało. Mateusz od-jechał. Cały tydzień dyskutowano na temat kasy i każdy starał się

wypowiedzieć co kto o tem myślał. A że nikt zasadniczo nie wiedział co to jest kasa, więc wytłumaczono sobie że będą dawać pieniądze i tyle. Ja zasadniczo nie czułem potrzeby pożyczania pieniędzy, ale zawsze cieszyłem się że w Wólce powstanie jakaś organizacja, może się da coś niecoś zarobić pieniędzy na wydatki bieżące — więc byłoby bardzo dobrze. Po jakimś tygodniu o kasie zapomniano. Ludziska brali się za kosy. Wszyscy mówili że czas kościć. W tym roku staraliśmy się z Wasylem kośbę ukończyć czempredzej. Zależało mi na pośpiechu. Miałem kartę powołania na ćwiczenia za dwa tygodnie, musiałem się stawić w koszarach 34 p. p. w Białej Podlaskiej. To mnie nawet gniewało. Nastął czas największej roboty, trudno wyrwać się w taki czas z gospodarstwa — ale nic nie radzisz. Jak na tóż byłem jeszcze podoficerem, a to podobno ćwiczenia dla podoficerów przedłużą się o dwa tygodnie. Żeby ich djabli wzięli z ich ćwiczeniami — roboty pełno, a ty człeku trać czas na padnij i powstań.

7 lipca 1925 roku.

Na ćwiczeniach długo nie zabawiłem, przez trzy tygodnie wróciłem do domu. Na podstawie orzeczenia komisji lekarskiej uznano mnie za czasowo niezdolnego do odbywania ćwiczeń. Doktorzy uznali, że mam słabe serce i na tej podstawie zwolniono mnie z ćwiczeń, jednakże przez trzy tygodnie ćwiczyłem się, przez co straciłem dużo czasu. Żniwa już rozpoczęte, żniwaków mamy z Holodów, są na całkowitem naszym utrzymaniu przy płacy 2,5 zł. dziennie. Pracują bez zarzutu i do tego ładnie śpiewają i zawsze są wesole. Wasyl zadowolony, że nie bawiłem długo na ćwiczeniach, bo to trzeba jeździć na targi z owocami, a i koło żniwa trzeba komuś być, przynajmniej powiązać snopy.

Do Wiery przyjeżdżał w swaty bogaty wdowiec, obecnie jest wujtem w Milejczycach, podobno Wiera mu bardzo spodobała się, ale że niewypada teraz robić wesela, więc odkłada na jesień. Nie chciałem o to pytać Wiery, bo dotychczas jej nie oświadczyłem się; byłbym dawno to zrobił, tylko nie chcę w domu podnosić hałasu — wiem napewno że moja rodzina będzie sprzeciwiała się zawarciu małżeństwa z Wierą, jak również wiem i to, że matka napewno domyśla się moich planów co do Wiery. A że oficjalnie nikomu nie mówię, więc oczywiście nikt nie ma podstawy przedwcześnie rozmawiać o tych rzeczach. Nieprzyjemności narobił mi Eljasz ze swym językiem, opowiadała mi o tym Wiera, kłamać zaś

nie było podstawy. Wiera, przechodząc pewnego razu koło stojących mężczyzn, gdzie był Eljasz, usłyszała za sobą dość grube komplementy o powabności swej figury. Eljasz podobno przemówił: „nasz Paweł ma dobrą wygodę — ma cielsko i do tego pieniądze”. Gdy Eljasz wracał od grupy mężczyzn, Wiera wymówiła mu żądając zaprzestania szykan. Eljasz tłumaczył się że on nic nie mówił, to w najwyższym stopniu mnie dotknęło i postanowiłem sprawić Eljaszowi lanie, powiedziałem nawet to Wasylowi, ten również stwierdził, że trzeba mu język przyciąć. Dziwna rzecz. Matka Wierzy również gadała, to tu to tam, a najwięcej do mych sąsiadów o wyludzaniu przeze mnie pieniędzy u Wierzy. Tego było stanowczo za dużo. Postanowiłem oświadczyć się Wierze — oświadczyły przyjęto — byliśmy narzeczeni.

8 września 1925 roku.

Wczoraj miałem u siebie sądny dzień, chodziło o to, że zebrali się wszyscy moi krewni i obradowali nad moim zamiarem poślubienia Wierzy. Powód ku temu dałem sam parę tygodni temu, oświadczając matce, gdy tak gderała o częstych moich odwiedzinach Wierzy, że mam zamiar poślubić Wierę. Nadjechał przypadkowo Mateusz, matka wezwwała innych i wszyscy razem podnieśli wielki „rejwach”. Wszyscy byli przeciwnikami tego związku. Wszyscy twierdzili, że Wiera jak Wiera, z niej niezły robotnik, nie głupia, tylko biedna, ale nikt nie zgadzał się zawierać pokrewieństwa z Laszową i jej rodziną. Bo jakże. Sama Laszowa kobieta bardzo lekkiego zwyczaju jest dość podżyła, a miała nieślubnych dzieci, zmarnowała syna wyprawiając go świadomie na rozbój, zmarnowała czterdziesto-dziesięcinne gospodarstwo, wyprzedając kawałkami grunt na zabawy, ubiory i pijatyki i t. d. Zgadzałem się z braćmi, ale ze swej strony mówiłem, że nie mam zamiaru zaślubienia Laszowej, a tylko jej córkę, następnie nieśmiało powiedziałem, że sami przed chwilą mówili, nie mówiąc nic złego na moją narzeczoną. Zabrał głos Mateusz. „Nie radzę tobie w żadnym wypadku spokrewniać się z Laszową, narobisz nam wielkiego wstydu. Ja ożeniłem się z córką dobrego gospodarza, mój szwagier bądź co bądź jest oficerem, a będąc urzędnikiem nigdy nie zmrużam oka wobec swych kolegów z tego powodu że sam i moja żona jesteśmy dziećmi chłopów, bo nasi ojcowie ludzie uczciwi, a uczciwym człowiekiem zawsze można się chlubić. Więc zaznaczam, że wszelkimi sposobami będę dążył ku temu, by tobie przeszkodzić w poślubieniu córki Laszowej”. Na-

stępnie przemawiał wuj. „Jeśli ty ożenisz się z Wierą to wiedz o tem, że nie pojedę na twoje wesle, ale nietylko ja, wszyscy, jak również nie wpuszczę ciebie z żoną do siebie. Patrzajcie — kawaler jak lalka i wiąże się z taką Laszową. Wstyd! Hańba! Czy nie możesz poszukać lepszej, bogatszej rodziny. Tfu!” Eljasz nic nie powiedział, natomiast Wasyl miał do zarzucenia, że sama Wiera jest niedobrą, bo źle mu uszyła spodnie. To rozbawiło wszystkich. Matka powiedziała, że Wiera jest bardzo dobrą dziewczyną, bo potrafiła wyżywić swoją robotą nietylko siebie, i całą rodzinę, no co do projektowanego związku wyraziła sprzeciw. Powiedziałem wszystkim, że jest już zapóźno. Już oświadczyłem się i swego słowa nie mam zamiaru wycofywać. A jeżeli komu się nie podoba, to trudno, uważam, że ze swą żoną ja będę żył nie kto inny. Nikt mi nic nie powiedział, uważałem zebranie za ukończone i poszedłem do Wiery. Słyszałem przez okno jak się śmiał Eljasz, pomyślałem o drwinach sypanych teraz w mej rodzinie na mnie — byłem na Eljasza cięty. O tem co w domu było Wierze nic nie mówiłem. Nadeszła Laszowa, spytała, czy mam wypalić (Laszowa paliła), oddałem jej machorkę. Oj, przeciwne babsko, żebym mógł to w jednej sekundzie rozsadziłbym tobie czaszkę. Tyś wiedzmo temu winna, że nie mogę poślubić twej córki. Niedługo bawiłem u Wiery, wyszedłem z zamiarem upić się i narobić w domu grandy. Wszyscy już spali, nie chcąc nikogo budzić poszedłem spać sam. Nie spałem. Kombinowałem przez całą noc jakby tę sprawę załatwić, postanowiłem, że trzeba będzie jakoś zapoznać Mateusza z Wierą. Jakim ze sposobem ich sprowadzić? Nie. Poproszę Mateusza, pojedziemy jutro w dzień do Wiery i koniec, rano odwoziłem Mateusza na stację, trzeba przejeżdżać koło domu Wiery. „Wiera, jak będę jechał z Mateuszem, podejdiesz, ma tobie powierzyć jakąś robotę”. Zgodziła się. Jedziemy — podchodzi Wiera. „Oto jest panie Mateuszu panna Wiera — bądźcie zapoznani”. Brat się zdumiał. To ta Wiera, o której wczoraj rozmawialiśmy? Tak. Tak. Wiera domyśliła się, pośpiesznie nas pożegnała. Nu i co dziś powiesz Mateuszu. Nic. Więcej nic do samej stacji Mateuszowi nie wspomniałem. Powiadają, czas najlepszy doktor. Postanowiłem zastosować się do tego przysłowia. Gdy wracałem do domu, byłem weselszy, około Laszowej zeskoczyłem z woza i wszedłem do pokoju Wiery, wyściskałem, wycalowałem jej pomocnice, jeszcze młode dziewczęta, podniósł się wielki gwałt, aż kogut na podwórzu zaprotestował i, nic nie mówiąc do

Wiery, odszedłem. Wieczorem będzie napewno długo się gniewała, jakoś mi to teraz nic nie szkodzi.

Październik 13 dnia.

Roboty polne już ukończono, pozostała tylko orka na zimę, a że do mrozów mamy dużo czasu, więc niebardzo się martwię — jeszcze porzemy. W piątek zeszłego tygodnia sprawilem Eljaszowi lanie i to dość porządne — niech nie naskakuje na mnie. Ma teraz za Wierę i za śmiech szyderczy — wystarczy mu. A było to tak. Prokop zaprosił miejscowych gospodarzy na tłokę — do zwózki drzewa. Droga była dobra, braliśmy na fura dużo i wypadło tak, że wszystko drzewo zabrano. Prokop był niezmiernie ucieszony i wyprawiał suty obiad, dobrze przekrapiany gorzałą. Wszyscy byli pijani, siedząc za stołem, dosłyszałem jak Eljasz z Tomaszem, bratem Maksyma bandyty, zmaiwiali się pobić Mańkiewicza i to chcieli zaczynać w mieszkaniu, ale ich wypchnięto na dwór. Tomasz jak Tomasz zawsze i wszystko robił na cudzy koszt, więc podburzał Eljasza do bójki, a sam — wiedziałem o tem dobrze — później byłby na uboczu. Uprzedzony Mańkiewicz czempredzej się pożegnał i poszedł do domu, Tomasz i Eljasz poszli w ślad za nim. Gdy wyleciałem na dwór, było bardzo ciemno. Nagle ktoś mnie uderzył w twarz, aż gwiazdy stanęły w oczach, tego było za dużo. Jak tygrys rzuciłem się do uciekającego osobnika, w pół minuty przeciwnik mój leżał na ziemi, a ja go biłem jak mogłem, nadleciał drugi, długo jeździłem na drugim. Nareszcie postanowiłem, że mają dość. Poszedłem przynieść latarnię, gdy wszczynałem bójkę, zrzuciłem kożuch i tego kożucha szukałem z latarką i nigdzie nie mogłem znaleźć. Ktoś go skradł. Ze złości pobiłem latarkę na głowie Tomasza, ten znowu miał jechać zaraz do policji, nikt tego się nie obawiał, gdyż sam zaczynał bójkę. Na drugi dzień przyszedł do mnie Eljasz, pyta się za co go biłem — odpowiadam, że nie wiem kogo właściwie biłem, uważałem że biłem tego osobnika, który uderzył mnie. Eljasz skarży się matce, że zbiłem go za wymyślanie na Wierę, bo powiada: „on od czasu jak Wiera ze mną się pokłóciła, to Paweł zawsze do mnie burczał”, na to Eljaszowi nie nie odpowiedziałem, stanowczo zażądałem tylko zwrotu kożucha, w przeciwnym razie groziłem pobiciem. Eljasz ze swej strony zaklinał się, że nie wie o kożuchu i zapewniał, że jak tylko coś się dowie, to mi da znać. Bójka narobiła dużo hałasu, co do mnie to zasadniczo byłem zadowolony, a cieszyło najwięcej mnie to, że złamałem butę Eljasza,

spodziewałem się w nim teraz swego zwolennika. Za trzy tygodnie postanowiłem poślubić Wierę. Wiadomość tę matka przyjęła spokojnie i powiedziała — jak chcesz, co do wuja i Eljasza, to ci napraszali się w rajki. Postanowiłem, że wezmę wujka. Trochę nieładnie było iść w swaty z podbitym okiem, ale chciałem prędzej rozpocząć przygotowania weselne, więc poszliśmy. Wierę uprzedziłem, że tego i tego dnia przyjdę do ciebie z swatem (po miejscowemu taki swat nazywa się „marszałkiem”). Nie chciałem wstępować tam niespodziewanie, zresztą tak umówiłem się z Wierą. Jest zwyczaj, że odchodząc w swaty trzeba brać z domu kawał chleba i ten chleb musi być wydany przez ojca lub matkę, jest symbolem zezwolenia rodziców na zawarcie związku małżeńskiego. Nalegałem na matkę by ten chleb mnie odkrajała, mówiła że nie chce złazić z pieca, ale widząc, że nie mam zamiaru ustąpić, matka zeszła z pieca, odkrajała chleb, życząc powodzenia. Obowiązek marszałka mieć chleb, a młodego — butelkę wódki. Poszliśmy, po drodze wuj nauczał, że gdy wejdziemy do mieszkania, to do czasu póki nie zaproszą usiąść, nie można od progu odstąpić dalej, jak do pierwszego belka sufitu. Ma to znaczyć, że gdy zapraszają przejść poza belek i usiąść z wyraźnym zaznaczeniem przejścia, to gościom są radzi i można się spodziewać dobrych wyników. Odmówiłem wujkowi wykonywania tego rytuału i prosiłem go, by szedł sobie ze mną tak sobie... zwyczajnie. U Laszowej wszyscy już spali, zresztą było to przewidziane, bo według dawnego zwyczaju nie wypada przychodzić „na ogień” — wszystko od razu się spali jak na ogniu. Nie trzeba było długo pukać, w moment drzwi otworzono. Pytają dlaczego tak późno. Tak wypadło — odpowiada marszałek. Laszowa posłała któregoś z synów po Mańkiewicza. Tymczasem postawiliśmy butelkę na stół, Wiera przekąskę. O posagu młodemu nie wypada mówić, to należy do marszałka, to też wuj prawił o tem jak najobszerniej z wujem Wiery. Było postanowione, że wesele odbędzie się za dwa tygodnie, że posagu będę miał dziesięcinę gruntu i krowę. Laszowa miała tylko jedną krowę, a że nie wypada wydawać zamaż nie dodając krowy, więc przyrzekła oddać ostatnią krowę. Daleko po północy wróciliśmy do domu. Nazajutrz opowiedziałem matce o wynikach swatania, powiedziała, że jest jej bez różnicy i z kim się ożenię, z tym będę żył. Wasyl widocznie nie był zadowolony, utyskiwał na rozchody pieniężne, a tu niema tak bardzo za co i t. d.

Wszyscy martwili się o ewentualnych kosztach weselnych, mówili o konieczności wyprawienia przez mnie wesela dla siebie i mło-

dej. Bo gdzie tam, Wiera jest tak biedna dziewczyna, nie będzie miała za co sprawić nawet sobie sukni ślubnej. Wiedziałem, że jest inaczej. Wiera pracując zarobiła kilka złotych, miała nietylko odpowiednią wyprawę, a zarobiła jeszcze 300 zł. na wesele. Namawiałem, aby wesela nie wyprawiać, tak tylko w kilku świadków zająć, wziąć ślub i na tem koniec. Wiera zgadzała się ze mną, na przeszkodzie stała Laszowa, nie chcąc się zgodzić na skromne wesele. Wiedziała dobrze ile złotych zaoszczędziła Wiera, widocznie obliczyła że za te pieniądze można wyprawić odpowiednie wesele.

27 października 1925.

Dwa dni jak jest już po ślubie. Goście wszyscy się rozjechali, po tak szumliwej zabawie jakoś izba świeci pustkami. Jestem okropnie przemęczony. Dwa tygodnie przed weselem byłem jak w kieracie, bo trzeba było wytargować pieniądze, więc zawieźć do miasta coś za te pieniądze, a przywieźć rzeczy potrzebne pod wesele, na projektowane przez mnie ciche wesele nikt się nie zgodził. ani teściowa, ani moja matka. Tłumaczyli to tem, że trzeba zaprosić na wesele krewnych, bo znowu krewni mają synów i córek, więc tobie trzeba pojechać do nich. No trudno, przez cały tydzień woziłem kartofle, trochę żyta, utłukłem około 300 zł. A że trzeba było kupić coś z ubrania, kolczyki, zapłacić ślub, podarunki narzeczonej, a najcięższy wydatek to gorzała. Kupiłem 40 butelek wódki, kosztowało blisko 100 zł. nawet tej wódki jeszcze było skąpo, gdyby tylko dać, wypiliby jeszcze drugie tyle. W środę woziłem narzeczoną do Bielska po wspólne zakupy. Z Wierą pojechała jej ciotka, tak dla świadka. To mnie irytowało, nie chciałem bowiem, aby ktoś się mieszał do naszych spraw, a ciotka jak na tóż była wielkim amatorem wtrącania się w nieswoje rzeczy. Poszliśmy kupić materiału na ślubną suknię. Wiera stosowała materiał, a raczej jego cenę do posiadanych pieniędzy. Natomiast ciotka koniecznie namawiała, abym kupił materiał droższy, zwalając to kupno na mnie, bo jakże, powiada, co za młody jeżeli nie kupi swej narzeczonej sukni, przecież każdy co się żeni, kupuje narzeczonej suknię. Zapłaciłem za materiał 18 zł., następnie poszliśmy kupować pierścionki. Ciotka upierała się, abym kupował złote. Pytam o cenę — 19 zł. jeden, powiedział kupiec, uprzednio ważąc pierścionek, zdumiałem się, toć za parę wypadu zapłacić blisko 40 zł. Stanowczo zaprotestowałem, nie chciałem wydawać tyle pieniędzy. Namówił do kupna kupiec, niech pan powiada kupi, na tem nigdy niema straty. Lepiej kupić mniej

wódki, bo wódkę wypiją i nic nie będzie, a pierścionki złote zawsze będzie można spieniężyć. Usłuchałem, zapłaciłem. Później długo chodziliśmy po sklepach, bo to trzeba było to szpilki, to guziki, to nóżek na galaretę. Naprzykrzyło się. Przeklinałem cały świat, nie mogłem pogodzić się z myślą, że z Wierą wydamy dużo pieniędzy, ja ze swej strony, a ona znowu od siebie. Późno wieczorem przyjechaliśmy do domu. Oddałem zakupione artykuły pod opiekę matki, Wasyla wysłałem zapraszać krewnych na wesele, a sam położyłem się spać. Na drugi dzień matka rażno wzięła się do roboty, zeniła syna, chciała by wesele wypadło jak najlepiej. Trzeba było zażyć wieprza, do tej roboty zaprosiłem wuja i Eljasza, częstując uprzednio gorzałką, bo od czwartku gorzałka już się potroszę spożywała, sam zaczęłem robić miejsce w chacie, reperując stare i majstrując nowe stołki. Miałem licznych krewnych, wiedziałem że wszyscy przyjadą, to będzie wynosić około 50 osób. Z sąsiadów nie miałem zamiaru zapraszać kogokolwiek, zresztą należało to do kompetencji matki. W piątek jeździłem do Kleszczel, brakowało to cukru, to cynamonu — wogóle różnego drobiazgu i oprócz tego trzeba było zaprosić Mateusza z żoną na wesele. Przyjadą to dobrze, nie przyjadą no to trudno. Miałem wysłać telegram, ale rozmyśliłem się, wysłałem list, a to w obawie by znowu nie podniósł burzy, bo obliczyłem że list otrzyma w sobotę — więc trafi na wesele w niedzielę, będzie zapóźno na burzę. Gdy wróciłem, to powiedziałem matce że wysłałem telegram. W sobotę na wieczór zaczęli zjeżdżać się goście, spodziewali się że lada chwila nadjedzie Mateusz — ja nic nie mówiłem, wiedziałem tylko to, że na niego za wcześnie. Zaczęli szykować się do młodej z wiankiem. A to cała cegiegła. Trzeba było wyciąć rosochatą gałąź jabłoni lub gruszy, bo to trzeba płodnego drzewa, na to zawiesili szal — mój podarunek, obwieszali jeszcze różnokolorowymi wstążkami, na wierzch upletli wianek z kwiatków i zieleniny, starszy drużbant kuł mowę, jaką miał wygłosić doręczając wianek młodej. Marszałek chodził i sprawdzał czy wszystko jest w porządku. Nareszcie poszliśmy, długo musieliśmy wszyscy stać w domu panny młodej, póki starszy drużbant wygłaszał mowę okoliczną wręczając młodej wianek, także długo dziękowała starsza druchna za ów wianek, aż nareszcie posadzili mnie na kozuchu obok młodej. Każą młodej parze siadać na kozuchu dlatego, że kozuch jest symbolem zamożności, nawet jest przysłowie, że kozuch się równa do kozucha, sukmana do sukmany, a lach do lacha. Za kilka godzin pożegnałem młodą z tem, aby ju-

tro spotkać u ołtarza. Ślub miał się odbyć w Kleszczelach, w Wólce jeszcze niema księdza, do ślubu jechano z wielką paradą trójkami. W ten dzień mi nic nie dali jeść — był to dla młodych, do czasu wykonania sakramentu, dzień postny. To też nie chcąc długo czekać na ślub, zapłaciłem księdzu o 4 zł. drożej i jeszcze za dnia wróciliśmy z Kleszczel. W niedzielę wesele zwykle odbywa się u młodej, ale jest zwyczaj że zaraz od ślubu młodzi jadą na ukłon do rodziców młodego, udzielają im tam błogosławieństwa i robią pierwszy poczęstunek. Gdy przyjechaliśmy na ukłon, to zastaliśmy w domu Mateusza z żoną. Zauważyłem, że jest wściekły, pomyślałem w duchu, że mi nic nie zrobi. Ale Mateuszowi nie chodziło o to że poślubiłem Wierę — był zły za późne zawiadomienie o weselu. Wiera w imieniu matki ślicznie go zaprosiła do swego domu i Mateusz udobruchany powinszował nas z nowym stanem. Udaliśmy się do teściowej, powiada że nie stosujemy się do zwyczaju ojców, za długo bawili się w moim domu. Wiera również kupiła sporo wódki, więc goście byli dość weseli i tylko o godz. 3-ej nad ranem wróciliśmy do domu. Z wesela młodej zabiera młody tylko starszego drużbanta, z rzeczy — pościel, a wzamian za zabranego drużbanta pozostawia w domu młodej swego drużbanta. Reszta wesela tak zwane „przydaniem” przybywa do domu młodego już w poniedziałek wieczorem. Gdy przyjechaliśmy do mnie, to matka poczęstowała nas grzaną gorzałką i jajecznicą. Musieliśmy to spożyć pod śpiewy zamożnych kobiet.

„Tupu koniki tupu,
Przywiózł młody stupu”.

(stupa jest to duży moździerz do tłuczenia pęcaku) i t. d.

Tymczasem starszy drużbant zniósł z wozu pościel i żąda za pościel wykupu, długo marszałek targuje się o pościel i nareszcie targ został dobity — piją gorzałkę.

Kobiety posłały pościel z odpowiednimi śpiewami, ułożono nas spać, ale kto tam może spać, jak cały dom się trzęsie od huku i tańców. Nazajutrz przyszli weselni pomagać wstać młodemu, znowu jajecznica i wino, wszyscy żartują, pytają o przespanej nocy. Młoda się czerwieni, znowu odpowiednie śpiewy pełne dwuznaczności i do wieczora spokój. Przez pół otwarte drzwi widać jak matka krząta się koło pieca, moje ciotki pomagają, wyszła do nich Wiera, nie dają nic robić. Powiadają że to jest twój dzień weselny, nie możesz nic dotykać. Wieczorem znowu pełno gości, przyjechało „przy-

danie". Mateusz i Wasyl obsługują gości, wszystko idzie dobrze. Nagle teściowa zażądała wódki, popatrzałem — obok niej stoi butelka i w niej już niedużo wódki. Podmrużnąłem Wasylowi, przyniósł butelkę wódki i postawił przed teściową. Teściowa zaliczyła siebie do obrażonych i powiedziała, że opuści mój dom. Pocichu jej odrzekłem, że nie będę robił żadnych przeszkód i tym sposobem skandal zażegnałem. Teściowa nie opuściła wesela, a nawet wróciła do humoru. Dość późno wesele zupełnie zostało zakończone. Byłem żonaty.

16 listopada 1925 roku.

Ciągle obserwuję, jak matka będzie się obchodzić z Wierą, tymczasem dobrze. Wiera przywiozła sobie maszynkę i krawcuje. Roboty ma sporo, nie pozwalam jednakowoż dużo pracować, to samo matka. Patrzy, że Wiera jest dobrą krawcową, nu i podziwia jej mistrzostwo, a całe mistrzostwo polega na wykonywaniu robót krawieckich dla miejscowej ludności, nieszczególnie wymagającej. Rozpoczęła szyc sobie palto, matka jej pomaga czym może. Jestem bardzo ucieszony. Wasyl w stosunku do mnie zupełnie się zmienił, nie mogę odszukać powodów, sądzę że jest ciągle zamyślony o dalniejszym naszym współżyciu. Przyprowadziłem od teściowej krowę — musiałem znowu postawić butelkę wódki — wogóle teściowa patrzy na mnie jak na kopalnię złota, ciągle mi „kiwa” o tem, że będę musiał jej pomagać robotą i finansowo, ale gdy spytam w czym mam pomagać, odpowiedzi niema. Wiera narzeka, że marnie odżywiamy się — mówi że zmuszona chodzić do swej matki i to, co tu nie dojada, dojadać tam. Prawda, że matka gotuje potrawy po dawnemu, niewiele urozmaicając dań, zresztą wiem, że inaczej nie potrafi, a trudno przecież było mnie rozpoczynać naukę gotowania nie będąc sam wtajemniczony w sztuce gotowania. Zakazałem żonie stanowczo, by broń Boże nigdy o tem nie mówiła, a zalecałem, aby stopniowo i to delikatnie, pomagając matce, wprowadzała lepsze potrawy. Jadłospis matki wyglądał następująco. Śniadanie i obiad gotowano od razu w chlebowym piecu, zaś wieczerzę przed odejściem do snu.

Rano barszcz z buraków lub kapuśniak i mięte kartofle, omaszczone słoniną, przyczem barszcz lub kapuśniak jedzono z chlebem, kartofle same, a że ja nie mogłem jeść suchych kartofli, więc dodawano mnie mleko, gdy go nie było, zapijałem wodą.

Obiad — ten sam barszcz lub kapuśniak i zupa kartoflana omaszczona słoniną lub czasami (co zdarzało się dość nie często) kawałek solonego mięsa, to mięso zazwyczaj rozgotowywano tak, że go rozcierano w misce, wlewało się zupę — i to był przysmak nielada.

Wieczera — ten sam barszcz lub kapuśniak, o ile pozostawał od obiadu, i do tego gotowano jeszcze świeże kartofle ze słoniną.

Do tego jadłospisu czasami wprowadzano zmianę. Gotowano groch lub fasolę, lub nie lubiane przeze mnie „poluszki” czyli okrągłe placki, zacierane na pyłowej mące z gotowanymi kartoflami, a później upieczone w chlebowym piecu. Jako omasta wchodził do tego zwykle rozgnieciony mak. Podczas większych świąt przez dwadzieścia dni odżywiano się mięsem, również niebardzo dobrze. Bo zwykle takie święta poprzedzał post, postne strawy niczem nie różniły się od innych tylko własną słoniną zamienioną na kupny olej. Czasami w postne dni kupowało się śledzie, z oszczędności nie jedzono śledzi same, a gotowało się po kawałeczku w barszczu i tak jak mięso rozcierano. Zazwyczaj w święta chorowałem na żołądek, nie chciałem jeść dużo mięsa, a żądałem herbaty. Nieraz myślałem żeby taką herbatę zaproponować jakiemu dyrektorowi, ciekawym co by na to powiedział? Herbatę zazwyczaj gotowano w garnku, zamiast właściwej herbaty sypano cykorję, a zamiast cukru sacharynę, zazwyczaj na taką herbatę mówiłem że jest zła. Matka nazywała mnie wybrednym i płakała, mówiąc przed sąsiadkami, że staram się udawać pana.

W swoim czasie protestowałem również, że zimą za wcześnie wstajemy, zwykle wstawaliśmy pomiędzy 3—4 godz. rano. Śniadanie było zazwyczaj gotowe do świtu, do świtu również spożywaliśmy go. Nieraz śmiałem się, że śmiało po śniadaniu możemy się kłaść spać, bo jedyną robotą było mlócenie, lub rżnięcie sieczone przy latarni, a jak tej roboty nie było, to wałęsaliśmy się po izbie, bo spać matka nie dawała.

27 grudnia 1925 roku.

Wczoraj z żoną byłem u Mańkiewiczów, wujkowstwa. Ciotka dużo opowiadała, wypytywała, prawie cały wieczór należał do niej, okropnie gadatliwa. Wuj natomiast jest powolniejszy, ale również jak coś powie, to potrafi rozśmieszyć każdego. Dziwiłem się że ciotka za dużo waliła na moją teściową — sądziłem, że ze swą bratową

żyje w zgodzie, ale sądząc z jej słów wywnioskowałem sobie, że coś musiało pomiędzy nimi zajść. Przypatrywałem się z zaciekawieniem, jak na obelgę swej matki zareaguje moja żona. Nic. Tylko się czerwieniła. Chcąc przerwać męczarnię żony, wstałem od stołu, to samo uczyniła Wiera, pożegnaliśmy Mańkiewiczów zapraszając ich do siebie. W domu zastaliśmy teściową, czekała na nas — chciała byśmy poszli do niej, odłożono wizytę do wilji Nowego Roku. W tej chwili nadjechał Mateusz z żoną. Poraz pierwszy przyjechali po weselu.

7 lutego 1926 roku.

Dziś mam wielką nieprzyjemność, żona przyznała się, że jest chora. Jaka choroba nie może wytłumaczyć, powiada tylko o konieczności sprowadzenia doktora. Mówi że bardzo coś dolega w brzuchu — odczuwa okropny ból. Bardzo jestem zmartwiony. Tak kocham Wierę, a nuż mi umrze — chyba wtedy zwaruję. Powiedziałem o doleganiach żony swej matce, nic nie powiedziała, ale zauważyłem jak zabłyśły jej oczy i po ustach przeleciał ledwie dostrzegalny pogardliwy uśmiech. Zirytowałem się. Wiem co matka myśli. Oni wszyscy są pewni, że Wiera koniecznie będzie miała przedślubne dziecko. Kłąłem, ale nic nie radzisz, konieczność zmusza jechać do doktora, pieniędzy trochę mamy, blisko 60 zł. — tymczasem starczy.

Marzec 16 dnia.

Nieraz sobie teraz myślę, po jakiego djabła ja się żeniłem, jestem skończonym osłem i tylko. U Wiery okazała się choroba kobieca — wzruszenie macicy. Doktor stanowczo zabronił żonie pracować, trzeba co tydzień jeździć do doktora, płacić mu pieniądze, ale przynajmniej to mnie cieszy, że doktor zapewnia mnie, że żona prędko będzie zdrowa. Trudno z leczeniem, doktor przepisał wanny słone i do tego ciepłe. Trzebaby byłoby grzać wodę — niewielka rzecz, gdyby tylko matka nie przeklinała delikactwa mej żony. O tem leczeniu w domu nie było mowy, żona te zabiegi wykonywała w domu u swojej matki. Wasyl był okropnie niezadowolony, brałem na koszt leczenia pieniądze tymczasem swoje, to znaczy te które żona zarobiła krawcując, Wasyl natomiast był pewny, iż pocichu wyprzedawałem zboże. Odczuwałem zbliżające się kłótnie. Nadchodziła robota polna, Wyreperowałem pług, byłem gotów do orki. Wasyl zastrajkował, nic nie chciał mi pomagać, zbiera się do

ucieczki do Rosji. Zebrało się ich 3-ch. Wasyl, żony brat Janek i jeszcze jeden. Wszyscy nic nie robią, wałęsają się z kąta w kąt. Nie wiem kto podburza Wasyla, ale robi się poprostu niemożliwy, nabrał się odwagi, stawia mnie czoło, a nawet dodaje, że jak ja będę dużo gadać to mnie obije. Pewne ożywienie wniosła zaprojektowana przez Mateusza fabryka wyrobów cementowych. Założyliśmy we trzech spółkę. Ja, Mateusz i Wasyl. Ja z Wasylem nie spodziewałem się tak szybkiego wykonywania Mateuszowych zamiarów. Pewnego dnia otrzymujemy ze stacji zawiadomienie, że na nasze imię nadeszło pół wagonu cementu. Pojechałem na stację dowiedzieć się, okazało się prawdą. Cement był wysłany za zaliczeniem kolejowym. Trzeba wykupić, pytanie gdzie weźmiemy 420 zł. Musieliśmy sprzedać krowę i niedokarmionego wieprza. Przywieźliśmy cement, na drugi dzień przyjechał Mateusz, przywiózł warsztaty, jeden do dachówki, drugi zaś do wyrobu pustaków. Do roboty zaprosiłem niejakiego Tomasza z Moskiewic. Byłem zaskoczony tem wszystkim, prawda, gdy Mateusz proponował mi założenie fabryki, zgadzałem się z nim, ale sądziłem, że ten projekt tak i pozostanie projektem, a tu nagle wiosną dochodzi jeszcze jedna robota. Wiedziałem, że wszystko to tymczasem zwali się na moje barki. U Wiery już bóle ustały, wczoraj jeździłem do doktora, okazało się że jest w ciąży, doktor powiedział, że teraz wszystko będzie jak najlepiej, pocichu mi dodał o konieczności zawołania doktora podczas porodu. Podziękowałem mu. Przyjechaliśmy do domu, powiedziałem o swej radości matce — była zupełnie obojętna.

31 marca 1926 roku.

Na dniach był Mateusz, przyjechał zobaczyć jak idą roboty w cementowni. Był bardzo niezadowolony, że Tomasz napsuł dużo dachówki, mówił że wszystko to zaliczy na mój koszt, bo powinienem wystarać się o dobrego robotnika. Żeby go djabli wzięli — tak mi potrzebna ta cementownia jak dziura w moście, swojej roboty mam do licha, a tu człeku jeszcze żwir trzeba wozić, wiadomo — wynajmywać nie wypada, dobrze że choć Wasyl teraz coś niecoś pomaga, a tobym zwarjował. Żona znowu wzięła się do szycia, znowu utyskuje na złe odżywianie. Projektowałem jej, aby dokupywała sobie żywność i pokryjomu odżywiała się lepiej. Nie chce, jest harda, mówi że tak nie potrafi. Proponowałem matce, aby jakoś lepiej coś gotować, to ta podniosła skandal, płacz. A powiada — przyprowadziłeś tu panią i razem z nią wymyślasz o jakichś

smakołykach. Ja życie zżyłam, nauczyłam się gotować dobrze, a ty tu będziesz mi wtrącał nosa. Do samego południa, płacząc, przeklinała nas matka. Nadszedł Wasyl, spojrzał na matkę i pyta co się stało. A te, powiada, djabły zebrali się i chcą ciągle lepszego jedzenia, jakbym ja gotowała tylko dla świń, przecież jestem gospodynią od 40 lat. Nic Wasyl nie powiedział, był zresztą pod tym względem moim zwolennikiem. Nie miałem czasu. Wiosna, codziennie byłem zmęczony robotą w polu i jak tylko wieczór nastawał, kładłem się spać. Dobrze, że choć mam teraz lepsze miejsce do nabierania żwiru, wyprosiłem pozwolenia brania żwiru u Jana Zimsiewicza, dzień roboczy rozłożyłem w ten sposób: z rana szedłem z końmi w pole, orałem lub robiłem co innego do godz. 11-ej, w pole wyjeżdżałem wozem i jadąc spowrotem nabierałem furę żwiru, przywoziłem do domu i zaraz jechałem znowu po żwir. W południe dawałem koniom jeść i przychodziłem sam na obiad. Był Wielkanocny post, a matka, będąc niezadowoloną z naszych wymówek, gotowała jeszcze gorzej. Wiedziała matka, że ze względu na swą żonę nie będę podnosić żadnego skandalu, zbyt szanowałem teraz spokój w domu. Siedząc koło „obiadu” czas od czasu zauważyłem, że Wasyl również nie był zadowolony z podobnych dań, oczekiwałem wybuchu protestu z jego strony.

Żona, będąc w domu, jadła tam z osobnej miski, — wszyscy domownicy w ten sam sposób spożywali posiłki, natomiast moja matka, gdy w swoim czasie żądałem tegoż, stanowczo sprzeciwiła się temu. Wymawiała mi, że jej nienawidzę, że jej się brzydzę i t. d. następowała wielce drastyczna scena, kończąca się zwykle moim ustępstwem.

Więc żona kilka razy mi mówiła, że pomijając niewyszukany posiłek, zmuszona jest spożywać ten posiłek jak prosiaki z jednego koryta. Z jednej strony kochałem zanadto żonę, by nie odczuć jej niewygody, z drugiej strony wiedziałem dobrze, że matka w żaden sposób nie ustąpi ze stanowiska naczelnej gospodyni i nie pozwoli zaprowadzać nowe porządki. Gdyby chciałem postawić na swoim, musiałbym uciekać się do gwałtu, a gdyby wniósł się w to Wasyl — nawet do bójki. Byłem w położeniu nader drastycznym. To mocno szkodziło dla mego zdrowia, zrobiłem się zbyt pochopny, nerwowy. Zresztą ludzi unikałem, nie chodziłem na zebrania w niedzielę, bo był zwyczaj przesiadywania u kogoś i gadać między sobą o nowinkach bieżących, trochę filozofii chłopskiej, złościło mnie najwięcej to, że gospodarze pomiędzy sobą roz-

mawiali tylko równy z równym czyli jak to mówią kozuch z kozuchem, łach z łachem. Będąc czasami na takich pogadankach, zdarzało się tak, że moje pytanie zwrócone do kozucha pozostawało bez odpowiedzi, więc pocóż tam miałem przesiadywać. Natomiast nie rozłączałem się z młodzieżą, chętnie bywałem w ich towarzystwie, a że najczęściej zbierali się u teściowej, miałem swobodny dostęp, niewiele narażając na szwank swoją powagę żonatego mężczyzny. Z młodzieżą było lepiej, tam nikt nie stękał, nie narzekał, nikt swoją mową nie przypominał różnicy kastowej kozucha i łacha. Starsi gospodarze trochę podśmiewali się nade mną, nazywając mnie wielce lekkomyślnym chłopem. Nie zwracałem na to uwagi.

Kwiecień 3 dnia.

Wasył znowu wybiera się do Rosji, zastrajkował zupełnie. Wczoraj żądałem od niego, w sposób gwałtowny: albo wyjeżdżać, albo, co uważałem za lepsze, brać się do roboty. Nic mi nie odpowiedział, zauważyłem tylko, że jak coś robi, to stara się mi nadokuczać. Prosiłem go by wyprzęgając konia z wozu nie rzucał na ziemię ogłobli i uprzęży, nic nie pomogło, pewnego razu byłem pod stodołą, jak Wasył wykladał konia. Dlatego aby ogłoble lepiej uderzały o ziemię jeszcze ich podnosił wyżej i z rozmachem rzucał o ziemię, chomąto rzucił w jedną stronę, lejce zaś w drugą, domyśliłem się że chce wywołać kłótnię. Milcząc pozbierałem uprząż, postawiłem na miejsce wóz i poszedłem do mieszkania, nie powiem żeby to mi się spodobało, byłem nawet bardzo zły, ale obawiałem się swej gwałtowności i dlatego nie Wasyłowi nie powiedziałem.

Przyjeżdżał do mnie niejaki Miron B. z Kruhłego, stara się o uruchomienie kasy. Nie namysławiając się długo, wypisałem potrzebne blankiety, a już zapoznałem się jak ich wypełniać. Miron zebrał potrzebną ilość podpisów i udziałów, chociaż nie był skarbnikiem i odesłał według adresów papiery. Miron niewiele się znał na kasach, a że był „kozuchem”, łatwo przy jego pomocy było coś zrobić. Gdy mówił o kasie, spodziewał się, że każdy da mu pieniędzy tyle ile jego łaska będzie przyjąć — śmiałem się z niego, nie wierzyłem aby tak było. Skarbnikiem zarządu kasy został wybrany mój wuj, zaś prezesem Maksym. Wszyscy to byli zamożni gospodarze, jedynie wchodził do zarządu ja, jedyny biedak. Cement prędko zostanie wyrobiony, niezmiernie cieszę się z tego powodu, więc cementu kupować nie będę, jak bracia chcą to niech kupują.

Zresztą Mateusz nadesłał list, upominając się o pieniądze ze sprzedanej dachówki. Jest teraz w Łomży i mówi w liście, że mu niekoniecznie dobrze się powodzi, nawet jest mowa o ewentualności zwolnienia się z posady.

Jest już po świętach Wielkanocnych, roboty polne na ukończeniu — pozostaje jeszcze tylko orka ugoru. Robota to łatwa, bo nie trzeba się śpieszyć, wiele się da, tyle się orze. Wogóle o tej porze jest pewien odpoczynek. To też zająłem się kasą. Zostaliśmy zarejestrowani w sądzie w związku rewizyjnym, Centralna kasa również przyjęła na członka, a nawet wysłała 1500 zł. pożyczki. Gdy nadeszły pieniądze, to naprawdę nie wiedzieliśmy komu ich dawać, kilku amatorów tylko było do pożyczki, a że było trudno pozostawić pieniądze nie oprocentowane, więc rozebraliśmy te pieniądze sami. Osobiście wzięłem 150 zł. i natychmiast kupiłem sobie jałówkę. Pożyczka była wydana kasie na 3 miesiące więc na taki sam termin wydaliśmy członkom. Wiadomem było, że termin tej pożyczki był stanowczo za krótki, kupić łatwoby wybrnął z tej pożyczki, rolnik nie. Zresztą zabrali te pieniądze ci, którzy miały możliwość zwrócić je w każdej chwili. Zapowiedziany przyjazd na Wielkanoc Mateusza z żoną zawiódł, a chciałem go koniecznie zobaczyć, możeby się dało go namówić, aby nie rzucał służby, wiem — on myśli, że tu można prowadzić jaki interes, a nawet spodziewa się wygodnego życia — zawiedzie się napewno.

W Wólce teraz nowina. Będziemy mieć stałego księdza. Przyjechał przed świętem z Grodna, wraz z psalmistą, ostatni żonaty, ma ładną i młodą żonę. Na Jurja (święto) jest u nas zwyczaj, że cała rodzina wychodzi w pole na żyto. Dla tego celu piecze się specjalny chleb i ten chleb tarzają po życie z odpowiednimi śpiewkami nabożnemi, później tarzają się wszyscy obecni na życie. Po takim wstępie zabierają się do gorzałki i przekąski. Święto Jurja uważa się za bardzo ważne w życiu gospodarczem wsi. W ten dzień rano wypędzone bydło z chlewów, pędzą palmami, zachowaniami od Wielkanocy, ma to znaczenie zdrowotne, podobno do tego inwentarza nie przystanie żadna choroba. W tym roku byłem zaproszony przez wuja, aby razem iść na żyto, również wzięłem butelkę wódki i chętnie przyłączyłem się do wujostwa. Do tej grupy dołączył się psalmista z żoną i, jak później się okazało, był wielkim komikiem. Nasz śmiech daleko rozchodził się głośnem echem, aż pastuszkowie nam odgwiszdywały. To był jedyny dzień, w którym od swego ślubu serdecznie się śmiałem. Wasyl był gotów do

odmarszu. Nic mu nie mówiłem. Nie powiedziałem również nic, gdy mu matka kazała sprzedać dwa byczki, chociaż ta sprzedaż krzyżowała moje plany; z byczków projektowałem wychować z czasem woły. Za byczki uzyskał 280 zł. więc na podróż pieniądze miał. Nie zważając na to, że Wasyl zrobił się ostatnio bardzo krnąbrnym, żałowałem go, mógłbym go odmawiać od tego kroku, ponieważ jednak uważałem go, z powodu kalectwa, niezdolnym do robót rolnych, przeto nie chciałem stać mu na przeszkodzie. Nie byłem pewny, by się przedostał do Rosji, spodziewałem się tylko na „może”. Może przejdzie granice, a może nie, ale w każdym bądź razie niech się trochę potuła, wyjdzie mu to na lepsze. Przed Wielkanocą Wiera zarobiła około 80 zł., pieniądz ten nikogo nie urządził, ale bądź co bądź była pewność, że nawet gdyby było najgorzej w gospodarce, to przy tak wydatnej pomocy żony można będzie przeżyć. Matka jakoś podpada pod wpływy mej żony. Czas od czasu usłucha mej żony i wspólnie czasami ugotują coś lepszego, ja jestem z tego bardzo zadowolony, matka nie, mówi, jeśli będziemy prowadzić tak rozkoszne życie, to nic nie będziemy mieć. Cała zaś rozkosz polega na lepszym gotowaniu tych samych produktów. Pod święta żona proponowała matce, aby nie gotować tak dużo mięsa, lepiej powiada mieć go na później, a mięso zastąpić wyrobami z mąki pszennej. Częściowo matka zgodziła się i żona tak pokierowała sprawą, że na Wielkanoc zjadłem kawałek chlebowego tortu. To naprawdę wielki postęp. Jestem pewny, że jeśli nie będzie Wasyla, a więc matka nie będzie miała nikogo oprócz nas, zapanuje pomiędzy nami zupełna zgoda. Jestem dobrej myśli. Do Wólki zjechał Mateusz. Po rzeczy jeździli aż do Brańska Eljasz, wuj i inni. Ja nie pojechałem, gdyż bardzo jestem niezadowolony z tego, znam dobrze bratową, jest nadzwyczaj przebiegła, podstępna, dobroci nie ma ani na grosz, spodziewam się nowych kłótni i tylko. Mateusz również był niezadowolony, że nie raczyłem przyjechać osobiście, a wysłałem tylko człowieka. Mateusz zajął alkowę, ja przeniósłem się na większy pokój, matka jak zawsze w kuchni — miejsce odpoczynku jej był piec. Jedynic co mi w Mateuszu się spodobało, to chęć przebudowy ustroju domowego. Przy każdym posiłku dużo gadał o naszej niekulturalności, o niemożności egzystencji przy takim błahym odżywianiu się i t. d. Odpowiedź matki była prosta — nie podoba się, gotuj sam i tyle. Zbierały się chmury, a tu nadeszła wiadomość o Wasylu, który przebywał teraz w pace w Bielsku. W rezultacie matka pla-

kała całymi dniami, narzekając szczególnie na mnie, że zmusilem Wasyla do tego włóczęgostwa. Nie poczuwałem się coprawda do winy, jednakże nie mogłem znosić ustawicznego płaczu i, gdy tylko nie byłem zajęty robotą, uciekałem z domu. Mateusz pojechał do Bielska. Wrócił z Wasylem, ten dużo opowiadał o swych przeżyciach, o swych ciężkich kolejach i t. d. Matka z miłością patrzyła na Wasyla, z pogardą na mnie, łatwo było domyślić się, że niewiadomo dlaczego, na mnie spadała wina za grzechy Wasyla, odczuwałem w tem prowokację żony Mateusza. Z tą kobietą miałem już niemało kłopotu, wiedziałem dobrze, że teraz go przybędzie.

W kasie nie powiem żebym miał dużo roboty. Jednakowoż jest możność czas od czasu udzielić komuś pożyczkę. Trochę zaczęłem rozumieć co to jest kasa, dowiedziałem się czemu nazywa się kasa Stefczyka. Staram się zaciągnąć jak można więcej członków, częściowo to mi się udaje, gdyż nazywałem blisko 45, spodziewamy się dalszej pożyczki z centralnej kasy, już w sumie 5000 zł. przynajmniej o taką sumę prosimy. Na dniach przyjeżdżał lustrator. Długo informował nas o kasie i o spółdzielczości wogóle, pokazywał mi i wyjaśniał jak miałem księgować i t. d. poprosił o posiłek. Mateusza z żoną na ten czas nie było — wyjechali do Widowa, bo tam był odpust, więc zwróciłem się do matki, aby zrobiła jajecznicę i przyniosła mleka. Jajecznicy lustrator nie chciał jeść wypił tylko mleko i odjechał, zapewniając nas, że kredyt z Centralnej Kasy otrzymamy napewno. Pracując w kasie starałem się wykonywać wszystko według regulaminu, nie zawsze to mi się udawało, gdyż moi współpracownicy mieli swój rozum, który nie zawsze chciał się godzić z regulaminem. Pewnego razu siedzę sobie w domu i księguję ostatnie czynności, wchodzi niejaki Marko z Krasnej-Wsi, bez wszelkich przedmów stawia na stół butelkę z wódką i mówi, że koniecznie muszę wypić. Starałem się odmówić, ale w żaden sposób nie mogłem, więc zaproponowałem mu aby uprzednio powiedział o co chodzi. Markowi o nic nie chodziło, chciał wypić i basta, ledwie że go umówiłem, by poszedł wypić w inne miejsce, zapewniając go że w kasie nie wolno pić. Marko rozgniewał się, długo mruczał o niewdzięczności ludzkiej i poszedł. Gdy naprzykład zbierała się komisja rewizyjna, a robiła to dość często, to półsłówkami dawali mi poznać, że jeżeli ja nie będę skąpym, to rewizja całkiem nie będzie straszną. Mówiłem zazwyczaj, że odwrotnie, może sobie być najstraszniejszą. Do komisji rewizyjnej wchodził ksiądz, ten zawsze twierdził, że zarząd powinien sta-

rać się tylko o sprowadzenie z centrali jak najwięcej pieniędzy. Gdy zaczynam mówić o konieczności oszczędzania, odpowiadają uśmieszkami, w takim wypadku czytam broszury nadesłane przez Związek Rewizyjny, gdzie zwykle autorowie dowodzą konieczność oszczędności — nie nie pomaga, mówią że wolimy pożyczać jak oszczędzać. Pewnego razu zaproponowałem mojemu wujkowi i Mańkiewiczowi by zapisali się do kasy. Gdzietam, przystępu nie ma. Ciotka wyszedyrowała mnie na wszystkie strony i wyśmiewając mi powiedziała, że urządzam nie kasę a kaszę. Mateusz przywiózł z sobą kilka książek, w wolnych chwilach mam co czytać, ale książki jego przeważnie starannie są przechowywane tak że jak on nieobecny, to trudno się do nich dostać. To znowu dobrze wychodzi na korzyść pamiętnika, bo czas od czasu coś do niego notuję. Żona jakby jest niezadowolona z powodu mej pracy w kasie, nie wiem czemu. Widocznie coś teściowa mówi, bo żona opowiada, że Mańkiewiczowa okropnie ze mnie szydzi. Więc wszystko idzie jak po drabinie. Mańkiewiczowa teściowej, teściowa żonie, a żona mnie. Dziwne ludzie wszystko muszą przekręcić na swych językach.

Znowu podział, tym razem gorszy od poprzedniego.

W danym wypadku do podziału zgłosili się, ja, Mateusz i Wasyl, ale ci wszyscy występują przeciw mnie. Matka odłożyła ostateczny podział do czasu omlócenia nowego chleba. Tymczasem dzielimy się inwentarzem i gruntem. Z ogólnego inwentarza jedynie otrzymałem 3 owce i wieprza, więc będę miał 1 krowę, 3 owce i 2 świń, bo jedną świnkę Wiera z ciotką kupiła za własne pieniądze. Co do konia to Wasyl rości pretensję, mówi że przy podziale pierwszym z Eljaszem na jego część przypadł mały buhaj, natomiast my na dwóch mieliśmy po dużym wołu, nic nie pomagały moje tłumaczenia, że nie mogę teraz dokładać do poprzedniego podziału, bowiem uważalbyśmy siebie za pokrzywdzonego, nic nie pomaga. Żądcę podziału poprzedzała kłótnia, a wybuchła z tego powodu, że wziąłem bez wiadomości matki 2 pudy żyta na sprzedaż i za uzyskane pieniądze kupiłem kosę, bo nadchodziła kośba. Matka twierdziła stanowczo, że wziąłem żyta więcej, wtedy wystąpił Wasyl, zażądał zwrotu żyta, posłałem ich do wszystkich diabłów, uważałem bowiem, że nie potrzebowałem przed nikim się tłumaczyć. Na drugi dzień odchodziłem z żoną na łąkę. W ten dzień matka nie zechciała nic gotować, zabrała się do tego Wiera. Piekielny obraz. Wiera chodzi około pieca i gotuje jeść, potrzebne

artykuły do gotowania bierze z kładówki obok, matka zaś leży na piecu i wymyśla na Wierę. Ta nic się nie odezwiała, ugotowała śniadanie i razem obiad, bo na łąkę braliśmy obiad z sobą. Zawołała z podwórza mnie i poszliśmy do roboty. Wieczorem przychodzę do domu, patrzę, a tu wieprza, którego otrzymałem z podziału, znowu zabrano spowrotem, wchodzę do mieszkania, pytam się kto wypuścił mego wieprza, nie nikt się nie odzywa. Odłożyłem sprawę na jutro. Rano jak tylko wstałem, zabrałem się do odsadzania wieprza, matka wyleciała z gwałtem nie dawać wieprza. Krzyk. Hałas. Nic nie pomogło, zabrałem wieprza. Gdy wróciłem w południe od siana, to samo znowu. Znowu zabieram wieprza, znowu klótnie i przekleństwa. Zirytowany w ostateczności biorę siekierę do rąk i miałem odejść, ale matka, sądząc że idę do wieprza, rzuciła się z przekleństwami do mnie, krew uderzyła do głowy, spojrzałem na matkę i zamachnął się siekierą na matkę. Ale stało się coś niewyraźnego. Widocznie od wielkiego napięcia nerwów usta wało pukać serce. Osłabiony i oszołomiony rzuciłem topór, chwiejnym krokiem wszedłem do mieszkania, czułem że serce zaczyna zamierać, ledwie pod wieczór tylko było mnie lepiej. Dałem spokój, więcej nie podnosiłem skandali o wieprza z obawy o mogące się zdarzyć nieszczęście. Na drugi dzień przyjechał Mateusz z żoną z Widowa. Matka opowiedziała mu, że chciałem ją zabić, a nawet dużo gadała o mojej gotowości tego za wszelką cenę dokonać. Nic nie miałem do powiedzenia, ale wiedziałem o tem, że będzie jeszcze kłótnia o konie. Właściwie jeden koń powinienby należeć do Mateusza, bo podczas mojej służby wojskowej Eljasz wymieniał mateuszowego konia, którego ten kupił w 1919 roku, na lepszego, dokładając do starego konia pół jego wartości. Ale nie chodziło mi o kasztana (tak nazywał się wymieniony koń), chodziło o karego, kupionego za pieniądze uzyskane ze sprzedaży mego woła. Możliwe, że bracia nie podnosiliby skandalu o te konie, gdyby ja nie był taki pochopny. Skandal wybuchł z powodu następującego. Wasyl przed odejściem do Rosji zupełnie przestał wtrącać się w sprawy gospodarki. Więc wszystko musiałem robić sam. Wiadomem jest, że końmi nikt oprócz mnie nie opiekował się; zdarzało się czasami pod moją nieobecność w domu, że przechodzących mych koni obok podwórza nikt nawet nie zatrzymywał, inaczej mówiąc z domowników nikt nie raczył wpuścić konie do chlewa, tłómacząc to sobie tem, że Paweł jest lekki na nogi, potrafi konie i nocą odnaleźć i przyprowadzić do chlewa. Gdy wracałem

z pola, a nie widząc swych koni, ni w chlewie ni na podwórzu, starałem się ich odnaleźć czempredzej, bo mogłyby narobić szkody.

Natomiast gdy trzeba było Wasylowi lub Mateuszowi gdzieś pojechać, to bez żadnego pytania zaprzęgali konia do wozu i jechali gdzie im tylko się chciało. To mnie strasznie było nieprzyjemne, znajdowałem się bowiem w położeniu parobka swych braci, a przecież zupełnie nie jestem od nich zależny. Aby prędzej pokończyć z tą niewygodą postanowiłem koni im nie dać. To też gdy jednego razu Wasyl szedł zabrać konia i przywieść żwiru, poprostu mu nie dałem. Wasyl przysłał Mateusza, również nie chciałem dać Mateuszowi. Tego dnia dali mi spokój, na drugi to samo. Mateusz przyjął groźną postawę i mówi, że dziś naodwrot oni mi nie dadzą koni. Stali obydwu u drzwi stajni; ja mówiłem że bezwzględnie zabiorę konie. Zamknęli mi stajnię na kłódkę, widziałem że Mateusz był gotów rzucić się do bójki. Byłem pewny siebie że zbilbym ich obydwóch na kwaśne jabłko, nawet posunąłem się do Mateusza, aby zręcznie go było odrazu zwalić na ziemię. Chwila naprężenia. Nic. Spojrzałem na twarz Mateusza, przecież ten sam człowiek był wtedy, gdy robił mi tyle dobrego, wydawał sporo pieniędzy ze swych zarobków. Dałem spokój. Powiedziałem im tylko, że o tej sprawie pomówimy wieczorem, a tymczasem zabieram konie i idę do roboty — ustąpili.

Nastąpiło rozwiązanie naszej spółki cementowej, dziś stanowczo zażądałem tego, nie chciałem dłużej zwlekać z obrachunkiem, wogóle teraz staram się wyodrębnić się pod każdym względem, nie chcę mieć nic wspólnego. Co do rachunkowości, to Mateusz okazał się mistrzem, ciekawie umie rachować. Po końcowym rozrachunku wypadało mi spłacić 150 zł., musiałem na to się zgodzić, bo cóż miałem robić? Sądziłem że otrzymam gotówkę, ale gdzietam, Mateusz policzył mi 150 zł. za konia kasztana, koń ten ostatnio dostał paraliż krzyża, więc wartość jego znacznie się obniżyła. Prawda, że Mateusz był założycielem cementowni, ale na mnie polegało kierownictwo, o ile Mateusz obciąża mnie brakami w dachówce, a więc czyni odpowiedzialnym kierownikiem, to dla czego znowu za to kierownictwo nic mi nie chce dopisać. Mateusza nazwałem oszustem, łotrem, i powiedziałem że w żadnym wypadku nie zechcę mieć z nim żadnego interesu. Niebardzo Mateusz odpowiadał pochlebnie, swoją drogą zaznaczył że jestem niekoniecznie sympatycznym — poprostu nawymyślał mi rozmaitości.

Nadchodzą żniwa, mamy nową kłótnię. Zaczynamy się dzie-

lić zasiewem, bracia nie zgadzają się. Mateusz nawet mówi, że mi nic nie dadzą, wogóle Mateusz zrobił się bardzo butny, pewnie uważa, że go przestraszyłem się, jak nie dawali mi koni, prawdę mówiąc złamałbym jego butę dość prędko, na to starczyłoby pięciu minut bym go obił, tylko jakoś wstyd, za dużo mieliśmy wspólnych przeżyć dawniej, i wtedy nie powiem, by był mi niedobry, to wstrzymuje wykonanie inkwizycji na jego osobie, natomiast Mateusz uważa siebie za człowieka, któremu nikt nic nie robi, czuje się obrażonym i mści. Wasyl natomiast, jak coś gada, to zawsze ostrożnie, a nawet teraz mało się odzywa. Dołożyłem się do tego, mówiąc że walczysz ze mną o część zboża, ale nie dla siebie, bo jesteś samotny, a dla Mateusza i jego żony. To dało powód do tego, że Wasyl mniej nalega na mnie, wtedy pobilem Mateusza argumentem, że nic nie robiłeś, a chcesz korzystać z cudzej pracy. To znacznie osłabia energję podziałową Mateusza. Ciekawą kobietą jest bratowa. Niby mówi, że to ją nic nie obchodzi, ale zasadniczo jest winna wszystkiemu, bo ustawicznie podburza matkę przeciw mnie i mej żonie. Jej stałem powiedzeniem jest — życie jak bracia, a liczyć się jak żydzi. Słyszałem pewnego razu jak mówiła do matki: „Ten Paweł taki okropny leniuch, a tak stara się wszystko zagarnąć” — nie dosłyszałem co odpowiedziała matka, ale byłem pewny, że nic nie powiedziała dobrego.

Żyto już żęte. Nażąłem 16 kóp, uważam że tego mi na rok wystarczy. Późno wziąłem się do żniwa. Chodziło o to, że bracia chcieli zagarnąć więcej, ale też zaczęli żąć i obawiali się sprawy sądowej i gdy ustalone było, że wszystkie zasiewy podzielimy na pół, wtedy przystąpiłem do żniwa. Teraz idzie o podział ziemi na 4 części, gdyż dotychczas była podzielona na trzy. Podział ziemi uważam za najłatwiejszy, kto jak kto, a ja nie będę miał o co się kłócić i tak było, nastawałem tylko na to, by nie każdą część znowu drobić na części, mówiłem że ziemia jest i tak w szachownicy, a tu jeszcze jak więcej porozdrabiać, to całkiem źle. Podzieliliśmy w ten sposób.

Wybieraliśmy po 4 kawałki gruntu jednakowego jakościowo i jednakowego obszaru i ciągnęli losy, kilka drobnych kawałków pozostało niepodzielonych — pozostawiliśmy matce, do tego jeszcze przeznacziliśmy matce $\frac{1}{2}$ dziesięciny najlepszej łąki. Na moją część wpadło teraz $\frac{8}{4}$ dziesięciny. Obszar uprawnego gruntu zmniejszył się znacznie, roboty będzie mniej, ale i korzyści będzie mniej. Gdy-

bym tak miał osobne swoje budynki to i całkiem byłoby nieźle, bo to za dużo nas się zebrało w jednym mieszkaniu — stanowczo niewygodnie.

29 sierpnia 1926 roku.

W zeszłym tygodniu miałem znowu awanturę. Teściowa prosiła mnie, abym dopomógł jej przywieźć groch, bo to dzierżawiła kawałek popowszczyzny, a miała jednego konia, oczywiście pojechałem. Przyjeżdżam wieczorem do domu, matka słyszę w kuchni wrzeszczy, a żona płacze. Wchodzę i żona mi mówi, że matka powyrzucała wszystkie jej garnki z pieca i nie chce dać gotować kolacji. Wiadomo, że to mnie wzburzyło, zacząłem grubziano matce, bracia przyłączyli się byli do matki, ale przekonawszy się o niesłuszności matki ustąpili i wyszli z domu. Tego dnia byłem zdania, że matkę koniecznie trzeba ukarać, to stanowczo za dużo, bo poco właściwie zaczepiać moją żonę, skoro ta nie daje do tego żadnego powodu, po kilku tylko dniach dowiedziałem się o co matce chodziło, chciała abym przywiózł drzewa na opał, nawet już kilka razy gderała, że niema czem palić w piecu. Nie zwracałem na to uwagi, uważam bowiem, że skoro jestem zupełnie oddzielony, to każdy może sobie przywieźć, poco miałem pracować dla wszystkich. Matka była innego zdania. Uważała jeszcze tylko mnie za samodzielnego gospodarza i w tych sprawach zwracała się tylko do mnie, a miała spółkę z bratową, którą posądzałem o organizację wszystkich kłótni, więc stanowczo nie chciałem usłuchać matki i robiłem to co uważałem za pilniejsze, a drzewa na złość nie chciałem przywozić. Gdy pojechałem z szwagrami zwozić ich groch, więc nie byłem w domu, matka skorzystała z mej nieobecności i powyrzucała z piecyka wszystkie garnki. Co miałem robić? Bić matkę nie wypada. Sprawę kierować do sądu też nieładnie, postanowiliśmy z żoną dać spokój, zresztą pragnąłem spokoju wszelkimi siłami, czułem, że im dalej, to więcej zapadam na zdrowiu — umierać nie chciałem i z tych to przyczyn byłem zawsze ustępliwszym od swych braci. Bracia natomiast byli moją ustępliwością ośmieleni, napewno uważali siebie za mocniejszych, a mnie za bojącego się ich. Wasył, jak zauważyłem, był wobec mnie ustępliwszy, przynajmniej nie z taką pogardą odzywał się do mnie, natomiast matka to po prostu stała nieznośną.

20 września 1926 r.

Przeprowadziłem zupełną reorganizację w swym inwentarzu. Sprzedałem kasztana za 30 zł., dużo straciłem na jego paraliżu krzyża, na jego miejsce kupiłem drugiego kasztana młodego za 160 zł. I dokupiłem jeszcze jałówkę. Pieniędzy na to uzyskałem ze sprzedaży grochu, z zarobku żony, w sumie 200 zł., resztę zaś pożyczyłem w kasie. Więc teraz byłem w posiadaniu 2 koni, 2 krów, 3 owcy i jednej świni, która zresztą się karmiła. Z Wasylem również obliczyłem się za karego. Odstąpiłem mu 100 pudów siana, a on natomiast spłacił mi 40 za wóz, byliśmy, pomijając budynki, w zupełnym rozrachunku.

Kasa potrosze rozwija się. Otrzymano z Centralnej Kasy drugą pożyczkę w sumie 5000 zł., to znacznie ożywiło kasę. Członkowie wciąż przybywają, naliczamy ich około 70, nawet taki jak Mańkiewicz i ten zapisał się do kasy. Gorzej tylko z tem że ci wszyscy obecni członkowie wstępują tylko wtedy gdy chcą uzyskać pożyczkę i później, jak pożyczkę zwracają, to żądają wypisania się z kasy.

Do kasy zasadniczo przyjmujemy wszystkich kto tylko chce, mamy nawet 2 kolejarzy i już otrzymali pożyczkę. Prawda że regulamin zabrania przyjmowania na członków nie rolników, ale tak zdarzyło się przypadkowo, nasz skarbnik będąc w Bielsku przyrzekł im członkostwo, a nawet pobrał zaliczkę na udział, nie było sposobu odmówić ich przyjęcia — no i przyjęliśmy — nie taki wielki kłopot. W zeszłą niedzielę było posiedzenie Rady Nadzorczej. Przewodniczył tej radzie Mateusz, chociaż nie jest radnym. Znamiennym postanowieniem tej rady było wyznaczenie mnie, jako rachmistrzowi, pensji w wysokości 15 zł. miesięcznie i — dziwna rzecz — na wyznaczenie tej pensji nalegał Mateusz. Czyż miał być mi takim dobrym? Długo mówił Mateusz o tem, że rachmistrz ma za dużo pracy i że w każdym wypadku darmo nikt nie obowiązany pracować. Rada chętnie ustaliła tę pensję, a nawet pytała się czy nie będzie tego mało. Do kasy bardzo przyzwyczailem się, roboty tam nie mam dużo, prawie wszystko załatwia się w święta, ale natomiast zawsze przychodzą ludzie, przynoszą najrozmaitsze nowinki, życie stało się ciekawszem. Czasami te nowinki wychodzą poza wyobraźnię ludzką, ale to tyczyło się polityki międzyświatowej i wojen już wszczętych. Wojny po całym świecie, według członków naszej kasy, wybuchały prawie co tydzień. Już Górny Śląsk był przez Niemców zabrany przynajmniej ze 20 razy, tak samo Pomorze, ależ ściśle nie określano nazw tych prowincji, więc

mówiono że niemcy przeszli poza granicą tyle to i tyle kilometrów. Jeżeli podsumować marsze niemców (według naszych członków) to niemcy by dziś przepływali Wolgę. Obalałem to jak mogłem, ale przez dłuższy czas nie wierzyłem w wypadki majowe, mówiąc, że to co mówią jest zwyczajną bujdą, niekoniecznie mi wierzą teraz, bo to powiadają mówił taki a taki żydek, a u nich żydowskie gazety, więc piszą wszystko. Gazetom u nas wogóle nie wierzono; gospodarze mówią, że do gazet piszą kto chce i co może najlepiej wymyśleć.

3 października 1926 roku.

Mateusz ofiarował mi Poradnik Gospodarstw Wiejskich za 1926 rok, rok jeszcze się nie kończył, ale obiecuje oddać i resztę gdy nadejdzie. Poradnikiem bardzo zaciekałem się. Studjowałem go zawzięcie, ale pewne tylko rady z Poradnika z możliwym pożytkiem nadawałyby się mej gospodarce, reszta niekoniecznie. Przedewszystkiem Poradnik mówi o dobrych krowach, o dobrych chlewach i stajniach, ja natomiast uważam, że podobne rzeczy w naszych warunkach niemożliwe. Mamy grunta nieskomasowane, pastwiska wspólne przeważnie nieużytki, a grunta suche i piaszczyste. Kilka razy przerzucałem Poradniki i nie mogłem znaleźć wiadomości, które można byłoby zastosować w naszych warunkach. Co do rad prawnych i odpowiedzi na pytania, to zaciekałem się tem bardzo, bo to coś niecoś zrobiłem dla siebie. Następnie dużo mi przeszkadza niezrozumienie niektórych wyrazów, wogóle nie przyzwyczaiłem się do książki polskiej, odczuwam w danym wypadku i wiem że jest to ujemną stroną w obecnych warunkach, ale naprawdę nie mam gdzie się nauczyć, gdyby nie byłem tak często poróżniany z Mateuszem, tenby mi często gęsto coś wytłumaczył, a w takich warunkach jak teraz niechętnie zwracam się do niego, bo to bratowa nie omieszka zaraz powiedzieć — tak, na Mateuszu to psy wieszacie, a za najdrobniejszą rzeczą zwracacie się do niego. Zresztą i Mateusz, gdy jest w dobrym humorze, to wyjaśni i nic, natomiast gdy jest w gorszym humorze, to owszem wytłumaczy, ale z miną i tonem mowy swej wyższej intelektualności nade mną. To znowu sprowadza do tego, że czasami nazywam go mecenasem lub podobnie do tego, czego Mateusz bardzo nie lubi. Zachęcony przez Poradnik postanowiłem sobie sprowadzić książki o hodowli truskawek, cebuli i pomidorów, przydałoby się więcej sprowadzić, ale tymczasem wystarczy.

31 października 1926 roku.

Mateusz zakłada w Wólce sklep spożywczy. W tym celu wybudował budynek z pustaków cementowych, a budował go tak, by z czasem łatwo było zamienić na mleczarnię, powiada że w Wólce musi być mleczarnia. Kpi z niego prawie że każdy, bo skąd nabrać mleka, jeżeli niema dobrego pastwiska, a na zimę siana? Każdy wiosną wypędza z chlewa krowę jak drabinę, a zanim na pastwisku się odgryzie, to niezapowiedzianie nadchodzi jesień i znowu to samo. Ja za Mateusza obstajam, opowiadam o Poradniku i radach, niewiele sam się rozumiejąc na tych radach, ale czytałem Poradnik, tam jest nakazany postęp, to dlaczego znowu mam być zacofanym. Więc szedłem za postępem, nie wierząc sam w możliwości egzystencji mleczarni w Wólce. W swoim czasie chciałem sam zakładać sklep spożywczy w Wólce, wówczas Mateusz mi odradził, a teraz sam go zakłada, powiada że coś niecoś na tem zarobi, bo podobno widział jak na jego oczach wzbogacił się w Brańsku niejaki Nowicki, o którym bratowa szczególnie dużo opowiadała. Mojej matce niebardzo się to podoba, gardzi każdym handlem, bo to powiada tylko żydzi tem mogą się zajmować, a gospodarzom handel zupełnie nie uchodzi. Niewiele Mateusz na to zwraca uwagi, nie jest tak potulny jak byłem kiedyś ja, a wszystko robi tak jak mu się podoba. Pomaga mu w tem bratowa, usuwając swoją zręczną polityką napotykaną przeszkody rodzinne. Bratowa marzy o bogactwie, jest skryta i tego nigdy nie wypowiedziała, natomiast Mateusz, zdaje się, niewiele troszczy się o przyszłość, zaprowadził znajomości, chętnie przyjmuje wizyty swych znajomych, jeszcze chętniej raczy ich gorzałką, podobno odpowiadają mu tym samym. W rezultacie wygląda tak — co bratowa zaoszczędzi, to brat straci, mówiąc że tego wymagają jego przyszłe interesy.

25 listopada 1926 roku.

Przyjąłem nowy atak. Tym razem atakuje mnie Mateusz z żoną; chodzi tym razem o kasę. Zauważyłem, że od pewnego czasu za dużo zaczęli mówić o naszej kasie. Czemu to przypisać, sam nie wiedziałem. Pewnego razu było posiedzenie Komisji Rewizyjnej. Przewodniczący tej Komisji był p. Góralczuk, wójt naszej gminy. Długo badali księgi, kasę, jakoś nie tak jak zawsze. Byłem w dobrym humorze, żartowałem z nich, chwalać ich gorliwość, zauważyłem że ksiądz, członek komisji, czas od czasu jakoś podejrzanie na mnie spogląda — nic nie rozumiałem. Postanowiłem po

ukończonej rewizji przejść do swej ciotki, tam informacje stałe, może czegoś tam się dowiem, tymczasem widząc, że mnie nie wierzono, poprosiłem księdza by zawołał Mateusza, ten dobrze się zna na buchalterji i może dopomóc komisji. Mateusz nie chciał przyjść, komisja nic nie znalazła i protokół rewizji zakończyła. Zresztą skład komisji był taki, że gdyby były jakieś opuszczenia, to komisja ta nawet po trzech dniach nie wykryłaby nadużycia, wogóle komisja rewizyjna robi to, co rachmistrz jako najwięcej poinformowany powie. Tegoż wieczora udałem się do ciotki. Okazało się że tam było dawno wiadome, iż popełniłem szachrajstwo, oszukując kilkunastu członków, a powiedziała, że wiadomości te jakoby pochodzą od księdza, służąca słyszała jak ktoś mówił to księdzu. Poszedłem do księdza, ale ksiądz długo wymawiał się i tylko przy butelce rozwiązał się mu język i powiedział, że te wiadomości pochodzą od bratowej. Co miałem robić? Plotek nigdy nie znaleźć początku, ale sądząc z zachowania się członków Komisji Rewizyjnej upewniłem się, że Mateusz chce poprostu wykurzyć mnie z kasy. Powiedziałem Mateuszowi o jego kreciej robocie. Zaprzeczył stanowczo, ale początkowo, później zaś wypowiedział, iż uważa bezsensownem dla kasy moje przesiadywanie tam, wówczas jak obok jest dobry buchalter. Nie miałem o co się kłócić, chcesz kasy — zabieraj, niewiele mi na tem zależało. Na dziś ma być zwołane zgromadzenie członków, na którym zostaną dokonane nowe wybory. Zostawiając kasę nic nie mam do pożalowania, chyba tylko że pensji i to niekoniecznie, co do losów kasy to jestem pewny, że w rękach Mateusza rozwinie się należycie. Matka bardzo się zdziwiła, że odmówiłem się od kasy, nazwała przed żoną mnie leniuchem i powiedziała, że prędko dojdę do zupełnego bezrobocia. Takie same hece wyrabia bratowa z moją żoną. Pewnego razu księdzowa przyniosła do Wiery szycie, po pewnym czasie zabrała robotę i oddała mej bratowej. Bratowa również uważała siebie za krawcową, chociaż do tego niekoniecznie miała zdolności, tak przynajmniej wyraziła się Wiera, ale do roboty się zabrała. Co pięć minut przychodziła do żony prosząc, początkowo skroić, później pokazać jak szyć, później przymierzyć i poprawić, i nareszcie jak wykończyć. Po takim uganianiu się bratowej, suknia była ukończona i źle uszyta. Bratowa wobec księdzowej zwała winę za źle uszytą suknię na moją żonę, żona ze swej strony, nie mogąc sama powiedzieć tego bratowej, prosiła o to mnie. Chętnie tej misji się podjąłem i jak tylko bratowa przyszła z nową robotą, powiedziałem

jej stanowczo żeby do Wiery więcej o pomoc nie przychodziła, a jeśli przychodzi, to żeby później nie zwałała winy na żonę. Bratowa podobno bardzo się obraziła i nic dziwnego, mówiłem to z chęcią obrażenia, to po pierwsze, a po drugie nie chciałem dać powodu do podrywu autorytetu żony jako krawcowej, bo to zawsze żona zarobiła kilka złotych na wydatki.

12 grudnia 1926 roku.

Mateusz z Wasylem zakładają nowe przedsiębiorstwo, mają w Kleszczelach odległych o 7 klm. prowadzić piwiarnię. Już jest wynajęty lokal — naprzeciwko rynku końskiego, a nawet poczynione pewne przygotowania w celu uruchomienia z Nowym rokiem piwiarni. Oglądać lokal, na zaproszenie Mateusza, jeździłem i ja. Lokal marny, w małym domku ze słomianą strzechą i jedynie dobrą jego stroną jest to, że znajduje się w dobrym punkcie. Bracia tam stale nie mają zamiaru przebywać, a tylko jeździć tam w targowe dni w poniedziałki, zresztą w dni nie targowe ruch w owej piwiarni prawie że jest wykluczony. Co do sklepu w Wólce to nawet brat nieźle targuje, niewiadomo tylko jak długo wytrzyma, bo jakoś zauważa się, że go każdorazowa podróż do Bielska drogo kosztuje, niema tego by z Bielska nie przyjechał podchmielony, kto jak kto, a matka rokuje mu przyszłość niekoniecznie. Co to mnie obchodzi? Jak straci zaoszczędzone pieniądze, to nie będzie ich miał i na tem koniec, a później weźmie się do roboty. Mój śp. ojciec zawsze mawiał, że człowiek z biedy nigdy nie zginie, a tylko z rozkoszy. Możliwe że tak będzie z Mateuszem, teraz się zabawi, a później popłacze.

Nasuwa się nowa chmura, tym razem czysto rodzinnego charakteru, niebawem Wiera będzie miała poród. Zauważam jak przebiera to pieluszki to koszulki, zrobiła się b. poważna i zamyślona. Nie darmo ludzie nazywają taki stan stanem poważnym. Staram się jej nie dokuczać, a nawet zabraniam wykonywania cięższych robót. Sam teraz prawie że nic, pomijając dogład inwentarza, nie robię. Wieczorem gramy u Mateusza w sklepie w karty na cukierki. Gra dość wesoła, bo kto wygra to ma cukierki, no i zajada bez żadnych skrupułów. Nawet ciekawie zobaczyć jak taki starszy chłop polyka raczki, aż mu broda się trzęsie. Nie bez tego by ktoś nie szachrował, złapanego wyrzucają również bez żadnych skrupułów i tak przesiaduje się czasami do godziny 12-ej, wogóle jak nastał do Wólki Mateusz to ludzie zaczęli żyć jakoś inaczej, wła-

ściwie nie żyć inaczej, tylko czas od czasu zauważa się, że gospodarze owi ni z tego ni z owego przyjdą do brata na piwo, no i wślad za piwem zrobią butelkę czystej i przesiedzą tak do wieczora, a wieczorem zbiera się znowu towarzystwo, grają do północy w karty i tak bez końca.

Coś niewyraźnego stało się u mnie. Sprzedałem kasztana i uzyskane pieniądze włożyłem do szufladki. Pewnego razu zajrzałem tam, przeliczyłem, i okazało się brak 18 zł., kogo tu posadzać o kradzież niewiadomo. U nas w domu tego nigdy nie było i nie wierzę poprostu, by to stać się mogło. Pieniądze nieduże, tylko mi będzie brakować do spłacenia pożyczki w kasie, to jedna strona, a po drugie łamię sobie głowę jak mogło mi to zginąć. Wiera mówi że nic nie wie, ale jakoś stara się nie patrzeć na mnie, może temu co i Wiera winna, a może poprostu wydatkowała te pieniądze i nie chce się przyznać na jaki cel.

2 luty 1928 roku.

Przez dłuższy czas nie notowałem nic do swego pamiętnika, składało się na to niemało przyczyn. Poprostu zeszłą zimę spędziłem za kartami, przez lato gospodarzyłem, a że żona spowiliła dziecko, niedużo mi teraz pomaga, więc roboty wystarcza mi w zupełności. Tego roku zbioru miałem niedużo, 13 kóp żyta, trochę owsa, gryki i 6 fur łubinu. Pozostałem się przy jednym koniu i jednej krowie. Pieniądzy nie mam nic a nic. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży kasztana spłaciłem część pożyczki w kasie, a za resztę wyprawilem chrzciny córeczki. Z tych pieniędzy żona za namową swej matki wykupiła sobie suknię. Dowiedziałem się o tem tylko wtedy, gdy żona zaczęła wspomnianą suknię szyć. Na pytanie, gdzie wzięła na to pieniądze, nic nie mówiła i nareszcie, gdy zażądałem stanowczo wytłomaczenia się, opowiedziała, że matka ją namówiła do tego, namawiając by pieniądze wzięła pokryjomu. Pokłóciłem się z żoną i to dość zawzięcie. Nie chodziło mnie o te pieniądze, tylko bolało mnie to, że mój najbliższy przyjaciel, za jakiego uważałem żonę, ukrywa się przedemną i ledwie nie pokłóciła mnie znowu z rodziną. Dobrze że choć ja nie pytałem się nikogo o te pieniądze w domu, a to napewno byliby wszyscy obrażeni, a to nieprzyjemność. Natomiast teściowej nagadałem głupstw. Przypomniałem słowa swych krewnych, co mi mówili przed weselem. Byłem wściekły. Teściowa ze swej strony nagadała mi niemało głupstw, a że była mi winna 45 zł., więc zażądałem zwrotu tych pieniędzy. Nie tak

łatwo odebrać jak pożyczyć, teściowa powiedziała, że pieniędzy wcale mi nie zwróci, a jeśli zwróci to wtedy, kiedy zechce. Powiedziała, że jej córka zarabia na mnie i że ja taki łajdak, nie powinienem nawet się upominać o zwrot tych pieniędzy. O mało nie doszło do bójki w mieszkaniu teściowej, a najwięcej był zawzięty szwagier Bazyli, reszta jak Janek, Fiedia i Michał pozostali neutralni. Co miałem robić? Postanowiłem, że nie puszczę ich do siebie nawet na próg. Teściowa teraz ustanawia swoją opinię pomiędzy sąsiadami. Obecnie jestem najgorszym łajdakiem, jak ona wówczas głosiła, i oczywiście pletła o mnie najgorsze rzeczy. Przed chrzciniami mej córki Maksym wyprawił chrzciny, a że wódki było dość, zechcieli ludziska se potańczyć. Na ten czas młodzież urządzała zabawę, postanowiono pójść i zabrać im na chwilę muzykanta. Kawalerowie nasi nie sprzeciwili się temu, natomiast żonaci byli nieustępliwi, wywiązała się bójka i to dość uparta. Teściowa moja, zwabiona hałasem, nadleciała i bez żadnej podstawy zaczęła wrzeszczeć na ulicy, że ja zbijam swych szwagrów. Trzeba prawdę powiedzieć, że wówczas broniłem Janka, którego nasz Eljasz trzepał po twarzy, wydarłem Janka mu wprost z rąk i nie pozwalałem nikomu go zaczepiać. Ale że teściowa na ulicy wciąż wrzeszczała, chciałem ją koniecznie obić. Domyśliła się i uciekła.

Tej jesieni prowadziłem w swej parafji powszechny spis ludności, a to w związku z mającemi się odbyć wyborami do sejmu i senatu. Gdy spisywałem w Pawliszowie, poczułem się niedobrze; ledwie dowlokłem się do domu. Chwyciła grypa. Długo chorowałem, a że jestem bardzo nerwowego usposobienia, bardzo trudno żonie było mnie obsługiwać. W pewnej chwili poczułem, że jest mi niedobrze, prawda gorączka ustała, ale czułem że gwałtownie nogi zaczynają mi stygnąć, widocznie wyraz twarzy był umierającego, skoro żona, matka i Wasyl zaczęli płakać. Nie zwracałem na to uwagi, zażądałem by mi podali dziecko, a nogi drętwieją dalej i dalej, ale nagle pomyślałem, że muszę żyć, że nie mogę tak pozostawić żony i dziecka, myślałem tylko jakby mi poruszyć nogami — nie mogę, ale postanowienie o konieczności życia wywołał płacz dziecka, poraz drugi myśl zaczęła uparcie świdrować około życia — stygnięcie nóg ustało, a po chwili nogi zaczęły odchodzić i po pół godziny żadnego stygnięcia nie odczuwałem. Nie wiem, czy to mogło być naprawdę podstawą do twierdzenia o tem, że odczuwałem swą śmierć, że już nadchodziła, czy też to było mojem złudzeniem, ale nadal pozostałem przy mniemaniu, że wówczas obroniłem się przed

śmiercią zawdzięczając swej woli i energicznej żądzy życia. Na drugi dzień było mi lepiej, kazałem zawołać teściową, obawiałem się drugiego ataku i postanowiłem z nią się pojednać, przynajmniej chciałem pojednać swą żonę, gdyż ta również nie była u matki i nawet nie chciała tam iść. Przybyła niezwłocznie teściowa, żona z nią porozmawiała i niezdługo teściowa odeszła, byliśmy pojednani.

Przez ten czas w kasie zaszły pewne zmiany, skarbnikiem jest wujek i dość często utyskuje na to, że nie wie ile pieniędzy powinno być w kasie. Ja z tego żartuję, ale wujek mówi, że on wie tylko ile ma w skarbcu, a ile powinno być — to tego nie wie. Niejednokrotnie prosił mnie, abym pomógł mu obrachować, powiedziałem mu, że jak odda mi klucze od kasy Mateusz, albo poprosi mnie o to, chętnie pójde podliczę.

Pewnego razu poszliśmy z wujkiem do kasy i przestraszyłem się tego, co się tam działo. Od trzech miesięcy nie było podrachowania w dzienniku głównym. Powstawało pytanie, w jaki sposób Mateusz sporządzał bilanse miesięczne i czy wogóle sporządzał! Bardzo dużo było księgowości prowizorycznych, spłacane pożyczki były zanotowane w książce kasowej i wcale ich nie było w dzienniku i naodwrot. Powiedziałem wujkowi, że od razu tu nie robi, a trzeba będzie usunąć Mateusza z kasy i wtedy można będzie do czegoś dociec, a zresztą powiedziałem, może Mateusz dobrowolnie ustąpi ze stanowiska rachmistrza, a wtedy można coś będzie zrobić. Wujek zaproponował Mateuszowi ustąpienie, ten chętnie się zgodził, tylko ja nie zechciał wierzyć na słowa, powiedział, że o ile zarząd podpisze odpowiednią umowę, wyznaczając mi całkowitą pensję jaką pobierał Mateusz, a pobierał 40 zł. miesięcznie, wtedy ja chętnie podejmę się pracy. Tak się też stało. Mateusz, mówił, że bardzo jest zajęty pracą w swych interesach i zupełnie nie ma czasu na prowadzenie rachunkowości. Obliczyłem prowizorycznie posiadaną gotówkę w kasie, okazało się, że tej gotówki brakuje u skarbnika na 1400 zł. Wujek się schwycił za głowę. Pocieszyłem go, że obliczenie robiłem prowizorycznie, jak będę robił sprawozdanie roczne, to wtedy najlepiej się wyjaśni.

Wasył zamierzał teraz się żenić, z Mateuszem jakoś spółki przedsiębiorcze zlikwidował, podobno nie było żadnego sensu. Tak zlikwidował piwiarnię w Kleszczelach, spłacając przedtem Mateusza, a następnie wystąpił ze spółki cementowej. Na moje pytania dlaczego to robi — powiedział, że z Mateuszem trudno coś prowadzić,

jest sam bardzo niedbały, a jego żona zbyt zachłanna. Więcej go o nic nie pytałem. Było widoczne, że Mateuszowi przeszkadzały w pracy jego częste libacje z przyjaciółmi, tak w kasie, w sklepie, w cementowni wyraźnie była widoczna niedbałość, i trudno było mówić o dbałości, skoro prawie codziennie ktoś do niego przybywał i raczyli się wódką. Nie zważając na poprzednie jego kłótnie, serdecznie go żałowałem, przypominałem, że tyle wspólnie przeżyliśmy w Rosji, był dla mnie zawsze dobry, nie mówiąc o bratowej. Teraz nie powiem, by mu było źle, tylko było widocznem, że jeszcze będzie źle, biedny on złamał na Wólce zęby. Przyjeżdżając do Wólki mówił nam, że będzie naszą głową, a my jego rękami, takiemu postanowieniu sprzeciwiłem się odrazu, jak wiadomo — wydzieliłem się z gospodarką. Nieraz sobie zadawałem pytania, co dało powód do porzucenia przez Mateusza posady, przecież miał bardzo dobrą według mnie posadę. Wiadomo było mi, że miał być awansowany na komisarza akcyzników i nagle zwolnił się ze służby i przyjechał do Wólki. Początkowo sądziłem, że go poprostu za jakieś uchybienia służbowe usunięto z zajmowanego stanowiska, kiedy później sam widziałem dekret zwolnienia, w którym wyraźnie było powiedziane, że dymisjonowany na własne żądanie. Przypuszczenia moje drugie pewno będą słuszniejsze. Mateusz prenumerował *Poradnik Gospodarstw Wiejskich*, w poradnikach tych dużo mówi się o wielkich zyskach w gospodarstwach rolnych, a że Mateusz był sam kiedyś rolnikiem, więc poprostu został zaabsorbowany marzeniami o łatwym zbożeniu się i przyjechał do Wólki. Tu okazało się, że trzeba bardzo energicznie pracować, by osiągnąć jakie takie zyski, a dlatego, żeby chociaż trochę zbić gotówki, to trzeba być nieskończenie oszczędnym, tej oszczędności właśnie brakło Mateuszowi.

20 lutego 1928 roku.

W tym roku i wogóle po raz pierwszy zaciekawiłem się polityką. Początek ku temu dała nominacja mnie przez starostę na zastępcę przewodniczącego Komisji Wyborczej do Sejmu i Senatu. Przewodniczącym jest niejaki Kosiński, dziedzic Gregorowiec, w lokalu wyborczym są wyłożone spisy, więc musimy dyżurować, aby każdy z wyborców mógł sprawdzić czy jest wciągnięty na listę głosujących. Kosiński jest nadzwyczaj punktualny; gniewa się gdy zapóźnię się nawet na 10 minut, prawda, sam przybywa punktualnie by mnie zmienić i w takich wypadkach zawsze jest uśmiechnięty

i nie zapomina przypomnieć mnie o mej niepunktualności. Towarzyszy nam zwykle dwóch członków Komisji Wyborczej i chyba najciekawszym członkiem jest niejaka p. M., nauczycielka z Gregorowiec. Jest starą panną, czemu zupełnie się nie dziwię, bo zarazem jest nadzwyczaj gadatliwą kobietą. W ciągu jednej minuty dawała więcej słów, jak karabin maszynowy strzałów. Ponadto złośliwi mówią, że nie wyszła za mąż dlatego, że była zakochana więcej w psach jak w ludziach, nie dziwnego, była starą panną, a pies i stara panna, według mniemania chłopskiego, to nierozłączna całość. Lubiałem słuchać pani M. Mówiła dużo o swej pracy w P. P. S. a szczególnie kładła nacisk na swą pracę w kontr-wywiadzie P. P. S. Mówiła, że zna wszystkich wybitnych działaczy doby obecnej, nawet jakby szczyciła się swemi znajomościami z dygnitarzami z obozu B. B. Słuchając jej wierzyłem i nie wierzyłem, myślałem — kto tam ją wie, może i ma znajomości. Była jednak wyraźną zwolenniczką P. P. S., mówiła że nie może teraz odstąpić od dawnych swych ideałów, a nawet, zniżając głos, przyrzekła umrzeć pepesówką. Natenczas w naszej gminie był i jest drugi taki jegomość, K., sekretarz gminy. Ten szedł dalej — nie lubiał, gdy go nazywano panem sekretarzem, wołał by wołano do niego Panie K. Pod tym względem posuwałem się dalej i nazywałem go poprostu — Panem Włodzimierzem. O K. krążyły wersje innego charakteru, według chłopów tak przedstawia się jego życiorys. Urodzony w znanej i zamożnej rodzinie w Warszawie, mając wyższe studia brał energiczny udział w rozbrojeniu Niemców, jako oficer pracował w II oddziale sztabu generalnego, służąc jednocześnie w G. P. U. w Mińsku, dostarczając stąd wiadomości bieżących dla swego sztabu, za jakieś przewinienia miał pięć interpelacji w sejmie i nareszcie jako ukaranie dostał posadę sekretarza gminy. Był żonaty, miał dzieci, ale nie chrcił, oczekiwał przyjazdu Marszałka Piłsudskiego, jako spodziewanego ojca chrzestnego swych dzieci. Prawda że K., w porównaniu z panią M., wywyższał się lepszą znajomością rzeczy, tak przynajmniej ja rozumowałem, w towarzystwie był nieocenionym dżentelmenem i, prawdę mówiąc, miał cechy dobrego wychowania. Widziałem go kilkanaście razy u Mateusza, był zawsze i ze wszystkimi grzeczny, umiał uszanować każdego, zjednał do siebie ludzi. Natomiast jego żona, była prawda także sympatyczną kobietą, ale nie podobą się tylko za to, że będąc na weselu i chrzcinach chłopskich nie jadła tłuszczy, a wygrzebywała go widelcem z kiełbasy i innych dań. Gminiaki ustalili jej

opinię powiedziawszy, że panią nie jest, a tylko udaje, a takich ludzi chłopcy nie chcą szanować. K. lubiał wypić, a pić mógł dużo i nigdy nie był pijany, to jeszcze więcej go wywyższyło w oczach chłopów. Wszyscy odzywali się o nim jako o chłopie z mocną głową — o, powiadają, ten ma głowę i to prawda, że może być generałem — tylko niechce. Nie powiem żeby K. mnie imponował, był jednakże grzeczny i chętnie przebywałem w jego towarzystwie. Do krążących wersji o przybyciu Marszałka Polski na chrzest dzieci K., o którym on nigdy nie wspominał, odnosiłem się z nieufnością, ale obiecałem sobie, jak tylko przybędzie Marszałek, zawitać do Dubiażyna. K. był gorącym zwolennikiem obozu rządowego. Przy każdej sposobności mówił o Piłsudskim i Legjonach, a mówił dużo i dobrze, rezultatów ze swych przemówień większych nie osiągał, pani M. miała więcej zwolenników. Miała za sobą wieś Gredele i Gregorowce. Ciekawy byłem, jakich poglądów będzie Kosiński. Nie potrafiłem wybadać jakiego jest zdania, jednakże zapowiedział głosowanie za jedyneką.

16 marca 1928 roku.

Jest już po wyborach i o nich prawie już zapomniano. Nie powiem by wybory przeszły bez zaciekawienia, owszem, nawet ludzie ze względu na różnicę zdań pogniwiali się między sobą. Tak na przykład, gdy zaproponowałem w domu teściowej by głosowali za jedyneką, to nawet aż się obrazili, nawet wymyślając mi za przyłączenie się do „panów”. Nic nie mogłem powiedzieć, gdyż wiedziałem, że byli przez kogoś dobrze naszpikowani. Ciekawa była lista nr. 20 rosjan. Jeden chłop z Gregorowiec nosił te numerki i rozdawał każdemu, zdawało się, że pomiędzy ludnością prawosławną osiągnięcie sukces niebывały, tymczasem podczas obliczenia nie okazało się ani jednego głosu. Wówczas zwróciłem się do niego z zapytaniem (był jeszcze w lokalu), dlaczego przynajmniej sam nie głosował na tę listę, powiada: „a nikt nie zechciał głosować na tę listę, to ja mam się narażać na śmiech”. Długo się śmiali nad protektorem 20. Pani M. była w siódmym niebie, zdobyła dla swej listy najwięcej głosów, drugie miejsce zajęła jedyńska, kilkanaście głosów było za nieistniejącą listą komunistyczną. Pani M. była wystawiona na listę posłów do sejmu, zajmowała szóste miejsce, z tego potrosze podkpiwałem, ale jakoś nie gniewała się, a naodwrot, szczyciła się swą kandydaturą na posła.

W zeszłym tygodniu odbył się ślub Wasyla, wyprawiono we-

sele, jeszcze teraz od muzyki brzmi w uszach. Poślubił niejaką Kaczykównę, również biedną dziewczynę. Bratu było łatwiej się ożenić jak mnie — nikt mu nie przeszkadzał. Prawda że przed weselem Wasyl pytał mnie, jakiego jestem zdania o jego narzeczonej, odpowiedziałem wymijająco, a samemu przyszło na myśl, jak brat przed trzema laty narzekał na moją narzeczoną za źle uszyte spodnie i uważał to za przeszkodę do poślubienia. Na weselu byłem zajęty stroną gospodarczą i, prawdę powiedziawszy, niechętnie to czynilem, ale musiałem to robić ze względu na słabe zdrowie matki. Jest już po weselu i brat jest całkowicie zajęty swoją żoną, mało interesując się otaczającym.

W tym roku mam pierwsze niepowodzenie. Zachorowało mi trzy wieprze, mające już po 14 miesięcy. Wieprze ładnie wyrosły i wszystko zapowiadało się na to, że łatwo się utuczą. Ale wybuchł pomór świń, właśnie zachorowały moje. Nie wiem jak mam postąpić teraz. Matka radzi bym znowu dokupywał świń, żona natomiast, w obawie przed pomorem, odradza i pewnie pójdę za radą żony, niech już przynajmniej te co są powyždychają, wtedy będzie lepiej widać co mam robić.

Co do moich stosunków rodzinnych, to jestem w porządku, pozostajemy w stosunkach nieagresywnych, natomiast daje się zauważyć, że pomiędzy braćmi Wasylem i Mateuszem coś zaczyna się psuć, powierzchownie jest niby to dobrze, a nawet bratowe pomiędzy sobą nieraz obgadują moją żonę, ale czas od czasu Wasyl mi się zwierza, że jest to z tego to z innego powodu niezadowolony postępowaniem Mateusza, nic mu na to nieodpowiadam, bo cóż miałem mówić? Podlewać oleju do ognia mnie nie było sensu, bo mi z tego nic korzyści, jakby bracia klócili się pomiędzy sobą — postanowiłem być neutralnym.

14 kwietnia 1928 roku.

Sprawozdanie kasowe już ukończone. Nie zważając na to, że dużo pozycji wogóle nie było wpisanych jakoś doszedłem końca i teraz tylko wyjaśniło się, wiele brakuje pieniędzy w kasie. Wuj mówi, że nie powinno tyle brakować, i powiada że nie będzie wogóle pokrywać tych braków. Odpowiedziałem mu krótko: jeżeli zapłaci pieniądze i usunie się ze stanowiska skarbnika, będzie spokój, jeżeli nie to grozi mu więzienie, a pieniądze ściagną w drodze przymusowej. Skarbnik zwał winę na Mateusza, Mateusz nic nie mówił, zresztą nie chciałem dociekać czyja była wina, dażyłem tylko do

tego, by wywalić z kasy cały zarząd. Najenergiczniej przeciwsta-
wił się temu prezes zarządu Maksym. Udowodniłem mu, że zrobił
na kasowych pieniądzach spekulację, a mianowicie: pożyczał pie-
niądze w kasie i oddawał na większy procent osobom prywatnym.
Zamilczał i narówni z pozostałymi zgłosił swą dymisję.

Naogół kasa, pomijając upuszczenia rachunkowe, za ubiegły
rok nieźle się rozwinęła, a to zawdzięczając Mateuszowi, który w po-
rozumieniu z „Rolnikiem” wydawał pożyczki na maszyny i narzę-
dzia rolnicze. To dało możliwość zwiększenia ilości członków do 140
i uzyskiwało się procenty od sum płaconych za maszyny. Naogół
kasa rozwijała się, były zaniedbane stosunki z Centralną Kasą i na-
wet jeden weksel zaprotestowany, to wszystko łatwo było naprawić,
gorzej było tylko z tem, że członków przesiąkła pewna nieufność
do kasy, a następstwem tego pewna dezorganizacja, nad tem gło-
wilem się nie mało, jakby to wrócić zaufanie do kasy. Postanowiłem
po wyborach poradzić się w tej sprawie Związku Rewizyjnego.

Pole w tym roku zasiałem tak, byle prędej. Nie włożyłem
w to tyle starań jak lat poprzednich, na przeszkodzie stała kasa
a po drugie znacznie pogorszył się stan mego zdrowia. Poprzednich
lat prawie nigdy nie czułem zmęczenia, a w tym roku, trudno mi
przez cały dzień wytrzymać. Tego roku sprowadziłem sobie nowy
owies „finding”, dałem mu dobre stanowisko — po okopowych, do-
dałem według recepty Poradnika nawozów sztucznych i czekam co
będzie. Także w tym roku posadziłem buraków pastewnych — już
nawet wschodzą. Sąsiedzi za boki się ze śmiechu łapią, ale mnie
pomaga Mateusz, również sadząc buraki, przyjmując na siebie 50%
drwip. Mateusz sprowadził z Warszawy do swego sklepu nasiona,
naśladując go, posadziliśmy sobie trochę pomidorów i cebuli żyta-
wskiej, tymczasem cebulę na rozsadniku, a pomidory w mieszkaniu.
Bardzo jesteśmy z żoną zaciekawieni wyników naszego zakładu
rolnego i ogrodowego. Prawda, to drogo nas kosztuje, bo wysiałem
worek azotniaku, 2 worki soli potasowej i 2 worki superfosfatu,
gorsze, że wszystko to wziąłem na kredyt, ale spodziewam się pra-
cować w kasie i dług ten wypłacić, bo płacą mi teraz w kasie 40 zł.
miesięcznie, a to nie byle co. Świń jeszcze nie kupiłem, jeszcze
nie wygasła zaraza i z tego to względu nie chcę się narażać na stratę
kilkudziesięciu złotych. Mateusz również się zabrał do roli, nawet
chodził osobiście orać i gdy przechodził z końmi obok księdza, to
ten owacyjnie mu wyniósł gazetę, co narobiło nie mało śmiechu, ale
niedługo orał, później oddał swój grunt Eljaszowi w dzierżawę.

Stosunki Wasyla i Mateusza znacznie się pogorszyły. Bratowa starsza już się skarżyła mej żonie na niepowściągliwość Wasylowej żony, a nawet dość brzydko ją nazywała; zasadniczo może Hańdzia (tak nazywała się żona Wasyla) coś niecoś i naprzykrzyła się Mateuszowej, bo to wiadomo kobieta jeszcze młoda i nie obtarta — zresztą mieszkają w jednym pokoju, gotują w jednym piecu, o takie wypadki nie trudno.

Co do mnie, to zamieszkujemy z drugiej strony domu, jesteśmy tylko pod jednym dachem, a resztę mamy wszystko oddzielne, chyba że można nazwać spólnem wyjście, a i to wyjście jest frontowe i ja bardzo mało komu przeszkadzam, chodząc przez tę sień. Takie odosobnienie mnie dużo pomaga, bo jak kto mi się naprzykrzy, to nie pójdzie się naprzykrzać do mego pokoju i znowu naodwrot, natomiast Mateuszowi pod tym względem jest gorzej, sam Mateusz prawie że nie wtrąca się do tych rzeczy, ale żona jest poprostu zmuszona, to pokój ktoś zabrudzi, a tu nadchodzą goście, to znowu ktoś zajrzy do garnków, a to znowu powód do kłótni i tak bez końca.

2 maja 1928 roku.

Wczoraj w dniu 1 maja była rewolucja w naszej Wólce, była nawet walka, brakło tylko barykad. A było tak: jesteśmy, jak nas określił sekretarz gminy, „kolonistami w szachownicy”. Kolonią nazywają dlatego, że mieszkamy w rozparcelowanym majątku Wólce, nabyli go w 1899 roku nasi ojcowie za sumę 52 tysięcy rubli, gotówką zresztą było wpłacone 22 tysiące, resztę odliczono na bank. Obok nas jest wieś Wólka, której mieszkańcy i do dziś dnia są pewni, że gdyby nie nasi ojcowie, to ten majątek dziedzic pozostawiłby im darmo i z tego powodu dawniejsi gospodarze wsi Wólki wszelkimi sposobami starali się wyrządzać naszym ojcom jak najwięcej szkody, to samo dziś robią ich następcy. Koloniści postanowili dążyć wszelkimi sposobami do tego, by raz na zawsze skończyć z tym anormalnym stanem, więc umówili się na wczorajszy dzień pójść i wypędzić wólczaków ze swego pastwiska. Wólczaki oczywiście byli uprzedzeni o tem i na pastwisko przybyli w pokażnej liczbie. Natychmiast doszło do ostrej bójki. Poszkodowany został z naszej strony Maksym i Kozłowski Jan, z ich strony ranny w głowę został Antoni Olesiuk. Bójka niewątpliwie doszłaby do groźnych rozmiarów, ale przyleciał Mateusz i zaczął spisywać nazwiska obecnych, a na chłopą ołówkę lepiej działa od kija, wólczaki zaczęły szemrać i uciekać, a koloniści skorzystali z tego i ich pę-

dzili, pozostali tylko ci, którzy trzymali się kolonistów, tak by się zdawało, a w rzeczywistości pozostali byli tylko szpiclami, chcieli się dowiedzieć co my zamierzamy robić dalej. Tamże postanowiono sprawę oddać do sądu.

Wracając spowrotem patrzałem na swój owies — byłem bardzo zachwycony, najlepiej się zieleni mój owies, nawet nietylko ja, a wszyscy zwracali uwagę na ten owies. Tegoż dnia niektórzy się zgodzili, że proszki dobrze pomagają, ale nie brakło pesymistów, którzy twierdzili, że z tego owsa nie będzie żadnego pożytku, bo za bujnie rośnie.

17 czerwca 1928 roku.

W zeszłym tygodniu był lustrator p. Gidyński. Przeprowadził szczegółową lustrację i podobnie wobec Rady Nadzorczej stwierdził znaczną poprawę w kasie. Jedyne co mi zarzucał, że znalazł kilka weksli nie pożyrowanych Mateusza, odpowiedziałem mu, że te weksle są odnotowane w poprzednim protokole lustracyjnym i wyraziłem niepewność czy to się da poprawić. Zapytałem go, czy teraz może być nadzieja uzyskania w Centralnej Kasie pożyczki. Powiedział że podanie nasze zaopiniuje dobrze i kazał składać podanie. Zjawił się Mańkiewicz, domyśliłem się że przyszedł nagadać lustratorowi głupstw na mnie, bo w zeszłym tygodniu obilem go przylapując na gorącym uczynku, kradł u mnie brzozy, teraz się mści. Ciotka już naplotła niebываłych rzeczy, a wujek to się zgłosił wprost do lustratora, widocznie coś sobie kombinują. Naumyślnie opuściłem kasę, pozostawiając lustratora z Mańkiewiczem, i za pół godziny wróciłem, już Mańkiewicza nie było, lustrator ze zdziwieniem pytał, kto to przed chwilą był w kasie, odpowiedziałem mu, że to był mój wujek. — To czegoż u licha on tak cięty na pana? Powiadam, że przed tygodniem go dotkliwie pobitem za kradzież drzewa. Długo lustrator się śmiał z tej przygody, jednakowoż nie chciał powiedzieć, co mu opowiadał Mańkiewicz.

W Wólce znowu nowina. Mateusz zakłada mleczarnię. Proponuję mu by zakładał mleczarnię spółdzielczą, jakoś niekoniecznie się zgadza, chce mieć prywatną. W tym celu zlikwidował sklep spożywczy, a w tym budynku urządza cementową podłogę i mówi, że to będzie ostatnia próba, ostatnie przedsiębiorstwo w Wólce. Sklepek spożywczy po Mateuszu objął niejaki Wojtkowski — zredukowany nauczyciel, jak my go nazywamy „śmiejący się człowiek”, bo jest zawsze jakoś głupio uśmiechnięty.

Oprócz tego bardzo ciekawą nowinką była bójka Mateusza i Wasyla, wszczęta w mieszkaniu. O tej bójce zawiadomił mnie, wracającego z Bielska, ksiądz, pośpieszyłem czempredzej na hałas. Wleciałem i zobaczyłem jak Wasyl i Mateusz zawzięcie się wodzili za czuby, a wszyscy domownicy ich rozciągali; pierwszą myślą moją było oblać ich zimną wodą, ale wiadro okazało się pustem, mocno żałowałem, wiedziałem bowiem z praktyki policyjnej, że wykapany w ubraniu osobnik traci wszelką zdolność bojową. Dobrze że nic nie zrobiłem, bo za godzinę bratowa wszystkim opowiadała, jak ja, nie mając nic pod ręką, uchwyciłem wiadro by wspólnie z Wasylem zbić Mateusza, jakby mi na tem coś zależało, wogóle ostatnio zasięg języczka bratowej był dość pokaźny, a językiem władać umiała dobrze.

1 lipca 1928 roku.

Mleczarnia Mateusza już rozpoczęła pracę. Mleka dowożą około 300 lt. dziennie, jest mleczarz specjalista i interes zapowiada się świetnie; narzędzia mleczarskie wziął na kredyt w Warszawie i nie wiem jak to mnie podburzył pożyrować weksle. Trochę strach, bo naprawdę jak nie spłaci tych 2200 zł. to ja będę miał źle. W spółce z Mateuszem jest agronom powiatowy, niejaki Wójcikiewicz. Proponowałem bratu organizować mleczarnię spółdzielczą — miałby mniejsze ryzyko, ale brat odmawia, obiecuje później dla mleczarni spółdzielczej wydzierżawić całe urządzenie. Trochę nietaktownie postępuje bratowa, gdy np. potrzebuje mleka czy śmietany, to idzie i przy ludziach bierze i niesie do domu. Już potroszę słysząc pogłoski o nieuczciwości bratowej i t. d. Zwróciłem na to uwagę Mateusza, uznał słuszność i zrobił wynówkę żonie. Matka ciągle wzywa do Pana Boga, prosząc u niego łaski dla Mateusza, mówi że jeżeli ten interes Mateuszowi nie pójdzie, to już nie będzie miał żadnego wyjścia.

Co do mnie to zacząłem budowę własnego domu. Dopomaga mi w tem Wasyl, a nawet jest projektodawcą takiego domu. Drzewo na dom zdobyłem, rozbierając sobie swoją stodołę zbudowaną z bali, z zamiarem zamiany wyjętych bali na deski. Na budowę domu zaciągnąłem pożyczkę w Komunalnej Kasie w wysokości 300 zł. Pomaga mi w tem narówni z bratem szwagier, odrabiając za pożyczone kiedyś 40 zł. Robota postępuje dość szybko, tak że zrąb jest już na ukończeniu, nie wiem czy się da ukończyć zrąb do żniw, bo jeszcze trzeba dokupić budulca. Miejsce pod dom wybrałem zdala

od zabudowań kolonistów, mając na uwadze: bliskie pastwiska, za-
rośla, olszyny, jako wygodne miejsce dla kaczek. Żona jest bardzo
zadowolona z mych zamiarów i marzy o wygodnym własnym domu.

Kasą teraz mało się ciekawię, spełniam obowiązki rachmistrza
sumiennie i tylko, zresztą porą letnią trudno myśleć o czym innym,
wystarcza zazwyczaj roboty w gospodarstwie, a tu jeszcze jakoś
w tym roku jestem zawsze niezdrow, zawsze mi coś dolega. Żona
i tak stara się o lepsze odżywianie, a ja nalegam by starała się pod
tym względem dorównać odżywianiu się, jakie miałem w Rosji.
Wprowadziliśmy dużo teraz dań z jarzyn, dawniej zupełnie nie sto-
sowanych, tak np. mamy już wczesną kapustę, marchew, sałatę,
mleka ani jaj nie sprzedajemy, bo to zasadniczo i niema czego. Żo-
na trzyma tylko 14 kur, więc o ileby zacząć jaja sprzedawać, to
w samej rzeczy nie byłoby co jeść. Mateusz namawia żebym mleko
od swej krowy odwoził do mleczarni. Nie chcę tego. Choć mleka
mamy około 10 litrów dziennie, to wolimy to, co nie zjadamy w sta-
nie surowym, zjeść w stanie przerobionym. Póki pracuję w kasie,
to pieniędzy nam na wydatki bieżące wystarcza. Narazie nam nic
nie brakuje za wyjątkiem osobnych i lepszych budynków inwentar-
skich.

19 sierpnia 1928 roku.

Otrzymałem zaproszenie, ewentualnie bilet na dożynki do Pa-
na Prezydenta — do Spały. Chciałem tam koniecznie pojechać wczoraj,
dziś trochę zaczynam się rozmyślać. Pojechać nietrudno, to się
straci kilka złotych, a wygram co, że zobaczę dużo ciekawych rze-
czy, nu i będę miał o czym opowiadać. Kiedy właśnie tak niepomyśl-
nie się składa, mam w domu jeszcze dużo roboty, a i do kasy przed
25 nadejdą pieniądze, trzeba je rozdać ludziom, nie, nie wypada,
pozostanę w domu. Żyta w tym roku sam nazałem tylko 16 kóp,
natomiast owsa 15 kóp, ale jaki owies! Wólka takiego nigdy nie
widziała, z tego to powodu mam wielkie zadowolenie i chciałem zo-
baczyć dożynki w Spale. Znawcy określają, że będę miał owsa oko-
ło 20 metrów, a to da mi około 600 zł. jeśli sprzedam tylko po 30 zł.
metr, a może więcej, jeżeli ceny się podniosą. Przy pomocy tego
owsa spłaci się długi no i będę jeszcze miał na wykończenie domu,
jeśli będę go wykańczał. Z domem sprawa utkwiała na martwym
punkcie. Początkowo gdy tylko zaczęliśmy ten dom budować, Wa-
syl solennie zapewniał mnie, że pomoże mi odbudować za to, że

zrzeknę się pretensji do starego domu. Rzecz zrozumiała, takie projekty były mi bardzo po myśli, chodziło tylko o ich zrealizowanie, a to napotkało na pewne trudności. Mateusz coś zaczął gadać o spłacie go. Wyrwałem się spłacić, Wasyl ze swej strony zaczął politykować z Mateuszem i możliwe, że z czasem coś zrobią, bo jakoś mleczarnia nie daje Mateuszowi spodziewanych zysków i podobno jest na schyłku swej egzystencji. Ciągłe niepowodzenia zaczęły Mateusza gnębić, biedaczysko wymizerował, zestarzał się i zaczyna narzekać na Wólkę, a wiadomo, — narzekania nigdy do niczego nie doprowadzą. Więc rzecz zupełnie zrozumiała, że o ile Wasyl spłaci Mateusza, a przy pomocy matki uczyni to łatwo — to mu niema żadnego sensu pomagać mi w odbudowie, bo będzie miał kąt zapewniony. To nazywa się wyprowadzenie pod dach głupiego, ale niewiele ja na tym stracę, bo poprostu sprzedam rozpoczęty dach i koniec, żyć będę nadal w starym domu. Ten projekt bardzo nie po myśli żonie, nie chce się wyrzec marzeń o własnym domku, bo powiada na wypadek twej śmierci nie będę miała gdzie głowy schylić.

2 września 1928 roku.

Zaciekawilem się artykułem Żelaskiego „Bekoniarnia w Dębicy”, marzę o tem jakby to w Wólce założyć takie kółko hodowców świń bekonowych, ale jak do tego dojść — nie wiem. W tej hodowli najważniejszą rzeczą jest inwestycja. Trzeba wybudować odpowiedni chlew, sprowadzić odpowiednich świń i jak ci człeku to wszystko wyzdycha, to będą prawdziwe bekony. Rozmawiałem z niektórymi gospodarzami w tej sprawie, wszyscy mówią że to byłoby dobrze mieć dobre zyski, ale zaszła mowa o intensywnem odżywianiu, to gospodarze nieufnie kiwali głowami i jeden zawyrokował nawet, że to ni do czego nie doprowadzi. Osobiście jestem innego zdania i chętniebym rozpoczął hodowlę bekoniaków, ale cóż ja sam poradzę. Jest jeszcze druga sprawa paląca, to komasacja. Też niekoniecznie ma dużo zwolenników, ale napędza nas wszystkich do tego bank. Nie napędza wprawdzie bezpośrednio, ale bardzo trudno zbierać raty bankowe. Bo jeden oddaje, drugi mówi, że bank nic nie robi, trzeci nareszcie nic nie mówi, a nawet dotychczas nie ustaliliśmy, wiele jest nas współwłaścicieli, ci co zamieszkują na miejscu to wiadomo jacy to są, gorzej z temi których wcale nie znamy. Takich jest dużo. Prowizoryczne obliczenia wykazały, że jest około 75 współwłaścicieli, w majątku zaś zamieszkuje tylko 17. Zawdzięczając staraniom Mateusza coś niecoś w tym kierunku już zrobiono:

złożono odpowiednie podanie do Urzędu Ziemskiego wraz z podobnymi załącznikami, a nawet przed paru tygodniami przyjeżdżał komisarz — i nic, sprawa utkwiała na martwym punkcie. Kilka razy byłem w urzędzie ziemskim, powiadają że nasze podanie wysłano do O. U. Z. w Białymstoku i tam nabiera mocy kancelaryjnej. A tymczasem Wileński Bank Ziemski nie drzemie i co 6 miesięcy nadsyła zawiadomienie o licytacji, doliczając %% za zwłokę i to dość grube. Ciekawe przerachowanie przez bank długu przedwojennego. Mieliśmy w roku 1925 zadłużenia 18000 rubli. To zadłużenie teraz zmniejszono do 33% pozostawało 6.000 r., tę sumę pomnożono przez 2,66 zł. bo podobno jest takie rozporządzenie, doliczono do tego na jakiś kwit na administrację i teraz wyrosła suma 24.000 zł. — to nazywa się zmniejszenie długu do 33%.

Nie jestem prawnikiem, ale mam pewność, że jest to krzywdzące, coś przeczuwam, że jest tam nie wszystko w porządku.

7 października 1928 roku.

Mateusz wyjeżdża ostatecznie z Wólki, termin wyjazdu jeszcze nie ustalony, ale robi już pewne przygotowania do wyjazdu. Swoją część siedziby i zabudowań odstępuje Wasylowi, zgodzili się na tysiąc dwieście złotych. Właściwie spłaca to matka, ale dokument Wasyl robi na siebie. Nic przeciwko temu nie mam, wogóle nie chcę się wtrącać do rzeczy mogących wywołać nieporozumienie, jedynie żądam od Mateusza załatwienia zadłużenia w kasie.

Co do samej kasy, to sprawy posuwają się nieźle. Ostatnio otrzymaliśmy 10.000 złotych pożyczki z centrali i rozdano członkom. To znacznie podniosło ruch w kasie. Obecnie kasa liczy 156 członków, udziały wynoszą przeszło 3.000 zł. i zapoczątkowałem wkłady na książeczki oszczędnościowe, a ponieważ dobrowolnie nikt wkładów dać nie chce, przeto każdemu założyłem książeczkę i potrącam po kilka złotych z wkładów z pożyczki. To niektórych oburza i jak z taką operacją trafić na chłopą prawnika, to przez cały czas czynności kasowych opowiada jakby właściwie należało postępować i jak postępowano przed wojną. Przeciwno mnie Mańkiewicz organizuje wszystkich moich przeciwników, żartuję z niego dość często zapewniając go, że mi nic nie zrobi swoim gadaniem, a będzie gadać za dużo, to obiecuję zabrać się do niego energicznie. Mańkiewicz to jeszcze nic, naprzykrza mi się bardzo Wojtkowski, b. nauczyciel, podjudzany przez Mańkiewiczów, i poto u nich mieszka, odzywa się do mnie z wielką pogardą, powodując

się swą wyższością umysłową i wykształceniem. Pewnego razu, będąc u niego w sklepie, mówił dużo Wojtkowski o tem, że w Polsce we wszystkich organizacjach zajmują miejsca ludzie ciemni, mało kulturalni i t. d. Łatwo było się domyśleć, że to było skierowane do mnie, odpowiedziałem mu żalując, że go tak wysoko wykształconego obywatela wyrzucili z posady — bardzo żałowałem. Inaczej mówiąc Wojtkowski mnie zaczepiał, nie mając do tego żadnej podstawy, a jedynie podburzany przez Mańkiewiczów. Domyśliłem się o co mu chodziło — dążył do zajęcia posady rachmistrza w kasie.

Taką kasę, jaka jest w Wólce, założono przy wybitnym moim współdziałaniu w Kleszczelach. W tym celu kleszczelscy działacze zaprosili mnie w święto do Kleszczel i tegoż samego dnia kasa była zorganizowana, a po niejakiem czasie uruchomiona. Mańkiewicz i tam się dostał, by psuć mi opinię, ale nic nie wskórał — wyśmiano się z niego i tylko.

16 grudnia 1928 roku.

Mateusz wyjechał do Bielska i podobno ma już posadę. Chętnie pojechał do niego, tylko że bratowa ciągle utyskuje na Wólkę i kładzie nacisk, że wszystkim ich niepowodzeniom ja z Wasylem jesteśmy winni, ale na czem polega moja wina, dotychczas nie wyjaśnione. Szkoda mi Mateusza, pomijając wyrządzoną mi krzywdę przez niego, dużo zrobił korzyści. Tak np. prenumerował czasopisma — przez co zapoznałem się trochę lepiej z rolnictwem, a to jest b. ważne i tylko teraz doceniam jego działania; przy jego pomocy zapoznałem się z ludźmi w powiecie i teraz mi łatwiej, jak coś mam do załatwienia, czy w sejmiku, czy w urzędzie gminy. Jednakowoż zastanawiam się nad niepowodzeniami Mateusza i przychodzę do przekonania, że te wszystkie niepowodzenia trzeba zawdzięczać wódce. Wódka w naszej okolicy robi olbrzymie spustoszenia, tak zawdzięczając wódce ludzie mają długi i śmiało mogą powiedzieć, że 50% zadłużeń naszych gospodarzy czy to w kasie, czy u osób prywatnych, trzeba zawdzięczać wódce. W samej Wólce były takie wypadki: Mateusz stracił około 3.000 gotówki i ma jeszcze sporo długu, wujek, skarbnik kasy, towarzysząc Mateuszowi i księdzu, stracił około 2.000 zł., teraz wuj ma długi a przedtem miał gotówkę. Miron ma piękną gospodarkę, ale wódka doprowadziła do tego, że zmuszony jest sprzedawać gospodarstwo by kupić tańsze. Każdego poniedziałku słysząc śpiewy wracających z targu chłopów, warto

tylko wieczorem postać na drodze, aby naliczyć 20 fur z pijanymi. Może ktoś sądzi, że im na to wystarcza, że w domu jest wszystkiego pod dostatkiem, jednakowoż tak nie jest. Nie potrzebuję daleko chodzić po przykłady, mam ich dość przed sobą. Tak samo napewno robiłbym i ja, tylko że mi na to nie wystarcza, zawdzięczając temu, że poprzednio gospodarzyłem pod ścisłą kontrolą matki, nie mogłem i nie umiałem jeszcze się upijać, teraz zasadniczo jestem samodzielny, to znowu żona potrafiła pokierować sprawą tak, że za zbywający grosz kupuje się kilo świeżego mięsa i jest z tego pożytek lepszy, chociaż matka i teraz jeszcze, gdy to zauważy, gdera na rozrzutność, rokując mnie Mateuszową przyszłość. Brat Eljasz lubi wypić i może nie tak lubi wypić, jak lubi być podchmielonym, pomijając to, że jest nadzwyczaj energicznym i wytrwałym robotnikiem, rodzina jego składająca się z pięciu osób odżywia się źle. Budżet produktów spożywanych przez jego rodzinę jest nadmiernie niski. Tak np. wieprzaka 100 klg. wystarcza mu na cały rok, a nawet bratowa jest niezmiernie zadowolona, gdy słoninę z takiego wieprzaka przeciąga więcej jak rok, używanie jaj jest wykluczone, z nabiału letnią porą tylko trochę mleka — masła nigdy, wyjątek stanowią wielkie święta. Eljasz również ma długi, ale ten nabywa ziemię, więc długi jego są innego charakteru, natomiast wódka zabiera mu produkty spożywcze z domu. Letnią porą po targach prawie się nie jeździ, zaś zimową porą Eljasz w poniedziałek i w czwartek wypić musi, a do domu wraca i spożywa postną strawę. Jest jeszcze gorszy zwyczaj — to posty. Posty u nas prawosławnych są nadmiernie długie i uciążliwe, tak np. katolicy mogą używać nabiał, natomiast prawosławni nie, nie mówię o tych postach w tym celu, by ich zniesiono, ale mówię to dlatego, że jest to wielce niekorzystne zjawisko dla wsi. Gdy jest post, to gospodarz sprzedając produkty swego gospodarstwa za uzyskane pieniądze kupuje olej i śledzie. Prawda, że używa tego bardzo mało, to znowu na tym traci sam, bo niedostatecznie się odżywia, a grosz w gospodarstwie nawet i na olej i jeden kawałek śledzia wydany jest nieślusznym, spowoduje osłabioną energię fizyczną i umysłową chłopą. Przypominam sobie, jak takim postem robiłem się ociężałym i z roboty robiłem tylko najpilniejsze, resztę pozostawiając na dalej. Zastanawiałem się nad tem, sądziłem bowiem że tylko ja taki jestem, ale po pewnym czasie zauważyłem, że w dniu postne ludzie wolniej chodzą, a członkowie tej rodziny, gdzie źle się odżywiają przez cały rok, są ociężały i wszystkie roboty wykonują niedbale. Nato-

miast niema chałupy, w którejby w ciągu roku nie wypito kilku butelek wódki, a inni potrafią wypić i po kilkadziesiąt. Tak np. jest u nas czterech braci Ziukiewiczów. Starszy Prokop jest oszczędny — nie pije nigdy, to też ma trochę gotówki, dobrze prosperujące gospodarstwo i we wszystkim jest widoczny dostatek, natomiast jego bracia — im nie wystarcza do Wielkanocy chleba, ale w jesieni co poniedziałek jadą z Kleszczel ze śpiewami.

Do tego, co się straci na wódce, wiele jeszcze jest strat na zgubach. Bardzo często słychać, że ten zgubił 20 zł., ten 100 zł., a niejaki Pióter z Kruhłego zgubił od razu 800 zł., i teraz z tego powodu ma ciągle kłótnie z żoną i dorosłymi synami.

6 luty 1929.

W zeszły poniedziałek miałem zajście z Wojtkowskim i znowu spowodowała to wódka. Byłem w Kleszczelach i zobaczyłem Wojtkowskiego wychodzącego z piwiarni, chciałem go uniknąć, ale widocznie Wojtkowski mnie zauważył i zaczął się zbliżać chwiejnym krokiem w moją stronę. Rozmawiałem wówczas ze skarbnikiem naszej kasy Ziukiewiczem. Nadszedł Wojtkowski, podał rękę Ziukiewiczowi a mnie nie. Nie mając nic tam do roboty miałem odejść, ale Wojtkowski odezwał się w ten sposób do mnie — „ty kiedy mi oddasz pieniądze?”. Zdziwiłem się. Wojtkowskiemu nie byłem winien, dotknęło tylko mnie jego tykanie, to też poprosiłem go by zaprzestał w ten sposób zwracać się do mnie — odpowiedział mi grubiaństwem. Z szybkością błyskawicy trzasnąłem go kilka razy po twarzy. Wojtkowski zwałił się jak kłoda obok wozu, później wstał i poszedł ze skargą do posterunku policji. Mówili mi wieczorem tego dnia o przygotowaniach Wojtkowskiego do publicznej kłótni ze mną, podobno miał nagadać mi dużo przykrych rzeczy, ale nie zdążył. Po tej rozprawie Mańkiewicz polepszał dla mnie i sam się przyznał, że to jego prowokacja spowodowała zajście z Wojtkowskim. Zdziwiłem się, że Mańkiewicz dość prędko pozostawia swych przyjaciół — pocichu mówią, że Wojtkowski już przetargował swoją gotówkę i prędko będzie miał klapę.

Omlóciłem swój owies, wydał bardzo dobrze, naważyłem 17 q czystego owsa, do tego jeszcze jest sporo pośladu, więc zysk będzie miał nielada. Ci, którzy widzieli ten owies, zapewniali sobie go na nasiona, to też postanowiłem teraz nie sprzedawać, a doczekać się wiosny, może nawet będzie droższy. Ze świniami znowu bieda, zno-

wu w pobliskich wsiach słyhać o zarazie, tymczasem nie wielki strach mam, mam tylko dwie podświnki i jeszcze małe, jako sprzedażny towar będzie aż w jesieni.

24 lutego 1929 roku.

We czwartek byłem w Bielsku, jeździłem do doktora, a zarazem załatwiałem sprawy kasowe. Do doktora udałem się pokryjomu, w domu o tem nic nie mówiłem, chciałem zbadać stan swego zdrowia: od pewnego czasu odczuwam silne osłabienie, zaczynam nocami kasłać i najgorzej, że zaczyna braknąć mi sił do roboty. Doktor długo mnie pukał i nareszcie zawyrokował, że mam osłabione płuca. Przestraszyłem się bardzo w obawie przed suchotami, ale doktor mnie zapewniał, że suchot nie mam, tylko to osłabienie spowodowała grypa i stan nadal będzie się pogarszał, jeśli będę wykonywał ciężką, lub wymagającą nerwowego napięcia robotę. Zalecał bezwzględny spokój i dobre odżywianie się. Wiem że będąc w Wólce, gdzie tak często przychodziło się kłócić z sąsiadami o najrozmaitsze sprawy — o spokój było trudno, a co do roboty fizycznej, to uniknąć jej było niemożliwem. Zalecenia doktora zbagatelizowałem, zaraz jak tylko przyjechałem do domu receptę powiesiłem na gwoździu, tam gdzie wieszam czapkę, i z leceniem dałem spokój, powiedziałem sobie, że żadnych leków kupować nie będę, a za te pieniądze lepiej kupować sobie coś do zjedzenia. Będąc w Bielsku spotkałem Mateusza, przyznał się mi, że jest mu teraz niekoniecznie. Jest teraz sekwestratorem i okropnie nie lubi tej pracy, ale cóż robić, żyć na świecie powiada trzeba. Zapraszał na herbatę, nie poszedłem, spieszyłem się na pociąg. Powiadał również Mateusz o tym, że w krótkim czasie ma dostać inną posadę w Hajnówce, jednocześnie namawiał mnie bym poszedł do sklepu spożywczego w Hajnówce w charakterze sklepowego. Nie powiedziałem mu ni za, ni przeciw. Mieć teraz około 200 zł. pensji miesięcznie, to rzecz zachęcająca, ale nie jestem pewny siebie, bym nie drapnął spowrotem do Wólki jak mi coś dokuczy. Mówiłem w tej sprawie z żoną, ta nic nie chce oprócz tego, by prędzej wykończyć dom, a tam pozwala robić co mi się podoba. Co do domu to budowa go utkwiała na martwym punkcie i teraz mam pewne wątpliwości, czy odpowiednie obrałem pod budowę miejsce. Gdy zaczynałem budować dom, to myślałem tylko o hodowli drobiu, a teraz zaczynam myśleć o ogrodnictwie.

21 kwietnia 1929 roku.

Na dniach było walne zgromadzenie członków naszej kasy. Obecnych było około 70 członków. Zebranie było dość burzliwe, a to zawdzięczając Mańkiewiczowi, który wszelkimi siłami chce mi szkodzić. Zebrał wszystkich tych, którzy mieli jakikolwiek do mnie żal z powodu nieotrzymania pożyczki, jeśli otrzymali to mówili że stanowczo za mało i żądali usunięcia mnie z zajmowanego stanowiska. Dość prędko zmiłkli, wystarczyło tylko odczytać powody, dla których nie wydano pożyczek. Zresztą zgłosiłem swe wystąpienie z zarządu, robiłem to naumyślnie, aby nikt nie miał do mnie żadnych pretensji za działalność zarządu kasy, a zatrzymałem sobie jedynie stanowisko rachmistrza. Lustratorowi powiedziałem, że z czasem mam zamiar zupełnie wyjść z kasy, ale to zrobię wtedy, gdy na swoje miejsce wyszkolę drugiego rachmistrza. Wybór mój padł na psalmistę Samolnika i jego to właśnie zalecałem Lustratorowi.

Tego roku dobrze wykombinowałem z owsem. Cena owsa rynkowa wahała się od 30 do 35 zł. za q, ja sprzedawałem go po 50 zł. uzyskując 750 zł. Ludzie uważali, że ten owies urodził się dlatego tylko, że jest dobrego gatunku. Nie chciałem wprowadzać w błąd i mówiłem o konieczności dobrego nawożenia pod owies, tak jak robiłem ja i wtedy tylko można spodziewać się dobrych wyników. Tłumaczyli to na swój sposób, mówili że jestem poprostu nieżyczliwym i z upartością zabierali owies. Znowu wysiałem sobie cały kwintal, prawda w gorszym stanowisku, ale dawałem te same nawozy sztuczne. Tego roku sprowadziłem więcej nasion buraków i z C. Z. K. R. duże zamówienia porobili na nie sąsiedzi. Zaimponowało im, że z tak małego kawałka pola zebrałem 6 fur buraków. Także więcej sprowadziłem cebuli i innej ogrodowizny. Pomidory zeszły rok dojrzały, w tym roku zamierzam posadzić ze 150 krzaków. Jednocześnie sprowadziłem sobie kilka książek „Uprawa cebuli” Nehringa i „Inspekt” St. Brzozowskiego. Poczynanie z inspektami mam zamiar robić na przyszłą wiosnę — teraz zapóźno. Na tę wiosnę miałem sprowadzić kartofle lepszej odmiany, moje kartofle wyradzają się, trzeba koniecznie zamienić, ale z tem zapóźno obejrzałem się. Sąsiedzi podkpiwają ze mnie, a złośliwi nawet pocichu mówią, że tę inowację przeprowadzam na koszt kasy. Zastanawiam się nad produkcją ogrodniczą, jeśli ceny będą nadal takie jak teraz, to można będzie pociągnąć z tej gałęzi produkcji całkiem niezłe zyski, gorsza strona tego to ta przykra szachownica.

Nicbym zdaje się nie szczędził, aby tylko mieć skomasowane grunta. Nie wiem jakbym gospodarzył na gruncie skomasowanym, ale wiem dobrze to, że rozwój mej 10-dziesięcinnej gospodarki tamuje szachownica, to naprawdę dla mnie najcięższa bolączka.

21 czerwiec 1929 roku.

Postanowiłem jechać na kurs meljoracyjny, który się odbędzie przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. Kurs ma trwać dwa lata, do tego dochodzi trzymiesięczna praktyka — to za dużo. Co mnie zmusza do wyjazdu? Otóż przyczyn jest niemało. Najgłówniejsza z nich to moje zdrowie; pogarsza się niemal z każdym dniem. Doszło do tego, że całkiem nie mogę władać kosą, wystarcza 10 minutowej roboty by zmusić do półgodzinnej przerwy. Dobrze zastanawiałem się nad swym zamiarem i doszedłem do przekonania, że ze stworzonej sytuacji niema wyjścia. Trzeba całkiem zaprzestać pracować fizycznie. Namówił mnie do wyjazdu Mateusz opowiadając, że wyjeżdża jego szwagier Hilary i jeszcze ktoś z Wido-wa, radził mnie gorąco bym pojechał. Na początek pieniądze miałem, sądzę, że na ukończenie kursu jakoś się zdołę, zresztą dyrekcja Muzeum zapowiada udzielenie zdolniejszym subsydjum, może i mnie jakoś da się stypendjum otrzymać. Gospodarkę tymczasem w dzierżawę nie oddawałem, a poprostu wynająłem człowieka, który miał mi wykonać orkę i inne cięższe roboty. Kasę już zdałem. Nie wierzono mnie i sprowadzono lustratora, który przeprowadził szczegółową lustrację i wszystko było w jak najlepszym porządku. Nawet wyraził się z uznaniem o mej działalności w kasie, na odjeździe życzył mi powodzenia.

Lubiejew, 17 lipca 1929 roku.

Jestem już na kursie praktycznym meljoracyjnym w Lubiejewie pow. Sochaczew. Mieszkamy wszyscy 40 kursistów we wsi Lubiejew. Obok w majątkach Lubiejew, Ożarów, prowadzone roboty meljoracyjne (drenowanie) przez Stołeczne Towarzystwo Meljoracyjne. Mieszka nas w jednej izbie 8 ludzi, ja zająłem miejsce koło okna jako najwygodniejsze — reszta śpi jak śledzie na narach. Z trudem dostałem się na ów kurs. W Warszawie był przegląd lekarski, mnie zakwalifikowano jako chorego na płucą, doktor powiedział bym zaniechał jechania na kurs i radził wrócić do domu. Nie zechciałem, do domu nie miałem poco wracać; wszystko jedno,

czy tu czy tam będę siedział beczynninie, a pieniądze tymczasem miałem — i przyjechałem do Lubiejewa.

Otoczenie moje mnie zadowala, współtowarzysze moi są dość młodzi, pomijając Hilarego i Misiejuka moich współziomków z Bielskiego, a wiadomo młodzież zawsze jest wesola i ochocza do wszelkich niewinnych psot. Poważniejszy nieco jest niejaki Edek Kołtuniak z Siedlec, również jak i ja chory na płuca, jest nawet już po wojsku, opowiada dość ciekawe kawałki i każdorazowo potrafi wszystkich rozśmieszyć. Czasami te kawałki nie są tak śmieszne, ale zawsze bywa śmieszne zakończenie, po którym Edek wybucha tak zaraźliwym śmiechem, że pomimo woli zmusza wszystkich do śmiechu, komicznym jest również niejaki Izdebski. Małego wzrostu, lat 18, ale zawsze i o wszystkim mówi z wielką powagą — nazwano go „Pan I”.

Reszta chłopców prawie o jednakowej wartości, tymczasem z nimi jeszcze się nie zapoznałem dokładnie, ale sądząc z powierzchownej oceny mają być dobrymi chłopakami. Na polu tymczasem nic nie robimy, kazano nam chodzić i przyglądać się prowadzonym robotom, to też wałęsamy się po całych dniach i wszędzie wsadzamy swe nosy. Prędko ma być zorganizowana wspólna kuchnia na wzór wojskowej — to do pewnego stopnia rozwiązałoby trudności prowiantowe, jakie napotkaliśmy na wsi.

Lubiejew, 10 sierpnia 1929 roku.

Zapoznałem się już ze wszystkimi robotami, jakie na tutejszym terenie są prowadzone, a nawet zarobiłem kilka złotych kopiąc sączki lub wykonując jaką inną robotę. Niektórzy wzięli się do roboty i nawet sporo zarobili. Z wyników praktyki jestem bardzo zadowolony. Niewielka to rzecz napraktykować się kopania lub rzucania ziemi, chodziło teraz tylko o to jakby to się nauczyć włądać niwelatorem, a tu nasz kierownik kursu gada o niwelatorze z wielką tajemniczością, zdawałoby się że Pan Bóg jeden, a on drugi zna się na tych rzeczach. Niewiele tem się przejmujemy i cierpliwie czekamy na dalsze wyjaśnienia. Przez cały czas chodzimy na Bzurę na kąpiele, odczuwam, że jest mi lepiej i z tego to powodu niezmiernie się cieszę. Jak tak pójdzie dalej, to obiecuję sobie zupełne wyzdrowienie. Z ciekawością przyglądam się tutejszym zbóżom i uprawie roli. Prawda, grunta tu są b. dobre, tutejsi gospodarze dobrze wychodzą na burakach cukrowych, uprawiając ich w dość pokaźnej ilości. Mieszkamy u 6-cio morgowego gospodarza

i ten żywi trzy krowy a nawet powiada, że miał i znowu dokupi konia i na wyżywienie go nie będzie potrzebował dokupywać paszę.

15 października 1929 roku.

Wkrótce kurs zostanie ukończony, mówią że na dwa tygodnie dostaniemy urlopy, a tam do Warszawy. Ciekawym bardzo jak tam ta Warszawka nam się pokaże, jest wśród nas kilku Warszawiaków, ale ci zadeklarowani na wielkich intelegentów i rozmowa z nimi prawie wykluczona, czas od czasu tylko patrząc przez ramię, wyniosłym tonem zapytają o coś — na przykład: „słuchajcie, czy nie widzieli dokąd poszedł przed chwilą pan X?” A że człowiek nie chce się narażać na wyniosłe spojrzenie, chętnie udziela żądanych informacji. Na naszym kursie (nadzorców meljoracyjnych) takich prawie że niema, natomiast na technicznym — moc.

Przed tygodniem przyjeżdżał tu niejaki p. Głębocki, akademik, podobno pracuje w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa i z ramienia Muzeum przyjechał zobaczyć jak nam tu się powodzi. Nie brak było narzekań ze strony kursistów, ale p. Głębocki potrafił wszelkie narzekania zażegnać mówiąc, że jeszcze biedy nie mamy, a jeśli kto przyzwyczajony do mamusi, to dykcja Muzeum sprowadzi i mamę i tatka na swój koszt. Długo z nami gawędził, był ciekawy wszystkiego, taki sympatyczny prosty człowiek, na odjeździe powiedział nam, że wyniki z praktyki utorują drogę do stypendjum. To było hasłem pracy dla jednych i podchlebiania się do kierownika robót dla drugich.

Nie zważając na to że jestem zupełnie wolny i bezkontrolny, a zatem mam zupełną swobodę ruchów, to jednakże jakoś zaczynam się poczuwać do obowiązku chłopskiego. Wprawdzie żona pisze, że zboże ozime jest posiane i że wszystko idzie dobrze, to jednakże wiem napewno, że nie włożono w rolę takich starań jakie ja wkładałem rokrocznie. Tego roku nawet pod owies nie będzie tak uprawiony grunt jak ja robiłem, ale trudno, odrazu na dwóch targach być nie można.

25 kwietnia 1930 r.

Jestem znowu w Wólce. Przed tygodniem tylko przyjechałem z Warszawy. Egzaminy przeszły dobrze, jestem promowany na kurs II, ale czy pojedę do Warszawy, tego jeszcze niewiadomo. To będzie zależało od tego, czy uzyskam w tym roku pracę, czy też nie. Naskładałem masę podań, z niektórych już urzędów mam odpowie-

dzi, piszą że podania załatwiono odmownie, całą nadzieję pokładam na O. U. Z. w Białymstoku, jeśli i tam sprawa zostanie załatwiona odmownie, no to chyba wypadnie świnie paść, bo inwentarz gospodarski mi zjadła Warszawa, pozostałem tylko przy jednej krowie. Zresztą sam napisałem żonie, by grunt oddała w dzierżawę, bo pomyślałem, że najętym robotnikiem i końmi na naszym gruncie nie nie wskóra, tylko własna praca może się opłacić. Domownicy pocieszają mnie jak mogą, natomiast sąsiedzi wykpiwają mnie, jak kto potrafi, przedtem mało zwracałem na to uwagi, obecnie podkpiwam wraz z nimi.

Warszawa na mnie większego wrażenia nie zrobiła, może dlatego, że byłem w największych miastach w Rosji, jednakże muszę stwierdzić, że ruch uliczny mi zaimponował. Niejaki Skrobot (nasz kolega) mówił, że u niego bywa zawsze mokra koszula póki przejdzie jezdnię. I naprawdę, bardzo łatwo było zaobserwować który z przechodniów niedawno jest w Warszawie, zawsze taki przedstawiciel wsi bardzo się gorączkuje gdy przechodzi przez jezdnię i zazwyczaj zwraca uwagę tylko na jeden samochód, tymczasem z drugiej strony samochód wjeżdża wprost na niego.

Co do kursów, to tam zobaczyłem dużo nowego i ciekawego. Nauka poszła mi dość łatwo, w Rosji uczyłem się w szkole technicznej, więc niektóre przedmioty były zbliżone do wykładanych w Rosji. Na kursie byłem jeden z najstarszych no i zdawałem sobie sprawę z tego poco na kurs przyjechałem, i bardzo dziwiłem z niektórych swych kolegów, którzy będąc zupełnie dorosłymi zaniedbywali swe obowiązki. Zresztą byli dziećmi zamożnych rodziców, nie martwili się o złotówki, jak to przychodziło nam biedniejszym. Śmiałem się do rozpuku ze swych kolegów, których było staraniem, zaraz po rozpoczęciu wykładów, nabywanie czapek — zapomniałem jak ich nazywać — no taka różnokolorowa, a wyszywana suto złotem, jakieś kwiatki, cyrkiel i ekierka. Doradzałem im by wyszyli cały niwelator, ale mój projekt nie wszyscy zrealizowali, tylko jeden, prawda, że miał czapkę istne cacko.

Dziwna rzecz, moi koledzy chętnie rozmawiali ze mną w salach wykładowych, nawet darzyli mnie pewnym zaufaniem, natomiast na ulicy, gdy się przyszło spotkać, jakoś starali się czempredziej rozmowę skończyć i odejść (mam na uwadze niektórych, w wyszywanych czapkach), prawda pomiędzy nimi byli i tacy że trudno było ich pożegnać i chętnie towarzyszyli mi w moich świątecznych wycieczkach.

Te nastroje, jakie panowały w stosunkach towarzyskich pomiędzy nami w Lubiejowie, potrosze się zacierały, teraz mniej widziałem deklarowanych intelegentów i dżentelmenów, jakoś im niebardzo się powodziło w nauce, Mówili że są zapracowani i z konieczności zmuszeni siedzieć i ślęczeć nad rysunkami. Siedząc w domu przypominam przeżyte kawały, dole i niedole „kursów”.

15 października 1930 r.

Zajęcie tego lata miałem, pracowałem w O. U. Z. w Białymstoku, a terenem meljoracyjnym moim była gmina Turaśl powiatu Kolneńskiego. Z wielkim trudem i nakładem dostałem pracę i to z miernym wynagrodzeniem 8 zł. dziennie i tyle. Początkowo delegowano mnie wraz z technikiem Jarmocem na niwelację kanału Serafińskiego, ciągnącego się z jeziora Serafińskiego i wpadającego do rzeki Pięsy. Robota była dość łatwa, moim obowiązkiem było taśmowanie i nanoszenie prowizorycznego planu sytuacyjnego. Robota postępowała dość szybkim tempem, zresztą pracowało się najętym robotnikiem, po paru dniach zrobiliśmy sporo roboty. Nadjechał mój bezpośredni przełożony inż. Maciejewski, zabrał Jarmoca, pozostawiając mnie jednego na tej robocie. Mieszkalem we wsi Krusza u sołtysa, poruczono mi było zorganizować robotę szarwarkową. Długo robiłem próby, by tę robotę ruszyć jakoś z miejsca, i nie miałem możliwości. Kilku chłopów przekonałem o konieczności kopania kanałów, ale tylko kilku, reszta najspokojniej sobie kpiła z tych co kopali, nazywając ich durniami. Myślałem że O. U. Z. rozporządza jakimiś środkami prawnymi. Nic podobnego. Zaufanie zaś okolicznych gospodarzy było już poderwane. Tak obok jeziora Serafińskiego wieś Pupkowizna przeprowadzała meljorację szczegółową i kopając rowy wylewała wodę wiadrami, to jest fakt. Spowodował do podobnego kopania brak odpływów; trzeba było przedtem pogłębić kanał Serafiński i wtedy tylko przeprowadzać, mając odpływ, meljorację szczegółową. Nasze studia wykazały, że woda będzie odchodzić dobrze, gdy zaczniemy pogłębiać na terenach wsi Krusza. Kruszacy również nie chcieli meljoracji, tłumacząc się tem, że tereny dość wysokie, im nic nie trzeba suszyć. Udałem się do Komisarza Ziemskiego w Kolnie. Sądziłem że Komisarz Ziemiński rozporządza środkami prawnymi. Nic podobnego, p. Orłowski, tak nazywał się komisarz, powiedział mi prosto, że nie jest to w jego mocy zmusić kogoś do przymusowej pracy i odesłał mnie do p. starosty. Starosta wysłuchiwał mych skarg, mową dziarską ich (chłopów) zaklął

i obiecywał przyjechać do Kruszy i pogadać. Prawda, na trzeci dzień był w Kruszy. Długo mówił z gospodarzami, namawiając ich do roboty — niektórzy przyobiecali. Na drugi dzień miałem około 20 robotników, ale tylko na drugi dzień, po kilku dniach już nikt nie przychodził.

Mieszkalem u sołtysa wsi Krusza, dom obszerny położony w dwudziestu krokach od lasu sosnowego, więc w położeniu dla mego zdrowia dość wygodnym, to też po miesiącu znacznie okrzepłem, byłem o wiele zdrowszy jak w Wólce. Dodatnią cechą dla Kruszan były skoncentrowane gospodarstwa. Pytałem gospodarzy czy przedtem do komasacji byli niechętni, opowiadają, że odbywały się niemal całe wojny, ależ teraz są wdzięczni za skomasowane grunta i chętnie opowiadają, dlaczego teraz lepiej. Cała okolica dąży do usunięcia szachownicy. Żartowałem z nimi mówiąc, że jak wszystko skomasują, to nie będą mieć gdzie paść kaczek, bo sposób w jaki hodują się kaczki, to naprawdę wart uwagi. Gospodarze mieszkający naokoło jeziora Serafińskiego — jak wsie Krusza, Serafin, Pupkowizna, w sposób prymitywny hodują dużo kaczek. Ot poprostu, gdy kaczęta tylko się wylęgną, zabiera je gospodyni na wóz i wiezie do jeziora, a tam puszcza je do wody i do późnej jesieni więcej ich nie widzi, zaś jesienią po oznakach jakoś dochodzą każdy swych kaczek i wywożą je na rynek. Miejscowi gospodarze opowiadają o jeziorze cuda. To ktoś widział tam cudowną rybę z opaską na ogonie, to znowu inny zna straszne miejsca, a jeden ze starszych gospodarzy zapewniał mnie, że wylapał w jeziorze rybę, która miała przyczepiony do spodniego pyszczka srebrny dzwonek — podziwiałem te cuda. Do prawdziwego cudu należała umiejętność chodzenia po zarośniętej części jeziora. W jednym miejscu wsadziłem tykę 4 mt. długości i z przerażeniem stwierdziłem, że pod trawą zaraz gruntu niema, a tylko woda, zaś łąka trzyma się na powierzchni wody przy pomocy swych gęsto splecionych korzeni. A trzeba prawdę powiedzieć, że na tych łakach częściowo ludziska koszą, w tym celu przywiązują do nóg 2 metrowe deski i posługują się nimi jak nartami. Prawda, taki spacer jest dość ryzykowny, a nawet bez pewnego przyzwyczajenia straszny, bo chodzącego po najlepszych trzęsawiskach zdaleka nie widać, własnym ciężarem wgniata korę łakową w wodę i ma się wrażenie, że poprostu ziemia się rozstępuje pod nim.

W ciągu tego lata w mej rodzinie zaszły duże zmiany. Żona powiła znowu córeczkę. Niewiele z tego powodu byłem ucieszo-

ny, bo to niewiadomo jak ja jeszcze się urządzę, a tu wraz z przybyłą córeczką przybyły i nowe wydatki. Chrzczyny starałem się urządzić jak najokazalej i w pewnej mierze to osiągnąłem, wódki jak zawsze poszło niemało i uważam, że goście byli dość podchmieleni, skoro podnieśli awanturę i jeden drugiego wodzili za czuby, szczególnie wyróżniali się moi bracia Eljasz i Wasyl — ci zaś jeden do drugiego mieli pretensję, nu i narobili najwięcej awantury, uspokoiono ich w ten sposób, że zamknięto do zimnych kładek, długo bracia odgrażali się wzajemnie i tylko sen ostudził zapał wojowniczy obydwóch.

W O. U. Z. pracowałem sezonowo, po skończonym sezonie miałem czas i teraz namyślałem się, czy jechać na drugi kurs, czy też nie. Zasadniczo liczyłem, że trzeba byłoby dokończyć kurs, na przeszkodzie był brak gotówki, a z drugiej strony nie miałem żadnych widoków na otrzymanie zajęcia. Zresztą zdawałem sobie sprawę dobrze z korzyści przebywania na kursie i ewent. strat poniesionych przez moją nieobecność w gospodarce. Na drugim kursie mają wyklądać nowe przedmioty jak np. hodowla ryb, budownictwo stawów, rolnictwo i botanika, tych przedmiotów na pierwszym kursie nie wykładano, a wiadomości ściśle związane z rolnictwem były mi bardzo ciekawe, to też po dłuższym namyśle postanowiłem jechać. Będąc na pierwszym kursie otrzymywałem stypendjum w wysokości 50 zł. miesięcznie, miałem jakby zapewnienie, że otrzymam to samo i na drugim kursie. To też postanowiłem, po załatwieniu spraw z Wileńskim Bankiem Ziemiąskim, — bo to byłem wybrany przez wólczaków do zbierania pomiędzy gospodarzami zaległości bankowych — niezwłocznie wyjechać na kurs. Warszawa mnie jeszcze ciągnęła do siebie.

Kwiecień 1931 r.

Powróciłem znowu do Wólki. Dwuletnie kursa meljoracyjne zorganizowane przez dyrekcję Muzeum Przemysłu i Rolnictwa były z wynikiem dobrym ukończone. Teraz zastanawiałem się, co mam robić z sobą? Pod moją nieobecność ale za mojem zezwoleniem żona sprzedała nowy dom i uzyskała za to 750 zł., częściowo temi pieniędzmi pokryłem drobne zadłużenia i jeszcze pozostawało u mnie pieniędzy około 400 zł. Niewiadomo co miałem robić, czy pozostającymi pieniędzmi pokryć częściowo swoje dalsze zadłużenie w kasach Komunalnych i Stefczyka, które teraz wynosiły około 700 zł., czy też tych pieniędzy użyć na poszukiwanie posady — postanowiłem to

ostatnie. Poszukiwanie posady wybrałem dlatego, że nie miałem innego wyjścia. Gospodarka moja była zniszczona doszczętnie, wyprzedano wszystko, nie było już ni konia, ni woza, ni pługa — nic, do tego nie miałem żadnych nasion, prawda że za 400 zł. przywróciłbym częściowo stary stan posiadania, ale obliczałem sobie, że o wiele lepiej mi wyjdzie gdy będę miał posadę, obiecywałem sobie że w ciągu dwóch lat przywróciłbym w gospodarce stary stan posiadania i wtedy znowu osiadłbym na roli. Tymczasem na wszystkie moje podania nadchodziły odpowiedzi odmowne — byłem w rozpacz. Postanowiłem zgłaszać się do urzędów osobiście, straciłem na podróż sporo pieniędzy i tymczasem nic z tego — naczelnicy urzędów mówili o braku kredytów na meljorację, o przepełnieniu i t. d. — była kłapa.

Zasadniczo nie żałowałem tych dwóch lat spędzonych w Warszawie. Zobaczyłem dużo rzeczy dotychczas niewidzianych lub niedocenianych przeze mnie. Warszawa to punkt zborny wiedzy. Z zaciekawieniem przyglądałem się swym wykładowcom i z zajęciem słuchałem ich wykładów. Prawda że wszystkie wykłady odbywały się w dość szybkim tempie, nie było czasu na rozciąganie materiału wykładowego. Na pierwszym kursie sporo miał wykładów inż. Gumiński — wykladał roboty ziemne. Ten prawda swój materiał rozciągał aż za dużo i były chwile, że go już nie chciałem słuchać. Ciekawy był inżynier Gumiński — mówił zawsze wolno i jak na toż mówił najwięcej o bystrej orjentacji siły technicznej przy robociźnie, o umiejętności bystrego organizowania robót i t. d. było nawet śmieszne, człek ledwie obraca językiem i ledwie obraca się sam, i zawsze mówi o bystrości. To też z zaciekawieniem przyglądałem się mu podczas zajęć praktycznych w polu — i o dziwo, inż. Gumiński najlepiej i najprędzej potrafił zawsze zorganizować zajęcia praktyczne — u niego z kursantów nikt nie próżnował, natomiast u drugich organizatorów jak inż. Kowalski i inni — kursanci nie mieli nic do roboty — był tłok i tyle, a sam organizator latał od jednej grupy do drugiej. Matematykę wykladał Głębocki i trzeba prawdę powiedzieć — był dobrym wykładowcą, po jego wytlumaczeniu wszystko jasne było jak na dłoni, to też z zaciekawieniem przysłuchiwałem się jego wykładom.

Nie mniej ciekawym był zawsze wykład prof. Sławomira Miłkaszewskiego — gleboznawstwo. Mówił zawsze ciężkim językiem gleboznawczym — biosfera, litosfera, hydrosfera, wietrzenie energetyczne — nic nie rozumiałem, patrzałem jak mówi i tyle, później

zdawało się, że coś niecoś zaczynam rozumieć, a nawet sądziłem że gleboznawstwo to nie jest wielkiego, zaś po kilku następnych wykładach byłem znowu zupełnie głupi i tylko już na drugim kursie zaczynało mi się trochę wyjaśniać w głowie.

Podziwiałem inteligencję prof. Miklaszewskiego, jakoś umiał zachowywać się tak wobec słuchaczy, że nie zwracał najmniejszej uwagi, czy ktoś słucha jego wykładów, czy też nie i gdy tylko zauważał że ktoś przeszkadza komuś w słuchaniu wykładu, to takiego zapraszał do siebie i dawał mu jakieś proste pytanie, ale pytanie było tak sformułowane, że odpowiedź na nie była trudna. Jeden raz tylko zauważył swym słuchaczom, że nie jest wychowawcą, a tylko wykładowcą, ze wstydem muszę stwierdzić że moi koledzy chłopcy pod wąsem niezawsze byli dziećmi znamionującymi dobre wychowanie i na tem tle miałem z niektórymi drobne nieporozumienia. Przypominam coś w rodzaju egzaminu, jaki urządzał prof. Miklaszewski na ukończeniu kursu: wywoływał wszystkich według spisu i nie odnotowywał wyników egzaminu, a tylko stawiał kreseczki, że taki i taki był pytany. Doszła kolej do mnie. Zapytano mnie, co nazywamy czarną ziemią. Pytanie było dość łatwe, odpowiedź miałem gotową, ale koledzy uprzedzili mnie i podszepteli głośnym szeptem odpowiedź. Zapeszyłem się, nie chciałem odpowiadać. P. Profesor domyślił się przyczyny i postawił drugie pytanie, na które natychmiast odpowiedziałem.

Język polski i naukę o Polsce wykladał niejaki p. Mikułowski na II kursie, na pierwszym wykladał kto inny. P. Mikułowski na początku, w celu zapoznania się ze swemi słuchaczami, zainicjował ankietę. Chodziło o to, że chciał się dowiedzieć, kto co czytał, i sam mówił, „chcę poznać wasz poziom duchowy”. Na ankiecie podałem niektóre utwory powieściopisarzy rosyjskich, p. Mikułowski ankietę mi zwrócił, żądając wpisania co czytałem w języku polskim, nie chciał mi wierzyć że nic nie czytałem. Podałem, że czytałem *Poradnik Gospodarstw Wiejskich*. P. Mikułowski uśmiechnął się, przyjął to za żart. Byliśmy z niego niezadowoleni, zmuszał nas by wiedzieliśmy na pamięć wszystkie powiaty w Polsce, to nas poprostu oburzało i każdy z nas „kuł” położenie poszczególnych powiatów z konieczności, a nie z chęci. Zresztą od egzaminu końcowego byłem przez pana Mikułowskiego zwolniony, a trzeba prawdę powiedzieć, że powiatów nie znałem.

Wogóle z wykładowców nikogo nie miałem gorszego, chociaż wykładowcy nasi byli zupełnie odmiennych charakterów, a nawet

niektórym brakło powagi do wykładanego przedmiotu, jak np. inż. Borowemu, wykładającemu wodnictwo; ten znowu odnosił się do nas słuchaczy z pewną dozą kpinek, a nawet kpł z nas jako przyszłych meljoratorów.

Podziwiałem naszego sekretarza kursów. Znowu uważałem, że jest nie na miejscu. Był nadzwyczaj przebiegły, w ciągu trzech dni znał każdego z kursantów i to ze wszystkich stron, o nim byłem zdania, że byłby na miejscu będąc inspektorem policji i naprawdę radziłbym mu takiego stanowiska.

Z kolegów na mnie większego wrażenia nikt nie zrobił — chyba że O. Ten poprostu mnie bawił. Siedział zazwyczaj w pierwszej ławce, świecąc łysą głową, i gdy ktoś z wykładowców o co pytał, to O. jak żaczek podnosił rękę dając znać że wie o tych rzeczach. Często podrywał się, był wielce usłużny dla wykładowców, zupełnie Cziczików Gogola, tylko ta różnica, że Cziczikow w szkole był młody, a nasz kolega 40 letnim mężczyzną i do tego łysym. Na kursach zapoznałem się z niejakim K. — wołyniakiem, był skomunizowany, ale bardzo uступliwym i dobrym kolegą. K. w Warszawie dobrze się orjentował, prędko się dowiedział, gdzie i jaka istnieje organizacja lewicowa i zaciągnął pewnego razu mnie i jeszcze kilku na zebranie wolnomyslicieli polskich. Z zaciekawieniem przysłuchiwałem się gromom rzucanym przez prelegenta (zdaje się Landau) na ustrój religijny. Nie było to mi nowiną, o tem słyszałem w Rosji, jednakże ciekawiło mnie słyszeć te rzeczy w Polsce. Siedząc na ławce i słuchając mówiącego, myślałem na swój sposób. Tu w uwieszanej lampkami elektrycznymi sali można mówić, bo i jest pełno ludzi, i słyhać na ulicy ruch powozów, ale jakby taki p. Landau zachowywał się naprzykład podczas dobrej burzy w lesie, tylko sam jeden i mając pewność, że w pobliżu znajduje się legowisko wilków? Nie powiem żeby się przeżegnał, bo może nie umiał, ale pietra miałby napewno i napewno by odpędzał myśl o nieistnieniu Boga.

Tej zimy starałem się coś nie coś odwiedzić, a nawet byłem w operze. Nie wiem, czy nie miałem gustu artystycznego, czy też moje uszy niewprawne do słuchania wyniosłych melodyj, tylko opera mi nie zaimponowała. Ot tak sobie, wyjdzie ładna pani, coś piszczy, później jacyś mężczyźni coś mruczą i krzyczą i taka kome-dja nazywa się operą, do tego nieznośna muzyka gra bardzo poważne rzeczy, znawcy mówią, że muzyka najczęściej naśladuje przyrodę — nieprawda, z przyrodą stykam się dość często i ta-

kich dźwięków w przyrodzie nie spotykałem, moim zdaniem ta poważna muzyka bardzo dobrze naśladuje piskot niesmarowanych wozów na wsi, a przejazd starego tramwaja w Warszawie. Naprawdę nie wierzę, by się ktoś kochał w operze, uważam, że każdy tam chodzi poto, by tylko się chwalić, że jest zadowolony poważną muzyką, a jak wyjdzie z opery, to stara się czempnąć do kina lub operetki.

Mieszkałem jako sublokator u jednego kolejarza, miał miesięcznie 338 zł., to już po potrąceniu biedaczysko ledwo zipsał. Rodzina jego, składająca się z sześciu osób, przed pierwszym głodowała by napewno, gdyby nie kredyt w sklepie.

Czerwiec 1931 roku.

Z posady nic niema. Straciłem sporo pieniędzy i nic. Nie mając innego wyjścia, zmuszony jestem siedzieć w Wólce. Prawda, siedzę nie beczynnie. Posadziliśmy z żoną 600 sztuk pomidorów i teraz mam zajęcie koło pielęgnacji pomidorów. Oprócz tego, że hoduję pomidory, zakładam jeszcze stawy rybne na wydzierżawionym w tym celu terenie. Mój staw będzie miał około 2 ha obszaru, jest w bardzo dobrych warunkach, jest oparty na wodzie opadowej. Nie mogąc sam założyć stawu, przyjąłem do spółki niejakiego Rubinsztejna pod warunkiem, że staw mam założyć własnym kosztem, natomiast Rubinsztejn ma własnym kosztem staw zarybić. Nie mając pieniędzy na wynajm siły roboczej do kopania rowu spustowego, kopię sam, tylko czas od czasu pomaga mi szwagier Bazyli. Już wykopałem 100 mtr. sześć. rowu i pozostaje mi do wykopania tylko 30 mtr. głębokiego rowu i około 100 mtr. rowku osuszającego w samym stawie. Marzę o tem, że z czasem wyhoduję w tym stawie 1000 kgr. ryby, a nawet obliczam, co sobie z tych pieniędzy zrobię.

O tem, że jestem narażony na kpiny ze strony okolicznych gospodarzy, nie chcę mówić, złości mnie tylko, że gospodarze obiecują sobie nałapać z mego stawu ryb, i przeczuwam, że z tego powodu będę miał sporo nieprzyjemności. Jeszcze ryb niema, ale jak tylko bywam w Bielsku to sprawdzam ceny, która waha się w Bielsku ca 2—2,5 zł. za klg. żywej ryby.

Drugim mojem zajęciem jest organizowanie Kółka Młodzieży Wiejskiej. Inicjatorami założenia kółka była sama młodzież. Bywając często u teściowej, gdzie zazwyczaj zbiera się młodzież, wykpiwałem ich sposoby hawienia się, ich bójki i t. d. Odpowiedź mło-

dzieży była prosta — co mamy robić? Mówilem o kółkach młodzieży, o możliwości urządzania przedstawięń i t. d. To zachęciło młodzież i nalegali, bym pomógł założyć takie kółko. Na niedzielę 21 czerwca było wyznaczone zebranie organizacyjne. Na to zebranie zaprosilem p. Muszyńskiego, miejscowego nauczyciela, tegoż dnia pożałowałem, że zaprosilem p. Muszyńskiego. Właśnie zebranie było już zagajone, gdy wszedł nauczyciel. Z wielką pychą mówił o naszym wkraczaniu w jego kompetencje, o tem że inicjatywa powinna w wypadkach oświaty pochodzić tylko od niego i nareszcie powiedział, że istnienie kółka będzie zależało tylko od niego, bo jak tylko kółko nie będzie stożowało się do jego derektyw, to organizacja ta będzie przez niego zgnieciona w żarodku.

Odpowiedziałem dość łagodnie, że chętnie będziemy współpracowali z nim, jeżeli nie będzie gburem, jak to zapowiada, i jeśli potrafi tą przyszłą organizacją pokierować. Zaproponowano, by siedzibą kółka były Moskiewice, gdzie tymczasowo miała pomieszczenie szkoła. Zgodziliśmy się na to, obiecując w przyszłą niedzielę zawitać do Moskiewic.

Wrzesień 1931 roku.

Znowu zabrałem się do gospodarstwa, prawda — nie posiadam konia ni pługa, to jednakże pole pod żyto uprawiam, nawet mam zamiar wkrótce dokończyć siewu. Tymczasem mam pewien dochód z pomidorów, wytargowałem przeszło dwieście złotych, a późniejszą jesienią będę miał do sprzedania dwa wieprzki wagi około 150 kg. każdego. Zaś na przyszłe lato dojdzie jeszcze dochód ze stawów i już mógłbym żyć. Najgorzej męczą mnie te 700 zł. długu. Jeśli zapłacę dług, to nie będę miał z czego żyć, bo żyta mam tylko 4,5 kopy i prawie wszystko trzeba wysiać, a sobie w ciągu całego roku dokupywać. Gdyby nie te pomidory i nie wieprzki, toby mnie i mej rodzinie groził głód, pomaga mi w znacznej mierze żona zarabiając coś niecoś na maszynie. Wogóle sytuacja bez wyjścia, a tu za czas mej nieobecności Wasyl poprawił na swój koszt budynki, przepisał na swoje imię polisę ubezpieczeniową i ja nic nie mówię, bo i cóż miałem mówić, przecież te budynki i tak nie były moją wyłączną własnością. Nadal gruntu w dzierżawę oddać nie chciałem, nie o dochód chodzi, a tylko o złą obróbkę gleby. Przed kursem miałem kilka tak doprawionych kawałków, że nie wstydziłbym się pokazać nawet powiatowemu inspektorowi, dzierżawca zaś, korzystając z tego że grunt dobrze wynawożony, posiał dwa

razy z rzędu owies i w rezultacie mam grunt zubożony i o nikłej strukturze. Dokładam teraz starań, by wynawozić dobrze ogrody. W tym celu zgromadziłem trochę kompostu, do tego kompostu dodałem sporo nawozu kłocznego i kurzego, miejscowi gospodarze tych nawozów nie używają i odnoszą się do nich z wielką wzdą. Na przyszłą wiosnę chcę wydzierżawić u księdza ogród, w tej sprawie z nim już rozmawiałem — powiada, że gotów jest odstąpić ogród w każdej chwili i na tym ogrodzie mam zamiar posadzić 3000 pomidorów i 3 ar. cebuli. Marzę o tem, by na przyszłą wiosnę zrobić kilka okien inspektowych, jak mi się da przeprowadzić swoje plany — jeszcze nie wiem.

16 października 1931 roku.

Przedwczoraj nasze Kółko Młodzieży w dzień odpustu w Wólce urządziło przedstawienie. Była sztuka „Werbel domowy”, i nawet nieźle odegrana. Włożyłem w to dużo starań, energicznie mi pomagał kol. Samojlik, obecnie rachmistrz kasy. Przedstawienie odbyło się bez dekoracji, pozawieszaliśmy w szkole jeden kąt płachtami i to nam służyło za dekorację. Dociągnąć do przedstawienia było rzeczą niełatwą. Do Kółka wstąpiło dużo chłopców i tylko jedna dziewczyna. Brak dziewcząt w kole padał winą na rodziców tych dziewcząt, liczyli bowiem wielką niemoralnością przebywanie dziewcząt w towarzystwie chłopców urządzających przedstawienia. Żadne moje rozmowy z rodzicami nie osiągały skutku. Aż wpadłem na pomysł. Udałem się do księdza i po dłuższej konferencji ksiądz przyobiecał mi pomoc. Wynik był zadawalniający, na drugą niedzielę do koła wstąpiło 4 dziewcząt. Trzeba było użyć dużo energii, by te dziewczęta przyzwyczajać do normalnego chodzenia, mówienia, obracania się. Zazwyczaj suflerowałem ja. Repetycje odbywały się w ten sposób. Ja czytałem, Samojlik poprawiał ruchy, brat śledził za intonacją, nauczyciel za ogólnym porządkiem. Po takich dziewięciu repetycjach urządziliśmy pierwsze przedstawienie — wypadło dość pomyślnie. Niezrównany był Samojlik jako młynarz, dobrze grali Kowalczykówna Basię, i mój szwagier Michał — Janka. Obecne na przedstawieniu nauczycielstwo było zachwycone, to też nagradzano naszych artystów oklaskami. Teraz minęła obawa, że nie będzie komu „udawać artystów”, powodzenie pierwszego przedstawienia zapewniło istnienie kółka. Zebraliśmy z przedstawienia 17 zł., wkrótce mamy zamiar urządzić drugie przedstawienie.

Listopad 1931 roku.

Znowu spotkał mnie zawód. Marzyłem, że sprzedam wieprzaki i uzyskam przynajmniej ze 300 zł. a tu mi dawali tylko 170 zł. Gdyby cena była dobra, to sprzedalbym obydwu, chociaż żona protestuje, mówi że z postem będziemy jeść. Co tu robić? Z jednej strony doskwiera dług, z drugiej strony oddać za małą cenę — nic z temi pieniędzmi się nie załatwi i do tego dochodzi ta niewygodna, że trzeba będzie marnie się odżywiać, a to dla mnie najstraszniejsze. Po dłuższym namyśle zabiłem obydwu wieprze, postanowiłem jednego z nich pozostawić sobie, a drugiego rozprzedać detalicznie.

Zrobiłem próbny zalew swego stawu i okazało się że wszystko jest według moich przewidywań. Woda zalała 2 ha. łąki i sięga aż do pola, trzymać wody długo nie będę, chcę tylko aby woda, spływająca z pól rozłożyła równomiernie osad, według inż. Arnolda taki osad bardzo podnosi wydajność stawu. Ze stawu jestem bardzo dumny — i nie dziwnego, urządziłem go nie mając grosza w kieszeni, a wszystkie roboty wykonałem własnoręcznie. Na dniach był u mnie inż. Szulc (sąsiad z maj. Pawlinowo), oglądał staw i prosił bym zrobił porządek z jego sadzawkami w majątku — odłożyłem tę robotę na przyszły rok. Miły i sympatyczny ten inż. Szulc. Od 30 lat pracuje na kolei, jest naczelnikiem telegrafu, ale to wcale mu nie przeszkadza bywać co święto i niedziela w Pawlinowie i wtedy pracuje zawzięcie około swego gospodarstwa. Jego energia jest wprost niezmierną, on wszystko musi obejrzeć, do wszystkiego się wtrącić i przy każdym spotkaniu ze mną musi o wszystko zapytać — jak staw, jak pomidory, owies, kasa, kółko — tłumaczę mu zawsze detalicznie i inż. Szulc obiecuje sobie, że jak tylko się zwolni na emeryturę, to zawiąże ze mną spółkę na wszystkie moje kawały — pocieszam go, żartując, że jak wszystko będzie robić, nie będzie miał co jeść.

29 lutego 1932 roku.

Jest już inspekt, złożyłem go 23 lutego. Z trudem zrealizowałem swój plan co do inspektu i to tylko częściowo, bo zamierzałem zrobić 10 okien, a zrobiłem tylko 7 i to zaskliłem na kredyt, a wiele protekcji trzeba było, by żyd zgodził się na zasklenie, nawet niejaka baronowa Denn mi w tem pomagała. Ciężka rzecz ten inspekt, trzeba bardzo być pilnym, to też sąsiedzi są bardzo zdziwieni widząc mnie chodzącego po nocy z latarką w ogródku. Jak zawsze widzą

w tych moich zmaganiach błagę jedynie, Mańkiewiczowa poprostu mówi, że z wielkiej nauki zwarjowałem i z tego powodu nazywa mnie „głupim Gabryelem”, bo w tut. okolicy zwarjował niejaki Gabryel, więc ciotka dokłada wszelkich starań, by przyczepić do mej osoby to przezwisko. Ale nietylko prości chłopci, nawet wiejska inteligencja patrzy na wszystkie moje poczynania z pobłażliwym uśmiechem. Tak na przykład, gdy odwoziłem do tut. gminy materiał spisowy, bo to byłem starszym komisarzem spisowym, to w toku rozmowy z przedstawicielami delegacji wiejskiej zauważyłem, gdy zaszła rozmowa o moim stanie, jak niektórzy patrzyli w ziemię starając się unikać rozmowy. Ksiądz, u którego wydzierżawiłem ogród, jakoś zaczął rozmawiać ze mną nie tak serdecznie jak mówił przedtem i dziwną rozmowę ze mną prowadził w kuchni, nie zapraszając mnie jak to czynił przedtem do pokoju. Pal ich djabli, niech kto inny ich sądzi — ja nie będę.

Inspekt jest założony; szkła zrobiłem na kredyt, nawóz wzięłem u wujka — liczono po 2 zł. za furę, a za nawóz również nie płaćłem, żona zarobiła ten nawóz szyciem, spodziewam się że będę miał z czasem zysk.

Ciepłego inspektu założyłem 4 okna i tę przestrzeń zasiałem pomidorami, trzy okna pozostawiłem na pikowanie, a resztę przepikuję pod maty.

Nie zważając na pilne zajęcie w domu, bywam dość często w Moskiewicach. Członkowie kółka mają do mnie zaufanie, a to mnie bardzo cieszy, prawie wszyscy chłopcy wstąpili do kółka i liczba członków dochodzi do 30, nie zapisali się tylko ci którzy potrafią kogoś pobić, bo to wiadomo w kółku nie może być taki jegość butny, musi się uśmierzyć, a tego im najbardziej się niechce, bo to w kółku mówimy o wszystkim, staram się swym młodszym kolegom pokazać jak zdrowo wychowany młodzik powinien wyglądać, energicznie pomagają mi w tem brat Wasyl i Samojlik. Nauczyciel koniecznie chce być prezesem i z tego powodu nie jest zadowolony z naszych postępów.

Pewnego razu dużo śmiechu wywołałem, ostro krytykując sposób chodzenia wiejskiego chłopaka, kol. Samojlik pokazał, imitując dokładnie, chód z wykrzywieniem boku każdego kółkowicza. Żarty żartami, ale idąc pewnego razu do sklepu zauważyłem jak kilku kółkowiczów, spostrzegłszy mnie, szli zupełnie równym miejskim krokiem.

Teraz zagarnąłem wszystkich kółkowiczów do roboty, Wasyl ofiarował dwa kłoce i my wszyscy trzemy deski cienkie na ramy do dekoracji, na to ofiarowaliśmy dwa dni. Chłopcy starają się jak najlepiej, wystarczy tylko jedno spojrzenie by domyślił się o co chodzi. Więc nikomu nie pozwalam udawać pana. Samojlik, należący do „podpanków”, pracuje narówni z wszystkimi, tak samo robimy ja z bratem, natomiast nauczyciel jest nie do zniesienia — udaje pana i nie raczy zdjąć rękawiczek, a przecież każdemu wiadomo, że jest chłopem i tylko teraz nauczycielem. To jeszcze nic, ale wszędzie wtrąca się nie rozumiejąc rzeczy, bo sam się przyznał, że dekoracji jeszcze nie widział i naraża się na niewykonanie rozkazów wydawanych przez siebie, bo nigdy ich nie wydaje w moment potrzeby, a zazwyczaj po wykonaniu mego lub kol. Samojlika zlecenia, co znowu zniechęca chłopów, zresztą ci przestali zwracać na niego uwagę.

W przyszłą niedzielę mamy zamiar odegrać „Zagłoba swatem” Sienkiewicza i „Wole łączki” Czechowa^{*)}. Na tem tle powstała kłótnia z nauczycielem. Upierał się by odegrano inną sztukę (zapomniałem nazwę), w której sens moralny — było ślepe posłuszeństwo swemu dziedzicowi i w której prosto było powiedziane, że chłop nie może marzyć o zajmowaniu stanowiska narówni z dziedzicem. Wobec kółkowiczów ostro skrytykowałem tę sztukę, mówiąc że ta sztuka dobrą byłaby do odegrania 300 lat temu, a nie teraz. Nauczyciel nazwał mnie komunistą, a ja go zwyczajnie durniem — odchodząc nie podaliśmy sobie rąk. Na następnym zebraniu pogodziliśmy się. W sztuce „Zagłoba swatem” jest ciężki język, tak mówią nasi artyści, ale pocieszam ich mówiąc, że dalsze sztuki będą jeszcze trudniejsze. Jak zawsze najtrudniejsze pierwsze repetycje, następne idą lepiej, a wczoraj mieliśmy generalną próbę. Wszystko idzie jak najlepiej. Zagłobę gra Samojlik i gra bardzo dobrze, zresztą był artystą zawodowym w Grodnie, grając sztuki białoruskie, jedynym felerem i najgorszym jest jego zły akcent. Poprawiam go zazwyczaj aż do gniewu, zapomina się i znowu to samo. Namówiłem go by wszystkim wypisywał rolę czytając głośno wyrazy — nie teraz, to może z czasem przyzwyczai się nie zamieniać „O” na „A”. Kowalczykówna jak zawsze gra dobrze, a bynajmniej nie jest inteligentną dziewczyną, ot tak sobie zwyczajna chłopka i tyle, i całą jej rozrywką to było uczęszczanie do chóru cerkiewnego gdzie trzymała prym.

*) Sztuki takiej w zbiorze dzieł Czechowa niema (przyp. J. G. S.).

4 maja 1932 roku.

W tym miesiącu mam niepowodzenia. Mój wspólnik rybny Rubinsztejn odmówił spółki, tłumacząc się brakiem gotówki — zbadałem to osobiście za pomocą wywiadu prywatnego i to jest prawdą. Rubinsztejnowi nie powiodła się spółka w stawach maj. Pakaniewo, gdzie miał 25% udziału, przy pomocy jakichś dziwnych zabiegów wyleciał stamtąd bez grosza, musiałem w swym stawie spuścić wodę by nie płacić dzierżawy, bo tak czy inaczej na swój koszt stawu nie zarybię. Drugi bolesny cios to zadała mi kura. W święto Wielkanocy wlaźła pod zluftowane okno inspektu, powyrzebywała co najładniejsze flance pomidorowe, uwiła z wygrzebanych flanców gniazdo i zniosła mi jajo, i to z tego powodu sąsiadka wymawiała mi że naumyślnie urządzam potajemki by zwabiać cudze kury do składania jaj. Prawdziwego poświęcenia i męstwa trzeba było użyć, żeby niemając grosza w kieszeni i własnego konia posadzić kartofle i posiać zboża jare. Nad tem długo męczyłem się, ale jakoś zamierzonego dosięgłem.

W kółku robota idzie dotychczas dobrze, ale miałem wielką nieprzyjemność. Po dobrze udanym ostatnim przedstawieniu „Zagłoba swatem” i „Wole łączki” szykowaliśmy się do przedstawienia „Majster i czeladnik”. Pewnego wieczoru podczas próby wszedł nauczyciel w towarzystwie pijanego sołtysa sąsiedniej wsi, sołtys żądał zejścia się nazywając nas niebardzo przystojnie. Nauczyciel zaś zdanie sołtysa podtrzymywał. Spytałem sołtysa śmiejąc się, gdzie on wypił, a że sołtys mnie znał b. dobrze, powiedział że „zrobił” kilka kieliszków u nauczyciela, ostatni dosłyszał naszą rozmowę, stanowczo zaprzeczył temu. Nie było rady, kazałem wyrzucić sołtysa i tylko; po godzinie rozchodziliśmy się. Gdy wyszedłem na ulicę, było bardzo ciemno i ledwie tylko odszedłem ze 20 mtr., jak ktoś zadał mi bolesny cios kamieniem w plecy. Zajączkałem z bólu. Koledzy moi rzucili się w poszukiwaniu winowajcy — mówią: znaleźli. Podeszedłem do nich, wskazywali na niejakiego Kowalczyka nienależącego do kółka. Ledwie powstrzymałem swych kółkowiczów od złinczowania Kowalczyka, pozostawiając sprawę do lepszego oświetlenia. Na drugi dzień rano byłem osobiście w M. i, dziwna rzecz, sołtys mi się przyznał, że widział jak nauczyciel rozmawiał z dwoma znanymi złodziejami i upewniał mnie, że ten kamień był rzucony w naszą stronę po namowie nauczyciela; zasadniczo sołtysowi nie wierzyłem, bo również po namowie nauczyciela przycho-

dził nas rozpędzać. Na następnych zebraniach obserwowałem nauczyciela, był zawsze dla mnie bardzo uprzejmy, czego nie zauważyłem przed tym wypadkiem, to jednakże nie byłem pewny, by nauczyciel tak brzydko mógł postąpić. Teraz nauczyciel nagwałt pcha się na prezesa. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy prezesostwo powierzyć drugiej nauczycielce, jeszcze bardzo młodej pannie K.; dotychczas K. prawie nie wtrącała się w sprawy kółka — przygotowywała siebie do egzaminu — a jakiego nie wiem. Długo nie chciała zajmować proponowanego stanowiska i tylko po dłuższej namowie zgodziła się objąć prezesostwo. Nauczyciel jednak i tem nie był zadowolony i, gdy pewnego razu nie byłem z Samojlikiem obecny na zebraniu, powiedział, że nie uspokoi się do tego czasu, póki nas nie wyrzuci z kółka. Wobec takiej postawy, a nie chcąc by kółko rozlatywało się, zgłosiłem wystąpienie z kółka i co z tego? Wraz ze mną zgłosiło wystąpienie jeszcze 22 czynnych członków. Nie było wyjścia, na ostatnim zebraniu postanowiliśmy założyć kółko w Wólce, zapraszając do tego kółka tylko p. K., ta znowu była bardzo obrażona, że niby ja z rozmysłem wystawiłem ją na kpiny, raz wybierając ją prezesem, a drugi raz rozwiązując kółko. Prawda, sam to uznałem i starałem się wytłumaczyć pani K., że nie miałem złych zamiarów, i wszystko na nic, pani K. do kółka wólczańskiego wstąpić nie chciała. Nauczyciel, widząc że go z kółka wyrzucamy — podniósł alarm. Był u komendanta posterunku i powiedział, że ja organizuję jacejki komunistyczne, w takim samym świetle wystawił nas wobec władz gminnych i powiatowych. Początkowo nie wierzyłem by nauczyciel tak nisko siebie stawiał, jednakże przy spotkaniu z komendantem przekonałem się, że jego denuncjacje były faktem. Prawda, że na tem nic nie wygrał, co sobie obiecywał, bo pewnego razu mówił u żyda w sklepiku, gdzie zazwyczaj lubiał przesiadywać, że na nas wszystkich nałożą kajdany i popędzą do Białegostoku, to jednakże posiał pewne zniechęcenie wśród kółkowiczów i z żalem i bólem muszę stwierdzić, że nam koło zamiera.

Wczoraj w dniu 3 maja urządziliśmy bezpłatne przedstawienie — wszyscy grali b. dobrze. Ja grałem w „Wolich łączkach”, brat mówi że nie ustępowałem w niczem Samojlikowi. A że wstęp był bezpłatny, sala i podwórze były zapelnione. Chłopi podziwiali nasze zdolności i na swój sposób wychwalali nas i naszą pracę, odzywając się o nas z uznaniem.

30 maja 1932 roku.

Wydatki związane z urządzeniem inspektu już pokryłem, sprzedałem za 150 zł. flanców pomidorowych, oprócz tego wysadziłem sobie 3000 pomidorów i sporo cebuli. Umówiłem się z księdzem, że za ogród warzywny zapłacę mu 75 zł., wszyscy mówią, że to zbyt drogo, jednakże nie mam innego wyjścia i na tę cenę muszę się zgodzić. Mam teraz inną biedę. Był już u mnie trzy razy komornik. A co do sekwestratora, to już nie wiem wiele razy był u mnie. Wszystko, co tylko mam w mieszkaniu, mam zajęte. Naprzykład krowę to komornik opisał raz, a sekwestrator cztery razy. Umeblowanie pokoju składające się z dwóch taburetów, jednego stoła, łóżka i łóżeckiego, również kilka razy opisano. Maszynę do szycia chowam, a że brat jest sołtysem, to wiem najlepiej, kiedy kto przychodzi i zaraz maszynę wynosimy z mieszkania. Te sekwestry to cała pociecha, jak tylko sekwestrator wchodzi do wsi, to wszczynają się ruchy nie do opisania. Naprawdę moi niepowodzenia doprowadzają mnie do rozpacz, nu z jakiej racji ja mam łaskawie rozmawiać z sekwestratorem, kiedy tylko wystarczyłoby zapłacić podatek i być zupełnie obojętnym do tych panów. Stanowisko sekwestratora obiecuje mi dać sekretarz naszej gminy p. Kwiatkowski, a nawet przy każdym spotkaniu namawia do sekwestratorki, to jednakże przy tak marnej mej sytuacji tego stanowiska stanowczo odmówiłem. Takie postępowanie wielce dziwiło „zadeklarowanych inteligentów wiejskich”, a mnie nie. Wolę biedę klepać na swej roli, jak być „ściągaczem”. Bo naprawdę śmiesznym byłoby moje urzędowanie — jakby jakieś habsko jeszcze wrzeszczało i kłóciło się ze mną, to podatek jeszczeby był ściągnięty, ale jak taka kobietaby płakała, to żona mówi że ja samby za nią podatek zapłacił, a jak nie miałbym czem płacić — no to uciekłbym ze wsi. Ksiądz jest innego zdania i mówi, że sekwestratorka daje pewien dochód i radzi mi bym kilka groszy zarobił, bo powiada że ja już chodzę oberwany. Pomyślałem sobie — może z tej to przyczyny ksiądz nie chce wpuścić mnie do pokoju.

Kilka dni temu byłem u Mateusza w Hajnówce. Zaczyna się urządzać, dorobił się już do tego, że ma własny sklepik, powiada że teraz już może żyć. Mateusz powitał mnie po przyjacielsku, natomiast bratowa z tak przyjemną miną i tak wytwornymi manierami, że pomimo woli przyglądałem się, z której strony pokoju są drzwi. Nie zwracałem na bratową najmniejszej uwagi, przyjechałem w pewnym interesie i chciałem koniecznie go załatwić. Cho-

dziło o to — w swoim czasie poręczyłem się w imieniu kasy, byłem wówczas członkiem zarządu kasy, na wekslach wystawionych przez Mateusza fabrykantom maszyn mleczarskich, a teraz nadchodził termin licytacji na Mateuszową ziemię, to też przyjechałem do niego by coś robił, bo terazniejszy zarząd kasy na czele z Mańkiewiczem nalega na mnie. Mateusz zapewnił mnie że weksle z moim zyrem ma u siebie, robiąc prolongatę spłaty tych weksli zamienił je na inne, co do ziemi to nie miał zamiaru jej ratować, mówiąc że jest mu niepotrzebną. Rozmowa zesłała na inny temat, ale bratowa ustawicznie narzekała na Wólkę, zwalając na wólczańskie warunki życia swe osobiste niepowodzenia życiowe. Siedziałem koło obiadu i myślałem o tem, że pani kontrolerowa nie jest dostatecznie grzeczną kobietą, to też starałem się wyrwać od nich jak najprędzej.

15 września 1932 roku.

Sezon pomidorowy uważam za ukończony i jest jeszcze trochę pomidorów, ale prawie sama tylko zgnilizna. Pomidory mnie nie zawiodły, wytargowałem w ciągu lata 960 zł., ale też miałem koło nich roboty. Prawda, gotówki tyle nie mam, pozostało mi około 300 zł. Ale mam już własnego konia, trochę kupiliśmy z żoną ubrania sobie i dzieciom, trochę zapłaciłem podatku, zapłaciłem zadłużenia w sklepach i naprawdę oddycham teraz wolniej. Wiem że mi do drugiego sezonu tyle pieniędzy nie wystarczy, ale bądź co bądź osiągnąłem pewien sukces. Teraz to sąsiedzi nie mówią tak jak przedtem, a już zwracają się do mnie w formie delikatniejszej. Naprawdę pieniądze dokonują cudów! Tutejsi gospodarze obliczają, że conajmniej mam 2000 zł. gotówki, to też drzwi od chcących pożyczyć kilka złotych nie zamykają się. Swoją drogą nikomu nie nie chcę pożyczyć, bo pytanie — gdzie ja wezmę tych pieniędzy, ale mylnego mniemania swych sąsiadów obalać nie chcę, niech tam sobie myślą, że jestem bogaczem, co to mi szkodzi? Pożyczyłem znowu teściowej kilka złotych, spodziewam się że teraz nie dojdzie do kłótni, bo to szwagrowie już po wojsku, a więc bardzo ich lubię, a tamci znowu odwiedzają mi się i bardzo mnie szanują. Co do szwagierki, siostry żony, to ta jest przez wszystkich nielubianą, to też jak tylko trafił się kawaler, spieszyli czemprowadzić wydać za mąż, jedynie ja z żoną sprzeciwialiśmy się temu i nie chcieliśmy dopuścić do tego małżeństwa. Kawalerem Hanki, tak się nazywa szwagierka, był niejaki X, tego lata wrócił z Argentyny do swego

ojca, ten zaś przesiedlił się do nas z Czeremchy. Jego rodzice ludzie bardzo zabobonni i razem religijni, jeszcze będąc w Czeremsze wyprawili swego syna do Argentyny, a że syn ich był jedynym tylko dzieckiem, to też bardzo dziwiłem się, że starzy zechcieli odpuścić od siebie jedynego syna. Tego lata młody powrócił z dalekich krajów, a że starzy o nim dużo mówili, z zaciekawieniem przyglądałem się argentyńczykowi. Kilka razy z nim rozmawiałem, był całkowicie przesiąknięty bolszewizmem, jego mowa składała się tylko z małej ilości godzin pracy i rżnięcia burżujów. Chciałem wy badać, czy może zna głębiej ideały bolszewickie, okazało się że był ciemny jak sadza, to też przestrzegałem teściową i Hankę by zaniechały tego małżeństwa. Ale gdzie tam, teściowa tłumaczyła moją niechęć do tego związku, niechęcią pożyczania im pieniędzy na wesele. Pieniądzy, prawda, nie chciałem pożyczyć, ale obiecywałem w razie potrzeby dać, wzamian za co zabrałbym z ich sadu jabłka.

Starzy O. również pragnęli tego małżeństwa, widziałem, że nic z mego uporu nie wyjdzie, to też dałem spokój i postanowiłem w to nie wtrącać się. Wesele jakoś wyprawili tam byle jakie, bo to rodzice pana młodego — ludziska biedni, a i teściowa mało im ustępowała w zamożności. To działo się w czerwcu, obecnie nasz bolszewik, przezwany „macholką” bo literę „r” zamieniał na „l”, tak że gdy mówił machorka to wychodziło „macholka”, wprowadza w czyn swe bolszewickie idee. Kiedy tylko Hanki zapytałem, co mąż robi, to zawsze otrzymywałem odpowiedź, że nic nie robi, leży tylko na łóżku. Hanka była bardzo niezadowolona z niego, a że znałem dobrze Hankę, która nie była lepsza od męża, nie zwracałem na nich żadnej uwagi, a gdy obydwie skarżyły się mi, że Hance w przyszłości będzie bardzo źle, posyłałem je do wszystkich djabłów i zabraniałem wspominać mi o przyszłych losach Hanki. Właśnie przedwczoraj nagle pomiędzy nowoupieczonem małżeństwem wybuchła ostra sprzeczka, a później bójka, w rezultacie której Hanka wybiegła się do miasta na służbę. Doradzałem jej to zrobić, bo skoro zbolszewizowany mąż nic nie chciał robić, to po djabła masz go ze swych zarobków karmić, idź pracuj na siebie, a on znowu niech pracuje na siebie. Mąż Hanki chciał sprzedać ślubną sukienkę i ślubne buciki swej żony. Musiałem w to się wnieść i zagrozić pobiciem gdyby to zrobił, poskutkowało, natychmiast przyniósł te rzeczy i oddał Hance. Nabyłem jeszcze jednego wroga, bo Hanczyn mąż ciągle przesiaduje u Mańkiewiczów, ci znowu go podburzają by mnie pobił. Te wiadomości dochodzą do mnie dość często, zawdzię-

czając usłuźnym informatorom, których zresztą wypędzam z mieszkania. Łatwo się domysleć, że powtórzy się taka sama historia jak kiedyś była z Wojtkowskim, któremu, by uniknąć sprawy sądowej, dałem 30 zł., ale zrobiłem z niego sobie przyjaciela; zresztą Wojtkowski był inteligentem miejskim, ten natomiast jest bolszewikiem wiejskim. Sprawa kółka młodzieży wiejskiej utknęła na martwym punkcie i kółko właściwie nie istnieje. Wina zatabowania rozwoju kółka padła na nauczyciela, bo gdy chcieliśmy w Wólce postawić „Majster i czeladnik”, to on nie chciał nam oddać naszych dekoracji i zasłony, nie mając żadnego prawa zatrzymywać tych rzeczy, bo są wyłączną własnością kółka. Gdyby nie pomidory, którymi byłem całkowicie pochłonięty, rozwózając je po targach, to rzeczy te odebrałbym przy pomocy policji, ewentualnie sądu, i to trzeba było zrobić koniecznie, ależ postępowanie takie mnie samego zniechęciło do pracy w kółku, czego starałem się nie dać poznać pozostałym kółkowiczom.

Zagrażanie policją przestraszało niektórych młodszych kółkowiczów, to też ci przestali chodzić na zebrania, a jeden z policjantów pewnego razu zawezwał mnie do sołtysa wsi Wólka, żądając wyjaśnienia sprawy kradzieży przez kółkowców jakichś papierów i pieniędzy u nauczyciela. Z policjantem miałem ostrą rozmowę, występowałem prywatnie nie mając protokołu z zameldowania nauczyciela. Zagroziłem skargą do prokuratora — złagodził i przyznał się, że miał z nauczycielem prywatną rozmowę, tłumaczył się, że chciał zrobić tylko prywatny wywiad, a nie mając nikogo znajomego zwrócił się do mnie. Zrozumiałem, dlatego by uratować istnienie kółka trzeba było działać energicznie, trzeba było odwiedzić inspektora szkolnego, starostwo i policję, stanowczo nie miałem na to czasu, za dużo miałem swego zajęcia i sprawy kółka odłożyłem na zimę.

Listopad 1932 roku.

Tej jesieni urządziłem sobie drugi staw, wynalazłem go sobie u p. Kosińskiego w Gregorowcach. Jest staw położony pośrodku zabudowań dworskich o bardzo żyznej wodzie i nie jest bardzo zanieczyszczony. Zalewa się wodą opadową i zaskórną. Przekopanie odpływu i budowa mnicha kosztowała mnie 50 zł. Wyłapałem karasi za 44 zł. mało straciłem i do tego będę miał stawek o powierzchni 4.000 m² o bardzo żyznej wodzie bo wszystkie ścieki z podwórza dworskiego prowadzą do tego stawu. P. Kosiński jest bardzo zado-

wolony z tego urządzenia, bo mu z pod samych okien spuściłem cuchnącą wodę, do tego jest wielce zdziwiony, że niedużym nakładem robocizny spuściłem wodę, uważał że jego dwór położony jest na równinie, gdzie tylko daleko widoczny był spad. Ale ja nie bardzo jestem zadowolony z budowy nowego stawu, bo widzę że trzeba jeszcze dołożyć dużo pracy i pieniędzy by z tego stawu usunąć zanieczyszczenia. Kupiłem u p. Kosińskiego około 10 m³ drzewa budulcowego, kupiłem tylko dlatego że tanio sprzedawał, zresztą potrzebny mi będzie z czasem budulec, bo nie bez tego bym sobie coś nie budował, bo to znowu trzeba mieć deski w zapasie na skrzynie inspektowe, a może wypadnie gdzieś wybudować mnich i t. d. Na przyszłą wiosnę mam zamiar założyć więcej inspektów, projektuję dorobić jeszcze siedemnaście okien, chcę mieć oprócz pomidorów wczesne kalafiory, kapustę, więcej flanców warzywnych na sprzedaż, marzę o tem by dorównać ogrodnikom w Bielsku; zresztą jest tu jeszcze gdzie warzywa spieniężyć, najwięcej kupują warzyw w Hajnówce gdzie jest dużo robotników, i w Milejczycach, gdzie zbiera się do tysiąca letników. Utrudnioną jest dostawa, bo odległość do Hajnówki wynosi 32 klm., do Milejczyc 14 klm., do Bielska 17 klm., Kleszczule 7 klm. We wszystkich tych miastach w tym roku podczas największego zbioru pomidorów byłem co tydzień, przeciętnie tygodniowo targowałem 80 zł., ale wymęczyłem się tak, że teraz z trudem chodzę.

Szwagierka Hanka wróciła do męża, urządziła się w ten sposób, że poprosiła niejakej Tomaszowej by poszła i spytała męża, czy ją przyjmie, i uzyskawszy zgodę, cichaczem wsunęła się do mieszkania; byłem bardzo zły na Hankę za tak niehonorowe postępowanie. Narobiła kłótni, hałasu, z paradą zabrała swe rzeczy, a teraz jak zbity pies wróciła. Narzeka że na służbie jest bardzo ciężko i w ciągu tych kilku tygodni zmieniła 7 miejsc, aż nareszcie wróciła do domu. Do mnie nie przychodzi, a chcąc pozyskać mnie, dopada do mych dzieci, starając się je zabawić. Dzieci rok po roku rosną. Starsza córka ma już ukończonych 5 lat, a nawet prędko ukończy 6, młodszą Irena, ma trzeci rok. Niejednokrotnie zastanawiałem się jaki je czeka los; żeby nie ta nadzieja, że to z czasem będzie lepiej, to mógłbym teraz powiedzieć co je czeka, bo wiadomo, że nic nie czeka oprócz losu chłopki, i to dobrze jak trafi jeszcze na dobrą rodzinę, gdzie rządzą się zdrowym chłopskim rozumem, a jak trafi na takich jak Hanka to lepiej niechby nie żyły. Starsza córka, póki nie wychodziła na ulicę, była zabawna, matka wyuczyła ją kilku wierszy-

ków i z przyjemnością słuchałem jak takie małeństwo z trudem wymawiało „posli zeki w klaj daleki”, ale to było tylko zimą, wiosną i latem nie było mowy o wierszykach. W ciągu lata wszystko zapomniała co umiała zimą. Mam chęć niezmierną by dzieci wychować jak najlepiej, ale jak to zrobić — nie mam pojęcia. Wałęsając się dużo po świecie spotykałem czas od czasu dzieci wychowane dobrze, przypominam że dobrze wychowane dziecko sprawia dużo przyjemności, ale na to ani ja, ani żona nie mamy czasu. Latem starsza córka lata ze swymi rówieśnikami, bo nie sposób dziecka utrzymać przy sobie, jak ja tak i żona mamy tyle zajęć, że czasami nie śpimy po całych nocach, a starsza córka wówczas pozostaje całkiem bez opieki. Jej dzień przechodzi na lataniu po podwórzach, od pewnego czasu zauważyłem, że dziecko przestaje słuchać swej matki i tylko po dłuższym krzyku wykonuje zlecenie, do tego jest zawsze brudna, rozczochrana, osobiście mało kiedy to zauważam i jeśli zauważam to, zawsze zajęty swymi sprawami, jestem nerwowo usposobiony i zmuszam dziecko krzykiem, by zrobiło to i owo. Nie znoszę najmniejszego nieposłuszeństwa i przy najmniejszym oporze biorę do rąk pasek, doprowadziłem dzieci do tego, że gdy krzyknę to dziecko ze strachu aż się zatrząsie. Widzę że jestem zbyt w stosunku do swych dzieci despotyczny, wiem że takie postępowanie jest niedobre, to jednakże postępować inaczej nie mam siły, bo widzę że dziecko, obcując z innymi dziećmi, podpada pod wpływ tych dzieci i nic dziwnego, latem dzieci mnie widzą tylko raz w tygodniu, a swe koleżanki codziennie. Widziałem jak wychowują swe dzieci ludzie inteligentni w miastach, tam z dzieckiem wystarczy rozmowa by wykonało jakieś zlecenie, tam dziecko w 5 lat zaczyna coś myśleć, stawiając jakieś konieczne pytania, natomiast moje starają się by jak prędkiej mnie uniknąć, bo swymi uwagami dość nerwowymi przeszkadzam zabawić się tak, jakby one tego chciały. Widzę swe braki, jak również luki w wychowaniu swych dzieci, to jednak zrobić nic nie mogę, bo nieodzownym warunkiem dobrego wychowania dzieci to trzymanie dzieci przy sobie, a nie wśród starszej dziatwy, która najczęściej już potrafi coś ukraść z ogrodu lub sadu. A to jest niewykonalne, bo jakże — w ciągu dnia trzeba wykonać tyle roboty, trzeba być w tylu miejscach, że człek nawet jest zadowolony, że mu nikt nie przeszkadza. Zasadniczo latem obiecuję zająć się dziećmi w zimie, a zimą macham ręką, a niech tam pójdzie do szkoły, to tam jakoś będą wychowywać. Szkoła ta również mnie przestrasza, obawiam się by nauczyciel nie

mścił się za mnie na mych dzieciach, od tego cudaka wszystkiego można czekać, to znowu powód do zmartwienia.

2 stycznia 1933 roku.

Kółko nie istnieje, chłopcy już zapomnieli o wszystkim, choć nieraz żalują tego kółka. W święta bywam często u teściowej gdzie zazwyczaj zbierają się wólczańskie chłopaki. Obserwuję teraz ich postępowanie między sobą, ich zabawy taneczne, słyszę rozmowy. Janek Kasjanów często opowiada jak współżyje z ojcem zamożnym gospodarzem i bardzo oszczędnym, ale Janek zawsze ma pieniądze. Pytam się skąd ma pieniądze? — A ot — odpowiada — ojciec ma jeden klucz od śpichrza, a ja drugi i ojciec swój chowa z jednej strony ulla, a ja z drugiej. Dobrze — a jak ojciec trafi na twój klucz, przecież domyśli się twego złodziejstwa? A jak on trafi, klucze są jednakowe, jak trafi na mój, to pomyśli że jest jego, a mnie w takim wypadku pozostaje klucz ojca. — No dobrze, poco tobie zasadniczo potrzeba pieniędzy, przecież ubranie ojciec kupi, a jeść chyba za te pieniądze nie potrzebujesz kupować. — Tak, a machorkę za co kupię, a na zabawie za co wypiję, a jak nie wypić to niema ryzyki do zabawy, a bez zabawy co ja ze starymi będę siedział i gadał co mówił dziś ksiądz, albo jak śpiewał w miasteczku ślepy dziad? — Zasadniczo wszyscy chłopcy zamożniejszych rodziców kradną u swych ojców zboże i odnoszą do żyda lub nawet prosto, co zdarza się najczęściej, do swych sąsiadów, a ci spieniężają i grubo zarabiają. Za uzyskane pieniądze chłopcy najczęściej urządzą zabawy, na te zabawy przychodzą zazwyczaj dobrze podchmieleni, i niema tej zabawy by jeden drugiego nie pobił, dobrze jak na sucho, gorzej gdy pokaleczy nożem. Sama zabawa taneczna jest nadzwyczaj zabawna. Tańczą naprzykład powolnego walca. Jak chłopak, jeśli nie jest podchmielony, tak i jego dama podczas tańca nie wiedzą co zrobić ze swemi oczami, najczęściej jednak patrzą w ziemię, a że walc jest powolny, więc para tańcząca wcale nie zdradza temperamentu, chłopak przewala się z nogi na nogę jak kaczka, zaś jego tancerka starrannie go naśladuje. Inna rzecz jeśli taki tancerz jest „pod gazem”. Wtedy nikt nie chce tańczyć powolnych walców a każdy różnie polki z przysiadami, a tak grzmoci nogami, że echo zabawy słychać po całej wsi. Tańczą jednego tańca długo i tylko zmęczenie zmusi spocynych i zziających tancerzy do krótkiego wypoczynku. Przed kilkoma dniami zaproponowałem chłopakom, będąc z nimi u teściowej, by pojechali do Bielska na przedstawienie teatralne zespołu amator-

skiego urzędniczego. Proponując to chłopcom miałem na myśli, by zobaczyli jak idą przedstawienia w mieście. Odmówili. Zresztą teraz nie zamierzali urządzać przedstawienia. Samojlik już wyjechał na inną parafję, Kowalczykówna i druga panna najzdolniejsza w naszym zespole powychodziły zamąż. Ci co pozostali trzeba byłoby robić im tysiąc prób i przedstawienie nie byłoby udane.

Tegoroczne święta mam trochę weselsze. Sprawa długów utkwiała na miejscu, komornik już nie przyjeżdża, zrobił mi zajęcie na grunt i na tem koniec. Co do sekwestratorów, to podatki potrosze załatwiam.

Luty 24, 1933 roku.

Znowu mam nieprzyjemność. W Moskiewieckim stawie zerznąli mi mnich, a że woda była zapuszczona więc łatwo było wyrznąć stojak, a nawet uszkodzili mi leżak. Co mam teraz robić? Drugiego mnicha wstawić niepodobna, zbyt głęboko przemarznięta grobla, a nawet gdybym wstawił to świeżo włożone bryły ziemi woda by swym naporem wyrzuciła, leżak starego mnicha jest znowu zanedo uszkodzony, niepodobna przymocować do niego stojaka a woda już zaczyna z pól zlatywać. Nie mam rady, widocznie niepowodzenia będą prześladować mnie przez całe życie. Zastanawiam się, czy kradzież mnicha była zwykłą kradzieżą desek, czy też to było zrobione z rozmysłem uszkodzenia tylko. Co mam robić — meldować do policji nie ma sensu, bo poszukiwania policji doprowadzą do tego, że reszta gospodarzy, odnoszących się do mnie z zaufaniem, stracą to zaufanie i to ujemnie wpłynie na nasze stosunki w dalszym współżyciu, pozostawić ten zwyrodniały czyn też niewarto, bo to rozzuchwali złodziei jeszcze więcej. A tymczasem jestem bardzo zajęty, nie mam czasu na poszukiwania złodziei, koniecznie trzeba prowadzić inspekta. Gnój mam już zwieziony, zwiozłem go tyle że mi starczyło na wyłożenie trzech czterookiennych skrzyń, a więc zakładałam ciepły inspekt o ośmiu oknach, więcej jak w zeszłym roku. Ogródek ten dobrze w jesieni zagrodziłem, jednakże muszę stwierdzić, że ktoś na złość mi wieczorem odmyka furtkę i tak pozostawia, widocznie obliczając na jakąś psotę.

To wszystko doprowadza mnie wprost do rozpacz i teraz gdybym zauważył takiego osobnika, to sam napewno siedziałbym na drugi dzień za kratami. Tego roku wprowadzam jeszcze większy asortyment warzyw, to czego klienci potrzebowali w zeszłym roku starannie notowałem, teraz wszystkiego żadanego potrochu po-

siałem. Nasiona warzyw sprowadziłem od Treego z Krakowa, zaś cebulę od Garnuszewskiego. Założenie inspektów kosztowało mnie około stu złotych. Robocizna nie nie kosztuje bo wszystkie roboty wykonuję własnoręcznie. Ogród i na ten rok wydzierżawiłem u księdza, trochę mi się nie podoba, bo jest za mokry, ale innego ogrodu nie mam gdzie wydzierżawić, wobec czego zmuszony jestem sadzić na tym samym ogrodzie.

Marzec 1933 roku.

Malutkie niepowodzenie spotkało mnie znowu, podczas silnych mroźnych wiatrów zaczęła mi zamarzać skrzynia z pomidorami drugiego siewu, temperatura spadła do 4°. Widocznie zbyt pochopnie zabrałem się do ratowania, dałem świeże okłady i w ciągu nocy sparzyłem pomidory, ale tylko część, reszta pozostała zdrową. Już był czas najwyższy by zapuścić zarybek do Gregorowickiego stawu, bo Moskiewskiego nie uratowałem i szalona woda nawet rozniosła mi kawałek grobli. Właśnie zastanawiam się czy to mi warto zarybiać ten stawek. Gregorowce odległe o 3 klm., dogład byłby utrudniony, trzeba byłoby kogoś wynająć, nie wiem czy to się opłaci. Nie, napewno zrezygnuję z zamiaru zarybienia, do tego za zarybek tak drogo cenią, na przykład p. Gartkiewicz w Awijankach chce za kilo zarybku 4 złote, nie wiem naprawdę co ja na tem wygram. Ten rok niech tak pozostanie, może na przyszłość zrobię więcej stawów, przynajmniej tyle by się opłacił dozór płatny, a tego roku postawimy na stawku krzyżyk. Pokładam wielkie nadzieje na inspekta, bo jak nic nie wyjdzie z inspektów, to mogę pozostać na lodzie.

Byłem na zebraniu rocznem członków Kasy Stefczyka w Wólce. Niewątpliwie na to zebranie nie poszedłbym, bo kasa teraz mieści się w domu Mańkiewiczów, a że frontowe drzwi są zwykle zamknięte — trzeba przechodzić przez kuchnię, tam znowu wypada spotkać się z dzikim spojrzeniem Mańkiewiczowej, tego właśnie unikam. Ale tego roku iść musiałem. Na porządku dziennym obrad zgromadzenia była postawiona sprawa likwidacji kasy. Kasa od roku 1929 wykazuje straty, więc tego roku, nie wiem dlaczego, ludziom przyszła do głowy myśl likwidacji kasy. Do tego starałem się nie dopuścić. Wszedłem do pokoju, gdzie były obrady, nie przebierałem się, a wszedłem tak wprost od inspektów. Mańkiewicz, obecny rachmistrz, wskazał lustratorowi na mnie. Lustrator pyta mnie dlaczego namawiam ludzi by nie płacili swych długów do kasy, tem pytaniem byłem zaskoczony — Kto panu mówił o tem? —

Jak to kto mówił? a dlaczego wszyscy nie płacicie? — Odpowiedź była prostą: — a co wam do tego? — Mój ton widocznie obraził lustratora, skoro zauważył iż jestem komunistą. Lustrator był źle wychowany i wykształcony skoro doszukał się w mem postępowaniu komunizmu. Ale podano lustratorowi obiad, kazali wszystkim wyjść z mieszkania i czekać aż póki „Wielmożny Pan Lustrator” zje obiad. Ta ceremonia obiadowa zajęła dużo czasu, po jakiejś godzinie wpuszczono nas wszystkich członków spowrotem do mieszkania i pozwolono obradować w dalszym ciągu. Teraz czuję się ja obrażony, bo uważałem że lustrator mógłby sobie wyjść do drugiego pokoju i tam zjeść obiad, a nie wypędzać 40 ludzi na podwórze — ładny przykład spółdzielczej współpracy. Wniosek o likwidacji kasy upadł, nie miałem co robić, wyszedłem na podwórze. Po chwili zawołano mnie do pokoju, lustrator pyta dlaczego ja nie mam w kasie swej deklaracji dobrej, a tylko zepsutą. Powiadam mu, że oddając w 1929 r. kasę pozostawiłem dwie swoich deklaracji, jedną dobrze wypisaną, a drugą zepsutą i widocznie tak było, bo oddawałem kasę w obecności lustratora Gidyńskiego. Lustrator powiedział, że jestem bardzo „cwany gościem”, ledwie wstrzymałem się by nie palnąć mu po twarzy i wzburzony wyszedłem na podwórze. Rozmawiałem z gospodarzami o tem, że kasę warto utrzymać nadal, że może nadejdą czasy lepsze i kasa wówczas nam będzie potrzebna. Wyszedł lustrator — podchodzi do mnie i łagodnie i delikatnie pyta mnie, jak tam było z temi deklaracjami. Niezmiernie mnie to oburzyło jakto, mnie zasłużonego założyciela tej kasy lustrator zaczyna indagować? Nie wycierpiałem, nachyliłem się do ucha lustratora i szepnąłem mu kilka brzydkich słów. Skutek był piorunujący: lustrator odskoczył na kilka metrów i ze zdziwieniem patrzył na mnie, następnie wykręcił się i poszedł do mieszkania. Postanowiłem do kasy więcej nie wstępować, bo dziwnem mi się wydaje jak może taki lustrator wierzyć, a później wobec zgromadzenia ubliżać ludziom nic nie winnym, bo wysłuchiwać tych ubliżeń jest rzeczą bardzo trudną. Wiadome jest że Mańkiewicz od czasu kradzieży brzoź pojednać się ze mną nie może, poprostu z nim mówić nie chcę, a tu taki przyjezdny inteligent jeszcze pomaga Mańkiewiczowi sykać na spokojnych ludzi. Później myślałem sobie, że może postąpiłem zbyt pochopnie, ale trudno, pozwolić na to by mnie ktoś ubliżał nie jestem w stanie, a lustrator jako człowiek inteligentny mógłby do tego nie dopuścić.

Maj 1933 roku.

Ogrody mam już założone. Wysadziłem około 50 kóp kapusty i kalafiorów wczesnych, sporo cebuli i około 3.000 pomidorów, a że wiosna jest bardzo chłodna, ze strachem czekam wyników. Tej wiosny utargowałem około 300 zł. za flance, targi jeszcze nie ukończone. Kupiłem sobie wóz, wynająłem ludzi do tarcia drzewa, myślę o tem by spłacać długi, a że największy dochód będę miał w końcu lata, więc na tą porę odkładam regulowanie długów. Najgorszą plagą to są świny puszczone samopas, zmuszony jestem pilnować swych ogrodów nie tylko w dzień, ale i w nocy. Na tem tle zmuszony jestem często kłócić się z sąsiadami, a że sąsiedzi tylko zaczynają zakładać teraz ogrody, więc mało na moje kłótnie zwracają uwagi, to też niezmiernie się cieszę z powodu wybuchu zarazy, która zmusi do trzymania świń w chlewach. Drugą plagą nie mniej groźną, szczególnie dla inspektów, są kury, to jeszcze gorsze szkodniki od świń, bo od świń można zagrozić, a od kur niepodobna. To też dużo mam z sąsiadami nieprzyjemności za zabite kury, za które zresztą płacę, ale jakby tam nie było jest to powód do narzekań, a w rezultacie do psot, jakie mi wyrządzają dzieci sąsiadów. Gospodynie tłumaczą, że kura tylko grzebie, a szkody żadnej nie robi i nie chce się pogodzić z tem, że ja drogo szacuję ogórki pod szkłem, a te najwięcej cierpią od kur. W zeszłym tygodniu skradziono mi z inspektu 200 sztuk najwcześniejszych flanców pomidorów i głowią się nad tem, kogo tu o kradzież podejrzewać. Wiadomo, że w Wólce ich nikt nie posadził, a oddano gdzieś na dalsze wsie, zmuszony jestem poprostu nie sypiać w nocy, ale znowu niewyspany nie mogę robić żadnej roboty — tak źle i tak niedobrze.

Moje grunty teraz robią mi się ciężarem, trzebaby trzymać chłopca i drugiego konia, mam obawę że na to nie zarobię i naprawdę grunty zaczynam uprawiać byle jak, skupiając swe siły i czas na ogrodnictwie. Zresztą ogrodnictwo jest o wiele lżejsze, w ogrodnictwie mniej trzeba używać siły fizycznej — więcej pilności, w gospodarce rolnej naodwrot.

Zbieramy się przeprowadzać scalenie swych gruntów. Przyjechali mierniczowie i obiecują przeprowadzić komasację i załatwić stronę prawną komasacji za cenę 10 zł. z hektara, a najważniejsza rzecz polega na tem, że mierniczowie mówią, że prawomocną formą do wywołania scalenia będzie zwykła większość głosów wszystkich współwłaścicieli, to też z tego jestem bardzo ucieszony i spodziewam się, że zwykłą większość głosów uzyskamy. Wybrano mnie

pełnomocnikiem i przyrzekłem mierniczym w drugim tygodniu podpisać umowę, uważając że do tego czasu nazbieram żadaną ilość podpisów. Dużo jest z pośród nas niezadowolonych z projektowanego scalenia, a nawet odczuwam to na własnej skórze, bo pod moją nieobecność nie tylko mi odmykają furtkę ogrodu, a nawet bramę i właśnie prosiaki wyrządzili mi niemałą szkodę w ogrodzie. Na szczęście brat to zauważył i wypędził prosiaki, a to nie wiem co by tam narobili, a tak tylko stłukli mi na ogórkach jedno okno.

Lipiec 1933 roku.

Sezon już się rozpoczął, tymczasem wyprzedaję kalafiory, kapustę, ogórki, targuje się nieźle, gorszą stroną tego handlu jest pośpiech. Kalafiory nie chcą czekać i co drugi dzień wywożę je do Milejczyc, natomiast ogórki i kapustę do Hajnówki. Prawie całymi tygodniami bywam w drodze, jestem strasznie rozbity i nerwowo usposobiony. Pod moją nieobecność robią mi dużo szkód. Na ogrodzie księdza kradną kapustę i cebulę, z inspektów ogórki. Dwóch złodziei ogórkowych przyłapałem w nocy, bardzo ich zbiłem. Byli to: mój bratanek, 16 letni młokos, syn Eljasza, i drugi żonaty. Wyrządzili mi poważną szkodę, bo całych cztery skrzynie zmarnowali ogórków, wydeptując nogami łąciny. Naprawdę złośliwość ludzka nie ma granic i gdyby nie moja energja, to napewno nic nie mógłbym utrzymać w ogrodzie, a to wszyscy się boją tego, że bardzo przyłapanego złodzieja zbijam. Może mnie jednego nie tak bardzo by się bali, ale gdy komu nie radzę, to mam do pomocy braci i szwagrów i tylko to powstrzymuje od zuchwałych kradzieży.

Nieraz myślę o tem, że życie jest nieznośnie trudne, póki ja nie nie targowałem, więc byłem mortusiakiem, ludzie jakoś byli do mnie lepsi, natomiast teraz jest wprost niemożliwie. To też teraz nie nikomu ze swych sąsiadów nie chcę dopomóc. Dawniej każdemu, kto chciał, napiszę podanie i nigdy nie brałem nic od nikogo pieniędzy, teraz wszystkich odsyłam, tłumacząc się brakiem czasu. Wiem że to do niczego nie doprowadzi, antagonizm wzajemny będzie wzrastał, ale czyż mam zawsze być dla tych ludzi dobrym, skoro mi wyrządzają tyle krzywdy.

Dokładałem wszelkich starań by przeprowadzić scalenie, a tu jak na tóż, mierniczowie byli źle poinformowani, bo do tego by w naszych warunkach było możliwe przeprowadzenie scalenia, potrzebna 100% zgoda współwłaścicieli. W rezultacie straciłem kilka złotych, bo osteplowałem umowę z mierniczymi na swój koszt. Prze-

klinam wszystkie ustawy i wszystkich mądraków siedzących na tych wyżynach ustawodawczych, bo ludzie ci widocznie nie mają zielonego pojęcia o potrzebach wsi. Jakiegoś djabła wymyślili, że ziemia nadziałowa ma wydane inne prawa, a ziemia bankowa inne. Czem jest właściwie nasza ziemia bankowa? Nie taką samą ziemią nadziałową, nie dość tego że zostaliśmy bezpodstawnie obciążeni długiem, bo gdzie są oszczędności naszych ojców? przecież poskładano je w tych samych bankach, mój dziadek miał na przykład 3000 rubli, to do tego jeszcze za pomocą bezsensownych rozporządzeń tamują rozwój naszych gospodarstw.

Po djabła ja mam kłócić się z sąsiadami o kurę lub prosiaka, psując temi kłótniami sobie zdrowie i uniemożliwiając współzycie, kiedy mając 9 dziesięcin własnego gruntu, uważam że nie potrzebowalbym się kłócić i napewno nie miałbym o co, skoro miałbym swój grunt scalony.

O tem że grunt powinien być scalony niema mowy. Przypominam sobie dwudziesty ósmy rok, gdy miałem tak śliczny owies, toć mi go na złość spasali, musiałem go pilnować po nocach od cudzego inwentarza. A teraz wiele mam nieprzyjemności, wiele to sobie napsułem zdrowia, domagając się by inwentarz trzymano w chlewie. Dużo mówi się za biurkami o kulturze rolnej, o wydajności zbóż w Danji, Niemczech, o wysoko postawionej kulturze hodowlanej i wszyscy mówią, że Polska pod tym względem jest na szarym końcu. Pytanie dlaczego, co stoi na przeszkodzie rozwoju rolnictwa w Polsce? W swoim czasie czytałem poradniki, w których dużo mówiło się o przyrządzaniu rozmaitych recept by dobrze gospodarzyć a o tem by dobrze spieniężyć plony, czy to w postaci zboża, warzyw, czy też mięsa, nic nikt nie mówi. Wszyscy na przykład namawiają by siano tak drogie nawozy sztuczne, a o tem jak stworzyć na piasku glebę, nikt nic nie mówi, bo w co właściwie rolnik wsypie te proszki, a no mówią w ziemię, wołałbym by sypano je na drodze, proszki tam tylko pomagają naprawdę gdzie jest ziemia „sprawna” to znaczy od szeregu lat gnojona. Na przykład w naszym Bielsku targują nawozami sztucznymi żydzi, nic nie mają oprócz superfosfatu, jak ktoś bierze superfosfat, a nie chce płacić za worek może przesypać superfosfat w swój worek, nikt nie jest pewny, że handlarz nie dosypie do tego worka nawozu innej produkcji, bo każdy worek jest rozwiązany i każdy może wybierać według koloru ten lub inny nawóz i płaci za te proszki grube pieniądze, powiadają że b. dobrze skutkują, ale temu nie wierzę. Dlaczego znowu niema takiego pra-

wa, by ludzi niekompetentnych nie dopuszczać do handlu nawozami sztucznymi!

Sierpień 1933 r.

Miałem znowu bójkę i znowu szło o kradzież. Złodziejem okazał się realizator idei Marksa, mój szwagier ze swą żoną Hanką. Wydzierżawiłem u teściowej sad, wiadomo, pilnować go nie chciałem, bo wierzyłem że szwagrowie nie będą robić mi psot. Tymczasem zauważam, że ilość najładniejszych gruszek stopniowo, ale gwałtownie zmniejsza się. Zacząłem pilnować, przyłapałem Hankę, ostro wymówiłem jej niewłaściwe postępowanie i sądziłem, że na tem będzie koniec. Niektórzy chłopcy widzieli jak szwagier po nocy spacerował w tym sadzie, ale nic mi nie mówili i teraz słysząc, że swarzyłem Hankę, powiedzieli mi o tem. Tego ranka miałem odjeżdżać do Kleszczel na targ. Żona poszła na ogród by przynieść pomidory. Na drodze spotkał ją szwagier, naubliżał jej i zapowiedział że jak ja będę dużo gadał, bo to uważa mnie za „kułaka”, to wprost przy pierwszej sposobności połamie mi żebra. Tego było za dużo, nie dość tego że nic nie robił, a tylko rozprawiał, leżąc na łóżku, o różniaku burżujów i małogodzinny dzień pracy, będąc ciężarem dla wszystkich domowników, a nawet częściowo i dla mnie, bo żona ustawnie donosiła siostrze doraźną pomoc w postaci produktów spożywczych, nie dość tego że straciłem kilkadziesiąt złotych na jego wesele, za co byłem uważany za najgorszego, bo szwagier ustawicznie plótł na mnie na wsi najgorsze rzeczy, bo energicznie gromiłem jego marzenia komunistyczne i wyśmiewałem się z przeprowadzenia komunizmu na łóżku, to ten wyrodek jeszcze miał doprowadzać do łez moją zawsze zapracowaną żonę? Nie, nie mogłem, brakło mi eierpliwości. Natychmiast wyprawilem żonę do Kleszczel, a sam poszedłem do teściowej i siedziałem tam, udając wesołego. To nawet zdziwiło moich szwagrów, że nie jestem zły, słyszałem jak mówili pomiędzy sobą — Paweł pewnie nic nie wie, że „Macholka” nawymyślał Wierze. Aż wszedł szwagier, u teściowej bywał dość często. Bez słów rzuciłem się do niego, jednym uderzeniem pięści odebrałem mu chęć do odwetu, zacząłem go zbijać po twarzy, głowie — ryczał z bólu. Chłopcy przylecieli, schwycili mnie za rękę, szwagier uważał to za swą pomoc, schwycił duży kuchenny nóż i rzucił się do mnie, wyrwałem się, jednym uderzeniem znowu odebrałem mu chęć do walki i po kilkakrotnym uderzeniu wyrzuciłem go za drzwi. On w porównaniu ze mną jest olbrzymem, to też nie chciał darować mi

swej krzywdy i gdy wyszedłem na podwórze, zaklinał się, że mnie zastrzeli na progu domu teściowej; na obelgi teraz nie odpowiadałem a że mieszkali obok teściowej — siedziby ze sobą graniczyły, to też zacząłem lepiej po nocach pilnować sadu. Ale zauważyłem, że gdy przechodziłem około ich domu, to domownicy z pośpiechem uciekali przede mną, trzaskając gwałtownie drzwiami, wywnioskowałem, że mnie teraz się boją. Mój chrzczony komunista starał się o broń, pieniędzy na kupno broni nie posiadał i broń chciał uzyskać za posiadany zegarek, ofiarował go jednemu kłusownikowi, by ten wystarał się mu o broń. Na drugi dzień powiedzieli mi o tem. Uważałem, że ma jeszcze mało, to też przyrzekłem sprawić mu lanie nie pięścią, ale kołem. Tego było wystarczająco, bo za kilka dni przeprosił moją żonę, ja natomiast rozmawiać z nim nie chcę.

24 września 1933 roku.

Dziś odbył się pogrzeb Kasjanowego Janka, dawnego kółkowicza zabitego we wsi Wólka w dniu 21 września b. r.

Z żalem żegnaliśmy zwłoki dwudziestoletniego młodzieńca, padłego ofiarą ciemnoty z rąk zwyrodnialców, takichże chłopaków jak on sam. W dniu 21 września pod moją nieobecność, bo byłem w Hajnówce z pomidorami i jabłkami, we wsi Wólka urządzono zabawę taneczną, na którą podstępnie był zaprowadzony Janek. To było o zmroku. Wyprowadził go z domu niejaki Kowalczuk z Moskiewic, ten sam co niegdyś uderzył mnie kamieniem w plecy, Kowalczuk zaś występował z namowy owych zwyrodnialców. Janka podchmielonego zaprowadzono do jego narzeczonej, ślicznej dziewczyny, o której względy starało się naraz kilku chłopców. Zasadzka była z góry uplanowana, bo gdy tylko Janek wszedł, odrazu rzucili się do niego z ciężarkami, raniąc go dotkliwie w głowę, co Jankowi uniemożliwiło obronę. Nawpół nieprzytomnego wywleczono, pod osłoną mego szwagra, Janka na podwórze, to dało możliwość rzucenia się rozzuchwalonym zwyrodnialcom z bagnetami do uciekających i napędzono ich za stodołami. Uderzenie bagnetem szwagier odprowadził, a nie mogąc wobec groźby śmierci dłużej ratować Janka, pozostawił go ratując swoje życie. Z daleka słyszał jak Janek prosił by nie zabijano go na śmierć i widział jak uciekał na furę niejakiego Starczewskiego, ten jednak zepchnął Janka z wozu, w tej chwili nadleciał Niczyporuk i z rozmachem wpakował mu nóż w plecy, przebito płuco i serce, ponadto kopano go jeszcze nogami i bito kamieniami, — po kilku minutach Janek swe życie zakończył.

Władze śledcze doszukują się tła zwyrodniałego przestępstwa, napewno uważają, że podstawą do zabójstwa były właśnie o dziewczynę. Tak jednakowoż nie jest, to tkwi o wiele głębiej. Przyczyną niesnasek pomiędzy „dworzusami” jak nas nazywają Wólczaki, (bo mieszkamy w rozkupionym przez naszych ojców majątku) a Wólczakami, są ustawiczne kłótnie o wyrządzanie szkód przez ostatnich na naszych polach, łąkach i lasach. Swą uporczywą pastwą Wólczaki tłumaczą tem, że gdyby nie kupili nasi ojcowie tego majątku, to pan napewnoby pozostawił go darmo dla Wólczaków, a o ile wsunęli się ludzie ze stron szlacheckich to starają się pomścić za to robiąc uporczywe krzywdy. Janek jako syn zamożnego gospodarza był energicznym poskromicielem takich szkodników, to też wszelkimi sposobami Wólczaki starali się pomścić to na Janku. W tym zabójstwie inicjatorami byli starsi, bo może nawet nie chcieli go zabić, ale tylko pobić. Jest faktem że Janka zamordowali jeszcze młokosi i gdyby starsi nie stawali w obronie tych młokosów, to ci znowu nigdy nie wazyliby się występować przeciwko Jankowi. Faktem znowu wystąpienia starych jest to, że Starczewski zepchnął ratującego się Janka z wozu, a nawet bił go batem.

Przed mającym się odbyć pogrzebem Janka na wsi była mowa o tem, by nie wpuścić na cmentarz wioskowy zwłok Janka, proponowali by stanąć z kołami i nie przepuścić przez wieś procesji pogrzebowej. Na szczęście znaleźli się rozsądniejsi ludzie i stanowczo przeciwko temu zaproteutowali.

Zabójstwo to było trudnem do przeżycia. Odjeżdżając do Hajnówki pozostawiałem Janka zupełnie zdrowego, w chwili odjazdu przyszedł do mnie na papierosa i serdecznie ze mną porozmawiał. Wyznał, że jest mu jakoś smutno bardzo, coś powiada leży na sercu, to też uporczywie śpiewał, czego z nim nigdy prawie nie bywało. Nawet mówił o tem, by prędzej go zabrali do wojska. Koniecznie chciał być w wojsku, a że był uznany za zdolnego, pocieszałem go że napewno jeszcze zdąży nacieszyć się wojskiem. Wróciłem z Hajnówki na trzeci dzień, Wasyl przestraszony wybierał się już naprzeciw mnie. Na wiadomość o zabójstwie Janka nie chciałem wierzyć, to też nie wyprzegając konia polecałem zobaczyć. Było pełno ludzi, siostry lamentowały wniebogłosy, ojciec zgarbiony pocichu coś wyrzekał, ledwie stojąc na nogach. Stałem jak wkopany. Janek! Janek! taki zawsze dla mnie życzliwy, tak serdecznie ze mną rozmawiał przed trzema dniami, młodzieniec o pełni energii życiowej leżał w trumnie. Nieznośny ból ścisnął za serce, my-

ślałem, że 'pęknie... zapłakałem. Z tyłu znowu szepty — patrzcie, taki zawsze szorstki, a też płacze — moje lzy jakby były hasłem do ogólnego lamentu. Wyszedłem z mieszkania, nie mogłem znieść wyrzekań krewnych Janka.

Dołożyłem z bratem wszelkich starań, by pogrzeb wypadł jak najokazalej. To też ładnie udekorowaliśmy kwiatami trumnę, spleliśmy dużo ślicznych wianków. Młodzieży było moc. Wszyscy żegnali Janka z płaczem, nawet młodzież z dalszych wsi. Gdy przechodzili przez wieś Wólkę, to zauważyłem jak niektórzy jej mieszkańcy jakoś bardzo głupio się uśmiechali. Na pogrzebie ze wsi Wólka nie było nikogo. To znak, że antagonizm w dalszym ciągu wzrastał. We wsi Wólka jest kilku skomunizowanych, śmierć Janka, to dzieło ich rąk, bo wszyscy bronią tych zwyrodnialców, co zmarnowali tak młode życie. Janek, pracowity chłopak, według nich należał do burżujów, mając zamożniejszego ojca. A cała zażyłość Jankowego ojca polegała na posiadaniu 27 dziesięcin gruntu, 6 sztuk inwentarza, a że jest bardzo oszczędny i pracowity, ma pewien zasób, ale pieniędzy w zasobie nie ma. Niechby ci wszyscy inteligenci, co głoszą hasła bolszewizmu, delegowali na wieś współtowarzysza, niechby on spróbował zarobić na wsi na swe utrzymanie, a wtedy ręczę, że po roku współżycia ze swymi wybrańcami uciekłby na drugi koniec świata, by głosić hasła przeciw komunistyczne.

10 listopada 1933 roku.

Robię przygotowania do następnego sezonu ogrodniczego. Chcę w tym roku przygotować się do większego zakładu, głównie jednak produkcję ogrodniczą ograniczam w ogrodzie, a powiększam pod szkłem. W tym celu zamierzam wybudować prowizoryczną szklarnię. Plan budowy następujący: pod szczelnym płótem w wystawie południowej mam zamiar posadzić w połowie kwietnia bardzo wczesne flance pomidorów, okna będą podnoszone, ze strony północnej będzie chronił od chłódów szczelny płot, zaś od południa również płot cokolwiek mniejszy, tym sposobem spodziewam się osiągnąć pomidory o miesiąc wcześniej od najwcześniejszych gruntowych. Okien na to w tym roku zamierzam robić 44, robotę przygotowawczą już rozpocząłem, ale ostre przeziębienie zmusiło mnie jednak do przesiadywania w pokoju. Nie chcąc jednak bezczynnie tracić czasu piszę swój pamiętnik, by był gotów na 1 grudnia do konkursu.

Nie wiem czy mój ostatni projekt ogrodniczy dojdzie do skutku, bo zabraknie trochę gotówki, gdyż w tym roku pomidory zawiodły, zniszczyła mi ich zaraza ziemniaczana, to jednak spodziewam się, że uzyskam u żydów pewien kredyt. Do tego nadchodzą jeszcze inne wydatki, bo trzeba uzupełnić swój inwentarz. Obecnie posiadam jednego konia, 1 krowę — brak mi świń, które zniszczył tegoroczny pomór, jak również trzeba zmienić konia na lepszego.

Ze zbiorów tegorocznych mam 16 kóp żyta, 5 fur dobrego siana, trochę seradeli i trochę owsa. Swój inwentarz przezimować mam czem. Brak mi wieprzka na swój użytek i pszenicy na mąkę. Najgorzej że znowu zaczynam zapadać na zdrowiu i mam pewną obawę, że zmuszony będę się leczyć, a tu stanowczo nie ma czasu.

Brałem energiczny udział w wyborach Rady Wiejskiej naszej Wólcząńskiej gromady. Naskutek wprowadzonej w życie nowej ustawy samorządowej połączono w większe gromady wsi o ludności liczebnie mniejszej, to też nasza kolonja Wólka została połączona ze wsią Wólką. Moje zabiegi by nas przyłączono do wsi Moskiewce nie odniosły żadnego skutku. Na czas wyborów miałem być powołany w skład komisji wyborczej gminy, to też odprosiłem się motywując odmowę tym, że moja obecność na wyborach gromadzkich jest niezbędną.

Wybory w naszej gromadzie przeszły przez aklamację i zostali radnymi ci, których chciałem. W liczbie radnych znajduję się również ja. Zawdzięczając mym zabiegom koloniści uzyskali większość mandatów radnych w Wólcząńskiej Radzie Gromady. Ciekawem zjawiskiem było to, że nasi sąsiedzi zapomnieli o wszystkich niesnaskach wynikłych z powodu świń i kur i energicznie mi dopomagali w mych zamiarach, szło tylko o to, aby nie dopuścić większości Wólczaków w gromadzie.

Na jutro koloniści delegują mnie do Białegostoku, złożyli mi w tym celu 10 zł. na podróż i chcą, bym się dowiedział czy można się wydzielić z ogólnej liczby płatników bankowych — hipotecznie.

14 listopada 1933 r.

Na 7 grudnia nasza ziemia znowu jest wystawioną przez Wileński Bank Ziemski na sprzedaż. Byłem w hipotece. Okazało się, że wydzielenie jest możliwe, ale kosztowne. Założenie samej księgi będzie kosztować 79 zł. 50 gr., ponadto dochodzi opłata od każdej dziesięciny po pięć złotych. To stanowczo za drogo.

Nadeszła odpowiedź z banku. Piszą, że wtedy zechcą mówić o

segregacji, jeżeli wpłacimy do kasy banku 1200 zł., które to pieniądze należy nadesłać przed terminem licytacji. Gdzie tu wziąć 1200 zł. — niektórzy gospodarze wpłaciliby swoją część, ale reszta zacofańców nie chce słyszeć o tem. Co tu robić? Akurat nadszedł termin płacenia podatków, ludziska ledwie nadążą wypłacić ich.

*
*
*

Wobec powtórnego ogłoszenia w numerze 33 Czasopisma Spółdzielni Rolniczych z dnia 21 listopada b. r. o pamiętniku chłopca, ze wskazaniem celu, jaki mają osiągnąć „pamiętniki chłopca” uprzejmie proszę przyjąć mój dodatek do pamiętnika, wysłanego w dniu 29 listopada. W nadesłanym dodatku chcę wyświecić, w miarę moich zdolności, sprawy dotyczące własności i jej obdłużenia, warunków mieszkaniowych w naszej Wólce, i t. d. Ponieważ Nr. 33 czasopisma dotarł do mnie już po terminie nadsyłania pamiętników, przeto powtórnie proszę przyjąć nadesłany materiał i dołączyć do pamiętnika już wysłanego.

W pamiętniku już wysłanym mówiłem, że najbardziej trapiącym nieszczęściem dla nas jest zadłużenie bankowe, powstałe jako przerachowanie przedwojennego długu bankowego. Nie można powiedzieć, żeby te zaległości bankowe były łatwe do zapłacenia, po pierwsze przeszkadza ku temu solidarne poręczycielstwo (krugowaja poruka), a po drugie dość wysokie procenta, co zatem — większe raty półroczne.

Zadłużenie przedwojenne w banku w roku 1915 po wpłacie ostatniej raty, wynosiło 18000 rubli. Przy pomocy „mądrego” przerachowania ustalono w roku 1926, że nasze zadłużenie wynosi 24.000 zł. Całą tę sumę rozłożono tak, by wpłata rat trwała 51 rok. To znaczy, że każda rata wynosząca 812 zł. (półroczna) jest obciążona %%, które więcej wynoszą jak to zadłużenie.

W latach 1927, 28, 29, 30 wpłaciliśmy do banku około 15 tysięcy złotych. W rezultacie mamy dług zasadniczy około 23 tysięcy złotych i 4635 zł. zaległości, bo od roku 1930 nic nie wpłacamy, a na pierwszego stycznia 1934 roku zadłużenie to będzie wynosić około 6.000 zł. zaległości plus 23 tys. złotych długu zasadniczego, tak że razem to wszystko wynosi 23.000 zł. długu zasadniczego + 6.000 złotych zaległości + 15 tysięcy złotych przez nas wpłaconych, co razem wynosi 44.000 zł. a dług zasadniczy według przerachowań miał tylko wynosić sześć tysięcy złotych.

No i kto teraz powie, że to nie jest zdzierstwo i to zdzierstwo pod osłoną prawa? Może Instytut Gospodarstwa Społecznego nie zechce wierzyć — na żądanie zwrotną pocztą nadeśle dowody.

Wczoraj w dniu 3 grudnia było zebranie gromadzkie naszych pseudo-kolonistów. Przedmiotem obrad była sprawa wpłaty zaległości do Wileńskiego Banku Ziemskiego, bo to na 7 grudnia ma być licytacja pierwsza, a w razie niedojścia do skutku pierwszej, na 29 grudnia druga. Poczynione próby segregacji długów za pomocą podziału grupowego, nie doszły do skutku wobec odmowy banku, żądającego przedtem wpłacenia zaległości, to też przyszedłem na zebranie by zapoznać zebranych z wynikami korespondowania z bankiem.

Zebranie odbywa się zwykle u Prokopa, gorącego zwolennika rzetelnego rozrachunku z bankiem. Na zebranie nie stawili się mądrzejsi, to znaczy ci, którzy obiecują dać sobie radę bez wspólnej narady, zaś według mego zdania ci, którzy wogóle tamują terminową wpłatę należności przy pomocy biernego oporu.

Najwięcej na zebraniu przemawiał Jan Zinkiewicz, ale wcale nie o banku, lecz o czym innem, starając się omijać sprawę bankową. Reszta zebranych przysłuchiwała się opowiadaniom Jana, który zwykle przechwalał się swemi dawniejszemi zaletami siły fizycznej i bystrości umysłu. Tak zawsze było, że Jan gromił postępowanie każdego, a nawet dość celnie wykiwał każdego, jednak odpowiadano mu zwykle śmiechem; tak było dawniej i każdego zebrania, w sprawie banku prawie nigdy nie zabierał głosu, mówiąc, że do płacenia był zupełnie niezdolnym i tak jest. Jan obecnie posiada 18 dziesięcin gruntu. Rodzina jego składa się z dwojga dzieci małoletnich i dwojga ich, t. j. jego i żony. Robót polnych prawie żadnych nie wykonuje; wypełnia roboty jak męskie tak i swoje jego żona, bardzo pracowita kobieta. Po ojcu Jan odziedziczył 16 dziesięcin gruntu, kilka kawałków lepszego gruntu odsprzedał i za uzyskane pieniądze wybudował chatkę i stodołę. Wartość tego zabudowania wynosi obecnie około 300 zł. Warunki, w jakich mieszka nie do opisania — to też nic dziwnego, że sekwestratorzy nie mają co opisać w jego domu. Inwentarz Jana składa się z jednej klaczy i kilku kur, zaś zbiory przeciętne 16 kóp żyta, 8 owsa, 4 gryki, 2 fury grochu i 6 fur siana, co ma wartość w naszej okolicy wraz ze słomą około 550 zł., kartofle na wiosnę i to nie zawsze mu ich wystarcza do nowych, o ile tylko wykarmi jakiegoś prosiaka. Więc na tyle Jan tylko jest bogatym i za 550 zł.

rocznie ma wyżywić rodzinę i klacz. To jeszcze nie wszystko, bo przecież ma podatek i bank, co łącznie wynosi około 120 zł., do tego ma jeszcze około 400 zł. długu prywatnego. Nic dziwnego, że od Wielkanocy nie ma już chleba.

Gdyby nie ogrodnictwo, gorzejbym jeszcze wyglądał, a tak zaliczono mnie w poczet wypłacalnych. Na zebraniu wczoraj posumowywałem sobie, ilu gospodarzy jest w stanie zapłacić zaległości bankowe; jest tylko 60% dziesięcin wypłacalnych, więc zorjentowałem się jeszcze wczoraj, że z banku będą — nici.

Z większych posiadaczy gruntu — nie zgłosił się mój wuj Stefan, liczący w swym posiadaniu około 50 dziesięcin ziemi — jest zupełnie zrujnowany. Ma prawda duże zbiory, nawet liczny inwentarz, ale też ma sporo tysięcy długu w różnych postaciach — jest niewypłacalny. Wuj od dłuższego czasu nosi się z zamiarem odsprzedaży części gruntu, ale niema komu, no i posiadając dużo dziesięcin klepie biedę.

Ja posiadam 9 dziesięcin najgorszego gruntu, bo to ojciec przed wojną dokupił 15 dziesięcin taniego gruntu i prawdę mówiąc, że gdyby nie przywiązanie do ojcowizny, tobym się zrzekł tego gruntu. Nie jedenby się zapytał — czemu? Otóż rzecz bardzo prosta. Przeciętny dochód z mego gospodarstwa nie przewyższa 400 zł. rocznie i to trzeba dbale gospodarzyć. Nie jeden się uśmiecha sobie i powie, że plotę nadzwyczajne głupstwa, a jednak twierdę stanowczo, że tak jest. Z posiadanego gruntu nie wszystek użytkuję, a jakieś pół, do tego trzeba dodać, że ze wszystkiego posiadanego właściwie gruntem odpowiednim i nadającym się do uprawy jest około 3 dziesięciny. Przyjmując pod uwagę, że trzecia część gruntu ugoruje więc zasadniczo uprawiam 2 dziesięciny gruntu. Reszta jest w takim stanie, że jak wysiewam 2 metry, to zbieram w urodzajny rok 5 metrów czyli q, zaś w lata suche 1 q lub 1,5 q. Nie trzeba zapominać, że gospodarstwo moje jest obciążone długiem w kasach wynoszącym około 4,35 zł. na dziesięcinę i bankiem wynoszącym obecnie około 60 zł. na dziesięcinę. Miałem hym wielką chęć uratowania swego gospodarstwa, a nawet zawdzięczając dochodom otrzymywanym z ogrodnictwa, wyrównać swe zadłużenia, ale wtedy, gdyby gospodarstwo moje było skomasowane. Wiadomo że na skomasowanym gospodarstwie, prędzej bym się dorobił czegoś, bo to można posadzić sad, z którego po kilku latach doczekał by się dochodu, można było wkładać się na roboty meljoracyjne, zaś tego wszystkiego nikt nie zechce robić obecnie, gdy

wisi ciągle zmora licytacyjna ze strony banku, kas, sekwestratorów. Mnie osobiście nikt nie zastraszy teraz licytacją, bo co naprawdę ja mam obecnie ze swego gospodarstwa ciągle zmartwienia i tyle. To jednak wczoraj na zebraniu wypowiedziałem się z wpłaceniem części zaległości bankowej, mając na widoku przyszłą komasację.

Prawda z długami jest teraz łatwo, bo to poprostu ich nie ściąga się — milczy dłużnik i milczy wierzyciel, a nawet wierzyciel nie chciałby milczeć, to co on robi? Najwyżej sprzeda grunt swego dłużnika, a tu każdy chce dobrowolnie odsprzedać swój grunt — tylko kto go kupi. Nieraz sobie myślałem co właściwie nas niszczy — co nas boli? W roku 1930-31 było wiadomem, że najbardziej dokuczliwymi są długi, więc nic dziwnego, że zadłużeni ratując się przed komornikiem ograniczali hodowlę, lub nawet ograniczali już nie z własnej woli zasiewy. Bo wiadomo ograniczona hodowla zmusza do sprzedania na wydatki bieżące zboże i na wiosnę dochodziło do tego, że 25% gospodarstw nie miało czem siać, czego przedtem, gdy był jakiś dochód z hodowli, nie było. I to jeszcze nie wszystko, wraz ze zmniejszeniem produkcji nadeszła gorsza konjunktura handlowa, zdawało się, że nic wielkiego, bo to jest rozpowszechnione mniemanie, że co Maciek zrobił, to i zjadł, ale to nie odpowiada rzeczywistości. Wraz ze zmniejszonym dochodem przyszedł czas, że nie było za co naprawić wiosną pługa lub brony, z tego wynikła gorsza uprawa gleby i w drobnych gospodarstwach o wiele zmniejszyła się wydajność gruntu. Do tego dochodzi ogólne zniechęcenie znękanym niepowodzeniami rolników i doszło do zaniedbywania uprawy gruntu. Tego roku poraz pierwszy obserwuję takie ogólne zaniedbania. Ubiegłych lat, wszyscy starali się jak można więcej na zimę wyorać gruntu — zrobić podrzutkę, tego roku nawet nie wszyscy popodrzucali ogrody — czego przedtem nigdy nie bywało. Ogrody w Wólce od dawien dawna dawali właścicielom pewien dochód, zazwyczaj uprawiano późną kapustę i nap. przed wojną taki gospodarz z łatwością wyręczał 50—70 rubli za kapustę, niewiele wkładając na to pracy. Tego roku wartość kapusty wahała się od 0,40—1,20 zł. za kopę, więc uprawa zasadniczo się nie opłacała. Z zazdrością gospodarze patrzą na mnie uprawiającego pokupniejsze warzywa, ale z temi warzywami więcej ambarasu, co znowu zniechęca mych sąsiadów. Niepowodzenie mych sąsiadów z kapustą przyczynia się do tego, że łatwiej wydzierżawiam ogrody, a nawet mam możliwość zakupienia na wsi nawozu pod inspekta, bo mało jest takich gospodarzy, którzyby się oparli

pokusie uzyskania kilku złotych za nawóz, przedtem nigdy nie kupowany.

Zdawałoby się, że gospodarze teraz tak czy inaczej długów nie płacą, więc nic nie stoi na przeszkodzie, by gospodarstwa wróciły do dawnego dochodu, tak wydaje się tylko pozornie, praktyka jednak mówi, że dlatego, by gospodarstwo wróciło do poprzedniej dochodowości, trzeba by przez kilka lat gospodarstwa sprzedawały swoje produkty po dobrej cenie, bo to co gospodarz zaniedba lub nie ma możliwości wytworzyć w swym gospodarstwie tylko jeden rok, w następstwie to odbija się ujemnie w ciągu 5—6 lat i tylko po takim czasie da się złe naprawić. Nie potrzebuję szukać przykładów, gdyż sam to na własnej skórze odczułem. W roku 1929-30 wyjeżdżając na kurs, w celu uzyskania gotówki wyprzedzałem swój nieliczny inwentarz. Wtedy zdawało mi się, że tracę tylko to, ile kosztował ten inwentarz, rzeczywistość wykazała jednak zupełnie co innego. W ślad za sprzedaniem konia i krowy zmniejszyła się do zera ilość wytwarzanego obornika, jako następstwo tego było zmniejszenie się do zera obszaru pola, nadającego się pod uprawę kartofli i znowu następstwem tego, brak kartofli w gospodarstwie, tego niezbędnego produktu o ogólnej użytkowości i jeszcze nie koniec. Nie mając pod dostatkiem ziemniaków, nie mogłem przy swej staranności wykarmić prosiaka, bo co prawda karmiłem, nie zważając na brak kartofli, to jednak wiosną kartofle dokupywałem, tak było w zeszłym roku, dziś trochę jest inaczej. Z żalem muszę stwierdzić, że takie same objawy dokuczają moim sąsiadom. Piszą i mówią, że kryzys w rolnictwie rozpoczął się od roku 1929 — to jest nieścisłość, bo kryzys rolniczy właściwie rozpoczął się teraz, a tylko od roku 1929 trwa zła konjunktura handlowa, nawet i to nie — poprostu niema komu sprzedać produktów otrzymywanych w gospodarstwach rolnych. Można tylko sprzedać to, czego brak na rynku. Żeby te braki były stałe, więc odpowiednio do tego dałoby się nastawić produkcję, ale te braki są przejściowe, tak np. w tym roku na miejscowych rynkach jest bardzo duże zapotrzebowanie „podświnków” — młodych prosiąt i płacą za to bardzo dobrze, zapotrzebowanie to spowodował wiosenny pomór świń i już na następną wiosnę zapotrzebowanie zniknie.

Prawda, tego roku trochę lepiej płaci się bydło, świnie, konie, ale również pewnem jest przejściowość tego zjawiska, bo bynajmniej nie wzrosło zapotrzebowanie na inwentarz, a tylko urodzaj tegoroczny pan, pozwala gospodarzowi na wyzimowanie o jed-

na sztukę więcej, a nie jak przedtem, koniecznego wypychania na rynek przed groźbą braku paszy.

Instytut Gospodarstwa Społecznego chce dotrzeć do najuboższych zakątków wsi, by zobaczyć ew. wy badać jak tam na tej wsi jest. Zapewniam, że nic ciekawego. Dawniej w naszej Wólce można było usłyszeć śpiew, wesołą rozmowę — dziś to należy do przeszłości. Dawniej poniedziałkami jechali ludzie z miasteczka podchmieleni, ze śpiewami, były wypadki, że jeden drugiemu pozostawi ślady pazurów na twarzy, z tem, by nazajutrz znowu przy butelce pogodzić się.

Dziś nikt nie wypija, chyba z konieczności, co do bójek to są już zawziętsze, teraźniejszy wojak nie posługuje się już pazurami, zamienił pazury na kłonicę i noże.

Wypadek morderstwa w Wólce nie był jedynym, bo w okolicy było słyhać o zamordowaniu w Berezowie, Dubiażynie i innych wsiach. Nie powiem, że tego rodzaju wypadki można było zwalić na barki kryzysu, to jednak twierdząc stanowczo, że w znacznej mierze przyczynił się do tego kryzys. — Przypomina mi się opowiadanie jednego z „rajzerów”, których na wsi nigdy nie braknie, właśnie „rajzer” mówił, że póki rządził w Polsce Pan Piłsudski było dobrze, ale zaczął rządzić pan Kryzys, to niema co w Polsce jeść. Tak samo na wsi rządzący kryzys zrodził nędzę, zaś nędza pogłębia ciemnotę — w rezultacie czego mamy na wsi morderstwa bez powodów.

Jak teraz wiejski lud odżywia się, jak mieszka, to również nie ciekawego, bo co naprawdę ciekawego w tem, że przeciętny gospodarz w Wólce w marcu, a najdalej w kwietniu oczyszcza pod miotłę swoją składnicę i wygląda na bogatszego gospodarza, by mu dopomógł dożyć się i z rodziną do nowych zbiorów. Tej wiosny o tem przekonałem się wraz z bratem. W początkach maja u naszego sąsiada Maksyma skradli około 4 q żyta, więc jak to jest w zwyczaju, Maksym w towarzystwie sołtysa i świadków przeprowadzali rewizję we wszystkich domach w poszukiwaniu skradzionego żyta i na 17 gospodarzy kolonistów zboże posiadali tylko 4 gospodarzy, a trzeba wiedzieć, że w posiadaniu tych 17 gospodarzy jest 372 dziesięcin gruntu, to znaczy że pod względem zasobu w ziemię są zamożnymi gospodarzami, a jednak fakt stwierdzony, że już w maju siedzą bez chleba. Nie powiedziałbym tego, żeby siedzieli absolutnie bez chleba, widocznie go częściowo dokupują, ale wiem dobrze, że nie wszyscy. Teoretycy siedzący za biurkiem

powiedzą, że nie umieją gospodarzyć, częściowo przyznam im słuszność, a resztę trzeba zwalić na bary warunków w jakich znajduje się każdy rolnik.

Wiosną gdyby nie nabrał i jaja to taki bezchlebny rolnik umierałby z głodu. Nie trzeba rozumieć tego, by rolnik to spożywał. Nie. Prostu za bezcen wypycha masło i jaja, by kupić sobie chleba, a nawet czasem kartofli.

Jesienią zbiera plon, pracy dość sporo, wyteża się wszystkie siły, by zebrać wszystko jak najlepiej, człowiek bezgranicznie jest wymęczony, wyczerpany i w jesieni już ledwie zipie.

Kto ma możność zarząć 1, 2 baranki, nu to wiadomo, spróbuje mięsa, bo to całe lato przesiedział na burczanym barszczu i zsiadłym mleku, jeszcze lepiej gdy utuczy dwa wieprzki, jeden sobie, drugi na sprzedaż, ten zasadniczo będzie używał tłuszcz, w ciągu zimy nabierze siły, by z wiosną znowu przystąpić energicznie do roboty, ale trzeba prawdę powiedzieć, że takich szczęśliwców z każdym rokiem robi się mniej. Należy do wyjątków, by ktoś nie utuczył wieprzka, ale gdyby każdy spróbował go zabić, to cała rodzina prawda miałaby tłuszcz, ale spacerowałyby hoso, a co z tego gorsze to niech określa kto inny.

Bywam często w sklepiu wólczańskim, prywatnym, obserwuję klientelę tego sklepu, zauważam, że najwięcej tam kupują najbiedniejsi. Początkowo sądziłem, że drogie towary sklepikarza mogą kupować tylko zamożne gospodarze, ci co im stać na to, a akurat naodwrot. Bogaty tu nie pójdzie, bo mu prawie nic nie trzeba. Mąkę ma swoją, kaszy też swoje, kawy ani też herbaty nie używa, ma mleko, oleju również nie, ma słoninę, a naftę i zapalki kupi w sklepie spółdzielczym w mieście, bo tam nawet taniej, więc do takiego sklepu niema właściwie poci iść.

Natomiast biedniejsi zmuszeni kupować na miejscu, bo to nafty weźmie pół funta za 15 gr., kupi pudełko zapalek da 10 gr., to w domu z tych zapalek rozczepiając każdy na dwie lub nawet trzy części, dwa pudełka, a ponieważ mleka zimową porą niema, kupi za 10 gr. cukru 5 dek. no i stara się, by mu spadło na jednego „cieńkiego”. A nie mając na to pieniędzy, czasami płaci żydów jajami, fasolą, żytem. Żyd za to wszystko liczy tanio, swoje towary drogo i ten najbiedniejszy musi jeszcze utrzymać rodzinę żydowską, składającą się z 8 członków. Bo niech kupujący coś powie naprzeciw, to nie dostanie towaru, a z wiosną zgubi tak pożądany i do tego bardzo kosztowny kredyt.

Nic dziwnego, że klient sklepikarza na wiosnę nie ma co jeść, bo i jak mu może wystarczyć? Jego jesienne zbiory nie przekraczają wartości 300—600 zł., toć za te pieniądze musi znowu posiać, wyhodować swój inwentarz, przeprowadzić niezbędne reperacje martwego inwentarza, wyżywić się z rodziną w ciągu całego roku, zapłacić podatki, bank, resztę oddać na drogie produkty monopolowe i zmonopolizowane i najdalej w marcu trzeba swe zęby schować do szafy — jako rzecz zbędną.

Ze swoją rodziną składającą z 4 osób używam w ciągu roku:

Soli	—	30 klg.	wartości	7,50 zł.
nafty	—	20 klg.	„	12,00 „
machorki	—	100 paczek, 50 gr.	„	60,00 „
zapalek	—	150 pudełek	„	15,00 „
cukru	—	15 klg.	„	16,50 „

111,00 zł.

Jest to mój wydatek na wyroby monopolowe lub zmonopolizowane, więc proszę sobie obliczyć, jaki ja jeszcze płacę podatek w porównaniu ze swymi dochodami z roli, równającemu się 400 zł. bez rozchodu.

Może u innych gospodarzy mego poziomu ten wydatek jest zmniejszony o jakieś 40 zł., to jednakże dużo dopłacają do towarów kupowanych w drobnych ilościach.

Weźmy niektóre z tych towarów, machorkę pomijam, bo niektórzy doskonale obchodzą się bez machorki, ale na przykład taki cukier. Ze zdziwieniem patrzę na te wielkie szyldy, głoszące o wartości odżywczej cukru, o konieczności spożycia go w większych ilościach i t. d. Tymczasem o tem, by cukier staniał niema szyldu. Nie wiem, by te ładne szyldy pomagały przy spożyciu cukru, wiem tylko to, że zwykle reklamuje się ten towar, którego nie bardzo chcą kupić, lub jest nieznany i to podobne reklamowanie robi wrażenie na wieśniaków ujemne, bo w takich wypadkach wieśniak jest pewny, że go chcą „nabić w butelkę” i ja chociaż czytam gazety, w które w sklepach zawijają mydło lub inne towary, zupełnie zgadzam się ze swymi sąsiadami i stanowczo twierdząc, że nas chcą nabić w butelkę proponując kupno cukru blisko po 2 złote za klg. Więc ja bym radził inaczej — obniżyć cenę cukru do 50 gr. za klg. a napewno będą spożywać go więcej, szyldy wówczas zupełnie są niepotrzebne i mniej na stacjach kolejowych będzie pomyłek w od-

czytywaniu nazwy stacji. Widocznie ludziom kierującym spożyciem cukru wcale nie chodzi o wzmacnianie naszych kości, bo i co taka wiejska kość warta! — chodzi zdaje się o wyciąganie ostatnich groszy z naszych kieszeni.

Trzeba powiedzieć jak prawdę, że cukier znacznie by się przyczynił do urozmaicenia naszych potraw, bo to cukrem można posypać i kawałek chleba, nie szkodzi cukier dany w większej ilości w kawie lub herbacie. Używamy czas od czasu sacharyny, ale ta jest teraz nie warta, dawniej jak była jeszcze kryształkowa — była bardzo słodka, a teraz produkuje się sacharynę w tabletkach i to najzwyczajniejsza tandeta — nic nie słodka. Jeden mi mówił, że wrzuci do szklanki 5 takich placeczków i herbata prawie nic nie słodka. Wiadomo, niema szyldów, to takiej sacharyny już i kupować nie chcą.

Na wsi kupują wtedy cukier gdy niema mleka, albo mleko dobrze płatne, mleka najwięcej niema zimą, rozumie się, że wówczas chłop zdobywa się na odwagę i kupuje raz na tydzień cukru 5 dek. za 10 gr., ale żeby cukrem tym wzmacniał osobiście własne kości, tego nie powiem, najczęściej ten cukier bywa używany do wzmocnienia kości niemowląt i to z pewnymi ostrożnościami. Do cukru dodaje się trochę chleba, a czasem naodwrot, wymiesza się to starannie, zawiązuje się szmatę, tworząc taki guz i po takich zabiegach niańka steruje kiedy dziecko zapłacze i jak tylko dziecko odmyka usta, niańka wsuwa mu w usta guz.

Co do sposobu zamieszkiwania, to już jest trochę inaczej. Turysta na przykład gdyby zaglądał do mieszkań Wólczaków, to nie mógłby określić, sądząc po wnętrzu domów, kto jest zamożniejszy. Jakoś tak wypada, że u mniej zamożnych włościan, jest w mieszkaniu najczystiej. Nie jest wprawdzie tak czysto, jakby mogło być, ale w każdym bądź razie czystiej jak u „kożuchów” i „łachów”. W roku 1931 przeprowadzałem w najbliższych wsiach powszechny spis ludności i zauważyłem, że czem zamożniejszy gospodarz, nie tylko co posiadający całoroczny zapas żywności, a także i paraset złotych gotówki, mieszka w najgorszych warunkach. Dom takiego gospodarza z zewnątrz wygląda dość pokaźnie — jest obszerny, wybudowany z dobrego budulcu, kryty dachówką cementową; a nawet dość często blachą cynkową, stoi na wysokiej podmurówce, a jednak gdy na przykład spojrzeć w okna tego domu, to ma się wrażenie, że okna te wstawiono w zrąb studni lub innego ciemnego zabudowania, bo w domach utrzymywanych czy-

sto, światło wpadające przez okno do mieszkania odbija się o wnętrze izby spowrotem, czego w tych domach nigdy nie ma, a ma się wrażenie, że za tym oknem są niezmierzone obszary grotowe.

Wewnątrz taki dom jest wcale niesympatyczny. Umeblowanie go składa się z ław przymocowanych do ścian i stołu wstawionego w przedni kąt izby, czasami gdy jest rodzina większa w tej izbie, zauważa się łóżko, należy dodać że nigdy nie bywa zaścielone. Tylko jak właściciel pozostawił go rano wstając, tak jest przez cały dzień, w dniu zimne zabiera się na plecy kożuch, służący nocą jako dodatek do kołdry, zaś w ciepłe pozostawia kożuch na łóżku. Ten pokój zazwyczaj jest najobszerniejszy i domownicy w nim bywają tylko w większe święta — zwykle bywa pusty. To też kurzu tam nigdy nie brak i gdy usiąść na ławę, a jeszcze coś położyć na stole, to podnosząc się, warto się obejrzeć, zauważa się wyraźny odcisk własnego siedzenia i odcisk przedmiotu, położonego na stole. Przechodzimy do alkowy. W godzinach rannych lepiej tam nie zaglądać, bo łatwo można nadepnąć na „złoto”, niedbale pozostawione przez małeństwa, można nawet nadepnąć na dziecko, uczące się pisać posługując się zamiast zeszytu rozmazanem „złotem”. I nie dziwnego. Najczęściej gospodyni w godzinach rannych jest zajęta gotowaniem w kuchni, bo to bywa dużo świn, trzeba na to wszystko nagotować na cały dzień — wśród dnia nikt z szanujących się gospodyń nie będzie rozkładać ognia i nie ma czasu. Zimą trzeba prząść, latem jest sporo roboty w polu. Umeblowanie alkowy składa się z łóżka, także do południa nie pościelonego, a jeśli zaścielone, to bardzo niedbale, tak że zawsze widoczna z łóżka słoma, zresztą i nie może być inaczej, bo gospodyni zazwyczaj bierze słomę z łóżka, używając ją zamiast szmaty przy wycieraniu „złota”. O tem by kupić odpowiedni statek dla dzieci nie może być mowy, bo taki „kożuch” nigdy się nie zgodzi na wydatek ponad budżet i zresztą do tego nie jest przyzwyczajony, nazywając to pańskimi wymysłami. Na ścianach alkowy kurzu prawie nie ma, od ustawicznego latania dzieci kurz przenosi się do większego pokoju, natomiast na ścianach alkowy widoczne ślady insektów, a nawet łatwo zauważyć, że ich nie brak o ile przypatrzeć się malowidłom po kiedyś bielonych ścianach w postaci czerwonych plam, rozciągniętych palcami, to znak, że domownicy prowadzą walkę z pojedynczymi okazami mieszkańców szczelin. Powietrze w alko-
wie jest nieznośne, zdawało by się, że okna otworzyć należałoby niezwłocznie, to jednak przeszkodą ku temu jest: latem nalatywa-

nie much, zimą chłodne powietrze — mogące zaszkodzić dzieciom i tak ledwie zipiącym, nie zważając na przysmaki, jakimi co chwila matka zatyka dzieciom usta.

O kuchni lepiej nie mówić, bo od ustawicznego gotowania i parowania ugotowanych ziemniaków, kuchnia zawsze jest napelniąna parą — tak, że nie widać żadnych statków. Ze ścian zupełnie czarnych spadają kapli ochłodzonej pary, robi wrażenie, że przebywa się w miejskiej brudnej łaźni. O powietrzu, ewentualnie zapachu, w takiej kuchni nie wypada mówić — poprostu trudno określić czem tam słyhać.

Dzieci w tych domach z trudem dochowują się do lat młodzieńczych. Czasami wyrasta jeden taki okaz, ale do wojska nie nadaje się, a przecież w tych domach na niczem nie zbywa — jeść jest co. Po podłodze znowu wala się kilka kawałków pszennego chleba, kawałeczki słoniny, rozlane mleko i t. d. Nie powiem, by gospodyni naumyślnie była niechlujną. Nie. Tylko uprawiając w dwóch stronach około 40—50 dziesięcin gruntu, wykarmiając do 6—8 wieprzy przeciętnej wagi 150 klg., wyrabiając własnoręcznie około 100—150 metrów płócien, a latem ustawicznie pracując w polu, stanowczo niema czasu na roboty drobiazgowe.

W tym celu by porobić roboty niezbędne jak uporządkowanie nabiąlu, karmienie świń, są długie miesiące, gdy gospodyni taka zasypia nie więcej jak dwie godziny na dobę.

Rodzina taka jest odporną na wszelkie kryzysy, im żaden kryzys nigdy nic nie robi, bo znowu rodzina taka poza podatkiem, naprawą narzędzi, solą, naftą, niema żadnych obsolutnie wydatków. Mają wszystkiego pod dostatkiem, a nawet kilkanaście set gotówek. Dawniej jak tylko u takiego „kożucha” zbierała się gotówka, to niezwłocznie kupowano grunt, a nawet dziś, aby tanio i dobry kawałek gruntu — również nabędą. Nie wszyscy zamożniejsi gospodarze prowadzą podobny żywot, ale kto z nich odstąpił od dawniejszych prawideł, to ma dług, a jeśli długów niema, to jednakże gruntu nie nabywa i wolnej gotówki w kufrach nie przechowuje. Należy dodać, że życie w zamożnych rodzinach jest wprost nieznośne (mowa o „kożuchach” pierwszych), tam ustawicznie troszczą się o nabywanie gruntu, o inwentarzu — śmiech i wesołe słowa są wykluczone, a nawet ludzie wesołego usposobienia omijają te domy. Przy spotkaniach z takim „kożuchem” niezwłocznie zachodzi mowa o sądach, rejentach — na prawie w zakresie wła-

sności znają się dobrze, to też potrafią skrytykować niewłaściwość postępowania adwokatów i przewodu sądowego.

„Kožuchy” są naogół religijni, nie omijają postów, fundują do kościołów drogie rzeczy kościelne, ale nie ominą sposobności nabycia ziemi z licytacji u najbiedniejszego, chodzi tylko o to, by tanio wypadło a później ani prośby, ani łzy ich nie wzruszą.

„Sukmany” czyli gospodarze średni, to znaczy posiadający od 10—25 dziesięcin gruntu gorszego, a 5—15 dziesięcin gruntu lepszego, lub jak tu liczą z czasów nadziału ziemią „uczastki”, a więc posiadający pół udziału i udział, do tego kilka dziesięcin dokupionego z byłych dworów stanowi „kastę” odrębną. Mieszkania ich o wiele są schludniejsze jak zewnątrz tak i wewnątrz. Po wojnie wszyscy budują mieszkania dwu pokojowe z oddzielną kuchnią, to jednak u „sukmanów” domy o rozmiarach mniejszych. „Sukmani” średnio biorąc, po zbiorach czują się lepiej od „kożuchów”, prawda, że nie zawsze im wystarcza do wiosny ew. do nowych zbiorów własnego chleba, to jednak bez niego nie siedzą. Ta warstwa mieszczańców jest jednak światlejsza, z pośród tych ludzie widzieli więcej świata, pracowali do wojny na kolejach, niektórzy mają gazety, nie znaczy to, by prenumerowali, ale czas od czasu kupują w mieście, kilku jest b. nauczycieli, strażników i t. d. Wiadomo, że do wojny syn zamożnego gospodarza po wojsku wracał na rolę, zaś średniego nie zawsze, szukał sobie miejsca gdzieś w miastach. Tak samo jest obecnie. Inteligentów wśród „sukmanów” prawie niema, nawet o ile brać pod uwagę to, że ktoś z nich do wojny był urzędnikiem lub nauczycielem, to jednak wykształcenia nie mają, a w większości wypadków dosłużyli się do czynów stopniowo naprzykład zaczynając z pocztyljona i stopniowo dochodząc do kierownika poczty. To też żadnego wpływu na wieśniaków nie mają, bo prawie jednakowo traktują wszystko widziane naokoło siebie, a jednak zawsze są na uboczu od innych, w żaden sposób nie chcą swych sąsiadów uznać za równych sobie. Zasadniczo nie dołubiam ich sam. Ci wszyscy co mianują siebie inteligentami, niczego tu nie chcą uznać za dobre, oczy ich zawsze zwrócone ku przedwojennej Rosji i wszelkie przejawy czy to życia naukowego czy politycznego doby obecnej traktują po macoszemu i chórem mówią, że tu nic niema i być nie może, że najlepsi politycy i uczeni byli tylko w przedwojennej Rosji. Odrębną zupełnie kastą „sukmanów” można nazwać tych, którzy już byli w wojsku polskim lub emigrowali w inne państwa. Te ludzie chę-

nie przysłuchują się wszelkim inowacjom, chętnie zaprowadzają lepsze urządzenia, lepszy inwentarz, z chęcią również poddają się agitacji gazet rolniczych, zaprowadzając inowacje i realizując zalecenia i rady instruktorów rolnych. Zawsze są zwolennikami scałenia, nie omijają zebrań gromadzkich i wogóle są ruchliwsi, ale za to są najwięcej obciążeni długami. „Sukmani” już w większym stopniu chorują na zaległości podatkowe, wywołują czasami nieporozumienia z sekwestраторami, zajmują stanowiska administracji wiejskiej i naogół są ruchliwsi.

Mieszkają „sukmani” czystiej od „kożuchów”, prawie u każdego w oknach są firanki, jeśli nie prawdziwe to papierowe, niektórzy kupią coś z mebli, na przykład krzesło lub metalowe łóżko, ściany mieszkań utrzymują jeśli nie bielone, to wybite papierem, podłogi w domach częściej widują wodę, a niektórzy zdobywają się na wynoszenie pościeli w dni słoneczne, na podwórze. Co do odżywiania się, nie mają gorzej od poprzednich, więcej spożywają cukru, nie od tego by czasami nie dokupić świeżego mięsa. Wiadomo jak starcza na kupno. Gorszą stroną średniaków jest to, że za dużo kupują ubrania w sklepach. Dzieci „sukmanów” chętnie śledzą za ubiorami w mieście, starając się naśladować mieszcuchów i chociaż ojcowie mają długi lub inne dolegliwości, to jednak dzieciom nabywają miejską tandetę w postaci tkanin i wykwintnej obuwii, a nawet zaczynają wstawiać złote zęby — nieraz zupełnie bez potrzeby, ot tak sobie nałoży złotą koronkę na zdrowy ząb i ma zaszczyt być panią ze złotym zębem. Te zbędne wydatki zanadto obciążają budżet domowy sukmana i dochodzi do tego, że taki gospodarz łatwiej kupi córce lakierki jak prosiaka do chowu — w rezultacie składają mu wizyty komornik i sekwestratorzy, a z tego powodu masa narzekań i utyskiwań na obecny kryzys. Prawda, kryzys sukmanów najwięcej gnębi, bo to w poprzednie lata jakoś tam się uporał lepiej, ceny były lepsze, było lepiej komu sprzedać, a teraz oprócz niskich cen, ograniczona jest hodowla i taki gospodarz ma najwięcej kłopotu. A jednak ta warstwa ludności wiejskiej bynajmniej nie jest ciężarem dla państwa, bo jak by tam nie było, chociaż mają długi, o które rząd musi teraz się troszczyć, nie wpłacają terminowo podatków, to dają sporo dochodu przemysłowi, monopolom i t. d.

Trzeba wiedzieć, że o ile wydatki „kożucha” rocznie zamykają się sumą 150—200 zł., to wydatki sukmana dochodzą do kilkaset złotych, a w każdym bądź razie wydają dwa, trzy razy więcej.

Prawda, teraz kupują wszystkiego mniej, to jednak po dawnemu zapotrzebowanie na błyskotki miejskie nie ustało, a to jest najgorszym, nawet plagą, bo taki gospodarz w domu obywa się byle jak, siedzi na kartoflach, a jednak cały swój wysiłek pcha ku temu, by córka była ładnie przystrojona. Znam jednego takiego gospodarza, który póki mu córki nie wyrosły — opływał w dostatki. Obecnie posiadając 30 dziesięcin dobrego gruntu, utrzymuje tylko dwa konie — więcej absolutnie nie niema, ale znanym jest fakt, że w 1930 roku potrafił kupić swej córce suknie wartości 100 zł., a to fakt nie jedyny, takich przykładów jest sporo. Nic dziwnego, że teraz ów gospodarz stoi w przededniu ruiny, bo nawet swych długów rozłożonych na kilka lat wypłacić nie będzie w stanie.

„Łachy” znowu stanowią odrębną kastę. Z tej warstwy rekrutują się robotnicy rolni, tracze, cieśli i jako ostatnie przejście pastuchy i włóczęgi. Te dużo gruntu nie posiadają i mało wśród nich jest takich, by sobie grunt dokupywali, najczęściej uważają za zupełnie wystarczające to, co posiadają. O ile ktoś z łachów jest rzutnym, do tego może potrosze zarabiać majsterką, żyje naogół nieźle, a czasem nawet dokupi gruntu. Mieszkanko takiego osobnika jest schludne, dzieci poubierane i powymywane czysto, nawet ci ludzie robią przyjemne wrażenie, to też nic dziwnego, że po kilkunastu latach odchodzą do kategorii „sukmanów”. Największą plagą łachów jest leń. Takich łatwo można odróżnić, gdy tylko spojrzeć na jego mieszkanie, jest znowu brudny sam wraz z całą rodziną i otoczeniem i dziwna rzecz, ma najwięcej dzieci. Dzieci dla tej kategorii włóścian są prawdziwą plagą, jak to ustawicznie twierdzą sami, nieraz słyszy się, że za dziećmi nie zdążyła kobieta zrobić tego lub owego, albo znowu — gdyby nie dzieci, to u nas chleba zawsze by starczało. Warunki mieszkaniowe „łachów” niczem się nie różnią od „kożuchów”, chyba tylko ciasnotą pomieszczenia. W mieszkaniach takie same powietrze do niezniesienia, takie same warunki zdrowotności i t. d. A jednak dzieci z „łachów” umiera mniej, a i wygląd mają zdrowszy, nie zważając na gorsze odżywianie się. Przyczyną tego jest świeże powietrze. Dzieci „kożuchów” w obawie przed zaziębieniem na dwór całkiem zimą nie wychodzą, natomiast dzieci biedne chodzą po dworze tyle ile chcą. Da się często zauważyć małych chłopców przelatujących bosso w siarczysty mróz przez ulicę. Rodzice biednych dzieci niby to zabraniają takich spacerów, ale w rzeczywistości zapewniają, że

takie latanie nic nie szkodzi i nieraz wymyka się z języka, że gdyby nawet dziecko zmarło, to nie wielka strata, bo majątku nie ma, a natomiast spadkobierców rośnie sporo. W samej rzeczy dzieci biednych rodziców są zahartowane o zdrowym wyglądzie, rosną dobrze nie zważając na niedostatki. U pracowitych rodziców dzieci wyrastają roztargnione i wogóle lepiej sobie dają radę, natomiast u leniwych — dzieci od lat 6 obciążone są zarobkami, wynajmując się na pastuszków.

Dziwna rzecz, najbiedniejsi są najweselszego usposobienia, ani u „kożucha”, ani u „sukmana” śpiewu nikt nie słyszy, a jeśli usłyszy to wyjątkowo, natomiast w pałacach „łacha”, łatwo można usłyszeć śpiew i to całkiem serdeczny gospodyni siedzącej u kółka, a pracującej za małą opłatą na gospodyń bogatszych. Długów „łachy” nie mają, a jeśli i ma to wierzyciel machnął ręką, podatki również nie wpłacone, ale jak przychodzi sekwestrator, to taka rodzina nakłada swoje łachy na siebie i zwykle śmiechem witają sekwestratora, ten znowu idzie tam z niechęcią — wie, że nic nie skorzysta.

Z wiosny nigdy robotników nie brak. Prowadząc ogrody czasami donajmując robotnic do pielenia i wtedy ich nigdy nie brak, bo konieczność zmusza do zarobkowania.

Mowa u tych kobiet zawsze wesoła, zawsze na języku żart a żołądek pusty — sami o tem mówią, przypominają z trudem, kiedy ostatni raz pieczono chleb. Wynajmując się do roboty, stawiają jako warunek konieczny trzykrotne karmienieienne. Opowiadając zawsze mają co, bo nie zważając na trudności finansowe, nie ominą okazji pielgrzymowania na odpust, do tego wiedzą co się dzieje na wsi, kto co powiedział na tego lub owego i co znowu odpowiedział drugi. Zapasu kapusty, buraków i innych przypraw kuchennych nie posiadają, a w razie potrzeby wędrują od chaty do chaty — opowiadając najpierw domownikom wesołe zdarzenia ubiegłego dnia, a później oznajmują gospodyni cel przybycia. Odmowa bywa wyjątkową, zresztą wiedzą dobrze do kogo się zwrócić, a również dobrze znają upodobania każdej gospodyni. Po żniwach już o robotnika trudniej, jakoś wtedy mają sporo własnej roboty. Tegoroczne płace robotnicze były następujące. Pielenie 1 zł., żniwo żyta 1.50 — 2 zł., owsa 1.50 — 1.20, kopanie kartofli 1 zł. I do tego jeśli nie całodzienne karmienie to obiad. Należy dodać, że z każdym rokiem mniej wynajmuje się robotników, wobec zubożenia — bogatsi starają się obchodzić własnymi siłami, to też dużo

„łachów” na wiosnę pokryjomu wyjeżdżają na dalsze wsie i chodzą za żebraniną, nazywając siebie pogorzalcami. Plaga żebractwa zimową porą rozwija się bardzo intensywnie, bywają takie dni, że przez wieś przechodzi dziennie 3—4 żebraków zawodowych, to znaczy żebrających z czasów dawniejszych, 3—2 żebraków zbierających paszę, a chociaż nie są pogorzalcami, to mówią, że są nimi, 2—5 rajzerów — ci nie żebrą — wymagają tylko noclegu z kolacją i śniadaniem, do tego dochodzą jeszcze pogorzelcy, ale tych najmniej. Teraz wszystko redukuje się, to też zredukowano do minimum ofiarność. Dziś już nie darzą żebraków tak jak dawniej, bo trzeba byłoby wielkiej zamożności, by być szczodrym, to jednak nikt bez ofiary nie odchodzi.

Zupełnie nową formą żebractwa jest żebranina na budowę kościołów. Gdy tylko ukazali się poraz pierwszy podobni zbieracze ofiar — darzono ich bardzo hojnie — zbierali dużo. W takich wypadkach dawano najwięcej płócien, lnu i wogóle to co jest łatwym do spieniężenia, to też za pierwszymi ukazała się cała zgraja nabożnych zbieraczy, ofiarność na budowę kościoła zanikła i teraz już tylko czas do czasu przejdzie jakiś starzec z obrazem, prosząc o ofiarność na budowę takiego a takiego kościoła. To jeszcze nie wszyscy, bo żebrzą na wsi pod osłoną administracji, zbierając na ochronki i sierocińce. Wogóle chcą, by wieś żywiła wszystkich, a tu akurat tak się zdarza, że wiosną sami nie mają co jeść. Jeśli porównać ilość żebraków teraz z ilością dawniejszą, to całkiem nie będzie przesadzonym, gdy powiem, że przy tak wzrastającej nędzy na wsi, po 5—10 latach będzie żebrowało połowa ludności wiejskiej. Ze wszystkich żebraków — najgorszymi są „rajzerzy”. W latach 1930-32 było rozporządzenie starosty powiatowego, tak przynajmniej mówią rajzy, by wieś udzielała im noclegu. Obecnie odwrotnie, starosta powiatowy każe ich pędzić ze wsi, więc sołtysi są w położeniu bardzo przykrem. Wypędzić takiego osobnika nie trudno, ale znowu na wsi łatwo o zemstę — weźmie taki rajzer podpali zabudowania i pójdzie sobie dalej. To też zasadniczo rajzerom w dalszym ciągu udziela się noclegu, nie zważając na protesty władzy administracyjnej. Sposób przyjmowania na nocleg jest następujący: przybłąkany osobnik zgłasza się do sołtysa, pozostawia u niego dowód osobisty, w zamian zaś otrzymuje nocleg. Sołtys odprowadzając na nocleg zawsze jest narażony na nieprzyjemności, bo to niema takiej gospodyni, która by była uradowaną z powodu wizyty rajzera, to też potulniejszy sołtys nie chce

się narazić na nieprzyjemności, doprowadza rajzera tylko do furtki i zdając go na łaskę losu — sam zmyka do domu z tem, by spotkać u siebie w domu drugiego rajzera. Na drugi dzień sołtys musi wysłuchać sprawozdania rajzera, narzekającego na brak komfortu na wsi, na złe odżywianie się i t. d.

Rajzerzy chórem narzekają na zwyczaje wiejskie — chodzi o spoczynek. Na wsi tak latem jak zimą wstają dość wcześnie. Latem pokojem sypialnym na wsi jest stodoła, to też rajzer może spać tyle, ile mu się podoba, natomiast zimą rodzina chłopska zazwyczaj jest na nogach o godz. 4-tej rano, a nie chcąc obchodzić śpiącego nocleżnika, spędzają go z pościeli i koniec. To bardzo oburza rajzerów i z tego powodu nieraz zachodzi potrzeba interwencji sołtysa, by poskromić wspólnymi siłami nieustępliwego rajzera. Pewnego razu zdarzył się taki wypadek. Przybłąkał się rajzer i po przenocowaniu nie chciał odejść z tego domu, a dosiedział się do wieczora, na następną noc znowu otrzymał nocleg i znowu nie chciał odejść. Sołtys w obawie przed osiedleniem się rajzera w Wólce nakazał furmankę, wsadzili rajzera i odwieźli go na kilometrów 6 dalej — poskutkowało, rajzer nie wrócił.

Dn. 12 grudnia 1933 r.

Pamiętnik Nr. 8

Syn gospodarza pięciomorgowego, potem bezrolny w pow. radomszczańskim

Urodziłem się w roku 1896, we wsi ***, gminy Żytno powiatu Radomszczańskiego woj. Łódzkie. W majątku pięciomorgowym, które to gospodarstwo musiało nas wyżywić sześć osób, więc gdy pamiętam to nam całkiem nieźle się powodziło, ojciec mój wtenczas handlował, a myśmy dzieci, kiedy byliśmy większe, chodziliśmy do szkoły, ja jako najstarszy brat zacząłem pierw chodzić do szkoły trzy kilometry do sąsiedniej wioski bo dawniej przed wojną to w każdej wiosce szkoły nie było, więc trzeba było chodzić tak daleko. Chodziłem do szkoły trzy lata, skończyłem 4 oddziały dlatego że już w domu moja mama mię poduczyła, bo nawet nieźle umiała czytać i pisać i miałem chęć i zdolność się uczyć i dlatego mi łatwo szła nauka. Gdy już skończyłem cztery oddziały, po ukończeniu szkoły znów posyłano mnie uczyć się szewctwa. Uczyłem się przez dwa lata, dalej uczyć się nie mogłem bo musiałem już pracować w gospodarstwie w miejsce ojca, bo ojciec handlował i tak pracowałem w domu przy rodzicach aż do roku 1919 jako w tem roku powołano mnie na wojnę polsko-bolszewicką i służyłem w jedenastym pułku ułanów przez dwa lata, to jest od 14 maja 1919 roku aż do 4 kwietnia 1921 roku; podczas tej wojny byłem na froncie sześć miesięcy, dwa miesiące na wschodniej Galicji i później dwa miesiące koło Wilna i reszta około Białej Cerkwi, przeszło wszystko Bogu dzięki szczęśliwie, nie byłem nawet ranny tylko dwa konie pode mną zostały stracone, jeden na śmierć, a drugi ranny był w kłęb ale że się wyleczył w szpitalu poza frontem. Po ukończonej wojnie zwolniono mię do domu z taką pamiątką, że niemam odpowiedniego zdrowia, jeźdźcem zaziębiony, byłem właśnie u doktora zaraz w pierwszym roku po zwolnieniu z wojska to mi

powiedział, że jestem zaziębiony i kazał mi ażebym zimnego nic nie jadł tylko wszystko ciepłe i ciepło się ubierał, a nawet i życie delikatniejsze. Więc póki byłem przy rodzicach miałem opiekę ze strony matki lepszą, to moje zdrowie też było lepsze, a dzisiaj chociaż jeżdżem z powrotem przy rodzicach, to jednak matka nie może mi nic dopomóc w tem mojem zdrowiu i opiekować się mną, bo sama matka z ojcem już jest u córki na łaskawiznie i sama musi cierpieć biedę, dlatego że rodzice dali jej swoją majątność, więc córka teraz gra nad matką, a to jest moja kochana siostrzyczka najmłodsza taka dobra, że Boże nie daj mi już z nią dłużej żyć, tak być na jej chlebie jak moje rodzice i ja też zmuszony jestem bardzo być. Więc gdy wróciłem z wojska do domu i przebyłem jedno lato w domu i widzę, że siostra starsza wyszła zamąż i dla niej to gospodarstwo ma być, tak myślę sobie trzeba się żenić, a miałem już narzeczoną w naszej wiosce, do której jeszcze przed wojskiem chodziłem. Tak jednego razu mojemu ojcu mówię, że się z nią będę żenił, więc ojciec mi mówi tak, słuchaj na nic taka żeniaczka, ty się z nią nie możesz żenić, dlatego że ona gospodarki niema, bo nawet co prawda to gospodarki nie miała, tylko miała pieniężną gotówkę w sumie 1800 złotych. Ale że to mojemu ojcu się wcale nie podobało, chociaż to była dziewczyna porządna i urodna jak również i jej rodzice, to wszystko za nic było u mojego ojca, niech tam będzie jak chce i jaka chce synowa a moja przyszła żona, byleby tylko gospodarkę miała. I tak się też stało z tą moją Manią, że mi się mój ojciec nie dał ożenić, bo gdybym był przenikł najpierw że mi ojciec taką żonę znajdzie jak potem znalazł i tak mię ożeni w takim piekle i taki będę miał marny los i życie, tobym był ojca wtenczas wcale nie słuchał, tylko się żenił tam gdzieby mi się podobało, a jak nie to jużbem się był wolał wcale nie żenić. Więc jednego razu ojciec mi mówi tak, że już mi znalazł miejsce do żeniaczki i że ojca znajomy swata tę dziewczuchę dla mnie i że tamta dziewczucha ma dziewięć morgów ziemi i to nawet dobrej ziemi, tylko że tam trochę biedy niebrak i że budynki liche, ale ojciec mój mówi, to wszystko nic, na wszystko da się radę, żeby tylko przyszło do ładu. I przyszło do ładu ale piekielnego. Więc jednego razu na odpuszcie w sąsiedniej parafji Gidlach siedem kilometrów od nas spotykam się z tem znajomem ojca mojego i ja go też znałem, zaczęliśmy rozmawiać, wtem on mi mówi, że ma dla mnie dziewczynę bogatą i t. d. i żeby się z nią żenić i o ilebym miał życzenie tobym nawet mógł ją widzieć, bo jest na odpuszcie, to ja mówię dlaczego nie, na-

reszcie przedstawia mi ją, że to była z koleżanką swoją, tak ten znajomy po czasie pożegnał się ze mną i poszedł więc ja zacząłem rozmawiać z nią, więc rozmowa jej widzi mi się dosyć gładka, a na urodę tak sobie średnio, więc po jakimś czasie żegnam ją i rękę jej podaję, tak ona mi mojej ręki nie chce puścić, tylko mię zaprasza do siebie do mieszkania do wioski N. odległej 3 kilometry od Gidel. Tak ja poszedłem z nią i szło nas troje, nareszcie przyszliśmy przed jej dom, tak ona mię zaprasza do mieszkania i byłbym poszedł gdyby był jej ojciec nie wyszedł z mieszkania i byłby nie wołał jej przez siłę, ale to tak gdybym ja ją już miał zjeść, choć to był jeszcze biały dzień, wtem pożegnałem ją i poszedłem i tak sobie myślę idąc drogą, na nic z taką moją żeniączką, ojciec jej taki Herod więc to nie dla mnie i przyszedłem do domu i mówię rodzicom, że widziałem tą dziewczynę, którą mi ojciec stręczy i że byłem w tej wiosce N. i widziałem to jej zabudowanie całkiem liche podporami popodpierane, ale niechby już tam już było jak chciało, byle tylko jej ojciec niebył taki Herod. Co on ci robi gdy ty będziesz miał zapisane — więc ojciec mi tak przetłumaczył i ja usłuchał ojca i ożeniłem się, a innych rzeczy to niespodziewałem się, jakie tam pomiędzy ojcem mojej żony mogły się znajdować z moją żoną, tylko już w moje wesele tamtejsze sąsiady mówili, że szkoda tego chłopca, ale ja tych słów sąsiadów nie słyszałem, tylko słyszeli moi krewni, którzy mi dopiero po weselu powiedzieli i jeszcze się pytali tych ludzi, a dlaczego szkoda, to ci ludzie odpowiedzieli, że ten jej ojciec to nie da mi nawet patrzeć na tą moją żonę, i tak właśnie było, sam się zaraz wkrótce przekonałem. Po ślubie zaraz to jest w pierwszą noc poszła z ojcem swoim spać do stodoły, chociaż nawet za tyle było miejsca do spania w mieszkaniu i ja tą swoją żonę prosiłem ażeby spała w mieszkaniu i to już nie koniecznie zenną razem byleby tylko spała w mieszkaniu, więc ona na moją prośbę i jako na męża nie zważała, tylko poszła spać do stodoły z ojcem swoim, więc krewni moi i rodzice widząc to poczęli się dziwić, że co to jest, że ona w mieszkaniu nie chce spać, tylko poszła spać z ojcem do stodoły, wtem matka jej zaczęła opowiadać całą historję, że ten jej mąż, a mojej żony ojciec to już towarzyszy z tą swoją córką a obecnie moją żoną odtąd jak tylko ta córka doszła do 16 roku życia i że ona niiby jako żona od tego czasu jest odrzucona i nawet źle traktowana i znienawidzona i że jest w niczem u niego bo i tak rzeczywiście było, jak ta moja teściowa opowiadała. Więc w pierwszym tygodniu po mojem weselu zaczynam już pra-

cować jako w swoim już gospodarstwie, bo to i już był czas na robotę w polu orać, siać i kartofle kopać, a miałem to gospodarstwo zapisane wspólnie z żoną, z jednej strony nawet mnie to i cieszy że mam swój kawałek ziemi, chociaż tam bieda, ale lepsza swoja bieda jak czyja rozkosz, ale cóż kiedy z każdym dniem mi się słowa teściowej prawdziły i sam się potrochu doświadczałem, bo gdyśmy zaczęli kopać kartofle na polu, bo to już był październik a ślub mój był 4 października 1922 roku, to gdyśmy wychodzili z domu do kopania to tylko ja i teściowa, dopiero po jakiej godzinie szedł teść z moją żoną kopać na pole i wszyscy żeśmy razem kopali, przychodzi jedenasta godzina przed południem, teść rzuca kopaczkę na ziemię i mówi do mojej żony, no Józia chodź i Józia poszła więc zostało nas na polu troje, a dwoje poszło szykować obiad, bo było nas wszystkich pięcioro: teść, teściowa i dwie córki i ja. Za jakąś godzinę poszliśmy na obiad, no po obiedzie jedziemy na pole, teściowa i córka najmłodsza i ja kopiemy. Za jaką godzinę patrzę się jedzie teść z moją żoną na pole, na wieczór teść z pola razem z moją żoną, tak że ja nie mogłem sobie coś porozmawiać z moją żoną w ciągu tygodnia, tak jednego razu pytam się teściowej, słuchajcie mamo, co to jest w tem, że tak ojciec z moją żoną tylko chodzi, a nie z wami, tak teściowa mi odpowiada, moje dziecko jakże oni oba mają nie chodzić, kiedy mają jedność, tak ja się pytam teściowej, powiedźcie mi co za jedność, tak teściowa mi odpowiada, pilnuj ich, to się sam przekonasz. Nareszcie przeszedł pierwszy tydzień po ślubie tak w niedzielę rano poszedłem zajrzeć do swoich rodziców sam, gdym przyszedł do moich rodziców zaraz mi się pytają jak mi się tam powodzi i ja zaczynam im opowiadać jak teść z moją żoną stale chodzi i co mi o tem nawet teściowa mówiła, tak matka mówi mi, że czemu ja z nią nie przyszedłem niby to ze swoją żoną, tak ja nazad poszedłem po swoją żonę, a nawet i kolega mój poszedł ze mną, zachodzimy do mieszkania, jest tylko sama teściowa krząta się około obiadu, tak ja się pytam teściowy, gdzie poszła moja żona? Twoja poszła do kościoła a ten stary pasie krowę, a ta młodsza pasie gęsi, więc ja mówię do swojego kolegi, że musimy poczekać aż przyjdzie z kościoła, więc teściowa mnie się pyta dlaczego o swoją żonę się pytam, to ja mówię, że rodzice proszą ażeby do nich zajrzała, więc teściowa mówi dlaczego nie ma iść, powinna zajrzeć, nareszcie przypędził i stary, dałem mu papierosa i siedzimy. Nareszcie przyszła moja żona z kościoła, obiad żeśmy zjedli więc ja ją proszę, ażeby szła ze mną i że ją również moje ro-

dzice proszą ażeby zajrzała do nich i ona zgodna zaczęła się szykować, wtem ojciec jej mówi hardo, że jej nie pozwoli chodzić nigdzie, to ja się pytam jego dlaczego nie pozwoli, odpowiedział nie twój interes, wtem moja żona zaczęła płakać, że jej ojciec nie chce pozwolić, a teściowa wtenczas wsiadła na teścia i jako też i mój kolega i ja także samo. O mało byśmy się byli poczubili, nareszcie kazał jej iść i gdym żem ją przyprowadził do rodziców, przenocowaliśmy się przez noc i rano konia założyłem do wozu ojcowego, bo ojcowem koniem robiłem sobie w polu, bo tam konia nie było, więc żona wsiadła na wóz ze mną i przyjechaliśmy spowrotem. Gdyśmy przyjechali to teść zajął moją żonę krowę doić do obory, chociaż by była mogła teściowa wydoić, abo ta młodsza córka, a nawet sam teść, bo widziałem, że nieraz doił sam krowę. Gdy żona wróciła z obory, ja jej się pytam cóż tam tatuś mówili, a żona mi mówi, a płakali, to ja się pytam żony czego płakali, więc żona mi odpowiada, płakali, że ja się bardzo zniszczyła, to ja sobie tylko pomyślałem jaki dobry opiekun mojej żony. Za jakiś czas poszedłem znów w niedzielę zajrzeć do swoich rodziców i późnym wieczorem wracałem od rodziców, a było 5 kilometrów, więc gdy przyjechałem do N. tylko w mieszkaniach gdzieniegdzie się światło paliło, u mnie w mieszkaniu już było ciemno, już spały. Pukam do drzwi wtem teściowa roztwiera mi, wszedłem i kładę się do łóżka, patrzę w łóżko a tu łóżko moje puste i pytam się teściowej: gdzie żona? A śpi z ojcem, — więc zrywam się z łóżka zapalam papierosa zapalką i patrzę się leży z ojcem w łóżku, wtem zaczyna mnie nerwować i złościć tak że miałem ich obu łać na tem łóżku, ale myślę sobie tak na nic, pobiję ich oboje chociaż mam dowód, ale nie mam świadka, przegram sprawę i tak dalej musi pozostać w spokoju. Trzeba tak kombinować ażeby mieć na to świadka i tak dalej pozostało i tak się żyło chłodno i głodno i w koszuli też się chodziło po miesiácu niepranej, a paska od spodni też się przyciągało codziennie, tak że już trzeba było świeże dziurki w pasku robić, bo dlatego że robota była duża, a jeść nie było co, bo teść chleb trzymał pod zamkiem, sery, masło, a mnie dawał tylko kwaśną zalewajkę, że gdy się człowiek przybliżył do niej to dziesięć razy kichnął, z litą solą. Więc myślałem że już skonam z głodu, a tu kupić do jedzenia nie było pieniędzy, krwawy dorobek, na zarobek nie mogłem iść bo teść przez rok miał rząd, więc trzeba było słuchać jego rozkazów i robić to co teść kazał i ja też sam poczuwałem się, ażeby w gospodarstwie zrobić jak najlepiej i żeby na następne żniwa urodzaj

był jak najlepszy, że gdy przyjdzie lipiec to sobie z pola z żoną uprzątnę swoje na osobno i wtenczas z żoną będziemy na swoim, a teść znów sobie swoją resztę sprzątnie z pola i będziemy żyć każdy z swojego garnka i wtenczas będzie zgoda pomiędzy nami. Więc przyszedł 1 lipiec, najpierw zaczynam kosić łąkę i mówię teściowi ażebyśmy szli i kosili każdy swoją łąkę tak jak u rejenta zapisane, to teść mi odpowiada tak, że ja gospodarki od swojego ojca nie przyniósł, a do jego gospodarki to nie mam nic do rządzenia, a ja mu mówię tak, jak to, to tu mojego niema nic, ani gospodarka nie moja chociaż ja tu wniósłem piniądze 200 tysięcy marek pols. i u rejenta mamy oba z żoną zapisane, to tak nimoże być na świecie jak tutaj jest i zaczyna się wtenczas spór pomiędzy nami i zaczynam wtenczas teścia gromić słowami. Ach ty porządny ojciec, córkę ożenić, z mężem jej nie dać nigdzie chodzić, ani do rodziców moich, ani na wesele, ani na jarmark, ani w pole, ani nawet do świętego kościoła, tylko ażeby sam z nią chodził do lasu, w pole, na jarmark i do tego jeszcze z córką, to jest z moją żoną się wyspać i do tego jeszcze żonę mi buntować, ażeby ze mną nie spała, ho, ho to ładny ojciec, toć tu jak ja widzę na swoje własne oczy, to nie jest ojciec tylko kochanek, a przecież jest swoja żona żeby z nią towarzyszyć, to mie tylko bić, głodem morzyć i do tego jeszcze na pół nago muszę chodzić, a dlaczego tak tutaj jest, dlatego że ty ojcze w Boga nie wierzysz, prawda jezdem tutaj z wami już blisko rok, więc ja to wasze życie religijne znam dobrze. Rano się wstanie z posłania, tylko się umyje, a o pacierzu ani mowy, ażeby uklęknąć do pacierza, tego nie widzę, przyjdzie niedziela do kościoła się nie idzie, tylko gdy się w kościele najlepiej suma odprawia, to wtenczas się idzie do lasu z córką na jagody lub na grzyby, rok przeszedł, do spowiedzi się ani razu nie było, tak że nawet z wielkanocną spowiedzią się nie było, córka przyjdzie z kościoła i mówi: tato ksiądz tak mówił, albo tak, to ojciec córce odpowiada tak: ha, ksiądz od tego jest aby gadał. I ja też ojca własnego miałem i dwie siostry, a jednak nie widziałem tego, ażeby mój ojciec z pełnoletnią córką spał i tak wszystkom swojemu teściowi wyśpiewał, bo już mi właśnie na tem a zwłaszcza na nim samym nie już nie zależało, bo już przenikałem swój marny los, jaki mnie czekał i że już z tą swoją żoną nie nażyję, ale jednakowoż od samego dnia ślubu mojego obchodziłem się z tą swoją żoną zawsze w dobry sposób, nigdy przez cały rok nie biłem jej, ani też nie klóciłem się z nią, chociaż miałem nieraz do tego powody, to jednak mu-

siałem ścierpieć to wszystko z bólem serca mojego, dlatego ażeby tą tajemnicę dobrze zbadać i przekonać się o tej rzeczywistości i do tego mieć świadków jako ich mam. Nareszcie skosiłem swoją łąkę i przywożę pierwszą furę siana do stodoły zrzucam do sąsiedka, wtem przychodzi moja żona i zaczyna krzyczeć i wymyślać mnie w ten sposób: to tutaj się kładzie siano, a ja jej się zapytuję, słuchaj Józiu, a gdzie można kłaść, a ona mi odpowiada, tak to ty nie wiesz, że w ten drugi sąsiedk kładzie się zawsze siano, bo tata tak kazali, a ja jej mówię, cicho Józia nie krzycz wszystko dobrze będzie, sprzątniemy swoje na osobno i będzie dobrze. Nareszcie pojechaliśmy po drugą furę, przywieźliśmy furę pod stodołę a ja wchodzę do stodoły, a moje siano przełożone z tego sąsiedka do drugiego i mieszało razem z teściowem sianem, więc ja mówię wtedy ojcu swojemu, że ja już tego swojego siana nie będę kładł do ich stodoły (bo wtenczas mi zwoził siano ojciec i szwagier swoim koniem), tak ojciec mi się pyta a co zrobisz z tem sianem, a ja mówię że niech zgnije na łące a z teściem nie chcę razem sprzątać i tak mówię ojcu swojemu, niech ojciec weźmie tą jedną furę dla siebie do domu i zawróciliśmy nazad w stronę naszej wsi i ojciec jedzie koniem najpierw a ja i szwagier szliśmy za wozem, tyle co ujechaliśmy ćwierć kilometra, ja się obejrzałem a tu pędzą za nami dwie baby przypatruje się im lepiej a tu moja żona z siostrą swoją 17-letnią pełne fartuchy kamieni trzymają przed sobą i za niemi teść o jakieś 200 kroków i gdy ja to widzę tak mówię do swojego szwagra: niech szwagier weźmie jedne widły a ja wezmę drugie bo mieliśmy dwoje widel do ładowania, tak mój szwagier mówi, co tam takie dziady, wielki mam z niemi strach, ale ja mówię strach nie strach, ale też czasami może i być duży strach bo gdy ten mój teść dopadnie do fury a dorwie się widel, to może być z nami bardzo źle, a tak ja wziąłem z wozu jedne widły a szwagier drugie i idziemy za wozem, nareszcie dopędziły nas i mijają nas z szwagrem tak dopędziły do fury do konia z prawej strony i jazda do rowu, tak ojciec mój batem zaczął bić po rękach tak że nareszcie puściły konia i jazda do mnie obie z kamieniami bić mię i wałą obie na mnie kamieniami tylko mi gwiżdżą koło głowy, wtem i teść dopada do nas i wprost do szwagra, chycił szwagra za kołnierz i dawaj bić, tak szwagier widzi, że tak, że niema z niemi żadnych żartów, dawaj teściowi walić, a ja tembardziej swojej żonie i jej siostrze, tak żeśmy obie strony byli pokrwawieni, bo już inaczej nie szło. Nareszcie żem sprzątnął siano do swojego ojca jako też i zboże swoje i gdy

jużem wszystko zwiózł z pola do mojego ojca do naszej wsi, tak ojciec mi mówi: teraz jedź po nią, niby po swoją żonę, tak ja pojechałem po tą swoją żonę, zajeżdżam do N. przed mój dom, tak żona moja gdy to ujrzała tak zaraz wychodzi z domu i zamyka na zamek, tak ja dochodzę do niej i mówię i proszę ją na miłość ażeby jechała ze mną do naszej wsi do moich rodziców bo tam teraz musimy mieszkać z powodu twojego ojca niezgody, tak żona moja nie zważa nic na moje prośby tylko mię wymyśla od najgorszego, tak widzę, że już ja ją nie oderwę od jej ojca, tak ja proszę, ażeby odemkła do mieszkania, a żona moja ani sobie gadać nieda, tak ja widzę że już z tą swoją żoną żadnego końca nie dojdę, tak trachnąłem siłą we drzwi i wszedłem do mieszkania i to było przy ludziach, tylko że jej ojca i matki, a nawet i siostry nie było w domu, bo ojciec mojej żony poszedł sądy zakładać na mnie tak ja wtenczas zabrałem te rzeczy, które były moje własne i odjechałem. Za jakiś czas przychodzą ze sądu pokoju Gidel trzy wezwania, jedno o pobicie, drugie o sprzęt z pola, a trzecie wezwanie o odbicie do mieszkania które miałem pisane u rejenta a czwarte wezwanie przyszło z sądu okręgowego z Piotrkowa o unieważnienie aktu mojego. Tak ja sobie myślę cztery sprawy na mnie, co tu robić, chociaż bać się wiele tych teściowych spraw wcale nie bałem się, ale jednego razu zabieram się i idę do policji do swojego rejonu gdzie należałem i proszę komendanta żeby mi zrobił protokół na teścia mojego i opowiedziałem policji jakie mam zatargi z teściem, tak komendant mi się pyta czy mam na to jakich świadków, więc ja mówię że mam takich i takich, którzy widzieli jak w pierwszą noc po ślubie teść spał z moją żoną w stodole i znów mam świadków, że jako teść nie pozwala chodzić mojej żonie ze mną nigdzie krokiem nawet do kościoła świętego, trzeci świadcowie widzieli, że gdy ja wchodziłem do mieszkania to żona moja uciekała od teścia z łóżka wieczorem i czwarty świadek, który widział, gdy nocował, że spała z teściem całą noc na łóżku, chociaż miała swoje, a piąty świadek to jest mojej żony koleżanka, która jeszcze przed ślubem moim często ją wołała do lasu na grzyby i zawsze widziała, że z teściem moim spała razem na jednym łóżku. Gdy to komendant wysłuchał zaraz sobie zapisał imiona i nazwiska i kazał mi przysłać na posteronek furmanke parokonną zaraz na drugi dzień, tak ja zaraz na drugi dzień furmankę nająłem i wysłałem na posterunek, wtenczas komendant wsiadł i dwóch policjantów i pojechali prosto do mojego teścia do N., gdy zajechali na miejsce do mojego teścia i wszedł komendant

do mieszkania tak zastał tylko w mieszkaniu teścia i moją żonę, tak komendant się pyta teścia dlaczego tu u was taka bieda i taki lichy dom macie a i w mieszkaniu tak brudno i taki smród, toć przecież wasze sąsiady mają takie ładne mieszkania murowane a tu tak nędznie u was i pyta teścia, a co to córka wasza, a teść mówi, że córka, tak komendant mówi teściowi ażeby ożenił tę córkę a to była moja żona, tak teść mówi że już ją ożenił tylko że zięć uciekł, tak komendant pyta się mojej żony a gdzie pani mąż jest, wtem moja żona odpowiada tak, a djabli komu do tego jest gdzie ja mam męża, wtem komendant zabrał ich wszystko troje na posteronek do Gidel, to jest teścia, żonę moją i córkę młodszą, a teściowy nie, bo była u mnie w naszej wsi i zaraz sołtys na rozkaz komendanta musiał wszystkich świadków do Gidel na posteronek dostawić, gdy świadkowie zeznali wszystko, tak mojego teścia zamknął w areszcie w Gidlach a mojej żonie kazali iść do domu dlatego, że była z małym dzieciakiem. Na drugi dzień przyszedł nazad posteronkowy po moją żonę i zabrał ją z powrotem do Gidel i zaraz teścia na furmankę i także moją żonę i policja odstawiła teścia i moją żonę do sędziego śledczego do Radomska. Sędzia śledczy przejrzał zeznania świadków i znów teścia zamknął w areszcie, a żonie mojej kazał iść do mnie, gdzie ja mieszkalem do naszej wsi, bo pośle policję do N. a będzie w N. niby moja żona, to ją każe aresztować i zamknie z teścim do aresztu czyli z jej ojcem. Gdy tak sędzia śledczy zaznaczył mojej żonie, tak moja żona natychmiast przyszła do mnie taka zmęczona i spłakana, więc ja się pytam mojej żony co się stało, że ona taka spłakana, więc żona mi opowiada całą historję, że jakaś policja przyjechała do nich do domu i zabrała ich do sędziego śledczego i sędzia śledczy zamknął ojca do aresztu i założył kaucyje bardzo dużą bo 20 miljonów marek, żeby tą kaucyje złożyć to ojca zwolni z aresztu do sądu, bo ma być z tego sąd. Więc od tego dnia żona dla mnie taka dobra się stała i strasznie mnie prosiła ażeby się przyczynić za jej ojcem ażeby go zwolnić z aresztu, tak ja jej mówię, słuchaj żono trzeba było żyć zgodnie, nie kłócić się ze mną stale we dnie i w nocy i żyć spokojnie, strasznie szalała, myślałem że zwarjuje, co tydzień latała do ojca i to nie raz, ale dwa razy w tygodniu, nareszcie wszystkie sprawy teściowy na mnie upadły z powodu, że teść był aresztowany i moja sprawa pierw wyszła w Piotrkowie niżeli teściowa o unieważnienie aktu. Nareszcie stanęliśmy na sprawie w Piotrkowie, teść, żona moja i ja i moje świadki, a także i policja z mojego rejonu i z teściowego rejonu,

sprawa moja rozpoczyna się o godzinie jedynastej przed południem i ciągnęła się do godziny czwartej po południu, ja byłem badany najpierw przez prokuratora i prezesa sędziego, kazano mi zeznawać od dnia zapoznania się z moją żoną aż do dnia sądu, świadkowie też zeznali i nastąpił wyrok tak że gdy w dalszym ciągu życia okaże się coś jeszcze podobnego to teść otrzyma wyrok od 3 lat do 7 lat. Gdy teść siedział w czasie rozprawy z moją żoną na ławie oskarżonych, to rozmaitych kolorów dostawał na twarzy, tak łatwo przeszła sprawa moja teściowi, bo ja nie miałem do tej sprawy adwokata a teść miał, bo sprzedał ostatnią swoją krowę i wziął sobie adwokata, a ja nie miałem co sprzedać i przytem żona moja prosiła mnie na miłość Boską, ażeby jej ojca nie potępiać i że od dziś dnia będzie dobrze ze mną żyć, więc ja jej zawierzył jako żonie i byliśmy przez jedną zimę u moich rodziców w naszej wsi, ale cóż z tego, kiedy od niedzieli do drugiej niedzieli nie mogła wytrzymać ażeby się z ojcem nie widziała, tylko w tygodniu już ażeby się widziała więc w połowie tygodnia zabiera się na gwałt, więc ja proszę i tłumaczę jej aby nie szła to pójdziemy oboje w przyszłą niedzielę, na nic moje prośby i tłumaczenia, jako też i moich rodziców, tylko bęc we drzwi i w nogi, tak ja za nią, dogoniłem ją nieraz przed dziesiątem domem i siłą dopiero wróciłem ją spowrotem, a nigdy nie chciała swojego dzieciaka pozostawić przy moich rodzicach tylko chciała uciekać z dzieckiem dlatego by już więcej nie wróciła, więc przyszła niedziela idziemy do jej ojca oboje, tyle co weszliśmy do mieszkania tak teść szykuje ceber pomyj albo prost wody i jazda z moją żoną do obory to ja wtenczas dochodzę do cebra i chcę nieść ceber z teściem do obory, ale gdzie tam, teść nie pozwolił tylko poniósł teść z moją żoną do obory. Nareszcie że na wielką siłę przebyła u moich rodziców przez zimę a na wiosnę uciekła ze wszystkim nazad do swojego ojca do N. Przez czas gdy była moja żona ze mną była przez zimę, to teść strasznie się mścił, popalił mi wszystkie narzędzia rolnicze, nie tylko narzędzia rolnicze, bunty od krokiew popalił, łaty te do których słoma nie była przywiązana i cały mój warsztat szewcki spalił i do tego jeszcze gnój mi na polu na wiosnę spalił, który był nawieziony jeszcze zimą, jedenaście wozów go było i to są świadkowie na to, tak się teść mścił, więc tu widzę że mi teść wszystko zniszczy i do tego żona uciekła, tak zmuszony byłem iść za nią z powrotem do N. Więc gdy wróciłem nazad na żonine gospodarstwo do N. i przebyłem przez trzy miesiące i widzę, że już żadnej poprawy niema ze strony mojego teścia i żony mojej, tylko

ta sama muzyka gra, tak poszłem do księdza dziekana do Gidel i proszę go o jaką radę w tem mojem życiu małżeńskim, gdy już opowiedziałem księdzu wszystko, tak ksiądz dziekan mi mówi, że mogę rozwód dostać w każdym razie, bylebym tylko miał dwa tysiące złotych, bo tyle będzie kosztował rozwód i on mi się sam wystara, więc ja księdzu mówię tak, że ja rozwodu nie żądam, tylko żeby ja mógł tą swoją żonę siłą zabrać i jechać gdzieś dalej i żyć z nią nareszcie. Ksiądz mi mówi że ja ją siłą nie mogę zebrać, dlatego że ona moja niewolnica nie jest, a gdy tak zrobię to przestąpię prawo i zostanę ukarany. Nareszcie już widzę jasno jak na dłoni że już żadnego wyjścia do życia nie mam i że tylko przez te pięć lat się nacierpiałem głodu i chłodu i różnych kłopotów i że żony jak się należy nie mam, tak nareszcie wziąłem i tę swoją częśćkę i za marne grosze musiałem sprzedać, bo moi ludzie bali się kupić, bo bali się teścia mojego, tylko obcy człowiek kupił, sprzedałem w miesiącu styczniu 1926 roku, a częśćka żony pozostała się, więc za rok przychodzi teściowa do mnie z moją żoną i proszą mnie ażebym szedł nazad z powrotem, tak poszłem, zachodzę nima konia w domu, wszystko obtargane, żona wraz z dzieciakiem, tak musiałem konia do roboty kupić, do domu wszystko pokupowałem i wydałem około pięciuset złotych z tą nadzieją, że gdy już żona przyszła po mnie to już teraz będzie dobrze. Oj było dobrze, ale tylko dotąd, dokąd zimą konim w polu nie obrobił i biedy z domu nie wygonił i dokąd zimą nie przyszła, gdy już zima przyszła i w polu się robota skończyła to już im koń ani nawet ja niepotrzebny, teść konia z obory jako też i moje rzeczy z domu powyrzucał na ulicę i wont do diabła, więc ja musiałem brać konia na jarmark sprzedać i stracić na nim połowę pieniędzy z powodu zimy, i od tego czasu już jest pięć lat jak moje nogi tam nie były i oczy moje tej mojej żony nie widziały, bo wcale już tam nie chodzę i głowy sobie niezawracam i jak tylko odszedłem od swojej żony tak zaraz zacząłem sobie szukać jakiejś pracy po całej naszej kochanej Polsce i nimógłem znaleźć, nareszcie dostałem się do jednego dworu do *** do pana Z. i prosiłem go o jaką pracę, tak ten pan wypytywał mi się skąd jeźdźcem i jak się nazywam, ja mu wszystko i całe swoje położenie i swój los opowiedział, tak mi mówi ten pan, że u niego narazie niema pracy, ale żeby ja sobie powyciągał wszystkie świadectwa a także i świadectwo szkolne i od księdza świadectwo moralności, tak poszłem do organisty i proszę go o świadectwo moralności, tak organista mi odpowiada, że ja świadectwa moralności nie dostanę, więc ja się py-

tam dlaczego, a dlatego że ja agitowałem na Stronnictwo Chłopskie w czasie wyborów do sejmu, tak ja się pytam pana organisty że co tak Stronnictwo Chłopskie złego uczyniło, tak pan organista mi odpowiada, że wrogo było usposobione przeciwko kościołowi i stanowczo nie dostanę świadectwa moralności od księdza i nie otrzymałem, więc z powrotem idę nazad do tego pana Z. i mówię mu, że wszystkie świadectwa mam, tylko nie mam świadectwa moralności i że mi ksiądz nie chce wydać, tak pan Z. mówi że bardzo źle że niemam wszystkich świadectw bo gdyby były wszystkie świadectwa to by był wysłał mnie do brata majątku za gajowego bo właśnie bratu taki człowiek jak ja by się nadawał samotny. Więc w ten sposób pan Z. nie mógł mi swojej ręki podać aby mnie wydzwignąć z mej niedoli. Nareszcie po jakimś czasie dostałem za robotnika do majątku * * * do pani Ł., która ta pani była bardzo dobra i zlitowała się nademną i przyjęła mnie do siebie, bo dobrze już odczuwała sama to moje życie samotne, bo właśnie i pani Ł. z swoim mężem nie żyła i służyłem u tej pani przez osiem miesięcy, w pierwszych początkach pracowałem jako prosty robotnik, a później jako rządca, nareszcie pani Ł. majątek sprzedała i nastał inny właściciel, tak gdy się dowiedział, że ja już żonaty, tak chciał żeby ja swoją żonę sprowadził do siebie do dworu i może być żona za gospodynię, więc ja poszedłem po swoją żonę i mówię jej że tak i tak, a żeby tą biedę czyli gospodarstwo puścić w dzierżawę i żeby szła ze mną do obowiązku, tak żona mi mówi, że ona służyć do dworu nie pójdzie, więc przychodzę spowrotem do pana i mówię że żona moja na te warunki zgodzić się nie chce i że w taki sposób musi mnie wypłacić i zwolnić ze służby. I tak się też stało, tak widzę, że już innego wyjścia do życia nie znajdę, choć trzy lata chodziłem i grosze moje się już kończą i przez tą swoją dobrą i kochaną żonkę porządnie człowiekiem nie mogę być, tak wróciłem do swoich rodziców i tak teraz jeżdżę przy swoich rodzicach już dwa lata i zajmuje się szewctwem, na którym zarabiam bardzo nędźnie, tak że robi się od godziny czwartej rano do godziny dziesiątej wieczór i to zarobi się zaledwie jedną złotówkę, której się jeszcze zaraz nie otrzymuje tylko dopiero za miesiąc lub za dwa miesiące, bo ludzie narzekają że nie mają pieniędzy, bo rzeczywiście że i niemają, bo skądże będą mieli gdyż zarobków żadnych niema i wszystko siedzi w domu i do tego zagranicę na zarobek nie pojedzie, ani do Francji, ani do Niemiec bo ta gangryna, która już zaczyna śmierdzieć trochę w naszej kochanej Polsce ale nietylko w naszej Polsce, ale i w całej

Europie, nie przyjmuje do Niemiec i tak już teraz człowiekowi biedniemu robotnikowi dzisiaj dobrze, że cała rodzina zaledwie ma jedne buty świąteczne i jedno ubranie. Ale co tu już mówić o butach i ubraniu, kiedy nawet robotnik i chłop trepów drewnianych niema z czego zrobić, bo już nawet i cholew od butów już niema tylko sobie muszą robić zupełnie całe drewniane trepy, tak że nawet gdy przyjdzie niedziela, to nawet do świętego kościoła już niema w czym iść, bo jak są na nogi austriackie madziary to znów niema kapoty, a życie to takie się prowadzi na wsi dzisiaj, takie że Boże nie daj mi chłopu robotnikowi już tak dalej żyć, bo cóż to znaczy taki zarobek, gdy się tylko zarobi dziennie jedną złotówkę i trzeba jeszcze kupić z tej złotówki kołki, gwoździ, dratwy i śpilarczyki i do tego użyć się i dlatego fachowiec, który nie ma na wsi ani piędzi ziemi tak jak ja, to musi zjeść dwa razy dziennie to jest rano i na wieczór kartofli z wodą w kostkę pokrajanych, a okraszonych pietruszką i to jeszcze często bez soli, gdyż na sól czasami nie starcza, a mięso to się takie dzisiaj je, że jak czasami kuzynowi zdechnie krowa albo świnia, a nie chce nikt kupić, to kuzyn przyniesie i dopiró się spróbuje takiego mięsa, bo o lepszym niema mowy, bo nawet coprawda to już mięsa się nietylko że nie jadło, ale nawet nie wachało się już trzy Wielkanocce i trzy Boże Narodzenia. Tak się dzisiaj człowiek biedny robotnik musi ubierać i odżywiać, że już zimą nie jeden robotnik musiał przemarznąć i umrzeć, a który jeszcze żyje to mu już tak w piersiach gra jak grają organy, albo jak konającemu.

Tak żyje dzisiaj chłop, robotnik na wsi, to też za to inni czyli inne klasy u nas czyli w dzisiejszej kochanej Polsce i bratniej ojczyźnie, jak na przykład księża, ta kochana policja i księżęta, hrabiowie ci właśnie dzisiaj żyją w naszej właśnie kochanej ojczyźnie, która jest rajem, ale cóż kiedy nie dla wszystkich tylko dla tych jednostek, a nie dla chłopu i robotnika, bo dzisiaj już chłopu mało-rolnemu a tembardziej robotnikowi nie nie pozostaje do życia, jak tylko przekleństwo, złorzeczenia z powodu dużego wychodu a małego zysku, bo już dzisiaj się przekonałem sam naocznie, że ten sytny nie chce wierzyć głodnemu, że on jest głodny, bo właśnie dzisiaj te jednostki sytne, krzyczą na całe gardło, że dzisiaj dopiero w Polsce jest dobrze. Oj, tak, tak dobrze, ale nie chłopu i robotnikowi, bo właśnie pamiętam czasy, kiedy więcej dziad proszalny chleba zjadał, niżeli dzisiaj gospodarz, bo jak pamiętam gdy dziad przed wojną przeszedł przez całą wieś, po domach, to nie mógł samego chle-

ba unieść na plecach w worku i do tego jeszcze po kieszeniach miał go pełno, tak że gdy szedł przez wieś to mu wylatywał z kieszeni, a psy chociaż wtenczas nie były wiązane na łańcuchach to ani czasu nie miały szczekać, bo chleb zjadają i dziada nie ukąsiły i wtenczas nawet dziady bez kijów chodzili, dzisiaj gdy tylko dziad pokaże się do wsi i niema kija to go chcą zeżryć, z łańcuchów się zrywają, a dlaczego dzisiaj są nawet psy tak złe, dlatego że są bardzo głodne bo jakżeż dzisiaj pies na wsi u gospodarza nie będzie głodny, kiedy już sam gospodarz głodny, bo musi to co sprzątnie z pola sprzedać na podatki i domowe wydatki i jeszcze mu nie starcza.

Więc kończę ten obraz życia mojego jak proletariusz i idealista ten który w dzisiejszych czasach siedział za kratami więziennymi za sprawę chłopską. Książek i gazet nie kupuję bo mnie zupełnie nie stać, dotąd przychodziła mi gazeta „Chłopska Prawda” jako członkowi, ale że składki członkowskiej nie wpłaciłem, z powodu mojego krytycznego położenia, więc już do mnie nie przychodzi chociaż żem jej bardzo rad.

Dn. 29 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 9

Syn mieszczanina przetacznika, stolarz, potem gospodarz na ośmiu morgach w osadzie w pow. radomszczańskim

CZĘŚĆ I

Urodziłem się w 1872 roku dnia 20 stycznia. W zaraniu mego życia pamiętam od lat 7—8, kiedy rodzice moi mieszkali w izdebce od podwórza u dziadka Walentego, przy ulicy Podgaj. Mieszkanie to było ciasne, że ledwo stanęło jedno łóżko, komoda, kufer, stolik i dwa krzeselka, o jednym oknie wychodzącym na podwórko, łóżeczka dla mnie nie było gdzie postawić, więc spałem w takiej szufladzie co stała przez dzień pod łóżkiem, a na noc była wysuwana z pod łóżka; ja byłem pierwszym synem i była siostra młodsza Władzia, która spała w kolebce, była i służąca kuzynka Bronia W., około 10 lat mająca, która sypiała na sienniku kładzionym na kuferku przy piecu.

Kiedy ojciec rano ją budził to mówił: Bronia wstawaj i zapalaj lampę, a zapalki to były w małych paczkach papierowych, a lepki miały czerwone, a zacierają się o piec, to Bronia zacierала i zacierала i zatrzeć nie mogła; ojciec się zrywał z łóżka, dopiero brał od niej zapalki i pokazywał jak się zaciera, żeby przycisnąć, to dopiero się zapali. Wstał ojciec rano, ponieważ robił przetaki i takie pudełka dla bab na czepce i sam rozwoził je po jarmarkach w okolicy i w miejscu sprzedawał, patentu na to żadnego nie wykupywał i dosyć na tem zarabiał. Matka znów umiała szyć, ale ręcznie, szyła bluzki, kaftaniki i te czepce dla kobiet; razu pewnego naszyła kilka tych czepców i schowała do tych pudełek, a ojcu nie powiedziała, w nocy ojciec pudełka zabrał na wóz razem z przetakami i pojechał na jarmark do Wielunia i tam bardzo prędko to sprzedał. Rano matka spostrzegła, że czepców niema i pewno oj-

ciec nie zajrzał do pudełek i sprzeda, tak się też stało — co ojciec kobiecie powiedział to zapłaciła i poszła, bo jej się śpieszyło do domu. Ojciec mój był jednak, miał cztery młodsze siostry; dziadek miał pięć mórg gruntu, więc rozdzielił każdemu po jednej morgdze, ale żadnych zapisów rejentalnych nie robił. Dziadek umarł to może miałem 8 lat, robił też przetaki, a nawet robili razem z ojcem moim, ponieważ dziadek mieszkał w dużej izbie od ulicy, więc tam było przestronno i tam robili. Siostry ojca powychodziły zamąż, jedna za szewca, druga za gospodarza, trzecia za strażnika i pojechała z nim do Rosji, a czwarta też za wyrobnika gospodarskiego i przy tej była ojca matka czyli babka do śmierci, a to znów spowodu, że ta najmłodsza siała część gruntu przypadającą na tę, co poszła za strażnika, bo ta go nie brała, choć pisała z Rosji o niego, ale ojciec powiedział: co, w koperte ci włożę? i na tem był koniec.

W parę lat po powstaniu zaczęły krążyć wersje, czyli gadki, że moskał będzie brał do wojska, ale żonatych to pozostawi w domu; ojciec mój, choć jednak, ale boi się iść do wojska moskiewskiego postanawia się żenić, spodobała mu się Brońcia Z., że to niby szyć umie, ale majątku nie ma, za to rodzice mego ojca też mu odradzają, że nie ma nic gruntu, przecie jest czworo dzieci i matka a jedna morga ziemi, tylko że babka też szyć umiała i z tego się utrzymywała, Brońcia czytać umiała, ale pisać to nie umiała i nie wiem, gdzie się uczyła czytać, choć to moja matka była. No i nie pomogły perswazje rodziców ojca, Brońcia była ładna, więc ojciec postanowił się ożenić z nią bez majątku.

Po weselu w jakiś rok przyszło na świat dziecko, któremu na chrzcie dano imię Bolesław, po upływie kilku czy kilkunastu miesięcy ten Bolesław umarł, po pewnym czasie znów rodzi się syn, przychodzą różni kumotrowie i powiadają, aby nie dawajcie znów imię Bolesław, bo wam znów zamrze, ale ojciec, że to był światły, bo miał chrzestnego księdza, a sam znów co niedziela śpiewał różaniec w kościele czyli był braciszkiem różańcowym, chodził w długiej kapocie czyli płaszczu, wąsów nie nosił z powodu że często przy robocie przetaków musiał zębami dociągać przy obszyciu, że wciąż w kościele tylko siedział i śpiewał, to jest co niedziela i święto, a jak szedł do kościoła, to dzieci ojca całowały jako podobnego do księdza, więc w te gusła nie uwierzył i ochrzcił mnie Bolesławem.

Pewnego razu ojciec miał już trochę pieniędzy i zamierzył wyprowadzić się od dziadka i zadatkował dom murowany od Kazimie-

rza S. przy ulicy Częstochowskiej, ale inny, nazwiskiem Rak, podbił ojca i dał 50 rubli więcej K. S. i żona K. S. przyniosła zadatek 100 rubli; ojciec ze złości rzucił te pieniądze pod poduszkę znajdującą się na wierzchu na łóżku, pieniądze te były drobne, ojciec ich nie liczył zaraz, później liczy, a tu brakuje trzy złote ruble, co to było! skargi sądowej, przysięgi, pomsty boskiej to aż strach.

Razu pewnego śpię sobie w swojej szufladzie, a tu krzyk: pali się! przetarłem oczy i wyskoczyłem na ulicę, a tu za mną pierzyny, poduszki pokładali pod płotem na ulicy i posadzili mnie i być tutaj kazano, siedziałem w tych pierzynach, a tu się paliło nasze mieszkanie, bo dziadek już umarł. Po pożarze wprowadziliśmy się do sąsiada St. do takiego samego alkierza, albo jeszcze mniejszego, sąsiad ten to był mój chrzestny, miał sad większy jak był u dziadka. Kiedy jeszcze mieszkaliśmy u dziadka, już zacząłem pasać gęsi, pewnego dnia, kiedy przypędziłem gęsi, była to już szarówka, wołam na matkę co jeść, ta mi odpowiada, że dopiero się gotuje. Wyszedłem na podwórze, tak mnie smak śliwek węgierok zaleciał, bo rosły zaraz za płotem u chrzestnego, ale wydzierżawione żydowi Mamele; był to krawiec i później szył mi ubrania, z tego go dobrze pamiętam, a był mały i garbaty bardzo, to najczęściej nazywano go krawcem garbatym; przechodzę po cichutku przez płot i włączę na śliwkę, zajądam, a tu żyd przy śliwce i woła, kto tu, złaż! Co tu robić, ale na szczęście żyd był z lampą, niewiele się namyślałem, jak palnę z tej śliwki i w nogi żydowi, lampa zgasła, a ja uciekłem, stanąłem na kamieniu przy płocie i czekam co będzie dalej przy ścianie ojca domu. Krawiec przychodzi do ojca i mówi że pański syn to obrywał śliwki w sadzie u mnie, złapaliście go, nie, bo mnie uciekł i skoczył z drzewiny prosto na mnie, tak się przeląknę, tak mi serce wali. Aj, waj! Jak żyd u ojca, a ja myk do dziadka i grzeję się przy kominie, żyd wyszedł, ojciec przychodzi do dziadka, a ja tu stoję przy kominie; toś ty był na śliwkach u krawca, ja nie, ja tu już dawno stoję, prawda dziadku? dziadek potwierdza że już dawno i skończyło się na strachu.

Mieszkamy u tego sąsiada, coś na drugie lato w pewne przypołudnie ojciec powiada, takie masz włosy, to chodź, to cię ostrzygę, a ja mówię, ja się jeszcze tato pójdę wykapać, a były blisko glinianki, podskoczyłem na te glinianki, a tu tyle dzieci się kąpie, ja mówię do nich, że ja przejdę przez tę wodę i będę do wody pod pachy, pod szyję, aż niedługo już mnie nie widać, ale ręce do góry trzymam i idę precz przez tę wodę, powietrza mi brak, skoczyłem

do góry, aby złapać powietrza, a tu się nachlapałem tej brudnej wody, ale idę precz, słyszę jak już krzyczą, topi się, ja znów do góry i znów się nachlapałem tej wody brudnej, a tu mnie już ciągną za łeb na drogę, jak wyszedłem to zwymiotowałem tę wodę niedobrą.

Tego samego roku przy tej samej wodzie pasę gęsi, a tu znów się pali całe prawie miasteczko, na pola wywożą pościele, łóżka, szafy i t. p. w południe poleciałem do znajomych rodziców, a tam wszystko popalone, tylko w kominach stoją garnki i gruzy się jeszcze dopalają, obszedłem całe miasteczko, a tu wszędzie ogień, poleciałem na Ściegna, co tam stał krzyż taki z koroną cierniową przy stodołach, o jakżeż on się palił, nie mogłem oderwać wzroku od tego krzyża, bo tam taka ładna była głowa Chrystusa, a tak się paliła. Ten pożar to już dobrze pamiętam, było to w sam 8-ty Jan 1878 roku.

Po pamiętnym pożarze ojciec kupuje plac pod dom przy stokach od Pawła Ch. coś za 60 rubli, nie rejentalnie, i zamierza tutaj budować sobie dom drewniany o trzech izbach i sieni co w następnym roku buduje. W tym samym roku zaczynają budować szkołę murowaną w rynku, ponieważ dawniej była szkoła, ale w prywatnych budynkach, poszedłem ja do szkoły kiedy jeszcze była w prywatnym domu i pamiętam jak podniosłem palce do góry abym mógł wyjść na świeże powietrze, to była w szkole żona nauczyciela, ta jak zobaczyła moje palce, to jak mnie palnęła linją przez palce, to zobaczyłem gwiazdy na niebie i zapomniałem o wszystkim czego ode mnie natura żądała.

Jak długo chodziłem tam do tej szkoły dobrze już nie pamiętam, ale za to kiedy do nowego budynku szkolnego przyszedłem i tutaj przyjechał nauczyciel nowy, a nazywał się Młynarski, sala duża, dwa okna pod południe i jedno pod północ, dzieci pewno więcej było jak setka, a tutaj pan nauczyciel kazał kupić nowe książki, mianowicie: Ruską gramotę Gruszeckiego, Wojtek i Bartek Promyka i inne. Pamiętam jak przyszedł do mnie kolega z ławy szkolnej, a ja go poprosiłem, aby mi podpisał te nowe książki, a on mi wypisał moje imię i nazwisko i rok 1880.

Nowa szkoła miała dla p. nauczyciela jeden pokój z kuchnią oba mieszkania obszerne, piwnicę, oborę, no i ogródek, albo podwórko duże, bo przecie wszystkim wiadomo, że dawniej zaczynało się chodzić do szkoły dopiero po ustaniu pasania gęsi i krów to jest

w listopadzie, to o tej porze i ogródek mógł zostać podwórkiem i tak było w rzeczywistości.

Chodzę do tej szkoły przez kilka zim, bo do 14 roku życia skończyłem te trzy oddziały i nauczyłem się czterech działów, dyktandów my tu nie pisali, a często do tablicy wzywał nas p. nauczyciel.

Rodzina p. nauczyciela była liczna, czterech synów i dwie córki, synowie często zastępowali ojca, bo p. nauczyciel prócz szkoły prowadził kasę miejską, za co miał osobno płatne. Kasę miejską prowadził w Urzędzie gminnym, co się mieścił nieopodal szkoły, często gdy przyszedł p. nauczyciel z nosem czerwonym, to bieda dla uczniów, bo jak tylko synowie naskarżyli, że ten a ten dokazywał, to już bat na pokładankę i piątka więc chętnie się opłacaliśmy w rodzaj „chlebca” lub owoców. Śpiewaliśmy „Boże caria chrani” i „My proso siejali”, rano znów „Kiedy ranne wstają zorze”, modlitwy też były po rusku „Prebłagi, Gospodi”, „Błagadarim” i t. d. Pomiędzy tego wszystkiego uczyliśmy się dobrze, parę razy p. nauczyciel nas kilku chwalił, a nawet mówił ażeby rodzice nas mogli dać do seminarjum nauczycielskiego do Łęczycy, toby z nas nauczyciele byli, mówił że to tak wieleby nie kosztowało, bo około 300 rubli.

Ojciec dom wybudował o trzech stancjach, drewniany, w pierwszym dużym mieszkaniu trzy okna, okiennice, okna o sześciu szybach dosyć dużych, a dwa małe mieszkania po jednym oknie, drzwi frontowe filłagowe, futryna z okienkiem u góry, aby było widno w sieni, do frontowego mieszkania drzwi też filłagowe, podłoga we wszystkich a do małych drzwi proste pokłady heblowane czysto i dawane na feder czyli na szponty, dach gontem kryty i obory drewniane też gontem kryte, piwnica na kartofle murowana na sto pięćdziesiąt korcy, na piwnicy stół do rżnięcia szezki, na razie szezkiarnia ręczna pichłaczka, bo ojciec ma konia i krowę jedną.

Po wybudowaniu powyższych budynków, czy podczas ich budowania, mamy brat Władzio Z. w Warszawie szkołę skończył i został rejentem w pewnym powiatowym mieście, przyjeżdża odwiedzić matkę i siostrę, ogląda te budynki daje coś 300 rubli siostrze, później 200 rubli, później znów 300, później znów 200 rubli. Zaraz jakoś po weselu daje 300 rubli, ażeby ojciec dokupił sobie ziemi, bo się trafiło trzy morgi księżego gruntu, co dostał jakiś strażnik Zabłocki, później znów się trafiło trzy morgi od sąsiada Staniszcza za 300 rb., to znów 200 rb. tak, że ojciec dostał za tą biedną dziewczynę przeszło 1500 rubli i kupił sobie osiem mórg ziemi, a swoją miał dziewiątą morgę i dotego robił te przetaki, czyli

później to same tylko łuby i te zakupywali do fabryk do Będzina, to do Częstochowy, a nawet Chrzanowski z Bielańskiej z Warszawy też kupował. Rodzina też się powiększyła, bo w dwa lata po mnie przysła na świat siostra i tak dalej znów syn i znów syn i córka tak że nas było trzech synów i dwie córki.

Ojciec to przedsiębiorstwo prowadził bez żadnego patentu i karty rzemieślniczej, nie płacił żadnego obrotowego, dochodowego, kryzysowego i innych podobnych świadczeń. Drzewo potrzebne na te łuby kupował w miejscowych lasach, bądź w urzędzie leśnym, bądź u kupców prywatnych, drzewo to musiało być tak łupne że się dało drzeć jak karty papieru, mało co poprawione ośnikami już było gładkie, i płótno zrobione z leszczyny, a raczej z łyka leszczynowego na krosnach podobnych jak gospodynie robią płótno. Taki łub przed obszyciem musiał być suchy i sfolowany czyli wygięty na okrągło i zatoczony w formę z drzewa, a po wyjęciu z formy obszyte płótno i gotowy przetak do podsiewania zboża, czyli do czyszczenia go z brudu.

Wypada mi się jeszcze wrócić do młodszych moich lat, jak to mieszkaliśmy u dziadka na Podgaju i dobrze była nazwana ta ulica ponieważ była położona pod borem, o jakie pół km. był naturalny gaj. Miasteczko jest położone na pokładach, ale to grubych kamienia wapiennego, studnie tutaj są dosyć kosztowne bo muszą być bite w kamieniu, oprócz stoków przy ulicy Kanale, gdzie wody dostać można ręką. U dziadka studni nie było, a trzeba było chodzić ze dwa staja po wodę do studni kręconej kołem, a często kiedy się ze-psuła, to i do stoków, jeszcze dalej. Właśnie ojcu trafił się plac do kupna przy samych stokach pod dom, z czego był bardzo rad, choć plac był szczupły bo może miał 400 kw. łokci, ogrodu żadnego tutaj nie było, u dziadka znów był sad a nawet w nim ładne były jabłka i gruszki, lecz ta woda zabijała i to jeszcze, że podwórze i sień były wspólne z sąsiadem bo i u niego też były takie same dwa mieszkania, jak u dziadka.

Razu pewnego z wieczora ojciec poszedł do miasta, ale matce o tem nie powiedział, a ja siedzę sobie przy oknie i patrzę na podwórko, matka kolację ugotowała i mówi do mnie: nie wiesz gdzie ojciec jest, a ja mówię, że tam po podwórzu chodzi ktoś. To idź no i wołaj ojca na kolację, wychodzę a ten ktoś idzie do sadu za drzewo, co było ułożone na opał, ja zawołałem: tato chodźcie na kolację, i poszedłem nazad do mieszkania. Dosyć długo ojciec nie przychodził na tę kolację, ale kiedy przyszedł, matka się pyta czy

ty tam chodziłeś po ogrodzie, ojciec odpowiada: nie, ja byłem u Szlenka, po kolacji poszedł dać jeść siwce i zaraz położył się spać obok stajni w sołku, gdzie się rżło słomę na sieczkę, — rano wstaje, a siwki w stajni niema, ukradli złodzieje siwkę w nocy, ojciec w krzyk, ja z matką w płacz, budzi ojciec sąsiada i jego syna Walusia, biorą latarnię, patrzą na ślad, są kopyta, jak jechali do gaju czyli do boru przez ogród, — jazda oni za śladem i innych sąsiadów też ojciec zawołał i oni chętnie polecili szukać siwki do boru, a że to już się robił dzień, więc to ułatwiło im siwkę znaleźć i na jaką dziesiątą godzinę siwkę przyprowadzili, jaka była radość w domu, ojciec poszedł zaraz do miasta, przyniósł wódki i kielbasy, poczęstował tych co szukali i podziękował im i rozeszli się do domów, czyli do roboty, bo to było jakoś pod jesień, więc robotę miał każdy. Matka znów mówiła do ojca, tę furtkę tam na zapłotki węz i zabij gwoździami, na chałupki nie łaż, siwki sobie pilnuj, i miała rację.

Za jakie dwa tygodnie jedziemy z ojcem w pole, a tu koło krzyża na ściegnach strażniki wiozą zakutego w kajdanki Nowińskiego, a ten z furmanki woła „Te, zabrałeś mi siwkę”. Nowiński był rodem z naszego miasta i był kuty złodziej.

Raz po Wielkiejnocy czy w samą Wielkanoc przyszedł ojciec z kościoła i tak mówi do mnie: żebyś ty Bolek szedł do kościoła, to byś zobaczył nową figurę Pana Jezusa Zmartwychwstałego jaki ładny Pan Jezus, jak rączką błogosławi — zaraz na drugi dzień poszedłem na nabożeństwo i tak patrzę w tę figurę Chrystusa jak w tuza, że nawet nie śmiałem okiem mrugnąć, a tam przy ołtarzu kręcili się ludzie niby na ofiarę szli, a może to kościelny tam co przy ołtarzu robił, może kurz omiatał, dosyć, że ten Chrystus się mocno ruszył i te palce, co miał w górze, kiwały prosto na mnie, więc ja w nogi, przychodzę do domu, a ojciec się pyta — toś ty już przyszedł, a ja mówię, że Pan Jezus jak mnie zobaczył w kościele to prosto na mnie ręką kiwnął, to ja zrozumiałem, że mi powiedział biegaj — biegaj, czyli idź, idź do domu, bardzo się z tego śmiali, a nawet ojciec opowiadał o tem sąsiadom, ale ja zawsze się upierałem przy swoim, że prawdziwie Pan Jezus na mnie kiwnął palcami.

Gdyśmy mieszkali u sąsiada po ogniu, to sobie pozwalałem na takie szopki, jak włożenie na księżę słupy, co był płot ogrodzony, i z tych słupów skakałem na ziemię przy słowach „Maga, maga, nie boję się, skoczę i zabiję się”, przy tem skakaniu obtrząsałem się bardzo i chorowałem dosyć długo a straszne miałem bóleści w brzuchu, jęczałem aż strach leżąc na poduszkach w ogrodzie. Doktora

ani felczera nie wołano do mnie, a tylko babka taka mnie smarowała, co to dzieci przynosiła temu kto o to ją prosił, i wyzdrowiałem.

Miał ojciec kumotra i kolegę cieślę, a nazywał się Łukasz Szlenk. Prawie razem się poženili, ale Sz. po swoim weselu jedzie do Warszawy i pisze do ojca aby przyjechał też do Warszawy, a będzie robił razem z nim przy cieślach. Pojechał ojciec do tej Warszawy za jakiś czas, ale roboty zaraz przy cieślach niebyło, więc ojciec się zaczął tymczasem przy brukarzach, a brukowali prawie ulicę Chłodną.

Mieszkał u Sz. na Woli, a Sz. robił nad Wisłą w zakładach Be-
wenzego i S-ka jako cieśla. Po dwóch tygodniach roboty ojca przy brukarzach na Chłodnej, kiedy ojcu zapłacili, poszedł do cieśli robić ze Sz. nad Wisłę, a co wieczór to znów brali różne odpadki na opał i dźwigali na Wolę. Po takiej pracy przez jedno lato w Warszawie ojca, a Szlenka coś przez dwa, postanowili powrócić nazad do domu i starać się tu pracować. Matka moja była w domu, a Sz. swoją żonę miał w Warszawie, bo to niby jeść gotowała, na obiad jadali chleb suchy lub ze szmalcem i popijali resztkami kawy pozostałej ze śniadania. Jak ojciec przyjechał do domu, zaraz się zabrał do roboty przetaków i pudełek do czepków, kupił konia, wóz i jeździł po okolicznych jarmarkach i sprzedawał.

CZEŚĆ II

Jak ojciec kupił plac przy stokach, to w następnej ulicy też przy drugich stokach mieszkał Łukasz Szlenk w swoim domu drewnianym, który mu się dostał drogą spadku po ojcu, w domu tym były dwa mieszkania, w jednym stał warsztat stolarski i tu pracował sam, dzieci były małe, a w drugim stały sprzęty domowe jako: łóżka, szafy i t. d.

Drzewo na dom ojciec kupił w lesie, całe sosny były, dopiero zwoził, następnie które było grube, najął traczy i ręcznymi piłami różnili na bale pewnej grubości, ale już pod rozkazami Sz. cieśli. Pamiętam jak założyli przyciesi, a w nich święcone wianki, a pokropili trochę okowitą swoje gardła, żeby się dobrze powodziło i poszli spać. Rano Sz. przychodzi do ojca do mieszkania na Podgaj i mówi: wiesz Antoś, przyciesi rozrzucone są w stoku we wodzie, polecieliśmy wszyscy to znaczy: ojciec, Sz., ja, Waluś sąsiada, tak jest, jeszcze przyszli inni, pomagali powyciągać te przyciesi, a kleli, że

niczem pioruny z jasnego nieba, a Sz. jak nie machnie toporem o kamień, co leżał na rogu placu, roztrzaskał go w kawałki, ale nie kamień, a topór.

Nie było tego kto porozrzucał te przyciesi, nie podobało się to kilku sąsiadom, że to niby przybiera ogólnego gruntu parę cali, że niby górkę, aby się ziemia nie zasypywała, zabezpieczył kamieniami, a na nich położył przyciesi. Sz. ze złością składa nanowo przyciesi, zakładają słupy i ściany, a Sz. krzyczy, niech no mi tu kto przyjdzie, a powie że źle, to mu drugi topór potrzebuję na jego łbie. Siarczyście szła tego dnia robota aż kipiała, że do pół ścian stało, ale na noc ojciec musiał pilnować, aby znów kto całych ścian nie utopił w tych stokach. Pod jesień dom gotowy i wprowadzamy się, przychodzą różni przyjaciele podziwiają jaki to ładny ten dom, jaki to widny, jaka to ładna podłoga, z jakich to rdzennych sosen, jakie to duże okna i tak bez końca, a jeden znów dodał, to pomogły rejentowe pieniądze, choć wprowadzie już matce coś 200 rubli dał. Przyszła jesień i zima, idę znów do szkoły, mam kolegów bo ojciec już ma dom, mają mnie jak i ojca za bogacza, a kumoszki różne znów się schodzą w niedzielę to babka po matce, babka po ojcu, przyszły, gwarno wesoło, a jak przyszedł Leonard H. brat tego, co to był sekretarzem w Najwyższym Sądzie w Warszawie, ten znów wołał aby oblać to mieszkanie, aby się dobrze powodziło, co już ojciec rad nie rad musiał i oblać i dać zakąsić też.

A w szkole jak to w szkole, choćby cię warzyli w smole, nie mów co się dzieje w szkole, ale ja na to nie zważam i piszę, co mnie uczyli pisać abym pisał, a czytać abym czytał. Pewnego krytycznego dnia p. nauczyciel mnie woła do siebie do katedry i każe mi czytać „Tisze jedziesz dalsze budziesz”, co znaczy pomału jedź a dalej zajedziesz, gdy przyszedłem do słowa „kajo”, co znaczy kiedy ją przyprowadzili do kowala, tutaj nie udarenie a wymowa tego słowa skrzyła mi się i powiedziałem „kakojo”, kładzie mnie dwóch oprawców na ławkę i p. nauczyciel sypie mi piątkę na tylek czyli d... i sprawa skończona; ten sam p. nauczyciel uczył katechizmu, uczył moralności, aby nie kradł nic jeden drugiemu i tak go słuchali.

Po skończeniu trzech oddziałów poszło się do spowiedzi bez chodzenia na naukę do kościoła, a tylko z kartką od p. nauczyciela, za którą się też przyniosło p. nauczycielowi parę jajek, ksiądz się ta wcale nie mścił, że głębił, że nie umie tak jakby on chciał, a mniej

nawet złodziei było jak dziś co łążą całe lato na naukę do katechizmu.

Jak chodziłem do szkoły, często a prawie co dzień przychodził kościelny, aby p. nauczyciel posłał dwóch chłopców do służenia do mszy, chodziłem i ja służyć do mszy, byłem śmiały w kościele, więc razu pewnego jestem w zakrystji, przychodzą jacyś ludzie ze chrztem, ksiądz się pyta jakie to ma być imię noworodka, oni odpowiadają, że Bolesław. A ksiądz jak nie krzyknie, to chceta go ochrzcić na zbója, jest tu ojciec tego dziecka? — Niema, brzmiała odpowiedź, ja się na to nie zgodzę, my ochrzcimy go Czesławem, rodzice chrzestni się zgodzili i ochrzcili zamiast Bolesław — Czesław. Zaraz w kościele świeczki mi stanęły w oczach, że ja mam takie zbójcekie imię, przychodzę do domu i prosto płaczę, poco mnie rodzice ochrzcili Bolesław, nie było lepiej dać mi imię Czesław, Bolesław to taki był zbój*), toście mi dali imię tego zbója, ale matka mnie uciszyła i spędziła, że to ojciec takie imię wybrał. Chodzi do kościoła i w kościele prawie siedzi a takie brzydkie imię wybrał dla dziecka, ale stało się już. Na czwarty rok przyjechał do miasteczka po żniwach złotnik z Warszawy, że to będzie złocił wszystkie ołtarze na nowo, potrzeba mu do pomocy chłopca tak na posyłki. Kiedy rozmawiali o tem z księdzem, to stał z boku kościelny, a ksiądz się go pyta, kto ta ma takiego chłopca, a ten odpowiada, Antoni S. ma takiego chłopca, ten będzie zdatny, no to idź mi do Antoniego i powiedz, żeby jutro chłopiec jego przyszedł tu na plebanję, tylko rano, i powiedz mu że będzie miał zapłacone. Kiedy kościelny wieczorem w niedzielę przyszedł do ojca i to powiedział, to aż podskoczyłem z radości, że zarobię na ubranie zanim pójdę do szkoły. W poniedziałek rano idę na plebanję, spotykam p. złotnika, ten powiada dobrze że przyszłeś, umiesz ogień palić? Umiem, odpowiedziałem, no to idź na podwórze tam weź drzewa, tego rąbanego, przynies tu do kuchni, patrzę a tu znów niesą chłopci koryto nowe takie jak do skrobania świń mają rzeźniki, stawiają w kuchni, ja przyniosłem drzewo, ten pan znów mówi, idź po wodę, przyniosłem wodę, nalałem w duże garnki i palę ogień i grzeje wodę, za jakiś czas patrzę a tu znów niesą świętych, co to stali na wielkim ołtarzu, temu z ręki wyjmują klucze, niby Ś-mu Piotrowi, innemu znów wyjmują z rąk książkę, co niby czytał. Przyglądam się temu wszystkiemu, jakie to drzewo oglądają i mówią, że to z lipy

*) Ksiądz miał zapewne na myśli Bolesława Śmiałego,

są ci święci porobieni, ja też patrzę jakie to kłoce drzewa a tak wystrugane ładnie, a jakie to ciężkie, gdzie tam mnie podnieść.

Woda gotowa prawie że się ma zagotować, a tu chłopci najpierw łapią Ś-go Piotra, ale bez kluczy i kładą go do nowego koryta, biorą te duże garnki z wodą i leją, gdzie każe pan z Warszawy czyli złotnik, jak tak dobrze wykąпали całą figurę Ś-go Piotra i potrzymali we wodzie takiej gorącej z kwadrans, przynosi p. złotnik jakichś skrobaczek, dłutek, że nawet do operacji nie wiem czy też tyle potrzeba i mówi do mnie, patrzno tu dobrze chłopcze na moje ręce. Jak złapie jakąś skrobaczkę, jak zacznie drzeć po tej sukni czy tam kapocie, to ja ino słuchałem czy aby Ś-ty nie zacznie krzyczeć, ale nie nie mówił choć woda to była bardzo gorąca, za jaki kwadrans Ś-ty Piotr był zupełnie golutki, a może w pół godziny, zegaru tam w kuchni proboszcza widać nie było, a może i zabrali, aby nie wiedzieli święci jak długo ich tam będą warzyć w tym wrzątku.

Znów poszedłem po wodę i znów pałę i grzeję na Ś-go Pawła, taka sama kąpiel odbyła się i z Pawłem i takie same skrobanie go. Za parę dni przyjechało jeszcze paru złotników z Warszawy, a ci dopiero umieli skrobać, czyścić i malować na nowo, że wszystkich co stali na trzech ołtarzach wykąпали tak i oskrobali i znów mi kazali gotować duży garnek kleju stolarskiego niby do farby, a to latałem po papierosy do sklepu dla złotników, a jak już pomalowali kilku świętych, to zanieśli na górę czyli na piętro do pokoiku p. starszego złotnika, a ten znów mnie posłał po spirytus do szynku do żyda Brama. Byłem bardzo ciekawy na co ten spirytus, czy też do picia, ale p. złotnik po dobraniu go smarował te części gdzie miało być dawane złoto, nacierał taką gąbką jak do mycia i miał taki grzebyczek, przykładał do listka złota i to złoto niósł gdzie mu było potrzeba, czy ozłocić rękę, czy nogę, czy brodę, dosyć że pod jesień już umiałem sobie ozłocić paznokcie u rąk, a jak znów po Wszystkich Świętych poszedłem do szkoły to koledzy szkolni, a nawet syn p. nauczyciela wołali na mnie „Skrobi święty”, ale znów słuchali mnie jak im opowiadałem, że ci święci to wcale flaków czyli wnętrzości nie mają, to wam mówię są takie kłoce z drzewa wystrugane, i tak mnie słuchali że lepiej od księdza, ani nie mrugali oczami.

Ojciec mój papierosów nie palił, ani tabaki nie zażywał, wódki to i lubiał wypić, ale w bardzo małych dawkach i tam tylko kiedyś na Wielkanoc, na Boże Narodzenie, lub w inne rodzinne uroczystości; często powtarzał takie wiersze:

Czy to z rana czy z wieczora, słyszał to od doktora
Czy to w łóżku, czy w podróży, zawsze kielich wodki służy.

W szkole prócz nauki uprawiałem handel na uboczu, to jest robiłem notesiki takie małe, bo dawniej ich nie było tak pod ręką, jak ich jest dziś, takie notesy sprzedawałem po 10 groszy, po 15 gr. kolegom ze szkoły. Zimą strasznie lubiałem jeździć na łyżwach, na sankach, ale ojciec mi bardzo zabraniał, to czekałem zawsze wigilji Trzech Króli, a jak był mróz to z rana ojciec mnie posyłał po mirę do lasu, to już miałem bal, to raz dwa miry nabrałem z mrowiska, a cały dzień jeździłem na łyżwach po lodzie, na wieczór ojciec mówił dla trochę miry to cię cały dzień niema, to się tłumaczyłem że nie mogłem znaleźć.

Razu pewnego ojciec robił w domu te łyka do przetaków, a ja pisałem przy stole, a zawsze ten palec przy pisaniu tom stawiał jak krokwie, co ojciec mówił to mało skutkowało, aż jednego wieczora, gdy piszę czyli odrabiam lekcje zadaną mi w szkole, a ojciec miał pod ręką takie dębowe pręciki, bo i z takich też robił łyka do przetaków, jak mnie nie palnie przez ten palec i od tego czasu bardzo dobrze mi się pisze z wyciągniętym palcem i nawet lubię patrzeć, jak kto tak pisze, za to jestem bardzo wdzięczny ojcu.

Jeszcze jedno ze szkolnej ławy; kiedy chodziłem do szkoły przyjechał do miasteczka rzeźnik i założył sklep na rogu, miał dziewczynę dość ładną, moja matka uszyła jej bluzkę, kiedy bluzka gotowa, mnie matka kazała odnieść, kiedy zanieśliem te bluzkę wieczorem, ten rzeźnik nazwał mnie zięciem wobec tej dziewczyny, co się bardzo zawstydzilem, ale tak mi utkwilo to w głowie, że od tego czasu wciąż patrzałem z boku na nią i bałem się żeby ksiądz nie wyskoczył i nie dał mi ślubu.

Następuje rok 1886, kończę szkołę w naszej osadzie na Wielkanoc, krowę pasę w polu, po drogach i miedzach ogólnych, jestem zuch straszny.

Jak robiłem przy złotniku w kościele razu jednego przyszedł stolarz do kościoła, a palił cygaro, to cygaro położył na kamieniu przy wejściu, ja wychodząc z kościoła zauważyłem to cygaro, bo jeszcze się z niego kurzyło, złapałem i za płot cmentarny dawaj ciągnąć, wypaliłem całe cygaro z czego zabolala mnie głowa, a później wymiotowałem, nie podobało mi się palenie, ale pasąc krowę po żniwach w lesie, tam byli amatorzy na machorkę, ja że pieniądze nie miałem się dolożyć, więc poszedłem do miasta po ma-

chorkę. Jak pokręcili papierosy i palili, taki koniec też mi dali palić, kiedy paliłem, znów sobie bardzo usta sparzyłem, aż mi się zrobił na ustach, czyli wargach strup, to znów mnie bolało bardzo.

Postanowiłem od tego czasu nie brać papierosa do ust i tak jest do dziś dnia, więc mocne postanowienie więcej nie palić.

Nadchodzi jesień wyżej wspomnianego roku, przychodzi do ojca Stypułkowski dawniejszy gorzelany, a dziś tu się ożenił w miasteczku, handluje przetakami, więc z ojcem się zna dobrze, a muszę nadmienić choć tutaj, że dziadek Z., którego wcale nie znałem, też był gorzelanym we dworze w Klukach strony Piotrkowskie i tam umarł. Ten gorzelany miał syna Kazimierza stolarzem w Warszawie.

Właśnie, kiedy on przyszedł do ojca, i syn jego i jego majster Olszewski z żoną wracali z Częstochowy, było to w wigilję Wszystkich Świętych, byli w miasteczku. Przychodzi rano i pyta się ojca czyby syna swego nie dał do stolarza do Warszawy, ja prawie że jadłem śniadanie groch z mlekiem, jak to usłyszałem, już łyżkę rzuciłem i słucham co będzie dalej. Ojciec się zgadza, ale powiada, dziś nie mam nawet na drogę dla niego. Gorzelany mówi tak: niech sąsiad przejdzie się do Chenclewskiego, oni tam są bo przyjechali wczoraj pocztą i dziś mają odjeżdżać.

Chenclewski też miał syna w Warszawie właśnie u tego samego majstra, a tu w miasteczku był dzierżawcą browaru. Nie wiem jak prędko już się znalazłem na podwórzu u p. Chenclewskiego.

Kiedy wszedłem na podwórze, to prawie zastałem ich na podwórzu jak oglądali z Olszewskim budynki, to ogród; po przywitaniu oznajmiłem, że ja chcę jechać do Warszawy, niech tu przyjdzie ojciec, odpowiedział p. Olszewski późniejszy mój majster. Za kilka chwil nadszedł ojciec, z gorzelanym porozmawiali, że trzeba na próbę na jeden miesiąc, a później trzeba żeby do zapisu do cechu kto przyjechał, a że dziś niema pieniędzy na kolej, to on zapłaci, a tam się później porachujemy, zgoda zapadła.

Przyleciałem do domu zabieram swoje manatki, bo za godzinę już odjazd pocztą do Radomska, a stamtąd koleją do Warszawy, za pół godziny już jestem gotów do odjazdu, siadam na przodzie wraz z pocztyljonem, który ma trąbkę przy boku, a jak my dojechali do figury i skręcili na prostą drogę do Radomska, a pocztyljon, jak weźmie trąbkę do ust, a jak zagra, to kto żywy wybiega na ulicę i gapią się kto jedzie, a tu patrzą a tu jedzie Antoniega S-go Bolek. Ile miałem radości to nie jestem w stanie opisać dziś.

Na wieczór już byłem w Warszawie w wigilję Wszystkich Świętych, a nawet z tej radości to ledwo zjadłem ćwiartkę suchego chleba.

Majster z żoną jak przyjechali do swojej rodziny to zupełnie o mnie zapomnieli, ja zaś poszedłem sobie do warsztatu, co był duży, już to było po fajerancie, widziałem się z Jankiem Chenclewskim, ale cóż tam chłopak, idę dalej, tam jeszcze jeden wieczorem polerował jakieś blaciki od nocnych szafek, przyglądam się jak on to rękami kręci, ale on się pyta, jadłeś ty kolację, ja mówię że nie, jak mi majstrowa dała na południe w Radomsku dwie bułki z wędliną tak nic jeszcze od tego czasu nie miałem w ustach, a nie miałem przy sobie nawet jednego grosza własnego.

Władek wyjął z szuflady ćwiartkę chleba i dał mi mówiąc: jedz. O, jadłem z apetytem wilczym, a Władek wyrzekł — zapomnieli o tobie juchy, jaki to tam hałas, bo było kilkoro dzieci u tego majstra, a było to przy ulicy Leszno blisko tych okopów co to ścieki odpływały.

Spać poszedłem z chłopakami na pawlacz, było tam ciepło, bo jest to pawlacz, deski wysoko poprzybijane pod sufitem, tam stolarze zakładają różne rzeczy, aby schły i tam dawniej sypiali chłopcy czyli terminatorzy, a nawet niekiedy to i czeladnicy, ale to już tacy jak jaki pijak, że co zarobił a przepił, nie miał za co zapłacić mieszkania to tu sypiał, ale na szczęście u naszego majstra takich czeladzi nie było, a co znów p. Kazimierz syn gorzelanego to mieszkał sobie u majstra jako kawaler, bo zdaje się czekał na najstarszą córkę Olszewskich Brońcę.

Nazajutrz w dzień Wszystkich Świętych rano p. majster wychodzi i daje na śniadanie pieniądze dla chłopców podług starszeństwa w terminie. Ja jako najmłodszy dostaję wyraźnie sześć groszy na śniadanie, a na wieczór mam dostawać siedem groszy, pytam się kolegów, co ja za to mogę kupić, więc jeden mi powiada dwie bułki 3 grosze, herbaty za 1 grosz, i cukru za 2 grosze, masz Bolek warszawskie śniadanie, ja bym dwa takie zjadł. Na obiad to już u majstra, no obiad to już możliwy, tu pani majstrowa gotuje przy pomocy służącej.

Starsze chłopcy mi mówią, że tu się nie mówi majster, ani majstrowa, a tylko „Stary i stara”. Co tu kupić znów na kolację za 7 groszy, radzę się starszych, ano na kolację możesz sobie kupić ćwiartkę chleba to jest pół funta 4 grosze, cukru za 2 grosze, 4 kosteczki i herbaty za 1 grosz, gdzie wy to kupujecie, odpowiadają

mi że w sklepiku na rogu ulicy Leszno i Wroniej. Zaraz w dzień Wszystkich Świętych było ciepło, poszliśmy ku Powązkom, a tu tyle ludzi idzie na cmentarz oj, oj, nie mogłem się nadziwować, a znow jak przyjechaliśmy wieczorem na dworzec Warszawsko-Wiedeński z Radomska to ja myślałem, że jestem w niebie tak widniusięńko na ulicach, a jechaliśmy dorożką.

W dzień Wszystkich Świętych to myślałem, że się palą całe Powązki, bo to najbogatszy cmentarz w Warszawie.

A dzień zaduszny już przyglądałem się warsztatom, tośmy poszli ze Stasiem do szabowni na Nowolipie i tak dalej, to po spirytus na Wronie, to po klej na ulicę Stawki koło Powązek do fabryki Szwedego, gdzie braliśmy kleju pół puda i zaraz dostałem za drogę 10 groszy i na Wroniej przy spirytusie też 10 groszy za drogę, tak że za jeden miesiąc kiedy matka przyjechała do mnie i przywiozła mi nowe buty i nowe ubranie, ale to nie było bardzo zdatne do Warszawy bo buty były z podkówkami, to jak szedłem ulicą to robiłem wielki hałas, musiałem dać do szewca, aby mi te podkówki odjął i przebił fleki. To jak matka przyjechała w końcu listopada to już miałem uciulaną oszczędność dwa ruble i nawet parę groszy sobie dokładałem do śniadania, a nawet i do kolacji. Kiedy matka przyjechała do Warszawy to już wiedziała, jak mi tutaj dobrze, więc nie zapisując mnie do cechu pojechała do brata rejenta do Chelma i opowiada, że syna oddała najstarszego do terminu do stolarza, tam mu niekoniecznie dobrze, może byś Władziu go wziął do siebie do kancelarii dosyć ładnie pisze, posłuchał Władzio, pomyślał i tak powiedział: z pisarzów to są same smyki, pijaki, łajdaki, a więc niech będzie gdzie jest, a ja tam zajrzę do niego z wujem Hańczkiewiczem Józefem z Dzikiej ulicy. Że mu jest bieda to się nauczy grosza szanować i może być dobrym rzemieślnikiem, tam będzie chodził jeszcze do szkoły niedzielnej to się poduczy też jeszcze.

Przyjechała matka z Chelma do Warszawy i zgodziła się mnie oddać na pięć lat okrągłych i ubranie ma mi sprawić matka i opranie też mi musi dać matka, jedno tylko życie mi da stary i tak nędzne życie, bo brałem przez cały rok 6 gr. i 7 gr. i co rok to grosz więcej, zapis też kosztował coś trzy ruble, co pokryła matka. Razem ze mną był zapisany też od nas syn wójta Czesław co przyjechał do Warszawy razem z moją matką.

Jest nas tu trzech z naszego miasta, kiedy idziemy spać na pawlacz to sobie opowiadamy o domu i o kolegach nam zazdroszczą-

cych, a najwięcej o tem opowiadał Czesław jak to opowiadali o mnie, że Bolek już sobie chodzi po Warszawie. Nadeszły święta Bożego Narodzenia a prawie do tych świąt nie było śniegu, w wigilię poszedłem ze starą za Żelazną Bramę z dużym koszem. Stara nakupiła pełny kosz orzechów laskowych, to włoskich, pierników, że ledwo przydygałem, a szedłem około Mirowskich koszar gdzie dziś stoją Hale targowe tak piękne.

Wigilja Bożego Narodzenia odbywa się u starego, prawie że razem w jednym mieszkaniu stoły zastawiają, ale tych terminatorów było 10, rodzina starego z Kazimierzem synem gorzelanego koło 8 osób. Stary połamał się opłatkiem najpierw z żoną, z p. Kazimierzem, z dziećmi i z nami pokolei każdemu składał życzenia, ażeby słuchać, dobrze się sprawować i wkońcu wyjść na porządnego rzemieślnika, żeby być chlubą społeczeństwa, a nie hańbą Boże zachowaj, to znów p. Kazimierz zwłaszcza z nami ze swoich stron zrobił nam pierwszeństwo połamał się opłatkiem i też złożył swoje życzenia, ażeby się nami szczycił, jako że jesteśmy wszyscy z P., bo przecie wiem że jesteście z pierwszych rodzin w miasteczku.

Kolacja pyszna, kluski, śliwki, gruszki, i t. d. i t. d. W Boże Narodzenie dostają chłopcy gwiazdkę taką: na talerz orzechów, pierników, jabłek, no i podług starszeństwa pieniędzy, najstarszy dostawał dwa ruble, a najmłodszy 40 gr. W święta takie jak Boże Narodzenie, Wielkanoc to i śniadanie i obiad i kolacja u starego, ponieważ sklepy były zamknięte, ale tylko pierwsze dni, a na drugi dzień już na śniadanie pieniądze.

Po świętach zostałem postawiony do warsztatu, a bodaj nawet przed świętami, w samym kącie, a że tam prawie p. Jan robił szafy, to mnie wcale nie było widać i tam sobie heblowałem różne listewki dla drugiego starszego chłopca. Heblowałem małym heblem, to jak się uderzyłem o ten duży hebel to i bęc we wióry i leżałem nie wiem jak długo bo uderzyłem się w łokieć o żelazo wystające w dużym heblu.

Po Nowym Roku idę do szkoły niedzielnej rzemieślniczej na rogu ul. Żelaznej i Chłodnej, tam chodzili chłopcy od nas do szkoły.

Każę mi pan profesor pisać na tablicy, ale już nie pamiętam jakie wyrazy, tylko to pamiętam, kiedy była litera ł, a tak jak tu zakreśliłem, a pan profesor mi mówi: że moi uczniowie to nad ł robią kreski proste, a jak będą mieli wasy to będą zakreślać do góry, ale egzamin zdałem ledwo do 1 klasy szkoły rzemieślniczo-niedzielnej. Ten pan profesor był to nadzorca szkoły Jan Wielicki. W krótkim

czasie szkołę tę przeniesiono na ul. Złotą do Gimnazji czy Pro-gimnazji, tam mieliśmy chodzić dosyć daleko z Leszna, ale trudno. Tam w tej szkole był znów profesor Piszczalnikow moskał zabity rusofil ogromny, ten kajeta lub książki obłożone w polską gazetę zruca sam i obdziera, nie może znosić tego żeby „w ruskim uczyliszczu” były polskie gazety. Gdy stawia którego ucznia na „kolenki” to się odzywa w te słowa, „otwierni od mienia swoju polskuju mordu”. A kiedy przyszło lato były pootwierane okna, a pisaliśmy dyktando, to aż się rozlegało, jak on dyktował gromkim głosem: My żywiom w Rossji, Rossija matuszka i t. d.

Miałem w owe czasy 17-ty rok, to znów jak szliśmy najwięcej oba z Czesławem z tej szkoły, to często nas zaczepiali na Żelaznej takie osobniki jak tajniaki i zaraz zaczynali, jak to moskale uczą w szkołach po moskiewsku, jak oni to myślą, aleśmy im odpowiadali „niech się pan odczepi”.

Co znów pan Wielicki, że to był od polskiego języka, którego uczyli tylko pół godziny, to pewno ma dobre wspomnienie u wszystkich uczni szkół rzemieślniczo-niedzielných, ten pan jak kazał czytać po polsku, a który z uczni nie płynnie czytał, to jak go zaczął wstydzić, że on polak, a tak czyta po polsku, to hańba ci powinie-neś się uczyć w domu czytać książki to się wprawisz do czytania, to znów innej niedzieli opowiadał nam na jaką pamiątkę stoją trzy krzyże na placu Ś-go Aleksandra, na jaką pamiątkę stoi król Zygmunt, a na jaką Kopernik, a na jaką Sobieski w Łazienkach, a na jaką figura na Krakowskiem - Przedmieściu Najświętszej M. P. i t. d. To znów pokazywał nam swój krzyż, który dostał za 35 lat bytności profesorem.

Jak ten pan przyuczał do czystości, ażeby zeszyty i książki mieć zawsze czyste, to się zapytywał uczni po czem poznać porządnego ucznia? A po czem czystą kucharkę? A nawet wydawał książki do nabożeństwa p. t. „Zdrowaś Marja” to znów zalecał książkę do nauki Elsenberga, którą on przejrzał i uzupełnił, a jak myśmy się skarżyli że p. Piszczalnikow nam nie da w polskie gazety obkładać ani zeszytów, ani książek, to nam zalecał kupić czarnego papieru i obłożyć zeszyty do ruskiego pisania i ruskie książki. Był i trzeci p. naucz. czyli profesor Sokołow to o tem to już wiesz był taki: Dwieri roztwierajutsia gospodin Sokołow wtaskiwajetsia w czornom frakie na bielej sobakie, a na kresło sidajet i o meżdo-

miecie naczynajet, czto takoje meżdomietie i t. d. Nawet jeden do drugiego z uczni nie mógł mówić po polsku w tej szkole.

Pamiętam doskonale rok 1888, kiedy to było wykolejenie pociągu z cesarską familją na Kursko - Charkowsko - Azowskiej kolei, tak ten pan Piszczalnikow ubolewał, co się to robi w tej Rosji. Uczniowie jego postanowili mu za to nogi z tyłka wyrwać i tak zrobili przy ulicy Rybaki nad Wisłą, ale w parę lat dopiero.

Nie mogliśmy oba z Czesławem wytrzymać w tej szkole, postanowiliśmy ją opuścić, ale to nie tak łatwo bo za każde nieprzybycie do szkoły były kary pieniężne i trzeba było przynieść zaświadczenie od majstra z jakiego powodu opuszcza się szkołę i na to sposób my znaleźli.

Latem w 1887 roku zajrzał do mnie wuj mamy H. Był to emeryt, lat około 90 siwiutki jak gołąb kawaler. Gdy przyjechał dorożką z Dzikiej na Leszno, schodzi tutaj do warsztatu i pyta się o p. Olszewskiego, tutaj się odnawia stara znajomość z młodszych lat. Obie strony są bardzo zadowolone, że się tak szczęśliwie wydarzyło, że kuzynek pana H. jest w terminie u syna pana O. Przesiedział wujek z Dzikiej do wieczora u p. O. naopowiadali sobie dużo z przeszłości życia.

Od Ś-go Jana w 1888 przeprowadza się majster z Leszna na ul. Chłodną pod liczbę 51 do domu pani Jung, tutaj przerobiony warsztat z lasów z browaru czyli z suszarń jest 36 łokci długi z 10 szeroki, okien pewno z 8, w podwórzu tutaj jest gdzie kłaść deski, są szopy, rosną kasztany. To znów razu pewnego zajężdża drynda wysiadają z niej wuje, tą razą oba Z. i H. idą prosto do mieszkania majstra Olszewskiego, który zajmował trzy pokoje z kuchnią, woła mnie służąca i mówi że przyjechali wujkowie Bolka. Idę do mieszkania przywitałem się naturalnie pocałowaniem w rękę, wuj Z. mnie ucałował pyta się teraz jak ja się tu sprawuję — naturalnie — majstra: majster odpowiedział że bardzo dobrze bo już robiłem umywalki, komody sam. Pieniędzy czy ci potrzeba może na życie, a tu brzmi odpowiedź jak p. majstra tak i p. Kazim. on tu w warsztacie jest kasjerem, jak to, bo kto ma pieniądze, jak kiedy czeladzie chcą sobie zafundować to do Bolka się udadzą, a on pożyczyc. To przy oddaniu mu też czeladzie za to dadzą parę groszy i prosi majster wujów, aby raczyli zobaczyć jego warsztat, że chłopców ma 10 i czeladzi 10. Kiedy weszli do warsztatu, a gdzie ten syn Smońskiego zapytali, ten znów ich przywitał, a oni do majstra: jego

ojciec to też jest nasz kuzyn dobry przyjaciel, więc majster mówi dobrze się sprawują i chodzą do szkoły regularnie na Złotą ulicę.

Jak oglądali warsztat, to czeladzie się kłaniali by im poszczęścili w pracy, wuj Z. miał długą brodę i wąsy, wzrostu był średniego, a znów wuj H. wysoki siwiutki, przyzwocie ubrani odклонili się i poszli do mieszkania p. O. tam jeszcze dosyć długo rozmawiali, a p. Kazimierz opowiadał jacy to chłopcy są oszczędni, że choć on papierosy pali, ale oni to znaczy ja i Czesław to nie palimy choć z dziesięciu to oni są wybrani, oni tylko dwa nie palą, a nawet często widzę jak Bolek kupił sobie gdzieś na Ordynackim taką książkę złożoną z Tygodnika Ilustrowanego to całemi wieczorami w niedziele i święta sobie czyta, to nawet Kurjer Warszawski jak przyniosą od kupca to oni łapią do czytania, często to zauważyłem bo ja proszę panów w nieobecności p. Olszewskiego czuwać nad całością jego i też jestem z tego samego miasta rodem, skończyłem cztery klasy szkoły rzemieślniczo-niedzielnej na Jezuickiej w Warszawie chciałbym aby i oni skończyli pełną szkołę rzemieślniczą. Pożegnali się uściśnieniem ręki i odeszli do ulicy życząc powodzenia p. O.

Po pewnym czasie p. O. i p. Kazimierz zabierają się do cyrku na Ordynacką i woła nas obu stary t. j. mnie i Czesława i tak mówi: ja idę do cyrku i p. K. ponieważ służąca nie jest taka roztropna to wy oba macie tu być w mieszkaniu z dziećmi i żeby tu kto nie okradł mnie, bo rzeczywiście, że się złodzieje dobierali już, mam was za pierwszych uczni i polegam na was, z cyrku wrócimy około 11 godziny zróbcie sobie tu jeszcze herbaty, tu są bułki; dzieci żeby nie krzyczały. A do Marjanny znów, — ty nastaw samowar — i poszli. Teraz my są gospodarzami, no, Brońcia, zafunduj no orzechów lub cukierków. Dlaczego nie, odrzekła Brońcia. To my siadamy za stołem w pokoju jadalnym czytamy sobie Kurjera, to przynosi Brońcia orzechy i cukierki, dobra teraz! jemy i opowiadamy sobie różne historie i zdarzenia, wtem Brońcia się zwraca do nas, wiecie co ja wam powiem, ja was proszę abyście wy przykazali tym młodszym chłopakom aby oni mi nie mówili Brońcia przecie już mam 14 lat, a oni mi mówią Brońcia, ja wiem że jak wy im powiecie żeby mówili panna Bronisława, a nie Brońcia, to usłuchają. Mówiłam już o tym ojcu, ale ojciec to machnął ręką i poszedł.

Ale my będziemy sobie mówić na ty, no dobrze postaw dwie butelki piwa i zgoda. Pijemy piwo i znów zwracamy się do Brońci, ażeby poszukała ojca pieczętki co to jest napisana: Majster cechowy Lucjusz Olszewski w Warszawie. Szukała Brońcia tej pieczętki

aż ją znalazła, a myśmy przynieśli dwa zeszyty czyste i tak na środku po prawej stronie i na dole spieczętowaliśmy oba, pytała się naco nam to, nie bój się to się nie wyda, widzisz czasem jak to się niebardzo chce iść do szkoły, to ja napiszę sobie sam zaświadczenie i oddam p. profesorowi i ojciec nie zapłaci kary jak się do szkoły nie pójdzie, omówi się że opuściłem lekcje w dniu takim to a takim, będzie pieczętka i wystarczy już takie zaświadczenie, wiem jak się pisze bo widziałem jak ten Janek z Wroniej od Michniewicza oddawał profesorowi jak był niezdrow coś dwie niedziele. Piszę pod jesień takie zaświadczenie do szkoły na Złotą, że proszę ucznia mojego N. N. wykreślić ze szkoły z powodu odjazdu na prowincję Warszawa d. 1889 i pieczęć.

Zostałem zwolniony i odpocząłem sobie parę niedziel, ale znów idę do szkoły na Gęsią ul. tutaj mi się pyta p. profesor na egzaminie czy jednakowy jest łokieć w Petersburgu i w Warszawie, odpowiedziałem, że w Petersburgu to liczą na arszyny arszyn ma 16 werszków, a łokieć ma 24 cale, nie przyjął mnie, udałem się na ul. Nowolipki i tutaj zdałem do tej samej klasy t. j. do II, co chodziłem na Złotą. Na Nowolipki chodziłem do Nowego roku zdałem egzamina znów do III klasy, ale co się robi znów z Nowolipek od Nowego Roku przenoszą tą szkołę na Nowe-Miasto — koło fabryki Bieńkowskiego, a raczej do szkoły Rzemieślniczej trzech klasowej im. Konarskiego.

W szkole na Nowolipkach znów było takie zdarzenie. Pewnego razu p. profesor rosyjskiego woła do mapy ucznia od lakiernika Kamińskiego aby mu pokazał na mapie ruskie miasta przy rzece Wisła ten mu odpowiada że dwadzieścia lat już żyje w Królestwie Polskim, ale o ruskich miastach nic nie słyszał przy rzece Wiśle, kazał mu iść na miejsce woła szewca Groszkowskiego, aby ten pokazał ruskie miasta przy rzece Wiśle i czym się odznaczają jakimi targami: ten dopiero odpowiada że Warszawa jarmarkami na wełnę, Płock jarmarkami na konie i t. d. Spodobało się temu moskalowi, każe mu jeszcze pokazać granicę państwa Rosyjskiego, a gdy ten doszedł do rzeki Dunaj to któryś z uczniów powiedział po polsku „Wąski-Dunaj” ten profesor, gdy się odwrócił to niedaleko siedział Kamiński i zaraz go złapał za włosy i drze i woła „ty skazał” tyś powiedział. A w tej chwili znów ktoś powiedział w drugim końcu klasy „w deche go” a gdy ten profesor pędzi do drugiego to znów w trzecim rogu odezwał się głos „w szczoke go” pyta się ten profesor kto to powiedział niema nikogo, wraca się nazad do Kamińskiego

i wyrzuca go z klasy, na to wpada Nadzorca szkoły Karliński, ten mu opowiada co się tutaj wyprawia, więc wykreśla go ze szkoły i mówi że w całej Warszawie go nie przyjmą do szkoły, a Kamiński odpowiada mam wielki kłopot, to pojedę do Płocka i tam się wyzwolę, zawołał przez okno na dorożkę żeby stanęła i poszedł z klasy, wszedł do dorożki i odjechał. Znow z Chłodnej pędzić do szkoły na Nowe-
miasto to jest od Wolskich rogatek na drugi koniec Warszawy i tak latałem przez dwa roky do skończenia III klasy, aby mieć tylko świadectwo do wyzwolin i skończyć z tą szkołą. Tam na Nowym Mieście musimy się uczyć modlitwy za cesarza „Spasi gospodi”, tam latamy na okopy Cytadeli podczas pauzy, której mieliśmy pół godziny od 12 do wpół do pierwszej, lekcje się zaczynały od dziewiątej rano, o 8 rano trzeba było być w kościele, naukę kończono o 3 godzinie po południu, w warsztacie praca się rozpoczynała o 6 rano, a ciągle się do 8 wieczorem i po kolacji znow robiliśmy czeladziom, za co nam płacili, aby mieć dolożyć do śniadania. Czeladziom robiliśmy do 12 godziny w nocy więc robiliśmy dziennie nie jak dziś 8 godzin, a 18 godzin przez pięć lat. Za wieczór zarobiło się 20—25 kop.

Następuje inny temat, teraz zaczynają wozic do piwnic na Chłodnej piwo z browarów Junga i spuszcza ją do piwnic do kadzi, ogromnych beczek, za pomocą kiszek gumowych czyli rur. Zaczęli wozic jakoś w styczniu czy w lutym, otwory do piwnic były odkryte dokąd to piwo wyfermentowało, a koło marca znow zostały otwory zasypane i główne wejście zamknięte na dubeltowe zamki. Widzieliśmy to wszystko na własne oczy, tak w marcu jeden do drugiego mówi: chodźmy zobaczyć to piwo w piwnicach jaki ono ma smak. No, a którądy wejść, jeden odpowiada, że najlepiej będzie odkopać zakryty otwór żwirem węgla kamiennego, stróż chodzi i pilnuje trzeba wziąć siepiak z pawlaczu położyć na odkrytej dziurze, jeden tak się położy na sienniku niby tak sobie leży jak to niby używa świeżego powietrza. Dobra, plan zrobiony, wstawi się drabinę do piwnicy i dobra. Następnego wieczoru jeden staje na warcie i pilnuje stróża inni odkopują a inni włączają do piwnicy i oglądają jak tam można będzie piwa nabrać pare butelek na próbę aby wypić samym. Po obejrzeniu następnego znow wieczoru wzięli z dziesięć butelek, świderkę, aby wywiercić dziurę w dnie beczki i ulać tego piwa i spróbować, po spróbowaniu okazało się dobre i otwór nazad zasypać przedtem drabinę wyciągnąć deseczkę założyć i miałem zasypać. Z butelkami więcej kłopotu, zbierają moi koledzy od czeladzi butelki i gdzie się da, ponieważ mnie piwo nie smakuje mogę

wypić jedną szklankę lub jedną butelkę najwyżej, więc zróbcie jak chcecie ja z wami więcej nie pójdę, chcę tu być neutralnym. Ja na święta Wielkanocne jadę do rodziców na cały tydzień. I kiedy święta nadeszły ja naturalnie z wiedzą starego jadę do domu.

W powyższym opowiadaniu omyliłem się w cyfrach t. j. na Lesznie ja byłem przez dwa lata i na Chłodnej też dwa lata a jeden rok to znów w domu majstra własnym na Nowolipkach. Więc niektóre lata czytającemu będą wątpliwe, ale to nie przeszkadza bo to wszystko przeżywałem, a czy to rok wcześniej pisane, czy rok później to chyba nie bardzo będzie przeszkadzać. Umyślnie robię przerwy w pisaniu aby trochę pomyśleć czy rzeczywiście się to zgadza z czasem. Tak samo zaszła omyłka co do lat, jak w Pajęcznie mieszkają w nowym domu rodzice coś przez cztery lata mieszkają u nas strażniki moskale, jak oni obchodzą swoje święta, jak się bawią, jak śpiewają gdy sobie podpisują „Dziś Barszcz jutro kasza hura! hura! Polska nasza”. Mieszkał jeden strażnik moskal nazywał się Pitoda coś przez rok czy więcej, to razu jednego jechał do swoich rodziców do Moskwy na święta, koniecznie chciał abym z nim jechał do Moskwy, ale moi rodzice mnie nie puścili.

To znów mieszkali dosmotrzyki co to śledzili za wódką jak ją nosili chłopci z Prus w pęcherzach dla żydków, jaki to był wielki handel tej szwarcówki, ale wszystko aby zarobić, no i zarabiali chłopci.

To znów pewnego razu mieszkał żyd co miał cheder w jednej stacji, bo zawsze te dwa mieszkania małe były wynajmowane, aby ojciec miał z czego zapłacić podatki i inne powinności, a płacili 20 rubli rocznie. Rodzice mieszkali w tej jednej stacji, ale była duża, bo dla ojca ta była wygodna do roboty jak przetaków tak łubów, tutaj już miałem swoje łóżko małe i dwa łóżka były duże, komoda była co matka dostała od swojej matki o trzech szufladach polerowana robiona we dworze w Klukach i kufer też dostała matka na wyprawę i jakie w tym kufrze były panie i panowie kolorami odmalowani, to znaczy były Mody, ile razy mówiłem do matki aby rozłożyła, a ja sobie popatrzeć tak lubiałem.

Był też zegar ścienny z takim niedźwiedziem i dwoma świerkami po boku, zegar ten ojciec kupił na licytacji, jak się ktoś wyprawdzał z miasteczka. Wagi miał żółte. Była też szafa na ubranie też kupiona na licytacji po organiście Lackiem co umarł, to znów stół duży dosyć pod lustrem i tutaj wisiały w ramkach dwie fotografie wuja i wujenki z Chełma i kilka obrazów świętych i jeszcze

szafa pół szklana o czterech drzwiczkach i dwóch szufladach, dwie pierzyny były nakryte białymi prześcieradłami, a na wierzchu były po dwie poduszki i jasek z puchu. Oprócz komody wszystko było malowane: kufer na czarno, łóżka, szafy, stół na orzechowy kolor. Gazet nie było tylko parę książeczek i dwie książki dosyć duże do nabożeństwa i później moje książki szkolne jak Wypisy polskie Jeskego, ruska Paulsona i Wodowozowa no i z nowych Elementarz czyli książka do czytania od wuja i kilka broszurek o nawozach i t. d.

Po przewodniej niedzieli przyjeżdżam z domu do Warszawy, jako po świętach zaraz zaniósłem wieczorem bieliznę do praczki aby była gotowa na niedzielę następną. W sobotę przyniosłem bieliznę i układałem późnem wieczorem, w kuferku niby to uporządkowałem i położyłem się spać, ale nie na pawlaczu, a obok swojego warsztatu na sienniku położonym na jakichś deskach. Raniutko roztwieram oczy, a tu mojego kuferka niema, szuflada od warsztata wysunięta, co to jest? żywo się ubieram i wołam na drugich, wstają. Józek też woła że kufra niema jego, złodzieje byli w warsztacie bo chcieli się przez warsztat dostać do mieszkania majstra, ale że nie mogli więc zabrali nasze kufry i wynieśli na plac pomiędzy beczki, co były tam, rozbili i zabrali mi wszystką bieliznę, ubranie nowe, a nawet książki szkolne. Idziemy do starego meldujemy mu, że nas okradli zabrali ubranie nowe i bieliznę, czapkę nową. Stary mówi idźcie no do stróża jak on to pilnuje. Zachodzę do stróża i mówię, że dziś popełniono u nas kradzież, ten mi powiada że stróż ze sąsiedniego domu znalazł paczkę przerzuconą przez płot czyli mur na ulicę Krochmalną, poszedłem do cyrkułu zapytać się, tak jest, stróż przyniósł tę paczkę znaną na ulicy, ale wydać mi jej nie chcą żądają aby przyszedł majster. Majster przyszedł zaświadczył że prawdziwie jest to jego ucznia i paczkę wydali mi z cyrkułu, ubranie i czapka się znalazła, ale bielizna przepadła jak kamfora, książki nie zdążyli zabrać choć już były naszykowane do zabrania i pozostały na beczkach w podwórzu przy rozbitych kuferkach. Po południu zaraz tej samej niedzieli poszedłem do wujka na Dziką dostałem rubla, napisałem do rodziców przysłali mi parę koszul i ręczników, a resztę sam dokupiłem po pewnym czasie, kuferek mój był wyklejony cały ilustracjami z gazet to go złodzieje tak obdarli bo szukali pieniędzy za gazetami choć na wierzchu w woreczku było niecałe dwa złote, które zabrali. Jesienią tego samego roku podczas snu weszli złodzieje do mieszkania majstra, zabrali wszystką bieliznę i niektóre części z ubrania, lecz też odnaleziono to w gołębniku na Czystem.

Dawne to lata to się tak płacze i znów zmuszony jestem przejść na ul. Leszno jak przed ostatkami na tydzień zachorowałem na wrzód w gardle i poszedłem do szpitala wolskiego, a tam zrobili mi operację zaraz na drugi dzień i na same ostatki, a raczej w niedzielę przed ostatkami wyszedłem już ze szpitala i przez to wiem przynajmniej jak jest w szpitalu.

Opisałem jakie były święta Bożego Narodzenia to teraz mi wypada opisać święta Wielkanocne. Skończona praca w Wielki piątek tak po 8 rano sprzątanie warsztatu i po południu wszyscy chłopcy do łaźni. W sobotę zwiedzanie kościołów, a raczej grobów Chrystusa przez cały dzień. W Wielkanoc rano na Rezurekcję, śniadanie u majstra, kawa i ciasto, a później wszyscy chłopcy idą na Ujazdów przyglądać się jak wchodzili na słup wysmarowany szarem mydłem i rozmaite przedstawienia jak „fokus pokus i morokus”, obiad miał być o 2 godzinie, kto nie przyjdzie na oznaczoną godzinę, obiadu dla niego niema. Jak się zaczęliśmy przyglądać tym różnościom na tym Ujazdowie tośmy się spóźnili o całą godzinę, ale przychodzimy wszyscy razem, tylko Janek H. nie był z nami i przyszedł pół godziny wcześniej, tylko co jemu obiad postawiono, my ośmiu obiadu nie dostaliśmy we Wielkanoc 1887 roku za to jedynie, że się spóźniliśmy. Sklepy zamknięte, kupić nic nie można, przecież to pierwszy dzień Wielkanocy, byli tacy co płakali jak małe dzieci że im się chce jeść, ale trudno, przychodzi 8 godzina wieczór kolacji niema, jeden do drugiego się odzywa chodźmy spać, niech zjedzą kolację, w jakie 5 minut wszyscy już spali. Może za drugie 5 minut wchodzi stara do warsztatu, a tu już ciemno, chłopcy na pawlaczu tak śpią, że ino chrapią, a jeden trzyma drugiego, aby nie wstał na oną kolację, i żaden nie wstał i jeść nie chciał. „Sztama” była czyli jak dziś „Solidarność”.

Kiedy mnie okradli, to koledzy moi precz sobie piwo brali i pili, sprawili sobie antałek i do niego kran, ustawili pod szopą w wiórach i tam chodzili popijać, aż razu pewnego zauważył to p. Kazimierz, powiedział staremu, zaczęli szukać i znaleźli, antałek potłukli i basta. Jak znów przyjechał majster od piwa, to mu powiedział stary że niech lepiej zamyka, bo moje chłopcy to bierą piwo z piwnicy tej, ale on obszedł, obejrzał i powiedział, że to niemożliwe, aby tu pana chłopcy wchodzili. A oni wchodzili piwo brali i pili ale też widzieli jak to szczury też umieją pić piwo, jak nie mogą dostać pyskiem to wpuszczają ogony do beczek i dopiero sobie ogony liżą.

Zimą przedtem jak pojechałem na Wielkanoc do rodziców w 1889 r. stary się o coś pokłócił z Władkiem S. starszym uczniem i ten odszedł. Obowiązki starszego chłopca były dosyć trudne, trzeba było co sobota ogólne naczynie pozbierać do ogólnej szafy, tam były spisy i podług spisu ułożyć, pamiętać żeby wszystko było posprzątane i wszystko na swoim miejscu, a tu mam jeszcze terminu przeszło dwa lata, to mi się nie podobało, więc jak byłem na Wielkanoc u rodziców uplanowaliśmy z rodzicami jak mam zrobić i odejść.

Postanowiłem pierw wynieść swoje rzeczy do znajomej pani Romanowskiej na Elektoralną, która też była rodem z naszego miasta, ale mi się to nie udało ponieważ stróż powiedział staremu, że jeden chłopiec to wynosi rzeczy od pana na ulicę. Stary do warsztatu przychodzi, kogo tu niema, Bolka niema, zagląda do kuferka, a tu rzeczy jego też niema, czekają na mnie, aż ja przyjdę po resztę rzeczy, przychodzi a tu stoi stary i p. Kazimierz i pytają mi się co to za rzeczy ja wynoszę, ja im powiedziałem że chciałem odjechać i nic nie powiedzieć, a to spowodu, że zamało jest te pare groszy na śniadanie i kolacje, bo jak zaznaczyłem wyżej, że co rok to wyżej jeden grosz, więc w owym roku brałem coś osiem groszy na śniadanie, następnie aby sobie zarobić na dokładkę trzeba po całych nocach robić, a trzeba jeszcze dodać, że jak robiliśmy czeladziom to za naftę musieliśmy staremu płacić za każdy wieczór dwa grosze. Następnie p. majster mnie wymyślał jak nie było co sprzątnięte i nie na swoim miejscu, to ma to być za te osiem groszy, to za dużo. Jak to powiedziałem, to na moich plecach się odbiła dyscyplina raz, dwa i trzy, a ja głowę pod warsztat jak struś w piasek i na tem się skończyło. Poszedłem spać, rano tak po śniadaniu p. Kazimierz poszedł do mojego wuja na Dziką i opowiedział co to ja myślałem zrobić. Po południu jest wuj H. wołają mnie do mieszkania majstra i tutaj się zaczyna spowiedź, a ja dawaj śpiewać że mi idzie o to, a o to, że to nie sposób żeby tak robić, a dostać osiem groszy, to wstyd mi nawet jak powiem komu. Po dosyć długich perswazjach wuja i p. Kazimierza postanowiłem się pozostać aby dokończyć tego terminu w jednym miejscu. Majster znów przyobiecał mi dawać wynagrodzenie za zrobioną robotę i podwyższyć na śniadanie i kolacje, dał mi Józka do pomocy i powiedział, że jak zrobię parę biur we dwa tygodnie to dostanę dwa ruble na piwo; a szafki coś też w tym czasie — to też dwa ruble, no i dawał, a ja robiłem niczem koń młody, a raczej stary koń.

CZĘŚĆ III

Do szkoły w Warszawie chodziłem przez cztery lata co niedziela i święto, do pierwszej i drugiej klasy po roku, a do trzeciej klasy dwa lata, a to spowodu, że jak chodzę do trzeciej klasy to już zaczynamy opuszczać lekcje bo latamy na wały warszawskiej Cytadeli, to do parku za Wisłą, aby tylko zdążyć do szkoły przed trzecią i zabrać książki i zeszyty.

Pewnego razu przyszedł też do naszej III klasy p. Inspektor szkół sławny A p u c h t i n, prawieśmy pisali skłonięcia polskie to ino spojrział i powiedział „prodołżajcie dalsze” i poszedł dalej. Ostatni to rok już uczęszczałem do tej szkoły bo już miałem zarobione świadectwo do wyzwolin mi potrzebne, jakiego wymagali w cechu.

Ostatni rok tego terminu mam wolny od szkoły, tutaj majster znów się przeprowadza do nowo wybudowanego swego domu przy ulicy Nowolipki, tutaj warsztat prawie wzorowy okna duże o 24 szybach, w oknach wietrzniki. Tutaj jak murowali ten warsztat to na dole był warsztat, a na I piętrze mieszkanie majstra, na tej wysokości jak I piętro miała być framuga dla Ś-go Józefa jako patrona stolarzy, murarze o tem zapomnieli i tej framugi nie zrobili, majster jak to zobaczył położył na wystających szynach niby do balkonu kawał deski złapał drąg żelaznego i dawaj kuć w ceglach tę framugę dla tego patrona, aż tu bęc leci nadół szczęście że na piasek i bok drąg żelaznego, który pierwaj upadł jak majster czy oba razem. Nic mu nie stało się.

Przeprowadziliśmy się do nowego domu, teraz zaczyna się poświęcenie tego warsztatu, ustawiamy stosownie warsztat jeden, na nim krzyż, świece, a ściana udekorowana piłkami stolarskimi to heblami, winklami i t. d. Przyszedł ksiądz poświęcił i też usiadł na krześle, gdzie siedział stary, stara, p. Kazimierz no i uczniowie wszyscy, fotograf tę chwilę ściągnął na kliszę, a potem stary przyniósł wina nalał sobie, żonie i p. K. i wypili na te uroczystość, a potem znów dla wszystkich chłopców, a my znów za zdrowie majstra i krzyknęliśmy. Wiwat! Niech żyje!...

Przeszła zima i lato nastąpiło, ja niby za dobre sprawowanie mam na 15 października być wyzwolony, więc po Ś-tym Janie podałem podanie do inspektora o wydanie mi świadectwa z ukończenia trzech klas, które wkrótce otrzymałem i na października zrobiłem na „Gizelszyk” parę biur, przyszło dwóch majstrów obejrzeni, po-

wiedzieli, że dobrze zrobione, w obecności mego majstra. Nadeszła serja jesienna i poszliśmy do cechu, tam opłaciłem jakieś koszta koło dziesięciu rubli i dostałem dyplom czeladnika stolarskiego. Następnie trzeba było iść na gospodę i wpisać się do czeladzi grona. Tutaj znów ceremonja a przy niej znów parę rubli do puszek na wdowy, sieroty i inne cele, to znów parę złotych na poczęstunek obecnych jako za asystencje przy przyjęciu do grona czeladzi. Tutaj dostaję fajkę na długim cybuchu z wstążką białą i sadzają mnie wysoko na krześle tak że prawie fajka jest pod stołem wszyscy obecni zapalają papierosy lub cygara a mnie zapalają tę fajkę.

Po okolicznościowej przemowie jak do mnie i obecnych i po wypiciu po szklance piwa z życzeniami powodzenia na nowej drodze życia, rozeszliśmy się. Dalej wyzwoliny w warsztacie; tutaj znów trzeba zafundować jak chłopcom tak czeladziom, tu znów pękło parę rubli i tu znów musiałem wypalić cygaro „Floryda” i z takim samym skutkiem jak paliłem pierwsze, że mnie bolała głowa i zwymiotowałem.

Teraz robię dalej u majstra, ale to nihy odrabiam za przywiezienie mnie do Warszawy i za różne opuszczone dni jak to do domu ale już życie dostaje razem na stole p. majstra razem z p. Kazimierzem, tak przez dwa tygodnie na to się zgodziłem i swego dokonałem, a od listopada 1891 r. robię sobie za pieniądze, ale dostałem taką robotę że nie mogłem wiele zarobić bo to od sztuki szło, w owe czasy to była drożyzna w Warszawie bo funt chleba doszedł do 10 groszy, jajko tak samo, więc koło ostatków opuściłem Warszawę i przyjechałem do domu. Ale jeszcze przed wyjazdem do domu pracowałem w dwóch miejscach u innych majstrów; tam jeszcze gorzej mi płacą, a nawet w drugim miejscu to darowałem coś cały tydzień, bo lepiej darować jeden tydzień jak cały miesiąc, jakie tam było bogactwo, że ledwo ledwo dyszeli, nędza i nędza, uciekłem bo nie mogłem patrzeć jak ci ludzie żyją! Na wyzwoliny dostałem od wuja z Dzikiej 20 rb., swoich miałem około 10 rb. to wszystko poszło. Po wyzwolinach nową drogą zawsze się jedzie ciężko więc jazda do ojca. Tu odpoczywam do Wielkanocy, a po Świętach jadę do Sosnowca tam mieszkam u cioci swej B., oni mają sklepik spożywczy i do tego dwie córki i dwóch synów, tu mi dosyć wesoło, ale goło, bo ani pieniędzy ani roboty. Znalazłem nareszcie trochę roboty u stolarza robię tutaj pewien czas, aż pewnej soboty, kiedy poszedłem na obiad, bo się stołowałem u ciotki bo były dwie dziewczuchy to i miał kto ugotować, przychodzić z obiadu a tu na warsztacie

leży taka karta, a na niej narysowane jak tu piją i jedzą i takie towarzystwo i ja z nimi, ale na rysunku tylko, zrozumiałem co to ma oznaczać, że na wieczór funda; co się zarobi żeby przepić, to mi się nie podoba, na wieczór dostałem coś pieniędzy, ale poszedłem prosto do domu. Na drugi tydzień w poniedziałek przychodzę do roboty i znów robię, ale na każdym kroku czuję że do mnie coś mają, myślę pewno się tu długo nie narobię i muszę umykać, prze-robiłem 2 tygodnie dostałem coś po 5 złotych na dzień i koniec z robotą.

Znów siedzę bez roboty, ale tą razą to w sklepiu i tu znów wujek mi proponuje ażeby się starać gdzie do kolei albo co, idzie tydzień drugi i trzeci tu życie przecież trzeba płacić, a tu płótno w kieszeni.

Pewnego dnia przyszedł do sklepiu pewien pan co to niby tam gdzieś na stacji robi w szopie, a był to majster ciesielski co robi po stacjach niby różne roboty od przedsiębiorstwa z Warszawy, może jabym mógł tam co robić i cobym mógł zarobić pyta wujek a on odpowiada, że koło 5 złotych mogę zarobić. To proszę pana czyby nie było dla mnie miejsca chociaż ja jestem stolarz meblowy, ale możebym mógł tam robić. Za jakieś dwa tygodnie ten pan z kolei dał znać abym przyszedł w poniedziałek o 5 rano tam za stację do szopy, przychodzę jest tu kilku ludzi i ten pan naznacza ich, wy dwóch pojedziecie tam do Żąbkowic, was dwóch do Zawiercia jeden czy znów dwóch do Dąbrowy, ale ja się zostałem pod szopą i paru innych pyta się ten pan mnie czy takie drzwi będę umiał zrobić, nie robiłem takich mebli mówię otwarcie, ale to się pewno deski rżnie, a potem kleji, no to tu ten pan pokaże wskazał na obok stojącego czyli heble wyjmującego człowieka starszego wiekiem i odszedł. Przyniosłem deski z kupy, ten mi dał piłkę stolarską i powiada: trzeba rżnąć długie po trzy łokcie z calami tak trzy łokcie i trzy cale, urznąłem kilka tych desek i hebluję a później składam i t. d. Robił też tam inny stolarz obijał taką budkę dla dróżnika to jak deskę przybił, a nie do pionu to ten pan cieśla tak go zwymyślał, że pies kawałka chlebabu nieczjadł! Przez to i tak szło dalej, po pewnem czasie znów p. podmajster rano o 5 w poniedziałek wysła tego tu tego tam jak poprzednią razą, ale tą razą i mnie naznacza abym jechał z drugimi na stację Maczki czyli do Granicy austriackiej tam jest robota przy budowlu dla mnie. Pojechaliśmy pewno ze czterech dostaliśmy od niego biletu na kolej że to niby przedsiębiorca wysła tam na robotę ludzi.

Pojechałem ale szczęście że miałem parę złotych przy sobie na życie, tam się robiło w budynkach kolejowych, ale spać to na gołej podłodze, więc na marynarce i pod głowę marynarka i przykryć się marynarką. Jeść suchy chleb lub kielbasa, albo szmalec do niego, a dodatek do spania, karaluchów kopy-tuziny i jeszcze raz tak samo. Na następną noc udaje się do komórki aby tego robactwa już nie widzieć, tu znów na marynarce i pod nią chłodno, a prawie że głodno, a do domu daleko.

Przerobiłem w takich warunkach przez cały tydzień. Pieniądze to tutaj były w sobotę po południu przywiezione i każdy dostał w kopcach swoją należność przy robocie przez takiego kasjera, to tutaj to mi się podobało, ale na drugi tydzień w poniedziałek już do roboty nie idę, a to spowodu ażeby nie jechać do tej Granicy czyli Maczek.

We wtorek rano idę do roboty a p. podmajster znów na mnie: dlaczego wczoraj nie przyszedłem. Tłumaczę się że byłem niezdrów, ale gadaj mu to on nie wierzy, a mówi: widać ci się nie chciało jechać do Maczek na robotę, no i zgadł. Porobiłem tutaj pewno ze dwa miesiące i znów na bruku jestem. Chodziłem po całej okolicy i szukałem roboty i znaleźć jej nie mogłem, chodziłem do Sielca na kopalnię, chodziłem na Niwkę do fabryki „Katarzyna” i nigdzie roboty dla mnie niema, chodziłem do Rurkowni, bo tam był znany urzędnik z naszego miasteczka, syn sąsiada — roboty nigdzie niema. Siedzę tak nieraz w sklepiku, u tego wuja czy tam ciotki i myślę, aż tu przychodzi pewien stolarz, jak się zmówiliśmy pracuje w Towarzystwie Sosnowieckim, a może jabym tam dostał roboty. Pomówię ja tam z jednym, to dobrze i za niedługim czasem już robię. Też zarabiać mogłem 5 złotych czyli 75 kop. Ale tutaj robię resztę lata i zimę, w mieszkaniu dla majstra ciesielskiego robimy z drugim meble jako to dwa łóżka szafę i t. p. Wiosną przyjeżdżam na Wielkanoc do rodziców, a tu się zaczynają swaty; przychodzi ojciec pewnego kawalera, który jest w Sosnowcu przy kolei czyby ojciec nie dał córki Władzi za niego, czy może przyjechać, a mieszkał niedaleko koło nas, Ojciec odpowiedział niech przyjedzie i za tydzień przyjechał, przyszedł ze swoim ojcem obmówili tę sprawę dali na zapowiedzi i odjechał nazad do Sosnowca, a za miesiąc ma być wesele. Pojechaliliśmy razem do Sosnowca i za miesiąc przyjeżdżamy na wesele, po weselu odbytem 28 maja siostra z mężem jedzie do Sosnowca, a ja jadę do Łodzi tam do znajomego stolarza, co robiliśmy razem w Sosnowcu z jego synem. Zajeżdżam tam, ro-

bota gotowa do sklepów urządzenia sklepowe, tu robię do Ś-go Jana, a że znów miałem ciotkę w Pabjanicach to prawie co niedziela jeździłem do Pabjanic. Tutaj zapoznałem się ze stolarzem, starszym człowiekiem co znów miał siostrę w naszym miasteczku i ja prawdopodobnie miałem kiedyś iść uczyć się u niego za stolarza. Skończyliśmy roboty do sklepów, obrachowaliśmy się i po zapłaceniu mi opuściłem Łódź, a udałem się do Pabjanic tutaj pracuję sobie inaczej, tutaj mam życie i mieszkanie w miejscu i płaci mi 3 ruble tygodniowo, ponieważ na zbliżającą się jesień stoję do losów do wojska, a później po losach to się będziemy inaczej umawiać, mam wybór II kategorji to do wojska nie pójdę, robię tak do 15. X. 1893 r.

Przyjechali moi rodzice do siostry do Pabjanic i mnie zabierają niby po drodze bo przyjechali furmanką, a mam się stawić w tym roku do losów t. j. 1893 r. Dnia 6 listopada jadę do losów do powiatu Radomska i wyciągam Nr. 56, a że w tym roku są jakieś zmiany więc poborowych mniej i w braku poborowych biorą i „lgotnych” czyli mających wybór jak ja II kl. Przyjęty jestem do wojska i po dwóch tygodniach mam się stawić na zborny punkt do Radomska. Na oznaczony czas stawiłem się, a za kilka dni już jadę do Strzelców do miasta Aschabadu do kraju Zakaspijskiego za morze Kaspijskie. Jadę przez Warszawę, Brześć Litewski, Konotopy, Worozbę, Homel, Charków, Rostów n. Donem, Krasnojarsk, Zunada, Geok - Tepe, Kizil - Arwat, i miasto Aschabad, 14 dni jazdy było tam.

Zajechaliliśmy na miejsce tutaj nas ustawiono w szeregi po wojskowemu, a było nas Polaków około 200 ludzi z trzech powiatów Będzińskiego, Częstochowskiego i Noworadomskiego. Tutaj przychodzi gen. major Swieczin jak zacznie nas chwalić z jakiegośmy to sławnego narodu, jaki to bogaty nasz kraj w minerały jak węgiel kamienny, to w lasy to w ryby i w grzyby, to znów że to wszystko się stało z woli Bożej że my tak sławni wojacy przyszli służyć ruskiemu cesarzowi i t. d. po skończonej przemowie w szeregi, muzyka rżnie marsza i dalej do koszar do 2 Zakaspijskiego bataljonu Strzeleckiego przyłączają mnie do 4 roty jako mniejszego wzrostu. Po umundurowaniu wszystkich do łaźni i później każdy sobie po swojemu napycha sienniki i zapisuje dla pamięci cesarską familję jak kogo tytułować, właśnie ja to sobie robię, chodzi jakiś żołnierz zobaczył moje pisanie i pyta się gdzie się uczyłem, odpowiadam że w Warszawie i że w dodatku jestem stolarz, to ten mi mówi że właśnie teraz potrzebują stolarza do naszego sztabu, czyli

do sztabowej kancelarii, ja mu zaraz przedkładałem swoje świadectwa, a on zabiera i ma je odesłać do sztabu, a był to starszy pisarz rodem z Kowna przy kancelarii 2 bataljonu. Po niedługim czasie przychodzi do mnie ten pisarz, a nazywał się Lange i pokazuje mi odpowiedź, a tu napisane: że prawosławnego lub luteranina to się przyjmie, ale polaka to nigdy. Pomyślałem sobie czekajcie, ja się wam odwdzięczę, już dziś to jestem złapany do klatki to trudno muszę cztery lata odsiedzieć, ale później.

Upłynęło kilka tygodni, a woła mnie kapitan mojej roty i pyta się czy ja będę umiał zrobić „reszotkę” czyli kratę do cerkwi, odpowiedziałem że zrobię, tylko desek i naczynie czy jest. Naczynie jest odpowiedział mi kapitan. Na drugi dzień feldfebel mnie woła i powiada że pójdziemy do miasta kupić deski na tę kratę. Kupiliśmy deski i poszła po nie furmanka z roty i ja z nią i zaczyna się robota „reszotki”, koło Wielkanocy reszotka gotowa, ale tutaj sęk bo po Wielkanocy ma być nanowo przysięga i trzeba uczyć się władać karabinem, a ja tu ledwo że karabin umiem wziąć do ręki.

Pewnego wieczoru mój nauczyciel czyli „diadka” woła mnie do siebie i tak mi mówi: jak to będzie bo się zbliża „smotr i prisiaga” a ty nie nie umiesz władać bronią, ja odpowiedziałem, że to rzecz kapitana, kto robi kraty, to nie włada bronią. Stawia mnie pod karabin i tego wieczora każe mi władać w pełnym rynsztunku bojowym, robię te obroty, aż się zgrzałem i myślę co to będzie dalej, ale wpadłem na pomysł i bęc na podłogę, karabin na bok i leżę. Jak piorun przypadł do mnie ten nauczyciel i podnosi mnie ale i zaraz ogląda karabin jest w porządku, a była to godzina z 10 wieczór, prowadzi mnie zaraz do łóżka ażebym się zaraz rozebrał i położył spać, siedzi przy mnie jak anioł i szepce, ty zemdlałeś, a ja: tak jest panie gefrejtorze, było to raz pierwszy i ostatni.

Po Wielkanocy odbyła się przysięga wykonana przez popa Gołubowa, a następnie poszliśmy do łagier aby tam przechodzić pierwszy kurs strzelniczy. Strzelałem Boże zmiłuj się, ale to nic, przeszło lato, a nastaje jesień powracają wszystkie bataljony wojska nazad do Aschabadu, a mnie mój kapitan zabiera do warsztatu, no mam teraz robić ramy do portretów cesarskich i innych, których tutaj było całe tuziny, robię ramy, korony i t. d. przez dzień, a wieczorem kufereczki dla żołnierzy, które sprzedawałem sobie pomiędzy żołnierzami, po dosyć dobrych cenach. Na żadne uczenia nie chodzę, jestem sobie wolny, ale w mundurze. To znów robię szafę dla kapitana, jednym słowem dobrze mi tu na tej służbie, życie jak to

w wojsku różne, chleb to też dosyć dobry, bo razowy i na pół z pszennym. Jakoś wtedy umiera Aleksander III a wstępuje Mikołaj II to znów koronacja, święta w wojsku, to żołnierze lubią, wódka przed obiadem, wszyscy stają w szereg i podchodzą do stołu, gdzie stała wódka i po czarce każdy, a przedtem krzyknęli trzy razy Ura! A obiad to makaron z rosółem, to ryż z haraniną i rodzinami, pyszny obiad, ale to podczas Koronacji ich Wieliczestw.

Następuje zwykły porządek każdy idzie do swojego zajęcia, a ja też do swojej roboty bo robię u swojego kapitana, to pewnego razu kazał mi odświeżyć biurko, a miał swoich dwóch ordynansów polaków z mojego rocznika i z mojego powiatu Antoniego i Jakuba. Wołam Jakuba do mieszkania, aby mi pomógł przewrócić biurko, a tu się wysypują listy żołnierskie z szuflady i to pieniężne, porzywane i w nich pieniędzy niema, więc powyciągane przez kapitana Łosiewa. Ponotowałem sobie nazwiska polaków co tutaj leżały ich listy, a dopiero po pewnem czasie ich powiadomiłem. W drugim roku służby zapoznałem się tutaj z panią febrą czyli zimnicą, która tak mnie pokochała, że miewałem gorączki do 40 i więcej stopni, a był tu dr. Komorowski polak, ten po pewnym czasie wysłał mnie wraz z innemi do stacji leczniczej położonej wśród pobliskich gór a nazwiskiem Chejrabad, w same Zielone Świątki idziemy tam piechotą, a rzeczy to wieziemy na wielbłędach, a idziemy przez dwa dni. Tu znów był dr. Szumski też polak, jak ten zaczął mi dawać tu znów chininy to i febra musiała mnie odstąpić.

A po pobycie tam trzech miesięcy to mnie przybyło 20 funtów. Jesienią powrót do Aschabadu miasta położonego wśród zieleni drzew. Kościoła katolickiego w owe czasy tam nie było, a ksiądz przyjeżdżał raz do roku to z Tyflisu to bądź z Petersburga.

Tutaj w 1896 zaabonowałem sobie „Gazetę Świąteczną” z Warszawy i przesyłałem do niej opisy tego miasta i gór i tutejszej ludności, zarobki i ich życie. Sprowadzałem polskie książki i gazety dla żołnierzy polaków, a nawet dużo elementarzy, które bądź rozdawałem, bądź sprzedawałem po cenie kosztu, ażeby się moi rodacy uczyli po polsku i czytali, aby nie zapomnieli mówić po polsku. Kiedy w ostatnim roku czy przedostatnim służby pełniłem obowiązków pisarza rotnego i siedzę sobie w kancelarji a tu przychodzi pop Gołubow, a jak zobaczył polską gazetę o jakże mnie sponiewierał, że ja zakładam tutaj polackie siedliscze. A gdy razu pewnego umarł Polak z mojego powiatu, a ja mu zrobiłem trumnę i krzyż a na krzy-

zu napis po polsku to ten sam pop chciał mnie oddać pod sąd generała Kuropatkina, ale jakoś zapomniał a ja odjechałem do Polski.

Gdy byłem rzucony przez los do Aschabadu to tam robiłem jeszcze u różnych oficerów, którzy posiadali swoje nieruchomości i zarobiłem sobie to u nich, to przy kufereczkach w bataljonie przeszło 200 rubli, które miałem ulokowane w kasie czyli w „kaznaczejstwie”, co dopiero odebrałem, kiedy odjeżdżałem do domu w 1897 r.

Jak jechałem na ową służbę do Azji miałem od ojca trzy ruble pożyczone na drogę mi od żydka, ale w dodatku miałem zegarek srebrny że gdy będzie mi bieda to sprzedam go, to jak jechałem to sobie wszystko zapisywałem ile godzin gdzie jechałem, na przykład przez morze Kaspijskie jechałem 44 godziny, ale na służbę, bo nazad to jechałem inną drogą do Baku przez cały Kaukaz do Batumu przy morzu Czarnem i przez Czarne morze trzy doby do Sewastopola i później do Odessy, a z Odessy na poleską kolej przez Kowel, Lublin do Warszawy. Gdy byłem w wojsku a miałem ten zegarek, to gdy zobaczył to pewien żołnierz litwin Szyrejko wykradł z kuferka i sprzedął za 10 rb., byłem natenczas w łagrach na kursie strzelby, kiedy znów może za dwa miesiące idę na targ czyli bazar, a tu pewien persjanin idzie i zupełnie ma moją dewizkę, podskoczyłem do niego i zapytuję, która godzina, a on wyjmuję ten zegarek i mówi że piąta, ale chcę się lepiej przyjrzeć czy mój zegarek i cap go do ręki i krzyczę na policję, w mig jest policja, a ja jej oddaję zegarek do rąk i mówię że około dwóch miesięcy będzie jak mi ukradli zegarek i mówię Nr. zegarka nic więcej nie potrzeba, a skądżeś panie nabył ten zegarek? kupił od kogo i tak po nitce doszła policja od kogo był kupiony, o jakżeż się dziwowali, że ja mogłem tak odrazu wskoczyć na pomysł i zegarek mi zwróciła policja, a ten co kupił pogodził się dobrowolnie ze mną i dopłacił mi jeszcze 5 rubli „Ot mudyj polaczok”, wołali „jeszcze nowobraniec”.

Po przyjeździe z wojska do domu na tydzień przed Wszystkimi Świętami w domu wszyscy są zdrowi chodzę ten tydzień w mundurze tego soldata ruskiego i w szynelu, ale że oficerskiem bo taki sobie kazałem uszyć za własne pieniądze, ażeby nie śmierdzieć dziegiem to porządnie skropiłem wodą kolońską kupioną coś za 8 zł. czyli 1 rb. 20 kop. Jak zaszedłem do wuja Kunickiego to jego syn Janek wąchał i przyleciał do swej matki i mówi on nie śmierdzi jak ci wszyscy a pachnie tak ładnie. Na listopada jadę do Częstochowy i tam kupuje sobie zaraz ubranie, palto, kamasze, i jadę znów do

Sosnowca do siostry i brata, bo tam prawie jest jeden co pracował w fabryce Miłowieckiej przy drucie.

Władzia, Józia i szwagier kontenci są, że ich odwiedziłem, ale po tygodniu powracam do domu i siedzę u rodziców. Przybliżają się Święta Bożego Narodzenia, aż tu 23. XII. rano krzyczą: pali się plebanja, a że to było koło samej szopy, gdzie miasto miało sikawkę i parę beczek więc w mig wstałem i poleciałem na plebanję pomogłem wynosić rzeczy ks. proboszcza, a tu się pali ino trzaska, bo plebanja była trochę piętrowa i to pięterko było zdaje się drewniane, a na dole murowane, więc w górze ładny był ogień. Proboszcz woła: drabiny tu dajcie, ludzi było dosyć dużo bo to powstawali prawie na roraty. Dali ks. proboszczowi zaraz drabinę, a on zawija sutannę i dawaj wchodzić na górę do ognia, ale go ludzie znów łapią za poły poco tam ksiądz idzie, a on woła: tam są pieniądze, pieniądze. Skierowali zaraz prąd wody od sikawki i tam weszli i powy-nosili całe paki setek, ale tak opalonych, że jak ks. wikary pod lipą dmuchnął to się jeno popiół rozleciał ze stu rubli czyli, ze sukienki Katarzyny co to była na setkach wymalowana jako „ruska imperatrica”. Pozbierał biedny księżulek te opalonki i z nimi pojechał do banku do Warszawy, aby wymienić na dobre, w drodze spostrzegli to złodzieje, kiedy jechał nazad do Radomska i pieniądze ukradli. Gdy wysiadł z pociągu i poszedł do bufetu nie miał czem zapłacić za szklankę herbaty. A gdy znów siadł na bryczkę aby dojechać do domu, to na bryczce już zemdlał z żalu. Furman gdy to zobaczył zawrócił do plebanji w Radomsku i tu ksiądz życie skończył i tu w Radomsku pochowany.

Po świętach jadę do Sosnowca bo w Nowy Rok mają się u siostry odbyć chrzciny, a ja mam być za chrzestnego ojca, z p. C., żoną sąsiada też kolejarza. Po chrzcinach trzeba szukać roboty i znów ta sama historia co przed wojskiem, nigdzie roboty znaleźć nie mogę, aż ledwo na post wielki znalazłem robotę w małej fabryce szczotek na Ostrej Górze. Robią tu sami Niemcy wszyscy się stołują u niejakej pani Stefaniak. Ja tutaj stołować się nie chcę, bo mieszkam i stołuję się u siostry co mnie taniej kosztuje, ale robotę dostałem pod warunkiem, że po świętach Wielkanocnych będę się stołował u niej, niby że ja cały post poszczę, a u niej jedzą z mięsem ci czeladzie. Po Wielkanocy, na którą znów byłem w domu stołuję się tutaj ale ledwo przez jeden tydzień, bo mi jeich życie nie smakuje więc odchodzę z roboty tej a szukam nowej roboty.

CZĘŚĆ IV

Razu pewnego poszedłem do kolegi stolarza co robił w Milowicach ten mi doradził, aby się zaczepić przy innej robocie, aby tylko w fabryce, to później pokaże werkmajstrowi swoje papiery, a mogą mnie przydzielić do stolarzy. Tak zrobiłem i poszedłem do nożyc aby ciąć różny szmelc — za kilka dni nożyce się popsuly więc poszedłem wozic szmelc taczka, a gdy jeszcze nożyce cięły przyszedł raz ten werkmajster pokazuję mu swoje papiery i proszę, aby był łaskaw przyjąć do stolarzy. Brak roboty w stolarni jest — brzmiała odpowiedź. Po tej odpowiedzi piszę list do Warszawy do kolegi Smolińskiego, który prowadził warsztat na Żelaznej, czyby u niego nie było roboty dla mnie.

Zaraz melduję w kantorze fabrycznym że pracować nie będę i wyrabiam dni. Jak się dowiedzieli różni majsterkowie z fabryki, to dziś zaraz mnie zabrali z fabryki do mieszkania, aby zreperować tu szafę, tam altanę, i t. d. zeszło prawie dwa tygodnie, a za fabryczny dzień miałem płatne 75 kop.

Przeszły dni wypowiedziane. Kantor fabryczny mi wypłacił należność moją i chce mi dać świadectwo, ale ja nie żądam, więc żeby podpisać jakiś tam papier, że do fabryki nie mam pretensji podpisałem raz dwa i rzucam pióro, tak się spojrzeli na mnie i na koniec ja poszedłem. Idę do domu, na drodze otrzymuję list od kolegi aby się dwa tygodnie zatrzymać jeszcze z przyjazdem do Warszawy. Co tu robić, zachodzę do domu siostry, a tu jest matka moja co dopiero przyjechała i mówi że ojciec jest w Częstochowie, więc ja tu przyjechałam po te heble i inne rzeczy, a ja znów powiadam, że otrzymałem list, aby się zatrzymać z przyjazdem na dwa tygodnie, więc jadę do domu na te dwa tygodnie, aby po upływie dwóch tygodni jechać do Warszawy.

Przyjeżdżam tą razą do domu, a dowiedział się nasz sąsiad H., który był wójtem w miasteczku, że mam tutaj siedzieć dwa tygodnie, a później jechać do Warszawy. Zobaczył się z proboszczem p. wójt, bo nowy proboszcz przyjechał i ma budować nową plebanję a był to ksiądz X. Gdy to on usłyszał na wieczór już jest u ojca mojego i opowiada mi, że poco to szukać roboty po Warszawie, kiedy tu jest robota poco tu sprowadzać obcych stolarzy, ja znów tłumaczę że sam się nie podejmuję zrobić tej roboty, więc zgoda, to razem z drugim będziecie robić no tak to zgoda. Odpisuję do kolegi że już nie przyjadę ponieważ zacząłem robić roboty stolarskie przy ple-

banji. Więc robimy najpierw futryny do okien, drzwi, ale wszystko bez zgody bo przecież to swój proboszcz, a my jego parafianie, więc zapewniał że krzywdy nam nie robi, daje nam słowo kapłańskie że krzywdy nam nie robi.

Robimy ten swoje, i ten swoje, ten u siebie i ten też, drzewo kupił proboszcz u gospodarza Piechurskiego Wojciecha, ponieważ on miał suche deski i bale na futryny to znów murarze robią, robota kipi, a co pewien czas to na początek poszedł Usarek, ten co ze mną robił, wziął od proboszcza 30 rubli, to mnie dał 10 rubli, a sobie wziął 20 rubli, bo on miał czeladnika więc ich robiło dwoje, to znów tak dalej i dalej, aż już okna zrobione i drzwi robimy razem, podłogi. Raz wylata mi notes z kieszeni, proboszcz go łapie i przegląda, a tu jest napisane że na konto roboty przy plebanji dnia tego 10 rb., a tego 10 rb. a tego znów 15 i czwarty raz 15 to razem 50 rubli. Po obiedzie przyszedłem pierw jak Usarek woła mnie ksiądz do pokoju, a tu siedzi jego gospodyni Zosia i jej siostra Jagusia, każe przynieść szklankę herbaty daje jakieś ciastka i cukierki i częstują mnie wszyscy troje a proboszcz się odzywa w te słowa, dlaczego ja się nie żenię odpowiadam że nie mogę sobie znaleźć panny, a następnie zarabiam mało bardzo i będę się żenił? To ja dam pieniądze, więc proszę choć 25 rubli, daje mi 25, ale jednocześnie podsuwa dużą książkę i dyktuje mi aby napisać tak: Od ks. X do dnia takiego to i roku na konto roboty przy plebanji odebrałem 75 rubli na co się podpisuję. Nigdy jeszcze w życiu nie podpisywałem żadnych kwitów, a tu właśnie pierwszy raz w swoim życiu, a dodaję że te pierwsze sumy to kwitował Usarek stolarz proboszczowi jak brał pieniądze a mnie dawał bez żadnego pokwitowania, tak że te 50 rubli pierwsze kwitował on sam, a później dał mi ksiądz 25 a pokwitowałem ja sam na 75 tak za tę szklankę herbaty zapłaciłem 50 rubli. Do tej pory wierzyłem księdzu i myślałem że ksiądz to nigdy niko go nie oszuka, nie kłamie, prawdę mówi, a tu się okazało inaczej że tu fałsz jest, życie pokazało.

Skończyliśmy te roboty na 5-ty Jan 1899 roku, pieniędzy niema i dalej roboty niema. Pisze znów do kolegi do Warszawy, ten mi odpisuje, że będzie na taki to dzień pod Pabjanicami we wsi Chechle, u swojej siostry i szwagra który jest gajowym, abym tam przyjechał na ten dzień to sobie pogadamy obszerniej o różnych sprawach i co się tyczy roboty. Pojechałem do Pabjanic na oznaczony termin, doszedłem sobie do Chechła, ugadaliśmy się dosyć dużo, tak że na października jadę do Warszawy i pracuję u kolegi Smolińskiego tą razą

na Łesźnie, ale pod liczbą 70, od 1 października narazie płaci mi dniówkę 2 ruble dziennie, mieszkam u niego śpię sobie na kanapie i życie u niego, ale znów osobno płace za życie po 3 zł. na dzień czyli 45 kop. Rano kawa, bułki, obiad co dzień mięso kapusta rosół i t. p. kolacja herbata, chleb, wędlina, czasem przed obiadem po jednym sznapsiku, bieliznę daję do pralni.

Tutaj kolega prenumeruje Tygodnik Ilustrowany od paru lat, a ja znów od półrocza Biesiadę Literacką.

Jak jestem w Warszawie tą razą to jeszcze sobie trzymam „Kurjer Polski” pismo codzienne a kolega znów „Kurjer Poranny” pismo codzienne, mnie i Kurjer i Biesiadę przysyłali z Redakcji, a kolega sobie brał u kupca w sklepie, a Redakcja o takim prenumeratorze nic nie wiedziała, to się śmiałem z niego że musi sam iść po pismo, to mi pan, a mnie to pismo wręczali roznosiciele i zawsze w porządeczku dzień dobry to znów dowidzenia powiedzieli, a mojemu koledze nic, to ja się z niego wyśmiewam. Gdy przyszła sobota to ja do kolegi, panie majster po tygodnik i po kurjer niech pan raczy iść, mój uśmiech poskutkował bo od Nowego Roku oba pisma opłacił w Redakcji.

W tym czasie, bo w listopadzie miał być koniec świata tak przynajmniej opisywały gazety i zdaje mi się że 13 listopada miało to miejsce wieczorem. Poszliśmy do dwóch restauracji na Chłodną pod Lewka i na Żelazną pod Płachtę, a tam grają na fortepianach śpiewają aż dudni, ludzi pełno, wypiliśmy po piwie i dalej do drugiej tam tak samo ludzie się bawią i wcale nie zważają na jakiś tam koniec świata. Ale mówię do kolegi chodźmy teraz do kościoła zobaczyć, zachodzimy do kościoła Ś-go Karola Boromeusza na Chłodną, a tu ani się docisnąć, schody pełne ludzi. Więc poszliśmy do domu ja się położyłem spać, ale mój kolega to nie spał a przyglądał się jak gwiazdy spadały, jak jaki deszcz. Rano mi opowiadał.

Będąc w Warszawie byłem też kilkanaście razy w teatrze to w Wielkim, to w Rozmaitości, to w letnim w Saskim ogrodzie, ale nie tylko teraz, ale nawet jeszcze kiedy byłem w terminie już chodziłem do teatru, a kolega mój to bardzo często w terminie nawet uczęszczał do teatru Wielkiego, ale nie płacił biletu w kasie, a na gapę za 15 lub 20 kop. i na paradyz tylko, chodziliśmy jeszcze za czasów sławnej artystki Marji Wisnowskiej.

Kiedy byłem w Pabjanicach i w Chechle to mi ciotka powiedziała, że na Nowolipiu mieszka ich kuzyn ze strony Klimków. Raz w niedzielę poszedłem tam do niego, a tu mieszkało coś około 12 ka-

walerów starszych i tam się stołowali, bo była tam starsza wdowa, co ich stołowała i miała przy nich utrzymanie, pracowali oni w fabryce firanek, zaszedłem, prawie skończyli obiad, po tym obiedzie zasiedli i mnie też poprosili, bo miała tam być konferencja kawalerska na temat gdzie się żenić czy w mieście czy na wsi, zadługo byłoby opisywać co tam opowiadali, ale koniec końców większość była zatem, aby się żenić na wsi, a to spowodu, że ci znajomi co się poženili w mieście, dużo nie mieszkalo ze swoimi żonami z różnych powodów, których na wsi się uniknie dlatego że na wsi to od ludzi łatwo się dowiedzieć całej opinji.

Gdy inną razą poszedłem do tego krewnego lub on przyszedł do mnie, tośmy sobie poszli nie do szynku, ale do cukierni wypiliśmy sobie po szklance herbaty zjedli albo po pączku, albo po ciastku, poczytaliśmy tu pisma i dalej poszliśmy znów do innej cukierni tak, że nas kosztowało parę groszy i zabawiliśmy się przyzwoicie, widzieliśmy jak tu się ludzie bawią dla rozrywki swej.

Jak teraz jestem w Warszawie to postanowiłem sobie składkę co tydzień 20 kop. do puszki, to jest w miejsce papierosów, które to pieniądze muszą być użyte na książki i gazety. Gdy nadeszły ostatki to ja tak przepędziłem ten dzień: do południa, po obiedzie idę najpierw zwiedzić Panoramę Męczeństwo Chrześcijan w Cyrku Nerona to znów Muzeum na Nowym Świecie to wszystko było godne zwiedzenia i można stąd brać naukę, która bardzo mi się przydała w życiu. Byłem w Cyrku na Ordynackiej, jak również byłem i we wszystkich kościołach katolickich, byłem na Bielanach, ale na Saskiej Kępie to nie byłem, ponieważ mi opowiadali, że tam prawie zawsze były bójki, to tego unikałem. Zwiedziłem Wolę, cmentarz na Woli, gdzie walczył gen. Sowiński, byłem w tej cerkwi co była przerobiona z kościoła Ś-go Stanisława czytałem te napisy co były po bokach to jest Sława Tobie Panie Boże, żeś Nam dopomógł uniczytożit miateżników Polaków w 1830/31 roku. Byłem też razu jednego w dzień Wszystkich Świętych na cmentarzu Powąskowskim widziałem grób 5-ciu poległych na rogu, płaski bez żadnej mogiły, widziałem jak żandarm moskiewski odrzucał położone wieńce na tym asfaldzie aż na drzewa w pobliżu rosnące.

Na początku postu dostaję list z domu i brat Józef mi pisze, bo się uczy u mnie lecz kiedy ja wyjechałem do Warszawy to on się został sam przy moim warsztacie i moim naczyniu, bo miałem zamiar cały warsztat przewieźć do Warszawy od Nowego Roku 1900. Ale tak się nie stało, a to spowodu że robota i w Warszawie tak nie

idzie w poście jak szła jesienią, więc skręca się, a brat pisze: Musisz przyjechać na Wielkanoc i rachunki skończyć, tak mówił mi ksiądz X, a następnie donoszę Ci że przyjechała tu na ostatki ładna panna z Łodzi, przyjedź to zobaczysz może ci się spodoba, a co do rachunku z plebanji, to słyszałem, że ci się należy 14 rubli 60 kop. tak mówił nawet ksiądz proboszcz nie jak ty sobie liczysz 75 rb. Najlepiej jak sam przyjedziesz to się policzysz.

Twój brat Józef.

Gdy mieszkam u kolegi, wieczorami nie mogę czytać, bo mi przeszkadzają dzieci jego, bo miał już dwóch chłopców, więc postanowiłem kupić sobie łóżko żelazne, siennik, bo kołdrę miałem swoją, postawić w kuchni, aby mi wieczorami nikt nie przeszkadzał, kupiłem sobie lampę, nafty aby mieć swoją i dopiero po skończonej robocie i po kolacji siadać i czytać lub pisać. Wieszam na ścianie zegarek, abym wiedział która jest godzina, czytałem prawie zawsze do 12 w nocy, a czasem i do 1 godziny. Rano zaczynałem robotę o 6, a kończyłem o 8 wieczór, tak nas nauczono przecież w terminie. Widziałem też w owym czasie panoramę przy ulicy Karowej „Napoleon nad Berezyną” to jest kiedy powracał z Moskwy w 1812 r. Zwiedziłem też gabinet Zoologiczny czyli wszelkie rodzaje ptaków. Zwiedziłem też wielką „Menażerję” czyli zwierzyńiec w koszarach Mirowskich jak była dawniej, były tam różne zwierzęta jak koń z rzeki Nilu, hipopotam, a skończywszy na lwach i wilkach.

Wrócić mi się wypada do domu, kiedy robiłem przy tej plebanji to zamyślałem się żenić, bo na kark zaczął mi wlać 28 rok życia; i jak to na wsi, kiedy jednego wieczoru poszedłem za kościół do dziewczyny, a na drugi dzień do drugiej, to ta już wie o tem i już wymawia, że chodzę tam, a teraz przyszedłem do niej, bo rzeczywiście to rodzice tak mi mówili, żebyś się ożenił u P. on tyle ma desek, tobyś miał z czego przynajmniej robić. To też zaszedłem raz aby popatrzeć jak tam ta panna? Za kilka dni matka moja się spotyka z jej krewną i pyta się co tam słychać, jak tam gadają o moim Bolku, a tu się dowiaduje że niekoniecznie są radzi mu, bo mówią, że taki H. jak się ożeni to sobie razem pójdą w pole oba, a taki S. (znaczy ja) to będzie robił w warsztacie, a żona sama musi chodzić w pole.

W maju tegoż roku pojechałem do Gidel na odpust z rodzicami, tam zapoznałem młodą wdówkę dosyć ładną, miała ona jedno dziecko, z mężem żyła tylko rok, mąż jej był kelnerem w cukierni

w Częstochowie zachorował i umarł, ale był podobno asekurowany na życie, żona jego miała odebrać dość pokaźną sumkę pieniędzy, ale jej powiedzieli, że już był chory, a doktor który wydał zaświadczenie że jest zdrow to był przeplacony, więc dostała figę z makiem. Ta wdowa już była u nas zobaczyć mój warsztat, ale prawie że roboty w domu nie było bo warsztat był na plebanji i tam cała robota się odbywała w końcu, to jej się nie spodobało i że tu nie miałyby towarzystwa, tak mi przynajmniej powiedziała, a raczej napisała po odjeździe swoim od nas. Ksiądz proboszcz znów strasznie patrzył na mnie że nie do Zosi jego gospodyni lub jej siostry Jagusi zamierzam, strasznie kręcił nosem. „Ale serce nie sługa nie zna co to pany, nie da się przemocą zakuć w kajdany”.

Rzucam dom i jadę do Warszawy, może tam co znajdę, tam jak wyżej już wspomniałem nic nie znajduję choć na Świętach Bożego Narodzenia a raczej na Wigilji byliśmy, kolega Smoliński z żoną i dziećmi i ja na ulicy Topiel u siostry żony kolegi. Miał dosyć przystojną córkę Helenę, już dorosłą, ale mi się niekoniecznie podobala, a natura wilka zawsze ciągnie do lasu, a chłopca na wieś, ale i dlatego, że liczyłem w domu to może mi i rodzice dopomogą do wesela co i tak było, a ten list brata Józka bardzo mi utkwiał w głowie, co to za panna jest u nas.

Zaraz jakoś w niedzielę pytam się brata, gdzie to ta panna coś pisał, a on mi mówi że do tego Dłubaka co to się ożenił z wdową z Brzeźnicy to przyjechała jej córka z Łodzi tam była u swojego wujka z ciotką się tam o coś poróżniły i przyjechała tutaj do matki swojej, byłem tam i tam mi opowiadały.

Któregoś dnia wielkiego tygodnia idę tam aby zobaczyć tę pannę, zachodzę siedzi przy stole ten D. po powiedzeniu: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, odpowiedzieli mi oboje: na wieki i proszą siadać, ale jeszcze przed siadaniem powiedziałem „dobry wieczór” siadam i zaczynam. Przyszedłem tu panie D. zapytać się jak tam pan skończył z rachunkiem przy plebanji, bo mnie to obliczyli dać 14 rb. 60 kop a przecież mnieby się należało 75 rb. podług mojego rachunku. On mi opowiada że murarzom też tak ks. proboszcz zrobił, ile chciał tyle dał no i co będziemy robili, skarżyć się nie oplaci.

Podczas tej rozmowy weszła do mieszkania dziewczyna średniego wzrostu, kibić wysmukła, około lat 20 z rękami zakasanymi, coś zmywała, skłoniłem się i powiedziałem „Dobry wieczór” nie podając ręki jako nieznajomy.

Posiedziałem dłuższy czas, opowiadałem o Warszawie i że zmuszony byłem przyjechać do domu, aby raz ten rachunek uregulować z tym ks. proboszczem. Odchodząc wiedziałem kto to jest ta panienska bo matka jej gdy weszła to powiedziała, to jest moja córka. Gdy już odchodzę teraz p. D. podaję rękę, a żonę jego całuję w rękę i panience podaję rękę i mówię dobranoc, widziałem jak jej matka trąciła ją łokciem aby mnie wyprowadziła z mieszkania co też zadość jej uczyniła, we drzwiach wychodzących z sieni przystanąłem i począłem pytać jak to dawno panienska przyjechała do nas, jak jej się nasze miasto podoba, czy lepiej od Łodzi i t. d.

A kiedy odchodziłem to uściśnięm za rękę dosyć mocno, że aż krzyknęła i dobranoc jeszcze raz powiedziałem i odszedłem. Spodobała mi się, kiedy poszedłem spać długo myślałem o niej, ale usnąłem. Nazajutrz myślę jak by tam iść, teraz tyle mają roboty, bo to przecie przed świętami Wielkanocnymi, a to bieleń, a to zmywanie i inne porządkowanie, ale czekam wieczora, bo to przecie po robocie, idę i znów się pytam niby tego ojczyzna tej panienski, że byłem już u księdza, a on mi opowiedział że komitet kościelny tak uchwalił aby tyle dać i basta, że byłem też u wójta, niby jako prezesa dozoru kościelnego, ten tak samo mi powiedział, co tu robić?

Tu rozmawiamy, a ja się tylko spoglądam na ową panienskę, jak to zmywa i jak się uwija i że to jej idzie bardzo składnie, podobna mi się i koniec, posiedziałem jeszcze i znów dobranoc zwyczajem kawalerskim i poszedłem do domu. Położyłem się spać, ale nie mogę usnąć, tak myślę co ja teraz mam robić, czyby jechać do Warszawy po odebraniu tej sumy jaką mi tu przyznali za moją robotę. Zasnąłem, śniło mi się, ale dziś nie wiem co. Rano idę jeszcze do wójta, bo to było po sąsiedzku, wypytuje jak to może być aby dozór kościelny tak obniżył cenę tej roboty, a ten wójt K. jak mi zacznie opowiadać jak to ksiądz mierzył podłogę taką miarą to wychodziło 60 łokci tam, gdzie było podawane 80 łokci przez nas, następnie idę do Usarka z wymówką, że on się zgodził na taką niską cenę i pokwitował, a ten mi powiada, zachorowałem, w domu ani grosza, ani za co kupić lekarstwa, a mnie coraz gorzej, już żona poszła po księdza, aby do mnie przyszedł ze spowiedzią św. sakramentami i z ostatnim namaszczeniem t. j. olejami świętymi więc w takich znalazłem się warunkach i zmuszony byłem podpisać, aby dostać jeszcze co pieniędzy na ratunek siebie i moich dzieci, aby nie zostały sierotami, a było ich tam conajmniej ze sześciu. Widzę że tu sprawa skończona więc dowidzenia i poszedłem.

Ale że to już był wieczór nadchodził odłożyłem na jutro, zachodzę jutro, ale to był Wielki czwartek, ksiądz powiedział przyjdiesz Boles jutro, dobrze? bo dzisiaj mam dużo zajęcia. Poszedłem. We Wielki piątek po nabożeństwie idę do proboszcza i ten po podpisaniu w książce że odebrałem 14 rb. 60 kop. mi ową kwotę naraćhował a ja zgarnąłem i schowałem do kieszeni i jeszcze go w rękę pocałowałem na podziękowanie, bo tak tu wszyscy robili, „włażleś między wrony krakaj jak i one” bo inaczej to cię zadziobią. W sobotę po południu przechodzę się w tę stronę, aby może gdzie spotkać swoją upodobaną, wstąpiłem do niedaleko mieszkającego sąsiada D. posiedziałem popatrzałem w okno idzie po wodę moja dziewczucha, psia jucha ta będzie moją. Żegnam się z sąsiadem D. i wychodzę aby zastąpić jej drogę i pogawędzić z nią, co słyhać, co się jej śniło, czy nie widziała już Wielkanocy bo ja bardzo jej wyglądam i szykuję się do obłania, czy mogę przyjść oblać? To już ode mnie zależy, brzmiała odpowiedź mojej dziewczuchy i rozeszliśmy się.

Wielkanoc nadeszła, raniutko poszedłem na Rezurekcję a później posiedziałem trochę w domu bo to wielkie święto, nigdzie się nie chodzi, więc narozmawialiśmy się z rodzicami dosyć, choć ojciec prędko poszedł śpiewać Alleluja, Alleluja, jako pierwszy śpiewak w miasteczku, a raczej w kościele parafjalnym.

Jadąc na wieś z Warszawy trzeba zawieźć jaką nowość, więc kupiłem ogórek gumowy, a idąc oblać pannę to się ścisło i nabrało się do niego choćby wody kolońskiej, a pokazywać komuś że w Warszawie już są takie ogórki to się na wsi ciekawie przyglądali, a wtenczas ścisnąć to doskonale sikło prosto w oczy lub do buzi. W poniedziałek Wielkiejnocy rano wstałem niczem na Rezurekcję i poszedłem oblać ową dziewczuchę, zachodzę już wstali, więc mówię proszę zobaczyć jakie to ogórki już są w Warszawie, lecą patrzeć a zwłaszcza ciekawie się przyglądała moja dziewczucha, a ja jak nie ścisnę ów ogórek i jak siknął to było trochę śmiechu, za obłanie dają śniadanie, więc i ja zostałem zaproszony do śniadania. Poszedłem do domu na obiad, ale niedługo znów poszedłem do onej dziewczyny i opowiadaliśmy o różnych rzeczach do dosyć późnej godziny.

Na następny dzień znów odwiedziłem swoją dziewczuchę, aż dalej i dalej nadszedł czwartek po Wielkiejnocy kupiłem swojej dziewczusze za 50 kop. cukierków i buteleczkę słodkiej w kieszeń i poszedłem znów do niej, idę, na ogrodzie stoi ojczym i woła mnie do

siebie. Co to pan myśli się żenić z pasierbicą? ja odpowiadam: tak. „Ależ ona ma wyjść za mojego Michała, my tak z matką uplanowaliśmy, tak to proszę do mieszkania”. Wchodzimy do mieszkania, ja się zwracam do matki i mówię że dziś przyszedłem się oświadczyć pannie Walerji i matce jej i proszę o rękę córki, a następnie ojczym oświadcza, że z tego nic nie będzie ponieważ ona ma wyjść za Michała (syna ojczyma). Proszę mi odpowiedzieć otwarcie czy panna Walerja wyjdzie za Michała, lub nie, proszę mówić prosto w oczy, a tu brzmi odpowiedź panny W. Ja nigdy nie podobnego nie mówiłam, a jeżeli mama powiedziała to ja się nie zgadzam na to. Jeżeli się będzie żenił p. S. to dobrze, a za Michała nigdy nie pójdę. Dobra moja wygrana, stawiam słodką na stół proszę kieliszków to się napijemy na tą zgodę. Michał uciekł z chałupy, ojczym się trzęsie, on się nie godzi i też szuka czapki i w nogi z chałupy, my pozostali w trójkę, napiliśmy się słodkiej przekąsili cukierkami i układamy plany zapowiedzi i wesela, kiedy to nastąpić może jak najprędzej.

Na drugi dzień rano idę do kościoła na msze, stanąłem pod chórem i modłę się, ale patrzę gdzie moja dziewczyna, nie mogę jej ujrzeć w kościele. Wyszedłem z kościoła stanąłem na cmentarzu i czekam jak ludzie przechodzą, a ja patrzę ale nic zobaczyć nie mogę, myśli mi do głowy się cisną różne, aż tu wychodzi moja naręczona w innej chustce i sukience jak miała, ale mało na to zwróciłem uwagi, podchodzę do mej dziewczyny więc idziemy do proboszcza dać na te zapowiedzi. Zachodzimy do kancelarii proboszcza, a ten się patrzy tak gęsto i pyta się co to jest. Ja oświadczam, że żenię się z tą oto panną Walerją i przyszliśmy dać na zapowiedzi ks. proboszcz będzie łaskaw przyjąć, — no, co się tu zapytać tej panny, przeżegnaj się — dobrze, a co to tego kawalera się zapytać, powiedz no mi „Dziesięć grzechów cudzych”. Ja mu odpowiadam, że ja o swoich grzechach nie pamiętam, a tu ks. proboszcz mi się pyta o cudzych grzechach, dałem rubla jednego, a ks. zapisał i dobrze. Po daniu na zapowiedzi idziemy koło kościoła czyli przez cmentarz kościelny tu wręczam swej narzeczonej pierścionek zaręczynowy i proszę narzeczoną na śniadanie, ale nie chciała, to kiedy indziej, na drugi dzień poszliśmy do spowiedzi, a po spowiedzi naręczona idzie do Brzeźnicy, śniadanie jedliśmy u moich rodziców i odprowadzam narzeczoną za las, daję jej 6 rubli na różne potrzeby, czyli na welon do ślubu, aby sobie kupiła.

W lesie spotykamy tego ojczyma z grubym kijem, ja też mia-

łem gruby kij, zaczął wymyślać i przeklinać, złorzeczyć, że słowo dała że pójdzie za Michała a teraz idzie za mnie, ja ci dam wygraża lachom czyli kijem. Matkę wypędził z domu poszła do Brzeźnicy bo tam miała 1/4 część domu i ogrodu po pierwszym mężu, czyli ojcu mojej narzeczonej.

Odprowadziłem aż za drugą wieś swoją przyszłą żonę, pożegnałem się i wróciłem do domu, a tu znów idzie matka narzeczonej z Brzeźnicy, tutaj mi naopowiadali co się to działo po mojem odejściu, jakie awantury, poduszki darł, a pierze fruwało jak w żydowską wojnę.

W następną niedzielę idę do kościoła a tu woła mnie ks. proboszcz zachodzę do niego, a on mi oświadcza, że zapowiedzi nie będzie wołał, bo Dłubak przysłał mi tu taki list, że ta panna niepełnoletnia, potrzeba, aby ona tu przyszła i oświadczyła, że za jego syna Michała nie pójdzie. Ja na to proboszczowi odpowiadam że ich obu tu няма, oboje są w Brzeźnicy, ale ja mogę postawić świadka, że młoda powiedziała, że nigdy za Michałaby nie poszła. Proszę postawić świadka mówi ksiądz.

Idę do kościoła do kościelnego i pytam się, gdzie może być Grzesiowa, wołajcie ją do proboszcza, ale to zaraz. Proboszcz ją potrzebuje tu na świadka, kościelny wiedział gdzie ta kobieta jest w kościele, poszedł i w mig jest u proboszcza. Gdy przyszła Grzesiowa do proboszcza, a ten zapytuje czy gospośiu słyszeliście, że panna ta, co się żeni Bolesław S. z nią, powiedziała, że nie pójdzie za Michała. Tak jest proszę księdza, kiedy była u mnie pożyczyć chustki do kościoła, aby dać na zapowiedzi to mówiła że nigdyby nie poszła za Michała, syna ojczyma. Już dobrze, idźcie gospośiu do kościoła, zapowiedzi teraz będą wołane. Dziękuję ks. proboszczowi i poszedłem do kościoła słuchać swoje zapowiedzi, choć to się podobno nie należy, bo jak w przyszłości są dzieci to są głuche, tak tu bają ludziska. Po niedzieli jadę do Warszawy posprawić sobie różne rzeczy jak obrączki, ubranie, wymeldować się i dojechać do Chełma do wuja poprosić go na wesele.

Przyjechałem do Warszawy oznajmiam koledze Smolińskiemu, że już więcej nie będę robił u niego bo się żenię, na 13 maja wesele i proszę cię na wesele. Na to konto wypiliśmy no i jutro jadę do Chełma. Zajeżdżam do Chełma na godzinę 6 rano poszedłem do kościoła, później idę patrzeć a tu dom wujka, tu znów kancelarja w ładnym domu trzecim, około 9 zachodzę do kancelarji tu jest ze 6 pisarzy tylko pióra trzeszczą tak orzą, pytam się o pana Rejenta

odpowiedzieli mi, że jest w mieszkaniu. Idę do mieszkania, ale wszedłem do kuchni pytam się czy jest p. Rejent, a tu na korytarzu idzie właśnie wujek i woła mnie do siebie, przywitaliśmy się i mówi chodź tu do pokoju co ty powiesz Bolku, a to proszę wujka przyjechałem wujka prosić na wesele żenię się, a gdzie się żenisz? z jaką panną? Panna proszę wujka to jest z Brzeźnicy, ale jej matka tam wyszła za murarza D. jako wdowa, jej mąż pierwszy to był stolarz w Brzeźnicy i umarł dosyć dawno tak że ta panna miała trzy lata wtenczas, wychowywała się u dziadka t. j. u ojca matki w Brzeźnicy, przyjechała właśnie do nas od swojego wuja z Łodzi, wuj jej znów miał do wynajęcia pianina, jest bezdzietny. Czy umie pisać, czytać, odpowiedziałem, że tak, umie, to dobrze, że się żenisz na wsi bo te żeniaczki na przykład w Warszawie to rzadko że są dobre, to ze sobą nie mieszkają, to się zgodzić nie mogą. A majątku dostaniesz co? O to się nie pytałem, ma tam matka jej 1/4 placu i jedno mieszkanie w Brzeźnicy przy samej plebanji, to matka ma dla niej, więcej dzieci niema jest jedynaczka. No powiedz mi co myślisz robić po weselu? Myślę proszę wujka założyć skład gotowych trumien, u nas w mieście tego niema może i pójdzie, jakoś trzeba ryzykować. Dobrze, odpowiedział wujek tylko szkoda żeś przyjechał bo gdybyś napisał to to samo by było, a tu tyle pieniędzy sama kolej 6 rb. w obie strony, masz to na kolej pieniądze? Odpowiedziałem, że mam. To ci nie dam, boś ty bogaty. Niech mi wujek powie, a jakbym wujka nie zastał w domu to cobym robił gdybym pieniędzy nie miał, a no prawda, no jak tak to ci dam 50 rubli jako zapomoge i na wydatki weselne, kup sobie co ci najpotrzebniejsze. Podziękowałem, żony wujka nie było w domu pojechała gdzieś do familji, więc nie widziałem się. Byłem na obiedzie, po obiedzie pokazał mi ogród swój i położyłem się trochę przespać, a wujek poszedł do kancelarji, bo to do Chełma się jechało od 12 w nocy z Warszawy a na 6 rano się przyjechało. U wujka widziałem tyle książek, to jest dwie szafy, to znów na takich stoliczkach w rogach tu leżał tygodnik Kraj co wychodził w Petersburgu to ta znów Tygod. Ilustrowany i codzienne pisma, które leżały na stole, to znów na ścianie mapa pogładowa, co to na niej jest odbite co gdzie robią, ale w naszym miasteczku nie było pokazane, że tu przetaki robią, ani że tu są kamieniołomy, że tu wypalają wapno, bo gdzie mieszkam obecnie to było dawniej około 10 piecy wapiennych czynnych, a dziś tylko dwa i te dwa wypalają rocznie pięć tysięcy metrów po 100 kilog. każdy.

Odjechałem z Chełma w nocy, co znów rano byłem w Warszawie, tutaj porobiłem sobie sprawunki różne co do wesela, kupiłem sobie ubranie czarne na 5-to Krzyskiej za 15 rubli, troszeczkę noszone, zato palto coś za 10 rb. Kupiłem sobie do trumien takich ornamentów t. j. przyborów, aby ubrać jakoś te trumny po miejsku, co mi się sownie opłaciło, opłaciłem sobie gazetę na cały rok Biesiadę Literacką i po wymeldowaniu się pojechałem do domu bardzo zadowolony, że mi tak gładko wszystko poszło.

Przyjeżdżam do Radomska, a następnie do Brzeźnicy, a tu już mojej narzeczonej niema, poszła piechotą do nas, bo ja się spóźniłem na pierwszy pociąg i przyjechałem drugim, a myśmy się umówili, że przyjadę pierwszym, ażeby czekała na mnie, ale za to prawie razem byliśmy u nas w domu na szarówkę. Niedaleko już do ślubu trzeba się krzątać za muzyką pojechałem do Działoszyńska tam była dobra orkiestra na czele z byłym organistą Kiepuńskim bo ja sobie życzyłem aby mi orkiestra zagrała Weni creator no i zagrała, że o mało szyby z okien w kościele nie powypadały, a później gdyśmy odchodzili od ołtarza marsza, aż ksiądz wikary wyskoczył z zakrystji, że nie wolno grać marsza w kościele, ale pewno dlatego że za ślub dałem tylko 6 rubli i organiście 1 rubla. Ślub się odbył jak wyżej powiedziałem 13 maja 1900 r. Wesele było takie sobie zwyczajne, pijanych nie było, ani się nie bili. Do 12 w nocy i koniec.

Po weselu mieszkam u swoich rodziców w tych dwóch stacjach to jest w pierwszym dwa warsztaty stolarskie, a w drugim na razie jedno łóżko stół, komoda i trochę książek i kanapa stara. U rodziców pare dni tylko jedliśmy razem i na osobek marsz. Za tą muzykę dałem 10 rb. a było ich 6-ciu i życie i furmanki do domu i po nich. Na weselu wódka była, ale mało i piwo. Siostra ze Sosnowca nie była bo jej nie pasowało, chciała żeby odłożyć wesele jeszcze na dwa tygodnie, ciotka z Pabjanic też nie przyjechała, choć konie poszły do Radomska więc przyjechała ze synem z Radomska cioteczna siostra co u nich mieszkalem w Sosnowcu, wójt H. ogrodnik z Janek i zwyczajni obywatele z naszego miasta, jako to wuj K. i inni.

Po weselu znów brak roboty, dopiero w czerwcu zacząłem robić u sędziego K. w Makowiskach odległych o 5 kilometrów od nas tam zgodziłem się robić wszelką reperację drzwi i podłóg mnie ma płacić po 1 rb. 20 kop. a bratu mojemu co się u mnie uczył 75 kop. i życie ma dać sędzia i mam robić od 6 rano do 8 wieczór, na śnia-

danie dostaję jedną szklankę herbaty z cukrem, a do drugiej muszę mieć cukier swój, obiad pierwszy raz dostałem z kuchni od czeladzi, kawałek mięsa ale nieświeży, rzuciłem psu co widziała p. sędzina, kapusta okraszona łojem, nie jadłem jej też. Na drugi dzień już dostałem inne życie rosół z ryżem, kapusta okraszona słoniną i kawałek mięsa pieczonego, to dosyć, na kolację to zawsze przychodziłem do domu, bo to przecież było po weselu, Tam zarobiłem do 100 rubli i p. K. mi rzetelnie zapłacił. Następnie rząd zakładał herbaciarnię czyli kuratorjum trzeźwości, to robiłem wszystko: jak szafy, stoły, bufeta. Zarobiłem 100 rb.

Na Nowy Rok zakłada nasze miasto pocztę robię do poczty wszystko zarobiłem znów 75 rubli. Za trumny w rok zarobiłem 300 rubli. Drzewo kupuję na licytacjach w lasach rządowych dopiero zwożę i rznę na deski, jakie mi są potrzebne, deski mi wychodzą niedrogo bo po 5 gr. 4/4 cala 5/4 8 gr. 6/4 10 lub 12 groszy łokieć bieżący, tutaj mi idzie dobrze. Widzi to ojciec każe mi za mieszkanie płacić, jeden rok to mówi darmo, a teraz płacić, tu mi ciasno znów, ale musi być tymczasem, kiedy mam zaoszczędzonych 100 rubli chce oddać do kasy miejskiej, nie chcą mi przyjąć, zaglądają wypiwki, lub na wypiwkę łapówki, nie to nie, nie takim skory do łapówek. Za jakiś czas wpada do mnie wójt jak szedł na obiad, abym zaniósł te 100 rubli do kasy, bo jest tam kobieta co chce pożyczyć, a u nich w kasie brakło, zaniósłem, a oni jej mówią, no widzicie, dobrze że ten pan przyniósł to wam pożyczymy, to znów po pewnym czasie złożyłem do kasy 100 rubli, to znów za jakiś rok 100 rubli, tak że we dwa lata to miałem już 300 rubli w kasie i drzewa czyli desek za drugie 300 rubli. Kiedy byłem w Warszawie brat był u mnie w terminie, a że ja odjechałem to on sobie teraz każe płacić za deski przeszło 100 rb. tu powstają awantury, ja nie chcę płacić za te deski, tu ojciec mówi to się wyprowadź stąd, bo Józek tu założy warsztat, ja się nie godzę na to i mówię przecież ja go uczyłem pod warunkiem że mi nie będzie przeszkadzał i że nie będzie zakładał warsztatu mnie pod nosem.

W niedługim czasie przychodzi żydówka Kuszyńska, z tem żeby kupić plac za oknem ojca, mówię ojcu żeby kupić, założymy ogród. To sobie kup, mnie nie potrzebny. Ja już myślałem o kupnie, ale gdzie w rynku, ale co to znaczy jak mam dopiero 300 rb.

Pewnego dnia przychodzi sąsiadka z za obór ojca i tak mówi: Przychodzi do mnie Kuszyńska, ażeby kupić ten plac, ale sama nie mam tyle pieniędzy, wy sobie kupcie ten kawałek placu jak

ojca waszego obory do stoka. Ja znów mówię to mały kawalek, to będzie ciasno, to sobie postawicie szopę na deski, na trumny gotowe, to wam się przyda zobaczycie, że mi jeszcze podziękujecie, choć ja baba taka sobie, ale wam tu ciasno, ani gdzie co położyć. Powiedziałem, pomyśle. Na drugi dzień ja idę do niej i mówię, że dobrze ona mówiła, jestem gotowy do kupna, ale ile teraz chce ta żydówka za ten plac? To ta sąsiadka z za obór powiada, że ja to kupię taniej od was, ja zgodzę a dopiero kupimy do spółki. Tak się stało kupiłem te pół placu za 40 rubli i rejent 10 to razem 50 rb.

Na ostatki dobiliśmy tego targu a na popielec jedziemy do rejenta do Radomska. Ja jestem w Radomsku, a tu moja matka jak się dowiedziała, że ja kupuję tu plac, drzwi roztwiera do warsztatu bierze mietłę w rękę i mówi do żony: toś tu przysła plac kupować, a do Brzeźnicy wędruj place kupować. Żona odpowiada przecież to mamin syn kupuje tutaj plac nie ja. Poszła matka do swego mieszkania i koniec. Przyjeżdżamy od rejenta już kupno skończono żona mi to opowiada.

Jeszcze wypada mi się wrócić do roku 1900.

Gdy przyszły żniwa a przyszło do mojego ojca dwóch kosiarzy Surmiński i Jura, ojciec się pyta mojej żony umiesz ty Walerciu ubierać? Umieć. To chodź ubierać za Surmińskim, a ty Ignacy, mów do brata mojego, będziesz ubierał za Jurą. Zachodzą na morgi pod Dylów jak nie zacznie siec Surmiński, a żona moja ubierać, to ojciec się popatrzał, ale powiada: to ja nigdy nie myślałem, że ty tak umiesz ubierać. Pochwalił ją ale miała pracy jedna ubieraczka, aby i związać krzaki, a żyto było silne. Całe żniwa żona ubierała, ojciec siec nie umiał więc najmował tylko siekarza, ale znów sierpem to ojcu nikt nie dorównał, był to pierwszy przodownik a jak jęczmień, proso to już sierpami żęli.

Nadchodzi jesień znów kopanie kartofli żona znów chodzi kopać do rodziców, aż na końcu ojciec odmierza kawalek kartofli krokami, i mówi teraz sobie to wykop dla siebie, a ja ci przywiezę i wsypiesz osobno do małej piwniczki, co jest w mieszkaniu.

Po weselu matka moja codzień dawała banieczkę mleka do kawy, a jak upiekła chleba to zawsze też dawała nam bochenek tak sześćciofuntowy, a reszta to sobie dokupowaliśmy. Na śniadanie jadłem codzień kawę z cukrem i chleb suchy czasem tylko z masłem dla oszczędności. Na obiad codzień funt mięsa prócz piątku, do mięsa czyli do rosołu albo sosu makaron lub kluski lane, albo karto-

fle, kapusta, to groch. Co było u rodziców to się brało, a czego nie było to się kupiło, bo pieniądze były.

Zima się zbliża, nastają długie wieczory, bo dłużej nie robię tylko do 8 wieczór, a po ósmej czytam i do 12 w nocy. Pewnego razu robiłem do poczty, a robota była pilna więc żona poszła do drugiego mieszkania i zegar zatrzymała. Co to jest że dziś nie mogę się doczekać ósmej godziny, a robił u mnie jeszcze brat Józek, poszedłem sam zobaczyć która godzina, a tu zegar stoi, czy było cofnięte. Tom się tak gniewał na żonę, poco ona to zrobiła, choć mi się tłumaczyła, że chciała abyśmy dłużej robili, nie zgodziłem się na to przyszedłem do warsztatu i do Józka mówię rzuć tę robotę już przeszło po wpół do dziewiątej.

Nadszedł miesiąc marzec urodziła mi się pierwsza córka, piszę do siostry do Sosnowca aby przyjechała w kumy, ale nie napisałem że córka, a tylko dziecko pięknej płci, co oni się namyśleli, co tam się urodziło, a gdy przyjechała na 19 marca tośmy się uśmiali. Marca 18 ksiądz proboszcz przysyła po mnie, aby założyć nowy obraz Ś-go Józefa na ołtarz, ponieważ obraz ten był na płótnie potrzeba było wziąć formę, co to dosyć prędko zrobiłem, ks. Jan wręcza mi za to 2 ruble w kościele, ale tego nie przyjąłem i powiedziałem ponieważ to patron stolarzy niech będzie na ten obraz to Bóg zapłać. Na drugi dzień było to święto, to jak wszedł na ambonę, to jak zaczął mnie chwalić jaki to dobry katolik, że mu się dziecko urodziło to dał na obraz Ś-go Józefa 2 ruble. Dziecko to ochrzcziliśmy imieniem Józefa-Kazimiera jakie były chrzciny sute i było prócz rodziców z osiem ludzi, głowy im w końcu pozwiślały się na sam stół. Był też dalszy krewny nasz p. Smoliński a ojciec mojego kolegi z Warszawy.

Porobiłem to wszystko do poczty na Nowy Rok, ale jakoś naczelnika do tej poczty nie było widać, na te rzeczy miasto złożyło 100 rubli, ja dałem rubla, aptekarz Opolski coś trzy, urząd gminny, sąd gminny, ks. proboszcz i t. d. aż nareszcie mieliśmy i naczelnika, a wozic pocztę się podjął W. P. bezpłatnie, aby tylko poczta była w miasteczku. Jak przyjechał p. naczelnik obejrzał to urządzenie pocztowe, powiada za ciemne, nie odpowiada kolorowi dębu, ja nie przyjmę. Co to proszę pana szkodzi, że ciemniejsze przecież taki sam kolor jest w Brzeźnicy mówię ja, a on a co mi tam do Brzeźnicy, tu powiedziane jest że ma być pomalowane na dębowo, to za ciemne. Bierze arszyna mierzy czy odpowiada jak napisane z Warszawy tu z nogami ma te miarę szafa, tu znów nie napisane czy ma

być ta miara bez nóg nie wie czego się czepić i szuka w całym dziurzy. Dosyć że przed Wielkanocą musiałem przemalować na jaśniejszy kolor dębowy wszystko, bo nie było rady. A zaznaczyć muszę, że kiedy przyjechał naczelnik z Radomska Polstikow stałować u mnie to mu podałem cenę 100 rubli, bo pisarz gminny Górski też chciał co zarobić, że niby mnie nastreczył te robotę, ale niedługo przyszło pismo z dyrekcji pocztowej, że więcej nie dadzą tylko 75 rubli, czy zechce stolarz robić to wszystko na miejscu, bo jak nie to oni przysła to wszystko z Warszawy. Zgodziłem się i za tą sumę, ale p. G. powiedziałem że nie mogę nic dać, niech już będzie i tak.

Po Wielkanocy nadszedł „tałon” na pieniądze, aby sobie odebrać w Radomsku, jakoś w maju pojechałem do R. ide do kasy, a tu znów potrzeba zaświadczenie tożsamości okaziciela, doszedłem do nacz. poczty w Radomsku ten poświadczył i dopiero odebrałem całą sumę, z której oddałem temuż naczelnikowi za takie drobnostki jak szydło, zegar i t. p. 15 rb. ale była do tego i waga tak, że było to tanio.

Następuje 1903 rok znów w marcu przychodzi mi syn na świat, matka żony zagląda do wiszącego kalendarza i mówi jaki to dziś dzień feralny, ten chłopak będzie miał straszne przeszkody w życiu a był to dzień 14 marca, ale gdy przyszedł znów dzień patrona stolarzy chrzczimy go imieniem Tadeusz-Leon, chrzcziny okropne, a na nich gąsior wódki za 20 kop. tutaj ani mój ojciec ani matka przyjść nie chcą na tak sute chrzcziny choć tylko przejść przez się boć to w rodziców domu się ta uczta odbywa.

Wiosną idę na licytację do lasów rządowych, aby kupić drzewa na dom bo myślę budować na kupionym placu około ojca mego, ale pierw idę do kasy aby odebrać co pieniędzy na owo kupno, zachodzę do kasy, ani mowy o pieniądzach, brak pieniędzy w kasie, aż nareszcie po stękanii dali mi 25 rubli. Idę na te licytację na Wiśniemie jest tam dosyć ludzi, ale więcej jest drzewa w lesie, przychodzi nadleśniczy Soroków i tak się odzywa do ludzi: „Panie obywatele wy nie bijcie jeden drugiemu, każdy chce kupić i niech kupi sobie po cenie rządowej a was paru nie zhogaci rządu, te licytacje to są dla biednych włościan naznaczone, ażeby oni mogli sobie zreperować swoje chaty”. Kupiłem na tej licytacji sporo drzewa a gdy mi przybrało pieniędzy to mi znajomi pożyczili, a im w domu oddałem z podziękowaniem.

Zwożę to drzewo na plac koło szopy co są tu narzędzia do pożaru, aż tu mój ojciec powiada ażeby tu nie zawalać drogi czyli do-

stępu do szopy. A gdzież tu składać pytam się ojca — to sobie kładź koło stoków, ja mówię w to błoto to kłaść nie myślę, wchodzi tu ojcu klin do głowy że jak ja tu pobuduję to się ojcu okno zastawi, więc przysyła żydka czy jabym się nie zgodził, aby ojciec zburzył obory od ulicy, a postawić obory stylu na mojem placu, to jest aby się pomijać na place czy ma stać budynek pod południe, ale w tyle i do błota wchodzić, czy do ulicy brukowanej z oknami na wschód, zgadzam się, ale czyjem to będzie kosztem? idę do ojca z tym żydkiem i rozmawiamy jakby to zrobić, a no kosztem ojca się będzie robić co braknie to ja mam dokupić, ale co do furmanek to wszystkie daje ojciec, przywieźć czy to piasku czy kamienia.

Idę do lasu kupieckiego, aby tu kupić drzewo na bale za 63 ruble i tutaj rzną tracze bale pięciocalowe do 18 cali szerokie i kosztują mnie niedrogo. Wybudowałem ten dom, który mnie kosztował 650 rubli, a gdy przyszło do asekuracji to ledwo 200 rubli był ubezpieczony od ognia.

W październiku muszę się przeprowadzić do swojego domu, bo u ojca nie mogę wytrzymać wciąż kłótnie, a wszystko spowodu że Józek podburza ojca aby on tu mieszkał, bo już naukę u mnie skończył. Matka moja znów mnie przeżywa „biblijorzem” że tak się zakochałem w pismach i książkach, a czytam jak zaznaczyłem nie tylko swoje, ale nawet przynoszę z apteki i gdzie się ino da.

Razu pewnego przyszedł kościelny abym poszedł do księdza wikarego, zachodzę, a on tu kupił łóżko malowane na rynku i prosi ażebym mu przyrznął deski do niego, zrobiłem to, a on mi się pyta co ja zarobiłem, a ja mówię od takiego księdza takiego bogacza co ta brać co ma jedną poduszkę i łóżko z jarmarku jak najzwyczajniejszy chłop to nic. Ale ja nie żądam darmo, proszę powiedzieć ile? jeszcze raz mówię, że nic.

No to się napijemy, pije pan? Jednego to wypije, a jeszcze od księdza takiego bogacza to z przyjemnością. Gdy jeszcze mieszkam u ojca, ks. wikary prosił mnie ażeby mógł robić u mnie stolarską robotę, bo mu doktorzy kazali pracować fizycznie, aby nie tył, więc przychodził kiedy miał czas i robił, a jak się narobił to poprosiłem go do drugiego mieszkania dałem mu Biesiadę do czytania, ażeby sobie odpoczął. Kiedy wyszedł, to odzywa się do mnie. To pan to pismo opłaca, to nie pasuje na rzemieślnika, to tylko dla takich, co to siedzą w fotelu, o nic się nie martwią. Ja znów, ale proszę księdza jakie to jest mądre i pokazuje mu książkę co dostałem jako premjum, to pismo to wszystkie biskupi trzymają

ilu to tu jest oto ich nazwiska. Ależ biskupi to pismo to otrzymują zupełnie darmo, ja byłem przy kancelarji biskupiej to wiem, a pan płaci tak drogo za te powieści.

CZĘŚĆ V.

Przeprowadzam się do swojego domu obok ojca mego, ale nie wykończony jeszcze, drzwi jeszcze niema, okna nie oszklone, a że to były żydowskie święta to poszedłem do sklepu Jabłońskiego przyniosłem szyby a kolega mój Antoni Sz. mi poprzyżył gdzie było potrzeba i bez okitowania szyb mieszkałem, drzwi pozabijałem deskami aby tylko wejście zostawiłem, co żona zawiesiła prześcieradłem, ale stolarz w domu, więc się robi drzwi, za pewien czas wszystko porobiłem, podłoga już była zrobiona dawniej. — Mieszkania te były duże 9 i 8 łokci, okna duże i zaraz pomalowane na biało, dwa wychodziły na wschód, a dwa na zachód. Gdy przyszedł sąsiad Antoni Beśka to strasznie się dziwował że takie wielkie okna, że taką szybą to swobodnie wejdzie złodziej.

A jak nadeszła zima to bardzo często B. przychodził do mnie, bo lubiał słuchać jak ja czytałem zwłaszcza przepowiednie Wernyhory, to czytałem dwa tomy o Jezuitach jak ich to wzięła Katarzyna caryca pod opiekę i byli w Połocku. Szykuje drzewo na bramę do wjazdu, to wykańczam czyli maluje drzwi i inne roboty aż tu i nadchodzi Wielkanoc książd święci tu i ówdzie, do mnie też poznosili sąsiedzi do święcenia, wyszedłem, tu już poszedł, czekam jak przyjdzie do tych, co to mieli na rogu restaurację, wszedł; wychodzi, proszę go aby był łaskaw u mnie święcić bo jakoś ominął mnie, a on do mnie: p. nazywa się Bolesław S., tak jest, a to niech pan idzie przeprosić proboszcza, zaco ja nie wiem inaczej ja święcić nie pójdę, to dowidzenia i odszedłem, przychodzę do domu, biorę kropidło w rękę i święcę i kto chce niech się kręci za oświeceniem księdza.

Jeszcze zeszłego lata gdy buduje obory znów mam wielką awanturę ze sąsiadami, obory budujemy przy stokach pod południe dla ojca, bo tu, gdzie ja wybudowałem dom, to stały obory, aleśmy je zburzyli, więc tam trzeba było stawiać obory nowe przy stokach. Tutaj przyszli dalsi sąsiedzi wdowa S. i żydek Szaja i dawaj rozrzucać fundamenta, że to niby zajmują ogólnego placu róg. Ja wszedłem na kupę kamieni i znów rzucam do fundamentów tak rzuciłem 12 funtowym kamieniem prosto w głowę tej wdowy i baba fik na ziemię

i trzepie nogami a tu wszyscy krzyczą zabita! zabita! po upływie kilku chwil idzie felczer, to później ksiądz, ale baba nie umarła, ona mnie, ja znów ją do sądu, przyszła sprawa pogodziliśmy się, ja zapłaciłem 20 rubli a ona dała tę sumę felczerowi i już kwita. — Po Wielkiejnocy przyszedł i czerwiec, zbliżał się i dzień 13 Antoniego tutaj są imieniny u mojego ojca, kumy czy tam kumoszki poprzynosiły po flaszeczce gorzkiej wypili sobie wszyscy dopiero zobaczyli, że tu niema Bolka i jego żony. — A dlaczego to nie przyszedł, a to nie ładnie najstarszy syn na Imieniny ojca nie przyszedł. Ojciec mało myśli bierze jakieś pałki od łupania drzewa czyli łubów i idzie od podwórza i bęc w okno wybił mi dwie szyby, ja prawie sobie czytałem Kurjery przyniesione z apteki przy warsztacie bo w 5-ty Antoni nie robili i było tutaj święto — a raczej świętko, ten mały syn prawie leżał nieopodal okna w kolebce to mu naleciało pełno szkła nawet do ust. — Mówię do żony weź ty pozbieraj to szkło na szufelkę czyli śmietniczkę blaszaną i zanieś im do domu niech sobie przekąszą po wódce, a ja pójdę do apteki opowiem też p. Kazoniowi co to ten mój ojciec wyprawia. Zabrałem Kurjera i poszedłem, rozmawiamy w tej aptece, a tu ludzie pędzą w stronę mojego domu, wylatam na róg ulicy, a tam ojciec tłucze okna, tłucze bramę filagową, gdy to zobaczyłem poszedłem, ale to prędko po policję, czy strażników i idziemy, a tu pełna ulica ludzi czyli gapiów, strażnik zrobił protokół i oddali pod sąd, ale mnie kto teraz zapłaci, tak ten dom wyglądał jak po wojnie, nic nie robiłem tylko sobie zapłakałem wraz z żoną, przyszli i moi znajomi i aptekarz dobry mój przyjaciel pożalowali i odeszli. Skarżyć się z ojcem nie myślę, co by tu zrobić, byli i tacy, aby ojcu nawzajem szyby iść i potłuc, ale zapanowałem nad sobą, że nic nie będę robił. — Przypomniało mi się że do wykończenia tego domu ojciec mi pożyczył 100 rubli to starczy na zapłacenie zrobionej szkody. Mam nową robotę stolarską, robić okna reperować bramę, bo pozostały tylko żebra, a filagi były potłuczone, a u okien to wszystkie szyby i szprosy połamane były za to, że nie poszedłem na Imieniny ojca gdzie wszyscy byli i pili. O ciężko żyć białemu krukowi w pośrodku czarnych kruków.

Ledwo to wszystko poreperowałem i przyprowadziłem do należytego porządku umiera żony siostra w Łodzi, ale była nie jednej matki, a tylko jednego ojca. Ta pracowała w fabryce i zaoszczędziła sobie 300 rubli, a nawet raz pisała, że złoży te pieniądze u nas, aby kiedyś miała śmiałość przyjechać sobie na parę tygodni, trzeba że koleżanki ją namówiły aby jechała z niemi na wycieczkę do Gorzko-

wie tam ks. proboszcz się dowiedział że ona i inne jeszcze mają pieniądze, ażeby złożyły u niego, że Pan Bóg stokrotnie wynagrodzi, i złożyły: siostra umarła, a pieniądze przepadły. To znów w 1904 roku wybuchła wojna Rosyjsko-Japońska i mnie jako żołnierza pociągają, bronię się jak mogę, aby nie iść, bo by mi tu moi rodzice znów wszystko zabrali lub potłukli. Po mobilizacji październikowej obijam się to tu, to tam, a na daleki Wschód iść mi się nie spieszy, a ponieważ czytałem i krakowskiego „Polaka” to się ociągałem do 14 listopada, a tego dnia pojechałem z żoną do Olkusza a stamtąd piechotą do Gorzkwi na samej granicy austriackiej i do Krakowa, żona nazad do dzieci do domu. Tam pracuję we fabryce stolarskiej Muranego na Grzegórkach przez cztery miesiące i znów 14 marca ale już 1905 powracam do domu, składam świadectwa, że byłem chory na tyfus i proszę mnie naznaczyć na komisję, tutaj znów podsmarowuje komu potrzeba i zostaje zwolniony raz na zawsze z wojska.

W domu mojem wszystko zostało wysprzedane, obrazy, zegar, szafa, komoda, jedno łóżko pozostały, ale i te były zadatkowane, przyjechałem wprowadzić z tego Krakowa, ale do pustych czterech ścian, żony i dwojga dzieci no i chałupa też była swoja na dodatek. Gdy się w tę wojnę przedostawał ku granicy austriackiej, szliśmy z Olkusza przez całą noc, ale już ustaliliśmy prosimy gdzie o nocleg pukamy do chałup, wszędzie śpią nikt nie słyszy idziemy, idziemy przez bardzo długą wieś w jednej chałupie przy końcu wyszedł ktoś, skrzyły drzwi, a szliśmy w troje, ja, żona moja, i jej ciotka, co to mieszkała w Dobczycach, niby zagranicą, ona tu znała te kąty bo handlowała ciepłą bielizną z Krakowa. Podchodzimy w trójkę do niego i prosimy aby nas przenocował byle gdzie, aby na słomie. Sięgnął na górę zdjął snopek słomy wniósł do chałupy po ciemku położył i powiedział tu się połóżcie, padłem i zasnąłiśmy wszyscy, jak długo tośmy spali nie wiem, a kiedy się przebudziłem już prawie rano, to koło mnie ciele tak lało, że aż dudniało, ale ciepło było jeszcze, chwilę poleżałem trzeba wstawać, robi się dzień patrzę a tu dzieci i to dąsają za nocleg nic, ale wyjąłem coś 20 kop. na bułki dla dzieci i poszliśmy dalej w stronę granicy. Doszliśmy do ostatniej wsi nad granicą, ciotka żony posłała chłopca tej gospodyni gdzie się zatrzymaliśmy do jakiegoś tam chłopca co to przeprowadzał przez granicę.

Gdy chłopiec przyszedł to powiedział że ów człowiek poszedł na jarmark do Skały i dopiero przyjdzie na wieczór, czekamy do wie-

czora, ale i jeść się chce, może by tu gdzie można kupić chleba, chłopiec powiada że można w sklepie idź i przynieś funt tego chleba, jak poszedł po ten chleb to niedługo niesie taki czerstwy czyli stary, że nie można go było ugryść ni ukrajać, pytam dlaczego taki stary, a bo tu ludzie mało chleba jedzą to tak się zestarzeje, brzmiała odpowiedź. I wieczór przyszedł a tego chłopca nie widać i nie przyszedł wcale tego wieczora. Na drugi dzień rano jest, przychodzi pyta się kogo to ma przeprowadzić przez granicę, ja się odzywam, że mnie. To panoczek dadzą stery ruble, ależ człowieku przecież to za drogo, no to trzy i chce wychodzić, dwa wam dam zgoda, ja też widzicie nie jestem bogaty, weźcie, no niech będzie. Ja tu na wieczór przyjdę po pana i poszedł, bo w dzień to niemożna, odchodząc dodał. Czekam cały dzień, wyglądamy oknem i wychodzimy na podwórze, bo tu już widać kopiec Kościuszki ledwo, że ledwo doczekałem tego wieczoru.

Przyszedł na szarówce po mnie ten szwarcownik, pożegnałem się z żoną i poszedłem ze łzami w oczach, zaprowadził mnie najpierw w taki wawóz do młyna, żeby tu poczekać, czekam jakie pół godziny, znów przyszedł i zabrał mnie do swojego mieszkania przy wielkiej górze bo zaraz na tej górze była granica, posiedziałem w jego mieszkaniu może godzinę, poszedł pierw, umówił się z żołnierzem i przyszedł do mnie, palto żeby zdjąć, zwinął, bo tu pójdziemy pod górę i żywo za nim, wszedłem na te góry to już język wywiesiłem tak się zmordowałem, kazał mi tu stanąć, poszedł do żołnierza dał mu do ręki monetę przyskakuje do mnie i mówi teraz prędej, leciliśmy prędko dosyć długo, teraz już wolno można iść, śliśmy wolno i opowiadał mi że mnie zaprowadzi do swego znajomego tam się przenocuje, a jutro na południe to już będę w Krakowie.

Zaprowadził mnie do niskiej chałupiny i powiedział, przyprowadziłem wam gościa, macie go tu przenocować, ja zaraz wyjęłem notes i skreśliłem parę słów do żony. „Już granicę przeszedłem, bądź spokojna i wraca do domu Twój Bolek”. Poprosiłem, że jak wróci nazad, ażeby tą kartkę oddał mojej żonie, a napewno dostanie z rubla, wręczył dopiero nazajutrz rano. Tutaj zagranicą dopiero gotowali kolację i mnie też poczęstowali to jest kartoflami, pojadłem, posłali mi trochę słomy koło pieca, ale pierw jeszcze tośmy się długo rozmawiali, że nie mogliśmy się nagadać, położyłem się spać a tu pac, to znów pac, bo na tyłku od łóżka siedziało coś koło 5 kur i puszczały tak swoje odchody. Przyciskam się do pieca, aby mi na głowę co nie kapło, czy tam paćło, ale nic.

Rano ugotowali śniadanie znów mnie poczęstowali, ale przed-

tem dałem pół rubla, poszedł gospodarz i przyniósł rumu i wypiliśmy w trójkę przed śniadaniem.

Za ten nocleg już zapłaty nie żądali podziękowałem i forwec do Krakowa.

Po przybyciu do Krakowa i odnalezieniu Kowalówków, a było to w piątek oczyściłem się i zaraz do Redakcji „Polaka” na ulicę Szlak, tu zamknięte, ale jest napis kiedy się przyjmuje klientów, mam czasu sporo poleciałem na miasto trochę zobaczyć powróciłem nazat na Szewską poprosiłem o herbatę kupiłem bułek, podjadłem sobie i teraz idę do Redakcji Polaka. Zastałem p. Redaktora Biernackiego, po długiej rozmowie dał mi list do jakiegoś adwokata na Sławkowską ulicę, zachodzę zastałem tego pana wręczyłem mu list, po przeczytaniu go mówi do mnie: To pan z Królestwa, pan dezterter? Tak jest. Pan stolarz? Tak, uczyłem się w Warszawie. Ja też z Warszawy, dosyć długo opowiadał mi o tutejszych warunkach, ale p. adwokat zatelefonował gdzieś i rozmawiał że tutaj jest stolarz dezterter czy by nie było roboty dla niego tam w fabryce.

Odpowiedzieli żeby jutro przyjść rano pomiędzy godziną 6—7, jak mi to mówi, to ja proszę, że już jutro to nie, ponieważ sobota to lepiej będzie już w poniedziałek, poszedł do telefonu i tak w poniedziałek lepiej będzie ale żeby przyszedł stanowczo.

Jak w sobotę tak w niedzielę chodzę po Krakowie, kupiłem sobie bańkę na kawę i takie palto do roboty przechodzone, zwiedziłem zaraz kilka kościołów, podobają mi się. W poniedziałek rano wstaje i pędzę na owe Grzegórzki prosto ulicą Wielopole przechodzę koło poczty głównej to znów koło domu „Colegium Medicum” i Grzegórzki fabryka Romana Muranego. Po okazaniu książki rzemieślniczej zostałem przyjęty, a nawet miałem przy sobie świadectwo szkolne i to oddałem jako dowód że nie ucieknę. Pracuję tutaj cztery miesiące, zarabiam dziennie 2 korony 50 halerzy i mniej i więcej bo tu wszystko od sztuki a tylko czasem dniówka, jak naprzykład chodziłem na roboty do magistratu miasta Krakowa to do starostwa, to na Wawel, a nawet razu jednego to mnie chciała fabryka posłać do Zakopanego do jakiegoś tam hotelu, ale akurat mnie nie było w fabryce, bo przyjechała moja żona do Krakowa i oprowadzałem ją po Krakowie, nawet zaprowadziłem ją do Muzeum Narodowego w Sułkennicach to na Wawel, to do grobów królów polskich. Akurat wtenczas koleje stanęły, więc sobie posiedziała parę dni w Krakowie.

Przyjechała żona tutaj ponieważ listy były przylapywane na granicy, choć adres był na Kowalówkę dla „hebelka”. Piotr Kowalówka był woźny w Sądzie Ś-go Piotra, jaką pensję pobierał nie wiem, tylko to wiem że ledwo, ledwo starczało na życie, a ona znów pełniła obowiązki dozorczy domu zaco miała jedno mieszkanie przy ulicy Szewskiej 9. Blisko to było Sukienic tak nieraz jak spałem na sienniku na ziemi czyli podłodze, to słyszałem wygrywane hejnały na Marjackiej wieży. Gazet tu miałem do czytania dużo i bezpłatnie, bo je woźny nosił do sądu. Kowalówkowie mieli dwoje dzieci, chłopca Michała i dziewczynkę Jadzię, te dzieci sypiały na parapecie, czyli na oknie, okiennice zamkli siennik położyli i tu spali, nie było gdzie postawić łóżeczka dla nich. Ci ludzie żyli marnie, a dlatego tu mieszkalem, że to było w centrum Krakowa. Następnie tych ludzi dobrze znała siostra mojej teściowej, która mieszkała w Dobczycach, a oni też pochodzili z Dobczyc. Tutaj miałem gazety do czytania, bo był czas ciekawy wojna Rosyjsko-Japońska i były adresy tutaj do mnie.

Razu jednego czytam Nową Reformę, a tu wchodzi do mieszkania brat żony mojego kolegi z Warszawy i pyta się o Piotra Kowalówkę, wychylam głowę z za gazety, a ty co robisz Janku tutaj? Przywitaliśmy się a był też stolarz, oj nachodziliśmy się po plantach on roboty nie miał, a ja do niego: Janku patrz jak się świeci orzełek na wieży Wawelskiej siadajno na ławeczce popatrz sobie jak się świeci ten orzełek, a on do mnie: oj u mnie w brzuchu się jeszcze lepiej świeci, nie gadaj mi o tym orzełku.

A kiedy potrzebowałem odjechać z Krakowa do domu, już mi się nie chciało piechotką więc poszedłem na Rynek Krakowski i patrzę, kto tu trochę podobny do mnie, pytam się jednego czy by mi nie dał półpaska swego, że potrzebuje jechać do siostry do Sosnowca, a za to mu dobrze zapłace, a ten mi mówi, że on też z Królestwa upatrzyłem drugiego ta sama historia dopiero natrafiłem na czwartego, a ten nazywał się Jan Łabędź był znajomy Kowalówków i ten mi dał swój półpasek zaco dałem mu 10 koron i natychmiast poszedł do magistratu i przyniósł mi swój półpasek, więc jadę tą razą prosto koleją na Mysłowice, Katowice do Sosnowca.

Tutaj akurat jest gubernator, policji pełno. Kiedy wszystkich obrewidowano, ale mnie zatrzymują na ostatku wprowadzają do osobnego mieszkania i tutaj ręce do góry! i szukają po piersiach, po nogach, po plecach czy nie mam jakich papierów nielegalnych, nie znaleźli bo i nie miałem nic prócz orzełka w krawacie, ale pod

spodem, tego nie znaleźli, wychodzi znów starszy i pyta „jest czto”, Niet niczewo”. Wiedi jewo w Katowicki. Prowadzą mnie najpierw do kasy kolejowej, gdzie wykupiłem bilet do Katowic a następnie do katowickiego pociągu, który był obstawiony żandarmami dookoła. Wszedłem do wagonu położyłem walizę na półce i odzywam się do obecnych: Nie wiem co to jest panowie, jestem austriackim poddanym, przyjechałem do Sosnowca do siostry, a tu mnie wracają nazad zagranicę? Jeden się odzywa, kilka dni temu było ogłoszone żeby austriaccy poddani przyjeżdżali na granice Maczki. Pociąg jeszcze stał, wychodzę i pytam się żandarma czy ja mogę przyjechać na granicę Maczki, a on: „da, da na Maczki”. — Tak pojechałem i przyjechałem do Sosnowca na 10 wieczór. Przychodzę do siostry tu radość że powracam wielka, na drugi dzień piszę do wujka do Chełma, że powróciłem i t. d. adres dałem do Radomska do Konopskiego sklep polski, jadę jako Jan Łabędź do Piotrkowa, to do Łodzi do wujka żony no i wstąpiłem też do ciotki swej do Pabjanic, trwało to pare dni, zajeżdżam do Radomska listu jeszcze niema, na który czekam z niecierpliwością.

Jestem w Radomsku u znajomych przychodzi stara cyganka, żeby kazać sobie wróżyć, ale ruszyłem ramionami ja w to nie wierzę, a ta mi tak prawi z oczów. Pan czeka na list i wielkie pan ma nadzieje ale z tego listu pan nie będzie zadowolony i t. d. i t. d. Jakoś za dwa dni nadszedł list tak oczekiwany i tak napisane: Skoro powróciłeś do zdrowia poleć się w opiekę Matce Bożej i staw się na ochotnika, a wówczas mogą ci karę darować. Prawdę cyganka powiedziała że z listu tego nie będę zadowolony, zrobiłem po swojemu i wyszło dobrze jak wyżej powiedziałem.

Po powrocie z Krakowa do domu zabieram się do swojej roboty, aż tu niedługo wzywają mnie na komisję wojskową do Radomska i tu po oględzinach doktorskich zwalniają mnie nazawsze i wykreślają ze wszystkich spisów wojskowych, jako niezdatnego do służby wojskowej, ponieważ z tej radości wyszły mi włosy na głowie co bardzo się nadawało, że byłem chory na tyfus. — Po odbyciu tej komisji chodzę często do apteki do p. Kazonia, bo i często dawał mi robotę, bośmy też różne plany układali, często mieliśmy różne zbiórki to na plebanji u księdza wikarego, to w mieszkaniu p. Kazonia żeby budzić tego polskiego ducha w Narodzie i tak się zbliża jesień kiedy to 4 listopada zakładam w aptece okna zimowe, a tu przyjeżdża właściciel folwarku w Jankach p. * * * i opowiada, że jutro wielka Manifestacja w Brzeźnicy. — Że mają trzy

sztandary z polskimi Orłami, że będą mowy, będzie mówił Dr. Zieliński, ks. Jankowski to gospodarz Morga, żeby przyjechać na drugi dzień czyli na niedzielę 5 listopada.

Skończyłem robotę przychodzę do domu, zacząłem opowiadać żonie, a żona mi tu opowiada naszatkowałam tyle kapusty, tu dwa dni świąt bo niedziele i w poniedziałek 5-go Leonarda wielki odpust w parafji. I żona powiada, że tutaj będzie najlepsza konstytucja, bo ty musisz tu udeptać te kapuste i dopiero sobie idź. Nalewaj wody do miednicy wołam, myję nogi, żona woła aby dobrze umyć, wody gorącej przylej no, myje te nogi żywo i dawaj deptać te kapuste. — Jak deptałem jak skakałem, aby prędzej, za jakie dwie godziny byłem gotów.

Poleciałem zaraz do sąsiadów, to znów do Szlenka opowiadam im jedziemy! jedziemy! Trzeba nająć furmankę i tak żebyśmy mogli być najdalej na 10 godzinie w Brzeźnicy.

Rano 5 listopada jedziemy do tej Brzeźnicy, tu już nakryta studnia na rynku czerwonym sukniem, cichuteńko, jakby makiem zasiał aż tu za niedługim czasem wychodzi procesja z kościoła na rynek i przystaje, tutaj zaczynają się mowy. Po skończonej Manifestacji procesja dookoła kościoła, śpiewają Boże coś Polskę, a kiedy procesja weszła do kościoła to znów Z dymem pożarów to Jeszcze Polska nie zginęła, jedną strofkę śpiewamy to znów orkiestra gra aż się trzęsą okna czyli szyby, po skończonej uroczystości zabieramy sztandary do nas na uroczystość 5-go Leonarda. Gdy już zabieramy sztandary, a tu jakaś pani krzyczy, Orła proszę mi zdjąć z drzewca to po moim ojcu z pułku ułanów. — Poszedłem do szewca po obcęgi odjąłem i oddałem, szukamy swojej furmanki i lokujemy się ze sztandarami. — Sztandar z Orłem i z Matką Boską Częstochowską rozwijamy i jedziemy, a ten Orzeł tak trzepie się jakby chciał frunąć pod niebiosą. — Parą koni jedziemy jak wiatr, przejeżdżamy przez Dworszowiec, tutaj stoi gromadka ludzi, jedni zdejmują czapki niby przed obrazem Częstochowskiej pani, a inni patrzą się jak wrona w gnat. — Przyjeżdżamy i przez inne wsie i tu ta sama historia się powtarza, a ja tylko patrzałem czy aby nie sfrunnie ten Orzeł z tego sztandaru. — Jak już byliśmy koło nas to od kopyt końskich tak byłem ochlapany błotem, że musiałem zejść w stodołach i iść do domu się oczyścić, a sztandary zawieźli do apteki, tam już ludzi oblegających aptekę było chmara, odprasowali tu te sztandary na jutro, aby były gotowe. Wieczorem robimy kordki na jutro 6 z rana tak koło 8 godziny muzyka grzmi. Jeszcze

Polska nie zginęła i sztandary przenoszą do kościoła. Zgromadzenie ludzi było wielkie, było około 8 tysięcy osób. Nas kilku co umiemy śpiewać polskie pieśni idziemy na chór, aby tu się popisywać, bo mało kto umiał śpiewać te pieśni, kazanie okolicznościowe wygłosił sławny mówca ks. Jankowski z Brzeźnicy.

Po nabożeństwie mowy na rynku wypowiedział aptekarz Stanisław Kazon ubrany w konfederatkę i Manifestacja po miasteczku z muzyką przed sumą, całą procesją idzie po kompanję z Rząśni w stronę „Ubogi”, jak tu na górcie nastąpiło spotkanie przy krzyżu i wiwaty na cześć Polski Niech żyje! to rzucali czapki na 5 metrów do góry, tego widoku nigdy nie zapomnę.

Po nieszpórach ta sama historia co przed sumą, odprowadzenie kompanji do Rząśni. Po tej uroczystości urządzamy wiece w szkole miejskiej wieczorami, to odczytujemy gazety jak to gdzie było, ludzi moc przychodzi na te wiece. Ale niedługo podkradają się do miasteczka kozaki w niedużej liczbie, a stanęli we wsi Makowiskach u sędziego K. Jak milicja się dowiedziała wszystko na warty i czekać, jedni przy dzwonie, drudzy przy figurze Ś-go Jana jeszcze inni w stodołach czatują z bronią w rękę.

Nad samem ranem pędzą kozaki do miasteczka, a tu w stodołach strzał w górę to znów przy figurze strzał w górę, a tu znów dzwon na trwogę uderzono to czego jak czego, ale tego dzwonu strasznie się zlekli to jak uderzyli w dzwon, a kozacy w nogi, ale to tak że jednym tchem stanęli w Makowiskach we dworze p. K. sędziego sądu gminnego. Jak kozaki wpadli do dworu to mówili „Jej bogu w kołokoł bijut”. A tak się trzęśli jak liść osikowy. Pojechali z takim raportem do Radomska, coś za tydzień przyjechało pół sotni dragonów i aresztują aptekarza Kazonia i wpakowali go do Piotrkowskiego więzienia na całe trzy miesiące. Konstytucję otrzymało w miasteczku kilka osób a najlepszą organista i to z wieczora i na rynku.

Wszystko ucichło zapanowała grobowa cisza tak poskutkowała konstytucja z nahajką kozacką czy tam dragońską, ja sam musiałem w domu nie nocować bo koniecznie mi chcieli dać lanie.

Na dwa lata przed wprowadzeniem się do własnego domu pewnego dnia przyszedł do mnie Wojciech P. i tak zaczyna rozmowę: na te rachunki z ks. proboszczem ja się nie zgadzam przecież on mnie okradł na jakie 200 rubli, przecież on powiedział, że zapłaci za całą długość belek, a on mi policzył tylko jakie są w murze dziś. Ja nie pokwitowałem go bo ja się zgodzić na to nie mogę. Byłem też

kiedyś u ojczyma waszej żony to jego też oszukał na jakie 150 rubli, ja znów dodaje że mnie na 100 rb. Usarka też na 100 rb. Malarza podobno na 200 rb. Cieślę też porządnie oprowił.

W. P. mówi, ja umyśliłem pisać prośby do biskupa i opisać wszystko, jak on to robił, to biskup każe przeprowadzić śledztwo i możemy odebrać swoje należności. Przecie to podobno biskup nasz jest bardzo rzetelny i sprawiedliwy.

Tak panie Piechurski ale kto to będzie pisał te prośby?

Kto będzie pisał powiadacie? Ja przyniosę taki papier co to będzie tak na brudno napisane, a wy napisiecie na czysto, my podpiszemy wszyscy co mamy pretensje do proboszcza i damy na marki, niech biskup wie co się tu robi i jaki tu jest porządny proboszcz.

Jak tak mówicie to i zaczynajcie powiedziałem, a P. poszedł. Za kilka dni jest u mnie Wojciech P., przyniósł papier, pokazuje mi co tu napisze, czytam brzmi tak:

Do Jego Ekscelencji Biskupa dyecezji Kujawsko - Kaliskiej N. N. i t. d. to się przepisze tu się wszyscy podpiszemy ja już opłacę, a ja żebym tylko przepisał na czysto już nie potrzebuje nic dopłacać. — A czy by ten co to napisał nie mógł na czysto przepisać? On drogo chce, a następnie bo to co na tym zależy kto pisze, aby kto podpisze, bo ten musi się tłumaczyć i dokazać jak to było i pewno będzie pod przysięgą sprawdzone, bo to sam biskup nakaże aby było sprawiedliwie. — Prośbę do biskupa napisałem, a raczej przepisałem, W. Piechurski wysłał po podpisaniu przez wszystkich mających pretensje do księdza więc naturalnie i ja też podpisałem. Za jakieś dwa tygodnie proboszcz z ambony czyta w kościele naszą prośbę pisaną do biskupa i odczytuje na ambonie nasze podpisy, tu są dobrzy katolicy podpisani i prawdę mówi, na ten temat krzyczy, a tu w kościele rozlega się szlochanie. Zeszliśmy się wszyscy podpisani na tej prośbie razem, mówimy to pomogła nasza prośba, a Piechurski się odzywa, trzeba pisać drugą i trzecią prośbę, piszemy, ale mało skutku odnosi, a prawie taki sam jak pierwsza.

Piszemy czwartą, piątą, szóstą i siódmą troszeczkę było jakieś śledztwo i na tym koniec, następuje znów narada co tu robić dalej. Na naradzie postanowiliśmy złożyć składki na podróż jednej osoby, pošlemy pewną kobietę do Włocławka, która zawiezie tę prośbę, musi iść do spowiedzi do samego biskupa i dopiero mu opowie w jakiej sprawie tu przybyła, skąd jest i odda mu prośbę do ręki. Innej już rady nie mamy, ta dopiero odniosła pożądany

skutek, ale nie taki jak my myśleli. Biskup proboszcza zabrał i przeniósł do Komorników pod Wieluń, ale to zaraz; było to wiosna śnieg sypał jak z wora, na nic nie zważał proboszcz i wyjechał z Pajęczna.

A co do naszych pieniędzy to są w Niebie na nagrodę, jak pomrzemy, to sobie odbierzemy i prawie, że wszyscy ci już poumierali, a ja ostatni jeszcze pozostałem abym to opisał wiernie potomnym.

W lutym zaczynam robić do kościoła komody z dębowych deseczek, przywiezionych przeze mnie z Częstochowy na sankach. Komody te mają 33 szuflady na ornaty i różne drobne rzeczy kościelne, na wierzchu są trzy szafki na kielichy i monstrancje: kosztowały 166 dni pracy przezemnie; za każdy dzień brałem 1 rb. 20 kop. Dalej zakładamy Koło Macierzy Polskiej i czytelnie pod jej egidą, w której jest do 400 tomów różnych dzieł, ja jestem bibliotekarzem (czyli biblorzem). Zakładamy Ochronkę Macierzy, robie tu stoły ławki dla nauki dzieci.

Jestem w Zarządzie P. M. S. Niedługo to trwało bo w końcu roku już zostało zamknięte. Komisja Likwidacyjna orzekła żeby książki zabrał ks. proboszcz do przechowania, ochronkę zlikwidować choć mogła jeszcze być, ale to tak prędko została zamknięta że nawet generał Skalon nie zdążył kichnąć, a już po szkołach P. M. S. Tutaj razu pewnego na zebraniu Macierzy jedna pani proponuje aby zaprenumerować do czytelnicy chłopską gazetkę „Siewba”. Przez pewien czas prezes nowy ks. proboszcz jej nie zaprenumerował, mnie to zachęciło i napisałem do Redakcji aby mi wysyłali pismo od lipca r. b. i otrzymywałem do końca jej istnienia.

W roku 1909 ks. proboszcz zamyślił sfundować ławki do kościoła, miał trochę pieniędzy z ofiar złożonych przez „Obieżysasów” i te ławki robiłem ja sam, ks. proboszcz płacił mi dziennie po 1 rb. 50 kop.

Gdy przestała wychodzić „Siewba” zaprenumerowałem sobie „Zaranie”, które trzymałem do samej Wojny Światowej.

Jak robiłem te ławki była wystawa w Częstochowie, na którą pojechałem z żoną i synkiem. Na tej wystawie zapoznałem się z Redaktorem tej gazety Malinowskim oraz z T. Nocznickim, z Janem Kielakiem, to z M. Łazorczykiem z Lubelskiego i poszliśmy razem na Wystawę, razem tam jedliśmy obiad, a po południu tośmy się pogubili i chodziłem sam z żoną i synem. Pod wieczór przyszła kompanja od nas do Częstochowy i ja poszedłem ją zoba-

czyć, a tu mi opowiadają, że wczoraj moje dziecko wpadło do stoku t. j. do wody jakiś żyd szedł i wyciągnął je, bo już miałem czworo dzieci, tu ze sobą jedno, a w domu troje pozostawionych przy babce czyli mojej matce. Po tej wiadomości postanowiliśmy oboje z żoną jutro jechać pierwszym pociągami do Radomska, a następnie ryśką do domu i dopiero na wieczór będziemy. Zajeżdżam, dzieci są zdrowe, ale w tym wypadku odjechałem a nie pożegnałem się, stało się. Kiedy my szli na Jasną Górę oba z Nocznickim to on się mnie pytał, co ja teraz robię, odpowiedziałem że ławki do kościoła. Jak się proboszcz dowie, że czytacie Zaranie to wam roboty nie da. Jeszcze nic nie wie, odrzekłem i tak dalej gawędziliśmy, idąc sobie pomału na owe wystawę pod Jasną Górę. Na tej wystawie po obiedzie zaszedłem tam gdzie sprzedawali książki i kupiłem sobie „Dwie dusze” Jakóba Bojki na pamiątkę z Wystawy w Częstochowie, bo tak zwykle robiłem, że gdzie byłem to na te pamiątkę kupowałem sobie książkę.

Na 5-ty Leonard t. j. 6 listopada ławki były skończone, proboszcz mówi ażeby przyszedł do niego na plebanję, już coś czuję, ale idę tak po obiedzie może była druga godzina. Zachodzę a proboszcz mi tu zaczyna prawić, że ja czytałem Zaranie takie piśmi-dło żydowskie za żydowskie pieniądze jest ono wydawane, że wydają je takie niedowiarki i t. d. i t. d. Ale ja się odzywam dlaczego ks. proboszcz nie zaprenumerował Siewby do czytelnika? Bo to było to samo i tak my sobie gwarzyli bardzo grzecznie do samego wieczora, aż tu wchodzi proboszcz z sąsiedniej parafji, więc myśmy się rozeszli.

Jeszcze inną razą na ten temat my wchodzili, ale ja się nie dałem przekonać, że to pisma ludzi tak psują, a nie takie proboszczowie jak nasz dawny i im podobne księża jak Macoch i wiele, wiele innych. Gdy to powiedziałem to jak skoczył proboszcz, proszę mnie nie przerywać! — Przecież ja tylko stawiam fakta namacalne proszę księdza. — Na końcu powiedział jeżeli ja nie przestanę czytać i jeszcze rozszerzać takie pisma, to mi roboty nie będzie dawał, a jeszcze przeciwnie — odmawiał. A ja odchodząc, oznajmiłem mu że ja należę do tych ludzi, że na plebanję nie przyjdą i nie będę całował księdza i prosił o jaką robotę, że ja sobie wynajdę inne zajęcie i poszedłem.

Następuje 1910 rok, wiosną przychodzi do mnie felczer Szlagiewicz, aby mu robić stolarską robotę przy jego nowo wybudowanym domu, godziemy się ja żądam 80 rubli, a on mi daje 75 rb.

dał zadatku 10 rb. i prosi aby mu tu podpisać, że na konto roboty wzięłem 10 rb., na co to panu, to tak dla pamięci i formy ja chcę mieć, podpisałem i poszedłem, jutro pójdziemy po bale. Dobrze odrzekłem. Nazajutrz rano poszliśmy i robie mu tą robotę przez całe trzy miesiące i wybrałem 52 ruble, pana felczera aresztują za podrobienie weksli płacić niema kto i ja przestaję kończyć.

Rok 1911 wyjeżdżam do fabryki B-ci Thonetów do Radomska z całą rodziną, tam mieszkam i zarabiam w styczniu 27 rb., luty 36 rb., marzec 43 rb., kwiecień 38 rb., maj 41 rb. 90 kop. W końcu maja zachorowałem i muszę opuszczać fabrykę, powracam spowrotem do swego domu, bo stał pusty, a w Radomsku nie mogłem znaleźć odpowiedniego mieszkania chociażby pokoik i kuchnia, po jednym miesiącu choroby powróciłem do zdrowia, lipiec, sierpień pracuję, cały wrzesień do połowy, od października jestem znów chory, ale tą razą daje mi różne lekarstwa p. Kazon, ale mało skutkowały pojechałem do Radomska do Dra Zwolińskiego ten obejrzał mnie, dał lekarstwa do smarowania i proszki do spożycia, za tydzień już byłem lepszy, a za dwa tygodnie mogłem już pracować.

Gdzie mieszkam przy ojcu, mam plac 15 szeroki, a 30 łokci długi, tu jest podwórko jak na Starem Mieście w Warszawie, więc ciasno mi, co to robić nieraz już deliberuję nad tem, na ostatku uradziłem z żoną, aby to sprzedać a wybudować sobie albo kupić gotowe w rynku, ale skąd pieniędzy wziąć? Jestem razu pewnego w Radomsku, spotkałem moskala co był strażnikiem u nas i tu kupił sobie dom i kawał ziemi, pytam go się czyby mi nie sprzedał tej ziemi odpowiedział „prodam” tylko żeby mu zafundować, i zafundowałem mu porządnie i powiedział poraz drugi, że sprzeda.

Przyjechałem do domu opowiadam żonie, dobrze trzeba pożyczć pieniędzy w kasie, idę do kasy obiecali mi pożyczć, w sobotę poszedłem i dostałem coś 200 rb. jadę znów do Radomska, a ten moskal jak mnie zobaczył to w nogi, a do tego co razem siedzieli powiedział: do mnie przyjechał ziemię kupować, ja bym jeszcze kupił a nie sprzedał, złapał czapkę i poszedł, a był też strażnikiem w Radomsku. Przyjechałem spowrotem, opowiadam żonie co mi to zrobił Klimienko, a to cię kacap nabrał, masz odpowiedziała żona, ano trudno się mówi, ale chodźmy jeszcze którego dnia tam i popatrzymy na tą ziemię.

Nazajutrz zdaje się była niedziela po południu poszliśmy tam, ale idąc rozglądamy się po wapiennicy, a może tu by się dało kupić i tak patrzymy, ale idziemy precz za miasteczko, gdzie leżała ta

ziemia tego moskala, a niedawno kupiona przez niego. Obejrzeliśmy, ale co to oglądać czyjeś a następnie on nie ma do sprzedania, a może by tu kupić tych dołów jakby tak wyrównać to by i był ładny plac popatrzeliliśmy sobie z żoną i poszliśmy.

Na drugi dzień żona się zapytała właścicielki tych dołów czy by czasem nie sprzedali kawałek tych gór, sprzedamy z chęcią, przyjdźcie państwo do męża, ja już z nim pogadam. Przyszła żona do domu i opowiada mi że rozmawiałam z właścicielką o tej wapiennicy i ona powiedziała że z chęcią nam sprzedadzą, to musisz iść, ale nie zwlekaj długo, a choćby jutro, dobrze, dobrze, odrzekłem.

Jutro idę do właściciela i pytam się czy mi sprzeda tam tych dołów na wapiennicy? Sprzedam, to chodźmy zobaczyć na miejsce. Ile to chcecie kupić? po rozmierzeniu okazało się że chcę kupić 36 łokci szeroko a długości jak jest to już nie potrzeba mierzyć, jakby tak do strugi ile by to razem kosztowało? To razem to będzie kosztowało, myśli, bo ja wiem, to będzie kosztować 200 rb. a jak same doły? same doły to 130 rubli, a ten róg to 70, ale ten róg to jest grunt księży, to nie wiem czy to będzie można sprzedać taki kawałek, ja bym chciał sprzedać ten róg bo co prawda, to mi i tak nie pasuje ten róg, żebym go z chęcią sprzedał.

Targuję się, ale tu cena stanowczo 200 rubli, zadatku dam panu 100 rb. ale chodźmy napisać jaką punktację do p. Smolińskiego a on napisze i poszliśmy do p. S. napisał że na każde żądanie do rejenta ma stanąć właściciel tych dołów, a gdyby pogardził sprzedadzą, to obowiązuje się oddać 200 rb. a jakbym ja pogardził, to moje 100 rb. przepadają. Podpisaliśmy te umowę dałem 100 rb. i koniec.

Za jakieś tam dwa tygodnie jedziemy do rejenta do Radomska, a tu rejent pyta się od jakiej granicy i dokąd, bierze rozkłady i patrzy, a tu przeszkadza grunt księży, na ostatku właściciel musiał się przyznać, że on chciał sprzedać ten róg tego gruntu księżego, a tu rejent tak pisać nie chce, więc musiałem kupić samych dołów czyli skał po wybranym kamieniu wapiennym za 130 rb. przestrzeni $\frac{1}{4}$ morgi, a z kosztami rejentalnemi mnie kosztuje 150 rb.

CZEŚĆ VI

Plac kupiony na wapiennicy te doły i góry równam po dwie godziny codziennie, to znaczy od 6 rano robię w warsztacie do 6 wieczór i teraz biorę kilof, motyczkę, szpadel i idę równać ten plac, co nie

zrównałem przez pierwsze lato to zimą, bo była lekka, poprosiłem jednego gospodarza ażeby zaprzął konia do pługa i tak mi te górki pługiem porozorywał, a ja dopiero motyczką te skiby pościągałem na dół i znów drugi raz tak samo mi zrobił porównałem tak samo i na wiosnę wożę obornik i sadzę kartofle, porosły doskonale, ale od kamieni to aż były płaskie, sadziłem pod pług, bo że to prędzej poszło.

Kartoflisko zorałem i zasiałem żyto, żyto było bardzo ładne, kłoski kwadratowe bo kupiłem prawda od żyda, ale on mnie zapewniał, że to ze dworu.

W owym czasie zapoznałem się w aptece z młodym czytelnikiem Zarania z Kielczygłowa Symforjanem Józefowiczem pokazałem mu swój plac, podobał mu się bo był położony czyli spad miał na południe i tutaj mam zamiar zakładać sad owocowy.

Często bywał u mnie Józefowicz bo zawsze miał sporo interesów z pocztą to i do mnie wstępował bo Kielczygłów był odległy od nas o 10 kilometrów na północ, zaprosił mnie też do siebie raz u pewnego, bo oni mieli duży sad z ogrodem po rozparcelowanym dworze.

Jak oglądałem ten Kielczygłów i jeich gospodarstwo, bardzo mi się podobało, łąki były duży kawał i reszta ziemia orna, tu stawy, tu młynek ale lichy bo było tam brak gotówki, cośmy tam za plany układali jak poszliśmy do altany na wyspę otoczoną dookoła wodą, jak myśmy tam już opowiadali o wojnie przyszłej i że lepiej jeszcze na wypadek wojny być gospodarzem jak rzemieślnikiem.

U nas w owe czasy był naczelnik poczty zwolennik czyli sympatyk Zarania Antoni K., on był komendantem straży ogniowej.

Pamiętam jak myśmy na pocście tego Zaraniarza z Kielczygłowa namawiali, ażeby jechał do szkoły rolniczej do Sokołówka i pojechał a później znów pojechał na wycieczkę do Czech, jak przywiózł wiadomości, to nam opowiadał i opowiadał. Następnie wziął się do handlu maszynami rolniczymi ja też 200 rubli mu dałem, u mnie był skład tych maszyn jako to: młocarnie, siewniki, brony żelazne, sieczkarki różnych modeli i t. p. Mieliśmy budować szopy na skład tych maszyn ale to już później jak pójdzie handel. Tymczasem handel szedł marnie, chłopci kupować nie chcieli, ja ledwo sprzedałem jedną młocarnię ręczną i jedną sieczkarkę, a drugą to wziąłem sobie i resztę pieniędzy mi zwrócił, ale na całym tym interesie stracił, bo nie szło. Sprzedali majątek w Kielczygłowie bo i

drugie dzieci koniecznie się domagały pieniędzy czyli części, bo ojciec już nieżył i poszli na dzierżawę pod Radomsko.

Pan Józefowicz będąc w Kielczygłowie handlował drzewkami owocowymi, które brał w spółce w Łasku i mnie przywiózł kilka-naście abym wsadził i założył sobie sad.

Dwadzieścia lat upłynęło moje drzewa rosną pięknie i jestem zadowolony, bo dobre mi wybrał odmiany, lecz niestety już od kilkunastu lat spoczywa w ziemi. Niech mu lekką będzie ta ziemia w której tak lubiał pracować do końca życia.

Na tych dołach ale zrównanych posadziłem sobie drzewa i piękny mi rodzą owoc, wywdzięczając mi się tem za moją pracę koło tej ziemi gdzie one rosną i mam z nich pensję czyli emeryturę na starość. Kiedy równałem te doły nieraz i przy księżycu o śmiali się też ze mnie ludzie, że mi się zachciało kopania, ale dziś to gęby rozdziwiają i patrzą co się to zrobiło, że to drzewko mi wydaje cztery metry owocu, Jabłoń Oliwka Kronselska w 1931 tak wydała, a w 1933 trzy metry po 100 kg. Wiosną w 1913 roku posadziłem 25 drzewek różnych Żłota Reneta, Malinowa, Kosztela, Renglody trzy sztuki i inne. Mieszkając obok ojca i brata w tej ciasnocie, że nie było gdzie postawić sieczkarki a tylko w sieni, ogłosiłem że chcę sprzedać ten dom, ale choć się i kupcy znaleźli to mi dawali ledwo 900 rubli a ja chciałem cały tysiąc. W sam 5-ty Jan 24 czerwca trafia mi się niedrogo drzewo na cały dom rżnięte do kanta bale pięcio calowe, kupuje i stawiam tam domek tak na sposób szwajcarski to jest w ogrodzie to znaczy jakie 10 metrów od drogi, tak nieraz mi proponował mój dobry przyjaciel nauczyciel Leon Staniszczał. A dlatego znów drewniany, że jest suchszy i zdrowszy a następnie mój plac się nie nadaje pod mury bo jest zrucho czyli tu są kopane kamienie do wypalania wapna i jak robiłem studnię dopiero w 1931 r. to się przekonałem że na 10 łokci kamień wybrany, a woda jest tu na 15 łokci głębokości, woda bardzo dobra w kamieniu jak w serze, ale nie jest białą, a czystą jak ze źródła bywa.

Na 1 listopada 1913 r. już mieszkam na Wapiennicy tego samego roku buduje i mój sąsiad H., ale murowany bo on stawia przy samej ulicy, obaj nie mamy studni, a chodzimy po wodę znów do sąsiada o parę lat wcześniej wybudowanego a byłego właściciela tych posesji Piotra T., za wodę płacimy, to na skórę do pompy tylko dajemy lub coś się odrabia koniem przy żniwach i tak się mordowaliśmy obaj przez kilka lat ładnych. Czytający mój pamiętnik zapyta, a skąd pieniądze na budowę nowego domu to oświad-

czam, że trochę miałem, a resztę to pożyczam w Kasie Towarzystwa, gdzie jestem skarbnikiem i płacę 1% jak i inni po 8.

Gdy już mieszkam w nowym domu to teraz mój kupiec mi postępuje, daje już 950, ale mi się niespieszy. Ale się namyśliłem sprzedać temu żydkowi, bo jeszcze mi dał komorne odebrać i 6 rub. dołożył tak że wyniosło tysiąc rb.

Po niedługim czasie jak piorun z jasnego nieba buchnęła wiadomość „wojna” ledwo że skończyłem kredens co miałem w robocie i oddałem, „wojna”. Z chwilą wybuchu tej wojny przestałem robić stolarstwo, a zacząłem handlować i tak w listopadzie kiedy idą wojska papierosami, w grudniu świecami, mydłem, gazetami i czym się ino dało, szło dosyć nieźle, spoczątku chodziłem po towar do Działoszyna pieszo z workiem, bo wiele pieniędzy też nie miałem i tutaj już zabieram często swojego syna do pomocy, który już miał jedenasty rok życia, a sprytny był do handlu i tak my oba handlowali, a najwięcej papierosami, chlebem, bo przy przemarszach wojsk to doskonale ten handel szedł. Na nowym gospodarstwie mam pierwszą świnię, aż tu żołnierze przychodzą patrzą, ale mówią, że za mała, proszę ich aby poszukali większej, na wieczór lece zaraz do rzeźnika jednego aby kupić, niepotrzebna mu taka mała około 20 rubli było, ale to może jakby dali i z 15 to też bym brał. Idę do drugiego ten to samo mówi co i pierwszy, co tu robić bić świnię robić kielbasy i sprzedawać.

Na drugi dzień świnię biję robię kielbasy, u sąsiada ale dalszego wędzę, na wieczór wszystko gotowe, było to zdaje się w grudniu, raniutko wstaje idę w rynek patrzę a tu tyle samochodów, że ledwo się mogły pomieścić na całym rynku, a tak stoją jak pod sznur, przychodzę mówię do żony co to będzie, za jaką godzinę znów idę, samochodów już niema wojska się szykują do wymarszu. Wchodzę do szynku i proszę właścicielkę czy by ona nie kupiła kielbasy, bo ona trzymała kielbasę ale schowaną i dawniej i ona nie chce kupić, ale mi doradza abym sam choćby tu na oknie sobie sprzedawał ona mi pozwala, to ja do domu, kładę kielbasy na stół, łapię łokcia i tak mierzę to będzie za koronę, to będzie za markę zanoszę na okno, kładę na półmisku chleba kilka hochenków, a tu się jak zaczęła pchać żołnierze, po czemu to pytają się, ja mówię to za koronę, a to za markę, to za dwie godziny już nie było nic, ani chleba, ani kielbasy, poszedłem do domu licząc pieniądze, a tu mam około 25 rubli i w domu jeszcze pare kielbas, to sadelko, to nóżki, głowa, dobrze poszło. Opisałem jak sprzedawałem ale

opuściłem jak zabijałem wszedłem do obory i przy latarce bęc siekierą, ale nie w łeb a w ucho, świnia kwiczy i poleciała pod krowę, czekam wyskakuje z pod krowy teraz ją dopiero trafiłem raz dwa i leży, teraz nóż pakuje pomiędzy łopatki i gotowa, ale muszę zaznaczyć że to było pierwsze moje zabijanie to zanim siekierą uderzyłem to się wpierw przeżegnałem i tak mi się nie wiodło!

Za parę dni na sobotę wynająłem mieszkanie co było szykowane na sklepik już, tu myślę sprzedawać chleb, papierosy i t. p. rzeczy. Ale tak dobrze mi zapłacili za kielbasę, więc teraz biorę resztę kielbasy do sprzedania, gdy żołnierze zobaczyli mój sklepik jak się zaczęli pchać napakowało się pełno, ten woła papierosów inny chleba, a ten kielbasy, daję chleb z kielbasą wołam pieniędzy na niego a ten mnie łapie pod gardło i dusi. Syn krzyczy, dopiero mnie puścił ale nie zapłacił. Kiedy tutaj handel się uspokoił posłałem syna z papierosami do figury za miasto, bo wojska austriackie i niemieckie szły prawie wszystkimi drogami, w stronę Warszawy ciągnęły.

Pod figurą sprzedał syn trochę papierosów, ale się znów znaleźli tacy żołnierze co papierosy wzięli, a nic nie dali i zaczęli mu siłą zabierać papierosy, ten w nogi, ci za nim i papierosy odebrali, przychodzi bez papierosów i bez pieniędzy ale za to z płaczem, że żołnierze mu zabrali wszystko. W tą sobotę handel szedł bardzo marnie, ale się trochę zarobiło a było nas w domu do stołu już 8 osób, nas dwoje i sześcioro dzieci, jedna morga ziemi i chałupa swoja.

Nic się nie zrażam wynajmuję gdzieindziej mieszkanie na cały rok i zakładam sklepik a było to już dobrze przed samem Bożem Narodzeniem, znosimy z synem na plecach z Działoszyna świece, mydło, papierosy, tytoń i handluje bez świadectwa żadnego, dopiero pojechałem 6 maja 1915 roku do Radomska po patent i po towar furmanką, przywiozłem cztery skrzynki cukru i patent za 10 koron 40 h. cukier był wtenczas sprzedawany po 24 gr. funt. Do tego handlu pożyczam sobie 300 rubli w Kasie Towarzyst., gdzie jestem kasjerem i wkładam w sklep; żydki na mnie są niełaskawi, bo jak szedł gdzie syn ten co handlował ze mną to wołali na niego „Te sklep za trzy grosze.”

Mnie niewolno było trzymać wędliny, ani mięsa w tym sklepie, a prawie były same papierosy i tytoń, bo znów buchalter Kasy Krzemiński zapoznał się bliżej z okupantami i on miał trafike

na miasto, czyli skład tytoniu, to i miałem możność mieć więcej tytoniu.

Po sprzedaniu kielbasy na łokcie kupilem inne prosie na chów, bo i wojska się przewaliły dalej więc nie było takiego strachu i trzymam do pierwszych dni czerwca, tutaj brakło mi żywności dla niego, sprzedać nie mogę, tą razą zabija mi świnie kto inny, ale znów robimy kielbasy, ale sprzedać chcę razem, nie mogę, co tu robić, postanowiłem iść z tą kielbasą na odpust ś-go Antoniego na 13 czerwca do Wąsosza. Zapakowałem to w koszyki i z synem już 12 letnim idziemy niosąc ten towar do Wąsosza 10 kilometrów na ramionach, a było około 80 ft.

Zachodziemy do Wąsosza rano, chcę ten towar sprzedać razem, chcą wziąć, ale po trzy ruble funt i pieniądze dopiero na wieczór, to ja się nie godzę na taki handel, idę do znajomego, pożyczam wagi, stołu, staje na rynku i sprzedaje, ledwo sprzedałem za 12 rb. (bo sprzedawałem tak jak była kielbasa po 4 ruble funt, a nawet zdaje się że była w sklepach pięć rubli) a tu idzie dwóch policjantów i komendant z Działoszyna stają przede mną, patent jest, pytają się, ja mówię że nie mam bo to moja świnia zabita brakło mi żywności i musiałem zabić, a następnie się tłumaczę, że mam liczną rodzinę i muszę sprzedać.

Zabierają mi wszystką kielbasę do sołtysa Olszewskiego mieszkająca Wąsosza, który przecież mnie znał doskonale, nie nie pomogło.

Patrzył się na to jak mi zabierali tę kielbasę gospodarz znajomy mój ze wsi Gajęcie gm. Pajęczno przychodzi do mnie jak mi zabrali i mówi chodźno my do tego komendanta, za co oni zabrali to swojego niewolno sprzedawać? Znajdujemy tego przodownika w szynku, a ten gospodarz: za coś pan zabrał temu człowiekowi towar, że nie ma patentu, on więcej świń nie ma i sprzedawać nie będzie, po co mu patent, ja proszę zwrócić ten towar mu on jest biedny, ma kilkoro dzieci co pójdzie kraść? Stawia butelkę z przekąską, kiedy się ta kończy ja znów drugą daję i kielbasę jedną z półtora łokcia długą ale swoją na próbę daję, kielbasa dobra więc wzięli po 10 f. we trzech czy czterech i po kielbasie a mnie zapłacili po 3 rb. za funt i koniec.

W sklepie spoczątku szło nieźle, kiedy jeszcze były wojska, a jak się wojska posunęły dalej to się targowało marnie chociaż sklepu polskiego prawie nie było targowało się więcej tylko w sobotę.

Nawet ks. proboszcz też raz przysłał swoją służącą do sklepu po jajka, bo były żydowskie święta już. Jakoś po żniwach zamknąłem ten sklepik i poszedłem na obiad, przychodzę z obiadu, a tu stoi kilkunastu legionistów na rynku, a starsi weszli na obiad do restauracji, pytam się zaraz skąd to obywatele legioniści, a tu mi odpowiadają że z Wielunia, proszę tu do mnie, tutaj mam sklepik rozтворzyłem, poczęstowałem papierosami i dawaj gawędzić jedni wyszli sobie na rynek, a inni ze mną gwarzą, aż tu i starsi wychodzą z obiadu z restauracji i mówią idźcie teraz i wy wszyscy na obiad do restauracji. Ci idąc powiedzieli, że w tym sklepiku jest nasz sympatyk, proszę ich znów, częstuję papierosami i opowiadamy o całej polityce jak to tutaj wyglądali Moskali, że o Polsce nie chcą ani słuchać jak im daję gazetę „Wiadomości Polskie” to oni do ręki nie chcą wziąć, odsuwają jak jaką zarazę, a gdyby się Moskałe wrócili to mnie napewno tu powieszą na tej szubienicy co stała na środku rynku dla straży do gimnastyki. Długośmy opowiadali zapisali sobie ci starsi moje imię i nazwisko i poszli w stronę Radomska. Po niedługim czasie jeden z nich został emisariuszem wojsk polskich w Działoszynie byłem tam u niego, był i mój syn 12 letni też naoglądał różne broszury i t. p. Nazywał się Stefan Staryński.

Jak zaznaczyłem wyżej handel spoczątku szedł nieźle, ale później to coraz gorzej, tak że targowałem po 30 kop. dziennie. Dalej niepodobna było się trzymać tego handlu, rzuciłem a wziąłem się do roboty stolarstwa, ale co robić? Jeszcze w 1915 roku przyszedł do mnie z Piotrkowa mój dawny kolega, a nawet kuzyn, który pracował u rejenta w Piotrkowie jako zastępca rejenta, a miał tutaj w Pajęcznie przeszło morgę ziemi po ojcu i mieszkała tutaj jego matka, właśnie ten jej syn Stanisław, nie mając się czego cześcić podczas wojny zaczął handlować świńmi i sprzedaje te morgę ziemi, ja ją kupuję, ale znów pożyczam w kasie Tow. gdzie jestem, bo pieniądze były w kasie, za te morgę płacę na rękę mu 150 rubli, — kto inny mu tego nie dawał, bo poszedł i gdzieindziej się pytać, — dał mi takie pokwitowanie, że pieniądze odebrał i obowiązuje się na moje żądanie stawić do aktu do rejenta do Radomska. Tego samego roku 1915 znów mi się trafiło ziemi przeszło morga od gospodarza, który był bezdzietny i miał ziemi więcej, ale w dużym polu, a ten grunt miał zaś w małym polu i tu mu się nie chciało przyjeżdżać w to małe pole, tak że mu nie było na rękę a następnie obawiał się,

że kiedyś to się mogą znaleźć jakie sukcesory i odebrać ten grunt, choć miał go w posiadaniu przeszło trzydzieści lat.

Ja go znów kupilem za 200 rubli i pieniądze dałem zaraz, ale znów żądałem od nich obojga pokwitowania na piśmie, że pieniądze otrzymali z czego kwitują i do aktu rejentalnego obowiązują się stawić na każde żądanie moje i podpisami to stwierdzili.

Aptekarz wielki sympatyk Zarania i jego ruchu w swoich zamiarach nie może wytrwać w miasteczku, a do tego bojkotowany przez okoliczne duchowieństwo zmuszony jest aptekę sprzedać, co tak uczynił i wyjechał do Wilanowa w pierwszych dniach listopada roku 1911. Po wyjeździe piszemy do siebie i koniecznie chce abym i ja sprzedał to co mam i wyjechał za nim do Wilanowa. Ale bo to tak łatwo sprzedać, a następnie przecież to moje rodzinne gniazdo, więc pozostałem.

Po sprzedaży tego domu przy ojcu miałem już długu prócz Kasy Towarzystwa 250 rubli w kasie miejskiej czyli osadzkiej, żydek Juda, kupując ten dom poszedł ze mną do urzędu gminnego zapytać się czy niema długu i tu mi narachował samym złotem całą sumę i zaraz zapłaciłem długu 250 rb. a resztę zabrałem do kieszeni i powiedział mi na słowa, że do rejenta pojedziemy niedługo, było to już w 1914 r. w styczniu. W lutym dnia 11 pojechaliśmy do rejenta do Radomska tu oświadczyłem, że pieniądze już w domu otrzymałem i ów Juda dom kupił.

Za resztę pieniędzy koniecznie chcę kupić ziemi, pojechałem w tym celu do Sosnowca do swojej siostry Stefy żeby mi sprzedała te swoje trzy morgi daje jej 600 rubli w złocie, nie chce sprzedać, więc przyjechałem z niczem, pieniądze trzymam w garści.

Po pewnym czasie przyjeżdżają bracia Klimienki z Rosji chcą wszystko co tu mieli sprzedać, bo brat jeich umarł, pokazuje im złoto, że mam, ale więcej im dać nie chcę jak 600 rubli i to tylko chce kupić te trzy morgi ziemi, a oni chcą sprzedać wszystko to znaczy dwa domy do tej ziemi, kupca niema na domy i pojechali z niczem do matuszki Rosji, było to przed samą wojną światową.

Złoto jakie mam oddaje do Kasy Towarzystwa gdzie jestem kasjerem, niby spłacam dług.

Naczelnik poczty sympatyk ruchu ludowego przy Zaraniu z dniem wybuchu wojny wyjechał jak wszystkie urzędy do Rosji, rzeczy pozostawił na łasce Bożej a drobniejsze rzeczy to u proboszcza złożył.

Od 1915 roku mam ziemi razem skupionej 3 morgi 290 prętów.

Rok 1916 i 1917 ledwo że się żyje i robię sobie ule bo nie mam co robić, uli tych warszawskich zrobiłem cztery sztuki i myślę o pszczołach, ale jak tu je nabyć.

Pewien gospodarz miał parę uli pszczoł, a nie chciał go nikt wpuścić do stodoły, ja mu odnajmuję pół sąsiedka, ale żeby mi dał rój pszczoł, zgodził się dać mi pszczoły dopiero urojone w tym roku. Pszczoły te przesadziłem do ula ramowca przy pomocy specjalisty pszczolarza, ale zostawiłem ten ramowiec w pszczelniku, kiedy przychodzę za parę dni zaglądam do ula, a tu marnie idzie gospodarka. Proszę specjalistę, aby on zajrzał co tutaj się robi, a ten mi oznajmia, że pszczoły zostały wycięte to znaczy inne zrobiły napad i pszczoły zagryzły, miód co miały wyjadły. Zrezygnowałem już z pszczoł i dlatego, że koło mnie stoi piec do wypiekania wapna często tu się pali wapno, a dym idzie z wiatrem we wszystkie strony a pszczoły dymu nie znoszą, a gdzieindziej nie mam miejsca do postawienia. W tym czasie wojny poszedłem pewnego razu kupić żyta na wieś dla siebie ponieważ na jarmarki zabroniono było przywozić, obszedłem parę wsi i nie mogłem kupić jakiegoś trzy lub cztery korce żyta na chleb, wszędzie sprzedawali całymi wozami, szmukiel szedł na olaboga całą parą.

Pewnego dnia dowiedziałem się, że w sąsiedniej wsi jeden gospodarz a nawet mój dobry znajomy ma 10 korcy żyta umłóconego, że sprzedaje parę korcy, idę do tej wsi 5 kilometrów od nas, zachodzę, jest akuratnie żyto w workach, po przywitaniu się pytam, czy by nie sprzedał mi choć dwa korce ponieważ potrzebuje na chleb dla siebie i dzieci przecież wiecie panie T., że obsiewam bardzo mało gruntu to proszę sprzedajcie mi te dwa korce żyta ile pan żąda zaraz zapłać. Wymawia się że nie ma on żyta na sprzedaż, że winien bratu dwa korce musi oddać a resztę do młyna, bo mu otrąby są bardzo potrzebne i t. d. Żyta mi nie sprzedał i sprzedać nie chce, już mam wychodzić, a tu wpada znajomy kowal boso, nogawki zawinięte i pyta go, jak mnie zobaczył, czyby mu nie sprzedał słomy, ten się znowóż tłumaczy, że on sam ma mało, bo ma dużo inwentarza, słysze już to już wiem, że on przyszedł po żyto, a furmanka stoi napewno tam gdzie ukryta i tak było: poszedłem na wieś, posiedziałem trochę, mój kowal żyto na wóz i do domu, a ja sypię całą parą do siebie, obok mnie mieszkał magazynier wojkowego składu zboża opowiadam mu, że nie mogę kupić żyta na chleb dla siebie, przecie pan widzi mam taką liczną rodzinę, a niema

chleba. Skoczył zaraz po podwoje i pojechał do tego gospodarza i pyta go dlaczego mnie nie sprzedał żyta, a sprzedał kowalowi z Wąsosza. Ten opowiada, że to nieprawda, że on żyto zawiózł do młyna, proszę niech pan jedzie do młyna, znów 5 kilometrów, za-
jeżdża tam magazynier Gralke, żyta w młynie niema.

Przyjeżdża do niego na porachunek osobisty, co to go kosztowało to ja nie wiem, tylko to wiem, że się pogniewał na mnie i już od tego czasu nie rozmawiamy ze sobą tak serdecznie jak nieraz my rozmawiali. A ja postanowiłem za jaką bądź cenę kupić sobie ziemi choć tyle, aby mi chleba starczyło dla siebie i mojej rodziny i tego dokonałem przy pomocy Bożej i teraz mam chleb ze swojego żyta i kwita.

Po żniwach w 1918 roku proboszcz z M. przysyła, aby koniecznie tam przyjść, nie bardzo mi się to chciało, ale przysłał i drugi raz więc idę, gdy ks. mnie zobaczył, pyta co taki jestem honorowy, że ledwo po drugim posłańcu przyszedłem, a ja mu oznajmiam, że teraz więcej się zajmuję gospodarstwem, bo tak mi ta wojna dopa-
liła, że nie mogłem kupić żyta na chleb dla siebie i dzieci, więc myślę rzucić to rzemiosło a złapać się za pług i kose. Co ja mówię? Ależ tak proszę ks. proboszcza. A ja tu mam dla pana robotę chce pan zrobić do kościoła ławki, już deski dębowe są pod szopą, proszę za mną a zobaczymy czy zdatne. Oglądamy, zdatne są, to choć po kopaniach ks. proboszczu niech lepiej wyschnie dębina, trzeba ją poprzekładać o tak, pokazuje ja. To dobrze ja tu każe kościelnemu ją ułożyć.

Poszliśmy do mieszkania się godzić czy ogólnie od całej roboty jak ja chce, ja postanowiłem sobie że 10 rb. dziennie to nie będzie dużo. Ależ dzień teraz mały — mówi ks. proboszcz. U mnie proszę księdza dzień jest zawsze jednakowy ja zawsze robię od 6 rano do 8 wieczór. A jak tak, to dobrze, to się zgodzę. Ale gdzie to będzie można robić te roboty, proszę ks. proboszcza. Gdzie pan chce, ks. odpowiada. W tej kuchni — mówię — byłoby dobrze, bo kuchnia obszerna. Ks. — nie, bo kuchnia to mi potrzebniejsza, tu przychodzą parafjanie załatwić różne interesa, a może by ten pokój, proszę zobaczyć. Oglądam, dobry będzie, przy kuchni bo to proszę księdza często potrzeba co dosuszyć na piecu lub na blasze, to klej grzać, więc dobry ten pokój, przecie to dosyć duży jest, dobry, to za miesiąc niech będzie wypróżniony. Ale żeby tak prędzej zrobić, niech pan kogo sobie przynajmniej choćby Garbca bo to dawniejszy mój parafjanin. Dobrze, pomówię z nim i dowidzenia. Za miesiąc czy

później idziemy z Garbce do tej roboty przyszykowaliśmy pierw deski i do domu zabieramy naczynie na jedną furmankę i oba warsztaty, Garbiec mieszkał we wsi za miasteczkiem jakie 2 kilometry, to jak jechał to ja włożyłem swoje graty i jazda do M.

Robimy tu aż trzeshczą te deski dębowe pod piłkami i heblami, jeden drugi i trzeci tydzień, pieniądze ks. płaci co sobota, choć w sobotę to wcześniej kończyliśmy o jakie dwie godziny robotę. Razu pewnego w poniedziałek czy to we wtorek dosyć, że to było po ś-tym Leonarda Garbiec wchodzi do mnie jako że mu po drodze było i opowiada, to wy dopiero żeście wstali, a wy nie wiecie co się tam robi w mieście, co takiego pytam? Wojska austriackie krzyczą Niech żyje Polska! to znowóż mustrują się polskie wojska, ruch w mieście jak we Warszawie choć Warszawy i nie widział. Łapię czapkę i lecę na rynek a tu rzeczywiście ruch jak w Warszawie, ja potwierdziłem, tu w prawo, tu w lewo, to znów sztab szykują, tu na koniach jadą polskie żołnierze, patrzałem z godzinę całą, przychodzę do domu jem śniadanie i idziemy do M. do roboty, opowiadamy ks. proboszczowi, ten się też dziwuje co się to zrobiło.

A był to 7 listopad w 1918 roku.

Wracam się do 1915 roku spowrotem, jak przyjechała do Pajęczna nauczycielka, jak zakłada „Ligę Kobiet”, do której należą wszyscy nauczyciele i nauczycielki z okolicy, do której i ja z żoną mam honor należeć i wszyscy płacą składkę członkowską po 50 kop. miesięcznie. Za te pieniądze składkowe było kupowane płótno na bieliznę, tutaj były szyte koszule co nawet żona moja je kroila i szyła, to były kupowane chusteczki nosowe, to znów skarpetki, to zbierane były ofiary dla Legjonów jak lusterka, grzebyszki, portmonetki, nici, igły i to wszystko było odesłane do Internatu Legjonistów do Kamińska.

Zbiera się nauczycielstwo w moim mieszkaniu w sprawach ojczych, przybywa z okolicy, których informuje ja, to w domu to w sklepie o całym ruchu w mieście.

Kiedy przysła wojna pieniądź stracił na wartości to Berek Ch. swoją spekulacją jako kupiec manufaktury posuwa się do odbioru nam gruntu, wynajduje jakąś kopje i to dopiero w 1918 roku, kiedy grunt znacznie zdrożał, skarży nas do sądu, lecz zostaje sprawa oddalona spowodu, że za wcześniej już wystąpił na drogę sądową. W tym roku musze zawierać akta rejentalne ze wszystkimi od kogo nabyłem ziemię, sprawa z gruntem skończona, ale poszła na nie świnia, co uchwalełem coś za 60 rb. t. j. na koszt rejentalne.

Po ogłoszeniu Państwa Polskiego w listopadzie 1918 roku zapanowała znów cisza, co będzie dalej nadśluchujemy, aż tu zawiązuje się Rząd Ludowy w Lublinie i rozsyła swoje rozporządzenie po całej Polsce co i do nas nadeszły, cisza zapanowała nawet w lesie, bo mieszkam o pół kilometra od lasu rządowego, co tu wpierw były za huki od padających drzew i w dzień i w nocy, tak samo kiedy tną poręby teraz ucichło jakby makiem zasiał.

26 maja 1918 r. umarł ojciec mój przeżył lat 72.

Mnie wybierają na pisarza gminnego, a starego pisarza chcą siłą wyrzucić, ja chodzę pomiędzy tym ludem i perswaduję niech aby tego nie robią, że przyjdzie czas a on ustąpi. Pewnego razu ten stary pisarz wójta nowego chce palnąć w mordę, znów skargi, śledztwa, ale z tego nic nie wyszło.

Pojechaliśmy do Radomska do Komisarza E. Rudzińskiego ten pisze do starego pisarza aby zdał całą kancelarię wójtowi, a ten znów na swoją odpowiedzialność niech zda pisarstwo mnie, co to był za hałas a nawet chaos ogólny, ale pisarz niebardzo słuchał p. Komisarza i urzędował sobie w mieszkaniu a ja z nowym wójtem w kancelarji, uchwał było dziennie z pięć, urzędowaliśmy od 7 rano do 10 a nawet do 11 godziny w wieczór, aż tu przyjeżdża z powiatu lustrator gminy, ten chce żebym przyjął kancelarię, a ja znów nie chce, a to spowodu że nowy wójt miał mówić w Starostwie byłemu pomocnikowi gminnemu od nas, aby on się starał na sekretarza, z tego powodu ja nie chcę przyjąć kancelarji, a za tydzień lub dwa ją zdawać. To znów nowy jest komisarz w Radomsku, Pleniewicz ten wzywa mnie do telefonu i mówi że stolarz nie może być pisarzem gminnym, a ja go się zapytuje czy muzykant może być prezydentem Warszawy t. j. Paderewski, a następnie dodaje w tej rozmowie z komisarzem Pleniewiczem, że na taką posadę jak pisarz gminny to ja kicham i odszedłem od telefonu. Zachodzę do kancelarji, łamię pióro i rzucam i pisarzem już nie jestem. A było to już 15 stycznia 1919 i przy obecności lustratora z Radomska czyli z powiatu. Pisał też w tej kancelarji mój syn Tadeusz przy mnie, jak zobaczył co ja robię, wójt mu każe coś pisać a on też jak różnie pióro i mówi, kiedy ojciec mój nie może być pisarzem to i ja nie chce, wójt mu odpowiada, że dlatego ojciec być nie może, bo jest stolarzem, a syn mu powiada, to i pan nie powinien być wójtem bo pan jest rolnikiem i poszedł do domu. Za tę pracę pisarską po dwóch miesiącach otrzymałem wraz z synem pięćdziesiąt rubli ledwo.

W 1918 roku zawiązuje się w miasteczku koło młodzieży, które sprawia Sztandar z orłem białym a koło niego napis „Polska powstaje by żyć!” 1918 r. a z drugiej strony wizerunek M. B. Częstochowskiej, na końcu drzewca orzeł polski. Sztandar ten jest po dziś dzień w kościele w parafji i noszony bywa przy uroczystościach kościelnych za procesją.

W 1918 roku grono osób, w pośród których znajduję się i ja zakładamy czytelną członkowską, składka niewielka a wpisowe coś 50 groszy było, wybraliśmy zarząd i delegatów do ks. proboszcza po książki pozostałe z Polskiej Macierzy Szkolnej, ani słuchać ks. proboszcz nie chciał, a nadmienić mi wypada, że później książeczki z pieczęcią Macierzy znajdowały się w sklepach żydowskich, co nawet niektórzy je wykupili od żydków na pamiątkę. Czytelnia ta niedługo żyła, brak było poparcia ogółu, więc sprawdziło się przysłowie „Że jedna jaskółka nie robi wiosny”. Dobrze zrobiłem że rzucałem to pióro w gminie, bo wciąż wójt był wzywany do Radomska i włączyć się widocznie chciał, bo przy mnie żona jego mówiła te słowa: „Staśku rzuć to wójtostwo ty się zamordujesz tymi jazdami do tego Radomska”, bo trzeba było jechać końmi od 6 godzin i do 8, jak dopisała pogoda i jakie były konie.

W końcu stycznia a nawet 2 lutego już po obiedzie poszła policja do wójta do mieszkania, aby oddał pieczętkę wójtowską, żeby szedł na posterunek, idzie z nimi t. j. z policją na posterunek, tutaj żądają od niego pieczętki on powiedział, że zgubił.

Kiedy policja była w mieszkaniu wójta było tam paru gospodarzy starszych i tak sobie opowiadali jak to z wójtem o sprawach gminnych. Jak go policja zabrała to ci gospodarze a nawet sąsiedzi powiedzieli jeden do drugiego, chodźmy też na posterunek przecie to nasza polska policja, chodźmy, i poszli, wchodzą na posterunek, a tu gwałt, że napadają i strzelają na ulicy, bo jak ci szli to pare ludzi przystawało na rynku czyli ulicy. Ja wtenczas byłem u fryzjera, mojego sąsiada, słyszę a tu strzały na rynku, łapie czapkę i lecę na rynek co tam — a tu chodzi policjant po rynku żywej duszy niema pyta się, gdzie ja idę, żeby tu nie chodzić. Powiedziałem, że do brata, zachodzę do brata a ten mi tu opowiada co tu było, był to już prawie wieczór, w nocy polska policja bierze do aresztu obywateli w liczbie ośmiu czy dziesięciu i nocują w areszcie gminnym do rana, rano zostaje wypuszczonych pierwszych dwóch macherów, bo za ich to przyczyną robiły się różne rzeczy, co niepotrzebne były.

Tutaj uniknąłem aresztu, bo ostatnich zabrali do Piotrkowa i posiedzieli po parę tygodni, aż złożyli kaucję po pareset rubli, których zdaje się nawet nie odebrali, bo tak się Rządy zmieniały jak lalki w szopce. Ale za co? za nic, ja powiem prawdziwie. Wójt nie czytał gazet nic nie wiedział co się robi w kraju, a Krzem. to były pisarz gminny, tak go kręcił, aż go wkręcił, a sam się wykręcił, bo czytałem gdzieś „że w Polsce prawo jak pajęczyna, bąk się przebi-ja, a na muchę wina” i tutaj tak samo wyszło.

Nadeszła wiosna i czerwiec, następnie kupuję sobie konia za 1200 rb. pieniądze pożyczam w Kasie bo nie mam się czego chwytąć, roboty żadnej, kraść nie umiem, do zabijania jestem za słaby. Pracuje gdzie mogę z tym koniem, przyszedł październik i koń zdechl, pieniądze przepadły a dług jest. Następuje rok 1920 w marcu zaczynam robić do sklepu rolniczego, półki, bufeta, sklep, ten ma być w Brzeźnicy, zarobiłem tutaj 10300 mk. i odebrałem 4 sierpnia. W maju sprzedaje stodołę na dług za 4.500 rb. czyli 9.000 mkp. Marca 9-go sprzedaje swoje łóżko za 900 rb. Grudnia 7-go 1919 roku powstaje tutaj Włościańskie Stowarzyszenie Rolniczo - Handlowe w Radomsku, a u nas oddział, tu przystępuje i wpłacam na dwa udziały po 25 Mk. każdy i wpisowego 10 Mk. Razem 60 Mk. tutaj znów mam trochę roboty stolarskiej przy założeniu. Udziały są na mnie i drugi na syna, Tadeusza. Jak sprzedawałem stodołę to kiedy mi była potrzebna to sobie nająłem, tutaj tak się praktykuje, że sąmsieka płaci się gotówką 2 korce żyta.

Dnia 15. III. 1921 kupuje konia za 16.500 Mk. pieniądze pożyczam w kasie Tow. P. O., gdzie jestem kasjerem. Trzeciego maja sprzedaje dwa ule, ale niepomalowane za 6.000 Mk.

W czerwcu drugie dwa ule sprzedaje za 7.000 Mk. Straszna drożyzna zaczyna się tutaj i straszny przednówek jak nie pamiętam, za ćwierć kartofli żądają 500 Mk. f. chleba 40 Mk., f. ryżu 60 Mk. a na początku lipca tego roku f. chleba 50 Mk. f. ryżu 80 Mk.

W lipcu zaczynam robić futryny do remizy strażackiej po 500 Mk. od roboty każdej. W tym roku bardzo mi ciężko żyć, lecz pocieszam się w zbiorze żyta, owsa i t. p. W tym roku mam już 16 korcy żyta, 10 korcy owsa, wszystkiego już mi starczyło na swoje potrzeby i nic w tym roku nie dokupuje już.

Następuje 1922 rok wrzesień sprzedawałem korzec żyta za 18000 Mk. listopad sprzedawałem korzec jęczmienia 29.000 Mk. i ćwierć jęczmienia 7.000 Mk. w grudniu ćwierć żyta 9.000 Mk. Rok 1923 styczeń sprzedawałem korzec żyta za 65.000 Mk. luty za korzec żyta

wziąłem 100.000 Mk. f. chleba płacą 500 Mk. f. mięsa 2.500 Mk. f. słoniny 5.000 Mk.

Nadchodzi rok 1921, Berek Ch. skarży mnie i wszystkich sukcesorów o zejście z gruntu do Sądu Pokoju i tutaj powód udowodnił, że w roku 1891 5 kwietnia pożyczył od spadkodawców wyżej wymienionych pozwanych małż. S. kwotę 200 rb. na lat 30 t. j. do dnia 5 kwietnia 1921 r. że jako procent od pożyczonej sumy 200 rb. powód dał małż. S. do użytkowania 2 działki ziemi do czasu zwrotu pieniędzy t. j. do dnia 5 kwietnia 1921 r. że ponieważ pozwani ofiarowanej im przez powoda kwoty zastawu 200 rubli łącznie z podatkami zapłaconymi przez pozwanych razem kwoty 689 Mk. przyjmując nie chcieli i mimo urzędowych wezwań wziętych w zastaw 2-ch działków ziemi nie chcieli powodowi oddać do użytkowania, że wszystkie owe formalności odbyły się w terminie, że przez to na mocy powyższego niniejsze powództwo, jest całkowicie zasadnem i udowodnionem i dlatego:

Postanawia się w Im. Rz. Pol. wyeksmitować z dwóch działków gruntu w rejonie osady P., zastawionych przez powoda Berka Ch. spadkodawcom pozwany Antoniemu i Bronisławie małż. S. zobowiązać wyżej wymienionych pozwanych do przyjęcia zwrotu sumy zastawu wraz z kosztami wpłaconych podatków w kwocie sześciuset osiemdziesięciu dziewięciu marek, ofiarowanej przez powoda Ch., zasądzić na rzecz tegoż ostatniego od pozwanych S. trzysta marek kosztów sporu.

„Wyrok Salomonowy”

No powyższy wyrok zaapelowałem do Piotrkowa wzięłem do tej sprawy adwokata i sprawa się odbyła w styczniu 1922 r. i ja wygrałem i na gruncie jestem. Adwokat dowodził, że paragraf 72 mówi, że trzeba skarżyć o swoją własność do Sądu Okręgowego a ponieważ Berek Ch. tego nie uczynił sprawa została umorzona i kosztami Sąd Okręgowy przysądził, których nie ściągałem wcale, jaki byłem rad z tego, to nie umiem opisać, adwokatowi dałem 5 tysięcy Mk. i podziękowałem mu serdecznie, gdzie tylko się pytałem jak np. adwokata Z. w Częstochowie, to mi mówili, że B. Ch. wygra a stało się przeciwnie, choć mnie kosztowało przeszło 10 tysięcy mk.

Podczas wojny kiedy konie były drogie zacząłem sobie robić w polu krowami, bo przecież wciąż czytałem w gazetach jaka to oszczędność, że koń to złodziej na małym gospodarstwie i tak dalej, trzeba próbować.

Miałem jedną krowę, kupiłem mały wozik od żyda co mieszkał nieopodal mojego ojca, bo nawet razu jednego to sam ojciec mi mówił, żeby sobie kupić taki mały wozik, bo mam taką trochę tego gruntu, to bym sobie już nie jedno mógł przywieźć krową. Tak na przykład trochę kartofli jak się ukopie na wóz, krowe zaprzęgnąć i już są kartofle w domu, a dopiero szukać aż kto będzie miał czas to pojedzie, a to po taką trochę to się nawet nie opłaca szukać fury.

Prawda słuszną, kupiłem ten mały wóz za 30 rb. krowę obuczyłem, chodziła bardzo dobrze, ale jak jaki kawałek podorać to ciężko, co tu robić, jestem przecież w kasie kasjerem, pożyczam pieniędzy i kupuje drugą krowę od żydka, ten mi tak zachwala ową krowę bo była młoda, i że to jest od bardzo porządnego gospodarza z Kiełczygłowa. Kupiłem te krowe, ale już nie obuczam bo przecie ta, co mam tak ładnie chodzi, to i ta przy niej tak samo pójdzie, tak mi mówił ojciec, tak mówili i inni.

Już mieszkalem na tej wapiennicy wyjazd był pod górę, zaprzęgnąłem obie te krowy do próżnego tego lekkiego wozika i smagnąłem batem, aby ruszyły, a moje krowy jak nie palną z podwórka co ino mają siły i prosto pod północ, a tu leżą doły od wybranych kamieni, to różne drzewa bo to przecie plac ogólny, to pińki od wykopanych drzew i tu zawadziły wozem i stanęły, bo inaczej to by były wpadły do kamieniołomów i tu by sobie nogi połamały.

Pomału wołam dzieci do pomocy wyprowadziłem je na prostą drogę i znów smagnąłem batem i tu jak znów palną i lecą co mają siły na płot sąsiada a za płotem są skały od wybranych kamieni ja już leje batem, aby nie wpadły na ów płot, choć obdarły mi bok o ten płot, ale ich nie puściłem.

Wyprzegam te psie krwie obie, żona w polu kopie kartofle, a ja tu z dziećmi, myślę co tu robić teraz żona tam czeka, aż przyjadę po te kartofle, a tu takie fimery stroją te obie krowy, ale zaprzegam jedną tą starą, a dzieci tą znów pędzą w pole przy wozie.

Zajechałem szczęśliwie na owe smugi opowiadałem żonie, co miałem za przygody, żona się i śmieje, ale i ręce załamuje, gdyby te psie krwie poszły w skały a co by było i ze mną i to o mały figiel, bo już płot tylko oddzielał od skały głębokiej na jakie 6 lub 7 łokci.

Wsypaliśmy kartofle na ten wozik, może trzy lub cztery korce na polu i tutaj trzeba je zaprzęgać, dzieci nawracają te krowy do woza, łapię starą zaprzęgam, teraz tą drugą chętnam, jedną i dru-

gą chłopiec prowadzi, trzymamy mocno, żona smaga, idą dobrze. wyjechaliśmy na drogę, idą doskonale przystanęliśmy trochę aby odpoczęły i wio dalej, bo dosyć było daleko z tych Smug do domu, a tu już wieczór, ale niechta to sobie zajedziemy i wieczorem.

Przyjeżdżamy do domu tutaj już ciemno, ale nie krowy idą dobrze, wjeżdżam w ulicę brukowaną a tu krowy się znów wściekają i co sił mają obie skaczą tak, że chcą wpaść gdzie do okna, bo te w tej ulicy są bardzo nisko, bo były dawniej jak wypadało, ale gdy zrobili bruk to okna za nisko są. Leję po łbach, aby gdzie nie wpadły do mieszkania lub do okna, ale że to było i pod górę w Częstochowskiej ulicy więc zerwały postronki i poszły w djabły, a raczej do domu, że to był wieczór to ani nikt nie widział tego przedstawienia lepszego jak w kinie.

Popchnęliśmy z dziećmi i żoną ten wozik na górke i do domu z kartoflami bo nie było daleko już. Na drugi dzień żona nie chce ani dzieci, aby jechać po kartofle krowami, pojechałem próbować orać za wiatrakiem obiema, co tutaj się namęczyłem, zgrzałem się jak przy najcięższej pracy, objechałem ledwo dookoła po raz i rzuciłem tą orkę.

Następnego roku kupuje konia pierwszego, który mi w niedługim czasie zdechł. Widziałem nieraz idąc do Częstochowy jak koło Miedźna gospodarze orali krowami, a ile to czytałem jak to pięknie małorolni robią krowami, ja nie mogłem robić temi krowami. Choć pamiętam jak razu jednego z ojcem pojechaliśmy krowami po koniczynę, bo się miało na deszcz, włożyliśmy te koniczyny i jedziemy jedziemy aż nas deszcz zastał na drodze, zmokła koniczyna i tyle, to ojciec powiedział wtenczas, niech ta psi jeżdżą krowami i ja też to samo powiedziałem nieraz.

Wypada mi się powrócić do 1923 roku jak zaczynam handlować jajkami od lipca i najpierw kupiłem 6 skrzyń za 90.000 Mkp. następnie na jarmarku w miasteczku 700 tysięcy.

Za kupowanie jajek przed godziną 12 na jarmarku w osadzie w październiku zapłaciłem w starostwie 5. XII. 1 milion Mkp. kary i to jeszcze bez względu, że miałem patent czyli świadectwo przemysłowe na kupno jajek.

Od wojny rzuciłem wszystkie handle i zostaje chłopem rolnikiem i borykam się ze swoim losem na tych niecałych czterech morgach.

Nieraz przychodzą takie chwile, że i koń by zapłakał nad losem małorolnego chłopca polskiego.

Czy miałem słuszość rzucić rzemiosło i handel to już niech osądzą czytelnicy moich pamiętników.

C z ę ś ć VII

Następuje 1924 rok tutaj buduje stodołę przy domu, ale w końcu placu za sadem bo już sieje 8 m. mórg ziemi, swojej 4 morgi i 4 dzierżawionej płacąc po 1 m. żyta z morgi i podatki. Stodoła długości 19 łokci i szerokości 9 łokci, wysoka 5 łokci w tak zwaną regłówkę to jest drewniana i obita deskami, poszyta słomą.

Ile ta stodoła mnie kosztowała to nie mogę powiedzieć, ponieważ drzewo na nią kupowałem pare lat wstecz a w owe czasy to ceny tak rosły, że na przykład sprzedawałem stodołę całą a teraz żądają tę sumę za jeden słup od stodoły, co tu znów robić? Najmuje trzciny, ażeby mi te grube słupy poprzeżynali na pół i buduje, ale to sam przy pomocy syna swego Franciszka już siedemnastą wiosnę liczącego, owa stodoła jest ubezpieczona na 460 zł., na wypadek ognia nie wiem ile bym dostał, napewno ze 200 zł. albo i nie?

Gdzie miałem poprzednio stodołę doskonałą po ojcu co sprzedawałem to tam mi się nie podobało to, że tam tych stodoł stała cała masa około 150 sztuk razem słomą krytych, na wypadek ognia wszystkie szły z dymem, nieraz patrzyłem tutaj na taki pożar.

Więc postanowiłem tutaj sprzedać, co została rozebrana, a ja sobie wybuduję po swojemu i na własnym placu i tak zrobiłem. Jakie to w owe czasy były ceny to pokaże dzienny mój zarobek w lutym przy robocie stolarskiej w młynie parowym Fr. Kowalskiego w osadzie 16 funtów chleba zarobiłem na dzień a każdy funt 140 tys. to wypadnie równe 2.240.000 Mkp. za 10 godzinny dzień pracy. Powiedziałem wyżej, że sprzedawałem stodołę na dług za 4.500 rb. stodoła ta była cała moja ponieważ drugą połowę odkupiłem od brata Józka na pare lat przed sprzedażą jej.

W 1928 roku na przednówku zacząłem reparować obórkę drewnianą zrobioną ze zrzynów i dach miała na jedną stronę, dach był pokryty papą a była budowana razem z domem w 1913 r. kiedy wszedłem poprawić dach to cały był niezdatny, jak znów wziąłem się do ścian a te okazały się zgnite i rozwalilem zupełnie bo nie było można reperować musiałem budować nową ale postawiłem murywaną dziewięć łokci długą i siedem szeroką i cztery wysoką chciałem pobudować większą, ale nie miałem funduszu napisałem o po-

życzkę do Urzędu Ziemskiego to mi odpowiedzieli że małorolnym nie udziela się kredytów.

Co miałem robić jak zupełnie stara się zwała poszedłem do Działoszyna do żydka co wypala wapno aby mi dał 5 metrów na węksel, dostałem na termin dwóch miesięcy, wapno płaciłem po 8 zł. metr, piasek mamy swój ogólny w pastwiskach, kamień również mamy ogólny tylko się płaci za łamanie od metra kw. 1 zł. a gdy przyjdzie kupiec jak na przykład w kamieniołomach rządowych kosztuje do 2 zł. 50 groszy, dach w braku gotówki pokryłem słomą, bo przecież przysłowie powiada, że „mądry Salomon z próżnego nie naleje” szopa koło obórki nakryta deskami drewniana 10 łokci długa 8 szeroka, 4 1/2 łokcia wysoka, obórka na świnię 4 wysoka 5 1/2 szeroka i długa drewniana, kryta papą, tutaj wyżej siadają kury, których mam około 25 sztuk, krowę mam jedną wartości 150 zł. świnię mam jedną kupiłem w końcu sierpnia dałem na jarmarku w miejscu 41 zł. może dziś warta 100 zł. Konia nie mam od roku, ponieważ zeszłego roku synowie pojechali niem do Brzeźnicy i tam sprzedali za 10 zł. a dołożyli 100 zł. i kupili doskonałą siwkę, aby mieli parę siwych do wożenia drzewa i kamieni do pieca wapiennego, który dzierżawią od miasta i w nim wypalają wapno, płacąc miastu z góry za cały rok 60 zł. i wszelkie remonty swoim kosztem pokrywają przy tym piecu.

Dziś wapno kosztuje 3 zł. 25 groszy metr. Zarobku na wapnie prawie niema, tylko za zwózkę drzewa i kamienia. Drzewa idzie do jednego pieca 25 metrów, każdy metr drzewa kosztuje w lasach rządowych 8 zł. 15 gr. od przywozu każdego metra jeden złoty. Kamienia do każdego pieca wchodzi 12 metrów każdy metr kamienia 3 zł. z przywiezieniem, wapna piec wydaje przeciętnie po 90 metrów. Świadcstwo przemysłowe 7 zł. 20 gr. Obrotowe 120 zł. rocznie, dochodowe i kryzysowe 42 zł. Po obliczeniu czytelnik przekona się jaki jest zysk przez 7 miesięcy w roku, licząc jeden piec w tygodniu, jak na dzisiejsze czasy trochę za dużo mamy tych podatków, jeszcze dochodzi do tego 25 zł. od wypalenia jednego pieca przez dwóch specjalistów wypalaczy ze wsi Lisowice. Więc konie są dwa, ale prócz synów, którzy się trudnią tym przemysłem to jest i trzeci syn w domu najmłodszy, który liczy sobie lat 20. Najstarszy syn mieszka w Radomsku ma biuro podań i próśb, dwóch młodszych synów jest w stanie wolnym i najmłodsza córka, która sobie liczy lat 18. Najstarsza córka jest zamężna za kowalem, liczy sobie lat 32, najstarszy syn lat 30.

Wykształcenie rodziny ja 3 kl. rzemieśl. niedziel. szkoły w Warszawie, żona 3 oddziały szkoły ludowej w Brzeźnicy, syn Tadeusz skończył Wolną Wszechnicę w Warszawie, córka Kazimiera 3 oddziały szkoły ludowej, syn Marjan 4 oddziały szkoły ludowej, syn Franciszek 4 klasy gimnazjalne w Radomsku, szkołę rolniczą w Dobryczycach i szkołę fachową szoferów w Łodzi. Zygmunt syn 5 oddziałów szk. lud. Pelagja córka 7 oddziałów szkoły powszechnej. Były jeszcze dwie córki: Pelagja urodzona 10 marca 1910 r., umarła 26 sierpnia 1912 r. i Stanisława urodzona 15 września 1919 r., umarła 1 lutego 1920 r. Konie stoją u mnie razem z krową, obornik tymczasem zabieram ja i obrabiam sobie pole i wszystką robotę polną, odpadki od drzewa mamy na opał w domowej kuchni.

Każdy czas wolny od pracy poświęcam na czytanie pism i książek, prawie zawsze prenumeruje coś a w bieżącym roku „Czasopismo Spółdzielni Rolniczych” z Warszawy, „Echo Świata” miesięcznik z Grudziądza, miesięcznik „Trzeźwość” z Warszawy, należę jeszcze do zarządu Czytelni Ludowej, gdzie pełnię funkcję sekretarza, płaci się składki miesięcznej 25 groszy, mamy pisma „Przewodnik Gospodarski” z Warszawy, dwa egzemplarze „Gazety Grudziądzkiej” tygodnik „Gospodarz Polski” przychodzi „Siew” bezpł. „Młoda wieś” też bezpłatnie, „Spółnota” również bezpłatnie.

W roku bieżącym robiłem remont koło domu następujący: robiłem sufita w dwóch mieszkaniach ponieważ pokład się rozsechł, więc się sypało z góry, zrobiłem sufit pomiędzy belkami co kosztowało mnie do 30 zł. oba a belki pomalowałem olejną farbą na białą co mnie kosztowało koło 5 złotych pomalowanie, mieszkania oba zajmuje się wysokie 2 metry 50 cm. cztery metry szerokie cztery metry 30 cm. długie w każdym są po dwa okna o 6 szybach pomalowane olejno na białą, okna są i dubeltowe z lufcikami po jednym w mieszkaniu, podłoga jest wszędzie jak w ganku w przedsionku w kuchence, dom drewniany kryty papą szalowany deskami z okiennicami przy oknach, okna wysokie 1 metr 25 cm. szerokie 90 cm.

Drzwi wysokie 1 meter 88 cm. szerokie 80 cm. to są środkowe drzwi bo frontowe są szerokie 1 m. 15 i z dwóch połówek z okiennikiem u góry pomalowane na żółto wysokie 2 m. 20.

Rzeczy w mieszkaniach: w pierwszym dwa dębowe polerowane na kolor orzechowy rozbierane, szafa duża rozbierana koloru orzechowego polerowana przy łózkach, szafeczki nocne tak samo polerowane na orzech, stolik pod lustrem o dwóch szufladkach dębowy, kolor jednakowy, zegar pół regulator-szafka dębowa i bi-

bljoteczka z książkami pod zegarem, też dębowa wysoka 1 m. 20 cm. szeroka 60 cm. do połowy oszklona na niej biust Kraszewskiego obok portret Sienkiewicza obok lustra dwa portrety Sobieskiego i Jadwigi i tutaj różne fotografie osób z rodziny i dobrych znajomych i krewnych to znów obraz M. B. N. Pomocy obraz „W lesie Polskim” i drugi „Oswobodzenie Polski”, i piecyk żelazny, stół.

W drugim mieszkaniu: jedno łóżko komoda, stół, 6 krzeseł, szafka na rzeczy kuchenne, maszyna do szycia Singera, miednica do mycia i taboretka, kubelek na wodę i kuchnia na trzy blachy, każda o dwóch fajerkach, u góry wentylator, obrazek M. B. N. Pomocy i dwa widoki olejno pomalowane, nad oknami są gzymse, ale brak firanek.

Wszyscy trzech synowie mają roboty dosyć, jeden z nich mieszka ten żonaty u teścia a u nas pięcioro mieszkamy razem, życie prowadzimy takie: rano zazwyczaj kawa z chlebem, często ze szmalcem ale często też bez szmalcu lub masła bo nie starcza zarobek, ludzie ci co wypalają wapno są na naszym stole to jak oni są, prawie co tydzień przez dwa dni to wtenczas jest prawie zawsze mięsa jedno kilo, to kapusta, to jakaś kasza, ale najczęściej to kartofle, na wieczór jak czasem, kawa i chleb, lub kartofle na zupe do chleba.

Posłałem też pierwszy syna do szkoły rolniczej, płaciłem tylko pierwszy miesiąc, a następne miesiące syn dostał stypendjum sejmikowe, a kiedy skończył tą szkołę to znów przyszedł do mnie i siedział w domu i znów sprawiać mu ubranie i życie, opisywały gazety jaki to świetny interes to szoferstwo, pieniędzy pożyczyłem i posłałem go do Krakowa co to mnie kosztowało do tysiąca złotych i znów ta sama historia co i z tej szkoły rolniczej. Skończył szkołę a ziemi nie było, skończył szoferstwo znów siedział mi w domu, bo nie było posady, nawet za życie. Razu pewnego uczył się jeździć u jednego, pojechali do Łodzi do rejestracji samochodu w drodze przyjechali gdzieś za Radomsko na most i tu pękła poręcz na moście i cały samochód do wody i topi się. Szczęście, że wody było niedużo, bo by się byli potopili było to jakoś w marcu, średnia przyjemność w marcu się kąpać. Drugi syn Marjan był w Spółdzielni Włościańskiej za ekspedjenta miał płatne 30 milionów Mkp. bo to była inflacja. A była też w tym sklepie kasjerka, a że była jakaś tam kuzynka, to brała 75 milionów miesięcznie i tak szły spółdzielnie aż upadły a z niemi i udziały moje bo później za 60 Mkp. to dawali 1 zł. 80 groszy, a gdy udziały podnieśli do 10 zł. to się zgodziłem dopłacić na co dałem weksel, po pewnym czasie zajeżdżam do

Radomska, a tu czytamy udziały już są podniesione do 50 zł. nie płaciłem ani tych pierwszych 10 zł. ale precz krążą wersje, że członkowie będą płacić pięciokrotne udziały to znaczy że będą płacić po 250 zł. bo straty jest dużo. Kiedy kierownik jak Starosta brał 100 zł. pomocnik również brał 100 zł., miesięcznie, a jak dał zarząd drugiego to mu płacił aż trzysta zł. miesięcznie czy wobec takich warunków mogły istnieć Spółdzielnie i dziś nikt nie chce słuchać, aby jakieś udziały kto dał. Taka sama historia i z kasą Stefczyka, czy inną, oj szkoła życia to jest najlepsza praktyka, ale niestety kiedy się człowiek nauczył jak żyć, to musi umierać.

Stan zdrowia mój i całej rodziny jest dobry, gdy kto zachoruje wzywa się felczera lub prosto do doktora do Działoszyna lub do Brzeźnicy, gdzie za wizytę płaci się trzy zł. Ubieramy się po miejsku, ja kupiłem sobie ubranie w 1927 za 50 zł., robił krawiec na obstalunek, noszę do dziś dnia, ale już liche jest i na gwałt potrzebuję sobie sprawić, bo nie mam w czym nawet iść do kościoła, nosze kamazę i spodnie, palta też nie mam a tylko kurtkę od powszedniego dnia, a dopiero czekam jak się sprzeda resztę jabłek, to sobie co kupię, w dzień powszedni nosze buty za 12 zł. kupione na jarmarku i czapkę baranią z kożuchem w środku żeby mi było ciepło w łysinę. Kalesonów nosze dwoje cienkie do spania i grube barchanowe, ciepłą koszulkę też noszę, przez dzień i cienką nocną, kamizelkę i do roboty na nią haftem na podszewce flanelowej.

Podział pracy jest następujący, synowie w trójkę wozą drzewo i kamienie do pieca a na przykład 10 h. m. to ja z żoną wyrzucaliśmy obornik, syn najmłodszy wywoził go w pole i my we trójkę nakładaliśmy na wóz, tak szła robota przez cały dzień, ale jeszcze pozostało trochę obornika na następny dzień, a tu święto Niepodległości Polski, patrz ludziska się wymykają w pole z pługami więc ja też nakładam ostatnią furę obornika córka najmłodsza gotuje tą kawę na śniadanie i po śniadaniu idziemy rozrzucać obornik w trójkę, obiad, po obiedzie biorę parę siwków i pożyczam drugiego pługa i na pojedynek przyorujemy z synem najmłodszym obornik nie głęboko, ale tak się zmęczyłem a nawet zgrzałem, że jak przyjechałem na wieczór do domu to już nie mogłem pisać mojego pamiętnika i dlatego w dniu 11 listopada nie pisałem. Niedziela piszę, i sypie śnieg i tak dalej a tu jeszcze ze trzy fury leży tego drobnego obornika na gnojowisku

i tak było do soboty do 18 b. m. tutaj piękna pogoda zabieram się do reszty obornika i nawóz co i pod drzewa do sadu tutaj rozrzucać i kopać i znów tak się narobiłem, że nie pisałem pamiętnika.

Kiedy wszedłem do mojego sadu to opisze go: drzew w nim jest 32, ale różnych i śliwy są dosyć że sadzone akurat 20 lat wstecz, jest tu 6 jabłoni i 6 grusz, kilka renglod, pare krzaków porzeczeki i t. p. Tak dla zorientowania się podam rachunek za sprzedany owoc w 1931 r. a mianowicie:

Za gruszki razem	37 zł.
za winogrona	17 „ 50
za wiśnie	2 „ 50
za renglody	4 „ 50
Utargowano w Brzeźnicy na jarmarku	3 „ 50
	64 „ 00
Za jabłka w Częstochowie 9. X. Cztery metry po 50 zł. i jeden 40 zł.	240 „ 00
Razem:	304 zł. 00

To jest moja pensja całoroczna i moja emerytura nigdy nie sprzedałem tego owocu żydkowi jak tu robią inni choć nieraz mnie męczą aby im sprzedać, a nawet dla ciekawości to i przypuszczałem ile oni mi dadzą to koniecznie mi już dawali 150 zł. A ile sami potrzebujemy tego się nie liczy już.

Zeszłego roku jak wspomniałem wyżej padła klęska na miasteczko i 8 lipca grad do 25 dk. potłukł wszystko a dach to był jak przetak, bo był papowy, narobiło mi szkody na 500 zł. pisaliśmy zbiorowe prośby do Władz Polskich, żeby choć darowali podatek, ale nic skutku nasze pisanie nie odniosło. Do zeszłego roku jeszcze stosowałem nawozy sztuczne pod żyto, grad żyto potłukł, za nawozy musiałem zapłacić i chleba sobie kupić. Marne to życie rolnika a tu upomnienia ślą za które każą sobie płacić po 1.50 na przykład asekuracja zbożowa za 1932 r. do 10 zł. a chleba nie było. Następnie zapytanie co ja pragnę kupić, co tu pragnąć kiedy pieniędzy niema, taki grunt po ojcu od mojego brata kupił obcy, bo ja pieniędzy nie mam, a jakby on mi pasował, bo by razem był kawał ziemi dwumorgowy, bo prócz tego 1 ha to mam w 6 kawałkach te trzy morgi ziemi, a najmniejszy to najdalej pod tą „Miodową górą”, ale się mówi trudno trzeba żyć i z jabłkami choć do Częstochowy też trzeba jechać aby lepszą cenę za nie wziąć.

Powiada stare przysłowie, „że mówić każdy woli co go boli” i ja też pewno lepiej będę spał jak taką spowiedź z całego swego życia wypowiem na papier, a może się i komu spodoba.

Już prawie wszystko opisałem jak ja tu żyje, ale jeszcze na dodatek podam, ile zysku mam z kur, bo tutaj na tych kamieniach dobrze się niosą co niżej wykażę, bo przecież i kury należą do gospodarstwa, i tak w 1926 r. miałem ich 17 sztuk, choć prawdziwie to dochód mojej żony, ale ja i żona to jedno u mnie, i w ciągu roku jajek sprzedano na 200 zł.

W 1927 kur było 25 sztuk, kury te zniosły za cały rok 2292 sztuki jaj za 250 zł.

W 1928 r. kur 19 sztuk i kogut te kury zniosły jajek razem za 205 zł.

W 1929 r. kury 20 sztuk i kogut tutaj kury zniosły jajek razem za 239 zł. 02 grosze.

W 1930 r. kur 30 sztuk bez koguta tutaj kury zniosły jajek 2.768 sztuk a za nie wzięła żona 268 zł. 60 groszy.

W 1931 r. 35 kur i 2 koguty, ale tutaj przestałem liczyć ponieważ jajka doszły do 5 groszy sztuka, więc kury wyprzedane do połowy i na tem koniec i tutaj się zaczął „Kryzys”.

Przed zakończeniem wypada mi nadmienić w pamiętnikach moich jakie pisma prenumeruję w następstwie po „Zaraniu” w 1915 i 16 „Polska Ludowa” z Lublina „Wiadomości Polskie” z Piotrkowa, później „Wyzwolenie”, a w późniejszych latach „Chłopski Sztandar”, „Poradnik Gospodarstw Wiejskich”, „Zagroda Wzorowa” ze Lwowa, „Tygodnik Ilustrowany” „Samopomoc Chłopska” „Wiedza dla wszystkich”, „Chcę wiedzieć wszystko”, a w roku bieżącym już podane wyżej i różne dzienniki jakie podejda pod rękę i różne książki jak „Chłopi” Reymonta, „Chłopi z Marchat” Kowalskiego, a po ukończeniu pamiętnika będę czytał „Pamiętniki bezrobotnych”.

Śmiali się ludzie jak równałem doły pod dom i sad, śmiali się jak orałem krowami, i śmieją się z mojego opisywania pamiętników i mówią, że to nic nie polepszy doli chłopu polskiego.

Dn. 28 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 10

Syn średnio zamożnego gospodarza, zbogacony przedsiębiorca i działacz, rolnik na 47 morgach w pow. sieradzkim

Urodzony 9 marca 1874 roku we wsi Żeronice pow. Turecki gdy pamięcią zasiągnąłem od lat 5 życia swego Rodzice moi, Józef ojcu a matce Marjanna, byli najprzód na dworacze w Skęczniewie gminy Piekary pow. Tureckiego u p. Wolla, po czterech latach bytności na służbie dworskiej w Skęczniewie Rodzice moi wyprowadzili się do Strachocic parafji Miłkowice, tam w tych Strachocicach dostali się rodzice za staraniem przez faktorów żydowskich na szynk dworski bo wtenczas wszystkie szynki wódczane były własnością dziedziców czyli właścicieli ziemskich, a każdy taki dziedzic miał przy boku faktorów przeważnie żydów, ci faktorzy kupowali dziedzicowi konie, bydło, owce i co było do sprzedania w takim dworze, to znów sprzedawali, szykowali kupców nabywców i odbiorczych, tak samo ci faktorzy przedstawiali dziedzicowi ludzi do służby jak fernali, rataji, włódarzy, szynkarzy i t. d. i dlatego i mój ojciec za staraniem i wynadgródeniem takiemu faktorowi dostał się na szynk czyli karczme z wyszynkiem okowity, bo każdy dwór miał wtenczas własne gorzelnie i wstawiali beczki z wódką i okowitą do szynków, a szynkarz dopiero te napoje rozsprzedawał ludziom. Ludność okoliczna takiego dworu to byli prawie służba dworska i odrobnicy. Ci odrabiali dworom za ziemię, a inni utrzymywali się tylko z zarobków co zarobili we dworze pańskim, tak samo i moi rodzice dostawali wynadgródenie na utrzymanie za sprzedaż trunków, czym więcej wyprzedał wódki, tem więcej miał zarobku i na szynku lepiej się powodziło rodzicom, jak na dworacze, bo na dworacze ojciec musiał dzień w dzień być u roboty i to

nawet i po nocach, a matka musiała robić dworowi jak: owce strzyc, wełne prać, krowy doić, prząść nici na płótno na worki i płachty i inne rzeczy, a na szynku tego już nie było, ale za to to trzeba było odpłacać takiemu faktorowi czyli żydowi, bo inaczej to taki żyd, kogo innego przedstawił na szynkarza, a temu pierwszemu wymówił miejsce. To samo stało się i z rodzicami moimi. Ojcu dosyć powodziło się jak na owe czasy nieźle, żyd faktor chciał i żądał wynadgrożenia większego, ojciec mój nie chciał mu dać więcej i wobec tego miał ojciec wymówione miejsce od Św. Wojciecha to jest pobytu w Strachocicach dwa lata. Ojciec wobec tego zwraca się z pokorą i prośbą do faktora nazwiskiem Borucha z miasta Dobry, który był faktorem w majątku Państwa Wollów w Skęczniewie, a że ojciec był tam poprzednio 4 lata na dworaczce i był dobrze widziany tak u państwa Wollów jak również i u żyda faktora Borucha, no i z Boruchem zgoda zapadła za dobrem wynadgrożeniem, a ojcu zależało na tem by być w Skęczniewie na szynku, a to dlatego, że jest to wieś kościelna, to w połowie większy przyjdzie interes, a po drugie że w Skęczniewie już wtenczas była szkoła, to wielki cud był wtenczas, a nas dzieciaków było już troje zdolnych do szkoły choć ja dopiero miałem siódmy rok życia, a było to w roku 1881 po przeprowadzeniu się rodziców z Strachocic do Skęczniewa gminy Piekary powiatu Tureckiego. Był wtenczas Ks. proboszczem Leopold Kobusiewicz, a nauczycielem moskal Smitow, organistą Redmerski a gospodynią księdza jak sobie zapamiętałem jakaś tam kuzynka proboszcza urodna, młoda i tłusta, dobrze utrzymana. Budynek szynku był bardzo duży, bo sama sala do wszystkich gości i tańcowania mogła pomieścić z 50 par a dla muzykantów były wysokie stoły, co głowy sięgały sufitu a nogi muzykantom jak siedzieli na stole równały się prawie z głowami ludzi tańczących, takie było urządzenie w szynku, w pośrodku tej sali był gruby słup co podpierał podciąg, a podciąg trzymał wszystkie belki aby się nie załamały, w końcu tej sali była wysoka krata a za kratą całe urządzenie szynkowni, to jest beczki z wódką i okowitą i piwem; pamiętam że wódka na początku była po 5 groszy za półkwaterek, a osiem półkwaterek to stanowiło kwarte, a później wódka drożała co rok aż za 3 lata przyszła po 10 groszy za półkwaterek. Po ukończeniu się przeprowadzki z Strachocic do Skęczniewa ojciec mój zapoznał się z p. Nauczycielem, a że to było przy szynku, to sprawa była bardzo łatwa, bo chętnie p. Nauczyciel odwiedzał ojca często. I pan Nauczyciel przyjął dwoje starszych ode mnie siostrę i brata do

szkoły, a mnie nie chciał przyjąć że jestem za młody. Dopiero po 2-ach miesiącach przyjął i mnie do szkoły i uczył mnie rozpoznawania liter czyli po rosyjsku azbuki, ja był bardzo pilny i bystry w nauce bo pomimo że mnie późno przyjął, ale i tak na ukończeniu roku szkolnego przeniósł mnie z grupy do pierwszego oddziału i byłem razem ze starszymi bratem i siostrą, to była ogromna radość dla mnie, pamiętam to wszystko. Nauczyciel był ogromnie ostry, wymagalny a że nas osobiście ogromnie pilnował w nauce, widocznie rodzice go o to prosili. Po skończeniu drugiego roku szkolnego przeszedłem do oddziału drugiego, tam już trzeba było uczyć się i rachunków już na cztery działania, a to wszystko w ruskim języku, a po polsku to tylko dwa razy w tygodniu, a że byłem zdolny to mnie i jeszcze drugiego zwolnił po lekcjach abyśmy się uczyli po łacinie ministratury, służenia do mszy św. Uczył nas p. Organista na żądanie Ks. proboszcza tak że po pewnym czasie dobrze się nauczyłem i co drugi dzień chodziłem służyć do mszy św., mszału dużego nie mogłem unieść ani dostać i położyć go na ołtarzu, bo byłem za mały, a mszał był za ciężki, to Ks. przenosił sam, a mszał żałobny mały, to mogłem go przenieść i położyć na poduszce, po jakimś czasie kiedy chodziłem do służenia mszy św. to tak obserwowałem i uczyłem się, że po roku czasu to już umiałem choć nie rozumiałem śpiewać i odprawiać msze jak ksiądz, to znów psaliśmy żałobne nad umarłym, że często jak po skończeniu mszy i po odejściu księdza do plebanji, to ze swoim kolegą odprawiałem msze św. i za to od czasu do czasu dostałem za uszy od księdza. To znów jak przyszła kolenda w karnawale jeździłem z księdzem po kolendzie, a była wtenczas taka moda, że najprzód zrana poszedł na te wieś, gdzie była przeznaczona kolenda, kościelny, jego obowiązkiem było by chodzić od domu do domu i uczył w każdym domu co i jak mają się szykować na przybycie Ks. z kolendą i za takie napomnienia dostawał od gospodyń różne rzeczy jak groch, mąkę, jajka lub pieniądze i to było dla kościelnego, a w jakie półtorej godziny to znów zajeżdżamy p. Organista, Ks. i nas dwóch chłopaków i znów każdy miał swoje zajęcie i tak p. Organista musiał na drzwiach napisać trzech króli i rok i za to dostał też coś osobiście od gospodyni, my chłopaki ubrani w kumże i kołnirzyki czyli poleryny, każdy z dzwonkiem w ręku idąc przed księdzem naprzód dzwoniliśmy przez całe podwórze, sięn i w domu stanyliśmy przy drzwiach, po bokach dzwoniliśmy i odśpiewaliśmy kolendę po jednej zwrotce, za to dostawaliśmy po 2—3—4—5—6 groszy, zależało od zamożno-

ści gospodyni, a były wypadki, że dostaliśmy u zamożnego gospodarza i po 10 groszy, to na owe czasy był wielki pieniądz dla nas chłopaków, a ks. zaś wypytywał się rodziców ile mają dzieci, jak mieli dzieci dużo, a te wszystkie dzieci musiały być obecne na tej kolendzie, to ksiądz wypytywał się czy umieją katechizm czy umieją się przeżegnać, czy rodziców słuchają i t. d., więc ksiądz za dużą rodzinę stopniowo błogosławił, to jest czem więcej dzieci było tem dłużej błogosławił, i za to ksiądz dostawał zboże, jak żyto, pszenice, a przeważnie owies dla koni lub na sprzedaż. Ale były i takie wypadki, że rodzice są w domu, a dzieci nie mają, albo mają jedno lub dwoje dzieci, to tacy znów rodzice dostali od ks. weirke, że dlaczego się nie starają o dzieci, że w tem domu niema błogosławieństwa bożego, że zły duch zapanował nad niemi, że pójdą za takie życie do piekła, bo nie mają dzieci czyli aniołków, któreby po śmierci rodziców mogli uratować ich od piekła i t. d. A bywały i takie wypadki, że był gospodarzem stary kawaler z jaką służącą czyli gospodynią albo z siostrą albo cała rodzina pozostała po zmarłych rodzicach, to w takich domach znów ksiądz miał z nimi robote najrozmaitszą, to temu nie pozwolił ksiądz utrzymywać służącej lub gospodyni, były wypadki że z tego zaszła kłótnia między gospodarzem a ks. Bo taki kawaler też odpowiadał księdzu, że żyje tak jak ksiądz, że żywot prowadzi kapłański i t. p. więc jak gdzie czasem zachodziły takie zajścia, to ksiądz kazał nam chłopakom wyjść, a my jak czasem była sprawa ciężka dla nas, to my słuchali za drzwiami, a jak nie, to wylecieliśmy na podwyrze i dzwonekami psów goniliśmy w pole, jak nie były uwiązane, a psy ogromnie się boją dzwonek. Nawet było takie zdarzenie w parafji we wsi Łęgi Piekarskie, zajeżdżamy po kolendzie do zamożnego gospodarza, schodzimy z woza jak zawsze chłopaki najprzód, a to było zrana, roztwiramy furtkę a 3-ch psów do nas, jeszcze nie były uwiązane, to my anuże straszyć dzwonekami. Psy w nogi, my za niemi i wygoniliśmy je z podwyrza w pole, gdy psy uciekały przed nami, to my mieliśmy wielką radość do tego stopnia, że zapomnieliśmy że jesteśmy z księdzem po kolendzie, dopiero jak my się zmęczyli, przypomina mi się że księdza i p. Organistę pozostawiliśmy samych i dalej nazad z pola do domu, wpadamy do domu kuchni i śpiewamy kolende, jak zawsze, a tu w kuchni niema nikogo oprócz gospodyni, bo poprosili księdza i organiste do pokoju na śniadanie, ale i my dostali śniadanie i po 6 groszy, gospodarz nam zwrócił uwagę, poco my mu psów wypędzili w pole, a my się tło-

maczyli żeby nam księdza nie pogryzły. Jak się objechało całą parafię, to my chłopaki mieliśmy po kilkanaście złotych a ks. po kilkanaście wozów zboża, a przytem to się widziało dużo rzeczy i słyszało wiele różnych rzeczy. Najgorzej to było w kościele we św. Szczepana dla mnie, a to dlatego że jak ksiądz święcił ludzi, to ja musiał z kociołkiem nieść wodę święconą przed księdzem a ludzie na ten dzień przywozili owies do święcenia i to w workach, torbach, jak ksiądz już zwrócił się od wielkich drzwi z kropidłem ku wielkiemu ołtarzowi to ludzie rzucali owies na księdza na pamiątkę ukamienowania Św. Szczepana, to jak zaczęli rzucać ten owies, to niedosyć garściami ale i z workami jeden drugiemu wydierał i rzucał na księdza i mnie się też coś dostało, ale za to ksiądz miał owsa kilka korcy, bo kto już raz rozsypał w kościele, to już pozostało dla księdza, to była ogromna wesołość w kościele. Było również wesoło w Wielkanoc, rezurekcja odbywała się w nocy o godzinie 12-ej z wielkiej soboty na wielką Niedzielę, było naszykowane kilka moździerzy do strzylania i z całej parafii fuzje, gdy nadchodziła procesja nad wielki ołtarz to powstały ogromne strzały aż w uszach legło. Wtenczas w Skęczniewie były jeszcze zachowane tradycje w odpusty, a było ich do roku trzy, na odpust schodzili się ludzie z całej okolicy i z innych parafii, chodzili boso a buty czy trzewiki nieśli na ramionach, dopiero się obuwali jak wchodzili do wsi Skęczniewa i to przeważnie najprzód do szynku, mężczyźni z kijami bo przy odpuscie musiały być i bitwy, a w jaki to sposób? Otóż zdarzało się że dwa ślachece umówili się, która służba dworska jest mocniejsza i która którą wybije i wpędzi za miejsce wyznaczone, była określona meta, każdy dwór dał swoim ludziom kwit na pare garcy okowity, a byli jednostki bardzo mocne i bitne, byli pod obserwacją ekonomów dworskich czyli adjutantów, najprzód poszli do karczmy pić i tańczyć, bo muzykanty w każdym szynku byli na skrzypkach i bębnie i tam w tej karczmie zrobili zaczepkę i dalej się bić a że za ciasno było, to jak na komendę wychodzą na plac karczemny i dalejże bić, to już na śmierć i życie, jeżeli jedni drugich wypędzili poza metę, to już bitwa skończona i ten Pan, którego ludzie zwyciężyli pozostaje królem tego obiadu odpustowego, a ci co się bili po skończeniu tej bitwy okowitą się smarują, całują się i razem potem piją i bawią się bardzo sercowo, a kto dostał za dużo to go zabrali do domu i leczyli go dopóki nie wyzdrowiał lub nie umarł. Tak się przeważnie odbywały odpusty w Skęczniewie. A teraz o nowożeńcach wspomne, wszystkie nowożeńce

z całego roku danej miejscowości którzy podlegali pod okrąg karczmy i danego dworu to w ostatki czyli w dwa dni przed popielcem starsze mężczyźni i kobiety ubrali pół woza, w przodku ustawili brone żelazną, na tej bronie zrobili siedzenie, nad siedzeniem na czterech drążkach zrobili z płachty daszek i taki pół woza przybrany i zaprzągnięty w kilkanaście ludzi 10 — 20, podjeżdżali do każdej młodożeńcowej do jej domu, ona musiała usieść na to siedzenie i przywieźli takową do karczmy dla wykupienia się i tak kolejno zwozili wszystkie kobiety młode, gdy je pozwozili wszystkie ile ich było w tej miejscowości dopiero nastąpiło uroczyste wykupowanie się i bez to była już zaliczona każda taka para do towarzystwa na całe życie w karczmie, muzyka grała, tańczyli, pili, całowali się, bawili się i to bardzo sercowo aż do środy popielcowej a w środę popielcową zrana poschodzili się również, aby zakończyć karnawał i muzykanta powiesić. A było tak w środę popielcową, w karczmie przy wejściu nad drzwiami musiał być zawieszony koszyk z popiołem, jak ktoś przyszedł do szynku, to stanął pod tym koszykiem, czapkę zdjął z głowy i mówił: Niech będzie Pochwalony Jezus Chrystus i w tej chwili szynkarz musiał dobrze każdego obserwować i pociągnąć za sznurek który był przeprowadzony od tego koszyka z popiołem aby każdemu dać popielec, to jest osypać go popiołem, bo gdyby tego szynkarz nie uczynił, toby była wielka awantura i wyzwiska i gdy tak się wszyscy bawili do godziny 12-jej w południe, punkt o 12-stej godzinie wieszają muzykanta na powrozie sztucznie a ten muzykant stopniowo coraz wolniej smyczkiem pociąga i miłosiernie, aż nareszcie skrzypce mu z ręki opadają jest już ktoś naszykowany, skrzypce spadające z rąk muzykanta łapie, by się nie potłukły i wtem kończy się już zabawa wesola, a nastaje post. A jaki to był post wtenczas, nie wolno pod żadnym pozorem jeść nabrału, a o mięsie, słoninie to już nie wolno mówić ani myśleć. Ludność na post i wogóle na cały rok naszykowali kapusty i to nie takiej jak jest obecnie, bo taka się nie rodziła, była to kapusta o małych główkach a przeważnie liściasta, ludzie te kapuste oczyszczali z mszyc, gąsiennic, z piasku wieczorami i nocami i mieli duże beczki i to 2—3—4 sztuk, siekali te liście siekaczami, bo o heblach to nikt nie znał i nie widział, ubijali ją przeważnie nogami i lali do takiej beczki wody kilka wiader i po jakim czasie ta kapusta zakisła, a ta kapuśnica była taka kwaśna, że aż twarz się wykręcała, otóż przez cały post to była jako okrasa ta kapuśnica do barszczu i zaliwajek a kapusta do kartofli na obiady,

choć gospodarze mieli krowy i mleko i z mleka robili masło, sery na sprzedaż, a serwatke dawali świniom lub krowom a ludziom ani dzieciom nie wolno było dać, bo to byłby grzech ciężki co za to prosto by poszedł do piekła, a jakby kto widział, że ktoś by jadł z mlekiem, to chybaby go na środku drogi ukamienowali taki był srogi post zapowiadany przez Księżę. Nas było ośmioro dzieci to brzuchy zezieleniały nam od tego życia. Rodzice moi byli bardzo bogobojni wierni i posłuszni rozkazom Księżę i w nas wszystkich tak wmówiono aby po śmierci nie dostać się do piekła. Kiedy razu jednego matka nasza zachorowała jeść nic nie mogła, tą kapuśnicą wymiotowała, ojciec poszedł do Ks. proboszcza prosić o dispense czyli w imieniu Boga o pozwolenie aby można chorej matce dać pożywienie z nabiału. Ksiądz mówił że to jest niemożliwe ale jako tak choremu i wiernym udzielił dyspensy za 3 ruble, a wtenczas te 3 ruble to miały wielkie znaczenie to jakby dziś 50 zł. i rzeczywiście po zmianie innego pożywienia matka przyszła do zdrowia i za to ojciec dał parę rubli na msze święte za uzyskanie zdrowia. A kiedy nadszedł już wielki tydzień to my dzieci z niecierpliwością oczekiwali tej Wielkanocy, tego jajka, kielbasy, szynki, masła, sera, mleka, kawy a jak już wielki czwartek i piątek rozpoczęli piec chleb, placki, babki, jajka bić do ciasta, cukrem posypywać, to aż śliny wstrzymać nie było można, a tu nie wolno nawet obliznąć nic, bo to wielki grzech. Dopiero we wielką sobotę jak ksiądz poświęcił, bo objeżdżał całą parafię święcić te dary Boże, to już każdy czekał że niedługo nadejdzie Wielkanoc. Wielkanoc na śniadanie musiała być poliwka z konopi i nawpół z chrzanem na pamiątkę jak Chrystusa octem i żółcią poili, od tej poliwki usta się wykrzywiały taka gorycz, a potem dopiero po jajku i kawa, placek, ser i t. p. Co to za radość, co to za apetyt, ale ile z tego nastawało boleści żołądka i brzucha, a potem całe dwa dni Wielkijno-cy wesołość, lali się wodą, krąga tulali wszystkie gospodarze i szły śpiewy, to znów chodzili z wózkiem przybranym kogutem i t. p. Ja zaś jak to taki dzieciak przyglądałem się na to wszystko i umieszczałem w swej głowie, byłem ogromnie żywym i lekkomyślnym, płałem różne figle, ale się uczyłem, nauczyciel za naukę nigdy mnie nie ukarał chyba za zbytki, to też już w roku 1883 dnia 18 maja przystąpiłem do pierwszej spowiedzi i kumunji świętej za ks. Leopolda Kobusiewicza w Skęczniewie i ten obrazek pamiątkowy jeszcze go mam pomimo że upłynęło lat 49. I tego roku wstąpiłem już do 3-ciego oddziału, w 3-im oddziale już na czysto trzeba znać

cztery działania, pieriewod czyli przetłumaczać z ruskiego na polskie. Ojcu dosyć się dobrze powodziło w Skęczniewie to też nastąpiła zazdrość, bo inni podkupili ojca czyli temuż Boruchowi przeznaczili lepsze wynadgrozienie i w roku 1884 ojciec był zmuszony opuścić Skęczniew i kupił sobie gospodarczkę składającą się z 13 morgów w kolonji Wólka Przatowska gminy Szadek powiatu Sieradzkiego i przeprowadził się w miesiącu kwietniu tegoż roku ja zaś nie miałem możności dokończyć 3-ci oddział szkoły, bo kończył się 1 lipca. Po przeprowadzeniu się do Wólki Przatowskiej zmuszeni byliśmy się wziąć za zajęcie gospodarcze do czego kto był zdolny, ja zaledwie mając lat 10 używany byłem już do pasenia bydła, młodszych było ode mnie czworo, to ich uczyłem czytać i pisać rachować w miesiącach zimowych, bo szkoły tu nie było, że w pare zim nauczylili się czytać pisać i rachować, najstarsza siostra wyszła za męża i wyszła z domu, reszta siostrów były młodsze ode mnie, a brat starszy ode mnie był bardzo powolny i po wyjściu siostry z domu matka wzięła mnie pod swoją rękę do pomocy domowej jak krowy doić, masło robić, zmywać po domu, sprzątać, oprzątać kury gęsi świnię i bydło, a starszy brat znów ojcu pod rękę do gospodarstwa i tak robiłem do 16-stego roku życia, później już te młodsze nadraszały i do pracy były zdolniejsze ja zacząłem się rozpatrywać już i poza domem, a to mnie zmuszało, bo w domu też niedostatek, dzieci kilkoro, rozchody duże a dochodu z takiej małej gospodarki nie było, a jeszcze na dobitkę ojciec musiał budować dom, stodołę i oborę, bo budynki były bardzo lichy, każde z małości musiało robić co tylko mogło zrobić, ja mając lat 11 to już musiałem z bratem starszym młócić ręcznie na cepy, sieczkę żnąć i t. p. Ojciec był bardzo nabożny, bo tak Księża wbili to w głowę a strasznie się bał aby po śmierci nie poszedł do piekła, to na roraty w miesiącu grudniu zawsze nas chłopaków budził ze snu aby iść do Szadku. Roraty odbywały się o godzinie 7 rano, to jeszcze było ciemno a do Szadku było od naszego domu 4 wiorsty, nieraz śniegi zawierucha mróz trzaskający ojciec budzi nas aby się ubierać do kościoła na roraty, trudno trzeba wstając, zanim się ubrałem to już zmarzłem bo w domu zimno i dalejże z ojcem do kościoła, nieraz ciemnica że niewiadomo gdzie droga, ale trudno trzeba Boga chwalić, by nie iść do piekła. Bywały wypadki i to bardzo często, że przychodzimy do miasta Szadku, idziemy przez rynek a stróża nocne miasta pytają się kto idzie, ojciec odpowiada swój, a stróża co za swój a na to N. z Wólki Przatowskiej, ide ze synami na ro-

raty. Stróże mówią, że dopiero godzina trzecia po północy a do 7-ej to jeszcze daleko, a tu mróz lub śnieg, zawierucha, obuwie i obleczenie marne bez kozuchów, ubrania cajgowe bez wełny i co tu robić, ojciec z nami latał wokoło rynku, aby nie zmarznąć, a tu już ze sił się spadło, bywało że się ze słabości przewracaliśmy. Gdy ojciec widzi, że my pomgleli, pyta się stróżów gdzie tu jest piekarz, a piekarze w nocy chleb pieką, to gdy czasem dobił się do piekarni gdzieś tam bez płoty, kupił chleba i podjedliśmy, aby nieco przyjsć do siły a tu do godziny 7-mej jeszcze daleko, latamy nadal wokoło rynku, czekając aż kościelny otworzy kościół i zadzwoni na anioł Pański i na msze św., gdy zadzwonił dalej do kościoła ale tam nikogo niema, zimno, cugi a nuż tupać wychodzić i wokoło kościoła latać, aby nie zmarznąć aż nareście ksiądz wyszedł ze mszą św. i modlić się, a tu nie można czuć rąk, nóg, uszów od zimna ale to wszystko ofiarowanie aby nie iść do piekła. To tak się działo rok rocznie a w domu bieda. Założyłem i szkołę domową co domowych uczyłem, ale i ze wsi przychodziły też dzieci ażeby nauczyli się choć czytać, ale to nie było wolno za moskala, uchodziło mi to dosyć długo aż nareszcie ktoś obskarżył mnie że uczę dzieci, strażnicy rosyjscy jednego razu idą w podwyrze, ja jeszcze ich ujrzałem oknem, a że miałem u siebie taką dużą azbukę czyli wszystkie litery rosyjskie jeszcze ze szkoły, położyłem to na stole, a książki polskie i kajeta schowałem pod pierzyne, a przy stole jest nas dziewięcioro dzieci, a strażnicy wchodzą, ojca nie było w domu a matka w kuchni, mówili dzieńdobry, odpowiedziałem dzieńdobry, a oni: wy czto tu diełajete? Ja mówię: uczymsia. A eto niewolno. Ja — kak nie wolno tocz my żyjom na wsi i sowsiem nie znamem azbuki rosijskiej, a chotiemy się nauczyć po rosijsku. A kto was uczyt? Oto ja. A skolko imiejesz let? Dwienacet. A ty gołubczik malczyk odkuda ty nauczyłsia? Ja chodził do szkoły w Skęczniewie, ujezda Turku. A czto ty umiejesz? Czytać pisać i arefmietike. Ty znajesz arefmietike? nu tak skazi nam swoje knigi? Sejczas, poszedłem do drugiego mieszkania i przyniosłem wszystkie książki ruskie i polskie co jeszcze miałem ze szkoły i kajeta z pieriewodami z ruskiego na polskie, moskale poprzeglądali książki, kajeta, rachunki i mówi: a to ty choroszo uczyłsia, a bo ja wiem, nu da choroszo, potem przejrżeli i te azbuke rosijską, wypytywali się dzieciaków czy znają litery rosijskie ale owszem już znali, pokiwali głowami i mnie się zapytali, co ja umie po rosijsku na pamięć, ja odpowiedziałem że umie i musiałem im powiedzieć niejedno jak Striekoza i Murawiej

z książki Wodowozow, to znów Biesy i inne. Uśmieli się i zapowiedzieli, że ogólnie uczyć niewolno, ale po rosijsku to można, pożegnali nas i poszli sobie i więcej nie przychodzili a ja uczył dalej aż do końca 14 roku swego życia, a mając lat 16 czułem że na świecie może tak źle nie jest.

Otóż gdy w domu pilniejsze roboty były porobione udawałem się już na zarobki do innych gospodarzy i aż na drugą wieś. Za zarobione pieniądze kupiłem ubranie, obuwie, grosza na nic nie wydałem co było niepotrzebne, a w 18 roku puściłem się do Łodzi na zarobek, ale dopiero na zime, jak roboty w polu były ukończone. Do tej Łodzi zaprowadził mnie mój kolega, który już tam był dwa lata, przyobiegał mi, że robote dostane i poszedłem z nim pieszo, bo na furmanke szkoda było 50 kopiejek. W Łodzi znalazł mi mieszkanie u jednych ludzi, co też chodzili do roboty, za mieszkanie miałem płacić 2 zł. tygodniowo to tylko by się przespać, a życie swoim kosztem. Roboty zaraz nie dostałem przez cały tydzień a tu wydatki za ten tydzień; mieszkanie 2 zł., życie 8 zł. (t. j. 1 rb. 20 kop.), choć żyłem tylko chlebem i wodą i na tydzień kupiłem sobie dwa śledzie po 4 grosze, tak oszczędnie żyłem bo na to nie było. Nareszcie po tygodniu dostałem prace, ale ciężką — do stolarni, deski i bale donosić do heblarni i spowrotem odnosić i to w dwoje ludzi, poodciskałem ciało na ramionach pomimo że były poduszki, żebro na żebra zachodziło, nogi się gieny, ale to wszystko trudno, aby zarobić coś pieniędzy, a tu jeszcze niewiadomo ile ja dostane dopiero mam się dowiedzieć po 2-ch tygodniach swej pracy i za ten czas grosza się nie dostanie bo te 2 tygodnie to muszą pozostać jako kaucja, ale trudno pracuje dalej, jak się skończyło 2 tygodnie mej pracy dowiaduje się z kantoru tej fabryki że będę pobierał 3 ruble tygodniowo. Ucieszyłem się mocno, że ja już zarobiłem 6 rubli przez te 2 tygodnie, a na życie i mieszkanie wydałem 3 ruble czyli po 20 zł. tygodniowo, bo rubel stanowił 6 zł. groszy 20, oj pracuje i pilnuje się, aby czasem nie pozbyć pracy, a że pora zimowa to wielkie szczęście, chleba sobie nie żałuje, wody i 2 śledzie tygodniowo, aby można zarobić na ubranie, obuwie i coś by ojcu i matce do domu zaniść, bo rodzice nie pozwoliły mi iść na roboty, że się oberwie lub kaleką zostanę, ale trudno. Ubrania w domu miałem bardzo liche to też przy takiej pracy zaczęły się prędko niszczyć, wieczorami sam reperowałem, śmieli się ze mnie drudzy, ale ja na nic nie zważał, aby zarobić. Robiłem grudzień, styczeń, luty, marzec i w kwietniu do Wielkiejnocy. Na robote kupiłem sobie przechodzone ubranie za

2 ruble i tak aż do Wielkiejnocy. Dopiero na wielkanoc kupiłem sobie ubranie świąteczne, kamasze i laske z drutu stalowego nabijanego papierem z gałką do ręki, krawat, skarpetki, kołnierzyk i stałem się narazie panem. Na to wszystko wydałem 15 rubli a jeszcze mam gotówki 10 rubli, wtenczas już z wiosną w polu roboty się rozpoczynają, ano niema innej rady jak Łódź pożegnać i iść do pracy gospodarskiej do ojca i tak zrobiłem. Wielki piątek roboty już stają na święta, rachunek z kantorem uregulowałem, dyrektor czyli majster tej fabryki niechętnie chciał mnie zwolnić, dopiero jak mu wszystko opowiedziałem, że mu się miękko zrobiło, życzył mi wesołych świąt i powiedział, jakbyście chcieli i na drugą zimę szukać roboty i zarobić sobie, to proszę do mnie się zgłosić, jak ja tu będę to was przyjmie. Za to podziękowałem i dalej do ubierania się i do domu i to piechoto, by znów nie zapłacić pół rubla, czyli 50 kopijek furmanki, a z Wólki do Łodzi liczyło się 5 mil drogi czyli 38 kilometrów. Zciągnąłem do domu wieczorem w wielki piątek, wchodzę do domu, Boga pochwaliłem, ojca matkę przywitałem i z braćmi i siostrami. Wszyscy patrzą na mnie, przyglądają się, jaki to pan się ze mnie zrobił, ubranie nowe i obuwie na mnie, a stara bieliza i obuwie w tłumoku. Nastają wypytywania, nawzajem ja najprzód zdałem sprawozdanie Rodzicom, jak pracowałem, jak się odżywiałem, ile zarabiałem, jak się rozporządziłem swym zarobkiem, co nakupiłem, że pieszo z tym tłumokim przyszedłem i że jeszcze przyniosłem gotówki 10 rubli, z tych 10 rubli oddaje ojcu 8 rubli a 2 ruble zatrzymuje dla siebie na niezbędne wydatki. Wtenczas ojciec wstał i wyszedł do drugiego mieszkania rozczulony a matka nie mogła utulić się od łez, porozmawialiśmy o co było poważniejsze, kolacje zjedliśmy i spać, wielga sobota sieczki pomogłem nażnąć podwyrze zamieść, byłem wielce zadowolony, że już na św. od rodziców żadnej pomocy nie żądałem. Święta przeszły wesoło a po świętach znów do pracy w gospodarstwie i pracowałem znów całe lato aż się pozasiwało i kartofle wykopało i już do Łodzi na pewniaka idę zaraz od 1 listopada, bo mam przyrzeczone że robote dostane po zgłoszeniu się w Kantorze i powołując się na obietnicę p. Dyrektora, którego w Kantorze w tej chwili nie było a był tylko jego sekretarz. Zaczekałem i po chwili przyszedł ten sam Pan, ukloniłem mu się i przypomniałem daną obietnicę, owszem chętnie mnie przyjął i zaraz mi powiedział, jeżeli się przez to lato nie popsulem to będzie dostawał 3 rub. 50 kop. tygodniowo, a jak się będę lepiej jeszcze starał to może i po 4 rub. ty-

godniowo i tym mnie sobie kupił i rzeczywiście że przez listopad i grudzień płacił mi po 3 ruble 50 kop, a potem po 4 ruble tygodniowo. Już praca mi szła lepiej i byłem więcej zadowolony, bo już sobie często i wyrobu kupilem, gotowane potrawy częściej jadłem, już miałem zapas ubrania, już nie byłem taki pragnący tego grosza, już miałem w czym wyjść na miasto i rozpoznawać Łódź. Ale znów stał mi się wypadek przy końcu Lutego spadł mi bal na nogę na przygubie i tak silnie mi nogę zgniótł że na miejscu umglałem. W tej chwili dr. fabryczny kazał mnie zabrać do osobistego pokoju przy kantorze i trzeźwić mnie abym doszedł do przytomności, ból straszny noga puchła momentalnie, naprędcie dr. co mógł to zrobił i zawieźli mnie do szpitala fabrycznego, leżałem na te nogę 5 tygodni zanim mogłem o kiju się podnieść i po 2-ch miesiącach dopiero mogłem chodzić, ale nic nie wolno mi było dźwigać, owszem fabryka wypłaciła mi za te 2 miesiące ale w połowe to jest po 2 rub. tygodniowo i po wyleczeniu się przyjechałem do domu ale już nie pieszo, bobym nie mógł i praca w Łodzi zakończyła się wypadkiem, nadal nie mogłem ani daleko chodzić, ani ciężko dźwigać jakies z rok czasu, to też pracowałem w domu i zarabiałem u gospodarzy, a płacili mi drożej od innych bo ja roboty zrobił więcej i tak pozostałem w domu aż do 20 roku życia, ale wciąż oglądałem się poza siebie.

W Szadku był Rejent i miał u siebie stałego człowieka pewnego do pilnowania kancelarji i jako świadek do czynności przy aktach i do różnych posług kancelaryjnych i domowych, był to ten człowiek przez Państwo Rejentów wielce ceniony i szanowany, ja troche się z tem p. Franciszkiem znałem, (bo miał takie imię), otóż upatrzył on sobie panienkę i dalej się żenić i iść na swoje gospodarstwo, a miał już lat 28. Więc jak się ma żenić podziękował Państwu Rejentom za posadę, Państwo Rejenci w żaden sposób nie chcą go puścić, ale trudno serce mocniejsze jak rozum, Państwo widzi że to nic nie pomoże powiedzieli mu że wtenczas pozwolą jeżeli poszuka na swoje miejsce człowieka odpowiedniego i za nim zagwarantuje. Otóż ten p. Franciszek szukał myślą, pamięcią i nie mógł takiego znaleźć, dopiero przyszło mu na myśl czyby ja nie nadał się na jego miejsce, przypilnował się na mnie jak szedłem do kościoła na sumę i powiedział mi całą sprawę szczerze i rzytelnie opowiedział mi zajęcie i jak trzeba się zachowywać, to jego opowiadanie ogromnie mnie wzięło i nadało mi się, czułem że zdążę się ze wszystkiego wywiązać, ale jest jedna rzecz na przeszkodzie że tam

trzeba być pełnoletnim do podpisywania aktów jako świadek, a mnie brakuje jeszcze do pełnoletności 7 miesięcy. Anu p. Franciszek przyjął to na siebie że z tem da rade, przedstawił to wszystko państwu Rejentom zagwarantował za mną, a co się tyczy podpisów jako świadek, to aby mi Rejent płacił mniejszą pensję a w to miejsce świadka jakiego staruszka wynajął i tak się stało.

Na dzień umówiony p. Franciszek zawiadamia mnie abym przybył do państwa Rejentów na umowę w obecności jego, ja na termin z radością się wybrałem i nawet z tą myślą, niech mi nawet pensji i grosza nie dadzą dopóki ja nie dojdę do pełnoletności, a niech dadzą życie i wyspanie na miejscu, a pracy najrozmaitszej to się nie boję i żadnych brudów się nie dopuszczę. Gdy się zgłosiłem do p. Franciszka ten poprosił mnie do kuchni, tam była p. Rejentowa, przedstawił mnie Pani, ja przywitałem Panią Rejentową dosyć już umiałem się znać, a Pani poprosiła mnie i Franciszka do stołowego pokoju tam przyszedł i sam Pan Rejent wypyttywał mnie szczegółowo i stopniowo o mój życiorys od młodości ja grzecznie i nieśmiało stopniowo opowiadałem, a że to było dosyć długo to opowiadanie na pytania to Państwo sami usiedli i kazali i nam usieść. Po całym przejściu mego życia zapytał też o rodzicach czy żyją i czem się zajmują, odpowiedziałem że są gospodarzami w Wólce Przatowskiej 4 wiorsty od Szadku i po wypytaniu przyjął mnie Pan Rejent na posadę. Miałem osobny pokoik mały przy kancelarii Rejenta, p. Franciszek wtajemniczał mnie i uczył jak i co i kiedy mam co robić, obowiązkiem mojem było załatwiać wszystkie sprawunki dla całego domu to jest co dzień rano bułki, chleb, mleko, mięso i t. p. kupować i sprowadzać do kuchni, obuwie czyścić dla całej rodziny i w kancelarii być obecnym przy sporządzaniu i odczytywaniu aktów choć jeszcze nie miałem prawa podpisywać jako świadek bo byłem niepełnoletnim, ale abym się nasłuchiwał i uczył się aby zawczasu dobrze zrozumieć. Pan Rejent człowiek starszy, powaga, wysoki wzrostem. Pani Rejentowa z domu S., jej brat miał w Warszawie czy obok Warszawy fabrykę hute szklaną, ci państwo mieli u siebie panne Julję z domu dawniejszej wysokiej rodziny i mieli pięcioro dzieci, syn najstarszy Kazimierz Bolesław i Marjan, 3-ch synów, córka Janina i Wiesia najmłodsza. Ci Państwo byli bardzo uczciwi gościnni miłośni i pobożni, jednym słowem był to dom wyjątkowy którego takiego drugiego domu przez swoje całe życie nie miałem szczęścia widzieć ni słyszeć pomimo że szeroko znałem różne rody i domy. Z początku było mi

bardzo trudno przyzwyczaić się i zrozumieć to wszystko, aby znać na pamięć co i jak robić, ale tak po tygodniu jednym i drugim to już mi zaczęło iść jak chleb z masłem, ja ogromnie się starałem aby wszystko zrobić jaknajlepiej, by czasem w niczem nie obrazić Państwa bym mógł jaknajprędzej wejść w ślady p. Franciszka. Państwo ogromnie mnie obserwowało i śledziło czy czasem się na co nie załakomie, a przeważnie na pieniądze czy rachunki dzienne rozchodu i przychodu, co każdy wieczór zdawałem na kartkach, czy w innych sprawonkach jak z obuwiem u szewców lub krawców umie się wytargować i to na korzyść Państwa, ale w tych rzeczach byłem zawsze za pewny siebie bo to już z natury rzeczy nie byłem fałszywym, to też bardzo prędko z dnia na dzień coraz lepiej mi szło. Życie miałem króleskie, bo to nic dziwnego, ja całe swoje życie czyli odżywianie miałem bardzo liche jak na początku opisywałem, to jest życie czyli pożywienie było u nas w domu barszcz zalany kapuśnicą, kartofle, kapusta, jagły, kasza, ale to wszystko było jałowe bez okrasz jak w poście i adwencie a oprócz tego to jeszcze były ścisłe posty nakazane do każdego święta w roku odpustu lub Patrona to wigilje tych świąt trza było pościć, cielsko grzeszne suszyć, karać, aby móc tem sposobem po śmierci iść do nieba, taki był rozkaz przez księży i rodziców i ja też tak żywot swój wiodłem do czasu, dopóki się nie dostałem do państwa Rejentów. U tego państwa miałem zawsze na śniadanie kawę i bułki świeże ile chciałem zjeść lub chleba, nie było najmniejszego wydziału w jedzeniu, a na obiad czy to krupnik na mięsie lub rosół i mięsa co tylko się zmieściło, na kolację herbata lub kawa z bułkami pod dostatkiem, ja mając takie jedzenie to już nie wiedziałem jak pracować aby się można takiemu Państwu odwdziaczyć, to też starałem się tak abym mógł wyprzedzić p. Franciszka. W tem domu bywali bardzo często goście, potraw najrozmaitszych służba bardzo dużo wylewała do zlewów ja na to patrząc i rozważam sobie, na wsi ludzie tego nie mają w dni świąteczne co tu się niszczy i wylewa przyglądałem się na to wszystko dwa miesiące i dłużej nie mogłem znieść tego otóż po 2-ach miesiącach bytności mojej u Państwa Rejentów ośmieliłem się zwrócić do p. Rejenta by kupił krowę którą ja będę oprzątał i te wszystkie zliwki krową spase. P. Rejent odpowiedział mi że mogę kupić krowę nic mi nie krępuje, więc ja po znajomości kupiłem krowę od sąsiada, który mieszkał przy moim ojcu w Wólce Przatowskiej za 56 rubli, była to krowa chuda ale zdrowa, maści siwej czyli nieładnej, przyprowadziłem te krowe do ojca przywiozłem gotowej

sieczki, siana kupilem i dalejże krowe oprzątać, krowe jak kupilem to dawała dziennie 4 kwarty mleka jak jej potrochu zacząłem dawać te różne zliwki do picia to krowa nie chce mi pić ani jeść, nie jest przyzwyczajona, ale jak ja przytrzymałem że nie dawałem jej wody, aż ryczała od pragnienia to wtenczas dałem jej pić ale dolałem trochę tych zliwek i tym sposobem przyzwyczailem ją do picia i jedzenia, ale z 4-ch kwart mleka co na początku dawała to w tygodniu spadła do 2-ch kwart, dopiero potem stopniowo podnosiła się w mleczność aż doszło do 8 kwart mleka. Państwo to wszystko obserwowało nic mi nie mówili, ale cieszyli się że już mają mleko po własnej krowie co starczyło na cały dom i na masło i kwaśne mleko, krowa codziennie to robiła się tłuszciesza i ładniejsza to też często kiedy ją wyprowadziłem na podwyrze a była zawsze przeze mnie oczyszczona, że ta siwa krowa zrobiła się srebrzystą to i Państwo często wysli do niej pogłaskali i ubawili się z nią, ta przyjemność niedługo trwała, bo była zacielona, a gdy nadszedł czas ocielenia się była bardzo tłusta do tego stopnia, że doktor uznał za niemożliwe i kazał ją sprzedać rzeźnikowi na mięso i tak się też stało, ten mój wynalazek z tą krową zrobił dla mnie wielkie szczęście, bo Państwo Rejenci jeszcze więcej do mnie mieli zaufania, a po tej krowie to kupowałem świnię chude i dopasałem je na słoninę, szynki, boczki, wyrób i t. d. Muszę wspomnąć, że panna Julja, która była u Państwa, ogromnie się mną zajęła, uczyła mnie jak się i gdzie należy zachowywać, uczyła mnie jak się piecze bankuchy, ciastka sucharki lukrowane i bez cukru, jak się mam ubierać, a że ja nie miałem pieniędzy na ubranie takie jakie sobie Państwo życzyli, to ta Panna Julja wzięła mnie do krawca i podług wskazówek i wybrania towaru kazała zrobić mi ubranie i szło tak aż stałem się pełnoletnim co mogłem być już prawdziwie za świadka przy czynnościach i podpisywać się, od tej chwili zrobiła się różnica dla mnie, bo miałem lepsze wynagrodzenie i zadowolenie. Potem Państwo Rejenci, gdy Rejent umarł w Sieradzu przeprowadzili się z Szadka do Sieradza, zamieszkali na ulicy Wartkiej u p. Otto głównego majstra kuminiarskiego, w Sieradzu jeszcze lepiej się powodziło p. Rejentowi bo było więcej czynności no i ja też w miarę miałem lepiej, był taki zwyczaj że opał kupował p. Rejent wychodząc w dniu targowe na rynek i od handlarzy kupował drzewo na opał na furaż. Gdy ja się rozejrzał w Sieradzu i wtajemniczyłem się skąd ci furmani kupują drzewo i po jakiej cenie jest drzewo w lesie, poprosiłem p. Rejenta żeby mi pozwolił i dał pieniądze to ja

wezme furmanki i zakupie w lesie odpowiednią ilość drzewa, aby starczyło opału na cały rok, p. Rejent chętnie się zgodził, wtenczas ja zgodziłem furmanów od siągi bo wtenczas była taka miara, nie metry a siągi i półsiągi, pojechałem do lasu pod sam Złoczew, bo tam było najtańsze drzewo, a że razem brałem kilkanaście siąg to i cena była niższa, sprowadziłem drzewo ułożyłem w stogi wysoko okrągło by dosychało, to też p. Rejent był z tego zadowolniony, wtenczas węglem niewiele kto palił, bo nie było kolei Kalisko-Łódzkiej wtenczas, a węgiel można było sprowadzać tylko z miasta Łodzi, lub Częstochowy i na drugi rok to już sprowadziłem węgiel ale z Częstochowy, a to dlatego że furmani sieradzcy wtenczas wozili cukier z Cielc do Częstochowy i spowrotem przywozili węgiel i po obliczeniu lepiej i taniej wypadł jak drzewo i tak sprowadzałem węgiel. Ja stopniowo zacząłem się tak zżywać z Państwem a Państwo ze mną i coraz byłem lepiej widziany i po pobycie dwóch lat p. Rejent zaczął mnie wtajemniczać do polityki, co to jest Rosja i czym była Polska dawniej i jak być powinno, ja do tego byłem ogromnie zamiłowany i z wielką uroczystością wsłuchiwałem się, aż i z czasem byłem już przyjmowany do pokoju kiedy były goście, również i o polityce gadali, do tego stopnia byłem zamiłowany i sekretny że po paru miesiącach już byłem na usługi i doręczałem innym ponom gazety i listy i szczęśliwie mi uchodziło, to też coraz byłem lepiej widziany i szanowany. Były nawet takie zdarzenia że jak goście byli u pp. i była taneczna zabawa to mnie jako słudze wolno było przyjść na salon i razem się ubawić i utaćzyć, byłem dla gości już dobrze znany i młode panienki i panie też zarówno zapraszałem do tańca, a byłem dobry tancerz filut i błazen co umiałem gości bawić szczerze i otwarcie ale grzecznie, byłem bardzo lekki do różnych figur, ale wszystko trącało po wojsku nawet i często zaśpiewałem ludowe piosenki chude i tłustawe i to bawiło gości. Miałem raz wypadek w tańcu, tańczę z jedną panią i ta panią mi na rękach zemdlą, gdy to wyczułem a nie chcąc dać znaku o tem gościom, niby poprzestaje tańczyć a mocno trzymam, całuje w rękę i wyprowadzam do drugiego pokoju, zręcznie że goście się nie spostrzegli ale zauważyła to panna Julja ja z tego pokoju już zaniósłem te panienkę do sypialnego pokoju dzieci i położyłem na łóżku, nie tracąc czasu ani na chwile zanim panna Julja przyszła rozpinam te panienkę do piersi, bo wtenczas była taka moda że wogóle panienki i młode panie obciągały się gorsetami tak silnie że w pasie była tak obciśnięta jak pszczoła a tylko piersi i brzuch

występowały z poza tych gorsetów, rozwiązałem z tych sznurowadeł gorsetu. Przyniosłem wody i polałem głowę czoło i piersi nacierając, a panna Julja osłupiała, dopiero po tej mej operacji poprosiłem pannę Julję aby się nadal zajęła, wodą polewała aż do przytomności, a ja już uciekłem dlatego że może się obudzić i mnie ujrzyć, to byłoby strasznie przykre, a powtóre że i jabym też momentalnie umdlał, tak się czułem, starałem się swój obowiązek spełnić jako lekarz, to nakazywał mi rozum i rozum powstrzymywał dodając sztucznie złość w sobie i wielką powagę, ale to na krótko, to chyba każdy przyznać musi, ja chłopiec młody prostego wychowania, energiczny, krwisty nigdy a nigdy nie znałem miłości, walczyłem strasznie i na szkodę zdrowia, gdy się dobiłem po wielkim trudzie rozpinania do piersi i gdy ujrzałem piersi panienki to chyba nikt się dziwić nie może że już musiałem uciekać, a oddałem pannie Julji dalszą operację, upominając ją by nic nie mówiła, że ja tu byłem i że operację robiłem, prawda że sam na tem ucierpiałem na zdrowiu, ale swoje zrobiłem, po pół godziny ta panienka przyszła do przytomności i nie wiedząc nic o mnie. Z tego zdarzenia wynikło tak dla mnie uznanie i wielkie zaufanie miałem nawet i pomiędzy panienkami. A teraz muszę się trochę cofnąć i wspomnąć o dzieciach pp. Rejentów, jak poprzednio mówiłem było ich 5-cioro i to małe i młode dzieci, musiałem i z temi dziećmi się umieć zachować pomimo że one miały niańki do wychowywania to i ja musiałem się stać dla nich wychowankiem, od czasu do czasu opowiadałem im bajeczki, historyjki dziecinne, śpiewy, pogadanki i t. p. i tak przyzwyczaiły się do mnie że trudno ich było ode mnie odprowadzić. A gdy miałem iść do wojska to przez tych dzieci byłem zwolniony od wojska, a to w ten sposób że dzieci z prośbą i z płaczem odnosili się do tatusia i mamusi aby Józio nie poszedł do wojska, rodzice chcąc zadość uczynić prośbie dzieciom, no i samym sobie przykro aby się ze mną rozłączyć, pan Rejent postarał się że mnie zwolnili od tej moskiewskiej służby, najwyżej to że byłem w Kaliszu w szpitalu dwa tygodnie, gdy wróciłem z Kalisza to na te intencje Państwo wyprawili bal, że ich młody polityk pozostał na miejscu, taka była wzajemna miłość. Pani Rejentowa była bardzo miłosierna i to z natury, na początku mego objęcia służby zapowiedziała mi żeby żadnego ubogiego nie przepuścić i dać jałmużnę w jakiejby to nie było postaci i to było na mej głowie, to znów jeżelibym się dowiedział o jakim wypadku biednej rodziny, to musiałem to zameldować i w tem sprawozdaniu zdać przy-

czyny wypadku. Wspomne choć o jednym wypadku: w jednym domu drewnianem na poddaszu mieszkała jedna rodzina składająca się z rodziców i 7-ro dzieci drobnych, ojciec tych dzieci był furmanem u jednego niejakiego Stępińskiego co jeździł karetkami z gośćmi, jednej nocy zapalił się ten dom od dołu, ci co na dole mieszkali to jeszcze się wyratowali od śmierci, ale ta biedota na poddaszu jak się obudzili ze snu to już ściany zaczęły się palić, a nikt z ludzi nie miał dostępu by dać pomoc, bo schody na górę się już paliły, a tego ojca od tej rodziny niema w domu, bo wyjechał do Kalisza, co ta kobieta robi, pobudziła dzieci, okno było w szczycie od jej mieszkania i bierze pierzyny poduszki sienniki to co miała pod ręką i wyrzuca na ziemie tym oknem, krzyczy by tego na dole nie odbierali ludzie, gdyż będzie na to wyrzucać dzieci a ludzie na dole polewali wodą by to się nie zapaliło, naprzód kazała wyskoczyć oknem najstarszej dziewczynce mającej lat 14 by odbierała potem każde dziecko które ona wyrzuci, ta córeczka tak szczęśliwie padła na te pierzyny i poduszki że jej nic się nie stało a matka wyrzucała dziecko za dzieckiem tym oknem, a ta córeczka starsza odbiera każde i nabok usuwa a ludzie dopiero odnoszą te dzieci na miejsce przeznaczone, matka wyrzuciła już ostatnie dziecko a tu już na matce koszula się zapala i z tem ogniem sama matka ostatnia skaka na te pierzyny, poparzona pozostała ale momentalnie na dole wodą zalali płonąca się koszule. Ja przy tem ogniu byłem obecny i patrzyłem na te całą kómdę matki rzucania dzieci i odbiór dzieci i wyskoczenie na ostatku matki, ludzie zdążyli tylko odrzucić te pierzyny a tu w tej chwili całe poprzepalane kozły i to poddasze runęło na dół, straszne to było widowisko i taki wypadek nie mogę tego opisać i wyryć to na papier co wyryło się w sercu. Na drugi dzień rano opowiadałem ten wypadek pani Rejentowej, z wielką siłą wysłuchiwała mnie i potem mówi: Józio, dziecko, proszę cię, idź odszukaj tej matki z temi dziećmi niech oni tu do mnie przyjdą. Ja odpowiadam że pozostali nagiemi z wyjątkiem koszul na sobie, Pani Rejentowa dała mi narazie niektóre okrycia, aby ulicą nago nie szli, poszedłem i sprowadziłem te całą rodzinę, p. Rejentowa wzięła ich do przybocznej kuchni, ja ze służącymi pozносiliśmy zapasowe ubrania dzieci Państwa i dopiero rozpoczęto ubierać każde od stóp do głów i na ostatku i matce tych dzieci dała pani swoje przechodzone ubranie, potem zaprosiła do stołu aby się wszyscy do syta najedli, chyba ten jeden obrazek wystarczy co to byli za Państwo. Byłem u tego Państwa trzy i pół roku, zrobiłem sobie gotówki

700 rubli to na tamtejsze czasy był to majątek dosyć dobry dla biednych rolników i zacząłem myśleć o ożenieniu się aby być samodzielnym i próbować co w życiu co człowiek może zrobić. Miałem szwagra na wsi w pow. sieradzkim, był wtenczas soltysem i jako soltys 2—3 razy bywał w Sieradzu z podatkami do powiatu i zawsze do mnie zajrzał, prosiłem go czy nie ma gdzie jakiej panny, któraby pasowała do mnie, aby była czysta bez plamy panieństwa, urodna, pracowita i obrotna i majątkiem mniej więcej równa hoć swoich pieniędzy ze swej pracy uskładałem 700 rub., a przecież coś i rodzice dadzą ze swego rodzicielskiego majątku mniej więcej choć ze 300 rubli. Ten mój szwagier odnalazł mi taką panienkę jaką sobie życzyłem we wsi i gm. Z. pow. sieradzkiego, ale ta panna miała kilku kawalerów, którzy się o nią ubiegali, może co będzie z tego a może nie, trudno, trzeba ryzykować. Jednej niedzieli wybrałem się w podróż do Z. i tam na mnie czekał mój szwagier, dom tej panny był bardzo pobożny musiałem się pod tym względem zastosować, aby sprawy nie popsuć, na pierwszej wizycie zauważyłem że dosyć sprawa przedstawia się możliwie, byłem drugi, trzeci i czwarty raz i cała rzecz najgłówniejsza załatwiona, wszystko to co sobie życzyłem to znalazłem i majątek, urodę, wychowanie pracowitość jednym słowem do tańca i różańca jak się patrzy, wszystko to robiłem bez wiedzy swego Państwa bo żem nic Państwu o tem nie mówił. Dopiero jak wszystko w należytem porządku było już umówione dopiero odważyłem się państwu o tem powiedzieć, państwo gdy to usłyszeli ogromnie się przerazili, co ja im opowiadam, zaczęli mi odmawiać tłumaczyć że oni byli z tą myślą, że całe życie będę z nimi lub ich rodziną, ale to wszystko nic nie pomogło, bo serce moje było już poświęcone i oddane tej mej narzeczonej, całe życie do tej ostatniej chwili posiłkowałem się rozumem, a gdy zacząłem marzyć o ożenku i jak narzeczonej wpadła mi w oczy, to już nie tyle rządził rozum co serce. Proszę Państwa o zwolnienie mnie, a tu ani rusz, Państwo, panna Julja, dzieci wszystkie proszą mnie abym nie odchodził, ale już mi nie pomogło, Państwo widząc że to już nic nie pomoże z boleścią się zgodzili, ale znów abym ja w swoje miejsce wprawił człowieka i zagwarantował za niego i odnalazłem kawalera jeszcze z Woli Zaleskiej kuzyna mej narzeczonej i po zagwarantowaniu Państwo nieco się uspokoiło, ale mieli żal do mnie. Ponieważ musiałem jeszcze przed ślubem spłacić jednego sukcesora brata narzeczonej w sumie 700 rubli

wobec tego czynność aktu rejentalnego robiliśmy u p. Rejenta mojego i po sporządzeniu aktu a była w nocy czynność robiona, nie było nikogo z obcych ludzi, tylko ja narzeczona i rodzina narzeczonej, dopiero p. Rejent wygłosił przemówienie złożył nam życzenia, to było w kancelarii, potem Pani Rejentowa i panna Julja zaprosili nas do stołu kolacji i złożyli nam życzenia połączone z błogosławieństwem, po skończeniu nad ranem dopiero odjechaliśmy już do domu narzeczonej, a za dwa dni odbył się ślub w kościele tej samej wsi skąd była narzeczona. Ślub był paradny tak go nazywali wszyscy miejscowi mieszkańcy, a kosztował 8 rubli czyli półtora korca pszenicy, dziś toby ks. zażądał za taki ślub 300 zł. czyli 12 korcy żyta, bo to co ja pisze jest rok 1932 na początku tego roku taka różnica w opłatach kościelnych.

Po ożenieniu się wziąłem się energicznie do pracy w gospodarce, która składała się z 16 mórg ale w 12 miejscach a to dlatego że to ziemia ukazna a powtórę składała się ta przestrzeń z 4-ch osad. Nadmienię muszę że wieś Z. to wieś kościelna, ale rolnicy to wszyscy ukaźnicy czyli byli to wszystko służba dworska, najemnicy, wyrobnicy odbywający zaciąg czyli pańszczyzne, dopiero cesarz rosyjski ukazem swoim przeznaczył te ziemie z zabudowaniami tym pańszczyźniakom i dlatego nazywa się ziemie czyli te majątki ukazowemi, i ja tej ziemi ukazowej otrzymałem czyli nabyłem cztery numery. Do pracy rolnej było mi trudno się przyzwyczaić bo to człowiek nie przyzwyczajony, a w dodatku że i na gospodarowaniu się wiele nie znałem, ale że byłem pracowity i ambitny starałem się aby nie pozostać w tyle za sąsiadami, ciężko mi szło z początku, maszyn rolniczych wtenczas żadnych nie było, sieczkę musiałem żąć ręcznie na takiej bikawce, młócić zboże cepami, ale się jakoś robiło. W dodatku studni nie było w podwyrzu a na całą wieś były trzy studnie jeszcze pobudowane przez dawniejszych dziedziców, po wodę trzeba było chodzić daleko, i dlatego na drugi rok postanowiłem sobie studnię pobudować w podwyrzu, gdy się wziąłem do kopania studni sąsiady śmieli się ze mnie że to próżna robota bo wody się nie dokopie i odbierali mi ducha, ale co postanowiłem to i zrobiłem, studnię pobudowałem, a cembrzyne zrobiłem z kamieni, bo wtenczas nie było cembrowin cementowych jak obecnie i wtenczas dopiero miałem wodę własną i w podwyrzu. Polityką się zajmowałem, byłem do tego zaciągnięty jeszcze u państwa Rejentów a i będąc na swoim gospodarstwie od tego nie odstąpiłem to też po jakimś czasie nietylko że już zawiązało się kół-

ko polityczne w Z., ale zdążyłem się zapoznać z miejscowym obywatelem ziemskim p. K. J., a potem i obywatelami okolicznymi, robiliśmy zebrania polityczne, obywatele ziemskie zjeżdżali się jeden do drugiego, a my gospodarze schodziliśmy się ostrożnie gdzie się dało bądź do lasu, w pole i t. p., bo moskale ogromnie śledzili i ludziska w gminie naszej doskonale się wyrobili politycznie, na dowód przytoczę fakt prawdziwy. W czasie kiedy Rosja miała wojnę z Japonją zdaje mi się w latach 1904—1905 i wyszedł jakiś manifest że można pisać akta czy uchwały we dwóch językach polskim i rosyjskim, ale to zezwolenie trwało tylko pare dni, bo moskale zaraz to prawo wycofnyli, więc gdy my się dowiedzieli że można śpiewać polskie pieśni i pisać po polsku obok rosyjskiego, ja wtenczas byłem pełnomocnikiem gminy zachciało nam się też zrobić uchwałę gminną w języku polskim, ale akurat wtenczas nie mieliśmy żadnej okazji i podstawy robić zebrania gminnego, a tu koniecznie trzeba było zrobić, otóż wpadamy na pomysł, w naszej gminie jest droga najgłówniejsza idąca z miasta powiatowego Sieradza do naszej wsi, a na tej drodze jest most dosyć duży, nasza organizacja w nocy wyłamała pare bali w tym moście jakoby się załamał pod ciężarem wozów, prawda że ten pokład na moście był już stary, ale jeszczeby potrwał ze dwa lata, rano wczesna na drugi dzień zawiadamiają gminę i strażników iż na moście pod ciężarem załamały się bale, ja jako mieszkaniec Z. i przy samej gminie zawiadomiliśmy wójta o wypadku, a że nie było pieniędzy w budżecie na takie wypadki, postanowiliśmy zwołać zebranie gminne aby to niby opodatkować się na reperację mostu a przytem postanowić pisanie uchwał w języku polskim. Wójt gminy nie chciał wysłać poleceń do sołtysów aby zeszli się na zebranie z obawy aby nie był ukarany przez naczelnika, więc ja jako pełnomocnik gminy powysyłałem polecenia do sołtysów by zawiadomili każdy swych mieszkańców na zebranie gminne, te polecenia były sołtysom doręczone przez naszych członków koła politycznego, postawili warunki każdemu sołtysowi by polecenia zachowali li tylko dla siebie, a broń Boże nie pokazali władzom, a że w razie śledztwa to żeby każdy mówił że się sami zeszli gdy się dowiedzieli o załamaniu mostu, no i tak się też stało. Na zebranie zeszli się wszyscy gospodarze tak licznie że jeszcze nigdy na zebraniach gminnych tak nie było, a oprócz tego zjechali się wszyscy z gminy obywatele ziemscy i zebranie gotowe. Niektórzy gminniacy mówią, że most się załamał potrzeba go odbudować by nie było wypadku i zmu-

szają wójta i pisarza do napisania uchwały. Obywatele ziemscy znów domagają się by pisanie uchwały było w języku polskim pisarz odmawia posłuszeństwa pisania, zebranie ogólne jednogłośnie zmusiło do napisania, a jeżeli nie chce, to niech opuści gminę, a na jego miejsce zaraz postawili kandydata do pisania, pisarz widząc i słysząc to, pod przymusem wziął się do pisania, a obywatele dyktują mu jak i co ma pisać, uchwała wypadła dosyć długa i zwięzła, ogólnie duch w ludziach był silny, uchwała była pisana w dwóch językach i zaraz wysłana odpisem do naczelnika powiatowego, a podobno kiedy my robili te uchwały w ten dzień to akurat w Petersburgu rząd rosyjski cofnął to co przed paru dniami nadał wolność języka. Na 3-ci czy 4-ty dzień naczelnik dał nakaz wójtowi by na dzień naznaczony zwołał wszystkich sołtysów na śledstwo, na dzień naznaczony zeszli się sołtysi i p. naczelnik przyjechał z strażnikami i żandarmami przeprowadzić śledstwo, w celu kto zwołał zebranie gminne, każdy sołtys był już nauczony żeby mówił że się ludzie sami zeszli, ale dwóch sołtysów znalazło się płochych co dali polecenie naczelnikowi z mojem podpisem, śledstwo ciągnęło się kawał w noc i w nocy, rozmaite wtedy były przeprawy, a za jakiś czas przyszedł papier od Gubernatora iż pozostaną ukarani administracyjnym porządkom na jeden miesiąc więzienia lub zapłacenie 150 rubli, za co, to już nikomu nie było wiadomo, ja był wtenczas biedny, o 150 rublach u mnie nie było co marzyć, więc postanowiłem odsiedzieć w więzieniu ten miesiąc czasu, ale gdy się dowiedział pan K. J., o tem, zawezwał mnie do siebie i mówi mi, żeby za inne jakie rzeczy była ta kara tobym nic wiele nie mówił, żeby odsiedzieć te 30 dni, ale że za rzeczy polityczne, to nie pozwolę, wobec tego że nie masz pieniędzy to ja zapłacę, ja tej łaski nie chciałem przyjąć, więc niby to pożyczkę dał pan J., ale gdy zczasem doszedłem do pieniędzy i chciałem oddać pan J. przyjąć nie chciał, owszem odpłacałem ale nie gotówką tylko pracą. W rok potem trzech moich sąsiadów oskarżyli mnie do Gubernatora że ja na zebraniu kółka rolniczego które już było założone u nas przez Państwo jakoby prześladował moskali to już urzędownie w urzędzie gminnym zmusili wójta by przyjął ich zeznanie i wysłał do Gubernatora. Ponieważ to była sprawa już dawna, oddałem te sprawę adwokatowi i oddani byli pod sąd za oszczerstwa i kłamstwa. Sąd gminny ich ukarał, ale oni zaapelowali do sądu okręgowego w Kaliszu i ta sprawa

wa tak długo się ciągnęła i przez Adwokatów była odkładana że do-
czekała się wojny 1914 roku i wojna ją zakończyła.

A teraz muszę się wrócić jeszcze do roku 1904 czy też 1905
kiedy to poraz pierwszy była pierwsza wystawa Polska w Płocku,
było to porą jesienną, otóż na te wystawę delegowało mnie kółko
rolnicze z Z. Z. Kalisza wyjechali już członkowie polityczni zebrani
z tamtej strony Kalisza i po drodze czyli stacjach zabierali no-
wych członków, a było hasło że na peronie jak pociąg nadszedł, kto
z członków miał wsiadać to musiał mieć chusteczkę owiniętą na
palcu serdecznem u prawej ręki że to niby nos obciera lub kicha
lub czoło obciera i ci co byli już w pociągu zapraszali do swoich
wagonów. Ja wsiadł na stacji w Zduńskiej Woli i tak razem jecha-
liśmy w drodze nas trzech, pojechaliśmy prosto do Warszawy nie-
co ją zwiedzić, a potem wsiść na statek i Wisłę zajechać do Płocka
a reszta puściła się do Kutna koleją i oni lepiej wygrali, bo gdy my
się dostali do Wisły i mamy wsiść na berlinke, zapytaliśmy się czy
jutro rano będziemy w Płocku odpowiedzieli nam że nie, bo woda
miejscami za płytka, wobec tego musieliśmy się nazad udać z War-
szawy do Kutna a z Kutna jechać karetkami do Płocka bo kolej
dalej nie szła. Na szczęście na stacji w Kutnie dowiedziałem się
że trzech Panów też jadą do Płocka, zapytałem się tych Panów czy
jadą, odpowiedzieli że tak i po zrozumieniu się poprosiłem czyby
mogli razem jechać, odpowiedzieli że owszem i za chwile nadejdzie
karetką, i tak razem pojechaliśmy do Płocka. Po drodze ci Pano-
wie wypyfywali się mnie kogo ja znam z obywateli ziemskich i księ-
ży, o nazwiska miejscowości gdzie który mieszka, o kółkach rol-
niczych strażach pożarnych i t. p., a gdy się przekonali prawdziwie
że ja nie kłamię a znam prawdziwie a nawet i charakter jaki którzy
posiadali to dopiero zaczęliśmy rozmowy już czysto polityczne
to znów gospodarcze i t. p. aż do samej Wisły, przez Wisłę po
moście który był wtenczas zbudowany na łodziach ruchomy śliśmy
pieszo, aż dośliśmy się do gmachu Okręgowego Towarzystwa Rol-
niczego w Płocku, po godzinie czasu dopiero na plac wy-
stawy. Co to była za wystawa rolnicza w Płocku, ja swoim oczom
nie dowierzałem aby można coś podobnego widzieć, tak konie by-
dło rogate świny kaczki gęsi kury i t. p. przepiękne że aż oczy
zabolały od wpatrywania się a to znów kłosa zbóż najrozmaitszych
to znów okopowych ogrodnictwa i t. p. Ludności było tysiącami
i z całej Polski Kongresowej, a oprócz tego byli delegacje z Galicji
przypominam sobie że był p. Mateusz Menterys z pow. miechów-

skiego byli i goście z Ukrainy, Podlasia. Była zrobiona i mównica dla mówców przemawiali różni Panowie pamiętam dobrze że przemawiał między innymi pan Maksymiljan Malinowski Redaktor dawniejszej Zorzy, pan Chełchowski człowiek dosyć wzrostu dużego, brunet, ten pan Chełchowski przemawiał dość długo i bardzo wzruszająco, a między innymi mówił, że my polacy nie umiemy ziemi uprawiać ziemia jest zachwaszczona różnemi chwastami a najgorszym i szkodliwym chwastem to jest osiet, jest chwast osiet w naszej ziemi mocno zakorzeniony i ma to do siebie jeżeli go przyrwieś, to on na to miejsce wypuszcza kilka odnóg i tembardziej się rozrasta. Pouczał że chcąc ten osiet wyrwać należycie żeby już więcej nie wypuszczał, to trzeba upatrzeć po dobrem deszczu jak ziemia będzie mięka wtenczas wkładać w ziemię palce wyciągnąć go z korzeniem składać na kupy, a potem wynieść na drogę piaszczystą spalić go, a popiół niech wozy konie i przechodnie zdepczą z ziemią, na te nauki każdy słuchacz przyznał słuszną rację, nawet i moskale mówili między sobą wot choroszo gawarit, tak nužno delat, a owe moskale nie wiedziały że to była mowa o nich, a nauka była dla ludu Polskiego jak powinni z tem ostem moskalem walczyć i niszczyć. Na drugi dzień wystawy było zapowiedziane program wycieczek i tak by wszystka delegacja, która przybyła na te wystawy, skornorano zeszli się na rynek, gdyż będzie wyjazd furmankami w dwóch kierunkach, jedni do cukrowni dla zwiedzenia, a inni do mleczarni konnej, co za pomocą menaża i koni mleko się odciąga i masło się przerabia, i jeszcze dalej zwiedzenia w polu drenowania pól, to było zapowiedziane wieczorem późnem, było zapowiedziane publicznie by goście delegacji każdy ze swej guberni zchodzili się na zbiórke pod słup z tablicą na której były napisane gubernie, a to dlatego by każdy przedstawiciel guberni mógł swoich członków zaprowadzić na nocleg już zgóry przeznaczony. Gdy sygnały były dane do zbiórki, to każdy podążał do swej guberni, a gdy już byli zebrani to ci nasi polityczni „gubernatorzy” lub zastępcy tajnie wybrali po jednym członku z każdej guberni i z guberni Kaliskiej wybrany i ja byłem i zagranicznych gości też po jednemu a było nas razem wybranych 13 osób, między tem i p. Menterys. Jeden z panów zabrał nas osobno do pokoju (a wszyscy inni poszli na spanie) i zapowiedział nam ten Pan byśmy się pomyli uczesali i czekali aż ktoś po nas przyjdzie, około godziny 11 wieczór przyszedł znów jakiś Pan i kazał nam iść za sobą tylko nie razem, śliśmy dosyć spory kawał drogami i różnemi ulicami, aż nareszcie wprowadzono nas do gma-

chu Towarzystwa Rolniczego i wpuszczono nas do pokoi, tam już siedzieli różni Panowie i Panie, Biskupi Księża a było ich kilkadziesiąt, nas 13-tu porozdzielali pomiędzy tych gości tak że prawie jeden drugiego nie widział, taka znikoma była nas garstka tych 13-tu przedstawicieli drobnych rolników, kolacja już była naszykowana dla wszystkich, zjedliśmy kolację i potem rozpoczęły się różne mowy polityczne o kraju naszym i my byli zobowiązani przemawiać i zdawać sprawozdanie ze swej guberni jak ludność żyje, jak rozumuje i jaka naogół idzie praca, po skończeniu pożegnaliśmy się i każdy poszedł na spoczynek na miejsce przeznaczone. Nazajutrz wczesno rano wstając i iść na miejsce naznaczone gdzie oczekiwali już furmanki. Na rynku i po ulicach było mnóstwo wozów, w drabinach siedzeń po kilka że mogło się pomieścić po jakie 20 osób przeciętnie, wszystkie wozy były dworskie po cztery konie zaprzęgnięte, a dla nas 13-tu wybranych z guberni był jeden wóz parokonny konie śliczne i furman był jakiś intelegietny, choć ubrany w ubranie sztangreta, a jak się dowiedzieliśmy drogą tajną był to jeden z obywateli ziemskich, więc jedni udali się dla zwiedzenia cukrowni tylko nie pamiętam nazwy a my pojechaliliśmy zwiedzić mleczarnie i drynowanie pól. Gdy zajechaliśmy najprzód do mleczarni, tam akurat przepuszczali mleko manieżem, obejrzeliliśmy wszystko szczegółowo co na owe czasy była nowina, a potem było śniadanie w tej mleczarni, było mleko bułki masło, najadł się każdy ile zechciał, a potem puściliśmy się dalej w drogę. Jechaliśmy jeszcze kawał drogi soszą tylko nie pamiętam miejscowości aż dojechaliliśmy do majątku tego co było do obejrzenia drenowanie pól. Ześliśmy z wozów i ustawiliśmy się w szóstki i marsz pieszo ze śpiewem wgląd pól ze dwa kilometry od szosy het w łąki czyli przemokłe pokłady, wokoło zdala nie było widać żywej duszy i rzeczywiście pierwszy raz widzieliśmy dreny i roboty dryniarskie, było dren parę wozów, rowy czyli kanały w tem miejscu były krzyżowe a w samem rozwidleniu był usypany kopiec, czyli że nie było gdzie ziemi pomieścić, zmuszeni byli ziemię pomieścić w tym kopcu, a dla nas ten kopiec był wykorzystany, bo z niego przemawiali mówcy, w Płocku była wystawa dla oględzin a tu dla słuchania nauk dla miłości Ojczyzny. Po skończeniu znów szóstkami marsz ze śpiewem do dworu, co było znów około 2-ch kilometrów, tam w pięknym parku i obszernym były już pozakładane stoły z picim i jedzeniem że każdy najadł się co mu się zmieściło, było piwo do picia pod dostatkiem, chleb bułki i wyroby najrozmaitsze, po

skończeniu obiadu znów przemówienia, cały park był obstawiony przez ludzi zaufanych aby ktoś ze śpiegów niewdarł się a po skończeniu wszystkiego pożegnanie i spowrotem jazda do Płocka, kto zechciał to nocował, a kto chciał to na kolej i wyjeżdżał do domu, musze zaznaczyć że ta wystawa kosztowała jednostki moc pieniędzy trudu pracy i poświęcenia, ale też ta wystawa dała wielki obraz nauki rozumu i zamiłowania dla ojczyzny. Zobowiązany jestem wspomnąć jak zdałem sprawozdanie po przyjeździe z wystawy z Płocka. Otóż obowiązkiem mojem było udać się do p. J. i zdać sprawozdanie z wystawy, po sprawozdaniu Państwo J. postanowili by takie sprawozdanie zdać publicznie, otóż oznajmili mi iż na te a te niedziele bym się dobrze i śmiało przygotował do zdania sprawozdania, które się odbędzie w dworze u państwa J., że p. J. zaproszą od siebie gości ze swej strony obywateli ziemskich a ja bym znów zaprosił wzorowych i mądrzejszych gospodarzy jaknajwięcej, no i każdy z nas do dzieła. Na naznaczony dzień zjechało się Państwa obywateli 14 pojazdów z całej okolicy powiatów Sieradzkiego i Tureckiego, ja zaś zdążyłem zaprosić 45 gospodarzy, po obiedzie około godziny 3-ciej pp. idziemy do dworu, tam już pokoje są naszykowane, widzimy dopiero że pp. obywatele i Pań było ich do 35 osób, a nas 45 czyli razem 80 osób, w salonie było już zajęte koło jako pierwszy rząd paniami a drugi rząd wokół Panami, a pozatem dwoma kołami dopiero mieścili się gospodarze, ja zaś miałem zdawać sprawozdanie w pośrodku koła ustawionego z samych Pań. Gdy już wszystko było gotowe i ustawione Państwo proszą mnie w kółko, ja na widok tego poczułem się skrzepowanym i nieswobodnym iż w pośrodku stojąc musze stać do nikłórych Pań tyłem otóż przeprosilem Państwa i z tego koła wyszedłem w sam próg drzwi które były roztworzone szeroko do drugiego pokoju sąsiadującego, przyłożyłem się do futryny drzwi plecami uważając tym sposobym że do nikogo nie będę stał tyłem a powtóre że mi było lżej stać opierając się o futryne ściany, a gościom wobec tego i Panie ustawili się w obuch pokojach, zauważyłem po Paniach i Panach wewnętrzne uśmiejchy, bo w tych czasach to była wielka nowość, aby chłop gospodarz miał zdawać sprawozdanie we dworze wobec Państwa, to tylko wyjątkowo mogli się pogodzić Państwo J. A z drugiej strony uśmiejchali się z ciekawości co to taki gospodarz może coś powiedzieć i spamiętać, jednym słowem było to dla tych Państwa zabawką i ciekawością. Po skończeniu sprawozdania serdecznie mi dziękowały Panie przez podanie

rąk, a ja nawzajem przez ucałowanie tychże rąk, a Panowie kolejno ściskali mi dłoń prawicy. W trakcie tego sprawozdania jak na początku były uśmiechy wewnętrzne i na ustach tego Państwa, to tak później w przemówieniu okazywały się nawet i łzy w oczach u niektórych Państwa a nawet i u gospodarzy z rozczulenia i miłości do Kraju Polskiego. Ponieważ wystawa w Płocku była mniej więcej w 1904—1905 i do samej wystawy czyli tego sprawozdania z wystawy nie wolno było mnie ręki podać przez jakiego z panów obywateli, a tylko mnie ich w rękę całować i tytułować jaśnie panie, dopiero po tej wystawie i sprawozdaniu wszystko się zmieniło, kajdany niewoli ze mnie zdjęli sami panowie i panie bo panowie już od tego sprawozdania nie pozwolili się po rękach całować i mówić jaśnie panie, ale zaznaczyć musze że tylko mnie, i od tej chwili już mi nie mówiono wy, a tylko panie B., a panie od tej chwili z miłą chęcią podawały rękę do pocałowania i od tej pory poczułem się człowiekiem obywatelem o 50% wyżej i jeszcze i więcej szczerzej Panowie odnosili się do mnie z zaufaniem, tak to życie rozumu uczy.

A teraz nieco się musze cofnąć o jakie trzy lata wstecz to jest do roku 1901, w tym roku nastał do nas na proboszcza Ks. ***, na początku okazywał się ludzkim, gadatliwym, ale mocno brał za obsługi religijne, postanowił pobudować wieżę na kształt jak w Częstochowie, choć wieża była i jest murowana bardzo wysoka bo około 60-ciu łokci i na wierzchu była zakończona dużą kopułą zamkową czyli oznaczała stary zamek. Zapowiadał kilkakrotnie z ambony by parafjanie ofiarowywali drzewa jakie kto posiada, więzy, lipy, dęby, świerki, sosny i t. p. i wszystkie sosny czy dęby w których były umieszczone kapliczki przy drogach, a było ich dosyć sporo, to znów właściciele lasów by ofiarowywali drzewa bułdcowego po kilkanaście sztuk i rzeczywiście, że zaczęli sprowadzać drzewa ogromną ilość taką że mógłby cały kościół pobudować, choć kościół w Z. był i jest murowany, pilarze zaczęli to drzewo wyrzynać na bale deski rugle i t. p., ale drzewa rzniete jak dębowe, wiązowe i najlepsze sosnowe kazał ksiądz wozić w podwyrze swoje, a to dlatego mówił aby nikt nie ukradł no i tak też było robione. Na jesień tego roku ksiądz proboszcz nagrabił ściłki w lasach Pana C. i kazał wozić te ściłke w podwyrze swoje. A najprzód to podwyrze ogrodził ogrodzeniem wysokiem i szczelnem by nikt nie mógł widzieć co się dzieje w podwyrzu, gdy drzewa i ściłki było w podwyrzu poddostatkiem a zaszła zima i dobre mrozy rozpoczął to drzewo parafjalne nocami wywozić i ściłką obkładać by nikt nie

wiedział że drzewo wywozi. O jakie 8—9 kilometrów od Z. miał tam gospodarza dosyć zamożnego i widocznie coś ich wiązało że drzewo mu wydawał, gdy to ludzie zaczęli już między sobą gadać, a nawet przychodzili i do mnie meldować o wywożeniu drzewa, chcąc aby się prawdziwie przekonać postanowiłem tego dopilnować. Ale nas do tego było trzech ludzi mając między sobą członka dozoru kościelnego. Otóż jednego wieczoru przyjechał ten ów gospodarz wozem drabiniastym, jak zawsze poprzednio wjechał w podwyrze, wóz wykręcili i dalejże kłaść ściłkę na wóz, a w pośród ściłki drzewo rżnięte, a my to obserwujemy już naszykowaną dziurą, gdy już wóz był naładowany posłi do plebanji na kolacje, po kolacji około godziny 11 założyli konie no i szykują się do wyjazdu, my zaś wysłisimy najprzód, aby się tu nie zetknąć i wstydu księdzu nie narobić, wysłisimy poza wieś i czekamy na jadącego, gdy nadjechał do nas, ja przeprosiłem tego gospodarza ażeby stanął, co uczynił i mówię mu w obecności tych swoich kolegów że już za dużo ludzie gadają że pan wywozi drzewo parafijalne i chowa je w ściółkę, proszę nadal tego nie robić gdyż to znieważa księdza proboszcza no i pana. Ten gospodarz zamiast przeprosić i dać słowo że więcej tego robić nie będzie to zaczął się unosić i krzyczeć, że my mu napad zrobili na drodze, a że miał syna ze sobą w tej chwili wysłał go do księdza, że my zrobiliśmy napad na drodze, ksiądz zaraz bierze ze sobą pomoc z ludzi swoich i idą na miejsce zatrzymania, doszło do tego że ten wóz z tem ciężarem musiał się wrócić do Z. przed Urząd gminny, Ks. proboszcz rozgniewany na nas i posyła strażników i po wójta choć ten mieszkał o 3 kilometry i każe pisać protokół policji i nas aresztować do kozy, a na drugi dzień odstawiać nas do powiatu do więzienia jako za napad. Po tym rozporządzeniu Ksiądz akurat wyciągnął wilka z lasu, bo my wyprowadzeni z równej wagi, to nas dwóch wchodzi na wóz i ściłkę na jedną strone wozu a drzewo na drugą strone woza, publiczności się nazlatywało kilkadziesiąt, choć to była noc, ludzie widzą złodziejstwo — to drzewo zachowane w ściłce. A nuż wymyślania publiczne aż musiała policja zrobić protokół, ale na Księdza i tego gospodarza i to poszło do naczelnika w Sieradzu, ale jakoś ta sprawa zła mała kark no i ksiądz stracił powagę u parafjan. A gdy nadeszła spowiedź wielkanocna, to różne sztuki z nami wyprawiał publiczne w kościele, aby nas upokorzyć, ale to wszystko nie pomogło. Podaliśmy prośbę do Biskupa i po przeprowadzeniu śledstwa za parę tygodni zmuszony był nas opuścić. Potem nastał drugi Ks. pro-

boszcz wielki pan i kaznodzieja. Przystąpił do pobudowania tej wieży no i skończył wieże i odmalował wewnątrz kościół i zawsze przy jaki taki okazji chciał nam odwetować za poprzednika swego. Ja byłem w dozorze kościoła, ale od reperacji plebanji i budynków gospodarskich Ks. proboszcz strasznie się zagniewał na nas że my, dozór, odważyliśmy się żądać rachunków i z tego zawiązała się rozgrywka i to bardzo nieprzyjemna, ksiądz się zaczyna mścić przezważnie na mnie w najrozmaitszy sposób, i tak jak była susza to Ks. z ambony na kazaniu mówi, że Pan Bóg karze was moi parafjanie suszą za to że jest jeden między wami co to występuje przeciwko Bogu i słudze jego mnie Kapłanowi zastępcy tegoż Boga i Matki najświętszej i dopóki nie nawróci się i nie przeprosi Boga i mnie kapłana, to Pan Bóg różgi swej z nas nie zdejmie, a jak było za dużo deszczów, to to samo ludziom powtarzał co i do suszy. Aż nareszcie w jedną Niedzielę zapowiedział bractwu aby się zeszli na nieszpór, całe bractwo było na nieszpórach i po skończeniu nieszpórów przemawia do tego bractwa słowami iż jest tu w bractwie jedna para małżeństwa, ponieważ oni znieważają namiestnika Chrystusowego i nie chcą się podporządkować pod prawo kościoła, pomimo że tylekrotnie nawoływałem z ambony, wobec tego zmuszony jestem w imieniu tego ukrzyżowanego Chrystusa wykreślić ich z tej listy i grona i rzucić klątwę kościelną na nich i ich całe pokolenie. Kazał wszystkim pozapalać świece co trzymali w rękach, a świece moją i żony też kazał zapalić i dwóch chłopców trzymali je a Ksiądz mówi: Wyklinam małżonków N. N. z kościoła po wszystkie czasy i nie wolno z temi ludźmi nic mieć do czynienia ani w ich dom wstępować, pochwalony mówić, u nich pracować, od nich coś nabywać lub kupować, na ich dom patrzeć lub ich mienie i wogóle w niczem się nie łączyć, bo ktokolwiek by tego nie spełnił, będzie tak samo wyklęty jak i oni. I bierze swoją ręką gasi świece moją i żony i mówi: zgasło ich imie po wszystkie czasy jak te świece. Ponieważ żona moja jest miejscową rodaczką i rodziny ma bardzo dużo z dziada pradziada i to rodziny bardzo pobożne, a było ich też spora garstka w kościele, jak tylko usłyszały że klątwą rzucona na nas, powstał płacz i lamenta czego się ta ich kuzynka doczekała, a potem przed kościołem sobie radzą, tyle miała kawalerów to nie chciała ich, przyszed taki ze świata bezbożnik i co to się z tego stało. Ludziska posłuszni niektórzy rozkazom księdza jak szli z Kościoła i gdy nadchodzili nad mój dom to szli bokiem by nie widzieli mojego domu. Żonie się przykro zrobiło

do czego ten Ks. doprowadził, ale ja tłumaczyłem żonie, że to jest mściwość za obronę majątku parafjalnego, że się mści jeszcze za tamtego proboszcza i t. p., aż żona potrosze zaczęła przychodzić do siebie i za parę tygodni zupełnie zapomniała, a ja tem większy zrobiłem się silniejszy i o prawdę więcej walczyłem. Gdy o tem rzuceniu klątwy dowiedzieli się ludzie zacni i poważni tak z gospodarzy jak i z obywateli ziemskich, a to poszło w świat błyskawicą, strasznie znienawidzili księdza i postanowili siłą rzeczy go się pozbyć, co i tak się stało ale nie zaraz, a po roku czasu z miesiącami, bo się Biskupowi nie spieszyło pomimo że delegacje jeździli do Biskupa złożone tak z gospodarzy jak i z obywateli, ale ta klątwa dużo przyczyniła się do oświecenia i zrozumienia biednych i ciemnych ludzi. Ludzie wtenczas byli zupełnie innego mniemania jak dzisiaj, większa część ludności rozumowała, bo tak była wychowywana przez kler, że co ksiądz powie, robi, to już musi być święte, ludzie ciemni ogólnie sobie radzili, mój Boże ten N. N. dosyć ludzki pracowity a jednakowoż ksiądz go wyklął i to teraz zupełnie zmarnieje, z nędzy i biedy umrze i nawet go nie pochowają na cmentarzu, a tylko w rowie, co to za życie jego, a i bez to może nas wszystkich Bóg karać, bo tak ksiądz powiedział, ziemia nie będzie rodzić, bydło konie wyzdychają, może nawet piorun uderzyć w jego pobudynki, spalić, a przy tym i pójdzie cała wieś. I Bóg wie co te ludzie ciemni mówili, radzili, martwili się i obawiali się żeby i oni wszyscy przy mnie do piekła nie poszli jak muszę iść ja ze swoją rodziną i t. p. Muszę zaznaczyć, że wtenczas, to była wielka, a wielka rzecz dla ludzi, po większej części nikt nie przyszedł do domu mojego, żaden robotnik nie przyszedł do roboty, służby wcale nie miałem, bo nikt nie chciał się zgodzić, bo się bał by nie był wyklęty i nie poszedł do piekła, jak potrzebowałem pomoc robotniczą, tu musiałem kogoś sprowadzać z daleka, ale jak pobyl który dzień u mnie, to ucieka by nie poszedł do piekła, to nie tak lekko to przeszło, a przytem ksiądz często z ambony to odświeżał, bo nieraz kazał się modlić wszystkim, aby prosili Boga by odwrócił wszystkie kary które miały dotknąć miejscową parafję, a tylko by karał tych co zasłużyli, a nieraz z ambony zwrócił się ku wielkim ołtarzu zanosząc głębokie prośby, by Bóg nie karał niewinnych ludzi za jednego wyrzutka, a tu lud w kościele krzyczy płacze łzy wylewa i modlą się tak jak im ksiądz każe i to właśnie dla mnie była klątwa kara, ale za co, za to że stanylem w obronie majątku parafjalnego i nie chciałem być narzędziem śle-

po wierzącym jego rządóm, prawda że mnie i mój cały dom wsadził był do czyszcza i to na długie lata, ale jest powiedziane że z czyszcza idzie się do Nieba, i tak się też stało tylko nie zaraz. U nas w Z. było założone kółko rolnicze i to jeszcze przed wystawą rolniczą w Płocku, jeszcze przed rozpoczęciem tarcia się i uganiania z temi niby to namiestnikami Chrystusowemi, bo tak się sami mianowali, jak również była założona i straż ogniowa, ledwie instytucje te były założone przez Państwo J. i uzyskały zezwolenie od władz rządowych, do tego kółka rolniczego należeli najrozumniejsze gospodarze z parafji Z., a było ich około 40 osób, na czele Państwo J., była założona i ochronka dla dzieci biednych rodziców, utrzymywana kosztem tegoż Państwa, ja wszędzie i zawsze jako miejscowy mieszkaniec byłem prawą ręką w tych instytucjach tegoż Państwa. Na kółkach rolniczych radziliśmy o sprawach rolniczych, wtenczas nikt jeszcze nie znał z rolników o żadnym nawozie sztucznym, maszynie do młocki, siewnikach, wialniach, kultywatorach, lub sprężynówkach, nikt nie znał o zbożu oryginalnem tak pszenicy, żyta owsa, jęczmienia, kartofli, wszyscy posiłkowali się gatunkami odziedziczonemi po dziadkach, bo tych rzeczy nie było i nikt się na tem nie znał, to tam gdzieś duże majątki to zaprowadzali dla siebie, ale drobny rolnik nic nie znał. To też jak tylko u nas było założone kółko rolnicze Panowie obywatele porozumieli się z Centralnem Towarzystwem Rolniczem w Warszawie też nowo założonym, aby sztuczne nawozy jak superfosfat, żuźle Tomasa wagonami przysyłali do stacji kolejowej Zduńska Wola, a fracht na ręce moje czyli ja u siebie miałem skład sztucznych nawozów i dopiero ode mnie gospodarze brali na próbe po worku dwóch lub trzech, aby się przekonać czy to co pomoże te proszki, a dwory brały bardzo dużo, że na jesień rozsprzedałem kilkanaście wagonów, wtenczas jeszcze nie było nigdzie tych nawozów w żadnym mieście w naszym powiecie, tylko najprzód w naszej wsi, pieniądze wysyłałem za wagony dopiero po rozsprzedaniu i zebraniu pieniędzy. Ja sam na to patrzałem jak wół na wrota, bo nie sądziłem, żeby tam jakieś popiołki coś mogły pomóc w urodzajności, tylko robiłem, bo niby musiałem przez grzeczność no i chłopską ambicję, żeby tacy Panowie o mnie źle nie myśleli, ale to było nie do wierzenia li tylko z pierwszym wozem. Wtenczas plony u nas wydawały z morgi, żyto po 4—5 korcy, pszenica też tak samo, kartofle 30—40 korcy z morgi, a tu dowodzili niktórzy Panowie i Instruktorzy że z morgi może być żyta i pszenicy po 10—12 korcy

dając prawdziwą uprawę płodozmian no i sztuczne nawozy. Na takie cudowne mowy każdego kółkiewicza brała zazdrość, ale nikt nie wierzył, żeby to mogło być, nawet w duszy i ja też tak myślałem, ale wstydziłem się o tem publicznie powiedzieć, by o mnie źle nie mówiono. Tych wagonów co do mnie przysły pierwszy raz, strasznie się bałem, bo to kosztuje masę pieniędzy, a ja wtenczas byłem bardzo ubogi w pieniądze, ale Obywatele wyczuli we mnie zdolności i posłuszeństwo i to mi powierzyli, ale to nie koniec, przysłali mi żyta orginalnego 1 metr Petkus, owsa 1 metr Ligowo, jęczmienia 1 metr Hanna i kartofli 10 met. Silezja, gdzie tego nikt nie znał. Pamiętam że przyjechał z Warszawy instruktor no i dalejże mnie uczyć co i gdzie mam sadzić i siać i ile wysiać na morgę czego, ile dać sztucznych nawozów i jaki na gatunek ziemi. Ja w duszy niedowierzałem, ale przez grzeczność słuchałem i tak robiłem jak mnie uczono, ale w duszy robiłem sobie rachunek, i taki: jak się nie urodzi i nic nie pomoże, to im za to wszystko nie zaplace, boć przecież ja ich o to nie prosił, a oni tylko siłą rzeczy mnie zmusili. Na jesień pod żyto i pszenice dałem popiołów, tyle co miałem przeznaczone, pod orginalne żyto i pszenice dałem odpowiednie warunki, najgorzej było ze zasianiem żyta i pszenicy orginalnej, bo my wszyscy gospodarze wtenczas wysiewaliśmy na morgę po korcu i ćwierć a nawet i po półtora korca na morgę a tu p. Instruktor polecił by zasiać po pół korca na morgę, czyli jednym korcem po dwie morgi, ja nie wiem co mam robić czy usłuchać czy też trochę zmienić otóż zrobiłem tak, że korcem obsiałem po półtorej morgi tak żyta jak i pszenicy na rezyko, aby zadość uczynić p. Instruktorowi. Ziarno powschodziło rzadko, bo tak było siane i martwiło mnie to aż w czerwcu zrobił się las, słoma jak trzcina, kłosa jak baty wyrastają, sąsiedzi moi a nawet i ze sąsiednich wiosek też tak samo obserwowali cały czas aż do wiosny naśmiewali się ze mnie, aż od maja do samych żniw nie mogli się napatrzeć co to za cuda się dzieją u mnie na polu, ta sama historia jest i z pszenicą. To zboże było siane ręcznie, bo siewnika nikt jeszcze nie znał u nas drobnych gospodarzy i szczęście że zasiałem ręcznie, bo gdybym siał siewnikiem, to by było za gęste, żyto aplegowało od 5-ci odnóg do 15—20-tu, gdy nadeszły żniwa i trzeba je żąć, to kosa drżała tak jakby siekła ciernie, lub młode różgi. Żyto zesieczone i zaraz związano w małe snopeczki ustawiono w kopy, niektórzy gospodarze to mi żeżynali kłosa aby mieć na zasiew, do tego stopnia, że musiałem pilnować w dzień i nocami, do tego pilnowania

zaprosiłem brata swego z Wólki Przokowskiej, bo nie mogłem obcemu tego powierzyć, tak samo było i z pszenicą. Po wysuszeniu zwiozłem do stodoły i dalejże młócić dla samej ciekawości, po wymłóceniu okazało się że żyta z tego korca oryginalnego otrzymałem 23 korce z półtorej morgi, a pszenicy $21\frac{1}{2}$ korca. Co był za krzyk we wsi i całej okolicy, interesowanie się gospodarzy że co to znaczy, to my miewaliśmy z morgi przeciętnie po 4—5 a najwyżej 6 korcy z morgi, a tu tyle czyli z morgi żyta z górą 15 korcy, a ludzie też mogli ukraść z pół korca, ziarno grube jak żołądz. A teraz co do owsa i jęczmienia, posiałem to na kartoflisku również ta sama historia co z żytem i pszenicą. Ale co zrobiły kartofle! jak poprzednio wspomniałem o starych naszych gatunkach były skłonne do gnicia, łąciny usychały zaraz po żniwach i było ich 30—40 met. z morgi, a te nowe selezja kartofle miały tę własność, że do samego kopania były zielone i z 10-ci korcy miałem 120 korcy a sąsiedzi też skradli mnie ze 4—5 korcy, których już nie byłem w stanie dopilnować, zboże oziminowe otrzymałem na jesień a zwiosenne zasiewy i kartofle na wiosnę, a zimową porą byłem wyklęty to jest po zasiewie oziminy, a przed zasiewem wiosennym. A jeszcze muszę wspomnąć że gdy ksiądz rzucił klątwę na mnie i z tego powstało oburzenie między ludźmi inteligentnymi, to miejscowy p. J. kolator kościoła który księżom przeznaczył kawałek ziemi 3 morgi do użytku, a ta ziemia była położona w samym końcu wsi pod nazwą Żłota Góra z natury bardzo dobra i mocna i proboszcz też ją użytkował, siał na tej ziemi lucernie, korzystał z niej przez dwa lata, otóż więc P. J. odebrał księdzu te ziemie po sprzecie zboża czyli na jesień a mnie te ziemie przeznaczył, czyli ja wzięłem w dzierżawę po Księdzu. Ja te ziemie już po swojemu porałem, uprawiałem, a tam gdzie była ta lucernia pozostawiłem ją na dalsze lata, i tak się złożyło, że późną jesienią właśnie była wystawa w Płocku z podwozami zajęło mi 4 dni, a tu jesień ogromnie była sucha, tak że mocnej ziemi zaorać nie można było, ks. proboszcz skorzystał z mojej nieobecności, zaprosił swoich lizusów z parafji aby przyjechali z pługami i żeby mi zaorać te lucernie, te co pozostała po niem, ci gospodarze porozbierali się do koszułi starali się jak mogli, by zaorać te lucernie, ale że ziemia w tym miejscu była gliniasta, powtórę była bardzo sucha, a potrzeba lucernia zakorzeniona to ma takie korzenie jak rzymienie mocne i wisne, i te trzy przeszkody razem nie pozwoliły doszczętnie zaorać lucernie tylko poryli tak jak to świnie na pastwisku, gdzieś coś skrobnył, pokaleczył, tak

pozostawili. Ja po przyjeździe z wystawy do domu widze lucernie pooraną mówią mi że to Ksiądz kazał, miałem za to Księdza oddać pod sąd, bo te ziemie już miałem w posiadaniu, ale inni mi odradzili że niech się Ksiądz ucieszy, a ta mściwość to akurat da ludziom pojęcie jak to robią namiestniki Chrystusowe. No i tak pozostało, na zime te lucernie zwlekłem bronami i przykryłem gnojem z tą myślą że na zwiosne gnój zgrabie posieję seradele i może co będzie lucerny, a może i coś seradeli bo ziemia miejscami była zruszona plugami. Na zwiosne tak zrobiłem a przy końcu kwietnia zaczęła pokazywać się lucerna i to cudownie a w połowe maja to już był ogromny pokos, tam gdzie była pokaleczona, to nawypuszczało aplegrów i zrobiła się gęsta, znów nowy cud się okazał na lucernie. A teraz co z tego wynika i jaki obraz dla ludności, otóż Ksiądz klątwe rzucił na mnie i cały dom mój, ludzi pobuntował przeciwko mnie, ludziom ogłosił że musi cała rodzina zmarnić, niewolno nikomu z ludzi ze mną się stykać ani żadnych interesów mieć, a tymczasem ten Bóg ta przyroda i natura inaczej zarządziły, zboża wyborowe, kartofle cudne, lucernia zmartwychwstała, ludność widzi to własnymi oczami, i tego się dotyka, ludność okoliczna i miejscowa pragnie z każdego gatunku zbóż nabywać odemnie do siewu i sadzenia, ludność widzi cuda, namiestnika zaczynają lekceważyć i takie zaszczepienie wlał w serca ludzkie. Ja rzeczywiście uradowany że przynajmniej teraz się zarobi na zbożu i kartoflach, każdy gatunek zboże sprzedawałem o 100% drożej to jest jak żyto było 4 rub. za korzec, to ja brał 8 rubli czyli że miałem żyta z miarki nie 15 a 30 korcy wartości a kartofli nie 120 met. a 240 met. wartości, wszystko ludzie porozbierali do siewów i sadzenia kartofli, ja dopiero nabrałem na czysto ducha do zbóż, sztucznych nawozów i do umiejętnej uprawy ziemi. Na drugi rok sztucznych nawozów poszło drugie tyle bo każdy widział rezultaty a przede wszystkim umiejętną uprawą ziemi i płodozmian, i wobec tego psie głosy nie poszły pod niebiosy, takie jest przysłowie, ale to zasługa nie moja, to zasługa Centralnego Towarzystwa Rolniczego, to zasługa prawdziwych obywateli kraju, to zasługa p. Instruktora, którą ja tylko wykonał to co mi nakazano, ale żniwo z tego wszystkiego sprzątnąłem ja i na swoją korzyść, a z tego i na korzyść ludności z całej okolicy. Musze jeszcze wspomnieć o tej lucernie jak wyżej wspomniałem, była ona przy samej drodze, a z drugiej strony drogi stał krzyż i zawsze w krzyżowe dni procesja chodzi do tego krzyża rok rocznie, a krzyżowe dni przypadają w miesiącu

maju. Otóż tego maja ta procesja idzie do tego krzyża, na czele Ks. proboszcz, ksiądz przez całą drogę idzie z procesją, przez całą wieś święci wodą święconą ale gdy nadszedł nad moje gospodarstwo kropidło opuścił na dół i wcale nie spojrzął, a gdy już przeszedł moją zagrodę znów rozpoczął święcić, ludzie to widzą i trąca jeden drugiego i gdy przechodził Ks. z procesją około tej lucerni również nie święcił, ale ludzie jak ujrzeli te lucernie to wszyscy święcili ją oczami, bo takiej jeszcze nie widzieli, akurat była okazja obejrzeć całej parafji ową lucernie. A jeszcze słówko. W tych czasach w Niedziele i święta po przeczytaniu Ewangelji była śpiewana pieśń jedna zwrotka i tak: Duchu najświętszy otwórz usta moje, abym mógł wychwalać święte imie twoje, a znaleźli się kilku parafijanów i też razem śpiewali na te samą melodję, tak, Duchu najświętszy spraw abym tak wiernie, mógł zaorać p. N... lucernie i z tego powstało w kościele zamieszanie, aż po kilku miesiącach Ksiądz zmuszony był opuścić parafję. Tego samego roku gdy tak sobie spieniężyłem i byłem zadowolony i w tym samym roku ktoś zamówił dla mnie gazetkę Wiadomości Salezyjańskie z Oświęcima Galicji z pod panowania Austrii czyli wtenczas nazywało się zagranicy, otrzymywałem ją już ze 6 miesięcy. Otóż że spieniężyłem szczęśliwie a tu przez Księdza zostałem wyklęty, posłałem na ich cel 5 rubli, to wtenczas jako na gospodarza małego była dość duża ofiara. Upłynęło czasu jakie dwa miesiące po tej ofiarze, urząd gminy prosi mnie do kancelarji, zaszedłem i natrafiłem na zebranie sołtysów z całej gminy, wchodzę i mówię dzieńdobry, zaledwie odpowiedziało 3-ch sołtysów choć ich było 19-tu, ci drudzy nie mogli, bo się bali, by ktoś nie doniósł Księdzu i by też nie był wyklęty. Pisarz gminny posuwa mi kartkę abym podpisał, ja się zapytałem co mam kwitować, odpowiedział mi że mam do odebrania dwie paczki z zagranicy, przyszły polecane, odpowiedziałem to proszę mi pokazać, owszem pokazał mi, no i ja podpisałem, sołtysi gdy usłyszeli, że jakieś paczki przyszły z zagranicy do mnie, ogromnie ich to zainteresowało, że zebranie przerwali, bo wtenczas to była wielka nowina, aby gospodarz miał coś doczynienia z zagranicą, przyznać się muszę że ja sam byłem ciekawy co to przyszło, ludzie się z boku na mnie spoglądają, ja robie wielką powagę ale widzę że to z Oświęcima Wiadomości Salezyjańskie, doszedłem do przytomności, paczka jedna oznaczała jak gdyby książkę, a druga to było w rurce złożone, zacząłem rozpakowywać dla ciekawości te rurkę, był to jakoby w postaci listu pochwalnego do obsadzenia w

ramki a na nim był napis drukiem dużymi literami Wny Pan Józef N... jest zaliczony w poczet Salezjanów. Ja to wykorzystał w sposób następujący. Wniosłem oczy w górę i mówię: Boże tyś sprawiedliwy i więcej nic nie mówiłem, pocałowałem ten papier i uroczyście składam go jak był, sołtysi i urzędnicy gminni gdy to usłyszeli i widzieli to moje zachowanie prawie wszyscy struchleli, wiem że są ciekawi, ale ja powaga i z daleka od wszystkich zabieram się do odejścia, aż tu przystępuje jeden sołtys, co to nie był płochy a powtóre to z naszego koła politycznego, prosi mnie abym mu pokazał co ja otrzymał, ja poważnie wejrzałem na niego i mówię, wam pokazać moge, zapanowała wielka cisza i czytam mu po cichu aby tylko on słyszał i czytam mu posuwając prawą ręką naprzód przed przeczytanem słowem, a on umi czytać i to dobrze, to przecież uzna za prawdę co mu przeczytałem i czytam Wny J. N... jest zaliczony w poczet Świętych a słowo Salezjanów palcem zakryłem, wręczę jak tylko przeczytał w poczet to już każdy i on zrozumieli, że w poczet św. momentalnie zabrałem paczki i poszedłem do domu. Urząd gminny zamiast prowadzić zebranie z sołtysami o co im chodziło, to po mojem wyjściu ten co czytał te słowa ogłosił im iż ja pozostałem św. i te ludziska dalejże robić sprzeczki, jak to, to Ksiądz go wyklął ceremonjalnie, a zagranicą go zrobili świętym, to niemożliwe, a drugi dogaduje widzi-ta, a czy nie wita, że jak go Ks. wyklął jakie to miał urodzaje zboża kartofli i t. p. przeciz to cud. Siłą rzeczy wyszła szalona dyskusja, jedni w prawo, a drudzy w lewo, ale ten co czytał stwierdzał przysięgą, że tak było napisane, aż zażarte mowy i sprzeczki wydostały się i na wieś. A ze wsi szło najprzód przez gospodynie i do Księdza, wten sam dzień do wieczora to już dowiedziała się prawie cała wieś, ale nie ode mnie, a tylko od tych co byli w kancelarji. Nadeszła Niedziela, Ks. proboszcz z ambony krzyczy na ludzi że takie fałszywe brednie rozsiewają że bluźnią przeciwko Bogu i tym podobnie, ludzie jako w kościele nic nie mówią, bo im nie wolno, ale po skończeniu Nabożeństwa jak tylko wyszli na plac i ulice, dopiero rady i sądy jak tylko kto rozumiał, jedni za mną inni na mnie, ale te poważniejsze gospodarze jak zaczęli udowadniać po uczynkach, pracach urodzajach zaoranej lucerni, skład sztucznych nawozów i zbóż oryginalnych komu toby Warszawa powierzyła takie duże majątki napewno by nie chcieli powierzyć ni Księdzu, organićcie ni nikomu innemu, a mnieby powierzyli, to znów żeby nie ja to ktoby wiedział co się robiło i robi z majątkiem parafjal-

nym, to znów inni mówią a kto wykrył wywożenie drzewa w ściłce przez dawnego proboszcza i t. d. i t. d. aż po jakimś czasie doszli do przekonania i uwierzyli że mogli go zrobić zagranicą świętym, bo tu u nas toby nie dopuścili, bo to z rodu chłopskiego i znów sobie sami dogadywali, a przecież Pan Bóg powiedział, że nie zbawi wiara a uczynki, drugi zaś dodaje że martwa jest wiara bez uczynków a jeszcze inny dodaje, po uczynkach poznać ich, i co jeden to był i robił się mądrzejszy, i od tego czasu krótko zapomnieli o klątwie. Musze to ja do tego wszystkiego co ludzie rozumowali dodać swoje spostrzeżenie, dziwna rzecz, że od chwili rzucenia klątwy dopiero wyszedłem jak z nory na światło dzienne, wpierv to mnie znali miejscowi sąsiady i parafija a potem to prawie pół powiatu, a po Płocku, urodzajach, popiołach i mej silnej energii, to przyjeżdżali i z dalszych stron gospodarze zwiedzić moje gospodarowanie, a potem i zapoznałem się i z Ks. Blizińskim w Liskowie, do tego stopnia że Ks. Bliziński raczył złożyć wizyte w Z. i tego Księdza rozumię i uważam jako sługę Bożego, sługę Kraju, sługę gospodarzy i t. p. bo to ten co buduje a nie rujnuje, bo to ten co umi prawdziwie paść i strzyc owieczki bez najmniejszej rany bo nożyce prowadzi troche nad skórą, a inni ze skórą tną do krwi.

Po tych przejściach najrozmaitszych zdwoiłem energie do gospodarstwa, jakie tylko miałem dochody z rolnictwa obracałem na narzędzia rolnicze. Po wystawie Płockiej kupiłem brone sprężynową, co widziałem pierwszy raz na Wystawie, z moich sąsiadów nikt tego djabła nie widział nie znał, kosztowała mnie 25 rubli a była o dziewięciu sprężynach, jak ją sprowadziłem ze stacji kolejowej, co to było za ciekawość ludzi, wszyscy mówili że te sprężyny się połamią bo to takie cienkie, ja sam zwątpiłem, ale pal licha, jak ma się łamać to zaraz, kazałem założyć 3 konie do niej, sąsiady na mnie że zaraz ją popsuje, ja na nic nie uważałem, jedziemy w pole, sprężyny za poruszeniem trzęsą się i dalej zakładam na 5-ty ząb, to jest dosyć głęboko, konie w ruch dobrego kroka, a tu ziemia ubita rwie się i przetrząsa każdy z nas się przygląda z podziwem, że co to za cudne narzędzie, udało się nadzwyczaj, no to dobrze. Na wystawie widziałem maszyny do młocki, siewniki do siewu i pługi fabryczne, owszem kupiłem taki pług, znów zadowolenie ale maszyny do młocki i siewnik, to gorsza sprawa, bo to drogo kosztuje. Ale przy pomocy naszego prezesa Kółka Rolniczego p. J. udało się nam sprowadzić manęcz i młocarnie z Warszawy i później siewnik 15 rzędowy Superjor, dosyć drogi bo 190 rubli, no to już wielkie zadowo-

lenie, do tych maszyn należało nas czterech gospodarzy, a po 3-ich latach pospłacałem wszystkich sąsiadów swoich i pozostałem sam właścicielem a oni kupili drugi taki garnitur, i tak stopniowo z roku na rok zawsze się coś przykupiło, a to wialnie, redła, brony, do tego wszystkiego namówiła zapłata za wzorową pracę. W tych samych czasach może rok później kupiłem 15 mórg ziemi przy pomocy Banku Włociańskiego zaraz z majątku folwarku p. J., ziemi mi przybyło, powiększyłem płodozmian do tego stopnia że samej koniczyny czerwonej zasiałem sześć mórg. Na drugi rok koniczyna ogromnie się udała, bo już pare lat tam była zła, do tego stopnia że nigdzie drugiego pokosa koniczyny nikt nie miał i u mnie to samo, ale że ja pierwszy pokos zasiekl bardzo wczas to potraw odrósł jako tako, ale taki był, że kosą trudno go było zesiec, ale ponieważ sucho rósł, to były same łebki koniczyny napelnione ziarnem, gdy już była mocno dojrzała, zaprosiłem kosiarzy i tak, na zachodzie słońca o rosie siekli ze dwie godziny, dopóki mogli dojrzeć i rano do dnia siekli po 4 godziny i tak sposobami i o nocnej porze dało się zesiec te koniczyny, ale gorsza sprawa jak te same łebki z koniczyny zgrabić, musiałem z umysłu narobić grabi gęstych i zaraz za kosą zgrabiali raz koło razu, nadmienić musze że pokosa wcale nie było widać, po zgrabiniu zabrałem do stodoły, zimową porą była wymłócona i co się okazał za cud, po wyczyszczeniu już na dobre mam koniczyny ziarna siedem korcy, to były rzeczy niesłychane u gospodarza małorolnego to już nie do uwierzenia, jak się ogół o tem dowiedział, bo to sami robotnicy, służba rozniosła i publiki narobiła, ludziska znów w podziw, co się robi u tego N..., to nigdzie niema koniczyny, a on by miał 7 korcy. O tem dowiedziały się dwory, obywatele ziemskie i pozamawiali koniczyny dla siebie. Sprzedałem im 6 i pół korca, a pół korca pozostawiłem dla siebie i sąsiadów, za koniczyny panowie płacą mi po 60 rubli za korzec, otrzymałem gotówką 390 rubli, ta suma na owe czasy wartości miała trzech mórg ziemi, taki był wielki kapitał dla gospodarzy. W roku 1909 p. J. znów parcelował majątek również przy pomocy Banku Włociańskiego, postanowiłem wobec tego te 15 mórg poprzednio kupione z folwarku sprzedać, a że mi się dobrze rodziło, więc kupców miałem dosyć sporo i sprzedąłem te ziemie, ale bez sprzętu zboża, wszystkie zboża sprzątnąłem dla siebie, a gołą ziemię na jesień oddałem kupującemu. Ja zaś za te 15 mórg nabywam ziemi 37 mórg w tem ziemi ornej 12 mórg, zagaja 12 letniego 22 morgi i stawu rybnego z łąką 3 morgi, ziemia była zgodzo-

na w tym czasie po 150 rubli za morgę, do Banku gotówką wpłaciłem po 65 rubli, a reszta pożyczka z Banku Włociańskiego, z wypłatą na 35 lat, ziemia mi rodziła nieźle, zagaje rosły ślicznie, a to samo za się przemawia że teraz w latach 1928-29-30-31-32 roku już miałem ze swego lasu na budowlę, jak kozły, rygle, łaty, słupy do stodoły i t. p. znaczy się że dobrze rósł, prawda że ziemia pod tem lasem była dosyć dobra (żytnio-kartoflana). Pożyczkę zaciągniętą w Banku spłaciłem na czysto już za polskich rządów po wojnie i już pozostałem czystym właścicielem bez długu razem 47 morgów z lasem, okoliczni i miejscowi rolnicy już zaczęli mnie nazywać zamożnym gospodarzem. Gdy te ziemie nabyłem 37 morgów zacząłem zaprowadzać nową siedzibę czyli budować nowe zabudowania, rozkaz sobie dałem że każdego roku muszę coś pobudować, i tak, najpierw pobudowałem na nowym placu studnię, ale już nie z kamieni, a z drenów cementowych, bo już wtenczas nastały i jednocześnie pobudowałem dużą szopę obitą pod pape, potem stajnię i oborę potem spichrz, piwnice i pomieszczenie na parnik, wędzarkę i na drobne kartofle przeznaczone do parowania dla świń i koni i ogrodzenie podwyrza jak fortecę i to wszystko załatwiłem dorobkiem czyli gotówką. Nadmienić muszę że plac pod nowe zabudowania odstąpił mi pan J. bezinteresownie i to wartościowy bo w samem rynku osady na miejscu widzialnem. W roku już 1913, po wykończeniu wszystkich pobudynków gospodarskich, rozpocząłem szykować materiały na budowę domu frontowego dosyć obszernego, a mając za ledwie na ten dom uskładanych własnych pieniędzy 500 rubli, w roku 1914 przystąpiłem jeszcze w miesiącu marcu do budowania domu kwadratowego 24×24 łokcie z trzępłem z siedmiu pokojami czyli ubikacjami, murowany i dość kosztowny, bo po skończeniu jego kosztował mnie 3.400 rubli, czyli zaciągnęłem długu 2.900 rubli, pożyczka dla mnie dosyć była przystępna, bo kto miał gotówkę to chętnie mnie ją pożyczał na % roczny po 6—8 rubli, prawda że tego domu nie mogłem na czysto wykończyć w jednym a dokończyłem go dopiero po skończeniu wojny Europejskiej, w roku 1918. W tym samym roku 1914 pan J. zawezwał mnie do siebie i mówi, że te moskale nie dadzą nam handlu popuścić w ręce, płodami rolniczymi handlują przeważnie żydzi, jest to dla nas polskich rolników ogromnie nieprzyjemnie i to sprawia przykrość, otóż czyby nie można pomyśleć aby wybudować młyn parowy na większą skalę, a w mieście Sz., w tem samem powiecie Sieradzkim, któryby ten młyn przemalał zboża rol-

nicze, no i otręby by były na używienie trzody chlewnej i inwentarza. Pan J. mówi dalej należałoby odnaleźć zacnych gospodarzy i obywateli ziemskich, by do tego młyna należeli i utworzyć aktem rejentalnem spółkę z nieograniczoną odpowiedzialnością, kupić plac odpowiedni i na miejscu przystępnem do dowozu i wywozu i mówi dalej że w Sz. jest znany i pracowity Dr. L., byśmy go do siebie zaprosili na członka, a z gospodarzy polecił mi pan J. abym takich gospodarzy odszukał a on znajdzie obywateli ziemskich i po namyśle i to zaraz tego samego dnia zrobiliśmy podział pracy, ja odszukania gospodarzy, a pan J. obywateli ziemskich to się działo w miesiącu lutym tego roku. Zrobiliśmy zebranie przedwyborcze i chętnie ci wszyscy pp. się na to zgodzili, by przystąpić do budowy młyna w Sz. i zakup placu przede wszystkim. Gdy już znaleźli się współwłaściciele do budowy i widze że już do skutku dojdzie, objaśniłem zebraniu że ja do tego należyć nie mogę, bo nie mam pieniędzy, wszyscy nowozebrani członkowie nie chcieli się zgodzić z tem żebym do młyna nie należał, nalegali na mnie tem że jeździłem organizowałem, a gdy doszło do skutku, to się wycofuje, ja wtenczas oświadczyłem, że cokolwiek do organizacji mogłem zrobić, lub będę mógł zrobić i nadal, to chętnie służyć będę i pomagać będę bezinteresownie, a na członka z udziałem przystąpić nie mogę, bo nie mam pieniędzy, a do tego jestem już zadłużony i zaciągając pożyczki musze bo rozpoczynam budować dla siebie dom, a zaledwie mam na niego 500 rubli, słyszał to pan J. i mówi, że ja powinienem i muszę do młyna należyć i być współwłaścicielem, a że nie ma pieniędzy, to on mi pożyczyci ile zechcę. Budowę obliczyli na sume 60.000 rubli i podzielili na 60 udziałów, każdy udział 1.000 rubli i wobec tego zgodziłem na dwa udziały czyli pożyczki 2.000 zł. od p. J. Do kupna placu powierzono mnie i p. Dr. L. gdy plac był już wybrany zgodzony i zadatkowany zwołane było ogólne zebranie i wybrano Zarząd z 3-ch osób i tak ta spółka z nieograniczoną odpowiedzialnością sporządziła akt rejentalny w dniu 17 kwietnia 1914 roku u Rejenta w Sieradzu Tymienieckiego, członkowie zobowiązali się wpłacać za udziały gotówką do Banku w Sz. podzieliwszy te sumy na trzy raty I rata przy akcie rejentalnym 2-ga rata na 2 lipca a 3-cia rata na 1 października tegoż roku, członkowie dobrani równi w zamożność spłat dopełnili, ja jeden byłem najbiedniejszy, który nie mogłem nic dać, a tylko założył za mnie p. J. Do zakupu materiałów jak cementu, kamieni, cegły, wapna, żwiru, piasku, drzewa Zarząd powierzył mnie aby się zajął

tem wszystkim i podnosił pieniądze w miarę potrzeby z banku, ja teraz pozostaje w opałach i ogromnem kłopotcie, co ja mam robić, odmówić mi nie wolno, bo mam dane wszystko do rozporządzenia, no i za wszystko i za moją pracę płacą i to dobrze. A stają mi przed oczami moje własne obowiązki, jak gospodarstwo, aby nie upadło, budowa domu własnego, dzieci ośmioro, żona młoda i pracowita a do tego różne ogólne interesy, a tu budowa młyna, pobudynków do młyna toć to potrwa pare lat, bije się myślami jak i co zrobić, jak zrobić rozkład swej pracy, aby nigdzie nic nie było zmarnowane, tak ziemia w kulturze, urodzaje równe, konie, bydło, świnie i t. p. Opowiadam to wszystko żonie swej, co zaszło i co i jak się to stało, a tu żona na mnie, co ty robisz, służby uczciwej niema, budowę rozpoczęłeś, ilu to ludzi będzie przy budowie domu mularze, cieśle, stolarze, robotnicy, a część ludzi na życiu domowem, a tu osiem dzieci i to w latach szkolnych czworo, a jeszcze dwoje będą należeli do szkoły za rok, a dwoje małe, ja ci tego robić nie będę, nie wytrzymam, to ty będziesz latał bronił cudzych majątków, a swoje opuszczał, mnie kobiecie dobijał i swoich, więc co miałem słuchać od żony, może i prawdę mówiła. Ale co tu robić, dałem słowo, słowo trzeba dotrzymać, a chcąc słowa dotrzymać, to trzeba się z całym majątkiem i rodziną pożegnać, tu nastaje teraz w głowie i w duszy bunt, ale zawsze na pamięć przychodzi, jak się zarządzisz, żeby wszystko razem szło i wszędzie było dobrze, a tu wciąż praca w gospodarce i tu na zwiosne i sprowadzka materiałów do budowy domu, po paru dniach zrobiłem plan pracy, i tak, do budowy domu upatrzyłem sobie znajomego a pracowitego mularza, który ten dom ma budować i powierzyłem mu pod jego nadzór wszystkich innych majstrów i ludzi, do gospodarstwa zgodziłem człowieka starszego i rozumniejszego od drugich, by prowadził gospodarstwo i robotników i zgodziłem że będą na swoim życiu by żonie ulżyć, tylko na życiu pozostał tenże mularz i cieśla, a ja na wyjazd w podróż, no najprzód do Sz., najpierw ludzie kopią dół na wapno na akord czyli od łokcia kw., po wykopaniu dołu sprowadza się wapno, a inni najęci furmani dowożą wodę i lasują wapno, wapna zlasowano 300 metrów, cegły zakupiono 260.000 i cegielnie odstawiają. Inżynier po zrobieniu planów, wymierzył miejsce na kopanie rowów pod budowę, a jeszcze inni dowożą żwir i piasek, kamienie, cement, roboty puszczane w ruch, ja znów podług wykazu inżyniera jeżdżam i zakupuje odpowiednie materiały drzewne, których wykupiłem 14.000 kubików, czyli

350 met. sześciennych, fundamenta założone, roboty idą w pełni, już murarze przystępują do 3-go piętra, a tu w miesiącu sierpniu 1914 r. wybuchła wojna światowa, na nic się nie uważa że wojna wybuchła, robi się dalej, aż jesienią wojska rosyjskie i niemieckie kulami armatnimiy przerwali prace budowy, i tak pozostało, pod opieką stróża.

— — — — —
— — — — —

Ja zaś zmuszony byłem wrócić do domu na swoje gospodarstwo i pilnować majątku swego z rodziną. Dom, który rozpocząłem budować w 1914 r. na zwiosne, to już jesienią był pod dachem i zabezpieczone były mury i wiązania przed deszczami i sliskotą zimą. Ale cóż z tego, wojska rosyjskie podciągnęły w strony nasze no i do naszej wsi też, gdy przyjechała najprzód patrol rosyjska do Z. pytają się we wsi, gdzie ja mieszkam, sąsiady wskazali miejsce i przybyli do mnie, i dziwna rzecz, że i tu byłem oskarżony przed wojskiem jako niebłogonadziejny, bo gdy za patrolem przybyło wojsko, to najprzód te żołnierze co szykują żywność dla koni przybyli do mnie, dawaj owies dla koni, ponieważ spichrz był zamknięty na kłódke, oderwali kłódkę i dalejże zabierać zboże, owies, jęczmień i zabrali wszystek owies i jęczmień wraz z workami mojemu, a oprócz tego plądrowali w moim majątku, gdzie się co dało to kradli, to znów za pare dni przyszli wojska niemieckie i znów co im się dało to krzywdzili a najwięcej do mnie, bo było dość też takich ludzi co to przez zazdrość oskarżali i dynicjowali*) mnie, jak był Moskal, to przed Moskałem, przyszedł Niemiec to przed Niemcem, tak bywało w kółko, to za jakiś czas znów Niemcy uciekli, to na ich miejsce przyszli Moskale i tak przez końca powtarzały się zajmowane miejsca, i przechodziły z rąk do rąk, aż nareszcie w roku 1916-17-18 zajęli nasze okolice Niemcy, sądziłem że już Moskali lichy wzięło, to będzie spokojny, ale gdzież tam, zaczęła się nowa dynicjacja na mnie przed Niemcami i pierwsza była taka, że u mnie znajduje się broń palna, jeszcze po Moskalach i Niemcy dalejże rewizje, a wtenczas było wydane prawo przez Niemców, że ktoby posiadał broń, to żeby oddał, bo w przeciwnym razie pójdzie na rozstrzał, prawda że była u mnie broń, ale własny rewolwer bębenkowy i brauning**), rewolwer leżał w spikrzu na półce owinięty

*) denuncjowali

**) brauning

w gałganisko i był pomiędzy różnem żelastwem, a brauling był u mnie w mieszkaniu w szufladzie u stołu, gdy przybyli niemieccy żandarmi i żołmirze w moje podwyrze, a na czele ich milicja miejscowa utworzona z miejscowych ludzi, i dalejże do rewizyj szukania broni, jedni szukaju w stodole inni w oborze inni w spikrzu a jeszcze inni w mieszkaniu, do mieszkania z żandarmami wszedł i naczelnik milicji, musiałem wszystkie szuflady poroztwierać i w tej szufladzie gdzie był brauling szukał ten p. naczelnik milicji w obecności żandarmów, stopniowo otwierając szuflade i przeglądając różne listy i papierki, a to tylko dla oka niemieckiego, a brauling też stopniowo odsuwał na kąt szuflady, szczęście od Boga że tak uszło i że się tak złożyło, a w spikrzu, to też dziwna rzecz, tam mnie wcale nie było, rewizje przeprowadzali sami Niemcy i też tego rewolweru nie znaleźli, po skończonej rewizji spisali protokół że nic nie znaleźli, i ta rewizja przeszła szczęśliwie. Ale wrogom moim to się nie spodobało, no i nie dali za przegrane, bo po upływie akurat jednego miesiąca nagle zjawiają się żandarmi i żołnierze niemieccy do rewizji i to nagle, całe szczęście że byłem w domu gdy przyjechali do mnie a na czele swej bandy mieli tłomacza i swego szpicla żyda ze Zd. Wojsk, ten żyd mówi do mnie, że jestem oskarżony, iż u pana są różne spiski zdradzieckie na wojska niemieckie, a że to jest bardzo ważna rzecz, dlatego u pana przystępujemy do rewizji i mówi dalej prosze pokazać gdzie pan ma różne książki i papiery, ja odpowiedziałem że bardzo prosze, poroztwierałem szuflady u stołów i szafów i powyciągałem na stół wszystkie książki i papiery jakie posiadałem, a tego wszystkiego to była dosyć duża kupa, między książkami były i książki kasowe, jako u kasjera i tak książka od ochronki co dzieci chodziły się uczyć i wychowywać, w tej książce było nazwisko dziecka, rok urodzenia, data wstąpienia do ochronki i składka czyli opłata miesięczna, gdy to Niemcy ujrzeli ogromnie im się to udało bo choć jej nie czytali, ale widzą że jest w niej jakiś spis członków i opłaty i zaraz te książkę odłożyli pod swoją opiekę mówiąc między sobą, zgut, zgut. Przeglądają dalej i znaleźli książkę kasy oszczędnościowej członkowską, to znów wkładową, pożyczki, znów widzą takie litanje duże, odłożyli na bok, dalej znajdują książki od sklepu spółkowego rozchody i przychody, spis członków do straży, składki wpłacone przez strażaków i członków honorowych i w końcu znajdują moją własną książkę gospodarstwa prowadzącą rozchody i przychody gospodarcze, a oprócz tego jeszcze odnaleźli dwie książki

nielegalne, opisywanie jak postępują Niemcy w Polsce. Gdy te wszystkie książki wybrane wzięli pod swoją opiekę, kazali reszcie sobie sprzątnąć i dopiero szczegółowo te książki przeglądają, ale nie mogą się połapać i zrozumieć co to wszystko znaczy i co w nich jest prawdziwie, więc ten żyd szpieg mówi do mnie abym im wytłumaczył co to są za książki, ja odpowiedział że przecież pan umi czytać, to proszę sobie sprawdzić, i nie biore się do wyjaśnienia, a to dlatego że na początku rewizji chciałem im ulżyć w pracy i wyjaśnić, ale oni mnie nie dopuścili, więc teraz niech sobie sami uznawają jakie to spiski mam na Niemców, przyglądali się tym książkom jeszcze jakiś czas i czym dłużej się wpatrywali tym byli głupszy, aż nareszcie proszą mnie drugi raz, abym im wyjaśnił co to za znaczenie mają te książki, dopiero podszedłem do nich i poprosiłem o te wszystkie książki co oni Niemcy odłożyli je, owszem położyli te książki na stole, ja zaś biore książkę po książce i im szczegółowo wyjaśniam i szczegółowo ich wtajemniczam w każdą książkę, po przeglądzie każdej książki z osobna tenże żyd zapytuje się mnie poco te książki wszystkie są u mnie, ja odpowiedziałem, że byłem i jestem w każdej instytucji kasjerem i członkiem zarządu tak w straży, ochronce, kasie oszczędności, sklepie spółkowym, budowie młyna w Sz. i nareszcie i moja książka gospodarcza. Żyd pyta się dalej, a dlaczego ktoś inny więcej nie zajmuje się temi wszystkimi sprawami a tylko pan jeden, odpowiedziałem że do tego wszystkiego byłem zaproszony i ludność upatrzyła mnie i mnie to powierzyła, a ja jestem z tego dumny, że mogę wszystko prowadzić i ze wszystkiego się wywiązać uczciwie i sprawiedliwie, i to dla panów powinno być dowodem, że człowiek taki jak ja, to nie ma czasu na jakieś agitacje lub spiski na wojska i t. p., to chyba dla panów powinno wystarczyć. Po tem mojem przemówieniu rozpoczęli znowu między sobą po niemiecku, ale ja nic nie rozumiałem, uważałem tylko że to idzie o rewizję u mnie, i że nic nie znaleźli, i pluli sobie w brody. Ale wkońcu ten żyd zapytuje się mnie skąd ja wziął te dwie książki nielegalne, ja odpowiedziałem że te książki kupiłem je na rynku w Zduńskiej Woli, nosili je gazeciarze i publicznie sprzedawali. A jeżeli są nielegalne, jak panowie uznajecie, to poco władze niemieckie pozwalają te książki publicznie sprzedawać i mówię dalej, proszę mi te książki oddać, bo to kupione są za moje pieniądze, znów po tej mojej mowie zaczęli swoje niemieckie mamrotanie i wkońcu zostawili mi te książki, z domu mego wyszli, no sądziłem że to chyba już ostatnia

rewizja. Moim wrogom i śpiegom znów się nie udało, ale złe nie śpi, tylko kusi. Za jakieś dwa miesiące przyjeżdża do mnie ten sam żyd szpieg niemiecki wraz z żandarmem i mówi otwarcie: pan jest oskarżony do p. prokuratora w Sieradzu (wtenczas już mieli Niemcy swego prokuratora w Sieradzu, a ten żyd ze Zduńskiej Woli przeprowadził się do miasta Sz. i były mu powierzone okoliczne gminy; już przez ten czas zdążyłem się z tem żydem zapoznać przez niektórych obywateli, ma się rozumieć takich samych w poglądach jak i ja, kiedy mieli się z tym żydem w restauracji się zejść, to zawsze po mnie orędowni abym się zgłosił, i to było ze cztery razy, a jest powiedziane, że gdzie wódka to i sekret i tym sposobem zaznajomienie było gładkie i proste, i dlatego ten żyd za trzecią rewizją był do mnie zbliżony i miał do mnie lepsze zaufanie, no i ja do niego). Więc jak do mnie mówił że ja jestem oskarżony do prokuratora, to ja się pytam za co, on odpowiada że podatków nie płace i że drugich ludzi buntuje po okolicy, by nie płacili podatków. Ja na to odpowiadam, że to jest kłamstwo, i że już tego nie przepuszcze, dosyć już tych skarg i szpiclowania, tak miałem za Moskali, obecnie za Niemców, opowiedziałem im jakie miewałem skargi fałszywe za Moskali, że po skończonym sprawozdaniu mojem przejścia za Moskali zaczął ten żyd mówić po niemiecku do żandarma i to dosyć długo, zrozumiałem że ten żyd ogromnie się tem przejął i przekonywał żandarma, do tego stopnia, że zaczęli głowami kiwać i od czasu do czasu żandarm ręką uderzył w stół za takie fałszywe donosy, ale po tej dyskusji między sobą zapytuje się ten żyd czy ja mam jakie dowody że opłacam podatki, ja odpowiedziałem że owszem, poszedłem do szuflady stołu wyjąłem wszystkie pokwitowania a były pisane po niemiecku, przyglądają się czytają kolejno jeden za drugim i došli do wniosku po datach że ja za każdy raz w swoim terminie odpłaciłem wszystkie podatki, po przeglądzie tych wszystkich kwitów, znów pogadali między sobą, protokół z tych kwitów spisali, przeczytali, a dla mnie po polsku żyd przetłumaczył, że dokonali rewizji że wszystkie kwity od zapłaconych podatków miałem u siebie i wydałem do sprawdzenia, że już trzecia rewizja u mnie nic nie wykazała, że to musi być oskarżanych zła wola i oni ten protokół podpisali i ja też podpisałem. Widzę że po moji stronie siła i prawda, odważyłem się prosić żydka aby mi powiedział i wydał kto tak mnie oskarża, żandarm po polsku mnie nie rozumiał, też żyd odpowiada mi że wydać tego kto oskarża nie wolno mu pod karą śmierci, ale

radzi mi abym się do niego zgłosił w dzień naznaczony, to mi da sposób do odszukania swej krzywdy, ale zupełnie inną drogą i w inny sposób. Pożegnali się i pošli sobie. Ja na dzień wskazany pojechałem do Sz. i wstąpiłem do tegoż żyda szpiega niemieckiego, ten żyd przyjął mnie wspaniale, bo i było co wypić i przejeść i nie tylko kielbasa odsmażona, ale i szynka, potem języki w robote, już śmiało się pytam kto to takie fałszywe donosy mógł robić, on mi odpowiedział że tego powiedzieć nie może, ale mnie nauczy co mam robić i jak, i uczy mnie w taki sposób, abym dojechał do Sieradza w ten a w ten dzień na godzine te a te, udał się do kancelarji pana prokuratora, tam sekretarzem jest ten i ten, miejscowy z Sieradza, bym był śmiały patrzył oko w oko gdybym rozmawiał z p. prokuratorem, żyd mówi dalej że on też będzie o tej samej godzinie u p. prokuratora z interesami innemi, że on jak wejdzie do kancelarji, to ja jakbym go nie znał żebyśmy byli od siebie zdaleka, i pójdzie wprost do jego pokoju, a jak już my swoje skończymy, to prokurator wyjdzie do kancelarji, i żebyśmy zaraz wstał na nogi pokłonił się i zaraz mówił że przybyłem tu z prośbą ustną bo pisać nie umie po niemiecku, i żebyśmy wolno uważnie mówił i to do sekretarza, a sekretarz będzie co kilka słów mówił do prokuratora, a ja będę stał przy prokuratorze, tak mówi żyd. No i dnia naznaczonego jade do Sieradza do p. prokuratora, wszedłem do kancelarji i mówię dzieńdobry, sekretarz odpowiedział, pytam się czy mogę się widzieć z p. prokuratorem, sekretarz wypytuje się co za interes mam, ja wszystko opowiedziałem, sekretarz mówi mi że to się nie da nic zrobić, takich rzeczy bodajby i były to nie wolno wydawać, wtem wchodzi do kancelarji tenże żydek mój i prosto idzie do pokoju p. prokuratora, czyli tak jak poprzednio mi mówił, po jakie 40 minutach wychodzi p. prokurator i ten żydek, ja się ukloniłem i zacząłem mówić, powiedziałem jakieś 10 słów, sekretarz kazał mi przestać mówić, a te 10 słów powtarza p. prokuratorowi, a żydek słucha, to znów powiedziałem z 10 słów i znów to samo powtarzał p. prokuratorowi i tak dalej to się ciągnęło aż wszystko skończyłem, mogło to być z 6 odpoczynek, prokurator sobie pisał te moje zażalenie i od czasu do czasu spoglądał na mnie i z tem żydkiem rozmawiał, doszło do tego że p. prokurator kazał sekretarzowi wydać mi na piśmie że oskarżenie mnie przed p. prokuratorem wniósł niejaki Antoni O., że mogę wnieść skargę do Sądu Okręgowego za fałszywe oskarżenie, z tem jednak zastrzeżeniem, abym podał na świadków choć dwóch najporząd-

niejszych ludzi, coby zeznali różnice kto jest O., a kto jestem ja, i więcej nic nie mówił, sekretarz zaraz te słowa pisał i po napisaniu podpisał p. prokurator, żydek jeszcze się pozostał, a ja po odebraniu tego papieru wyszedłem i w ulicy oczekiwałem na tego żydka, po jakieś 10 minut żydek idzie, prosiłem go kto może skargę napisać do Sądu Okręgowego i jak ją zredagować, żydek odpowiedział mi że prośbę do sądu można pisać po polsku, że tam jest sędzia Niemiec i prokurator, a ławnicy to są Polacy dobierani przez sędziego i mówił mi że ławnikiem do sądu jest z naszej gminy pan Kazimierz C., że mogę prośbę sam napisać tylko wyraźnie i prawdziwie i doradził mi bym na tych dwóch świadków poprosił pana K. C. i pana J., bo pan sędzia zna się z nimi dobrze. Więc jak mi radził, to tak zrobiłem, wróciłem do domu, na drugi dzień poszedłem do p. J., opowiedziałem cały stan rzeczy, poprosiłem go że w tak ważnej sprawie zmuszony jestem poprosić na świadka i jednocześnie proszę pana J. o napisanie sprawy. Pan J. owszem nie odmówił stanąć na świadka i także napisał mi skargę do Sądu Okręgowego w Zduńskiej Woli, za miesiąc czasu stawamy do sądu tenże Antoni O., ja, pan J. i pan C., choć już był za stołem jako ławnik, bo gdy my weszli, to sprawy inne już były sądzone. Czekamy aż się skończy rozpoczęta sprawa, po skończeniu sprawy p. C. wychodzi na sale jak świadek, a jego miejsce ławnika zajął inny obywatel i sędzia wywołuje sprawę moją. Naprzód ja zeznawał, potem O. się tłumaczył, a potem świadkowie zeznawali, co mówili świadkowie to nie wiadomo mnie było, bo mówili po niemiecku, wiem to że jak świadkowie zeznali i zeznania swoje podpisali, to sąd zaraz odczytał wyrok, za fałszywe oskarżenie mnie sąd zasądził O. na 6 miesięcy więzienia i to zaraz z miejsca by był zabrany, O., gdy wyrok usłyszał, zaczął krzyczeć, prosić by mógł być w domu swoim zarządzić w gospodarstwie i żonie powiedzieć, wszystko nic nie pomagało zaraz w tej chwili zabrali do więzienia. O. był to człowiek podły z rodu złodziejskiego i on sam też trudnił się tem, a oprócz tego szkody wyrządzał sąsiadom w polach i ogrodach, był bez to znenawidzony przez ludzi porządných, a tylko towarzyszył z takimi, jak i un sam był. Te poprzednie dwie rewizje nie wyszły od niego, a od innych sąsiadów, ponieważ te złośliwi sąsiady nie mogli mi nic zrobić otóż namówili oni O., ażeby on od siebie oskarżył mnie i on też do tego był gotowy, nie spodziewając się że to może się wydać, i że za takie rzeczy może być kara. Po ukaraniu O. przez sąd niemiecki dopiero skończyły się

skargi i donosy fałszywe, a ten żydek był dla mnie przyjacielem do końca bytności Niemców.

— — — — —
— — — — —

Gdy ta wojna wybuchła to dla ludzi miejskich inteligencji powstała wielka bieda, bo zarobków nie było i cała maszyna ruchu inteligencji ustała a żywność była drogą, rolnictwo zaś było płacone, a tembardziej dla tego, kto był pracowity, dociekliwy i ryzykowny, to też w części i ja do nich się zaliczam, bo opierałem wszystko na rachunku. Otóż u mnie w tych latach było dzieci ośmioro, szkoły były w czasie wojny nieczynne, a do szkoły czyli w latach szkolnych było już u mnie dzieci pięcioro. Otóż postanowiłem swem własnem kosztem trzymać siły nauczycielskie w swem domu i dla swych dzieci i już rozpocząłem to w roku 1914 zimowemi miesiącami, musze nadmienić iż miałem siły nauczycielskie bardzo dobre, a nawet miałem jedną panienkę z Warszawy nazwiskiem Marja K., nastreńczyli mi ją Państwo J. Obawiałem się że taka Pani z Warszawy może będzie za dużą Panią na wsi, nie znając charakteru wychowania i stosunków wiejskich, tymczasem to była panienka cudowna do wychowywania już powiem nie tylko dzieci ale i całego domu mego, pracowita, uściwa, nadzwyczaj ludzka, ta panienka to nie tylko dzieci uczyła, ale wychowywała cały dom, była u mnie około rok czasu, byłaby dłużej u mnie, ale obowiązki rodzicielskie zmusiły ją do opuszczenia mego domu i pożegnania się. Po tej panience dowiedziałem się, iż w naszej gminie jest maturzysta, który skończył szkołę i powrócił do rodziców, pan Jan M., dojechałem do tego pana zapoznałem się z jego rodzicami i niem, opowiedziałem cały stan rzeczy o dzieciach do nauczania, by można ich choć czworo przysposobić do 4-tej i 5-tej klasy gimnazjum, owszem ten pan M. zgodził się przyjąć te prace z dziećmi u mnie i na dzień umówiony zgłosił się do mego domu. O wynagrodzeniu za prace wcale nie chciał nic powiedzieć, odkładając to na dalszy termin. Musze zaznaczyć, że niektórzy sąsiedzi patrzeli na to okiem zazdrosnym i mówili między sobą, co to jest aby on dzieci uczył i swym kosztem utrzymywał takie siły nauczycielskie, to przez zazdrość buntowali mi siły nauczycielskie. A nawet między innemi i pana M., ale że to człowiek mądry i doświadczony, postanowił sam zbadać te całą sprawę, co mu wrogowie moi mówili i w krótkim czasie tak my się zapoznali, żyli ze sobą, że na nic się nie

przydały ludzkie mowy, ja zaś ucieszony byłem tem, że dzieci po opuszczeniu pani K. doczekały się siły męskiej, która nadal prowadziła prace nauczania po tej samej linii. Ten pan M. uczył dzieci pierwszy rok bez przerwy, a drugi rok z przerwami a to dlatego, że wstąpił na Uniwersytet w Poznaniu, dojeżdżał na wykłady i przyjeżdżał spowrotem aby mógł przysposobić do 4-tej i 5-tej klasy i celu dopiół, bo w roku 1923, po porozumieniu się z dyrektorem Gimnazjum w Sieradzu i na dzieńznaczony dla zdawania egzaminów, pojechał z 3-ga mojemu dziećmi a swemi uczniami do Sieradza, egzamin udał się bo jeden syn zdał do 5-tej klasy, a pozostali do 4-tej klasy, córki zaś pozostały w domu. W tym czasie w gimnazjum był dyrektorem Książdz, po przyjeździe mojego nauczyciela z dziećmi z egzaminu opowiadał mi on jak to profesoro- wie stawiali różne przeszkody mym dzieciom, aby utrudnić egzamin, tego ja już nie w stanie opisać.

Po skończonym egzaminie dzieci, p. M. musi już na dobre zamieszkać w Poznaniu, doradzamy sobie co zrobić z dzieciarnią i do czego który zdolny, nareście postanowiliśmy aby choć jednego uczyć dalej i oddać go do gimnazjum w Sieradzu a reszta do pracy gospodarskiej, wybraliśmy syna Antosia lat 13, który zdał do 4-tej klasy, wtenczas był u nas nowy proboszcz, z którym się zapoznałem po przybyciu jego do naszej parafji, ten proboszcz też dał od siebie radę aby Antosia wywieść do Sieradza no i tak zrobiłem. Proboszcz napisał do ks. dyrektora ks. M. szkoły gimnazjum by przyjął go do 4-tej klasy tak jak chłopiec zdał egzamin, ja z tem listem pojechałem do Sieradza dla wręczenia listu i rozmówienia się i dowiedzenia się o opłatach pieniężnych i t. p. Ks. dyrektor po przeczytaniu tego listu od proboszcza z zadowoleniem dał słowo, że chłopca przyjmie, objaśnił mi wpłaty wpisowe i potem miesięczne i by na ten a ten dzień chłopca przywieść. Dzień nadszedł, syna odwiozłem do szkoły, wpisowe zapłaciłem i opłaty miesięczne, mieszkanie w mieście dla syna odszukałem i wszystko w należyty porządku i chłopiec w 4-tej klasie uczył się. Jak powszechnie wiadomo że z roku 1923 na rok 1924 była zima bardzo ciężka, śniegi ogromne do tego stopnia że przez pare tygodni nie można było nigdzie wyjść lub wyjechać, co gdzie szarwarkiem na drogach był śnieg odwalony to zaraz pozostał zasypyany i to jeszcze grubiej. Ja będąc w Sieradzu w miesiącu grudniu dla opłacenia szkoły chciałem Ks. Dyrektorowi zapłacić za cztery miesiące zgóry a to dlatego że od nas do Sieradza jest 25 kilometrów, że moge na ter-

min każdego miesiąca nie stawić się a przeważnie w zimowe miesiące, to tym sposobem uspokoję się i na dziecku by się nic nie odbiło. Ks. Dyrektor odpowiedział mi, że zgóry za 4 miesiące brać nie może pieniędzy, bo każdego miesiąca jest spadek marek, a powtóre że zawsze co miesiąc musi rachunki wyrównać, ja odpowiedziałem że zawsze jestem gotów spadek marki wyrównać, bo pieniądze mam. Ks. Dyrektor odpowiedział mi, żebym nie miał żadnego zmartwienia o syna, że skoro go przyjąłem, to gdyby pan nie był na termin zapłacić, to o to mi nie chodzi, bo u pana jest pewne, tak mi wasz proboszcz w liście wspominał. Wobec tego zapłaciłem za dwa miesiące i pojechałem do domu. Kiedy się kończyły te dwa miesiące, wiedziałem o tem że termin nadchodzi wnieść opłaty, ale niemożliwem było jak to mówią psa z budy wypędzić, ogromne śniegi i mróz, prawda że umowe miałem z Ks. Dyrektorem, ale ja za czuły, nareszcie w ostatni dzień wyszykowałem sanie i jazda do Sieradza, nie można było rozpoznać gdzie jest droga, tam gdzie była drzewami obsadzona to się jeszcze wiedziało, ale gdzie nie było drzew, to nic nie wiadomo gdzie się człowiek znajdował, zanim dobiłem się do jednego majątku 7 kilometrów od nas, to kilka razy konie się potopiły w śniegu, a dopiero mi ludzie mówią, abym się dalej nie puszczał, bo do Sieradza nie będzie można dojechać, wobec tego zawróciłem spowrotem do domu i powróciłem na wieczór. Za jakieś sześć dni w nocy puka ktoś do okna pokoju sypialnego gdzie spałem, godzina była pierwsza po północy, pytam się kto tam jest, słysze głos jak z pod ziemi, a to ja — cichem głosem, ja powtórnie pytam kto tam, słysze odpowiedź: Antoś. Gdy ten głos usłyszałem, zdrętwiałem, pomimo że światło się świeciło nocne, w tej chwili nie mogłem się ubrać, ale wzięwszy na siebie kożuch, buty na nogi i rozwierać drzwi, wychodzę na dwór ide ku oknu, śnieg już świeży zawał wyżej kolan i widzę syna, stojącego przy oknie trzymającego się ściany, wziąłem go do domu kuchni, a ten upadł na podłogę, żona usłyszała szelest, obudziła się, wypada do kuchni, widzi synka swego Antosia, z przerażenia pada na podłogę, a teraz co ja mam robić, biore najprzód dzieciaka różnemi sposobami przyprowadzam do przytomności, choć walczę sam ze sobą, matka zara gdy spostrzegła, że Antoś się podniósł i usiadł, doszła do przytomności i wstała, dzieciak zupełnie zemglał ze zmęczenia i zimna przy oknie stojący, ogień się rozpala zagrzać wodę na herbatę, by go można nieco rozgrzać, po jakich dwóch godzinach gdy nieco wzmocniał zacząłem go delikatnie wypytывать, co go spowodowało

na takie śniegi, mróz i w nocy ściągnąć do domu, zaczął opowiadać, że dziś o godzinie 9 rano kiedy poszli do szkoły Ks. Dyrektor oznajmił wszystkim, że kto nie zapłacił na przyszły miesiąc to niech idą do domów, szkoła ich przyjąć nie może, więc syn mówi że podszedł do Ks. Dyrektora i zapytuje się czy i ja też mam iść do domu, przecież ojciec zdaje się zapłacił zgóry, Ks. odpowiedział ojciec nie zapłacił i ty nie możesz być lepszym od drugih, idź do domu po pieniądze. Wtenczas, nie tracąc czasu umówiwszy się z kolegami co szli do Męki a we dwóch do Rososzycy a z Rososzycy sam do domu 10 kilometrów. Przy opowiadaniu przez syna nie mogłem sobie przetłumaczyć, żeby coś podobnego mógł zrobić Ks. Dyrektor, tu gdzie w swoim czasie chciałem płacić do tego dał mi słowo żebym się tym nie przejmował, a tu dzieci wysłał do domów, na takie wielkie śniegi i mrozy, to chyba trzeba być warjatem lub idjotą a nie człowiekiem, no i położyliśmy się spać. Na drugi dzień poszedłem do swego proboszcza, aby mu opowiedzieć całe zajście, Proboszcz nie chciał dać wiary ale z ciekawości i dla uspokojenia żony i mnie przyszedł do mego domu dla sprawdzenia i sam się wypytał chłopca jak to było, po wysłuchaniu chłopca powiedział mi, że jak tylko można będzie się dostać do Sieradza, to żebym chłopca zabrał do szkoły, sprawdził całe zajście i podług uznania odpowiednio się rozmówił. Upłynęło jeszcze trzy tygodnie zanim można było wyjechać do Sieradza i nareście doczekaliśmy się wyjazdu bo śnieg poprzestał padać, a całe gminy pracowały szarwarkiem przy odwalaniu śniegu na drogach, gdy przyjechalśmy do Sieradza udałem się do Ks. jako Dyrektora szkoły, po przywitaniu wypytałem się o przyczynę wypędzenia syna ze szkoły do domu. Ks. wcale się nie przejmował tem, widze, że lekceważy, przypomniałem Księdzu nasze rozmowy i dane słowa, Ksiądz odpowiedział, że musiał tak zrobić, że wyjątków robić nie mógł, potraktował sobie tak uczeni z miasta gdzie sobie chodzą chodnikami wyczyszczonemi, jak tych co do domu mają 25 kilometrów na takie śniegi i mrozy. Odplaciłem za ten i następny miesiąc i dopiero zmuszony byłem Księdzu zwrócić energicznie uwagę, czy tak się godzi robić Księdzu jako Dyrektorowi i t. p. Ksiądz się czuł obrażony, ja wyszedł bez pożegnania i przyjechałem do domu zostawiając syna w szkole. Ks. co robiwszy, po mojem odjeździe wydała syna z 4-tej klasy do 3-ciej, użył tu już na dziecku mściwości rzymskiej, a nie polskiej, chłopiec z płaczem zmuszony był przenieść się do klasy 3-ciej, ale dzieciak stracił na honorze i ambicji i nie ma czego się uczyć, bo

to przecież już przeszedł, chłopiec nie mając zajęcia w nauce zaczął upadać na duchu do tego stopnia, że wdał się z różnemi najgorszymi kolegami i ulicznikami a ja jako ojciec nic nie wiem i nikt mnie o tem zajściu nie zawiadamia, Dopiero się dowiedziałem po 2-ch miesiącach jak pojechałem do Sieradza zawieść pieniądze za szkołę, wypytałem syna o wszystkie przyczyny, syn mi opowiedział wszystko, ale ja jestem niepewny tego wyjaśnienia, wypytałem się i jego kolegów co to razem się uczyli. Koledzy wszystko potwierdzili, że to jest prawdą i co tu robić, czy dzieciaka zabierać do domu, czy też pozostawić, radziłem się niejednego, każdy mi doradza, by go pozostawić do skończenia roku szkolnego i tak zrobiłem.

Dnia 15 maja 1924 r. dostaje wiadomość, że syn się utopił w rzece Warcie. Wiadomość tę otrzymałem wieczorem, na drugi dzień do dnia jade z żoną do Sieradza co się tam stało, i rzeczywiście utopił się będąc z kolegami kąpać się 15 maja, a to się powtarzało już nieraz przedtem, gdy przeprowadzałem śledstwo z jego kolegów i z innych klas opowiadali mi że jak tylko Ks. go przeniósł z 4-tej do 3-ciej klasy to od tej pory czuł się nieswój i że dla rozrywki i spędzenia czasu chodził z kolegami po ulicach, a gdyż już cieplej się zrobiło chodzili się kąpać. Musze zaznaczyć że ludność miasta Sieradza a przeważnie nurkowie i rybacy, nie czekając na mój przyjazd rozpoczęli poszukiwanie zwłok najrozmaitszymi sposobami i gdy ja z żoną przyjechałem na miejsce nieszczęścia cały dzień szukali i nie mogli odnajść ciała, tylko stwierdzali, że w tem miejscu gdzie się utopił, to dwa dni temu nazad była woda niegłęboka, a już gdy szukali zrobiła się głębina i że był w tem miejscu ogromny wir wody, na wieczór przy odjeździe do domu przyobiecałem wynagrodzenie tym kto odnajdzie ciało i pomimo poszukiwania okazało się wszystko nadaremne i tak pozostało.

Dopiero w dniu 16 września akurat za 4 miesiące przychodzi posłaniec z pismem od Komendanta Policji Państwowej, iż zwłoki syna się odnalazły w rzece Warcie, ale nie tu gdzie się utopił, ale o jaki kilometr drogi, woda go uniosła że odnaleźli je gospodarze w krzakach i to ciało jest już w kostnicy przy szpitalu w Sieradzu. Na wiadomość tę rozstworzyła się rana, która była już nieco zagojona i stopniowo zapomniana. Na drugi dzień jedziemy do Sieradza i udajemy się do szpitala zobaczyć te zwłoki. Na twarzy nieco było jeszcze trochę podobizny, ale na całym ciele było już nie do poznania, poszedłem potem do Komendy Policji co mam robić,

gdyż straciłem na czysto przytomność, Komenda mi poinformowała że trzeba trumne, że trzeba iść do magistratu zapłacić plac na cmentarzu, to znów do Ks. Prałata i t. d. poprosiłem o pomoc i przeznaczyli mi jednego policjanta, któryby mnie wszędzie zaprowadził, a ja załatwiał pieniądze, stolarz szykuje trumne, w magistracie plac zapłacony, do Ks. Prałata poszliśmy, sume pieniężną wyznaczył i z kartką nas odesłał do p. Organisty i tu odplaciłem wszystkie powinności i tak tyle dla Ks., tyle dla Organisty tyle dla kościelnego tyle za niesienie krzyża i t. d., sumy nie będę wymieniał, bo niejeden z czytelników by się zgorszył i przeklinał. Ks. prałat pobrał sumę z tem warunkiem że miał ekspertować te zwłoki na cmentarz grabalny i polecił mi bym się udał z prośbą do Dyrektora Szkoły Gimnazjalnej czyby zezwolił całej szkole wziąć udział w tem pogrzebie. Pośliśmy z tem policjantem i do szkoły, był wówczas już Dyrektorem nie Ksiądz, ale pan cywilny, owszem dał słowo, że całą szkołę zwolni i sam udział weźmie z Ks. prefektem, o godzinie 3-ciej po południu by wszystko było gotowe przed szpitalem, spowrotem zawiadomiliśmy Ks. Prałata, że szkoła weźmie udział i że będzie już na godz. 3-cią pp. przed szpitalem by Ks. Prałat mógł być na ten czas przed szpitalem, Ks. dał słowo że będzie. Trzecia godzina nadeszła wszystko było gotowe, ciało w trumnie, publiczność prawie z całego miasta, szkoła cała na czele z p. Dyrektorem, Ks. Prefektem, Profesorami i uczniami stanęła przed szpitalem, ale Ks. Prałata nie widać, czekamy wszyscy około godziny czasu. Dopiero poszedł ten policjant i jeszcze z innym panem do Ks. Prałata że jest wszystko gotowe i ludność wraz z szkołą oczekuje już od godz. 3-ciej. Ks. Prałat odpowiedział że on iść nie może, a dał upoważnienie Ks. Prefektowi by ekspertował ciało na cmentarz i dopiero o godzinie 4-tej i pół pogrzeb ruszył od szpitala na cmentarz. Ks. Prefekt zrobił przysługę bezinteresownie, a Ks. Prałat pobrał pieniądze, a publiczność wydawała sądy, zakończę ten tragiczny wypadek, gdyż nie mogę już o tem obszerniej opisać gdyż na wspomnienie o takim przejściu ręka i oczy odmawiają posłuszeństwa. Tenże poprzedni ksiądz Dyktor szkoły tegoż samego lata również utopił się w rzece Warcie, ale to tylko udawanie, a było tak, jakiś już dłuższy czas zakochał się w sekretarce tejże szkoły i tego samego lata ona opuściła swoją posadę, a za pare dni Ks. Dyktor wieczór ciemny poszedł do rzeki pozostawił przy brzegu cały komplet swego ubrania i bielizny, a przebrawszy się w cywilne ubranie ruszył na pociąg do Zduńskiej Woli i wyjechał, traf taki że je-

den pan co go dobrze znał też był wtenczas na stacji w Zd. Woli w nocy i poznał tegoż topielca przebranego od stóp do głowy, bo czapkę miał cyklistowską. Na drugi dzień rano przechodzący około rzeki w Sieradzu zauważyli jakiś ubiór nad rzeką, zbliżyli się, co to znaczy skoro nikogo nie było w wodzie, patrzą a tu suknia i cały ubiór księdza. Narobili alarmu że ksiądz się utopił, ludność z całego miasta wyległa na ulice i pyta się jeden drugiego co się stało, anu ksiądz się utopił, zaraz energicznie wzili się do szukania po rzece by móc odnaleźć księdza utopionego i szukają cały dzień, aż tu pod wieczór przychodzi wiadomość ze Zd. Woli że go widział ten a ten pan przebranego po cywilnemu nie do poznania na stacji w Zd. Woli i że wsiadł w pociąg idący ku Warszawie, rozesłano zaraz telefony i telegramy i w krótkim czasie odnaleźli go w Warszawie, czyli w Sieradzu utopił się a w Warszawie wypłynął żywy.

Teraz muszę się zwrócić do budowy młyna. Gdy nacierania wojsk nieco ustąpiły posunęły się w stronę miasta Łodzi i dalej ku Warszawie, znów przystąpiłem do dalszej roboty i tak że przy końcu roku 1915 był już pod dachem, ponieważ miasto nie miało u siebie sali teatralnej otóż narazie zrobiłem salę w młynie na I-szym piętrze, zrobiłem scenę ławki z desek i sala była już gotowa, zimą w 1915 r. młodzież miasta Sz. urządziła sobie od czasu do czasu różne przedstawienia a zebrane pieniądze obracali na różne organizacje, i tak trwało do 1917 r. w roku 1917, już zajęłem się montowaniem młyna ponieważ najrozmaitsze drzewo, jak bale, deski były już wysuszone jak na kojce do spikrza na różne spody, skrzynie, elewatory, podłogi i t. p. postaraliśmy się z zarządzeniem zakupienia wszelkich maszyn w Niemczech, na kupletny młyn automatyczny i po zgodzeniu i zadatkowaniu maszyn Fabryka Braci Szwink odstawiła maszyny do stacji Zduńska Wola, a ze stacji na wozach odpowiednich na plac budowy młyna. Gdy wszystkie maszyny były już sprowadzone wraz z wałcami jednocześnie był zakupiony i motor o sile 100 koni choć już naprzód była pobudowana kotłownia, motorownia i na pomieszczenie ryflarki do ryfłowania walcy jak i tokarnia do toczenia różnych potrzebnych części żelaznych, jak również była już pobudowana studnia artyzyjska odpowiednia, wtenczas fabryka maszyn przysłała monterów, do monterów sprowadziłem ośmiu stolarzy i dalejże do montowania młyna a inny monter do montowania motoru, roboty się stopniowo posuwały tak że na 1 lipca 1918 r. młyn był już zupełnie gotowy do przemiału, a i do tego dnia też już był cały plac

młyna ogrodzony wokół betonowym murem, w całym podwyrzu młyńskim wybrukowano i kantor pobudowany z czterema przylegającymi pokoikami. Gdy zboża z pól zwożone były do stodoł i rolnicy umłócili, dostarczali wtenczas najprzód współwłaściciele młyna zboże na młyn, a za nimi i rolnicy, kupce, handlarze, zboża było dostarczone taką dużą ilością, że spikrz, który może pomieścić 3500 metrów zboża był zawsze zapelniony, pomimo że młyn przemleiał po 240 met. na dobe, mąkę młyn wydawał śliczną do tego stopnia, że mógł skonkurować inne młyny, zarząd młyna również dał mi kierownictwo nad tem majątkiem młyna, ja choć nie byłem fachowcem, jednak z dnia na dzień wyrabiałem się, coraz to zdobywałem więcej wiedzy, wtenczas jeszcze były Niemcy i prawa niemieckie, wtenczas każdy musiał przemleć tylko tyle, co mu Niemcy wyznaczili, a reszta zboża to Niemcy zmuszali by im odstawić do ich spikrzów i cene za zboże płacili niską, a kto sprzedawał zboże pokryjomu jak to w swoim czasie nazywali na szmugiel to ceny zboża, mąki były wysokie, że wtenczas kto był obrotny, śmiały, odważny i rezykowny to mógł prędko dorobić się do majątku, to też gdy ten młyn był puszczoney w ruch, to w Sz. narobiło się ogromna ilość kupców i handlujących mąką, wtenczas to nietylko że wozili mąkę wozami, ale ludzie mąkę nosili na plecach do miasta Łodzi i tem sposobem zarabiali na utrzymanie, to też młyn szedł bez przerwy we dnie i w nocy, interes wtenczas był bardzo dobry. Ale jak wspomniałem wyżej że Niemcy ograniczali każdego ile kto miał ziemię zboża dla siebie, rewidowali gospodarzy wiozących zboże do miasta, jak nie miał zezwolenia na przewóz to to zboże Niemcy zabierali bez odszkodowania, to też ludziska różnie spekulowali, jak otrzymali karty mielenia to składało się na jeden wóz zboża kilku gospodarzy i z temi kwitami wioził zboże, jak go Niemiec nie spotkał to na te kwitki mógł odwozić kilka razy dopóki go Niemcy nie spotkali i kwit datą odstępowali. W Sz. było wojsko niemieckiego 32-ch ale między niemi byli poznańczyków pięciu jako tłumacze, a na czele ich był główny komendant, twardy Niemiec. Otóż ja zdążyłem się zapoznać z temi poznańczykami do tego stopnia że ich sobie zwabiałem do siebie do młyna i nieraz przy kieliszku i przekąsce to od czasu do czasu coś ważnego się pogaadało, aż wreszcie doszło do tego stopnia że przez tych poznańczyków zdążyłem pozyskać i zaznajomić się ze wszystkimi Niemcami, a wódka wszystko robi, doszło do tego że tym wszystkim Niemcom wydawałem tygodniowo po 10 funtów mąki, aby oni

odsylali te mąke do swoich żon i dzieci, a za to nie przeszkadzali młynowi i okolicznym rolnikom, ale bali się ogromnie swego komendanta a komendant miał swego zastępcę co jednocześnie był felczerem ale też poznańczyk i z nim też się zaznajomiłem, a był to niezły pijaczyna, ale swoją drogą chłop morowy, jemu to dawałem po więcej mąki, ale za to wiedziałem ważniejsze rzeczy co i kiedy ma być rewizja, gdzie i u kogo, a najważniejsze że w młynie po tem zaznajomieniu się interes szedł już na wyższą skalę, tak dla młyna jak i dla ludności i tak szło aż Niemcy zmuszeni byli opuścić Polskę. Młyn powodzenie miał szalone, ale też i zazdrość rosła z dnia na dzień, a przeważnie tyczyła się mej osoby, a przeważnie od żydów kupców, bo żaden kupiec żydowski nie mógł mleć w tem młynie a tylko sami Polacy i handlowali zarabiali Polacy, szły na mnie najrozmaitsze skargi, że się dorabiam majątku, że się robie duży pan i t. p. do tego stopnia że już i zarząd młyna wątpił czy czasem nie robie jakich świndli, byłem na tym młynie do 1922 r. aż nareszcie spostrzegłem nieraz od zarządu niezadowolenie, wobec tego spostrzeżenia przeze mnie na pierwszym zebraniu ogólnem oznajmiłem że z młyna ustępuje, ale jednocześnie sprzedaje swoje udziały by pozostali członkowie kupili, bym nie sprzedał obcemu. Po oznajmieniu tego zebrani członkowie zastanowili się co ja robie i mówie, toć budował pan ten młyn i prowadził go do dnia dzisiejszego, tak mówią do mnie, a dziś zgłasza swoje wystąpienie, ale jak postanowiłem, to tak i zrobiłem, zmusiłem współwłaścicieli do kupna moich udziałów i to zaznaczyłem kategorycznie, wobec tego zmuszeni byli kupić te moje udziały za sume 2400 dolarów dlatego sprzedałem na dolary, bo wtedy marka polska upadała na wartości, te 2400 dolarów pożyczyl ode mnie członek zarządu tego młyna obywatel ziemski pan A. W., a że w tym czasie płacili na ogół dość dobre procenty więc ta suma mi dobrze procentowała, a ja nazad na swoje gospodarstwo, biorąc się za widły pług i t. p. do pracy a suma z procentami niech tam wzrasta ja się bez niej obęde, i tak w domu siedze do roku 1928. W tym roku na wiosne pan J. jako główny członek zarządu młyna zaprasza mnie do siebie, po dzień i godzinie naznaczoną, ja się zastanowiłem co to znaczy. Ale ja zawsze posłuszny a nie pyszałkowy ide do dworu, po przywitaniu pytam się w czym moge służyć. Pan J. widzę, że jest zawstydzony czy zamyślony, ale mówi: Ja pana poprosiłem abyśmy mogli nazad nawiązać stosunki co się tyczy młyna bo to wtenczas narobiły tego wszystkiego plotki, jednak okazały się kłamliwe, a młyn

upada majątkowo bo niema kto dopilnować, prawda że jest tam pan Dr. L. człowiek zacności ale przecież jako doktor wciąż ma wyjazdy do chorych i z choremi po mieście nie ma czasu na dopilnowanie całego młyna, tylko księgowość nadal prowadzić będzie i dlatego potrzebny pan jest na młynie, młyn już wszedł w długi zgórą 100.000 zł., coś tam jest niewyraźnego. Ja na to odpowiedziałem że wchodzić drugim powrotem mnie na młyn jest już nie na rękę, bo udziały sprzedalem i w domu swoim wziąłem się do pracy, a po wtóre mogą znów nanowo być takie plotki, a ja już z nich zem wyrósł. Pan J. mówi, że odstąpi mi jeden udział z swoich bez pieniędzy i prosi bym przyjął stanowisko kierownika młyna i żebym przyjął członka zarządu, do tego przypomniał mi nasze stare zżycie się z sobą, by nadal też tak było, ja odpowiedziałem, że dziś odpowiedzieć na to nie moge dopiero musze to wszystko przetrawić i po 2-ch miesiącach dam odpowiedź. Po namyśle i rozważeniu przyjąłem to stanowisko od 15 czerwca 1928 r. i pracowałem razem z panem dr. L. a musze wspomnąć iż to był człowiek zacności, nadzwyczaj pracowity i sprawiedliwy i z tem panem robota szła mi wesoło i zgadzaliśmy się tak, że nie mam słów do opisanie tego. Owszem młyn był zadłużony ale w tych latach można było jeszcze radzić i potrochu z długu wylazić, ale nieszczęścia też znacznie przyczyniły się do ciężkiego stanu rzeczy, bo w miesiącu października bandyci zakradli się do kantoru, rozpruli kasę ogniotrwałą zabrali gotówki 9.500 zł. część weksli panu Dr. wszystkie kosztowności drogocenne i mnie też część gotówki i weksle, byliśmy pewni z panem Dr. że w takiej kasie jest najpewniejsze, tak przed ogniem jak i złodziejami, a tymczasem omyliliśmy się, oprócz tego pękła głowica u motoru, młyn stał 6 tygodni, nie dosyć że nic nie robił, ale jeszcze i wydatek 3000 zł., to znów panu Dr. pożar strawił cały dom mieszkalny i tak szło jedno za drugim, aż nareszcie pan Dr. na początku grudnia zachorował a w święta Bożego Narodzenia umarł, i znów spadła na mnie cała praca i odpowiedzialność, mordowałem się i pracowałem jak tylko mogłem, a żona po Doktorze była buchalterką w młynie i pomimo wypadków jakoś szło, bo dług się zmniejszał, ale złe nie śpi tylko kusi i tem razem nie obyło się bez ploteczek, zaczęły dochodzić do p. J. najrozmaitsze plotki ploteczki, aż nareszcie i mnie odbiły się o uszy, a tą razą robili plotki ludzie ci, co zazdrościli młynowi że jak tak pójdzie rok, dwa lata to może młyn być z długów oczyszczony, a im zależało na tem aby młyn dostał się w inne ręce, i tu była cała przyczyna zła,

a pan J. był łatwowierny, nigdy nie przypuszczał, by ludzie coś podobnego robili i tą razą uległ donosom i doszło do tego że od 1 października zmuszony byłem opuścić to swoje stanowisko, tak kierownika młyna jak i członka zarządu i spowrotem odpisałem ten udział młyna aktem rejentalnem na p. J., jednostki nie mogły sobie pomieścić w głowie że skąd ja się bogacie i mam pieniądze, chyba że okradam młyn, bo tym już drugim powrotem na rachunek młyna włożyłem swych własnych pieniędzy 25.000 zł. i te ludziska nie wiedzieli skąd ja wziął tyle pieniędzy zapomnieli o tem, że ja w roku 1922 sprzedawałem udziały za sume 2400 dolarów i w pierwszych latach płacił mi p. W. $\frac{1}{2}$ nawet 36 rocznie, potem po 30 rocznie, a jeszcze później to i 24% w stosunku rocznym, a jeszcze później i 18 rocznie, a ja był oszczędny i zawsze z ołówkiem w ręku z tej sumy i procentów nie wydałem na nic i na żadne rozchody, bo wtenczas to i rolnictwo stało dobrze i z rolnictwa mogłem wszystkie wydatki zaspokoić a nawet i jednego dzieciaka wyposażyć, a tu do sumy szły procenta, a od procentów też procencik, że po pare latach to się uściślało do tego stopnia że mogłem w młyn wsadzić 25 lub 30.000 zł., po mojem wyjściu pozostało długu 60.000 zł., po mnie nastał inny kierownik, ale i innej rasy, bo herbowy, był dwa lata na młynie kierownikiem razem z panią doktorową jako buchalterką, no ci państwo się przynajmniej dobrali pod względem rasy i szlachetności ale cóż z tego kiedy zadłużyli młyn na sume trzy razy większą jak po mnie pozostała, potem nastał na kierownika p. S., ten utrzymał w równej wadze że młyn mógł stać o swojej sile. W roku 1932 znów p. J. zwrócił się z prośbą do mnie, bym mógł wstąpić na młyn i objąć już na czysto wszystkie zarządy młyna, ale to już bez pośrednika, bo sam odrazu nie miał odwagi. Po dłuższej rozwadze i wejściu w położenie p. J. i jego słabość, nie odmówiłem i tą razą, dałem słowo że przyjmie, ale tylko na próbe bo nie wiem jak młyn stoi materialnie, i w dniu 1 maja 1932 aktem rejentalnem zapisał mi p. J. ze swoich udziałów, a miał ich 13 więc mnie odstąpił udziały trzy i tego samego dnia na ogólnem zebraniu młyna udziałowego w Sz. zebranie wybrało mnie na członka zarządu i powierzyło mi całe pełne kierownictwo młyna, czy tą razą będę mógł coś zrobić to trudno przewidzieć na to, to tylko czas wykazać może, musze zaznaczyć że rok 32 jest wielkiem kryzysem, straszną nędką, więc nic dziwnego że i młyny jako przetwórnice zboża na mąki też tem samym śladem idą jak i rolnictwo, ale jak zaznaczyłem to czas pokaże, narazie o młynie zatrzymam się a wróce się jeszcze do roku 1920 o innych sprawach.

Otóż kiedy Ks. Z. był u nas proboszczem a dosyć ja się z nim zapoznałem i rozpoznałem go że do spraw ogólnych był zamiłowany a w tych latach był jednocześnie i członkiem wydziału powiatowego w Sieradzu otóż w wydziale wytargował proboszcz na budowę szkoły 7-mio klasowej 150.000 marek, gdy to mu się udało po powrocie do domu przybył do mnie i oznajmił mi że na budowę szkoły wydział przeznaczył 150.000 i co tu robić by można było pobudować szkołę odpowiednią na 7 oddziałów i mieszkania dla siedmiu nauczycieli i po naradzie między sobą postanowiliśmy zrobić zebranie z ludzi mądrzejszych, zamożniejszych i zaproponować im składkę dobrowolną, możeby jakoś suma wpłynęła a ponieważ już poprzednio zrobiłem kosztorys i plan i po obliczeniu wypadło mi taki pobudynec na 300.000 marek, a nawet ja zobowiązałem się pobudować za te sume szkołę. Gdy na zaproszenie gospodarze się ześli na takie zebranie, proboszcz przemówił do nich po kapłańsku i ludzku i po małej dyskusji gospodarze przystąpili do opodatkowania się dobrowolnie i zaraz kto co ofiarował na budowę jaką sumę, to stwierdzał podpisem i tym sposobem zobowiązania były piśmienne z podpisami na sumę 80.000 marek czyli już jest razem z wydziałem $\frac{3}{4}$ części kapitału. Chodzi teraz o $\frac{1}{4}$ część i skąd wziąć, otóż postanowiliśmy napisać do Rady gminnej aby te $\frac{1}{4}$ część uchwaliła w imieniu gminy. Do rady wysłaliśmy podanie piśmienne z podpisami, sądziliśmy że jak to rada przeczyta i dowi się że już jest $\frac{3}{4}$, to z miłą chęcią dołoży rada te brakującą część $\frac{1}{4}$. I możeby się i udało, żeby nie było w tej radzie trzech warcholów, ci trzech popsuli całą sprawę w obecności mojej i proboszcza i wobec tego wydział powiatowy te sumę przeznaczył na inną gminę, co chętnie dołożyła pieniędzy i szkołę pobudowała, a u nas do dnia dzisiejszego niema pobudowanej szkoły.

W roku 1921 na zebraniu gminnem udało się przeprowadzić uchwałę budowy dróg bitych bruk szosa, jedna droga długości 7 kilometrów i druga droga 5 kilometrów i wybrany był kumitet na każdą drogę. Do budowy drogi Zadzim—Zygry dokumitetu wszedłem i ja to opisujący, było też postanowione przez to zebranie jakie wsie i które będą budować drogi i większością głosami postanowili że $\frac{3}{4}$ gminy będą budować te drogi na 5 kilometrów, a drogi na 7 klm z naszej wsi do Zygier ma pobudować $\frac{1}{4}$ część gminy. Te $\frac{3}{4}$ części gminy uważali, że tamta droga jest im najkorzystniejsza i najpotrzebniejsza, a naszą drogę uważali zupełnie za zbyteczną i na tem zebraniu postanowili się opodatkować po 200 marek

z morgi. Po zebraniu i uprawomocnieniu się uchwały jak również i zatwierdzeniu jej przez wydział Powiatowy, choć to ostatnie dobrze się udało — zasługa Ks. proboszcza, zaprosilem swój kumitet na te droge by od słów dojść do uczynku, choć nawet z $\frac{1}{4}$ częścią gminy bo tylko z temi wioskami, które korzystały z tej drogi, ale trudno, a jeszcze musze nadmienić jaka różnica była w pokładach ziemi w tych drogach. Otóż droga na 5 klm. ma podkład piaszczysty, co ziemne roboty bardzo mało wymagałyby pracy. A nasza droga, to droga przepaści, jak było mokro to trudno było przejechać nawet próżnym wozem, a nawet iść pieszo to buty luźne na nogach zostawały w błocie, ile, glinie, że na wspomnienie jak przystąpić do budowy tej drogi włosy dęba stawały na głowie, jak i od czego rozpocząć. Ale trudno, na zebraniu kumitetu, kumitet jednogłośnie postanowił. Wybierają z pomiędzy siebie mnie do budowy tej drogi bitej, i tu pozbyli się wszyscy członkowie kumitetu pracy, a włożyli na mnie, ja to zmuszony byłem przyjąć by móc coś zrobić i wtyle nie zostać. Na drugi dzień ta część gminy otrzymała już polecenia dla robienia robót ziemnych, i tak ci co konie mają muszą wozić piasek na droge i to grubości po 30 cent., ludzie bez koni kopać rowy, droge plantować, były jednostki co w tej chwili usłuchali i do robót przybyli ale to jednostki, reszta ogląda się i myśli, co to się robi, toć przecież od wieków tak było i ludzie przejeżdżali i żyli, a tu teraz żeby chodzić i jeździć na roboty, to jest niemożliwem, więc jednostki robią, a reszta kumbinuje, ale na drugi dzień już było więcej ludzi do pracy, bo się przeprowadzało agitacje i wmawiało się w ludzi ambicje, abyśmy my choć jest nasz $\frac{1}{4}$ część przód rozpoczęli roboty jak tamci $\frac{3}{4}$ gminy i tak potrochu ludziska zaczęli się wdrażać do wspólnej pracy, a na drugi tydzień to już roboty poszły w całej pełni. Ja sam nie patrzałem na to, że ja pracuje i wiem zgóry co to mnie czeka za praca całymi dniami tygodniami miesiącami i latami, ale zająłem i swoich ludzi i konie i dalejże na dwa wozy wozić piasek, aby tym sposobem i przykładem wymusić na ludziach chęć do pracy. Do robót ziemnych potrzeba było pare tyczek i kilkadziesiąt palików, ponieważ miałem własne zagaje to o to nie było trudno, urąbałem i zawiozłem na droge, ale byli tacy co te paliki i tyczki w nocy kradli, to ja codzień musiałem dowozić, a oni co noc zabierali choć niewszystko, ale w części. Rozkład roboty był 1) naprzód szły roboty ziemne, 2) za plantem drudzy wozili kamienie brukowe i układali w metry gdyż wszelkie zwózki i wywózki były akordowe, a po

odebraniu kamieni, brukarze brukowali szabrowali i ubijali i tym sposobem zdążyliśmy zrobić przez jedno lato 1921 roku 1.500 met. bieżących bruku, pieniądze zaś zaraz po uchwale zbieraliśmy od swej ludności tego okręgu po 200 marek z morgi, i temi pieniędzmi wypłacaliśmy brukarzy, roboty wszelkie były wykonane szarwarkiem darmo, a kamienie wożone na bruk też były darmo. Jednym słowem mieliśmy już drogi bitej 1½ kilometra, te przestrzeń drogi wybrałem w pośrodku a nie z brzegu, a to dlatego że w tym miejscu była najgorsza droga, a powtóre że w tem miejscu wpośrodku było ludzi sporo co nie chcieliby chętnie robić, a że im rozpocząłem bruk pod nosem a w dodatku między ich polami, to każdy był chętniejszy do pracy że to jakby dla siebie robił, i bez to wsadziłem między ludzi zazdrość, bo jedni chcieli aby nadal budować od naszej wsi, a drudzy od Zygier. Gdy ten kawałek drogi był gotowy, a przyszła jesień i zima, deszcze, mokralnie, to dopiero dało się w znaki i różnice gospodarzom, i tak jedzie od strony wsi po dziurach i błocie, dojechał do bruku i jedzie brukiem, serce mu się uśmiecha co to za różnica w jeździe, a nawet i konie się cieszyły, ale gdy przejechał bruk to znów wpada w błoto i dziury, że sam gospodarz idzie po błocie i konie idą na przystawke, i po takiej próbie dopiero ludziska zaczęli wydawać sądy chłopskie i bez to nabierali chęci do dalszej pracy, tu musze zaznaczyć że za naszą składkę po 200 marek z morgi było tyle drogi zrobione, a w tym roku majstry brukarskie były bardzo tanie, bo robót nie mieli, i na tem zrobiliśmy interes. Na drugi rok znów robimy tego samego i tym samem śladem co i poprzednio, ale już ludzie byli chętniejsi i posłuszniejsi, a że już nie było pieniędzy na zapłacenie brukarzy, bo już drugi raz nie opodatkowaliśmy się, wobec tego poprosiłem proboszcza jako członka wydziału, aby raczył przedstawić wydziałowi i p. Staroście naszą pracę i zamiłowanie i że proszę wydział o pomoc pieniężną li tylko na brukarzy. Wydział Powiatowy w Sieradzu chętnie pomoc pieniężną dał, co starczyło na majstrów brukarskich i tym drugim razem zrobiliśmy kilometr bruku i pięć mostów. Ponieważ w naszym tym okręgu był majątek właścicielki Pani C., ten majątek był położony od strony Zygry, zaproponowałem Pani C. by roboty szarwarkowe to jest roboty ziemne kopanie rowów nawożenie kamieni zapłacenia brukarza i t. p. robiła przez swój majątek poczynwszy od Zygier szosy głównej Uniejowskiej. Owszem Pani C. zgodziła się na to i przez cztery lata pobudowała swym własnym kosztem drogi bitej dwa kilometry, szczęście że zabraliśmy się do

budowy drogi w czas gdzie jeszcze nikomu się nie śniło, kamieni wtenczas było pod dostatkiem, ludzie z kamieni sobie nic nie robili darmo dawali i za darmo wozili i takim gospodarczym sposobem pobudowaliśmy całe 7 kilometrów, co dziś toby kosztowało kilkadziesiąt tysięcy złotych, a wtenczas i co rok potrochu zrobiliśmy $\frac{3}{4}$ część gminy. Ale też muszę wspomnąć i opisać co zrobił ten drugi kumitet, co też był wybrany do budowy bitej drogi, no i na dodatek $\frac{3}{4}$ części gminy. Otóż z bólem serca muszę powiedzieć że nic a nic nie zrobili przez te wszystkie lata aż do roku 1932 i już nigdy nic nie robią, bo nikt się za to nie chciał wziąć bo to robota bezinteresowna, a honorowa, do naszej drogi nie chcieli nic pomóc, a jeżdżąc nią to im sprawia przyjemność. Zmuszony jestem wspomnąć jakim sposobem dodałem ducha do dalszej pracy tej naszej drogi. Otóż ja z natury energiczny dosyć silnie naciskałem pracą aż zauważyłem, że ludziska są niezadowoleni i zaczęła robota iść marnie, a postanowiłem że do tego a tego miejsca musi być zrobione i most jeden duży wybudowany murowany z kamienia cegły na cement, a tylko pokład z bali, a jak wspominałem ludzie mi się zniechęcają, jakiego tu użyć sposobu, owszem wpadła mi myśl dobra że tym sposobem mogę roboty dokończyć i ludzi zadowolnić, sposób był taki: ogłosić ludziom że za dwa tygodnie jak tylko most będzie gotowy, będzie poświęcenie mostu i tej bitej drogi, założyć wielką uroczystość, Księży zaprosić, władze powiatowe, Wydział, zarząd drogowy, powiatowy, okolicznych Panów.

Nadchodzi niedziela pierwsza ksiądz, a już był inny, nowy proboszcz, zaczyna głosić z ambon i u nas i w Zygrach, iż w Niedziele te a te będzie uroczyste poświęcenie nowopobudowanej szosy i bruku i mostu nowego i poświęcenie odbędzie się na tem moście, zapraszam i życze aby każdy w tej uroczystości wziął udział gdyż to od wieków będzie pierwsza uroczystość, na drugą Niedziele tego samego, a na trzecią Niedziele poświęcenie. Gdy nadeszła także trzecia Niedziela po sumie na godzinie 2-go pp. przyjeżdża najprzód nasz poprzedni proboszcz, teraz Ks. kanonik z Sz., a potem urzędnicy na czele starosty, nasz teraźniejszy proboszcz, Ks. proboszcz z Zygier, sąsiednie obywatele, jedni samochodami drudzy pojazdami, a publiczność gromadzi się ze sąsiednich wiosek jedni granicami to łąkami to bez pola inni furmankami i t. p. Co minuta wzrasta publiczność muszę zaznaczyć, że na te uroczystość młodzież tak dziewczyna jak i kawalerowie a nawet żonaci za wskazówką moją

zaczęli budować bramy tryumfalne na tym moście, całe baryjery przy moście były pookręcane girlandami cały most wyścielony liśćmi i gałęziami świerkowymi, jednym słowem na Niedziele poświęcenia było wszystko gotowe, a w dzień poświęcenia gospodynie naznosiły krzesła, dwa stoły, obrazów, koronków, różańcy, skaplerzy i to wszystko dla poświęcenia przez Księża. Na tę uroczystość był zaprowadzony porządek dzienny: 1) tak jak przywitanie gości, 2) Ks. Kanonik dokona poświęcenia tej drogi, mostu i wszystkich naznaczonych przez gospośnię świętości, 3) Przemówienie Ks. Kanonika, 4) ja — sprawozdanie z budowy tej drogi i mostów, 5) Przemawiał p. Starosta, 6) Na zakończenie przemawiał nasz Ks. proboszcz, wszystkie przemówienia były bardzo przekonujące o budowie dróg i rozcudzające, do tego stopnia że ludziska się przeili tem że jak tylko od Narodzenia Chrystusa to w tem miejscu i przy tej wiosce nie było jeszcze takiej uroczystości, po skończeniu całej uroczystości a trwała ku wieczorowi, Państwo C. wraz z całą rodziną córkami i wnuczkami zaprosili wszystkich gości zaproszonych do swego dworu na podwieczorek, między innemi i ja był zaproszony, gdyśmy przyjechali do dworu i weszli do salonu dla różnych pogadanek, aż służba naszykowała i zastawiła podwieczorkiem stół, dopiero byliśmy zaproszeni do pokoju stołowego, tam najprzód przy kredensie był urządzony bufecik dla wypicia popicia i napicia różnych nalewek i przekąski, a po chwili dość sporej przyszły panie, zajęły pierwsze miejsca i tak kolejno podług rodów i stanowisk zasiadali do stołu, ja też zasiadłem przy gospodarzu dworu na miejscu ostatnim, podwieczorek doskonale smakował, bo to po paru godzinach być na powietrzu i po przemówieniach to jest dobry apetyt. Po podwieczorku nastąpiły różne pogadanki i to każdy na swojego boga, ja też z tego chciałem skorzystać, ale nie dla siebie a dla gminy, poprosiłem Księża by można ze Starostą i Inżynierem powiatowym na osobnym miejscu poprosić ich o pomoc pieniężną na dalszą pracę drogi, owszem Księża postarali się o to że mogliśmy osobno obgadać o dalszej pracy nad budową drogi, po przedstawieniu całej sprawy pp. Starosta i Inżynier przyrzekli mi co rok dawać pomoc pieniężną i rzeczywiście że robili co powiedzieli, bo na pierwsze dali 800 zł. a na następny rok dali 2000 zł. i przy tej pomocy się skończyło. A teraz co pomogło poświęcenie, otóż ludziska po tej uroczystości inaczej traktowali budowę drogi i wogóle wspólną pracę i to przyczyniło się do przedszego ukończenia pracy, a po wykończeniu tej drogi to prawie cała gmi-

na i sąsiednie gminy korzystali z tej drogi, ale na tem nie koniec, bo ta droga dała przykład i dla innych gmin, bo obecnie już po gminach tym sposobem robią szosy bruki, lub żwirówki.

A teraz nieco pomówimy jeszcze o nowym Ks. proboszczu. Nastąpił do naszej parafji po Ks. Kanoniku, w rok później bo zaraz po Ks. Kanoniku to nastąpił Ks. D., to była dusza prawdziwa Kapłańska, to był prawdziwy Namieśnik Chrystusa, a nieszczęśliwy był bo zdrowia nie miał i mniej więcej był u nas rok czasu i umarł, i dopiero nastąpił ten obecny, ponieważ ja w życiu już byłem parę razy poparzony z duchownymi to już nadal byłem zawsze zdaleka od nich, i tak samo i zdaleka się trzymałem po przybyciu nowego proboszcza Ks. N. i od niego, a obserwowałem zdaleka jego postępowanie, czyli po uczynkach. Owszem był dobry gospodarz, jak do roli, bo miał jej 10 morgów, tak i po podwyrzu, był bardzo bierny za posługi religijne i ogromnie lubił by mu ludzie darmo robili, a do tego miał dobraną do siebie gospodynię swoją, nadzwyczaj pracowitą, ale nigdy nienasyconą pieniędzy i pod tym względem obrzydła ona każdemu w całej parafji, a najwięcej dziadom ubogim, ale co pod tym względem zdobywania pieniędzy, to się starali. Ja czem więcej badałem to tym więcej mnie coś odciągało i mówiło żeby być zdaleka. Ale to tak utrzymać się trudno, nawet dla oka ludzkiego i po sąsiedztwie, mając ziemię przez granice, toć to samo zmusza żeby się zapoznać i po bytności Ks. parę tygodni dopiero my się zapoznaliśmy i po zapoznaniu bardzo często my się z sobą stykali, rozmawiali o uprawach roli, łąk i t. p., to znów różne mowy były od czasu do czasu i o sprawach ogólnych ale zawsze w duszy zdaleka, z obawy by czasem nie być narzędziem jego, a na szkodę parafijanom czyli moim sąsiadom, czyli ładnie pięknie, ale zdaleka. Uważam że z ludzi doskonale pociąga za usługi religijne, aż nareście i na mnie przyszła kolejka, wydaje córkę za mąż, ten niedoszły zięć poszedł zamówić ślub, Ks. żąda od niego 8 met. pszenicy, a pamiętam że wtenczas była pszenica po 50 zł. za metr, czyli żąda 400 zł. Zięć przeze mnie upomnięty żeby za dużo nie ważył się dawać, wyznaczyłem mu cenę do 60—80 zł. za cały ślub z obsługą kościelną, a tu usłyszał 400 zł. aż nareście opuścił na 350 zł. i zięć przyszedł z niczem, a goście się już pojeżdżali na tę uroczystość a zgody z Ks. niema. Nareście ja sam idę do Ks. i zapytałem o co się tu rozchodzi Księdzu, że zięć z niczem przychodzi, Ks. mi odpowiada: zięć pana daje tylko 60 zł. a ja mu spuściłem na 350 zł. i mówi dalej, że już sobie zdążył te formy

zaprowadzić w parafji i ludzie się do takich cen przyzwyczaili, więc wobec tego nie moge sobie psuć cen i układów, bo coby to powiedzieli inni. Ja odpowiedziałem że zapłacenie ślubu to nie jest to moja rzecz, a zięcia, ale stanowczo mówie Księdzu że więcej nie da, bo jak szedł na ochotnika do wojska to Księża błogosławili ochotników i przyobiecali, że jak który wróci szczęśliwie, to śluby będą mieli darmo, a jeżeli on daje Ks. 60 zł. i na służbę 20 czyli razem 80 zł. to już więcej nie da. Ks. odpowiedział że dać ślubu za te sume nie może, chyba że jutro na ranny mszy, to wten sposób nie popsuje sobie wobec ludzi dochodów, ja odpowiedziałem że bardzo dobrze i zgodziłem się na jutrzejszy dzień zatrzymać się z ślubem, bo rachunek mi wykazał że lepiej się zatrzymać jeden dzień jak wyrzucić na próżno 270 zł. i tak też się stało, wróciłem do domu, oznajmiłem gościom, że ślub jutro na ranny mszy, a teraz bawcie się i weselcie, bo lepiej przejeść, przepić, jak na próżno pieniądz wyrzucić, zięcia zaraz wysłałem by jeszcze dziś wszystko było odpłacone, by na rano być spokojnym i żeby znów coś nowego nie zaszło. Prawda że Księdzu to się nie podobało i był mocno obrażony, bo mu się popsuł interes, a ludzie się trochę popsuja i też będą chcieli tym samym śladem iść, ale trudno, zięć poszedł odpłacił wszystko tak Księdza jak i służbę kościelną. Naza-jutrz skoro rano gości pobudziłem by szykowali się do kościoła na ślub, by się nie spóźnić ani minuty i tak się też stało, by się już Ksiądz nie miał czego czeplić. Potem jakoś stosunki się zmieniły zaczynamy być zdaleka od siebie, ja unikam abym się nigdzie nie spotkał z Księdzem, ludzie wiedząc o tem wydawają swoje sądy i poglądy. Księdzu to nieprzyjemnie, a ludzie obserwują i to tak było z rok czasu. Aż jednego razu jestem w polu, a Ksiądz już polował na mnie i przyszedł w pole też swoje, które graniczyło z polem mojem, przyszedł do mnie mówi: Szczęść Boże, ja odpowiedziałem, przywitaliśmy się, rozmowa idzie o rolnictwie, a po jakimś czasie ksiądz mówi, prosze pana to tak dla nas obojga nieładnie że my po sąsiedzku mieszkamy i ziemie mamy a pan tak omija mnie, aby się nie spotkać, a ludzie to obserwują i pośmiewają się że to jest i zgorszenie dla głupszych, wobec tego co było, to już minęło, ja chciałem po swojemu, a pan uparł się i zrobił po swojemu, gdzie ja nie mam pretensji, ale nadal tak pozostawić nie można, bo to jest nieprzyjemnie, i po przemówieniu Księdza podaliśmy sobie dłonie i nanowo stosunki pozostały odświeżone. W krótkim czasie potem wydaje ja drugą córkę zamąż, ale to już

wzięło obrót inny, Ksiądz zastusował się do ceny ślubu jaką zięć przeznaczył, jednym słowem było cicho i spokojnie do tego stopnia że i Ksiądz był poproszony na te zabawy weselną, przybył, ubawił się, bo do zabawy to Ks. był dobry i lubił się bawić i nanowo żyliśmy sobie nadal jak Bóg nakazał. W roku 1928 14 sierpnia powstał u nas pożar i to przy kościele tylko przez droge, zapaliły się sąsiednie dwa domy i od tego pożaru spalił się i kościół wraz z wieżą, wieża była śliczna i kosztowna, była budowana za tego proboszcza, co to kłątwe rzucił na mnie mniej więcej w roku 1906-7. Ja wtenczas byłem na młynie, gdy żem otrzymał telefon że nasza wieś się pali i kościół, nająłem samochód i pojechałem bo przecież mam we wsi dwa gospodarstwa z zabudowaniami, ale moje budynki ocalały od ognia, dla parafji straty ogromne, bo trudno takiej wieży będzie odbudować, ale stało się. Na przyszłą niedzielę Ks. zapowiedział zebranie parafjalne, na którym i ja byłem obecny, radzili równie co i jak zrobić i jak odbudować, ale jak zwykle bywa, że czem więcej radzą to kończy się na niczem, a że wiem że tak bywa poprosiłem o głos i mówię, Proszę panów, cały czas obserwuje wasze mowy i Księdza i dochodzę do tego, że za dużo jest rzuconych projektów, a zdań jest więcej jak was wszystkich, otóż mojem zdaniem, ponieważ jesień za pasem, sklepienia tak piękne i kosztowne są wystawione na wszystkie deszcze, a oprócz tego szczyt kościoła taki wysoki stoi bez pomocy zankrowania bo nie ma do czego go przymocować, bo całe wiązanie spalone, wobec tego nie tracąc czasu ani na jeden dzień tylko w tej chwili opodatkować się po złotemu z morgi to będzie 7.000 oprócz tego będzie i fajerkasa i w tej chwili przystąpić pokryć dach na kościele taki sam jaki był poprzednio z różnicą tą by był pokryty dachówką jaką jest najlepsza, i przez wrzesień i październik by był dach gotowy już pobudowany i pokryty, ażeby nie dopuścić deszczów i wody na sklepienia, bo mogą się zawalić, a szczyt kościoła zaraz zankrować związaniem drzewa i na Wszystkich Św. już będzie gotowe. A wieże przykryć narazie prowizorycznie by nie zaciekały mury i sklepienia w wieży, mówię dalej, koszt dachu na kościele uczyni od 8 do 10-ci tysięcy złotych, bo już przedtem zrobiłem kosztorys i obliczenie. Po mojem przemówieniu zebrani wszyscy akceptują moje zdanie, ale Ksiądz sprzeciwia się temu i nie zgadza się na to, aby dach na kościele dać od razu na czysto, a tylko aby dać dach prowizoryczny, a na drugi rok czy trzeci rok dopiero budować dach taki jaki inżynierowie wydadzą plany i kurja biskupia zatwierdzi,

i ogromnie przekonuje swoich parafijanów. Po skończeniu przemówienia Księdza ja powtórnie zabieram głos i tak krótko i otwarcie, bo już mnie nerwy trochę z miejsca ruszyły. Proszę panów, budować cokolwiek bądź jaki taki pobudynnek, to mogą się w to bawić ludzie zamożni co nie chcą wiedzieć na co grosz wydawają, a powtóre co mają za dużo czasu i dużą ilość tygodni do rozporządzenia. Ale my w takie rzeczy bawić się nie możemy, najprzód że nie mamy pieniędzy na wyrzucenie napróżno, a powtóre i czasu, bo to musi i powinno być skończone na 1 listopada, a jak Ks. i wy panowie wątpicie że się tego nie zrobi co ja mówię, to proszę mnie oddać te budowe, a ja ją skończę i oddam na 1/11, warunki wam daję, 1) do 1 listopada zebrać pieniądze po 1 zł. z morgi, 2) na moje zażądanie jak drzewo będzie miał już kupione żebyście mi w 2-ch dniach zwieźli, i więcej już od was nic nie żądam, najwyżej przywieziecie jeszcze dachówkę ze stacji kolejowej, ja zobowiązuje się pobudować i dać takie wiązanie z drzewa jak było poprzednio, ja sobie nie życzę żadnych inżynierów, biskupów lub kurji biskupiej, bo ci wszyscy tu nie dołożą ani grosza a przeciwnie będzie każdy chciał coś zarobić i za przejazdy płacić, ja gwarantuję za dobroć i siłę odbudowania, a narazie dopóki nie złożycie pieniędzy i nie dadzą fajerkasy, to ja będę operował swojemi siłami, wkońcu mówię proszę i życzę usłuchać mojej rady bo jak nie zrobicie tak, to po roku lub dwóch będziecie żałować, ale to już będzie za późno, a zatem żegnam was, bo muszę odjeżdżać, bo samochód odchodzi, i odjechałem do swego obowiązku na młyn. W tygodniu dowiaduje się że Ksiądz w żaden sposób nie chciał się zgodzić na moje projekta i żeby nie dopuścić do tego bym miał budować a przeprowadził uchwałę po swojemu, wybrali kumitet do budowy kościoła, Ksiądz przedstawił sam członków do kumitetu, ludzie zgodzili się na to, bo jakże to można Księdzu się sprzeciwić, mnie do kumitetu wcale nie wybrali i postanowili dach dać narazie prowizoryczny, gdy ja się o tem dowiedziałem, a na miejscu sprawdziłem że rzeczywiście tak zrobili, zakląłem tylko pał was djabli jak zrobita tak będzieta mieli i wcale już do tego ani głosu ani palca nie dokładałem, i owszem przykryli dachem prowizorycznem, po swojemu i papą przykryli dach zupełnie płaski jak na jakiej szerokiej szopie, i nad wieżą też dali dach prowizoryczny a szczyt kościoła został bez opieki i zankrowania bo przecież niema do czego, pieniądze zmarnowali na ten dach 6.000 zł. i tak pozostało. Na drugi rok po tem odbudowaniu znów mają zebranie parafijalne, ale

ja na nim już nie byłem, ale coś ludziom do głowy wpadło że mnie wybrali do kumitetu i to nietylko kościoła, ale i cmentarza grzebalnego i wogóle do całego majątku parafijalnego, a gdy po jakimś czasie Ksiądz zaprosił kumitet aby w dalszym ciągu obgadywać o budowie na nowo kościoła, to i ja otrzymałem zaproszenie na to zebranie, no i byłem obecny na tem zebraniu, tam wyłoniły się różne projekty. Ksiądz chciał by całe wiązania na kościele i wieży było żelaznobetonowe i dach kryty blachą miedzianą, a oprócz tego by składali składki do Księdza na dzwony, gdyż dzwony się w ogniu stopiły i to wszystko obliczał na 80—90.000 zł., a to już było przy końcu roku 1929 a początek 30 roku kiedy już zaczęły się czasy robić co tydzień to cięższe i wtenczas kumitet wybrał mnie na wiceprezesa a Ks. z samego urzędowania był prezesem, Ks. to akceptował ten wybór, ale był zupełnie z inną myślą, że pozyska mnie dla siebie i będzie mu zawsze w pomocy i jego stronę popierał, ale w tym grubo się pomylił, bo ja trzymałem się zawsze tego, co mnie życie nauczyło a że przeszedłem różne koleje życia i nigdy na niczyjem pasku nie chodziłem, dziś przeważnie tem bardziej trzymałem się i trzymam własnego rozumu. Do zebrania kumitetu zmusiło Księdza bo położony dach nad murami wieży niezwykły wiatr zerwał i cały dach runął na cmentarz przebijając swym ciężarem dach nad zakrystją i Ks. zwątpił sam i dlatego zmuszony był zaprosić kumitet, aby się wspólnie naradzić, ale te wszystkie zebrania i narady dla parafiji nic nie pomagały, to było tylko robione dla oka ludzkiego, a w gruncie rzeczy to Ksiądz chciał to robił, po swojemu jak jemu było dogodniej i korzystniej, a nu rozwiązała się dyskusja i projekty, Ksiądz radził, by drugi raz dać dach prowizoryczny na wieży, i to jaknajprędzej by nie zaciekało, członkowie w tem nie są doświadczeni nie wiedzą jak w tym wypadku radzić, czekają na mnie co ja powiem, ale ja nie chciałem głosu zabierać, by tym sposobem wyczuć rozumowanie kumitetu, no przedewszystkiem Księdza proboszcza, nareście że ja głosu nie zabieram i nic nie mówię, doszło już do tego, że będzie dach położony prowizoryczny. Gdy to już Ks. ma pisać, przeprosiłem i zabrałem głos, mówiąc, dla mnie jest dziwne, że panowie i Ks. proboszcz lubicie się bawić i pieniądze marnować na rzeczy prowizoryczne, chyba powinno już życie każdego nauczyć, by nie roztrwaniać pieniędzy publicznych, i to tych których niema. Kościół jeżeli pobudowali przed 300 laty to go pobudowali na stałe wieczyste, a nie prowizorycznie, boby parafijanie musieli budować dwa razy

do roku, tak jak wy panowie pokryliście wieże, w paru tygodniach znów chcecie pokryć prowizorycznie, każde pokrycie kosztuje 500 zł. coby stanowiło razem 1.000 zł., kto to z panów lub Ksiądz proboszcz zagwarantuje, że nie będzie wypadku z temi waszemi prowizorycznemi robotami, przed chwilą Ks. proboszcz mówił żeby parafianie to jest kawalerowie, panny, gospodynie każde oddzielnie składali składki na kupno dzwonów, jeżeli Ks. proboszcz ma myśl i zamiar o kupno dzwonów, to się zapytam, czy też będą zawieszane prowizorycznie na jakiś drągach czy kołkach czy tyczkach, panowie i Ksiądz proboszcz jeżeli się coś marzy o dzwonach co z czasem mogą być kupione, to trza było zaraz pomyśleć i robić wiązanie z drzewa od fundamentu trwale aby to wiązanie było tak związane by służyło kiedyś do założenia dzwonów i to samo wiązanie w murach wieży by służyło i do prawdziwego pobudowania wieży, to rozumię że nie będzie nadal próżnych wydatków i próżnej pracy i nie życze robić ze siebie pośmiechowiska nadal, bo dosyć żeście panowie wraz z Ks. prob. narobili upadku pieniądze i znieważyli te mury kościoła, bo tak żeście zaprowadzili że szczyt na kościele stoi od spalenia prowizorycznie, bo tylko trzyma się powietrza, dach na kościele zrobiony prowizorycznie, dach nad zakrystyją jest prowizoryczny, dach nad prezbiterjum jest prowizoryczny, wieża murowana pokryta była prowizorycznie i u nas zaprowadza się wszystko prowizorycznie, ja stanowczo i kategorycznie zaprzeczam temu i nie pozwolę marnować pieniędzy publicznych, a jeżeli by sobie samemu nadal robić prowizorycznie, to jeszcze hym pozwolił, ale to za wasze pieniądze. Stracić i zmarnować to można swoje ale nie ludzkie. Przecie jeżeli nas wybrała cała parafija to nie poto by niszczyć i marnować majątek parafiji, ale żeby bronić majątku czy to przed deszczem, mrozem, zgnilizną lub złodziejstwem, i dlatego ja się trzymam swego własnego rozumu tego co mnie życie nauczyło, a życie mnie dużo nauczyło, bo cokolwiek miałem, mam i mieć będę, to tylko ze swej pracy i zabiegliwości. Po skończeniu tej mej przemowy członkowie kumitetu już stanowczo moje poglądy akceptują a Ks. proboszcz, choć z niesmakiem ale też akceptował, no i protokół był tak postanowiony i wobec tego kumitet mnie prosi w imieniu swoim bym tą pracą się zajął i dopiął celu, ponieważ pieniędzy z fajerkasy Ks. prob. odebrał, a było ich 6.800 zł. i reszta miał Ks. składki z parafiji, zaznaczyłem by te pieniądze były oddane kasjerowi, który to kasjer był wybrany przez całe parafije,

bym miał do wypłat za drzewo już z kasjerem a nie z Ks. proboszczem. W tym samym miesiącu począłem starania o odpowiednie drzewo, jeździłem w kilka miejscowości, aż nareszcie odnalazłem stare sosny w majątku Zyгры zgodziłem je po 40 zł. za metr sześcienny, były wykopane te sztuki, pieńki były za robote a sosny sprowadzone do wsi, inżynier zrobił wykaz drzewa na wiązanie w wieży i zarazem i pod dzwony, ja potem wyrzynałem kłocze i pilarzom przeznaczałem do rznięcia na co było potrzeba, rznięte drzewo należało się układać równo i przekładać, by się nie kręciło i przesuszało, do tych przekładzin miało służyć drzewo z tego prowinizorycznego dachu, który wiatr zerwał i powalił na ziemie, kiedy był już zapas narzniętego drzewa i należało się je ułożyć i poprzekładać, to Ks. prob. kazał kościelnemu i najętym ludziom to wszystko drzewo z wieży poznosić na podwyrze swoje, dla swego użytku i pokazał już pierwszy występek czyli by ja nie miał czem drzewa przekładać, gdy się o to dopominałem, to kazał mi abym ze swego podwyrza przynosił drzewo do przekładania, zrobił już pierwszy krok do zaostżenia, ale trudno ja swoje robie dalej, drzewo wszystko wyrzynałem. Były dwie kruchty przy kościele, już od pare lat zaciekające do tego stopnia, że w jednej stojące katafal i lichtarze zaczęli gnić od przecieczenia, mówiłem Ks. by te kruchty były pokryte dachem i odrestaurowane, bo bolesnem było tam zajrzeć, smród, zaduch, zgnilizna chciała człowieka uduśić, jak tam wszedł i to mówiłem niejeden raz i to we cztery oczy, to znów i przy ludziach, a Ks. odpowiedział mi że niech tam gniją bo one tam nie potrzebne i należy je rozebrać i mówi dalej że kiedyś był jakiś niemądry co te kruchty postawił, ja odpowiedziałem że jeżeli jakiś niemądry postawił, to przynajmniej mądry niech nie chce rozbierać i psuć, i na to nie chciał Ks. dać pieniędzy, które przy sobie trzymał, a kasjerowi nie chciał oddać. Było zebranie parafijalne też na tych dniach i zebranie parafijalne poleciło Ks. aby pieniądze oddał kasjerowi. I to nic nie pomogło, a gdy my już siłą rzeczy nalegali o pieniądze to nareszcie odpowiedział że pieniędzmi rządzi Ks. i Biskup, a wam do tego to nic, i ja się z wami nie potrzebuje liczyć, bo do tego mam prawo przez konkordat. Ks. proboszcz rokrocznie wyjeżdża na kurację do Ciechocinka i to zawsze po Bożym Ciele, no i tego lata też wyjechał, dopiero skorzystałem z jego wyjazdu i zabrałem się sam do tych kruchtów, dachy nowe podałem i to najprzód swoim kosztem, ale jak kasjerowi osobiście wpłynęły pieniądze to mi wszystko zwrócił i wo-

bec takich zajść nie mogłem z proboszczem nadal pracować i zmuszony byłem zaprosić cały kumitet i rzec się tej wspólnej pracy. Zebranie zrobiłem dnia 28/6 1931 r. Gdy Ks. wrócił z Ciechocinka i miał wręczony odpis uchwały tego zebrania, strasznie się obraził, ale jeszcze nie daje za przegrane przyszedł do mego domu dla porozumienia się ze mną, ale ja już nie mogłem zdobyć się na takie fałszywe postępowanie i wcale się nie wdawałem w żadne rozmowy tylko stanowczo i katerycznie powiedziałem, że dopóki Ks. proboszcz nie odda pieniędzy i rachunków kasjerowi i dopóki Ks. chce się zajmować odbudową kościoła, to ja już razem łączyć się nie będę, a to dlatego że niech jeden będzie odpowiedzialnym za niszczenia i marnowania majątku parafijalnego, a ja do żadnych brudów i nieczystych spraw ręki nie dołożę bo mnie jest nie wolno, bo ja muszę się liczyć nie tylko przed Bogiem, ale przede wszystkim przed ludem, z którego i ja i żona i moje dzieci pochodzą i nadal będę unikał wszelkich pośredników, bo pośrednicy to okpią jedną i drugą stronę, a sam pośrednik dopiero się rozdyma, a wreszcie ja jestem gospodarzem rolnem i muszę iść razem ze swymi równymi a za narzędzie nie wolno mi się nikomu oddać, lub być sprzedawczykiem. Ks. nie mógł wytrzymać i spokojnie siedzieć, ale musiał wszystkiego wysłuchać i potem odszedł bez pożegnania i od tych czas prawie wcale się nie znamy i od tego dnia sam się wziął do prowadzenia dalszych robót choć te wszystkie jego roboty psu na bucie się nie zdały. Później doszło do tego, że kumitet zmuszony był napisać skargę do Biskupa. Ks. Biskup polecił tę sprawę do wysłędzenia Ks. prałatowi w Sieradzu. Ks. prałat wezwał nas czterech do siebie dla przeprowadzenia śledztwa, pojechaliśmy na dzień naznaczony, zaprosił nas do kancelarii parafijalnej i przemówił w te słowa, Proszę panów Ks. Biskup polecił mi tę waszą skargę rozsądzić, więc ja tu zastępuje samego Biskupa, ja będę bezstronnym i sprawiedliwym, przed paru dniami wezwałem tu waszego Ks. proboszcza, przycisnęłem go dobrze, że aż się poccił. Otóż byście panowie swobodnie i całą sprawę przedstawiali sprawiedliwie, a ponieważ ja jako sędzia mam prawo żądać od panów przysięgi w kościele, otóż jeżeli się zgadzacie na przysięgę, to proszę do kościoła, odpowiedzieliśmy że się zgadzamy, no i posłaliśmy do kościoła, w kościele było ludzi sporo, kazał zapalić świece przed wielkim ołtarzem i odebrał od nas przysięgę, potem posłaliśmy zpowrotem na plebanię, na plebanię każdego z osobna badał i spisywał protokół. Najprzód stanął wójt gminy, ba-

dany był akurat godzinie, potem inni, a ja na samem ostatku, co ci moje koledzy gadali to ja już nie wiem, ale wiem i pamiętam co ja zeznawał, gdy wszedłem do drugiego pokoju na to śledztwo, widzę że jest oprócz prałata i Ks. wikary jako sekretarz i w tej chwili wyszedł na dwór, a Ks. prałat mówi do mnie, ja pana znam, my gdzieś oboje jesteśmy w radzie szkolnej powiatowej, ja na to nic nie odpowiedziałem. Potem mnie się pyta kiedy ja byłem u spowiedzi, ja odpowiedziałem że już dawno nie byłem u spowiedzi, ale uważam że tu przy tem stole, a po przysiędze kościelnej wyświadczam się z lat zaległych i przyszłych. Ks. prałat na to odpowiada z uśmiechem, poklepując mnie po ramieniu a to nic nic, to tylko się zapytałem mimo woli, i wtenczas nadszedł Ks. wikary i rozpoczął prałat dawać mi pytania, zupełnie inne a nie te co było w skardze, ja wtenczas mówię Księżu prałacie ja jestem tu wezwany przez Ks. prał. abym zaświadczył to co my oskarżyli Ks. swego, ażebym prawdę mówił, to Ks. prałat odebrał ode mnie przysięgę kościelną, a gdyby i pod przysięgą jeszcze zachodziły wątpliwości, to to są sprawy widzialne, nie ukryte, każdemu rzuca się w oczy czyli to jest do sprawdzenia i gdyby Ks. prałat był na miejscu i na miejscu śledztwo przeprowadzał, tobyśmy na każdy punkt udowodnili naocznie lub świadkami i to nie jednym a po kilkunastu. I po tem mojem przemówieniu zaczął rozbierać kolejno punkta, ja wyjaśniam szczegółowo i wolno a Ks. prałat dyktuje sekretarzowi, ale od czasu do czasu w dyktowaniu przeistacza niektóre słowa, a słowa takie które były szkodliwe dla Ks. to ja znów stanyłem i upominałem się o poprawkę a że to było kilka razy i zapytałem się Księdza kto ma zeznawać czy ja pod przysięgą czy Ks. prałat bez przysięgi, a jeżeli Ks. prałat lepiej wie jak ja to poco ja tu jestem wezwany i składałem przysięgę, a teraz Ks. prałat tą zmianą by mnie doprowadził do krzywoprzysięstwa, jeżeli nie będzie każde moje słowo napisane, to ja sobie wyjde. Obraził się na mnie Ks. prałat no i niektóre słowa już napisane przeciwnie poprawiali i tak szło zeznanie aż do końca, potem poprosiłem o odczytanie i protokuł podpisałem. Po skończeniu tego śledstwa wezwał nas razem do kancelarji swej, bo każdy z nas czekał jeden za drugim i w tej kancelarji wyjon odpis Kumisji rewizyjnej i zarzuca że kumisja nieprawnie ten protokuł spisała, bo to, a to jest nieprawnie, my już razem jesteśmy i ja odpowiadam, że na prawach się nie znamy, bo gdybyśmy byli prawnikami, tobyśmy byli i panami, i inniby na nas robili, ale my się znamy na uczciwości

sprawiedliwości i mamy prawdziwe idee Chrystusa, że trzeba prawde mówić, a powtóre że my sami na siebie pracujemy i to ciężko i dlatego kumisja to pisała co uznała i co widziała i niedozwolemy by protokół kumisji w części uchylić. I po tych sprzecznych mowach kazał Ks. prałat napisać, że my akceptujemy w całości protokół kumisji rewizyjnej. Przy odejściu Ks. prałat mówi do nas, że jestem bardzo zadowolniony że widzę przed sobą ludzi starszych wiekiem, że samo to wskazuje na wiare, mówi dalej iż jestem na tym stanowisku około lat 30 różne sprawy i skargi rozpatrywałem i różne zeznania miałem, ale tak jak panowie się tu zachowali i zeznawali to prawie mam pierwsze szczęście, no pożegnaliśmy się i pośliśmy.

Gdyśmy odešli idąc ulicą mówiliśmy między sobą: to chyba się już zakończy z naszym proboszczem, że nareście Ks. prałat sumiennie i szczerze tą sprawą pokieruje i stanie się zadość sprawiedliwości. Tymczasem za jakiś czas otrzymujemy od Ks. Biskupa papier, w którym brzmi, że Ks. prałat był na miejscu, sprawę zbadał i doszedł do wniosku że tak nie było i Ks. Biskup sprawę umorzył.

— — — — —
— — — — —

A teraz co mnie nauczyły w życiu takie przejścia. Choć w skróceniu pragne zapisać swoje poglądy i spostrzeżenia, biorąc z słów Pana Jezusa Chrystusa. 1. Nie zbawi wiara, a uczynki, 2. Martwa jest wiara bez uczynków, 3. Po uczynkach poznać ich, a na innym miejscu jest powiedziane że z 12 apostołów znalazł się jeden Judasz i za 30 srebrników zdradził Chrystusa. I te wyrazy często Kapłani czytają z ambon w kościele z Ewangelii Św. a w kazaniach szczegółowo prawią. Ja sam znam osobiście Księży, którzy w większej części czy w mniejszej stosują się do idei Chrystusa i są dla swych parafijanów prawdziwymi pasterzami opiekunami, ojcami i matkami, co prawdziwie wychowują te swoje powierzone owieczki i są pociechą w smutku i tacy gdzieby się znalazł, to jest wielce szanowany przez ludność nie tylko swej parafji, ale całej okolicy i przed takimi chyle czoło i całuje ręce. Teraz w dalszym ciągu zdam swoje spostrzeżenia, otóż ja byłem wychowany od małego moralnie, pobożnie bo to, to już z piersi matki wysąłem, moi rodzice aż zanadto w nas dzieci wpoili pobożność, każdy z domu naszego musiał być u spowiedzi przynajmniej trzy

razy do roku, i że tak w nas wpojone uczono toć i ja choć byłem nie w jednym miejscu i pomiędzy różnemi ludźmi zawsze i wszędzie stawałem w obronie Księży, uważałem ich jako zastępców Chrystusa, nawet gdy już się ożeniłem a miałem wpojone i wmówione przez Księży czy to z ambony czy też przy spowiedzi, aby się z żoną kochać i starać się o większą ilość dzieci, że kto ma więcej dzieci to niech sobie rodzice wezmą za cel, że mają więcej aniołków, że w razie które by z tych dzieci umarło, to to dziecko idzie prosto do Nieba i gdyby któreś z rodziców zgrzyszyło, to ten aniołek stanie w obronie przed Bogiem i Bóg przyjmie rodziców do nieba, to też ja i żona moja uwierzyliśmy w to jako w świętość i tak my się starali, żeby było jaknajwięcej dzieci i Bogu dzięka było ich jedenaście, troje umarło, a ośmioro żyło to chyba stwierdza i przemawia za tem że tak było prawdziwie. Ale gdy zacząłem się sam dotykać na swoim domostwie i jak już wyszedłem z szalu namiętności, jak już widze te żone zapracowaną przy tyle dzieciach, jak biore ołówek w rękę i obliczam czy ja wstanie tych dzieci wychować, przyodziać, nauczyć, wyposażyć, aby nie było ciężarem krajowi i społeczeństwu, to znów, jak obliczyłem, ile kosztowała choroba żony przy porodzie, to znów od chrztu jak obecnie 12 zł., to znów metryki dla dzieci do szkoły, wychowanie, ubranie, opieka, szkoła, a potem zapowiedzi, śluby a pogrzeby to doszedłem do przekonania, że zamiast mieli być aniołki, to przy obecnej kulturze mogą być pacholki. A teraz wezme z drugiej strony co w pismach się czyta że robi się kumunizm, ludzie odpadają od wiary kościoła, spowiedzi i t. p., prawda że tak jest, ale czyja to wina, największa wina tych co to inaczej uczą, mówią a inaczej robią. Naprzykład umarło dziecko czy z rodziców w tem domu płacz lament, jakie były grosze poszły na chorobe, a tu Ksiądz żąda za pogrzeb 100—150—200—250 zł. i tak dalej że podług zamożności, to jest który ma więcej długu i wydatków i podatków, ten gospodarz zapłacił, bo musiał, ale w duszy przeklina złorzeczy i już jest kumunista. Weźmy teraz samego siebie taki jaki ja był posłuszny rozkazom Księży, to od chwili stykania się i prowadzenia interesów z niemi dziś postanowiłem sobie, że tylko będę oceniał po uczynkach, a nie po mowie, czyli tych uznaje, którzy przychodzą od słów do uczynku. W dniu 27 na 28 września 1932 r. w nocy powstał u mnie w moich zabudowaniach pożar przez czarną rękę i podłego sumienia złego człowieka spaliła się stodoła naładowana pełna zbożem, pożar był bardzo duży, a że moje zabudowania są poło-

żone w pośrodku wsi Z. gęsto zabudowanej wobec tego groziło nawet i sąsiednim pobudynkom, ratunek zabudowań sąsiednich był bardzo dobry, a dowodem jest to że ogień był zatrzymany li tylko w spalonej stodole, ale powszechnie jest wiadomo że ogień można li tylko zagasić wodą, to też ludność dostarczała odpowiednio ilość wody skąd się tylko dało, a że we wsi są dwa stawy parafijalne napełnione wodą, więc ludność udała się i do tych stawów po wodę bronić sąsiednich zagród, tymczasem jak pojechali po wodę do tych stawów, gospodyni Ks. proboszcza wyskoczyła z plebanji i siłą nie pozwalała brać wody ze stawów, ludność a to przeważnie młodzież była po te wodę, nie uważali na nic i na zabronienia gospodyni wody siłą wodę do beczek nalewali, a że to było siłą więc gospodyni jeszcze więcej wpadała w pasję. Księża narazie nie było u wody to całą winę każdy włożył na gospodynię, że zapragnęła by ognia nie było czem ratować, czyli mówiąc szczerze niech się pali, oto jeden obrazek. A teraz drugi obrazek. Otóż dnia 5 grudnia 1932 roku również powstał pożar w moich pobudynkach, tylko w drugiej posesji, w tej, gdzie sam mieszkam, zboża część było wymłócone ze stodoły i słoma z tego omłotu była wyrzucona poza stodołę i ułożona w sterte, ale tuż przy samej stodole w ten dzień wieczorem o godzinie piątej i pół, ktoś podpalił te słome, ale założył ogień między stodołą a stertą słomy w ten dzień akurat był jarmark we wsi i że jeszcze o tej godzinie było część ludzi obcych, wybierających się do odjazdu z jarmarku, gdy ludzie ujrzeni, że już ogień ponad pobudynkami płonie zaalarmowali, że się pali u mnie. Ludność ze wszystkich stron do ratunku, na szczęście że u mnie w gospodarce było i jest ten rozkaz, by woda była zawsze naszykowana i tak są do wody cztery beczki i to muszą być zawsze napełnione wodą, a oprócz tego mam w podwyrzu trzy koryta cementowe również napełnione wodą i to musi być we dnie lub w nocy, a jak mrozi zimą, to ta woda jest w oborze i w stajni, przy tem pożarze wody było jeszcze na podwyrzu, a oprócz tego jest u mnie kilka wiader do wody, pod dostatkiem wideł, kopaczy i haków własnych 3 szt. to ludzie choć wpadli do ratowania przez żadnego narzędzia, to jednak mieli je gotowe w podwyrzu i w domu u mnie, a oprócz tego było w mym domu narazie trzech synów, służący i było dwóch sąsiadów młodych u mnie w domu, co przysłuchiwali się radjo śpiewu i muzyki, a na dobitkę tego była i policja w moim domu, bo w nim ma swoją siedzibę posterunek policyjny, więc gdy

usłyszeli alarm na pożar i spostrzegli ogień, wszyscy wybiegli już biorąc naczynia do ręki i przystąpili do gaszenia ognia, ratunek był ponad ludzkie siły i cudowny do tego stopnia, że ogień już był w pośrodku stodoły, płomień latało po stodole, prawda że dach był kryty dachówką, a nie słomą, bo gdyby słomą toby nie było żadnego ratunku i narazie nie pozwolili się zapalić stodoły, a inni ludzie lejąc wodą słome od stodoły tak umiejętnie że płomień tłumili nie pozwalając się rozszerzyć ogniu, a inni jeszcze słome rozwalali hakami, kopaczami, widłami i odnosili zdala, a jeszcze inni ludzie donosili i dowozili wody skąd się dało, przedewszystkim ze studzien, ale i to było za mało wody. Otóż wójt gm. Zadzim rozkazał by po wodę jechali do stawów parafijalnych. Akurat Ks. proboszcz przybył do ognia, ale stał zdaleka na ogrodzie sąsiada i przypatrywał się, jak to się pali i jak ratują ludzie ognia. Gdy to usłyszał że wójt dał rozkaz by po wodę jechali do stawów, zaraz ostro Ksiądz biegł do swoich stawów, by nie pozwolić brać wody i tak ostro szedł, że pogubił kalosze i nie wiedział nawet w którym miejscu mu z nóg zleciały, zaleciał do stawu a tu zaraz ludzie już skoczyli u stawu z beczkami końmy po wodę, stanął Ksiądz proboszcz przed końmy nie pozwolił zbliżyć się do stawu po wodę, po te wodę było tam pare ludzi, wszyscy ludzie młodzi i energiczni, siłą rzeczy chcą brać wodę bo się pali, nie wolno marnować sekundy czasu, a tu Ks. nie da. Dopiero posłali po policję, a ci młodzi różne robią wymiany słów z Księdzem, dopiero jak czuł, że policja przyjdzie, a z drugiej strony widzi, że to mu nic nie pomoże, bo chłopaki siłą już wodę zaczęli naliwać, zauważył, że źle robi i uciekł na plebanie, no i pożar był zagaszony co nie spaliło się żadne zabudowanie, tylko część słomy i Księdzu nie stało się zadość uczynione. A teraz z tego wniosek, co ludzie mówią i jak rozumują i widzą postępowanie Ks. proboszcza zastępcy i namiestnika Chrystusowego, bo przynajmniej tak się mianują, teraz pytanie kto zło sieje i robi zgorszenie, kto to doprowadza do kumunizmu i do nieposzanowania ich, to już chyba sami czytelnicy sami sąd o tem wydadzą, z mojej strony chyba wystarczy podane fakta prawdziwe i oparte na świadkach. Czyta się różne książki co w niektórych opisują różne podstępne wypadki tak i na miejscu u nas bez wyczytania z książek czy gazet, naoczne i podstępne były zdarzenia by tym sposobem podstępnym upodlić i zniweczyć całą pracę moją z całego życia mojego i odebrać sławę i honor całej mej rodzinie, a fakt następujący. Dnia 15 grudnia 1932 r. zgłosiło się do Policji

Państwowej w Zadzimie dwóch z kol. Pałki gm. Wierzchy od Zadzima odległe 2—3 kilometry i zameldowali urzędownie iż widzieli naocznie jak syn mój Zygmunt podpalił teże słome i stodołę i zeznają dalej, iż oni posli ukraść pare drzewek owocowych z ogrodu p. G., tenże G. ma ogród zaraz przy mojej stodole tylko przez granice, teże granice przedziela płot z desek, po stronie lewej, a po prawej stronie czyli jakieś mniej więcej od tego miejsca co kopali teże drzewka do tej słomy sterty mogło być 25—30 met. i dalej iż jak oni wykopują drzewka, widzą i słyszą jak ktoś roztwiera tylne wrota stodoły z mojego podwyrza przycaili się spokojnie i uważają co to będzie, poznali zaraz mego syna Zygmunta, że to on roztwierał stodołę i czapkę zdjął, kapotą nakrył głowę i podeszedł do słomy, połał benzyną zapalił i zaczął uciekać, prosto na nich i do szosy drogi, ogień w tej chwili wybuchnął płomieniem i oni uciekli też z przerażenia i zeznają dalej, iż to co mówią mogą w kościele przysięgać. Policja ma się rozumieć robi protokół zeznania i na takowy protokół podpisali się, Komendant policji ucieuszony że już sprawce podpalenia ma bez pracy gdy już mają zeznanie i protokół podpisany, to się należy policji niezwłocznie zawiadomić Komendę policyjną powiatową w Sieradzu, i tak też zrobili. Komenda powiatowa gdy otrzymała takie zawiadomienie w tej chwili przyjechali autem na miejsce sprawdzić co się stało, żeby mój syn mógł podpalić budynki. Zabrali się energicznie do prawdziwego śledztwa, badali 18 świadków, co o kim się coś dowiedzieli jeździli nawet i do tych świadków co zeznanie podpisali, i ci potwierdzili swoje pierwsze zeznanie, że widzieli jak syn roztworzył tylne wrota u stodoły wyszedł i podpalił. Nareszcie wkońcu badają syna, ten zeznaje że na wieczór około godz. 4-tej przyszedł do mnie do pokoju młody gospodarz nazwiskiem L., dla posłuchania radja, w jakie 45 minut potem przyszedł jeszcze kowal i tak razem w trójkę słuchaliśmy radja i o różnych rzeczach rozmawialiśmy, o godzinie piątej i pół usłyszeliśmy trąbkę pożarną i krzyk że się pali, wybiegliśmy na podwyrze a tu pali się za stodołą słoma, chcąc przedostać się za stodołę to trzeba roztworzyć boczną bramę i takową my roztworzyli, a inni roztworzyli stodołę, by się przez klepisko dostać tylnymi wrotami za stodołę, wrota u stodoły były tak zamknięte że w tej chwili nie mogli roztworzyć bo się szczelnie zamyka na haczyki ze środka stodoły i ogień gasiliśmy czem kto mógł. Komenda powiatowa sprawdziła i zbadała świadków i doszła do przekonania, że to jest podstęp. Komenda powiatowa

wa, po zbadaniu jeszcze kilka tygodni tę sprawę trzymała u siebie, by przez ten czas coś jeszcze się dowiedzieć, potem wszystkim ukończonym śledztwem tą sprawę skierowała do p. prokuratora, znów po kilku tygodni przyszedł papier od p. prokuratora, iż sprawa pozostała umorzona. Ja mógłbym tych fałszerzy za takie zbrodnicze oszczerstwo oddać na drogę sądową i sąd by ich ukarał, ale gdy się radziłem mądrych i ślachtetnych ludzi, ci mi tego nie życzyli motywując tem, że to są ludzie straceni, ludzie opinij jak-najniższej, którzy już nie mają nic do stracenia, dla nich to wszystko jedno i wobec tego zaniechałem sprawy.

Dn. 29 listopada 1933 r.

MÉMOIRES DES PAYSANS

Une question s'impose à chacun qui prend dans ses mains „Les mémoires des paysans”: A quel genre littéraire appartient ce livre? Est-ce une documentation sociologique ou économique, ou bien ces mémoires sont-ils des oeuvres d'art? En les lisant faut-il être disposé à l'étude approfondie ou à l'émotion? En parler du point de vue sociologique, ou bien en faire la critique littéraire?

Or, ces mémoires sont tout simplement ce qu'est toute oeuvre qui appartient à ce genre littéraire. Ni plus, ni moins. Le sociologue et l'économiste y puiseront les données et les conclusions auxquelles un ouvrage pareil leur donne le droit. L'homme d'État en tiendra compte dans son activité, autant que sa probité politique et son souci du bien-être commun lui feront apprécier le poids d'une telle documentation, parce qu'elle lui fait voir les conditions dans lesquelles vivent ses concitoyens. Entre les mains d'un politicien ou d'un journaliste ce sera un argument dont il se servira pendant ses discours de meeting et dans les articles de journaux. Il les fouillera, tout au plus, pour y chercher des sources qui pourraient contribuer à l'approfondissement de son idéologie. L'écrivain artiste y trouvera de quoi enrichir ses notions de la vie, sa connaissance de l'âme humaine et sa conscience de la patrie.

Les mémoires en question se distinguent des autres oeuvres polonaises appartenant au même genre littéraire par le milieu social dont ils sont la production. Ce milieu gardait patiemment le silence vis-à-vis les phénomènes du monde extérieur. Outre deux ou trois exceptions et sans compter la presse dite populaire, inspirée et par-

fois dirigée par des intellectuels, il se faisait jusqu'à ces jours. On l'entendait tout au plus s'exclamer en jurons, faire des prières ou chanter. Et voici que le Grand Inconnu, le paysan polonais, élève sa voix dans les „Mémoires” en s'adressant à tous ceux qui ont l'oreille pour l'entendre. Appeler les paysans une classe sociale ou un milieu social — ce serait abaisser leur rôle. La paysannerie forme en Pologne une majorité tellement écrasante de la nation, qu'en lisant ces méditations qui proviennent de quelques-uns de ses représentants, on comprend que c'est toute la nation qui parle, qui s'y reconnaît en pleine lucidité, se voit et se juge elle-même. C'est pourquoi les „Mémoires des paysans” constituent une lecture qui au plus haut degré oblige à quelque chose. Elle oblige notamment comme avertissement qui égale en force les avertissements des anciens prophètes bibliques, elle oblige à prendre conscience du but réel vers lequel tous les efforts de la collectivité polonaise doivent être dirigés.

Le style et le langage des „Mémoires” s'écartent de ce qu'on appelle „idiome” dans la littérature et dans le folklore. On y observe l'influence très forte, et parfois prépondérante du langage employé couramment par les milieux dits intellectuels, résultant de la lecture et du contact personnel avec les autres milieux. Quant à la particularité de ce langage, on aurait tort de méconnaître, par pure pédanterie, la valeur de ces „Mémoires” qui sont pour ainsi dire un monument caractéristique d'un idiome particulier qui témoigne d'une transition fort intéressante et digne d'être étudiée.

Dire de ces Mémoires qu'ils sont une oeuvre d'art, ce serait trop dire, et en même temps, trop peu. Il n'y a pas là d'intention pour en faire une oeuvre d'art, et cependant, des éléments d'un art authentique y sont abondamment disséminés comme les grains d'or pur dans un bloc rude de quartz.

On ne peut pas juger d'avance si ces grains d'or justifient pleinement nos attentes quant aux possibilités créatrices de tel ou autre de ces mémorialistes. Ce qui est le plus probable, c'est que ces grains d'or sont une manifestation de ce goût esthétique tellement précieux, qui, dans les civilisations dites primitives, mais en revanche assez pleines et complètes, constitue un supplément nécessaire de la vie. C'est aussi ce goût d'artiste que doit révéler chacun au moment où, essayant d'ordonner les événements de sa vie, il se tourne vers les souvenirs, cette véritable source de beauté. Parce que les „Mémoi-

res des paysans" ainsi que l'indique le nom qu' on leur avait donné, sont avant tout des méditations sur le passé. Et si les ouvrages, contenus dans cette série, s'écartent en quoi que ce soit des Mémoires parus dans la série précédente, c'est justement parce que la description de l'époque actuelle et de la crise économique, exigée en quelque sorte par l'enquête de l'Institut d'Économie Sociale y est traitée d'une manière secondaire, tandis qu'au premier plan ressortent les récits sur le passé, pénétrés tantôt d'accents lyriques, tantôt d'accents épiques, mais toujours pleins d'un intérêt poignant. Faut-il y voir une fuite, inconsciente peut-être, mais en quelque sorte blâmable, dans le passé pour se défaire des problèmes du jour? Des chapitres, consacrés aux problèmes de la vie actuelle et aux soucis qu'apporte l'avenir se trouvent cependant dans chaque mémoire et ne semblent pas affirmer que les auteurs aient eu l'intention d'une telle fuite. D'autant plus que le passé ressuscité par les mémorialistes avec une certaine satisfaction, était en vérité pour la plupart des cas, très dur et très triste pour eux. Ils n'avaient donc aucune raison pour se dérober au présent en sa faveur.

Il faudrait reconnaître que ce penchant de nos mémorialistes qui les pousse à puiser les sujets de leurs Mémoires dans leurs souvenirs, et cette habileté avec laquelle ils s'en servent, leur donnent le droit d'appartenir à l'humanité civilisée.

Il semble, que le souvenir évoqué, cette source de nos souffrances les plus cruelles et de nos joies suprêmes, est une des conditions nécessaires pour que la civilisation puisse se former et un stimulant par lequel la vie s'enrichit de nouvelles expériences. Le pouvoir d'éveiller les souvenirs et de regarder en arrière appartient à ces aptitudes d'ordre supérieur, qui, tout autant que le don de prévoir l'avenir, nous permettent d'embrasser bien plus que la vie courante, la vie de jour au jour.

Trois éléments constituent principalement le sujet des souvenirs de tous les dix auteurs de ces mémoires: l'enfance, l'émigration et la guerre ou le service militaire. Tous ces trois éléments sont rattachés au travail et à l'exploitation de la terre. Ce travail constitue partout la charpente sur laquelle s'appuie l'ensemble de la vie dans toute sa diversité.

L'enfance est largement traitée par certains auteurs, mais tous y mettent le maximum d'entrain d'artiste pour la dépeindre. Un trait cependant leur est commun à tous. Ils ont tous passé une gran-

de partie de leur enfance, sinon leur enfance toute entière, à garder le bétail. Cette occupation importante est à côté de la surveillance des petits frères et des petites soeurs la principale école de vie pour les enfants des paysans, depuis qu'ils commencent leur septième année. C'est la source des drames enfantins très fréquents et des joies enfantines plus rares. C'est avec cette occupation, dure comme la rigueur du destin, que luttent toutes les tendances étouffées et tous les rêves de l'enfance. C'est à elle que les enfants dérobent l'heure fugitive de liberté et de jeux. C'est à elle que s'oppose la soif de connaître et de s'instruire, cet effort méconnu, que personne n'a jamais décoré. C'était une lutte spontanée et instinctive que menaient avant la guerre les enfants paysans, ces „esclaves du bétail”.

L'abandon et le triste sort de l'émigrant, tant de fois déploré dans la littérature et dans la presse, paraît avoir eu beaucoup d'attraits dans les récits des émigrants eux-mêmes. Les couleurs favorables avec lesquelles sont dépeints les souvenirs des émigrants doivent être en grande partie attribuées à ce fait, que les auteurs appartiennent pour ainsi dire, à une élite de l'émigration, à des hommes doués, sagaces, curieux de voir le monde et de connaître la vie, souples, pleins d'adresse et vifs d'esprit et de corps. C'est pour quoi ils sont tous optimistes.

On y trouve tout de même beaucoup de descriptions impartiales de leur vie à l'étranger. Certains ont atteint un bien-être, les autres étaient parfois traités d'une manière très humaine, ce qui avait pour conséquence un relèvement de leur dignité personnelle, le développement de leurs besoins culturels, l'élargissement de leurs horizons intellectuels et même, parfois, la naissance d'un touchant attachement au nouveau milieu. Et malgré tout, ces hommes souffraient de nostalgie, rêvaient de leur pays natal. Quand ils reviennent enfin dans leur pays ils en parlent avec la plus grande tendresse, témoignant que l'amour de la patrie n'est pas pour le paysan polonais quelque chose qu'on aurait besoin d'exciter. Il faut seulement qu'on donne à cet amour le plus vite possible une justification plus pratique.

Les chapitres, consacrés à la guerre et au service militaire se distinguent partout par un rapport purement humain à ces événements ébranlants. Les problèmes patriotiques et politiques, ainsi que les questions de l'honneur militaire attachés à la carrière militaire ne jouent dans ces récits qu'un rôle secondaire, mais ils y sont parfois traités avec éloquence. Nos mémorialistes voient dans la

guerre et dans le service militaire la volonté divine, une nécessité inévitable, et enfin une occasion pénible mais en même temps attrayante qui leur permet de prouver qu'ils savent se débrouiller.

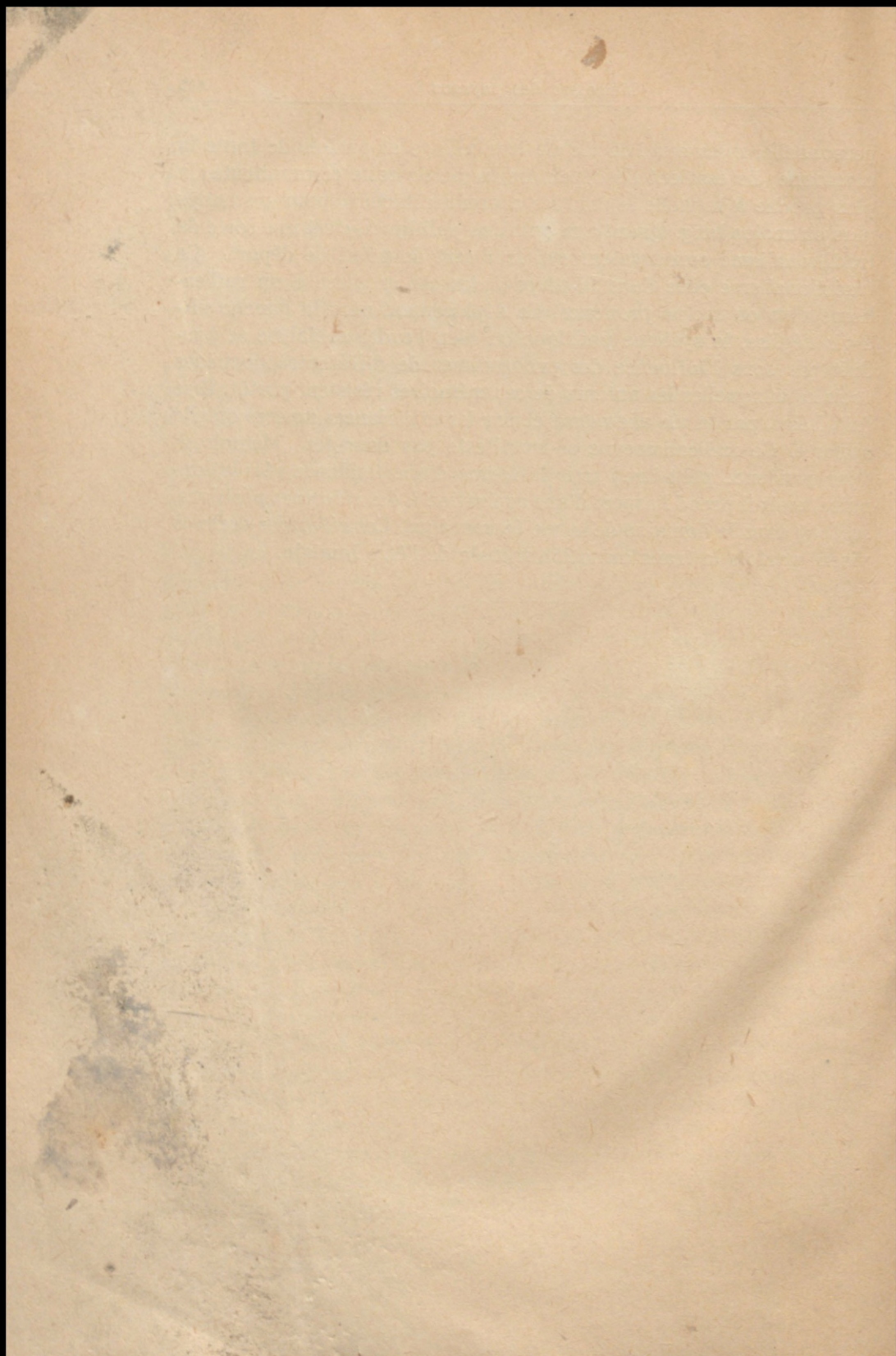
Leur ambition, indépendamment de l'armée dans laquelle ils font le service, leur ordonne de remplir scrupuleusement leurs devoirs. L'instinct de conservation et une certaine distance des buts de la guerre leur conseillent de s'arranger aussi commodement que possible et de tirer de cette période de la vie tous les avantages possibles, mais toujours plus ou moins licites. L'humanité les incline à porter secours à leurs compagnons d'arme et à la population atteinte par les maux de la guerre. Une décence innée ne leur permet jamais, dans aucune occasion, et sans besoin pressant, de profiter du seul fait qu'ils portent des armes pour faire du mal à qui que ce soit.

Les problèmes touchant le sexe et l'amour occupent très peu de place dans ces mémoires. Cette élimination presque complète d'un domaine dont le rôle dans la vie paysanne n'est pas prépondérant, mais non moins aussi important que partout ailleurs, ne nous donne pas le droit d'imputer à nos auteurs une sécheresse de sentiment, puisque les marques de toutes les autres formes d'affection: conjugale, filiale et paternelle, ressortent des „Mémoires” avec une force convenable, bien que leur expression soit plutôt réservée. Il faut donc supposer une pudeur virile qui les empêche de manifester leurs épanchements les plus intimes d'une manière publique. Peut-être aussi que, n'ayant pas été invités directement à cette sorte d'épanchements par l'enquête de l'Institut d'Economie Sociale, les auteurs des Mémoires ont tout simplement jugé que ces épanchements n'étaient pas à leur place, dans cette publication.

On a consacré également peu de place aux sentiments religieux plus profonds. Et, c'est à peine par ci et par là qu'on retrouve des méditations qui concernent ce sujet. Tous les auteurs sont vivement attachés ou habitués à l'église et au culte. Cela ne les empêche guère de s'attaquer d'une manière tantôt sobre, tantôt violente, à leurs curés dont l'avidité et la brutalité, à peu d'exceptions près, soulignées d'ailleurs de bon coeur, sont ressenties comme une véritable doléance de la vie paysanne. Cette critique s'accroît en âcreté avec l'âge des auteurs.

Les énonciations de ces paysans sont fortement pénétrées de problèmes de la vie sociale. Le caractère social leur est d'ailleurs donné par le fait que les mémorialistes décrivent non seulement leur vie

personnelle, mais aussi la vie de leur village et parfois de toute la commune; ils essaient de dépeindre la vie de cette communauté, la plus proche à laquelle le sort les a voulu attacher pour un temps plus ou moins long. Quant aux opinions politiques, c'est une sorte de traditionalisme conservateur qui leur sert de point de départ. Ce traditionalisme cède dans la plupart des cas sa place à un radicalisme plus ou moins prononcé. Ce déplacement vers la gauche vis-à-vis l'église, le système politique ou bien l'ordre social ne se produit pas sous l'influence des programmes de différentes doctrines sociales auxquelles les auteurs de ces mémoires résistent plutôt. Il se fait, hélas, par la vie elle-même et par les expériences amères qu'elle apporte. Ce radicalisme ne se manifeste pas dans les „Mémoires” (par prudence peut-être) sous la forme d'une tendance révolutionnaire, mais il prend l'aspect d'une aspiration à des réformes positives, surtout dans le domaine de la vie économique. Ces réformes désirées visent parfois la transformation morale de l'être humain.



T R E Ś Ć

	Str.
PRZEDMOWA PROF. LUDWIKA KRZYWICKIEGO	V—VIII
SŁOWO WSTĘPNE MARJI DĄBROWSKIEJ	IX—XVI

P A M I Ę T N I K I C H Ł O P Ó W

WOJEWÓDZTWO POZNAŃSKIE	1 —105
------------------------	--------

Pamiętnik Nr. 1.	Górnik w Niemczech, a później 55-morgowy gospodarz w pow. poznańskim	1
„ Nr. 2.	Wychodźca za zarobkiem do Niemiec i Stanów Zjednoczonych a w końcu 30-morgowy gospodarz w pow. jarocińskim	30.

WOJEWÓDZTWO WARSZAWSKIE	196—367
-------------------------	---------

Pamiętnik Nr. 3.	Syn rolnika, z zawodu kowal, przez znaczną część życia wychodźca za zarobkiem, w końcu wiejski kowal w pow. niezawskim	106
------------------	--	-----

WOJEWÓDZTWO LWOWSKIE	368—434
----------------------	---------

Pamiętnik Nr. 4.	Gospodarz małorolny w pow. rzeszowskim	368
------------------	--	-----

WOJEWÓDZTWO BIAŁOSTOCKIE	435—709
--------------------------	---------

Pamiętnik Nr. 5.	Bezrolny, potem osadnik z parcelacji rządowej na 4 hektarach w pow. łomżyńskim	435
„ Nr. 6.	Gospodarz średniorolny w pow. ostrowskim	449
„ Nr. 7.	Gospodarz na 10 hektarach, najpierw rolnik, potem ogrodnik w pow. bielskim	555

WOJEWÓDZTWO ŁÓDZKIE	710—889
---------------------	---------

Pamiętnik Nr. 8.	Syn gospodarza pięciomorgowego, potem bezrolny w pow. radomszczańskim	710
„ Nr. 9.	Syn mieszczanina przetacznika, stolarz, potem gospodarz na ośmiu morgach w osadzie w pow. radomszczańskim	724
„ Nr. 10.	Syn średniozamożnego gospodarza, zubożony przedsiębiorca i działacz, rolnik na 7 morgach w pow. sieradzkim	812

MÉMOIRES DES PAYSANS	890—895
--------------------------------	---------



DOSTRZEŻONE OMYŁKI W DRUKU

<i>Str.</i>	<i>Wiersz</i>	<i>Jest:</i>	<i>Winno być:</i>
6	6 od dołu	Borm	Bonn
16	2 „ „	przebywszy	przybywszy
28	16 „ „	tego gospodarstwa	tego z gospodarstwa
64	13 „ góry	Podbliska	Podbilska
72	3 „ „	mniej	mnie
74	7 „ dołu	opień	o pień
75	9 „ góry	strony	stronie
149	1 „ dołu	potrzeć	patrzyć
150	1 „ góry	nas	nasz
167	12 „ „	poszuwam	posuwam
168	2 „ dołu	swojemu	swojemi
172	15—16 „ „	najzwyczajny	nadzwyczajny
193	13 „ góry	ponosić	podnosić
209	3 „ dołu	niedoli	niewoli
235	18 „ góry	człowiek	człowieka
242	9 „ „	mocna	mocno
270	2 „ dołu	leb	łeb
284	11 „ góry	po ten	po tem
304	18 „ dołu	formacji	Francji
336	1 „ góry	delgata	delegata
354	14 „ dołu	przekonaom	przekonaniom
359	2 „ „	nauuczyciele	nauczyciele
363	5 „ „	siostre	siostrze
365	15 „ góry	byldo	bydło
390	9 „ dołu	entuzjamem	entuzjazmem
414	13 „ „	biedzi	biedzie
423	16 „ góry	czołwiekiem	człowiekiem
487	11 „ „	cele	ciele
488	12 „ „	jedn	jeden
493	16 „ dołu	went	wnet
546	20 „ „	nadprodukcję	nadprodukcja
551	16 „ góry	klłka	kilka
613	2 „ „	wesle	wesele
665	19 „ dołu	przyczny	przyczyny
697	1 „ „	pan	pasz
703	14 „ „	obsolutnie	absolutnie
736	2 „ „	Antoniega	Antoniego

<i>Str.</i>	<i>Wiersz</i>	<i>Jest:</i>	<i>Winno być:</i>
773	11 od dołu	kasie	kasie
778	10 „ „	wraca	wracaj
785	3 „ góry	wiosna	wiosną,
794	9 „ „	idźcie	idźcie
801	14 „ „	sklep, ten	sklep ten
802	14 „ dołu	No	Na
803	9 „ „	zaprzegam	zaprzęgam
805	5 „ góry	8 m. mórg	8 mórg
807	5 „ dołu	dwa dębowe	dwa łóżka dębowe
845	17 „ „	zboże	zboża
846	18 „ góry	Wiedomości	Wiadomości
847	17 „ dołu	przeciż	przecież
858	19 „ „	jak	jako

Z GŁOSÓW PRASY O PIERWSZEJ SERJI PAMIĘTNIKÓW CHŁOPÓW

Do materiału zawartego w pamiętnikach, który jest niczem innem, jak skrótem rzeczywistej rzeczywistości, świadomość społeczna i polityka gospodarcza ustosunkować się muszą. Chyba, że się chce zamknąć oczy na rzeczywistość.

C z e s ł a w B o b r o w s k i (Gospodarka Narodowa 1935, Nr. 7).

Niezwykła książka. Socjograficzny dokument pierwszorzędnej wartości. Zbiornica spowiedź ludzi, których codziennym chlebem nędza i rozpacz. Straszny głos oskarżenia i zarazem arcydzieło formy.

J e r z y G u t s c h e (Dziennik Poznański, 21 kwietnia 1935).

Ta wielka Księga Ubogich obrazująca dramat i bohaterstwo wsi, monotoność nędzy, pozostawia na nas niezatarte wrażenie i wstrząsa do głębi.

S t a n i s ł a w B a n a s z a k (Przemiany, maj 1935).

Pamiętniki chłopów, to trudna do zgłębienia w krótkim czasie, przebogata zbiornica materiałów do badania duszy i życia chłopu polskiego... Pamiętniki chłopów to lektura, która narzuca program.

S. S k w a r c z y ń s k i (Rolnictwo 1935; tom II, zeszyt 2).

Strony pamiętników chłopskich — to nie teoria, nie frazes, ale prawdziwa treść życia chłopu polskiego w latach światowego kryzysu, przedstawiona tak szczerze, bezpośrednio i prawdziwie, że nigdyby tego lepiej nie uczynił najślawniejszy ze światowych reporterów.

e m p. (Czas, 25 maja 1935).

Pamiętniki chłopów... zajmują jedno z poważniejszych miejsc w literaturze polskiej, charakteryzującej naszą rzeczywistość rolniczą.

(Rolnik Ekonomista, 1 czerwca 1935).

Pamiętniki chłopów nie można i nie należy traktować jak zwykłą choćby najciekawszą książkę, bo w nich zawarte są: życie i troski, zmartwienia i kłopoty nie tylko tych, co je pisali, ale i wielu, wielu innych im podobnych.

I r e n a W i e c z o r k ó w n a (Zwiastun Ewangeliczny, 2 czerwca 1935).

Pamiętniki — to nie tylko skarga na nieubłagany los, na krzywdę, na fatum, ale także p r o g r a m p r a c y w s i, program, na który u nas w takim stopniu nikt się jeszcze nie zdobył.

F r a n c i s z e k M ł e c z k o (Praca Oświatowa 1935, Nr. 4—5).

Ukazała się książka, która nie jest literaturą, ani baśnią filmową o życiu — ale jest życiem samem, stojącym przed oczami czytelnika, jako złom rzeczywistości nieoszlifowanej przez sztukę.

I. K. (Miesięcznik Nauczycielski 1935, Nr. 7—8).

Pamiętniki chłopów są wstrząsającym dokumentem niesłychanej pauperyzacji stanu chłopskiego.

J ó z e f D i a m e n t (Nowy Dziennik, 19 czerwca 1935).

Wielka, wstrząsająca książka bólu. Nieporównany dokument naszych czasów. Odpowiada na dwa pytania: w jakich warunkach żyją dziś masy ludu wiejskiego i co się dzieje w umysłach chłopów.

J. W a s o w s k i (Świat, 22 czerwca 1935).

Pamiętniki chłopów, jako wyraz przeżyć jednolitej najliczniejszej i najbardziej charakterystycznej warstwy narodu polskiego, stanowią dokument specyficznie polski.

I r e n a P a n n e n k o w a (Demokrata 1935, Nr. 7).

Pamiętniki chłopów są ciekawym obrazem doniosłych przeobrażeń, jakie się na wsi dokonywały na niedługim stosunkowo odcinku czasu.

A l b e r t H i c u r s k i (Polskie Państwo Pracy, 14 lipca 1935).

Z GŁOSÓW PRASY O PIERWSZEJ SERJI PAMIĘTNIKÓW CHŁOPÓW

„Pamiętniki chłopów są materiałem nieocenionym. I są także sygnałem. Pamiętniki bezrobotnych przyczyniły się waleń do stworzenia Funduszu Pracy, spełniły więc swą rolę. Teraz kolej na Pamiętniki chłopów.

Kazimierz Brodnicki (Gospodarka Narodowa 1935, Nr. 14).

Pamiętniki chłopów powinny stać się lekturą nietylko socjologów, lecz i tych wszystkich pracowników maszyny administracyjnej, którzy bezpośrednio lub pośrednio mają kontakt z terenem wiejskim.

(Wiek Nowy, 17 lipca 1935).

Materiał zawarty w Pamiętnikach Chłopskich, podany bezpośrednio przez samych chłopów, może wielką przysługę przynieść dla tych, którzy dzisiaj tej wsi przewodzą, którzy są wybrani przez ogół czy też powołani przez Państwo do czuwania nad rozwojem kulturalnym wsi polskiej.

Wacław Wiercioch (Głos Wąbrzeski, 23 lipca 1935).

Dzieło wstrząsające. Wielkie a zarazem jakże smutny pomnik kultury.

Tel. (Mały Dziennik — Niepokalanów, 11 sierpnia 1935).

Das war ja auch der Zweck der Rundfrage, die gegenwaertige Lage des polnischen Bauern zu beleuchten und nicht historische Dokumente zu sammeln, und dieser Zweck ist trotz der Abschweifungen mancher Schreiber auch glaenzend erreicht.

M. H. (Prager Presse, 16 August 1935).

Wielmi sumnymi obrazami malując polskija sialanie swajo życie u he-taj knizie.

(Bielaruskaja Krynica, 1935, Nr. 31).

Wspaniała ta książka jest pierwszorzędnym dokumentem doli drobnego rolnika polskiego.

(Przewodnik Kólek Rolniczych, 22 września 1935).

Książka ta zawiera nieprzebraną wprost skarbnicę materiału faktycznego, na którym można oprzeć i wychowanie obywatelskie i naukowe, i państwowe i każde inne.

A. (O). (Przyjaciół Szkoły, 15 grudnia 1935).

Dzięki materiałowi faktycznemu są „Pamiętniki chłopów” bezpośrednie i żywe, przez co silniej przemawiają do czytelnika, niż najbardziej szczegółowe i przejrzyste statystyki. Ta, drogą osobistych zwierzeń uzyskana, bezpośrednio pozwala na zupełnie dokładne odtworzenie rzeczywistego stanu współczesnej wsi polskiej.

Tadeusz Makarewicz (Nowa Książka, 1935, Nr. 10).

Pamiętniki chłopów — a właściwie pierwsza ich serja — stanowią już w obecnej swej postaci ważny materiał do poznania życia współczesnej polskiej wsi.

J. B. (Przewodnik Pracy Społecznej, 1935, Nr. 1).

Po raz pierwszy w historii naszej tak rozległe, pięknie i głęboko przemówiła wieś polska, po raz pierwszy powstało dzieło, którego bohaterem w całej pełni jest prosty tłum chłopski i jego życie.

Franciszek Mleczko (Marchoń, 1935, Nr. 4).

Ich lektura winna być obowiązkiem każdego społecznika, który chce działać w oparciu o rzeczywistość.

Witold Kaczyński (Jutro Pracy, 1936, Nr. 8).

Z GŁOSÓW PRASY O PIERWSZEJ SERJI PAMIĘTNIKÓW CHŁOPÓW

Książka, która mimo smutnej przygnębiającej, czasami nawet ponurej treści, sprawia naogół wrażenie dodatnie, krzepiące... Gromadzi ona bezcenny materiał z pierwszej ręki, ze źródła samego, do poznania wsi i panujących tam stosunków na przestrzeni ostatnich lat kilkudziesięciu.

J a n S w i e r z o w i c z (Głos Poznański, 15 marca 1936).

Warunki bytu chłopów w niepodległej Polsce wiernie oświetlają „Pamiętniki chłopów”.

M a r j a M i l k i e w i c z o w a (Wiadomości Literackie, 5 kwietnia 1936).

Nie przeczytać „Pamiętników chłopów” nie wolno... Znajdują się tu nie efektowne ułożone opisy i dywagacje — zgromadzono w „Pamiętnikach chłopów” opowiadania napisane zwyczajnie, niemal szaro; ale pod tą mało błyskotliwą formą kryje się dynamika o niebywałej sile.

J a n K i s i e l e w s k i (Tęcza, 1936, Nr. 4).

Ces „Mémoires”, sans constituer une base complète et définitive de documentation sur la crise agraire en Pologne, révèlent toutefois l'état psychologique des paysans en face d'une situation économique des plus difficiles.

(Revue Internationale du Travail, avril 1936, Nr. 4).

„Pamiętniki chłopów” — głos bezpośredni, „z pierwszej ręki”, zostały przyjęte przez zdumione miasta, jak... romans egzotyczny, jak historie podróżnicze z wysp polinezyjskich.

A r g u s (Wiem Wszystko, 26 kwietnia 1936).

„Pamiętniki chłopów” mohou sloužiti socialnim institucim i vychove a organisaci venkovského obyvatelstva. Ale jejich hlavní význam leží v tom, že pro budoucí paměť zachovávají poměry venkovského obyvatelstva a jeho zápas se životem v těžké době.

P. C h o c. (Casopis pro dějiny venkova, Praha, 1936).

Nieocenionem i przez swą autentyczność wyjątkowem źródłem wiedzy o wsi są „Pamiętniki chłopów”.

L. L. (Głos Poranny — Łódź, 10 czerwca 1936).

Książka ta, to zbiór uwag, zaczerpniętych z życia chłopów polskich i przez nich samych pisanych. Wyziera z jej kartek taka beznadziejność, że poprostu serce się kraje człowiekowi, gdy czyta te pamiętniki naszego ludu wiejskiego.

(Wiarus Polski, Lille, 19 czerwca 1936).

Jest to książka niezwykła. Proste jej słowa wywołują najgłębsze wzruszenie. Kamieniem na sercu kładzie się zawarty w niej obraz życia wsi polskiej... Z kart tej książki patrzy na nas nasz własny stosunek do życia w Polsce, błędy popełnione i wartości niepodjęte.

Z o f j a W a n k o w i c z o w a (Polska Zbrojna, 22 czerwca 1936).

„Pamiętniki chłopów” winny się stać przymusową lekturą każdego obywatela Polski, niedobrowolną daniną dla dobra powszechnego, jak zaciąg wojskowy lub podatki.

C z e s ł a w Z n a m i e r o w s k i
(Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny 1936, Zeszyt I).

 WYDAWNICTWA

INSTYTUTU GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

W WARSZAWIE, UL. CZERWONEGO KRZYŻA 20, TEL. 511-19

R-k czekowy w P. K. O. 12099

<i>Białobłocki B.</i> Szkice literackie	3,—
<i>Derengowski J.</i> Urlopy maszynistów kolejowych	2,—
<i>Drobny przemysł i chałupnictwo.</i> T. I i II	27,50
<i>Fabierkiewicz W.</i> Rosja Współczesna	5,50
<i>Jastrzębski W.</i> Organizacja pracy fizycznej	5,—
<i>Korman Z.</i> Materiały do bibliografii druków socjalistycznych	12,—
<i>Korniłowicz K.</i> Akcja społeczno - kulturalna w górnictwie angielskim	3,—
<i>Kozłowski St.</i> Warunki bytu pracowników bankowych w Polsce	1,50
<i>Krahelska H.</i> Łódzki przemysł włókienniczy wobec ustawodawstwa pracy	1,—
<i>Krahelska H.</i> Praca dzieci i młodocianych w Polsce	2,50
<i>Krahelska H.</i> Praca kobiet w przemyśle współczesnym	5,—
<i>Krieger A.</i> Ubezpieczenie na wypadek choroby w Polsce	10,—
<i>Krzyżkowski J. i Sobierańska Z.</i> Stosunki kredytowe wśród drobnej własności rolnej	12,—
<i>Kuropatwińska M.</i> Ogrody działkowe a kultura miast	3,50
<i>Landau W.</i> Izby pracy	1,80
<i>Landau W.</i> Ośmiogodzinny dzień pracy	3,50
<i>Landau W.</i> Poglądy włościan na sprawę niepodzielności gospodarstw wiejskich	2,70
<i>Landau W.</i> Walka o bezpieczeństwo pracy	5,—
<i>Minkowska A.</i> Rodzina bezrobotna	2,50
<i>Moraczewska A.</i> Wczasy robotnicze	5,—
<i>Niemyska M.</i> Wychodźcy po powrocie do kraju	5,—
<i>Pamiętniki bezrobotnych</i>	15,—
<i>Pamiętniki chłopów (pierwsza serja)</i>	18,—
<i>Piltz F.</i> Dochody mieszkańców Warszawy	5,—
<i>Rosja Sowiecka pod względem społecznym i gospodarczym.</i> Pod redakcją Prof. L. Krzywickiego. Część I i II	13,—
<i>Rosset E.</i> Proletariat łódzki w świetle badań demograficznych	3,50
<i>Rychliński St.</i> Czas pracy w przemyśle polskim	4,—
<i>Rychliński St.</i> Marnotrawstwo sił i środków w przemyśle polskim	6,50
<i>Sterling H.</i> Międzynarodowa Organizacja Pracy	1,50
<i>Sztetnerowa W. i Błaszczkowska M.</i> Młodzież robotnicza w Austrii	1,50
<i>Szturm de Sztrem E.</i> Samowystarczalność Polski pod względem zbożowym	1,—
<i>Szturm de Sztrem T.</i> Bezrobocie w Europie dzisiejszej	4,—
<i>Szturm de Sztrem T.</i> Płace zarobkowe w okresie dewaluacji	2,—
<i>Szturm de Sztrem T.</i> Walka o płace zarobkowe	2,—
<i>Urlopy wypoczynkowe pracowników drukarskich</i>	6,—
<i>Warunki życia robotniczego w Warszawie, Łodzi i Zagłębiu Dąbrowskiem w świetle ankiet 1927 roku</i>	15,—
<i>Zdanowski A.</i> Warunki mieszkaniowe robotników	4,—
<i>Zieliński J.</i> Higijena pracy	9,—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej

435/2



12-000435-000-0